ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

1882.

TOM II.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVI.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1882.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Мая 1882 года.

SPIS RZECZY.

Str.

I. HISTORYA.

Z pamiętników Leona Dembowskiego 76, 298, 549
Rodzina Łaskich w XVI wieku p. *Wincentego Zakrzewskiego.* 195, 490

II. FILOZOFIA.

Obraz filozofii spółczesnéj we Włoszech przez *F. K.* 56

III. RZECZY SPOŁECZNE I BIEŻĄCE.

Demokracya socyalna w cesar. niemieckiem p. *A. Oskierkę* 1, 275
Dozory bóżnicze w Królestwie polskiem p. *Henryka Konitza* . . 136
Reprezentacya Polska w zimowéj kadencyi sejmu rzeszy niemieckiéj i sejmu pruskiego p. *I. P.* 387
Wspomnienie o Janie Wilhelmie Draperze p. *Sygurda Wiśniowskiego.* 475

IV. LITERATURA I SZTUKI PIĘKNE.

Pionierowie gotycyzmu w Polsce przez *Władysława Łuszczkiewicza* 112, 342
H. Sienkiewicz w listach z podróży po Ameryce i obrazkach amerykańskich, przez *Maryana Zdziechowskiego* 153
Wacław Potocki, jako autor „Wojny Chocimskiéj," p. *Bronisława Chlebowskiego* 241, 430

V. BELETRYSTYKA.

Zygmunt Ławicz i jego koledzy, p. *Elizę Orzeszkową* . 25, 217, 4[illegible]7

VI. NAUKI PRZYRODNICZE.

O zdolności ruchu u roślin, p. prof. *A. Wrześniowskiego* 525

VII. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE.

Olbracht Łaski wojewoda sieradzki, p. Aleksandra Krausha ra. Ocenił *Teodor Wierzbowski* 169
Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego ułożył i wydał Franciszek Kluczycki. Ocenił *K. Kantecki*. 181
Oswald Balzer: Kancelarye i akta grodzkie w wieku XVIII. Ocenił *Ludwik Finkel*. 365
Seweryn Smolikowski. Rozbiór krytyczny podstaw zasadniczych filozofii Schopenhauera. Ocenił *H. G.* . . . 370
Eliza Orzeszkowa. Z różnych sfer. Serya nowa (Sielanka nieróżowa. Daj kwiatek! Złota nitka. Zefirek.) Ocenił *Piotr Chmielowski* 565
Dzieła Mickiewicza w przekładzie rosyjskim. Ocenił *P. Ch.* . . 571

VIII. WRAŻENIA LITERACKIE. 183, 374, 575

DEMOKRACYA SOCYALNA

W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

I.

PIERWIASTKI RUCHU.

Franz Mehring. Die Deutsche socialdemokratie. Ihre Geschichte und ihre Lehre. Bremen, 1878. — Emile de Laveleye. Le socyalisme contemporain. Paris, 1881.

Wśród obecnego rozbicia na frakcye stronnictw politycznych w Niemczech żadne z nich nie może zgrupować około swego sztandaru większości sejmowéj, ani dobić się wpływu na rząd państwa. Z tego położenia rzeczy wynikają ciągłe utarczki w parlamencie, wśród których, kanclerz cesarstwa sam jeden czuje się silnym i pomimo najwyraźniejszéj opozycyi reprezentantów kraju, przedstawia im na nowo projekta do praw, które oni już raz odrzucili, a modyfikując je zlekka spodziewa się, że nie dziś to jutro projekta będą przez jaką taką większość przyjęte i będą mogły stać się prawem obowiązującém. Podobne postępowanie jątrzy stosunki parlamentu z rządem i daje powód do ustawicznych wyrzekań, do skarg aż nadto głośno z obu stron powtarzanych i do wzajemnie sobie robionych zarzutów, że nikomu tu nie chodzi o dobro publiczne, lecz tylko o zjednanie stronników, o zasługiwanie się wyborcom i osiągnięcie większości na przyszłych wyborach. Publicyści liberalnego stronnictwa naprzykład, złośliwie trochę zaznaczają: że projekt do prawa o ubezpieczeniu robotników od wypadków nieszczęśliwych i zapewnieniu im wypłat emerytalnych na starość, wniesiony był do sejmu w roku minionym d. 1 kwietnia, że w ten dzień właśnie przypada rocznica urodzin ks. kanclerza, że almanach gotajski zaznaczył dobitnie tę datę, chociaż ona ważną być nie może, bo projekt odrzuconym został; a co dziwniejsza, że tenże kalendarz zaznaczył datę

mowy deputowanego Liebknechta, którym zwykle nie interesował się dotychczas, a zaznaczył dlatego, iż przywódca demokracyi socyalnéj w Niemczech, d. 31 maja przy dyskusyi nad projektem wypowiedział te słowa: „obecnie ideje socyalne są podstawą polityki rządu.“ Kiedy zaś nowo wybrany sejm cesarstwa zebrał się na pierwszą sesyą w listopadzie z. r., deputowany Eugenijusz Richter natychmiast wystąpił z ostrą krytyką orędzia cesarskiego przesłanego sejmowi zamiast mowy od tronu, kontrasygnowanego przez ks. Bismarka, w którym zapowiedziane było powtórne wniesienie projektów do praw, w czasie ostatniéj sesyi odrzuconych. W krytyce swojéj wystawiał, że kanclerz wyraźnie przechyla się na stronę socyalizmu i dawał do zrozumienia, że na tę drogę popchnęła go walka polityczna ze stronnictwem liberalném, że pragnie on przez to pozyskać głosy wyborców, osłabiając w narodzie zaufanie ku nienawistnemu sobie liberalizmowi, a na poparcie swych dążeń używa nieprawnie, niesłusznie i niepolitycznie powagi imienia samego cesarza.

Nikt dzisiaj osądzić nie potrafi, ile jest w tych zarzutach słuszności i czy ks. Bismark przy planach swoich długo i wytrwale stać będzie; ale jest rzeczą widoczną, że socyalizm, potępiany dotychczas jako doktryna przez uczonych, prześladowany jako sekta przez wszystkie rządy, już od połowy dziewiętnastego wieku zaczyna powoli przekształcać się i przywdziewać suknie urzędowe. Napoleonowi-III nieraz stawiano zarzuty, że pod płaszczem cezaryzmu wprowadza w obyczaj rządowy kierunki socyalne; dzisiaj ks. Bismark wyraźnie i głośno mówi, że zwyciężyć hydry socyalizmu, okiełznać jéj nie można inaczéj jak biorąc w ręce sprawę opieki nad najuboższą klasą ludności; a jak wiemy z pogłosek powtarzanych po dziennikach, podobno w ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu opracowują obecnie projekt do prawa ubezpieczenia wyrobników fabrycznych od nieszczęść i bezrobocia; we Francyi p. Gambetta, w czasie chwilowych rządów swoich, polecił już był pono ludziom najbieglejszym w fachu ubezpieczeń ułożyć podobny projekt, ministeryum włoskie w styczniu r. b. zapowiedziało w izbie, że się tém zajmuje; nawet najzaciętsi przeciwnicy socyalizmu, ludzie których dogmatem fundamentalnym był i jest wolny przemysł, wolna praca i samopomoc—połączone frakcye liberalnych stronnictw w Niemczech, złożyły od siebie sejmowi projekt do prawa takiegoż ubezpieczenia przymusowego. Pierwéj nim ministrowie i parlamenta okazały ochotę zajmowania się losem wyrobników na drodze administracyi i prawodawstwa, inne siły zachowawcze, w Niemczech szczególnie, śmiało podejmowały już znamię socyalizmu; jeszcze przed wojną francusko-niemiecką biskup Moguncki Ketteler stanął na czele towa-

rzystwa szerzącego zasady socyalizmu chrześciańskiego, a jak wtedy opowiadano, uczynił to za zgodą i zezwoleniem samego papieża. Od roku 1872 liczna grupa profesorów w uniwersytetach niemieckich, podejmując z dumą rzucone sobie ironicznie przezwisko, przyjęła nazwę „socyalistów z katedry“ i poszukuje, na drodze naukowych badań, sposobów rozwiązania owych strasznych zagadnień, jakie im stawi nędza ludu; dostojnicy kościoła luterańskiego w Berlinie zawiązali stowarzyszenie socyalno-religijne i usiłują zarówno pomiędzy klasami wykształconemi jak i pomiędzy ludem szczepić zasady nauki socyalnéj, opartéj na prawach chrześciaństwa.

Tak więc państwo, kościół, nauka w Niemczech zdają się iść o lepsze w tym wyścigu ku ulżeniu cierpieniom ludzkim, ale wszystkie te trzy potęgi zachowawcze, dotychczas przynajmniéj, nie znalazły sposobów skutecznych oddziaływania, przeciw szerzącéj się wśród wyrobników fabrycznych nadewszystko, nauce komunizmu, w imię któréj to nauki sformowało się i powiększa się ciągle partya demokracyi socyalnéj. Partya ta, jakkolwiek liczna, silną nazwać się, nie może, bo nie ma jeszcze bezpośredniego wpływu na prawodawczą robotę w parlamencie. Zbudziła się ona i żyć zaczęła z inicyatywy dwóch znakomitych uczonych, w dwóch różnych kierunkach; ale jeden z tych ludzi nieżyje już dawno, drugi mieszka w Anglii, bada stosunki społeczeństwa angielskiego, zajęty krytyką jedynie, wykazuje wszystkie wady dzisiejszych społeczeństw, rzadko bardzo w chwilach stanowczych tylko wypowiada, że *państwo przyszłości* zleje na robotników swoje dobrodziejstwa, ale czém ma być to państwo tego nie wyjaśnił dotychczas. Środki działania partyi są ograniczone, finanse jéj bowiem redukują się do składek robotników; przywódcy czynni działający na ziemi niemieckiéj nieodznaczają się ani talentami ani nauką, a nawet, oprócz kilku wyjątków, nie dają dowodów prawdziwego poświęcenia dla sprawy; kłótnie i zwady w łonie stronnictwa nie ustają nigdy, a pomimo to wszystko, liczba stronników wzrasta ciągle. W r. 1877 stanęło w sejmie od demokracyi socyalnéj deputowanych dwunastu, w r. 1878 po zamachach na życie cesarza Wihelma wydano prawo przeciw socyalistom, zaprowadzono stan oblężenia w głównych siedliskach ruchu socyalnego: w Berlinie, Hamburgu i Lipsku, a jednak wybory ostatnie w październiku r. z. wysłały do sejmu trzynastu deputowanych stronnictwa uciśnionego i prześladowanego.

Obserwatorowie bezstronni, cudzoziemcy, a nawet i niektórzy z Niemców, twierdzą, że w całéj téj agitacyi główną rolę gra kwestya polityczna, współzawodnictwo o władzę; że pomiędzy apostołami dzisiejszego komunizmu mało kto wierzy w dogmata nowéj nauki,

które stoją w sprzeczności ze wszystkiém co dotychczas stanowiło podstawy cywilizacyi, rozwijania się narodów europejskich, ich potęgi ekonomicznéj i siły moralnéj; jednym się zdaje, że skoro dostaną się do władzy, potrafią rządzić ku większemu pożytkowi ludu, inni znowu z prostych pobudek miłości własnéj dobijają się wpływu i znaczenia, ogólne zaś niezadowolnienie z trudnych warunków życia w nowém cesarstwie niemieckiém, jedna wśród ludu najwięcéj stronników tym właśnie, którzy występują z najhałaśliwszą opozycyą, obiecują najlepiéj wszystko urządzić i zapewnić każdemu spokój i dobrobyt.

Byłoby zbyt śmiałém i zupełnie przedwczesném wydawać sądy stanowcze o znaczeniu i przyszłéj roli ruchu, który się rozpoczyna dopiero, ale bardzo ciekawém i korzystném zarazem zdało się nam rozpatrzyć w tym ruchu sąsiadującego z nami narodu, rozpoznać kierunki tego prądu, który obejmuje już dzisiaj wszystkie kraje Europy i budzi wśród prostaczków żywe nadzieje, a niemniéj silną trwogę szerzy wśród grup społecznych przewodniczących obecnie życiu publicznemu; trwogi i nadzieje pobudzają namiętności do wysokiego stopnia i stanowią bodaj prolog dramatu dziejowego, który rozegrywać się będzie w niedalekiéj przyszłości.

Do niedawna jeszcze twierdzono stanowczo, że u nas nauka socyalizmu zaszczepić się nie może i że dlatego kwestya społeczna dla nas nie istnieje. Nam się zdaje, że kwestye społeczne istnieją zawsze i dla każdego narodu, jeżeli zaś forma, którą ta kwestya dzisiaj mianowicie na niemieckiéj ziemi przybrała, wielu ludziom zdawała się do przesadzenia na nasz grunt niemożebną, musiało to pochodzić z tego chyba powodu, że się nie przypatrzyli w imię czego, i wśród kogo i w jaki sposób sprawa ta agitowaną była. Demokratyzowanie się społeczeństw europejskich, które na zachodzie idzie krokiem przyśpieszonym, u nas wyraża się dzisiaj jeszcze bardzo słabo przez obniżanie się powagi szlachty w życiu publiczném narodu, a coraz to większy wpływ żywiołu miejskiego na kierunek interesów. Przy zupełnym braku spraw politycznych, któreby życie publiczne podsycać mogły, ruch ten nie może być szybkim, ani jaskrawo bić w oczy każdego, a jednak czuć to doskonale, że w pojęciach ogółu mieszczaństwo przeciwstawi się właścicielom ziemskim. Żywioły składające mieszczaństwo nasze niezłożyły się jeszcze w żywy organizm, dlatego nie można wśród niego rozróżnić pierwiastków składowych, pierwiastki te żyją obok siebie spokojnie, bo bezczynnie, dlatego zdają się być w zgodzie i przyjaźnie pracować na polu ekonomiczném; teorye ekonomiczne o harmonii interesów przeważnie dotąd u nas panują i nikt nie ma powodu podejrzéwać, że zgodę taką

cokolwiek bądź zamącić może na czas dłuższy. A jednak kwestye społeczne dojrzewają co prawda długo, stają się zaś potém zupełnie niespodzianie, a stają odrazu ostro i hałaśliwie, bo dopiero zajścia pomiędzy liczniejszemi grupami ludzi rzucają pytanie: jak złemu zaradzić?—i wtedy nagle budzą się umysły ze spokoju, który zdawał się być niczém nie zagrożony. Zajścia tego rodzaju wywoływane bywają ścieraniem się interesów i nie trzeba na to żadnych szczególnych warunków ani okoliczności, ażeby ludzie w sprawach ekonomicznych doszli do nieporozumień, dosyć na to aby jednéj ze stron interesowanych ktokolwiek wmówił, że jéj się krzywda dzieje, takich zaś ochotników do nauczania, do opiekowania się dolą ludu dzisiaj nie braknie nigdzie i robią to w najlepszéj wierze z mocnym przekonaniem, że przez to bronią słabych przeciwko silnym.

Podczas kiedy u nas przewaga mieszczaństwa w życiu narodu dla jednych jest dopiero upragnionym celem, dla drugich zaś faktem trochę przerażającym od któregoby się chcieli obronić, na zachodzie Europy rzeczy zaszły znacznie daléj. Tam mieszczaństwo albo zagarnęło zupełnie w swe ręce kierunek spraw publicznych, albo dzieli się niém narówni ze szlachtą; ale zaledwo dobiło się ono tego znaczenia i zasiadłszy w parlamentach zaczęło się rozporządzać groszem publicznym, a panowanie swoje nazywać tryumfem demokracyi, zaraz zaczynały się wydzielać odrębne grupy ludności przyznające sobie jedynie prawo mianowania się demokracyą. Nie miały one udziału w rządach, podejmowały więc opozycyą przeciwko nim; niedość na tém, wśród samejże klasy rządzącéj znajdowały się zwykle osobistości chętnie podejmujące się roli przywódców tego ruchu, najdowcipniejszémi środkami agitacyi starali się oni powiększyć liczebnie grupy malkontentów, ażeby zmusić rządy do baczniejszego rozpatrywania się w ich interesach i dopuszczenia ich do udziału w prawodawstwie. Tak, obok mieszczaństwa stanął lud zszeregowany, z pośród niego zaczęły się podejmować kwestye społeczne i narzucać się do rozwiązania. Wszystkich tych, którzy brali na siebie zadanie wyjaśniać interesa ludu, wskazywać jak im należy zadość uczynić, występowali z domaganiem, nieraz hałaśliwem, ażeby prawodawstwo urządziło stałą opiekę nad dolą ludzi nieposiadających niczego oprócz rąk do roboty, wszystkich tych nazywano socyalistami. A że przytém nie obchodziło się nigdy bez silnego rozdrażnienia namiętności, że wymagania zazwyczaj znacznie przewyższały możność ich zadowolnienia, że socyaliści często szli na przebój i szerzyli niepokój społeczny, nie dziw więc, że wszystkie żywioły zachowawcze oburzały się na nich, i nie rozpatrując się bliżéj w różnicach jakie pomiędzy nimi zachodzić mogły, potępiały ich wszystkich razem, a nazwa so-

cyolisty stała się znamieniem potępienia. Dzisiaj jednakże kiedy te sprawy stają na porządku dziennym robót rządowych i prawodawczych, należy się im przypatrzyć z bliska i rozróżnić rozmaite gatunki, tego, do niedawna za ogólnie szkodliwy uważanego rodzaju.

W ostatnich dwóch dziesiątkach lat socyalizm rozrósł się i wybujał ze szczególną siłą na ziemi niemieckiéj, że zaś Niemcy są rozmiłowani w systematyzowaniu, specyalizowaniu, rozróżnianiu wszystkiego do najdelikatniejszych odcieni, spotykamy więc u publicystów niemieckich dziwnie brzmiące nazwy: socyalizmu zachowawczego obok rewolucyjnego, socyalizmu katolickiego i protestanckiego obok ateistycznego, socyalizmu naukowego obok agitatorskiego, i tam w Niemczech zarówno ks. kanclerza jak i Karola Marxa, twórcę międzynarodówki, można nazywać socyalistą. Mniejsza jeszcze byłoby o nazwy, ale socyalizm i jego doktryny tyle zajmują miejsca w życiu publiczném Niemców, tak panują nad ich umysłami, że dzisiaj na wszystkich stopniach stanowisk społecznych, bogactwa, nauki i wykształcenia, w parlamentach i na ulicach, w klubach i w szynkowniach, na kazalnicach i w Uniwersytetach można spotykać socyalistów. Wszystko to dzieje się w Berlinie i we Wrocławiu, o kilkanaście godzin drogi od Warszawy, procesa agitatorom socyalistom wytaczają się w Poznaniu i w Krakowie, pismo socyalistyczne dla ludu od lat kilku wychodzi we Lwowie, w Paryżu zawiązuje się kółko socyalistów specyalnie polskich, odezwy ich zapewne potrafią się przedrzeć do Warszawy i do Wilna; dla czegóż więc, wśród podobnych okoliczności, mielibyśmy twierdzić że nauka socyalizmu u nas zaszczepić się nie może? Owszem, powinnoby to nas zachęcić do bliższego rozpatrzenia się jakiemi środkami wśród sąsiadów naszych rozrosła się owa siła, którą tam mianują demokracyą socyalną.

I.

Socyalizm jako pewien kierunek polityczno-społeczny spotykamy już w historyi starożytnéj, ale dzisiejsze jego formy biorą swój początek w ruchu umysłowym rozbudzonym we Francyi, w pierwszéj ćwierci bieżącego stulecia, pismami Saint-Simona. Ten potomek towarzyszy Karola Wielkiego, wychowanek d'Alamberta, kapitan gwardyi Ludwika XVI, ochotnik wojujący w Ameryce, przedsiębiorca interesów finansowych z epoki wielkiéj rewolucyi, zwiedził całą Europę, znał wszystkich znakomitych ludzi swojego czasu, od każdego z nich czegoś się uczył i w tym celu, obyczajem dawniejszych wielkich panów, wszystkich ściągał do swego domu, karmił ich, poił, sam

życia używał – i dożywszy lat sześćdziesięciu pięciu umarł w nędzy, zarabiając na swe utrzymanie przepisywaniem papierów. W dziewiętnastym roku życia już był nakreślił plan przekopania międzymorza panamskiego, a ciągle szukał po świecie jakichś idei ogólnych, któreby mu podały sposób usunięcia nędzy i cierpień ze społeczeństw ludzkich. Owoce swych badań i rozmyślań spisał w wielkiéj ilości broszur, artykułów po pismach peryodycznych i w obszerniejszych dziełach, a myśli jego ostatecznie tak się złożyły. Obecne stosunki społeczne wykształciły się historycznie, pierwszym ich zawiązkiem u początku wieków średnich, był stosunek zdobywców do zwyciężonych i oparte na nim prawo własności ziemi, a chociaż w systemacie feudalnym ułożył się on w pewien ład i porządek, nosił jednak i nosi na sobie piętno swego pochodzenia, źródłem jego nie było prawo ale przemoc. Co ludzie zrobili w ciągu wieków to mogą i powinni przerobić. Pojęcie sprawiedliwości wymaga aby ludzie najlepsi i najużyteczniejsi zajmowali najpierwsze miejsce w społeczeństwie, zatém rządy narodów należéć powinny do tych, którzy najlepiéj pracują umysłowo i przemysłowo. Oni to powinni usuwać wszelkie przeszkody, jakie na drodze życia ludzie spotykają do kształcenia się i rozwoju, powinni mądrze kierować pracą ludzką, skupiać w stowarzyszeniach siły produkcyjne, dając im przez to znacznie większą wydajność i sprawiedliwie w duchu miłości rozdzielać bogactwa wyrobione. Streszczało się to w znanéj powszechnie formule którą St. Simon pozostawił jako hasło swym uczniom: „każdemu dać stanowisko odpowiednie jego zdolnościom, każdą zdolność wynagrodzić stosowie do jej zasługi". (A chacun selon sa capacité, a chaque capacité selon ses oeuvres).

Uczniowie St. Simona, byli wszyscy prawie ludźmi znakomitych zdolności, hołdując jednak ówczesnemu ogólnemu prądowi reformowania świata za pośrednictwem nowych religij, myśli mistrza zaczęli formułować w dogmata i organizować kult nowy, ze swoją biblią, katechizmem i obrzędami, na téj drodze zużyli się prędko, i rozproszyli się po świecie. Bazard, jeden z pomiędzy nich, spodziewał się dobić jakiegoś praktycznego celu proponując ograniczenie prawa dziedzictwa do blizkich stopni pokrewieństwa, ażeby dać przezto rządowi środki wynagradzania ludzi zasłużonych. Myśl ta przebrzmiała bez echa w sferach prawodawczych, ale odtąd wszyscy socyaliści w teoryi przenoszą na istniejące władze państwowe obowiązki, które St. Simon wkładał na obmyślany przez się rząd idealny, a co zatém idzie, domagają się od władzy prawodawczéj i wykonawczéj ażeby doprowadzały do wymarzonéj przez nich harmonii stosunki społeczne.

Hasło St. Simona odezwało się echem w tysiącach głów, zaczęły mnożyć się projekta i całe systemata uszczęśliwienia narodów i ludzkości w ogóle, znalazło się nie mało ludzi niezadawalniających się budowaniem teoryj, lecz usiłujących maksymy stosować do życia, wszystkie lata panowania Ludwika Filipa we Francyi pełne były niepokojów i agitacyj zarówno politycznych jak i społecznych, które z nową siłą odżyły wśród rewolucyi r. 1848. Spółcześnie z nowemi teoryami, na zachodzie Europy rozwijał się olbrzymio ruch przemysłowy, a praktyka życia wywołała wśród tego ruchu dwa zjawiska, które mogły korzystnie wpływać na polepszenie stanowiska robotników w rzemiosłach i fabrykach, a które dopatrzywszy socyaliści, chcieli rozwijać na wielką skalę i używać ich za narzędzie propagandy, potém zaś wskazywali jako jedyne środki zbawcze przeciwko ubóstwu proletaryatu. Były to: najprzód *stowarzyszenia spółdzielcze* (associations coopératives productives), które próbowano stosować do przedsiębierstw, tak iżby stowarzyszeni robotnicy byli sami właścicielami kapitału zakładowego i obrotowego, a wartość całego wyrobu tj. nietylko zarobek ale zysk i procent od kapitału mogli dzielić pomiędzy sobą, stosunkowo do ilości dostarczonego funduszu i wykonanéj roboty. Już w r. 1840 istniało kilka podobnych stowarzyszeń w Paryżu a jedno z nich: przedsiębiorstwo malowania mieszkań, istniejące dotychczas, cieszyło już wtedy wielkiém powodzeniem. Późniéj powstało tego rodzaju przedsiębiorstwo w Anglii, głośne po całéj Europie pod firmą „Pionierów Rochdalskich" które dorobiło się nawet znacznych kapitałów. Warunkiem jednak takiego stowarzyszenia było posiadanie przez robotników jakiegoś kapitału, któryby mógł dać środki rozpoczęcia przedsiębiorstwa, więc kombinacya tego rodzaju nie dawała się stosować powszechnie do całéj klasy roboczéj. Drugim zjawiskiem były *stowarzyszenia* pewnéj ilości robotników *jednego fachu* (trades-unions), którzy porozumiewali się bliżéj pomiędzy sobą co do interesów im wspólnych, opłacali składki, pomagali sobie wzajemnie, i w tém połączeniu nabierali pewnéj siły opierania się wymaganiom przedsiębiorców, czyli jak ich dziś nazywają pracodawców, a przez to mogli na nich wymódz korzystniejsze dla siebie warunki.

Jeszcze przed rewolucyą r. 1848 Ludwik Blanc posunął o krok naprzód doktrynę socyalizmu spisując swój projekt „Organizacyi pracy."

Ekonomiści szkoły Szmitha i Rikardo twierdzili, że praca jedynie wytwarza wartość, dla nadania zaś jéj jak największéj energii i siły natężenia widzieli konieczność dopuszczenia pomiędzy pracującymi nieograniczonego, zupełnie swobodnego spółzawodnictwa;

rządy europejskie skłaniały się ku tym teoryom i wiele prawodawstw uznało wolną konkurencyą w handlu i przemyśle. Blanc dowodził, że spółzawodnictwo zupełnie swobodne musi koniecznie dać przewagę silniejszemu tj. bogatszemu, że zatém słabszych, uboższych tj. wyrobników spycha ono w coraz gorszą nędzę i rodzi coraz liczniejszy proletaryat. Tymczasem robotnikowi, który wytwarza wartość i mnoży bogactwo narodowe, należy się w społeczeństwie stanowisko lepsze aniżeli to, jakie mu obecnie zapewnia jego zarobek. Rząd jest najbogatszym właścicielem w kraju, rozporządza milionowym budżetem, jeżeliby więc zeszedł w szranki spółzawodnictwa handlowego i przemysłowego, niezawodnie odniósłby tam zwycięstwo nad wszystkimi prywatnymi kapitalistami. Niech więc rząd udzieli współce robotników kapitału potrzebnego na urządzenie fabryki, zakupienie narzędzi i materyałów, oni w takim razie, opłacając niewielki procent na umorzenie kapitału, resztą zysków mogliby dzielić się pomiędzy sobą, a oparci na finansowéj potędze rządu zwyciężą kapitał prywatny i w ten sposób konkurencya, główne źródło nędzy i cierpień ludzkich, zniknie ze świata. W téj epoce nowéj ogólnéj harmonii, zapewne jedne niebezpieczeństwo mogłoby jeszcze grozić ludziom oswobodzonym od obawy aby ich kto nie prześcignął w pracowitości i przemyślności, bo pozbawieni tego najsilniejszego bodźca do pracy i wysiłku, który nazywamy interesem osobistym, możeby nie bardzo chcieli pracować i trudzić się całe życie. Niebezpieczeństwo to L. Blanc widział, ale wskazywał na nie środek, wedle niego niezawodny; oto ażeby rząd kierując wychowaniem nowych pokoleń wpoił w nie miłość dobra publicznego, wtedy dobro publiczne stanie się dla każdego naturalnym celem życia, przedmiotem zabiegów, usiłowań i dążności ludzkich, a takie zasady wszczepione w naturę ludzką przez wychowanie będą niewątpliwie silniejszym bodźcem do pracy aniżeli pobudki interesu i egoizmu.

Projekt ułożony w ten sposób przez L. Blanc'a, jest dotąd ostatnim słowem socyalizmu organicznego. Nauka i agitacya socyalna przeniosłszy się na ziemię niemiecką, rozrosły się do niewidzianych przedtém rozmiarów, rozwinęły bez porównania silniejszą, ostrzejszą i głębszą krytykę obecnych stosunków społecznych, wyrzekły się niby marzeń ideologów francuskich i trzymają się jakoby metody pozytywnéj; ale w projektach organizacyi nie postawiły dotąd ani jednego kroku naprzód. Cała agitacya Lassala była osnuta na myśli zapożyczonéj od L. Blanc'a, a cała krytyka Marxa doprowadza do obietnicy że: z natury rzeczy, z historycznego, logicznego i organicznego rozwoju społeczeństw ludzkich wypada: iż prawo własności pry-

watnéj musi się rozpłynąć i przejść w formę własności ogólnéj państwa przyszłości.

Ponieważ samą podstawą socyalizmu jest akcya rządowa na polu ekonomiczném, więc sprawy socyalizmu mięszać się ciągle muszą z politycznemi, i mimowoli będziemy musieli co chwila dotykać kierunków politycznych. Teorye uczonych zarówno jak usiłowania agitatorów muszą tu przybierać barwę polityczną, szczególnie w krajach, w których społeczeństwo ma mniéj znaczny udział w administracyi i prawodawstwie. Radykaliści socyalizmu, np. uczniowie i zwolennicy Marxa, przypisują wprawdzie opisywanemu przez siebie procesowi ewolucyi ekonomicznéj, znaczenie i siłę prawa natury, działającego ślepo, jako siła elementarna, pomimo woli i wiedzy ludzi; dodają jednak, że zadaniem ludzi prawdziwie mądrych jest, dopomagać temu działaniu natury, obmyślać środki ulżenia trudnemu porodowi przekształceń społecznych. Nadaje to ich słowom w oczach gminu jakby namaszczenie jakieś religijne; opowiadając prostaczkom o tajemnicach swojéj historyozofii, budzą w nich dla swych dogmatów wiarę fanatyczną, i ruchowi mas nadają charakter jakiegoś namiętnego, jakby na religijnych motywach opartego działania; kto bowiem podejmuje się dopomagać koniecznym prawom rozwoju ludzkości, chce współdziałać z prawami natury, może wierzyć, że działa zgodnie z wolą istoty najwyższéj.

Tezy takiego rodzaju jak—zniesienie prawa własności, rozwiązanie związku rodziny, a chociażby usunięcie prawa dziedziczenia lub dostarczenie wyrobnikom darmo narzędzi do pracy i materyałów do obrabiania,—mogą być zapewne bronione w dobréj wierze przez ludzi zatopionych w abstrakcyach, widzących w analizie najwyższy szczebel mądrości, dla których sofizmat za prawdę uchodzić będzie skoro da się uzasadnić wedle prawideł logiki formalnéj, a przypada gładko do dyalektycznéj metody filozofowania. Na seryo mogą się téż obałamucić nimi ludzie na wpół wykształceni, którym można wmówić że zrozumieli jaką zasadę, a wtedy trzymają się jéj ślepo i bezwarunkowo, bo ją uważają za swój skarb duchowy. Ale trudno przypuścić aby ludzie prości, rządzący się zdrowym rozsądkiem, ażeby ludność wiejska, a nawet proletaryat fabryczny uwierzył, że ziemia może nie należéć do nikogo, fabryka nie być czyjąś własnością, że machina nie należy do fabrykanta, albo żeby materyał obrabiany nie musiał być od kogoś wzięty i opłacony. Wszyscy zaś oni mogą łatwo chcieć, a nawet gorąco żądać, ażeby te wszystkie rzeczy były *im* oddane i stanowiły *ich* własność, skoro się im do tego wskazują drogi niby możebne, i zapewnia się ich, że biorąc to w swe używanie dopomagają tylko koniecznym prawom natury. Dogmata zasadnicze

socyalizmu nie są zwykle objaśniane ani tłómaczone, ale poprostu jako artykuły wiary narzucane. Żeby zaś ludzi pogrążonych w ciężkiéj pracy wyrwać z otaczającéj ich atmosfery realnéj i przenieść w sam środek mgławicy wysnutéj z fantazyi mistrzów, przesuwają im przed oczami obrazy lepszéj przyszłości, poprawy ich bytu materyalnego i warunków życia, przyrzekają ziszczenie tego wszystkiego, skoro zasady nowéj wiary uznane zostaną za prawo obowiązujące. Dla osiągnienia tyle pożądanego rezultatu trzeba usiłować i pracować nad tém ażeby oni, co znaczy ich przywódcy, dostali się do władzy, brali czynny udział w rządzie, a nawet sami wyłącznie rządy państwa sprawowali. Dokazać tego mogą jedynie organizując się w grupy najściślejszą solidarnością z sobą związane i utrzymywane w należytéj karności. Otóż i pole otwarte do agitacyi politycznéj.

Tocqueville powiada że lud francuski w końcu ośmnastego wieku coraz żywiéj odczuwał ciężar swéj pozycyi w miarę jak się ona poprawiała; w historyi, dodaje on, widzimy dużo podobnych przykładów, nieraz naród, który zdawał się nie czuć zgoła ucisku praw niesprawiedliwych, znosił je cierpliwie i bez skargi, odrzuca je ruchem gwałtownym skoro ciężar ich zmniejszać się zaczyna. Zło wszelakie, znoszone cierpliwie póki zdaje się być nieuniknionem, staje się nieznośném jak tylko dostrzeżemy możność uwolnienia się od niego, cierpienie się zmniejsza ale zarazém potęguje się czułość. Gorzéj jeszcze wrażliwym zrobi się człowiek, który doznał w swym losie ulgi chwilowéj, zasmakował w lepszym bycie, i nanowo musi wracać do niedostatku. A wszakże zmienne losy wielkiego przemysłu stawią nieraz ludność wyrobniczą w téj smutnéj pozycyi i to właśnie stanowi całe niebezpieczeństwo dla spokoju społecznego dzisiejszéj kwestyi robotniczéj. Jeden z najsympatyczniejszych filozofów spółczesnych F. A. Lange dopatruje powodów tego usposobienia w samych popędach serca ludzkiego, w nieodmiennych prawach naturalnego rozwoju ludzi i społeczeństwa. Pozwolimy sobie powtórzyć kilka myśli jego, gdyż one malują jasno powody niepokoju jaki dzisiaj zdaje się ogarniać cały świat cywilizowany.

„W naturze organicznéj, powiada Lange (1), bezpośrednim wyrazem walki o byt jest ubieganie się o miejsce korzystniejsze. Rośliny i zwierzęta jednakże walczą tylko o przyswojenie sobie miejsca cieplejszego, wilgotniejszego lub lepiéj ochronionego; człowiek zaś wy-

(1) Die Arbeiterfrage. Ihre Bedeutung für Gegenwart und Zukunft. Winterthür 1875 str. 46—48.

tworzył w życiu społecznem tak ogromną ilość stopniowań, tak wielką liczbę stanowisk korzystniejszych, że musimy w tém uznać działanie szczególnych, jemu tylko właściwych popędów. Nikt nie zaprzeczy, że w téj tak bogato rozwiniętéj organizacyi życia społecznego przejawia się wyższa natura człowieka, jednakże w niezmiernem stopniowaniu dobrobytu, wiążącym się z tą [organizacyą, leży téż i zło, a leżéć będzie dopóty, dopóki wielka masa ludzi musi dźwigać na sobie cały ciężar zabiegów około utrzymania życia fizycznego, a uprzywilejowana mniejszość jedynie dochodzi do pełnego rozwoju duchowego. Przyczyną i pierwotną zasadą walki o byt w naturze organicznéj jest wytwarzanie się ciągle, i to w niezmiernie wielkich ilościach, zarodków życia, z pomiędzy których znaczna większość koniecznie ulegać musi zniszczeniu. Łatwo dopatrzyć w życiu społecznem działanie odpowiedniego prawa, rządzi ono przymiotami służącémi osobnikom do zdobycia sobie i zachowania stanowiska korzystniejszego; zarodki uzdolnienia i zarodki żądzy do zajmowania stanowisk wyższych, przewodnich, rozsiane są w masach ludzi; a ogromną ich większość już sama natura skazuje na zanikanie i zniszczenie. Natura niedba oto iż to zanikanie człowiek *czuje*, że nosi on w sercu świadomość boleśną rozwijania się w sobie *jedynie tylko* uzdolnień niższego rzędu, kiedy wyższe przymioty mogłyby go powołać do działalności znacznie szerszéj, która przed nim pozostaje zamkniętą na zawsze. Tym siłom wybijającym się ustawicznie na wierzch, ciężar powszedniéj walki o byt stawi opór stały. Gdyby nie troska o byt materyalny, w każdym człowieku mogłyby się rozwijać w swéj pełni przymioty najszlachetniejsze, odpowiednio do zasobu siły jaką w sobie nosi. Szlachetniejsze popędy ludzkie dążą zwykle do rozwijania się harmonijnego dopomagając w tém sobie wzajemnie, tylko konieczność roboty pospolitéj utrzymuje je wszystkie pod ciągłém ciśnieniem, i to tém silniejszém, im bardziéj całość sił musi się zużywać na samo utrzymanie bytu materyalnego. Ciśnieniu temu ustawicznie przeciwdziała pewien odpór, niech w skutek jakichbądź okoliczności ciśnienie się zmniejszy, natychmiast strzelają w górę w niewidzianéj obfitości postacie nowe, prześcigające częstokroć w zasługach tych, którzy im przewodniczyli... Niechże nacisk się zwiększy, a najwspanialsze talenta karłowacieją i to z pełną świadomością swego upadku..."

Uwagi te głębokiego myśliciela, wskazujące genezę niepokojów społecznych, w saméj naturze człowieka pragnącego *zawsze* dla *siebie* czegoś lepszego, nie tłómaczą jeszcze dla czego za dni naszych niezadowolnienie to żywszem jest bodaj, a przynajmniéj daleko ruchliwszém i wyraźniejszém niż kiedykolwiek, na to musimy jeszcze poszu-

kać objaśnienia w wypadkach historycznych; działających na ludzi bezpośrednio w epoce dzisiejszéj.

Wszyscy powtarzaliśmy nieraz że żyjemy w epoce przejścia, bo rzeczywiście stare porządki zdają się wszędzie rozpadać, przechodzimy więc do nowych, które się jeszcze nie dość wyraźnie w umysłach ludzkich zarysowują. Główne cechy czasów naszych stanowią: częstsze niż dawniéj zmiany w stanowiskach społecznych ludzi, coraz szybsze rozwijanie się nauk, a w skutek tego coraz nowe zmiany w pojęciach, co wszystko oznaczać musi, że się w koło nas zmienia porządek społeczny i że żyć musimy w niepewności i wątpliwościach póki się sprawy ludzkie wedle nowych pojęć nie ułożą w ład trwalszy, w szyk prawidłowszy. A jak dawniéj wielkie odkrycia naukowe kompasu, prochu strzelniczego, druku poprzedziły epokę renesansu i reformacyi i rozpoczęły przekształcenie systematu feudalnego, dając możność panującym obchodzić się bez potężnych a niebezpiecznych swych wasalów, tak samo czasy nasze poprzedza wynalazek machiny parowéj, przychodzą mu w pomoc udoskonalenia w matematyce, dające możność urządzenia niezliczonéj ilości przyrządów mechanicznych, potęgujących wydajność pracy ludzkiéj i ruchliwość człowieka. Pod wpływem tych faktów przekształca się przemysł i odkrywa nowe drogi, nowe sposoby zaspokajania potrzeb ludzkich. Jednocześnie z machiną parową powstaje nauka Ekonomii politycznéj czyli gospodarstwa społecznego, podaje ona zasady nowe i w imię zwiększenia bogactwa narodów, w celu dostarczania ludziom większéj ilości środków do opędzania potrzeb, domaga się swobodnego spółzawodnictwa w przemyśle i handlu, zniesienia wszelkich przywilejów, mogących wpływać na stosunki gospodarskie i oddziaływać na podział wytworzonych wartości pomiędzy czynnikami produkcyi; domaga się zarazem ażeby władze państwowe nie mięszały się zgoła do spraw przemysłu i pozostawiały je wyłącznemu kierunkowi osobistego interesu każdego człowieka. Filozofowie wieku 18-go przeprowadzają przewrót radykalny w pojęciach ludzkich, uczą że ludzie na mocy prawa naturalnego są równi pomiędzy sobą i muszą być wolni, głoszona przez nich doktryna, podbudzająca wszystkie najszlachetniejsze uczucia i popędy człowieka, łatwo znalazła wiarę wśród mas ludowych, w przewrotach zaś rewolucyi francuskiéj stała się ona podstawą prawa publicznego i zbiegiem czasu, jako zasada równości przed prawem, przeszła w prawo obowiązujące prawie u wszystkich narodów Europy, tak że dzisiaj wpływ jéj odbija się w każdym akcie prawodawczym.

Tak więc w ciągu ostatnich lat stu w Europie powołane zostały do życia nowe siły fizyczne i moralne, działają one bez przerwy

na stosunki ludzkie i wywołują wielką obfitość komplikacyj nieznanych dawniéj. Wszystkie zabytki porządku feudalnego, które przechowywały się tak długo pod skrzydłem państw nowożytnych, idą obecnie na zupełne zatracenie: poddaństwo ludu pracującego na roli nigdzie już w Europie nie istnieje, swoboda przesiedlania się uznana niedawno temu w Niemczech i we Włoszech, w Anglii i we Francyi istnieje oddawna, udoskonalone środki komunikacyi ułatwiają korzystanie z téj swobody, praca rzemieślnicza i fabryczna wyzwolona z pęt, które ją w dawniejszych cechach zaciskały, miasta i wsie porównane w prawach i obowiązkach, sądy wszystkim jednostajnie obowiązane są wymierzać sprawiedliwość. Wśród tych zmian zaginęły całkowicie przyczyny dawniejszéj przewagi społecznéj i politycznéj wielkich właścicieli ziemskich, ogromne majątki duchowieństwa prawie wszędzie przeszły na własność skarbu, co odjęło duchowieństwu znaczenie klasy społecznéj opierającéj się na środkach materyalnych. Wzbogacone wspaniałym rozwojem wielkiego przemysłu—mieszczaństwo, stanęło do spółzawodnictwa o wpływ społeczny i władzę polityczną z potomkami dawnych rycerzy i następcami biskupów i opatów; we Francyi odniosło ono zwycięstwo zupełne, w Anglii siły ich równoważą się, w Niemczech od roku 1866 i 1870 dopiéro rozpoczęła się na seryo walka na arenie życia publicznego. Po wsiach, pracowity lud rolniczy, w większéj części Europy, ma sobie zapewnioną własność gruntów na których pracuje. Prawo własności, wśród tych wszystkich przewrotów pozbyło się rozmaitych ścieśnień i ograniczeń, jakim dawniéj ulegało, stało się bodaj więcéj jeszcze absolutném, nazywa się dzisiaj świętém i nienaruszalném, uważane jest za zasadniczą podstawę porządku społecznego, na któréj oparte stosunki swobodnie już kształtować się mają.

Tymczasem przemysł wielki, wspierany siłą pary i ciągle doskonalonémi narzędziami, wyrabia coraz łatwiéj coraz większe ilości rzeczy potrzebnych ludziom; dla dokazania tego skupiać on musi większą liczbę ludzi koło swych fabryk, które grupują się w miejscach dla fabrykacyi dogodniejszych. Ludzie ci, robotnicy, we wszystkich gałęziach przemysłu, pod względem ekonomicznym znajdują się w położeniu zupełnie jednostajném; za robotę swoję pobierają oni pewną, umówioną z góry opłatę, zwaną *zarobkiem* (salaire, Lohn; wages), który jest ich jedynym dochodem, jedynym dla nich środkiem wyżywienia siebie i swych rodzin. Zarobek w fabrykach musi być naturalnie większy aniżeli opłata robót polowych wiejskich, bo inaczéj wieś, ten rozsadnik ludności zdrowéj i silnéj, nie wysyłałaby synów swoich do miast dusznych i do zakopconych warsztatów fabrycznych; przemysłowcy więc dając ludziom możność zara-

biania więcéj, mają prawo uważać siebie za czynnik w społeczeństwie arcy pożyteczny.

Przemysł wielki, który tak obficie mnoży wyroby, otoczony jest mnóstwem niebezpieczeństw. Rzemieślnik dawniejszy pracujący z kilku czeladnikami przy małym warsztacie, czekał zwykle zamówienia wyrobu, którego zbyt był dlań przeto zawsze zabezpieczony. Fabryka, z kosztownemi machinami, ze znacznym kapitałem stale uwięzionym w samém urządzeniu, nie może czekać zamówień, musi pracować ciągle, i wyrabiać swój produkt na zapas, właściciel jéj zmuszony jest brać na siebie szanse odbytu a zatém zysku lub strat. Powodzenie zależéć tu będzie głównie od bystrości spostrzegawczéj i talentów kupieckich fabrykanta; do umieszczenia swego produktu ma on otwarty przed sobą niemal świat cały, ale też odpowiednio do tego ogromu powikłanych stosunków handlowych, musi umiéć obejmować myślą mnóstwo najróżnorodniejszych kombinacyj. Przy wielkim rozszerzeniu rynku zachodzić koniecznie muszą okoliczności nieprzewidziane, a to tém pewniéj, że wskutek saméj łatwości zmiany miejsca, znaczna liczba ludzi jest w ustawicznym ruchu; nowe potrzeby, nowe pragnienia bardzo naturalnie rodzić się między nimi będą, o nawyknieniach wczorajszych na które liczył fabrykant mogą zapomniéć jutro, w takim razie wyroby bez nabywców nie będą miały ceny, stracą wartość w jego składach. Każdy też przedsiębiorca, wstępujący na nowo w szranki współzawodnictwa przemysłowego, pobudzony gorącą żądzą zysku, ufny w swoje siły, spodziewa się, że potrafi lepiéj od innych zrobić jakiś wyrób, potrafi sprzedać go korzystniéj, gdy zaś konkurować musi nietylko z sąsiednią fabryką, ale i z odległémi krajami, łatwo zdarzać się może, że pewnego wyrobu znajdzie się zbyt dużo i że znaczna jego ilość nie będzie na razie sprzedaną. Owóż podobne zawody często spotykają fabrykantów, i pomimo zbyt rozsławionéj świetności ich powodzeń finansowych, wielu z pomiędzy nich nie rzadko spotykają się ze stratami. Szanse zysków i strat stanowią ryzyko przedsiębiorców, do którego dzisiaj przywiązywać muszą ogromne znaczenie i na pokrycie którego zwykle odliczają znaczne części swoich zysków. Płacąc robotnikom pewną stałą cenę za robotę, uwalniają ich od tego ryzyka i biorą je w całości na swój rachunek, mogą więc uważać ten stosunek za bardzo wygodny dla robotników, ponieważ, jak twierdzą, uwalniają ich całkowicie od niekorzystnych szans niepowodzenia przedsiębiorstwa.

Twierdzenie to ekonomiczne, tak słuszne w teoretycznem swém uzasadnieniu, nie zawsze jednak zgodne jest z rzeczywistością. Skoro bowiem wskutek nagromadzenia się towaru, braku nabywców lub braku gotówki na targu, nastają przesilenia przemysłowe, handlowe

czy finansowe prowadzące za sobą straty znaczniejsze, fabrykant musi wyrabiać mniéj; a więc albo odprawić pewną ilość robotników, albo od każdego z nich brać mniejszą ilość roboty dziennie, dla robotnika wyraża się to zmniejszeniem zarobku, albo i zupełném jego ustaniem. Zatém wyrobnik, chociaż nie na równi z przedsiębiorcą, ulega jednak szansom obrotów przemysłowo-handlowych, a jeżeli się one przeciw niemu obrócą, nastaje ów dzień straszny, w którym przy rozrachunku nie odbiera kwoty pieniędzy potrzebnéj na utrzymanie rodziny, albo co gorzéj dowiaduje się że nadal robota jego niepotrzebna, pozostaje więc bez chleba, a wyrzucony z najmowanego a nie opłaconego mieszkania i bez dachu, nazywa się to bezrobociem, a jest—głodem. Zapewne, że nie należy w obrazach fantastycznych przesadzać tych klęsk boleśnych, ani ich składać wyłącznie na winę przemysłu; wszakże nieurodzaj, pożar, powódź mogą pomiędzy robotnikami wiejskiémi sprowadzić nieszczęścia podobne, różnica okaże się w tém głównie że ludność wiejska, rozsiedlona po kraju szerzéj na większych przestrzeniach, miejscami tylko i w niewielkiéj liczbie na raz może ulegać klęskom elementarnym, podczas gdy ludność fabryczna, skupiona w gęsto zasiedlonych ogniskach ruchu przemysłowego, może w znacznéj masie jednocześnie znaleść się w położeniu bardzo ciężkiém. Nawyknienie do niedostatku, cierpliwość, rezygnacya rozwinięte są w znaczniejszym stopniu wśród ludności wiejskiéj; ludzie zebrani w liczną gromadę łatwiéj ulegają popędom gwałtownym, wśród mas namiętności wybuchają silniéj; zresztą na wsi bieda wynika z przyczyn widomych, z działania siły większéj, z woli bożéj—jak powiadają,—tutaj zaś nieszczęście zwykle spada zupełnie niespodzianie, fabrykant nie daje roboty, odmawia zarobku, jest na kogo złożyć winę swego cierpienia. Nie zapominajmy obok tego, że ludność fabryczna bliżéj się styka z wyższą cywilizacyą, z dostatkiem, ze zbytkiem,—słyszała nie raz i sama rozprawiać umie o wolności, o równości, o prawach swoich; ci zaś zpomiędzy wyrobników, którzy są rzeczywiście więcéj oświeceni tém żywiéj, tém dotkliwiéj mogą uczuć bolesny cios losu, który ich spotyka bez żadnéj winy z ich strony.

Wszystko to wyjaśnia dostatecznie, dla czego ludność wyrobnicza tak łatwo daje posłuch apostołom nauki socyalizmu, dla czego kwestya robotnicza w Europie zachodniéj i środkowéj nabiera coraz to przeważniejszego znaczenia, budzi niepokój i trwogę we wszystkich warstwach, grupach i partyach składających narody. A chociaż nad wyjaśnieniem i uproszczeniem jéj pracują statyści i filozofowie, prawodawcy i filantropi, pomimo to zagłusza ich mowy a często udaremnia prace, głos od nich silniejszy, wołanie donośne rozmai-

tych reformatorów społecznych, którzy obiecują kwestyą rozwiązać, załatwić za pomocą formuł komunizmu i urządzeń socyalnych. Doktryny te bez trudności opanowują umysły i zapalają serca całych mas ludzi nagromadzonych w miejscowościach fabrycznych, bo obiecują im pewność stałego i znacznie wyższego niż dzisiaj zarobku, a zarazem krótszą i lżejszą robotę, dodając do tego widoki: wpływu przeważnego na sprawy publiczne i władzy stanowienia o losach całego narodu, wszystko pod jednym warunkiem—aby apostoła uznali za swego naczelnego wodza, zobowiązali się być mu posłusznymi, i nigdy w żadnym wypadku go nie opuścili.

II.

Pan L. Bamberger, krytykując urządzenia stowarzyszeń rzemieślniczych, dowcipną robi uwagę, że kwestye społeczne w Europie zwykle rozwijają się tak: Anglik, przedewszystkiém myślący o sobie, przeprowadza jakiekolwiek urządzenie dogodne dla pewnéj grupy ludzi, organizuje takowe praktycznie i okazuje się ono korzystném; Francuz czuje się powołanym do pracowania dla dobra ludzkości, dostrzegłszy więc urządzenie angielskie opisuje je szczegółowo, idealizuje jego znaczenie i przypisuje mu własności nadmierne uszczęśliwiania ludzi; Niemiec wówczas dopatrzy w tém zasadę, rozmiłuje się w niéj, obrabia ją analitycznie, krytycznie i metodycznie, rozczłonkuje i rozgatunkuje, z umysłu jego wychodzi już ona jako prawo historycznego rozwoju, albo nawet jako prawo natury, działające na świat cały pomimo woli ludzkiéj. P. Bamberger zapewne nie uważa siebie za filozofa, zanadto się oddaje interesom praktycznym, ażeby poglądy jego w psychologii narodów miały być przyjmowane za prawdy absolutne; do pojęć i zasad komunizmu nie dadzą się one zastosować, bo komunizm na ziemi angielskiéj dotąd przynajmniéj najmniéj zdaje się plenić; ale obserwacya ta powierzchowna, w wielu wypadkach oddzielnych może się okazać prawdziwą. Jakkolwiek zresztą rzecz stoi ze zdolnością ducha niemieckiego do wynalazków, zaprzeczyć nie można, że przy każdym zwrocie myśli ludzkich, narodowi niemieckiemu nigdy nie zabrakło gwiazd pierwszorzędnéj wielkości, które przed nim nowe drogi rozświecały a nawet usuwając przeszkody torowały ścieżki do osiągnięcia praktycznych korzyści, w dobrym czy w złym kierunku doprowadzały zawsze do wielkich rezultatów. Fryderyk II podjął się udoskonalenia systematu równowagi europejskiéj i zrobił z Prus przeciwwagę Austryi,—Goethe i Szyller zaszczepili w serca niemieckie miłość poezyi, Kant i Hegel z metafizyki zrobili narodową niemal naukę, a dzisiaj

kiedy kierunek realistyczny zdaje się brać górę, Niemcy mają ks. Bismarka z jego polityką ultra realną, mają téż Karola Marxa niewyczerpanego w zarzutach przeciw obecnemu porządkowi społecznemu, wynalazcę metody konspiracyi otwartéj i głośnéj, uczącego jak należy na korzyść jéj obracać wszystkie udoskonalone środki, którémi nas obdarzyła cywilizacya; usiłującego przekształcić samę konspiracyą, z rzemiosła o kilkunastu czeladnikach, na wielką fabrykę produkującą towar rewolucyjny na zapas, korzystającą zarówno z wynalazków nauki, jak i ze wszelkich konjunktur wszechświatowego obrotu interesów przemysłowych, handlowych i politycznych.

Podczas gdy we Francyi za rządów Ludwika Filipa socyalizm rozkwitał bujnie, krzewiąc się w coraz nowe utopije wedle przepisów Fouriera, Cabeta, Piotra Leroux lub Proudhona, na ziemi niemieckiéj było zupełnie cicho. Tam pod patronatem ks. Metternicha w życiu polityczném panowała reakcya przeciw liberalizmowi przedzierającemu się z Francyi, a w sferze naukowéj wszystkie umysły były zajęte rozwijaniem i przekształcaniem metafizyki Hegla. W mniejszych tylko państwach niemieckich, w południowo zachodnich stronach i w niektórych uniwersytetach zaczynały się odzywać głosy swobodniejsze, przemawiające za udziałem ludu w rządach państwa, nie wychodziły one z granic bardzo skromnego liberalizmu i zamykały się w grubych księgach uczonych, nosząc charakter więcéj filozoficzny aniżeli polityczny. W Paryżu za to około r. 1836 słychać już o jakimś stowarzyszeniu komunistycznem, pomiędzy zamieszkałymi tam robotnikami niemieckimi, którym w r. 1839 wskutek emety i nieporządków ulicznych kazano opuścić Francyą; przenieśli się oni do Londynu i stamtąd starali się zawiązywać stosunki z wyrobnikami w Niemczech i w całéj Europie. W tymże czasie w Szwajcaryi było kilku rzemieślników niemieckich usiłujących prowadzić propagandę komunizmu. Pomiędzy uczonymi niemieckimi, którzy, na wychodztwie, wyznawali głośno najskrajniejsze teorye polityczne, wtedy jeszcze wcale nie było sympatyi dla komunizmu francuzkiego, lękali się oni — jak powiadał Ruge — ażeby zapał do kwestyi socyalnéj nie oziębił umysłów dla spraw politycznych, o które im przedewszystkiém chodziło. W r. 1840 wstąpił na tron pruski Fryderyk Wilhelm IV, lubił on towarzystwo ludzi uczonych, miał z nimi stosunki stałe, wysłuchiwał ich opinij w kwestyach często bardzo drażliwych. Wzrosły pod wpływem romantyzmu, lubował się w stosunkach średniowiecznych, w patryarchalnych formach państwowych; a chociaż był przeciwnikiem wszelkiego parlamentaryzmu i liberalizmu nowoczesnego, jednakże pod jego kierownictwem znacznie osłabło naprężenie akcyi urzędowéj militarno-biurokratycz-

néj; inteligencya całych Niemiec, wzdychająca do swobodniejszych warunków życia publicznego, zwróciła oczy na Prusy, gdzie od tronu zdawał się powiewać jakiś wietrzyk orzeźwiający.

W Kolonii nad Renem zgromadziło się kółko młodo-hegelianów, stanowiące jakby partyą ruchu pomiędzy filozofami i rozpoczęło tam wydawnictwo gazety *Rheinische Zeitung*. Wśród tego kółka odznaczył się prędko Karol Marx, dwadzieścia parę lat wówczas liczący syn ochrzczonego żyda, wysokiego urzędnika z Trewiru; studyował on prawo i filozofiją w Berlinie i w Bonn, przejął się cały ideami Hegla i zajął stanowisko wśród najskrajniejszéj lewicy szkoły heglowskiéj, w któréj Feuerbach idealizm i panteizm mistrza przekształcił był na materyalizm ateistyczny; odrzucając pojęcie absolutu, zaprzeczając istnieniu rozumu transcendentalnego i twierdząc, że na świecie istnieje jedynie człowiek konkretny, z ciała i kości, taki jakiego codziennie wszędzie widzimy, ten człowiek czuje i myśli, dlatego więc wszystko co na świecie istnieje – istnieje dla niego, a co się dzieje— dzieje się przez niego. Marx pisywał w Rheinische Zeitung i zaraz wykazał tak wielki talent pisarski i takie uzdolnienie do analizy i krytyki, że w r. 1842 poruczono mu naczelne redaktorstwo gazety. Pomimo stosunków w wysokich sferach urzędowych, bo ożenił się z panną Westphalen, siostrą późniejszego ministra pruskiego, stanął odrazu w opozycyi z rządem, a umiał ją prowadzić tak mądrze, iż po paru miesiącach musiano przysłać z Berlina osobnego cenzora do kontrolowania jego gazety, niewiele to jednak pomogło i z końcem pierwszego kwartału r. 1843 zabroniono mu ją wydawać.

Krytyka czynności *landtagu* reńskiego zwróciła uwagę Marxa na kwestye gospodarskie, któremi przedtem wcale się nie zajmował, wyjechał więc do Paryża i tam oddał się studyom ekonomicznym, a zarazem badał ciekawie wielki ruch rewolucyjny francuski z końca przeszłego wieku. Studya ówczesne doprowadziły go do przekonania: że Hegel mylnie widział w państwie, jako związku politycznym, najwyższy szczebel rozwoju ludzkości, że ludzkość żywi się i cywilizuje pracą gospodarską, że zatém społeczność cywilna jest najważniejszym związkiem ludzkim, i że jéj kształtowanie się coraz doskonalsze jedynie może doprowadzić ludzi do stanu odpowiadającego ich przeznaczeniu. Probował wydawać w Paryżu Rocznik niemiecko-francuski, potém założył gazetę *Vorwärts*, w niéj to, a zarówno w innych dostępnych sobie pismach prowadził daléj wojnę z rządem pruskim, tak gwałtowną, że w r. 1845 na żądanie ambasady pruskiéj został wydalony z Francyi. Osiedlił się wtedy w Brukselli i starał się zawiązywać stosunki z wyrobnikami, a w r. 1847 wydał w języku francuskim poważne dzieło krytyki ekonomicznéj „Misère



de la philosophie" — jako odpowiedź na tak głośne wówczas dzieło Proudhona „Philosophie de la Misère." W książce téj powstaje on przeciwko prudonowskiéj mięszaninie komunizmu francuskiego z ekonomią angielską i filozofią niemiecką, uważanéj wtedy pomiędzy socyalistami za największą mądrość i dowodzi: że sprawę swą mogą oprzéć jedynie na badaniu naukowém gospodarskiéj budowy społeczeństwa, że rezultata tych badań należy wykładać popularnie, bynajmniéj nie w celu budowania systematów fantastycznych, ale dla rozbudzenia pomiędzy wyrobnikami, a zarazem i wśród innych klas, świadomości tego udziału jaki oni biorą w historycznym procesie przekształcenia się społeczeństwa, odbywającym się ustawicznie i bez przerwy w obec całéj ludzkości.

Nowe to dzieło zwróciło na Marxa uwagę wszystkich ówczesnych socyalistów, owi zaś osiedli w Londynie od r. 1839 komuniści niemieccy, którzy już mieli szeroko rozgałęzione stosunki po całéj Europie, zażądali od niego aby się zajął ich sprawami i organizacyą. Zaraz więc, razem z drugim emigrantem niemieckim, najwierniejszym swym przyjacielem Engelsem, ułożyli manifest partyi komunistycznéj, który przed samą rewolucyą lutową paryską wydrukowany był w językach: angielskim, niemieckim, francuskim, włoskim, flamandzkim i duńskim i w ogromnéj ilości egzemplarzy rozesłany do wszystkich krajów. Pierwszy to program dzisiejszéj demokracyi socyalnéj wypowiedziany kategorycznie wobec świata; potępia on przewagę mieszczaństwa, jaskrawemi farbami maluje zależność i nędzę wyrobników, twierdzi, że przy dzisiejszym porządku społecznym los ich nigdy poprawić się nie da, że dążyć muszą ku obaleniu tego porządku, a ponieważ we wszystkich krajach położenie ich jest takie same, koniecznem więc jest dla nich solidarnie łączyć się z sobą i działać wspólnemi siłami, kończy się manifest taką brawadą: „Komuniści gardzą działaniem tajemném, niechcą ukrywać swych zasad ani zamiarów, wypowiadają więc głośno, że celu swego inaczéj dopiąć nie mogą jak siłą i gwałtem burząc dzisiejszy porządek społeczny. Niech drżą klasy panujące na myśl o rewolucyi komunistycznéj, proletaryusz może w niéj stracić tylko swe kajdany, świat zaś cały ma do zyskania. Proletaryusze wszystkich krajów jednoczcie się!"

Ruch r. 1848 rozproszył tę organizacyą. Marx z Brukselli wyjechał do Paryża, z tamtąd w ślad za rewolucyą przybył do Niemiec, od 1 czerwca zaczął wydawać w Kolonii „Neue Rheinische Zeitung," która była organem i duszą nadreńskiego ruchu rewolucyjnego, prowadził ją w tonie niezwykle ostrym, pomimo dwukrotnie wytoczonego sobie procesu, potrafił utrzymać ją aż do końca ruchów w Saksonii, Palatynacie i Badeńskiém, ostatni numer wyszedł 19 czerwca 1849 r. zapowiadając, że się ukaże na nowo skoro okoliczności się

zmienią. Marks wyjechał do Paryża, a ztamtąd przejechał do Londynu gdzie się ostatecznie osiedlił, czas jakiś jeszcze probował kierować propagandą komunizmu, ale przekonawszy się ostatecznie, że społeczeństwa historyczne nie straciły jeszcze siły żywotnéj, że mogą się bronić lepiéj aniżeli przypuszczał, że stronnictwo jego za słabe ażeby mogło podjąć walkę skuteczną, w r. 1852 rozwiązał ligę komunistów i oddał się wyłącznie badaniom nad procesem przemysłu nowoczesnego, w klasycznéj jego ziemi w Anglii, rzucał kiedy niekiedy w świat broszury treści politycznéj; w r. 1859 wydał w Berlinie poważne dzieło „Zur Kritik der politischen Ekonomie," ale o czynnościach jego agitacyjnych odtąd nie było słychać aż do r. 1864.

Ruchy rewolucyjne niemieckie z lat 1848 i 1849 wykazały, że demokracya niemiecka, któréj sztab składali ludzie o świetnych talentach, nie miała jednak armii do wykonywania planów sztabu; lud niedał się rozruszać, zgromadzenia reprezentantów w Berlinie i Frankfurcie nie mogły zaimponować rządom państw niemieckich, król Fryd. Wilhelm IV nie przyjął ofiarowanéj sobie przez rewolucyą korony cesarskiéj, wszystko więc wracało do dawnego porządku. Jeszcze w r. 1850 ze dworu berlińskiego wychodzą nowe plany reformy politycznéj związku niemieckiego, rozbijają się jednak o niechęć Austryi i pod koniec tego roku niema już śladu całéj téj zawieruchy. Wodzowie demokracyi usposobienia republikańskiego, a tembardziéj propagatorowie przekształceń społecznych, nietylko ustąpili z pola działania, ale zawiedzeni w swych nadziejach, a nie czując się bezpiecznymi w kraju, opuszczali go pośpiesznie i rozproszyli się po całéj Europie. Pojmowali oni rewolucyą nie—jako wybuch namiętności, nie—jako protest przeciwko nędzy lub bezprawiu, ale jako płód myśli filozofów wcielonéj w zastępy proletaryatu; smutne doświadczenie nauczyło ich że się myśl ta nie miała jeszcze w co wcielać, że proletaryatu usposobionego do przyjmowania ich natchnień nie mają na swe zawołanie; zasiedli więc, jak powiada jeden z krytyków angielskich, nad wodami Tamizy i Lemanu rozwodząc swe żale i wyczekując niecierpliwie narodzenia się téj nowéj siły; doskonalili przytém swe plany i przemyśliwali nad sposobami uprzystępnienia ich dla pojęć ludu.

Jednocześnie wewnątrz kraju ze zmianą okoliczności rozpoczęło się przekształcanie się wyobrażeń; ideały polityczne zbyt trudne do osiągnięcia zaczęły stopniowo usuwać się na plan drugi, naprzód wystąpiły interesa ekonomiczne, które w oczach publicystów codziennie zdawały się nabierać większego znaczenia; liberalizm polityczny zmuszony do milczenia, przedzierżgnął się w liberalizm ekonomiczny, teorye angielskie wolnego handlu zyskiwały coraz więcéj zwolenników, a wydatniejsi w narodzie ludzie zwracali swe usiłowa-

nia ku wywoływaniu i podsycaniu ruchu przemysłowego. W Prusach u steru rządu stanęło ministeryum Manteufla i przeprowadzało nowe urządzenie państwa, na zasadach konstytucyi, którą król jeszcze w grudniu 1848 r. nadał swym ludom. Izba reprezentantów narodu, wybieranych jakoś zawsze z pomiędzy urzędników koronnych, czynnie pomagała w tém ministrom; nie trudno było zasady w konstytucyi zapisane modyfikować wedle potrzeby, i z ośmioletniéj pracy wyszla dzisiejsza organizacya państwa pruskiego, koncentrująca zarząd kraju w ręku ministrów przez króla mianowanych i przed nim jedynie odpowiedzialnych; zwołują oni sejmy, które obradują nad przedłożonémi sobie projektami do praw, mogą takowe poprawiać, a nawet odrzucać, ale ministrowie znowu mogą wybierać podatki i ściągać do wojska popisowych chociażby sejm odmówił zatwierdzenia budżetu, byleby mu potém złożyli rachunki. Sejm obraduje w dwóch izbach, nie służy mu jednak prawo inicyatywy prawodawczéj, powiadano więc o nim, że służy do tego aby rządowi przeszkadzać a nie dopomagać, bo może projekt odrzucić, ale na jego miejsce drugiego od siebie postawić mu nie wolno. Swobody o których tak szeroko w r. 1848 rozprawiano, są w konstytucyi w pewnéj części zapisane, a nawet do pewnego stopnia są w całym kraju praktykowane, ale ministrowie mają możność ograniczania ich wedle swego rozumienia. Tak się rzeczy ciągnęły do roku 1858, kiedy wskutek choroby króla regencya została złożoną w ręce następcy tronu obecnie panującego Cesarza Wilhelma I.

Nowy regent nie sympatyzował z ministrami, więcéj jeszcze niemiłym mu był wypływający z natchnień pp. Stahla i Gerlacha i reprezentowany naczelnie przez „Gazetę Krzyżową" cały ówczesny kierunek reakcyjny, którego podrzędne organa nieraz pozwalały sobie występować przeciwko osobie księcia następcy tronu podejrzewanego o liberalizm. Ministrowie Manteufel i Westphalen zostali uwolnieni od obowiązków, a do rządu powołany jeden z ludzi roku 1848 hr. Shwerin z całym zastępem staro-liberalnego stronnictwa. Na nowo więc po całych niemczech przeciągnął powiew swobodniejszy, oczy wszystkich zwróciły się ku Prusom; teraz jednak po ośmiu latach medytacyi, w narodzie zdawała się brać górę żądza zjednoczenia kraju w jednę całość, nadzieje zarówno świata uczonego jak i politycznego obecnie już z Berlina wyglądały hasła do wielkiego czynu, licząc na to że zjednoczenie nastać może tylko na drodze rozszerzenia swobód konstytucyjnych do wszystkich państw i państewek.

Sejm pruski przestaje być izbą landratów, większość jego składają staro-liberalni a obok nich gromadzą się siły nowe, w tych czasach występują na scenę polityczną: Simson, Twesten, Lasker, Virchow, Löwe i wielu innych, wszyscy zaś razem przybierają nazwę

partyi postępu i stawią sobie za zadanie, akcyą powolną ale wytrwałą, przekształcić organizacyą rządu królestwa pruskiego na wzór parlamentarnéj monarchii angielskiéj. Ministrowie wprawdzie nie dopomagają im w tém czynnie, ale sympatyzują z nimi, na drodze administracyjnych rozporządzeń starają się łagodzić niektóre przynajmniéj przepisy prawa, prasa doznaje ulg znacznych, i prawo stowarzyszenia się, bez którego Niemcy nigdy się nie obchodzili, tłómaczone i stosowane bywa najliberalniéj. Opozycya przeciwko partyi postępu występuje w Izbie Panów, trzymającéj się ściśle natchnień gazety krzyżowéj; członkowie jéj mianowani za rządów Manteufla, nie chcą wierzyć w żadne liberalne innowacye, narażające wedle nich porządek społeczny i samę monarchią na niebezpieczeństwo; stary obyczaj i dawniejszy porządek, to dla nich jedyne rękojmie spokoju i potęgi państwa, usiłują więc przeszkadzać Izbie niższéj w dążeniach jéj do inicyatywy prawodawczéj, do corocznego wotowania budżetu, któryby bez ich przyzwolenia nie mógł być obowiązującym dla ludności.

Ścieranie się postępu z reakcyą łagodzi się znacznie stanowiskiem pośredniém zajmowaném przez ministrów, a bardziéj jeszcze może panującą już wszędzie myślą zjednoczenia Niemiec pod hegemonią Prus. Pod tym hasłem w r. 1859 powstaje z natchnienia br. v. Benigsen *National-Verein*, postępowcy zajmują w nim stanowiska wodzów, szerzą propagandę żywym słowem i na całéj przestrzeni Niemiec wywołują zawiązywanie najrozmaitszych *vereinów:* śpiewaków, strzelców, gimnastów i t. p. Opiekują się specyalniéj robotnikami fabrycznymi i rzemieślniczymi, którzy ze swéj strony pod patronatem Szulce-Delitzscha liczniéj niż dotąd organizują różnego rodzają stowarzyszenia ekonomiczne, jak: kasy oszczędności, pożyczkowe, wkładowo-zaliczkowe, spożywcze i inne; jednocześnie pomiędzy robotnikami powstaje wielka ilość stowarzyszeń w celu dalszego kształcenia się umysłowego, w których postępowcy urządzają odczyty objaśniające najrozmaitsze kwestye naukowe i polityczne. W ciągu lat kilku ożywiły się całe Niemcy, życie publiczne zaczynało bić silnym tętnem, propaganda zaś ówczesna była czysto polityczna, rozbudzony patryotyzm wielko-niemiecki, rozdmuchiwane sympatye dla Prus, dawały postępowcom nadzieję, że mając za sobą lud cały, potrafią uzyskać ustępstwa, które realną władzę polityczną przeniosą w ręce parlamentu.

Wśród utarczek łagodnych, wśród nieporozumień przyjacielskich pomiędzy parlamentem a rządem upłynęło lat parę, w r. 1861 umarł król Fryderyk Wilhelm IV, książę Wilhelm z regenta został królem i koronował się w Królewcu. Postępowcy ośmielili się i w lutym r. 1862 izba deputowanych uchwaliła prawo o *specyalizowaniu budżetu*. Ministrowie nie mieli wcale ochoty przyjmować na siebie

obowiązku ścieśniania się w rozporządzaniu sumami budżetowémi, konstytucya nie nakazywała im wcale stosować się do uchwały izby, chociaż przyjaźnie dla niéj usposobieni, uważali jednak, że ona zadaleko posuwa swe pretensye, oświadczyli więc królowi, że już się nie czują na siłach powstrzymywać dłużéj napór ciągle wzrastającéj opozycyi i prosili o uwolnienie od obowiązków.

Król przyjął ich prośbę i w marcu r. 1862 powołał na prezesa gabinetu hr. Bismarka v. Schönhausen, jednego z najenergiczniejszych bojowników konserwatyzmu, który dotychczas występował przeciwko wszelkim zachciankom liberalizmu i głośno wypowiadał poszanowanie dla istniejącego w Niemczech porządku politycznego; nominacya więc jego na prezesa ministrów była wypowiedzeniem wojny postępowcom i ich dążeniom. W parlamencie dyskusye prędko bardzo zaostrzyły się w coraz to zaciętsze spory, ani ministrowie ani izba nie ustępowali sobie na krok jeden; królowi szło głównie o reorganizacyą wojska, na którą izba nie chciała przystać; za każdą odmową rozwiązywano izbę, nakazywano nowe wybory, a popularni w kraju ludzie znowu wracali do nowéj izby, nastał konflikt władz państwowych, który się przeciągnął aż do roku 1866 i roztrzygnął go dopiéro na korzyść hr. Bismark tryumf pod Sadową.

Póki trwał spór, postępowcy coraz energiczniéj pracowali około szerzenia i ugruntowania wpływów swoich pomiędzy wyrobnikami, ażeby popularnością imponować ministrom, w tym celu zachęcali do zawiązywania coraz nowych stowarzyszeń. Ulubiona przed paru laty myśl zjednoczenia Niemiec pod wodzą Prus, po za granicami królestwa pruskiego stawała się mniéj popularną, energiczne środki jakich używał prezes ministrów ilustrowane wymową jego do zbytku realną, zdawały się osłabiać pokładane dawniéj na Prusach nadzieje, i w samym łonie National-fereinu zaczynał się przejawiać kierunek nazywany dzisiaj Wielko-niemieckim partykularystycznym, a który chciał połączone Niemcy usunąć z pod wpływu militaryzmu i biurokracyi stanowiących tradycyą monarchii pruskiéj.

Na tym tle tak bardzo ożywionéj agitacyi, któréj celem była przedewszystkiém emancypacya polityczna mieszczaństwa, dostarczającego głównie sił umysłowych i moralnych partyi postępu, rozwija się po raz piérwszy na ziemi niemieckiéj otwarcie i głośno propaganda socyalizmu. Podjął ją zaś na drodze agitacyi legalnéj, niepospolicie utalentowany młody izraelita Ferdynand Lassale, syn bogatego kupca z Wrocławia, prawnik i filozof, którego postępowcy odstręczyli od siebie, niedopuszczając go do swych szeregów i nie dając mu żadnego udziału w pracy swojéj około spraw publicznych.

A. Oskierka.

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

III.

W południowéj porze, sale Izby cywilno-kryminalnéj roiły się ludźmi. W przedpokoju przed długiémi jak świat wieszadłami, pełnemi futer i płaszczów stał lub przechadzał się barczysty, wąsaty, z ciemną twarzą i mocno zaczerwienionym nosem stróż Izby, Paweł Rębko. Z kroju i błyszczących guzików jego ubrania poznać można było, że był on dymisyonowanym żołnierzem a powaga jego kroków i wyniosłość spojrzeń, zdradzały pewną dumę jak téż i głębokie z zajmowanego stanowiska zadowolenie. Oczy miał dość pojętne i bystre a wchodzącym do przedpokoju Izby, przypatrywał się bacznie i ciekawie, ku jednym poskakując śpiesznie w celu zdjęcia z nich płaszczów a nawet i kaloszy, na innych spoglądając zdaleka, z powagą i sztywnie. Ci inni, byli to włościanie w żółtych kożuchach, żydzi w długich chałatach, zagrodowi szlachcice w szarych kapotach, grubością rąk i nieśmiałością ruchów okazujący małe oswojenie się z miastem i jego wielkościami. Ku tym wszystkim ludziom, Rębko nie myślał wcale poskakiwać ani nawet jakkolwiek zbliżać się ale oni sami, często zbliżali się do niego, zapytując o różne szczegóły miejsca i czasu, prosząc o różne objaśnienia. Na pytania te, Rębko nie tylko odpowiadał lecz i sam także z kolei rozpytywać się zaczynał: zkąd? dlaczego? po co? za jakiémi interesami? Gdy zaś otrzymał stosowne odpowiedzi udzielał rad, przestróg i rekomendacyi. Najczęściéj, rekomendował samego siebie, jako wielkiego znawcę prawa i bliską znajomością z różnymi dygnitarzami związanego, o czém słysząc, ludzie w kożuchach, siermięgach albo kapotach, z radością widoczną wygłaszać przed nim zaczynali sprawy i troski, z któremi do miasta i sądowego miejsca przybyli. Wtedy, z miną monarchy, ma-

jącego niesłychaną łaskę poddanym swym udzielić, Rębko przyrzekał im pomoc swoję i swoich znajomych, mówił im, gdzie mieszka i wskazywał godziny dnia, w których w domu bywa. Widocznie, był to w swoim rodzaju mąż prawa, werbujący tu klientów dla siebie przedewszystkiém a następnie dla tych z pomiędzy adwokatów miasta X, którzy wciśniętą mu w rękę monetą, zapisywali się w jego pamięci.

Kiedy Kaplicki i Ławicz weszli do przedpokoju Izby, Rębko nader uprzejmie posunął się ku młodemu człowiekowi, którego świeża cera twarzy i dostatnie ubranie, zdradzały zamożnego mieszkańca wsi. Na Ławicza spójrzał ciekawie zrazu, potém lekceważąco.

— Pomóż panu zdjąć paltot.—wskazując na towarzysza rozkazał mu Kaplicki.

Ławicz miał już dnia tego paltot, dość ciepły choć nie wytworny. Po zdjęciu jego, ukazał się téż cały i czysty surdut. Metamorfoza ta w ubraniu zaszła w skutek stanowczéj woli Kaplickiego, który utrzymywał, że jak cię widzą tak cię piszą i że bez porządnego mniéj więcéj ubrania, nic z ich wyprawy dzisiejszéj być nie może.

Weszli obaj do sali audyencyonalnéj, na któréj długie, wysokie i nagie ściany, dzień zimowy zarzucał przez dwa ogromne okna, monotonną płachtę białego światła. Pod oknami stały dwa stoliki, przy których, na brudném zielonem suknie, dwie szczupłe, przygarbione figury w wytartych surdutach pilnie i szybko zapisywały sine arkusze papieru; pod ścianami siedziało na ławach osób mnóstwo, mężczyzn w surdutach, siermięgach i chałatach, kobiét w kapeluszach lub chustkach na głowach. Większość osób tych, trzymała w rękach zwoje papierów; ilość pewna obecnych przechadzała się po sali, pełnéj tłoku wchodzących, wychodzących, rozmijających się, gwaru toczonych półgłosem rozmów, wzbijających się nad gwarem piskliwych głosików niewieścich, tłumionych szlochań, powściąganych wykrzyków gniewu lub rubasznego śmiechu. Zgromadzenie to odznaczało się tą jeszcze osobliwością, że przy każdém poruszeniu drzwi znajdujących się w głębi, wszystko, co istniało w sali, zwracało ku drzwiom tym twarze a wszystko, co siedziało, zrywało się na równe nogi, przy drzwiach tych wysokich, białych i szczelnie zamkniętych stał także stróż, mniéj jednak dumny i poważny od Pawła Rębki, dla tego może, iż zamiast ex-wojskowego miał na sobie cywilny, zielonym tylko kołnierzem ozdobiony mundur. Strzegł on tu wejścia do komnaty, w któréj zasiadał sąd a z któréj co chwilę wypadali i do któréj wpadali, śpiesznie przebiegający salę naczelnicy wydziałów, sekretarze i woźni. Wszyscy ci ludzie, w mundurach mniéj więcéj błyszczących od złotych oszyć i guzików, szli albo i biegli w schylonych od pośpie-

chu postawach, z zakłopotanemi twarzami, niecierpliwie torując sobie drogę przez tłum, który za zjawieniem się każdego z nich w znacznéj części doznawał emocyi wielkiéj. Raz jednak, powolniéj i ciszéj niż zazwyczaj otworzyły się drzwi zwracające na siebie uwagę powszechną, i ukazał się w nich młody mężczyzna ani zgarbiony, ani zakłopotany, ani śpieszący się. On także miał na sobie urzędowy strój, połyskujący złotemi ozdobami a wysoki był, kształtnie i dość silnie zbudowany, z piękną bladawą twarzą otoczoną krótkim, ciemnym zarostem. Na widok jego, w tłumie zaszeptano.

— Sędzia! Sędzia! Nie, kandydat na sędziego! Może przyjmie... może wyłucha...

I znaczna ilość osób, wyciągając ręce z papierami i wymawiając zaledwie zrozumiałe od zmięszania wyrazy posunęła się ku niemu. On chłodnym wzrokiem powiódł do koła i ze spokojnym lecz stanowczym gestem, urzędowym językiem wymówił. Nie pora i nie miejsce:

Głos to był dźwięczny, młody, ale tak suchy i nakazujący, że tłum w mgnieniu oka rosproszył się, kobiety nawet ze spuszczonemi głowami pod ściany odeszły a przed urzędnikiem zostali tylko dwaj młodzi ludzie, którzy téż na powitanie, jakby, wyciągnęli ku niemu ręce.

— Michał Kaplicki, wymówił jeden z nich.

— Ławicz, szepnął drugi.

Urzędnik, uczynił ruch nieprzyjemnego zdziwienia i zdawało się, że powtórzy słowa przed chwilą do tłumu wymówione. Nie pora i nie miejsce!

Lecz Kaplicki trzymał już jego rękę w swojéj silnéj, ogorzałéj trochę dłoni a drugą wskazywał na Ławicza.

— Czy poznajesz nas pan, panie Dębski? koledzy szkolni... choć młodsi ale zawsze koledzy, a Ławicz uczniem także był pańskim...

Dębski, bardzo chłodno dotknął ręki obu młodych ludzi i w urzędowym języku odpowiedziawszy: Witam! witam! chciał odejść ale Kaplicki, trzymał go za rękaw munduru.

— Prosimy o chwilę rozmowy...

Urzędnik grzecznie ale bardzo sztywnie odpowiedział·

— Chętnie służyć będę ale w inném miejscu i innéj porze.

Znowu odchodzić chciał. Kaplicki zarumienił się od gniewu.

— Panie! rzekł zachodząc mu drogę, my dalibóg czekać nie możemy aż nas pan w mieszkaniu swém przyjąć raczysz. Tuśmy pana zobaczyli, tu prosić będziemy...

— Służę więc, służę... Z niecierpliwem drgnięciem brwi odrzekł Dębski i skierował się ku oknu w najdalsze od tłumu miejsce sali. Kaplicki pociągnął sam Ławicza, i półgłosem ale żarliwie opowiadać zaczął Dębskiemu sprawę, z którą do niego przybyli.

Piękny mężczyzna, w ubraniu ze złotemi haftami, stał i słuchał, w zupełnéj nieruchomości postawy i twarzy. Była to ta sama twarz co przed kilku laty, myśląca, chłodna, dumna, tylko okrywająca ją cera więcéj nieco pobladła, siwe źrenice nabrały zimnéj, kryształowéj głębi, a zarys pąsowych ust surowszym jeszcze stał się i skrytszym. Ktokolwiek w téj chwili patrzałby na niego, wnieśćby mógł na pewno, że gorącéj mowy stojącego przed nim młodego człowieka, wysłuchiwał on nietylko obojętnie ale nawet z uczuciem przymusu i niecierpliwości, które dlatego tylko nie wybuchało na zewnątrz, że wybuchanie wszelkie było mu całkiem niepodobne. Raz tylko, w ciągu mowy Kaplickiego wzrok jego opuścił niewiadomy jakiś punkt przestrzeni, w którym tkwił ciągle, spoczął przez chwilę na twarzy Ławicza, zmącił się i ukrył pod spuszczającemi się powiekami.

— Widzisz pan, kończył Kaplicki, Ławicz nieśmiały jest i prawdę mówiąc, niepraktyczny. Na szczęście spotkałem go wczora i poradziłem, aby się udał do pana. My wieśniacy oswojeni teraz jesteśmy z sądowemi miejscami i języka w gębie, dla byle czego, nie zapominamy. Ot i mnie tu teraz ojciec przysłał, abym za interesami chodził. Dwa procesy, proszę pana, jeden z chłopami o pastwiska drugi z żydem o...

Tu przerwał Dębski.

— Nie wiem czy będę mógł cokolwiek dla pana Ławicza uczynić. Jeżeli będę mógł, zobaczę...

Lekkiem skinieniem głowy i chłodnym uśmiechem pożegnał ich i odszedł. Odchodząc rzucił z pod brwi baczne i bystre do koła spojrzenie, jakby chciał przekonać się, czy widziano go rozmawiającego z dwoma młodymi ludźmi, z których w jednym, każdy poznałby wiejskiego obywatela, w drugim wykolejonego, bez żadnéj określonéj pozycyi człowieka.

Na dziedzińcu Izby znalazłszy się Kaplicki zaklął.

— A to panie z tego Dębskiego bożek olimpijski! Wątpię, aby cokolwiek dla ciebie zrobił...

— I ja wątpię, potwierdził Ławicz. Jednak, dodał zaraz, oddał mi już parę razy ważne usługi...

— E! to było dawniéj! przez kilka lat zrobił się większym jeszcze egoistą i pyszałkiem. Nic z tego nie będzie. Ręczę, że w téj chwili już tak zapominał o naszéj prośbie, jakby nas na świecie nie było...

Jednak, o szaréj godzinie, do hotelowego pokoju, w którym Kaplicki i Ławicz przy samowarze i przyrządach do herbaty siedzieli, wszedł barczysty, wąsaty człowiek w eks-wojskowym ubraniu i gospodarzowi mieszkania wręczył wizytową kartkę, na któréj urzędowym alfabetem, wylitografowane było imię i nazwisko Maryana Dębskiego, na odwrotnéj stronie urzędowym téż językiem nakreślone, znajdowały się wyrazy.

„Zygmunt Bolesławowicz Ławicz, przyjść może jutro w południe do Izby, gdzie otrzyma stałe zajęcie z pensyą 25-ciu rubli miesięcznie.“

Kaplicki, ogniście przyjaciela w oba policzki wycałował.

— Winszuję! winszuję! a ku posłańcowi zwrócił się.—Proszę kłaniać się od nas p. Dębskiemu i pięknie podziękować...

Zamiast odejść, posłaniec na środek pokoju postąpił, wyprostował się jak struna i ręce jak struny wzdłuż boków wyciągając, zaczął.

— Mam honor rekomendować się. Jestem Paweł Rębko, *także* urzędnik przy *pałacie*. Może wielmożny pan interesy jakie ma, mógłbym adwokata zarekomendować—albo może, mniejsze *dzieła*, (1) i sam załatwić.

Zwracając się zaś do Ławicza, ze znacznie swobodniejszą postawą mówił.

— Pan teraz potrzebować może będziesz mieszkania w bliskości *pałaty*. Mogę rekomendować salkę na strychu, na tym samym dziedzińcu gdzie ja mieszkam. Trzy ruble na miesiąc, czysta, widna, żona moja gospodarskie potrzeby *uskuteczniać* będzie a ja pana czasem nauczę jak i co w *pałacie* robić. Bo ja *pałatę* znam jak swoje kieszenie i prezydenta *pałaty* znam. Mikołaj Hilaryonowicz! dobry człowiek, tylko czasem bardzo *zapalczywy* i trzeba z nim ostrożnie, bo jak zagniewa się, to tak za byle co, weźmie i wypędzi, cha! cha cha! cha!

IV.

Otrzymał więc stałe zajęcie, przy jednym właśnie z dwu tych stolików, które stały u dwu ogromnych okien sali audyencyonalnéj. Wchodził do sali codziennie o godzinie 9-téj zrana siadał przy stoliku i nie wstawał do 3-ciéj lub 4-téj chyba zawołany przez którego ze zwierzchników, co się jednak zdarzało rzadko. Dokoła niego, wrzał najczęściéj ruch i gwar, całkiem mu obojętny. Pogrążony w robocie

---

(1) Sprawy.

swéj na nikogo nie patrzał i nic nie słyszał. Czasem tylko, gdy sala bywała wyjątkowo pustą i cichą, podnosił głowę z nad papierów i przez chwilę wsłuchiwał się w ciszę, tém rozkoszniejszą tutaj im rzadszą a którą przerywało tylko poważne stąpanie przechadzającego się po przedpokoju Rębki i dochodzące z sali posiedzeń, głośne, monotonne czytanie. W chwilach tych, kędyś w dal rwące się oczy jego, zatrzymywały się na wielkich szybach okna, po których w jesieni ciekły grube strugi deszczu albo na wiosnę wiły się ukośne promienie słońca. Czasem też, przez krótką chwilę ale z połączeniem zdziwienia i uśmiechu przypatrywał się najbliższemu towarzyszowi swemu, pracującemu przy drugim oknie sali. Był to człeczyna nie stary jeszcze, bo zapewne 40-stu lat spełna nie mający, ale chudy, przygarbiony, z głową całkiem prawie włosów pozbawioną. Z powodu téj połyskującéj nagości czaszki, wystających kości policzkowych, długiego nosa, spiczastéj brody i okrywającéj to wszystko suchéj, żółtawéj skóry, wyglądał on na figurkę wyrzeźbioną z kości a w wytarty i niezgrabny surdut przybraną. Twarz ta, z ptasim profilem, była tak kościaną i martwą, do ust jéj szerokich, wklęsłych, tak zdawał się przyrośniętym uśmiech przymilający się i pokorny, małe siwe oczy tak trwożliwie biegały gdy wchodził do sali a z taką osłupiałością wpatrywały się w siną bibułę, gdy raz pisać już zaczął, że Ławicz przypatrywał się mu zrazu ze zdziwieniem, potém z uśmiechem, potém z obawą. Być może, iż przez głowę przemknęło mu pytanie:

— Może i ja... kiedyś...

Lecz wnet potém, prawie głośno zaśmiał się i błyszczące oczy jego wzniosły się ku najwyższéj szybie okna, w któréj słońce rozpalało ognisko iskier i promieni.—O, nie! O, nie! Świat pięknym jest skoro powstają na nim wielcy ludzie i wielkie idee a dusza ludzka która je zna, skonać nie może!

Myślał nieraz, że w najbliższym jego towarzyszu biurowym dusza skonała. Pracowali obok siebie od dość już dawna i prawie nie znali się. Czy kościana figurka, ubrana w wytarty, obwisły surdut, umiała mówić? po kilku miesiącach codziennego widywania ją, Ławicz nie mógłby jeszcze powiedziéć na pewno. Widział w zamian, że na głos wołającego ją zwierzchnika, umiała ona nerwowo zadrżéć, zrywać się i biedz tak śpiesznie a trwożliwie, jak biegnie pies myśliwski, na świśnięcie pana swego. Ale, była to jedyna u niéj oznaka życia, poczém znowu na czole połyskującém a nagością czaszki powiększoném osiadała grobowa cisza, szerokie, wklęsłe usta uśmiechały się pokornie i martwo a długa, sucha, żółta ręka posuwała się po papierze ruchem powolnym ale tak monotonnym i nieprzerwa-

nym, jak gdyby była kończyną maszyny jakiejś, z niezmierną regularnością nakręcanéj, i funkcyonującéj. Raz jednak,—a był to słotny dzień jesienny,—Ławicz spostrzegł, że kościana figurka, o któréj wiedział, że nazywała się Piotrem Kwirą, dawać zaczyna pewne znaki życia. Naprzód, wchodząc do sali, Piotr Kwira, nie rzucał już dokoła trwożliwych spojrzeń ale patrzał wprost przed siebie, z wyrazem trochę do zamyślenia podobnym; następnie gdy usiadł przed stołem swoim nie zaraz wziął się do pisania, lecz wpatrzony w siną bibułę, minut parę trząsł nad nią głową tak, jakby niemym gestem tym, powierzał téj codziennéj swéj towarzyszce troskę czy zgryzotę jakąś. Nakoniec, po godzinie pisania, podniósł twarz z nad bibuły, spojrzał na szyby zalane deszczem i końcem długiego, kościstego palca powiódł po brzegu zaczerwienionéj powieki. Czyżby łzę otarł z oka? Co pewna, to że zgarbił się potém daleko więcéj niż zwykle i zaczynając znowu pisać, głośno westchnął.

Ławicz był dnia tego w szczególnie wesołem usposobieniu. Otrzymał od matki swéj list z podziękowaniem, za dość znaczną sumkę pieniężną, którą jéj był posłał i—w czasie nocnych studyów nad pewnym grubym traktatem o fizyce, wpadł na pomysł jakiś, który, jak mu się zdawało, był całkiem nowym i mógł naukę do ważnych wyników doprowadzić. Czuł się więc szczęśliwym a takie miał usposobienie, że szczęście rozszerzało mu serce i zaostrzało wzrok na cierpienia innych.

— Co panu dziś jest, panie Kwira? odezwał się z nad stolika swego.

— Bieda! odpowiedział z nad drugiego stolika głos przyciszony i bezdźwięczny.

— Czy wielka biéda, panie Kwira?

— Dość wielka... bez grzechu narzekania, panie dobrodzieju...

— Możebym ja mógł cokolwiek...

— A może, panie dobrodzieju... może... bo Zenonek mówił mi, że pana zna i że chciałby widziéć...

— Jakiż to Zenonek?

— Derszlak, panie dobrodzieju, pański kolega szkolny...

W ciągu rozmowy téj, Kwira zwrócony twarzą do Ławicza, przy każdéj odpowiedzi oddawał mu szybkie ukłony, którym towarzyszył przymilający się uśmiech. Mówił o biedzie i uśmiechał się. Był to uśmiech przyrosły już do ust jego. Ławicz wstał śpiesznie i zbliżył się ku niemu.

— Czy nieszczęście jakie spotkało Zenona Derszlaka?

— Bez grzechu narzekania, panie dobrodzieju, powiedziéć można, że nieszczęście...

— Cóż to takiego?

Kwira spuścił głowę.

— A tak... bąkał, nic niby... pracy tyle a korzyści żadnéj... niby nic... czysta zguba!

O jasne słowa a tém bardziéj o dobrze związany szereg słów, Kwirze było bardzo trudno. Ławicz przypatrując się mu, dziwił się znowu i uśmiechał.

— Czy pan jesteś krewnym Zenona?

Na zapytanie to, o, dziwy! Kościaną twarz Kwiry oblał rumieniec tak żywy, że aż do połowy nagiéj czaszki jego sięgnął; spuścił on głowę, rękami w powietrzu zatrzepotał i całą postawą swą przypomniał skromną, zawstydzoną panienkę.

— Nie... wyjąkał... nie krewny... tylko panie dobrodzieju... jakże to powiedziéć? narzeczony panny Anny, siostry Zenona... chi, chi, chi!

Czy myśl o tém, że był on narzeczonym czyimś, jemu samemu wydawała się śmieszną, albo też roskosz mu sprawiała, bo z cicha i ze spuszczonemi oczami śmiał się przez chwilę—a potém, podnosząc na twarz Ławicza w sposób u niego wyjątkowy ożywione oczy, dokończył.

— Narzeczony, panie dobrodzieju... bez grzechu narzekania, czekamy na siebie już lat dwanaście...

— Cóż Zenon?

— Niby nic... panie dobrodzieju... zgubiony chłopiec!

— Panie Kwira! zabrzmiał we drzwiach głos pomocnika naczelnika wydziału. Kopia *ukazu* senatu N. 392, gotowa?

Ludzie do kościanych figurek podobni miewają czasem nerwy. Na głos zwierzchnika, Piotr Kwira drgnął nerwowo i z oczami trwożliwie biegającemi, z pokornie przymilonym uśmiechem i sinym arkuszem w ręku, drobnym krokiem, z przygiętym grzbietem, pobiegł ku sali sąsiedniéj.

Gdy minęła godzina, w któréj kończyły się zazwyczaj prace biurowe, Ławicz i Kwira zstępowali razem po ciemnych, wąskich wschodach, do suteren jednéj z kamienic miasta.

W izbie, nad którą ciężył czteropiętrowy gmach a do któréj, światło dzienne wchodziło przez wysuwające się z pod ziemi okno, duszno było i dymno. Na kominie, palił się wielki ogień; przed ogniem, nad deską do prasowania stała kobiéta wysoka, chuda, z ramieniem do łokcia obnażoném. Wodziła ona po cienkiéj bieliźnie żelazkiem, z którego głębi buchały czerwone błyski żaru i kłęby gorącéj pary. Czerwone błyski żaru, padały na śniadą twarz kobiéty, przeglądały się w czarnych, zapadłych oczach, złociły krucze, roztar-

gane, na ciemną, nagą szyję spadające jéj włosy. Była to twarz stérana, zwiędła, chmurna ale energiczna i ognista. Zobaczywszy wchodzącego Ławicza wyciągnęła na powitanie rękę zczerniałą i twardą, okrytą czerwonemi od oparzeń bliznami. Znali się z sobą oddawna.

— Panie Kwira—zawołała tonem rozkazującym—podajże krzesło panu Zygmuntowi. — Ot, zwróciła się do gościa, spójrz-że pan na Zenka.... do czego podobny? Gryzł się, gryzł się, aż zachorował!

Wtedy, w najgłębszym kącie izby, bo najdaléj od płonącego na kominie ognia, w cieniu firanki utworzonéj z paru prześcieradeł i kobiecych spódnic, Ławicz zaledwie rozpoznać mógł, leżącego na ubogo zasłaném łóżku Zenona Derszlaka. Młody chłopak, podobny był wielce do siostry, tylko rysy miał bardziéj nieprawidłowe i połamane a tak samo czarne jak u niéj oczy jego żarzyły się w cieniu przykrym, gorączkowym blaskiem. Spotkawszy się ze spojrzeniem Ławicza, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Widzisz, stary kolego, gdzie i jak na téj ziemi żyją i mieszkają wierni czciciele Minerwy, którzy przez lat osiem, w pocie czoła uczyli się deklamować Iliadę i Bukoliki, czytać Platona i recytować na pamięć ile małpy zębów mają! Wiedza ogromna, mój drogi, wiedza taka, o jakiéj ty, wygnańcze z krainy mądrości wyobrażenia nie masz a którą ja dźwignąłem na moich słabych barkach. Dźwignąłem caluteńką, dobiłem do kresu to jest ostatniego dnia ósmego roku i paf! dano mi pstryczka w nos, upadłem jak długi! Bagaż wiedzy mojéj był bardzo wielki, lecz brakowało mu jednéj ósméj części wymaganego stopnia,— nie dostałem świadectwa dojrzałości.....

W ręku Anny żelazko brzęknęło mocno.

Klęczący przed ogniem i wodę do garnka lejący Kwira, trząsł głową.

— No, no! nie lamentujcie!— zaśmiał się znowu Derszlak— cóż tam ważnego? Żaczek deklamujący Homera i obdarzony prawem paszenia świń. Biéda tylko, że żaczek ma lat dwadzieścia i że mu w mózgu świdruje ta uwaga, że gdyby był przez ośm lat świnie pasł, toby właściciel ich niezawodnie go na pastucha owiec lub wołów promował. A tu, od świni zaczynaj.... Czysta strata czasu!

— A strata! — brzęcząc żelazkiem krzyknęła prawie Anna, — głupia ja! Jużem suszyła sobie głowę nad tém, jakby tu go daléj wyprawić!

— Widzisz pan—nie przestając prasować mówiła daléj—cztéry miesiące już śmieje się on tak i żartuje, a ja wolałabym żeby płakał i jęczał. Zaśmiał się też i zażartował a może i przeziębł, bo prócz gimnazyalnego mundura, żadnego odzienia nie ma i—chory! Wczoraj zaczęła go trząść gorączka, dziś z łóżka niewstał!

— Wyzdrowieję Anulku, wyzdrowieję, nie lękaj się! — zaśmiał się znowu Derszlak — pochorować dni parę, nie biéda, ale ot co biéda.... słuchaj Ławiczu, co biéda.....

Urwał na chwilę, a potém w rozpalonych dłoniach swych, trzymając rękę dawnego towarzysza — znacznie ciszéj niż wprzódy — mówił:

— Biéda to, że kiedy matka z suchot umarła a ojciec kości połamał, ona miała lat ośmnaście, wzięła mię na ręce i mną sobie cały świat zasłoniła. Biéda, że przez trzy lata haftowała dniami i nocami, tak, że omało nie oślepła. Biéda, że od lat siedmiu stoi tak jak ją teraz widzisz od rana do wieczora nad tą deską i prasuje stroje elegantek. Biéda, że dla mnie za mąż nie wyszła i że ja teraz.... cóż? znowu ciężarem....

— Zenon!— zwykłym snać sobie rozkazującym tonem krzyknęła Anna— Zenon! nie mówić mi o tém! Co tobie do tego? Jak chciałam, tak robiłam. Dla siebie robiłam, nie dla ciebie! Podobny jesteś do ojca, który choć prosty człowiek, dobry był, dobry niech mu światłość wiekuista....

— Na wieki wieków—dokończył szeptem klęczący wciąż przed kominem i w garnku mięszający Kwira.

W rozpalonych zapadłych oczach Zenona, świeciły łzy.

Ławicz obie ręce podniósł do głowy.

— Ale jakże bo ty, ze zdolnościami swemi, z pracowitością swoją mogłeś téj nieszczęśliwéj jednéj ósméj.....

— Chcesz wiedzieć jak? no to ci i opowiem, tylko pod sekretem, pamiętaj, bo to delikatna materya....

Pochylił się nieco ku towarzyszowi i szepnął:

— Nędza! ty podobno wiész co to znaczy, no, ale nie każdego pokrzywa jednostajnie parzy. Zależy to od delikatności skóry. Czy ja wiem dlaczego natura zrobiła mię takim delikatnym? Kiedy duszno i dymno w mieszkaniu, głowa mi kamienieje, kiedym głodny z sił opadam. Opadałem często z sił, przychorowywałem, opuszczałem lekcye, raz to i cały kwartał straciłem, zanim z korepetycyi zebrało się na wpisowe.... to i tym sposobem przepadła mi ta jedna ósma.... Ale dość już o tém wszystkiém! cóż ty porabiasz, Zygmuncie? Służysz w biurze? Winszuję. Kolegi ze mnie pewno mieć nie będziesz! Jakimże sposobem wzbiłeś się na ten szczebel społeczny? Przepowiadam ci, że za lat dziesięć, będziesz taki łysy, kościany i wiecznie przelękniony jak najpoczciwszy nasz Kwira!....

— Chi, chi, chi! — zachichotal ten o którym wspomniano — żartuj sobie ze mnie, Zenonku, bylebyś był weselszy troszkę.... Bez grze-

chu narzekania, dziesięć lat temu miałem włosy takie gęste jak teraz twoje.

Anna okrywając stół grubą serwetą, zaśmiała się.

— Prawdę mówi, panie Ławiczu! Dwanaście lat temu, kiedy poznaliśmy się, pan Kwira był bardzo przystojnym chłopcem.

Ławicz uśmiechnął się, tak mu się to dziwném jakoś zdawało. Anna skrzyżowała na piersi ramiona i chmurnie wpatrując się w niego mówiła:

— Po co się pan uśmiéchasz? krótko pan żyjesz, krótko. Pożyj pan dwanaście lat tak jak on żyje a zobaczysz że można wychudnąć, wyłysiéć i strachu do serca nabrać. Żeby on żył tylko dla siebie ale to taki przyjaciel... Alboż ja, dałabym sobie radę z wychowaniem Zenka, żeby nie on? We wszelkiéj biedzie mojéj dziękuję Panu Bogu, że mi takiego przyjaciela dał....

Kwira, z oczami wpatrzonémi w mówiącą kobiétę jak w święty obraz, splótł długie, kościste ręce swe, modlitewnym gestem. Na twarzy jego rozlewał się wyraz szczęścia i czci. Wydawał się całkiém innym niż bywał w biurze. Była to metamorfoza trwająca krótko ale zupełna.

— Wiész pan — mówiła daléj Anna, kiedy nie wystarczało już mego zarobku i jego pensyi, zaczął hodować i sprzedawać kanarki....

— Bez grzechu narzekania! — zawołał Kwira, kanareczki moje, kilkadziesiąt rubelków co roku mi przynoszą... niby nic... dla Zenka mundurek i książki... Ja panu zaraz te ptaszyny moje pokażę!..

— Tymczasem proszę na obiad — rzekła Anna — stawiając na stole misę krupniku z mlekiem i kartoflami.

— Przepraszam, że gościa naszego lepiéj przyjąć nie mogę. Mięso strasznie drogie, dla Zenka tylko kawałek kupiłam, bo chory!.. Teraz bo i chleb i opał strasznie zdrożały... opał szczególniéj, a mnie do prasowania przepaść drew wychodzi. Jedyne szczęście, że za wodę płacić nie trzeba, bo mi jéj zawsze pan Piotr zrana i wieczorem dzbankami nanosi.

Nosił więc bohdance swéj wodę dzbankami, zrana i wieczorem, co „bez grzechu narzekania" przy dość uciążliwéj pracy biurowéj trochę utrudzającém być musiało. Spełniał téż znać zazwyczaj i inne gospodarskie, domowe czynności przed obiadem, przyniósł był parę razy drewek na podsycenie ognia, mięszał w garnku i krzątał się około wyszczerbionych stołowych naczyń, potém zasiadał do wspólnego stołu z gospodynią domu i jéj gościem a potém jeszcze, z nieśmiertelnym swym przymilonym uśmiechem prosił Ławicza aby zobaczyć chciał jego kanarki. Mieszkał w tym samym domu ale nie w suterenach, tylko wysoko pod samym dachem, dlatego, jak mó-

wił, że w suterenach za mało światła było dla ptasząt. W izbie znajdującéj się pod samym blaszanym dachem domu, tak wiele było ptasząt, że szczebiot ich i śpiewanie słyszéć się już dawały na drugiém piętrze, gdy zaś otworzyły się drzwi jéj, z drewnianych prętów umieszczonych pomiędzy ścianami, z nielicznych sprzętów, z pootwieranych klatek, porwały się roje żółtych, skrzydlatych istot i z wrzaskiem ogłuszającym opadły wchodzącego gospodarza mieszkania.

On roztworzył ramiona, nastawił dłonie i z ptakami siedzącemi mu na łysinie, ramionach, plecach, dłoniach śmiać się zaczął głośno, serdecznie, a przytém z wyrazem wesołości, tak obcym kiedyindziéj małym jego oczom, na gościa patrzał.

— A co?—mówił śmiejąc się— a co? niby nic... jest tu ich panie dobrodzieju z pół kopy... pięć par gotowiuteńkich na sprzedaż... za tydzień na rynek pójdą... niby nic... kawałek grosza... biedne wy! ptaszęta zaprzedane!

W sposobie, w jaki cieszył się z wychowańców swych, była tkliwość i zarazem radość z zysków, których mu szczególny przemysł ten dostarczał. Zresztą izba dość obszerna i w słoneczne dnie zapewne jasna, była bardzo nagą i brudną, ziarn rozrzuconych wszędzie i nieczystości różnych było w niéj pełno, powietrze jéj w pierwszéj po wejściu chwili, zdawało się niepodobném do oddychania. Nad samem posłaniem złożoném z siennika, poduszki, i czegoś co kiedyś kołdrą być musiało, wisiała duża klatka. Kwira wskazał ją gościowi.

— To jest, panie dobrodzieju mój... jakże się nazywa... ekscytarz. Jak tylko słońce wschodzi tak krzyczéć zaczynają, że gdyby człowiek kamieniem spał, zerwie się na równe nogi... niby nic... ażeby nie one, zaspałbym może kiedy i z panną Anną śniadania razem nie zjadł... ona raniutko wstaje... raniutko!—U nas panie dobrodzieju, taki już zwyczaj... razem kupujem, razem jadamy, razem cieszym się i smucim, wszystko razem!

Ptaki, zajęte rzuconém im ziarnem, uspokoiły się nieco i ucichły. Kwira, na środku izby stojąc i gościa swego za rękę trzymając, mówił:

— Chi, chi, chi! jak ona dziś powiedziała, że ja kiedyś przystojnym chłopcem byłem! może być. Może być... dwanaście lat człowiek pracuje jak wół a o jutrzejszy los swój zawsze niepewny i na szczęście swoje czeka... niby nic... zeszpetniéć można... Ona nie zeszpetniała! prawda? jaka piękna! Kiedy poznałem ją, panie dobrodzieju, dwadzieścia lat miała. Za trzecim widzeniem się upadłem przed nią na kolana... „Pobierzmy się panno Anno!“ A ona: „Nie, dopóki Zen-

ka nie wychowam, za mąż nie pójdę!" niby nic... nie chciała swoich dzieci mieć, żeby czasem brata małego w czém nie ukrzywdzić.... Żebym ja bogaty był, możeby poszła... ale biéda z biédą!... lękała się brata ukrzywdzić... pyta się tedy mnie: „będziesz na mnie czekał, panie Piotrze, póki Zenek nauk nie skończy i nie wybije się na człowieka?" Z początku, niby nic... nie mogłem przystać na to, ale potém powiedziałem jéj: „bądź wola twoja!" i panie dobrodzieju... bez grzechu narzekania... dwanaście lat czekam. Zenek skończył szkoły ale zabrakło mu téj jednéj ósméj... i jakże on teraz na człowieka wybije się? Co to teraz będzie?

Przy ostatnich wyrazach, w małych oczach jego, malowało zdziwienie z osłupieniem graniczące.

Co teraz będzie? Było to pytanie, z którém późniéj Derszlak często do izdebki Ławicza wchodził. Wyzdrowiał on prędko, to jest wstał z łóżka, lecz tak powierzchowność jego jak sposób obejścia się i rozmawiania, nie objawiały fizycznego ani moralnego zdrowia. Wchodził on często do izdebki dawnego przyjaciela i przebywał w niéj długo, czasem nawet nocowywał z Ławiczem, tocząc z nim długie i żarliwe rozmowy i sprzeczki. Sprzeczali się z sobą często. Pomimo podobieństw pewnych, były to całkiem różne od siebie natury. Ławicz, w książkach na traf chwytanych i zbieranych, topił się jak nurek, ciekawy pereł na dnie leżących, ciągnięty śpiewem Syren, mieszkających w pałacach z kryształu. O twarde, zimne ściany kryształowego pałacu, bił się pracowicie, cierpliwie i nie opuszczał rąk wtedy nawet, gdy spostrzegł, że zmylił drogę i sto godzin życia oddał temu, co wymagało jednéj. Uśmiechał się wtedy z nieświadomości swéj i z wielkim lecz spokojnym ogniem w mózgu i piersi, zachodził pałac z innéj strony, uderzał w innę ścianę, słał się mu do stóp z jednaką zawsze pokorą i czcią. Derszlak śmiał się z niego, tym szczególnym śmiechem, w którego dźwięk młodzieńczy wplatały się coraz częściéj gorzkie szyderskie nuty.

— Co ty z tém wszystkiem zrobisz?— pytał. — Jaką rolę użyźni pot, który z czoła twego spływając, wsiąknie w podłogę twojéj izby i w niéj zniknie bez śladu? Czyją dolę oświecą światła te, których nabierasz do głowy i które w niéj do końca świata pozostaną? Co komu przyjdzie z tego wiecznego grzebania się twego w książkach?

Ławicz, na zapytanie te, mięszał się zrazu a potém odpowiadał:

— To mię uszczęśliwia.

— Egoisto!—wołał Derszlak—ty więc wyobrażasz sobie, że nauka przyjść na świat raczyła dla twego osobistego szczęścia i pożytku? Winszuję ci pojęć takich o życiu i jego celach! Ja jeżeli pracowałem i o większych jeszcze pracach marzyłem, to tylko dla tego

aby módz cokolwiek uczynić dla ludzkości, dla cierpiących, poniżonych, walczących. Sam jestem dzieckiem cierpienia, poniżenia i ciężkiéj walki. Znam je. Lituję się bez granic nad ich ofiarami. Pragnąłbym biedz im z pomocą. Wiem, twierdzę, że świat we wszystkich częściach swych kalekim jest i pragnąłbym przyczynić się do przerobienia go. Oto dla czego uczyłbym się, gdyby... gdyby nie ta moja jedna ósma, ale tak jak ty w celu uszczęśliwienia siebie..... O! marny prochu! czémże ty jesteś abyś uszczęśliwiał siebie, wtedy gdy naokoło pełno jest nieszczęśliwych?

Ławicza zawstydzały niekiedy te entuzyastyczne wybuchy przyjaciela. Ze zwykłą sobie łagodnością tłómaczył się i uniewiniał.

— Cóżem ja winien temu, mój drogi, że czuć się nieszczęśliwym nie mogę.

— Zapewne i wzruszając ramionami odpowiadał Derszlak, nikt nie winien temu, że go natura tak a nie inaczéj stworzyła. Tyś stworzony na jednego z tych molów, które od początku świata siedzą w swoich gabinetach i przy szczelnie pozamykanych drzwiach i oknach lubują się włoskiem wynalezionym na skórze małpiéj albo pyłkiem dostrzeżonym na skrzydle komara...

Tym razem, Ławicz rumienił się z obrazy i oburzenia. On także był entuzyastą, w inny tylko zwracającym się kierunek. Bronił nauki i jéj kapłanów, grecki myt o Syrenach tłómaczył żądzą nie rozkoszy lecz wiedzy, deklamował z Odysei: „ku nam ku nam, o bogów ozdobo, słynny Ulissesie statek nakieruj, głosom przysłuchać się naszym...“

— Stój! stój! uśmiał się Zenon, cóż tobie syreny wyśpiewać mogą? Jakież nowe słońce albo jaką nieznaną jeszcze drogę słońc, odkryjesz przez to okno, które chociaż wysoko jest umieszczone, wątpię aby starczyło za obserwatoryum i teleskopy? Czy uczynisz rozbiór chemiczny téj pajęczyny, któréj tyle masz tu po kątach. Gdzież twoje retorty? Pajęczyny zresztą, zarówno jak pył spadający z podeszew podartych butów, dawno już, o ile wiem, zbadane zostały, innych zaś materyj do studyowania nie widzę dokoła ciebie...

Z twarzy Ławicza poznać można było, że pragnął powiedzićć towarzyszowi coś, coby dowodzeniom jego stanowczo zaprzeczyć mogło a wstydził się i nie śmiał.

— Widzisz, Zenku, zaczął nieśmiało, ty to z taką pewnością mówisz i wyśmiewasz mię a jednak jak... mnie.

— Cóż?

— Mnie się zdaje, że jestem na drodze do ważnego odkrycia w dziedzinie fizyki.

Zenon uśmiechnął się niedowierzająco.

— A! rzekł potém, być może i pragnę tego, ale opowiedz że mi: co i jak? powinienem przecież być wszechstronnie uczeńszym od ciebie...

Ławicz podzielił się z nim wtedy pomysłem swoim. Było to coś o skupieniu promieni słonecznych i uwięzieniu, dla celów praktycznych, ciepła ich i światła. Opowiadając wpadł w wielki zapał. Wyciągał z bezładnego ich nagromadzenia, książki różne, wydobył z szuflady arkusze zakreślone cyframi i rozmaitemi figurkami, czytał głośno, tłómaczył, gestykulował. Białą twarz jego powlekły gorące rumieńce, łagodne oczy zaiskrzyły się. Derszlak, słuchał w milczeniu i z uwagą lecz patrzał na towarzysza z żartobliwą litością. Gdy Ławicz umilkł i stanął przed nim w tryumfującéj postawie, zwolna i chłodno, rzekł.

— Wszystko to rzeczywiście, bardzo mądrze jest pomyślane i znajdujesz się istotnie bardzo blisko wynalazku dokonanego już przed parą laty...

— Co i jak? przez kogo? zawołał Ławicz.

Derszlak, powiedział mu, że przed rokiem miał od jednego z profesorów książkę, w któréj wyczytał wszystko to o czém teraz mówił mu Ławicz i wiele jeszcze rzeczy dalszych.

Cytował twórcę wynalazku i tytuł książki o któréj mówił, lecz, ku wielkiemu zapewne zdziwieniu swemu, spostrzegł w Ławiczu, zamiast smutku lub przerażenia wyraźne oznaki bardzo żywéj radości...

— Doprawdy! wołał on, więc to tak! o, jakże się cieszę! lękałem się aby to nie było tylko marzeniem mojém! Myślałem nieraz, że nie jestem dość rozumny i uczony aby naprawdę trafiać na takie drogi. Pokazuje się jednak, żem się nie mylił, że jestem do czegoś zdolny... Brawo, brawo! trzeba mi teraz daléj iść i—będę teraz iść śmieléj, z większą do samego siebie ufnością!

Derszlak wstał i wzruszył ramionami.

— No, rzekł, potężny z ciebie dziwak! Żebyś był jeszcze wpadł na jakąś nową teoryą społeczną, nie dziwiłbym się twojéj radości. Ale z tego, odgadniętego w części przez cię, wynalazku—cóż? nowy może gatunek maszyn fabrycznych, służących kapitałowi do uciskania pracy a może nowe środki użycia dla sybarytów...

— Może téż, wtrącił Ławicz, jeden krok dokonany w powolnym pochodzie...

— O dajże mi pokój z krokami swémi i powolnémi pochodami. Dobre to dla tych, którym dobrze ale ja, od czasu szczególniéj mojéj jednéj ósméj, stałem się człowiekiem bardzo żywego i niecierpliwego temperamentu...

Żywym i niecierpliwym był zawsze, lecz teraz właściwości te natury jego zwiększały się i przybierały pozór trawiącéj go gorączki. Część wieczorów i nocy czytywał i rosprawiał z Ławiczem, resztę czasu przepędzał w próżnowaniu, napełnioném rozmyślaniami. Tym ostatnim, oddawał się często w mrocznéj, pełnéj swędu od rospalonych żelazek suterenie, leżąc na łóżku z twarzą zwróconą ku sufitowi i ścigając okiem ślizgające się po suficie odblaski płomienia. Czasem przechadzał się po ulicach miasta, przyglądając się spotykanym przechodniom, którzy wzajem przyglądali się jemu. Młodzieniec ten bardzo szczupły i nieco przygarbiony, ze śniadą chorobliwą cerą twarzy, z zapadłem, czarném ognistem okiem i lasem kruczych włosów wysuwających się z pod zszarzanéj czapki na kołnierz wytartego studenckiego mundura, zwracać musiał na siebie ogólną uwagę. Wyraz twarzy jego, rzeczy i ubranie zdradzały coś wypaczonego i wykolejonego, kogoś kto u samego wstępu w świat, błądził pomiędzy drogami świata, nie wiedząc czy na którąkolwiek z nich wejść ma prawo. Zwolna i stopniowo odpadała mu chęć do jakiejkolwiek pracy. Znalazł był na mieście parę lekcyj nędznie opłacanych i zrazu spełniał zajęcie to z musu, jak ciężką pańszczyznę. Nie zajmowało go ono, bo nie przedstawiało przyszłości żadnéj.

— Do czego to prowadzi? zapytywał czasem Ławicza. Anulka jak biedowała tak bieduje a ja tylko butów więcéj drę...

Potém, porzucił lekcye albo też je stracił. Książki brał u Ławicza, przeczytywał je do połowy, porzucał i znowu zapytywał.

— Bo i do czegóż to prowadzi?

Raz, przyszedł więcéj jeszcze niż zwykle chmurny i rozjątrzony.

— Anulka chora! rzekł siadając na niskim stołku pod ścianą.

Oparł brodę na dłoni i długo siedział nieruchomy, milczący, aż nakoniec Ławicz spostrzegł, że płakał cicho lecz rzewnemi łzami.

— Zenku! zawołał, ty koniecznie zrób z sobą cokolwiek... bo zginiesz!

Podniósł wzrok błyszczący od łez i gniewu i zapytał:

— Cóż, naprzykład?

— Jedź do stolicy... zdasz może egzamin, przyjmą cię może gdziekolwiek...

— Dobrze odpowiedział z chłodem, ale zapłać mi bilet na kolei i daj z czego przeżyć przez pierwsze kilka dni przynajmniéj...

Ławicz jęknął.

— Bój się boga! zkądże u mnie na taką daleką podróż... gdyby to bliżéj było..: może...

— Aha! potwierdził Derszlak, gdyby to było bliżéj... ale, zkądże znowu chcesz aby Anulka z prasowania a Kwira z kanarków taką sumę zebrali... bo to, mój kochany, suma! Co prawda, była już ona zebrana ale jakem po téj jednéj ósméj zaraz nie wyjechał, to i rozeszła się... Jeden ścieg krzywy, mój kochany, jeden tylko krzywy, a wszystkie krzywo idą...

Innym razem, rzekł do Ławicza.

— Poszedłbym już nakoniec i piechotą ale nie mogę, naprzód sił niemam, a potem, ot... przy ostatnich wyrazach uczynił nogą ruch energiczny a w téj saméj chwili, but jego ze stukiem upadł na drugim końcu izdebki. Była to tylko część buta, ta mianowicie, która okrywa stopę. Ławicz nie mógł wstrzymać się od uśmiechu.

— A gdzież cholewa? zapytał.

— Dawno niéma, z chłodem odpowiedział Zenon.

Trwało tak przez długie kilkanaście miesięcy. Raz, pogrążony jak zwykle w robocie swéj, usłyszał w gwarze napełniającym salę głos dobrze sobie znajomy. Zerwał się i w ruszającym się pośród sali mrowisku ludzi, spostrzegł Kaplickiego. Przez chwilę, przypatrywał się mu, myśląc nad tém, czy się nie myli. Przez czas upłyniony od ostatniego ich widzenia się, Kaplicki zmienił się trochę. W futrzanym paltocie swym, wydawał się krępym nieco i ciężkim a bujny, płowy wąs, opadał mu na policzki rumiane i połyskujące. W ręku trzymał zwój papierów i półgłosem lecz z żarliwością wielką, opowiadał o czemś jednemu ze znajdujących się w sali adwokatów, którego téż, od czasu do czasu przytrzymywał za klapę surduta. Ławicza poznał natychmiast i powitał serdecznie, dwoma głośnemi całusami.

— Cóż—mówił—jakże ci idzie? jakże czas przepędzasz? ja tu od wczoraj dopiéro... przyjechałem za interesami... wyobraź sobie, dwa procesy: jeden z chłopami o wycięcie lasu, drugi z żydem o sfałszowanie wekslu... przytém, chcę sobie nowe meble kupić...

— Czy ty, Michasiu, pamiętasz Derszlaka, zagadnął Ławicz.

Kaplicki pamiętał go wybornie. Rumieniąc się i widoczny gwałt sobie zadając, Ławicz poprosił go o pomoc dla dawnego kolegi. Wyraz doznanéj przykrości zmącił na chwilę błękitne oczy młodego szlachcica. Na chwilę tylko jednak.

— Widzisz, zaczął, ty nie wyobrażasz sobie, ile my, obywatele, mamy kłopotów i potrzeb różnego rodzaju. Ot i ja teraz... dwa procesy i te meble... powozu téż kawalerskiego potrzebuję bardzo ale niech to tam sobie na późniéj... Biedny Zenon! powiadasz, że demoralizuje się i przepada. Owszem, owszem służę czem mogę!

Ławicz aż mu się na szyję rzucił, on zaś tę publiczną manifestacyą czułości, nietylko przyjaźnie przyjął ale z lichwą ją odpłacił. Wylanym był, serdecznym i hojnym jak zawsze, tylko wyglądał wciąż zakłopotanym. Rumianość i pulchność twarzy jego, nie nadawały jéj wyrazu pogody. Po krótkiéj rozmowie o wspólnym koledze i wzajemnych uściskach, zaczął wnet opowiadać Ławiczowi o chybionych w tym roku zbożach, o drogości robotnika, o upadku inwentarza a szczególniéj o dwóch procesach: z chłopami i żydem.

— A tamte, z któremi tu przed dwoma laty przyjeżdżałeś?

— Tamte co innego a te co innego. U nas tak zawsze. Nieuwierzysz, ile kłopotów! A tu teraz wyprawiamy z ojcem zaraz po moim powrocie wielkie polowanie. Osób będzie ze sześćdziesiąt, koni i psów drugie tyle. Wszystko trzeba przygotować o wszystkiem pomyśléć, a koszt! strach!

Tu spostrzegł zmierzającego ku niemu adwokata.

— A co? kochany panie, a co? czy nasza teraz sprawa na kolei? Zlituj się pan, to żydzisko....

I wraz z adwokatem pobiegł prawie w głąb sali. Ławicz stał przez chwilę zaniepokojony widocznie i trochę zdziwiony. Procesy, meble, powozy, kłopoty, polowanie, mięszały się i kołowały w głowie jego. Po chwili, ścigając okiem zwijającego się po sali Kaplickiego, wymówił do siebie:

— Jakto? i nic więcéj... nic?...

V.

Maryana Dębskiego, Ławicz widywał codziennie prawie lecz zawsze zdaleka. Od wielce podrzędnego kancelisty, pracującego przy jedném z okien sali audyencyonalnéj do urzędnika z wykształceniem uniwersyteckim zasiadającego obok sędziów i dziś czy jutro miejsce jednego z nich zająć mogącego, tak było daleko jak niebo wysoko. Dębski téż nie objawiał niczem chęci zbliżenia się ku niemu albo raczéj zbliżenia go ku sobie. Po prostu nie zwracał nań uwagi najlżejszéj, że zaś nie był bezpośrednim zwierzchnikiem jego i nie miewał z nim urzędowych zetknięć, zdawał się nie znać go i nie spostrzegać wcale. Bywał on zresztą zazwyczaj bardzo czynnym i bardzo pilnie biurowemi sprawami zajętym; w biurze téż szeptano, że nikt nigdy nie widział kandydata do posad sądowych, któryby tak gorliwie zapracowywał sobie na wyższą i lepiéj określoną, w hierarchii urzędniczéj pozycyą. Patrząc na niego, jak w godzinach zajęć biurowych, z punktualnością zegarkową i niezłomną surowością speł-

niał liczne powierzone sobie czynności, jak potem spiesznie, z teką wypchaną papierami dążył do domu i jak nazajutrz tekę tę, z przygotowanemi już pracami do biura przynosił, można było powiedzieć, że w nadziejach swych i dążeniach nie liczył na nic i na nikogo prócz na samego siebie, ale że téż w siebie samego, w zdolności swe, energią i pracę ufał niezłomnie. Jednak pomimo zalet tych, nie cieszył się on widocznie przyjaźnią i względami starszych kolegów swych, którzy znajdowali się względem niego nie lekceważąco wprawdzie ale całkiem obojętnie. Chłodny zazwyczaj, dumny i w sobie zamknięty, Dębski przemieniał się dziwnie na widok tych, od których w znacznéj części przyszły los jego zależał. Ruchy jego stawały się wtedy pełnémi uprzejmości, twarz przybierała wyraz rozjaśnienia połączonego z badawczą przenikliwością. Zdarzało się jednak często, że pełne uszanowania albo przyjacielskości ukłony i pozdrowienia jego, spotykały się z zaledwie dostrzegalném skinieniem głów i zaledwie dosłyszalnemi, od niechcenia rzuconemi odpowiedziami. Wtedy, na mgnienie oka, młody urzędnik bladł i zacinał wargi, poczém jednak wnet i ze zdwojoną gorliwością oddawał się swym obowiązkowym czynnościom a ruchy jego, wejrzenie i dźwięk głosu okazywały niezłomną pewność siebie, niezachwianą wiarę w żelazną moc żelaznéj pracy. Jeden tylko prezes Izby, człowiek niemłody już o twarzy grubéj i czasem aż do jowialności dobrodusznéj a czasem tak stroskanéj że aż ponuréj, bywał dla Dębskiego tak serdecznym i przyjacielskim, że spotykając go u wejścia lub wyjścia z izby, wobec wszystkich ściskał go za obie ręce i po imieniu nazywał. W dniach jednak, w których wesoła i dobroduszna twarz zwierzchnika mnóstwem nagromadzonych na niéj zmarszczek i kwaśném wykrzywieniem ust, zdradzała doświadczane przezeń troski czy zgryzoty, nad całém biurem unosiła się atmosfera burzy, ogarniająca sobą i Dębskiego. W dniach tych u wejścia lub wyjścia z Izby i także wobec wszystkich spadały nań głośne i szorstkie wyrzuty, za niedokładne lub niedość prędkie spełnienie powierzonéj mu czynności. Wtedy Rębko nawet z mniejszym niż zwykle pośpiechem podawał kandydatowi do posad sądowych, przyzwoicie lecz niezbyt dostatnio wyglądający paltot jego lub futro, a potém spotkawszy się z Ławiczem na wspólnie zamieszkiwanym dziedzińcu i poufale pod ramię go biorąc, mówił:

— Protektor pański cości kiepsko u nas stoi! niewiadomo, czy będzie kiedy co z niego czy nie będzie? Mnie się zdaje, że nie będzie. Ot już dwa lata z górą siedzi u nas a Mikołaj Hilaryonowicz ani myśli puszczać go wyżéj. On bo i u członków żadnego *uważania* niema.... oho! ja wszystko wiem!

— A dlaczegóż to tak? — zapytywał Ławicz.

Rębko z ręką przy wąsie, dumny ze społecznéj pozycyi, która mu w tak ważne rzeczy wtajemniczonym być pozwalała, odpowiadał:

— *Piersze:* pleców niema, a czy pan wié co to jest kiedy człowiek pleców niema? To tak *jak żeby* głowy nie miał! Gdzie! lepiéj nawet głowy niemiéć jak pleców... Druga rzecz jest ta, że żyć nie umié. Z ludźmi trzeba umiéć żyć, a on nie umié. Siedzi zawsze jak wilk w swojém mieszkaniu nad *dzielami* (1) albo jeżeli *dziel* nie ma nad *swodem* (2) i ani zaprosi kogo do siebie ani sam bywa... do klubu raz tylko poszedł i to powróciły zły jak dyabeł, bo zgrał się podobno, i potém już nie chodził nigdy... To mnie, panie, człowiek jego opowiadał. Trzecia rzecz jest ta, że futro ma takie jak *stołonaczelnik* jaki. Gdzie! u nas i *stołonaczelniki* lepsze mają. Trudno miéć *uważanie* ludzkie z takiém futrem. E! *musi być* z niego nic nie będzie!

Pomimo groźnych tych przepowiedni Rębki, w biurze dowiedziano się dnia pewnego, że Maryan Dębski otrzymał posadę sekreterza cywilnego wydziału Izby. Była to posada nie wysoka ale materyalnie dość dobrze opłacana i przedstawiająca pole do wykazania gorliwości i uzdolnień tego, kto ją zajmował. Otrzymał ją Dębski po trzech blisko latach pracowitéj wielce kandydatury, a ludzie pochyleni nad stołami, w różnych a licznych salach gmachu, uczuli coś nakształt opadłéj na przygarbione ich plecy żelaznéj dłoni. Uczuli téż oni, czuwające nad każdą nakreśloną przez nich literą, nad każdą w biurze spędzoną minutą, bystre i surowe oko. Było to sine, myślące, z chłodną, kryształową głębią oko młodego sekretarza. Czuwało ono nad wszystkiém, zdawało się widziéć wszystko i po żadném zaniedbaniu lub przekroczeniu nie prześliznęło się lekceważąco lub pobłażliwie. Piérwszy przybywając do biura i ostatni je opuszczając, karcił on tych, którzy w czasie, albo akuratném pełnieniu zajęć swych folgować sobie chcieli, krótkiem, sarkastyczném słowem, albo pogróżką, któréj forma chłodna i ściśle grzeczna zawierała w sobie treść nieubłaganie stanowczą. Mówiono téż o nim, że pracując sam jak wół, podwładnymi swymi jak wołami orać chce grunt swojéj karyery.

W téj to porze przyszedłszy do bezpośredniego zetknięcia się z niższymi urzędnikami po raz pierwszy spotkał się on zbliska i z Ławiczem. Wyznaczał i wskazywał a potém przeglądał jego zajęcia. Zrazu patrzał on na dawnego kolegę swego i przemawiał do niego tak, jak gdyby go nigdy był nie znał, jak gdyby widział w nim tylko jedno z kółek maszyny, któréj on sam większém znacznie był kołem.

(1) Akty sądowe. — (2) Zbiór praw.

Raz jednak, gdy stojąc u okna uważnie przeczytywał długą jakąś kopią, wzrok jego z za sinego arkusza spłynął na twarz stojącego przed nim kancelisty. Ławicz stał przed zwierzchnikiem w postawie niepokornéj wprawdzie, jednak nieśmiałéj z ręką opartą o brudne sukno stołu, ze spuszczonemi powiekami. Szczupłość postaci jego, chudość ręki i wielka skromność ubrania zdradzały nie nędzę wprawdzie lecz ubóstwo z niedostatkiem graniczące. Na gładkie i pogodne jak u młodéj dziewczyny czolo jego opadały złotawe włosy a wśród mizernéj białéj twarzy delikatne usta układały się w wyraz zamyślenia i cierpliwości. Było w nim coś z pogody dziecka i smutku człowieka wykolejonego, ze skromności ubóstwa i ze spokoju uczciwości. Siwe, mądre oko Dębskiego przesunęło się po twarzy kancelisty a potém tkwiło w jednym z wyrazów znajdujących się na sinym arkuszu daleko dłużéj, niżby dla przeczytania stronnicy całéj trzeba było. W kilka dni późniéj, Ławicz stojąc przed sekretarzem, robotę jego przeglądającym, podniósł powieki i najniespodziewaniéj spotkał się wzrokiem z jego spójrzeniem. Sinego arkusza, który mu twarz przysłaniał nie spuszczając, Dębski półgłosem i krótko zapytał:

— Cóż? jakże ci się powodzi?

— Bardzo dobrze — z uśmiechem odparł Ławicz.

— Doprawdy?

W pytaniu tém brzmiało zdziwienie i trochę szyderstwa. Po chwili zapytał znowu:

— Może ci się niepodoba robota którą tu spełniasz? — Chcesz abym cię przeniósł do innego wydziału?

— Dziękuję panu. Wszystko mi jedno.

— Zapewne.

Usta jego zarysowały uśmiech wpół sarkastyczny, wpół litośny. Zapewne! pomiędzy pozycyami, które Ławicz w biurze zajmować mógł, nie było bogactwa wyboru i wszystkie one znaczyły mniéj więcéj zero.

Po rozmowie téj, przez długie kilka tygodni Dębski spoglądał znowu na Ławicza, jak na niezbędny w rysunku jakimś, kształt zera mający, znaczek. Potém znowu, przeglądając robotę jego, zapytał:

— Czy masz z czego żyć?

— O tak! — z akcentem silnego przekonania odparł Ławicz.

— Może i w zbytki nawet opływasz?

Coś, jakby uczucie obrazy odmalowało się na zarumienionéj twarzy kancelisty.

— Nie — odpowiedział. — Niewiem co to zbytek i wcale go nie pragnę.

Tym razem Dębski patrzał na niego dość długo, zrazu z szyderstwem migocącém mu w kryształowych głębiach oka, potém z przenikliwą i pełną ciekawości uwagą.

Tego samego dnia zaszedł w biurze wypadek, o którym długo potém urzędnicy wyżsi i niżsi gwarzyli i rozprawiali, mianując go skandalem. Najwyższy zwierzchnik biura przybył tam dnia tego kwaśny i zgryziony. Na twarzy jego nie było śladu odznaczającéj ją najczęściéj jowialnéj dobroduszności, w ruchach malowała się niecierpliwość i skłonność do gniewu. Sala, w któréj przy oknach pracowali Ławicz i Kwira, pustą była dnia tego. W zamian gwar złożony z głośnego czytania, przyciszonych rozmów i szelestu licznych papierów i stąpań ludzkich, dochodził tu z pootwieranych na oścież drzwi sal innych. Nagle za nawpół otwartémi drzwiami sali posiedzeń sądowych, rozległ się gwałtowny, basowym głosem wydany krzyk. Na krzyk ten, z bocznych sal powypadali urzędnicy różnych stopni i ubrań, z przedpokoju wypadł Rębko, z siedzeń swych porwali się Ławicz i Kwira i wszyscy z wyrazem zdumienia lub przestrachu na twarzach, w ostrożnie kryjących się postawach, zaglądali do sali posiedzeń, przypatrując się i przysłuchując odegrywającéj się tam scenie. Była to przecież scena nie dramatyczna wcale ani malownicza. Po prostu prezes izby srodze gniewał się na sekretarza i głosem bardzo podniesionym, z gestami bardzo energicznémi i w słowach także pełnych energii, czynił mu wyrzuty, jak z krzyków jego wyrozumiéć można było, za to, że w służbowéj sprawie jakiejś objawił on zdanie, ze zdaniem zwierzchnika sprzeczne. Zazwyczaj był on dla śmiałości podobnéj, wyrozumienia i pobłażania pełnym a nawet lubić ją i szanować się zdawał. Inaczéj jednak rzeczy wszelkie wydają się przy blasku słońca, inaczéj przy widnokręgu zaciągniętym chmurami. Dnia tego widnokrąg biura wraz z czołem przewodnika swego zaciągnął się chmurami. Śmiałość Dębskiego wywołała z nich piorun. Pioruny padały z ust rozgniewanego zwierzchnika na głowę młodego człowieka, który przy swoim stole do pisania stojąc, blady jak ściana, z przyciętą do krwi wargą i spuszczonemi powiekami, stał nieruchomy jak posąg i — milczał. Zagadkowe i niewyraźne uśmiechy igrały po ustach sędziów, krzesła swe z wysokiemi poręczami zasiadających; złośliwie albo bezmyślnie uśmiechali się podpatrujący i podsłuchujący w trwożną a ciekawą gromadkę zbici urzędnicy. Rubasznie, choć z cicha a tak serdecznie, że aż mu się szerokie ramiona trzęsły, ciemną, brudną ręką usta sobie zakrywając, śmiał się wychylający się z drzwi przedpokoju Rębko. Kwira dłonią przyciskając łysinę, zdawał się konać ze strachu; Ławicza ręka o stół oparta drżała i białą twarz jego oblał krwisty rumieniec. Nie

z trwogi jednak drżał on i rumienił się. Wpatrzony w postawę Dębskiego, kamiennie nieruchomą a na białem tle ściany odbijającą się w silnych i kształtnych zarysach i na twarz jego nadzwyczaj bladą, po której przebiegały spazmatyczne drgania, myślał on a potém półgłosem i po razy kilka wymówił:

— Czy podobna?

Czy podobna aby *wymijacz raf*, zuchwale lub nieoględnie o jedną z nich uderzył? czy podobna aby uderzenie to, tak strasznie druzgocące dumę jego, zniósł aż do końca w téj nieruchomości kamiennéj, i w tém udręczeń pełném milczeniu?

Zniósł jednak. W sali posiedzeń zapanowały niebawem cisza i porządek zwykły a w ciszy téj, wobec rzędu krzeseł, na których nieruchomi i poważni siedzieli sędziowie, rozlegał się i w dalszych salach słyszéć się dawał, dźwięczny, czysty, chłodny głos sekretarza, czytającego sporządzony przez się długi a jasny jak słońce referat.

Rębko wracał dnia tego do domu, w niezmiernie dobrym humorze. Miał o czém mówić, rozpowiadać, zdania i sądy wydawać. Spostrzegłszy na dziedzińcu Ławicza, uczepił się go z poufałością, z jaką postępował zwykle względem ubogiego współlokatora swego a jak mniemał biurowego kolegi. Z uczuciem roskoszy śmiejąc się i cmokając językiem wołał:

— A to ci *skandal* dziś wyprawili! No, dziesięć lat służę w *pałacie* a to dopiéro trzeci raz! — Hi, hi! protektor pański mruk taki, a dziś języka w gębie utrzymać nie mógł. Służbista! Jak szło o służbowy interes, to i złego humoru Mikołaja Hilaryonowicza nie lękał się i swoje trzy grosze wsadzić musiał. Ot masz tobie i *służbistość!* Hi, hi! żebym ja był na jego miejscu, zaraz bym do *odstawki* poszedł, jak Boga kocham! A co mnie służba! Niech mnie dziś z *pałaty* wygnają, *dzieła* prowadzić będę i fundusz zrobię. Ale on nie pójdzie do *odstawki*, oho, ja wiem że nie pójdzie. *Piersze* dlatego, że mu chce się ministrem być, a drugi raz dlatego, że go Mikołaj Hilaryonowicz przeprosi.... Czegóż pan na mnie tak oczy wytrzeszczyłeś? Nie wierzysz pan że przeprosi? No, zobaczym. Oho, ja wszystko wiem. Mikołaj Hilaryonowicz dobry człowiek, tylko zgryzoty ma. Tak sobie zdaleka patrząc, zdaje się że taka osoba nie powinna miéć zgryzot. Jednakowoż jabym z nim nie pomieniał się, dalibóg nie. Oho, ja wszystko wiem. Znam dobrze *człowieka* Mikołaja Hilaryonowicza a dziewka od nich często do mojéj baby przychodzi. *Piersze* co się tycze pleców. Miéć to on je ma ale małe, a z małemi plecami, choć lepiéj jak bez pleców, ale zawsze niewygoda duża. *Drugi raz* widzisz pan baby.... trzy baby w domu. No? i takie jeszcze, którym chce się i pojazdów i materyalnych sukien i do klubu i do guberna-

tora i na maskarady i wszędzie! Córki, panie, dwie, wielkie porosły i tęgie jak piece a szpetne takie, że jabym na żadną z nich mojéj baby nie zamienił. Za mąż ani rusz... posagu ani kopiejki. A Mikołaj Hilaryonowicz za córkami przepada, żonki zaś lęka się, bo bardzo *zapalczywa* i podobno ze znacznéj familii pochodzi a on kupiecki syn... to, jak mu, panie, głowę natérkocą, napłaczą, nakrzyczą, w taką zgryzotę wpada, że cały świat zjeść chciałby... ale potem żałuje, bo to dobry jest człowiek i tyle tylko, że ma plecy małe i trzy baby...

W parę dni potém, o późnéj nocnéj godzinie Ławicz, z zapałem wielkim piszący w grubym i do połowy zapisanym już zeszycie a przytém, co chwilę do różnych książek zaglądający, usłyszał na wschodach swych powolne i pomimo ciemności, które tam panowały, równe i silne stąpania. Zdziwiony, podniósł głowę i wnet z wykrzykiem zdziwienia porwał się z krzesła. W otwierających się drzwiach izdebki zobaczył Maryana Dębskiego.

W balowém ubraniu, które dziwnie odbiło się na tle ubogiéj, wpółciemnéj izdebki, piękny i wyniosły człowiek ten zatrzymał się przez chwilę u progu w trochę zmięszanéj postawie. Futro jego opadło mu z ramion na najbliższy stołek, rękę okrytą białą rękawiczką wyciągnął do gospodarza mieszkania.

— Mój drogi, rzekł, jak upiór zjawiam się u ciebie pośród nocy. Jest to z mojéj strony dziwactwo i nieprzyzwoitość, za które cię bardzo przepraszam.

Ławicz z pośpiechem posunął ku niemu jedyne, w posiadaniu jego będące, krzesło z poręczą. Nie wydawał się on, ani zdziwionym, ani zmięszanym. Znać było, że przepisy przyzwoitości światowéj nie obchodziły go wcale a ubóstwo mieszkania nie zawstydzało. Na twarzy jego i w ruchach malowało się szczere uradowanie. Siadając na przeciw gościa, na stołku, który, z powodu okaleczonych nóg, zakołysał się pod nim gwałtownie, zaczął.

— Nie spodziewałem się, abyś pan kiedykolwiek był łaskaw...

— Abym kiedykolwiek odwiedził cię, dokończył gość. Rzeczywiście, ja sam nie myślałem o tém nigdy. Mam tyle zajęć, obowiązków i z położenia mego wypływających stosunków!... Dziś jednak... ale to cała historya, którą opowiedzieć ci muszę, dlatego choćby, abyś mię za waryata nie wziął,..

W niedbałéj i znużonéj nieco postawie ramię o poręczę krzesła wspierając, przesunął po czole cienką, śnieżnéj białości chustkę, od któréj wionął delikatny zapach perfum.

— Wracam, jak z ubrania mego domyślić się możesz, z tańcującego wieczoru... czy lubisz tańczyć?

— Niewiem, uśmiechnął się Ławicz.

— Jakto, niewiesz?

— Bo ostatni raz w życiu tańczyłem, mając lat czternaście.

— A! nie tańczysz więc teraz nigdy! Winszuję ci tego serdecznie. Co do mnie, tańczenie na wieczorach Mikołaja Hilaryonowicza, należy do służbowych obowiązków moich... Cóż chcesz? młody jestem a młodzieży bywa tam niewiele...

— Jakto!... mimowoli jakby zawołał Ławicz i wnet urwał.

— Co? podnosząc twarz zapytał Dębski co powiedzićć chciałeś?

— Nie... tak jakoś... zdawało mi się... że pan jesteś poróżniony z prezesem...

Dębski zaśmiał się. Był to śmiech nie zupełnie wesoły.

— No! zaczął, cóż? ta scena, którą mi onegdaj w Izbie wyprawił? E, mój drogi, odpokutował on za nią tak ciężko, że chować względem niego urazę byłoby brakiem wspaniałomyślności... Trzeba ci wiedzićć, że mam szczęście posiadać szczególne względy żony i córek prezesa; młody zaś i wesoły pomocnik prokuratora, wiedząc o tem a chcąc prezesowi wypłatać figla, opowiedział paniom całą tę scenę. No! miał się biedak z pyszna! Wsiadły na niego baby i dopóty tarły mu czuprynę, aż przyszedł do mnie i powiedział: „Maryanie Feliksowiczu, niech będzie zgoda pomiędzy nami. Uniosłem się, przepraszam i proszę na tańcujący wieczorek.„ Cóż? dąsać się dłużej byłoby rzeczą całkiem... nieużyteczną... prezes zresztą jest człowiekiem bardzo dobrym i czasem tylko, kiedy mu jego baby porządnie nadokuczają, przestaje być sobą...

Ławicz, słuchając opowiadania tego, mimowolnie uśmiechnął się. Dziwił się może wszechwiedzy Pawła Rębki, a może i czemuś innemu jeszcze... Dębski, w oczach którego, przebiegały, od chwili do chwili, ironiczne błyski, mówił dalej.

— Ale nie powiedziałem ci jeszcze jakim sposobem i dla czego jestem tutaj. Wracałem więc z tańcującego wieczoru, z którego zresztą, wymknąłem się wcześniej, niż może wypadało... Jakoś nie tańczyło mi się dziś i nie weseliło jak należy, w domu zresztą, mam dużo roboty a przetańczywszy połowę nocy przez drugą jéj połowę ślęczyć nad aktami, nie bardzo przyjemnie. Przyznaję się ze wstydem, że uczułem coś nakształt złości, czy może... smutku. Uczucie to, tém nieprzyjemniejsze, że jest głupiém i do niczego nie prowadzącém. Jednak, byłem pod jego wpływem i rozgniewany na ziemię, chciałem może spojrzeć na gwiazdy... sam niewiem, to pewna, że podniósłszy oczy zobaczyłem twoje okno świecące nad dachem téj kamienicy... tak wysoko!... Rębko mówił mi, że ty tu mieszkasz. Światełko twego okna, mój drogi, pośród ciemnéj zupełnie przestrzeni

wygląda, jak gwiazda ciszy i rezygnacyi... Cóś mię ku niemu pociągnęło... silnie...

Bledszy nieco niż zwykle, czoło na dłoni wspierając, ciekawém i uważném spójrzeniem rozejrzał się po izdebce.

— Czy dawno tu mieszkasz?

— Od trzech lat i kilku miesięcy, to jest od czasu, kiedym, dzięki panu, otrzymał stałe zajęcie.

— Czy nie możesz mieć wygodniejszego trochę mieszkania.

Ławicz z widoczném zdziwieniem odpowiedział.

— Ależ mnie tu bardzo wygodnie!

— Wyborny jesteś, mój drogi! głośno i szczerze zaśmiał się Dębski, lecz wnet spoważniał znowu i dodał; już mię i w biurze uderzyła ta dziwna twoja rezygnacya...

Ławicz zarumienił się ale i zdziwił się znowu.

— Ależ ja wcale rezygnować nie potrzebuję! zawołał, posyłam matce część pensyi mojéj, która jéj tam na wsi zupełnie wystarcza i zawsze mi jeszcze parę rubli na książki zostaje... życie, kosztuje mnie bardzo niewiele.

— Spodziewam się. Ale prawda! Książek tu u ciebie daleko więcéj niż powietrza! Zkądże ty ich mieć możesz tyle?

— Co miesiąc parę rubli na nie odkładam, to i zebrało się; przytém, Żyrski księgarz jest szkolnym kolegą moim i wypożycza mi je bardzo tanio, czasem darmo, bo wié, że mu je zawsze w całości zwrócę. Nauczyłem się wybornie czytać książki, nie rozcinając wcale kart albo rozcinając je tylko wzdłuż... ot tak!

Tu, zapalając się, pokazywać zaczął Dębskiemu w jaki sposób czytuje książki, z nierozciętemi całkiem albo wzdłuż tylko rozciętemi kartami.

— I nie męczy cię takie utrudnione czytanie? ochoty nie odbiera?

— O, nie! z niemieckiemi tylko trochę trudno, bo język ten najsłabiéj...

— Prawda! wszakże tu pełno francuzkich i niemieckich... zkądże umiesz?..

— Początki miałem z domu i szkoły ale słabe. Douczyłem się sam...

— Brałeś lekcye?

— O, nie! Zkądżeby mi...

— Więc jakże?

— Tak, sam... z gramatykami i dykcyonarzami...

— Po łacinie jak widzę czytujesz... nie myślę abyś ze szkół wyniósł taką biegłość...

— Nie, ale miałem początki. Douczyłem się sam.

— Ho, ho! co za tytuły, jakie imiona autorów! i sumiennie, widzę, studyujesz... notat i wyciągów więcéj jak u niejednego sławnego autora...

Umilkł i wpatrzył się w młodego kancelistę długo, głęboko.

— Jakże więc?—czy pozwolisz mi zapalić cygaro, bo widzę, że będę tu siedział dłużéj niż myślałem?... jakże więc? Zajmując się rzeczami takiemi, jesteś zdolny przez trzy czwarte czasu swego, bezmyślnie kopjować nasze kancelaryjne akty?

— Muszę, odparł Ławicz, mam matkę i sam żyć potrzebuję. Ale tamto co innego a to co innego...

— Cóż to? a co tamto?

— Tamto, potrzeba i obowiązek, to—szczęście!

— Boże miłosierny! Że téż, w tym zmroku ludzkim rysują się jeszcze takie świetliste linje...

Z wykrzykiem tym wstał i przeszedł się parę razy po izdebce. Potém, stanął przed Ławiczem i wziąwszy jego rękę, ścisnął ją krótko ale silnie.

— No, rzekł siadając znowu, wytrąciłeś mię z mego zwykłego humoru. I nie dziw. Lecz usuwając na stronę czułości, powiedz mi, na co ci to? co, ze wszystkiego tego, przyjść ci może?

— Nie myślałem nigdy o tém...

— Otóż to... Niepraktyczność. Zużywasz czas i siły, niewiedzieć po co, bez żadnego celu, bo ostatecznie jakkolwiek wielu na świecie było bardzo znakomitych samouków, mieli oni genjusz. Czy mniemasz, że jesteś człowiekiem genialnym?

Ławicz zaśmiał się wesoło.

— Nie myślisz więc tak i masz słuszność, bo od wielkich nawet zdolności umysłowych do genjuszu bardzo daleko. I zresztą, gdybyś nawet genialnym był, wątpię bardzo abyś, kiedy, cokolwiek porządnego na drodze naukowéj mógł uczynić. Dawniéj, łatwiéj było ale teraz, mój kochany, teraz, są na świecie metody, systematy, olbrzymie nagromadzenie materyałów, olbrzymia liczba pracowników dobrze przygotowanych a uprawiających i wyzyskujących wszystkie pola... Teraz i geniuszowi nawet trudno albo i całkiem niepodobna, omackiem szukać i znajdować... nieprawdaż?

— Prawda, odpowiedział Ławicz.

— Widzisz. Na co ci więc to wszystko?

W błękitnych oczach Ławicza, wpatrzonych w gościa, odmalował się smutek. Dębski uśmiechnął się i rzekł.

— Widzę, że zmartwiłem cię. Odwołuję słowa moje. Życie, nie okazało się istotnie, zbyt dla ciebie łaskawém. Jeżeli więc to grzebanie się w książkach bawi cię—baw się!!..

— Ależ ja wcale za zabawę tego nie uważam! zawołał Ławicz.

— A ja, nie widzę czemby to innėm być mogło, z niezwykłém sobie ożywieniem odparł Dębski.

Widać było, że w człowieku tym, który z nieubłaganą metodą i wytrwałością do celów swoich dążył, wszystko co wydawało mu się nielogicznėm lub niepraktycznėm, budziło niecierpliwą pogardę...

— Co do mnie, zaczął, nie rozumiem życia inaczéj, jak z celem jasno określonym i z wiodącemi do niego praktycznemi drogami. Wiem dobrze, że dawniéj jeszcze, kiedyśmy wszyscy mniéj więcéj dziećmi byli, uważaliście mię za człowieka pełnego ambicyi, wyrachowanego i zimnego. Dziś także, wszyscy, nie wyłączając wołów, osłów i uczonych piesków, których świat ten jest pełnym, rzucają mi w oczy albo za oczy zarzut ambicyi i rachuby. I wyobrażają sobie naprawdę, że to jest zarzut. A ja się tego wcale nie zapieram. Ja się tém szczycę. To prawda, jestem ambitnym ale ambicya moja szaleństwem żadném nie jest. Nie marzę wcale o niepodobieństwach. Nie mam siebie za cud świata i nie pragnę zostać bohatérem jego albo władcą. Rzecz cała w tém, że od najpierwszéj młodości, uczułem, że nie jestem idyotą ani niedołęgą i postanowiłem indywidualność swoję wyzyskać w sposób dla niéj najwłaściwszy, ku największéj korzyści swojéj i społeczeństwa. To jest mój cel. Co się tyczy, téj niby rachuby mojéj... tak jest, rachuję i obrachowywam a to dlatego, że urodzony i do lat chłopięcych hodowany w bogatym i możnym domu rodziców moich, widziałem dom ten obalony w gruzy i dokoła niego mnóstwo podobnych mu domów obalających się—przez brak rachuby!

Mówił to prawie z uniesieniem. Siwe źrenice jego błyszczały jak zimne lecz świetne brylanty, na ustach osiadł uśmiech wpół gorzki, wpół dumny. Gorycz jednak, zniknęła całkiem, gdy mówić zaczął o wybranym przez się zawodzie, o naturze i ważności tych funkcyj społecznych, do jakich mógł go on doprowadzić. Czemże zostać pragnął? Władcą potężnym, tryumfatorem rozgłośnym, sybarytą opływającym w bogactwa i rozkosze? Nie; w zawodzie tym, nic podobnego osięgnąć niepodobna. W zamian, osięgnąć w nim można egzystencyą dobrze zabezpieczoną od trosk i niedostatków nękających umysł i energią, stanowisko społeczne poważane i czynność społeczną niezmiernie wpływową.

— Stać pomiędzy prawodawcą i wykonawcą prawa, tłómaczyć i stosować myśl pierwszego, a dłoń drugiego posuwać lub hamować, trzymać niejako pod okiem swém sumienie publiczne, badać je, roztrząsać i poznać w najdalszych jego głębinach a potém, z wiedzą na

żywém ciele społeczném zdobytą, dzielić się może z prawodawcą i być mu nieraz pomocą i natchnieniem,—przyznaj, mój drogi, że rola to zaszczytna, wpływowa i godna tego aby ludzie skłaniali przed nią głowy—jeżeli pełnioną jest dobrze i dokładnie.

Mówił potém, że na każdém miejscu tego świata, pełno jest ludzi takich, którzy wykonywują robotę swoję, niewiedząc sami co i dlaczego robią. Do każdéj roboty społecznéj, potrzebną jest pewna doza filozofii, uczącéj ogarniać całość i patrzéć w głębie. Posiadając filozofią taką i odpowiednie przymioty charakteru, w zawodzie sądowniczym stanąć można wysoko, stać się indywidualnością energiczną, wpływową i poważaną. Dążenie do zostania indywidualnością taką i do zajęcia takiego stanowiska jest zapewne ambicyą, ale czy szaloną albo występną, czy przekraczającą granice zdrowego rozsądku albo naturalnych praw cywilizowanego człowieka? Zdaję to na twój choćby sąd, młody stoiku, który umiesz czuć się zadowolonym mieszkając w téj izdebce i nic oprócz niéj w przyszłości swéj nie widząc...

— Są to żądania proste i szlachetne, z zapałem odparł Ławicz.

— O szlachetności nie mówmy. Unikajmy górnych wyrazów; wystarcza mi to, że zbrodniarzem ani niedołęgą zostać nie chcę a żądania moje są proste i naturalne. Jakiemi zaś drogami do nich dążę, czy mi łatwo iść niemi albo ciężko—to już moja rzecz. Jestem człowiekiem praktycznym. Nie płynę na cudzym grzbiecie ale też pracowicie rozbijając przed sobą fale, nie chcę aby mię pierwszy lepszy rekin sentymentalizmu na dno pociągnął. Bo sentymenty i marzenia, mój drogi, to rekiny i dla tego, lękam się o ciebie. Jesteś cały w paszczy rekina...

— Co znaczy, że oddaję się marzeniom?

— Naturalnie; czemże bowiem inném być może, zgromadzanie do głowy swéj mądrości, które też w głowie twéj na wieki pozostaną? Bez celu, mój drogi, bez celu i niepraktycznie...

Zaśmiał się znowu ale z przymusem i wstał z krzesła.

— Nagadałem ci rzeczy nieprzyjemnych. Daruj, ale nie znoszę wszystkiego co niepraktyczne i do niczego nie prowadzące. Przebacz też, że ci zajęcie czy raczéj bawienie się twe przerwałem i—dobranoc!

Ławicz zatrzymał w dłoniach swych rękę, którą podał mu gość jego.

— Mam do pana prośbę... wielką prośbę...

— Owszem, powiedz; jeżeli będę mógł... uprzedzam cię tylko, że co się tyczy twéj karyery biurowéj ty masz niezmiernie mało do zdobycia a ja do ofiarowania ci...

— Wiem o tém i wdzięczny panu za dzisiejszą pozycyą moję niczego więcéj nie żądam. Prośba moja ma cel daleko, daleko ważniejszy niż awans biurowy...

— Ciekawym, proszę cię, mów...

Lecz Ławiczowi mówić o przedmiocie téj prośby łatwo nie było. Zmięszany, zarumieniony ze spuszczonemi oczami szepnął.

— Widzi pan; nie jestem zupełnie niepraktycznym... owszem, marzyłem... Marzę, o zrobieniu użytku jakiegoś ze studyów moich... piszę...

— A! zawołał Dębski i niedowierzającém, ironiczném nieco spojrzenieniem ogarnął gruby zeszyt, rozłożony pod światłem lampy. Ławicz, położył dłoń na tym zeszycie i śmieléj trochę choć zawsze oczu nie podnosząc, mówił.

— Żyję zupełnie samotnie. Od wyjazdu do stolicy Derszlaka nigdy, z nikim, o niczém podobném nie mówię a sobie nie ufam i nie wiem czy to ma jakąkolwiek wartość, czy żadnéj nie ma. Czasem, zdaje mi się, że ma, a czasem, że niema. Bywają dnie, w których myślę, że będzie to książka piękna i poważna, w innych dniach, łaję siebie za zarozumiałość swą i ręce mi opadają. Nie wyobrazi pan sobie, jak niepewność taka okropnie męczy. A tu nikogo, nikogo, nikogo, ktoby choć zrozumiéć mógł nie już ocenić...

Głos mu drżał, twarz oblała się wyrazem głębokiego smutku. Widocznie, dotykał on teraz jedynéj strony życia swego, która była mu bardzo bolesną.

— Cóż więc? z uśmiechem zapytał Dębski, chcesz może abym był sędzią twoim?

— Tak; pan jeden, ze wszystkich ludzi, których znam możesz... Myślałem o tém zawsze, ale nie śmiałem. Dziś, ośmieliłeś mię pan dobrocią swoją...

— Jaka to dobroć, mój drogi? Nie używajmy nigdy górnych wyrazów! Dobrze; jak skończysz to... dzieło twoje... przynieś mi je, do mieszkania mego naturalnie. Przeczytam i zdanie swoje otwarcie powiem...

Po chwili, pięknego i świetnego człowieka w balowym stroju nie było już w izdebce i panowała w niéj zwykła cisza nocna przerywana ostrem i przeciągłem gwizdaniem stróżów nocnych, dochodzącém z czarnego jak czeluść zaułka. Na stole, pomiędzy mnóstwem papierów i książek paliła się lampa, któréj odbicie rysowało na suficie blade i drżące widmo miesiąca; po ścianach ciemniały nieruchome i kalekie cienie odzieży, zwisającéj u haków wieszadeł, pośrodku izdebki, stało krzesło z poręczą i wklęsłym materacem, na którym przed chwilą siedział Dębski; w kącie, szczury łopotały parą starego obuwia.

Przy stole, Ławicz stał długo zamyślony i zrazu smutny. Być może, iż w uszach jego brzmiały jeszcze dźwięcznym, chłodnym głosem wymawiane pytania: „na co ci to? co ci z tego przyjść może?“ A potem: „bez celu... bez celu... niepraktycznie!“

Niepraktycznie! Ależ w człowieku, kędyś tam, w głębiach piersi jego, w zwojach jego mózgu, bywają wielkie moce pociągów i pragnień, które porywają go jak silne fale i niosą ku brzegom często nieznanym! Ależ w wielkiéj ciszy téj, która go otaczała, w téj bezgranicznéj samotności, na którą żalił się przed chwilą, słyszał on śpiew Syren, zamieszkujących niezmierne morze wiedzy.

„Ku nam, ku nam statek nakieruj.
Głosom przysłuchać się naszym!..“

I nie wiedząc: po co mu to? nie myśląc: co mu z tego przyjdzie? rok życia oddałby chętnie, za jednę noc słuchania.

(*d. c. n.*) *El. Orzeszkowa.*

OBRAZ FILOZOFII SPÓŁCZESNEJ
WE WŁOSZECH.

II.

Obok filozofii idealistycznéj, która za przedmiot rozmyślań swoich brała abstrakcye, idee przedwieczne, absolut i była krótko mówiąc ideologią, rozwijał się zwolna inny kierunek oparty na postrzeganiu faktów, ich klasyfikacyi, grupowaniu i uogólnianiu. Nie sięgając do wieku XVI i tych autorów, których wydała epoka humanistyczna i którzy równie jak Bakon w Anglii zwracali filozofią do obserwacyi natury, już pod koniec przeszłego i na początku bieżącego stulecia mogą się Włochy poszczycić kilkoma mężami dobrze zasłużonymi głównie na polu umiejętności politycznych, prawnych i ekonomicznych. Dość tu przypomnićć ludzi takich, jak Melchior Gioja († 1829) lub dawniejszych nieco, jak Beccaria, Genovesi wielbiciel Locke'a, jak ksiądz Soave tłómacz tegoż Locke'a i wielu innych pracujących pod wpływem spółczesnéj sobie filozofii francuzkiéj i angielskiéj. Osobliwie wpływ Anglików widoczny jest na nich nietylko w zamiłowaniu faktów i podzielaniu poglądów, lecz nawet w tém łączeniu z sobą i uprawianiu razem nauk ekonomiczno-prawnych i filozofii. Ze wszystkich jednakże najwięcéj się odznaczył w dziedzinie filozofii umiejętnéj owego czasu Jan Dominik Romagnosi (1761 †1835) pisarz bardzo obfity, wielce trzeźwy, zasłużony jako profesor prawa, autor i minister sprawiedliwości. Między uczniami swoimi liczył gorących wielbicieli takich, jak Ferrari i Cattaneo, o których wyżéj była mowa.

Gioja i Romagnosi byli filozofami, jak to mówią, praktycznymi; pragnęli zapewnić ludziom szczęście przez ścisłą znajomość zjawisk społecznych i praw niemi rządzących. Zapatrywali się oni na spo-

łeczeństwo i na człowieka wogóle, jako na przedmiot przyrodzony, zależny, gdy chodzi o jego poznanie, od obserwacyi. Gioja w pracach swoich teoretycznych usiłował wskazać prawidła stałe w użyciu zmysłów, które według niego, są jedynemi środkami naszego poznania. Dlatego téż przypisywał wielkie znaczenie *statystyce* uważając ją za najdzielniejsze narzędzie w traktowaniu umiejętności moralnych i politycznych. Jako statystyk i ekonomista, Gioja znany jest i ceniony dotychczas szczególniéj za trafne rozumienie faktów moralnych do których stosował statystykę; w teoryi ekonomiki był przeciwnikiem ekonomistów *apriorystów*, w psychologii hołdował sensualizmowi, w socyologii głosił teoryą *starć* wynikających z konkurencyi sił społecznych, któréj regulatorem musi być państwo.

Romagnosi jeszcze przypomina pod niejednym względem dawnych metafizyków idealistycznych, jednakże absolut już niema przystępu do jego systematu. Rozumie on, że granicę dla umysłu ludzkiego stanowią zjawiska, które go ze wszech stron otaczają. W moralności broni eudemonizmu: człowiek podług niego niema innego celu, jedno by sobie zdobył szczęście, a to znów daje się osiągnąć li w społeczeństwie. Poglądy te głównie znajdują się w najznakomitszém z dzieł autora: *O prawach cywilizacyi* (1834). Jest to socyologia, w któréj pojmowaniu Romagnosi okazał wielki dar postrzegania zjawisk społecznych, i jeden z pierwszych zapatrywał się na „ciało społeczne" jako na żyjący organizm, którego „fizyologią" trzebaby ułożyć. Przeczuwał prawo „powolnych działań," według którego wielkie i ostateczne rezultaty są wynikiem drobnych, powoli, ale ciągle działających czynników. On téż zauważył doniosłe znaczenie wszelkich środków symbolicznych, jak słowa, pisma, monet, miar i innych znaków, za pomocą których idee i wartości ciągle krążą po ciele społeczném, jak krew po organizmie jednostkowym.

Poszukując przodków obecnego kierunku empirycznego filozofii włoskiéj możnaby jeszcze przytoczyć Borellego (Lallebasque), który wyprzedził Herberta Spencera w psychologii i już od r. 1825 badał umysł ludzki z punktu fizyologicznego. Daléj, wart jest wspomnienia Wincenty de Grazia, który w Neapolu żył równocześnie z Galluppim, i w samotności zajmował się głównie psychologią. Zarzucał on Kantowi wówczas to, co mu znacznie późniéj zarzucali stronnicy ewolucyi, że umysł ludzki rozważał w stanie dojrzałym, zamiast badać jego genezę. De Grazia wyprzedził téż A. Comte'a odnośnie podziału historyi na trzy epoki, z których dwie, epokę metafizyczną i epokę naukową, tak samo jak twórca pozytywizmu nazywa. Co ciekawsza, że naukę oczyszczoną od spekulacyi metafizycznych, mianuje *pozytywną*, ruguje z niéj wszelkie pojęcia *à priori*,

wszelkie poszukiwanie *essencyi* rzeczy. To podobieństwo dwóch umysłów idących prawie tą samą drogą, nasuwa pytanie, który od którego pożyczał? Otóż biograf włoskiego filozofa, Fiorentino, sądzi, że chociaż de Grazia spółczesnym był A. Comte'a, jednak najprawdopodobniéj nie wiedzieli o sobie.

Powoli wyrabiało się przekonanie, że filozofii nie można uprawiać bez umiejętności, a na szczęście zaczęły się ukazywać dzieła umiejętne. Historyą nauk matematycznych napisał de Libri, historyą medycyny Puccinotti. Metafizycy i krytycy ze szkoły Hegla przypomnieli sobie spółziomków pokrewnych myślą z XVI i XVII wieku, zaczęli życie i dzieła ich badać: Spaventa opracował filozofią G. Brunona i Campanelli, dowodząc że wyprzedzili Kartezyusza; Franciszek Fiorentino wydobył z zapomnienia Telezyusza i Pomponacyusza, których ogłosił za poprzedników Bakona; Berti pisał o Bruno'nie, Galileuszu i Koperniku; Ferri Ludw. o psychologii Pomponacyusza; Siciliani o Galileuszu; Villari o Savonaroli i Machiavelu. Już z tego powrotu do tradycyi XVI i XVII w., z tego upodobania w biografiach znakomitszych uczonych swoich widać było, że młodsze pokolenie zrywa z ideologią, że się rodzi nowy i konkretniejszy kierunek w spekulacyi włoskiéj. Przejściowe niejako ogniwo do filozofii empirycznéj i umiejętnéj od idealistycznéj, stanowił pozytywizm, z którego rozwinął się spółczesny empiryzm, a jego przedstawicielami są następujący pisarze: Pasquale Villari, Mikołaj Marselli, A. Angiulli, Arystydes Gobelli, Robert Ardigo. Musimy się im przyjrzéć z kolei, ażeby czytelnikowi dać chociaż ogólne wyobrażenie o kierunku prac tych autorów.

Zaraz z początku zaznaczamy, że wymienionych pisarzy zaliczają do pozytywistów rozumiejąc pod tą nazwą niekoniecznie zwolenników pozytywizmu francuzkiego, takiego jaki A. Comte utworzył, lecz raczéj pojętnych kontynuatorów jego, którzy w wielu punktach modyfikują spekulacye filozofa francuzkiego. Zdarzyło się bowiem we Włoszech to, co i gdzieindziéj, że jak tylko pisarz, który zerwał z metafizyką idealistyczną, jak się odważał na krytykę dotychczasowéj spekulacyi i okazywał nieco więcéj niezależności od utartych opinij, zaraz go mianowano pozytywistą, częścią dla zdyskredytowania autora, częścią z lenistwa do uczenia się nowych rzeczy. W prasie i pośród publiczności zapanował istny chaos wyobrażeń o pozytywizmie i pozytywistach, do czego niemało przyłożyli się sami zwolennicy francuzkiéj mądrości. Nie zdając sobie jasno sprawy ze swoich dążności filozoficznych, radzi byli przekomarzać się z metafizykami przeciwnego obozu, gubiąc się w ogólnikach i deklamując o postępie. Dopiéro gdy się zapoznali ze spółczesną filozo-

fią angielską, co przypadło około r. 1870, autorowie nowego kierunku zaczęli chłodnąć w swoim zapale dla pozytywizmu i albo zupełnie albo częściowo z nim zerwali.

Bacząc na czas, kiedy się Włosi zapoznali z potywizmem francuzkim, możnaby wskazać r. 1866, w którym Villari ogłosił w *Politecnico* artykuł pod tytułem: *Filozofia pozytywna i metoda historyczna*. Było to pierwsze wywieszenie chorągwi nowéj nauki, które się nie obeszło bez surowéj krytyki ze strony prawowiernych uczniów Comte'a, gdyż nowy adept lubo się okazał pojętnym uczniem, lecz w niejednym punkcie odstępował od systematu.

Villari więcéj jest znany jako historyk niż jako filozof. Urodzony w Neapolu 1827 r. udał się w 1848 do Florencyi, w celu gromadzenia materyałów do życiorysów Savonaroli i Machiavela, które późniéj ogłosił (1870 i 1877). We Francyi wpadła mu w ręce *Logika* St. Mill'a i z niéj-to dowiedział się o *Kursie filozofii pozytywnéj* Comte'a, który przeczytał i bardzo w nim zasmakował, tak że już w artykułach pisanych w owym czasie jako téż w większéj pracy *O początku i postępie historyi* (1854) znać wpływ pozytywizmu. Podobnież w studyach późniejszych o *Filozofii historyi*, o *Galileuszu*, *Bakonie i metodzie doświadczalnéj* (1864) widać jeszcze zajmowanie się teoryą, któréj następnie zaniechał, przekonawszy się, że pożyteczniéj jest stosować metodę umiejętną do prac historycznych, niż zużywać siły umysłu na rozwiązywaniu zagadnień metafizycznych. Było to zresztą wynikiem potrzeby i stanowiska, gdyż Villari od r. 1863 wykładał historyą we Florencyi.

Ale jeżeli Villari odstąpił od pozytywizmu i za to ściągnął na siebie naganę, pytanie, w czém leżało owo odstępstwo i różnica? Oto sądził on, że lubo w nauce ścisłéj trzeba się ograniczyć na prawdach dostępnych umysłowi naszemu i dochodzić ich za pomocą metody indukcyjnéj; nie wyłączał jednak z zakresu myślenia takich zagadnień, do których owéj metody stosować niepodobna. Zagadnienia takie, jakiemi się trudni metafizyka, są właśnie tego rodzaju; nie wchodzą one w zakres umiejętności, ale pomimo tego umysł nasz może się niemi zajmować. Umysł ludzki nie przestanie pytać się co jest przestrzeń, nieskończoność, Bóg, dusza i jéj przeznaczenie, chociaż umiejętność nie może pytań tych rozwiązać. Po nad rzeczywistością unosi się ideał, który nas ku sobie pociąga i do nowych badań podnieca, budzi nadzieję, że granice natury naszéj przekroczyć zdołamy. Nie godzi się go ani przeczyć, ani o nim wątpić; tylko umysły pospolite nie noszą go w swojéj świadomości; nie może on przecież stanowić części umiejętności, która twierdzi tylko na mocy dowodów. Poezya, muzyka, metafizyka, wiara nie mogą i nie powinny

nigdy tracić z oczu ideału chociaż doścignąć go nigdy nie zdołają i dlatego też słusznie mówią za naszych czasów, że metafizyka jest także pewnego rodzaju sztuką. Zadaniem metafizyki jest wynajdywanie hipotez, które potém nauka ma sprawdzać. Otóż wiadomo, że pozytywiści prawowierni metafizykę wyłączają z zakresu życia umysłowego i dlatego im się Villari nie podobał.

Pokrewnym Villarego duchowo jest Mikołaj Marselli spółziomek jego, albowiem jest on także neapolitańczykiem i należy do téj saméj co i tamten generacyi. Od 1856—1860 przebywał w Neapolu i należał do grupy Heglistów, o któréj wyżéj nieco była mowa. W braku życia politycznego grupa ta żywiła swoję fantazyą najzuchwalszemi pomysłami w świecie idealnym. Nie przypuszczali ci młodzi filozofowie, że wyzwolenie ojczyzny było już tak blizkie. Wypadki wojenne owego czasu pociągnęły Marsellego do Włoch północnych wraz z armią, w któréj służył jako oficer artyleryi. Okoliczności te zmusiły go zajmować się pracami technicznemi, które téż wpłynęły na zmianę jego wyobrażeń. Jeszcze więcéj do téj zmiany przyłożyły się dzieła A. Comte'a, z któremi się zapoznał w Turynie; pomimo tego nie wyparł się i Hegla. Ztąd téż i stanowisko jego filozoficzne nie jest dość wyraźne.

Jużeśmy nadmieniali, że ulubionym przedmiotem młodszego pokolenia pisarzy włoskich stała się filozofia historyi: prawie każdy z nich probował sił swoich na tém polu. I Marselli znany jest nietyle z prac ściśle filozoficznych, ile raczéj ze swojéj *Umiejętności historyi* (*Scienza della storia*, 1873). Czytelnik zrozumié ducha autora, gdy powiemy, że podług Marsellego umiejętnym historykiem był jedynie H. Buckle. Ceni on tylko takich historyków, którzy do dziejów stosowali metodę nauk przyrodzonych, ruguje z historyi wszelkie siły nadprzyrodzone, a swoją drogą strofuje Comte'a za to, że ludziom zabraniał poszukiwania absolutu.

Ze wspomnionéj grupy heglistów neapolitańskich pochodzi także Andrzéj Angiulli, który był z początku takim wielbicielem filozofii niemieckiéj, zwłaszcza heglowskiéj, że się udał do Niemiec, by się napić mądrości u samego źródła w Berlinie. Po trzech latach studyów wyrzekł się Hegla i przeszedł do Comte'a, a gdy się zapoznał z dziełami Darwina i Herb. Spencera, zaczął powoli tracić wiarę w Comte'a i Littré'go, a przechylać się do spółczesnéj filozofii angielskiéj. Powróciwszy do ojczyzny Angiulli wykładał filozofią w Neapolu, Bononii i znów w Neapolu, gdzie z podobnie jak sam myślącymi założył w r. 1871 *Przegląd krytyczny* mający służyć za organ filozofii doświadczalnéj. Pismo po wyjściu kilku zeszytów upadło. Założyciel ogłosił w niém jeden z lepszych artykułów obejmujący rozbiór *Psy-*

chologii Roberta Ardigo. Następnie i inni spółpracownicy *Przeglądu*, jak Zocchi, Miraglia, Schiattarella dali się poznać z prac swoich ożywionych tym samym duchem. Ważniejsze jednak niż te skromne usiłowania, były studya Angiullego w zakresie filozofii teoretycznéj i pedagogiki dokonane. Wydał on najrzód dziełko mające tytuł *Filozofia i badania pozytywne* (*La filosofia e la ricerca positiva*, 1869), w którém dowodził, że charakterystyczną cechę filozofii włoskiéj zawsze, od czasów odrodzenia, stanowiła dążność do badań doświadczalnych, na dowód czego służą Pomponacyusz, Telezyusz, Campanella, Bruno i Galileusz. Autor okazuje się jeszcze w téj pracy mocno przejęty pozytywizmem, od którego stopniowo zaczął się uchylać, mianowicie w tym punkcie, że nie odrzucał z szeregu nauk filozoficznych ani psychologii, ani metafizyki; chciałby on jedynie, żeby ta ostatnia roztrząsała pojęcia materyi, siły, ruchu, nieskończoności i t. p. *à posteriori*, jako wyniki i rezultaty abstrakcyi, nie przyjmując ich *à priori*, jak czyniła metafizyka idealistyczna. Angiulli mniema, że téj nowéj metafizyki nie będzie mógł odrzucać pozytywista godzien tego nazwiska, albowiem badając przyczyny i stosunki wszechświatowe, musi zaczepić o pojęcia kosmologiczne, które w gruncie są metafizycznemi.

Drugą nieco większą pracę ogłosił Angiulli w r. 1876 pod tytułem: *Wychowanie, państwo i rodzina*. Rozbiera tu autor stosunki rodziny i państwa czyli rządu do edukacyi dowodząc, że państwo winno wziąć w swoje ręce wychowanie, ażeby mu nadać cechę umiejętną. Kto na tém polu pragnie swobody, ten musiałby się zgodzić i na to, że jednostkom wolno podkopywać fundamenta życia społecznego. Odrodzenie społeczeństwa zależy od przerobienia jednostek, które je składają; teorye pedagogiczne są już mniéj więcéj udoskonalone, chodzi tylko o ich zastosowanie, do czego państwo jest najsposobniejsze. Ze zmianą wychowania zmienią się instytucye i *kwestya socyalna* zostanie rozwiązana za pośrednictwem szkoły t. j. umiejętnego wychowania. „Nie mówimy—pisze autor—jak Leibnitz: dajcie nam wychowanie, a w ciągu niecałego wieku zmienimy postać Europy; mówimy jedynie, że jeżeli jest w naszéj mocy dokonać przekształcenia i ulepszenia jednostek i ludów, to siła ta leży w umiejętności i w wychowaniu umiejętném.“ Angiulli kreśli téż plan nauk elementarnych stanowiących minimum instrukcyi, którą każdy otrzymać powinien, oraz wzywa pomocy państwa w celu zakładania licznych szkół normalnych mogących przygotowywać nauczycieli do zajęcia posad nauczycielskich w najuboższych gminach wiejskich.

Ale na wychowanie człowieka w młodości wywiera wpływ nietylko szkoła lecz i rodzina, a w rodzinie przedewszystkiém matka.

Otóż do rodziny państwo nie może się mieszać i do wnętrza domu zaglądać: jakim więc sposobem zdoła ono zapewnić spółdziałanie matki w edukacyi umiejętnéj takiéj, jakiéj sobie autor życzy? Przez wychowanie najprzód saméj matki, odpowiada Angiulli. Dlatego téż rząd powinien i środków nie żałować i w potrzebie prawem obostrzyć umiejętne wychowanie płci niewieściéj, przyszłych matek i wychowawczyń. Trzeba im dać pojęcie przynajmniéj ogólne o porządku świata, organizacyi społeczeństwa, historyi i psychologii. Tym sposobem matka stanie na wysokości swoich obowiązków wychowawczych i przyczyni się do zaprowadzenia harmonii w rodzinie gdzie dotychczas wnosiła sprzeciwieństwo i walkę. Autor pod tym względem inaczéj nieco patrzy na wpływ edukacyi rozumowéj, niż np. Herb. Spencer; ten bowiem utrzymuje, że wiedza nie wpływa na czyny (*cognition does not produce action*), że ciemnota nie jest źródłem zbrodni, lecz tylko zwykłą jéj towarzyszką; słowem, że uczucie nie zaś myślenie abstrakcyjne pobudza ludzi do działania. Angiulli zgadza się na to, że uczucia, popędy są siłą poruszającą i popychającą człowieka do czynów, sądzi przecież, że ukształcony rozum kierunek jéj nadaje (1).

Z ducha i dążności prac swoich, do téj saméj grupy autorów należy Arystydes Gabelli, lombardczyk, wychowany w naukowéj tradycyi Cattane'a i spółpracownik redagowanego przezeń pisma *Politecnico*, w którém począwszy od r. 1865 zaczął ogłaszać artykuły: *O wychowaniu zgodném z cywilizacyą*, *O filozofii woli* i inne. Rozproszone te poglądy, gdy lepiéj dojrzały w jego umyśle, zebrał w całość i wydał pod tytułem: *Człowiek i umiejętności moralne* (*L'uomo et le scienze morali*, 1869 i 1871). Gabelli był jednym z pierwszych, co we Włoszech metodę indukcyjną do nauk moralnych stosował walcząc przeciw moralności *à priori*, intuicyjnéj, przeciw mniemaniu jakoby człowiek nosił w sobie gotowy zmysł czy téż instynkt moralny. Zmysł ten wyrabia się pod wpływem zwyczajów, opinij, praw; a jak niema absolutnéj i jednakowéj miary moralnéj w każdéj jednostce, tak nie ma absolutnéj sprawiedliwości w społeczeństwie: obie się doskonalą z postępem nauk, przy lepszém rozumieniu historyi i antropologii.

Kiedy pisarze, o których była mowa, ograniczali się na rozprawach odosobnionych z zakresu filozofii ogólnéj lub metodologii, jeden Ardigo pokusił się o zbudowanie pewnéj całości, jakoby systematu doktryn wyznawanych przez pokrewne z nim umysły. Mimowoli przypomina ten zamiar, usiłowania już w większéj części doko-

---

(1) Podobne na edukacyą poglądy rozwija gorliwy Darwinista De Dominicis, autor dziełka *Wychowanie i Darwinizm* (1877).

nane H. Spencera, od którego autor włoski wiele pojęć zapożyczył. Ardigo zajmuje w spółczesnéj filozofii włoskiéj, najbardziéj wysuniętą naprzód, że tak nazwiemy placówkę w armii walczącéj z dotychczasową metafizyką włoską i jest choregiem metafizyki pozytywistycznéj, chociaż równie jak inni jego koledzy, odstępuje w wielu rzeczach od Comte'a, zwłaszcza w tém, że psychologii nie ruguje z szeregu nauk filozoficznych.

Robert Ardigo był jeszcze w r. 1870 kanonikiem katedry mantuańskiéj. Pod wpływem szerzących się doktryn, szczególniéj téż dzieł Helmholtza tłómaczących mechanizm czucia, zachwiały się jego przekonania, poczem stan duchowny porzucił i oddał się literaturze główniе metafizycznéj. Wkrótce po tym kroku wydał dzieło: *Psychologia* uważana *jako umiejętność pozytywna* (*La psicologia come scienza positiva*, 1871). Książka sprawiła wrażenie i zapewniła autorowi wydatne miejsce wśród młodéj generacyi metafizyków. Rząd włoski powierzył mu naukę filozofii w liceum mantuańskiém, gdzie dotychczas wykłada.

Ardigo zamierzył wypracować szereg dzieł mających okazać, jak się historycznie wyrabiały zwykłe pojęcia o Bogu i duszy ludzkiéj. W liczbie zapowiedzianych prac, pierwsza ma traktować o *tworzeniu się przyrodzoném* wogóle; druga, o *powstaniu przyrodzoném systemu słonecznego*: trzecia, o *tworzeniu się chemiczném*, gdzie będą rozważone stosunki materyi do umysłu; czwarta, o *psychologii* (już wydana 1871); piąta, obejmuje *moralność* czyli *etykę pozytywną*. Z zapowiedzianych tu dzieł, oprócz *Psychologii*, wyszedł już *System słoneczny*, a w r. 1879 ukazała się *Moralność* czyli etyka; reszta blizką jest ukończenia. Co do zasadniczych myśli autora rozwiniętych w wydanych dotychczas dziełach, trudno nam w tym krótkim obrazie powtarzać je szczegółowo; nadmieniamy więc tylko, że gdy się je czyta przypominają na każdym kroku H. Spencera. Wszystko, co istnieje, mówi Ardigo, o tyle jest umysłowi naszemu dostępne, o ile się pewnemi cechami wyróżnia od innych rzeczy. Różnica więc, odmienność stanowi o bycie rzeczy. I tak, zarodek wszelkiéj istoty żyjącéj jest z początku podobny do materyi organicznéj, wśród któréj byt swój rozpoczyna; powoli oddziela się od niéj, różnicuje się od tego, co go otacza. Tak samo dzieje się z pewną ideą zrodzoną w umyśle, z narodem lub grupą etniczną, z gwiazdą lub systemem gwiazdowym w łonie mgławicy. Rodzenie się czyli powstawanie rzeczy odbywa się nieustannie a to za pomocą ciągłego przechodzenia ich ze stanu niewyraźnego, nieodróżnionego w określony, wyróżniony i naodwrót. Taka jest abstrakcyjna kosmologia autora. Kto sobie przypomni integracyą i desintegracyą Spencera, tego podobieństwo z powyższemi

pojęciami odrazu uderzy. Tłómaczenie genezy pojęć naszych o przestrzeni i czasie, o materyi, sile, ruchu i przyczynie, także przypomina rozumowania filozofa angielskiego. Trzeba dodać że Ardigo pojmuje swój świat, jako urządzony koniecznością ale obok konieczności, sadowi i przypadkowości, tak jednak, iż wszystko w końcu dzieje się ku dobremu; słowem, system to całkowicie mechaniczny, którego motorem jest *los*, *przypadek*.

W psychologii zbliża się autor do spółczesnéj psychologii angielskiéj, zwłaszcza do Spencera, którego jednak, ogłaszając swoje dzieło, podobno jeszcze nie znał. Ardigo nie odróżnia z kantystami, zjawiska od treści, *fenomenu* od *noumenu*, zjawisko bowiem jest u niego tem samém co i treść, a wyobrażenie, zamiast być czemś środkującém między obu skrajnemi terminami, jest samą rzeczywistością. Ztąd téż system taki możnaby nazwać fenomenizmem absolutnym. Wspominaliśmy powyżéj, iż metafizycy włoscy kierunku empirycznego tém się między innemi różnią od pozytywistów prawowiernych, że nie odrzucają psychologii, tylko że inaczéj się zapatrują na zjawiska psychiczne niż dotychczasowa psychologia. Ardigo téż broni psychologii jako odrębnéj umiejętności, a statystykę, czyli jak Quetelet nazywa fizykę społeczną uważa za najdzielniejszego jéj pomocnika. Chociaż psychologia posługuje się tą samą metodą co i nauki przyrodzone i w częstą z niemi wchodzi styczność, niemniéj jednakże ma swój byt odrębny dlatego, że się zajmuje zjawiskami nie dającemi się zredukować od innych zjawisk. Cechą istotną tych zjawisk (świadomości) jest to, że wiemy o nich wewnętrznie, przez siebie samych; że choćbyśmy jaknajszczegółowiéj poznali towarzyszące im fakta zewnętrzne, zawsze w końcu musimy cofnąć się w siebie chcąc wytłómaczyć osiągnione rezultaty. Chociaż teleskop jest niezbędny do widzenia pewnych gwiazd, nie znaczy to przecież, że teleskop widzi. Tak samo i badanie dotyczące faktów zewnętrznych towarzyszących świadomości, chociaż jest niezbędne, może jednak być tylko *środkiem* do poznania saméj świadomości. Innemi słowy, fizyologia sama nie wystarczy do zrozumienia zjawisk psychicznych, jest ona przecież niezbędnym do tego środkiem. Nowa psychologia odrzuca podział umysłu na rozmaite zdolności czyli władze, które jak Ardigo powiada, są dowodem naszéj niewiadomości, gdy bowiem nie wiemy, do któréj z części mózgowia odnieść pewną czynność umysłową, lub pewne uczucie, tworzymy dla nich odrębne zdolności i tym sposobem wydobywamy się z kłopotu. Otóż te fikcyjne zdolności nie mogą zatrzéć paralelizmu widocznego w każdym objawie umysłowym, tj. strony fizycznéj i psychicznéj: dwa szeregi zjawisk składających się na czynność umysłową zostają z sobą w najściślejszym związku.

Chcąc zrobić krok dalej w poznaniu umysłu, trzebaby módz zredukować własności wspólne obu stronom do jakiejś ogólniejszéj zasady; słowem, w nowéj psychologii mówi się tylko o zjawiskach i prawach niemi rządzących.

Z przytoczonych tu główniejszych poglądów autora na psychologią widać jak na dłoni powtarzanie wypowiedzianych takich samych poglądów przez szkołę angielską a potroszę i przez Spinozę. Więcéj szczegółów o psychologii téj jak i o innych częściach systematu Ardigi znajdzie czytelnik w książce Espinass'a (1).

Rozwijając daléj swój systemat Ardigo wydał świeżo *Moralność pozytywistów*. Etykę, zdaniem jego, należy traktować także metodą doświadczalną, gdyż moralność *intuicyjna* jako zbiór idei oderwanych, nie opiera się na rzeczywistości psychicznéj, wisi w powietrzu niejako, jest czczą kombinacyą pojęć. Czynniki składające się na pewien czyn ludzki są nadzwyczaj złożone i rozmaite; stanowią je niezliczone idee i popędy, wyobrażenia i uczucia, które w umyśle żyją swojém właściwém życiem i niechybnie powodują pewne czynności. Dlatego błędem jest odłączać uczucia od idei, lub jedne i drugie od woli; każdemu pojęciu towarzyszy pewne wzruszenie, a każdemu wzruszeniu pewna czynność choćby tylko początkująca. Czucie, będące ogólną nazwą wszystkich zjawisk psychicznych, jest samo również popędem. Gdy więc chcemy wskazać związek praw działania czyli naszych czynów z prawami myślenia, można tego dokonać jedynie za pomocą obserwacyi; to, co *jest*, samo jedynie zawiera tajemnicę tego, co być *powinno*. W rozwinięciu tych myśli ogólnych Ardigo tak daléj rozumuje: Każda istota ma dążności wynikające niechybnie z warunków, w jakich żyje. Zwierzę, będąc zdolne do ruchu, potrzebowało odróżniać przedmioty, zkąd doznawało przyjemności i przykrości; jest ono obdarzone jedną i drugą czynnością. W całym szeregu zwierząt, strona psychiczna zostaje w pewnym stosunku korrelacyjnym z otoczeniem. Człowiek jest przedewszystkiém istotą społeczną, czuje potrzebę społecznego życia, czyli obdarzony jest skłonnościami społecznemi. Stykają się w nim pewne idee z odpowiedniémi popędami, zkąd się rodzi pragnienie szczęścia dla bliźnich, które jest silniejsze, niż pragnienie własnego szczęścia i które skłania go do powściągania popędów samolubnych na rzecz tych grup społecznych, w których żyje. Napróżno utrzymują, że przeważna liczba czynów ludzkich wynika z interesu a więc z samolubstwa gdyby bowiem tylko pewna ich ilość pochodziła z sympatyi i poświę-

(1) *La philos. experimenten.* Italie (p. 103—112).

cenia, to już możnaby je uważać za charakterystykę działania ludzkiego, boć charakterystykę pewnéj istoty stanowią jéj czynności i dzieła najdoskonalsze, tak jak znów cechą specyalną jakiegoś gatunku roślinnego są najpiękniejsze jego kwiaty lub najsmaczniejsze owoce. Ależ znów poświęcenie nie jest zjawiskiem tak rzadkiem, jak się niektórym zdaje: na niém polega rodzina, a nie mówiąc już o czynach heroicznych, życie narodów podtrzymuje się mnóstwem poświęceń nieznanych, ukrytych, gdy niejeden z nas czyni zaparcie samego siebie, ażeby tylko funkcya społeczna, którą nam los powierzył nie ucierpiała w naszych ręku, ażeby sprawiedliwość i prawda odniosły zwycięztwo. „Natura, mówi autor, może pobudzić w nas do działania siłę antyegoistyczną nawet wtenczas, gdyby działacz na tém ucierpiał lub miał przez to zginąć.“ Czyliż tego nie widzimy na miłości macierzyńskiéj? Natura rodzi w nas popęd, za którym idzie przyjemność; gdyby nie tak było, to zkądże się wziął pierwszy czyn, za nim się przekonano o przyjemnych skutkach wynikających z niego? Zresztą przyjemność tak mało wpływa na dokonanie czynu cnotliwego, że działacz nieraz pomnaża sobie sposobność cierpienia, a gdy się zahartuje, tym rzadziéj bywa mu dostępnym. Człowiek tedy z natury swojéj dąży do urzeczywistnienia ideału zaparcia się, abnegacyi, dobroci, co właśnie stanowi jego cechę wybitną, jego „formę dominującą.“

Są to wprawdzie jeszcze ogólniki, którychby nie podpisali utylitaryści, ale na któreby się mogli zgodzić stoicy; autor wszakże na tych ogólnych pojęciach kończy poprzestając na stwierdzeniu w człowieku idei moralnych. Ardigo nie przeczy pewnéj słuszności dążeniom egoistycznym, owszem uznaje, że ludzie dopiéro wtenczas mogą pożytecznie służyć sprawom zbiorowym, ogólnym gdy osiągną normalny swój rozwój; przeciwny jest zarówno ascetyzmowi jak i hedonizmowi: ale sądzi, że pragnienia szlachetne odniosą niechybnie zwycięztwo nad instynktami poziomemi w każdéj ludzkiéj istocie, która nie straci wolności i autonomii moralnéj, jak nie mniéj w każdém społeczeństwie niekrępowaném w swoim samorzutnym rozwoju.

Nim opuścimy tego autora, dodajmy jeszcze, że co się tyczy wolności woli, przedmiotu wielce spornego w etyce, Ardigo hołduje determinizmowi i rozumie tę wolność w duchu Spinozy i stoików; wolność, podług niego, znaczy panowanie idei nad popędami fizyologicznémi. W całém królestwie zwierzęcém autonomia woli wzmaga się w postępie rosnącym, tj. że zwierzę coraz więcéj powoduje się wyobrażeniami, im bardziéj w tym szeregu zbliżamy się do człowieka. Tylko człowiek, zwłaszcza cywilizowany, lubo ulega siłom zewnętrznym działającym nań za pośrednictwem czucia „okazuje pew-

ną formę nowéj siły w świecie i nadaje nowy kierunek niższym siłom organizmu." Z drugiéj strony, społeczeństwo tak jest uorganizowane, że się przyczynia do rozwoju wolności i panowania idei. Dziedziczność przelewa zwycięztwa, które każde indywiduum odnosi nad częścią zwierzęcą swojéj istoty, przekazując następnie ich wychowanie, język, opinią; prawa coraz bardziéj powściągają heteronomią sił niesfornych i służą za bodźce podniecające autonomią rozumu. Dzięki tym rozmaitym środkom ograniczającym a razem pobudzającym wolę, powstają w społeczeństwie nawyknienia, które następnym pokoleniom oszczędzają wysiłków czynionych przez poprzednie i nowe siły wyzwolone w ruch wprowadzają. Tym sposobem ludzie wszystkich wieków są z sobą zsolidaryzowani i ostatni przybysze korzystają z owoców pracy swoich poprzedników, co im pozwala ich prześcigać pod rozmaitémi względami. Trzeba tylko, by téj samorzutnéj dzielności nie krępowały żadne siły zewnętrzne, pod któremi Ardigo rozumie ograniczenia religijne oraz hamulce nakładane przez władzę absolutną, gdyż wszelkie ścieśnienia stanowią zamach na autonomią woli, i tamują wykluwanie się nowych form społecznych. Chcąc tego uniknąć autor widzi ideał polityczny w urządzeniach federacyjnych zapewniających najwięcéj swobody indywidualnéj.

Sądząc choćby z przytoczonych główniejszych poglądów autora na kosmologią, psychologią i etykę, trudno im przyznać nowości; to samo już nieraz było wypowiedziane i wisi że tak powiemy w atmosferze spekulacyjnéj spółczesnéj. Wady i braki jego psychologii wytknął Angiulli w *Przeglądzie krytycznym*, o czém wyżéj już wspomniano. Kosmologia obraca się w samych abstrakcyach i mniéj warta od dobrego podręcznika kosmografii. Etyka powtarza nienowe pojęcia deterministów. Polityka radząca federacyą jako palladium swobody, nie liczy się z socyologią doświadczalną i jak mówi Espinasse, cofnęłaby świat o dwadzieścia wieków do walki miast kommun, do stanu dawno minionego.

Ardigo, lubo sam niedawno zaczął się zajmować spekulacyą filozoficzną doczekał się przecież już ucznia, który go także krytykuje. Jest nim Henryk Ferri. Zamieścił on w *Przeglądzie filozoficznym* francuzkim (z r. 1879) rozbiór kosmologii swojego mistrza, któremu zarzuca wprowadzenie do teoryi systemu słonecznego, *przypadku* (*caso*), indeterminizmu. Spór jednak między nimi jest pozorny, wynika z nieporozumienia się o znaczenie determinizmu; w gruncie obaj się zgadzają. Ferri wydał nadto *Teoryą odpowiedzialności i zaprzeczenie wolnéj woli*, gdzie opierając się na książce Herzena (*Fizyologia woli*) i rezultatach fizyologii, staje w obronie bezwarunkowego determini-

zmu. Nowość pewną w książce Ferrego stanowi wzięcie pod uwagę *nieświadomości* (l'inconscient) i udziału jéj w postanowieniach człowieka.

Zapoznawszy się z najnowszemi teoryami Francuzów, Anglików i Niemców młodsze pokolenie spółczesnych metafizyków włoskich zaczęło je przerabiać po swojemu, modyfikując niektóre a inne przyswajając sobie jako rzecz gotową. W pokoleniu tém widzimy bądź dawniejszych Heglistów, bądź uczniów Romagnosego i Cattanea, bądź nareszcie pozytywistów. Łączy ich wspólna nić, którą stanowi metoda eksperymentalna z jednéj, a negatywna krytyka metafizyki idealistycznéj z drugiéj strony. Rosprawy ich i dzieła większe, o których była mowa, nie wyszły jednak poza ogólne, metodologiczne poglądy. Brak w nich konkretnego materyału i zastosowania metody nowéj, zachwalanéj w teoryi a mało lub wcale niestosowanéj w praktyce tak że bez nadwerężenia prawdy, możnaby ich nazwać metafizykami pozytywizmu. Otóż metafizyka czy to idealistyczna, czy materyalistyczna nie posuwa wiedzy istotnéj, chociaż może być potrzebą danéj chwili i umysłów pragnących coprędzéj uogólnić rezultaty nauk ścisłych i stworzyć nowy pogląd na świat. Ażeby wyjść z tych ogólnych rozumowań i abstrakcyj, należy zstąpić do faktów z téj lub owéj dziedziny, ażeby na nich wypróbować skuteczność metody. Fakta dobrze obserwowane lub doświadczeniem stwierdzone nie przestają nigdy mieć wartości, bez względu na hipotezę, do poparcia któréj ich użyto. Gdy się prace umysłowe raz na to pole zwrócą, i gdy osiągnione rezultaty pomnożą istotny kapitał naukowy, wtedy następuje względny pokój, spory ustają przynajmniéj czasowo, a metafizyka może sobie powiedzieć, że spełniła zadanie budząc umysły, nasuwając hipotezy. Zjawisko takie widzimy właśnie i w rozwoju metafizyki włoskiéj spółczesnéj. Po zuchwałych nowatorach, po radykalistach, i obok nich pracują ludzie trzeźwi, zbierający fakta w rozmaitych sferach wiedzy, nie przysięgający na dogmata pozytywistów lub ewolucyonistów, posługujący się jednak nowemi hipotezami i związani przez nie z umysłowym ruchem całego świata. O téj grupie autorów włoskich chcemy tu jeszcze pomówić, a w szczególności zobaczyć prace ich na polu fizyologii, biologii i nauki społecznéj. Rozumie się samo przez się, że tylko stronę filozoficzną dzieł ich możemy podnieść, ażeby uzupełnić niniejszy obraz filozofii włoskiéj.

Gdybyśmy chcieli szukać poprzedników i przodków niejako téj grupy uczonych włoskich, możnaby tu przytoczyć lekarzy: Bufaliniego i Puccinottego, którzy w pierwszéj połowie naszego stulecia dali się poznać z prac swoich. Bufalini stosował do nauki patologii metodę Condillac'a w dziełku *Studyum o teoryi życia* (1813) i już wten-

czas lekceważył biologią, która szukała esencyi rzeczy i pierwszych przyczyn, a wiedzę ścisłą radził opierać na poznaniu zjawisk i ich stosunków. Puccinotti znów w swojéj *Patologii indukcyjnéj* (1828) żądał od lekarza, by po rozklasyfikowaniu chorób starał się je redukować do ogólnych praw życia. Po lekarzach przyszli fizyologowie, tacy jak Tamburini znany z prac nad fizyologią mózgu i z dzieła: *Przyczynek do fizyologii i patologii mowy* (1876). Siciliani wydał w r. 1876 *Dyalogi zoologiczne*, dzieło co do formy więcéj literackie niż ściśle naukowe, w którém jednakże autor roztrząsa między innemi „Zasadniczy problemat nowéj psychologii“ dowodząc, że ani spirytualiści, ani materyaliści nie myśleli nigdy o klasyfikacyi zoopsychicznéj przyrodzonéj. Sądzi on, że gdyby do psychologii porównawczéj zastosowano punkt widzenia oparty na homologii i analogii, któremi się posługuje morfologia, możnaby przeprowadzić klasyfikacyą genetyczną wszystkich form inteligencyi, jakie spotykamy w całém królestwie zwierzęcem. Myśl tę podniósł Tytus Vignoli w dziele *O zasadniczém prawie umysłu w królestwie zwierzęcém* (1879) (1). Jest to próba psychologi porównawczéj oparta na bardzo licznych postrzeżeniach obcych i własnych autora, niewolna wprawdzie jeszcze od pewnych metafizycznych wspomnień, zwłaszcza co do początków inteligencyi w roślinach, zawierająca jednak wiele gruntownych danych o instynkcie zwierząt, ich przemyśle i różnicy od rozumu ludzkiego i dzieł człowieka.

Niemniejszy interes naukowy mieści inne dzieło tegoż autora pod tytułem *Mit i Umiejętność* (1880 (2). Powstało ono z odczytów miewanych w akademii medyolańskiéj. Autor wykazuje w niém genezę mitów na podstawie psychologicznéj, dowodzi, że mit wyniknął z umysłowéj potrzeby człowieka chcącego sobie wytłómaczyć otaczające go zjawiska fizyczne i społeczne, że stanowił pewien ogólny pogląd na świat i dążył do tego samego rezultatu co i umiejętność tłómacząca nam zjawiska naukowo. Historyczny rozwój mitów a obok nich umiejętności, oraz wpływ marzeń sennych, normalnych i anormalnych halucynacyj, są wyłożone ze znajomością rzeczy. „Mit, powiada autor, jest według nas, owocem samorzutnéj twórczości wyobraźni, w którym się wcielają rozum i uczucia ludzkie, jest on psychofizyczném uprzedmiotowieniem się człowieka we wszystkich zjawiskach, które na sobie samym lub w świecie zewnętrznym dostrzega.“ Zdolność do tworzenia mitów, uważa dalej, jest wszystkim lu-

(1) Znane nam w tłómaczeniu niemieckiém pod tytułem: *Ueber das Fundamentalgesetz der Intelligenz im Thierreiche* (Lipsk, 1879).

(2) *Mythus und Wissenschaft*, (1880).

dziom wrodzona i na wszelkich stopniach cywilizacyi, we wszystkich wiekach i rasach dostrzegalna, jest słowem, psychiczną czynnością wynikającą z organizacyi człowieka.

Postęp fizyologii w swoim kraju zawdzięczają włoscy uczeni Moleschottowi i Schiffowi. Moleschott wezwany do uniwersytetu w Turynie 1861 r. wtajemniczył w obserwacye i doświadczenia fizyologiczne wielu uczniów i za oddane usługi naukowe, mianowany został senatorem włoskim. Schiff wykładał jakiś czas we Florencyi, gdzie także obudził zamiłowanie do fizyologii i zostawił uczniów, między którymi znajdował się czynny obecnie w literaturze naukowéj Herzen, syn Aleksandra, znanego publicysty. Obok tych ludzi cudzoziemskiego pochodzenia zaczęli uprawiać fizyologią i antropologią sami Włosi jak Golgi, Tomassia, Morselli, Tamburini, Verga, Luciani, Lombroso. Dwa organa służą za ognisko myśli tym autorom: *Archiwum antropologiczne*, którém kieruje senator Mantegazza (we Florencyi), oraz *Przegląd doświadczalny psychiatryi i medycyny sądowéj* (w Regio-emiliańskiém) pod redakcyą Tamburiniego. Organem spraw społecznych jest *Przegląd tygodniowy* (*Rassegna settimanale*) wychodzący w Rzymie, który założyli: Villari, Franchetti i Sidney Sonnino, będący głównymi jego spółpracownikami. Widać zapał i krzątanie się wielkie w tém pokoleniu, widać samowiedną chęć podźwignienia nauki włoskiéj, a przez nią znaczenia odmłodzonéj ojczyzny.

Nie mogąc zbytecznie przeciążać szczegółami niniejszego obrazu, wspomnimy tylko niektórych z powyżéj wymienionych pisarzy i prace będące w związku z filozofią doświadczalną, dodając, że charakteryzuje ich dążność mająca na celu zredukowanie czynności psychicznych do innych sił przyrodzonych (ruchu) i podciągnięcie piérwszych pod ogólne prawo korelacyi. Mantegazza np. w *Studyum o przemianie sił psychicznych*, Herzen w *Fizyologii woli* oraz w dziełku *Warunek fizyczny świadomości*, cel ten wyraźnie wypowiedzieli i rezultaty bądź swoich bądź obcych badań, sformułowali.

Obecny stan fizyologii pozwala — według Herzena — twierdzić, że ogólnym warunkiem świadomości jest dezintegracya substancyi nerwowéj w ośrodkach nerwowych. Uważana pod względem materyalnym jest ta dezintegracya rozkładem substancyi nerwowéj, a pod względem dynamicznym przemianą sił utajonych na żywe. Po niéj następuje zaraz reintegracya czyli skład (rekompozycya) materyi i odwrotna przemiana sił żywych na utajone. Dwa te procesy kolejno po sobie następują w życiu fizyologiczném wogóle, a w szczególności w układzie nerwowym. Wszakże tylko dezintegracyi towarzyszy świadomość i to wówczas, gdy się odbywa w komórce central-

néj... słowem, wszelka czynność psychiczna pociąga za sobą rozkład substancyi nerwowéj i wyzwolenie sił żywych. Herzen w téj swojéj teoryi warunków fizycznych niezbędnych dla objawów życia psychicznego, najwięcéj zbliża się do Spencera, trzymając się pośrodku między Maudsley'em, który przeczy, by świadomość towarzyszyła czynności nawet wyższych ośrodków nerwowych, a Lewes'em, który każe świadomości towarzyszyć niższym ośrodkom i rdzeniowi kręgowemu: innemi słowy, odrzuca powszechny automatyzm piérwszego jak niemniéj powszechny intellektualizm drugiego.

Do téj saméj szkoły fizyologów co poprzedni, należą dwaj młodzi uczeni Tamburini i Luciani. Oddają się oni głównie badaniom doświadczalnym mózgu, oraz poszukiwaniom co do umiejscowienia pewnych uzdolnień w rozmaitych organach i częściach mózgu. Taki cel pracy wytknął sobie Tamburini w przytoczoném wyżéj dziele *Przyczynek do fizyologii i patologii mowy* (1876); do tegoż zmierzają studya obu uczonych wydane razem pod tytułem: *O czynnościach mózgu, Badania doświadczalne* (1878—79). Prace te będące kontynuacyą takichże studyów Ferriera i Hitziga dlatego zasługują na uznanie, że autorowie jak najmniéj wdają się w metafizykę i jaknajbardziéj pilnują gruntu ściśle naukowego. Tą właśnie stroną uczeni włoscy stykają się ze współczesnym kierunkiem psychologii fizyologicznéj, a prowadząc badania swoje metodą umiejętną, strzegąc się pośpiesznych uogólnień, obserwując i starannie mierząc fakta, podążają w uprawie umiejętności za starszymi i doświadczeńszymi koryfeuszami innych narodów (1).

Jak w biologii wogóle tak i w nauce społecznéj czyli socyologii, zastosowana metoda doświadczalna, zaczyna we Włoszech wydawać owoce godne powszechnéj uwagi. Po abstrakcyjnych bujaniach takich metafizyków jak Ferri, Ardigo, Angiulli którzy dość pojętnie kopiują pozytywistów i jaskrawością słowa, deklamacyą starają się zyskać rozgłos; korzystnie odbijają się mozolne prace istotnie uczonych mężów, przedsiębrane na rozmaitych polach nauk społecznych i moralnych. Ekonomika, statystyka, etyka liczą obecnie we Włoszech bardzo zdolnych autorów, których sława przeszła za granice kraju i obudziła uwagę cudzoziemców. Mamy tu na myśli uczonych takich jak Miraglia, Cusumano, Cossa, Lombroso, Morselli i innych.

Przyjrzyjmy się przynajmniéj niektórym z nich, ażeby zobaczyć ile się téż przyłożyli do zwiększenia zasobu wiedzy ogólnéj na polu socyologii.

---

(1) Bardzo cenioną krytykę filozofii doświadczalnéj, a głównie etyki tego kierunku wydał Joachim Barzellotti, profesor liceum Dantego we Florencyi: *La morale nella filosofia positiva* (1871). Pracę tę przełożono na język angielski.

Jakkolwiek spekulacye ogólne śmiało rozcinające najtrudniejsze problemata naukowe mogą się podobać i prostotą rozwiązań pociągać; jednakże społeczeństwo myślące żąda dzisiaj czego innego, niż systematów metafizycznych czy to materyalistycznych czy idealistycznych. Są obecnie na porządku dziennym, jak to się zwykło mówić, studya bardziéj ścieśnione i ograniczone do pewnéj grupy faktów, do zjawisk bardzo konkretnych i realnych, prowadzone z niesłychaną cierpliwością i ciągle kontrolowane za pomocą tychże faktów i zjawisk, dążące do ujęcia postrzeżeń w dane liczebne. Synteza takich badań różni się od gołosłownych uogólnień ścisłością i pewnością, gdyż stanowi tylko zsumowanie danych szczegółowych.

Badaniami tego rodzaju odznaczyli się przed innemi Cezar Lombroso i Henryk Morselli. Lombroso wydał dzieło pod tytułem *Człowiek zbrodniczy* (*L'uomo delinquente*); studyum bardzo cenione, będące rozdziałem socyologii, że tak nazwiemy patologicznéj. Jako lekarz, antropolog, expert medyko-sądowy, zwiedzający starannie więzienia i domy obłąkanych, znawca literatury swojego zawodu, posiadacz muzeum w którém się znajdują fotografie, czaszki i nawet próbki pisma rozmaitych zbrodniarzy, Lombroso był w możności prędzéj niż kto inny powiedziéć gruntowne zdanie w sprawie tak bardzo obchodzącéj społeczeństwo, mianowicie co się tyczy odpowiedzialności moralnéj człowieka i karalności czynów zbrodniczych (1).

Lombroso oprócz powyższego dzieła, wydał jeszcze studyum pod tytułem: *Myśl i meteory*, będące czemś pośredniem między psychologią normalną i anormalną, między psychologią indywidualną a społeczną. Autorowi chodziło o bliższe określenie wpływów, jakie na myśl ludzką wywierają okoliczności atmosferyczne i klimatyczne, zjawiska niebieskie, trzęsienia ziemi i t. p. Postrzeżenia swoje czynił autor nad grupą ludzi, bardzo wpływowi tych zjawisk ulegających, mianowicie obłąkanych. Usposobienie chorych zmienia się co chwila; fakt ten stwierdzają lekarze i dozorcy. Z licznych postrzeżeń autor dochodzi do wniosku, że niektóre czynniki atmosferyczne nie sprawiają żadnego widocznego wpływu w czynnościach mózgowych; do takich należą: elektryczność dodatnia i ujemna, ozon, magnetyzm, wilgoć, wiatry, księżyc; wpływ zaćmień słońca i przesileń dnia z nocą także jest małoznaczny. Najwidoczniejszy za to jest wpływ ciśnienia barometrycznego w chwili zmiany temperatury, co potwierdzają

---

(1) O dziele tém podało już „Ateneum" krótkie sprawozdanie w r. 1879 (t. II, str. 560—563). Rozbiór zaś jego znajduje się w „Niwie" z r. 1881. Zeszyt 163. (*Nowe teorye kryminalne* przez Pyrowicza).

częstsze napady obłąkania, częstsze zbrodnie i samobójstwa w miesiącach gorących, zwlaszcza gdy nastaną piérwsze upały.

Im organizm niżéj stoi w szeregu zwierząt, tymbardziéj podlega owym wpływom. Ośrodki nerwowe niższe są organami czucia, że tak powiemy meteorologicznego; wrażliwość ich jest tym większa, im słabsza czynność mózgowia i nawzajem. Człowiek dorosły, silny i zdrów zaledwie dostrzega na sobie wpływ zmiany barometrycznéj; tymczasem chorowity, delikatny, niewiasta lub dziecię bardzo ją odczuwają; obłąkani i idyoci także zwiastują zbliżanie się zmian w temperaturze, mniéj już maniacy i monomaniacy. Jako wynik ogólny ze swoich postrzeżeń, Lombroso podaje następujące prawidło: „Im głębszy jest nieład w centrach psychicznych, tym większéj przewagi nabiera układ splotowy (ganglionarny) i rdzeniowy, a tem samém wrażliwość na czynniki meteorologiczne zwiększać się zdaje. Jeżeli od ludzi przejdziemy do zwierząt, wrażliwość owa słaba jeszcze u małpy, konia, psa; jest już wyraźniejsza u kota i zająca, tém bardziéj u ptaków i żabowatych (batrachia); dochodzi maximum u bezkręgowców, naprzykład u owadów, robaków i zwierząt morskich. W takim samym porządku objawiają niepokój kręgowce przy zbliżającém się trzęsieniu ziemi.

Postrzeżenia te nabierają wielkiéj wagi w ocenianiu zjawisk społecznych, które są skupieniem czynności indywidualnych dokonywanych pod wpływem owych czynników. Zauważono np. że najwięcéj zaburzeń ludowych przytrafiało się w miesiącach czerwcu i lipcu, że bandy złoczyńców trwale uorganizowane utrzymują się przeważnie w krajach gorących. Przeciwnie znów kraje takie, w których te przyczyny nie działają, powinny być najdogodniejsze do rozwoju cywilizacyi. Opierając się na licznych faktach twierdzi, że dzieła genialne, odkrycia naukowe, wynalazki i sztuki będące najpiękniejszym kwiatem rodu ludzkiego, zjawiają się w pewnych klimatach i porach roku. „Najcenniejsze utwory umysłu ludzkiego pochodzą z miesięcy wiosennych."

Bardzo pokrewny przedmiot poprzedniemu, traktuje inny autor włoski, także lekarz z powołania. Mówimy o dziele *Samobójstwo* (*Il Suicidio*, 1879). Autorem jego jest Henryk Morselli, profesor psychiatryi w uniwersytecie turyńskim, lekarz królewski i ordynator zakładu obłąkanych w Turynie. Zastosował on do swojego przedmiotu teoryą ewolucyjną i oparł jego wykład na statystyce porównaczéj. Samobójstwo jest — podług niego — faktem psychicznym, na częstość którego wpływają różnice etnologiczne, biologiczne i socyalne. Zamiarem Morsellego, jak sam mówi, było zebranie dowodów popierających nowożytny determinizm; dowody czerpał ze statystyki wielu

krajów stwierdzając cyframi dostrzeżone już dawniéj zjawisko wzrostu samobójstwa. Jest-to również rozdział patologii społecznéj obejmujący liczne tablice cyfr i wykazujący związek plagi z rozlicznémi warunkami otoczenia, wśród którego żyje człowiek dzisiejszy. Dołączona mapa odrazu stawia przed oczy badacza gęstość choroby. Dla psychologa i socyologa materyał wielce obfity i tém cenniejszy, ile że dzieło zawiera nie same tablice, lecz i ogólniejsze uwagi. Sumienność i ścisłość w traktowaniu przedmiotu sprawiły, że dzieło Morsellego przełożono już na język angielski i niemiecki. Tak więc Włosi doczekali się, że prace ich naukowe tłomaczą cudzoziemcy, a to nie dla radykalnych teoryj, których im nie brak, lecz dla gruntowności. Filozofia zyskałaby wiele, gdyby autorowie wszystkich krajów szukali danych do swoich rozumowań w umiejętnościach fizycznych i przyrodzonych, zamiast powtarzać jedni za drugimi czcze abstrakcye i budować systemata wiedzy powszechnéj na szczupłéj liczbie i niedokładnie obserwowanych faktów.

Oprócz fizyologii i psychologii społecznéj nie zaniedbują dzisiejsi włoscy pisarze i ekonomii politycznéj stanowiącéj tak ważną część socyologii. Z pomiędzy licznych autorów ekonomicznych największego stosunkowo dobili się uznania Miraglia i Cusumano. Pierwszy wydał *Zasadnicze początki rozmaitych systematów filozofii prawa i nauki etyczno-prawnéj Hegla* (1873); niedawno znów ogłosił *Dwie fazy nauki ekonomicznéj w związku z rozwojem filozofii nowożytnéj*. Miraglia jest umiarkowanym Heglistą ze szkoły Spaventy, jednakże nachyla się do metody doświadczalnéj i ciało społeczne uważa za organizm żyjący. Cusumano skreślił w swojéj *Historyi szkół ekonomicznych niemieckich* (1875), obecny prąd ekonomiczny, nazywany ogólnie socyalizmem katedralnym czyli uniwersyteckim. Dzieło jego uważane jest za najzupełniejszy wyraz teoryj ekonomicznych spółczesnych o stosunku i zadaniu państwa w społeczeństwie. Tak Cusumano jak i Miraglia, Messedaglia, Cossa, Lampertico, Luzatti, Schiattarella, Morpurgo i wogóle młodsze pokolenie ekonomistów włoskich, nie bawią się w abstrakcyjne rozprawianie o państwie, lecz uznają je jako byt konkretny, jako organ powołany do kierowania rozwojem społeczeństwa. Dlatego téż przyznają mu nietylko negatywne prawo powściągania, lecz oraz inicyatywę w działaniach zmierzających na korzyść społeczną. Zdaniem ich nie godzi się losu Włoch zostawiać przypadkowi i na łasce inicyatywy prywatnéj lub zbiorowéj na szkodę narodu działających, lecz trzeba go powierzyć w ręce państwa, jako przedstawiciela sumienia narodowego, który sam jeden za pomocą edukacyi narodowéj, może naród doprowadzić do osiągnięcia swoich przeznaczeń.

Zbierając w jedno co poprzednio o rozwoju spółczesnéj filozofii we Włoszech powiedziano, widzimy fakt powtarzający się i w innych literaturach. Filozoficzna spekulacya włoska była w początku bieżącego wieku naśladowniczką francuzkiéj, angielskiéj lub niemieckiéj. Obok niéj rozwijał się idealizm zwany narodowym na tle patryotycznéｍ. Dążenia skierowane do odzyskania niepodległości politycznéj tamowały wzrost czystéj spekulacyi; jedynie heglizm okazywał pewną żywotność i to w kierunku negatywnym, krytycznym. On téż przygotował grunt do posiewu nowych doktryn płynących z pozytywizmu, Darwinizmu i spółczesnéj filozofii angielskiéj. Gdy naród odzyskał największe dobro na ziemi t. j. niezależny byt polityczny, nauka w ogóle a spekulacya filozoficzna w szczególności weszły na tór spokojniejszego badania, tak, że obecnie widać zwrot od abstrakcyjnych i wielce radykalnych teoryj do uprawy rzeczywistości metodą umiejętną. Wyrazem tych dążeń są wzmiankowane wyżéj pisma peryodyczne poświęcone antropologii, medycynie sądowéj, oraz spekulacyi filozoficznéj, któréj organem była dotychczas *La filosofia delle scuole italiane*, a teraz przybywa jéj w pomoc nowa *Rivista di filosofia scientifica*. Zapowiedzianém pismem mają kierować: H. Morselli, R. Ardigo, G. Boccardo, G. Canestrini i G. Sergi.

F. K.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

Literatura pamiętnikowa wszędzie i zawsze cieszyła się dużém powodzeniem. Jest to zjawisko bardzo naturalne. Pamiętnik, środkujący między poważną historyą, a lekką opowieścią, przystępniejszy jest dla każdego i nie wymaga takiego skupienia uwagi i natężenia myśli jak praca naukowa. Nadto pamiętnik obok dziejowéj strony i faktu politycznego znaczenia, dotyka spraw obyczajowych, prywatnych; czasem przemknie się w nim jakiś skandalik a historya znajdzie tu fakta, powieściopisarz szczegóły obyczajowe, zwykły czytelnik często wzmiankę o wypadkach i osobach, o których słyszał, albo z którymi on, lub rodzina jego w stosunkach nawet zostawali.

Treść pamiętników zależy zwykle od stanowiska, jakie w świecie zajmował opowiadacz. Ale zdarza się téż często, że pamiętnikarz, opowiadając, wypadki wielkiego historycznego znaczenia, w których uczestniczył, zapomina o właściwém swym charakterze a z zapasem uczoności i apodyktycznych twierdzeń na harc występując, przestaje być pamiętnikarzem, a nie dorasta do znaczenia historyka. Pretensyonalność w takim razie zwykle wartość wewnętrznę zabija i pamiętniki pisane z celem, aby publikowane drukiem, przekonania piszącego w czytelnika wpoiły, najczęściéj niepostrzeżone przechodzą.

Pamiętnik, z którym zapoznać chcemy, w literaturze tego rodzaju trzyma miejsce pośrednie. Zalety i wady prawie się w nim równoważą, a rzecz wygląda raz jako praca przeznaczona do druku, to znowu nosi charakter dorywczych zapisek. Obejmują one czas od ostatnich lat ubiegłego wieku, a zamykają się kapitulacyą Warszawy w r. 1831.

Leon Dembowski przez matkę i stosunki rodzinne zaprzyjaźniony i związany z domem ks. Czartoryskich, ze stosunków tutaj zawar-

tych całe życie nie wyszedł, a że i własne jego stanowisko społeczne do wybitnych należało, był więc ciągle przy wielkim ołtarzu i z tego już względu opowieść jego musi być ciekawa. Na przemiany, to gospodarując, to służąc sprawie publicznéj, wtajemniczony był w wypadki współczesne. Urodzony w r. 1789, na dworze Puławskim odebrał świetne wychowanie i powołany do służby publicznéj za czasów księztwa Warszawskiego, przez zbliżenie się do ludzi najbardziéj wpływowych, umiał dojrzéć sprężyny nadające ruch krótkotrwałemu życiu tego państwa. Późniéj w r. 1817 po raz pierwszy wybrany na posła z powiatu Kazimierskiego, stanowisko to zajmował aż do r. 1829, a w kwestyach prawnych i kredytowych, ustaloną miał sławę, jako specyalista i powaga. W r. 1829 mianowany kasztelanem przeszedł do Senatu i tu gorliwość jego nie zmniejszyła się ale owszem wzrosła, zwłaszcza kiedy kraj skutkiem rozpoczętego powstania sam o sobie radzić musiał. Dalsze koleje autora, ufność, jaką mu okazywał margrabia Wielopolski i godności, jakie do końca życia piastował, powszechnie są znane, że zaś pamiętnik jego urywa się na r. 1831, dalszemi więc kolejami jego życia musi się zająć przyszły biograf.

Z roli już, jaką Dembowski odgrywał, wnosić się godzi, że pamiętnik jego może być bardzo ciekawy, zwłaszcza, gdy zważymy, że mówi o epoce bardzo w źródła ubogiéj. Zaczął on pisać pamiętnik swój, zatytułowany *Moje Wspomnienia* około r. 1860, a z zakroju roboty widać, że była to praca poważna i do druku przeznaczona. Ztąd niektóre szczegóły, a zwłaszcza wypadki odnoszące się do dziejów Napoleona przedstawiane są z godnym pochwały krytycyzmem. Autor zna wszystkie prawie prace odnoszące się do téj epoki, ocenia je krytycznie i błędy ich wykazuje. Ale wiek późny, w jakim się do pracy téj zabrał, smutne okoliczności życiowe, w jakich się w końcu dni swoich znajdował, nie dozwoliły mu utrzymać się na tém stanowisku wszędzie. Bywają lata, że na wzór chronologisty same tylko wypadki zapisuje, nie dając żadnych objaśnień. Nadto metoda wykładu, usiłowanie, żeby każdy rok stanowił zamknięty rozdział jest najwadliwszą, kiedy bowiem każdy rok poczynający się zwykle na tle ogólno dziejowém rozsnuwa, kończy go najczęściéj notatką kalendarzową.

Obok téj jest inna jeszcze wada. Dembowski znał cały prawie stan szlachecki, a szczególniéj wybitniejsze jego jednostki. We względzie kolligacyi i pokrewieństwa, miał pamięć niesłychaną i w tym kierunku przypomina on owych starych Polonusów, którzy całego Niesieckiego umieli na pamięć. Jeśli nazwisko szlacheckie w opowiadaniu swém spotyka, wylicza wszystkie wspomnianego pro-

zapije, a zapominają', że to w pierwszym wyliczył już tomie, powtarza później pokil' akroć. Że zaś, notując śmierć czyjąś zwykł przytaczać zmarłego życiorys, do powtarzania więc rodzi się nowy assumpt. Język w niektórych miejscach staranny i wykwintny, w innych zaniedbany niesłychanie i notatki w ten sposób nie raz spisywane, że o co chodzi, dojść żadną miarą nie można. Niepowetowaną także szkodę stanowi ta okoliczność, iż począwszy od r. 1808—1813 w pamiętnikach jest pięcioletnia przerwa. Nie pochodzi to zaś ztąd, żeby autor sam w opowiadaniu swém lukę zostawił, ale poprostu ten tom *wspomnień*, czy wskutek niedbalstwa rodziny, czy innych jakich powodów uroniono. Żałować zaś tém bardziéj tego należy, że część ta pamiętników odnosi się do epoki, do któréj stosunkowo najmniéj mamy źródeł.

Z tego już, cośmy wspomnieli wyżéj, łatwo zrozumie czytelnik, że pamiętniki Dembowskiego nie mogą być oddane do druku, w formie takiéj, w jakiéj pozostały. Należy je koniecznie uporządkować, od ciągłych powtarzań uwolnić i miejscom do zrozumienia trudnym nadać formę przystępną. Tém konieczniejszém zaś to się staje że drukowane w całości prawdopodobnie około jakich 10 tomów by wyniosły. Przy porządkowaniu ich nastręcza się jeszcze jedna trudność, co prawda już nie z winy autora pochodząca. Rękopism pisany jest przez rozmaitych przepisywaczy i kilkanaście charakterów pisma w nim się znajduje. Przepisywacze ci z przedmiotem obeznani nie byli, w niemiłosierny więc sposób przekręcali nazwiska i wydawca najdokładniéj z epoką i wypadkami musi być poznajomiony, żeby sam w błędy nie popadł.

Kilka, albo kilkanaście lat już temu w literackich kółkach warszawskich bardzo wiele o pamiętnikach Dembowskiego mówiono. Szczególniéj K. Wł. Wójcicki wyrażał się o nich, że będzie to nie wyczerpany skarbiec materyałów i historycznych i społecznych i literackich do pierwszéj połowy XIX w., to téż nie taimy, że spotkaliśmy się z rękopisem tym z ogromną radością. Ks. Władysław Czartoryski, zbierając ze skrzętnością niezmordowaną źródła do życiorysu ks. Adama swego ojca, rozpoczętego przez Bronisława Zaleskiego, nabył także od rodziny po Leonie Dembowskim cztery ogromne wolumina jego pamiętników. Z uprzejmością zaś sobie właściwą przejrzéć je nam pozwolił, oświadczając, że na użytek publiczny z chęcią je odda, jeśli tylko znajomość przeszłości naszéj i nauka zyskać na tém będzie mogła. Prawda,' że zalet, o jakich nasłuchaliśmy się tyle, nie spotkaliśmy tu w całéj zupełności; niemniéj przeto jesteśmy tego przekonania, że pamiętniki owe odpowiednio uporządkowane i oczy-

szczone, znakomicie powiększą źródła do badania czasów niedawno ubiegłych.

Czy dokonanie pracy takiéj i wydanie kompletne kiedy nastąpi—nie wiemy. Tymczasem zaś, korzystając z uprzejmości właściciela, przypuszczamy, że potrafimy zająć czytelników „Ateneum" podając mały z pamiętników tych ustęp. Nie wybieramy rzeczy najciekawszych, ale rozpoczynamy chronologicznie, przypuszczamy bowiem, że jeśli kiedy do wydawnictwa ich przyjdzie i ta część naszéj pracy nie będzie dla wydawcy stracona. Usiłować zaś o ile możności będziemy, żeby opowiadać jak można najczęściéj słowami autora.

Aër.

I.

Pamiętnik rozpoczyna się długim, a wielce uczonym wywodem o rodzie Dembowskich. Z ogromnéj erudycyi archeologicznéj i historycznéj nagromadzonéj w tym przedmiocie, z traktowanéj porównawczą metodą heraldycznéj kwestyi i wyliczenia wszystkich Dembowskich, którzy bądź godności, bądź duże majątki w rzeczypospolitéj posiadali, widać, że autor pracował nad tém długie lata. Był to hołd oddany obyczajowi wieku, ale dla nas interesu on nie przedstawia. Pominiemy więc długi wywód rozpoczynający się od XIV w., a wkroczym o ile można w najbliższą pamiętnikarza epokę.

.....Mój dziad, Antoni Michał, rotmistrz kawaleryi narodowéj, poseł podolski na elekcyi Stanisława Augusta, a następnie Chorąży Czerwonogrodzki zakupił na Podolu piękne dobra Harmaki i tamże osiadł, kiedy zawiązywała się konfederacya w Barze, z którym sąsiadował. Był on jednym z sześciu, którzy pierwiastkowo konfederacyą podpisali, ale, jako bardzo już w wieku posunięty czynnie wspierać jéj nie mógł, kiedy późniejszy hetman Branicki, łącznie z wojskiem cesarzowéj Katarzyny, konfederatów w téj okolicy pognębił, schronił się on do Tureczczyzny, za co mu Harmaki zasekwestrowano. Niezwykłą o ile mi ojciec mawiał, posiadał siłę i kiedy przy ucztach wypróżniono beczkę wina, brał ją zębami za wątory i przez swą głowę przerzucał. Kiedy razu jednego książę jenerał ziem podolskich, objeżdżając te prowincye przybył do Międzyboża, a cała okoliczna szlachta dla powitania jego tamże się zjechała, zapytał książę dla czego nie widzi Chorążego Czerwonogrodzkiego? Odpowiedziano mu że chory. On więc w dobroci swojéj kazał lekarzowi nadwornemu Goltzowi, aby słabego odwiedził i zajął się jego kuracyą. Przybył więc pan Goltz do Harmak. Mój dziad miał wtenczas lat 70

i na dyssenteryą zapadł. Gdy doktór, o zdrowie zapytując, oświadczył, że go książę przysyła.

— Dziękuję księciu za pamięć, a panu za fatygę, rzekł. Ale już się domowymi środkami wyleczyłem.

— A czy wolno zapytać, co tak skutkowało panu Chorążemu?

— Zjadłem półkopy jaj na twardo z octem.

Obecna generacya bezwątpienia z podobnego lekarstwa prędzéj zgonu, aniżeli wyzdrowienia spodziewać by się mogła. On, mimo wieku późnego codziennie grając z proboszczem w maryasza, wypijał wraz z nim dwugarncowy antałek wina.

Mój ojciec, Józef, oddany do Paziów króla Stanisława Augusta, następnie kapitan gwardyi litewskiéj i rotmistrz kawaleryi narodowéj, opuścił służbę wojskową, zawarłszy śluby małżeńskie z moją matką Konstancyą Narbuttówną, córką Tadeusza Narbutta, podkomorzego Lidzkiego i Katarzyny z Wioziewiczów.

Podkomorzy Lidzki posiadał majątek rodzinny Sukurcze i posagowy małą wioskę Kotłów, a około 1773 r. dokupił od Piaseckich dobra Ostrów, nic nie zapłaciwszy, ale na kredyt. Sam parę razy posłując, całe życie trawił na skupianiu partyi, kierowaniu sejmikami i wyborami do trybunału litewskiego. Z listów jego i mojéj babki widać iż głównie usiłowania swoje kierował dla utrzymania partyi to królewskiéj, to Czartoryskich, przeciwnych wówczas partyi szczerolitewskiéj kks. Radziwiłłów. Miał do tego sposobność przez liczne związki pokrewieństwa, bo Norbuttów po Litwie gęsto. Wskutek jednak tych zabiegów fortunę prawie zupełnie utracił. Jeden syn jego szambelanował przy królu, drugi poświęcił się stanowi duchownemu. Dwie córki zaś, moję matkę Konstancyą i drugą starszę Aleksandrę wzięła na wychowanie księżna Izabela Czartoryska. Tę łącznie z księżniczkami Teresą i Maryanną otrzymywały nauki i były ich nieodstępnemi towarzyszkami.

Moja matka zgrabna, przystojna wiele miała powodzenia, a najwięcéj może to dla niéj znaczyło, że zdołała pozyskać przyjaźń swych dobroczyńców, jakiéj przykładów coraz mniéj się już spotyka, ugruntowaną ona bowiem była jedynie na szacunku i skłonności serca, a aż do grobu niezmienną pozostała.

W r. 1784, księżniczka Maryanna poślubiła Ludwika, księcia Wirtemberskiego, brata rodzonego cesarzowéj Wszech Rosyi, a wówczas wielkiéj księżnéj Pawłowéj, matki cesarza Aleksandra I. Zostawał on w służbie pruskiéj. Że księżnéj Wirtemberskiéj wypadało opuszczać ojczyznę, związki rodzinne, przyjaźni, a w końcu to życie domu możnego i wspaniałego, do którego przywykła, żądała

więc koniecznie, aby jéj towarzyszyła wspól wychowanica—moja matka.

Nic, zda mi się, nie ma przykrzejszego, jak kiedy kobiéta, idąc za cudzoziemca, zrywa raptownie ze wszystkiém, co jéj przeszłość od kolebki otaczało, biegnie w przyszłość niewiadomą, w obyczaje obce, towarzystwa nieznane i w chłodne związki pozornéj przyjaźni.

Obie przesiedziały pewien czas w Berlinie. Panował wtedy jeszcze Fryderyk II, nieosobliwy welbiciel płci piękněj. Młodę jednakże księżnę Wirtemberską, ujęty jéj dowcipem tyle polubił, że jéj ofiarował bogaty dar bransoletek z soliterów, przeszło 100,000 złp. wartujący... Klejnoty te, jak również podarowane córce dyamenty, które zdobiły mundur jéj ojca, jako dowódzcy gwardyi galicyjskiéj—to jest: kita do kołpaka dyamentowa, szlify itp. rzeczy, które także kilkakroć sto tysięcy złotych kosztowały—wszystko to, za namową jezuitów szwajcarskich kazała księżna przerobić na krzyż i do Loretu go ofiarowała. Nie ganię daru, boć wszystko, co posiadamy, mamy od Boga, komuż więc jak nie Jemu sprawiedliwiéj należy się ofiara?—ale żałuję, że Najświętsza Panna w Lorecie otrzymała pierwszeństwo, nad Częstochowską—ową Matką naszéj krainy.

Podczas tego w Berlinie pobytu poznał matkę moję oficer z gwardyi pruskiéj hrabia Chack i ujęła go swą urodą. Po odbytym garnizonie w Belgarde, a następnie w Treptau w Pomeranii i blizko więcéj jak rocznym pobycie w pruskich dzierżawach, wróciły te panie do Warszawy. Przybył za niemi i rozkochany p. Chack. Rozgłoszono téż niebawem, że małżeństwo jego z moją matką nastąpi. Król Stanislaw, który wiecznie w podobne wdawał się intrygi, okrył swą protekcyą p. de Chack i pewny, że ta konkurencya się uda, hetmanowi Tyszkiewiczowi polecił, iżby myśli rodziców w téj mierze wybadał. W Sukurczach przyjęto te królewskie insynuacye bardzo różnie. Matka przylgnęła z serca do tych widoków. Łechtała ją godność hrabiny, widok wielkich dostatków i myśl, że panna Konstancya stanie się podporą licznéj rodziny. Pan podkomorzy zaś, rzecz tę rozważywszy po staropolsku przyjął i w brew oświadczył, że zezwolenia swego nie udzieli, dopóki Niemca nie pozna. Z tak dalekich krajów, mówił, kto go tam wie czy on Graff, a choć i Graff—czy nie hołysz. Zresztą dodawał: „czyż już mór na litwinów, żeby panny za niemców wydawać. Zdanie to mniéj więcéj dzieliła szlachta lidzka, która bezustannie w Sukurczach biesiadowała. Nadaremnie pani podkomorzyna, a moja babka przedstawiała, że księżniczka Massalska wydana za jakiegoś Francuza (ks. de Ligne), że Radziwiłłówna poszła za mąż za Rosyanina Fersena, że toż uczyniła i Brzostowska—wszyscy ją zakrzyczeli. Wydawanie za Niemca wydawało się im

niepojętém *horrendum*, a protekcyą królewską brano za znane przywiązanie tego monarchy do cudzoziemców. Kiedy rozgłos tego projektowanego małżeństwa rozszerzył się po Litwie, przyjechał wojewoda Chmara, powinowaty podkomorzego, wraz z p. Wołodkowiczem, ten ostatni swojego syna dla panny Konstancyi zalecał.

Tymczasem kiedy tyle osób trudniło się owem projektowaném małżeństwem, mojéj matki nikt nie zapytał, co ona myśli w téj mierze. Odebrawszy list matki i widząc z niego, jak temu związkowi jest rada, z obawy, aby bez jéj woli rodzice ręką jéj nie zarządzili, postanowiła wyznać p. Chack, że nigdy za cudzoziemca nie pójdzie. Niemiec szczerze był rozkochany, wpadł więc w melancholią i chciał sobie życie odebrać, ale czas, który wszystko leczy, uleczył także te rany.

W tym samym roku, oprócz p. Wołodkowicza, zgłosili się o rękę mojéj matki —naprzód, podówczas pułkownik, późniéj jenerał Orłowski, który okryty był szczególną protekcyą książąt Czartoryskich. Za pośrednictwem Zalewskiego, wojskiego W Ks. Litewskiego zgłosił się do podkomorzego. Lecz temu ta partya zupełnie nie podobała się i swego przyzwolenia odmówił. Daléj, słynny późniéj, a wówczas oficer od inżynieryi Julian Ursyn Niemcewicz—ten wprost do podkomorzego się zgłosił i przez niejaki czas korespondencyą z sobą prowadzili. Lecz podkomorzy, który był *pater difficultatum*, kiedy o postanowienie córki rzecz się miała—odmawiał. Orłowskiemu, że za stary, Niemcewiczowi, że zamłody. Pisze z tego względu do mojéj matki: „od niejakiego czasu pisujemy często od siebie z p. Niemcewiczem. Młody człowiek, dobrze pisze, ale młody. Komuż wiadomo co z niego będzie?—jeno Bogu, a ja prorokiem nie jestem. Któż przewidziéć zdoła, czy z niego wyrośnie prosty dąb, czy krzywy a kolący głóg? Ze stylu widzę, że żywy jak ogień — będzie może złośnik."

Nakoniec między wielbicielami swoimi liczyła moja matka i słynnego poetę Szymanowskiego. Wszystkie te zaloty w roku następnym zakończyły się i nie wiem jakim cudem, ojciec mój, wówczas rotmistrz kawaleryi Narodowéj, przyzwolenie podkomorzego sobie wyjednać zdołał. Ślub odbył się w Puławach dnia 29 grudnia 1786 r.

Z początkiem następującego roku księżna Czartoryska wybrała się w paroletnią podróż dla dokończenia edukacyi najstarszego syna księcia Adama. Moję matkę chciała koniecznie mieć z sobą i aczkolwiek ta znajdowała się w stanie poważnym, nie mogła odmówić żądaniu osoby, którą za drugą poczytywała matkę. W Paryżu mieszkały w *Palais Royal*, gmachu należącym do księcia Orleańskiego, lecz w którym posiadał obszerny apartament marszałek nadworny Rze-

wuski, brat starszy pisarza polnego, Kazimierza Rzewuskiego. Matka moja miała z sobą kozaka, ubranego jak wówczas kozaków w służbie będących ubierano. Mieli oni zupełnie ogolone głowy i jeden tylko kosmyk długich włosów za ucho zakładali. Kozak ten, ukraińczyk, ani słowa w obcych językach nie umiejący, lubił się wieczorem po galeryach Palais Royal przechadzać. Ściągał za sobą tłumy ciekawych, które po większéj części brały go za chińczyka.

W końcu tego r. 1787 wróciła moja matka z Paryża w dziewiątym miesiącu ciąży, nie mając z sobą, jak tylko tego wiernego ukraińca. Trzeciego dnia po powrocie do Puław powiła córkę Cecyliją, moję najdroższą siostrę. Ja przyszedłem na świat 16 października 1789 r. w Puławach. Tegoż samego dnia powiła jw. Sewerynowa Potocka także syna. Obudwom imiennikom nadano jednakowe chrzestne imiona — Leon. Trzymali mnie do chrztu książę Konstanty Czartoryski i pan pisarz Rzewuski.

Już wówczas sejm czteroletni rozpoczął swe prace. Na teatrze puławskim przedstawiano sztuki do okoliczności zastosowane—owe Spartanki, Cyganki i inne podobne, których obecnie zaledwie tytuły nam pozostały; a kiedy zebrał się obóz pod Gołębiem i obroty wojenne dla ćwiczenia wojska, przedsięwzięto rozmaite festyny, dążące do podniesienia ducha. Te następowały jedne po drugich. Na jednym z manewrów brygadyer Walewski, nabojem piasku z działa w głowę trafiony, słuchu pozbawiony został. Książę Wirtemberski miał udział w dowództwie tego obozu, ztąd uważano potrzebę traktamentów. Księżna matka i córka, równie jak grono licznych innych pań w Puławach mieszkających, w wiejskich strojach, przy obficie zastawionych stołach, oficerów i żołnierzy jadłem i trunkiem zasilały. Kiedy współcześnie duchownego posiłku w pięknych mowach i kazaniach udzielali ksiądz Grzegorz Piramowicz i kanonik Witoszyński. Postawiono w téj epoce piękną willę w Puławach, przezwaną Marynki, na mieszkanie dla księstwa Wirtemberskich. Los mieć chciał, że mało w niéj zamieszkiwano.

Mój dziadek Dembowski i żona jego już nie żyli, kiedy mój ojciec zawarł śluby małżeńskie. Oddziedziczył on po nich część majątku na Podolu—dobra Nietyczyńce, Hałuzińce i Komarowce, nie daleko Baru. Tam przed mojém urodzeniem z żoną chciał się osiedlić, ale księstwo Czartoryscy tyle do mojéj matki mieli przywiązania, iż nie chcieli pozwolić aby ich towarzystwo tak dalekim jéj wyjazdem zubożone zostało. Księżna z Anglii pisała, że tylko na krótką podróż do Nietyczyniec zezwala, że dosyć już przeszła wskutek śmierci najstarszéj córki księżniczki Teresy (która spłonęła ogniem od sukni zapalonéj przez nieostrożne grzanie się przy kominie), żeby

jeszcze drugą osobę tyle jéj drogą, jak własne dziecko, tracić miała. Po krótkim więc na podolu pobycie wrócili nazad rodzice.

Kiedy rozpoczęła się kampania Targowicka, król Stanisław listem z d. 12 lipca 1792 r. polecił mojemu ojcu zgromadzić żywność i furaż dla armii księcia Józefa w Dubience będącéj. List ten w tych słowach:

„Mości Panie Dembowski! Proszę cię znieś się z księciem Józefem w Dubience i bądź mu pomocnym do oprowidowania jego wojska. Jako obywatel patryotyczny i jako mój dawno wierny, pokaż się skutecznym a czynnym w téj okazyi. *Vele et me ama.* Księżnom serdeczne ukłony odemnie."

List ten przytaczam jedynie dla tego, żeby wykazać jaka różnica w tyle ważnéj materyi owego lekkomyślnego rozkazu, od poleceń, które obecnie są wydawane. Rzekłbyś iż zlecenie to dane jedynie, żeby zasłonić się i udowodnić, że myślano coś o wojsku.

W tym czasie przykry dla rodziny ks. Czartoryskich wydarzył się wypadek. Książę Ludwik Wirtemberski, poprzednio porzuciwszy służbę pruską i przeniósłszy się z żoną do Polski, otrzymał w wojsku narodowém stopień generała dywizyi. Kiedy rozpoczęła się kampania targowicka, przeznaczono go na dowódcę głównego wojsk na Litwie działać mających. Właściwie nie wyjaśniono nigdy gruntownie wypadku, czy książę ten działał na szkodę Polski z własnego przekonania, czy z insynuacyj pruskich. To pewna, że w kancelaryi wojsk, w przepisywanych tymże marszach, zdawało się podkomendnym dostrzedz ślady wahania się i złéj woli. Mówiono także, że przejęto znoszenie się jego z dowódcami wojsk rosyjskich. Powstał krzyk ogólny i książę Ludwik opuścił bez pozwolenia Wołczyn, gdzie miał główną kwaterę i przejeżdżając przez Warszawę w orderach pruskich, przez posła pruskiego protegowany, przez nikogo niezaczepiony do Berlina przybył.

Księżna Marya, która i bez tego w pożyciu nie doznawała szczęścia, korzystała z tego wypadku, ażeby się rozwieść i wówczas z moją matką u Sakramentek w Warszawie schronienia szukała. Po otrzymanym rozwodzie obie do Sieniawy przybyły, gdzie już i ja i siostra moja znajdowaliśmy się pod dozorem ciotki naszéj, panny Aleksandry Narbuttównéj. Ciotka ta moja była ułomna, ale mimo to głowa dziwnie egzaltowana. Umiała dobrze rysować i malować, lecz nic innego w setnych jéj szkicach nigdy nie widziałem, jak wyobrażenie morza przy zachodzie słońca. Kupidon na łódce od lądu odbija, a niewiasta na brzegu wsparta na kotwicy, z upragnieniem do niego rękę wyciąga. Tym Kupidynem dla panny Aleksandry był stary pułkownik Ciesielski. Hymen ukończył nakoniec te długie i trwałe amo-

ry, a odtąd zjawił się nowy przedmiot dla artystki. Dwa serca gorejące na ołtarzu, przy którym Kupidon w milczeniu spoczywa osypany kwiatami. Lubiła ona także ogromnie sowy i w Sieniawie w swoim ogródku miała do ich chowania wymurowanych dziewięć framug. W nich sowy duże i małe, z uszami i bez uszu ustawicznie się gnieździły i niezmiernie zapowietrzały sąsiedztwo.

Pałac Sieniawski był murowany, bez piętra i zawierał wtedy oprócz ogromnéj sieni, jeden duży salon i kilka pokojów, stanowiących mieszkanie księstwa. W sieni ustawiono ogromne mahoniowe organy, prezent dla księżniczki Zofii od p. Kazimierza Rzewuskiego, pisarza koronnego. W sieni téj pospolicie jadano. W salonie kilka karykatur angielskich i mnóstwo sztychów, wyobrażających waleczne czyny wojska austryackiego w kampanii z Francuzami, stanowiły jedyne ozdoby. W jednym z kątów umieszczony był bilard. Dziedziniec kratą żelazną okolony, a w jéj środku bramy, boki zaś dziedzińca zamykały dwie długie, bezpiętrowe, drewniane oficyny. W jednéj z nich mieszczono gości, a w drugiéj oficyalistów i kuchnie. Za dziedzińcem jeszcze dwie oficyny, także drewniane i te podzielone były na oddzielne apartamenta, każdy składający się z czterech pokoi. Dwa apartamenta miały sień wspólną, a do każdego dołączony był oddzielny mały ogródek. Były to mieszkania przyjaciół księstwa, którzy im w czasie pobytu w Sieniawie dotrzymywali towarzystwa.

Za pałacem rozciągał się ogród w guście włoskim i wchód do niego z salonu. Przed oknami rabaty, w rozmaite floresy ułożone, na których masy tulipanów, hiacyntów, narcyzów, bukszpanów, aurykli i róż uprawiano,—daléj szpalery niebotyczne lipowe użyczały cienia. Labirynty grabowe, świerki wycinane w piramidy i dziwaczne inne kształty—w samym końcu ogrodu cztery sadzawki, a za niemi winnica. Na czele tego ogrodu stał niemiec Lesser i porządku pilnował z całą surowością. A że między szpalerami znajdowały się kwatery, drzewami owocowemi zasadzone, kto się odważył frukta zrywać, mógł być pewny, że wróci z twarzą smołą zamazaną. Na boku ogrodu wystawiono cieplarnie, ale wogóle ogrodem tym księżna Czartoryska się nie zajmowała.

Ja z siostrą z ogródka naszego bardzo byliśmy radzi i tam to zapewnie nabrałem téj do kwiatów pasyi, która mnie już chyba do zgonu nie opuści. Towarzyszami zabaw naszych był syn księżnéj Wirtemberskiéj—Adam i pani Matusewiczowéj także Adam, tudzież chłopczyk doktora Goltza. Podczas trzyletniego w Sieniawie pobytu, kilka razy odwiedzaliśmy Łańcut o cztery mile od Sieniawy odległy. Jest tam zamek, jakiego drugiego w Polsce nie znam. Wówczas była

to rezydencya księżnéj Lubomirskiéj, siostry księcia feldmarszałka—pani możnéj, lecz w niczém do brata niepodobnéj. Była to osoba sztywna, etykietalna, a od etykiety i dawnéj powagi żaden wypadek odprowadzić jéj nie zdołał. Mówiono żem był piękném dzieckiem, a że księżna dzieci lubiła, szczególniejszą więc mnie otaczała łaską. Kiedy przesiadywałem w Łańcucie, zawsze ten pobyt kończył się słabością, bo tyle łakoci wemnie wpychano, że i silniejsze żołądki znieśćby tego nie mogły. Obsypywano mnie zabawkami z Wiednia i ze Lwowa sprowadzonemi, a które wraz z listami i do Sieniawy przysyłano. Mam jeszcze parę listów z tych czasów. Nakoniec żądała księżna od mojéj matki, żebym był jéj oddany, co gdy nie zgadzało się z przywiązaniem macierzyńskiém, nastały kwasy. Lecz wkrótce, bo w r. 1794 cały ten ferwor ulotnił się. Zaszczepiono mi ospę, chorowałem 16 tygodni, dwadzieścia wrzodów okryło me ciało, szwy oszpeciły twarz i Łańcut o brzydkim Leonie zapomniał.

Zamek w Łańcucie postawiony był w czworobok i opatrzony czterema po rogach wieżami. Wówczas powierzchownie żadnéj nie miał architektonicznéj ozdoby, lecz późniéj Aygner nadał mu gotycką facyatę. Przed zamkiem fosy, bramę z mostem zwodzonym i mury strzelnicami i małemi wierzyczkami opatrzone. Między zamkiem a fosami założono ogród kwiatowy szczupły, lecz bogaty w rzadkie rośliny. O ćwierć mili od zamku znajdował się ogród dolnym nazwany, na sposób angielski urządzony, z parkiem, w którym chowano sarny i daniele.

W samym zamku znajdowało się siedem dużych apartamentów i zwyczajnie codzień w innym się zgromadzano. Jedna duża sala przez dwa piętra, z kolumnadą, żółto marmuryzowana i ze złotemi ozdobami przypominała salę balową zamku warszawskiego, lecz była od niéj znacznie większa. Obok niéj teatr, duża sala wybita adamaszkiem ze złotemi galonami. Tu wisiał bardzo pięknego pędzla obraz, trzy gracye wystawiający. Prócz tego ciekawą była długa galerya wązka, obrazami i rzeźbami cała napełniona, w głębi któréj znajdowała się statua księcia Henryka Lubomirskiego, w postaci Kupidyna—dłuta Canovy. We wszystkich siedmiu apartamentach mnóstwo wazonów, wanien marmurowych i porfirowych, mebli kosztownych i obrazów znakomitych malarzów. Bogactwa nieocenione. Część tych drogich ruchomości przewieziono późniéj do Wiednia, część dostała się w darze wraz z Przeworskiem księciu Henrykowi Lubomirskiemu, wychowańcowi księżnéj.

Stół w Łańcucie był jak można tylko najlepszy, toż samo i usługa, duma jednak i surowa etykieta oddalały ztąd towarzystwo i piękny ten zamek z całym swym przepychem, zawsze był smutny i pusty,

bo kilkanaście osób rozproszonych po tych niezmierzonych komnatach, ginęły niepostrzeżenie.

Zanadto byłem podówczas małym, żebym mógł czynić wiele uwag o towarzystwie sieniawskiém. Pamiętam jednak, że było ono liczne. Chroniło się tu mnóstwo znakomitych mężów, którzy przed prześladowaniami konfederacyi Targowickiéj usuwać się z ojczyzny musieli. Pierwsze między nimi trzymał miejsce Tadeusz Kościuszko. Nie siedział on tu ciągle, ale wpadał na krótkie chwile, zajęty zawiązywaniem w wojsku polskiém bliższych stosunków, które stawały się nieuchronnemi przy zamierzonéj insurrekcyi. Podczas jednéj z tych bytności darował na pamiątkę mojéj matce orderową swą wstążeczkę.

Czasami bywał taki ścisk, że gmachy, o których wspomniałem, nie mogły odwiedzających pomieścić i lokowano ich w komisaryi, nieco od pałacu odległéj, lub nawet gnieżdżono się w miasteczku o ćwierć mili od pałacu. Dawano wtedy bale, fety, teatra, a czasami i nas dzieci wzywano, kiedy ich do żywych obrazów było potrzeba.

W 1794 r. mój ojciec wraz z księciem Eustachym Sanguszką udali się do obozu pod Połonice. Tu Kościuszko po wygranéj pod Racławicami, oczekiwał posiłków z Lubelskiego, ciągnących z generałem Grochowskim. Kiedy złączenie to nastąpiło, z przeważnémi siłami napierać zaczął Rosyan. Ci cofali się od Wisły przez Wodzisław ku Szczekocinom. Tu miała miejsce bitwa, nie tyle przez straty liczebne nieszczęśliwa, gdyż miano tylko do tysiąca kilkuset zabitych i rannych, ale przez to niezmiernego politycznego znaczenia, że w niéj wziął udział sam król pruski z swém wojskiem. Mój ojciec mianowanym był jenerałem inspektorem Jazdy i w czasie cofania się na Małogoszcz i Kielce ważne usługi wyświadczył, zasłaniając jazdą to cofanie się, które aż w Gałkowie pod Piasecznem się zakończyło. Maciejowickiéj klęsce przytomny nie był, a nie długo po niéj powrócił do Sieniawy.

Tu dowiedział się o konfiskacie swego majątku na Podolu. Tym sposobem stracił prawie wszystko, bo tylko przy posagu mojéj matki pozostał. Nie wiedząc czego się chwycić zadzierżawił od księstwa Czartoryskich mały folwark Pożóg, o milę od Puław odległy. Tu domek i inne budynki założył i płacił rocznéj dzierżawy 12,000 złp. Kiedy i domek był gotów i ogród założony podług planu umieszczonego w dziele ks. Czartoryskiéj *O zakładaniu ogrodów*, wróciliśmy wszyscy w lubelskie.

Po wzięciu Pragi rozpierzchły się po świecie panny Bernardynki, klasztoru Loretańskiego na Pradze. W zgromadzeniu tém zostawała moja stryjenka Elżbieta Dembowska. Ta, wraz z towarzyszką swoją panną Łaską także do Pożog się schroniła. Mieliśmy tu prócz

tego panią Piaseckę, wdowę po pisarzu komory celnéj z Nieszawy, która z dwojgiem dzieci osiadła przy moich rodzicach. Ci acz biedni teraz, chętnie z biedniejszymi kawałkiem chleba się dzielili. Powiększyła się wkrótce ta dzieciarnia przez Cecylią Narbutt, córkę Ludwika Narbutta, brata stryjecznego mojéj matki. Był to szałaput piérwszego stopnia, dowcipny, wesół, ale żadnego prowadzenia się nie mający. Naprzód służył wojskowo, późniéj został księdzem, następnie zrzucił habit i ożenił się z wdową po Jakubowskim z domu Rudnicką. Tę wkrótce porzucił, sam do Prus się wyniósł, przeszedł na wiarę protestancką, został landratem i nazwisko zmienił.

Podczas naszego w Pożogu mieszkania kilka rzeczy i osób w pamięci mojéj utkwiło. Odwiedził raz mego ojca książę Marcin Lubomirski. Był on niejako słynny z powodu burzliwego swojego życia. On to przeciw ojcu walcząc okopał się w Karmanowicach gdzie dotąd tych ziemnych fortyfikacyj można widzieć ślady i dlatego na niektórych starych mapach jak np. Zannoniego, Karmanowice nazwane są Martinsburg. Mówiono że był czas, w którym na czele hajdamaków w górach Karpackich próby wyrządzał. Ożenił się naprzód z węgierką Hadikówną, a późniéj z córką słynnego Franka, założyciela sekty Frankistów i utrzymywano, że po zgonie teścia, objął naczelnictwo téj sekty (1). Książę Marcin posiadał Barskie starostwo, konfederacyą Barską czynnie wspierał i ztąd to owe walki z ojcem i wycieczki z hajdamakami. Pamiętam, że posiadał bardzo piękne i bogate tabakierki.

Pożóg należał do parafii Końskowoli, tam więc na nabożeństwo jeździliśmy. Na wielkotygodniowych modłach piérwszy i ostatni raz w życiu widziałem *Biczników*. Ubrani całkiem ponsowo, z kapturami spiczastymi, które im twarz całą zasłaniały, na oczy tylko i dla oddechu mając otwory. Trzymali w rękach dyscypliny, to jest krótkie kijki, do których było przytwierdzonych pięć pasków rzemiennych. Podczas pasyi obnażali swe plecy i temi dyscyplinami sami siebie smagali, ku wielkiemu pospólstwa zadowoleniu.

Mieszkał już podówczas w Końskowoli nieborak waryat Kniaźnin. Już kiedyśmy byli w Sieniawie donoszono nam że ślady pomię-

---

(1) Jakób Frank Dobrucki urodził się 1702 r. Trudnił się z początku winiarstwem, to jest gorzelnictwem, a późniéj na apostoła wyszedł. Sekta, którą utworzył mięszanina to mistycyzmu, illuminizmu, obrządków chrześciańskich i żydowskich. Co do zasad, choć je w tajemnicy trzymano, wiadomo jednak, że opierały się one na dogmacie troistego objawienia Boga w postaciach Adama, Jezusa Chrystusa i spodziewanego Mesyasza. Wyznawcy świętowali Piątki, odprawiając modły na dworze, a największe nabożeństwo miało miejsce w czasie pełni. Frank umarł 1792 r.

szania zmysłów zaczęły się u niego objawiać. Z początku podobno ciągle marzył o etymologii rozmaitych słów, zawsze je do Słowiańszczyzny odnosząc. Tak naprzykład tłómaczył, że *Minerwa* pochodzi od krzyku Jowisza, którego głowa bolała i skarżenia się po rusińsku *mene rwe*. Powody jego słabości przypisują gwałtownemu pokochaniu księżniczki Maryi, cokolwiek bądź smutno go było widzieć wybladłego, chudego i rozczochranego, biegającego po salach. Jedenaście lat się męczył, lecz późniéj był spokojniejszy i słabość w idyotyzm zamieniła się. Pochowany w Końskowoli, gdzie mu monument z czarnego marmuru wystawiono. Istnieje on dotychczas, acz trochę uszkodzony. Kniaźnin był litwin, nosił strój polski, głowy nie golił, przeciwnie długie bukle spadały mu prawie na plecy.

Około r. 1796 wypadło ojcu mojemu z powodu rozmaitych interesów pojechać do Paryża, a że właśnie wówczas p. Stanisław Zamojski starał się o rękę księżniczki Zofii Czartoryskiéj i o wyprawie dla niéj myślano, korzystano więc z téj podróży i księstwo zakupy rozmaitych przedmiotów jemu powierzyli. Jechał na Wiedeń, gdzie pasport do Francyi wydał mu minister Thugutt. Przybywszy do Strasburga, meldował się generałowi Augéreau, który podówczas tam dowodził. Ten, mimo że widział, iż na pasporcie mój ojciec nazwany Dembowski, mimo że on sam pokilkakroć nazwisko swe powtarzał, nie chciał żadną miarą przystać, żeby ojciec mój miał być Dembowskim.

„C'est connu —mówił— à qui le dites Vous? Vous étes le cousin du général Dombrowski et vous portez son non. Ces bêtes d'Allemands ne savent jamais ce qu'ils écrivent. Je garde le passeport et vous en délivre un ature, accompagné d'une feuille de route. La République aime à donner des preuves de son éstime pour les parents d'un brave, comme votre cousin.“

Dano mu więc marszrutę, dostawał darmo konie, kwaterę i oficerską żywność. Mój ojciec wszakże z tego wszystkiego nie bardzo się cieszył, bo chociaż Robespierre już nie żył, a terroryzm ustał, jeszcze trwały podejrzliwości i wewnętrzne niepokoje. Ta zmiana nazwiska więc napełniała go obawą, ale nie mogąc jenerała przeprzéć, musiał woli jego uledz.

W Paryżu stanął u Michała Wyszkowskiego, który po Barsie uważany był za reprezentanta dyplomatycznego dawnéj Polski! Tallien i Barras mieli wówczas niejako największe wpływy. Wprowadzony w ich towarzystwo, w którém celowały panie Tallien i Récamier miał sposobność przypatrzyć się ówczesnym modom grecko-rzymskim. Te damy tak były grzeczne, że dowiedziawszy się o sprawunkach, jakie mojemu ojcu zlecono, same zajęły się dobieraniem

i kupowaniem towarów, a że mój ojciec obawiał się kazać robić suknie, porobiono więc kilkanaście półtora łokciowych lalek, które podług mody ubrano i które jako modele z sobą przywiózł.

Powrót mego ojca z témi kilkunastu lalkami i pakami przecudnych koronek, batystów, materyj lugduńskich i t. p. rzeczy był dla wszystkich kobiét niepospolitém zdarzeniem. Dzieci najlepiéj wyszły, bo odziedziczyły te śliczne lalki.

Nastąpiło téż w Puławach i wesele pani Zamojskiéj. Zjazd był niesłychany. Ja tyle tylko z niego pamiętam, żem sypiał pod stołem, bo innego miejsca w izbie nie było i że codzień doskonałe cukierki przynosiła mi matka.

W tym czasie także, ostatnich lat upłynionego wieku, przybyła do Puław stryjenka księcia feldmarszałka, hetmanowa Ogińska — pani, któréj dom w Siedlcach z zabaw i ciągłego ruchu stał z Puławami na równi. Była ona nadzwyczaj silną i talerze srebrne w trąbkę zwijała. Mąż jéj był nizkiego wzrostu i kiedy w stronnictwach, jakie Polską miotały, będąc w Gdańsku opierał się woli swéj małżonki, nie chąc należéć do partyi Czartoryskich, ta porwawszy go za pas w oknie drugiego piętra wywiesiła i trzymała go tak zawieszonego póty, póki jéj nie przysiągł, że się do jéj woli zastosuje. Hetman zresztą w historyi tyle tylko miał znaczenia, że we wrześniu 1771 r. przystąpiwszy do konfederacyi Barskiéj, zaskoczony pod Stolniczanami, blizko Słonima, tak dzielnie uciekał, że aż w Królewcu się oparł.

Pani Ogińska po kilkodniowym w Puławach pobycie śmiertelnie zachorowała i książę feldmarszałek, nie wiem już z jakich powodów, przeniósł się wtedy do Pożoga i tu aż do jéj zgonu przesiadywał. Wziął po niej w sukcesyi dobra: Siedlce, Zakrzówek, Puhaczew i Przybysławice. Ponieważ Siedlce, jako miasto gubernialne rząd austryacki chciał miéć swoją własnością, wymieniał je przeto na dobra Tarnogórę.

W tym także czasie książę Eustachy Sanguszko starał się o rękę księżnéj Wirtemberskiéj. Dlaczego mu odmówiła nie pojmuję, tém bardziéj, że miała do niego skłonność. Całe te niefortunne konkury zatopione zostały w Pożogu w wódce i winie. Książę, idąc za przysłowiem dobry trunek na frasunek, z kolegą broni i z serdecznym przyjacielem, jakim był dlań mój ojciec, cały tydzień pili, aż dopóki miłość trochę nie ostygła.

II.

Rok 1799 jest dla mnie bardzo ważny, jako piérwsza wycieczka w świat bez opieki matczynéj. W roku tym książę jenerał Ziem Po-

dolskich wybrał się do wód mineralnych w Bardyowie, a ja znajdowałem się także w jego orszaku. Książę za sobą ciągnął cały szereg, nie mówię służby, ale obywatelskiéj asystencyi, która do sta przeszło powozów wyniosła. Z Sieniawy ruszyła ta karawana z początku nie tak liczna, ale jakeśmy zaczęli przejeżdżać ziemię Przemyską, wstępować do Nienadawy, Przemyśla, Dubiecka i innych miejscowości, z każdéj prawie właściciele do nas się łączyli. Na miejsce przybyliśmy w towarzystwie jw. marszałka Ignacego Potockiego, księdza kanonika Witosławskiego, Oboźnego Witosławskiego, Feliksa Dembowskiego Szambelana, Fredry Jacka, Wojny, Teodora Bukowskiego, Orzechowskiego, Bobowskiego, Dembińskiego, Tadeusza Marskiego, Stadnickiego, dwóch braci Giżyckich, Borejki i wielu innych, już nie licząc takich, jak naprzykład pan Ciesielski, który nigdy nie odstępował książęcego towarzystwa.

Jazda nasza rozpoczęła się w maju, a chociaż z Sieniawy do Bardyowa szosą na Łańcut, Pilzno, Duklę, zaledwie jest 30 mil—my jednak jechaliśmy wężykowato, wstępując od Ananasza do Kajfasza i wszędzie bawiąc przynajmniéj dzień jeden, a jak w Przemyślu u biskupa aż trzy dni. Ta wizyta była dla mnie ważna, bo mi pozwalano brać obficie w kieszenie rozmaitego kształtu cukierki, tak iż ta prowizya na całą podróż mi wystarczyła.

Wyjeżdżaliśmy zwykle o godzinie jedenastéj rano, a ujechawszy dwie mile stawano na obiad. A kiedy po popasie tym wyjechano, nie długo przychodziła pora na nocleg. Jeżeli popas lub nocleg przypadał w domu obywatelskim, mieszczono się po stodołach, szpichlerzach i nawet w wiejskich chałupach. Jeżeli nie, to wyrzucano z karczem żydów, mieszkańców z mieszkań, wybijano kobiercami ściany i improwizowano salony, w których tak jak w Sieniawie lub Puławach, miało miejsce zwykłe śniadanie, palenie fajek, czytanie gazet, granie w karty i szachy. Nie można było właściwie spostrzedz się, że to podróż, tak wszystko było do codziennego życia podobne, a marszałek z furgonami i kozakami jadący przodem, wszystkie te porządki uskuteczniał prawdziwie czarnoksięskim sposobem.

Dla czego książę wybrał wody Bardyowskie, gdzie żadnych wygód nie było, nie wiem, ale Węgrzy wzięli to dobrodusznie za dowód osobistéj dla nich atencyi. Skoro cała ta kalwakata z żonami i dziećmi do Bardyowa przybyła, kłopot był nie mały i już i marszałek nie pomógł, bo tam gdzie tylko kilkanaście było domów, trudno było pomieścić tyle gości, którzy jak szarańcza nagle spadli. Część taboru musiała w mieście szukać schronienia, pomogli téż Węgrzy i magistrat miasta. Spędzono robotników, zwieziono materyał i w kilka dni zapełniła się dolina rodzajem namiotów, deskami krytych, w któ-

rych, gdy je przystrojono, kobiercami wybito i umeblowano — było nawet wygodnie.

Naprzeciw kięcia wyjechali niektórzy Węgrzy jak: Czakowie, Haller, Hadykowie aż do Orlika na granicę. Toż magistrat w czarnych węgierskich strojach oczekiwał przy wodach. Książę po węgiersku bogato ubrany, językiem ich przemawiał, co ich radością ujęło. Ściągnął też wkrótce na odgłos tak niesłychanego zjazdu i teatr niemiecki, na którym jak na kazaniu niemieckiem często bywałem, a chociaż mało co rozumiałem, nadzwyczaj mnie zajmował. Przedstawiano sztuki, na tle historyczném osnute i głównie wypadki domu Hohenstaufów zawierające. Wkrótce też stanął i salon, a wtenczas znowu zaczęły się bale, na które zjeżdżały panie węgierskie z córkami.

Z czasu tego dwumiesięcznego pobytu dwa wypadki godne są zanotowania. Pierwszym było uwięzienie i zabranie z towarzystwa Ignacego Potockiego. Minister ten czynny w czasie Sejmu czteroletniego, należał przed pięciu laty do insurrekcyi kościuszkowskiéj, a chociaż po uwolnieniu z niewoli rosyjskiéj w Galicyi zamieszkał, gdzie posiadał Kurów i do wód za pozwoleniem rządu przybył, stał się jednak podejrzanym z powodu przejętych korespondencyj pisanych z Francyi przez legjonistów, gdzie o nim była wzmianka. O niczém go nie zawiadomiwszy, w nocy otoczono zbrojną siłą dom, w którym mieszkał i wywieziono do Krakowa. Tam już kilku innych a mianowicie Michał Kochanowski w więzieniu osadzeni byli. Blizko rok Potockiego uwięzionego trzymano i dopiéro za bytnością księcia feldmarszałka w Wiedniu i za jego czynném wstawieniem się do samego cesarza, po wielu trudnościach wolnością go obdarowano.

Drugim wypadkiem był wielki festyn, dany na św. Annę dla pani Hallerowéj. Zaimprowizowano w jodłowym lesie rodzaj greckiéj świątyni, cyframi solenizantki ją ozdobiono, a cała część lasku i dolina, w któréj źródła, były illuminowane. Muzyka, tańce, suta uczta dla całego towarzystwa, magistratu i znaczniejszych Bardyowa mieszkańców dopełniały uroczystości. Również udał się bardzo dobrze teatr wolny, na świeżém powietrzu urządzony. Jedno tylko wpłynęło na mniejszy effekt. Mianowicie książę Czartoryski, żadną miarą nie dał się przekonać, aby festyn rozpoczął się po zachodzie słońca. Na wszystkie przedstawienia, że o piątéj w Lipcu słońce jasno przyświeca, jedno odpowiadał: Milsze mi wasze zdrowie jak effekt illuminacyi. Pijecie wody, kąpiecie się, więc zaziębić się łatwo. A zatém wszystkie lampijony i kagańce pozapalano wśród dnia, a race i młynki towarzyszyły zachodzącemu słońcu. Jedyne to są fajerwerki i iluminacye, jakie mi się w dzień zdarzyło widzieć.

Owóż po tych serdecznych z Węgrami stosunkach, stanęło na tém, że na rok następny najmłodszy syn Hallerów na edukacyą do Puław przyjedzie.

Zaledwie Bardyów opuściliśmy, książę feldmarszałek udał się do Wiednia dla łożenia starań ku uwolnieniu Ignacego Potockiego. Przy téj sposobności raczył się zatrudnić wynalezieniem nauczyciela dla mnie i dla Hallera. Nastąpiły w tym względzie, jak widzę z listów, narady z Maksymilianem Ossolińskim, a między kilkoma na tę posadę kandydatami padł wybór na księdza Laville, szwajcara, rodem z biskupstwa Bazylejskiego. Poprzednio pełnił on obowiązki sekretarza Nuncyatury w Lucernie. Przed bitwą pod Zurich, kiedy Francuzi zajęli Szwajcaryą, schronił się ze swoim Nuncyuszem do Wiednia. Mówił on płynnie po francuzku, dobry dosyć matematyk, niezgorszy łacinnik, nabożny i pilny. Był on w rodzaju tych guwernerów, których rasa już zaginęła. Nieodstępny od swych uczniów, otaczał ich rodzicielską opieką i troskliwością może do zbytku posuniętą. Po ukończeniu mojéj i Hallera edukacyi przyjęty do dzieci hrabiny Rozalii Rzewuskiéj, wychował starszych jéj synów Stanisława i Leona.

Zimę tego roku przepędziliśmy we Lwowie. Zdrowie bowiem matki mojéj zaczęło szwankować, a że tam słynął doktór Krausnecker, jemu więc kuracyą powierzono. Mieszkaliśmy na przedmieściu Halickiém w pięknym gmachu, z którego pyszny widok z jednéj strony na ową górę, na któréj szczycie ruiny zamku; z drugiéj pagórek zabudowany kościołem i klasztorem św. Jura.

Uczono nas tańcować, a dla większego towarzystwa przybrano dwoje dzieci Juliannę i Kajetana Komarów. Ojciec ich był kiedyś kasyerem u księcia wojewody ruskiego, a następnie u jego syna, a kiedy opuszczał Puławy, chroniąc się przed skutkami wojny, w czasie kościuszkowskiéj insurrekcyi, zapakowawszy cały swój majątek w skórzane worki, około 4.000 dukatów wynoszący, zakopał go w nocy w ogrodzie Puławskim nie daleko dróżki, która od Sybilli do oranżeryi górnéj prowadzi. Nazajutrz miejsce to żonie pokazał i sami do Sieniawy wyjechali. Tymczasem Rosyanie wpadli do Puław, księżna Izabela, która wszelkiemi możliwymi środkami podniecała przeciwko Rosyi opinią publiczną, nie posiadała łaski cesarzowéj Katarzyny. Oddział zajmujący Puławy otrzymał rozkaz rabunku i niszczenia. Oficer, który tę misyą otrzymał, wykonał ją, śmiem tuszyć, nadużywając rozkazów. Wówczas to potłuczono i porąbano w drobne sztuki owego Fauna, dłuta Lizyppa, nabytego za 5.000 dukatów. Pokrajano obrazy Rembrandta i Rubensa, a dołączywszy je do potłuczonych zwierciadeł, mebli i marmurów, w sadzawce na dziedziń-

cu zotopiono. Kiedy Puławy téj klęsce uległy, Komar w Sieniawie życia dokonał, a wdowa po nim jeszcze młoda, zawarła związki małżeńskie z p. Pernettem, komisarzem klucza Sieniawskiego. Był on krewnym Pernetta, marszałka hetmanowéj Ogińskiéj, którego córki miały funkcyą tańcować kozaka na balach Siedleckich. Już nie pomnę który z magnatów polskich w ferworze zachwytu ofiarował pannie Pernett sto dukatów. Taż sama zgrabna tancerka późniéj została pierwszą osobą w kraju jako księżna Zajączek, żona Namiestnika cesarskiego w królestwie.

Po uspokojeniu burz wojennych i kiedy Austryacy zajęli Nową Galicyą, przybyła pani Pernett do Puław dla odszukania zakopanych skarbów. Lecz wszelkie jéj poszukiwania były daremne. Bądź że ktoś inny skarb znalazł, bądź że z upływem czasu i porostem trawy i krzewów, miejsca nie odnalazła, dość że z nadzieją odzyskania straty musiała się rozstać. Ale Opatrzność nad sierotami czuwała i niebawem po śmierci Kosakowskiéj, kasztelanowéj Kamieńskiéj odkrył się dla nich spadek. Komarowie nie wiedzieli nawet o pokrewieństwie, aż wezwani przez sądy od razu do zamożności i bogactwa przyszli.

Pomiędzy innémi towarzystwami, do których uczęszczaliśmy, bywaliśmy także na obiadach u pisarza Rzewuskiego, który mieszkał w Rynku, obok Ratusza. Ratusz ozdobiony był wysoką wieżą. Na niéj osadzono zegar i straż miejską u samego szczytu. Co kwadrans w dzień i w nocy wychodził na galeryą strażnik i świstał na piszczałce, a w czasie pożaru znaki alarmowe dawał. Z powodu ogromnéj wysokości wyglądał on jak małe dziecko. Wieża ta, około, jak mi się zdaje r. 1826 nagle runęła i znacznie kamienicę pana Rzewuskiego uszkodziła.

Prócz ówczasowego gubernatora hrabiego Geisruck,—który sam chudy, nizki, na jedno oko ślepy i garbaty, a miał żonę już w wieku, syna urzędnika, ale idyotę i dwie córki—inni Niemcy mało w towarzystwach bywali. Ten gubernator z familią parę razy odwiedził Puławy i dosyć długo za każdym razem przesiadywał. Puławy na przyjęcie tak dostojnéj osoby podwajały zabawy. Mnóstwo obywateli, potrzebujących protekcyi gubernatora w swych majątkowych stosunkach, korzystało z podobnych pobytów—bądź aby interesom dać pomyślny kierunek, bądź aby bliższą znajomość zabrać z tym dygnitarzem. Ścisk wynikał nad opisanie, a córki gubernatorskie z całą młodzieńczą wesołością w zabawach brały udział, osobliwie panna Henryetta. Sam gubernator, już w wieku posunięty, światły i roztropny, nie dumny i powszechnie szanowany, ale upośledzony od natury, wcale na gubernatora ośmiu milionów ludności nie wyglądał i żadnéj

w nim powagi nie dostrzegłeś. Istnieje podobno prawo kanoniczne niedozwalające, aby osoby ułomne na duchownych wyświęcać. Zdaje mi się, że i wielkorządztwo powierzać osobom tak od natury upośledzonym, jakim był nieborak, hr. Geisruck—jest nietrafném. Ani groźnym dla podwładnych, ani rzutkim, ani czynnym nie może być człowiek w wieku, schorzały, ślepy i garbaty.

Nie małe w ówczesném towarzystwie lwowskim zajmowali stanowisko prawnicy, dwóch ich szczególniéj odznaczało się w tym zawodzie. Jeden Dzierzkowski, drugi Węgleński. Pierwszy był to w istocie rodzaj fenomenu, obdarzony był bowiem od natury niesłychaną pamięcią. Rozwijał w konwersacyi zapas najrozmaitszych wiadomości, przykuwał słuchaczy do siebie i napełniał ich żądzą ciągłego upragnienia, aby go mówiącego słyszéć. Przystojny o rysach twarzy regularnych i delikatnych, wysoki, nosił się w polskim stroju dla ukrycia zbytniéj otyłości. Aczkolwiek miał ruchy ciała żywe i chód lekki, tak był otyły, iż musiano otwierać obie strony podwojów drzwi, by mógł wejść do apartamentów, a w żadne krzesła poręczowe zmieścić się nie mógł. W r. 1809 wezwany do zasiadania w rządzie centralnym, przybył na krótkie chwile do Warszawy. Ciekawość towarzystwa warszawskiego wzbudził i ubiegano się o sposobność zobaczenia go i posłuchania. Że jednak cały jego majątek odpadl do téj części Galicyi, która pod berłem Austryi pozostała, wrócił do Lwowa z wielką dla kraju stratą, bośmy takich ludzi jak on mało posiadali.

Drugi, Franciszek Węgleński świetniał dowcipem, wiadomościami prawnemi i zręcznością. Był rodzonym bratem ministra skarbu Księztwa Warszawskiego. Prowadził życie kosztowne, z przepychem i miał pod murami miasta willę *Pohulankę*, w któréj godnie odpowiadając nazwie z sędziami sądów apelacyjnego i szlacheckiego hulał. Sędziom pensye z swych dochodów płacił i tym dwoistym sposobem sumienia większości w swém ręku trzymał. Nie było téż sprawy, którejby nie wygrał. Po r. 1809 porzucił stan adwokacki i Lwów i przeniósł s ę do Warszawy, a za protekcyą brata, został późniéj ministrem Sprawiedliwości.

Wspomnę jeden z adwokackiego życia jego wypadek. Rząd austryacki przedsięwziął wszystkie dobra, które posiadały kopalnie albo warzelnie soli, nabyć na swą własność. Albo więc wartość ich płacono, albo zamieniano na inne majątki. Wiele osób w Galicyi porobiło na tém, a przynajmniéj znacznie powiększyło fortuny, jak na przykład Dzieduszyccy. Lecz kto się nie umiał dopilnować, ponosil dotkliwe straty. Takim był wypadek majętnéj przedtém jednéj wdowy, matki kilkorga dzieci, która przez zamianę zupełnie prawie ma-

jątku pozbawioną została, a ani na drodze administracyjnéj, ani na sądowéj, nie mogła uzyskać wynagrodzenia, jakie się jéj najsłuszniéj należało. Kiedy żadnéj już nadziei nie było, udała się do Węgleńskiego i stanął między niemi układ, że pan Franciszek swoim kosztem prowadzić będzie interes. Za poniesione wydatki żadnéj nie będzie miał pretensyi, jeśli mu się nie uda, a dostanie dobra pewne, jeśli z zyskami dla wdowy sprawę zdoła zakończyć.

Do interesu zabiera się w ten sposób. Sprawia piękną tacę srebrną, w jedwabny woreczek wkłada tysiąc dukatów i z tém jedzie do Wiednia. Były to czasy wojen francuzkich. Austrya ciągłemi wysileniami znękana, zalana papierowemi banknotami i miedzianemi reńskiemi, ani srebra, ani złota nie miała. Kruszce tu były taką rzadkością jak jakie feniksy. Panował cesarz Franciszek II, który późniéj awansował na Franciszka I. Pan cnotliwy i dobroduszny. Kiedym w roku 1840 zwiedzał zamek cesarski w Wiedniu, w jego apartamencie zawieszone były dwa obrazy, a na jednym z nich wyobrażone, jak niepoznany przez chłopa przewozi go na czółnie przez jeziorko, otaczające zamek Laxemburg i za przewóz trzy grajcarówkę odbiera. Owóż cesarz ten poddanym swoim raz w tygodniu dawał audyencye, na które wpuszczano każdego bez żadnych uprzednich meldunków i na których proźby do niego zanoszone ze szczególną łaskawością, łagodnością i dobrodusznością wysłuchiwał. Pan Węgleński na podobnéj audyencyi prezentuje się z ową tacą i woreczkiem. Gdy cesarz do niego się zbliżył i zapytał czego by żądał? oświadczył, iż przybywa ze Lwowa, a wiedząc ile monarchia w dzisiejszych czasach ma nadzwyczajnych wydatków, pokornie uprasza cesarza, aby raczył przyjąć jako ofiarę od wiernego sługi na zasiłek skarbu tysiąc dukatów, znajdujące się w woreczku. Cesarz zamyślił się, późniéj woreczek wziął do ręki i do kieszeni włożył. Bądź z zadziwienia bądź z jakiego innego powodu długo stał przed Węgleńskim, milcząc wreszcie odezwał się, że piękny ten przykład poświęcenia się dla dobra monarchii mile przyjmuje i że z przyjemnością mu przyjdzie wywdzięczyć się p. Węgleńskiemu. Dla tego prosi, aby mu z całą otwartością wyznał, czy w jakim interesie nie może mu być pomocnym. Zapytany odpowiedział, że czyn jego jest wynikiem czystego, bezinteresownego patryotyzmu i że żadnéj proźby nie ma. Ponieważ przez to rozmowa weszła na drogę grzecznéj konwersacyi, zapytał go więc cesarz czy długo w Wiedniu bawić jeszcze zamierza i dodał, że spodziewa się iż go jeszcze przed wyjazdem widzieć będzie.

Tego też właśnie pragnął Węgleński. Nim ośm dni upłynęło stawił się powtórnie na audyencyi. Skoro go cesarz spostrzegł, przybył zaraz do niego. Pan Franciszek oświadczył, że Wiedeń opuszcza

i stosownie do otrzymanego łaskawie rozkazu składa swe pożegnalne uszanowanie. Cesarz mu na to odpowiedział, iż tém mocniéj żałuje, że nie jest wstanie okazać mu swéj życzliwości i dodał: „jeśli sam pan nie masz żadnego interesu, w którym mógłbym ci być użytecznym, może któremu z krewnych lub znajomych przydam się na co—proszę o tém pamiętać. Na to pan Węgleński, udając wprzódy długo zamyślonego rzekł: „Kiedy tyle dobroci doznaję od waszéj cesarskiéj mości, przypominam sobie, że jednę biedną wdowę obarczoną familią, a moję przyjaciółkę, pokrzywdzono przy zamianie dóbr solnych. Cesarz wtedy prędko mu zlecił: „Nie wyjeżdżaj więc jeszcze i opisz mi stan interesu, a ja sam go rozpoznam i sprawiedliwość wymierzę."

Węgleński w Wiedniu pozostał, memoryał podał, cesarz wszystko podług jego wniosku zdecydował i choć skarb porządnie ucierpiał, wdowa do znacznego majątku przyszła, a Węgleński dobra otrzymał.

Zapisać tu także muszę szczególny wypadek, jaki się trafił podczas naszego pobytu we Lwowie. Ten sam Borejko, który towarzyszył księciu do Bardyowa, starodawny polak, w stroju narodowym, z głową ogoloną, ściągał na kontrakty do Lwowa. Był to podolanin, bardzo poważany przez swych ziomków. Tęgi do kielicha i do korda, miał twarz brunatną, na karku olbrzymich rozmiarów osadzoną. Jechał saniami, a pod Kulikowem, gdy sanie na zatokę poszły, uderzył przy wywrocie tak silnie o słup sosnowy przęsłowego płotu, że ten słup roztrzaskał, innego nie doznawszy szwanku, jak tylko, że mu drzazgi czoło poorały. Nie ma wątpienia, że nasi praojcowie twardsze mieli czaszki, może z powodu golenia głów i wiecznego wystawiania ich na wpływ powietrza. Gdyby podobną czaszkę miał biedny generał Sokolnicki, pewnoby głowy nie rozbił od prostego upadnięcia na paradzie na dziedzińcu Saskim.

Z wiosną 1800 r. wróciliśmy do Pożoga. Wówczas i przez cztery poprzednie lata mieliśmy liczne towarzystwo. Mieszkały tu dwie siostry mojéj matki, panny Aleksandra i Tekla, brat Wojciech Narbutt, a oprócz tych, o których już poprzednio wspominałem, panna Maryanna Piramowicz, guwernantka mojéj siostry i Franciszek Lessel, nauczyciel muzyki. Panna Aleksandra poślubiła wkrótce pułkownika Ciesielskiego i do Samoklęsk się przeniosła. Panna Tekla podbiła serce wojewodzica lubelskiego Hryniewieckiego, dziedzica Markuszewa i między nimi nastąpił także związek małżeński. Lecz nie długo się im szczęściło, ciotka moja bowiem dostała raka i w parę lat po ślubie zgasła. Wojewodzic wdowiec, cokolwiek utracyusz, Markuszew sprzedał w części panu hrabiemu Tarnowskiemu, w części panu Ejdziatowiczowi, Bronice zaś z dwoma folwarkami mojemu

ojcu. Sam, także nie długo po żonie żyjąc, resztę pieniędzy, których nie strwonił, jedynemu z familii chorążycowi Hryniewieckiemu zostawił.

Bronice mój ojciec nabył jeszcze w r. 1798 i od téj chwili rozpoczęły się tam fabryki domu i innych budowli gospodarskich, które kilka lat trwały. Co do chorążyca ten z otrzymanéj sukcesyi kupił Tuszów a, umierając bezdzietnie i bezdziedzicznie, włościanom cały majątek zapisał, pod warunkiem, aby raz na rok płacili do parafii pewną kwotę na nabożeństwo za familią, która na nim wygasła. Włościanie swoje grunta na siebie uprawiali, dworskie zaś wypuścili w dzierżawę niejakiemu p. Malinowskiemu. Kiedy w r. 1809 wojska księstwa Warszawskiego zajęły te okolice, na potrzeby powstających pułków, na żywność wojska i koszta wojenne ogromne podatki nakładano. Ztąd rachunki p. Malinowskiego, który i za włość i za dwór opłacał podatki, tak urosły, że włościanie wyrzekli się dziedzictwa i pod pańszczyznę dobrowolnie wrócili. Dobra te obecnie należą do generała Rolanda.

Wyszła wreszcie za mąż za niejakiego p. Wojcickiego z Chełmskiego wspomniana już młoda i przystojna wdowa p. Piasecka, Lessel wyjechał do Wiednia, gdzie kształcił się pod Haydnem, wuj Wojciech do Sukurcz, a kiedy przyjechał z Wiednia nauczyciel p. Laville, przenieśliśmy się do Puław w roku 1800.

III.

W r. 1801 matka przepędzała zimę w Warszawie. Zawiozła tam moję siostrę, aby ją kształcić w rysunkach pod kierunkiem p. Norblin, francuza rodem, lecz polaka sercem, odkąd, ożeniwszy się z polką, krewną pani Wójcickiéj i Wierzbickiéj, w Polsce życie przepędzał. Rysował on bardzo dobrze i malował olejno pięknie. Sufit w świątyni Arkadyi i część robót, to jest konie na suficie sali żółtéj w zamku warszawskim jego są dziełami. W mniejszych utworach pędzel jego przypomina sposób Boucher, Watteau i téj szkoły. Szczególnie drzewa wyobrażał wysokie i cienkie i liści nie wykończał.

Zima ta była nadzwyczajnie ostra. W Warszawie matka i siostra moja, dopiéro czternastoletnia panienka, nie uczęszczały do wielkich towarzystw, zresztą ich nawet, żeby prawdę powiedzieć, nie było. Przedstawiły się pani de Vauban dla nieuniknionéj ceremonii; a reszta czasu mile im schodziła w mniejszém kole osób, z któremi bądź w Puławach, bądź z dawniejszych czasów miała matka moja

zażyłość—to jest w domach: państwa Stanisławowstwa Potockich, Gutakowskich, Kickich i Sołtyków.

W tym czasie mieszkał także w Warszawie p. Walicki, o którym obszerniéj późniéj napiszę. Tu tylko o nim wspominam dla tego, że darował on podówczas pani Sołtykowéj ten słynny szafir, który innym kolorem błyszczał w dzień, a innym przy świecach i który posłużył za przedmiot do ładnéj powieści pani de Genlis pod tytułem *Le safir merveilleux*.

Na jednym u pani Sołtykowéj wieczorze poznał siostrę moję pan Tarnowski, zwany Egipcyaninem, dla tego, że w młodości krainę tę zwiedzał, i odtąd codziennie matce mojéj składał wizyty. Z listów jéj widzę dziś jeszcze, że wróżyła ona sobie z tego związki małżeńskie, ale ta nadzieja omyloną została.

Po kilkomiesięcznym pobycie, gdy moja matka zrachowała, że siedzenie w Warszawie ogromne wydatki za sobą pociąga, zaproponowała p. Norblin, czyby nie był skłonnym do Bronic lub do Puław dla kontynuowania lekcyi przybyć. Zgodził się za opłatą pięćdziesiąt dukatów miesięcznie i dla tego matka z wiosną do domu wróciła. Pan Tarnowski odtąd aż do czasu dopóki się nie oświadczył o pannę Laurę Potocką, siostry mojéj nie widział.

Ja w Puławach całą tę zimę przepędziłem w towarzystwie stryjecznéj mojéj siostry Rozyny Dembowskiéj, którą w pierwszéj młodości poznawszy, jakby siostrę rodzoną całém sercem zawsze kochałem. Miała ona za ochmistrzynię staruszkę, panią Krobanowską. Ta szczególny posiadała talent, bo robiąc machinalnie pończochę na drutach, jedném okiem spała, a drugiém zważała, co młodzież porabia. My z Rozyną cokolwiek hałaśliwi za ulubioną zabawę, do któréj czasem Adam Matuszewicz należał, a Haller, jako mój towarzysz, zawsze—uważaliśmy grę w *salii*. Gra to na tryktraku pionami dosyć zabawna. Lecz przekładaliśmy wszyscy rzucanie poduszkami na siebie. Poduszki od kanap uważano za łódki, na nich się po podłodze suwali, szpagatem lub chustkami łapiąc się, o ile zręczność rzutu dozwalała. Owóż kiedy panna Krobanowska obu oczyma patrzała, graliśmy poważnie w *sali*, ale skoro tylko jedno z nich zmrużyła—dalejże do poduszek.

W lecie tegoż roku przybywał świeży żywioł. Przyjechała księżna Wirtemberska z dwiema wychowanicami, panną Cecylią Beydale i panną Maryanną Dzierżanowską. Pierwsza z nich była rówienniczką mojéj siostry. Brunetka, szczupła, łagodna, późniéj w tém nieszczęśliwa, że przez pół roku opanowywała ją zbytnia wesołość i ruchliwość, a przez drugie pół roku czarna melancholia. Panna Dzierżanowska, mego wieku, blondynka, rysy miała bardzo regularne,

twarz okrągłą i uśmiechem ozdobioną—słowem śliczna istota. Obok tego łagodna i z dobrém sercem. Ale, że zawsze i wszędzie to ale panować musi, wiedziała że jest piękną, lubiła hołdy i wielość hołdujących. Żeśmy byli równego wieku, te dwie panienki powiększyły towarzystwo, a panna Maryanna trzech rówienników, Matuszewicza Hallera i mnie pod swoje zaciągnęła jarzmo.

Tymczasem fety, bale, zabawy, zjazdy szły torem zwykłym, a i my w nich pewien przyjmowaliśmy udział. Naprzód do jedzenia wszystkich specyałów, deserów i cukierków, następnie do powiększania liczby spektatorów w fetach i sztukach teatralnych, a wreszcie dawano nam także role dzieci, o ile te do widowiska należały.

Z gości najznakomitszych, odwiedzających w tym czasie Puławy przypominam sobie arcyksięcia Ferdynanda i hrabiego Trautmansdorfu, tego samego, który poprzednio odbierał homagialną przysięgę od Galicyan w Krakowie.

W r. 1802 posłano mnie w lecie do Bardyowa, pod opieką pułkownika Ciesielskiego, który towarzyszył także księciu Czartoryskiemu. Już tą razą zastałem tu pałac wybudowany z oficynami, a towarzystwo prawie to samo, co zwykle. Że pan Ciesielski był wielkim lubownikiem botaniki, jeździliśmy konno aż za Koszyce dla widzenia drzewa cisowego. Drzewo to, z rodzaju iglastych, w stolarskich wyrobach zupełnie podobne jest do mahoniu. Flora bardyowska jest bogatą. Miejsce to od strony południowéj Karpat położone sprzyja roślinności: atropa-belladona, wino dzikie rośnie tu prawie powszechnie. Wody mineralne są mocno żelazne.

Teatr niemiecki już teraz nie w szopie, ale w porządnym budynku się mieścił. Ponieważ trochę po niemiecku rozumiałem, z większém więc zajęciem, aniżeli dawniéj, bywałem na przedstawieniach, najczęściéj razem z księciem Dominikiem Radziwiłłem. W salonie co niedziela i święto dawano bale, a w dzień powszedni służył on za miejsce zebrań. Oprócz tego wyprawiano bale i podwieczorki składkowe. Składano po dwa reńskie i za to oprócz zwykłych posiłków dostarczano lodów i cukrów. Fruktów mnogość była niesłychana i po niesłychanie niskich sprzedawano je cenach. Arbuzy przywożeno na targ czterokonnemi brykami i oddawano je prawie za bezcen.

Znajdowali się u tychże wód podolanin, dawny przyjaciel mego ojca, Giżycki i przemyślanów wielka liczba. Węgrzy zawsze dla księcia z największą uprzejmością, życzliwość swą okazywali. Las jodłowy i świerkowy już poprzerzynamy ścieżkami, opatrzony ławkami, piękne do spaceru stanowił miejsce, ale góry goléj od północy rozciągającéj się, niczem jeszcze nie ustrojono.

W końcu sierpnia wyruszyliśmy z Bardyowa i w Łańcucie blisko dwa tygodnie się zatrzymaliśmy. Fetowano nas w tym pysznym zamku wspaniale. Raz cały gmach i otaczający go ogród był iluminowany. Oprócz tego stół wyśmienity, fruktów najdoskonalszych obfitość, osobliwie też w deserze i w lodach codziennie dawanych szczególny okazywano przepych.

Księżna marszałkowa była tak prawie majętna jak jéj brat, bo chociaż z fortuny księcia wojewody ruskiego mniéj otrzymała, ale używała dożywocia na majątku księcia marszałka Lubomirskiego i jego braci. Aczkolwiek Wilanów, Nieporęt, pałac w Warszawie, Opatów i Pików odstąpiła swéj córce, pozostał jéj jeszcze Łańcut, Wiśnicz, Krzeszowice, Brzeżany, Przeworsk, Leżajsk, w Karpatach Skola, na Podolu Konstantynów, Satanów i inne nomenklatury, których już nie pomnę.

Bawiła podówczas w Łańcucie familija Geisrucków i przejeżdżający do Paryża ambasador rosyjski pan Markow. Miał przy sobie dwóch sekretarzy: Apraksyna i drugiego, którego nazwiska zapomniałem. Sam ambasador odznaczał się oryginalnym ubiorem, bo nosił frak krojem *habit habillé* koloru pąsowego w centki czarne, a w mowie, jak na prawdziwego dyplomatę przystało był bardzo oględny.

Wówczas lepiéj mogłem oceniać nieoszacowane skarby, które nagromadzono w tym pysznym zamku. Konie bronzowe, wazy marmurowe, alabastrowe, najwytworniejszych kształtów, obrazy sławnych mistrzów, statuy starożytne i słynnych nowoczesnych rzeźbiarzy—wszystko to literalnie zapełniało każdy z zakątków. W Łańcucie rozłączyliśmy się z księciem i z p. Ciesielskim wróciliśmy do Puław, kiedy książę feldmarszałek z resztą swojéj asystencyi do Sieniawy pociągnął.

W Puławach rozpoczęło się zwykłe życie.

Kiedy się dziś zastanawiam i rozważam, jaki był cel podobnego życia, jednę tylko znajduję odpowiedź—oto zapomniano o wszystkiém i myślano jedynie o tém, żeby się dobrze bawić, a większość towarzystwa zapominała o swoich interesach własnych i prawie na domowników puławskich się zamieniała. Tak np. Dłuski, starosta łukowski, wprawdzie nie miał dzieci, ale mu nawet przez myśl nie przeszło, że ma żonę, dobra i gospodarstwo. Ciągle mieszkał w Puławach, a gościem tylko był u siebie. Naprożno z tego wiru chciała go małżonka wyciągnąć. Z Gutakowa przybywali posłańcy, że kupcy czekają na kontraktowanie zboża. To wszystko chowało się do kieszeni, lub odpisywano, że przyjechać nie można. Z ukształcenia był

to istny francuz. W tabaczkowym fraku, w pończochach, roztrzepany i zawsze w dobrym humorze.

Dawano na Kępie jakąś komedyę. Pan Czacki z Boremla grał w niéj rolę ojca, a moja siostra jego córkę. Wszyscy i dzieło i jego przedstawienie chwalili. Pan Czacki odjechał do domu a w tém przybywa jakaś znakomita pani. Opowiadają jéj o sztuce, a ona żałuje, że jéj nie widziała. Cóż robią? Posyłają sztafetę do p. Czackiego, żeby przyjechał grać ową rolę, naznaczając dzień reprezentacyi. Wezwany przybywa zrana, odgrywa wieczorem swą rolę i po balu do Boremla wraca. To mi przypomina także, że p. Wincenty Krasiński, przebrany za hiszpana w białym atłasowym stroju, z drugim kawalerem, zdaje mi się Zawiszą, przebranym za maura, wieczorem opuszczają Warszawę, stają zrana w Puławach i prosto udają się na salę Białą, gdzie właśnie śniadano. Tam nic nikomu nie rzekłszy, jeden drugiemu rzuca rękawicę i rozpoczyna się walka z wielkiém ukontentowaniem przytomnych.

Jak odbywaliśmy nauki nasze, teraz już tego nie pomnę. W łacinie tylko p. Laville zastąpił Groddek, który starał się także w uczniów swoich wszczepić greczyznę, ale usiłowania jego nie wielkim cieszyły się skutkiem. Przez ten czas byłem dwa razy w Bardyowie, a raz w Lubieniu, przez całe lato i część jesieni, a z listów matczynych, które mi z téj epoki pozostały, widzę, że ciągle nas używano do fet, komedyi, spacerów, przejażdżek, tak że ta edukacya więcéj się zasadzała na praktyce jak na teoryi. Przysłuchiwanie się i branie udziału w towarzystwie osób wysokiego wykształcenia miało korzystny wpływ na rozwój umysłowy.

W r. 1803 miałem już lat czternaście i zaczynałem się wraz z rówiennikami przyczepiać do młodzieży starszéj. Znajdowało się między nami kilku, niby to amatorów literatury. Stanowili to kółko: Bobowski, Fredro, Białopiotrowicz i ja. Schodziliśmy się około szóstéj wieczorem w jesieni i zimie do Fredry na herbatę. Tam przegryzając ten trunek tortem, słuchaliśmy przekładów Fredry z tragedyi Rasyna, nad którémi wspólnemi siłami mozoliły się nasze mózgownice. Wiersze na wszystkie boki analizowano i poprawiano, co jednakże nie wydało pożądanego rezultatu. Andromacha, Brytannikus i Fedra pozostały w rękopismach, a potomność wcale na tém nie poniosła straty.

W tym czasie zaczął bywać w Puławach anglik Pohlen. Jeździł on z żokejem po Europie karyklem odkrytym, własną parą koni, w towarzystwie żony, z domu Gascogue, córki jenerała, zostającego w służbie rosyjskiéj, a celem tych podróży było podratowanie majątku własnego, bardzo nadwerężonego. Oryginał, jak zwykle ci wy-

spiarze, ale jak na anglika trzpiot i wesoły. To też jak raz w towarzystwie puławskiém zasmakował, prawie co rok po kilka miesięcy tu przebywał. Człowiek młody, przystojny, ślicznie tańcował. Żona jego także bardzo ładna i przyjemna osoba. Liberyą jego stanowiły białe aksamitne fraki, szafirowe kamizelki i spodnie — ubranie niezwykłe u nas, ale się dobrze wydawało. Skończył życie, płynąc okrętem wzdłuż wybrzeżów Baltyku pod Memlem, przez rozbicie się statku. Żona zaś jego osiadła w Anglii i żyła jeszcze w 1833 r. Ów pan Pohlen, jadąc raz z Berlina do Puław, miał sobie powierzonych kilkanaście słoików angielskich pikli, które księżna Ludwika Pruska, księżnie Czartoryskiéj przesyłała. Przy obiedzie, skoro podano sztukę mięsa, anglik odzywa się:

— *Princesse, je vous apporte une douzaine de pots des pickles de la part de la Princesse de Prusse.*

Rozkazano przynieść słoiki i ustawiono je na stole. Każdy zupełnie był oklejany kartami tytułowemi. Czytają naprzód gatunki, później wyjmują korki, ale każdy słoik okazuje się próżny.

— *Helas!* — rzekł na to z zimną krwią Pohlen — *c'est visible, que j'en ai trop gouté.*

Inną razą przybył przeziębnięty, zakatarzony i z mocnym kaszlem. Sam więc z danego mu apartamentu nie wyszedł, tylko żonę przysłał do salonu. Gdy się o stanie zdrowia jéj męża dowiedziano, natychmiast posłano doń doktora Goltza, ojca. Był to także w swoim rodzaju oryginał. Niski, pękaty, po francuzku podług starożytnéj mody noszący się, łysy, z długim harcapem. Dobry i praktyczny doktór, tylko w ważnych wypadkach dający lekarstwa, które we własnéj apteczce, przy pomocy służącego Trojańskiego przyrządzał. Odwiedzając pacyentów przesiadywał u nich po parę godzin, dziwne androny prawiąc, które chorego w dobry humor wprowadzały. Wychodząc miał zwyczaj mówić: — ja ci dam coś. — Czasem to *coś* było lekarstwem, najczęściéj jednak jakimś specyałem, przez panią Hagen, zarządzającą jego kuchnią, przyrządzonym. Teorya jego lekarska polegała na tém, że chcąc w Polsce być zdrowym, nie należy używać aptek i doktorów, ale dwa razy w roku porządnie się upić. Raz w maju, zamiast kuracyi wodami mineralnemi, a drugi raz w październiku, dla uniknięcia katarów, pleurów i chorób zapalnych.

Owóż Goltz, obejrzawszy pana Pohlen, powiedział mu:

— Połóż się i napij letniego ponczu dla wzbudzenia transpiracyi.

Pohlen obznajomiony ze zwyczajami puławskiemi posłał miejscowego lokaja do marszałka, żądając ponczu. Marszałek myśląc, że chce odwiedzających częstować, posłał mu wazę, w któréj było ze dwadzieścia cztery szklanki. Pohlen nie zaląkł się téj dozy, ale po-

łożył się w łóżko i rozpoczął kuracyą obfitemi libacyami. Tymczasem księstwo otrzymawszy od Goltza relacyą o stanie chorego, postanowili go odwiedzić. Przychodzą do oficyny, w której mieszkał, i zastają go pijaniusieńkiego, tańcującego z zataczaniem się w szlafroku po pokoju.

— *Que faites vous, M. Pohlen?* — pytają.

— *J'aide à exciter une transpiration* — była odpowiedź.

Okazało się, że anglik całą wazę ponczu sam jeden wypróżnił.

Co do Goltza, był on w młodości lekarzem u księcia Jabłonowskiego, ojca księcia Stanisława, pana majętnego i rozrzutnego. Lubił te czasy zawsze wspominać i zawsze go one w dobry humor wprawiały, ale że w opowiadaniach swoich zwykł był egzagierować i prawił nieraz duby smolone, przeto mu powszechnie nie wierzono. Miewał téż często swoje kaprysy: i tak, choć zwykle bezinteresowny i leczył wszystkich darmo najczęściéj własnemi lekarstwami, raz, kiedy niebezpiecznie zachorowała księżna marszałkowa Lubomirska, nie chciał inaczéj przejechać czterech mil, oddzielających Łańcut od Sieniawy, póki mu nie przysłano tysiąc dukatów. —Bogata—mówił—chce żyć, niech za ubogich płaci. Jadał zawsze u siebie, bardzo smaczne potrawy, które mu przyrządzano, i na nie konwalescentów zapraszał, mówiąc: tobie już lekarstwa nie pomogą, tylko dobre żywienie.

W innym rodzaju był pierwszy sekretarz księcia, pan Skowroński. Ten między innemi miał w tym czasie dwa szczególne zdarzenia. Był wówczas słynny rabuś Bogusławski. Ten przez niesłychane dowody zręczności i śmiałości popełniał liczne kradzieże, a przez rozległe z towarzyszami związki, zawsze zdołał uciec z więzienia, ile go razy pojmano. Raz wpadłszy do Puław, zaszedł do mieszkania Skowrońskiego. Otworzył jego biurko, poprzeczytywał różne korespondencye i wziął tylko sto dukatów, choć pieniędzy było znacznie więcéj. Na biurku zostawił kartkę do Skowrońskiego téj treści: Dziwi się mocno, że sekretarz księcia, posiadający rozmaite jego tajemnice, tak mało jest dbały o korespondencye jemu powierzone, iż je można z łatwością znaleść i odczytać, jak on to uczynił. Żeby mu dać naukę i ukarać za tę nieostrożność zabiera mu sto dukatów.

Kiedym mieszkał w r. 1811 w Lublinie, po raz może dwudziesty Bogusławskiego owego schwytano. Więzienie jego urządzono ze szczególną troskliwością, aby znowu nie uciekł. Kurytarz główny opatrzono dwoistemi drzwiami, z których jedne żelazne na rygle, tak jak okna były zamykane. Te ostatnie opatrzono dubeltową kratą i zamurowano tak, żeby człowiek przez otwór przecisnąć się nie mógł. Bogusławskiemu okuto ręce i nogi i prócz tego postawiono

szyldwacha pod jego oknem na dole, aby ciągle dawał na niego baczenie, a inspektor codzień obowiązany był celę jego rewidować. W ogrodzie Wizytkowskim, w którego klasztorze znajdowało się to więzienie, stał mały domek na skład naczyń ogrodowych przeznaczony. Pewnego wieczora, około godziny 10 w lecie, straż ogniowa daje znać, że domek ten się pali. Pośpieszono na ratunek i choć buda ta spłonęła, z powodu odległości od budynków obszerniejszym pożarem nie zagroziła. W czasie tym jednak Bogusławski zdołał przepiłować kajdany, rozwalił mur w oknie, wyłamał kraty i uciekł, żelaznym drągiem szyldwacha ogłuszywszy. Późniéj go znowu złapano i osadzono już nie w Lublinie, gdzie miał dużo spólników, ale w Chęcinach, i tam życia dokonał.

Drugi wypadek, jaki miał miejsce z panem Skowrońskim, był następujący. Posłano go do Gdańska dla odebrania 11,000 dukatów. Sumę tę uzyskawszy, w baryłkę ją zapakował, w koszyku w nogach swoich umieścił i do Puław dążył. I on i służący zasnęli tak mocno, że dwie stacye przespali i dopiéro na trzeciéj Skowroński przebudziwszy się dostrzegł, że baryłki nie masz. Wszelkie poszukiwania były daremne i do Puław bez pieniędzy wrócił. Parę lat minęło i już zapomniano o téj stracie, kiedy książę odebrał list od słynnego Magieta, rabina w Kozienicach, uchodzącego u żydów za świętego, w którym mu on donosi, że zguba się odzyskała i że można ją odebrać pod następującemi warunkami: 1) że książę złodziejom wybaczy; 2) że będzie się kontentował odzyskaniem tylko 10,000 dukatów, gdyż jeden uroniono; 3) że dopytywać się nie będzie rabina, jakimi sposobami kradzież tę odkrył. Książę na warunki przystał i pieniądze mu wypłacono. Wtedy książę postanowił sam osobiście odwiedzić Magieta.

Wraz z p. Ciesielskim byłem wizyty téj świadkiem. Kozienice wówczas inną jak obecnie miały postać. W Długiéj ulicy od strony Puław, stały jeszcze porządne domki mieszkalne fabrykantów broni, których Stanisław August tutaj sprowadził. Rynek ogromny, jakby w najcelniejszych miastach otaczały karczmy przez architekta Kubickiego stawiane, ale do właściwego użytku nie zdatne. Okna bowiem miały potężne, a izby obszerne a wysokie, w zimie nie były możliwe do ogrzania. Reszta miasta, prócz pałacu królewskiego, który zamykał rynek, była to mięszanina domków drewnianych, szczupłych, brudnych, błotniste tworzących ulice, w których komunikacye utrzymywano za pomocą porozrzucanych dylów.

Za przybyciem naszém do Kozienic w licznéj asystencyi, gdyż książę nigdy nie puszczał się w drogę bez orszaku, udaliśmy się do mieszkania Magieta, którego domek znajdował się w pośród brud-

nych uliczek. Za nami postępował tłum żydów, ze znakami największego zadowolenia, że *feldzeugmeister* wojsk austryackich i taki wielki potentat idzie odwiedzać ich świętego. Radość tę wyrażono najrozmaitszemi sposobami. Jedni krzyczeli, drudzy śpiewali, inni tańcowali. Żydówki i bachory płakały ze szczęścia. W pośród tego hałaśliwego zgiełku weszliśmy do Magieta, wprost z sieni do dużéj izby, gdzie za przepierzeniem leżał święty na piramidzie betów. Byłto staruszek, mający około 90 lat wieku, całkiem biało ubrany, z białą jak śnieg brodą, sięgającą mu aż do pasa. Twarz miał drobną, chudą i pełną zmarszczek. Książę przybliżywszy się do łoża, zaczął mówić po polsku. Magiet kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział. Książę myśląc że po polsku nie umié, użył języka niemieckiego — toż samo milczenie. Odezwał się więc feldmarszałek po hebrajsku, bo i ten język znał bardzo dobrze, ale znowu ten sam skutek. Widząc więc niepodobieństwo wyciągnięcia od świętego choćby najmniejszego słowa, wróciliśmy do karczmy na obiad. Odprowadzały nas znowu jak poprzednio tłumy żydów, a ich entuzyazm teraz manifestował się także i na cześć rabina.—Nasz Magiet, co to za mądry—powtarzano ciągle, i nie wiem, czy to uparte jego milczenie za dowód mądrości brano. W każdym razie był to człowiek dobroczynny. Z całego kraju toczyły się ciągle do Kozienic bryki z ofiarami dla świętego. On je wszystkie przyjmował, a co piątek, co tylko wpłynęło, między ubogich rozdawał. Oprócz datków pieniężnych ofiary te wynosiły od 80 do 200 korcy zboża tygodniowo.

Później już dowiedziano się, że pieniądze te widząc podróżnych śpiących, wykradł pocztylion i w krzaki je schował. Następnie porzucił służbę, ożenił się i tysiąc dukatów wydał na założenie gospodarstwa. Lecz jakim sposobem Magiet do niego trafił i jak resztę odzyskał, to pozostało tajemnicą.

W lecie 1803 r. książę wybrał się tak jak zwykle do Bardyowa, a marszałek Potocki, moja matka i wiele innych osób towarzyszyliśmy księżnie do Lubienia. Ja i młody Goltz, jako lekarz nadworny, podróż tę i tam i nazad odbyliśmy konno. Księżnę wtenczas opanowała pasya łowienia ryb na wędkę — rozrywka, która i mnie wielce zajmowała. Miałem doskonałe angielskie wędki, te więc, jak i zapas glist, starannie z ziemią w słoikach pielęgnowanych poszły naprzód z furgonami.

Lubień, wieś tak jak wszystkie ruskie, bardzo jest osiadła, a należała do arcybiskupstwa lwowskiego, którego pasterzem a zatém i jéj posiadaczem był podówczas ksiądz Kicki, brat pana koniuszego koronnego, i Augusta, starosty krasnystawskiego, zamianowanego

późniéj kasztelanem. Jechaliśmy zwykłym traktem na Zamość, Tomaszów, Rawę, Żółkiew i ztąd na Janów do Lubienia.

W Żółkwi w kościele z ciekawością oglądałem obrazy pędzla d'Altamont, przedstawiające zwycięztwo Jana Sobieskiego i nagrobki familii Daniłowiczów i Stanisława Żółkiewskiego.

W Lubieniu są wody siarczane, łazienki przy źródle i ogródek, wtedy tylko co założony. Na drugim końcu wsi cerkiew, a naprzeciw niéj karczma, taka jak wszystkie karczmy polskie. Ulokowanie sie przy podobnym niedostatku budowli nielatwe. Zajęto całą karczmę dla księżnéj, pani Matuszewiczowéj i mojéj matki. Ze stajni za pomocą dywanów utworzono salon, w którym dawano obiady, wieczerze a nawet i fety. Reszta towarzystwa rozlokowała się po chałupach włościańskich, sypiając na sianie i obywając się bez stolików i stołków.

W Lubieniu cały dzień odzywały się albo dzwony cerkiewne, albo głos sąsiadki naszéj pani Dydyńskiéj w ruladach na wszystkie gamy. Ta pani w istocie dobrze śpiewała, a muzykę lubiła namiętnie. Nie była już wtedy piérwszéj młodości, chuda, czerniawa i ospowata, ładną tylko miała kibić. Jak w towarzystwach nieuchronną było rzeczą słuchać mnóstwa aryj i aryetek, które się z jéj gardła, jak z rogu obfitości sypały, tak u siebie ciągle odbywając studya, uszy nasze nielitościwie męczyła.

Są na świecie rozmaite w obu płciach nawyknienia i nałogi. Tak w Puławach bywała pani Chrzanowska, osoba majętna, która przywiązała się do baranka, czy owieczki, z takiem zamiłowaniem, że się stał nieodstępnym jéj towarzyszem. Woziła go z sobą w karecie, mieszkał w jéj sypialni, a skoro tylko nie miała go przy sobie, porywały ją o los jego macierzyńskie niepokoje i porzucała towarzystwo, aby bieżéć do niego. Pani Olędzka znowu, ta co późniéj w Dreźnie z mężem osiadła, miała gęś, z którą rozłączyć się nie była w stanie. Wodziła ją sama na wstążeczce na paszę i całe życie nią tylko zatrudniona była.

Uchodzą anglicy za oryginałów, ale właściwie powiedziawszy, nie brakuje ich w żadnym narodzie, a u nas pod koniec XVIII w. było ich pod dostatkiem. Pan Uniatycki naprzykład, z obawy aby oddech ludzki nie zarażał otaczającéj go atmosfery zbytnią ilością azotu, w kościele swym parafijalnym modlił się pod ogromnym kloszem szklannym, a w pokojach swych siadywał, przedzielony od familii ścianą szklaną. Pan Dulski, o którego usterkach nawet i w pamiętnikach trudno opowiadać, miał ogromną służbę z samych pięknych dziewcząt wiejskich dobraną, a usługa odbywała się w taki sposób, jak to opowiedziano w książce *Moyen de parvenir*, ulubioném

dziele królowéj szwedzkiéj Krystyny, które jéj piękna hrabianka Sparre czytywała. A cóż dopiéro ów pan starosta Kaniowski, który buzdyganem uderzywszy żyda i zabiwszy go, gdy od wojewody Żaby otrzymał za to wymówkę, kazał mu ich zawieść całą furę, oddając za jednego. Podobnież ów Brzostowski, starosta puński, o którego pustotach dziś jeszcze opowiadają w Dreznie. Kiedy mieszkał w hotelu Polskim na *Schlossgasse*, na dole, najął przeciwległe po drugiéj stronie ulicy pokoje i wywierciwszy dziurki w ścianach, poprzeciągał sznurki, za pociągnięciem których wywracał przechodzących. Gorzéj jeszcze dał się we znaki, kiedy wieczorami dzwonił do drzwi i wyglądających przez lufciki Niemców osmarowywał smołą.

Owóż i w Lubieniu tego lata było dwie osobistości w podobnym guście: pan Grabianka i senator Iliński.

Pierwszy illuminat, swedenborgista, długo we Francyi przemieszkując i na francuza prawie przerobiony, posiadał w całym układzie swoim coś osobliwszego. Mistyczność w mowie, nadzwyczajna ruchliwość i szczególne przysłowie: *jak się zowiesz*, co parę słów powtarzane, czyniły go odznaczającym. Lubił wino burgundzkie i znajdował, że to, które mu podawano u księżnéj, ma jak się zowiesz, *un délicieux bouquet*. Raz u stołu chciał, aby mu tego wina podano, woła więc na usługującego kozaka—„Słyszysz, jak się zowiesz“— „Wasyl, J. W. panie,“ odpowiada sługa. P. Grabianka nie był cierpliwy. Widać że to zaleta iluminatom nie potrzebna, a kiedy się zbytnio rozgniewał, zwykle nic więcéj jak swoje „jak się zowiesz“ powiedzićć nie umiał. Powtarza więc bez przerwy swoje przysłowie, a kozak kłaniając się, daje jednę odpowiedź: „Wasyl JW. panie.“ Wszyscy się śmieli, kozak uciekł i pan Grabianka, dopiéro wysapawszy się, zdołał powiedzićć, że mu o wino chodziło.

Senator Iliński był to człowiek bardzo dumny. Posiadał na Wołyniu dobra Romanów, którym nazwę tę dać miał w tym celu, żeby ona znaczyła *Roma nova*, to pewna, że w tym nowym Rzymie prowadził życie z przepychem, nie odpowiadającym zasobom majątkowym. Prócz licznéj muzyki, utrzymywał trupę aktorów włoskich, kupił słynnego ogiera angielskiego Dyomeda, za którego zapłacił 10.000 dukatów. Koń ten jadał w marmurowym żłobie, a sztychy wyobrażające jego kształty i rysy po całym świecie rozsyłano. Temi rozmaitemi nadużyciami majątek mocno nadwerężył.

W Lubieniu, na swoje imieniny, umyślił w ogrodzie obok łazienek wyprawić fetę. Była więc naprzód pod namiotem herbata, lody, frukta, ciasta i tym podobne przysmaki. Muzyka rozmaite utwory przygrywała, a skoro się zmierzchło, senator zprzed oczu gości zniknął, ale w jednéj chwili ogródek tysiącem świateł zabłysnął. Gra-

bianka *jak się zowiesz* powstał i zaproponował księżnéj i towarzystwu, żeby zwiedzić iluminacyą. Ogródek, jak już mówiłem, był mały i młodemi krzaczkami zapełniony. Lecz czemuż nie podoła ludzka myśl, wytrwałością i funduszami wsparta? Przedstawiają się naszemu oku majestatyczne dęby, stuletnie świerki, a wszystko to na płótnie pomalowane i bogato oświetlone. Tu herby hrabiów Ilińskich z lampionów ułożone, owdzie hrabiowskie mitry, wyobrażenia orderów, ktoremi był zaszczycony, cyfry i gdzieniegdzie skromny napis *vivat*!—nie wiadomo czy dla gości, czy dla gospodarza przeznaczony. Błądząc po owym labiryncie, nagle stajemy obok zasłony. Muzyka daje się słyszéć, zasłona spada i okazuje się, że to będzie teatralna reprezentacya. Afiszów nie rozdano, aktorów jeszcze nie widać, będzie to więc opera, komedya, krotochwila, balet? każdy ginie w domysłach. Nikt jednak nie zgadł i siurpryza była zupełna. W pierwszym akcie cesarz Paweł dowiaduje się od Ilińskiego o śmierci Katarzyny, a gdy pyta jakiéj nagrody chce za złożone powinszowania, on odpowiada, że prosi o zwolnienie więźniów polskich. Iliński w szambelańskim mundurze sam grał tę rolę. W 2 akcie cesarz Paweł odwiedza Kościuszkę i marszałka Potockiego, który był pomiędzy spektatorami na tém przedstawieniu.

Z Lubienia powracaliśmy znowu na Zamość i tu część towarzystwa została z księżną, oczekującą na rozwiązanie swéj córki, pani Stanisławowéj Zamojskiéj. Urodziła się córka i nazwano ją Celina. Późniéj wydana za Tytusa Działyńskiego. Byłem świadkiem jéj chrztu, jak i małżeństwa. Chrzest obchodzono suto i chociaż pałac w Zamościu co do mebli i ścian w zupełném był zaniedbaniu, za to kuchnia, cukiernia, służba, powozy, konie nic do życzenia nie pozostawiały. Cały dwór ze służby zagranicznéj złożony—anglicy i francuzi do składu jego należeli.

Bawiąc tam blizko dwa tygodnie, zrobiliśmy wycieczkę do Zwierzyńca, ulubionego mieszkania starszego brata, po którego bezpotomném zejściu Stanisław Zamojski ordynacyą odziedziczył. Pan ten był melancholik, pojął za małżonkę córkę pana Granowskiego, któren po księciu kanclerzu Czartoryskim starostwo Przybysławickie otrzymał, a w Lublinie podczas trybunałów niesłychane dokazywał rzeczy. Pomiędzy innemi przy pochodniach wyprawiał po ulicach przejażdżki w stroju Adamowym. Klemensów zaczęto dopiéro stawiać, a budowniczy francuz plany do pałacu i ogrodów ułożył i fabryką zawiadywał. Stanisław Zamojski sprowadził z Anglii i Paryża meble i to wszystko w pakach oczekiwało na wykończenie gmachu.

Zwierzyniec odpowiadał zupełnie charakterowi ówczesnego ordynata. Zewsząd otoczony odwiecznym sosnowym lasem, wśród piasków, nad las także nie miał innego ogrodu. Dwór stanowił drewniany dom bez piętra i kilka oficyn dla administracyi ordynackiéj, która dotąd tam przesiaduje. Część tych budynków zamieniono wkrótce na browar, wyrabiający porter, pierwszą tego rodzaju fabrykę w kraju, bo u Paca w Dowspudzie późniéj powstała. Na dziedzińcu od frontu pałacu staw, a na nim wysoka mała kapliczka, jedliną obsadzona. Wszystko to raczéj wyglądało na klasztor Kartuzów, niż na mieszkanie tak znakomitego obywatela.

Samo miasto Zamość, wówczas pięć razy większe i ozdobniejsze jak teraz, otoczone wałami, stanowiło niby fortecę, ale przyznać należy, że ta w zaniedbaniu zupełném zostawała. Nie orzeczono jeszcze podówczas do kogo istotnie i forteca i utrzymanie jéj należéć mają. Ordynaci utrzymywali, że jest ich wyłączną własnością i rząd Austryacki widać nie przywiązywał do niéj wielkiéj wartości. Upadały więc mury i osypywały się wały. Za fosami rozciągały się pięknie zabudowane przedmieścia, tu bowiem był cyrkuł, siedlisko starosty, kas i władz rządowych od r. 1772. Przedmieścia te w wojnie r. 1809 spalono i odtąd już więcéj nie powstały. Sam rynek w guście miast włoskich stawiany, w kształcie czworoboku, w którym kamienice, tak jak w Padwie arkadami opatrzone, pozwalają w czasie deszczu lub skwaru pod osłoną cyrkulować ludności. Ratusz, jego wieża, a osobliwie zewnętrzne, prowadzące do niego schody, są istotnie bardzo piękne. Widać, że Jan Zamojski, założyciel miasta, akademii padawskiéj dawny wychowaniec, architekturę tę zaprowadził. Podówczas istniała tu już wprawdzie nie akademia ale szkoła wyższa, dobrze zaopatrzona w fundusze i w profesorów, która ściągała tu nie tylko uczniów, ale i ich rodziny. Wskutek tego Zamość współzawodniczył z Lublinem i równą z nim posiadał ludność. Akademia miała piękną bibliotekę, w któréj znajdował się najpiękniejszy, jaki widziałem rękopis Długosza Życia arcybiskupów Gnieźnieńskich na pargaminie, ozdobiony malowaniami, przedstawiającemi tych pasterzy i ich herby. Rękopis ten, jak i wiele innych rzadkości bibliograficznych przeszły na własność Ordynatów. Kościół katedralny (!) w Zamościu, w którego dzwonnicy jest dzwon bardzo wielki i z głosem donośnym, zawiera niejakie pamiątki, pomiędzy któremi celuje grób Jana Zamojskiego. Jest to płyta, na któréj literami brązowanemi napis bardzo krótki, bo zawierający tylko te wyrazy: *Hic situs est Johannes Zamoyski.* Najwłaściwszy to napis dla wielkiego męża, boć pochwały nieodpowiadałyby jego zasługom. Spoczywa tu także Szymon Simonides Będoński. W ołtarzu bocznym jest pyszny obraz

Zwiastowania N. M. P. Niektórzy sądzą, że to dzieło Rafaela. Nie dzielę tego zdania, bo korona N. Panny tak pracowicie wykończona, iż zdala zdaje się jakoby do obrazu była przybita. Złudzenie jest tak wielkie, że ja sam drabinę kazałem przystawiać, aby się przekonać, że jest malowaną. Podobnie szczegółów Rafael nie wykończał i zdaje mi się, że to dzieło szkoły weneckiéj a najprędzéj Bellina. Koloryt wówczas był arcy żywy, ale teraz po upływie lat pięćdziesięciu znacznie ucierpiał.

Przy chrzcie panny Celiny wstawiono beczkę wina węgierskiego i tę wypiliśmy na jéj weselu. Ale było wtenczas już tak stare, że musiała już liczne rachować lata, kiedy ją stawiano.

Za powrotem do Puław pozachodziły niejakie zmiany w towarzystwie, które się na zimę zebrało. Przybyła tu mianowicie panna Laura Potocka, córka jenerała brygady Jana Potockiego, dotąd wychowywana w Wiedniu wraz z księżniczką Sydonią de Ligne, późniejszą małżonką pana Franciszka Potockiego. Dowcip jéj i wesołość w potocznem życiu, nadały naszemu towarzystwu wiele uroku i pomiędzy przybyłą a moją siostrą zawiązała się serdeczna przyjaźń. Korzystając z jéj dobroci, chciałem się wyćwiczyć w języku niemieckim i zaczęliśmy czytywać razem Schillera *Maryą Stuart* i *Narzeczoną z Messyny*, ale niestety—nie wielkie w téj nauce postępy uczyniłem.

(*d. c. n.*)

PIONIEROWIE GOTYCYZMU W POLSCE.

ARCHITEKTURA CYSTERSKA I WPŁYW JÉJ POMNIKÓW NA GOTYCYZM KRAKOWSKI XIV WIEKU.

Gdyby prawdziwém było zdanie, że w rzeczach literatury i sztuki to jest wielkiém, co się podoba, świat miałby o wiele mniéj pracy i znaczna liczba współczesnych talentów, pouczających o prawach doskonałośoci, niepotrzebną-by się okazała. Powszechne głosowanie, ów niedawny ideał, mający dać najrzetelniejsze świadectwo o woli i uczuciach narodu, byłoby w sprawie sztuki sądem jedynie pewnym, bo opartym na sumie podobań i zastąpiłoby zadanie tych jednostek, które się tu za sędziów podawać usiłują. Ale jak zdania ludzi i ich przekonania muszą mimowolnie w sprawach publicznych godzić się z danemi okolicznościami i idą za siłą, tak w rzeczach sztuki, pomimo pozornie całéj wiary w zasadę ową podobania się, w wyrzeczeniu sądu o doskonałości dzieła, mimowolnie zwracać się ku pewnym wybitnym osobistościom i na ich zdaniu polegać będą. Siłę tę, która się w ten sposób narzuca powszechnemu głosowaniu, nietylko jednak stanowią owe wybitne jednostki, ale przynosi ją czas i osoby w nim wyrosłe. Jakże inaczéj wytłómaczyć, że to, co dla ogółu pewnéj epoki było pięknem w sztuce i ostatnim kresem jéj doskonałości, może dla następnéj wydać się smutném i jałowém; arcydzieła tamtych czasów, teraz ludzie pominą milczeniem. Każda epoka miała swoich wielkich mistrzów słowa, dłuta, pędzla, którzy entuzyazmowali współczesnych; zdawało się, że daléj sztuka iść nie może, a jednak nowe czasy przyniosły piękno odmiennego kierunku, przy którém bladło poprzednie. Czyż naprawdę to ostatnie było doskonalszém, któż tu osądzi? miałożby braknąć światu właściwéj miary sądu po za kaprysami epok? Skoro sąd zależy od chwili, w któréj go wydano, i osoby zdanie wypowiadającéj, skądże się biorą arcydzieła

sztuki, które zawsze są doskonałemi i nieśmiertelnie są piękne? Oto jest zadanie tych jednostek, które mając rzetelne poczucie warunków piękna téj lub owéj sztuki, jéj wymogów i natury, stojąc po za granicami panujących pojęć piękna, narzucają światu swój sąd. Nie zawsze jednostki te będą panami téj siły w sprawie sztuki współczesnéj; siła podobania się zwyciężyć tu nieraz musi wymagania warunków doskonałości, ale pozostanie im zawsze spokojny sąd o dziełach przeszłości. Z głębokich studyów tych ostatnich wyniknie znajomość warunków doskonałości; na pomnikach, które przeszły korzystnie sąd pokoleń znawczych, wyuczy się jednostka odróżniać dzieła sztuki, których piękność nie prędko zagaśnie od tych, które poklask pewnéj epoki zyskują. Są więc doskonałości dzieł sztuki chwilowe, przemijające, które porywają współczesnych, dla których przedstawiają się jasno, zrozumiale; są piękności nieśmiertelne, które dla ogółu zrozumiałemi od razu nie będą, bo przemawiają językiem odmiennym. Zetknięcia się tak bliskiego, jak dziś, z utworami sztuki niebywało nigdy, ale téż nigdy nie umiano z miłością tego, co rozumiemy, co w duchu wieku jest, połączyć z poszanowaniem dla niezrozumianego od ogółu, co potrzebuje objaśnienia. Mówimy tu o dziełach przeszłości, o arcydziełach sztuki. Dowód to, że nauczycieli więcéj jak dawniéj a duch czasu mniéj krępuje sąd, gdyż znajomość warunków doskonałości zdaje się być powszechniejszą. Wolno téż nam sobie powiedziéć: że choć jesteśmy bezstylowém pokoleniem, dał nam Bóg czystsze oczy, niżli tym co stylowo zapisawszy się w dziejach, niewidzieli nic więcéj po nad swoje pojęcia piękna.

Przyszedłszy raz do przekonania, że sztuka dzisiejsza jest tym gmachem, na którego budowę składały się przeszłe wieki — niejednéj wskazówki w sądzie szukamy, cofając się wstecz do źródła. Wierzymy dziś silnie, że rozwój każdéj ze sztuk pięknych jest jakby potokiem, który z jednego wypływając źródła płynie bez przerwy dopływając aż ku nam. W drodze czasem zatrzyma się, zdaje się na chwilę, że wody jego wyschły, więc bieg jego ginie; jakiś jednak drobny kropelkowy strumyczek niedostrzeżenie drogę sobie robi, aby rozbudzony wytrysnął potężniejszym prądem. Jeżeli wspaniałemi są chwile, gdy strumień ten burzy się, pędząc i roztrącając wszystko po drodze — to chwile pozornéj ciszy śledzi cierpliwie badacz, bo wié, że one życie niosą. W potoku sztuk pięknych znajdą się epoki gieniuszów, których dzieła dziś nas budzić będą jak świeże objawy piękna— wskazywać nam będą drogi, oświecać źródła artystycznéj wiedzy; czasy, w których objawy sztuk zaledwie dostrzedz się dają, objaśnią genezę wielkich epok a te, które na rodzinnéj wyrosły niwie, będą przedmiotem narodowéj dumy. Jednostka, któréj przy-

padło wydawać sąd o dziełach sztuki wyższy po nad chwilę obecną, oglądać się ciągle po za siebie musi, by z pośród przemijających pojęć piękna wyróżnić te, do których miara warunków rzetelnych przyłożyć się daje. To poszukiwanie praw rozwoju sztuki stworzyło nową umiejętność—*archeologią sztuki*, w któréj na tle epok wystąpią dzieła piękna; z tego wyniknie pogląd na współczesne utwory niezamącony duchem wieku. Owa to umiejętność ofiaruje bezstylowemu pokoleniu skarby przeszłych stylów do użytku, pouczając o warunkach kierunków rozlicznych piękna. Historya sztuki chłodzi entuzyazm ku niezasługującym nań utworom chwili—rządzi zdaniem kierowników opinii. Znanym téż jest ten postęp, jaki przynoszą dzisiejsze studya pomników sztuki przeszłości—wtajemniczenie się w ducha dzieł piękna nie jest téż bez korzyści dla sztuki dzisiejszéj. W miejsce niedawnéj uczoności antykwarskiéj i suchego rozwiązywania zagadek sztuki, dla któréj publiczność musiała być obojętną i lekceważyć to, co nie leżało w mierze jéj sądu i jéj upodobania, posiadamy badaczy z ciepłem, a dzięki nowéj szkole, sztuka przeszłości przestaje być martwą literą dla ogółu. Przesądy panujące z obu stron u uczniów i nauczycieli usunęło gorętsze traktowanie spraw przeszłości—uczony przestał być pedantem nieposiadającym uczucia piękna, ale przestawszy zadziwiać erudycyą, szuka genezy piękna dla pożytku na dzisiaj.

Od chwili, jak świat z téj strony Alp schylił głowę przed majestatem włoskiéj sztuki odrodzenia, aż do końca zeszłego niemal wieku, Europa nie miała innéj miary dla sądu sztuk plastycznych, jak miarę włoską. Z wysokich horyzontów zeszła sztuka nieznacznie na drogi upadku. Zatraciła poczucie warunków swoich architektura, malarstwo usiłowało zastąpić się dekoracyą a rzeźba daleko odeszła od wzorów renesansu, ale gust włoski jak mara zaciężył nad światem; sztuka staje się produktem nie rachującym się ani z uczuciami narodowemi, ani z innemi pojęciami piękna przeszłości. Długie usiłowania średniowiecza na polu sztuki, odrębne szkoły północnéj Europy, szkoły narodowe wyrosłe na rozmiłowaniu się w znamionach swojskich, poszły téż w poniewierkę. Dowiedzieliśmy się o nich niedawno dzięki odrodzeniu literatury i sztuki, szkoła romantyczna drugiéj ćwierci bieżącego wieku ma w tém zasługę.

Jeżeli równouprawnienie wszelkiego rodzaju piękna w sztukach plastycznych podniosło znaczenie zabytków średniowiecza, to odrodzona umiejętność badawcza stosuje się równie chętnie do pomników klasycyzmu, jak epoki odrodzenia, starego wschodu i wieków średnich; zagląda w łono ziemi, wydobywa ztamtąd choćby najdrobniejsze objawy sztuki i zapisuje w księgach historyi sztuki. Nie jest

to już amatorstwo lubujące się w ciekawych okazach, ale nauka seryo poszukująca praw rozwoju sztuk, badająca zarówno najdrobniejsze uderzenia pulsu, którym objawia się życie ich, jak wielkie światła, które olśniewały majestatem arcydzieł. Praca nad średniowieczem krajów z téj strony Alp, studyowanie chwil, w których z resztek wpływów klasycznych i z nieznacznych pierwiastków sztuki barbarzyńców, wyłonił się początek średniowiecznego piękna, będzie tą, któréj uczeni zeszłych wieków nie tknęli, a dostała się uczonym w czasach dzisiejszych, które umiały odnaleść metody, rozgrzebać zakryte tajemnice twórczości artystycznéj nieznanych Rzymianom światów. Nie dziw téż, że utworzył się już obszerny dział literatury współczesnéj, przynoszący na tém polu niemały zaszczyt uczonemu światu. Mnożą się badacze specyalnie w téj lub owéj gałęzi sztuki, każdy kąt staréj Europy aż głęboko w granice Azyi wydaje dzielnych pracowników na polu poszukiwań dzieł sztuki a relacye ich zapełniają karty licznych specyalnych publikacyj artystycznych.

Kto raz dotknął się tego natłoku rozpraw, monografij, studyów i traktatów o sztuce średniowiecznéj, temu znane trudności z jakiemi rachować się musi dzisiejszy badacz, który nie gardzi i najmniejszą oznaką sztuki zastosowanéj do ubiorów i sprzętów. Czasy naiwności w sądzeniu o zabytkach średniowiecza minęły, legendy o pochodzeniu tego lub owego pomnika nie dadzą się już stósować tak łatwo a cały aparat naukowy musi być użyty, jeżeli poważne słowo ma się wyrzec, czy o takim *skarbie Michałkowskim*, czy niedawno znalezionéj *srebrnéj szkatułce katedry krakowskiéj, o kielichach Dąbrówki* w Trzemesznie lub *Bolesławowskim szczerbcu*. Aparat naukowy do średniowiecza to nie bagatelna sprawa, aby się niém łatwo posługiwać; spoczywa on zarówno w tekstach barbarzyńskich annalistów, jak w zapiskach bizantyńskich i rzymskich pisarzy, w badaniach wykopalisk i rozmaitych technik, w przepisach liturgii wschodniéj i zachodniéj, w porównaniach rozrzuconych pomników. Aparat tén zgromadzony jest w tysiącach rozpraw, w publikacyach kosztownych, nie zawsze badaczowi przystępnych.

Prace te, które przynoszą zaszczyt erudycyi naszych wieków, od ogółu rozumianemi nie są i nie mogą wszyscy pojąć dlaczego to, co zdaniem ich niepiękném jest, co się im niepodoba, tyle zajęcia obudza, niezajmują się téż albo bardzo mało imionami mężów, którzy pracom tego rodzaju oddają się. Ale jest jedna część tych studyów zrozumialsza, bo praktyczny na dziś pożytek przynosząca, to jest ta która odnosi się do zabytków *budownictwa*. Bądź co bądź, tu ogół publiczności pojął, czem są piękności architektury średniowiecza, widokiem nietylko pomników ale utworów nowych w tym cha-

rakterze sztuki wznoszonych. Nie ma jeszcze pół wieku jak uznanie dla arcydzieł architektury romańskiéj i ostrołukowéj zrównoważyło się z dawną czcią dla Vigniolów i Palladiuszów a zaledwie lat 25 jak umiejętność zabrała się do ściślejszych studyów pomników i wyprowadzenia zasad, któremi się kierują. Można przewidzićć, że studya te są na ukończeniu, ale że nie wszystko jeszcze jest jasném, że pozostaje wiele pracy, to najlepszy dowód, że są jeszcze obszary Europy, w których mało na tém polu zrobiono. Bądź co bądź, literatura architektury średniowiecznéj jest dziś nadzwyczaj bogatą. Francya ze swoim Violet-le-Duc'em stoi w tych pracach najwyżéj — po nich idą Niemcy i Anglia.

Jeżeli gdzie zastosować się nie da ów pseudo aksyomat, że *to jest piękném co się podoba*, to niezawodnie wobec pomników architektury, a że to jest prawdą, to poświadczy zadanie nasze, które ma właśnie pouczyć nas o dzielach, na które dotąd uwagi nie zwróciliśmy, choć u nas są w kraju. Ależ architektura jest z natury swéj trudną do zrozumienia przez ogół, który gotów jéj zaprzeczyć tytułu sztuki, jeżeli nie posiada warunków malarstwa, które stoi dziś jako miara pojęć piękna. Właśnie też dlatego, że nierozumiemy dobrze warunków architektury jako sztuki pięknéj, pozwolę sobie w krótkich słowach pouczyć czém ona jest w ogóle, a w stosunku do stylów średniowieczą jak się wykształciła.

Jeżeli każde dzieło ludzkie, które podpada pod nasz wzrok, przemawia do nas swą formą i mówi o przeznaczeniu swém, to to, które nas porywa, więzi duszę naszą, przenosi w sferę oderwanych myśli, jest dziełem sztuki. Środki i materyał, jakich użył twórca dzieła, mogą nam być nieznane — obojętne to zresztą — słyszymy tylko głos do nas wołający, głos piękny, który nas wabi. Wrażenie wewnętrzne, mniéj lub więcéj silne, ale przyciągające ku sobie, jest wywołane dziełami, które noszą nazwę *sztuk pięknych plastycznych;* należą do nich przedewszystkiém malarstwo, rzeźba i architektura. Najpoważniejszą, nastrajającą się do najwyższych zadań człowieka, wiążącą się z życiem społeczeństwa, to życie przedłużającą w długie lata, jest niezawodnie *architektura*. W utworach jéj odbija się duch czasu, potrzeby społeczeństwa, wyobrażenia religijne, stopień kultury i stosunki klimatyczne. Dzieła architektury powstają trudem, lat wiele składa tu pracę swą i tysiące robotników, a jednak skończone o trudzie nie świadczą, pokrywa ją lekka szata piękna, przed oczyma stają organizmy jakby rószczką czarodziejską wywołane. Profanowana użytkiem codziennym, spowszedniała ciągłém z nią obcowaniem, wyrasta co chwila arcydziełami, a choć najrealniejsza bo ma do czynienia z prawami statyki, z siłą ciążenia, z warunkami prozaicznemi sto-

sowności do celu, umie środkami czysto idealnemi zyskać potęgę muzyki, posługiwać się malowniczością i posiąść właściwość posągu. Z nagromadzonych kamiennych brył ma wyrość gmach, który ma wszelkie warunki organicznéj istoty, formy składają się na wyrażenie życia organicznego, ciężar olbrzymi tych mas nieprzestrasza bo mistrz umiał formami wyrazić takie elastyczne podpory, zaznaczyć odpowiednim językiem kształtów konflikta sił naprzeciw działających, że w téj równowadze leży życie. Świat podziwia dzieło architektury, ale niezawsze umie sobie zdać sprawę z wad i piękności jego: wszak przyznajemy się łatwo do nieznajomości w tym względzie. Nic trudniejszego jak spotkać się po za pismami specyalnemi z rzetelną krytyką téj sztuki a przecież zdawałoby się, że sztukom pięknym krytyków niebrak. Do krytyki architektury trzeba być powołanym: jako sztuka najpoważniejsza, lekko traktować się nie da. Gotowe śliczne malowidło przedstawić nam może przyroda, pejzaże ożywione stafażami, grupy dorodnych postaci mogą mimowolnie utworzyć obraz czekający na malarza, iżby go powtórzył pędzlem, niejednokrotnie wołamy: co to za posągowa postać. Prawda, że mistrzowstwem będzie, ująć to życie, te prawdę natury na płaskiém płótnie—zamknąć temi czterma liniami, iżby obraz stanowił sam w sobie całość; — nieprzeczę, że i tu praca mistrzów i tradycya wieków składały się na ustalenie warunków malarstwa, by do téj siły twórczéj, co stwarza obrazy jakich niema w naturze, przyjść; ale bądź co bądź, miara sądu o doskonałości dzieł tych sztuk jest w każdym z nas, skoro pierwowzory nieobce a serce odgaduje, co ta muzyka form i barw znaczy. Ale inna rzecz jest z trzecią sztuką plastyczną, z ową architekturą: ona jest czysto ludzkim tworem, nie bierze wzorów z natury, bo owe malownicze skaliste doliny, groty i jaskinie są zbyt bezładne, iżby mogły wyprowadzić z siebie sztukę najwyższego ładu i porządku i jéj dowcipne motywa. Wszystko tu wymyślił i stworzył człowiek a począł pracę w tak odległéj przeszłości, że w piramidach Egipskich, w tém najstarszém swém dziele, odsunęła się ona znacznie od pierwszych niemowlęcych kroków.

Trzy są warunki w każdém dziele budownictwa z natury swéj sobie wrogie, których rozwiązanie w kierunku piękna stanowi o monumentalności; jeżeli to zadanie rozwiąże się w formie nowéj nieznanéj, zdolnéj do wytwarzania dalszego w podobny sposób a jednak z zachowaniem swobody indywidualnéj twórcy, będziemy mieli to co się nazywa stylem. Warunki związane zaś są tak ze społeczeństwem, jego myślami i naturą kraju, że téj szkoły w budownictwie nie stworzy jeden mistrz, ani wymyśli, ale własnością pozostanie epoki, narodu i jego kultury. Pierwszy lepszy traktat o architekturze

pouczy, że warunkami temi są: odpowiedniość gmachu do przeznaczenia, z którym łączą się warunki wytrzymałości i trwałości i piękna, że gdy kto warunki artystyczne stawia wyżéj po nad warunki potrzeby i natury konstrukcyi, stworzy dzieło, które nie zyska nieśmiertelności. Trudności konstrukcyjne rozwiązują się znajomością praw statyki, to matematyka, z któréj ma wyniknąć piękność form i ich znaczenie. Kto raz zrozumie, że ta równowaga sił, jaką utrzymuje się olbrzymia katedra kolońska, ta jéj przezroczystość koronkowa wnętrza jest wynikiem zmyślnéj i obrachowanéj konstrukcyi, która wywołała estetyczne motywa sztuki, ten nie będzie przypisywał téj sztuce powodowania się tylko wzniesionym do artyzmu duchem wieku. Będzie Partenon na Akropolu ateńskim również arcydziełem opartém na zasadzie konstrukcyi, bo z potrzeby otoczenia podścieniem celli wyniknie kolumnada a jéj kamienny sufit z kalymacyami tak olbrzymi nie utrzymałby się, gdyby nie podpiérały go kolumny. Tu kolumna jest motywem piękna, wynikłym również z konstrukcyi. Różnice piękności znajdą się w zasadzie konstrukcyjnéj u obu tych pomników: w Kolonii zasada *sklepieniowa* wywołała inne, w Partenonie *architrawowa* odmienne motywa piękna. Z odpowiedniości do przeznaczenia wyrasta wybór materyału i forma ogólna gmachu, z użytego materyału—konstrukcya, z jednego i drugiego—motywa architektoniczne piękna. Na podstawie zgody tych trzech warunków ma wyrosnąć forma piękna gmachu, ale to nie dosyć; potrzeba aby on był całością zamkniętą w sobie organicznie, do któréj, jak do skończonéj postaci ludzkiéj, bezkarnie nic dodać, nic ująć nie można. Aby był organizmem, potrzebuje środków do powiązania z sobą części, rozdzielenia, uwidocznienia działania sił, zamarkowania początku lub końca; do tego służy natura pewnych form. Wyrażenie temi formami życia konstrukcyjnego stanowi motyw architektoniczny.

Semper w swojém nieśmiertelném dziele *o stylu* wyjaśnia cudownie to znaczenie form, ten ich wyraz w granicach jak je pojmowała sztuka dobrych epok, a jedno opowiadanie o konsekwencyi form kolumny doryckiéj mogłoby nas, gdyby tu było miejsce po temu, obeznać z pojęciem najwyższém piękna na téj zasadzie zdobytego. To pewna, że zgoda formy z przeznaczeniem stanowić będzie zawsze o stylowości.

Jakkolwiek zdawałoby się, że tylko poddanie się prawom statyki, i z niéj wyprowadzone formy, proporcye i najdrobniejsze motywa wywołuje piękny organizm architektoniczny, to jednak sama imitacya podobnéj konstrukcyi może wytworzyć cudowne życie budowy. To jest zadanie architektury rzymskiéj a w części i renesansu: owe pilastrowania, belkowania, rustyki i blokowania pałaców włoskich epoki

odrodzenia, które stoją imitacyą życia konstrukcyjnego. W złych epokach formami kierować będzie płocha malowniczość, nierachująca się z konstrukcyą i naturą materyału, ale posługująca się grą form częstokroć pięknych, a szczęśliwą będzie, jeżeli czas przyniesie to nastrojenie części do całości harmonijne, które miano stylu zyskać musi, ową harmonię, która nawet w epoce barokka da dzieła wdzięczne.

Znaleść wyrażenie działania sił statycznych za pomocą form, wymyślić takie formy w ogóle i szczegółach, któreby mówiły: ta część dźwiga, a jak ona dźwiga lekko, elastycznie!—inna obciąża w miarę—oto wyrażenie spotkania się ciążenia z podporą zaznaczone członkami o formach, które o tém zetknięciu się wyraźnie mówią; zostawić tym wyrażeniom spotykania się sił spodem wyraz wyrostu, górą—obciążenie; znaleść środki ograniczenia i zamknięcia części, oddzielenia ich w takty, w zdania, w członki, bez naciągania warunków stosowności i konstrukcyi, owszem z nich je wyciągając—oto co nazywamy motywem, środkiem estetycznym architektury skończonego stylu, jakimkolwiek on jest.

Nie jest to szemat dany ale zasada, którą gieniusz swobodnie posługiwać się będzie w miarę proporcyj, których zastosowanie pozostanie zawsze jego udziałem; on potrafi wyszukać tak subtelne, tak szlachetne cieniowanie linij i brył, zgięć i krzywizn, iż po wielu wiekach dziwić się wypadnie takiéj głębokiéj, znajomości efektu, jaka kierowała owemi tak zwanemi krzywiznami Partenonu. W olbrzymiéj budowie mistrz waży efekt subtelnościami, których oko zaledwie wstanie jest dostrzedz.

Właściwa ornamentacya architektoniczna—owe w kamieniu kute ozdoby roślinnego świata mają mieć wyznaczone miejsce wyjaśniając motywa i podnosząc ich znaczenie. Jak Grek ma ozdoby, które członkom przegiętym nadają wyraz jeszcze silniejszy a bogatszy,—jak jego kapitele korynckie liściami akantusowemi śmiało wystrzeliwającemi z trzonu kolumny, a tak przyciśniętemi z góry, wyrażają cudownie konflikt między podporą, jaką jest kolumna, a architrawem, ma niemniéj gotycyzm swoje pinakle, żabki, kwiatony, które będą wyrazem pokonanéj walki konstrukcyjnéj i jako tryumfatorki wystrzelą u wierzchu gmachu. Płaskie ornamentacye groteskowe kaplicy Zygmuntowskiéj wyrażą tę lekkość pól, które sprowadzają ogzymsowane ramy filunków do znaczenia konstrukcyjnego.

Z jakich światów bierze architektura *motywa ornamentacyi*, co jest właściwością każdego jéj rodzaju, w to wchodzić nie zamyślamy; chcieliśmy tylko zaznaczyć jéj stosunek do architektury, aby objaśnić, że może budowa być bardzo ozdobioną, a piękną nie będzie, jeżeli odpowiedniego ustosunkowania nie zachowa.

Pokazuje się z tego, że istnieje pewne prawo w pojęciu piękna architektonicznego i że to, co nazywany złą epoką, upadkiem stylu, da się wytłómaczyć—niestosowaniem się do praw. Sąd o dziele architektury ze stanowiska estetyki wydanym być może, ale oprzéć się musi na znajomości konstrukcyi i warunków stylowych.

Wiek przeszły uznawał w praktyce téj sztuki jedyne rozwiązanie przez powtarzanie motywów architektury klasycznéj wedle szematu, do jakiego w dalszéj ewolucyi gienialnych wzorów odrodzenia przyszedł. Umiał on (choćby wziąć śliczny pałac Łazienkowski jako dowód) i w tych ciasnych, spowszedniałych szrankach tworzyć rzeczy piękne. Studya nad pomnikami staréj Grecyi przez Stuarta i Reweta, gieniusz Winkelmana objaśniający ich znaczenie, są zapowiedzią tego nowego odrodzenia się sztuk pięknych, w którego następstwie przyjdzie dopiéro świat dzisiejszy do uznania innych szczęśliwych rozwiązań warunków architektury, do uznania architektury średniowiecznéj, która zapomnianą była od czasu renesansu. Cóż uszlachetniło pojęcie form, co związało je z duchem twórców w przeciwstawieniu do barokka i bezduszności, jeżeli nie studyum klasycznéj sztuki Winkelmana—nie Dawid—nie powrót do wiary przodków i to obudzenie się romantyzmu, które pociągnęło za sobą miłość do historyi własnego kraju i jego legendowéj poezyi. Ten wielki przewrót wyobrażeń, który się w obliczu naszych dziadów odbył, musiał wpłynąć na zmianę pojęć o pięknie w architekturze. Poczęło się uwielbieniem dla staroświetczyzny—poezya wzięła w opiekę dawne gmachy średniowieczne lub ich ruiny, zbierają się pamiątki tamtego świata niby szczęśliwszego. W migocącém błędném świetle księżyca zarysowują się światu iglice gotyckiego kościoła z pomnikami rycerzy, po których obliczach ślizga się siny odblask światła—ruiny klasztoru i zamku zapełniają się w opowieściach postaciami przeszłości. Powoli tłumy te opuszczają gmachy—ludzie spoglądają na dzieła architektury przy słonecznem świetle, rozpatrują się w nich co raz bliżéj i znajdują dzieła średniowieczne loicznémi i nad podziw pięknemi. Przekonano się, że one same są poezyą, są dziełami sztuki i nie boją się światła. Dziś przykładamy do nich skalpel anatomizujący, pytając skąd się wzięły i jakiemi zasadami wyrosły.

Drobne napozór pomniki architektury średniowiecznéj urastają do znaczenia w téj sprawie rozświecania tajemnic téj sztuki. Każdy naród, u którego pełném korytem płynie artyzm, poszukuje pierwiastków, rodowodu w średniowieczu, skrzętnie bada i zapisuje objawy swego poczucia piękna i trudy w jego ukształceniu. Oto powód tych studyów nad pomnikami architektury średniowiecznéj, które wypiastował kościół chrześciański i kultura idąca z nim w parze;—studya te

rozpoczęte zaledwie lat temu 40-ści na seryo, zjawiają się dotąd w postaci wyczerpujących monografij pomników, rekonstrukcyi tychże i traktatów o zasadach. Dziś ze śmiechem wspominamy jakie odpowiedzi dawał sobie świat na pytania co do istoty i powstania architektury ostrołukowéj, bo tém wielce się zajmowano. Te dziecinne błądzenia, te czasem dowcipne domysły, wzbudzają w dzisiejszych badaczach politowanie. Jeszcze niedawno Niemcy uważali styl ostrołukowy, za swój narodowy charakter sztuki, polegając na wyrażeniu włoskiém, *maniera tedesca;* drzewa krzyżujące się germańskich lasów miały dać początek ostrołukowi. Inni szukać będą genezy gotycyzmu w piramidach egipskich, w sztuce Islamu, w mistyce kościelnéj, gotowi do zapisania tu zasługi na karb scholastyki. Skądże to poszło, jeżeli nie z braku pojęć warunków architektury; brano linie charakterystyczne stylu za zasadę sądu, zapominając, że podstawą każdego nowego stylu jest nowy system konstrukcyi. Zapomniano, że sztuka ta nie jest swobodnym utworem fantazyi, ale spowitą więzami z wymaganiami konstrukcyi, z życiem narodu, z warunkami nowego materyału, a najdowcipniejszy rozmysł nie stworzy nowego stylu architektonicznego w kierunku tylko estetycznym.

W chwili kiedy uczeni badacze pojęli nareszcie, że czas zająć się na seryo pomnikami średniowiecza, znaleźli się w pośród masy nieznanego sobie materyału. Pomijając katedry i kościoły po stolicach i głównych miastach Francyi, Anglii i Niemiec, przekonali się, że jest tysiące pomników rozrzuconych po wsiach i miastach drugorzędnych, że są dawne klasztorne, mieszkalne i forteczne budowle. Oznaczenie krytyczne daty każdego z pomników szło z początku bardzo trudno w walce z fałszywemi orzeczeniami przeszłości lub z braku znajomości różnicy między datami erekcyi pomnika a jego budową; a jednak tylko ścisłe oznaczenie dat mogło poprowadzić do zrozumienia rozwoju architektury średniowiecznéj i tych tajemniczych pragnień mistrzów, które są zawsze bodźcem do postępu. Studya pomników prowadzono teraz nie lekkim od oka sądem, ale pomiarami dokładnemi z myślą o epokach budowy pomnika. Teraz znaleziono przez porównanie, różnice szkół w ogólnéj charakterystyce romanizmu i gotycyzmu, leżące tak w konstrukcyi jak w formach estetycznych; zrozumiano wpływ materyału, charakter indywidualny artystów. Powoli badania te wyrosły w umiejętność, a jako poważny kierunek naukowy, zajęły historya budownictwa i nauka o stylach katedry uniwersyteckie i politechniczne. Ależ to dopiéro roku 1850 mógł najznakomitszy badacz niemiecki *Mertens* wyrzec, że sprawa architektury średniowiecznéj dopiero teraz stoi na tym punkcie, iż jéj zapewnione jest imie umiejętności; snać przedtem była gadaniną

jak się często u nas jeszcze zdarza. Dzisiaj każdy pomnik takiéj architektury romańskiéj, wnosząc światło w historyą jéj rozwoju, równe ma znaczenie, czy on należy do wybitnych dzieł piękna, czy też podrzędnym jest utworem—byleby nosił ślady właściwego piękna, właściwéj konstrukcyi. W studyach tych znajdzie miejsce i wiejski kościołek Wielkopolski i ruina zamczyska, bo one rzucają światło na działanie sztuki miejscowéj w epoce, w któréj komunikacya nie łatwa a architektury po szkołach nie uczą. Nie jest też to epoka, w któréj stosy rysunków i publikacyj dozwalają architektowi czerpać motywa i za swoje podawać, jak to ma miejsce w obecnéj chwili.

Jeżeli pomniki architektury romańskiéj takie, jak katedra w *Spirze*, w *Wormacyi*, w *Moguncyi*, kościoły *Hildesheimu*, *Quedlinburga*, w *Laach*, w *Caen*, w *Bajonme*, w *Clermont*, *Jumièges* i tyle podobnych przedstawiają nam się jak organizmy architektoniczne pięknie a oryginalnie pomyślane, to stanowisko ich wobec kultury, bądź co bądź nizkiéj XI i XII wieku, będzie dla każdego zdumiewającém. Zkąd się wziął ten umysł estetyczny w społeczeństwach, które o czemś innném miały myśléć jak o sztuce, będzie zagadką, którą duchem wieku wytłómaczyć zawsze będzie trudno. Wolimy z nowszymi autorami przyznać, że to jest zasługą pewnéj części społeczeństwa związanego w rodzaj stowarzyszenia, że to przynależy zakonowi Benedyktyńskiemu pod opieką Cluny zostającemu. Są epoki, w których ludzkość nie ma dość czasu i dosyć wiedzy, aby zajmować się architekturą jako sztuką piękną; w pierwszym brzasku wieków średnich, duch zdobywców rycerski, niespokojny, może tworzyć z nagromadzonych szczegółów swéj ornamentacyi technikę odrębną, przedmioty artystyczne jak złote czary, klamry i ozdoby szat, ale żeby się miał zabrać do ścisłych studyów budownictwa wątpić należy. W téj epoce bazylika łacińska i bizantyńskie dośrodkowe budownictwo żyją jeszcze oddźwiękiem rzymskich i wschodnich budowli. Do rzetelnego odpowiedzenia warunkom organizmu—budowom ich daleko. Ale w drugiéj połowie średniowiecza, od X-o wieku, znajdzie się już odpowiednie schronienie dla samodzielnéj pracy umysłowéj—będą to klasztory kluniastów, gdzie przechowa się tradycya tak potrzebna do każdéj, która na doświadczenie polega, sztuki. Budowniczym północnych krajów, promotorem romanizmu jest też mnich, benedyktyn. Jeżeli kluniastom słusznie przyznać musimy za Violet-le-Duc'em utrwalenie charakteru północnego romanizmu rozwojem konstrukcyi sklepień, jeżeli oni to zbadali prawa mechaniki drogą doświadczeń a więc kosztem walących się gmachów—to początek tego stylu sięga daléj w tył i złożą się nań pierwiastki nowe sztuki barbarzyńców jak i bizantynizm z tradycyą staro-rzymską; w miarę zasobów miejsco-

wych piękna urabia się też wcześnie w odrębne szkoły. W ostatnich czasach badacze spostrzegli się, że wszystkie dotychczas znane wpływy na początek romanizmu niewiele więcéj po nad motywa ornamentacyi dostarczyć mogły—że zasada konstrukcyi musiała znaleść wzory odpowiednie w budowlach gdzieś istniejących, z któremi się kluniaści spotkali.

Powoli bowiem zapominał świat o zasadach, któremi kierowała się Grecya w budowie świątyń swych, przeszły one wprawdzie w architekturę rzymską, ale niedługo przejdą w bezduszny szemat, zginie pojęcie organizmu całości, znaczenie proporcyi, myśl o stosunku form. To co uchodziło dotąd za przejście między upadłą architekturą rzymską a romanizmem nie rachuje się do tyla z warunkami rzetelnemi architektury,—owe bazyliki włoskie, owe budowle dośrodkowe Bizancyum,—że świat uczony musiał przeczuwać, iż gdzieś przeciągnęła się czynność sztuki w warunkach czystszych a wzory jéj posłużyły Benedyktynom do nawiązania nici w pojęciach organizmu i konstrukcyi architektonicznéj. Sprawa rozświeconą ostatecznie została przez wydawnictwo w roku 1867 pomników *Syryi środkowéj* pana Melchiora de Voguë. Mało kto do téj epoki wiedział, że w pustyniach téj okolicy znajdują się skarby dla badaczy architektury starochrześciańskiéj kościelnéj i świeckiéj od 2-go do 7 wieku naszéj ery. Znajdują się one w dwu grupach—pierwszą stanowią pomniki *Hauranu* na południu, drugie leżą w trójkącie między *Alepem*, *Apameą* i *Antyochią*. Sto miast lepiéj dochowanych jak Pompeja znajdzie się tu na przestrzeni od 15 do 20 mil, a ich budowle wiążą się z sobą jednym charakterem stylowym, odrębnym od tego wszystkiego cokolwiek do téj epoki należało we Włoszech i w Bizancyum. Miasta te to siedziby społeczeństwa chrześciańskiego—spotykamy się téż tutaj nie z owém kataumbowém, cierpiącém, nieśmiałém ale przeciwnie z pełném życia bogatém, artystyczném, mieszkającém w domach budowanych z ogromnych ciosów, z galeryami i zakrytemi balkonami, przy których były ogrody, winnice, prasy do wina, piwnice z beczkami z kamienia, z ogromnemi podziemnemi kuchniami, stajniami. W miastach są place otoczone kolumnadą, łaźnie, kościoły z wspaniałemi arkadami i wieżami, grobowce. Napisy i ozdoby w kamieniu kute znajdują się licznie a wśród nich monogramy Chrystusa, symbole, krzyże, sentencye pobożne. Wszystkie te miasta opuszczono na raz zapewne za napadu Mahometan—odtąd nie tknięto niczego...

Sławne są kościoły w *Qualb-Luze*, w *Turmanin'e* w *Kalat-Seman* w *Rueja*—arcydzieła godne naśladowania.

Pod względem stylowym znajdujemy tu pojawienie się nowych zasad, które przetwarzając sztukę greko-rzymską, miały przygotować romanizm. Bo jeżeli w architekturze klasycznéj trzymano się formuły i, bez względu na rozmiary materyału, robiono gmachy większe lub mniejsze, powiększając szematycznie lub zmniejszając rozmiary jego— architekci *greko-syryjscy*, przyjmując zasadę porządków greckich, używali ich z większą logiką, odrzucając członki niepotrzebne a stosując rozmiary nie do skali proporcyonalnej, ale do natury i wielkości materyału, do przeznaczenia budowy. Otwory będą zawsze jednych rozmiarów bez względu na proporcye budowy, gdyż architekt chce, aby węgary były monolitami; jeżeli kolumna była za krótką, dawali jej podstawę lub podwyższali arkadę — łuki mieścili wprost na kapitelach. Oni pierwsi użyli ze względów konstrukcyjnych *wsporników*, jeżeli światło było za wielkie dla płyt, któremi były pokryte sufity. Ściany, wiązania, bramy, okna są z kamienia dowcipnie konstruowane, łuk arkada będzie jedyną kombinacyą do związania kamieniem dwu podstaw oddalonych— szeregi takich łuków będą dźwigać na sobie bloki tworzące sufit, gdyż drzewa brak był na wiązania dachowe. Dla podtrzymania parcia budowano szkarpy, a ta masa płyt, szkarp tworzyła rodzaj szkieletu tak, że ściany dzielcze odgrywają skromną role dopełniaczy. Tutaj kopuła odnalazła owe pendentify i stąd pewno przeszła do Bizancyum.

„Dziwna zaiste, mówi Melchior de Voguë, kiedy na zachodzie upadało powoli poczucie sztuki pod naciskiem barbarzyńców, tu na Wschodzie, w Syryi, istniała szkoła, utrzymująca dobre tradycye i odmładzająca je świeżemi pomysłami."

Spotkanie się architektów benedyktyńskich z temi zasobami artystycznéj wiedzy przypada na epokę rozwijającego się romanizmu.

Przeniesienie tego zdrowego elementu architektnry na północ Francyi i Niemiec przypisują słusznie wojnom krzyżowym. Na wyprawy te, jak wiadomo, nie tylko samo udaje się rycerstwo, ale towarzyszy im tłum kupców, rękodzielników i znaczna liczba mnichów, W r. 1098 krzyżowcy zdobywają Antyochyą, utrzymują się oni w niéj do r. 1268. Codzienny widok pomników architektury syryjskiéj musiał wdrożyć to poczucie logiki architektonicznéj, te zasady konstrukcyi, które trzeba było tylko przenieść do rodzinnego kraju i związać z usiłowaniami chwili miejscowemi.

Co najwięcéj potwierdza dziś ten znaczny wpływ pomników Syryi i Cylicyi, to niezawodnie ornamentacya romańskich kościołów Francyi. Aż do XI wieku ornametowano w sposób barbarzyński, naśladując niedołężnie rzeźby gallo-rzymskie, ale już w pierwszych

chwilach krucyat rozwija się rzeźba i ornament kuty z taką siłą, że obfitością motywów przewyższa liczbę wzorów jakie krzyżowcy mogli znaleść w Syryi. Jeżeli bizantyński ornament, panujący tak długo w sztuce włoskiéj, jest płaskim, chudym, konwencyjnym, jeżeli wymaga środków przynoszących koloryzacyą, to w części zawojowanéj w pobliżu Syryi znalazły się z czasów chrześciańska piękne kute ornamentacye, przeważnie roślinne. Że są one podobne do tych jakie w XII wieku znajdujemy we Francyi, łatwo przekonać się, rzuciwszy okiem na ogłoszone przez pana de Voguë zebrane w miejscowościach *Dana*, *Mudżeleja*, *Serdżilia*, *El Barah*, *Deir-seta*, *Kefr-kileh*, *Kalat-sema* itp. ornamentacye węgarów drzwi, kapiteli pilastrów i kolumn z emblematami chrześciańskiemi w architekturze zarówno kościelnéj jak świeckiéj.

Są to zwykle wielkie liście ząbkowane, energicznie wycinane a rowkowane głęboko, aby otrzymać efekt światłocienia. Obok téj flory konwencyjnéj ale posiadającéj organizm roślinności, już to w skrętach rozpostartéj po węgarach drzwi lub w rzędach zdobiących liśćmi kapitele,—będą sploty geometryczne z kół linij giętych lub prostych tworzone, normujące tę roślinność, utrzymujące ją w granicach rytmu monumentalnego. Sucha ta i subtelna ornamentacya zachowała pewną naturę dawnéj attyckiéj szkoły. Artyście towarzyszącemu krzyżowcom otwarła ona drogę do naśladownictwa, a w połączeniu z domowemi pierwiastkami piękna wytwarzają pełną świeżości ornamentacyą romańską XII wieku.

Są wynalazki na świecie wielkie wynalazki, które na nowe tory wprowadzają ludzkość, wielkie—jeżeli przychodzą w porę, w któréj przeszłość przysposobiła ludzkość do ich przyjęcia, do korzystania z nich; ale jeżeli gieniusz ludzki jest tu dobrodziejem od czasu do czasu, jak nazwać tych pracowników, co w sprawie oderwanéj od realnego pożytku ludzkiego, w sprawie w któréj sława najmniejszą rolę grać może, stale i bez przerwy przez pokolenia idą w wytkniętym kierunku doskonalić piękno w architekturze. Potężni jako władcy nauki swego czasu, gonią za ideałami, do których urzeczywistnienia potrzebują pomocy drugich rąk i pieniędzy. W narodach chrześciańskich, w społeczeństwach na poły barbarzyńskich znaleźli się ludzie co okryci kapturem mnicha, sami jedni wśród ciemnoty dowiadywać się będą o prawach statyki, przechowując święte poczucie praw estetycznych.

Do niedawna gotycyzm wydawał się czemś tak odrębném od romanizmu—piękne jego motywa tak odmiennemi od tych jakich tamten używa, że nic dziwnego iż świat, lat temu zaledwie trzydzieści, szukał dla gotycyzmu osobnych punktów wyjścia. W miarę rozpa-

trywania się w pomnikach, dostrzeżono i datami udowodniono ten powolny postęp w kształceniu budowy kościołów, którego przewodnia myśl na tém polegała, aby zyskać rozmiary największe, układ naw i kaplic około prezbiteryum bogatszy i przedewszystkiém rozwiązać sprawę budowy sklepień na podstawie jakiejkolwiek formy, nie koniecznie kwadratowéj. Jeżeli do tego dodamy uczucie estetyczne, dążące do coraz większéj przewagi otworów nad ścianami—to w końcu te stopniowe usiłowania stworzą w północnéj Francyi a głównie w budowie kościoła opackiego w St. Denis zasadę gotycyzmu. Konstrukcya sklepień pierwsza użyła łuku złamanego jako punktu wyjścia w chwili kiedy właściwe pojęcia piękna i ornamentacyi szło za prądem, panującego romanizmu.

Szereg pomników w tym charakterze przejściowym, znamionuje chwilę, w któréj w tym lub owym kraju zjawia się ziarno kiełkujące gotycyzmu, mające wyrosnąć w kwiat bujny pracą miejscową lub korzystaniem z usiłowań obcych.

Historya sztuki to zadanie przyznaje, już dziś bezzaprzeczenia, innym zakonnikom z reguły św. Benedykta—owym Cystersom, których pracom na ziemiach Polski chcemy bliżéj się przypatrzyć.

Niespodziewali się zapewne poważni autorowie XVII i XVIII wieku piszący dzieje zakonu Cystersów, owe ogromne wolumina, w których siliła się erudycya na podniesienie znaczenia tego co upadło—że do zasług, jakie Cystersi u świata zyskali, policzą się ich prace w architekturze. Annaliści i historycy zakonu zbierający listki na wieniec sławy bogatych rozwielmożnionych opactw jak *Manrique*, *Jongelinus*, *Sartorius*, *Martene* i tylu innych, szukali sławy Cystersów w godnościach kościelnych, jakie zajmowali, w stosunkach z możnymi świata i zasługach dla kościoła; pisząc panegiryki raczéj aniżeli wnikając w głębię zadania, do jakiego powołanym został zakon ten pierwotnie. Wielcy panowie w epoce genealogii i herbarzy radzi byli wykazać się rozkrzewieniem rodu swego po całym obszarze Europy, swojemi wielkościami naukowemi i politycznémi. Przyznać się do chłopskich zajęć, do olbrzymiéj pracy kultury kraju materyalnéj, do przemysłu i rękodzieł, do barbarzyńskiego budowania romańskiego, nie bardzo wypadało w XVIII wieku. Historya kultury średniowiecznéj, owoc studyów dzisiejszych, rozpatrująca się bezstronnie w tych ziarnach, które rzucane w glebę urodzajną zrodziły dzisiejszą cywilizacyą, dostrzegła w ostatnich dopiero latach, że najdzielniejszymi pracownikami na roli i w sztuce byli Cystersi od XI do XIII wieku; że to było ich niemal powołaniem; że żywot ich pożyteczny skończył się na lat wiele przed reformacyą a przedłużony stracił charakter pierwotny, gdyż zadanie skończono. I dzisiaj bogatą jest litera-

tura cystersowska: są-to już prace rozświecające lata właściwéj chwały zakonu, monografie ich opactw, tych oaz pracy średniowiecza, monografie i rozbiory ich pomników architektury, przepisów któremi się kierowano. Nasza literatura ma kilka robót tego rodzaju.

Żywot twardy ascetyczny, pobożność niekłamana oto co się podoba społeczeństwom północnym i co daje respekt u rycerza i książęcia, a poszanowanie u tłumów. Podstawa ta moralna daje lepiéj uczuć dobrodziejstwa materyalne, jakie pracą ciężką dostają się światu. Asceta rolnik i rękodzielnik nieszukający zysku, tylko pożytku realnego jest do pożądania zawsze. Takimi są Cystersi, takimi chciał ich mieć wielki *święty Bernard*, takimi znali ich książęta nasi polscy, gdy wcześnie bardzo postarali się o tych dzielnych mnichów, których kraj w epoce podziałów opustoszały a lesisty potrzebował. Ludzi politycznych patrzących daléj niebrakło między tymi szorstkimi książętami XII wieku, a nie jeden rycerz znaczenie Cystersów rozumiał. Skąd się wzięli Cystersi—jaka ich reguła i dzieje a stosunek do kraju naszego w średniowieczu pokrótce przypomnę.

Zakon Cystersów powstał we Francyi w XI wieku, zrodziła go myśl reformy, taż sama jaka na 100 lat przedtém odrodziła Benedyktynów kluniackich. Upadek téj to ostatniéj reguły skłonił *opata Roberta od ś-go Michała* z Tonnere z rodu książąt burgundzkich, iż się usunął na puszczę pod *Molesmes* z kilkoma braćmi, obserwując ścisłą regułę benedyktyńską, ale i stąd się oddalił szukając jeszcze surowszego życia. Znalazłszy stosowne ustronie w Citeaux czyli Cistertium, wystawił obok źródeł drewniane oratorium i kilka chat. Było to w marcu 1089 roku i to jest początek Cystersów, którzy w téj chwili noszą jeszcze czarny benedyktyński ubiór. Dopiéro za następcy *Roberta*, opata *Albericha* spisany regulamin życia klasztornego, *mnichów z Molesmu pochodzących*, który r. 1100 papież potwierdza, i po raz pierwszy ubiór czarny zamieniają Cystersi na biały, zostawiając *mozettę* (przodkowa część kaptura) i szkaplerz czarnego koloru. Za trzeciego opata Anglika *Stefana Hardinga*, w chwili najwyższéj obserwancyi surowéj reguły, zjawia się *hrabia Bernard z Chatillonu* z 30 towarzyszami żądając przyjęcia do zakonu. Potęga wymowy tego świętego męża skłania wielu do przyjęcia reguły tak, że w tym samym roku 1113 pozostały cztery filije i opactwa w la Ferté, w Pontigny, w Clairvaux i w Morimondzie. Ś-go Bernarda powołano na opata w Clairvaux (Claravallis) a wielka ta postać średniowieczna, ów głosiciel krucyat, może być uważana za głównego fundatora zakonu. Jego to gieniuszowi zawdzięczają Cystersi rozumne zastosowanie re-

guły św. Benedykta w przepisach zwanych *kartą chrześciańskiéj miłości*, przyjętych przez pięć pierwszych opactw w r. 1119, daléj w *księdze obyczajów cysterskich* itp.

U Cystersów zasady demokratyczne, monarchiczne i arystokratyczne zlewają się w jedno. Głową całego zakonu, wszystkich klasztorów po całym świecie jest każdorazowy opat w *Citeaux*, ale nie może on działać samoistnie, bo jego prawa ograniczają reprezentanci czterech najstarszych francuzkich klasztorów powyżéj wspomnianych. Sąd najwyższy stanowiło owych pięciu opatów, z których każdy dobierał sobie czterech definitorów. Corocznie zbierali się opaci klasztorów świata do Citeaux na *generalną kapitułę*, któréj uchwały przypominają urządzenie konstytucyjne dzisiejsze.

Najciekawszém w urządzeniu cysterskiém jest ten stosunek klasztoru do klasztoru, który tworzy tak zwane filiacie. U Benedyktynów każden z nich stoi niezależnie od siebie, podlegając tylko opatowi w Cluny—opat ich jest monarchą. U Cysterów wszystkie pochodząc pośrednio lub bezpośrednio od pięciu starszych francuzkich, przedstawiają filiacie. Opat klasztoru, z którego przenieśli się zakonnicy dla założenia nowego tj. filii, jest tego nowego *opatem—ojcem*: on wizytuje ten klasztor—opiekuje się nim, bo to jego obowiązek święty. Ztąd tak zwane generacye klasztorne oznaczone liczbą pokoleń wyprowadzonych od Cistercium, tak np. nasze opactwo w Mogile należy do 7 generacyi, bo wyszło z klasztoru w ‚Lubiążu, ten—z Porty, klasztor w Porta Coeli zrodziło opactwo Walkenried, to pochodzi z klasztoru Altencamp, dokąd przyszli zakonnicy z Morymondu, córki Cistercium. Naturalnie że pochodzenie to dowodzi, iż nie mogli być w Mogile inni zakonnicy jak Niemcy; związek z Francyą łagodzi ich stosunki germańskie w Polsce.

Ktoby chciał poznać dokładnie wewnętrzne urządzenie i obyczaj zakonu tego, znajdzie szczegóły w księgach powyżéj zacytowanych i uchwałach kapituł generalnych, które wydano w Paryżu 1670 roku — zwykło się na nie powoływać w sprawie architektury. Dodamy, że Cystersi nie mieszali się do spraw parafialnych i poddali się pod posłuszeństwo biskupa dyecezyi; wybranemu opatowi biskup miejscowy błogosławił.

Niewiele lat temu jak całe szeregi pięknych budowli kościelnych całe komplety zabudowań mieszkalnych przypomniały się światu artystycznemu jako pamiątki średniowieczne po Cystersach. Utwory te nie dosyć cenione mają pewien stały układ, pewne stałe warunki architektoniczne, wspólne odległym okolicom Europy. Te stare klasztorne zakłady Cystersów, zwykle opuszczone od mieszkańców, częściéj dogorywające w ruinach, malujące lepiéj niż piśmienne źró-

dla obyczaj Cystersów, ich zajęcia pouczające o zasłudze na niwie budownictwa. Rozpatrywanie się w nich do niedawna było na porządku dziennym we Francyi i Niemczech, dziś przychodzimy do tych, które na naszéj ziemi zostały.

Cystersi przybywali do Polski z Niemiec, ale daleko więcéj wprost z Francyi rodzinnego gniazda; największa liczba ich klasztorów jest córkami Morymondu a stanęły w XII, więcéj jeszcze w XIII wieku. Prócz dat założenia tego lub owego opactwa nie zawsze pewnych, nazwiska fundatora, kilku imion opatów, szczegółów uposażenia, historya i dyplomataryusze nie wiele więcéj nas pouczają. Cystersi polscy, jako społeczeństwo obce, nie zajmują w dziejach XII i XIII wieku stanowiska politycznego, zadanie ich odnosi się do kultury kraju, a o to, więc o ich dzieje, pytać się trzeba ziemi okolicznéj klasztorów i miejscowéj topografii, czynność na polu sztuk zaznaczy się téż budowlami kościelnemi i klasztornemi; mamy tu jednak zawsze na myśli chwile, w których Cystersi spełniają swoje posłannictwo, zatém XII, XIII i XIV wieku.

Mało znany autor XVII wieku, profesor cysterski *Sigismundus* w dziele swém *Tabula omnium monasteriorum*, wydaném w Poznaniu u Wolraba r. 1614, zanotował nam daty erekcyi, pochodzenie i przynależność do dyecezyi wszystkich 15 klasztorów polskich. Dostały się tu i Oliva i Pelplin, ale braknie starych szląskich, które do dziejów sztuki w Polsce należéć powinny. Dozwalamy sobie rozdzielić je na kilka grup ze stanowiska dyecezyi, do któréj należą, a głównie ze względu na możliwe wpływy miejscowéj architektury przed przybyciem Cystersów tu panującéj. Jest bowiem dowiedzioném, że Cystersi jakkolwiek przynoszą pojęcie budownicze z gniazda skąd przychodzą, to miejscowy obyczaj reprezentują rękodzielnicy użyci przy budowie kościoła i klasztorów. Takie grupy stanowić mogą klasztory pomorskie, należące do dyecezyi dawnéj włocławskiéj: *Oliwa* i *Pelplin* z tradycyą budowli z kamieni eratycznych; drugą tworzą opactwa wielkopolskie jak: *Ląd*, *Lekno* czyli *Wągrowiec*, *Obra*, *Paradyż*, *Byszew*, *Bledzew*, *Przemęt*, zaliczające się do dyecezyi gnieźnieńskiéj i poznańskiéj; trzecią grupę stanowią klasztory małopolskie jak: *Jędrzejów*, *Koprzywnica*, *Wąchock*, *Mogiła*, *Szczyrzyc*, wszystkie w dyecezyi krakowskiéj; do czwartéj zaliczyć można szląskie z *Lubiążem* na czele: *Henryków*, *Kamieniec*, *Ruda*, *Grysów*, *Jemielnica*.

Każda z tych grup stanowi do pewnego stopnia szkołę budownictwa w końcu XII a głównie na początku XIII wieku, jak skoro każdy prawie klasztor o tę porę buduje z nowa swe gmachy kościelne i mieszkalne, a każda z tych grup ma niezawodnie wpływ na rozwój miejscowéj architektury.

W pomnikach architektury cysterskiéj tych czterech grup znaleźlibyśmy niezawodnie wspaniały materyał dla dziejów sztuki na obszarze ziem dawnéj Polski, gdyby znalazły się one w pierwotnéj swéj szacie, świadczyły formami o epokach średniowiecza i gdyby studya nad niemi publikowane były. Przedewszystkiém, najwięcéj interesującemi naukę są budowy cysterskie z epoki przejścia romanizmu w gotycyzm, a gdzie są i które tego rodzaju z polskich, dopiéro studya wyjaśnićby nam powinny. Ale studyów zbiorowych tych pomników dotąd żadna nie wygotowała literatura, a mala liczba monografij opactw niezawsze nacechowana jest poglądem na sztukę, tak że sprawa architektury klasztornéj cysterskiéj w Polsce jest dopiéro do zbadania i wypada badaczowi za każdym pomnikiem jeździć. Że takie wycieczki niezawsze przynieść mogą rezultat żądany i że w miejsce upragnionego zabytku romanizmu znajdzie się nową budowę z zeszłego wieku, to niech poświadczą: *Ląd*, *Wągrowiec*, *Henryków*, *Kamieniec*, *Grysow* a w części nasz kościół Jędrzejowski. Inne opactwa jak: w *Oliwie*, w *Pelplinie* w *Lubiążu* więcéj już są znane w nauce, bo literatura niemiecka niemi się zajęła, ale pierwsze przerobione w XIV wieku, drugie dziełem XV w., a Lubiąż jeden, najmniéj znany, zachowa charakter epoki przejścia.

Wędrówkę mającą na celu zbadanie pomników architektury cysterskiéj, rozpoczętą od Mogiły, prowadzi autor niniejszego bez przerwy i w ostatnich czasach studya jego zaokrągliły się w pewną całość. Grupa opactw *Małopolski* jest mu téż zupełnie znaną, bo z miarą i ołówkiem w ręku splondrowaną, i o téj téż wolno mu słowo wyrzec. Radby prócz Sulejowa zaliczyć do niéj i najstarszy Ląd, choć oba opactwa należą do Wielkopolski, gdy Ląd prócz części klasztoru zachował coś średniowiecznego.

Pozostawiając sobie nadal miejsce w sprawozdaniach akademickiéj komisyi do historyi sztuki w Polsce na naukowe suche wywody, objaśnione szczegółowemi pomiarowemi rysunkami, z takim trudem na miejscu zdjętemi, odnoszące się do klasztorów w Wąchocku i Koprzywnicy, chcę w sposób przystępniejszy przedstawić rezultat swych badań czytelnikom „Ateneum" nad grupą tą Małopolski, która bądź co bądź ma szczęśliwiéj niż inne grupy dochowane pomniki architektury średniowiecznéj. Jędrzejów, Wąchock, Koprzywnica, Sulejów, Mogiła zachowały całe części budowli z dobréj epoki a przedewszystkiém są dobremi typami cysterskiemi.

Na tle obrazu, który nam tak mistrzowsko skreślił Szajnocha, a szeroko roztoczył ostatnią swą nieoszacowaną pracą prof. Smolka w Mieszku Starym, na tém tle lesistém, pełném moczarów i bagien, występują nasze klasztory małopolskie przy końcu XII wieku. W po-

śród nielicznych dworców i wsi o kilku chatach, przez bory torują sobie drogę Cystersi francuzcy, powołani to przez biskupów, to piastowskich książąt. Mają oni objąć w posiadłość darowane im ziemie a wedle uchwały kapituły generalnéj r. 1134 nowy klasztor ma zamieszkać od razu 12 mnichów. Reguła zabraniała im osiadać w mieście, w pobliżu wsi lub zamku, wybór odpowiedniego miejsca pod klasztor nie był rzeczą łatwą. Ciągnęli Cystersi w doliny na spokojny, rolnictwu oddany żywot w pobliżu darowanych ziem *Rusławа* nad Pilicą, w darowizny *Bogoryów* nad Wisłą przy Sandomierzu, w dziedzictwo *biskupa Janika* wrocławskiego w pobliżu dzisiejszego Jędrzejowa; znajdą się w puszczach leśnych nad rzeką Kamienną bo ich tam uposaża *Gedeon biskup*, zbliżą się pod mury stolicy za Iwona, ale nie osiądą odrazu. Wiodący mnichów opaci muszą porozumiéć się z dwoma innymi a tylko za ich zgodą następuje potwierdzenie wyszukanego miejsca; wtedy dopiéro zabierano się do urządzenia tymczasowego z drzewa budynku. Musiał tu być kościołek do modlitwy, sypialnia, refektarz, izba gościnna i mieszkanie furtyana, wszystko to pokryte słomą. Takie prowizoryum miało pouczyć czyli obrana okolica jest najodpowiedniejszém pomieszczeniem, czy da możność do zaprowadzenia tych porządków, które podstawę ich pracy stanowiły. Chętnie téż przenoszą się ze wsi Kamienny do Wąchocka, z Mogilnicy do Sulejowa (1), z Kacic do Mogiły, kiedy im na stałe przyjdzie się zabudować. Tak z nadań dóbr, jak badaniem dzisiejszéj choć zmienionéj topografii miejscowości dochodzimy do przekonania, że były to jak w Koprzywnicy i Jędrzejowie lesiste puszcze, pełne mokrzadeł, strug i źródeł, gdzie dopiéro przemysł miał zyskać grunta orne, gdzie trzeba było osuszać okolicę i zakładać wsie, lub jak w Sulejowie i Wąchocku, gdzie lesiste puszcze trzebić pod rolę należało. Ślady osuszenia pól pod Mogiłą są dotąd widoczne. Zdawałoby się więc, iż choć o tém milczą dyplomataryusze klasztorne, powoływano do Małopolski Cystersów jako postępowych rolników i oddawano im najgorsze grunta. Wybór miejsca pod klasztor stały wymagał pierwéj zagospodarowania się, a chociaż środki pieniężne zebrano, nie śpieszono się z ostateczną budową klasztoru, dopóki nie wypróbowano czyli miejsce odpowiada wymogom dłuższego pobytu. Do zmiany miejsca potrzeba było pozwolenia kapituły generalnéj.

Z księżmi francuskimi przyjść tu musieli konwersy. Byli to braciszkowie, niby pół mnicha w ubiorze zakonnym, obowiązani do

(1) Domysłu o przeniesieniu Cystersów z Mogilnicy do Sulejowa nie potwierdzają dokumenta: dopiero w r. 1249 klasztór sulejowski wszedł w posiadanie Mogilnicy. Ob. Kod. Mazow. 339. (*Przyp. Red.*).

posłuszeństwa i celibatu, bez widoków otrzymania wyższych święceń dostępnych innym klerykom. W regule św. Benedykta nie ma śladu urządzenia podobnéj pomocy, — u Cystersów zaś mieli konwersi powierzoną pracę około roli i posług najprostszych. Widzimy u Cystersów połączenie, zajęć uczonego, artysty, mnicha, chłopa i ekonoma, a ztąd zmysł do dobréj gospodarki.

Ktokolwiek zbliża się do miasteczka Sulejowa, jadąc od Piotrkowa, kto posunie się o parę wiorst z Jędrzejowa ku zachodowi, kto zajrzy do Wąchocka i Mogiły, spotka się z obszernemi zabudowaniami i ogrodami, otoczonemi do około murami i basztami, w pośrodku dostrzeże krzyże murowanego kościoła. Ten kompleks zabudowań, te obszerne place i ogrody za murem, to odsunięcie od miasteczka, wszystko to zgodne z charakterem i naturą starych cysterskich osad i jest wspólném wszystkim ich klasztorom po świecie. Obszar zajęty pod klasztor, liczba budynków zależne będą od stanowiska jakie zajmował i charakteru zajęć mnichów po za sprawą kultu. Jeżeli plan ogólny nakreśliła jeszcze reguła św. Benedykta w IX wieku na onym pargaminie zachowanym dotąd w archiwum *Opactwa San Gallen*, to plan ten modyfikował się w miarę potrzeby. Sądząc z tego co pozostało, nasze wszystkie klasztory, nie wyjmując największego Jędrzejowskiego, mają charakter przeważnie zastosowany do rolnictwa i przemysłu rolniczego— uprawa nauki nie wchodziła w ich zakres zajęć, jak bywało w opactwie Claravallis lub Cistercium. Poucza nas o tém obszar zajęty i budynki klasztorne. Za planem tych dwu głośnych opactw cysterskich we Francyi a w tradycyi benedyktyńskiego rozkładu budowli i urządzenia wewnętrznego idą wszystkie nasze klasztory małopolskie. Plan składa się z dwóch dzielnic odrębnych, otoczonych murem z basztami i wieżami fortecznemi. Jedyna brama prowadzi, lub są ślady, że prowadziła do klasztorów naszych, jak to było w Claravallis. Dwie strony życia cystersa średniowiecznego, *ascetyzm* i praca ręczna około roli i przemysłu gospodarskiego, wyrobiły ten rozdział planu w odrębne kompleksy budowli. Pierwszy od wejścia po za bramą—to dział stosunku ze światem i gospodarczy pod opieką braci *konwersów*, tu znaleść się powinny zabudowania gościnne i gospodarcze, niby na jakim wzorowym folwarku zamożnego dziedzica olbrzymich włości. Druga część zabudowana monumentalniéj, obejmuje kościół i mieszkania księży, dogodne zadosyćuczynienie ich obyczajom, gdzie znajdzie się wszystko czego potrzeba do zadań ascetyzmu, zarządu i naukowéj pracy, gdzie wymagane jest odosobnienie od codziennych materyalnych zajęć a duch ma się wznosić ku Bogu, jak u Kartuzów lub krakowskich dzisiejszych Kamedułów na Bielanach.

Dopóki zadanie Cystersów stoi jasno i praktykuje się w surowości, układ ten bez względu na style zachowanym będzie, zmieni go zwolnienie reguły, zapomnienie posłannictwa i chwila, gdy ze wspólnéj sypialni przeniosą się mnichy do wygodnych własnych cel, umyślnie do starego gmachu przyczepionych. Na nieszczęście myśl udogodnienia życia zbyt zapanowała od XVII wieku w naszych opactwach, tak że nie wszędzie odszukać się daje to, czego pragniemy — ślady średniowiecza. Pocznijmy naprzód od rozpatrzenia się jeszcze w położeniu naszych klasztorów i w tém rozpołowieniu planu, o którém mówimy. Wszystkim im prawie jest wspólném sadowienie się w pobliżu rzek a główniéj źródeł i takie rozpołożenie gmachów, aby strumień żywéj wody przepływał przez dziedziniec gospodarczy klasztoru. Znajdzież im się miejsce tak szczęśliwe jak w Wąchocku, gdzie o kilkaset kroków bije tak silne źródło, że z niego wychodzący potok daje się zaraz użyć na motor pracy,—czyli téż sąsiednie źródło dość słabe, i wypadnie sprowadzić wodę na dziedziniec sztucznem korytem z odleglejszego miejsca, jak w Jędrzejowie, gdzie w pobliżu będące źródło, tak zwany *stok św. Barbary*, zasila stawy, do których woda przypływa przez klasztor ze wsi Sudołu o pół mili odległego i w następstwie utworzy rzeczkę Brynicę, — czy jak w Sulejowie ów strumień nieznanego mi nazwiska, wpadający dziś do Pilicy przy klasztorze, a który dawniéj płynął przez obręb klasztorny, — Cystersi nasi miejsca takie obiorą na klasztor. W Koprzywnicy rzeczka Koprzywianka, dążąc ku Wiśle przez klasztor, obraca młyny do dziś dnia na dziedzińcu dawnym; w Mogile brak źródeł, ale zrobiono rzekę sztuczną, tak zwane koryto robocze Dłubni, dla zasilenia stawów i młyna na dziedzińcu.

Z pięciu naszych klasztorów dwa tylko zachowały dawny swój obręb, to jest do okoła otoczone są murem Sulejowski i Jędrzejowski, inne są tylko w części, albo téż mury te niemają charakteru średniowiecznego. Sądzę że w Wąchocku obszar pierwotny rozciągał się i na grunt dzisiejszego miasteczka.

Klasztory w epoce średniowiecznéj były obronnemi; mur z krenelażami, baszty i brama forteczna ze zwodzonym mostem znalazły się tu jak przy zamkach i miastach. Otóż jak Francya pokazuje swe obronne cysterskie opactwa w *Sept-Fonds* w Bourbonnais, w *Bénissons-Dieu* w dyecezyi Lyońskiéj w *Maubuisson* przy Pontoise, my możemy się pochwalić Sulejowem. Pominąwszy główną wieżę w murze okalającym odpowiednio wysokim i grubym, który nosi ślady krenelaży, wieżę w charakterze raczéj kościelnym a w stylu XVII wieku, mamy pięć baszt średniowiecznych, to okrągłych, to czworokątnych z hurdicyami, które lubo do XIV co najdaléj wieku w posadach a na-

wet wzniesieniach odnieść wypada, to niemniéj przynoszą one dowód starszego obyczaju. W klasztorze Jędrzejowskim mury są niskie, baszty niewielkie, ale charakter zamkniętego obronnego siedliska niemniéj jest widocznym. W Wąchocku dotąd spotykamy budynek piętrowy z bramą wjazdową na dawny dziedziniec klasztorny; brama z obszerną sienią któréj śmiało można przypisać znaczenie obronne i dodać most zwodzony. Jeden też Sulejów zachował po za murem ów rozdział planu na część przodkową gospodarczą i część zakonną. W Jędrzejowie po zabudowaniach gospodarczych pozostał tylko plac obszerny pusty, w Wąchocku i Koprzywnicy reszty tu i owdzie świecą. Za nim wejdziemy na dziedziniec klasztorny, zatrzymajmy się u bramy: zamkniętą ona jest w średniowieczu, otwiera ją gościnność.

Jeżeli w krajach o wyższéj od naszego kulturze klasztory były miejscem przytułku dla podróżnych w takim XII, XIII wieku, a rozstawione wśród sąsiednich pól figury przydrożne a często i tak zwane *latarnie zmarłych* wskazywały wśród zawiei lub ciemności nocnych drogę do tego przytułku, to wątpić niemożna, że takiemi schronieniami były w tych czasach i nasze małopolskie klasztory. Pobyt Kazimierza W. w Koprzywnicy, po wypadku w Przedborzu, tuż w pobliżu Sandomierza, okazuje, że gościnność i opieka znajdowała się tu większą niż w domu kasztelana na zamku Sandomierskim. Nie może to być fakt oderwany; ale historya w tak drobne sprawy nie wdaje się, iżby nam łatwo było innemi dowodami fakt, że klasztory były u nas gościnami, zaznaczyć. To pewna, że jak w klasztorach francuzkich XII wieku, tak i w naszych, tuż przy bramie jest pomieszczenie dla gości obok mieszkania furtyana a bywały i kaplice dla podróżnych. Myślę, że ta bramka z pięterkiem w Wąchocku takie miała przeznaczenie, ma ona cztery lokalności i stajnię niewielką. Wedle obyczaju Cystersów, gdy podróżny zakołatał do bramy, brat furtyan wstawał, mówiąc: *Deo gratias*, i szedł otwierać przychodniowi w milczeniu, prócz słowa powitania *Benedicite*, które wymawiał klęczący. Zawiadomiony opat powinien był wyjść do gościa i wprowadzić go do kaplicy przy bramie. Po krótkiéj modlitwie opat powierzał podróżnego osobnemu braciszkowi, który miał obowiązek dać schronienie jemu, jego służbie i koniowi. Opat zasadzał gościa do swego stołu.

Taką bramą wstępuje się na dziedziniec klasztorny w Sulejowie. Jak okiem zasięgnąć na prawo i lewo ciągną się przy murze stare budowle, niskie bezpiętrowe i piętrowe, budowane z kamienia lub cegły, wiążące się z basztami. To dawne *grangiae* czyli spichrze, stajnie dla wołów (krów Cystersi nie trzymali), warsztaty kołodziej-

skie i ślusarskie, browary, blech świec, środkiem placu przepływał potok poruszający młyny, folusze, tartaki. Otóż ani potoku dziś tu niema, ani śladu fabryk, ale pusty plac za wielkim jest w obrębie tym, aby niewolno było pomyśleć, że niegdyś był zapełniony. Koryto strumienia daje się odnaléść. W Jędrzejowie za pamięci dziadów naszych nie brakło zabudowań gospodarczych na takim dziedzińcu a dotąd woda go przepływa. Skromny to strumyk dzisiaj ledwie sączący swe wody.

W *Koprzywnicy* w ruinach stoją zabudowania gospodarcze, ale młyn na *Koprzywiance* czynny dotąd, w murach swych i arkadzie głównéj sięga co najmniéj XIV wieku.

(*d. c. n.*) *Władysław Łuszczkiewicz.*

DOZORY BÓŻNICZE

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Opłakane wypadki zaburzeń ulicznych mimowoli zwróciły uwagę na jednę z instytucyj wyznaniowych żydowskich, mianowicie na dozory bóżnicze. Nie od rzeczy będzie zatém zastanowić się bliżéj nad organizacyą tych władz, zbadać ich gospodarstwo i przekonać się, jak rozwija się samorząd, przysługujący gminom żydowskim. Główną jednak napotykaną tu przeszkodą jest brak danych statystycznych dla całego kraju; postanowiliśmy tedy przyjrzéć się trzem gminom żydowskim, położonym w powiecie Mławskim, a mianowicie: Radzanowu, Kuczborkowi i Szreńskowi. Nie myślimy bynajmniéj z danych odnoszących się do trzech tych okręgów, wyprowadzać, ogólnych wniosków; sądzimy jednak, że i ta mała wiązanka faktów potrafi rzucić pewne światło na całą tę sprawę.

Zanim przystąpimy do zbadania gospodarstwa trzech wymienionych gmin, zastanówmy się nad prawnym ustrojem dozorów bóżniczych.

Poprzednikami dozorów były osławione kahały, zniesione w myśl art. 1 post. król. z d. 1 stycznia 1822 r. (1). Ustanowione w ich miejsce dozory bóżnicze otrzymały nazwę swą na wzór dozorów kościelnych w wyznaniu rzymsko-katolickiém. W wydanych postanowieniach objaśnienia takiego nie spotykamy; lecz o ile się zdaje, pierwotną myślą prawodawcy było skierować działalność dozorów do utrzymania bóżnic.

Obecny ustrój dozorów opiera się na prawach, wydanych za czasów Królestwa kongresowego i małe zaledwie zmiany poczyniono w czasach późniejszych.

---

(1) D. P. T. 7, str. 276.

Zasadniczemi rozporządzeniami prawodawczemi są tu: postanowienie namiestnika z d. 20 marca 1821 r. a głównie cyrkularz komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego z d. 24 kwietnia 1821 r. (*patrz Prz. odn. się do czyn. rz. gub. i nacz. pow. Wydział wyznań. Rok 1866 str. 148 i 150*).

W myśl tych przepisów, a także zgodnie z decyzyą b. Rady Adm. Kr. Pol. z d. 7 września 1830 r. (*D. P. T. 13 str. 147*) dozór bóżniczy składa się z rabina lub tymczasowego jego zastępcy i trzech członków, dozorcami bóżnicznymi zwanych. Osoby te są wybierane na przeciąg lat trzech przez zgromadzenia parafian tj. mieszkańców wyznania mojżeszowego, opłacających prawem określone składki na utrzymanie instytucyj wyznaniowych. W miejscowościach, gdzie do parafii żydowskiéj należy wielu mieszkańców, osiadłych po wsiach, jeden z dozorców musi być koniecznie z ich liczby wybrany, (*por. cyrk, z d. 29 grudnia 1829*).

Zatwierdzanie rabinów i członków dozoru należy do osobistego rozporządzenia gubernatora w rządzie gubernialnym, (*patrz dodatkowe przepisy do ustawy o zarz. guber. i powiatowym w guberniach Król. Pols. D. P. T. 68 str. 29*). Pokrewieństwo dozorów bóżniczych z kościelnemi uwydatnia się przy rozbiorze składu obu tych władz.

Dozory kościelne, z mocy post. królewskiego z d. 25 grudnia/6 stycznia 1823/4 roku (*D. P. T. 8 str. 320*) składają się z dwóch rodzajów członków: z należących do nich z urzędu, ze względu na zajmowane stanowisko i z wybieralnych. Do pierwszych należą: kolator dziedzic i dziekan miejscowy, do drugich zaś: trzéj inni parafianie, powoływani do spełniania obowiązków swych przez wybór członków parafii, do których zaliczają się wszyscy katolicy, mający prawo udziału w zebraniach gminnych, nie wyłączając sędziów pokoju, osób stanu duchownego i urzędników policyi powiatowéj, posiadających określoną prawnie przestrzeń gruntu.

Widzimy tedy, że skład obu dozorów jest wielce do siebie zbliżony. Członków wybieralnych jest jednakowa liczba, a prócz tego tu i tam spotykamy przedstawiciela władzy duchownéj.

Dozorcy bóżniczni korzystają z pewnych ulg, które równoważą niejako tę okoliczność, iż czynności swoje spełniają bezpłatnie. Tu należy przedewszystkiém zwolnienie członków dozorów bóżniczych od składek etatowych w czasie pełnienia obowiązków.

Źródło tego przywileju spoczywa w początkowéj niechęci żydów do dozorów bóżniczych.

Dozory w porównaniu z kahałami, posiadały niewielkie znaczenie, a to ostatnie wydawało się ludności żydowskiéj już z tego względu mniejszém, iż cała instytucya dozorów bóżniczych określoną była

przez pewne stałe przepisy. Rezultatem takiego usposobienia mas żydowskich, było uchylanie się od przyjmowania obowiązków dozorców; władze starały się usunąć tę trudność i b. komisya wyznań religijnych i ośw. publ. rozporządzeniem z d. 17 lutego 1826 r. postanowiła, iż każdy żyd, na członka dozoru wybrany, wolnym zostaje od składki bożniczéj przez czas sprawowania téj funkcyi, a nadto w ciągu trzech lat po opuszczeniu swych obowiązków wolnym będzie od podobnéj składki.

Z biegiem czasu ludność żydowska zaczęła z większą ufnością spoglądać na instytucyą dozorów bóżniczych. Podług opinii komisyi spraw wewnętrznych (*p. cyrk. z d. 21 marca/12 kwietnia 1849 r.*) środek powyższy głównym był do téj zmiany bodźcem. Żydzi chętniej zaczęli się ubiegać o udział w dozorach.

„Wprawdzie w początkach, powiada komisya, konkurencya ta była powiększéj części ze strony żydów mniéj zamożnych, którzy w wyborze na członków dozorów zakładali tylko interes materyalny, to jest wolność od składki przez lat sześć, z postępem wszakże czasu zaczęli wchodzić do dozorów żydzi najzamożniejsi i ucywilizowani, którzy zniesienie kahałów i zaprowadzenie w ich miejsce dozorów znajdując rzeczywiście dla interesów gmin swych współwyznawców nader pożytecznėm—z drugiéj zaś strony, chcąc w przewodniczeniu gminom szukać dla siebie zasług i pewnego znaczenia, nie tylko chętnie podejmują się obowiązków dozorców, ale nawet, po większéj części, obok dobrowolnego uiszczania zwyczajnych na rzecz gminy składek, od opłacania których zacytowane wyżéj rozporządzenie czyni ich wolnemi, niosą jeszcze częstokroć znaczne na potrzeby gmin ofiary.“

Nie ulega wątpliwości, iż, wspominając o żywiole ucywilizowanym, komisya spraw wewnętrznych mogła mieć na myśli tylko większe miasta, gdyż w mniejszych ludność żydowska składała się wówczas, jak i obecnie, z mas całkiem nieoświeconych.

Członkowie dozoru kościelnego z podobnego przywileju niekorzystają. Jeżeli dzisiaj, wobec zniesionych składek obowiązkowych na utrzymanie kościoła, rzecz ta stała się naturalną, to już poprzedni stan rzeczy wskazuje na mniejsze przywileje członków dozorów kościelnych.

Prócz zwolnienia od składek, dozorcy otrzymują pierwszeństwo przy czytaniu rodałów itp.

Rozejrzawszy się pokrótce w organizacyi dozorów bóżniczych, przejdźmy do ich czynności.

Czynności dozorów zostały określone przez szereg postanowień i przepisów. Art. 1 post. namiestnika z d. 20 marca 1821 r. orzeka,

iż dozór bóżniczy winien układać corocznie etat wydatków na utrzymanie bóżnicy, szkoły, rabina i ubogich parafii, a także etat funduszu mającego pokryć rzeczone wydatki. Postanowienie b. Rady Administracyjnéj z d. 7 września 1830 roku (*p. D. P. T. 13 str. 147*) włożyło obowiązek na dozory co do czuwania, aby księgi prowadzone przez rabinów, tak zwane zapisowe, utrzymywane były porządnie. Daléj cyrkularz kom. spraw wew. z d. 11 listopada 1843 r. (*Przepisy etc. str. 164*) powierzył dozorom zawiadywanie cmentarzami i funduszem otrzymywanym z pokładnego. Postanowienie komitetu urz. z d. 14 (26) czerwca 1868 r. (*D. P. T. 68 str. 327*) nadało dozorom prawo mianowania i uwalniania szkolników, rzezaków, pukaczy i innéj niższéj służby przy bóżnicach.

Z rzędu tych osób, na mocy uchwały komitetu do spraw Królestwa Polskiego z d. 11 maja 1873 r. rzezacy zostali usunięci, a ich wybór łącznie z całą służbą przy zarzynaniu bydła i ptaków na koszer pozostawiono osobom, życzącym sobie handlować mięsem koszerném za obopólną zgodą z wymienionemi osobami.

Wreszcie ukaz z d. 19 czerwca 1870 r. (*D. P. T. 70 str. 199*) oddał opiekę nad ubogimi starozakonnymi a także zawiadywanie domami schronienia dla nich urządzonemi—dozorom bóżniczym.

Wszystkie wymienione czynności wykonywają dozory w powołanych trzech okręgach bóżniczych. Mamy pod ręką etaty dochodów i wydatków za czas od r. 1863 do 1883; etaty są sporządzane co lat trzy, tak że ten okres czasu obejmuje siedm etatów. Jak wiemy, zawiadywanie cmentarzy wchodzi w obręb działań dozorów, otóż w okręgu Radzanowskim za cały ten czas znajdujemy dochodu z pokładnego Rs. 1 kop. 77 1/2

w okręgu Szreńskim „ 1 „ 66

„ „ Kuczborskim „ „ 50

Osada Radzanowo liczy żydów 584, Szreńsk 1100, Kuczbork 560. Nie mamy danych o liczbie zejść, w każdym jednak razie, przy zestawieniu ludności z dochodem z tego źródła uderzyć musi niezwykła szczupłość jego. Domów schronienia w trzech wymienionych osadach niema wcale, a opieka nad ubogimi, jak zobaczymy niżéj, zajmuje miejsce bardzo podrzędne.

Wszystkie czynności dozorów noszą na sobie cechę gospodarczą, tak że nawet nadzór nad szkołą odnosi się wyłącznie do materyalnego jéj utrzymania.

Jedyną czynnością, wychodzącą po za sferę gospodarczych interesów wyznaniowych, jest nadzór nad księgami zapisowemi, utrzymywanemi przez rabinów, którzy do nich zapisują, wszystkie urodzenia małżeństwa i zejścia.

Aczkolwiek dozory bóżnicze nie mogą podług prawa wkraczać w sferę moralnych interesów, jednak i tak prawo nadaje im większy samorząd, niż podobnym dozorom kościelnym. Różnicę tę zauważyć można i w trzech wspomnianych dozorach, jakkolwiek uwydatniają one małą bardzo działalność. Rozkład obowiązkowéj składki, wydzierżawianie kąpieli religijnéj— są to czynności, których prawodawca dozorom kościelnym nie powierzył.

Dozory kościelne czuwają tylko nad kościołami, cmentarzami i nad wszystkiém, co z niemi w ścisłym jest związku. Obowiązane są one dbać o utrzymanie kościoła w należytym porządku, mieć dozór nad wszelkiemi zabudowaniami kościelnemi, ogłaszać warunki licytacyjne i t. p. (*por. post. b. Rady Administracyjnéj z d. 15/27 marca 1863 r. D. P. T. 61, str. 163*). Działalność dozorów kościelnych jest dziś znacznie skrępowaną, z powodu zniesienia wszelkich prawie składek obowiązkowych, wnoszonych przez parafijan. Dozory kościelne obowiązane są nadto ściągać część obowiązkową z majątku duchownych na rzecz kościoła.

Z całéj sfery działalności dozorów bóżniczych na szczególną baczność zasługuje kwestya budżetowa i związana z nią sprawa dochodów i rozchodów bóżniczych. Podług brzmienia punktu 2-go cyrkularza b. komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicznego z d. 24 kwietnia 1821 r. (*Przepisy i t. d. str. 150*), dozorcy bóżniczni przy układaniu budżetu powinni stosować się do życzenia większéj części współparafian.

Pomimo tak wyraźnie zastrzeżonego warunku, nie jest on wcale w rzeczywistości zachowywany. Dozory bóżnicze wogóle postępują tu zupełnie arbitralnie, uważając się za nieograniczenie upoważnione do wszystkich bez wyjątku czynności. I w rozpatrywanych okręgach bóżniczych rzeczy mają się tak samo. O ile nam wiadomo, i tam nie odbywają się żadne zgromadzenia parafialne, na których kwestya budżetowa byłaby rozbieraną.

Dochody okręgów czyli parafij bóżniczych pochodzą z dwu kategoryi: *a*) z opłat od obrządków religijnych i *b*) ze składek od parafian (*p. 2 Cyrk. z d. 24 kwietnia 1821 r.*). Opłaty pierwsze zostały wyszczególnione w cyrkularzu b. komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicz. z d. 26 września 1822 r. (*Przepisy etc. str. 200*), są one następujące:

1) opłaty od łaźni;
2) „ „ ślubów;
3) „ „ obrzeżania;
4) „ „ pogrzebów;
5) „ z krόbki;

6) opłaty od wkupna do bóżnicy;
7) „ „ zakupienia pierwszeństwa miejsc przed torą;
8) „ „ wydzierżawienia ławek w bóżnicy;
9) ofiary składane przed sądnym dniem, zielonemi świątkami etc.
10) „ od rajskiego jabłka;
11) „ „ czytania rodału;
12) składki na mąkę wielkanocną;
13) dochód z przedaży wosku pozostałego po sądnym dniu;
14) „ z kollekt;
15) „ ze skarbonki.

Opłaty te nie wyczerpują wszystkich jakie mogą być ustanowione. Podług brzmienia powyższego cyrkularza, mogą być inne jeszcze opłaty, stosownie do zwyczajów miejscowych. W ostatnich czasach komitet urządzający cyrkularzem z d. 30 września 1870 r. potwierdził treść powyższego rozporządzenia. Przy tak dowolném ustanawianiu różnorodnych opłat, prawodawca zalecił zachowanie jednego tylko warunku, a mianowicie, iż opłaty powyższe stosować się winny do wysokości składki etatowéj t. j. rozmiary ich winny odpowiadać pojedyńczym klasom parafian.

Rozbierane przez nas okręgi bóżnicze nie znają wszystkich powyższych opłat. Wogólności dochody kasy bóżniczéj są w etacie podzielone na stałe i niestałe. Zwraca jednak na siebie uwagę ta okoliczność, iż jednostajności co do podziału dochodów niema w tych okręgach. Etat Radzanowski zalicza do dochodów stałych:

1) dzierżawę czytania rodałów,
2) dzierżawę kąpieli religijnéj,
3) dochód z pokładnego;

do dochodów zaś niestałych — tylko składkę bóżniczą.

Etat Szreński dochód z pokładnego zalicza do dochodów niestałych, wreszcie etat Kuczborski przyjmuje ten sam porządek, co i Szreński, zaliczając do dochodów niestałych ofiary dobrowolne na pogrzebach. Prócz tych dwu kategoryj dochodów, etaty Szreński i Kuczborski obejmują jeszcze dochody oczekiwane, które nazwę taką noszą z tego względu, iż rzeczywiście nie zostały osiągnięte. Widzimy tu niektóre z opłat, powyżéj przez nas wymienionych.

Etat Szreński zalicza tu:

1) z dobrowolnych ofiar przy czytaniu rodałów .	rs.	1	kop.	50
2) z dochodu ze skarbonki.	„	2	„	30
3) z ofiar na pogrzebach	„	1	„	80
4) „ przy urodzeniach i ślubach	„	1	„	40
5) „ zbieranych po domach	„	1	„	60
do przeniesienia	rs.	8	kop.	60

z przeniesienia rs. 8 kop. 60

6) z ofiar maskir neszumes (zaduszki) . . . . . . „ 2 „ 10

7) „ dawanych w naturze . . . . „ 2 „ 50

Łącznie rs. 13 kop. 20

Etat Kuczborski:

1) z ofiar przy urodzeniach i ślubach . . . . . rs. — kop. 50

2) „ codziennie zbieranych przy nabożeńst. „ — „ 50

3) „ przy czytaniu rodałów . . . . „ — „ 50

4) „ zbieranych po domach . . . . „ 1 „ —

5) „ maskir neszumes (zaduszki) . . . . . „ 1 „ —

6) „ dawanych w naturze: z drzewa, świec itp. „ 1 „ —

Łącznie rs. 4 kop. 50

Tak więc bardzo niewielka liczba opłat religijnych figuruje w etatach trzech rozbieranych okręgów. Zwracając się do cyfr, widzimy, iż dzierżawa z czytania rodałów przyniosła:

1) w okręgu Radzanowskim rs. 6 corocznie za cały okres.

2) w okręgu Szreńskim w latach: $186^{3}/_{5}$ rs. 16 kop. 38, — $186^{6}/_{8}$ rs. 16 k. 38,—$186^{9}/_{71}$ rs. 16 k. 38,—$187^{2}/_{4}$ rs. 16 k. 75,—$187^{5}/_{7}$ rs. 19,— $18^{78}/_{80}$ rs. 19, — $188^{1}/_{3}$ rs. 19.

3) w okręgu Kuczborskim w latach: $186^{3}/_{5}$ rs. 2 kop. 62, — $186^{6}/_{8}$ rs. 2 kop. 62, — $186^{9}/_{71}$ rs. 2 kop. 62, — $187^{2}/_{4}$ rs. 2 kop. 62, — $187^{5}/_{7}$ rs. 2 k. 62, — $18^{78}/_{80}$ rs. 6 k. 61, — $188^{1}/_{3}$ rs. 6 k. 61.

Drugie z kolei źródło dochodu jest dzierżawa kąpieli religijnéj, mykwą zwanéj. Przyniosła ona:

1) w okręgu Radzanowskim we wszystkich trzechleciach rs. 3 kop. 90; w ostatnim tylko etacie na lata $188^{1}/_{3}$ dochód z tego źródła nie figuruje wcale, a to z tego powodu, iż dopiéro niedawno kąpiel religijna w osadzie Radzanowie ukończoną została.

2) w okręgu Szreńskim dochód z tego źródła wynosił w trzechleciach: $186^{3}/_{5}$, $186^{6}/_{8}$ i $18^{69}/_{71}$ rs. 21 kop. 60, — w $187^{2}/_{4}$ r. rs. 22 kop. 50,—a w r. $187^{5}/_{7}$, $18^{78}/_{80}$ i $188^{1}/_{3}$ rs. 105 kop. 15. Jak widzimy, od r. 1875 dochód z kąpieli wzrósł bardzo znacznie; jaka tego przyczyna, nie wiemy, lecz o ile się zdaje, w Szreńsku zbudowano wówczas nową mykwę.

3) w okręgu Kuczborskim wreszcie w pierwszych trzechleciach kasa bóżnicza pobierała tytułem dzierżawy po rs. 3 kop. 50 rocznie, w następnych dwóch po rs. 4 kop. 16, wreszcie od r. $18^{78}/_{80}$ rs. 7 k. 60, a od r. $188^{1}/_{3}$ rs. 7 kop. 74.

Dochód z pokładnego jest we wszystkich okręgach również nieznaczny, jak i z poprzednich dwóch źródeł. W parafii Radzanowskiéj pozostał się niezmiennym za cały rozpatrywany okres, a miano-

wicie rs. 1 kop. 77½,—w Szreńskiéj tylko rs. 1 kop. 66,—w Kuczborskiéj najmniéj bo kop. 50.

Do kategoryi tychże dochodów należy zaliczyć wykazane w etacie okręgu Kuczborskiego ofiary na pogrzebach w ilości rs. 2 za cały rozbierany okres czasu.

Oto wszystkie dochody, które do rzędu opłat za obrządki religijne należą. Stanowią one, jak widzimy, we wszystkich trzech okręgach kwoty bardzo nieznaczne. Tak bowiem w okręgu Radzanowskim stanowiły one przez cały okres czasu od roku 1863 do r. 1883 w pojedyńczych trzechleciach rs. 11 kop. 67½, wyjąwszy ostatniego za lata 188¹/₃, gdy dochód tego źródła wynosił tylko rs. 7 kop. 77½. Stosunek procentowy opłat do ogólnych dochodów etatowych, przy łącznéj kwocie w ostatnich trzechleciach za lata: 18⁶³/₇₄ rs. 193 k. 50, od r. 1875 do 1880 rs. 234 kop. 32½ i za lata 188¹/₃ rs. 386 kop. 12½, wynosił 6,03%, 4,13% i 2,01%.

W okręgu Szreńskim łączna kwota opłat religijnych wynosiła:

za lata	1863—71	po rs.	39—64	rocznie
„ „	1872—74	„ „	40—91	„
„ „	1875—83	„ „	125—71	„

Ogólny zaś dochód stanowił:

od roku	1863—1871	po rs.	249—64	rocznie
„ „	1872—1874	„ „	349—37½	„
„ „	1875—1877	„ „	449—33½	„
„ „	1878—1880	„ „	262—32	„
„ „	1881—1883	„ „	472—32	„

Stosunek zatém procentowy wynosił:

w latach	1863—71	— 16%
„	1872-74	— 11,7%
„	1875—77	— 28%
„	1878-80	— 47,9%
„	1881—83	— 26,6%

Wreszcie w okręgu Kuczborskim stosunek opłat religijnych do ogółu dochodów tak się przedstawia:

Od roku	1863—71	wynosiły opłaty	po rs.	8—62	rocznie
„ „	1872—77	„ „	„ „	9—28	„
„ „	1878—80	„ „	„ „	16—71	„
„ „	1881—83	„ „	„ „	16—85	„

co przy ogólnym dochodzie:

od roku	1863—71	rs.	188—62	rocznie
„ „	1872—74	„	174—28	„

od roku 1875—77 „ 173—87 rocznie
„ „ 1878—80 „ 184—15 „
„ „ 1881—83 „ 268—94 „

wynosiło w odsetkach:

za czas od roku 1863—71 — 4,5%
„ „ „ „ 1872—74 — 5,3%
„ „ „ „ 1875—77 — 5,2%
„ „ „ „ 1878—80 — 9,1%
„ „ „ „ 1881—83 — 6,3%

Największy stosunek procentowy przedstawia zatém okręg bóżniczy Szreński, co się zresztą łatwo tłómaczy większém zaludnieniem tego miasteczka i stosunkowo znaczniejszą zamożnością mieszkańców. Zdaje się, że nizki stosunek opłat religijnych do ogółu dochodów jest faktem powszechnym we wszystkich małych miasteczkach, a i w większych, do których i Szreńsk należy, nie sięga ona nawet 50%.

Wobec tego, główne źródło, pokrywające wydatki gmin bóżniczych, stanowią obowiązkowe składki, przez parafian uiszczane. Podług punktu 6 cytowanego już przez nas kilkakrotnie cyrkularza z d. 24 kwietnia 1821 r. fundusz, brakujący po odtrąceniu opłat od obrządków, winien być pokryty przez składki. W tym celu dozory bóżnicze obowiązane są spisać wszystkich ojców familij, parafią składających, a następnie podzielić ich na pięć klas, stosownie do majątku, przyczem do klasy piątéj zaliczają się żydzi, ubodzy, żyjący z jałmużny, którzy żadnéj składki gminnéj nie opłacają. Cała potrzebna kwota zostaje rozłożoną na dziesięć części, z których jednę opłaca klasa 4, dwie klasa 3, trzy—druga, a 4 części wnosi klasa 1 t. j. najbogatszych parafian. Pomimo tak postawionego przepisu co do podziału składki między członkami okręgów bóżniczych, cyrkularz kom. wyznań relig. i ośw. publ. z dnia 5 maja 1827 r. (*Przepisy etc. str. 204*) znacznie rozszerzył pod tym względem atrybucye dozorów bóżniczych. Podług brzmienia wymienionego przepisu, dozorom bóżniczym służy prawo dowolnego podziału składek. Komisya uznała za konieczne zastosowanie takiego prawa wówczas, gdyby wobec małéj ilości członków należących do jednéj klasy, składka przypadająca na pojedyńczego parafianina mogła być wyższą niż w klasie starszéj.

Zawsze jednak w każdym poszczególnym wypadku postępowanie dozoru bóżniczego musi być przez rząd gubernialny aprobowaném. W końcu należy jeszcze co do składek nadmienić, iż osoby wyznania mojżeszowego, prowadzące proceder w kilku miejscach, cho-

ciażby ciągłego i stałego zamieszkania w żadném z nich nie miały, powinny być oddzielnie z każdego procederu do opłat, narówni z innemi, w stosunku do dochodów, pociągane.

Zwracając się do trzech naszych okręgów, widzimy, iż w gminie Radzanowskiéj ogólny dochód ze składek za czas od roku 1863 do r. 1874 pozostawał bez zmiany w ilości rs. 181 kop. 82½ rocznie od r. 1875 do r. 1880 rs. 222 kop. 65 i wreszcie od r. 1881—83 rs. 386 kop. 12½. Stosunek składek do ogółu dochodów wynosił:

od roku	1863—1874	— 94%
„ „	1875—1880	— 95%
„ „	1881—1883	— 98%

Od r. 1863 do dnia dzisiejszego roczne składki wzrosły o rs. 204 kop. 30 czyli o 112,2%.

W Szreńskim okręgu suma ogólna składek wynosiła:

od roku	1863—71	po rs.	210	rocznie
„ „	1872—74	„ „	308—46½	rocznie
„ „	1875—77	„ „	323—62½	„
„ „	1878—80	„ „	131—61	„
„ „	1881—83	„ „	346—61	„

Stosunek procentowy stanowił:

od roku	1863—71	— 84%
„ „	1872—74	— 88,3%
„ „	1875—77	— 72%
„ „	1878—80	— 52,1%
„ „	1881—83	— 73,7%

Nagła zniżka składek w ciągu trzechlecia od r. 1878—80 tłumaczy się zmniejszeniem potrzeb, spowodowaném usunięciem rabina. Nowemu jednak rabinowi wyznaczono w następném trzechleciu pensyę o rs. 100 wyższą. Pociągnęło to za sobą nowe podniesienie składek etatowych. Wreszcie w parafii Kuczborskiéj składki wynosiły:

od roku	1863—71	po rs.	180—	rocznie
„ „	1872—74	„ „	165—	„
„ „	1875—77	„ „	164—59	„
„ „	1878—80	„ „	167—44	„
„ „	1881—83	„ „	252— 9	„

Stosunek procentowy do ogółu dochodów wynosił:

od roku	1863—71	— 95,5%
„ „	1872—74	— 94,7%

od roku 1875—77 — 94,8%
„ „ 1878—80 — 90,9%
„ „ 1881—83 — 93,7%

W tym okręgu wzrost składek był nieznaczny, wynosił on bowiem od r. 1863 do r. 1883 rs. 72 kop. 9, czyli 40% albo roczne powiększenie wynosiło zaledwie 2%.

Tak więc składki obowiązkowe stanowią główną rubrykę dochodów parafijalnych. Regulują się zaś one potrzebami gminy a zwiększenie lub zmniejszenie ostatnich odbija się natychmiast na składkach. Obowiązkowość składek bóżniczych stanowi ważny bardzo przywiléj, który dawniéj przysługiwał i gminie rzymsko-katolickiéj, dziś zaś przypada w udziale tylko gminie administracyjnéj. Parafije katolickie pozbawione zostały prawa nakładania składek obowiązkowych w myśl art. 3 Ukazu z d. 14 (26) lipca 1864 r. (*D. P. T. 62, str. 283*). Składki mogą być wnoszone tylko za zgodą parafijan. Jedyny wyjątek stanowią składki uiszczane na zaspokojenie asekuracyi od zabudowań, co jest w związku z obowiązkowém ubezpieczeniem wszystkich bez wyjątku nieruchomości. Ważny przywiléj powyższy daje możność dozorom bóżniczym rozwijać instytucye wyznaniowe; lecz czy postęp jest tu widoczny, zobaczymy niżéj.

Przyjrzawszy się dochodom przejdźmy z kolei do rozbioru wydatków bóżniczych.—Przepisy prawne nie określiły ich ściśle.

Art. 1 post. b. Rady Administracyjnéj z d. 20 marca 1821 roku (*Przepisy etc. str. 149*) orzeka, iż parafije żydowskie winny ponosić wydatki na utrzymanie bóżnicy, szkoły rabina i ubogich parafij; komisya zaś Wyznań Relig. i Ośw. publ. w cyrkularzu swym z d. 24 kwietnia 1821 r. (*Przepisy etc. str. 150*) zaliczyła do powyższych rozchodów jeszcze utrzymanie szpitala dla ubogich i cmentarza. Daléj, w myśl uchwały b. Rady Administracyjnéj z d. 25 listopada (6 grudnia) 1841 r. członkowie okręgów bóżniczych winni się przykładać do utrzymywania szpitali wyznaniowych. Prócz tego okręgi nie posiadające takich szpitali, obowiązane są ponosić koszta kuracyi w tych szpitalach, do których oddają niezamożnych swych współwyznawców. Odpowiednia kwota musi być zamieszczona w projekcie budżetu bóżniczego: gdyby zaś suma etatowa była niedostateczną, nadzwyczajny rozchód winien być pokryty przez nową składkę.

Wysokość wydatków na utrzymanie bóżnicy, rabina, szpitala dla ubogich, cmentarza i t. p., zostaje oznaczoną przez dozór bóżniczy po porozumieniu się z większością członków gminy wyznania mojżeszowego.

Główną rubrykę wydatków stanowi pensya rabina.

W okręgu Radzanowskim pobierał on:

od roku 1863—80 po rs. 100 rocznie
„ „ 1881—83 „ „ 150 „

Stosunek pensyi rabina do ogółu wydatków wynosił w procentach:

od r. 1863 do r. 1874 — 51,7%
„ „ 1875 „ „ 1880 — 42,6%
„ „ 1881 „ „ 1883 — 36%

W okręgu Szreńskim rabin otrzymywał:

do r. 1863 — 71 po Rs. 150 rocznie
„ „ 1872 — 77 „ „ 200 „
„ „ 1881 — 83 „ „ 300 „

Stosunek procentowy do ogółu wydatków wynosił:

od r. 1873 — 71 — 60%
„ „ 1872 — 74 — 60%
„ „ 1875 — 77 — 44,5%

Wreszcie w Kuczborku pensya za cały okres wynosiła rs. 100 z wyjątkiem ostatniego trzechlecia, w którém doszła do rs. 150. Stanowiła ona w porównaniu z całym etatem wydatków.

od r. 1863 — 71 — 53%
„ „ 1872 — 77 — 52%
„ „ 1878 — 80 — 53%
„ „ 1881 — 83 — 55%

A zatém we wszystkich trzech okręgach pensya rabina wynosi prawie połowę ogólnych rozchodów, a nawet przewyższa takowę. Wszystkie zatém inne potrzeby pokrywa druga połowa dochodów.

Przyjrzyjmy się tym potrzebom, w tym celu przytaczamy etaty rozchodów trzech okręgów za czas od roku 1863 do roku 1883.

I. OKRĘG RADZANOWSKI.

Wyszczególnienie rozchodu	1863/5		1866/8		1869/71		1872/74		1875/7		1878/80		1881/3	
	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.
POZYCYA I.														
Na pensye:														
1. Rabinowi	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	150	—
2. Szkolnikowi	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	60	—
3. Urzędnikom rządu gubern.	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½	2	28½
4. Kasyerowi 5% od dochodów	9	67½	9	67½	9	67½	9	67½	11	71½	11	71½	21	20½
5. Pisarzowi dozoru bóżnicz.	—	—	—	—	—	—	—	—	30	—	30	—	30	—
POZYCYA II.														
Na materyały piśmienne:														
6. Na materyały piśmienne dla dozoru bóżnicz.	5	—	5	—	5	—	5	—	5	—	5	—	10	—
7. Na Dz. praw	—	90	—	90	—	90	—	90	—	—	—	—	—	—
8. Abonament wiad. guber.	3	15	3	15	3	15	3	15	3	64	3	64	3	64
POZYCYA III.														
Na podatki:														
9. Na podatki z zabudowań bóżniczych	3	52½	3	52½	3	52½	3	52½	12	72	12	72	12	72
POZYCYA IV.														
Różne wydatki.														
10. Na ogrzewanie bóżnicy	22	69	22	69	22	69	22	69	22	69	22	69	70	—
11. Na leczenie ubogich żydów	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—
POZYCYA V.														
12. Do rozporządzenia rządu gubernialnego	6	27½	6	27½	6	27½	6	27½	6	27½	6	27½	6	27
Łącznie	193	50	193	50	193	50	193	50	234	32½	234	32½	356	12½

II. OKRĘG SZREŃSKI.

Wyszczególnienie rozchodu.	1863/5		1866/8		1869/71		1872/4		1875/7		1878/80		1881/3	
	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.
POZYCYA I.														
Pensye:														
1. Rabinowi	150	—	150	—	150	—	200	—	200	—	—	—	300	—
2. Kasyerowi 5% od dochodów	12	48	12	48	12	48	18	97	23	75	23	75	23	75
3. Dla urzęd. rz. gubernialnego	4	43½	4	43½	4	43½	4	43½	4	43½	4	43½	4	48½
4. Pensya kaznodziei	—	—	—	—	—	—	—	—	90	—	90	—	—	—
POZYCYA II.														
Na materyały piśmienne:														
5. Kasyerowi i dozorowi	10	80	10	80	10	80	10	80	10	80	10	80	10	80
6. Abonament dz. praw.	—	90	—	90	—	90	—	90	—	—	—	—	—	—
7. Abonament wiad. gubern.	3	15	3	15	3	15	3	15	3	15	3	15	3	15
8. Pisarzowi	—	—	—	—	—	—	30	—	30	—	30	—	30	—
POZYCYA III.														
Na podatki:														
9. Składka ogniowa od bóż.	2	55	2	55	2	55	17	72	23	80	36	78½	36	78½
10. Kuracya biednych żydów w szpit. war.	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—	20	—
POZYCYA IV.														
Na ogrzewanie:														
11. Na ogrzewanie bóżnicy	40	—	40	—	40	—	40	—	40	—	40	—	40	—
POZYCYA V.														
12. Do rozporządzenia rządu gubernialnego	5	32½	5	32½	5	32½	3	40	3	40	3	40	3	40
Łącznie	249	64	249	64	249	64	349	32½	449	33½	262	32	472	32

III. OKRĘG KUCZBORSKI.

Wyszczególnienie rozchodu	1863/5		1866/8		1869/71		1872/4		1875/7		1878/80		1881/3	
	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.	Rsr.	k.
POZYCYA I.														
Na pensye:														
1. Rabinowi	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	100	—	150	—
2. Kasyerowi 5% od doch.	9	43	9	43	9	43	8	81	8	81	9	20	13	44
3. Pensya urzęd. rządu gubern.	1	45	1	45	1	45	1	45	1	45	1	45	1	45
POZYCYA II.														
Na podatki:														
4. Składka ogniowa i szarwar.	1	50	1	50	1	50	3	—	3	—	3	—	3	—
5. Lokal na bóż.	16	25	16	25	16	25	—	—	—	—	—	—	30	—
POZYCYA III.														
Wydatki kancelaryjne.														
6. Materyały piś. i blankiety	11	—	11	—	11	—	11	—	11	—	11	—	11	—
7. Abonament dz. praw	4	5	4	5	4	5	4	5	3	64	3	64	4	9
8. Pisarz. dozoru	—	—	—	—	—	—	13	—	13	—	24	—	24	—
9. Najem stróża	10	—	10	—	10	—	—	—	—	—	—	—	—	—
POZYCYA IV.														
10. Kuracya niezamoż. żydów	25	—	25	—	25	—	25	—	25	—	25	—	25	—
11. Do rozp. rządu gubern.	9	94	9	94	9	94	7	97	7	97	6	86	6	96
Łącznie	188	62	188	62	188	62	174	28	173	87	184	15	268	94

Zanim przejdziemy do rozbioru przytoczonych budżetów, należy się od nas kilka uwag co do niektórych pozycyj.

Przedewszystkiém spotykamy w rozchodach 5% od pobranych dochodów na rzecz kasyera. Pierwiastkowo czynności kasowe załatwiał kasyer miejski, za co w myśl cyrk. kom. wyznań z d. 3 stycznia 1827 r. i 3 lutego 1862 r. pobierał wynagrodzenie do wysokości 5% od pobranych istotnie dochodów. Gdy obecnie czynności kasowe mogą być wykonywane przez jednego z dozorców bóżniczych, ostatni ma prawo pobierać powyżéj oznaczone honoraryum.

Co się tyczy zapomogi, udzielanéj rządowi gubernialnemu a także pewnéj sumy na pensye dla urzędników, należy nadmienić, iż do czynności, związanych z okręgami bóżniczemi, oddawna byli ustanowieni w rządach gubernialnych królestwa, osobni urzędnicy, płatni przez same gminy żydowskie. Do r. 1861 coroczny wydatek na utrzymanie tych urzędników wynosił rs. 1635. W r. 1861 z rozporządzenia b. Rady Administr. z d. 11 kwietnia do sumy téj dodano jeszcze rs. 515. Cała ta kwota w ilości rs. 2.150 zostaje zamieszczaną w etacie ministeryum spraw wewnętrznych i figuruje jako dochód na pokrycie wydatków na pensye urzędników spełniających czynności kancelaryjne, odnoszące się do spraw bóżniczych, za wyłączeniem rządów gubernialnych: warszawskiego i kaliskiego (*Felkner str. 560 dochody bóżnicze*).

Przedstawione etaty trzech powyżéj przytoczonych okręgów bóżniczych nie mieszczą w sobie żadnego rozchodu na utrzymanie szkół. Rubryka taka wcale nie istnieje, a szkół żydowskich nie ma ani w Radzanowie, ani w Szreńsku, ani téż w Kuczborku.

Z kolei, dobroczynne cele bardzo słabo są uwzględnione. Jedyna pozycya, którą tu wymienić można, jest kwota przeznaczona na leczenie niezamożnych chorych. W rozchodach okręgu Radzanowskiego figuruje na ten cel sumą rs. 20 co stanowi zaledwie 5,2% ogólnych wydatków tego dozoru. Takaż kwota zamieszczoną jest w budżecie Szreńskim; w tym okręgu stosunek powyższy wynosi zaledwie 4,2%. Najwyższą kwotę z trzech rozbieranych okręgów przeznacza na ten cel dozór kuczborski, a mianowicie rs. 25 co w porównaniu z ogólem rozchodów stanowi 9,3%. Należy zauważyć, że gdy na inne potrzeby wszystkie 3 okręgi podwyższały cyfrę wydatku, pozycya leczenia chorych pozostawała bez zmiany.

Cały budżet rozchodów we wszystkich trzech okręgach odznacza się jednostajnością za cały ten okres czasu. Zwiększenie wydatków dotyczyło tylko pensyi rabina, podatków, ogrzewania bóżnicy. Okręg kuczborski nie ma nawet własnego domu modlitwy, lecz wynajmuje lokal.

Tak więc postępu nie widać tam wcale; co było w r. 1863 to z małemi zmianami pozostało i na r. 1882.

Nie wiemy czy we wszystkich okręgach bóżniczych Królestwa podobne gospodarstwo istnieje; inaczéj można by wątpić o potrzebie tak ważnego przywileju, jakim są składki obowiązkowe. Nie należymy do zwolenników samorządu popierającego dobroczynność wyznaniową, szkoły wyznaniowe, sądzimy jednak, że jeśli on istnieje, należałoby go wyzyskać dla celów ogólnokrajowych. Takiego jednak dążenia powołane okręgi bóżnicze nie wykazują.

Do składu dozorów bóżniczych, jakeśmy to wyżéj nadmienili należą rabini. Ze względu na stanowisko, jakie ci ostatni w osadach zajmują, rozbierzmy prawa, na których się wspiera instytucya rabinatu. Prawodawca przy określaniu warunków pod względem mianowania rabinów cofnął się ogromnie wstecz.

Celem kształcenia rabinów urządzoną była w Warszawie oddzielna szkoła rabinów. Ustawa z dnia 13 października 1857 r. orzekła, iż uczniowie, kończący w niéj kurs specyalny mogli być mianowani na urzędy rabinów i podrabinów, prócz tego postanowiono, że osoby niepobierające nauk w szkole rabinów, a pragnące otrzymać rzeczone obowiązki, powinny w tym zakładzie złożyć przepisany egzamin.

Na téj zasadzie, i zgodnie z wydanemi przez komisyą rządową przepisami kandydaci, wybierani przez gminy żydowskie na rabinów i podrabinów, nie inaczéj mogli być zatwierdzani na tych urzędach jak na podstawie zaświadczenia zwierzchności szkoły rabinów, że złożyli przepisany egzamin i że posiadają odpowiednie wiadomości, z wskazanych ustawą nauk duchownych i świeckich.

Tak było do roku 1862, gdy szkoła rabinów została zamkniętą. W obec tego komisya spraw wewn. i duchownych wydała nowe przepisy w dniu 16 (28) grudnia 1864 r. Podług nich, kandydaci, wybierani zgodnie z przyjętym porządkiem przez gminy żydowskie na rabinów i podrabinów mogą być czasowo przeznaczani do wykonywania tych obowiązków na podstawie świadectwa głównego rabina każdego miasta gubernialnego, przekonywającego o posiadaniu przez nich koniecznych do tego wiadomości duchownych, jak również poświadczenia właściwéj władzy policyjnéj o zasługującém na zaufanie ich postępowaniu pod względem politycznym.

Nie potrzeba bliższych komentarzy, aby już z powyższego przekonać się, iż przy tak skromnych formalnościach żadnéj gwarancyi co do warunków moralnych kandydata być nie może. Rabin miasta gubernialnego nie jest bynajmniéj powagą, mogącą stanowić o wartości intelektualnéj kandydata. Aby zmienić taki stan rzeczy, należałoby potworzyć seminarya rabiniczne, bez ukończenia których nikt nie mógłby obowiązków rabina pełnić. Oto *pium desiderium* w téj mierze, jedyny środek mogący przekształcić instytucyą rabinów i zmienić ją na pożyteczną krzewicielkę oświaty wśród współwyznawców swoich.

Henryk Kohn.

H. SIENKIEWICZ

W LISTACH Z PODRÓŻY

PO AMERYCE I OBRAZKACH AMERYKAŃSKICH.

W miarę ukazywania się utworów Sienkiewicza rosła sława autora, którego krytycy słusznie dziś zaliczają do grona pierwszorzędnych sił literackich. Główną jednak uwagę zwracano i zwracają do dziś dnia na nowelle jego wykazujące ujemne strony społeczeństwa polskiego i instytucyj krajowych (jak np. Humoreski, Szkice węglem, Janko muzykant, Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela i t. p.), co się z łatwością wytłómaczyć daje ogólnym kierunkiem nowszego ruchu na polu literatury i życia społecznego. Ale wyżéj wzmiankowanym nowellom nie ustępują zdaniem naszém i te utwory Sienkiewicza, co się pod inne kategorye podciągnąć dają, a z pośród których szczegółowo postaramy się rozebrać listy z podróży po Ameryce i śliczne obrazki, które natchnęła autorowi naszemu wspaniała przyroda Nowego świata.

Listy z podróży stosownie do całkowicie odmiennych wrażeń, jakie odbierał autor, mogą być podzielone na dwie odrębne części. Pierwsza opisuje przejazd przez Niemcy i Anglią, przeprawę Oceanem do Nowego świata, New-York i społeczeństwo amerykańskie (w VI rozdziale, II tomu); tu autor pozostaje w ciągłéj styczności ze światem i z ludźmi cywilizowanymi. Druga zaś część (począwszy od VII rozdziału w II tomie, a także IV, V „koleją dwóch oceanów“) nosi widoczny ślad ogromnego wrażenia, jakie wywarły na umyśle podróżnika cudna dziewicza przyroda i zupełnie nowi ludzie tak odmienni od tych, których przedtem spotykał.

W pierwszéj części mamy przed sobą turystę dowcipnego, poetycznego, a jednocześnie pilnie badającego otaczający go świat i lu-

dzi,— humor przeplatany poetycznémi opisami przeważa w listach opisujących Niemcy, Anglią i przeprawę oceanem, uważna i sumienna krytyka w listach z Ameryki. Ale ani te ani drugie bliżéj zająć nas nie mogą, gdyż rozbiór ich musiałby polegać głównie na ocenieniu, o ile autor wiernie i trafnie zdał nam sprawę z tego co widział, ponieważ zaś rozpatrywać je zamierzamy nie z tego stanowiska, możemy więc przejść wprost do części drugiéj.

Tu przedstawia się oczom świat zupełnie nowy: zniknęły miasta, rojące się w nich tłumy ludzi, dymy fabryk, a natomiast stepy bez końca, dziewicze lasy i ludzie, ale niepodobni do cywilizowanych swych współbraci. Nie przestaje pomimo to autor opisywać przygód nastręczających się z właściwym sobie humorem i życiem; ładny daje nam obraz polowania w dzikich tych puszczach, porównywa Meksykanów z Yankesami, wiele téż mówi o stosunku Indyan do białych, ale po nad tém wszystkiém góruje wzniosłe, poetyczne, a jednocześnie tęskne uczucie, które wzbudził w duszy jego widok cudnéj, a ręką ludzką nietkniętéj przyrody; zmęczył go świat cywilizowany i wszystkie jego niedostatki i krzyżujące się nieustannie i powikłane stosunki ludzkie i wynikająca ztąd drobiazgowość życia powszedniego, które prowadzi za sobą, jako nieodzowny wynik, stopniowe zapominanie wszelkich wznioślejszych celów. Z radością oddala się on na łono przyrody, pragnie zapomnieć o własném „ja," a rozpłynąć się we wszechistnieniu. Jedném słowem charakterystyczną cechą téj części listów, tęsknota do zlania się z naturą. Daléj, gdy podróżnik nasz przebył Detroit, Chicago, rzekę Missisipi, Stan Jowa, roztoczyły się przed nim olbrzymie stepy Nebraski; tu głęboko wrażają się w pamięć czytelnika trzy stroniczki, natchnione majestatyczną ciszą stepów pogrążonych we śnie zimowym. Oto ustępy:

„Lubimy naprzykład morza, stepy, a jednak, według zwyczajnych prawideł estetyki, kładących spokojną harmonią, jako pierwszą zasadę piękności, nie masz w nich nic estetycznego. Cóż bowiem jest w téj bezbrzeżnéj równinie stepowéj? Nic. Pustka tylko. Szara dal zlewa się z niebem na krańcu widnokręgu — milczenie w około: głusza, śmierć prawie. A jednak step nęci i wabi. Chciałbyś siąść na koń i puścić się nim, i gonić i gonić; chciałbyś ot wykąpać się w nieskończoności i rozłożyć ręce na koniu i krzyczéć: hej! hej stepy! i zapamiętać się w nich i obłąkać i żyć.

„Czemże wytłómaczyć ten niepojęty urok? Oto właśnie dlatego, że tam tak pusto i bezbrzeżnie i nieskończenie, że tam wszystko jest tylko wszystkiem, że tam jednostkowe odrębne objawy życia nikną, że tam tylko *jedna, wielka dusza:* dlatego step tak nęci i pociąga.

Jestto niby odbrzask nirwany i wszech życia, a tęsknota za niem leży w ludzkiéj duszy.“

Poetyczne ustępy, tu i owdzie rozsiane w dwóch tych rozdziałach (IV i V), stają się coraz częstszémi w opisaniu pobytu w Anoheimskiéj dolinie, u skwatera Horrysona i przeprawy morskiéj z Los Angelos do San Francisco. Listy te jednak nie są nieprzerwanym hymnem w cześć Matki-Natury, bo w takim razie straciłyby cechę listów,—rozumny podróżnik powinien zastanawiać się i zdawać sprawę ze wszystkiego co widzi, obrazy zaś przyrody, chociażby najpiękniejsze, zraziłyby ostatecznie czytelnika swą jednostajnością, tymczasem urozmaicone opisami przygód i poglądami autora, większe wywołują wrażenie i dłużéj pozostają w pamięci, témbardziéj gdy je skreśla mistrzowskie pióro Sienkiewicza. W każdym razie po przeczytaniu téj części listów wyznać musimy, że przenika je nawskróś panteistyczne uczucie tęsknoty do natury, płynące ze zniechęcenia do ujemnych stron cywilizacyi.

„Czasem siadałem w małą łódź—powiada autor— i płynąłem do poblizkich ławic piaszczystych, odległych zaledwie o kilkaset stóp od brzegu. Tam siadłszy na piasku, wsłuchiwałem się w to życie ptasie, gwarne, wesołe i swobodne. Tysiące mew siedziało na jajach, inne kwiląc krążyły nad wodami: pelikany siadały tuż koło mnie, i pozakładawszy głowy na grzbiety, przypatrywały się filozoficznie wszystkiemu, jakby zastanawiając się nad porządkiem świata; wielkie kulony morskie brodziły po brzegach i zmykając kłusem przed nadchodzącą falą, zdawały się znów ją gonić, gdy wstępowała na głębiny: wszystko jednak przedewszystkiém szukało żeru: jeść, podtrzymać życie; jeść i jeść; oto jedyna praca i jedyna troska bezwiedna tego świata. Gdy się w to wpatrzysz, a wsłuchasz, wydaje ci się, że ta walka o istnienie, że ta staranność w podtrzymywaniu życia, ta dziwna energia niema w sobie nic indywidualnego: że to objaw jakiejś ogólnéj zasady, świadoméj siebie, czy nieświadoméj, ale stanowiącéj istotę wszech-życia.

„I znowu popadałem w ów panteizm, który tysiące lat temu śnił się już ludziom nad brzegami Gangesu, na górach Iranu i nad błękitnemi falami Archipelagu. Zdawało mi się, że ten świat ptaków i moje żółte wyspy piaszczyste i fale płynące z gwarem i łkaniem z niezmiernych przestrzeni, i wiatr, który porusza głupie, tłuste roślinki, rosnące na słonym gruncie: że to wszystko ma tylko jednę wielką duszę, że to jeden wielki Zews grecki, któremu podobało się wziąć na się szatę, zwaną przez nas światem zjawisk.“

Pomimo panteistycznych tych zachwytów, autor „całą duszą wyrywa się nieraz do Warszawy, między te stosunki literackie, wal-

ki prądów, myśli i osobistości nawet," — tęsknota ta wzmogła się po otrzymaniu pism warszawskich od Horaina. „Bywały chwile—powiada — w których myślałem, że mi to wszystko zbrzydło, w których czułem się zmęczony i utęskniony za naturą, ale teraz znów dawny nałóg odzywał się z niepojętą siłą."

W dalszych rozdziałach listów, w nowellach „Przez stepy" i „Orso" uczucia te, jak obaczymy niżéj, coraz mniéj znaczne, natomiast goni autor coraz więcéj za odpoczynkiem na łonie natury niepokalanéj jeszcze i wśród ludzi natury z charakterem odpowiednim olbrzymiemu otoczeniu warunkom, wśród których żyją. Widok ich zaciera przykre wrażenie, wstręt niemal, jaki budzą tak dalekie od naturalnéj prostoty stosunki towarzyskie w sferach cywilizowanych.

Pytamy teraz siebie skąd w duszy współczesnego pisarza te panteistyczne marzenia, ta chęć zapomnienia o własném istnieniu, a zlania się ze wszechbytem, to niezadowolenie ze świata, to szukanie idealnych ludzi na łonie natury, jedném słowem wszystkie te cechy, przypominające nam to pesymizm nowoczesnéj filozofii, to znów wzniosły sentymentalizm Roussa lub Schillera, lub idyllików wszystkich czasów i narodów, począwszy od Teokryta?

Odpowiedź znajdziemy, jeśli zdamy sobie sprawę z nastroju umysłowego w jakim znajdowała się inteligencya w chwili, gdy Sienkiéwicz i kraj i świat stary opuszczał.

Po roku 1830 nastąpił wielki zwrot w literaturze: cierpienia narodu rozegzaltowały do najwyższego stopnia uczucia patryotyczne, pod wpływem których wieszcze nasi zapominając o ciemnych stronach narodu, a widząc wszystko w świetle promieni własnego spotęgowanego uczucia, stworzyli ideały szczytne, porywające, ale niestety niemożliwe przynajmniéj przy obecnych warunkach, a fałszywie pojęte przez współczesnych i dziś nawet mało rozumiane. Temu przypisać należy późniejszy chorobliwy rozrost poezyi na gruncie naszym płaczącéj, rozmarzonéj, z przekleństwem na świat i ludzi, a nieumiejącéj współczuć nowym pragnieniom i dążnościom.

Reakcya musiała nastąpić. Zwrócono się ku rzeczywistości, literatura przeniosła się z nadgwiazdnych krain do prozy życia powszedniego, zaczęto badać i poddawać krytyce wszystkie objawy życia społecznego i z nieubłaganą surowością wytykano błędy narodu, a w pracy téj równy brali udział konserwatyści (naprz. stańczycy) i postępowcy, klerykali i indyferenci, arystokraci i demokraci. Lecz przesada w jednym kierunku wywołuje drugą w kierunku przeciwległym; jeżeli nie rachujące się z rzeczywistością bujania po napowietrznych sferach rodzą usposobienie ku marzeniom, a wskutek tego niedołęztwo albo zgubny kierunek w działalności na polu prak-

tycznem, to z drugiéj znów strony, przy coraz głębszém zastanawianiu się i wnikaniu we wszystkie najdrobniejsze nawet fakta życia narodu w przeszłości i teraźniejszości, odkrywamy w nim coraz nowe ujemne strony; wady i niedostatki rosną w oczach naszych do olbrzymich rozmiarów, a maleją cnoty, wszystko zaś to z łatwością zpowodować może pewien pesymistyczny nastrój umysłu. Oto główna zła strona dzisiejszego kierunku, a skutki tego widzimy już w zasadach głoszonych przez stronnictwo zachowawcze czyli tak zwanych Stańczyków: polityka oparta na niedowierzaniu własnym siłom, wyczekująca niemal wszystkiego od rządów. Więcéj wprawdzie wiary w naród mają postępowcy, szukając zbawienia w rozpowszechnieniu i przyjęciu się zasad filozofii pozytywnéj; lecz i tu umysły płytkie, serca oschłe, wyobraźnie nieokiełznane pędzą ku krańcowéj i szkodliwéj jednostronności. Prawdziwy, dobrze zrozumiany pozytywizm nie lekceważy żadnych objawów, jakie życie z sobą przynosi (przekonanie to wygłaszali nieraz i u nas wyznawcy jego), nie potępia więc i strony uczuciowéj w naturze człowieka, oddając całą słuszność gorącym pragnieniom serca. Że jednak niektóre przedmioty tych pragnień — Bóg, nieśmiertelność — jako niepodlegające zmysłom, wykluczone z zakresu badań pozytywnych i pokryte bardzo naturalném milczeniem; stąd młode a lotne umysły w nagłém przejściu od ślepéj wiary do rezonującéj tylko niewiary, zaczynają lekkomyślnie pomiatać wszystkiémi szczytnémi porywami ducha ku niedostępnym dla zmysłów sferom, stając rezolutnie pod sztandarem „ścisłych badań eksperymentalnych,“ w których nader często nie zagłębiają się wcale.

Wszystko to miało miejsce u nas, fałszywemu temu i jednostronnemu pozytywizmowi, zadawalniającemu jedynie wymagania rezonującego rozsądku przypisać należy ów brak zapału, ową oschłość prowadzącą ostatecznie do egoizmu, właściwe znacznej części dzisiejszéj, hołdującéj jakoby pozytywizmowi, młodzieży, gdy tymczasem od smutnych cech tych dalecy byli pierwsi apostołowie nowego kierunku na niwie naszej, tak dla nas sympatyczni zapałem, z jakim walczyli w imię zasad swoich.

Tak się przedstawia nam obecny stan literatury i umysłowości naszéj, nie może on zadość uczynić wymaganiom umysłu poetycznego nie mogącego zadowolnić się jedną negacyą, ale szukającego dodatnich ideałów. Lecz gdzie znaleźć? Nie wśród własnego narodu, bo on sobą nie rządzi a oprócz tego nieubłagana krytyka zerwała z niego zasłonę niewinnego męczennika za ludzkość całą, którą się lubił przykrywać i (niestety) zburzyła wiarę w złote marzenia Mickiewicza i Krasińskiego,—nie w Europie, gdyż zbyt małoznaczne

zachodzą różnice między umysłowym jéj stanem a usposobieniem autora. Uchodzi więc poeta na stepy amerykańskie, tam szuka wypocznienia, upaja się cudami i wdziękami ich i błogą znajduje pociechę w obcowaniu z ludźmi natury.

Z tego stanowiska zapatrywać się należy na rozbierane utwory Sienkiewicza.

Lecz niedokończyliśmy rozbioru listów, — widzieliśmy jakie uczucia wzbudziła w duszy autora amerykańska przyroda i napomknęliśmy, że w otoczeniu jéj szukał idealnych ludzi,—znalazł takiego w osobie skwatera Harrysona; rozdziały, w których Sienkiewicz opisuje swój pobyt u niego, należą niezaprzeczenie do najładniejszych w listach.

Podług prawa amerykańskiego, każdy obywatel Stanów Zjednoczonych może zająć 160 kw. akrów ziemi na niezaludnionych zachodnich obszarach, z warunkiem wypłacenia rządowi w przeciągu lat 10 po 1 ½ dolara za akr. Tacy dobrowolni pustelnicy, osiedlający się tam z zamiarem obrobienia ziemi, zwą się skwaterami. Jednak pomimo tak dogodnych warunków, urodzajności gleby i zdrowego klimatu jest bardzo niewielu skwaterów, gdyż życie ich połączone z ogromnemi niebezpieczeństwami wymaga nadzwyczajnéj siły fizycznéj i hartu (duszy). Skwater ma zaciętych wrogów w saméj naturze i we włóczących się po puszczach awanturnikach i Indyanach. Sienkiewicz wymowny dał obraz z jak niesłychanemi trudnościami walczyć musi osadnik, nim wybuduje sobie chatę, bo choć drzewa nie brak „ale jak tu się i wziąć do niego, gdy canion szumi jedną puszczą stuletnich drzew o pniach na kilka stóp średnicy i o szczytach zagubionych gdzieś w chmurach“ itp. Co zaś do traperów, wokerosów i Indyan, z którymi ustawicznie się styka skwater, to żadne przepisy regulujące stosunki ludzkie nie dosięgają tych pustyń, a istnieje jedno straszliwe prawo *lynchu*. Podwójną walkę tę z naturą i ludźmi nie każdy wytrzyma, padają téż słabsi, „możnaby rzec, powiada autor, że cywilizacya wysyła swoich atletów, aby torowali jéj drogę na puszczy.“ Do rzędu atletów tych należy Dżon Harryson, przechodził on różne koleje, był farmerem, walczył w szeregach armii południowéj, zbankrutowawszy potém na fermie, udał się z żoną i resztkami mienia na Texas, lecz w drodze żona umarła, Meksykanie napadli i zabrali wszystko, on zaś został sam na stepie, przyłączywszy się potém do skwaterów i przeszedłszy zwycięzko wszystkie początkowe trudności ich zawodu, znalazł nareszcie wypocznienie w samotném siedlisku swojém i w twardéj, regularnéj i jednostajnéj pracy: „Jakkolwiek wykształcony na wzór innych amerykanów nie był jednakże z książkami obyty.“ „Ten prosty człowiek nie zapła-

dniał sam siebie filozoficzną czczością i nie rozumował. Rankiem brał siekierę i szedł w puszczę, potém z karabinem czołgał się w górzystych gardzielach, potém gotował strawę, opatrywał dobytek; nie miał może samowiedzy swego spokoju, ale owe codzienne sprawy jego żywota wydawały mu się dość ważnemi, aby warto było dla nich żyć. W ten sposób płynął mu dzień za dniem. Był to człowiek trzeźwy, jak wszyscy amerykanie, jak wrzeszcie wszyscy ludzie należący do ras nieprzeżytych. Samo życie mu wystarczyło, refleksye życiowe w głowie mu nie powstały. Pod jednym tylko względem samotność wycisnęła nań filozoficzną pieczątkę: oto niewiele sobie cenił pieniądze."

„Był jednak trochę posępny i małomówny. Taka małomówność w człowieku ze świata oznaczałaby zły i nieprzyjemny humor, ale u Harrysona było to tylko przyzwyczajenie, wynikłe z życia samotnego. Zmienność usposobienia bywa zwyczajnie wpływem rozdrażnionych nerwów i niestałego zdrowia, a skwaterowie nie znają co to nerwy, zdrowi zaś są jak dęby. Przytém ogólna, wrodzona amerykańskiemu ludowi, męzkość charakteru i zupełny brak drobiazgowości wyłącza w skwaterach dręczenie się błahostkami i poruszanie sobie żółci za lada powodem."

„Drugą cechą skwatera, wspólną samotnikom, była jego pobożność."

Zebrane wyciągi dają dokładny obraz skwatera. Wyżéj, w ustępach opisujących społeczeństwo stanów wschodnich i środkowych, podróżnik nasz szczególną zwracał uwagę na dodatnie jego strony, a mianowicie na demokratyzm cechujący obyczaje i instytucye jego, ale teraz urok, jaki wywierał nań skwater, potrafił nawet zatrzéć poprzednie wrażenia, gdyż i amerykańskie społeczeństwo, aczkolwiek chlubnie wyróżniające się pod wielu względami od europejskiego, zanadto w ustroju swym przypominało autorowi znienawidzony stary świat i jego stosunki.

Inne ustępy świadczą, jakiéj rozkoszy doznawał turysta w obcowaniu z mężem tak niepospolitego hartu duszy i energii, jak pragną wlać trochę ducha tego we własny naród. „O trudno mi nawet wypowiedzieć, woła on, jaki to młody, orli i jak pełen kipiących sił wewnętrznych jest naród—i jakbym chętnie przysłał tu po zdrowie pewne znajome mi społeczeństwo, w którém dobro społeczne jest zdawkową monetą... bez kursu, w którém wszystko zmalało, energia i praca jest frazesem, mężczyzni chorują na nerwy i bezkrwistość, a za to szermują językami, przędą i noszą swoim damom świeżo wyszłe z pieca plugawéj opinii plotki." Kontrast rzeczywiście smutny, owo „znajome społeczeństwo" schorzałe, bezduszne, bez wiary we własną

przyszłość i ów orli naród z zadaniem wielkiém, z przyszłością świetną i rwący się do niéj pełen ufności w siły swoje.

Nowe życie uzdrawia autora, cierpiącego i nad sobą i nad nizkim poziomem moralnym społeczeństwa, wśród którego żył i działał dotąd: Pisze tedy: „Zaczynało się też istotnie dla mnie życie nowe, w którém z czasem rozmiłowałem się do tego stopnia, że jeśli przyjdzie mi później zamienić je na inne, uczynię to ze smutkiem i z niechęcią" lub: „jakaś nieprzezwyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie samemu zdawała się urojeniem i jakby snem jakimś, a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkiém po życiu w mieście i niby początkiem drugiéj młodości zanim minęła pierwsza."

To cośmy powiedzieli, dostatecznie charakteryzuje „listy": z rozkoszą przenosiliśmy się myślą w dziewicze puszcze Ameryki i odtworzyliśmy przed sobą piękną postać Dżaka, lecz zadowolnić nas w zupełności to nie mogło. Choć czujemy o ile przewyższa nas Dżak pod względem energii, męzkości i wytrwałości w wypełnieniu powziętych zamiarów, jednak, co do rozwoju umysłowego, nie może on iść z nami w porównanie. Brak ten zapełnił autor w prześlicznym szkicu „Przez stepy". Bohater obrazku tego, kapitan R. stoi z nami na równi pod względem wykształcenia umysłu i serca, żyjąc zaś w takiém mniéj więcéj otoczeniu i warunkach jak Dżak, nabrał równéj z nim energii woli, straciwszy wszelkie ślady zniewieściałości właściwéj ludziom wychowanym w sferach cywilizowanych. Zauważmy jeszcze, że widzimy go w najpiękniejszéj chwili życia człowieka, gdy wszechświat cały brzmi mu cudnym hymnem miłości, gdy zaspokojoną została zrośnięta z duszą wieczna tęsknota do Boga i gdy spotęgowane uczucie, przeniknąwszy nawskróś istotę jego, napełnia go nieznaném wprzódy pragnieniem i siłą do wypełnienia wymarzonych ideałów,—jedném słowem widzimy go w chwili, gdy się zakochał.

Streścimy śliczną nowellę tę i przekonamy się że mamy w niéj obraz rozwoju uczucia miłości pełny i wykończony pod względem artystycznym i psychologicznym: Często wyrażać się będziemy słowami autora, które najlepiéj rzecz oddadzą

Kapitan R. przybył do Ameryki w r. 1849 i rozpoczął w Luizyanie życie leśne, które zahartowało powoli jego siły; pomyślne walki i zajścia z Indyanami i Piratami na Missisipi rozniosły szeroko sławę jego, wskutek czego jedna z partyi emigrantów, udających się do Kalifornii wezwała go na dowódcę. Obowiązkowi temu nader było trudno podołać „ale—powiada kapitan—wytrwania i zachęty dodawała mi pewna para niebieskich oczu, spoglądająca na mnie z pod płóciennego da-

chu wozu ze szczególném zajęciem. Oczy te patrzące z pod czoła, ocienionego bujnym złotym włosem, należały do młodéj dziewczyny imieniem Lilian Moriss rodem z Massachuset z Bostonu. Była to istota delikatna, wiotka, o rysach drobnych i twarzy smutnéj pomimo iż prawie dziecinnéj." Przez pierwsze tygodnie stosunki ich ograniczały się na codziennych wymianach „good morning," potém litując się nad osamotnieniem biednéj dziewczynki, nie mającéj innego towarzystwa jak ciotki Attkius i Grosskenore, oddał jéj kilka małych usług i nieznaczne zrazu uczucie poczęło rosnąć gdy Rolf zauważył, że błękitne oczy przyjaciółki zwracały się nań ze szczególném zajęciem i sympatyą. Zresztą zobopólna ta sympatya była łatwa do wytłómaczenia, gdyż Rolfowi i Lilian, jednym w całym taborze, nie była obcą ogłada towarzyska. Ale „z początku, mówi bohater nasz, wyobraźnia moja więcéj była zajęta, niż serce, jednak myśl, że wśród tych obcych ludzi nie jestem zupełnie obcym, ale mam jednak maleńką duszę sympatyczną, zajmującą się mną trochę, lubéj dodała mi otuchy. Może to już i nie pochodziło z próżności, lecz z téj potrzeby, którą na ziemi człowiek czuje, aby nie rozpraszać myśli i serca na tak nieokreślone i ogólne przedmioty, jakiemi są lasy tylko i stepy, ale, aby te skupić na jednę żywą kochaną istotę i, *zamiast gubić się w jakichś oddaleniach i nieskończonościach, odnaléźć samego siebie w sercu blizkiém.*"

W tém właśnie Rolf stanowczo przewyższa Dżaka, podobne myśli nie przyszłyby ostatniemu nigdy do głowy, widok stepów nie budził w nim takich uczuć, a co do miłości, to nie wzniosłby się on nigdy do uznania w niéj duchowéj konieczności odnalezienia siebie samego tj. ideałów swoich w podobnéj istocie.

Daléj ślicznie opisuje poeta pierwsze oznaki miłości,—Rolf począł widziéć naturę w nowém, a nieznaném świetle: „Uczułem się tedy mniéj samotny i cała podróż nowych, nieznanych dotąd nabrała dla mnie powabów. Dawniéj, gdy karawana rozciągała się tak, jak wspomniałem, po stepie, iż ostatnie zaprzęgi nikły z oczu, widziałem w tém tylko brak ostrożności i nieporządek, za który gniewałem się mocno. Teraz, gdym zatrzymał się na jakiéj wyniosłości, widok tych wozów białych i pasiastych, oświetlonych słońcém i nurtujących nakształt okrętów w morzu traw, widok konnych i zbrojnych ludzi, rozrzuconych w malowniczym nieładzie obok pociągów napełniał duszę moję zachwytem i błogością. I nie wiem, zkąd mi się brały takie porównania, ale zdawało mi się, że to jakiś tabor biblijny, który ja, jakby patryarcha, wiodę do ziemi obiecanéj. Dzwonki na uprzężach mułów i śpiewne: *get ap!* woźniców wtórowały wtedy, jakby muzyka, myślom moim pobudzonym przez serce i przyrodzenie."

„Ta dziewczyna z jasnémi włosami i słodkiém spojrzeniem ciągnęła mnie ku sobie z nieprzepartą jakąś siłą. Począłem o niéj myśléć po całych dniach, a nawet nocą, gdy, zmęczony objazdem straży i ochrypły od nawoływań: *All's right!* wszedłem wreszcie na wóz i owinąwszy się skórą bawolą zamykałem oczy aby zasnąć“—„zdawało mi się, że owe komary i moskiety, brzęczące koło mnie, śpiewają mi bez ustanku do ucha imię: Lilian, Lilian!“ Prócz tego ogarnęła go dziwna nieśmiałość, a jednak nie zdawał sobie sprawy z uczucia, aż wypadek otworzył mu nareszcie oczy. Wypadkiem tym była pierwsza nieco poufniejsza i dłuższa rozmowa jego z Lilian, w któréj przychylna jéj wzianka o Henry Simpson zadrasnęła żywo kapitana, a gdy wskutek jego gniewnéj i przykréj odpowiedzi łzy pokazały się w oczach Lilian, to tak go serce ścisnęło, że, chwyciwszy jéj rękę począł żywo przepraszać, aż się dziewczynka uspokoiła. „Jakieś tkliwe uczucie opanowało mi serce. Szliśmy teraz znowu w milczeniu, ale było nam koło siebie dobrze i słodko. Tymczasem dzień schylił się ku wieczorowi; pogoda była śliczną, a w zmroczonėm już trochę powietrzu tyle światła, że i cały step, i dalekie kępy drzew bawełnianych, i wozy w naszym taborze i sznury dzikich gęsi, ciągnące na północ po niebie wydawały się złote i różowe. Najmniejszy wiatr nie poruszał traw; zdaleka dochodził nas szum wodospadów, jakie w tém miejscu tworzyła rzeka Cedar, i rżenie koni ze strony obozu. Ten wieczór taki uroczy, ta kraina dziewicza i obecność przy mnie Lilian, wszystko to tak nastroiło mnie jakoś, że prawie dusza chciała wylecieć ze mnie i lecieć gdzieś aż do nieba. Myślałem sobie, że byłem jakby dzwon rozkołysany.“

Wieczorem z powodu pięknéj pogody ludzie postanowili wyprawić sobie piknik; śliczny następuje obraz tańców murzyńskich, po których zaczęto głośno domagać się od dowódcy speach'u. „W jednéj chwili wrzawa i odgłosy muzyki ucichły; ja zaś musiałem puścić ramię Lilian i wlazłszy na kozioł wozu zwróciłem się do obecnych. Gdym spojrzał z wysokości na te postacie oświetlone płomieniem ognisk, rosłe, barczyste, brodate z nożami za pasem i w kapeluszach z poobdzieranemi kaniami, zdawało mi się, że jestem na jakowemś teatrum, lub że zostałem dowódcą rozbójników. Ale były to poczciwe dzielne serca choć surowe; życie niejednego z tych ludzi było może burzliwe i wpółdzikie; tu jednak stanowiliśmy jakby świat maleńki od reszty społeczności oderwany i w sobie zawarty, na wspólne przeznaczony losy i wspólném niebezpieczeństwem zagrożony. Tu ramię musiało wspierać ramię, jeden czuł się drugiemu bratem, a one bezdroża i pustynie bez końca, którémi byliśmy otoczeni, nakazały owym hartownym górnikom miłować się wzajemnie. Wi-

dok Lilian, biednéj, bezbronnéj dziewczyny, spokojnéj wśród nich i bezpiecznéj, jak gdyby pod rodzicielskim dachem, napędził mi te myśli do głowy, więc wypowiedziałem wszystko tak jako właśnie czułem i jak przystało na żołnierza dowódcę, a zarazem brata wędrowców. Co chwila przerywali mi okrzykami: „hurra for Pole, hurra for captain, hurra for Big Rolf"—i klaskaniem w ręce; a co mnie już uszczęśliwiło najwięcéj, to gdym zobaczył między seciną tych ogorzałych potężnych dłoni, jednę parę malutkich rączek różowych od blasku ognia i latających, jakby para białych gołąbków. Wtedy naraz uczułem, że co mi tam pustynia, i dzikie zwierzęta, i Indyanie, i „outlowy", krzyknąłem więc z zapałem wielkim, że: „dam sobie ze wszystkimi radę; pobiję kto mi w drogę wlezie i poprowadzę tabor choćby na koniec świata—i niech Bóg potępi moję prawą rękę, jeśli to nie jest prawda."

Niepodobna opisać śliczniéj najpiękniejszy objaw świadomego już siebie uczucia miłości—wiarę we własne siły i energią do czynu,—ale poeta nie zakończył tém rozdziału, następują coraz ładniejsze ustępy malujące wszystkie przeobrażenia jakim ulega dusza, gdy opanowuje ją coraz głębiéj i silniéj rozkoszne a święte uczucie. Daléj jeszcze mamy opis najszczęśliwszych chwil w życiu bohaterów naszego obrazku,—gdy oboje kochali się nie tając już przed sobą uczuć swoich. Streścić stronic tych niepodobna, gdyż najdokładniejsze streszczenie nie potrafi oddać tego, co skreśliło pióro poety,—zresztą czytelnik sam stokroć lepiéj odczuje wszystkie piękności, niż krytyk zdoła to wyrazić: „Wieczorami idzie Ralf na odpoczynek z myślą, że jutro obaczy Lilian i codzień szczęśliwszy, codzień więcéj rozkochany. Dzień za dniem mknął tak szybko, że się zdawało mu, iż ranek stykał się wieczorem, jak dwa ogniwa w łańcuchu, uczył on Lilian czytać w wielkiéj księdze natury, razem odbywali konne przejażdżki po kwiecistych stepach, nauczył ją po polsku wyrazu „dzień dobry" i „gdym ją słyszał wymawiającą w miłym duszy dźwięku to słowo, wydawała mi się jeszcze droższą, a wspomnienia kraju, rodziny i lat ubiegłych, i tego co było, i tego co przeszło, przelatywały właśnie jakoby nowy ocean, pustynię,—i nieraz chciało mi się ryknąć, ale żem się wstydził, więc tylko powiekami trzymałem łzy, co miały się wylać. Ona zaś, widząc, że mimo łez całe się serce we mnie rozpływa, powtarzała, jakoby szpaczek wyuczony: „dzień dobry, dzień dobry:" I jakże tu nie miałem kochać nad wszystko tego mojego szpaczka."

Prawdziwie upajające obrazy te znajdują zakończenie w scenie u jeziora, w zaroślach, gdzie Ralf pojmuje Lilian za żonę. „Lilian!—mówiłem daléj—moja jedyna, moja wybrana, moja żono! Gdym wy-

mówił to ostatnie słowo, dreszcz przebiegł ją od stóp do głowy, i nagle ręce, jakby w gorączce z jakąś niezwykłą siłą zarzuciła mi na szyję, powtarzając:—My dear, my dear, my husband! a potém wszystko znikło mi z oczu i zdawało mi się, że cała kula ziemska leci gdzieś z nami.....“ Wieczorem wziąwszy Lilian za rękę, stanął z nią wśród obozu i objawił zebranym towarzyszom, że bierze ją za żonę. „Od téj chwili byliśmy zaślubieni, odtąd to nie była moja kochanka, ale prawowita żona. I dobrze nam było obojgu z tą myślą — i dobrze mnie, bo w sercu zbudziło mi się nowe uczucie jakiéjś czci świętéj dla Lilian i dla siebie samego, jakiejś zacności i powagi wielkiéj, przez którą miłość wyszlachetniała i stała się błogosławioną.“

Śledziliśmy cały rozwój uczucia w duszy Ralfa, widzieliśmy pierwsze jego zaczątki, widzieliśmy, jak wzrastając powoli, zmieniało stopniowo usposobienie jego i jak coraz wznioślej i poetyczniéj nastrajało go, jak wskutek wypadku przeszło nareszcie w świadomość i jak się odrazu przebudził w duszy Ralfa jakiś zapał i nieznana jakaś siła, płynące ze szczęścia wewnętrznego po odszukaniu upragnionego ideału, odczuliśmy z bohaterem naszym całą rozkosz jego i byliśmy świadkami jego iście rycerskiéj miłości, którą tak szczytnie pojmował. Potwierdza się więc wyżéj wyrzeczone zdanie, że, nie mówiąc o artystycznych zaletach powieści, mamy w niéj doskonały psychologiczny obraz rozwoju uczucia miłości, tembardziéj że charaktery bohaterów dopełniają się wzajemnie: z jednéj strony odwaga, męztwo i energia, z drugiéj bezgraniczna tkliwość i czułość, a u obydwóch równa szlachetność, wzniosłość umysłów.

Miłość pojęta w najświętszém znaczeniu wyrazu, jak już przekonaliśmy się z uczuć jakie ogarnęły Ralfa po spełnionym ślubie; zresztą świadczą o tém i inne ustępy. Lilian „raz położywszy swój biedny paluszek na biblią, którą czytywała codziennie, rzekła smutno:—Czytaj Ralf! — Spojrzałem, i mnie również dziwne jakieś uczucie ścisnęło za serce, gdym wyczytał „kto zmienił prawdę Boga na kłamstwo i uczcił, i służył stworzeniu więcéj niż Stwórcy, który jest błogosławiony na wieki.“ Ona zaś rzekła, gdym skończył: — Ale jeśli Bóg gniewa się za to, to wiem, że będzie tak dobry i mnie tylko ukarze. Uspokoiłem ją, powiedziawszy, że kochanie, to jest poprostu anioł, który z dwóch dusz ludzkich leci aż do Boga i chwałę Mu z ziemi przynosi.“ Potém, gdy choroba poczęła grasować po obozie, Lilian narażając zdrowie, uparła się pilnować chorych. „Ja, słaby człowiek, drżałem o nią duszą całą, alem jéj przecie nie mógł zabronić być chrześcianką.“

Z całéj powieści wieje jakiś przedziwny, że tak powiem, spokój idealny, smutno i tęskno Ralfowi żyć jednemu, wymarzył on sobie

i ukołysał ideały, lecz trudno zaspokoić duszę jedną myślą o nich, trudno zadowolnić się jedném pragnieniem uosabiającego owe ideały, a nieznanego Boga, którego sercem przeczuwa w stepach i lasach, w szumie wód i wyciu wichrów, — znalazłszy też wreszcie odbicie Bóstwa w podobnéj do siebie istocie, kochać ją poczyna całem jestestwem swojem, jutrzenka nowego życia świta mu, kochając ją kocha goręcéj niż kiedykolwiek wszechświat cały i ludzi wszystkich, widok jedynéj Najdroższéj tchnie weń cudną mowę o konieczności wzajemnego miłowania się ludzi; w naturze całéj widzi obraz ubóstwionéj Lilian, i ptastwo i muszki szepcą mu do ucha imię jéj; gdy uściska ją, wznosi oczy do góry, szukając, gdzieby przez gęstwę liści mógł spojrzeć na niebo, — albo wydaje mu się, że wszystko znika z oczu, a kula ziemska leci gdzieś z nimi!

Zakończenie tych prześlicznych, i taką świeżością i zacnością uczucia tchnących obrazów rozdziera duszę: z zielonych stepów wjeżdżają emigranci nasi w martwe i skaliste pustynie Utahu, przechodzą potém Newadę całą pod palącemi promieniami słońca i po gruncie, przesiąkniętym solą i potażem, zdala nęcą ich ułudne majaki, zwierzęta i ludzie padają ze zmęczenia, a zaraza zabiera jednę ofiarę po drugiéj; słabnąca powoli Lilian nie ustępuje jednak, lecz przechodząc z wozu do wozu pielęgnuje i niesie pociechę chorym; nareszcie wstępują na spalone stepy, gdzie śmierć spotyka Lilian—Ralf traci przytomność i zaledwie w miesiąc potém budzi się z choroby już w Kalifornii u znajomego osadnika. Ostatnie wiersze powieści tak proste, rzewne i wzniosłe stanowią może najładniejszy w niéj ustęp.

Niektórzy zarzucają Sienkiewiczowi, że taki smutny nadał koniec nowelli téj, ale w listach byliśmy świadkami, jak smutném okiem spoglądał autor na kraj swój, smutek rozlany również we wszystkich prawie utworach jego, i co tu dziwnego, — położenie ojczyzny, rozpaczliwe warunki wewnętrzne i zewnętrzne, niemoc nurtująca naród, przepaść cała, co przedziela ideał od rzeczywistości nie mogą nastroić fantazyi na ton wesoły. Wyjątek pod tym względem stanowi prześliczny „Orso“ co do treści bardziéj zbliżony do listów niż do obrazku „Przez stepy,“ gdyż dwóch ludzi ściganych przez los znajdują wytchnienie i szczęście wśród stepów na łonie przyrody w gościnnym canionie skwatera.

Pozostaje nam dla dokończenia porównać „Przez stepy“ z podobnym co do treści prześlicznym poematem Słowackiego „W Szwajcaryi.“ Od dawna już krytycy zwrócili uwagę i wykazali nieprzebrane piękności tego klejnotu poezyi naszéj, a najdokładniéj p. Tarnowski w ślicznych odczytach „W Szwajcaryi“ i „Ojcu zadżumio-

nych.“ Ale co się tyczy dopiéro co rozebranéj nowelli, to zostala ona stosunkowo dość chłodno przyjętą i prof. Tarnowski ledwie że nie zbył jéj milczeniem w prelekcyi o najnowszéj powieści polskiéj. Sympatyczniéj nieco odezwała się p. Kościałkowska, nie zawahawszy się porównać ją z poematem Słowackiego. Co do nas, chociaż przechylamy się do zdania p. Kościałkowskiéj (1), znajdujemy jednak, że zamało uwydatniła te cechy nowelli naszéj, które przeważają szalę na jéj stronę przy porównaniu z utworem Słowackiego. — „W Szwajcaryi“ eteryczna i napowietrzna postać kochanki nie zawiera w sobie nic realnego, w kochanku zaś mamy rozmarzonego poetę, tymczasem w tchnącéj takim realizmem i prawdą powieści Sienkiewicza charaktery obojga bohaterów, jakeśmy nadmienili, odpowiadają i równoważą się wzajemnie. Co więcéj u Słowackiego mamy kilka tylko, wprawdzie cudownych, ale luźnych szczegółów z dziejów miłości, gdy nowella nasza, jak już widzieliśmy,— to wykończony psychologicznie obraz najszczytniéj i najświęciéj pojętego uczucia miłości. Nakoniec, co do formy, to rzecz gustu, na nas jednak głębsze i silniejsze sprawia wrażenie prosty i prawdziwszy język Sienkiewicza, niż barwne, świetne i wyszukane obrazy Słowackiego (2).

Jedném słowem z rozbioru powyższego wynika, że listy z podróży i „Przez stepy“ tworzą harmonijną całość: panteistyczną tęsknotą tchnące opisy natury przeważają w pierwszéj części listów, w drugiéj na tle téj natury odmalowana postać człowieka z charakterem odpowiednim wspaniałemu otoczeniu, w którém żyje, lecz z umysłem mało stosunkowo wykształconym, a w rozebranym dopiero co obrazku taż sama dziewicza natura, a wśród niéj idealny człowiek z umysłem rozwiniętym niemniéj jak wola. Gdybyśmy wnioskować ztąd chcieli o obecnym stanie umysłowości naszéj, przyszlibyśmy do nader smutnych wyników, gdyż z jednéj strony mamy negacyą i chwiejne jakieś, a nieodpowiadające charakterowi narodowemu ideały (stańczycy — suchy pozytywizm młodzieży), z drugiéj zaś młody autor, pragnąc stworzyć coś dodatniego, uchodzi aż do innéj części świata i tam na łonie natury, a zdala od cywilizacyi szuka idealnych ludzi. Ale rozpaczliwy wniosek ten łagodzi znacznie ostatni utwór Sienkiewicza, znany każdemu „Latarnik,“ — jeżeli nie zadowolnił autora naszego negatywny kierunek w literaturze ojczystéj, to nie uspokoiły go również ideały, zasadzone nie na rodzimym gruncie.

---

(1) „Nasi nowelliści“ w *Niwie*, 1881.

(2) Pamiętać tylko potrzeba, że poemat Słowackiego wyszedł w r. 1837, a Sienkiewicza w r. 1880. (*Przyp. Red.*).

Wątek „Latarnika“ stanowi wygórowana i do namiętności posunięta miłość ku ojczyznie, obrazek ten zanadto żywo stoi każdemu w pamięci, iżbyśmy go streszczać mieli, zwrócimy tylko uwagę czytelnika na ogromny kontrast, zachodzący między stanem duszy Skowińskiego w początku i w końcu nowelli: stary wojak, przecierpiawszy i przetulawszy się po wszystkich częściach świata przez lat 40, bez chwili spokoju, wiecznie prześladowany przez mściwe jakieś fatum, doszedł nareszcie do takiego stanu zniechęcenia do życia i odrętwienia, że jedna myśl o wypocznieniu zdala od świata i ludzi owładnęła jego istotą; znalazłszy wreszcie przystań taką w Aspinwalskiéj latarni, oddał się z rozkoszą nowemu życiu i zajęciom, które nie wprowadzały go już w styczność z ludźmi, doszedł w końcu do zupełnego prawie zapomnienia się, do stracenia poczucia własnego „ja.“ I cóż wyrywa go z tak błogiego stanu, którego tak pragną wszyscy zmęczeni życiem? Kilka wierszy z Mickiewicza. Żaden z wieszczów naszych nie wyraził uczuć patryotycznych z taką siłą. Dla przykładu porównajmy Skowińskiego z kilku bohaterami Mickiewiczowskiéj epoki. U Konrada z „Dziadów“ wrodzoną miłość ku ojczyznie przytłumiła na czas jakiś miłość ku kobiecie, lecz cierpienia narodu nawróciły i rozegzaltowały go.

Wrażliwy i nerwowy Kordyan był zawsze patryotą, choć postronne wrażenia często zacierały to uczucie, które lada wypadek mógł wrócić (patrz ostatnia scena aktu II na szczycie Mont Blanc). Wacław Garczyńskiego długo szukał uczucia, któreby mogło go porwać i wrócić straconą równowagę umysłu, aż się przejął wreszcie miłością ku ojczyznie. Skowiński zaś nietylko, że nie szukał niczego, ale przeciwnie od wszystkiego uciekał dążąc jedynie do zapomnienia o własném istnieniu,— i z tego uśpienia ducha budzi go ani widok ojczyzny, ani cierpienia narodu, lecz tylko słów kilka w ojczystym skreślonych języku. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby „Latarnik“ przewyższał podobne pod względem treści utwory nieśmiertelnych mistrzów poezyi naszéj,—nie może to mieć miejsca choćby dlatego, że Sienkiewicz wyznaczył sobie zanadto ciasne zadanie, — chodziło mu jedynie o wskazanie bezgranicznéj siły uczuć patryotycznych, wtedy nawet, gdy się wydają być uśpionémi, wieszcze zaś nasi kazali prócz tego bohaterom swoim żyć i działać wśród narodu i przez usta ich wypowiadali własne przekonania o kraju i o środkach mogących go podźwignąć.

Pozostaje nam wyrazić gorące życzenie, aby „Latarnik“ był zapowiedzią zwrotu w literaturze naszéj, bo przy takiéj tylko miłości ku ojczyznie nie będzie rozerwaną nić, co nas łączyć powinna ze szczytnemi ideałami, których wyrazem była poezya Mickiewiczow-

skiego okresu. Bliżsi będziemy w takim razie owéj idealnéj harmonii, kresu dążeń ludzi we wszystkich sferach działalności ich — gdyż z jednéj strony nauczyliśmy się już i wciąż jeszcze uczymy się trzeźwo zapatrywać się na wady i zalety narodu, a z drugiéj—kochać, wierzyć i własną działalnością przyśpieszać będziemy wypełnienie wiecznotrwałych ideałów, wygłaszanych przez usta wieszczów naszych, a będących koniecznym wynikiem całéj historyi i cywilizacyi naszéj. Nie będziemy wtedy uciekali aż na stepy Ameryki dla znalezienia idealnych ludzi, lecz szukać ich zaczniemy we własnym narodzie, wśród ludu więcéj może niż wśród warstw wykształconych, i znajdziemy ich, choć bolesne warunki historyczne zdołały już zatrzéć wiele pięknych a przyrodzonych stron w charakterze narodowym.

Maryjan Zdziechowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Olbracht Łaski, Wojewoda Sieradzki.—Wizerunek historyczny na tle dziejów Polski XVI wieku przez Aleksandra Kraushara, 8-o min. Warszawa—Kraków 1882, tom I str. 272, tom II str. 300.

Dzieło p. Kraushara większe obudziło zajęcie, niż jakiekolwiek inne (choćby bardziéj naukowe i co do wartości wyższe), które w zakresie historyi polskiéj wydane zostało w ostatnich czasach, jak tego dowodem są liczne sprawozdania i recenzye o niém w naszych peryodycznych wydawnictwach. Gdy treść jego jest znaną, nie będę jéj powtarzał; gdy podniesiono już także, i to dosyć obszernie, zalety jego prawdziwe lub mniemane, w kilku słowach streszczę tylko pierwsze, to jest prawdziwe, a mianowicie, że odnalezienie wielu bardzo dokumentów, tyczących się Łaskiego, przedewszystkiém zaś z jego korespondencyi, wydostanie na światło dzienne masy wiadomości o nim, wyświecenie i objaśnienie niektórych kwestyj z jego życia lub działalności, spornych albo niejasnych, tudzież zebranie wszystkiego, co pan K. chciał czy mógł zebrać, w jednę całość obrazową i zajmującą—oto, co obok wielu dobrych chęci za zasługę autorowi poczytywać i na pochwałę jego dzieła powiedzieć należy. Na dosyć liczne i ważne błędy i wady dzieła mniéj zwracano uwagi, dlatego może, że nie umiano ich dostrzedz, lub téż nie miano możności zajrzéć do tychże źródeł, z których autor korzystał; ale to właśnie jest mi pobudką do zajęcia się wyłącznie niemi i podania w ten sposób źródłowego przyczynku do ocenienia wartości „Olbrachta Łaskiego.“

Przedewszystkiém uderza to, że autor wogóle staranniéj pisał tom pierwszy, niż drugi, w szczególności zaś i w pierwszym i w drugim nie z jednakową pilnością opracowywał pojedyńcze rozdziały: w je-

dnych zauważyć można większą spójność myśli, umiejętniejsze przedstawienie, lepsze korzystanie i wyczerpanie źródeł, lepszy styl, większą potoczystość i gładkość (np. w I tomie roździały 2, 14, w II tomie roździały 13, 14) w innych zaś pospieszną i nawet mechaniczną pracę, surowe wyjątki z materyałów albo i całe in extenso dokumenty mniéj lub więcéj zręcznie ze sobą powiązane, co wszystko wygląda raczéj na rozumowane wydanie materyałów à la Waliszewski (Acta Joannis III), aniżeli na ich opracowanie (jak np. w I tomie roździał 11-ty w drugiéj połowie, w tomie II roździały 2, 5, 22).

Kto zna wszystkie materyały, któremi autor rozporządzał, temu się wyda dosyć dziwném, że te mianowicie roździały, do których materyałów było mało, opracowane są lepiéj i gruntowniéj, te zaś, do których była obfitość materyałów (pierwsze trzy bezkrólewia), pozwalająca na zupełne i dokładne wyjaśnienie i przedstawienie działalności Olbrachta, te roździały, powtarzam, są w dziele p. K. najgorsze. Porządek chronologiczny jest bardzo dobry—ale autor trzyma się go zanadto ściśle, by wybrnąć z trudności; w tymże samym celu rozdrabia całość na małe roździałki, na czém traci przedstawienie, z czego powstaje zbyteczna rozciągłość. Tak np. bowiem rozdziały 2—5 w tomie I lepiéj było zlać w jeden, wyprawy mołdawskie również w jednym rozpatrzéć (przy czém może by autor domyślił się, kto był ostatecznie ich winowajcą); koniec rozdziału 12-go i 13-sty ściśle do siebie należą, przedelekcyjnéj intrygi w pierwszych trzech miesiącach 1573 r. lepiéj było nie podciągać pod rozdział „wybory"; w tomie II rozdziały 13—17 ze względu na treść główną są za rozwlekłe a mało dowiadujemy się z nich do tyla ważnego, żeby tak dużo wyznaczać im miejsca; rozdziały 12 i 18 równie w jeden mogłyby być zlane. Że wywiązanie się z zadania przy podziale materyi na tak małe rozdziały i przy ścisłym chronologicznym porządku było łatwiejsze, to pewna, ale mnie ono dowodzi, że autor biorąc się na taki sposób, nie zupełnie panował nad przedmiotem, co zresztą zaświadczają bardzo słabe i bardzo pobieżne ostateczne wnioski. Świadectwom współczesnych, choćby Kochanowskiego, pisanym pod wrażeniem chwili lub szczytnego faktu, ani można przydawać, jak to czyni autor, zbyt rozciągłego znaczenia, tém bardziéj w obec smutnych a wielu innych danych, ani w takiéj mierze uwzględniać przy ocenie charakteru i działalności całego życia wojewody. Zanadto wiele wagi przykłada również pan K. do dziedziczności i dla usprawiedliwienia swego poglądu buduje bezpodstawne analogie, zapominając o tém, że Jan, Hieronim, Stanisław służyli Węgrom, Austryi, Francyi; czy więc moralnie lub słusznie postępowali, jest to w pewnym stopniu rzecz dla nas obojętna—co do Olbrachta, to szło tutaj zawsze

o kraj własny! Usprawiedliwianie postępków złych ludzi szerokiemi instytucyami politycznemi jest w obecnym czasie modne, ale nie historyczne, a zgodne chyba z pojęciami Bismarcka. Wypowiadają wprawdzie takież zdania i nowsi historycy nasi, ale ci tylko, którzy historyą powołują na usługi polityki swojego stronnictwa. W ogóle, nie mogąc zbyt się rozszerzać nad innemi refleksyami autora, mniemam, że wywód p. Kraushara jest obroną adwokata, mającego klienta potępienia godnego, ale nie bezstronnym i gruntownym sądem historyka.

Autor powiada, że nam przedstawia wizerunek Łaskiego na tle dziejów Polski XVI wieku. Rozumiem, że potrzeba dobrze obznajmić się najprzód z literaturą historyczną, ażeby to tło wymalować w pewnym względzie nawet oryginalnie, przedewszystkiém zaś wymalować je tak, jak tego portretowana osoba wymaga, żeby ono służyło do uwidocznienia i zrozumienia lepszego jéj charakteru, do związania jéj działalności z całością dziejów epoki, w któréj żyła. Warunkom tym autor w należytéj mierze zadość nie uczynił, albowiem nie tylko nie skorzystał ze wszystkich prac (że wspomnę choćby tylko dzieła i rozprawy Umańca, Reimann'a Hirschberga, listy Commendoni'ego itd.), znajomość których byłaby mu użyteczną, ale nawet nie przyswoił sobie w ich całości rezultatów badań tych uczonych, których dzieła dosyć często cytuje. Ztąd to pochodzi, że autor w kreśleniu tła wpada w ogólniki, jest pobieżny lub nie należycie swobodny, że opowiadanie nie płynie mu gładko i potoczyście, ale ciągnie się ciężko i nużąco niekiedy dla czytelnika, w krótkich i jakby odrębywanych peryodach, w których autor przytacza tylko fakty, ale nie wyjaśnia wypadków w ich wzajemnym związku, kierunków lub ducha czasu; jeżeli zaś to ma miejsce, to wzięte jest zanadto bezpośrednio z jednego lub dwu autorów, do dzieł których w danéj chwili, pisząc ten lub ów rozdział, autor „Olbrachta Łaskiego" bezpośrednio zaglądał, a nie jest owocem *uprzedniego* wczytania się w te dzieła, samodzielném przedstawieniem i odpowiedniém zastosowaniem rezultatu badań obcych, które zdobyte i przetrawione w głowie na usługi w każdéj chwili być powinny;—w przeciwnym razie pisanie monografii wygląda na mechaniczną robotę (tém bardziéj wobec innych jeszcze na to dowodów) np. zegarmistrza, który składa zegarek, ale kółek i śrubek sam nie robił. Osobliwie rozdziały 12, 16, 17, 18 w tomie I, 1, 2. 6, 7, 20 w tomia II liczne przedstawiają dowody tego, co powiedziano wyżéj.

Niedostateczną biegłością w literaturze historycznéj objaśniać należy i to, że widnokrąg poglądów autora nie jest należycie szeroki i punkt widzenia nie do tyla wysoki, by mógł dobrze objąć cały sze-

reg danych faktów, dopatrzéć się wszystkich i ostatecznych pobudek danych czynów lub przyczyn wypadków, i że robi wprost faktyczne błędy lub takie, które dowodzą, że nie rozumie politycznéj sytuacyi, stosunku i dążności téj lub owéj partyi albo stanu. Przytaczam kilka przykładów. Pan K., mówiąc o przyczynach szerzenia się w Polsce reformacyi (I. 35) milczy o najważniejszéj z nich: stanowisku duchowieństwa, jego sile, wpływach, stosunku do szlachty itd. Wyprawy mołdawskie objaśnia (I. 41) rozmaitemi ogólnikowemi przyczynami a nie dostrzega jedynéj i prawdziwéj (chociaż na nią mogło autora naprowadzić wiele danych)—Habsburgów austryackich, których polityki przewodnią nicią w XVI w. było fundować swoje wpływy w Polsce, gotować jéj trudności na północno wschodniéj granicy, poklócić ją z Turcyą (właśnie przez podniecanie mołdawskich wypraw), ażeby tym sposobem zyskać w niéj sprzymierzeńca, z konieczności, dla swoich pretensyi w Węgrzech i pomoc przeciw Turkom, którym Austrya na żaden sposób rady dać nie mogła—tém można sobie wytłómaczyć i zrozumiéć powolność Zygmunta Augusta względem Turcyi i przywódzców wypraw i wiele innych jeszcze okoliczności. Nie tylko nie „większość", ale nikt nie przechylał się na stronę cesarza Maksymiliana w czasie pierwszego bezkrólewia (I. 169): o jego kandydaturze nie było wówczas mowy, nikt o niéj nie wspomniał nawet. *Suffrage universel* nie znaczy, zdaje się, „głosowanie osobiste każdego szlachcica"; autor umieścił to wyrażenie (I. 206) chyba dla tego, że ładnie wygląda i modnie brzmi, stosunkom bowiem polskim nie odpowiada, a notabene podał je zapewne za Traczewskim (Polskoje bezkorolewije, 352), który powiada nawet, że francuzi przyszli do Polski „spełnić swoją misyą—wprowadzić zatruwający suffrage universel"), zapomniawszy w zapale (nie wiem, czy i pan K. zwrócił na to uwagę), że suffrage universel po raz pierwszy zastosowany był we Francyi dopiero w 1848 roku. Zajście podczas koronacyi Henryka nie jest opisane wiernie (I. 231). Pan Powidaj ma racyą, gdy twierdzi, że Łaskiego biskupi nie nagabywali o bigamią z tego powodu, że byli ujęci jego gorliwością, że się stał zwolennikiem kościoła (II 252, nota). Autor „Olbrachta Łaskiego" przeczy temu, twierdząc, że fakt bigamii miał miejsce w r. 1574 a nawrócenie Łaskiego odbyło się w 1569; jest to prawdą, ale zdania pana P. nie zbija: na sejmie koronacyjnym powstał spór między stanami a Henrykiem o potwierdzenie konfederacyi religijnéj i król, podburzany przez nuncyusza Wincentego Laureo i jego maryonetkę, prymasa Uchańskiego, potwierdzenia odmówił, do czegoby nie przyszło, gdyby nuncyusz nie miał poparcia ze strony niektórych posłów i takich właśnie dygnitarzy jak Łaski—ręka więc myła rękę i sprawa o bigamią nie była popieraną

przez tych właśnie, którzy w imię swoich pretensyj powinni by być w niéj prokuratorami; kto wie, czy nie z tego powodu, w Paryżu jeszcze, Łaski powstawał przeciw konfederacyi, żeby sobie zaskarbić względy tych, którzyby mu najwięcéj potém pomagali do ukręcenia sprawie głowy. Jest to rzeczywiście smutnym objawem, że reakcya katolicka takich moralnie zgniłych ludzi utrzymywała na świeczniku, przebaczając im wszystko za to jedynie tylko, że gardłowali na korzyść kościoła w takich sprawach, w których kościół rościł sobie jurysdykcyą, a dla których właściwém forum był sejm, ale nie kongregacya soboru lub inny podobny trybunał. Drugim przykładem tego jest Krzysztof Warszewicki. To, co o nim publicznie mówił Zbąski, przynajmniéj w znacznéj części było prawdą, i po dokumenty Zbąski posłał do Włoch, ale ponieważ Warszewicki bronił sprawy Henryka, za którą był nuncyusz, przeto za pośrednictwem tego ostatniego kazano z Rzymu wyszukać akta procesu Warszewickiego o ową kradzież łańcucha i miano je spalić a tymczasem zabroniono komukolwiek wydawać ich kopii. Tę i podobne sprawki popełniał rzeczywiście *Krzysztof*, który dopiero w późnym wieku (1598 r.) został kanonikiem krakowskim; p. Kraushar przeczy Mosbachowi, ale gołosłownie (II. 100, nota) i nie ma wcale racyi; Stanisław Warszewicki był bratem Krzysztofa i jezuitą (por. listy Wincentego Laureo w archiwum Watykańskiém, Nunziatura di Polonia vol. 7). W tomie II str. 8 mylnie powiada p. K., że Henryk umknął do Francyi na pierwszą przez usłużnego Dudycza zakomunikowaną wiadomość: Dudycz wprawdzie pierwszy (jak widać z jego listów do cesarza Maksymiliana) udzielił mu wiadomość o śmierci Karola IX, ale dopiero na skutek wiadomości, otrzymanéj od matki w kilka godzin późniéj, mógł powziąć zamiar ucieczki. Wiadomość o wyznaczonych przez Maksymiliana „elekcyjnych (!?) kosztach“ (II 13, 46) odnosi się właściwie do roku 1576 a nie 1574, a zjazd Warszawski w tymże roku mylnie nazwany konwokacyjnym (II. 22). Papież nie zachowywał się neutralnie w czasie drugiéj elekcyi (II. 93), skoro jego nuncyusz zmuszony był potém opuścić Polskę. Niewiadomo od kogo Zborowski w II, 73 zjawia się odstępcą. Nie wie autor, jacy byli kandydaci partyi Piastowskiéj (II, 79). Partya cesarska nie składała się znowu z samych tylko warchołów, awanturników i karyerowiczów (II, 99), skoro byli w niéj Uchański, Mielecki, Ossoliński, Drohojowski, Kochanowski i paru innych, idących za nim z przekonania, mniejsza o to, stałego czy czasowego lub warunkowego. Zdanie autora, że Rzesza nie chciała Maksymilianowi dać pieniędzy (II, 117) należy pojmować bardzo dosłownie, albowiem w rezultacie dała mu milion złotych. Krotosz (II, 119) nazywał się właściwie Krotowskim a oznaczony znakiem

zapytania „Cechowski“ (II, 122) jest nikt inny, jak Stanisław Tarnowski, kasztelan Czechowski.

Wszystkie jednak wady i błędy dzieła p. Kraushara, które pochodzą ze złéj metody, pośpiesznéj roboty, niedostatecznego korzystania z literatury historycznéj, a o których mówiłem dotychczas, są mniejszéj wagi w porównaniu z temi, które można autorowi zarzucić co do korzystania z literatury niedrukowanéj czyli źródeł archiwalnych, co do tamtych bowiem i niespecyaliści łatwo mogą sobie poradzić, błędy dostrzedz i poprawić łatwo, a braki własnemi zasobami wiadomości uzupełnić; w ostatnim zaś razie, nie mając pod ręką lub nie mogąc mieć oryginalnych dokumentów, z dobrą wiarą autorowi zaufać są zmuszeni. Nim odpowiem czy zaufać należy zauważyć muszę, że przytaczanie w ciągu opowiadania czy wykładu wyjątków z dokumentów jest bardzo często na miejscu i wielce się przyczynia do urozmaicenia i malowniczości jego, ale przytaczanie dokumentów w całém ich brzmieniu, jak to zazwyczaj robi p. K., zgodném jest z wymaganiami metody historycznéj w razach tylko wyjątkowych, gdy brzmienie dokumentu ściśle się wiąże z poprzedniem i następującém, co szczególniéj o mowach lub przemówieniach powiedzieć można, włączanie zaś do tekstu opowiadania dokumentów *in extenso* niekiedy nawet długich (jak np. II, 21—22, 26—28, 29—32, 41—42, 58—60), w których obok tego, co w danym razie do przytoczenia w całéj treści może być odpowiedniem, mówi się jeszcze o wielu innych rzeczach podrzędnych, pobocznych lub przez autora poprzednio już wspomnianych, odrywa uwagę czytającego od głównego przedmiotu i psuje samą formę. Lepiejby daleko p. Kraushar zrobił, gdyby się tego sposobu nie trzymał, ale korzystał z dokumentów tak, jak umiejętność wymaga a same dokumenty w oryginalnym języku i *in extenso* dołączył na końcu dzieła lub wydał je osobno.

Kto porówna uważnie wyjątki z dokumentów przytaczane przez p. Kraushara z samemi oryginałami, ten musi przyjść do następujących wniosków:

1) że autor nie umie dobrze czytać rękopismów, w nich zaś: *a*) nazwisk lub imion własnych, np. czyta bowiem Friedenthal, zamiast *Freudenthal* (I, 175), Towatschan i Leitamysz zam. *Towatschaw, Prostnitz i Leitamischl* (I, 177), Mikorski zamiast *Myszkowski* (II, 35), Leszczyński zam. *Leżeński* (II, 37), Liendarskie zam. *Liendaczkie*, Ruxoss zam. *Kurosz* (II, 56), Bamffy zam. *Banffy* (II, 112, 113), Anenbaszew zam. *Arcibaszew*, Posseg zam. *Prossegk* (II, 121)— i *b*) potocznego tekstu i to nawet w dokumentach pisanych po polsku, jak np. w I, 202: użyczył zam. *wziął*, w czalni zam. *w cale*, nasze zam. *na mię;* w II, 141: V. R. III. zam. *V. S. Ill.*, hanuto zam. *havuto*, hetto zamiast

tutto, similme zam. *similmente*, ilquali zam. *il quale*, clementi zam. *clemente*, promto zam. *pronto*, liberamento zam. *liberamente*, cardinali zam. *cardinale*, felicit. zamiast *feliciti*, desin zam. *disegni* i t. d.—i jak to widać z porównania następujących zestawień:

tekst p. Kraushara I, 238:	oryginalny tekst:
De uxore Alberti Laski alio oportuno tenore, si scilicet certe aliquid audievimus, tibi rescribemus.	De uxore Alberti Laski alio opportuno tempore, ubi scilicet certi aliquid statuerimus, tibi rescribemus.
str. II, 47:	
„Widzę, iż podobno *illud adagium dici a me potent*, że „jednemu szydła, a drugiemu brzytwy niechcą....“ Co wszystko ja Bogu poruczam. Podobno dla tego odwłacza ten *dobry człowiek*, żeby pierwej obaczył, jako to me rzeczy pójdą.... Jeżli burda—da pokój. Jeżli pokój—rzecze—chciałem uczynić.... A ja też żebyć mu mógł tak się przydać, jako ten, *któryby najwięcéj sadła w sobie miał*.... A jeżli mi ukazują *gruszkę na wierzbie* (wiem bowiem, że to umieją...). Ja zaś ukazawszy *chciałbym jéj dojeść*, by mi zginąć... Sed *vercor ne ductus aliorum consilio, pchnął mię zasię nogą od siebie precz*... Lecz cóż rzec, gdy tak *fert sors mea!* O tym dosyć *Deo teste*... K'temu i Waszmości samemu, to tylko wiem, że *illiqui, qui sunt in majori authoritate*, podobno zaledwieby się na to odważyli, na co ja... z zachowaniem honoru i dobréj sławy, odważyć się chciałbym....“	„Ale widzę, że podobno *illud adagium dici a me poterit*, że jednemu szydła golą a drugiemu brzytwy nie chcą; co ja wszystko Bogu poruczam, bo podobno dla tego odwłacza *ten dobry człowiek*, żeby pierwéj obaczył, jako tu me rzeczy pójdą: jeśli burda da pokój, jeśli pokój rzecze (t. j. rzeczy) chciałem uczynić; a ja też czuję, żebych mu mógł tak się przydać, jako ten, któryby najwięcéj sadła w sobie miał a jeśli mu ukazują gruszkę na wierzbie (wiem bowiem, co to umieją). Ja ukazawszy chciałbych jéj doleźć; by mi zginąć!; *sed vereor, ne ductus aliorum consilio* pchnął mię zasię nogą od siebie; a!, cóż rzec, gdy tak *fert sors mea?* O tém dosyć *Deo teste* i WM. samym. * To tylko wiem, że *illi, qui sunt in maiori authoritate* podobno u niego ledwieby się tego ważyć śmieli co ja, zbawienne a poczciwe tylko zachowawszy w cale u siebie.“

Takich przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele.

2) Autor nie rozumie źródeł czyli dokumentów rękopiśmiennych; tłómaczenie ich takie, jakie p. K. podaje, wygląda na gruby żart z nauki i dobréj wiary nietylko czytelników, ale i tych, którzy nie mogąc mieć przystępu do oryginałów, korzystać będą z jego dzieła—a notabene tłómaczenie p. K. podaje w cudzysłowach, chce więc tém dowieść, że są zupełnie zgodne i wiernie odpowiadają ory-

ginalnemu tekstowi. Oto znowu na dowód parę przykładów z wielu innych:

I, str. 197:	tekst oryginalny:
„Gdy zaś Łaski (!!!) obecnie codziennie znowu u mnie przesiaduje, nie zaniedbam przeto niczego, aby się dowiedzieć o jego dalszych zamiarach i o tém donieść Waszéj Cesarskiéj Mości szczegółowo."	„Was uns aber obangeregter Stolcz darauf für ein Bericht thuet, das haben Eure Majestät aus hiebeiliegendem seinem Brief gnaediglich zu vernehmen und nachdem wir seiner Person (t. j. Stolcz'a) wiederum bei uns taegglich gewaertig, so wollen wir mit unterlassen bei ehister Gelegenheit seiner fernern Ausrichtung und gethanen Relazion gehorsamlich zu berichten."

Cały ustęp z listu Dudycza, podany przez autora w I, 243—244, *odnosi się do Stefana Batorego, ale nie do Łaskiego*, jak chce pan K., naciągając przytém tekst i fałszywie go tłómacząc na polski język. List włoski, przytoczony w II, 51, wręcz przeciwnego dowodzi niż tego, na dowód czego autor go przytacza. List cesarza do Łaskiego w II, 70 w środkowym ustępie tak brzmi:

w oryginale:	pan K. zaś tak go tłómaczy:
„Et quia in memoratis tuis literis offers Te Nos de iis etiam, quae post habitum in oppido Sulïow (1) cum supremo regni nostri Bohemiae mareschalco sermonem, quae tam Warsaviae quam Lovitzii pro eiusdem causae nostrae bono egeris, quae ibidem resciveris, quidque facto opus esse censeas, edocturum, Nos etc."	„Z listu Waszego powzięliśmy obietnicę nadesłania Nam wiadomości o rezultacie rokowań prowadzonych z marszałkiem naszéj korony czeskiéj w Suliószu (sic!), jak również treści mowy, jaką w interesie domu naszego w Łowiczu i Warszawie mieć zamierzacie."

Na str. 136 w tomie II wyrazy armorum insignia (dyplom na szlachectwo z wymalowanym herbem) tłómaczy autor przez „oznaki orderu!"—ciekawym bardzo co za order miał tu p. K. na myśli?!

3) Autor nie jest wogóle przysposobiony do studyów archiwalnych w szczególności zaś bardzo pobieżnie i nieuważnie korzysta ze zbiorów wiedeńskich, a przytém nie będąc dobrze wtajemniczony w historyą czasu, stosunki osób i t. p., popełnia wiele błędów

(1) Sulejów, sławny klasztor i miasteczko w gubernii Piotrkowskiéj.

co do dokumentów takich osobliwie, które nie są oryginałami, nie mają podpisu, daty, adresu lub t. p., bo tak np. przytacza wyjątek z listu Cyrusa *do Trautsona* (I, 139), kiedy w przytoczonym nawet wyjątku są wyrazy: „cum *Vestra* Caesarea Majestate;" w I, 179 mylnie cytuje „z *połowy* 1572 mandat cesarski dla *Ernesta, aby się ożenił z infantką Anną*," kiedy to jest plenipotencya dla posłów do ułożenia się o małżeństwo Ernesta i Anny i nosi wyraźną datę *2 sierpnia* (przeczytał autor zapewne treść tylko na odwrotnéj stronie dokumentu napisaną i nie zrozumiał jéj, ale nawet nie rozwijał pargaminu, by go przeczytać i zapisać choćby tylko wierną datę). Cytowana w I, 210 relacya z 1 maja 1573 nie mogła być i nie jest pisana ręką Rosemberga, gdyż ten był już wówczas w Łowiczu a nie w Warszawie, zkąd ją (rzeczywiście) pisał do Wratysława z Persztyna (ale nie Rosemberga) agent posłów prawdopodobnie Jan Büttner. Cytowany w przypisku (II, 51) list pisany był — według zdania autora — przez Dudycza do cesarza, co jeżeliby miało być zgodne z prawdą, piszący list nie wyrażałby się w ten sposób: „Et *Vestra Signoria* potrà render' capace *Sua Maestà*...." pisał go w rzeczywistości Wincenty Laureo, nuncyusz w Polsce, do Jana Delfino, biskupa Torczellańskiego, nuncyusza w Wiedniu. List Łaskiego w II, 63—64 nie mógł być przecie pisany do Dudycza, skoro w nim się mówi „*Reverendissimae* Dominationis Vestrae," tylko do Marcina Gerstmann'a, pierwszego z posłów cesarskich na sejm Stężycki; toż samo i drugi list, cytowany w II, 67. Na instrukcyi, przytoczonéj w II 120 w przypisku, jest napis: „ad manus proprias Sacr. Caes. Mtis" ręką Emeryka Sonntag'a (sekretarza Łaskiego), który i całą instrukcyą pisał; cesarz, otrzymawszy ją, napisał niżéj decyzyą: „D. Webero proponatur" (Weber był cesarskim wice-kanclerzem). Pan Kraushar tymczasem, nie rozróżniając charakterów pisma i nie znając procedury sprawy, łączy te dwa napisy w jeden i powiada, że Łaski udzielił instrukcyą Weberowi! Nadto zaś przytoczony przez p. K. w końcu przypisku ustęp nie jest jakimś „raportem do cesarza o téj instrukcyi, ale ostatnim jéj punktem, ostatnią z próźb Łaskiego, albowiem pisany jest tym samym charakterem co i cały dokument, nie znajduje się na marginesie lub na odwrotnéj stronie.

4) autor nie wyczerpuje należycie dokumentów i tych nawet, które są przez niego cytowane; traktuje je „sprawozdawczo" (II, 39), ale nie tak, jak wymaga naukowa metoda; np. w I 175 powiada, że Bernardowi von Wirben „zalecono głównie starać się o utrzymanie Łaskiego w uczuciu wierności dla austryackiego domu" i cytuje na dowód daną posłowi instrukcyą; tam zaś w rzeczywistości poleca się, aby mu oświadczył, że cesarz ma do niego wielkie zaufanie i spo-

dziewa się, że nie tylko on sam będzie popierał sprawę jego i jego synów, ale że zjedna mu zarazem tych, których głosy na elekcyi najwięcéj znaczyć będą i że obiecuje za to okazać mu się wdzięcznym, jak to zaświadcza we własnym do niego (Łaskiego) liście. Na tejże saméj stronicy mówi p. Kraushar: „opat Cyrus, przysyłając cesarzowi relacyą o stanie umysłów w Polsce, doniósł, że Łaski zawsze jednakowo dla rodziny cesarskiéj jest usposobiony;“ tymczasem w cytowanym liście z 26 lipca 1572 roku Cyrus radzi cesarzowi, żeby przez Łaskiego jednał sobie życzliwość szlachty, a w przypisku do tegoż listu powiada, że mu donoszą, że Łaski okazuje się przeciwnym cesarzowi, ale wątpi (Cyrus), czy to robi szczerze czy udaje, i mniema, żeby to tłómaczyć na dobrą stronę, ponieważ Łaski nie raz starał go się przekonać, że jest cesarzowi najbardziéj oddany; podejrzywa jednak Cyrus Łaskiego i radzi ostrożnie z jego wskazówek lub rad korzystać. Korzystając z listu cesarza do Łaskiego z 23 września 1575 (II, 73), autor nie wspomina, że cesarz tym listem uwierzytelnia do Łaskiego Jana Rozrażewskiego i Andrzeja Dudycza— a przecież jest to rzecz z całego listu najważniejsza. Myliłby się wielce, ktoby sądził za panem K., że poselstwo cezaryanów do Wiednia składało się z tych tylko osób, które wymienione są przezeń w II, 85, albowiem posłów wyznaczono (jak widać z dokumentu elekcyi Maksymiliana) czternastu— nie wszyscy z nich wprawdzie pojechali, ale zawsze było ich w Wiedniu więcéj niż pięciu a notabene nawet w liczbie 14-stu nie było ani Andrzeja Opalińskiego, ani Stanisława Radzymińskiego, ani Krzysztofa Zborowskiego, których p. K. do Wiednia z tém poselstwem wysyła.

5) autor nie cytuje źródeł w wielu razach, gdzieby tego była potrzeba, np. zkąd są wzięte: data urodzin Łaskiego (I, 24); świadectwo Modrzewskiego o Hieronimie Łaskim (I, 26); gdzie autor widział autografy Olbrachta Łaskiego „nowszémi językami“ pisane (I, 29, bo jeden tylko list jego po włosku przytacza w II, 141); na jakiém źródle opiera się ostatni ustęp w I, 139; zkąd wzięta wiadomość o „pośle“ (?) moskiewskim w Stężycy (II, 66) i wiadomości w drugim i trzecim ustępie w II, 91; zkąd zaś przypisek w tomie II na str. 117—118?

6) autor powołuje się na nieodpowiednie źródła i wpada nawet z tego powodu w błędy: dokumnet cytowany w przypisku 8 (I, 114) już jest drukowany w V tomie „Jagiellonek polskich“ przez Szujskiego (w relacyach z sejmu Lubelskiego 1569, str. 144) wydanym.— W I, 208 zamiast na Heidenstein'a lepiéj byłoby powołać się na „Monumenta Rusiae historica“ Turgeniewa (I, 170) i Broël-Platera „Zbiór pamiętników“ (III, 58). Nie na miejscu jest powoływanie się na En-

gel'a „Geschichte des ungarischen Reichs“ w sprawach sejmowych, gdy są już wydane od owego czasu „Monumenta comitialia regni Hungariae“ (por. tam w tomie VI, str. 145 i 184); przyznanie Łaskiemu indygenatu węgierskiego, które było niejako nagrodą za sprzyjanie Maksymilianowi, nie mogło nastąpić już 13 grudnia 1575 (jak chce p. K. w II, 83) t. j. nazajutrz po ogłoszeniu Maksymiliana królem, lecz co najmniéj 31 stycznia 1576, bo zresztą i sejm węgierski, chociaż był zwołany na 13 grudnia 1575, zebrał się znacznie późniéj.

7) autor, co do niewydanych źródeł, korzysta najwięcéj z materyałów wiedeńskiego archiwum państwowego, dla czego jednak nie wyzyskał ich w należytéj mierze?—nie wiadomo. Spis dokumentów, w których są rozmaite wiadomości o Łaskim lub które bezpośrednio do niego się odnoszą, możnaby ułożyć dosyć znaczny; oto najważniejsze z nich: list Macieja Łobockiego do Ferdynanda I z 18 czerwca 1553 r. w sprawach Olbrachta Łaskiego i odpowiedź cesarza z 4 lipca; listy Maksymiliana II-go do Wilhelma z Rozemberga i Wratysława z Persztyna z 30 września, 17 i 28 listopada 1572, 2 i 27 stycznia, 4 marca (bardzo ważny: krytyka żądań Łaskiego, oświadczonych posłom przez przysłanego do nich Gidelskiego; ale! — nie trzeba się było prześlizgiwać po dokumentach, tylko je gruntownie studyować: nawet w minutach tych listów Łaski figuruje pod umówionym wyrazem „officium“) i 28 kwietnia 1573; listy cesarza do M. Logau i J. Rozrażewskiego z 17 grudnia 1572, do M. Logau z 2 stycznia, do Ruebera 8 października 1573; listy J. Schachmann'a z 17 stycznia, M. Logau z 9 marca 1573 r. i 8 listopada 1575, A. Dudycza z 29 lipca (byłby wielce przydatny do objaśnienia owych „niewyjaśnionych powodów“ w II, 71), J. Uchańskiego i W. Laureo z 20 grudnia 1575 (wraz z memoryałem, który Łaski, będąc przez nich uwierzytelnianym, poufnie cesarzowi przedstawił), W. Lobkowitz'a i J. Kobenzel'a z 7 maja 1576 do cesarza; listy Maksymiliana II-go z 30 września 1572, 4 kwietnia 1573, 24 i 29 maja 1576, M. Gerstmann'a z 31 maja 1575, Stefana Batorego z 4 maja 1576—*do Łaskiego* (ten ostatni jest w oryginale; nakazuje mu król złożyć przysięgę wierności w ciągu czterech tygodni); *listy Łaskiego*: do cesarza z 16 grudnia 1574 (por. II, 39: Dudycz listu tego nie posłał, ale go rozpieczętował i tajnym kluczem posłał cesarzowi jego kopią w swoim liście z 16 grudnia), 8 i 11-go grudnia 1575, do posłów cesarskich z 7 czerwca 1575 (jest w Polonica z 1573 roku) do Wratysława z Persztyna z 11 maja 1576. Nieznane są autorowi także następujące ważne dokumenty: przywiléj Maksymiliana II z 1 kwietnia 1576, którym ustępuje Łaskiemu jednorazowo prawo patronatu i przedstawienia kandydatów na cztery

prebendy w Krakowie, Piotrkowie, Srzodzié i Warszawie; instrukcya, z którą Łaski wysłał do cesarza Stanisława Mikorskiego w kwietniu 1576; zdanie Łaskiego i innych polaków, zgromadzonych w Ratyzbonie, o tém co cesarz ma przedsięwziąć w sprawie polskiéj, z września 1576; memoryał Łaskiego, przedstawiony Rudolfowi II w październiku tegoż roku z prożbą o uwolnienie od długów jego dóbr Kesmarskich, co mu był obiecał Maksymilian II. Co do czasów trzeciego bezkrólewia mógłby był pan K. znaleźć w témże archiwum choćby tylko już jeden list Łaskiego do arcyksięcia Ernesta z 2-go sierpnia 1587 roku z tym ważnym i ciekawym ustępem: „Interim vero, ne illud quidem silentio praeterire debui (!), me non parum a studio Serenitati Vestrae praestando retraxisse, quod non absque singulari animi mei perturbatione hactenus persenserim hominem ignobilem Tekielium ac neque privatim neque publice de quoquam bene meritum mihi praeferri, infinitumque in miseros et innocentes homines grassandi licentiam concedi,“ z któregoby się autor przekonał, że i teraz prywata tylko a nie inne szlachetniejsze lub słuszniejsze powody pociągnęła Łaskiego na stronę Zygmunta III przeciw Maksymilianowi. Skoro p. K. był w bibliotece królewskiéj w Dreznie, mógłby był przy dobrych chęciach doszukać się tam w rękopismach Instrukcyi z 19 grudnia 1575, danej Łaskiemu i innym posłom, wyprawionym przez cezarczyków do Wiednia. Milczę już o tém, co się znajduje w innych archiwach do historyi Łaskiego wielce przydatnego. Jeżeliby autor znał choć wyliczone wyżéj dokumenty, mógłby był zrobić z nich przyzwoity trzeci tomik dzieła.

Skutkiem pośpiechu zapewne i styl w kilku miejscach pozostawia nieco do życzenia, mianowicie zaś w tomie drugim, który, jakem już nadmienił, w ogóle mniéj starannie został opracowany, niż pierwszy. Na str. 10 czytamy tam ustęp: „z pomiędzy senatorów, którzy *rozbiegli się* w pogoni za królem, w Krakowie *pozostali* wojewodowie krakowski i sieradzki.“ W następnym zaraz ustępie wiadomość o francuzach powtarza się aż dwa razy w 11-tu wierszach. W przypisku na str. 113 czytamy: „Po śmierci kasztelanowéj starostwo Lanckorońskie wraz z wdową po Kacprze Bekieszu, dostało się ulubieńcowi Batorego, węgrowi Feronowi Wesselin“ (czy ta wdowa należała do inwentarza starostwa?). Co znaczy następujące zdanie na str. 219: „powitać księżniczkę w jéj pawilonie na dzisiejszego dnia tyłku (tak!), który pospólstwo nazywa południem“? Można zrobić zarzuty i pojedynczym wyrazom: wyraz *Lutry* (I, 111) ma u nas odcień pogardliwego znaczenia; bez wyrazu *emolument* (I, 150) język polski może się zupełnie obejść; *Gasztald* (I, 177, 179) jest zupełnie nieuprawnioną przeróbką nazwiska Gastaldo albo Castaldo; wyrazy

waluta (w znaczeniu zwykłych pieniędzy) i *dekonfitura* (I 234, II 122) są miejscowo brukowe; *dragoman* (wyraz turecki) oznacza tłómaczy specyalnie przy Wielkiéj Porcie a wogóle przy konsulatach lub misyach na Wschodzie; nie używa się w polskim języku wyrazu *prefektura* zamiast starostwo, a *Liwonię* (!) nazywają w Polsce Inflantami (II, 175 i 253).

Również czuć się daje brak należytéj korekty, co chyba również ze zbytniego pośpiechu pochodzi; najważniejsze są omyłki (sądzę, że korekty nie autora) w datach dokumentów: w I 228 i 248 list Dudycza z 8 kwietnia—powinno być z *3 kwietnia*; w II 37 list tegoż jest z *16-go* nie zaś z 19 grudnia, II 64 list Łaskiego nie z 7 ale z *27 maja*; jakotéż Iuae zam. *Tibi* (I, 96); illum moneat zam. *ille moveat* (II, 121); tamże huc zam. *hinc*; raz czytamy *Miller* (II, 132, 153) drugi raz *Müller* (II, 154); XVI zam. *XIV* (I, 18), quaedam... exponuit zam. *quasdam... exposuit* (I. 101), 1672 zam. *1572* (I, 194); w I 225 opuszczono przypisek 13; 1583 zam. *1573* (II, 8); 191 zam. *171* (II, 34); 1574 zam. *1575* (II, 52); miaso zam. *miasto* (II, 165); Martii zam. *Martio* (II, 175); nakoniec i paginacya mylna jest w paru miejscach.

Teodor Wierzbowski.

Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego, ułożył i wydał Franciszek Kluczycki. Tomu pierwszego część druga (1672—1674). W Krakowie, nakładem Akademii umiejętności krakowskiéj, 1881, str. XXXIX i od 751—1666.

Ogłaszając przed kilkunastu miesiącami w *Ateneum* sprawozdanie z pierwszéj części pierwszego tomu olbrzymiéj publikacyi pana Kluczyckiego, daliśmy wyraz żywemu uznaniu, na jakie zasługiwała ze wszech miar wzorowa staranność i poprawność téj pięknéj edycyi, a zarazem zwróciliśmy uwagę na bardzo nieliczne i drobne usterki, których się w podobnych dziełach nigdy zupełnie ustrzedz nie można. Gdy nam obecnie przychodzi mówić o drugiéj części pierwszego tomu, obejmującéj blizko tysiąc stronnic w dużéj ćwiartce, nie tylko nie potrzebujemy odwoływać żadnego z wypowiedzianych tam słów uznania, lecz nawet wyznajemy z radością, że mimo starań mniéj niż poprzednio możemy tu wytknąć uchybień, bo liczba ich doszła teraz do *minimum*.

Szanowny wydawca z właściwą sobie skromnością uwzględnił nasze spostrzeżenia, oprócz tego zaś z własnego natchnienia wzbogacił swą księgę takiemi dodatkami, na brak których uskarżaliśmy się poprzednio; znajdujemy tu więc index imion i rzeczy, a nadto pracowicie zebrany wykaz alfabetyczny urzędów i dostojeństw Rzeczypospolitéj, województw i ziem z epoki do któréj się zbiór odnosi.

Sama niezwykła objętość pierwszego tomu wydawnictwa, dochodzącego dopiero do elekcyi Jana III wskazuje, jak bogatą i obfitą jest treść jego, jak wielkie światło rzuca przeto nietylko na postać bohatera, lecz także na wiek, który go wydał. Niepodobna wymagać, aby zakres źródeł był jeszcze szerszym; najskrzętniejszy krytyk niewieleby znalazł rzeczy pominiętych, a godnych pomieszczenia. Jako pisma, zasługujące naszem zdaniem na przytoczenie, wymieniamy list Prusinowskiego, „chorążego usarskiego JMci Pana Marszałka do tegoż JMci" (Sobieskiego), pisany z obozu z pod Husiatyna 25 lipca 1672 r., a w nim excerpt z listu Mańkowskiego; daléj listy, w których jest mowa o Sobieskim: księdza Przyborowskiego do ks. Andrzeja Trzebickiego, biskupa krakowskiego z dnia 5 lipca 1673, — ks. podkanclerzego kor. do tegoż biskupa z Warszawy 26 lipca roku 1673 i podskarbiego w. k. Morsztyna również do Trzebickiego, pod tąż samą datą. Wszystkie te pisma znajdują się między kopiami Stanisława Przyłęckiego, w rękopiśmie Zakładu narod. im. Ossolińskich nr. 2281.

Na podstawie troskliwego porównania znacznéj części tomu z rękopiśmiennémi tekstami możemy oświadczyć, że edycya celuje rzadką u nas starannością. Zaledwie kilka drobnych pomyłek udało nam się zauważyć przy pomocy odpisów Przyłęckiego; podajemy je tutaj raczéj na pochwałę wydawcy, że tak nieliczne, niż jako zarzut. Na stronie 1021 w drugim wierszu listu zamiast: „non *ultra* temeritate ductus" powinno być: „non *ulla* temeritate ductus." Na str. 1091 w wierszu ostatnim po słowach: Zaczym JMP. Marszałek posławszy ku Lubaczowu—opuszczono wyrazy: „JMPana Strażnika koronnego, i JMci Pana Łaska, a ku Cieszanowu..." Na str. 1273 w wierszu 6-tym od góry zamiast „o obedientią," powinno być „o benedictią." Na str. 1282 w wierszu 6-tym od góry w warunkach, pod jakiemi zbiegli z Litwy Tatarzy Lipkowie gotowi powrócić do posłuszeństwa, zamiast „Także głowy zabitego Tatarzyna w statucie położone jeżeli Król Jmć i cała Rzplta zniosą i jako szlachcica położą" — co jest niezrozumiałe, powinno być: „*Taksę* głowy zabitego Tatarzyna."

Żałować należy, że list marszałka do prymasa, pisany z nad Prutu 21 listopada r. 1673 musiał szanowny wydawca w braku innego źródła wydać wedle nędznéj kopii Tek Naruszewiczowskich, pomagając sobie nieszczególnym również tekstem manuskryptu Akademii umiejętności nr. 44, daleko zaś skuteczniéj własnym domysłem. Bez porównania poprawniejszym jest odpis Przyłęckiego. Pomijając waryanty, powiem tylko, że z rękopismem ś. p. P. w ręku, nie byłby pan Kluczycki potrzebował w drugim wierszu str. 1344 po wyrazie subsistere, z własnego domysłu dodawać „desiderium"

(*sc. domuum*), bo byłby tam znalazł: „dulcedo"; niemniéj byłby mógł uzupełnić tenże ustęp kilkunastu braknącémi wyrazami. Po szóstym wierszu bowiem od góry należy jeszcze dodać ważne zdanie: „którą to konfuzyą widząc hospodar multański, dwie mile nocując od obozu naszego, uciekł od nas i z wojskiem swojem". Podobnież w 21 wierszu po wyrazie „znieśli", należy dodać: „w wielkich lasach otoczywszy ich zewsząd, pobrali".

Przytoczywszy powyżéj niemal wszystkie omyłki, które mi się spostrzedz zdarzyło, powtarzam, że są niesłychanie rzadkie i nieznaczne, a wysokiéj wartości wydania w niczém nie uwłaczają. Tyle o formie wydawnictwa — o treści nie piszemy, bo na to byłoby potrzeba wielu arkuszy druku. *K. Kantecki.*

= **Przegląd pedagogiczny,** *czasopismo poświęcone sprawom wychowania szkolnego i domowego* (6 zeszytów za kwartał I, str. 192). Mając przed sobą owoc kwartalnéj działalności czasopisma wychowawczego, będącego jedynym w Królestwie przedstawicielem specyalnym kwestyj pedagogicznych i dydaktycznych, warto się już zastanowić nad tém, o ile przedstawiciel ten ma dostateczne kwalifikacye naukowe i praktyczne. Oceniając atoli ten krótki okres pracy „Przeglądu Pedagogicznego" musimy pamiętać, że są to początki dopiéro, że redakcya nie miała utorowanéj drogi w ojczystém piśmiennictwie, że musiała budzić siły nauczycielskie z pewnéj apatyi, w któréj były od lat kilkunastu pogrążone, częścią z własnéj częścią z cudzéj winy, że zatém stawiać względem téj redakcyi wymagania zbyt surowe byłoby rzeczą niewłaściwą i niesprawiedliwą. Prawda, że kto pracę jaką przedsiębierze, powinien starać się o jak najlepsze jéj wykonanie, ale zważyć wypada, iż w pracy zbiorowéj — a taka jest działalność redakcyjna, — nie wszystko zależy od głównego kierownika, ale bardzo i bardzo wiele od tych, co się pod tém kierownictwem szeregują i od tych, których podjęta sprawa zajmuje. Jeżeli liczba pracowników jest niewielka; jeżeli zajęcie przedmiotem — słabe; to trudno i najlepszemu redaktorowi wystarczyć za wszystkich. Tę okoliczność mając na uwadze, bez obrazy sumienia można powiedziéć, iż dotychczasowa działalność „Przeglądu pedagogicznego" daje pewne rękojmie dobrego, pożytecznego rozwoju czasopisma nadal. „Przegląd pedagogiczny" nie zaniedbał ani praktycznéj ani teoretycznéj strony wychowania zarówno domowego jak szkolnego i w artykułach rozmaitéj obszerności i wartości poruszył już kilka ważnych zagadnień i dał parę wskazówek, jak w wychowaniu i nauczaniu poczynać sobie należy. Nie mając zamiaru zastanawiać się nad wszystkiemi,

wskażemy tylko przykładowo niektóre. P. E. K. zaznaczając brak dokładnie i należycie przysposobionych nauczycieli, a zwłaszcza nauczycielek, proponuje na początek (w Nr. 4. „W sprawie kształcenia przyszłych nauczycieli i nauczycielek") założenie przy jednéj z wyższych pensyj żeńskich rocznego kursu, mającego na celu przygotowanie uczennic do zawodu pedagogicznego, który jak każdy inny fach, nie powinien być w ręku dyletantów. Bardzo słusznie wytykał p. E. K. nawiasowo brak katedry pedagogiki w uniwersytecie warszawskim i zupełny brak seminaryów dla kształcenia nauczycieli średnich zakładów naukowych. P. Henryk Wernic znowuż w ogólnych wprawdzie, ale trafnych rysach kreśli wizerunek słabego, nietaktownego nauczyciela i daje rady, jak należy utrzymać niezbędną, pedagogiczną powagę wobec chłopców 12—14-letnich, którym imponować zwykła siła fizyczna i duchowa (N. 1 i 2: „Osobistość nauczyciela"). P. Stanisław Kramsztyk jasno, przystępnie, a miejscami wymownie wykazał znaczenie i doniosłość dla wychowania — nauk przyrodzonych w ogóle, a w szczególności metody, którą zwykle nazywamy doświadczalną, a którą p. K. „indukcyjno-dedukcyjną" mianuje, dowodząc, że w metodzie nauk przyrodzonych zarówno jeden jak i drugi sposób dochodzenia prawdy znajduje zastosowanie (N. 3 i 5: „O pedagogicznym znaczeniu nauk przyrodzonych"). Jeżeli od tych teoretycznych wywodów zwrócimy się do wskazówek praktycznych, to i pod tym względem znajdziemy w „Przeglądzie pedagogicznym" artykuły niemałej wartości. P. Stanisław Mieczyński podał wzór lekcyi języka polskiego (N. 3), nie jakiś ogólnikowy, ale do szczegółowego zastosowany wypadku, kiedy nauczyciel potrzebuje z zakresu gramatyki objaśnić czas teraźniejszy w czasownikach, a równocześnie rozwijając myśl, zwiększyć zapas wiedzy ucznia pod względem treściowym i formalnym. P. Samuel Dickstein przedstawia „metodę wyciągania pierwiastku sześciennego" (N. 4), prostszą od wielu innych używanych u nas po szkołach. W N. 5-ym mamy skreślone wskazówki, jak prowadzić należy naukę poglądową. P. Aleksander Jurgielewicz rozpoczął wykład planu, w jaki nauka elementarna ma być podawana dzieciom w ochronach (N. 5 i 6-ty: „Organizacya najpierwszego nauczania"). Ażeby te i tym podobne wskazówki mogły się przyczynić do wytworzenia praktyki metodycznéj potrzebném byłoby zainteresowanie się nauczycieli, którzyby wypróbowawszy rady zalecone, następnie dzielili się wynikami swoich spostrzeżeń i doświadczeń z redakcyą i z czytelnikami „Przeglądu pedagogicznego". Takiego zainteresowania dotychczas jeszcze nie widać; nie można jednak tracić nadziei, że z czasem, przy umiejętném działaniu, zjawić się ono musi. Inne działy programu nie są

w zaniedbaniu. Dzieje pedagogiki ogólnéj reprezentuje życiorys Pestalozzego (N. 6), naszéj życiorys i ocena Bentkowskiego przez p. Bronisława Chlebowskiego (N. 4); wiadomości o szkołach w innych krajach są dość liczne; z naszych zakładów szerzéj omówiono „Szkołę techniczną“ przy drogach żelaznych Warszawsko-Wiedeńkiéj i Bydgoskiéj. Nie można téż pominąć milczeniem najobszerniejszéj i dotychczas nieskończonéj jeszcze pracy D-ra Tadeusza Żulińskiego p. n. „O potrzebie stałego higienicznego nadzoru nad zakładami wychowawczo-naukowemi“. Rzecz to obrobiona starannie i umiejętnie, a lubo praktycznego rezultatu przynieść u nas nie może, dobrze jednak, iż poda ideał kierunku, w którym iść szkoły powinny, ażeby zapewnić warunki zdrowia dla swych wychowańców. Kwestyi etyki szkolnéj dotyka artykuł p. Jerzego Harwota p. n. „Szkolna kasa oszczędności“ (N. 2 i 3). Jak widzimy nie brak artykułów i to żywotnych „Przeglądowi pedagogicznemu“; potrzeba mu tylko wytrwania; większéj dbałości o czystość języka i poprawność stylu; większego starania o korektę. Możnaby téż rozszerzyć dział krytyczny, który dotychczas mało uwzględniała redakcya.

= **Zarazy Antropozofii** *czyli teoryja i technika należytych wyjść (modus vivendi) humanitarnych stosunków: przyrodniczych, etycznych i między-ludzkich. Opracował K. L. Lichtański. Tom I. Zeszyt I. Badania wstępne.* (Warszawa 1882, str. 75). Antropozofia, jak ją autor pojmuje, nie jest bynajmniéj nauką zwaną antropologią, gdyż ta nagromadza jedynie materyał wiedzy o człowieku, antropozofia zaś używa materyału tego do nakreślenia norm, według których człowiek postępować powinien, ażeby mógł spełnić swe zadanie w zakresie życia przyrodzonego, jednostkowego i społecznego. Antropologia, jako nauka opisowa, notuje tylko fakta, wskazuje co i jak jest w świecie ludzkim; antropozofia zaś uczy, co i jak być może i powinno być w tym świecie. Jako nauka normatywna czyli, według wyrażenia autora, „sterownicza“, rozpada się na trzy wielkie działy: 1) *higienę*, 2) *etozofią* i 3) *socyozofią*. Pierwszy z nich zajmuje się kwestyą zaspokojenia potrzeb organizmu fizycznego, drugi kwestyą zaspokojenia potrzeb duszy indywidualnéj, trzeci kwestyą zaspokojenia potrzeb społecznych. Dla zaspokojenia tych potrzeb istnieją osobne „narzędzia“; dla pierwszych „przyrodniczy psychofizyologiczny materyał“, dla drugich — „przekonania i wierzenia“, dla trzecich — „towarzyskie i państwowe urządzenia“. Zbadanie owych potrzeb i tych „narzędzi“ jest właśnie zadaniem trzech głównych działów antropozofii. Każdy zaś z nich rozpatruje swój przedmiot pod trojakim względem: teoretycznym, technicznym i leczniczym. Teoretycznie, wynaleść winna nauka taką podstawę umysłową, którąby pozwoliła połączyć w harmonijnym związku wszystkie sposoby zaspokojenia,

dążeń przyrodniczych, jednostkowych i społecznych. Technicznie, powinna uporządkować układ owych narzędzi przyrodniczych, etycznych i społecznych w taki sposób, ażeby każda jednostka poszczególe i wszystkie razem mogły łatwo i swobodnie osiągnąć ideał w zakresie wskazanych dopiero co stosunków. Pod względem leczniczym wreszcie, nauka zbadać musi patologiczne objawy organizmu, duszy i społeczeństwa i obmyślić radykalne i dorywcze środki, za pomocą których dałyby się usunąć zboczenia chorobliwe. Taki jest szkielet nauki, nazwanéj przez autora antropozofią, a łączącéj w sobie przedmioty tych badań, które obejmowano dotychczas pod nazwą etyki, polityki i socyologii. Co do metody, to autor posługiwać się zamierza „spotęgowanym sądem powszednim“ czyli inaczéj, filozoficznie wyrobionym, zdrowym rozsądkiem, łącząc jednostronności empirycznéj analizy i spekulatywnéj syntezy. W ocenie zaś wszelkich stosunków jako sprawdzian czyli kryteryum służy „rzeczywista ludzka wartość“, według któréj normują się i potrzeby i środki ich zaspokojenia: „wartość ludzka (mówiąc słowami autora) jest tym centrem systematu humanitarnych wyjść (*modus vivendi*) i porządków, około którego ich normy odbywają swój przebieg“ (str. 9). Nie rozszerza się p. L. nad szczegółami téj „decydującéj filozoficznéj rewolucyi“, którą rozpoczyna; lecz większą część pracy swojéj poświęca na okazanie naglącéj jéj potrzeby i środków, których chwycić się należy, ażeby ją do skutku doprowadzić. Wielkie to zadanie spełnić można jedynie wspólnémi siłami; w chwili obecnéj potrzeba nam „zbiorowych pracowni naukowych“, któreby postawiły sobie za cel obrobienie wspólne zagadnień, nasuwających się natarczywie każdéj inteligentnéj jednostce. Taką zbiorową pracę ma na widoku i p. Lichtański; zamierza „zaprosić do współpracownictwa myślicieli, którzy uznają kryteryum prawowéj ludzkiéj wartości za rządzące i zgodzą się z pomiędzy siebie wybrać członków sejmowo-przewodniczącego ciała, które stanowić będzie naukową dźwignię jednolitości pojedyńczych prac“ (str. 74). Ani możemy ani chcemy kłaść tamy wysiłkom, mającym na celu dobro ogółu; nie zraża nas bynajmniéj względna oryginalność pomysłu rozwiązania najogólniejszych i najzawilszych zadań społecznych za pomocą jakiéjś pracy komitetowéj czy sejmowéj; nie myślimy „z góry potępiać filozoficznych prac umysłu ludzkiego na téj podstawie, że omyłki są fatalnym udziałem człowieka“; podzielamy bowiem zdanie autora, że taki sposób myślenia gorszym jest od hołdowania fatalizmowi (str. 28), gdyż ubezwładnia całą duchowość człowieka: zdaje nam się wszelako, iż kto chce myśl jakąś rozpowszechnić, powinien ją przedewszystkiém jasno sformułować. Staraliśmy się wprawdzie wyłowić ją z pośród chaosu zdań,

nowo-ukutych wyrazów, zawikłanych okresów, niewyraźnych określeń; ale przyznajemy się, iż zrobiliśmy to z wielkim mozołem i bynajmniéj nie ręczymy, czyśmy wszystko dobrze zrozumieli i czyśmy uwydatnili to, co autor sam uwydatnić by pragnął. Spisu niezrozumiałych zdań lub wyrazów, niepoprawnych gramatycznie lub stylistycznie ustępów nie podajemy, gdyż musielibyśmy zużyć na ten cel dużo papieru; wogóle tylko powiemy, że władanie językiem polskim przychodzi autorowi z pewną trudnością, że na myśli swoje lubi narzucać szaty nieprzejrzyste i że rodzaju nijakiego przymiotników używa na wzór Niemców i Rosyan bez względu na to, że Polacy do niego nie przywykli.

= **Szkice Klina.** *Część druga; zeszyt I. U drogowskazu* (1882 Warsz. str. 42). Pod pseudonimem *Klina* ukrywa się pisarz, który przed r. 1870 brał udział w czasopiśmiennictwie warszawskiém, późniéj zaś stanął na uboczu w roli sceptycznego dostrzegacza, mało drukując, gdyż od r. 1872, o ile nam wiadomo, aż do oznaczonéj dopiéro co publikacyi nic nie ogłosił. Nie związany stosunkami ze światem literackim zachowuje swobodę sądu własnego, który zazwyczaj jest ostry i bezwględny; umie obserwować, ale zarazem i uogólniać; zdaje się nawet że zamiłowanie do uogólnień przeważa w nim chętkę obserwacyi i ta okoliczność prawdopodobnie sprawia, że sąd jego w zastosowaniu do objawów staje się często niesprawiedliwym. To co teraz ogłosił, napisane było, jak objaśnia przypisek, jeszcze w r. 1873, a obecnie tylko przejrzane i w jednéni miejscu trochę zmodyfikowane. Gdybyśmy chcieli, w kilku słowach powiedzićć, co w sobie zbiorek ten zawiera, tobyśmy musieli użyć szumnego wyrażenia: ocena obecnych naszych stosunków umysłowych. Mówiąc prościéj mamy tu pogadankę o uczuciach i rozumie, o literaturze, i nauce, pogadankę nastrojoną pesymistycznie. Według autora, jeżeli chcemy zrobić postęp, powinniśmy wyrzec się tak zwanych uczuć; nie znaczy to jednak, że powinniśmy się zmienić w rachunkowe maszyny; lecz jedynie, że czynności nasze wszelkie zostawać powinny pod kierunkiem jasnego, trzeźwego rozsądku. Literatura nasza jest blada, licha, kompilatorska, niezrozumiała dla ludu na który nie oddziałuje wcale. „Zachód grzmi, łyska, rzuca pioruny nowych pojęć, wstrząsa starym gmachem, zmiata pleśń zabobonu i przesądu, wyrywa mchy i głogi pseudo-wiedzy; jednostki, wybitne jednostki z samodzielnym, śmiałym, twórczym poglądem zjawiają się tam jedne po drugich, puszczają się w przegony i w świetnym turnieju nauki, z proporcem tolerancyi zdobywają sobie zasłużony laur i miejsce w pamięci wszechludzkości. A u nas? Słowian — rzeczywiście jak niegdyś *sclavów* ciała tak dzisiaj myśli—cóż u nas? nawet echo tego, co się tam dzie-

je, o wywatowane głupotą, nieuctwem i wałkoństwem umysły nie może się odbić.“ Zapewne, przykro słuchać tych słów nieowiniętych w bawełnę, ale niestety, w przeważnéj części prawdziwych; słuchać jednak trzeba i poprawiać się. Dobrze to czasem otrzymać szturchańca, nawet otrzymać wtedy, gdy się drzémie nie w porę i nie na miejscu; i choć na wiele zdań Klina zgodzić się niepodobna, nie powiemy jak on o pewnych literatach, iż wypowiada czcze i *warte rózgi* frazesa (35) a to w imię tolerancyi, o któréj sam tyle się rozpisuje (i to przez dwa *l*); zauważamy tylko, że wyrażenia *więcéj szczegółowy, więcéj pożyteczny* nie są polskie, a frazes: „*pewniki* tą drogą *otrzymane* nic już w przyszłości *nie może obalić*“ (str. 3) od poprawności gramatycznéj jest daleki.

= **Stosunki Polski z Tatarszczyzną od połowy XV wieku.** Tom I. *Stosunki z Mendli—Girejem chanem Tatarów perekopskich* (*1469—1515*), *akta i listy, wydał i szkicem historycznym poprzedził Kazimierz Pułaski* (Kraków i Warsz. 1881, str. 449). Notując na tém miejscu ukazanie się téj ciekawéj publikacyi, nie myślimy bynajmniéj przesądzać o jéj wartości w stosunku do dawniejszych a bardzo nielicznych prac na tém polu; powiemy więc tylko, że p. Pułaski od lat już kilku obok niw zbożem zasianych uprawia także i niwę dziejopisarską, pomieszczając artykuły swe przeważnie w cennym dla historyi zwłaszcza „Przewodniku naukowym i literackim“, wychodzącym we Lwowie. Stosunki kresowe stanowiły dotychczas główny przedmiot jego studyów. I obecna praca, pierwsza na większą skalę, z badania tych właśnie stosunków wynikła. Posiadając kopie dokumentów z Metryki Litewskiéj, sporządzone w końcu wieku XVIII, wydrukował je tak jak znalazł, włączając do zbioru swego i te, które już dawniéj ogłosili: Gołębiowski, Narbutt, Muchanow i inni. Przyznaje wydawca, że nie mogąc porównać swych kopij z oryginałami, znajdującémi się obecnie w Petersburgu przy III-cim departamencie senatu, nie uniknął zapewne niejednego błędu; pozwolił sobie poprawek i uzupełnień tam tylko, gdzie to było możliwém bez narażenia się na domysł fałszywy; poprawki i uzupełnienia umieścił w nawiasach. Wszystkie akty w ogólnéj liczbie 157 pomieszczono w języku kancelaryjnym W. ks. litewskiego (*białoruskim*, według zdania p. Baudouin de Courtenay (1). Do tego dodał autor 4 dokumenta z metryki koronnéj w języku łacińskim. Całość zaś poprzedził obszernym (str. 193) wstępem, w którym na podstawie wydrukowanych przez siebie dokumentów i innych źródeł skreślił opowiadanie o stosunkach między Mendli

---

(1) Zob. poniżéj streszczoną broszurę: „Nieskolko slow o srawnitielnoj grammatikie“, str. 43.

Girejem a Kazimierzem Jagiellończykiem, Olbrachtem, Aleksandrem i Zygmuntem starym. Zaznaczony na tytule tom I i obietnica w końcu wstępu historycznego umieszczona każą się spodziewać dalszego ciągu tego naukowego przedsięwzięcia, które ze względu na swą treść na serdeczne powitanie i zachętę zasługuje.

— **Zur Psychologie der Sittlichkeit** *von dr. Heinrich Struve* (1882 Bonn, str. 41). Zaznaczywszy we wstępie, że wszelkie badania dotyczące kwestyj etycznych nie mogą doprowadzić do zadawalniającego wyniku, dopóki *psychologiczne* podstawy moralności nie będą należycie wyjaśnione i ustalone; autor osłabia następnie doniosłość tego zupełnie słusznego zdania twiedząc, iż ogół (*das Allgemeine*) we wszystkich swych formach: natury, rodziny, narodu, państwa itd. istnieje *niewątpliwie* bez pomocy jakiejkolwiek pojedyńczéj konkretnéj jednostki. Kto bowiem tak utrzymuje, ten w metafizyce chyba znajdzie najlepsze i najgruntowniejsze rozwiązanie wszelkich zagadnień etycznych, bez wglądania w psychiczną naturę jednostek. Wprawdzie autor zastrzega, iż wpływ tego *ogółu* (des Allgemeinen) na ludzkość zależy od psychicznéj przyrody jednostki i w niéj jedynie znajduje umiejętne wyjaśnienie; to wszakże nie przeszkadzałoby twierdzić że wytworzone w sferze abstrakcyi metafizycznéj pojęcia moralności powinny obowiązywać jednostki. Autor znów zapobiega takiemu rozumowaniu utrzymując zgodnie z prawdą, ale niezgodnie ze swém zdaniem o istnieniu ogółu bez jednostek, iż moralność poza indywidualném usposobieniem i działaniem wcale nie istnieje. Na dalsze wywody o sądzie moralnym, o normie moralnéj i czynie moralnym, wogóle zgodzić się łatwo; wywody te bowiem są rozumowaniami opartemi na faktach trafnie zaobserwowanych. Normę postępowania widzi prof. Struve w zgodzie pojedyńczych objawów woli z témi poglądami, jakie wyrobiła sobie jednostka o ogólném prawie moralném. „Niemoralnym—powiada autor—jest ten tylko, kto wbrew swemu lepszemu przekonaniu występuje, kto inaczéj działa, aniżeli moralność pojmuje, kto się daje unieść chwilowym pobudkom, a nie słucha zasad przez siebie samego uznanych.“ Pojęcie to normy moralnéj czyni ją zbyt podmiotową, ale trudno nie przyznać, iż ma wiele za sobą. Nie wszyscy zgodzą się na pojęcie postanowień woli jako zawarunkowanych wprawdzie pobudkami, a jednak ostatecznie zależnych od „samodzielnego spółdziałania woli“ (*selbstthätige Mitwirkung des Willens*). Pojęcia „pokonywania siebie samego, panowania nad sobą“ nie są dostatecznie rozwinięte, tak że wydają się jako jakieś spontaneiczne, chwilowo powstające akty. Autor pojmuje wyraz *charakter* tylko w znaczeniu dodatniém, ujemnemu skierowaniu woli odmawiając charakteru; takie pojmowanie zgodne jest z popularném

pojęciem i z filozofią heglowską; ale zdaje nam się, że naukowe dzisiejsze poglądy powszechniéj skłaniają się ku przyznaniu charakteru i złym ludziom.

— **Nieskolko słow o srawnitielnoj grammatikie indo-ewropejskich jazykow**, przez *J. Baudouina de Courtenay* (Petersburg, 1882, str. 53). Autor nie uznaje słuszności nazwy, jaką lingwistycznym badaniom nadawano poprzednio za granicą, a dziś jeszcze w Polsce i Rosyi, mianując je „gramatyką porównawczą.“ Rażą go w téj nazwie obie części; nietylko bowiem sama gramatyka stanowi przedmiot studyów lingwistycznych i nie tylko gramatyka jest nauką porównaczą, gdyż każda umiejętność z zadania swego porównawczą być musi. Następnie odróżnia filologią od lingwistyki: dla filolologa ogniskiem, około którego grupują się wszystkie jego zajęcia, są ciż sami zawsze przedstawiciele wszystkich objawów życia duchowego, jako to: języka, wierzeń, podań, piśmiennictwa, kultury itd. czyli, mówiąc inaczéj też same narody (stąd filologia klasyczna, romańska, germańska itd.); badania zaś lingwisty za spójnię mają jednorodność téj strony objawów życia duchowego wśród różnych narodów, która się językiem nazywa. Nie znaczy to jednak wcale, ażeby w jednéj osobie nie mógł się połączyć np. filolog klasyczny lub słowiański z lingwistą. W dalszym ciągu określa autor, na czém polega pokrewieństwo języków i podaje ciekawe wskazówki tak zwanego *fonetycznego przekładu* dźwięków jednego języka z drugim pokrewnym. Większą część broszury poświęca p. B. ogólnéj charakterystyce i klasyfikacyi języków *indo-europejskich*, które nazywa chętniéj *aryo-europejskiemi*. W Azyi znajdujemy dwie wielkie rodziny tych języków: indyjską i erańską, w Europie siedm: grecką, albańską, italską (romańską), celtycką, germańską, litewską i słowiańską. Nie mogąc tu podać treści i tak już bardzo treściwéj broszury, ograniczymy się na zaznaczeniu kilku interesujących uwag autora. Zdaniem jego studyując którąkolwiek grupę języków (słowiańską, germańską, grecką) lub pojedyńczego języka (rosyjskiego, litewskiego) można wybornie obejść się bez znajomości sanskrytu, chociaż naturalnie nigdy nie zaszkodzi przyswojenie sobie dokładnéj wiedzy o systemacie gramatycznym tego języka, należy wszakże unikać tak szeroko rozpowszechnionego bałwochwalstwa względem sanskrytu i nie mierzyć zjawisk języków obcych kategoryami sanskryckiemi. W każdym zaś razie lepiéj nie uciekać się do porównań z sanskrytem aniżeli popisywać się niemi bez gruntownéj i dokładnéj znajomości tego języka. Zbadanie litewszczyzny dla celów czysto lingwistycznych ma daleko większe znaczenie aniżeli zbadanie sanskrytu, a to dla tego, że sanskryt dochował się tylko w zabytkach piśmiennych, gdy tymczasem język litewski żyje do dziśdnia

w ustach ludu; to nam daje możność sprawdzania nasuwających się wątpliwości i badania języka tego we wszystkich kształtach aż do najdrobniejszych subtelności i szczegółów. Litewszczyznę możemy obserwować bezpośrednio a nawet robić w jej zakresie pewne doświadczenia (np. odnośnie do dźwięków); a mając do czynienia z zabytkami sanskryckiemi, skazani jesteśmy na wieczną niewiadomość co do niektórych nader ważnych właściwości języka, którym są pisane. Nie możemy też pominąć wiadomości o używaniu przez katolików Słowian języka słowiańskiego w liturgii. Jeżeli pominiemy unitów, to tylko bardzo nieliczna część Chorwatów katolików, używających tak zwanéj *glagolicy*, zachowa w księgach kościelnych język słowiański. Język ten zmieszał się w kolei wieków z ludowym chorwackim, tak że dzisiaj; wyjąwszy kilka archaizmów, przedstawia się on poprostu jako chorwacki. Obręb użycia tego języka w liturgii zmniejsza się ciągle tak iż obecnie chorwaccy księża odprawiają mszę w języku chorwackim tylko w niektórych miejscowościach Istryi i na wyspach Adryatyku. W końcu p. B. rozpatruje państwa europejskie ze względu na ich jedno—lub różno plemienność. Okazuje się że największą jednorodnością odznaczają się: Portugalia, Holandya, Dania z Irlandyą. Wszystkie inne są mniéj lub więcéj mieszaniną różnych Plemion. Największą pod tym względem rozmaitość przedstawia Rosya, w któréj mieszkają najrozliczniejsze zarówno aryo-europejskie jak nie aryo-europejskie plemiona.

= *Publicationen aus den K. Preussischen Staatsarchiven. VII Band. Lehns und Besitzurkunden Schlesiens herausgegeben von Dr. C. Grünhagen und Dr. H. Markgraf. Erster Theil. 1881.* Gdy przed kilku laty poruszoną została przez Henryka Sybla, dyrektora archiwów państwowych w Prusach, myśl wydawania najcenniejszych materyałów w archiwach tych przechowywanych, można się było spodziewać, że i dzieje Polski na tém przedsięwzięciu zyskają, zwłaszcza gdy już w programie zapowiedziano ogłoszenie drukiem najdawniejszych ksiąg sądowych wielkopolskich. Zdaje się jednak, że księgi wielkopolskie, jako pomnik rzucający światło wyłącznie na historyą prawa polskiego, dość długo jeszcze na wydanie czekać będą, natomiast dwaj znani badacze dziejów Szlązka Dr. Grünhagen, naczelnik archiwum prowincyi Szlązkiéj we Wrocławiu i Dr. Markgraf archiwaryusz miejski, przygotowali do druku całość dokumentów mających stanowisko lenne Szlązka objaśnić. Pierwszy tom tego zbioru zawierający najciekawsze akta, odnoszące się do księstw: Wrocławskiego, Głogowskiego, Żegańskiego, Lignickiego, Brzeskie-

go, Świdnickiego i Jaworskiego w roku zeszłym już się ukazał, drugi i ostatni niezawodnie wkrótce będzie dostępny, tak iż cały proces odpadnięcia jednéj z najpiękniejszych części Polski we wszystkich szczegółach będzie mógł być poznanym. Sumienność wydawców jest powszechnie znana, a nowe to wydawnictwo świeży daje dowód ich w téj mierze skrzętności i doświadczenia. Nieco utrudniającą korzystanie z tego dyplomataryusza jest okoliczność, iż każde księztwo jako odrębna całość jest traktowane, wskutek czego dokumenta chronologicznie ułożone być nie mogły; spodziewamy się jednak, że w drugim tomie niedogodność ta za pomocą krótkich regestrów usuniętą zostanie.

— *Praktisches Handbuch der historischen Chronologie aller Zeiten und Völker besonders des Mittelalters von Dr. Eduard Brinckmeier. Zweite Auflage. Berlin, 1882.* Jednę z najważniejszych pomocniczych nauk historyi jest obok dyplomatyki, sfragistyki i paleografii, także i chronologia. Mimo tego jednak nawet w Niemczech, gdzie przedewszystkiém uczeni techniczną stroną dziejów zajmować sie lubią, na palcach dzieła o chronologii, istotną mające wartość, policzyć by można. Wprawdzie istnieją podręczne kalendarze historyczne jak Pilgrama, Weidenbacha, Grotefenda, ale są one układane bez żadnéj pretensyi naukowéj w praktycznym tylko celu; natomiast dzieło Idelera „Handbuch der mathematischen und technischen Chronologie" (2 tomy. Berlin, 1825 i 26) chociaż dotąd nie prześcignięte, z téj przyczyny nie zupełnie wystarcza, iż Ideler z zawodu astronom, w opracowaniu swém na potrzeby historyków mniejszą zwracał uwagę; zresztą od jego czasów ilość wydanych źródeł tak znacznie się powiększyła, iż niezbędnym jest cały szereg pracowników i ściśle naukowych rozpraw, aby wszystkie ciemne i zawiłe kwestye chronologiczne dostatecznie rozjaśnić. Drugie wydanie dzieła zasłużonego na polu leksykografii i łaciny średniowiecznéj (*Glossarium diplomaticum* r. 1850—1863, 2 tomy) Brinckmeiera chociaż bardzo na czasie, również głównie potrzebom praktycznym ma odpowiadać. Różni się ono jednak od najnowszego i najbardziéj rozpowszechnionego obecnie kalendarza Grotefenda tem, że część teoretyczną bardziéj uwzględnia, podaje dokładniejsze tablice cesarzów niemieckich i papieży, ma wiele spisów i tablic, których Grotefend nie umieszcza, jak np. konsulów rzymskich, wszystkich koncyliów i t. d.; nie może być jednak samo dla siebie używane ponieważ nie są w niém oddrukowane wszystkie (35) możliwe kalendarze, co do rozwiązywania dat, niezbędnie jest potrzebném. W każdym wszakże razie chronologia Brinckmeiera może być obok kalendarza Grotefenda z korzyścią zastowywaną. Przypominamy, iż istnieje także kalendarz histo-

ryczny opracowany na podstawie źródeł czeskich przez Józefa Emlera, a p. Horbaczewski archiwaryusz wileński wydał także kalendarz oparty głównie na źródłach sądowych znajdujących się w zarządzaném przez niego archiwum.

Myśl trwałego uczczenia 25-letniego **jubileuszu Teodora Tomasza Jeża,** jednego z najdzielniejszych i najśmielszych w swoim czasie przedstawicieli idei uwłaszczenia ludu, a zawsze niepospolitego powieściopisarza i publicysty, zajmowała kilka pism naszych. Najwybitniéj zaznaczyły się dotychczas dwa projekty. „Nowiny" sądzą, że takiém trwałém uczczeniem działalności Jeża mogłoby być stypendyum, drogą składek publicznych zebrane, „Przegląd Tygodniowy" zaś zwróciwszy uwagę na to, że stypendyum możeby nie odpowiadało rodzajowi zasług Jeża, proponuje ze swéj strony zebranie funduszu, (8000 rubli), od którego odsetki obracane byłyby co lat sześć na premium za najlepszą książkę w przeciągu tego czasu w języku polskim ogłoszoną. Niewątpliwą jest rzeczą, że zarówno ustanowienie stypendyum jak premium daleko szlachetniejszym i pożyteczniejszym byłoby środkiem złożenia hołdu znakomitemu pisarzowi aniżeli wyprawianie biesiad kosztownych; zarówno więc jeden jak drugi projekt jest pomysłem dobrym, jednakże mając do wyboru stypendyum lub premium, głosowalibyśmy za premium. Możnaby wprawdzie myśli premiowania książek już drukowanych zrobić ten zarzut, iż w daleko gorszém położeniu są autorowie, którzy książki swojéj wydrukować nie mogą, aniżeli ci co ją już ogłosili; ale ponieważ istnieją już instytucye, które tego rodzaju potrzebom choć w części zaradzić mogą (Akademia Umiejętności, kasa pomocy naukowéj imienia Mianowskiego, a po części może i Macierz Polska), zarzut powyższy traci cokolwiek na swéj sile. Stworzenie zaś nowego sposobu wynagrodzenia pracy umysłowéj i zachęty do niéj może podziałać ożywczo na talenta. Książkę zwłaszcza poważniejszéj treści wydaje czasami autor, czasami księgarz; w pierwszym razie niekiedy nic nie zarabia a niekiedy i traci fundusz na druk; w drugim razie nic wprawdzie nie traci, ale téż nie otrzymuje należytego za swe trudy wynagrodzenia. Naturalnie przyczyną takiego niepowodzenia może być nieudolność dzieła, ale bywa także i brak rozgłosu, brak poparcia. W takich wypadkach premium zachęciłoby zdolnego autora do pra-

cy i pozyskałoby nową dla społeczeństwa siłę. Takich zachęt mamy dotychczas bardzo mało. Nie wchodzimy tu w szczegóły projektu, ani co do terminów premiowania, ani co do wysokości premium ani co do oznaczenia, jakie książki mają być premiowane; są-to rzeczy, które obmyśléć łatwiéj będzie można gdy się zbierze fundusz; obecnie chcielibyśmy jedynie dobrą myśl poprzéć i ze swéj strony do jéj urzeczywistnienia zachęcić.

Wydawca, W. Spasowicz.—Redaktor Piotr Chmielowski.

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

I.

JAN ŁASKI

Arcybiskup Gnieźnieński.

Damalewicz, Series Archiepiscoporum Gnesnensium, Warszawa 1649.—*Bużeński* Żywoty Arcybiskupów Gnieźnieńskich, Wilno 1852.—*H. Zeissberg*, Johannes Łaski Erzbischof von Gnesen (1510—1531) und sein Testament, Wiedeń 1874 (odbitka z 77 tomu Sitzungsberichte der phil. hist. Classe der kais. Akademie der Wissenschaften).—*Dr. Alex. Hirschberg*, Jan Łaski Arcybiskup Gnieźnieński sprzymierzeńcem sułtana tureckiego, Lwów 1879 (Odbitka z Tygodnia).—*Liske*, Bobrzyńskiego Dzieje Polski, Kraków 1879 z (Przeglądu Polskiego; cały ustęp o Łaskim).—*Hirschberg*, Stronnictwa polityczne w Polsce za Zygmunta I, Lwów 1879 (z Tygodnia).—*Tenże*, O dyplomacyi polskiéj za Zygmunta I (w Sprawozdaniu z czynności zakładu n. i. Ossolińskich we Lwowie 1880).—Ks. *Jan Korytkowski*, Jan Łaski arcybiskup Gnieźnieński, prymas królestwa polskiego, Gniezno 1880.—*Szujski*. Odrodzenie i reformacya w Polsce, Kraków 1881.—*Hirschberg*, Przymierze z Francyą w r. 1524, ustęp z dziejów polityki polskiéj za Zygmunta I, Lwów 1882 (z Przewodnika Naukowego).—*W. Zakrzewski*, Łascy (przegląd najnowszéj literatury) w lwowskim Przewodniku Naukowym i literackim z kwietnia 1882.

Kiedy pod koniec 16 wieku nastał obyczaj w pańskich rodzinach polskich, żeby wymyślać sobie starożytne genealogie, znalazł i któryś z Łaskich, zapewne Olbracht, usłużne pióra, które mu długi szereg przodków wykomponowały. Wyprowadzono ród Łaskich, nie od rzymskich wprawdzie senatorów, jak to czyniono dla innych, ale przynajmniéj od rycerzów normańskich, towarzyszy Wilhelma Zdobywcy, panów de Lascy, z których jeden, Albert, wypędzony z Anglii przenieść się miał na dwór Bolesława Krzywoustego i tu dać polskim Łaskim początek. Prawda, że o tych polskich Łaskich aż do 15-go wieku, nie umiał nic powiedzić pisarz w 17-ym wieku żyjący Damalewicz, który nam tę genealogią przekazał; nie przeszkodziło to jednak, że jeszcze uczony Malinowski przed niespełna dwu-

dziestu laty, z głęboką wiarą wywody Damalewicza powtórzył. Prymas Jan Łaski z pewnością nic jeszcze o panach de Lascy nie wiedział, ale wiedział więcéj niż Damalewicz o Korabitach z Łaska (de Lassko, tak się i prymas i jego synowiec Hieronim pisali, gdy natomiast Jan młodszy i Olbracht zwykli się byli pisać a Lasco), którzy w 15-ym żyli wieku. Przechowały się bowiem (wydane w Monumenta Poloniae Historica, w tomie 3) szczupłe wprawdzie, lecz współczesne i wiarogodne zapiski o téj rodzinie: od końca wieku 14-go pokazują one cztery pokolenia dziedziców Łaska i ich koligacyj rodzinnych nas uczą. Ztąd widzimy, że rodzina miała już raz przed prymasem czas swéj świetności; pradziad prymasa a Łaska założyciel Olbracht był kasztelanem łędzkim, a brat jego Jan Radlica biskupem krakowskim. Ale odtąd rodzina podupada widocznie, bodaj czy nie przez dziada prymasowego i jego imiennika Jana. Ten bowiem, nie senator wprawdzie, ale chorąży sieradzki (godność ta była wtedy po senatorskich najwyższa) wybrał się w pielgrzymkę aż do Ziemi Św., zkąd powrócił wprawdzie rycerzem jerozolimskim, lecz oślepłszy w drodze wnet się do grobu położył. Daleka ta wędrówka, którą pewno mało kto ze szlachty naszéj owoczesnéj podejmował, to pierwszy objaw tego niespokojnego ducha, który potém w 16 w. wszystkich Łaskich charakteryzuje; ona to może przeszkodziła mu dobijać się wyższych w kraju zaszczytów, a już na pewno podkopała ekonomiczny byt rodziny dość licznéj. Na koszta jerozolimskiéj wyprawy poszedł posag synowéj, matki prymasa; ojciec téż jego, Jędrzéj, żadnéj już, chociażby powiatowéj, nie piastuje godności. Trzeba było szukać nowego dźwignięcia się rodziny na chlebie duchownym, na którym tak okazały szereg możnych późniéj rodów u nas się wytuczył: z 4 synów, dwóch już pewno od dziecka do duchownego przeznaczono stanu. Ale zbyt liczna rodzina—bo prócz synów słychać jeszcze o kilku córkach—nie pozwoliła zrujnowanemu już Jędrzejowi dać przyszłym dygnitarzom kościelnym starannego wykształcenia. W metrykach uniwersytetu Jagielońskiego nie ma ani śladu o naszym prymasie, ani o jego starszym bracie Jędrzeju, który potém tylko do kustodyi gnieźnieńskiéj doprowadził. Więc wnosić trzeba, że bracia Łascy poprzestać musieli na pierwszéj lepszéj najbliższéj szkole; a chociaż Prymas nazywa swoim nauczycielem doktora Andrzeja Górę, który był profesorem krakowskim, to mógł przecież w któréjś z kolonij akademickich korzystać z jego nauki, zanim Góra wyższych akademickich godności dostąpił. Żeby aż zagranicę dla studyów miał jeździć nasz prymas, temu stanowczo zaprzeczyć należy, chociaż go tam i ks. Łętowski i ks. Korytkowski wysyłają na wiarę słów Bużeńskiego. Prawnikiem Łaski nie był, bo sam to (w zakoń-

czeniu t. zw. statutu) powiada, a przecież tylko prawa, nie teologii, uczyli się za granicą przyszli biskupi i kanclerze; nie bez ironii mówi w swym testamencie, że mu brak téj uczoności, z któréj jego przeciwnicy, Lubrański, Tomicki, Krzycki tak byli dumni; sama nieudolna łacina jego testamentu pokazuje, że humanistyczne wykształcenie było mu całkiem obce.

We własne tylko wrodzone ufny zdolności, we własną energią i ruchliwość, bez stopni akademickich cenionych właśnie wtedy wysoko, skromnie musiał poczynać świetną późniéj karyerę Jan Łaski. Na szczycie stojąc znaczenia wspomina w testamencie, że pierwszém beneficium jego była altarya gdzieś w małém miasteczku Skokach, niosąca wszystkiego 2 grzywny dochodu. O całych zresztą 20 pierwszych latach jego działalności, zanim wszedł w służbę królewską odrazu jako wysoki dostojnik, bo najwyższy sekretarz i zastępca kanclerza, wiemy bardzo nie wiele; a nie wiedzielibyśmy nic prawie, gdyby nie własny jego testament.

Pod skrzydłami możnéj rodziny Kurozwęckich, jako zapewne zrazu sługa, niebawem powiernik i przyjaciel Krzesława z Kurozwęk kanclerza kor. a potém i biskupa kujawskiego, stopniowo porastał i on w pierze, co raz to liczniejsze i co raz to bogatsze za protekcyą swego patrona biorąc beneficya duchowne w dostatnio uposażonych kapitułach poznańskiéj, gnieźnieńskiéj, kujawskiéj, nareszcie i w krakowskiéj. A równocześnie obracał się nieustannie na dworze królewskim, tam nabierał znajomości dokładnéj wszystkich spraw politycznych. Wierny swemu opiekunowi odrzucił wprawdzie świetne widoki szybszéj promocyi, jaka go niewątpliwie czekała, gdyby wcześniéj został urzędnikiem królewskim; ale w swoich prebendach przebywał chyba wyjątkowo, natomiast bez przerwy prawie w kancelaryi koronnéj pracował. I późniéj jeszcze, chociaż ściślejszéj między sekretarzami królewskimi, a sekretarzami kanclerza przestrzegano różnicy, ci ostatni jednak układali w kancelaryi koronnéj ważne nawet akta; wtedy, w 15 wieku, powiernik kanclerza był i w kancelaryi jego prawą ręką; a że na dworze od wczesnéj młodości przebywał, sam Łaski powiada.

Jakie tam na niego oddziaływały wpływy? jak się patrzał na postępowanie Kazimierza Jagielończyka lub Olbrachta? jak się sam rozwijał politycznie? nie wiemy. Słyszymy tylko, że kilka dalekich odbył podróży, do Flandryi, do Rzymu, może nawet do Ziemi Św., bądź ze zleceniami swojego opiekuna, bądź jako poseł królewski, bądź wreszcie z pobożności. Bo pobożnym był bardzo nasz prymas od lat najmłodszych aż do późnéj starości: o tém dowodnie świadczy jego te-

stament. Pobożnym był tą pobożnością średniowieczną, która tak wielką przywiązywała wagę do wszelkich kościelnych fundacyj, przeróżnych mszy, jubileuszów, odpustów, pielgrzymek. Zbudować i bogato uposażyć kościół i kolegiatę w swojém rodzinném gnieździe, przyozdobić go i zaopatrzyć we wszelkie łaski duchowne: to najmilsze dzieło jego późnego wieku, które mimo silnego oporu i skarg głośnych—bo dobra arcybiskupie na tę fundacyą familijną obracał—ze zwykłą energią przeprowadził. W młodości żeby dostąpić jubileuszu w r. 1500 wybrał się był do Rzymu—prawdopodobnie i do Palestyny—a przy téj sposobności z pewnością załatwił tam różne sprawy dyspens lub nadań beneficyów kościelnych. Już bowiem poznał dokładnie, jakiemi w Rzymie trzeba chodzić drogami, skoro przed 5 laty po biskupstwo włocławskie dla swego opiekuna tam jeździł. Rzym i dwór papiezki, choć go widział raz pierwszy za Aleksandra VI, w chwili kiedy Rzym zajmowały armie francuzkie Karola VIII, głębokie na nim zrobił wrażenie; zawsze mu potém o ścisły z Rzymem związek, o łączność z nim i zgodę, chodziło. Nie potrzebował zresztą rzymskich wpływów, żeby zawsze ku wszelkiemu kacerstwu czy odszczepieństwu okazywać wstręt najwyższy. To pewno b y główny powód, że na Łaskiego padł wybór magnatów polskich, kiedy do boku nowego króla Aleksandra, świeżo przywilejem mielnickim skrępowanego, potrzeba było przywiązać zaufaną osobę, któraby sparaliżować mogła wpływ ruskiego stronnictwa na Litwie, dokąd król teraz powracał. Stary kanclerz Krzesław z Kurozwęk nie mógł tam za nim jechać, zastępował go dotychczasowy jego powiernik. Z godnością Sekretarza Wielkiego Koronnego otrzymał Łaski pieczęć sygnetową królewską—i odtąd, od r. 1502, poczyna się jego samoistna na dworze królewskim i w państwie działalność.

Jakże spełnił nasz Łaski zlecone mu zadania? Jakże się zachował na swém nowém przy królu stanowisku, na które panowie rada koronna z ufnością go posłali? Pod jednym względem—wiemy od Wapowskiego—wedle sił starał się wykonać, co mu polecono, usiłował, i nie bez skutku, hamować wpływ na Aleksandra stronnictwa ruskiego i tegoż naczelnika, kniazia Glińskiego. Ale po za tém brak nam całkiem wyraźnych świadectw o działalności Łaskiego; słyszymy tylko, że on to już w następnym roku zostaje kanclerzem W. Koronnym po śmierci Krzesława z Kurozwęk, choć podkanclerzy Drzewiecki zdawał się bliższym tego urzędu; słyszymy, że Aleksander zlewa na niego i jego rodzinę szczodrą swą łaskę i hojne dary. Jeszcze po śmierci Aleksandra, Łaski zawsze go swym dobrodziejem nazywał. To już pokazuje tyle przynajmniéj, że król do swego kanclerza nie miał niechęci pomimo opozycyi Łaskiego przeciw polityce królewskiéj na

Litwie. Jakaż tego przyczyna? Poszukajmy jakichś wskazówek, skoro nie ma świadectw wyraźnych.

Za kanclerstwa Łaskiego zapadają ważne na sejmach w Piotrkowie i Radomiu uchwały; Łaski jako kanclerz te konstytucye układa, a konstytucye te pokazują, że na tych sejmach odnawiał Aleksander sojusz swego brata Olbrachta ze szlachtą, że tu podejmowano myśl reformy wewnętrznéj w Polsce, uporządkowania urzędów i skarbu. Sejm radomski uchwala, że należy rozproszone ustawy i przywileje zgromadzić i zbiór ich ogłosić, a król to dzieło zleca Łaskiemu i niebawem, nadzwyczaj prędko, zbiór ten, t. zw. statut Łaskiego, już gotów w druku. Czyż w tém wszystkiém był Łaski tylko woli królewskiéj wykonawcą? czy tylko spełniał wydawane przez króla rozkazy?

Rzecz to z góry nader wątpliwa, nawet nieprawdopodobna. Aleksander stosunków w Polsce nie znał dokładniéj, Aleksander troszczył się tylko o Litwę, gdzie już od dawna rządził, a z Polski pragnął jedynie dla Litwy mieć pomoc wojenną; Aleksander, aby ten cel rychléj osięgnąć, bez oporu zatwierdził i uznał przywiléj mielnicki panom polskim samodzielne rządy zapewniający. Z góry przypuścić należy, że pod imieniem Aleksandra w sprawach polskich działał ktoś inny i ktoś inny wszystkiemi jego krokami kierował.

Kiedy się odbywały owe sejmy, kiedy się drukował statut Łaskiego, spółcześnie powstawało pismo będące wszystkich tych reform uzasadnieniem, rozwinięciem całego ich planu. Kustosz skarbu korony polskiéj, uczony kanonista Stanisław Zaborowski pisał wtedy— i wydał wkrótce potém—traktat (1): „O właściwości praw i dóbr królewskich oraz o naprawie królestwa i rządzie rzeczypospolitéj.“ Tu w imię dobra powszechnego, na prawie kanonicznem oparty, żądał przedewszystkiém zwrotu wszystkich roztrwonionych między magnatów dóbr królewskich i przeznaczenia ich na obronę potoczną; dla dobra powszechnego domagał się reformy w ogóle stosunków wewnętrznych w Polsce, reformy ich przez króla i przez szlachtę. Zaborowski był to człowiek skromny i cichy, nie goniący ani za rozgłosem, ani za dostatkami, „bogaty tylko w cnoty.“ Takie świadectwo daje o nim długoletni naoczny świadek cichego jego żywota. Zaborowski pracował literacko niejednokrotnie, ale te jego prace całkiem

(1) Pismo Zaborowskiego: Tractatus de natura iurium et bonorum regis et de reformatione Regni ac eius reipublicae regimine, wydany w r. 1507, wydał ponownie (w r. 1877) w 5 tomie „Starodawnych prawa polskiego pomników“ prof. Bobrzyński, który poświęcił także Zaborowskiemu oddzielną pracę, ogłoszoną w lwowskim Przewodniku Nauk. i Liter. z r. 1877.

innego są rodzaju: pisał o celibacie księży, o porządku mszy, o gramatyce i ortografii polskiéj; do prawniczych tak wielkiéj doniosłości politycznéj wywodów nigdy więcéj nie wrócił. A jeśli z własnych ust tego skromnego człowieka dowiadujemy się, że właśnie w tym czasie, za króla Aleksandra i w początkach Zygmunta Starego, w najściślejszych pozostawał stosunkach z kanclerzem Łaskim, z którym z tegoż samego, sieradzkiego, pochodził województwa; jeśli widzimy, w jaki do niego przemawia sposób, widocznie zdradzający poufałość, z którą go swoim ojcem, swym dobrodziejem nazywa, pamiętny zresztą zawsze przedziału między prymasem a skromnym altarzystą: (1) toć chyba nie będzie nazbyt śmiałém twierdzenie, że Zaborowski i Łaski, to ludzie jednakich zapatrywań i dążności, jednako reformy państwa pragnący, jednako z jéj potrzeby zdający sobie sprawę. Podzielili tylko pomiędzy siebie zadanie; jeden się w literackiéj sferze obraca, drugi praktyczne tym teoryom nadaje kształty; tamten radykalniéj, bo na papierze, może ostateczne wyprowadzać konsekwencye, ten musi liczyć się z okolicznościami, z tém co się da osiągnąć; Zaborowski żąda królewszczyzn rozdrapanych zwrotu, Łaski sprowadza uchwały, że ich przynajmniéj nadal królowi nie wolno rozdawać, chyba za przyzwoleniem stanów, na cele dobra powszechnego.

Któremu z nich dwóch myśl pierwszą przypisać należy, czy Zaborowski Łaskiego nią natchnął, czy też na odwrót w swoim traktacie pierwotny Łaskiego pomysł tylko rozwinął i uzasadnił—darmoby tego było dochodzić. Ale zrozumiéć łatwo, że myśl ta tylko przez Łaskiego mogła dojść do Aleksandra, że to Łaski dla niéj króla pozyskał, że on go na nowe polityczne wprowadził tory. Bardzo być może, iż kiedy Łaski jechał z królem na Litwę, to o zmianie systemu rządów jeszcze nie myślał i zamierzał być tylko panów rady organem; że dopiero kiedy zobaczył, jak niedołężnie w nieobecności króla rządzą w Polsce senatorowie, jak ten rząd ich kraj na szkodę naj-

(1) W roku 1512 wyszła w Krakowie u Unglera mała książeczka p. t. Ordo missae denuo correctus, którą ogłosił Zaborowski bezimiennie dla użytku księży różnych dyecezyi. Dla tego różne egzemplarze tego wydania mają na tytule co raz to inny herb, biskupa odpowiedniéj dyecezyi; tylko w egzemplarzu z Korabiem jest dedykacya przez Zaborowskiego Łaskiemu, datowana z Krakowa 27 sierpnia 1510 r., inne egzemplarze mają w tém miejscu winietkę przedstawiającą wieczerzę Pańską. Dr. Wisłocki zwrócił moję uwagę, że w egzemplarzu Biblioteki Jagiellońskiéj z herbem Różą (arcybiskupa lwowskiego Bernarda Wilczka) znajduje się na końcu rękopiśmienny przypisek profesora krakow. Mikołaja z Szadka z bardzo ciekawemi o Zab. życiu i charakterze wiadomościami; ztamtąd wzięto, co powyżéj o Zab. powiedziano.

większą naraża (1), wtedy, bystry i rzutny, jeszcze w starości do śmiałych planów skłonny, poprobować ze szlachtą ogólnéj państwa reformy postanowił i króla do tego nakłonił. Ujmując całéj reformy kierunek, wzywając do życia politycznego nowy czynnik, rycerstwo-szlachtę, zapewniał sobie tém samém i ster nad nią i popularność, a zarazem dostęp sobie otwierał do najwyższych godności: ambicyą, która go trawiła, zaspokoić najkrótsza choć ryzykowna była to droga. Ten wzgląd z pewnością był także dla Łaskiego nie małéj wagi, bo cichym i skromnym jak Zaborowski nigdy nie był.

Odtąd w Polsce rządzi—oczywiście imieniem króla Aleksandra—kanclerz Łaski: on pisze konstytucye, które sejmy koronne uchwalają, on tych sejmów przez powołanie posłów ziemskich i miejskich zmienia naturę, on stwarza polski parlamentaryzm i pierwszemi jego kroki kieruje. Pod jego naturalnie imieniem i jako jego praca ukazuje się ów zbiór praw Statutem Łaskiego zwany, którego ogłoszenie, pewno za jego sprawą, sejm radomski 1505 r. uchwalił. Żadne z dzieł Łaskiego nie dało mu takiego i tak trwałego aż po dziś dzień rozgłosu. Rozgłos to słuszny i niesłuszny zarazem. Niesłuszny o tyle, że ten statut, to nie żaden porządny, systematyczny układ prawa, lecz tylko—jak wiadomo—nader bezładny zbiór dawnych ustaw i to nie wszystkich, nie w autentycznych tekstach, lecz w owych przez Helcla tak nazwanych zwodach, do których tylko w ostatnich czasach po większéj części już za kanclerstwa Łaskiego, uchwalone konstytucye dodano. Takie zwody, a obok nich różne pisma prawnicze, posiadał wtedy nie jeden z prawników polskich. Kanclerz wziął któryś taki kodeks, uzupełnił go nowemi konstytucyami, wszystko mechanicznie w jeden wielki zbiorowy spoił przywiléj,—tak téż brzmi tytuł tego statutu—i rzecz gotową posłał do drukarni. Nic dziwnego, że statut był gotów w tak krótkim czasie, zwłaszcza że sam kanclerz zapewne tylko przedmowę i zakończenie napisał, a resztę inni za niego zrobili (2). Ale o tyle znowu rozgłos, który to jego dzieło dało

(1) Bobrzyński, Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra, w Ateneum z 1876 tom 2.

(2) Obaj biografowie kanclerza Łaskiego, prof. Zeissberg i ks. Korytkowski, wymieniają jako współpracownika jego zbioru praw prawnika Jakóba z Zaborowa, powtarzając w tém Wiszniewskiego (Historya liter. V, 128). Ale jego zdanie nie polega na żadnym dowodzie, tylko na własnéj kombinacyi tych dwóch okoliczności: 1) że w statucie Łaskiego pomieszczono sumę Raymunda, a tęż samą sumę widzieć miał W. pochwalnie wspomnianą w jakimś komentarzu prawnym Jakóba z Z. wśród MS. Biblioteki Jagiel. 2) że w r. 1503 przy Łaskim przebywał Jakób z Zaborowa, a kanclerz się o nim wyrażał z pochwałą w jakimś liście, zresztą nieznanym. Wydany obecnie przez dr. Wisłockiego katalog Rękopis. Bibl. Jag. pozwala stwierdzić, że się tam znajdują istotnie MSpta, które

Łaskiemu, jest sprawiedliwym, że samo ogłoszenie choćby niedoskonałego zbioru praw było faktem wielce doniosłym, jak zarazem było i naturalnym skutkiem tego, że szlachtę powoływano do stałego przez posłów we wszystkich sprawach udziału. Teraz dopiéro w tych szerszych kołach mogła się rozpowszechnić prawa znajomość, a poznanie wszystkich sprzeczności i niedostatków w istniejących ustawach musiało sprowadzić tę dążność do uporządkowania i skodyfikowania prawa, która niebawem, za Zygmunta I, tak nieustannie i nagląco przez dłuższy czas się wśród szlachty objawia.

Takie jak Łaskiego za Aleksandra stanowisko niosło za sobą wiele osobistych korzyści dla niego i dla krewniaków jego, których w przedmowie do statutu publicznie narodowi zalecał. Brat jego starszy Jarosław, niedawno jeszcze tylko wojski sieradzki, niebawem siedzi na wysokiéj senatorskiéj godności jako wojewoda łęczycki, a w parę lat przenosi się na rodzinne swe województwo sieradzkie, które odtąd z ojca na syna i z brata na brata jakby dziedzictwem przechodząc w rodzie Łaskich przez cały wiek prawie zostaje. Sam kanclerz otrzymuje za prezentą królewską do swych dotychczasowych beneficyów aż trzy probostwa: poznańskie, średzkie, łęczyckie; pierwsze i trzecie liczyło się między najbogatsze w całéj Polsce prelatury, równe mniéj dostatnim biskupstwom. Kiedy zaś określano obowiązki kanclerzy, w konstytucyach piotrkowskich 1504 r. pomieścił Łaski przepis, że oni to przed wszystkimi innymi będą mieli pierwszeństwo do opróżnionych biskupstw i arcybiskupstw. Podkanclerzy Drzewiecki skorzystał z tego i został wnet biskupem przemyskim; Łaski jednak po tę ubogą katedrę nie sięgnął wcale, jego ambicya mierzyła od razu wyżéj. Od pierwszéj niemal chwili, odkąd został kanclerzem, rozpoczął usilne kilka lat trwające zabiegi, aby so-

---

były własnością Jakóba z Zaborowa doktora dekretałów i profesora krak., lecz ten żył w pierwszéj połowie 15 w. (magistrem został 1411 r., a 1437 był rektorem Uniwersytetu, Muczkowski, Statuta, p. 17 i 28); że natomiast nie ma wśród MSptów żadnego traktatu prawnego Jakóba z Z., któryby żył w końcu 15 i początku 16 w., suma zaś Raymunda znajduje się (oprócz w 2 innych) w MS. Jakóba Parkosza z Żórawicy, także doktora dekretów. Kto wie, jak pobieżnie Wiszniewski rękopisy Bibl. Jag. przeglądał, ten nie zawaha się przypisać mu, że pomięszał dwóch doktorów Jakóbów z sobą i potém skombinował ich z 3-ą osobą. Bo że w liście Łaskiego była mowa o Zaborowskim, temu chętnie wierzymy, ale oczywiście o tym Stanisławie Z., o którego stosunkach z Ł. już wiemy. Może być bardzo, że St. Z. był posiadaczem zbioru, który wziął od niego Ł. i kazał wydrukować; mógł jednak wziąść taki zbiór i od innego uczonego prawnika, z którym go w tym czasie bardzo bliskie stosunki łączyły (Zeissberg, Testament, 125, 126), doktora Mikołaja Kotfieza, notariusza królewskiego; tego pismo prawnicze nawet Ł. w swym zbiorze pomieścił; w każdym razie kombinacya Wiszniewskiego nie ma podstawy i musi upaść, choć ją tyle razy powtórzono.

bie w niezwykły w Polsce sposób zapewnić najwyższą w kościele godność, prymasowską, aby zająć pierwsze w państwie po królu miejsce.

Jak wiadomo, w Polsce od czasów Kazimierza Jagielończyka praktykowało się stale, że ilekroć które z biskupstw zawakowało, król nominował na nie od siebie, a kapituła nominata wybierała, poczem papież takiego nominata-elekta zatwierdzał i udzielał swéj na biskupstwo prowizyi. Nie było w tym względzie żadnego formalnego postanowienia; formalnie przysługiwało kapitułom prawo niby wolnego wyboru; król okazywał się zazwyczaj o tyle uprzejmym i względnym w formie, że zawiadomiony przez kapitułę o dniu elekcyi biskupa posyłał tam swego wysłańca, który wychwalając przymioty nominata do wyboru go kapitule—tylko zalecał: ale po doświadczeniach zrobionych za Kazimierza, nigdy odtąd żadna kapituła polska nie probowała zwrócić wyboru na inną raczéj osobę, niż na nominata królewskiego. Dopóki żył Aleksander, dopóki trwał Łaskiego wpływ na niego, mógł kanclerz liczyć na pewne, że jakiegobądźby biskupstwa wakującego zażądał, nominacya królewska go nie minie. Lecz zdrowie króla nie rokowało mu długiego żywota, na równą następcy przychylność trudno było na pewno rachować, lepiéj było się zabezpieczyć zawczasu. Więc gdy obecny prymas Andrzej Róża, może z pomocą kanclerza dostąpiwszy swojéj godności (jedyny to bowiem wypadek, żeby arcybiskup lwowski, znacznie uboższy od każdego głównego biskupa w Polsce, został prymasem) ofiarował mu koadjutoryą arcybiskupstwa, Łaski pochwycił natychmiast tę sposobność. Aleksander przyzwolenia oczywiście nie odmówił, potrzeba tylko było, aby papież koadjutoryą z prawem następstwa zatwierdził. Łaski znał wszystkie praktyki rzymskie, śląc tam w téj sprawie doskonałego kortezana, Mikołaja Czepiela, nie wątpił zrazu o rychłym skutku.

Nad wszelkie spodziewanie w Rzymie rzecz poszła trudno. W rok potém jak Łaski rozpoczął pierwsze o koadjutoryą starania, przybył do Rzymu z poselstwem od Aleksandra biskup płocki Erazm Ciołek i począł mu na każdym kroku tak systematycznie przeszkadzać, że odtąd Łaski najzawziętszym go swoim mienił „wrogiem.“ Nie zawsze tak przedtém bywało. Gdy Łaski przybył pierwszy raz na dwór króla Aleksandra, zastał tam Ciołka ulubieńcem królewskim, z którym potrzeba się było liczyć. Ciołek znów wątpliwego pochodzenia i więcéj niż niepewnego szlachectwa potrzebował w Polsce (bo na Litwie łaska królewska wystarczała) Łaskiego pomocy, aby dostąpić wyższych godności duchownych. Podobno zawarłszy obaj z sobą układ wzajemnie sobie popierać swe interesa przyrzekli.

Dotrzymał Łaski obietnicy biorąc udział w niezmiernie naciąganym wywodzie szlachectwa, jaki przeprowadził z pomocą króla Erazm, gdy go kapituła krakowska dla plebejskiego pochodzenia w swoje grono przyjąć nie chciała (1). Podobno i do biskupstwa płockiego w następnym już roku Łaski Erazmowi dopomógł; spółcześnie, może za poparciem Ciołka, sam otrzymał kanclerstwo i króla dla swoich planów reformy w Polsce pozyskał. Ale niebawem przyszło między nimi do zerwania. Kto dał do tego powód? Łaski na Ciołka winę zwala; o powód nie było trudno między dwoma ambitnymi ludźmi, współzawodnikami na tym samym dworze, gdzie każdy już teraz na własnych stał silnie nogach. Łaski z pewnością zawsze na Ciołka patrzył z góry, pewno go zawsze za „chłopa" uważał. Tak go też wszyscy mimo wywodu szlachectwa nazywali; konstytucye z r. 1504, które ponownie dostęp nieszlachcie do wszystkich stolic biskupich i głównych kapituł (prócz pewnéj liczby miejsc dla doktorów plebejów) zamykały, najoczywiściéj w pierwszéj linii przeciwko Ciołkowi były wymierzone. Nie Łaski wprawdzie był autorem dawniejszych od jego kanclerstwa uchwał sejmowych jeszcze z r. 1496; ale że je wznowiono w téj chwili, zaraz po wyniesieniu Ciołka i jakby wskutek tego wyniesienia, w tak dobitny sposób, z wyraźnym celem, aby mu drogę do wyższych jeszcze godności zagrodzić, to z pewnością odpowiadało chęciom Łaskiego, który zresztą działając w téj chwili w zgodzie ze szlachtą, choćby chciał, nie byłby mógł takiéj ustawie przeszkodzić.

Aleksander prawdopodobnie umyślnie w téj chwili Ciołka do Rzymu wyprawił, żeby go usunąć przed powszechną szlachty ku niemu nienawiścią: dla Łaskiego było to niefortunném; bo winiąc go, że owym konstytucyom nie przeszkodził, Ciołek miał teraz sposobność do pomsty, a jednocześnie do zyskania sobie przyjaciół wśród polskich panów duchownych. Biskupi polscy z pewnością z wielką patrzyli niechęcią na Łaskiego starania. Większość wśród nich, może wszyscy, czuli się panami duchownymi, potępiali niewątpliwie kierunek polityczny Łaskiego, jego sojusz ze szlachtą; do tego przybywały interesa ambicyi. Zaczął się już ustalać w Polsce niebardzo zgodny z przepisami kanonicznemi zwyczaj, że stopniowo z mniéj bogatych katedr biskupich na coraz dostatniejsze postępowano. Łaski tymczasem odrazu chciał dosięgnąć samego szczytu, ubiedz tych, którzy lepsze od niego do prymasowskiéj godności przypisywali sobie prawo. Szczególniéj poważny i rzeczywiście zasłużony swoim około pod-

(1) Lukas, Erazm Ciołek, w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1877 tom 4 str. 58 (także i w oddzielnéj odbitce).

niesienia szkół trudem biskup poznański Jan z Lubrańca żywił nadzieję, że na Gnieźnieńskiéj po Róży siędzie stolicy. Z Erazmem porozumiał się ajent Łaskiego Czepiel, pieniądze przysłane przez kanclerza obrócono na inne cele, sprawa koadjutoryi nie postępowała w Rzymie naprzód—tymczasem w Polsce zaszły zmiany.

Umarł król Aleksander, do końca otaczany troskliwą strażą kanclerza; nastał król Zygmunt Stary całkiem inném na Łaskiego spoglądający okiem. Rozważny i aż do lękliwości ostrożny, powolny i wahający się, niechętny każdemu śmielszemu przedsięwzięciu, objąwszy rządy państw swoich wśród nader trudnych okoliczności, przy groźnych ze wszystkich stron niebezpieczeństwach, Zygmunt I nie czuł wielkiego pociągu ku ryzykownéj swych poprzedników polityce wewnętrznéj. Reformy stosunków wewnętrznych potrzebę i on wprawdzie uznawał, reformę zwłaszcza siły zbrojnéj przedsięwziąść niebawem i on zamierzał; ale przed sojuszem w celu jéj dokonania ze szlachtą, cofał się trwożnie, wolał do wykształceńszych i bardziéj doświadczonych panów rady się odwołać, z ich to raczéj pomocą pracy politycznéj probować. Łaski, naczelnik szlachty, imponował mu wprawdzie śmiałością, tém że pierwszy sprawę reformy poruszył i na sejmy wprowadził, ale więcéj jeszcze przejmował go trwogą, wzbudzał w nim podejrzliwość. Zygmunt nie zrywał z nim do nagłych zwrotów nie skory, ale odsuwał się od niego widocznie, raz po raz podawał chętne ucho jego przeciwnikom, tak że Łaski swego na króla wpływu nigdy nie był pewny. W sprawie koadjutoryi gnieźnieńskiéj przyzwolenia Aleksandrowego nie cofnął Zygmunt, nie mniéj jednak w téj sprawie kanclerzowi „niechętną twarz okazywał", a jego przeciwnikom sprzyjał. Jak dalece zachwiał się od razu cały wpływ kanclerza, to najlepiéj pokazuje jedna z pierwszych koronacyjnego sejmu konstytucyj, uchylenie ustawy z r. 1504 o ekspektatywie kanclerzy na biskupstwa. „W statucie Aleksandra króla—słowa są téj uchwały—co jest napisano o kanclerzu i podkanclerzym około opatrzenia ich na dostojeństwa i urzędy duchowne i świeckie, tedy tak to opatrując skazujemy, iż my i potomkowie naszy mają mieć słuszny wzgląd na prace i zasługi ich. Wszakże w naszéj i potomków naszych dobréj woléj to zostawiamy, aby wedle zasług i dzielności kożdego nam to było wolno, jako się czas poda tudzież Rzeczypospolitéj będzie pożyteczne, każdego z nich na wyższy stan i opatrzenie wyższe podnieść" (1). Przy całéj swéj zawiłéj i nie jasnéj osnowie konstytucya ta wyraźnie w Łaskiego godzi.

---

(1) Wedle przekładu Herburta, Statuta i przywilcje, f. 193.

Kanclerz jednak nie uląkł się i nie cofnął, bo jak powiada, cofnąć się niemógł; tylko odtąd w Rzymie całą złożył nadzieję. Raz po raz słał tam znaczne pieniądze, gromadził je skąd tylko można było coś dostać, niekiedy bez skrupułu, brnął w coraz nowe długi, z których nigdy do śmierci już się nie wydobył, i nareszcie po czteroletnich mozolnych zabiegach uzyskał prowizyą apostolską od Juliusza II a z początkiem r. 1509 mógł wejść w posiadanie koadjutoryi gnieźnieńskiéj. Przeciwnicy Łaskiego nie uważali jeszcze tego za ostateczne rozwiązanie sprawy. Że się teraz mocno na prowizyi papieskiéj opierał, za to oni stojąc przy prawie nominacyi królewskiéj mienili go kortezanem, który przez Rzym w tak nienawistny królom polskim sposób na katedrę arcybiskupią wedrzéć się usiłuje, utrzymywali, że godzien za to losu Jakóba Sienieńskiego, owego prałata, którego papież biskupem krakowskim naznaczył, a Kazimierz Jagiellończyk nie dopuścił do objęcia katedry.

Kortezanem co prawda Łaski nie był, ale w tych oskarżeniach była część prawdy: nigdy on istotnie nie okazywał takiego wstrętu, jak wszyscy polscy w 16 wieku biskupi, do mieszania się Rzymu w szafunek beneficyami duchownemi, nigdy nie bronił tak ostro jak inni wyłącznego prawa królewskiego nominacyi. Kiedy potém, po śmierci Ciołka w Rzymie, papież Adryan VI nie pytając się króla rozporządził biskupstwem płockiem na rzecz obcego prałata, kiedy z kancelaryi Tomickiego szły wówczas groźne o to do papieża odezwy, a król najwyższy gniew okazywał: Łaski powszechnego oburzenia nie dzielił, radził szukać drogi pośredniéj i sam podawał sposoby, jakby się mogło stać zadość pretensyom rzymskim, prawda, że z osobistą korzyścią jego własnéj rodziny. Kilka lat przedtém, gdy w Rzymie jako prymas na soborze laterańskim przebywał, bez wiedzy króla lub nawet wbrew króla nominacyi, jak w głośnéj sprawie kantoryi gnieźnieńskiej, wyjednał od papieża nadanie sobie lub swoim różnych beneficyów, że się aż cały synod prowincyonalny na niego skarżył. Wogóle z Rzymem starał się zawsze ścisłe utrzymywać stosunki; brat jego Andrzéj nader często tam bawił. Obecnie, w sprawie o prymasowstwo, w rzymskiéj prowizyi widział główne swoje do niego prawo. Zygmunt po śmierci Andrzeja Róży wahał się rzeczywiście, czy dopuścić Łaskiego do prymasowstwa. Jeżeli w końcu to uczynił, to obok innych pobudek niemniéj ważną była i ta, że nie chciał król zatargu z całém, które za Łaskim stało, stronnictwem i równocześnie ze stolicą apostolską, swoje zaś prawo nominacyi przez poprzednie przyzwolenie Aleksandra widział pokryte.

„Ostatecznie jednak uszanowano prowizyą apostolską“: w maju 1510 r. został Łaski arcybiskupem prymasem i złożył zgodnie

z niedawną konstytucyą pieczęć koronną. Nie wszyscy tak niechętnie jak wpływowi biskupi patrzyli na nowego prymasa. „Pożądaniem pożądałem tego, co z tobą Najprzewielebniejszy Ojcze teraz Bóg uczynił; słusznie powiedzieć mogę: ukazały się kwiaty po ziemi naszej, przyszedł czas winnic obrzynania, bezpłodne latorośle będą wycięte, aby bardziej żywotne tém obfitszy owoc wydały. Prawdziwy to jest palec Boży, podnoszący, mówiąc z psalmistą, z prochu nędznego, aby zasiadł między książęty i dzierżył stolicę chwały. Powszechne to jest dobro i powszechne, jak nigdy przedtem, z Waszéj Przewielebności wszystkich wesele. Słusznie raduje się i przechwala się w Panu kościół całéj korony." Temi słowy, wymowną amplifikacyą słów biblii, wita Stanisław Zaborowski (1) Łaskiego, zaraz gdy zasiadł na stolicy gnieźnieńskiej. Pamiętajmy, że to mówi człowiek „uczciwy, kapłan prawdziwie chrześciański," który umarł w ubóstwie, chociaż przez 32 lata był kustoszem skarbu królewskiego, który „żadnych nie pragnął beneficyów a dobrowolnie mu dawane odrzucał, mówiąc, że dość mu tego, co ma z urzędu swego i z altaryi." To więc nie głos pochlebcy, który pragnie wyłudzić coś od dostojnego patrona; to echo tych oczekiwań i nadziei, które wyniesienie Łaskiego budziło w kołach pożądających reformy i naprawy państwa. Kiedy panowie rady i świeccy i duchowni widzieli z oburzeniem, że z prochu — jak mówi Zaborowski — prosty szlachcic sieradzki, bez świetnych koligacyj i stosunków, bez studyów zagranicznych i stopni doktorskich, stanął na czele i kościoła i senatu, — w kołach szlachty, w kołach posłów sejmowych, witano radośnie na tém dostojeństwie swojego przewodnika; tam nikt teraz nie myślał o kortezaństwie owém, jakie mu zarzucano, choć kortezaństwo i dla szlachty było rzeczą wstrętną i nienawistną.

Świadectwo Zaborowskiego rzuca jasne a niespodziane światło na całe stanowisko kanclerza a obecnego prymasa. Światło tém pożądańsze dla nas, że szczupłe bardzo i mętne mamy o Łaskim wiadomości, chociaż właśnie od tego czasu znacznie obficiej płynąć poczynają źródła historyczne w zbiorze t. zw. Acta Tomiciana. Z tego to powodu, dla téj szczupłości naszych o Łaskim wiadomości, mniema prof. Liske, że Acta Tomiciana są tendencyjnie ułożone. Nieśmiałbym tego tak stanowczo twierdzić. Prawda, że układający Tomicyana Stanisław Górski był wiernym sługą i stronnikiem zupełnie oddanym Tomickiemu, najważniejszemu wkrótce wśród Łaskiego nieprzyjaciół. Ale bardzo być może, że Tomicyana pomimo woli Gór-

(1) W dedykacyi już cytowanego Ordo missae; co zaś poniżéj o Zab. powiedziano, pochodzi ze wspomnianéj już zapiski Mikołaja z Szadka.

skiego stały się tendencyjnemi; bardzo być może, że Górski dlatego pomieścił w tym zbiorze liczne Tomickiego i jego przyjaciół korespondencye prywatne, bo te mu były dostępne, gdy tymczasem listów prywatnych Łaskiego nie znał i nie mógł dostać. Bądź co bądź w Tomicyanach słyszymy o Łaskim tylko z ust jego nieprzyjaciół i tylko w sposób niekorzystny: wyjątkowo chyba spotkać tam można jakiś list nawpół urzędowy od prymasa do króla albo kanclerza. Dlatego słuszne całkiem zdanie prof. Liskego, że z Tomicyanów poznajemy Łaskiego jednostronnie, fałszywie. Słusznie też Liske pierwszy przedsięwziął nam go pokazać takim, jakim był w rzeczywistości: naczelnikiem całego stronnictwa politycznego; obok innych dowodów wskazał na własne Tomickiego słowa, że między nim a Łaskim „nie zachodziła nigdy żadna prywatna nieprzyjaźń,“ że antagonizmu ich głównem źródłem to, iż (Tomicki mówi o sobie) „wypowiadał otwarcie, co za korzystne i zbawienne dla Rzeczypospolitej uważał.“ Sprzeciwił się wywodom Liskego dr. Hirschberg, zaprzeczył wprost istnieniu w Polsce za Zygmunta Starego różnych stronnictw politycznych i zgromadzić się starał szereg dowodów na to, że tylko antagonizm osobisty, prywatny, dzielił Łaskiego od jego przeciwników, że tylko jeden miał prymas cel na oku: wyniesienie swojéj rodziny, że tylko nieustanne w tym kierunku jego zabiegi nienawiść mu innych panów rady sprowadziły. — Nie będziemy się sprzeczać z dr. Hirschbergiem, co należy „rozumieć przez stronnictwo polityczne w najszerszém tego słowa znaczeniu;“ nie będziem rozbierali, czy można twierdzić, że „ze zmianą polityki Zygmunta I zmieniały się także dążności i sympatye polityczne jego kanclerzów,“ czy wolno o zupełny brak własnego zdania ludzi takich jak Tomicki tak stanowczo posądzać, czy wreszcie może kto uwierzyć w tak stanowczy i despotyczny wpływ tego króla, o którym Krzycki — a ten go znał pewnie dobrze—pisze w poufnym liście do wuja: „znasz króla, że nic nie uczyni sam z siebie, że natomiast uczyni wszystko, czego zechcą ważni senatorowie i dla tego potrzeba mieć o nim staranie i dodawać mu bodźca“ (1). Chętnie zgodzimy się nawet z dr. H., że w antagonizmie Łaskiego z Tomickim i innymi, osobiste sprawy i współzawodnictwa odgrywały nieraz bardzo ważną rolę: przywiedzionych słów Tomickiego nikt pewno nie będzie rozumiał całkiem dosłownie. Ale przeczyć istnieniu różnych stronnictw w państwie, które nie jest absolutną monarchią, to znaczy przeczyć, że to państwo żyje, że w niem jakiś ruch się odbywa. Że Polska nie była wte-

(1) Acta Tom. VII, 311, N. 75 znajduje się to najdobitniejsze, lecz bynajmniéj nie jedyne świadectwo tego rodzaju o Zygmuncie.

dy absolutnie rządzoną, toć wiadomo, a że za Zygmunta I reform usiłowano dokonać, temu nikt nie zaprzeczy.

Musiały więc być w Polsce ówczesnej stronnictwa polityczne, a przynajmniéj stronnictw zawiązki. Tylko te stronnictwa miały zarazem charakter poniekąd kliki. Każdy popierał swoich, żeby ich być pewniejszym; każdy chciał jak najwięcéj zająć wpływowych posad, bogatych beneficyów, żeby jak najwięcéj zgromadzić środków; to stronnictwa całego znaczenie podnosiło, dodawało mu więcéj siły do osiągnięcia swych celów. Ale żeby osiągnąć cel jakiś polityczny tak dalece za wyniesieniem własném i swoich, za korzyściami osobistemi goniono, że nieraz cel ów istotny zdawał się niknąć z oczu, że samo wyniesienie stawało się poniekąd celem. W Polsce czynił to wtedy każdy; Łaski swych przeciwników przewyższał jednak i w tém także większą energią i bezwzględnością; jak we wszystkiém i w tém także był od nich rzutniejszy i zuchwalszy. Tem wyżéj dążył, od im skromniejszych zaczął początków; tém silniéj pchał swoich, im mniéj dotąd w kołach najwyższych i wpływowych miał zwolenników i przyjaciół; tém téż głośniejsze krzyki oburzenia powstawały tam na niego, im szybszą i świetniejszą była jego karyera. Te krzyki, te niechęci poznajemy w Tomicyanach z poufnych korespondencyi Tomickiego, Krzyckiego i innych, gdy tymczasem zgoła nie wiemy, co o nich samych w przeciwnym powiadano obozie. Bądź co bądź „swoich wynosić i wielkie rzeczy robić" (1), to prawdziwe godło Łaskiego, całéj Łaskich rodziny; która z dwóch części tego godła na pierwszem stała miejscu, nie zawsze łatwo rozpoznać; nieraz pewno samo wyniesienie wydawało się „rzeczą wielką."

Świadectwo Zaborowskiego o Łaskim, tak cenne, że wychodzi od człowieka żyjącego zdala od gwaru ambicyj ścierających się na dworze i w radzie królewskiéj, którego echo przynoszą nam Tomicyana, nie jest jedyném. Inny poważny także głos nas dochodzi o stanowisku prymasa wobec ważnych spraw wewnętrznych: w sporze o stronnictwa za Zygmunta I dotąd tylko politykę zewnętrzną omawiano.

Wspomniał już Zeissberg, lecz w przypisku tylko, z powątpiewaniem, że Frycz Modrzewski Łaskiemu projekt jakiegoś banku przypisywał. Nieco więcéj powiada o tém ks. Korytkowski, objaśniając, że bank ten miał na procent kapitał w nim złożony wypożyczać, a w razie nagłym na potrzeby kraju dostarczać. Żaden z obu nie

---

(1) Temi słowy charakteryzuje kapituła gnieźnieńska działalność prymasa, gdy w r. 1519 czyniąc mu ostre wymówki skarży się, iż ut suos exaltet et magnas res aget audacter in maiora debita ivdies ruit, Korytkowski, 43 nota 1.

sięgnął do źródła, poprzestali na cytacie Czackiego. Zobaczmyż co sam Frycz o tém pisze (1):

„Był niektóry senator, któremu się zdało, żeby w rzeczypospolitej by jedną zbożności górę (Mons pietatis ma łaciński tekst Frycza, co dziś zwykle bankiem pobożnym nazywamy) zbudowano; tak on zwał one spółki (t. j. składki) lub pieniądze, któreby wszyscy wedle możności swéj każdy raz zrzucili a potemby tych co rok przyczyniali.... Pospolity skarb (i w tém miejscu ma tekst Frycza: Mons Pietatis, lecz tu już tłómacz oddał inaczéj) jakom ja słyszał, on sławny a mądry wielce człowiek Jan Łaski, będąc i w nabożeństwie i w rzeczypospolitéj naszéj przedniejszy, na niektórym sejmie w Piotrkowie założyć tak radził: niektóre sumy zwał pierwszemi, drugie wtóremi, a niektóre trzeciemi. Pierwsze sumy rozumiał połowicę pożytków (t. j. dochodów), którą całą aby każdy raz dał, za to miał, żeby było dosyć; licząc za pożytki i czynsze gotowe i co się z gumna przychodzi. Za drugie sumy liczył, żeby co rok dwudziestą część swych dochodów każdy dał. Trzecieby sumy przepadające były te, o których niżéj powiemy" (istotnie daléj nieco powiedziano, że to miały być „wszystkie pieniądze za winy wedle prawa i zwyczaju brane od tych, którzy w jakich występkach przeświadczeni są"). „A aczkolwiek ani pierwsze, ani wtóre sumy nie mogą być postanowione, jedno oszacowawszy dochód każdego; ale iż pierwsza tylko raz miała być składana, przeto był téj nadziei Łaski, że wszyscy rzeczypospolitéj miłownicy byliby tak na nią łaskawi, żeby ją chętnie i szczodrze złożyli okrom dostatecznego (t. j. dokładnego, exacta) majętności albo dochodów szacowania. A jeśli się to ciężko zdało dla trudności o pieniądze pierwszą sumę wszystką zarazem złożyć, wszakże tak rozumiał, że bez trudności za dwa lecie albo najdaléj za trzy mogłaby być złożona i od króla i od wszystkich wieczną osiadłość mających, a także téż i od wszystkich duchownych osób, które beneficya dożywotne mają. Bo tak rozumiał, że ci duchowni mieli być od tego podatku wolni, którzy tylko do roku co trzymają a potém wedle woléj starszych miejsca odmieniać muszą; ale którzy beneficya dożywotne mają, ci wedle przemożenia (t. j. wartości) każdego beneficyum i wedle dochodu z gumien i czynszów przychodzącego żeby pierwszą i wtórą sumę składali. Toż się i o świeckich paniech i o szlacheckim stanie folwarki i inne pożytki mającym wedle jego zdania rozumieć miało. Toć było Łaskiego o skarbie rzplitéj zdanie."

---

(1) Andreae Fricii Modrevii De republica emendanda libri quinque, Basileae 1559, p. 196; tu podaję słowa spółczesnego przekładu Cypriana Bazylika w wyd. Turowskiego str. 292.

To więc nie o żaden bank chodziło, nie o gromadzenie w nim kapitałów, któreby niosły procent, nie o instytucyą kredytową, o jakiéj nikt w początkach 16 wieku nie myślał nawet, która podówczas w Polsce byłaby zgoła niedorzeczną. Tłómacza Fryczowego nie zwiodła owa dla dzisiejszych Łaskiego biografów łudząca nazwa Mons pietatis. Miał to być tylko „skarb pospolity," skarb rzeczypospolitéj na potrzeby obrony granic, którego utworzeniem tak wiele się przez cały wiek 16 u nas zaprzątano, tak długo, a daremnie o nim radzono. Z tym projektem występował Łaski na sejmie którymś za Zygmunta Starego, kiedy nieustannie coraz to inne czyniono próby, jak zorganizować na nowo służbę wojenną zamiast pospolitego ruszenia. Bo że istotnie Łaski z takim projektem wystąpił, to najmniejszéj nie może podledz wątpliwości. Andrzéj Frycz wprawdzie nie od niego samego o tém się mógł dowiedziéć, bo dzieckiem był prawie, kiedy stary prymas umierał. Ale Frycza z domem Łaskich łączyły (wedle własnych słów jego) bardzo bliskie stosunki. Ze Stanisławem Łaskim, wojewodą sieradzkim, najmłodszym z synowców prymasa, jeździł jako sekretarz poselstwa do Karola V; jedno z pism swych Łaskiego ochrzcił imieniem (Lascius sive de poena homicidii), do młodziutkiego Olbrachta Ł. ze słowami zachęty się odzywa, a o zmarłym Hieronimie z najwyższém mówi uznaniem. Mógł Frycz mieć i miał z pewnością dokładne informacye.

Dowiadujemy się więc od niego, w jaki to sposób rozpoczętą za Aleksandra reformę chciał Łaski za Zygmunta daléj prowadzić. Zamknął szafunek dóbr królewskich bez sejmu, z pewnością ku wielkiemu niezadowoleniu magnatów, popierał lub może pierwszy podał myśl odbioru rozdrapanych królewszczyzn, którą tak uczenie z prawa kanonicznego rozwijał jego przyjaciel. Ale gdy się przekonał — a wprędce przekonać się o tém musiał — że pomysł ten żadną miarą nie da się urzeczywistnić, gdy pozostałe królewszczyzny na coraz większe potrzeby i wydatki nie mogły starczyć, występował z nowym pomysłem, który go całego doskonale charakteryzuje. Boć najwyraźniéj tu się na rzymskich wzorach opiera, na praktyce kościelnéj te opłaty jednorazowe całéj połowy rocznego dochodu, toż to nie co innego jak wprowadzenie na cele państwa tych samych annat, które duchowni od wieków na potrzeby kościelne papieżom płacili. A do ściągnięcia ich przystąpić zaraz, polegając na sumienności płacących, to sposób śmiały i ryzykowny, jak je nasz prymas lubił, ale—kto wie czy w Polsce nie prościéj prowadzący do celu niż mozolne i długie poprzednio dóbr taksacye. Szacowanie dóbr każdego miało przyjść potém, dodatkowo; zaprzeczyć się z pewnością nie da, że znał Łaski narodowy charakter, znał dobrze zwłaszcza szlachtę polską, gdy się

więcéj po ofiarności w chwilowém uniesieniu spodziewał niż po cichem i wytrwałem spełnianiu obowiązku, kiedy zapał długie przygotowania ostudzą.

Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą, gdybyśmy mogli wiedziéć, na którym to sejmie piotrkowskim Łaski swój projekt wnosił: czy zaraz na początku rządów Zygmunta, czy dopiero po nieudałych jego pierwszych usiłowaniach, aby zorganizować obronę. Jeżeli projekt ten pierwsze owe próby poprzedził, to musielibyśmy w nim upatrywać pierwszy też do nich impuls a w Łaskim istotnego niedoszłych reform wojskowych za Zygmunta autora. Bardzo to być może, pewności jednak ani żadnego dowodu na to nie mamy. Ale co przedewszystkiém w tym pomyśle uderza, to ta śmiałość, z jaką naczelnik kościoła w Polsce duchowieństwu całemu ofiary ciężkie na rzecz państwa chce nałożyć. Bez wahania wyciąga Łaski praktyczne konsekwencye, przed któremi cofał się Zaborowski lub wypowiedzieć ich nie chciał, i w imię dobra powszechnego na kler polski pomimo wolności duchownych rozciąga obowiązki dla skarbu publicznego.

To właśnie miało największe znaczenie praktyczne: projekt cały, jak wiadomo, nie przyszedł do skutku, może tylko, zmodyfikowany znacznie, dostarczył punktu wyjścia do owych niefortunnych prób taksacyi. Ale to miało znaczenie, że prymas Łaski zawsze był gotów przemawiać za koniecznością ofiar duchowieństwa na rzecz publiczną. Wnet po objęciu swéj godności przystąpił do najważniejszego dziś dla nas swego dzieła, polecając spisać uposażenia wszystkich prebend duchownych w swojéj rozległéj archidyecezyi, aby ten (świeżo dopiero wydany) Liber beneficiorum gnieźnieński posłużył za podstawę do słusznego rozdziału kontrybucyi na duchowieństwo. Dlatego potém zawsze gotów był zwoływać przed każdym niemal sejmem synody prowincyonalne, żeby na nich duchowieństwo zawczasu stanowiło, jak się do poborów sejmowych ma przyczynić. Wtém się różnił nasz prymas od większości spółczesnego mu duchowieństwa. Nietylko niższe, szczególniéj kapituły, niechętne było takiemu ich pociąganiu do ciągłych opłat: nawet dostojnicy kościelni blisko dworu stojący, Tomicki, Krzycki, stawali w obronie odrębnych praw duchownych, radzili mniéj dawać, żeby potém więcéj nie żądano. Wszelkich ofiar pieniężnych nie odmawiali wprawdzie i oni, ale sądzili, że synodów na ten cel unikać raczéj należy, że lepiéj się potajemnie z kapitułami w tym względzie porozumiéć, aby, wskazując na ich niechęć, mogli biskupi na sejmie od nazbyt ciężkich żądań się uchylić (Ac. Tom. VI, 78, 203). To też popularnym był Łaski między szlachtą, od niego ulgi ciężaru kontrybucyi na wojnę wyglą-

dała; nienawistnym natomiast był dla niéj w najwyższym stopniu Tomicki, szczególniéj odkąd wziąwszy już bogate biskupstwa, mimo to wbrew ustawom pieczęci podkanclerzego nie chciał nikomu ustąpić.

W tém zapewne, w téj gotowości do opłat od duchowieństwa, kryje się tajemnica wpływu Łaskiego na Zygmunta, jaki, mimo wszystkie zabiegi przeciwników, długo na niego wywierać potrafił. Osobiście bowiem dla Zygmunta takiego, jakim go wszystkie świadectwa pokazują, Łaski nie mógł być sympatycznym; zawsze nierównie bliżsi byli sercu królewskiemu panowie rady poważni, oględni, nierównie milsze mu były senatorskie rządy, niźli zuchwałe plany opartego na szlachcie i szlachtę popierającego prymasa, Ale Zygmunt widział konieczność reform skarbowych i wojskowych, a Łaski był ojcem myśli reformy; Zygmunt nie odbierał wprawdzie królewszczyzn, lecz wykupywał je za pomocą swego kredytu u mieszczańskich bankierów krakowskich, a Łaski chętniéj niźli ktobądź z biskupów pieniędzy od duchowieństwa na spłacenie tych długów, na założenie skarbu, gotów był dostarczyć.

Streszczam poprzedzający wywód, nazbyt może długi, lecz konieczny, skoro o istnienie stronnictw za Zygmunta się spierano, skoro, o ile wiem, nikt dotąd na te stronnictwa w obec spraw wewnętrznych nie zwrócił jeszcze uwagi. Zdaje mi się, że teraz dosyć jasno te stronnictwa widzimy: z jednéj strony więc Łaski, popierany przez szlachtę—z drugiéj prawie wszyscy panowie rady, senatorowie; tam myśl reformy i śmiałe do niéj środki: odbiór królewszczyzn, wielkie składki na skarb publiczny, znaczne kontrybucye na duchowieństwo,—tu przedewszystkiém niechęć ku wszelkiéj daleko sięgającéj zmianie, skłonność, aby reformę, skoro nie można jéj usunąć, przynajmniéj skierować na powolniejszą drogę, wreszcie chęć zmniejszania udziału duchowieństwa w ciężarach publicznych; ze strony Łaskiego kościelna średniowieczna podstawa i niezbyt zazdrosna czujność, aby Rzym się w szafunek beneficyów duchownych nie wtrącał,— tu znów, po stronie panów duchownych humanistycznym owianych duchem, najgorliwsze przestrzeganie królewskiego prawa nominacyi biskupów, bronienie się od wszelkich rzymskich pretensyj, przy ścisłéj zresztą w nauce prawowierności. Dodać trzeba nakoniec, że Łaski ściśle wypełnia uchwalone przez sejmy przepisy, które kumulowania w jedném ręku niektórych godności zabroniły, przeciwnicy zaś jego te ustawy systematycznie przekraczają; że Łaski chce, aby król mógł w każdéj chwili starostów usuwać, przeciwnicy zaś jego przeciwko takiéj „hańbie" najmocniéj protestując, za dożywotnością starostw obstają. (Byłby to może najważniejszy punkt pokazujący, w jakim duchu Łaski chciał reformę administracyi przeprowadzić, gdyby

nie ta okoliczność, że w jedynym znanym wypadku o starostwo malborskie, niegrodowe, chodziło i że Łaski chciał wtedy usunięcia starosty na korzyść własnego synowca).

Wszystko to biorąc razem, możemy rozróżnić nie tylko dwa stronnictwa, ale i dwa odmienne programy. Prawda, że to są raczéj dwa różne prądy, dwie odmienne dążności, nie zawsze dosyć jasne, nie wszędzie dość konsekwentne w działaniu. Programy istniały więcéj w zarysie, nie były i być nie mogły ściśle sformułowane i zmianom niepodległe. Czynniki, na których Łaski się opierał, nie miały wprawy w życiu politycznem, nie miały organizacyi ani karności i nie raz pewno wbrew woli i planom swego przewodnika występowały. Ztąd trudność rekonstrukcyi stronnictwa prymasowego, któréj prof. Liske probował. Przecież nawet za Zygmunta Augusta, kiedy stronnictwa polityczne tak były wykształcone i sformowane, tak zawzięty z sobą bój nieustannie toczyły, cóżeśmy o nich wiedzieli, o stronnictwie posłów sejmowych, zanim wydano sejmowe z owego czasu dyaryusze? Wśród znacznych senatorów, wśród magnatów rozgłośnego imienia, wśród głównych biskupów, wyjątkowo chyba liczył prymas przyjaciół i stronników; koligacyami trzeba ich było dopiero zjednywać, jak Tęczyńskiego Andrzeja, w chwilowe wchodzić z nimi sojusze, jak z Tarnowskim. Wierni stronnicy prymasa byli to ludzie mniéj głośni, nieznani prawie; wspominają o nich niekiedy korespondencye jego nieprzyjaciół, zwykle nie wymieniając nazwiska. Krzycki mówi „o prawem oczku“ Łaskiego, lecz nie powiada imienia. Biskup kamieniecki Miedzileski, kasztelan biechowski Mikołaj Rusocki, kasztelan sochaczewski Mikołaj Wolski, późniejszy ochmistrz królowéj Bony, to wierni adherenci prymasa wśród senatorów: nazwiska tak mało znane, pokazują najlepiéj, w jakich warstwach społecznych Łaskiego przyjaciół szukać trzeba.

Stanowiskiem Łaskiego w obec spraw zagranicznych zajmowano się już niejednokrotnie i zaznaczono je należycie. Nawet dr. Hirschberg zwie go naczelnikiem austryackiego stronnictwa w Polsce. Sądzę, że można jeszcze dokładniéj, niż uczyniono to dotąd, podstawę polityki zagranicznéj prymasa określić. Polityka to wybitnie narodowa, a przytém śmiała i rzutna, nawet zuchwała, niekiedy awanturnicza. Wszędzie i w każdą stronę wpływ polski utrzymywać i pomnażać, żadnych nigdzie nie upuszczać pretensyi, wpływ zaś niemiecki wszędzie paraliżować, żywioł niemiecki powstrzymywać: to cel polityki Łaskiego. W tym celu zawsze gotów łączyć się z wszystkimi Niemców wrogami, a przy tém pragnie trzymać się ściśle z Rzymem; wewnątrz zaś chce zbroić, skupiać się, organizować. Więc nawet zostawszy prymasem, nieprzestaje się zajmować umocnieniem

Kamieńca, którego się jeszcze jako kanclerz był podjął, kieruje tam pracami, osobiście ich dozoruje, wyjednywa u papieża ogłoszenie jubileuszu, z którego część dochodu na ten cel się przeznacza. Kiedy król ma się żenić (powtórnie), księżniczkę Mazowiecką koniecznie na małżonkę mu stręczy, a królewny maleńkie chce zaręczyć z młodymi książętami mazowieckimi, żeby tę dzielnicę ściśléj spoić z koroną—że niebawem po kilku latach już linia Piastów mazowieckich bezpotomnie wygaśnie, nie można było wtedy przewidywać. Za unią z Litwą przemawia już za Aleksandra; późniéj gdy jest bez wpływu na rząd i króla, na własną rękę wybiera się na Litwę, żeby tam o unią się porozumiewać. Jak zaś Łaskiemu niemczyzna w kraju była wstrętną, najlepiéj pokazuje dzieło na dworze, w najbliższém otoczeniu jego, powstałe, projekt nowego dla miast polskich prawa, opracowany przez krewniaka i wychowanka prymasowego, Macieja Śliwnickiego, który się jego kosztem wespół z synowcami we Włoszech wykształcił na doktora praw, a którego potém chciał Łaski biskupem kamienieckim zrobić, co się o opór Tomickiego rozbiło. „Prawa Zygmuntowskie" jego układu (1), to szczere prawo rzymskie; miało ono odtąd zastąpić to prawo magdeburskie, niemieckie, którém się miasta w Polsce rządziły, a które, w myśl projektu, królby zupełnie z Polski usunął i wytępił. Mniejsza o to, czy istotnie Łaski od króla był otrzymał polecenie, aby prawa miejskie ponownie przejrzéć i przywieść do porządku; obojętne téż dla nas, o ile Łaski miał jaki bądź w pracy Sliwnickiego udział bezpośredni; stosunek jednak Sliwnickiego do Łaskiego wątpić nie pozwala ani na chwilę, że ten podówczas jeszcze dosyć młody uczony pisał pod moralnym wpływem prymasa i atmosfery duchowéj, która go otaczała. Odebranie miastom ich prawa niemieckiego, zastąpienie go rzymskiem, miało oczywiście posłużyć do miast polonizacyi, do większego skupienia się wewnątrz kraju na gruncie narodowym.

Nie znaczy to bynajmniéj, żeby Łaskiego przeciwnicy mieli stać na gruncie antinarodowym, żeby ci, których się pospolicie za przyjaciół habsburskich, za filary stronnictwa austryackiego w Polsce uważa, mieli być zawsze i bezwzględnie Habsburgom oddani, żeby powodzenie wszystkich planów austryackich miało im bardziéj leżéć na sercu, niźli interes własnego kraju. Ani Tomicki, ani Szydłowiecki zdrajcami swego państwa i króla być nie mogli; jak Łaski tak i oni interesów polskich strzegł każdy przedewszystkiém; różnica tylko między nimi zachodzi w tém, co w danéj chwili za korzystniejsze dla Polski uważają, jakich się środków różnych dla osiągnięcia tego sa-

(1) Wydał je Helcel w 1859. w Bibliotece Ordynacyi Myszkowskich.

mego celu chcą chwytać. A tu, kiedy nasz prymas zawsze wszędzie nieprzyjaźnie w obec austryackich pretensyi staje, to przeciwnicy jego najchętniéj chcieliby w zgodzie być z Habsburgami; kiedy prymas z wszystkimi Habsburgów wiąże się nieprzyjaciołmi, przeciwnicy jego zachować neutralność się starają i ku Austryi zawsze potrochu ciążą. Ze słów niższego rzędu dyplomatów czy ajentów, którzy się koło Tomickiego grupują, Dantyszka, Zembockiego, dokładniéj niż z oświadczeń samego podkanclerzego poznać można, jaki duch w jego otoczeniu panował, jakie tam żywiono zawsze austryackie sympatye. Nakoniec kiedy Łaski jak wewnątrz tak i na zewnątrz zawsze skłonnym jest do przedsięwzięć śmiałych, hazardownych, to tymczasem jego przeciwników cechuje aż nazbyt wielka i na zewnątrz rozwaga, ostrożność, prawie lękliwość. I ztąd to, więcéj niż z różnicy w zasadach, wynikają między obu stronnictwami konflikty, zaostrzone oczywiście i osobistym antagonizmem, współzawodnictwem o dostojeństwa, godności lub prebendy, i nawzajem ten antagonizm zaostrzające.

(*dok. nast.*) *Wincenty Zakrzewski.*

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

VI.

Derszlak, wykolejony chłopak ten, z wychudłą twarzą i gorejącemi oczami, który tak namiętnie bolał nad bólami ludzi, tak zbliska sobie znanemi, zadowolonym byłby z teraźniejszéj pracy kolegi i przyjaciela swego. Nie miała już ona na celu zimnych i niemych zjawisk i praw przyrody. Przedmiotem jéj byli ludzie. Ławicz rozstał się już oddawna z naukami ścisłemi. Przekonał się, że dla zrozumienia Syren, w téj stronie morza wiedzy śpiewających, brakuje mu rzeczy mnóstwa, całkiem niedostępnych. Ale były krainy inne, mniéj tajemnicze, mniéj obwarowane przed nieśmiałą i nieuzbrojoną ręką. W krainach tych mieszkały wiekowe dzieje ludzkości. Wabiły one ku sobie wzrok ciekawy mroczną mgłą swych początków, wprawiały w ruch siły umysłu, wiekuistym swym ruchem, wzmagały bicie uczciwego serca, obietnicami pochodu naprzód. Ławicza uderzył w szczególności jeden moment ich rozwoju, mniemał, że widzi w nim więcéj i głębiéj, niż widzieli inni. Wtedy to dokompletował on łacińskie swe wykształcenie, zawarł przyjazne stosunki z myślicielami starożytności i zaczął, w nocnych godzinach, rozmawiać głośno z Markiem Aureliuszem, Epiktetem, Seneką i najulubieńszym swym Zenonem z Cittium, ojcem uwielbionych Stoików. Wtedy też pisać zaczął.

Z wyjątkiem Rębkowéj, która zaglądała tu parę razy na dzień, nikt w porze owéj nie otwierał nigdy drzwi jego izdebki. Odwiedziny Maryana Dębskiego, były wypadkiem, po którym bardzo długo żaden podobny mu nie nastąpił. Stosunki jego ze światem zewnętrznym ograniczały się na obojętnych i krótkich spotkaniach z biuro-

wymi kolegami, w kancelaryjnych salach, na rubasznych i natrętnych gadaniach Rębki i długich przechadzkach, które w każdą niedzielę odbywał po ulicach miasta. Jak każdego wyrobnika z czasem zaprzedanym, dnie świąteczne uderzały go niezwykłością swoją i napełniały bezwiednem rozradowaniem zwierzęcia, któremu łańcuch spada z szyi na chwilę. Było to usposobienie, którego inaczéj nazwać nie można, jak dobrym humorem. Nie potrzebował iść do biura a dobry humor wypędzał go z samotnéj izdebki. Wychodził więc i często nie spostrzegał upływu godzin, w czasie których, chodząc po mieście, pomiędzy ludźmi, miasta ani ludzi nie widział. Myślał o tém co czytał wczoraj lub pisać będzie dziś, szeregował w głowie wiadomości, układał okresy i był całkiem podobny do lunatyka, we śnie chodzącego po świecie. Czasem jednak trzeźwiejszym bywał, to i owo spostrzegał. Wchodząc na tłumny w niedzielne poranki rynek miejski spostrzegał Kwirę trzymającego w obu rękach klatki, z wystawionemi na sprzedaż kanarkami. Z pod czapki połyskującéj srebrną gwiazdką i okrywającéj łysinę, kościana twarz kancelisty uśmiechała wklęsłemi usty pokornie i z przymileniem. Paltot z guzikami o rdzawéj pozłocie, zwisał mu z mizernych, przegiętych ramion i pośród barczystych, silnych, zdrowych wieśniaków, których pełno było dokoła, czynił go podobnym do znędzniałego owadu, z obwisłemi skrzydłami. Pod odkrytem niebem, zdala od swych zwierzchników, Kwira uczuwał pewne towarzyskie popędy. Zachodził drogę przechodzącemu koledze i zapominając o sprzedawaniu kanarków, zawiązywał z nim długie rozmowy. Było to zawsze jedno i to samo: Zenon przygotowuje się do zdania egzaminów; Zenon choruje, bo mu tamtejszy klimat szkodzi; Zenon w biédzie wielkiéj albo wyszedł już trochę z biedy, bo z kilku kolegami, którzy mu dopomagają zamieszkał; panna Anna niespokojna o brata, chce jechać do niego ale niema o czem, nie może już prać i prasować słaba taka.... doktór mówił że to suchoty....

— A ot téj zimy i kanarki moje zdychały.... zdechło ich z dziesięć.... Bez grzechu narzekania, bieda!

Zresztą miasto z setką tysięcy ludności, w te dnie niedzielne wrzało, huczało, turkotało. Ławicz mijał cukiernie z szerokiemi oknami, za któremi rozgłośnie stukały bilardowe kule i winiarnie, w odległych głębiach których dzwoniło szkło i rozlegała się wesoła wrzawa. Przybytki te wesołości nie obchodziły go wcale. Nie znał ich. Nie umiałby dokładnie powiedzieć jak wyglądają ich wnętrza. Czasem, gdy było gorąco, wchodził pod jeden z licznych namiotów, w których zwinne i gadatliwe dziewczęta, stały nad kranami tryskającemi wodą sodową. Tam pełno też było ludzi: dandysów miej-

skich w odświętnych krawatach, młodych oficerów w białych rękawiczkach, z luźnie u błyszczących opasek, wiszącemi szablami. Zwinne i gadatliwe gosposie miejsc tych, bardzo uprzejmie a więcéj może ciekawie spoglądały na tego dziwnego młodego człowieka, z białą, zamyśloną twarzą, który nigdy nie przemawiał do nich i ze spuszczonémi oczami wychyliwszy co prędzéj kubek swój, odchodził śpiesznie, zawstydzony jakby czy zasmucony. Istotnie w miejscach tych swobodnych póz i zbyt wesołych rozmów Ławicz doświadczał obu tych zarazem uczuć. Mięszały go one i zasmucały. Śpiesznie oddalając się od nich, snuł w głowie marzenia o idealnéj atlantydzie, wolnéj od wszech rzeczy złych, brzydkich lub pustych. Z marzeń tych wyrywał go dość często donośny brzęk ciągnącego się po bruku pałasza i wesoły serdeczny głos, wołający:

— Zygmunt! jak się masz?

Był to Zegrzda, którego Ławicz spotykał dość często: w okolicach cukierni, winiarni i namiotów z sodową wodą. Witali się zawsze serdecznie i z radością, lecz po kilku minutach stygli i milkli. Czuli obaj że nic ich z sobą nie wiąże, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Zegrzda od dość dawna był już oficerem i pysznił się tém. Ławicz więcéj niż kiedy podzielał zdanie Musoniusza. Rozchodzili się nie pragnąc i niewyzywając nowego spotkania, a gdy traf je sprowadził, Zegrzda rzucał się zawsze ku dawnemu koledze z serdeczném uradowaniem i prędko bardzo opuszczał go obojętnie albo i z lekceważącym uśmiechem, na ustach ocienionych pięknym, czarnym wąsem. Ze swéj strony Ławicz oglądając się za nim, trząsł czasem głową, w znak przyjaznego politowania. Dnia pewnego spotkał on Zegrzdę, nie jak zwykle bywało, samotnie lub w gronie wesołych kolegów idącego przez ulicę, ale z kobietą, która wspierała się na jego ramieniu. Ławiczowi kobieta ta nie wydała się piękną. Wysoka i kształtna lecz z rubasznémi ruchami, rysy miała grube, pospolite a upiększone tylko świetną świeżością cery i energicznym wyrazem ognistych oczu. Była zresztą starszą od młodego oficera. Mogła mieć lat trzydzieści. W towarzystwie tém Zegrzda przechadzał się po mieście dość często i długo, aż zniknął i przez kilka miesięcy Ławicz nie widział go już wcale. Gdy spotkali sie znowu, młody oficer opowiedział mu, że miał pojedynek, był ciężko ranionym i długo chorował.

— Widziałeś ją? — szepnął — to żona majora? biłem się o nią!

Mówił to bez przechwałki, jako rzecz całkiem prostą i wogóle wydawał się znacznie mniéj wesołym niż dawniéj.

W Atlantydzie Ławicza pojedynki nie istniały; to téż z westchnieniem rzekł:

— Mój drogi! pojedynek jest barbarzyństwem, które w oczach....

— Mój kochany — przerwał Zegrzda — każdy z łachmanów, w koszu téj tandeciarki, która tam stoi, więcéj może wart ode mnie! Ale odwagi przynajmniéj nikt mi zaprzeczyć nie może!

W głosie zadrżał mu żal, oko błysnęło dumnie. Ławicz popatrzył na towarzysza i z przyzwyczajenia do rozmawiania z samym sobą do siebie nie do niego wymówił:

— „Dobre ziarno na zły grunt rzucone, puste kłosy rodzi."

— Czy i to także powiedział Musonius?—zaśmiał się Zegrzda.

— Nie, Attius w Synefebach—spokojnie odparł Ławicz.

— Niech go dyabli wezmą! Ty bo Zygmuś z tymi filozofami swymi bzika masz! Łatwo to pięknie mówić i pisać ale pięknie żyć.... oho!

— Władku! — zawołał Ławicz — ty jednak kiedyś marzyłeś o pięknem życiu!

Zegrzda nie odpowiedział nic. Smutnym był trochę i dłużéj niż zwykle szedł obok towarzysza.

— Wiész co?—ozwał się po chwili — wszystko na świecie przejada się.... Szumi, szumi, aż wyszumi i taki smutek człowieka ogarnie, że choć w łeb sobie strzel!

— Ty Władku, ty smutnym bywasz kiedykolwiek!

— A cóż myślałeś? Niby to ja taki już ostatni głupiec czy łotr, żeby mi tam różne rzeczy w głowie i sercu nie świdrowały? No, ale stało się! popłynąłem....

— A... ona? — zapytał Ławicz.

— Kto? majorowa? otóż widzisz.... to mi teraz najwięcéj humor psuje.... mężatka.... męża porzuciła.... dyabli wiedzą co tu robić? a... ani żenić się ani porzucić! Kobieta skompromitowała się dla mnie i przywiązała się do mnie.... jak smoła!

— A ty chyba jéj nie kochasz?

— At zaczęło się od żartów.... a zrobiło się głupstwo i... koniec!

Bardzo wyraźne strapienie przeglądało mu ze schmurzonego czoła i wejrzenia. Powiedział jeszcze Ławiczowi, że za parę miesięcy, wraz z pułkiem swym opuszcza X. i że przyjdzie aby się z nim pożegnać. Nie przyszedł jednak; w zamian, niewiele przed dniem wyznaczonym dla odejścia pułku, Ławicz idąc z biura do domu spotkał się z długim szeregiem dorożek, które przez środek ulicy galopem pędziły, a wiozły ludzi w wojskowych ubraniach, z wielkiem hałasem śmiejących się i rozprawiających. W jednym z ludzi tych, w tym mianowicie, który gestykulował najenergiczniéj a przytém, o mało z dorożki nie spadał, poznał Zegrzdę. Wracający téż z Izby do domu Rębko, dopędziwszy go na chodniku objaśniać zaczął, że

panowie ci wracają z pożegnalnego śniadania, przy którym muzyka grała i szampan lał się jak deszcz z rynny.... Damy były tam także i była ta majorowa, co męża porzuciła i za tym pięknym oficerem, z czarnémi wąsikami jedzie....

Wszystko to i wiele innych jeszcze rzeczy Rębko wiedział od dieńszczyka czyli żołnierza, który służył u samego pułkownika a był dawnym jego kolegą z wojska. Rębko zawsze wszystko wiedział, ale tym razem Ławicz słuchał go z większém jeszcze niż zwykle roztargnieniem. W głowie jego snuły się znowu marzenia o Atlantydzie, globie szczęśliwym.... O! stokroć szczęśliwszym i lepszym od ziemi....

Jemu na ziemi smutno być zaczęło. Bywały dnie, w których bezwładne zniechęcenie ogarniało go i dręczyło. Nie, — stanowczo nic nie umiał i nic nie mógł. Marzenia jego były szaleństwem i grzechem wobec majestatu nauki. Całemi godzinami przesiadywał przy stole swym z osłupiałém okiem i kurczowo zaciśniętemi dłońmi. Potém jedna nowa myśl jakaś, jedna godzina ukojenia w zupełnéj ciszy lub jeden promień słońca spadły na ścianę izdebki i migocący po niéj rubinową smugą, wyrywały go z odrętwienia a napełniały zdwojoną energią i nadzieją. Rzucał się znowu do pracy i z wytrwałością mnicha a zapamiętałością człowieka, który prócz niéj, nic nie posiadał na ziemi, pisał, kreślił, przerabiał, uczył się i douczał. Bywały wtedy chwile, w których uczuwał się tak silnym, że myślał, iż mógłby górę pochwycić w ramiona i przenieść ją na drugi koniec świata; w których zmęczony aż do wyczerpania sił padając na ubogą swą pościel, zamykał do snu oczy z westchnieniem głębokiéj roskoszy.

Trwało tak długo. Gruby zeszyt całkiem już był zapisanym a jednak leżał jeszcze na stoliku Ławicza. Nie śmiał oddać go człowiekowi, który, jeden z pomiędzy wszystkich znanych mu ludzi, mógłby mu być światłem i pomocą. Mógłby, gdyby chciał. Czy zaś chciał albo niechciał, niktby na pewno określić tego nie mógł. Zamyślone zresztą zawsze i surowe czoło sekretarza Izby, stawało się teraz chmurném, kryształowe źrenice jego miewały czasem posępne błyski. Czas upływał, a w położeniu jego nie zachodziła zmiana żadna. W sali posiedzeń sądowych, ludzie zasiadający krzesła z wysokiemi poręczami, zmieniali się dość często. Ci, którzy znikali, szli kędyś wyżéj; następcy ich wstępowali tu ze szczebli niższych. Lecz Maryan Dębski siedział lub stał zawsze przy umieszczonym u okna biurku sekretarza. Raz nie przybywał on do biura przez miesięcy parę. W biurze wiedziano powszechnie, że zażądał urlopu i wyjechał do stolicy, w celu bronienia naukowéj rozprawy

i otrzymania tytułu naukowego. Gdy wrócił, wiedziano też powszechnie, że przywiózł z sobą dyplom doktora praw. Coś jakby wielka glorya rozpromieniała mu czoło a surowe usta odświeżyły się i odmłodniały w uśmiechu szczęścia. Co myślał o zdobytéj przez się godności, nie wiadomo, ale musiał ufać bardzo potędze jéj, bo obejście się jego z ludźmi stało się swobodniejszém niż było dawniéj. Możnaby rzec, iż mniéj teraz lękał się „rekina sentymentalizmu" i mniéj czujnie omijał rafy. Zbliżył się też raz do Ławicza i półgłosem, z wesołym prawie uśmiechem rzekł:

— Winszujże mi! Miałem dzień wielkiego szczęścia a przyszłość mam tak dobrze jak w kieszeni!

Ławicz miał wielką ochotę z głęboką czcią uścisnąć mu ręce a może nawet przyklęknąć przed nim przynajmniéj na jedno kolano. — Dostojnik nauki! — myślał. Z nieśmiałością w wejrzeniu a prośbą w głosie, przypomniał mu obietnicę, daną w czasie owych nocnych odwiedzin.

— A! te pisania twoje.... przynieśże mi je, zobaczę! Uprzedzam tylko, że zwrócę nieprędko. Pracy mam po urlopie więcéj jeszcze niż zawsze.

Pracował też znowu tak jak dawniéj i więcéj jeszcze, uporczywiéj niż dawniéj. Tylko z upływem czasu na czole jego gasły promienie przywiezione z ogniska wolnéj i czystéj nauki; przygasać też w nim musiała ufność we wpływy zdobytego dostojeństwa. Rębko mawiał o nim znowu.

— E! *musi być* z niego nic nie będzie! Trzeci rok jest u nas sekretarzem, a Mikołaj Hilaryonowicz ani myśli puszczać go wyżéj!

Trzy lata stanowiły wiele dla dwu córek Mikołaja Hilaryonowicza, z których żadna za mąż jeszcze nie poszła, a im więcéj czasu upływało od dnia ich urodzin, tém częściéj wyraz troski czy zgryzoty okrywał twarz ich ojca. Tém częściéj także atmosfera burzy wisiała nad salami Izby i tém częściéj posępne błyski strzelały z oczu sekretarza, a drżenie bólu czy zniecierpliwienia wstrząsało, umiejącemi zawsze milczéć jego ustami. Raz, mijając krzesło na którém siedział Ławicz, rzekł w przechodzie:

— Przyjdź-że do mnie dziś wieczorem po szpargały swoje.

Wieczorem, w źwierciadle zdobiącym przedpokój Dębskiego, przesunęła się twarz młodzieńcza zmięszana i niespokojna i postać szczupła, naprzód nieco podana a przybrana odświętnie. W mieszkaniu tém nietylko zbytku lecz istotnego dostatku nie było. Szczupły rozmiar pokojów i taniość sprzętów, zdradzały niezamożność gospodarza. Jednak objawiały się tam także nietylko staranność wielka o zachowanie ścisłéj przyzwoitości ale i pewna dbałość o modę

i efekt. W przedpokoju palił się kinkiet, na posadzkach leżały tanie lecz kwieciste dywany, u drzwi i okien zwieszały się draperye w złym gatunku lecz zdobne bronzami. Zresztą wielki porządek i czystość wszędzie; na stołach książki i gazety, kilka rodzinnych portretów na ścianach.

W saloniku, przy okrągłym stole, na którym paliła się duża lampa, siedzieli dwaj młodzi chłopcy, z których jeden był w szkolnym jeszcze mudurze, drugi miał na sobie ubranie, odznaczające ucznia wyższego naukowego zakładu. Starszy rysował, młodszy czytał, przez drzwi otwarte i spuszczającą się nad niemi ciemną firankę, widać było gabinet, w którym przy biurku oświetlonėm lampą z zielonėm okryciem, nad stosem urzędowych papierów siedział Dębski. Obecność dwóch chłopaków, łagodne światło lamp i głęboka cisza nadawały mieszkaniu temu charakter rodzinny i poważny. Zawołany przez jednego z chłopców, Dębski wyszedł do saloniku, na spotkanie Ławicza.

— Zdaje mi się, że znałeś kiedyś trochę braci moich. Oto są oni.— Powyrastali, prawda? — Adaś już w szóstėj klasie realnego gimnazyum, Józef sposobi się na inżyniera. Dziwisz się że są tutaj?— Przyjechali do mnie na święta. Na każde święta sprowadzam ich do domu. Nie trzeba abyśmy odzwyczajali się wzajem od siebie; przytėm widując ich często, łatwiėj nad młodemi głowami ich kontrolę utrzymać mogę! — Ale masz ze mną do pomówienia. — Chodźże do gabinetu!

Swobodniejszym tu był i cieplejszym niż tam— w biurze; w zamian wydawał się trochę zmęczonym i smutnym. Gdy mówił o braciach i patrzał na nich, twarz jego rozjaśniła się uśmiechem i wesołėm prawie wejrzeniem, które jednak zniknęły wkrótce. W gabinecie odsunął szufladę biurka i wyjął z niėj rękopis Ławicza. Usiedli obaj.

— Mój drogi—zaczął Dębski—mam ci do powiedziedzenia rzeczy przykre. Książka twoja, z wyjątkiem kilku oryginalnych istotnie poglądów, zawiera w sobie to tylko, o czem w literaturze przedmiotu znajduje się już kilka dzieł bardzo znakomitych. Widocznie nie znasz literatury przedmiotu do którego się wziąłeś.

— Zdawało mi się że ją znam — szepnął Ławicz.

— Otóż to, brak ci sposobów systematycznego badania rozwoju wybranėj gałęzi naukowėj i dlatego podjąłeś pracę ogromną, nie wiedząc, że inni dokonali ją już daleko lepiėj niż ty uczynić to mogłeś. Myślę zaś, że powtarzanie pacierza za panią matką i w dodatku słabszym głosem, na nic się nie zda ani tobie ani światu.... prawda?

Tu wymienił tytuły i autorów dzieł, o których mówił.

— Ponieważ to dziedzina historyozofii, wiedziałem już o nich odbywając moje studya prawne. Niektóre z nich czytałem wtedy jeszcze, niektóre późniéj...

— Czy to są rzeczy bardzo drogie? z takim wybuchem głosu zapytał Ławicz, że Dębski, który mówił dotąd z oczami błądzącémi po przestrzeni spojrzał na niego z uwagą i ciekawie.

— Cóż? rzekł, czy chciałbyś je czytać? Nie zdajesz się być zmartwionym?

Na twarzy Ławicza, zmartwienie w dziwny sposób mięszało się z uradowaniem.

— Owszem, szepnął przykro mi... ale z drugiéj strony, cieszę, się, że miałem te same pomysły i poglądy... które mieli ludzie z uznaną nauką i talentem?

— Prawda, że jest to dowodem wielkich twoich zdolności ale, cóż z tego? Zdolności, które w należyty sposób zużytkowanemi być nie mogą, są właśnie, mój drogi, największém z nieszczęść, którémi łaskawe nieba obdarzać nas raczą...

— Jednak, mówiłeś pan, że są tu rzeczy oryginalne...

— Tak; ale bez odpowiedniéj metody przedstawione... ztąd chaos, zaprzeczanie samemu sobie i to, co w naszym studenckim języku, nazywaliśmy naukowémi bąkami. Metoda, mój drogi, metoda... znajomość literatury przedmiotu i metoda, są to dwie rzeczy, których ci całkiem lub nawpół brakuje a bez których dziś, w nauce genjusz sam, nic nowego i prawdziwie porządnego uczynić nie potrafi.

Sąd swój udowodniał potém długo. Ożywił się i prawie zapalił. Widać było, że rzeczy i sprawy umysłowe, silnie obchodzić go mogły. Wyjął z szafy kilka książek, przerzucał je i przeczytywał niektóre ich ustępy, przerzucał też rękopis, wskazując, znajdujące się w nim braki i błędy. Skończywszy, wpatrzył się w Ławicza bystro, ciekawie i krótko zapytał.

— Cóż?

Długich dowodzeń Dębskiego, Ławicz słuchał chciwie, z wlepionemi w twarz jego oczami, rumieniąc się i blednąc na przemian. Teraz, siedział w nieruchoméj postawie, bardzo blady, z dłońmi splecionemi na kolanach i spuszczonemi powiekami. Na zapytanie Dębskiego, podniósł wzrok, uśmiech cierpiący lecz łagodny przewinął się mu po ustach.

— Cóż? odpowiedział z cicha,—trzeba jeszcze uczyć się daléj i wiele...

Dębski wstał, skrzyżował ramiona na piersi i przez chwilę stał w milczeniu, wpatrzony w ziemię, potém, niespodzianie, dwie białe, silne dłonie spoczęły na wątłych ramionach Ławicza, dwie siwe źre-

nice, z których kryształowéj głębi patrzała teraz dumna lecz głęboka żałość, wpatrzyły się w twarz jego.

— O! niedola nasza.....

Chciał widocznie mówić daléj, lecz jakby zawstydził się rozpoczętéj skargi, jakby zląkł się uczutego w sobie „rekina sentymentów“ wyprostował się, ze stojącego na biurku, świecącego przyrządu wyjął cygaro, drugie Ławiczowi podał.

— Nie palisz? prawda! alboż anachoreci pozwalali sobie kiedy na takie próżności i zbytki!

Zapalił cygaro.

— Czem jeszcze służyć ci mogę?

Ławicz wstał.

— Dziękuję panu... zaczął.

— O! nie dziękuj! Gdybyś był ograniczonym albo zarozumiałym, pozbyłbym się ciebie komplementem i miałbyś wtedy za co mnie dziękować. Chcesz może, abym ci pożyczył te książki... te i inne? Mam sporę biblioteczkę, możesz z niéj czerpać... ponieważ jest to już twoją *idée fixe*... Ha! któż zresztą z nas niema idei jakiejś, do urzeczywistnienia któréj dojść pragnie... pomimo wszystko?...

Kiedy przechodzili przez salon, Dębski dotknął dłonią głowy starszego z braci i rzekł z uśmiechem.

— Ten już chyba... dójdzie z pewnością! Wybrałem mu zawód bardzo praktyczny. I sam on zresztą zgodził się z wyborem moim. Zdolności ma, pracę tylko, żelazną pracę doradzam mu zawsze i... patrzéć w górę!

VII.

Obciążony rękopismem swym i pożyczonemi książkami, Ławicz, wrócił do swéj izdebki. Bez gniewu, bez rozpaczy wsunął rękopis do małéj szafy, w któréj znajdowało się kilka koszul, para znoszonych butów, kilka liber czystego i gruby zwój zapisanego papieru, potém z powolnemi ruchami głęboko zamyślonego człowieka usiadł przy swym stoliku, i roztworzył jednę z pożyczonych mu książek. Im dłużéj czytał książki te, tém więcéj utrwalał się w przekonaniu, że Dębski powiedział mu zupełną prawdę. Zanadto był oświeconym, aby módz nie zrozumiéć wskazanéj mu prawdy, zanadto czcił naukę, aby módz prawdzie zrozumianéj zaprzeczać. Zdumiony głębokością nieświadomości własnéj, zamyślał się często i patrzał w zagadkę małéj owocności ogromnéj swéj pracy. Zamyślał się teraz daleko częściéj i cięższéj niż wprzódy. Czytywał chciwie, chciwiéj nawet niż dawniéj, lecz, od czasu do czasu, podobnym bywał do człowieka, bu-

dzonego ze snu przez doświadczane wewnętrzne ukłucia. Kłuło go coś wewnątrz, podnosił głowę i ściskał ją w obu dłoniach albo też, nagle splecione ręce na kolana opuszczał i z pochylonėm czołem, szklistym wzrokiem wpatrywał się w brudne deski podłogi. Bywały też już wieczory takie, w których nie czytywał wcale. Ukłucia uczuć, których określać, ani w które wsłuchiwać się nie chciał, podnosiły go ze stołka. Wstawał, brał czapkę i wychodził na miasto.

Na mieście, w zmroki zimowe, pełno było kuligów, szumnie pędzących środkiem ulic, lamp oświetlających okna sklepowe, twarzy kobiecych przesuwających się na oświetlonych tłach, śpiesznych stąpań po skrzypiącym śniegu, tonów muzyki, brzmiącėj w głębiach domów a jękiem lub chichotem wnikającėj w uliczny szum. Z całėj tėj mięszaniny świateł, linij i dźwięków, jedna tylko muzyka zwracała uwagę Ławicza. Jakież inne zjawisko ze świata otaczającego obchodzić go mogło? Nigdy, przy chóralnėm brzęczeniu dzwonków, nie pędził on wesoło z żadnym kuligiem takim, nigdy nie zaglądał do bogatych wewnątrz oświetlonych tych sklepów, żadnėj z przesuwających się w świetle twarzy tych kobiecych, nie umiał nazwać po imieniu. Od wielu też lat, od czasu gdy z mieszkania matki jego wyniesiono fortepian, po klawiszach którego przebiegały często białe jėj palce, tyle tylko słyszał muzyki, ile z wnętrza domów dójść jėj może do uszu ulicznego przechodnia. Świat sztuki, zawsze i szczelnie był przed nim zamknięty. I nie skarżył się on na to, tak jak nigdy nie skarżył się na nic, ani przed ludźmi, ani przed samym sobą. Lecz tylko, ile razy, z wnętrza domu, pod ścianą którego przesuwał się, w szum ulicy wniknęła i w pierś jego wdarła się pieśń tęskna albo namiętna, stawał i słuchał. W cieniu wysokiego muru albo w świetle ulicznėj latarni, wątła postać jego wydawała się postacią żebraka, nieśmiało choć chciwie oczekującego na spaść mu mający okruch jałmużny. Był to może w istocie żebrak, pochwytujący okruchy użycia, którego świat ten tak jest pełnym, a które, nakształt porwanych i wciąż uciekających promieni ideału, dochodziły go w lotnych i wciąż rwących się tonach muzyki.

Raz, stanął tak i zasłuchał się, przed domem w którym sam mieszkał. Od czasu pewnego, na pierwszém piętrze tego domu, często i rzęsiście oświetlał się rząd okien, za któremi grano i śpiewano wiele. Cichość zaułka ułatwiała słuchanie. Nad dachem domu, okno facyatki, które przez lat tyle, świeciło co wieczór bladem światłem małėj lampy, ciemne było i niewidzialne. Na pierwszém piętrze piękny i silny głos kobiecy śpiewał przy wtórze muzycznych akordów. W zmroku zaułka śpiesznym i energicznym krokiem idący mężczyzna, potknął się o człowieka stojącego u ściany domu w zamyśleniu

takiem, że zbliżających się kroków nie usłyszał i z drogi się nie usunął.

— Przepraszam, dotykając ręką kapelusza rzekł przechodzący i śpieszył dalej, lecz potrącony z dźwiękiem uradowania w głosie, zawołał.

— Michasiu! poznałem cię po głosie!

— O! słowo honoru! i ja po głosie poznaję... Ławicz, czy co? no, góra z górą... kopę lat... ale czegóż ty tu tak stoisz?

— Ja w tym domu mieszkam i słuchałem tego ślicznego śpiewu na pierwszém piętrze...

— Prawda, że ona ślicznie śpiewa! zawołał Kaplicki, ale gdybyś ją samę widział, jaka śliczna! patrz! ja tu codzień na pierwszém piętrze bywam a niewiedziałem, że ty w tym samym domu... Ale słuchajno, poczekaj, czy nie o tobie tylko one mówiły... no, no! gdzież twoje mieszkanie?

— Na poddaszu.

— Akurat! z pewnością o tobie! Szczególny wypadek, słowo honoru i zabawny!

Mówiąc to wszystko aż zanosił się od śmiechu tak go coś rozweseliło. Ławicz ze zdumieniem zapytał.

— Z czego się tak śmiejesz? Kto o mnie mówił? Kto może wiedzieć o mnie?

— No, chodź ze mną, to ci wszystko opowiem, przytém, winien jestem przed tobą i usprawiedliwić się muszę, przez tyle lat straciłem cię był z oczu ale kłopoty widzisz, interesa... człowiek jak przyjedzie do miasta niewie na którą nogę ma stanąć a teraz jeszcze i o czemś ważniejszém myślę... Chodź do mnie!

Ławicz nie opierał się. Kaplicki gwizdnął na dorożkę. Po kilku minutach znajdowali się obaj w obszerném i wykwintnie urządzoném hotelowém mieszkaniu, które służący z usłużnym pośpiechem, oświetlił kilku zapalonemi świecami. Sztywny zbytek hotelowy, wywarł znać na Ławicza ziębiące wrażenie; od kilku lat zresztą, nie widział on już gospodarza mieszkania tego. Zmięszany, z czapką w ręku, stanął przy aksamitem obitym fotelu. Ale Kaplicki, z tąż samą co dawniéj, trochę tylko rubaszniejszą niż dawniéj serdecznością, w ramiona go pochwycił, w oba policzki wycałował i na fotelu posadził. Był to teraz tęgi, barczysty mężczyzna, z wyraźną skłonnością do otyłości, z zawiesistym płowym wąsem zdobiącym twarz okrągłą, pełną, rumianą i błękitnémi jak niebo oczami przyozdobioną.

— Kontent jestem tak jakbym na sto koni wsiadł. Myślałem o tobie często ale cóż? jak człowiek wpadnie do miasta... W Izbie da-

wno już nie byłem i teraz dopiero przyjdzie mi znowu... bo wyobraź sobie: dwa procesy, jeden z chłopami o łąki, drugi z żydem... Ale mniejsza o to! późniéj ci to wszystko opowiem. Teraz, interes najważniejszy: wiesz, żenię się!

W tém co powiedział nie było nic dziwnego, miał lat dwadzieścia kilka i majątek. Ławicz jednak, wydawał się zdziwionym, tak zdziwionym, że Kaplicki patrząc na niego śmiechem parsknął.

— A mój ty Salomonie! czegóż tak na mnie oczy wytrzeszczyłeś? Czy ci się zdaje, że ty i ja, jesteśmy jeszcze takiemi dzieciakami, jak wtedy kiedyśmy razem, pamiętasz? nad tą przeklętą greczyzną ślęczeli.

— Nie, ale wiesz? mnie nigdy na myśl to nie przyszło!

— Spodziewam się... w twojem położeniu, trudno o takich rzeczach... bo, wszak zawsze w biurze służysz i z tą samą pensyą... no cóż robić? Kiedy inaczéj nie można! Zresztą, ty zawsze byłeś jak panienka... Ja znowu jestem innéj natury człowiek. Mnie zakochać się, to jak z bicza palnąć. Tak jednak jak w pannie Alinie, szczerze mówię, nie kochałem się nigdy. Panna piękna, dobrego rodu i utalentowana... słyszałeś jak śpiewa! przytém, trzydzieści tysięcy posagu... ja o to niedbam i bez tego ożeniłbym się z nią, ale kiedy są, to i lepiéj... bo wiesz? interesa, trochę długów i gospodarstwo teraz jest taką rzeczą, że bez kapitału ani rusz... Ojciec zupełnie się już zestarzał i rządy majątku mi oddał. Gospodyni téż w domu bardzo potrzebna...

Służący, na srebrnéj tacy, przyniósł herbatę, ciasta i przekąski. Kaplicki częstował gościa.

— Nie zostałem dziś u nich na herbacie, bo pogniewaliśmy się trochę z panną Aliną. Dumna jest a ja tego nie lubię. Jutro dają wieczór tańcujący a tancerzy mają tyle co nic. Zaproponowałem że przyprowadzę kilku moich tutejszych znajomych, mieszczuchów sobie ale porządnych chłopców. Nie chciała; powiedziała, że ani ona ani jéj kuzynki, z byle kim tańczyć nie będą. Ja tego nie lubię, u mnie człowiek byle uczciwym i porządnym był... Wziąłem to może z téj mięszaniny, która u nas w szkole panowała... pamiętasz np. Derszlaka? syn cieśli a jaki był sympatyczny! Posprzeczaliśmy się i poszedłem. Nic to! jutro pójdę, przeproszę, ale na swojem postawić muszę...

Ławicz, wydawał się znowu bardzo zdziwionym.

— Ależ mój drogi, zawołał, czyż są jeszcze na świecie ludzie, którzyby tak myśleli jak twoja narzeczona!

Z kolei Kaplicki ze zdziwieniem nań popatrzał.

— Ależ naiwny jesteś! wzruszył ramionami. Połowa świata, mój drogi, jeszcze tak myśli. Ale prawda, alboż ty, Salomonie w książkach wiecznie zagrzebany, świat znać możesz! *A propos*, śmiejąc się znowu i zrywając się z krzesła zawołał, wiesz? w domu mojéj narzeczonéj, wiele mówią o tobie i niezmiernie ciakawi są ciebie poznać...

— Ale skądże...

Ot, głupstwo! wiesz? baby zawsze ciekawe a zaciekawiła je żona stróża, jakaś Rębkowa, która dziwne dziwy im o tobie opowiada: że po całych nocach nie sypiasz i nad książkami siedzisz, że sam książki piszesz, że sam do siebie gadasz, że, nakoniec, jak ona myśli, jesteś sobie trochę...

Tu, ręką wskazał na czoło.

— Waryatem, uśmiechając się dokończył Ławicz.

— Ale, z lekkiem zmięszaniem tłómaczył się Kaplicki, te panie nie wierzą w to... tylko kancelista, czytający i piszący książki, w głowie im pomieścić się nie może... przytém, jedna z nich widziała cię kilka razy na wschodach i dowodzi, że jesteś przystojny i masz oczy marzyciela... Ja to tam tego obojętnie słuchałem, bo ani przypuszczałem, że to wszystko o tobie... Te panie, nie zapytały Rębkowéj o nazwisko twoje a może i nie zapamiętały go... ale, nadzwyczajnie, nadzwyczajnie chcą ciebie poznać... nawet panna Alina...

Ławicz całego opowiadania tego słuchał dość obojętnie. Parę razy jednak zarumienił się trochę.

— Ani przypuszczałem, szepnął, abym mógł być przedmiotem...

— Rozmów i ciekawości ładnych pań! widzisz! a gdybyś wiedział jaka to śliczniutka panienka nazwała cię przystojnym i mówiła, że masz oczy marzyciela...

Ławicz zarumienił się znowu.

— Zdaje mi się, szepnął, przypominam sobie, że istotnie, od czasu pewnego spotykam często na wschodach jakąś młodę panienkę...

— Szatynka, średniego wzrostu, ośmnastoletnia...

— Zdaje się...

— Bardzo biała, z szafirowemi oczami...

— Zdaje się...

— To najpewniéj ona, panna Jadwiga... cóż? prawda że bardzo ładna?

— Nie uważałem.

Kaplicki wpatrzył się w niego wielkiemi oczami i znowu parsknął śmiechem.

— A niechże cię Pan Bóg ma w opiece swojéj! No, waryat nie waryat, ale że dziwak z ciebie wielki, to pewnie! Spotykać się często,

z taką śliczną dziewczyną i nie uważać... jednak, w czepku widać rodziłeś się, bo ona zauważyła cię i nawet dość dokładnie, kiedy o twoich oczach mówiła. Cóż? znowu rumienisz się! A! jakiż dzieciak z ciebie! Toż ty, słowo honoru, chyba z innéj gliny ulepiony, jak wszyscy...

Tu, przyszedł mu snać do głowy pomysł jakiś, bo dłonią uderzył się w czoło.

— Genialna myśl, zawołał, zaprowadzę cię jutro do nich na wieczór...

— Ja, na wieczór! Ależ mój Michasiu... ja nigdy nie byłem, na żadnym...

— Byłeś, byłeś, pamiętasz? kiedyś, kiedy moja nieboszczka matka tu przyjeżdżała...

— Ależ ja wtedy miałem lat...

— No, dzieciak byłeś, to prawda, ale pocóż mówisz... zlituj się... nie mów tylko tym paniom, że nigdy na wieczorach nie bywasz, bo pomyślą o tobie, że jesteś człowiekiem dzikim...

— Mój Michasiu, wedle mnie, ten tylko człowiek jest dzikim, który nie zna nauki i nie rozumie wielkich idei, przez nią...

— Wedle ciebie tak jest, a wedle tych pań inaczéj... dla nich człowiek nie obeznany z towarzystwem jest dzikim i co prawda, ja sam, zdanie to podzielam... Nie obrażaj się tylko; o tobie nie mówię. Ty jesteś Salomonem i najpoczciwszym w świecie chłopcem... pójdziesz jutro zemną na wieczór, prawda?

— Nie, mój drogi!

— Ależ pójdziesz, mój Zygmusiu, mój najmilszy... ja cię chcę w świat wprowadzić i, jak powiem pannie Alinie, że cię przyprowadzę, to mi łatwiéj dzisiejszą kłótnię przebaczy...

— Jednakże, sam mówiłeś, że pogardza ona...

— Ależ to zupełnie co innego. Twój ojciec był takim samym dobrym szlachcicem jak i mój, przytem, jesteś moim szkolnym kolegą i człowiekiem...., interesującym. Cóż? pójdziesz? prawda!

Wycałował go znowu w oba policzki i podając mu drugą filiżankę herbaty, zaczął.

— Jutro, o godzinie drugiéj, włożysz frak i pójdziemy z wizytą...

— Ależ mój Michasiu, ja fraka niemam...

— Masz tobie! fraka niema! któż bo na całym świecie może nie mieć fraka? Cóż robić? poprowadzę cię bez fraka... człowiekowi z oczami marzyciela wszystko ujdzie... Tylko pamiętaj, o 2-giéj...

— Ja o drugiéj jestem jeszcze zajęty w biurze...

— Z biurem znowu bieda! No już mniejsza o to! obejdzie się i bez wizyty! Zresztą i ja cały dzień zajęty będę... chodzić będę za

interesami i robić sprawunki. Ekwipuję się... powozy i konie już mam ale uprząż dla koni, liberya dla służby, meble, dywany, lampy, własna moja garderoba, wszystko to jeszcze na karku mi siedzi. Przyjdę więc po ciebie przed samym wieczorem. Mniéj więcéj o ósméj... bądź gotów!

— Ależ, ja na ten wieczór nie pójdę...

— Pójdziesz...

W parę godzin późniéj, rozstając się, zamienili się jeszcze tem samemi wyrazami. Jednak, z twarzy Ławicza i dźwięku jego głosu wnieść można było, że trwoga przed nieznanym mu światem walczyła w nim z chęcią zobaczenia go, myśl o niedoczytanéj książce jakiejś, ze wspomnieniem słyszanego dziś śpiewu. Nazajutrz, wychodząc do biura, spotkał wbiegającą na wschody pierwszego piętra szatynkę ośmnastoletnią, średniego wzrostu, bardzo białą, z szafirowémi oczami. Wszystkie te właściwości jéj osoby, mignęły przed nim jak błyskawica, bo uczuł w twarzy wielkie gorąco, spuścił powieki i tak prędko zbiegł ze wschodów, że zaledwie nie upadł. Pierwszy raz w życiu spostrzegł kwiat na kapeluszu kobiecym. Był to figlarny, roztrzepany, czerwony mak polny.

Około godziny 9-téj wieczorem, Kaplicki wpadł do izdebki na poddaszu i znalazł dawnego kolegę swego ubranego odświętnie. Zrazu jednak nie zwrócił uwagi na jego ubiór. Był tak zmęczonym, że padł na najbliższy stołek i kilka sekund przemówić nie mógł.

— Zhasałem się dziś za sprawunkami temi jak koń pocztowy a tu do ciebie cztery piętra. Jak ty możesz tak wysoko mieszkać?

Powiódł spojrzeniem po izdebce.

— Więc ty tu mieszkasz? tu?

— Naturalnie; od sześciu lat.

Kaplicki posmutniał.

— Mój Zygmusiu, rzekł z cicha, ależ to nędza!

— Jaka to nędza! nie jest to wcale nędzą żadną! gniewnie prawie sarknął Ławicz.

Nie po raz to pierwszy już raziło go i niecierpliwiło, że w położeniu jego ludzie naprzód a czasem i tylko materyalne niedostatki spostrzegali. On sam, gdyby mu o nich nie mówiono, nie spostrzegłby ich nigdy.

— A! jeżeli myślisz, że to bogactwo, niech sobie będzie bogactwo. Z innéj gliny ulepiony jesteś jak wszyscy ludzie. Cóż? tam zaraz tańczyć zaczną, chodźmy!

Spójrzał teraz na czarne ubranie Ławicza.

— No, rzekł... ujdzie! A gdzież rękawiczki?

— Rękawiczki! jak echo powtórzył Ławicz.

— Jakto! nie pomyślałeś o rękawiczkach! Niechże cię... cóż teraz będzie? Aha! ja mam dwie pary, żeby módz zmienić, jak ręce spotnieją... nie będę już zmieniał... masz!

Wyjął z kieszeni fraka parę rękawiczek maślanego koloru, Ławicz wziął je, dziwnie na nie patrząc.

— Wkładajże...

Wkładał i uśmiechał się, bo szło mu to niezgrabnie! Były one dla niego za duże, tak duże, że gdy je włożył, ręce jego wydawały się spuchniętemi.

— Okropność! zaśmiał się Kaplicki; zawsze jednak lepiéj w takich jak bez żadnych... Bierz-że teraz kapelusz i idźmy...

Ławicz wziął czapkę. Na widok czapki Kaplicki usta szeroko otworzył.

— Kapelusz... aha!... bez kapelusza żyjesz... zapewne... widać że to możliwe ale słuchaj no... na wieczór tańcujący z czapką nie sposób...

— Słuchaj Michasiu, zawołał Ławicz, ja tam nie pójdę! Widać, że tam formy wszystko stanowią a ja formę uznaję wtedy tylko kiedy objawia ona...

— Ależ wstydź się! jakie formy! co za formy! przeciwnie, panie te są za treścią, wierz mi, że za treścią... I my przecież wieśniacy, choć Salomonami nie jesteśmy, wiemy co to treść... tylko, wiesz co? weź mój kapelusz, ja tam domowym prawie jestem, mogę z twoją czapką... zostawię ją w przedpokoju...

Wyszli. Na wschodach drugiego już piętra usłyszeli muzykę, złożoną z dźwięków fortepianu i skrzypiec. Ławiczowi oczy błysnęły. Kaplicki zaśmiał się.

— A co! rzekł, jakbyś innym człowiekiem był. Teraz przynajmniéj widać żeś młody. Zobaczysz, jak wybornie będziemy się bawili. Wdzięcznym mi będziesz...

Słów tych Ławicz prawie nie słyszał, bo oblany rzęsistem światłem napełniającém przedpokój a bardziéj jeszcze gwarem licznych głosów, szumiącym za zamkniętémi drzwiami przedpokoju, walczył z paltotem swym, którego zdjęcie utrudniały mu, zsuwające się wciąż z rąk rękawiczki. Lokaj, uniżenie usługujący Kaplickiemu lekceważąco spojrzał na znanego mu z widzenia lokatora poddasza i ani myślał przychodzić mu z pomocą. Kaplicki, piorunująco spójrzał na pełnego pychy sługusa i sam do kolegi poskoczył.

— Cóżeś się tak zmięszał! szepnął, wstydź się! mój Zygmusiu! nikt cię tam przecie nie zje!

W przedpokoju, czuł się trochę tylko zmięszanym ale gdy przez drzwi otwierające się na oścież, buchnęły mu w twarz światło, ciepło i gwar napełniające dwa salony a przed oczami zamigotała mozaika twarzy i ubrań, zbladł bardzo, spuścił powieki i podobnym stał się do niezgrabnego i nieszczęśliwego jeńca, którego pod silną strażą prowadzą tam, gdzie on iść nie chce.

Pierwszy od wejścia niewielki salon pełny był mężczyzn, drugi znacznie większy, wielką girlandą otaczały kobiety. Kaplicki nie postawił znać na swojem i *mieszczuchów* do domu narzeczonéj nie wprowadził. Tancerek znajdować się tam musiała liczba dwa razy większa niż tancerzy. Siedziały one dokoła salonu, tworząc grupy, podobne do klombów z kwiatami. Na widok dwu wchodzących młodych ludzi, w gruppach tych powstał dość żywy ruch. Białe twarze, otoczone utrefionémi włosami zwróciły się ku drzwiom, z za wpółnagich ramion starszych towarzyszek wysuwały się głowy młodziutkich dzieweczek, zdobne w gładkie warkocze i niewinne kwiaty;—wachlarze zaszeleściły, gwar rozmów spadł do cichego szmeru, nad którym unosiły się dźwięki fortepianu i skrzypiec, wygrywających wstęp do kontredansa.

Kaplicki, opiekuńczym ruchem, trzymał rękę kolegi pod swém ramieniem i prowadził go w róg salonu, kędy nad kanapą, fotelami i stołem pełnym albumów, kołysały się, w piórach i ciemnych kwiatach całe, poważne głowy matron. Stanęli przed gospodynią domu, Ławicz usłyszał że wymawiano imię i nazwisko jego, uczuł że powinien ukłonić się. Ukłonił się ale w sposób taki, że na ustach stojącéj tuż panny Aliny, przewinął się uśmiech? Kaplicki, zwrócił go ku pannie Alinie i znowu wymówił nazwisko jego. Ławicz ukłonił się znowu, tak samo jak pierwéj i z tą tylko różnicą, że podniósł oczy aby na narzeczonę przyjaciela spojrzéć. Wzrok jego spotkał się z taką postacią kobiecą, jakiéj z pewnością nie widział dotąd nigdy. Panna Alina ze swą wysoką i kształtną kibicią, z wysoko podniesionémi płowemi włosy, w których świeciła brylantowa szpilka, z zimną białością twarzy swéj i zimniejszym jeszcze błękitem swych oczu, wyglądała bardzo wspaniale i imponująco. Dyana! pomyślał Ławicz i w piękną pannę wpatrzył się milcząc wprawdzie jak grób ale tak zaciekawionémi oczami, że w jéj oczach, wyraz ciekawości z jakiem go witała ustąpił przed wyrazem lekceważącéj ironii, przymrużyła powieki, z wysoka i zimno skinęła głową i odeszła. Długi ogon sukni jéj przesunął się przed stopami Ławicza, jak szybko uciekający obłok; wydało mu się, pewnym był nawet tego, że marmurowe ramiona jéj zadrżały od stłumionego śmiechu. Jego też ręka, pod ramie-

niem Kaplickiego, zadrżała. Kaplicki ciągnął go teraz w inną stronę salonu.

— Przedstawię cię pannie Jadwidze, szepnął.

Widział już ją; widział tę śliczną głowę dziewczęcią, wysuwającą się jakby na spotkanie jego, z grupy starszych towarzyszek, błyskającą ku niemu dwojgiem szeroko, ciekawie otwartych oczu i kilku roztrzepanémi, czerwonémi maczkami, które zdobiły jéj włosy. Nie była wcale imponującą ani wyniosłą, swawolnicą raczéj i naprzemian marzycielką być mogła. Ławicz, porównywał ją w myśli, do jednéj z gwiazd, którą spostrzegał był nieraz w konstelacyi niedźwiedzicy. Zapatrzył się na nią tak, że nie spostrzegł dywana, przez który dążyć mu ku niéj wypadało i zaczepiwszy stopę o brzeg jego, padał już i byłby całkiem upadł, gdyby go był nie podtrzymał Kaplicki. W niezmiernem zmięszaniu swém, jak przez sen tylko usłyszał kilka bardzo krótkich, bo wnet stłumionych śmiechów a gdy podniósł oczy, tuż przed sobą, zobaczył twarz panny Jadwigi, całą w rumieńcu tak prawie gorącym, jak gorącą była purpura jéj maczków. Szafirowe źrenice jéj, pełne blasku, zdawały się pocieszać go, ośmielać, pociągać. Kaplicki wymówił znowu imię ! nazwisko jego. On, ukłonił się znowu mniéj jeszcze zgrabnie niż wprzódy, i w tejże chwili usłyszał głos Kaplickiego. Pan Ławicz prosi cię kuzyneczko, o przetańczenie z nim kontredansa.

Ławicz, przypomniał sobie, że kiedy miał lat 14, angażował do kontredansów siostry kolegów swoich i czyniąc to kłaniał się. Ukłonił się więc i teraz. Panna Jadwiga wstała i podała mu rękę. Powyżéj małéj ręki téj, którą ujął tak lekko jakby zaledwie śmiał jéj dotykać, było ramię białe jak śnieg i obnażone; z puszystych śniegów stanika wysuwała się obnażona téż szyja, po któréj wił się czerwony sznur korali.

Niewiele, bardzo niewiele pamiętał on z reguł rządzących malowniczo rozwijającym się śród salonu tańcem; trochę je przecież pamiętał i w pierwszéj figurze uniknął szczęśliwie wszelkiego błędu. Kaplicki, który z narzeczoną swoją naprzeciw niego i panny Jadwigi tańczył, krzyżując się z nim szepnął.

— Brawo! tańczysz wybornie! staraj się tylko nie mieć takich wystraszonych oczu!

Istotnie, miał on w oczach wyraz przestarchu. I nie dziw! zapamiętał z dzieciństwa, że reguły kontredansowe tak są niezłomne i nieubłagane jak rządzące światem prawa przyrody. Wiedział, że gdyby którąkolwiek z reguł tych nadwerężył, powstałby ztąd w tańcu chaos taki, w jaki niezawodnie popadłby świat, gdyby którekolwiek z praw przyrody zwichniętém zostało. A wcale pewnym nie

był, czy pamięć jego jest mu wierną, czy w tę stronę iść należy albo w tamtą, czy tancerce rękę podać trzeba w téj chwili albo w innéj. Panna Alina z uśmiechem mówiła o czemś do narzeczonego, on zdawał się coś jéj tłumaczyć lub kogoś przed nią usprawiedliwiać.

Pomiędzy pierwszą a drugą figurą nastąpiła pauza. Ławicz odetchnął z głębi piersi, grubą chustką otarł pot z czoła i spójrzał na swoją tancerkę. Spostrzegł, że patrzała ona na fałdujące się mu na rękach rękawiczki i na grubą jego chustkę. Wnet przecież podniosła oczy i zagadnęła:

— Pan stale mieszka w mieście?

— Tak, pani.

— Czy pan się dobrze bawi?

— Ja pani.... nie bawię się wcale.

— Jakto? — Nie bywa pan ani na wieczorach, ani na koncertach, ani....

— Nie bywam nigdzie....

Oczy jéj ze zdziwieniem tkwiły w jego twarzy, lecz świeciła w nich zawsze ta sama co wprzódy pociągająca i uśmiechająca sympatya.

— Ależ... zaczęła, znajomi pana, muszą bardzo gniewać się za to, że im pan towarzystwa swego odmawiasz....

— Ja pani, niemam znajomych....

Spuściła oczy na wachlarz.

— To bardzo dziwne! — rzekła.

Ławicz przypomniał sobie przestrogę przyjaciela i ze szczególnym uśmiechem podchwycił:

— I dzikie także, nieprawdaż pani?

Dziewczyna zaśmiała się figlarnie i zawołała:

— Trochę dzikie, to prawda!

Figura kontredansa druga! Ławicz pracował znowu i raz nawet omylił się, jednak oczy jego były już mniéj wystraszonemi. Zjawiło się w nich zamyślenie. Pomiędzy drugą a trzecią figurą, pierwszy już zwrócił się do swéj tancerki.

— A pani stale mieszka na wsi?

— Tak, panie.

— Wieś z ciszą swą i swobodną naturą musi być bardzo piękną....

— Tak, w lecie. W zimie—nudno. Sąsiedztwa mamy niewiele.... Zimowe wieczory takie długie. ..

Ławicz nie odpowiedział. Myślał może o tém, jak krótkiemi bywały zawsze dla niego zimowe noce.

— A pan co robi w zimowe wieczory?

— Czytam pani.

— I my czytamy....

— A!...

— Tak, czytamy; ja bardzo lubię czytać.... przed wyjazdem do X. czytałam powieść jedną, w któréj..... w któréj....

Urwała, zaśmiała się, figlarném spójrzeniem rzuciła tancerza swego i zaczęła tańczyć figurę trzecią. Tańcząc, szepnęła: — Niech mię pan pięknie poprosi, to powiem co w powieści téj znalazłam....

Dziewczęce te spójrzenia i szepty oblały mu twarz rumieńcem.

— Proszę — szepnął.

I w téj saméj chwili stracił całkiem pojęcie o tém, co czynić mu należało. Wysunął się na środek salonu, gdzie spotkał się z Kaplickim, który oczami coś mu wskazywał; mniemając, że idzie za wskazaniem tém, poskoczył ku pannie Alinie, która wyniosłym ruchem usunęła się od niego; obejrzał się za tancerką swą; biegła ona ku niemu rozchichotana tak, że aż czerwone maczki drżały i roztrzepywały się nad jéj czołem, pochwyciła go za rękę i na właściwe miejsce powiodła. Z chichotem tym i z temi kwiatami skaczącemi w lesie loczków, wydała się mu dzieckiem, małem, pustem, swawolném dzieckiem. Uciszyła się jednak wkrótce i spoważniała trochę.

— Jeżeli pan prosi—ciągnęła przerwaną rozmowę— to powiem. W téj ulubionéj powieści mojéj jest bohater, nadzwyczaj podobny do pana. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam pana, zaraz pomyślałam sobie, że to podobieństwo dziwne....

Ławicz zdziwił się bardzo. On! podobny do bohatera powieści!

— Powierzchowność miał on zupełnie taką jak pan, tak samo mieszkał gdzieś na poddaszu i książki pisał....

— Ja pani książek nie piszę.

Spojrzała niedowierzająco.

— Jakto? nie pisze pan książek?

— Nie, pani....

— Naprawdę?

— Najpewniéj.

— Ach! a nam mówiono....

Wydawała się zmięszaną i zmartwioną.

— Więc.... cóż pan robi?

— W biurze służę....

Dziewczyna przygryzła zlekka usta.

— Jakto! i doprawdy pan książek nie pisze?

— Próbowałem pani pisać je.... ale nie udało mi się.....

— A! więc pan jednak pisze.... A jaki jest tytuł książki, którą pan pisać próbował....

— Nie miała ona jeszcze tytułu...

— Była to więc może „powieść bez tytułu"?

— Nie była to powieść....

— Cóż więc?...

— Było to coś z dziedziny historyozofii.

— Co to?

Pytanie to wymówiła z szeroko otwartemi oczami zdziwiona. Z kolei Ławicz śmiał się.

— Z czego się pan śmieje?

— Z zapytania pani.

Mocniéj białemi ząbkami przygryzła pąsową wargę i z pod brwi rzuciła na tancerza swego gniewne wejrzenie.

— Przy bliższém poznaniu staje się pan daleko mniéj podobnym do bohatera ulubionéj powieści mojéj....

Słowa te rzuciła zaczynając tańczyć figurę czwartą. W pauzie pomiędzy czwartą a piątą figurą nie przemówili do siebie ani słowa. Ona zdawała się być rozgniewaną trochę a trochę zasmuconą, on był tylko niespokojnym. Niepokój jego miał przyczyny ważne. Wiedział, pamiętał, że ostatnia figura kontredansa długą jest i rozmaitości pełną, jak w sennėm marzeniu przypominał sobie różne koła i jéj zwroty.

Wystraszonémi znowu oczami w Kaplickiego wpatrzony, objął on kibić tancerki swéj i krokiem galopady, przesuwając się z nią na drugi koniec salonu, w ciągnącym się za nią przezroczystym obłoku stopę swą uwięził. Obłok rozdarł się, ręce tancerki opuściły jego ramiona, on zaś z tarlatanowych strzępi otrząsał nogę swą tak pracowicie i z takiem niepowodzeniem, że dokoła wybuchnął znowu głośny choć prędko stłumiony śmiech. Panna Jadwiga pąsową była jak maczki, które teraz zdawały się sztywnie jeżyć w jéj włosach. Przygryzła sobie usta prawie do krwi i łzy kręciły się w jéj oczach. Żal jéj było zapewne podartéj sukni i straconéj figury kontredansa a może najbardziéj rozwianego marzenia. Żal ten objawił się w formie gniewu. Piorunującém wejrzeniem okrywając twarz swego tancerza, prędko drżącym głosem wymówiła:

— Bohater ulubionéj powieści mojéj umiał tańczyć, a gdyby nie umiał, nie tańczyłby wcale....

Rzekłszy to, zebrała w dłoń strzępy pozostałe po ogonie jéj sukni i frunęła w głąb mieszkania. Za nią wyszła z salonu panna Alina. Kaplicki utraciwszy tancerkę swoję i swe *vis à vis* opuścił też kontredansowe koło i zbliżył się do Ławicza, który zmięszany, silnie zarumieniony, ze spuszczonym wzrokiem i obwisłemi rękami stał na tém samém miejscu, na którém spotkała go katastrofa.

— No, nic to! nic! każdemu przecież coś podobnego zdarzyć się może! Chodź, poznajomię cię z mężczyznami....

Z kobietami nie udało mu się widocznie i stanowczo; Kaplicki wiedzieć musiał, że zgubionym on był w ich oczach. Trzeba go było wprowadzić w koło mężczyzn. Byli to w większéj części wieśniacy, w mniejszéj znacznie zamożni i do wyższego towarzystwa zaliczający się mieszkańcy miasta. Rozprawiano tu o urodzajach, podatkach, upałach, mrozach, koniach, o zmianie gubernatora, Gambecie i księciu Bismarku. Przy dwóch stolikach grano w karty. Ławicza przedstawił Kaplicki kilku młodym ludziom, którzy mówili z sobą o zeszłorocznych wyścigach konnych i którzy, sami we frakach, szybkiem spójrzeniem orzucili tużurek przedstawianego im kancelisty a bardzo grzecznie dotknąwszy dłoni jego końcem palców, rozmawiali daléj o zeszłorocznych wyścigach, o cyrku przebywającym w X., o polowaniach odbytych lub odbyć się mających w ich okolicy. W innéj grupie, z ludzi poważniejszych złożonéj, zajmowano się bardzo kwestyą wyborów do parlamentu francuskiego, a w innéj jeszcze rozprawiano o organizacyi i przypuszczalnych losach państwa Ottomańskiego. Przy dwu tych ostatnich grupach Ławicz stał dość długo, z uwagą przysłuchując się ich rozmowom, lecz żadnego w nich udziału nie przyjmując. Potém z cieniem uśmiechu na ustach, odszedł w stronę salonu w którym tańcowano.

Tańczono w téj chwili zawzięcie. Kaplicki z narzeczoną swoją prowadził w pierwszéj parze ochoczego mazura. Tańczył dziarsko i z zamiłowaniem; czuć było, że znajdował się we właściwym sobie żywiole, z twarzy jego promieniało szczęście i lał się kroplisty pot. Majestatyczną pannę Alinę mazur ożywił także. Wspaniale zawsze lecz z wdziękiem, w błękitnych obłokach cała płynęła przez salon, u boku narzeczonego. Panna Jadwiga z naprędce naprawionym ogonem swéj sukni, lekka i żwawa, tańczyła także z młodziutkim blondynem, który nie miał zapewne oczu marzyciela i książek nie pisał, ale tańczył ładnie. Oprócz tych dwóch, było tam jeszcze z ośm par tańczących. W mazurowych figurach zwijały się i rozwijały różnobarwne koła, ręce wyciągały się ku sobie, ramiona w czarnych rękawach obejmowały kibicie świecące bielą odkrytych ramion, pojedyńcze pary, z twarzami w ogniu i uśmiechach przelatywały salon, inne w oczekujących postawach stojąc, do dźwięków muzyki i szelestu sukien mięszały szmery i gammy, wciąż rwących się rozmów i śmiechów.

W drzwiach rozdzielających dwa salony, młody mężczyzna w czarnym tużurku i ogromnych rękawiczkach maślanego koloru z ramionami skrzyżowanemi na wątłéj piersi, stał i patrzał. Rzęsiste

światło lamp i kinkietów pozwalało dojrzéć na jego czole widoczne ślady zmęczenia. Nie było to zmęczenie takie jakie w téj chwili, kroplami potu oblewało czoła tancerzy ale takie, które zwolna i niewidzialnie, przez długi szereg dni i lat, zapisuje na obliczu człowieka historyą jego życia. Pomimo łagodnego zarysu ust i skromności postawy, to zmęczenie jego czoła i nieruchomość śród powszechnego ruchu, nadawały mu piętno surowości i zamkniętego w sobie smutku. Patrzał na tańczących i myślał. Myślał zapewne o tém jak obcym był dla niego świat ten wesołości i swobody. Czy był on dlań ponętnym? Zapewne, gdy blaski i odgłosy jego dolatywały go zdala....

Mazur miał się ku końcowi. Uczuł, że ktoś go potrącił w ramię. Był to lokaj, wnoszący do salonu tacę ze szklankami pełnemi limoniady i wody z sokiem. Ominął go, śpiesząc ku młodziutkiemu blondynowi, który umieściwszy na krześle pannę Jadwigę, płonącą twarz swą wachlarzem jéj ochładzał. Ławicz uśmiechnął się znowu. Teraz salon uciszył się nieco, muzyka umilkła, w szmery rozmów podobnych do brzęczenia pszczół, mięszały się fałszywe tony nastrojanych skrzypiec.

Dokoła panny Jadwigi utworzyła się grupa młodych dziewcząt i młodych mężczyzn. Ona królowała w niéj, bawiąc ją opowiadaniem bardzo widać zabawném, bo wszystkich rozśmieszającém. Ławicz nie spuszczał oczu z dziewczęcéj twarzy téj, która mu przez cały ubiegły dzień jak zaklęta przed oczami stała, dla któréj był tutaj, która dwie godziny temu olśniła go tak, że o mało na środku salonu nie upadł. Teraz z gestów jéj, minek, ruchu ust i przelotnych spojrzeń odgadł, że siebie i otoczenie swe dowcipnie zapewne bawiła opowiadaniem o jego ogromnych rękawiczkach i grubéj chustce do nosa, o tém, że niema on wcale znajomych i nigdzie nie bywa, że kłaniać się ani tańczyć ani rozmawiać nie umié. Po prostu wyśmiewała go. Domyślał się tego, odgadywał każdy prawie jéj wyraz i patrzał na nią i na tych, którzy jéj wtórzyli z obojętnością zupełną. Zmięszanie jego zarówno jak zachwycenie—minęło. Możnaby rzec, że raz uczuwszy się obcym zupełnie wszystkiemu co go otaczało, spoglądać zaczął na otoczenie to, z punktu nie uczuć swych ale myśli. Widocznie spoglądał on na nie z góry, sądził je, do pojęć swych o życiu przymierzał. W wyrazie twarzy jego nie było ani upokorzenia, ani urazy, ani żalu. Malowało się na niéj tylko zamyślenie i trochę ironii.

Po krótkim odpoczynku tańczono walca. Ławicz, aby nie zawadzać tańczącym, usunął się do mniejszego salonu, stanął u jednego ze stolików, przy których grano w karty i przypatrywać się zaczął obrazkom rzucanym na zielone sukno. Kaplicki stanął na pro-

gu i szukał go oczami. Znalazłszy, poskoczył i dotknął jego ramienia. — Możebyś chciał w karty zagrać? Możnaby jeszcze partyą jedną ułożyć.

Ławicz zaśmiał się głośno. O żadnéj grze kartowéj najlżejszego nie posiadał wyobrażenia. Narzeczony panny Aliny zanadto był zajęty tańcem i zastępowaniem nieobecnego pana domu, aby módz wiele czasu poświęcać jednemu z gości. Odbiegł więc, bo usłyszał, że w większym salonie proszono pannę Alinę aby śpiewała. Wkrótce też piękny i dobrze wykształcony głos kobiecy wzniósł się nad opadającym i w ciszę zamieniającym się gwarem. W tejże chwili Ławicz wyszedł do przedpokoju a zamieniwszy tam kapelusz Kaplickiego na swoję czapkę, znalazł się na wschodach. Czy wypadało mu tak opuszczać zebranie nikogo nie żegnając, ani pomyślał o tém. Nie chciał téż słuchać śpiewu panny Aliny.

(*d. c. n.*) *El. Orzeszkowa.*

WACŁAW POTOCKI

JAKO AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIÉJ".

Jak w wielu innych kierunkach pracy naukowéj tak i w badaniach nad dziejowym rozwojem naszéj literatury zostajemy daleko w tyle po za rezultatami, jakie inne ludy osiągnęły na tém polu. Pomimo stuletniéj przeszło pracy nad gromadzeniem i uporządkowaniem szczegółów biograficznych i bibliograficznych, dotąd jeszcze nie posiadamy najkonieczniejszych danych co do zewnętrznych kolei życia wielu pierwszorzędnych pisarzów, a niejedną ciekawą postać znamy zaledwie z nazwiska. Słowem nie ukończyliśmy jeszcze pracy przygotowawczéj, na któréj dopiéro winno się oprzéć umiejętne badanie dziejów literatury a tymczasem pora najbardziéj sprzyjająca téj pracy bodaj że przeminęła już wraz z pokoleniem, u którego miłość dla przeszłości ozłacała idealnym blaskiem najsuchsze poszukiwania i najskromniejsze zabytki. Dla ustępującego obecnie z widowni pokolenia pomniki literatury na równi z innémi zabytkami życia ojców stanowiły drogą pamiątkę, którą starannie przechowywano ale przytém, jak każdy drogi skarb, starannie zamykano. W rzadkich chwilach jedynie wydostawano z zakątów bibliotecznych te pamiątki i przeglądano—niekiedy odczytywano, z rozrzewnieniem, z jakim rozpatrujemy stare listy drogich nam osób. Taki nastrój ducha niedopuszczał rozbioru i chłodnéj oceny zarówno formy jak i treści pomników dawnéj literatury.

Dla obecnego pokolenia patrzącego obojętniéj a czasem nawet niechętnie na przeszłość, od któréj je oddziela szeroka przestrzeń drogi szybko przebytéj pod biczem bolesnych doświadczeń i cała suma zmienionych warunków, które wytworzyły nowy organizm społeczny na gruzach dawnego, potrzeba te zabytki oświetlać już nie idealnym blaskiem sympatyi—bo téj źródła bardzo zubożały,

ale światłem prawdy dziejowéj, ciepłem życia wskrzeszonego w nich samych. Zamiast szeregów dat, nazwisk, tytułów, przedstawiać żywe postacie pisarzów, zamiast ogólnikowych, deklamacyjno patryotycznych pochwał, zniechęcających jedynie ku dawniéj literaturze młode pokolenie na miarę tych sądów, szukające w niéj mniemanych arcydzieł poezyi—objaśniać z pomocą wskazówek, jakich dostarczają zabytki literatury, wewnętrzne życie ich autorów i epoki saméj i w uzyskaném ztąd świetle ukazać charakterystyczne cechy utworu, jego nieuchronne wady i ukryte pod przestarzałą formą zalety,—wydobyć wreszcie z pod zesztywniałych powijaków i cudacznego przystrojenia obrazy życia dawnego w całéj pełni i barwności, oto zadanie dzisiejszego badacza, zadanie wdzięczne ale niełatwe, tém trudniejsze, że dane, na jakich się opierać potrzebuje, (zewnętrzne koleje życia autora, wydania poprawne pism, szczegóły odnośne do życia epoki i otoczenia autora) nie są należycie zebrane, sprawdzone i uzupełnione. Mimo to pracy téj odkładać nie można, bo pokolenie obecne nie uzna w staréj literaturze „arki przymierza między dawnymi a młodszymi lata" i nie odda jéj czci należnéj, póki nie przekona się, że arka ta mieści istotnie rzeczy godne przechowania, że zawiera ona nie prochy i popioły lecz perły i dyamenty w których skrystalizowało się dawne życie i skoncentrowało światło wielkich umysłów i ciepło wielkich serc.

Takim dyamentem—nieoszlifowanym naturalnie, jest „Wojna Chocimska" Wacława Potockiego, w któréj przechowały się najlepsze dążenia, najpodnioślejsze pojęcia i uczucia ówczesnego szlacheckiego społeczeństwa, wypowiedziane z całą siłą wymowy i ogniem szlachetnego zapału, przez usta jednego z najznaczniejszych a względnie i najrozumniejszych jego przedstawicieli.

Przez dwa blizko wieki nieznany światu utwór ten z chwilą odnalezienia wywołał powszechny podziw śród literatów zdumionych, bo nie mogących pojąć, jakim sposobem epoka uznana za czas upadku mogła się zdobyć na podobne dzieło. Olśnieni blaskiem tego klejnotu krytycy nie dostrzegli jego plam i skaz a w zapale patryotycznym lecz nie krytycznym, (Wojcicki, Mecherzyński) wyczerpali cały zasób pochwalnych epitetów, jakim rozporządzali. Publiczność przecie, choć jak zwykle przyjęła za prawdę „słowa mistrzów," jednak nie podzieliła ich zapału i nie kwapiła się do bliższego poznania tego arcydzieła. Powtórne wydanie które w lat trzydzieści po pierwszém się ukazało (r. 1880) zawdzięczamy czci dla tego utworu wśród jednostek, nie zaś żądaniom oświeconéj części naszego społeczeństwa.

Rzecz widoczna, że ani przesadne pochwały Wojcickiego i Mecherzyńskiego, ani chłodniejsze i gruntowniejsze oceny Szajnochy,

Bełcikowskiego i Tyszyńskiego nie zdołały przekonać publiczności, nie potrafiły przedstawić jéj tego dyamentu w sposób uwidoczniający grające w nim ognie, których blask wynagradza hojnie plamy i chropowatości, rażące nawykłych do klejnotów delikatnie obrobionych i wykwintnie oprawionych. Ognie te wywołać może jedynie promień tego samego światła, które drga dotąd zamknięte w utworze, promień ducha autora i ducha ówczesnego społeczeństwa. Pochwycenie tego promienia stanowi operacyą dość trudną i bardzo delikatną, któréj wykonać nie mogli dotychczasowi krytycy ogarniający w swém badaniu cały obszar olbrzymiéj prawdziwie działalności literackiéj Potockiego. Jak badacz przyrody dostrzega w niewidzialnéj prawie komórce lub cząsteczce prawa rozwoju i układu, których by daremnie szukał przez obserwacyą całych brył lub złożonych organizmów; tak i w zakresie literatury rozbiór jednego trafnie wybranego utworu może dostarczyć światła wyjaśniającego nietylko całą działalność danego pisarza ale i epokę, któréj jest przedstawicielem. Ten wzgląd w połączeniu z wyżéj wskazanemi pobudkami skłonił mnie do wyboru „Wojny Chocimskiéj“ za przedmiot studyów, w których starałem się, o ile umiałem, pochwycić te niewidzialne nici wiążące każdy donioślejszy utwór z duchem autora i życiem epoki, a przytém odtworzyć cały łańcuch pojęć jakie przewodniczyły ówczesnym ludziom tak w tworzeniu jak sądzeniu płodów literackich.

Chciałem przytém uwydatnić czytelnikom dzisiejszym nietylko tę bezwzględną, wiecznotrwałą piękność, któréj blaski przeświecają choć przyćmione w „Wojnie Chocimskiéj,“ ale i to drugie względne, czasowe piękno zadawalniające w każdéj epoce wymagania szerszego koła czytającéj publiczności, lecz rażące i odstręczające czytelników z późniejszych pokoleń.

I.

Choć przebywaliśmy niejednokrotnie ciężkie bardzo chwile dziejowe, nigdy jednak nie trwały one tak długo, nie przedstawiały takiego nawału klęsk, takiego rozprzężenia społecznego, takiego rozpaczliwego przeciwieństwa anarchii, nieradności i bezsilności w rządzie i społeczeństwie—z liczbą, potęgą i zawziętością występujących ze wszystkich stron nieprzyjaciół, takiego zniszczenia zasobów materyalnych i rezultatów parowiekowéj kultury—jakiém odznacza się okres dwunastoletnich wojen od 1648 do 1660 r. Początek tego dziejowego kataklizmu odmalował z wielką prawdą i siłą Szajnocha w dziele „Dwa lata dziejów“; dalszy przebieg przecie i stan kraju

po uspokojeniu się burzy nie znalazły dotąd równie uzdolnionego historyka. Kto ma odwagę odczytać olbrzymią rymowaną kronikę tych wojen, skreśloną pod świeżém wrażeniem wypadków przez Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, ten, śród sucho i prozaicznie opowiadanych szczegółów akcyi wojennéj i politycznéj, spotka dość często pełne prawdy i siły wykrzyki bólu, oburzenia i rozpaczy, wyrywające się z chłodnéj piersi dworzanina i panegirysty urzędowego, na widok tego co się dokoła niego dzieje.

I niech sobie światowych ruin kto natworzy
Niech stawi przed oczyma królestw inszych zguby
Troję upadającą i dom z nią Hekuby,
Popioły Numancyi, Saganty zburzone,
Zunety, Kartageny z gruntu wywrócone,
Opłakańszy daleko (Bóg li w swojéj pieczy
Już jéj niema) naszéj, stan Pospolitéj Rzeczy,
Bo tam termin przejrzany prętkiéj był ruinie
A ta kona powoli i dziesięć lat ginie

. . . .

Światowi wszystkiemu
Ze Wschodu i Zachodu z Południa i Północy
Nie było z-to potęgi i naszéj już mocy
Im odeprzéć.......
Co większa nieprzyjaciel tam palił i ścinał
Tu żołnierz nie karany chlebów swych dopinał
I mizerne domowe przeżymał wnętrzności

. . . .

.........Czem miasta pierwéj spustoszono
Toż wsi zrosły odlogiem i wszystko powoli
Sprawowanie roli
W Polsce ustawało. Prócz tego nierządy
Wielkie insze; od starych pokrzywione sądy,
Senat z dzieci dobrany i mógł każdy żądze
Swojéj dopiąć, kiedy miał co chciał za pieniądze.
Snadno nędznym dokuczyć i popchnąć to ciało,
Które ni krwie ni władze żadnéj już nie miało,
A przecie nie armaty i straszne te boje
Jako więcéj prywaty zgubiły nas swoje
Doma Aleksandry za stołem bijemy
A na wojnę bez prochów i lontów idziemy......

Dla społeczeństwa przenikniętego przekonaniem o swéj wielkości i potędze jakże bolesnym być musiał taki nagły upadek, takie upokorzenie:

Ach byliśmy Trojany, była możność, była
Sława między narody, która przechodziła
Do obu oceanów......

woła Twardowski, który tak niedawno jeszcze opiewał złoty spokój i świetność czasów Władysława IV.

Taki gwałtowny przewrót w losach, takie silne i długotrwałe wstrząśnienie, zgasiło przedewszystkiém utrzymujące się dotąd ogniska życia umysłowego, rozniecone pod wpływem prądów epoki odrodzenia, tak po większych miastach (Kraków, Lwów, Lublin, Poznań, Raków i inne) jak na dworze królewskim i po wielu tak magnackich jak i szlacheckich dworach. W pożarach i rabunkach miast zniszczały szkoły, księgozbiory, drukarnie, po kościołach i dworach wiejskich również ruchawka Chmielnickiego i szwedzcy żołdacy popalili i porabowali zbiory ksiąg, dokumentów historycznych i artystycznych zabytków zgromadzonych przez kilka stuleci. Życie umysłowe ustaje chwilowo; Twardowski ucieka ze zniszczonéj siedziby (Zarubińce pod Zbarażem) unosząc swe prace literackie jedynie i na drugim krańcu kraju (w Wielkopolsce) szuka schronienia, zkąd wypłasza go znów najazd szwedzki, zmuszając do chwycenia za oręż w podeszłym już wieku; Zimorowicz patrzy z boleścią na zniszczenie swego cichego domku w uroczem położeniu pod murami Lwowa; Kochowski i Potocki służą w pospolitém ruszeniu. Zubożenie materyalne wszystkich stanów przez pożary, rabunki i ciągłe opłaty i kontrybucye, bądź przez najeźdców wybierane, bądź téż nakładane przez sejmy na obronę kraju, uniemożliwiło, zwłaszcza przy warunkach nieprzyjaznych dla rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu — przywrócenie do poprzedniego stanu tego, co wojna zniszczyła.

Prądy epoki odrodzenia rozwinęły wprawdzie i w polskiém społeczeństwie wyższy stopień życia duchowego, polegający na wyzwoleniu myśli i uczucia z zależności od form i formuł, ale stopnia tego dosięgły jedynie nieliczne grupy śród zamożnego mieszczaństwa i garnącego się dość skwapliwie do nowego światła ziemiaństwa w południowo-zachodnich okolicach dawnéj Polski. Światło to roznosiły nieliczne jednostki, które odbywały nauki na zagranicznych uniwersytetach. Z upadkiem zamożności miast, wygaśnięciem dynastyi Jagiellońskiéj tak dbałéj o szerzenie oświaty, z przeniesieniem stolicy do Warszawy—życie umysłowe niepodtrzymywane należycie zaczęło gasnąć i średniowieczna pomroka, rozjaśniona chwilowo blaskiem kilku gwiazd, zapadać na nowo. Wcielenie Litwy i Mazowsza do państwowego organizmu Polski, dało polityczną i społeczną przewagę tłumom ciemnéj szlachty litewsko-mazowieckiéj, przedstawiającéj co do umysłowego i obyczajowego ukształcenia ten stopień zaledwie, na jakim dziś znajduje się nasz włościanin. Nieliczna stosunkowo szlachta małopolska i wielkopolska, mimo całéj swéj wyższości umysłowéj i obyczajowéj, straciła swe znaczenie i nie mogła stawić czoła najazdowi téj butnéj, ruchliwéj, krzykliwéj, silnéj w ręku, lecz ciasnogłowéj braci, która w krótkim czasie zdołała narzucić jéj i swe

obyczaje i swą wolę na sejmikach, a przytém swą zabiegłością i przemyślnością w gospodarstwie rolném zagarnąć znaczną część jéj posiadłości. Wprawdzie małopolscy ziemianie, dumni wielowiekową dawnością swych rodów i wyższością swéj oświaty, pogardliwie spoglądali na takich przybyszów „co wziąwszy *ski* albo się od Bracławia albo piszą się z Mazowsza," ale swoją drogą przyznać musieli, że taki przybysz mimo wątpliwego szlachectwa, braku wykształcenia i ogłady obyczajowéj „trzęsie przecie sejmikiem" i zastępując sprytem brak nauki, wrodzoną wymową nieznajomość Cycerona, pewnością siebie i butą brak wychowania, odgrywa ważną rolę w życiu politycznem i towarzyskiém (1).

Jedna religia mogła okiełznać fizyczną bujność tych ludzi i ukazać im potęgę przed którą pokorniala ich buta. Przyjąwszy w siebie te nowe żywioły, musiała piastowska Polska przechodzić z niemi powtórnie średniowieczną dobę i to nietylko w duchowym lecz i w polityczno-społecznym rozwoju. Dla nich była to konieczna szkoła, dla niéj ciężka pokuta za błędy polityczne, niesprawiedliwość społeczną, życie nad stan, wygaśnięcie ducha rycerskiego i zaniedbanie uprawy umysłowéj i obowiązków obywatelskich. Klęska Pilawiecka, ten Sedan polskiego rycerstwa — skwapliwe poddanie się Wielkopolski Szwedom a pod wielu względami i rokosz Lubomirskiego, oto jaskrawe pojawy choroby nurtującéj organizm piastowskiéj Polski, pojawy tłómaczące zarazem bezsilność polityczną i społeczną pierwotnych prowincyj wobec nowych żywiołów i wyrastającéj z ich pomocą oligarchii. Bieda materyalna sprowadzona długoletniemi wojnami i nierządem ekonomicznym, coraz silniéj przykuwała średnią i drobną szlachtę do dworów magnackich, ciemnota i anarchia coraz konieczniejszém czyniła szukanie protekcyi, rad i wskazówek u magnata dobrodzieja i opiekuna. Stosunki średniowieczne wytwarzały się tu same przez się; było to lennictwo tylko nieterytoryalne ale moralne i materyalne zarazem, nieprawne ale obyczajem uświęcone i określone co do natury usług i obowiązków obustronnych.

Wstrząśnienie spowodowane przez dwunastoletnie wojny i towarzyszące im klęski, przyśpieszyło to rozwinięcie się średniowiecznych stosunków zarówno w życiu umysłowém jak i polityczno-społeczném. Z drugiéj strony przyczyniło się ono wielce do zatarcia tych licznych a wybitnych różnic jakie przedstawiały dotąd w pojęciach, obyczajach i uczuciach rozmaite części Rzeczypospolitéj. Wspólność niedoli, wspólność nienawiści przeciw najeźdzcom, koleżeństwo obozowego życia, konieczność szukania nowych siedzib w miejsce spu-

(1) Patrz Wojna Chocimska str. 157.

stoszonych zbliżyły z sobą ludzi i obudziły w nich poczucie jedności, słabe wprawdzie ale zawsze stanowiące ważny krok naprzód w dziele wytwarzania się jednolitego organizmu narodowego. Jedyną też to było korzyścią jaką osiągnęła Rzeczpospolita z tak ciężkiego przejścia. Straszne to i kosztowne doświadczenie nie otworzyło wcale oczu na przyczyny złego, już nietylko mazowiecko-litewskiéj szlachcie, po któréj trudnoby się tego spodziewać, ale ziemiaństwu dawnéj Małopolski i Wielkopolski, liczącemu wtedy sześć wieków życia politycznego i od sześciu wieków ulegającemu wpływom cywilizacyi zachodniéj. Jak w wieku XVIII wpływ francuzkiéj oświaty sprowadził trwałe i ogólne przekształcenie w ubiorze tylko i zwyczajach życia towarzyskiego, tak i prądy wieku odrodzenia przekształciły tylko w XVI w. urządzenie domów, stroje i tryb życia, odnośnie do pokarmów i napojów obyczaje; idee zaś tego wieku przyjęły się w nielicznych tylko umysłach i znikły wraz z niemi nieznajdując dla siebie gruntu. Dzieła tych wyjątkowych umysłów zostały w XVII wieku zapomniane zupełnie. To też po przebyciu strasznego przesilenia, wszystkie umysły świátlejsze czują że przyczyny tych klęsk szukać należy nie w złéj woli nieprzyjaciół ale w błędach narodu; jednak nie umieją sobie jasno określić istoty tych błędów, istoty złego tkwiącego w organizmie Rzeczypospolitéj. Jedno złe tylko zwracało na siebie powszechną uwagę, a mianowicie upadek ducha rycerskiego, wygaśnięcie dawnego męztwa udowodnione haniebnemi porażkami w wojnach z kozakami i przypisywane powszechnie zniewieściałości i zbytkom wynikłym z przejęcia zwyczajów i trybu życia od ludów zachodnich.

Drugą przyczynę nieszczęść krajowych dopatrywano i to na całym obszarze Rzeczypospolitéj choć z niejednakowych powodów, w królach cudzoziemcach zagrażających nieustannie swobodom szlacheckim, troszczących się przeważnie o swoje sprawy i lekceważących życie i zwyczaje narodowe. Jedyną więc deską ocalenia, jedyną reformą jaka miała zabezpieczyć Rzeczpospolitą od ponowienia się podobnych nieszczęść był wybór króla rodaka, króla-Piasta, jak się wyrażono. Wierzono że sam widok rodaka na tronie rozbudzi w narodzie i utracone męztwo i ducha obywatelskiego, że na jedno jego skinienie zapełni się pusty skarb, pojawią hufce dzielnego rycerstwa, znikną gwałty i nadużycia, ustaną zbytki a złoty wiek wolności, sprawiedliwości, potęgi i pokoju zakwitnie w dziedzinie Lecha. Oprócz tych wspólnych nadziei, jakie opierano na wyborze, do którego przecie nie upatrzono jeszcze kandydata, hasło to miało swe specyalne znaczenie, inne dla Małopolan a inne dla Mazurów i Litwinów. Dla pierwszych wyrażało ono powrót do staropolskich urzą-

dzeń, do obyczajów piastowskiéj epoki, z którémi razem powrócić muszą dawne cnoty i dawne znaczenie starożytnych rodów szlacheckich tych prowincyj, w których jedynie przechowały się czysto prawdziwe pojęcia o szlachectwie i obowiązkach tego stanu. Dla drugich znowu znaczyło to jedynie prawo swobodnego głosu na elekcyi, prawo wybierania kogobądź i stawienia choćby swéj własnéj kandydatury. Bądź co bądź było to hasło streszczające w sobie wszystkie pragnienia i wszystkie nadzieje znękanego tyloletniemi klęskami narodu, to téż przemogło ono nad zabiegami dyplomatów partyi francuzkiéj. Nasunięty przypadkowo uwadze szlachty zebranéj na elekcyą książę Michał Wiszniowiecki, ponieważ ubóstwem swém przypominał legendowego Piasta, a jako syn mężnego wodza z czasów wojen kozackich, powinien był odziedziczyć ducha rycerskiego, urósł w jednéj chwili w zapalnéj fantazyi szlacheckiéj na tego wymarzonego przez nią króla rycerza, Piasta-wybawcę i zasiadł najniespodziewaniéj na tronie. Aureola cudowności roztoczyła się po nad tym wyborem. Wobec obioru tego nieznanego i nie marzącego nigdy o koronie człowieka, wbrew zabiegom partyi francuzkiéj rozporządzającéj licznemi środkami, naród uznał w tém wolę Boga i widoczny dowód jego opieki nad Rzecząpospolitą. Zapał ogólny nie miał granic; przyszłość cała przedstawiała się teraz w barwach najpiękniejszych. Nowego króla zasypywano darami. W sto lat późniéj podobny wybuch zapału powtórzył się wskutek uchwalenia przez sejm czteroletni 100,000 wojska. I nieraz jeszcze ponawiał się ten fajerwerk, po którym tym gęstszémi, tym przykrzejszémi wydawać się musiały ciemności, jakie po chwili wracały. Co najsmutniejsza przecie, to każdorazowa utrata sił i wiary w przyszłość, po spaleniu się których w potężnym wybuchu, społeczeństwo nie miało ni świateł, któreby je mogły prowadzić, ni energii i odwagi do posuwania się powolnego śród mroku.

Elekcya Wiszniowieckiego nietylko zniweczyła starania partyi francuzką zwanej o wprowadzenie silniejszego rządu, ale i stłumiła budzące się w narodzie poczucie konieczności reform tak w rządzie jak i obyczajach, konieczności odrodzenia się moralnego, które upatrywano w powrocie do staropolskiego ładu, do pradziadowskich cnót i obyczajów. Opaliński, Starowolski, Kochowski, Twardowski i Potocki nawołują szlachtę do poprawy życia, powściągnięcia zbytków i swawoli, ale niestety, głosy poetów i publicystów są bezsilnémi zawsze, jeżeli nie wesprą ich instytucye, jeżeli głoszone przez nich idee nie pobudzą śmiałych inicyatorów, którzyby je wcielili w odpowiednie prawa i urządzenia. Gdy ów posadzony na tronie Piast, od którego wyczekiwano wszystkiego, choć nie dano mu środków od-

powiednich, okazał się słabym i nieudolnym, wtedy opuszczono ręce i z tym większą żarliwością uchwycono się jedynéj idei, która nie straciła kredytu, lecz przeciwnie wobec doznanego zawodu tém większéj nabrała siły—idei religijnéj.

Ta suma wrażeń budzących trwogę i rozpacz, niepokój o jutro, o losy nabliższych, o własne życie i mienie, klęski materyalne i moralne, powtarzające się przez tyle lat, musiały wywołać w umysłach szereg odpowiednich pojęć i nowych uczuć równoważących te wrażenia i łagodzących wywołane przez nie cierpienia, inaczéj bowiem niepodobna by było znieść takiéj ciągłości jednostronnie przygnębiających stanów duszy bez rozstroju władz umysłowych. Nie brakowało zapewne ludzi, którzy, jak to o sobie Pasek niejednokrotnie opowiada, w trunku szukali lekarstwa na zabicie frasunku lub téż wpadali wstan idyotycznego cierpienia i niedbałości na wszystko. U znacznéj większości narodu klęski te rozbudziły lub spotęgowały uczucie religijne, których uzewnętrznienie przybrało rozmaite formy odpowiednio do stopnia rozwinięcia umysłowego różnych grup i warstw społecznych. U jednych wyraziło się ono bezmyślném powtarzaniem pacierzy, odbywaniem pielgrzymek do miejsc cudownych i rozlicznemi czysto formalnemi praktykami; drudzy starali się znowu pozyskać opiekę niebios darami i zapisami na pobożne i dobroczynne cele, odnawianiem porujnowanych przez wojny świątyń, zakładaniem nowych kościołów i klasztorów; wielu wreszcie znękanych materyalnymi i moralnymi stratami szukało w klasztorach pożądanego tak spokoju i pociechy dla duszy w ciągłém obcowaniu z Bogiem. Twardowski, który ze światowego dworzanina stał się czynnym członkiem aż dwóch bractw pobożnych (u Bernardynów w Kobylinie około 1653 r.), zachęca płeć niewieścią do życia klasztornego, przedstawiając w „Nadobnéj Paskwalinie" tryumf miłości niebiańskiéj, chrześciańskiéj nad pogańską, zmysłową. Kupidyn zwyciężony odbiera sobie życie, a nadobna bohaterka poświęca swą urodę Bogu i zostaje ksienią w klasztorze. Poraz pierwszy religia zespoliła się u nas tak silnie z życiem społeczeństwa; ksiądz wogóle, a zakonnik w szczególności zaczął w życiu towarzyskiem używać szacunku i sympatyi jakiéj nie znał w wiekach poprzednich.

Najpodnioślejszą formę przybrało uczucie religijne tam naturalnie, gdzie życie umysłowe zdawna już się rozwinęło, mianowicie na południowo-zachodnim pograniczu Rzeczypospolitéj. Świadomość błędów politycznych i niesprawiedliwości społecznych, świadomość zaniedbania obowiązków i zapomnienia cnót obywatelskich obudziła tam myśl o potrzebie odrodzenia się moralnego i narodowego, przebłagania Boga za popełnione winy dobremi czynami, a nade-

wszystko ofiarą krwi własnéj w obronie ojczyzny i kościoła przeciw niewiernym. Konfederacya Tyszowiecka była pierwszym objawem tego dodatniego dążenia objawiającego się głównie śród ziemian małopolskich z pośród których wyszedł ówczesny wybawiciel Rzeczypospolitéj—Stefan Czarniecki.

Uczucia te i pojęcia znalazły również wymownych tłómaczów i żarliwych propagatorów w dwóch małopolskich poetach: Kochowskim i Potockim i wydały dwa najciekawsze i najwybitniéj charakteryzujące duchowe życie téj epoki utwory: *Wojnę Chocimską* i *Psalmodyą* (1).

Pierwszy z nich wybrałem za przedmiot niniejszego studyum gdyż odbija nietylko najgłębszą treść ówczesnego ducha narodu ale zarazem odtwarza liczne barwne i wybitne rysy jego zewnętrznego życia. Jak w rzeczywistości ówczesnéj tak i w Poemacie Potockiego myśli i uczucia podniosłe splatają się z rubasznemi i pospolitemi, szczegóły dodatnie z ujemnémi w całość niejednolitą ale bogatą pod względem treści, tworzą obraz nie piękny, bo brak mu harmonii, symetryi i perspektywy ale wierny, szczery i zajmujący w drobiazgach swoich jak płótno flamandzkiego mistrza.—Myśl przewodnia nie przenika tu wszystkich szczegółów lecz snuje się śród nich jak owe wstęgi z napisami na starych obrazach, wychodzące z ust postaci lub unoszące się nad ich głowami.

II.

Nim zaczniemy rozpatrywać się bliżéj w samym utworze, wypada nam, w warunkach otoczenia i kolejach życia jego autora, poszukać źródeł tych pojęć i uczuć, tych tradycyi i wrażeń, których wierne i dosadne odtworzenie czyni Wojnę Chocimską tak zajmującém i pouczającém świadectwem życia naszych praojców w drugiéj połowie XVII wieku.

Szczupły zapas wiadomości jakie o życiu Wacława Potockiego zebrał i podał Szajnocha (Szkice Historyczne T. I) nie został przez późniejszych biografów i krytyków (Mecherzyński, Bełcikowski, Tyszyński) wzbogacony nowémi szczegółami lub wyjaśnieniem dawniéj znanych. To jednak co wiemy może nam, zwłaszcza przy zestawie-

---

(1) Starowolski i Kordecki są przedstawicielami tego rozbudzenia życia duchowego śród duchowieństwa małopolskiego. „Lament" Starowolskiego można postawić obok „Psalmodyi" jak „Reformacyą obyczajów" obok satyrycznych ustępów „Wojny Chocimskiéj."

niu ze świadectwami poczerpniętémi z pism Potockiego posłużyć za wystarczającą wskazówkę do osięgnięcia zamierzonych rezultatów.

Potocki pochodził ze starodawnego i licznie rozgałęzionego rodu Szreniawitów, którego pierwotną siedzibą była piękna i żyzna dolina rzeczki Szreniawy przerzynającéj dzisiejszy powiat miechowski w kierunku od Miechowa na Słomniki i Proszowice ku Wiśle, do któréj wpada pod Koszycami. Szreniawa, pierwotne „zawołanie" (hasło i godło wojenne) całego rodu, przeszła późniéj na miano herbu wielu pojedynczych rodzin powstałych po rozbiciu, pierwotnéj rodowéj organizacyi. Te nawet rodziny, które inny herb lub inną nazwę dla pierwotnego godła przyjęły, mieszkając w okolicach pierwotnego gniazda nie zatracały z pamięci:

> .... spólnéj strugi
> Którąśmy długim pasmem jako bieży z góry
> Jeszcze kiedy rozmierzał Lech tę ziemię sznury,
> Kiedy Krakus gdzie smocy ludzie żywo jedli
> Miasto swoje stołeczne zakładał, osiedli.
> Przy téj ścianie gdzie nieba bystre Tatry bodą.
> Gdzie nas winną *Lyacus*—podsyca jagodą
> Zkąd jako orzeł z gniazda, koń trojański z brzucha
> Odważne kawalery (nie ujrzysz piecucha)
> Wysadza na theatrum koronnego świata.

Tak mówi o swym rodzie sam Potocki w przedmowie do „Wojny Chocimskiéj" i w słowach jego nie należy dopatrywać czczéj przechwałki, panegirycznéj przesady, lecz istotne przeświadczenie oparte na odległéj starożytności i wielowiekowéj służbie tego rodu (a raczéj całego ziemiaństwa okolic Krakowa) w sprawie kraju i cywilizacyi. To téż każdy Szreniawita czuł się o wiele lepszym obywatelem, o wiele dostojniejszym szlachcicem od mieszkańca Mazowsza lub puszcz Zaniemeńskich; pojmował przytém że powinien służyć innym za wzór rycerza—obywatela, że oświata z jakiéj od tylu pokoleń korzysta czyni go wyższym umysłowo i moralnie, nakłada obowiązek nauczania i oświecania młodszéj braci. Nie każdy wprawdzie Szreniawita pojmował tak podniośle swe obowiązki o ile wysoko cenił swą rodową dostojność, ale nam chodzi tu o wyjaśnienie źródła pojęć i uczuć jednego tylko, w którym ród ten znalazł tak świetnego przedstawiciela.

Gdzie urodził się Wacław Potocki, czy w gnieździe rodowym Potoku lub jego okolicach, czy téż w owéj Łużnéj, w któréj spędza swe życie, tego nie wiemy; data urodzenia (1622 r.) opiera się na słowach ustępu z „Pocztu herbów" wydanego w r. 1696, w którém poeta

nazywa się „siedmdziesięcioletnim starcem“ (1); Mając na względzie iż Potocki utwory swe zupełnie przygotowane do druku i opatrzone przedmowami i dedykacyami zwykł był przechowywać u siebie, odczytując je tylko czasami odwiedzającym go sąsiadom a jeżeli zdecydował się ogłosić niektóre za życia to dopiero w przewidywaniu blizkiego zgonu. „Nowy Zaciąg“ ukończony 1 sierpnia 1680 r. wyszedł z druku 1698 r. zaraz po śmierci poety; jednocześnie prawie bo w 1697 r. ukazała się „Argenida“ napisana między 1660 a 1670 r. jeden tylko „Poczet herbów“ wyszedł za życia Potockiego może na krótko przed śmiercią (2). Przez analogią można by datę wykończenia téj pracy cofnąć przynajmniéj o 10 lat w tył do 1686 r. a tym sposobem i data urodzenia prawdopodobnie przypadnie między 1610 a 1615 r. co stwierdzają poniekąd i same słowa Potockiego gdy powiada w „Argenidzie“ iż „kiedy człowieka minęło południe, nie wadzi téż się napić z helikońskiéj studnie“ lub gdy w „Wojnie Chocimskiéj“ nazywa siebie „starym ziemianinem“ (str. 374).

O stosunkach rodzinnych Potockiego nie wiele wiemy; miał on dwóch braci, z których jeden Jerzy był sędzią krakowskim drugi Jan stolnikiem Bielskim. Czy swoję późniejszą zamożność o jakiéj świadczy, prócz posiadania rozległéj i ludnéj wsi na Podgórzu karpackiém, własne wyznanie poety w dedykacyi Syloreta swéj synowéj, zawdzięczał bogatemu ożenieniu i pracy czy téż mienie to przypadło mu w spadku po rodzicach, o tém dla braku dowodów nie można nic pewnego powiedziéć. Również domyślać się wolno tylko biografowi iż autor „Argenidy“ odbywał nauki w Krakowie i tam miał sposobność zawiązać stosunki tak z Kochowskim Wespazyanem jak i Janem Sobieskim (3). Dość rozległa erudycya jakiéj dowodem jest przedewszystkiém przedmowa do „Wojny Chocimskiéj“ świadczy, iż Potocki w swéj młodości dużo czasu poświęcał studyom szkolnym i prawdopodobnie ukończył nauki w akademii krakowskiéj. Choćby same szkoły nie podniecały w młodzieży ducha prawdziwéj pobożności to

---

(1) W wierszu do Andrzeja Żydowskiego (str. 278), w przedmowie przecie do rycerstwa polskiego mówi: „sześćdziesiąt lat dochodzi jako z mężnych dłoń raz dobytych do pochew nie chowacie broni“ (Przypuszczając że wojnę chocimską mógł mieć na myśli jako początek zapasów z Turkami (o które mu głównie chodzi) wypadłoby że słowa te pisał w 1680 roku.

(2) Potocki przeżył choć nie długo Sobieskiego, jak tego dowodzi nagrobek dla tego króla zamieszczony w Wetach Parnaskich, umarł więc prawdopodobnie przy końcu 1697 roku.

(3) Daty urodzenia Potockiego (1610—1615) windykowane przez autora nie zupełnie odpowiadają temu zestawianiu go z Kochowskim (ur. 1630—33) i Janem Sobieskim (ur. 1620) *Przyp. Red.*

w każdym razie pobyt dłuższy w Krakowie, te ciągłe uczestnictwa w licznych obchodach i odpustach kościelnych, rozbudzało pewne zamiłowanie do tych rozrywek w swoim rodzaju, działających na młodą wyobraźnię okazałością i bogactwem przyborów, w czém wyścigały się nawzajem liczne kościoły, klasztory i bractwa krakowskie by przyciągać jak najgromadniejsze zastępy pobożnych.

Ani jednak cześć bałwochwalcza dla starożytnéj mądrości, ani zamiłowanie do praktyk pobożnych nie przeszkadzały, zarazem uczonemu jak i pobożnemu towarzystwu, oddawać się tym niewyszukanym i nielicznym rozrywkom i uciechom jakich mogło dostarczać ówczesne życie krakowskie. Gardła ochrypłe od śpiewów, kazań, wykładów domagały się częstego odwilżania; umysły znużone przeżuwaniem suchéj i obcéj im treści tęskniły za świeższą, żywotniejszą strawą. Liczne winiarnie, cele i refektarze klasztorne gromadziły codziennie dokoła stołów zastawionych dzbanami, flaszkami różnych napojów wesołe i różnorodne towarzystwo. Szlachcic polski w tym jedynie razie nie zważał na pochodzenie swych współtowarzyszów i byle dobrze pił i sypał jak z rękawa facecyami i anegdotami był tu pożądanym każdy bez względu na stan i nazwisko. Za kim najbardziéj się ubiegano to za cudzoziemcami, od których dowiadywano się szczegółów o dalekich krajach i miastach; obcych rządach, prawach, zwyczajach, cudach zamorskiego świata, skarbach Indyi i Ameryki, oswajano się przy sposobności z dźwiękami obcéj mowy i wyuczano kilka lub kilkanaście słów i frazesów nieznanego języka. Wiadomości historyczne, geograficzne, obyczajowe jakie brat szlachcic z tych wynosił pogawędek, stanowiły dla niejednego na późniejsze życie cały zasób wiedzy o współczesnym świecie, koncepta zaś i dykteryjki dobrze zapamiętane a często i zanotowane, służyły również w dalszém życiu do zabawienia sąsiadów i domowych. Tym wesołym zebraniom, różnorodności plemiennéj i stanowéj biorącego w nich udział towarzystwa, miłemu i trwałemu wspomnieniu jakie pozostawiły w umysłach uczestników zawdzięcza nasza literatura większą część Fraszek Kochanowskiego, Kochowskiego i Potockiego, w których poeci podają nam bądź naszkicowane wizerunki wydatniejszych współbiesiadników, bądź téż zasłyszane tam anegdoty i trefne przypowiastki.

Kobiety, duchowieństwo i panowie nadewszystko służyli za przedmiot tych opowieści i żartów, nieoszczędzano zresztą nawet samych współuczestników tych wesołych zebrań. Skrępowany szkolnemi formułami umysł tu dopiero odzyskiwał swą giętkość i świeżość, tu uczył się obserwować życie i malować je bądź w opowieści własnych przygód, wrażeń, uczuć, bądź w trafnéj charakterystyce

wad i właściwości otoczenia. I doprawdy, w téj drugiéj szkole często więcéj odnoszono pożytku, niż ze ślęczenia nad komentarzami do Arystotelesa i Wirgiliusza, potomność przynajmniéj która z politowaniem patrzy dziś na nudne popisy z erudycyą, na niesmaczne i nielogiczne poematy pozlepiane z obrazów porównań i postaci wziętych z autorów starożytnych, na niedorzeczne przebieranie przedmiotów z życia współczesnego w szaty starożytne, z prawdziwą radością wita te ciężkie, rubaszne i niezręczne niekiedy ale tak świeże, naturalne, naiwne w swym realizmie obrazki, wytworzone pod wpływem téj drugiéj szkoły.

Nie znając kolei życia Potockiego nie możemy oznaczyć bliżéj warunków śród których rozwijały się pojęcia i uczucia z jakiemi spotykamy się w „Wojnie Chocimskiéj", nie możemy nadewszystko przedstawić głównych momentów tego procesu duchowego, którego rezultat jedynie mamy przed sobą. Domyślać się tylko możemy, iż jako członek zamożnéj rodziny, potomek starodawnego rodu, człowiek posiadający piękne mienie, dobrą głowę, serce szlachetne i liczne stosunki śród małopolskiego ziemiaństwa, musiał brać czynny udział w życiu towarzyskiém i publiczném, że był nietylko pożądanym dla dowcipu i wymowy i ogłady obyczajowéj gościem, ale też chętnie słuchanym doradzcą i mówcą na wszelkich obchodach i zebraniach. Czy w młodości swéj służył wojskowo niewiemy; późniéj brał, o ile się zdaje udział w pospolitém ruszeniu w czasie wojen kozackich i Szwedzkich (1); sceny wojenne i obrazy obozowego życia w „Wojnie Chocimskiéj" są nakreślone tak żywo, drobiazgowo i z takim realizmem, że tylko osobiste wrażenia i własne doświadczenie mogło dostarczyć poecie tych barw i rysów.

Wojny i wypadki z epoki 1648 do 1668 r. musiały naturalnie wywrzéć wielki wpływ na Potockiego. Wpływ ten przecie podziałał nie tyle na umysł ile na serce; zamiast zburzyć dawniejsze pojęcia i dać początek układowi nowych grup podniecił jedynie patryotyzm i ducha religijnego. Widząc w spadających na kraj klęskach gromy zagniewanego Boga, nie pomyślał on nawet z ogółem ówczesnéj szlachty, by rozpatrzéć się w fundamentach rozpadającego się gmachu, lecz szukał jedynie najbliższéj przyczyny tak strasznéj kary i takiego gniewu Bożego. Przyczyną tą wydało mu się zaniedbanie posłannictwa ciążącego na szlachcie i polegającego na ciągłych bojach z niewiernymi w sprawie religii. Zaniedbanie to znowu wynikło ze zniewieściałości, zbytków i wpływu cudzoziemskich obyczajów wprowadzonych głównie przez królów cudzoziemców, którzy przytém nie

(1) Por. ustępy na str. 68 i 70.

rozumiejąc pojęć, obyczajów i dążeń narodu nie mogli w nim podtrzymywać rycerskiego ducha i przestrzegać wiernego wypełnienia świętego posłannictwa. Ztąd pochodzi u Potockiego ta zacięta niechęć ku królom z dynastyi Wazów, którym przypisuje znaczny udział w nieszczęściach krajowych. Nie wiemy wprawdzie jak się zachowywał Potocki podczas rokoszu Lubomirskiego, jednakże zarówno widoczna życzliwość dla téj odrośli Szreniawitów, występująca wielokrotnie na kartach „Wojny Chocimskiéj," jak i niechęć ku Wazom a Janowi Kazimierzowi w szczególności, o któréj świadczy przedmowa do tego poematu, pozwalają nam domyślać się, iż stał po stronie rokoszan i jedynie może dla podeszłego wieku nie brał udziału w bratobójczych walkach.

Gdy więc z wielką radością Potockiego znienawidzony Waza ustąpił dobrowolnie z tronu, dla którego nie mógł znaleść potrzebnego oparcia, otucha najżywsza napełniła jego serce pałające miłością dla Rzeczypospolitéj. Teraz otwierała się, w mniemaniu jego, narodowi pora i pole do rehabilitacyi, do odświeżenia przyćmionego blasku i upadłéj wielkości. Nic nie przeszkadzało już do przywrócenia dawnych obyczajów, za któremi zawitają dawne dobre czasy. Dość osadzić na tronie króla rodaka—Piasta, a powróci dawne męstwo, prostota życia, uczciwość, pobożność, a z niemi wielkość i potęga czasów Bolesławowych.

Chcąc w miarę swych sił i zdolności przyczynić się do urzeczywistnienia najrychlejszego téj wymarzonéj ery szczęścia swobody i potęgi, zamierza Potocki wypowiedzieć te idee w wymownym manifeście, przedstawić zarazem współczesnym wzór do naśladowania i to wzór tym więcéj zachęcający, iż wzięty nie z odległych wieków lecz niedalekiéj przeszłości.

Co pobudziło Potockiego do rymotwórczéj działalności, kiedy i od czego zaczął swój zawód literacki, tego dotąd nie wiemy. Być może, iż powodzenie szkolnych ćwiczeń, przy wrodzonéj łatwości w nadawaniu swoim słowom wierszowego układu, było pierwszą podnietą do dalszego uprawiania tego pola. Silniejszym bodźcem były zapewne pochwały i zachęty grona wesołych towarzyszów, śród których przy kielichu tworzył Potocki drobne okolicznościowe wierszyki lub przyoblekał w rymowaną szatę ulubione facecye i anegdoty. Posyłając zbiór Fraszek swemu „bratu" Andrzejowi Żydowskiemu (stolnik i sędzia grodzki krakowski a późniéj chorąży) powiada, iż pisał je „przed lat trzydziestą jeszcze z młodu." Czując się na siłach i zachęcany zapewne przez krewnych i przyjaciół by nie marnował przyrodzonego „dowcipu", zaczął z kolei podejmować coraz większych rozmiarów i poważnéj treści utwory. Jedną z pierwszych

prac była prawdopodobnie „Smutna przygoda i śmierć żałościwa nadobnéj Wirginii dziewicy rzymskiéj rymem opisana 1652 roku.“ (1).

Dla umniejszenia sobie trudu Potocki brał zwykle jakiś łaciński poemat lub romans i takowy z wszelką swobodą nie przekładał ale raczéj odtwarzał, rozszerzając, skracając lub przekształcając dowolnie. W ten sposób została utworzoną „Argenida“ napisana około r. 1666. Czy to jednakże skutkiem nieufności w swój talent, czy dla zbytniéj drażliwości o honor swego rodu, trzymał Potocki utwory te w rękopisie odczytując jedynie rodzinie i dobrym znajomym i posyłając je od czasu do czasu w darze komuś z bliższych z obszerną i czułą zwykle dedykacyą. „Fraszkami“ obdarza jak to już wspomnieliśmy swego „brata“ Andrzeja, „Syloreta“ poświęca z rzewną przemową wdowie po jednym z synów Aleksandrze z Rościszewskich Potockiéj, „Wojnę Chocimską“ swemu zięciowi Andrzejowi Lipskiemu.

Z podobnego postępowania wnosić można, iż Potocki uważał rymotwórstwo za przyjemną i przystojną dla szlachcica rozrywkę i że z początku nie myślał wcale służyć swym piórem sprawie publicznéj. Z wiekiem dopiero gdy starzejącéj się dłoni oręż ciężyć zaczynał, zmienił swe przekonania pod tym względem.

Na zmianę tę wpłynąć mogły prócz wielu innych czynników, ówczesne pojęcie o istocie i zadaniu poezyi. Przedewszystkiém należy zwrócić uwagę, że nietylko u nas lecz i w zachodniéj Europie, sztuka wtedy nie wyzwoliła się jeszcze z zależności od rzemiosł z jednéj a od nauki z drugiéj strony. Jak nieuznawano różnicy między malarzem artystą a malarzem rzemieślnikiem i obu zaliczono do jednéj, korporacyi, tak z drugiéj strony nie robiono różnicy między uczonym literatem a poetą. Łatwość wyrażania myśli w wierszowéj formie (zwłaszcza po łacinie) była miarą zdolności i mądrości ówczesnych uczonych. Wszystko co stanowiło treść nauki mogło służyć za osnowę utworu poetycznego, ztąd tak często spotykamy w dawniejszych wiekach poematy astronomiczne, teologiczne, filozoficzne, ztąd nietylko prawidła gramatyki i retoryki ale także zasady uprawy roli,

---

(1) P. Piotr Chmielowski w rozbiorze tego poematu („Tyg. Illustr. z maja 1881 r.) opierając się na ustępie odnoszącym się widocznie do śmierci syna poety chce datę napisania tego utworu posunąć o 20 lat, jednakże prócz dowodów jakie się nam nasuną w dalszym ciągu téj pracy widzimy, że i sam rękopis „Wojny Chocimskiéj“—jak świadczy opis jego przy pierwszém wydaniu (str. XIII i nast.) zamieszczony, ulegał późniejszym przeróbkom i dopełnieniom; toż samo mogło mieć miejsce i w „Przygodzie Wirginii.“

gry w szachy itp. wykładano wierszem. Wszystko co chciano trwale upamiętnić (fakt dziejowy, zasługi pewnéj jednostki) jak również te reguły czy téż szczegóły pewnéj nauki, które należało wpoić w pamięć ucznia przybierano w formę wierszową. Jedyném zadaniem sztuki w mniemaniu ówczesnych było, prócz chwały Bożéj, przekazywanie dla potomności wydarzeń wieków poprzednich i zasług wielkich ludzi. Doniosłe dziejowe wydarzenia upamiętniano wznoszeniem świątyń i kościołów, zasługi i czyny ludzkie posągami i wizerunkami. Jednakże pamiątki te łatwo i często niszczy „zazdrość ludzka“ powiada Potocki (1), jedno pismo tylko jéj się nie lęka, ono jedynie mogło przechować nam wiadomości nietylko o wielkich tryumfach lecz i o wielkich klęskach, nietylko o wielkich czynach i cnotach lecz i o strasznych zbrodniach. Jak całe znaczenie kolumny, posągu lub wizerunku polega na zasługach i czynach jakie unieśmiertelnia, tak cała wartość utworu poetycznego polega przedewszystkiém na jego treści, i na faktach jakie upamiętnia i bohaterach jakich opiewa. Iliada i Eneida zawdzięczają swą sławę i piękność temu, iż opisują wielkie czyny i wielkich bohaterów dwóch największych ludów starożytności. Zasługa Homera i Wirgiliusza polega głównie na wyborze przedmiotu, na podjęciu tak wdzięcznego i zaszczytnego zadania. Ówczesnego polskiego czytelnika zachwycała Iliada lub Eneida, nie pełném prawdy i plastyki odtworzeniem życia starożytnego, obrazami przyrody i uczuć ludzkich, ale samą jedynie treścią, samą fabułą, nadzwyczajnemi przygodami bohaterów i bogów. Pierwszy Kochanowski w „Muzie“ sformułował i wyrozumował główną zasadę ówczesnéj poetyki; iż Muzy są córkami pamięci i ztąd zadaniem ich upamiętniać wielkich ludzi i wielkie czyny, albowiem to tylko pozyska sławę nieśmiertelną co upamiętni poeta ozdobnym rymem. Kochanowski choć nie pojmował jasno lecz odczuwał piękności Iliady i Eneidy i dla tego nie czując się na siłach by „mężom i bojom podołać“ wolał ograniczyć swą działalność epicką na drobnych poemacikach jak „Proporzec“, niż w zamierzonym ale niewykończonym „Władysławie pod Warną“ narażać się na porównanie jeżeli już nie z Homerem i Wirgiliuszem to przynajmniéj z Tassem. Inni przecie wierszopisowie nie wiele sobie robią zachodu z temi wielkiemi imionami. Taki Maciéj Stryjkowski naprzykład w przedmowie do „Wjazdu do Krakowa Henryka Walezego“ stawia siebie z całą naiwnością po nad Wirgiliuszem i Owidyuszem „bo oni folgując ozdobie chybiali gościńca a tak słów nie rzeczy tylko byli historykami“ on zaś „pisał

(1) Wstęp do Wojny Chocimskiéj str. 39 i 40.

poprostu bo prostoty potrzebuje prawda.“ Słowem w tych dwóch rzymskich poetach widzi on swych kolegów kronikarzy i to nieszczególnych, bo za mało dbających o prawdę. Twardowski Samuel który w dwóch olbrzymich poematach zostawił rymowaną kronikę wypadków od 1600 do 1660 r., z góry upewnia czytelnika, iż daje mu zupełnie prawdziwą opowieść“ („gołą naracyą“), bez „barw i ozdób poetyckich“, że pisze to tylko „co prawdziwego rozumiał“ i rzeczywiście w utworach swoich, jest suchym i drobiazgowym kronikarzem współczesnych wypadków i choć chwilami staje się wymownym a nawet podniosłym, to zaraz wraca do swéj poprzedniéj roli. Najdobitniéj wypowiedział to pojęcie o poezyi Kochowski w dedykacyi swego zbioru królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu:

Muzy są bowiem córkami pamięci
Kiedy imiona bohaterów głoszą;
Te królom ryją na wieczność pieczęci
I chwałę w różne klimata roznoszą.
Instrumentami ich ktoś pańskich dzieł zowie
Ja, że są sławy w potomność posłowie.

W wierszu p. t. „Muzy potrzebne Marsowi“ stanowczo twierdzi, że „Jeśli grono dziewiętne, Dam parnaskich niechętne—A Kaliopy piórem sławne dzieje, Na świat nie wyjdą, zwycięstwo zniszczeje“ Ilium gdyby „nieznało Homerowych chęci w wiecznéj by dawno zgasło niepamięci“ również „waleczność wielkiego Macedona dla tego dzisiaj w takowéj jest cenie, że wzięła na wieczność paszport w Hipokrenie.“ To samo powtarza Kochowski w innym wierszu: „Muzy.“ Zgodnie z tą teoryą nazywa Twardowskiego „Wirgiliuszem słowiańskim“ i twierdzi z całym przekonaniem że posiadając go Polska nie ma co zazdrościć „Mantuéj wieszczka.“ Treść poematów Twardowskiego interesuje go daleko więcéj niż opowiadania Eneidy o tak odległych półbajecznych czasach: artyzm rzymskiego mistrza nie istnieje dla niego; nie czytał on prawdopodobnie Eneidy w całości, a szkolny wykład odwrócił jego uwagę od prawdziwych piękności nudnym, pedanckim komentowaniem drobiazgów, które zniechęciło do bliższego poznania całego poematu.

Sława Twardowskiego mogła skłonić Potockiego do spróbowania sił na tym samym polu. Inna szlachetniejsza pobudka zachęcała go również do wstąpienia w ślady autora „Legacyi.“ Skoro, według przedstawionego powyżéj poglądu ówczesnego, poetyczne dopiero odtworzenie zapewniało nieśmiertelność faktów i postaciom dziejowym, przeto uchronienie od zagłady w toniach niepamięci świetnych wydarzeń z dziejów narodowych było obywatelskim obowiązkiem

każdego uzdolnionego i stanowiło prawdziwą zasługę. Mając przed oczami wierny obraz męstwa, cnót i potęgi przodków: potomkowie znajdą w nim otuchę w niedoli, pobudkę i wzór do naśladowania i pod tym względem przeto poeta przysłuży się ojczyźnie i zjedna sobie prawo do wdzięczności odległych pokoleń.

Pojmując a więcéj odczuwając potrzeby i pragnienia społeczeństwa w chwili gdy abdykacya Jana Kazimierza postawiła je w konieczności radzenia o sobie i wytknięcia kierunku na przyszłość, powziął Potocki prawdziwie zacną i podniosłą myśl, godną prawdziwego poety i obywatela, myśl odtworzenia w wielkim poemacie jednéj ze świetnych chwil dziejowéj przeszłości, by zarówno swemu społeczeństwu jak i całemu światu przypomnićć w obec świeżych klęsk i upadku politycznego, dawniejszą wielkość i zasługi Rzeczypospolitéj. Świetny tryumf oręża a w istocie strategii wodzów polskich nad olbrzymią armią turecką, która w 1621 r. rozpostarła się obozem na polach podchocimskich, stwierdzał w duszy poety jego silną wiarę, iż Bóg sprzyja tym co walczą dla chwały jego imienia, że walka z niewiernymi jest zadaniem polskiego rycerstwa, które należy na nowo podjąć by odzyskać Boże błogosławieństwo dla Rzeczypospolitéj. Upamiętniając rymem ten wielki fakt dziejowy, chce poeta dla obecnego i przyszłych pokoleń stworzyć pobudkę do męstwa w perspektywie zarówno „niebieskiego indygenatu“ który „wódz wojsk anielskich“ udzieli tym co mu „sprezentują blizny“ poniesione w obronie wiary, jak i ziemskiéj nieśmiertelności, którą zapewnia czynom bohaterskim poezya ilustrująca je całym zasobem ozdób, jakiemi starożytni poeci uczcili swych bohaterów.

Myśl swoję wymownie i z całą siłą uczucia wypowiada niejednokrotnie w poemacie wołając do współziomków:

Patrzcie na świątobliwe ojców swych obrazy
Które dokąd świat stoi nie uznają skazy,
Patrzcie a kinąwszy cień marnych ozdób płony
Ich się imcie przykładem Sarmackiéj Bellony
. . . . których całém gardłem
Niech Muzy moje pieją aby takie pieśni
Potomków ich ruszyły ze snu, z drzymu, z pleśni. (Część III)

Czyż nie tego samego pragnie wielki wieszcz gdy chce „ojczystą piosenką“ rozbudzić w sercach rodaków „dawną wielkość duszy i dawne serca bicie“ i sprawić „by choć jedną chwilę tak górnie przeżyli jak ich ojcowie niegdyś całe życie.“

Wybór sam przedmiotu, oceniając go z dzisiejszego stanowiska, nie możemy nazwać szczęśliwym. Studya nad rozwojem dziejowym

wszystkich literatur stwierdziły słowa poety niemieckiego, że „co ma żyć w pieśni winno zaginąć w rzeczywistości“, że fakt dziejowy czy też życie pewnéj epoki wtedy może być odtworzone poetycznie, gdy je przysłoni błękitna mgła oddalenia, po za którą znikną drobiazgi a fakty i postacie przybiorą idealne barwy, zarysy i wymiary. Tymczasem, w chwili gdy Potocki rozpoczynał pracować nad „Wojną Chocimską“, nietylko że żyło bardzo wielu uczestników téj wyprawy, że znane wszystkim szczegóły takowéj utrudniały wielce zidealizowanie tak postaci wodzów jak i toczonych bojów, zidealizowanie niezbędne dla osiągnięcia zamierzonego przez poetę celu, ale nie wygasły wcale namiętności, nie znikły materyalne i moralne interesa, które tę wojnę wywołały, czyż więc podobna było utrzymać w odtworzeniu jednego aktu tego nieskończonego jeszcze dziejowego dramatu, objektywność tak niezbędną dla historycznego opisu czy poetycznego obrazu?

Cała siła i wartość Potockiego jako poety polegała na uczuciu, czynniku potężnym gdy chodzi o stworzenie krótkich lirycznych utworów, o przemówienie do serc słuchaczów podniosłą pieśnią lub satyrycznym oburzeniem, nie wystarczającym nigdy przecie do utrzymania poety na tém wysokiem stanowisku i przez tak długi czas jakiego wymaga poemat historyczny. Bez pomocy wyższéj myśli, bez poglądu filozoficznego, któryby uczuciu dostarczył trwałego zasiłku, celu i podniety w ideale, któryby ukazał poecie śród walczących tłumów władnące niemi idee, a śród nawału szczegółów wydatne momenta dziejowe, pod namiętnościami obustronnemi i materyalnemi pobudkami wojny przeciwstawność dwóch odrębnych ras i cywilizacyj, fanatyzmu religijnego złączonego z despotyzmem naprzeciw wyższéj kultury umysłowéj i swobody politycznéj—nie podobna było wypadków wojny chocimskiéj przedstawić w poetycznéj opowieści roztaczającéj przed nami wspaniałą panoramę kilkomiesięcznych bojów, scharakteryzowanych w głównych momentach akcyi wojennéj, wydatnych rysach obustronnego męstwa i postaciach kierowników tych bohaterskich zapasów.

Tymczasem losami boju kieruje u Potockiego Bóg mściciel, gniewny Jehowa skryty w ciemnéj chmurze ziejącéj piorunami, podnieca jedynie ideę i uczucie nienawiści i wzgardy dla wrogów. Okrywająca go chmura rzuca ponury cień na obóz niewiernych czcicieli Allaha skazanych na zagładę. Światło całe pada na wiernych, jednak nie jestto złoty blask słońca miłości ale jaskrawe błyskawice olśniewające i przerażające zarazem, przy których znika aureola zasług otaczająca głowy bohaterskich wodzów. W obec potęgi Jehowy

ludzie tu maryonetkami tylko spełniającymi ślepo i pokornie Jego wolę i pozyskującymi ofiarą własnéj krwi Jego łaskę i przebaczenie błędów.

Ideał taki i płynąca z niego idea, choć uszlachetnione przez uczucia patryotyczne, nie mogą naturalnie rozlewać koło siebie światła i piękna, nie mogą po nad obrazami wstrętnych rzezi, po nad wybuchami fanatyzmu i nienawiści rozbrzmiewać akordem ostatecznego pojednania, harmonii i miłości, nie mogą podnosić moralnie i zadawalniać estetycznie czytelników.

Na szczęście ideał ten nie wcielił się w utwór, nie przeniknął jego szczegółów, ale pozostał na zewnątrz niejako, jakby na postrach tylko niewiernym.

Czytelnik jednak niema prawa rościć sobie do Potockiego pretensyi z powodu zawiedzionych oczekiwań, gdyż na wynalezionéj świeżo a nieznanéj dotąd karcie tytułowéj poematu, dał on następujący napis:

„*Transakcya Wojny Chocimskiéj—gdzie Osman Turecki wszystkie państw swoich z Afryki, z Azyi i z Europy na Polski zgromadziwszy siły, z różnych jako manuskryptów i dyaryuszów tak z relacyi ludzi starych, którzy tam byli praesentes zebrana ale osobliwie z Tradycyi J. W. Im. Pana Jakóba Sobieskiego....... z Łacińskiego na Polskie dostatecznie dla nieśmiertelnéj narodu Polskiego sławy wierszem przetłómaczona. Roku pańskiego 1670, dnia X bra ostatniego*" (1).

Jesto więc historya Wojny Chocimskiéj ułożona wierszem, ponieważ według ówczesnych pojęć forma ta zapewniała nieśmiertelność opisywanym faktom i uświetniała je zarazem. Trudno więc żądać od Potockiego, by jako historyk wzniósł się po nad kronikarską wierność, drobiazgowość i formę opowieści. Potęga uczucia wprowadza go wprawdzie od czasu do czasu na wyżyny prawdziwéj poezyi, lecz brak skrzydeł nie pozwala mu się na nich dłużéj utrzymać i zniewala do poprzestania na tym zasobie idei i obrazów, jakich mu dostarczają księgi i najbliższe otoczenie, i na tym stopniu uczucia, jaki odpowiada warunkom powszedniego życia.

Wejdźmy do pracowni Potockiego. Stanowi ją komnata szlacheckiego dworu, z którego okien roztacza się widok na poblizkie budynki folwarczne, łany pokryte zbożem i ciemne ściany lesistych wyniosłości stanowiących tło malowniczego krajobrazu, Łużna bowiem leży śród Podgórza karpackiego, niedaleko uroczego Grybowa,

---

(1) Porównaj wiadomość o rękopisach „Wojny Chocimskiéj" podaną przez J. Kraszewskiego w „Przeglądzie bibliogr. archeol." z 1880 r. str. 31 i nast.

znanego dobrze tym co odbywali podróż koleją Tarnowsko-Leluchowską. Piękno przyrodzone nie przemawiało jednak do serc i wyobraźni ówczesnych poetów podobnie jak i piękno artystyczne. Kochanowski bawiąc tak długo we Włoszech, nie odczuł cudów tamtejszéj przyrody i pozostał obojętnym na arcydzieła sztuki. Cóż dziwnego, że Potocki nie dostrzega piękności górskiego krajobrazu, do którego nawykł od dzieciństwa, jednakże to otoczenie nie zostaje bez wpływu na twórcę Wojny Chocimskiéj i odbija się poniekąd w zdrowiu i pogodzie ducha, w szlachetności i podniosłości uczuć, w téj czerstwości ciała i przytomności umysłu, jaką do późnéj przechowuje starości. Oddalony od świata, od ognisk życia politycznego, niezależny materyalnie i moralnie czuje się w swéj górskiéj ustroni człowiekiem, obywatelem, głową rodziny i w spełnianiu rozlicznych obowiązków swego stanowiska znajduje najwyższe zadanie życia.

W téj saméj zapewne komnacie, w kóréj pracuje nad swojémi licznémi utworami, przyjmuje Potocki chętnie go nawiedzających sąsiadów i krewnych. Serdeczna gościnność i wesołość gospodarza, zostawia trwałe i miłe wspomnienia każdemu co zawitał do Łużny. Przyszły podczaszy królewski, wychowaniec szkół krakowskich i mieszkaniec sąsiadującéj z Węgrami okolicy, musiał i znać się na winie i posiadać dobrze zaopatrzoną piwnicę. Gdy zbywało na przedmiocie do rozmowy, wydobywał gospodarz jednę z licznych ksiąg ze swémi utworami i stosownie do usposobienia i upodobań słuchaczów, odczytywał im bądź ustępy poważnéj *Argenidy*, bądź jowialne i tłuste historyjki z *Wetów Parnaskich*. Wrażenie jakie te utwory wywoływały na słuchaczach, ich spostrzeżenia, pochwały, służyły poecie za wskazówkę tonu i formy w jakiéj winien wypowiadać swe pojęcia i uczucia, jeżeli mają trafić do serc i umysłów czytelników. Gdy rozpoczął pracować nad „Wojną Chocimską,“ niejeden z tych gości będąc uczestnikiem wyprawy lub znając jéj szczegóły od bliskich sobie osób, dostarczył zapewne Potockiemu swych wiadomości, spostrzeżeń, sprostowań; we własnéj rodzinie zebrał on opowieści o czynach Lipskich, Pisarskich, od dalszych zaś, wiadomości tyczące się udziału ziemian małopolskich, jak Rzeczyccy, Kochanowscy i inni. Pierwotnym zamiarem poety było prawdopodobnie przerobienie łacińskiego opisu Jakóba Sobieskiego wierszem polskim, w ciągu pracy dopiéro przybywały mu z różnych źródeł szczegóły, których sumienność historyka i życzliwość dla swych współziemian nie pozwalała pominąć, z drugiéj strony myśl poety zmierzającego ku moralnemu podniesieniu współczesnych, zwracała się od czasu do czasu ku rażącym ją wadom i nadużyciom i pobudzała do kreślenia

satyrycznych obrazów ówczesnego życia, a nadewszystko do propagowania wszelkiémi sposobami pojęć poety o zadaniu szlachty i konieczności obalenia potęgi niewiernych siłą oręża polskiego.

Za wzór co do sposobu uporządkowania całego materyału historycznego i prowadzenia opowieści, przeplatanéj bądź klasyczno-mitologicznemi ozdobami, bądź lirycznémi i satyrycznémi zwrotami, służyły utwory Twardowskiego, którego znał i cenił Potocki. Wiejskie domowe życie i wesołe pogawędki z przyjaciołmi, dostarczyły także zapasu obrazów, porównań, wyrażeń i przysłów, któremi bardzo skwapliwie, choć nie zawsze właściwie, posługuje się poeta, nadając tym sposobem licznym ustępom swego poematu ton i charakter gawędy.

III.

Rozpoczynając swe dzieło Potocki, lubo czuje całą niewłaściwość odwoływania się do pomocy Apollina, przy opisie bojów toczonych w imię Boga chrześciańskiego i dla Jego chwały, jednakże nie śmie zerwać ze szkolnémi nawyknieniami i odrzucić powagę wzorów klasycznych, ztąd w niepotrzebnie przyczepionym, nawiasowym ustępie lokuje Marsa i Muzy przed właściwym wstępem tworzącym podniosłe wezwanie do Boga o błogosławieństwo dla podjętéj pracy. Modlitwę swą zwraca poeta nie do tego ojca dobroci, dla którego wszyscy ludzie są równie drogiémi dziećmi, lecz do groźnego Jehowy, Boga mściciela krzywd ludu wybranego, który tak samo mdłém piórem jak i groźną władnie stalą, „co hardych tyranów dumy wywraca na nice, mięsza pysznych z błotem, mści się nad ostatnim domu tego węgłem, gdzie kto usty przysięga sercem nieprzysięgłém.“ Pojęcia te najszerzéj i najpodniośléj rozwinął Kochowski w swéj „Psalmodyi.“

Utrzymując daléj tę rolę poety kapłana przemawiającego to w imieniu narodu do Boga, to naodwrót zwracającego się ku współziomkom z groźbami i upomnieniami, roztrząsa im sumienie wyrzucając szkaradne samolubstwo, zawiści, zdrady, zbrodnie. Przeciwstawiając cnotom i harmonii złotego wieku ówczesny upadek moralny, dochodzi do wniosku, iż całego udoskonalenia rozumu użył człowiek na to, by znaleść środki szkodzenia bliźnim i zabijania się wzajemnego, że pod tym względem chrześcianie zaszli daléj niż poganie i mahometanie. Przejęty obawą by Bóg nie zesłał za to na kraj cały jednéj z tych klęsk, któremi gromił grzechy Izraelitów, zwraca się ku Niemu z prośbą, by nie poddał grzesznych w niewolę

niewiernym, przez wzgląd na zasługi przodków, na krew jaką przelali w sprawie wiary. Światu chrześciańskiemu wyrzuca obojętność i wewnętrzne rozterki, z których korzystają Turcy ujarzmiając pojedynczo rozdzielonych przez samolubstwo i zawiści.

Ztąd ci, ztąd trzeba będzie zdać liczbę koniecznie
Bogu, gdy przyjdzie na świat dekretować wiecznie.
Ta krew, którąście z sobą lali sami chustem
Jawnym wam będzie świadkiem, jawnym nieodpustem,

woła tonem kaznodziei Potocki, który sam to zboczenie od przedmiotu właściwie charakteryzuje, dodając:

Ale mnie cóż potem brać prowincyą cudzą?
Są ambony, niechże was kaznodzieje budzą
Z tego snu w którym wszystkie utopiwszy zmysły
Sprosnym zbytkom...........
Swe rady, swe fortuny, a szkodę ku szkodzie
Poddajecie.........

Mimo to nie wraca do przedmiotu, a z kaznodziei staje się moralistą i w niesmacznym choć dosadnym obrazie okazuje iż:

Pieszczota nieszczęśliwa kominem, a miechy
Pycha, zbytki i wszystkie cielesne uciechy.
W tym węglu, nie będzieli od rozumu wstrętu,
Zmięknie choćby z twardego serce dyamentu.

Samson, Aleksander Wielki, Hannibal, dostarczają przykładów upadku męztwa w rozkoszach; Epaminondas znowu, Agryppa, Emilius przekonywają:

Jako zawsze stroniła bohaterska cnota
Od wszelakich rozkoszy i od składów złota
. . . .
Żelazem Mars do sławy odkłada wrzeciądze
Niech się gach złoci, niech żyd gromadzi pieniądze.

I znów poraz drugi zapytuje poeta, gdzie go to zaniosło pióro rozpędzone, gdyż

.......niemoje rzemiosło
Wodzom i bitnym pisać żołnierzom reguły.
Polską naszą Bellonę na teatrum świata
Sarmackiego prowadzę: tężby jescze lata
I czas z ojcy naszemi miał zagrześć pożerny?
Nieda Bóg swéj roboty, otwieraj odźwierny

Wrota, gdzie na szerokiéj méj ojczyzny sali
Wielcy bohaterowie będą się pisali.

Nim jednak rozpocznie się ten pośmiertny turniéj, nim podniesie się zasłona okrywająca wielkie dziejowe *teatrum*, staje przed publicznością sam poeta, już nie jako kaznodzieja i moralista, lecz dziejopis tego turnieju i prosi o pobłażliwość dla swéj „swady.“ Pracę swoję zaś oddaje pod szczególną opiekę najwyższego dostojnika ówczesnego Jana Sobieskiego, marszałka koronnego i wielkiego hetmana. Teraz nareszcie rozpoczyna się nie widowisko jednakże, ale prolog podający dziejowy zarys stosunków między Turcyą a Polską.

Już we trzech częściach Turczyn rozpościera świata
Twardy tron.......

Co chwila przecie przerywa Potocki swą opowieść to wybuchem oburzenia, że „mizerna śmieć ludzka“ „ubogich skotopasów zgraja czcza i nikła, z pastucha zbójca, żołnierz ze zbójce,“ miała „cały świat shołdować.“

I są jeszcze cesarze rzymscy? i bez wstydu
Od téj nędze od tego wykąsani gidu
Tym się piszą tytułem?

To znowu, wspomniawszy o przyjaznych stosunkach jakie utrzymywał Zygmunt I z Solimanem, rozwodzi się nad korzyściami zgody i potrzebą wybaczania drobnych uraz, co przywodzi mu na myśl podanie o Floryanie Szarym, które daje sposobność do wspomnienia świeżo obranego Wiszniowieckiego (zrodzonego z Zamojskiéj) i wezwanie współziomków do zgody gdy „Jelita w koronie.“ Jak widzimy, Potocki w swéj „swadzie,“ zwyczajem ówczesnych kaznodziei i oratorów politycznych, nie trzyma się żadnego planu, lecz ulega asocyacyi pojęć grupujących się dowolnie w jego umyśle. Choć czuje że schodzi z drogi, nie ma siły oprzéć się pokusie rozwinięcia nasuwającéj mu się a miłéj myśli; możnaby w tém dopatrywać odbicia się nierządu i samowoli politycznéj nawet w zakresie życia umysłowego. Mowy sejmowe i okolicznościowe, kazania, panegiryki, broszury polityczne i pisma satyrycznéj treści, oto zwykły pokarm umysłowy ówczesnego szlachcica. Utwory te, jak wiadomo, przedstawiają dziwaczną mieszaninę ustępów podniosłych z trywialnemi anekdotami, teologicznych i politycznych wywodów z obyczajowémi obrazkami, patryotycznych zwrotów obok panegirycznych kadzideł, cytacyj z klasycznych autorów i Pisma św., obok rubasznych wyrażeń i przysłów czerpanych z języka potocznego. Nic więc dziwnego, iż każdy próbujący swych sił pisarz trzyma się utartych

dróg i posługuje środkami, które zapewniły innym powodzenie. To też i „Wojna Chocimska“ układem, a raczéj bezładem i dowolnością z jaką mięszają się tu rozmaite style i przedmioty, przedstawia ścisłe pokrewieństwo z płodami ówczesnéj swady tak politycznéj jak i kaznodziejskiéj.

Doprowadziwszy wreszcie historyą stosunków Polski z Turcyą do 1621 r. przystępuje Potocki do objaśnienia powodów wojny. Daje tu trafną i barwną charakterystykę Tatarów co:

Urywczy żywot wiodą o kobylim zdoju
Ani chcą ani mogą posiedzieć w pokoju
. . . .
Dom talaga pleciona, strój futro baranie,
Bankiet źrebię, w bachmacie ukontentowanie.
Żon co trzeba któremu, z niewolników sługi
W domu zabawa: derhy, uzdeczki, kańczugi;
Więc czego niedostaje, jakby słusznem prawem,
Jeśli ukraść nie mogą, bojem biorą krwawém.

Druga przyczyna wojny kozacy:

. . . . .naród także ludny
Spadszy msklemi z porohów swego Dniepru sudny
Oświecą Czarne Morze i tej co Podole
Orda, trwogi nabawią Konstantynopole.
. . . . .odlewami z miedzi
Ryczą smocy: (1) po wieżach wyją *hodsie* bledzi
Wre miasto, ziemia jęczy a pomorskie skały
Szkaradnych kartaonów echem rozlegały.
Darmo: bo Zaporożec mając to za bajki
Sunie chyżo ku Dniepru obciążone czajki
I jeżeli za sobą zobaczy pościgi
Tak zbliska jak zdaleka pokaże im figi (str. 90).

Obustronne rozjątrzenie wywołane przez ciągłe ponawianie się tych rozbójniczych najazdów, zwiększyła znacznie samowolna wyprawa Stefana Potockiego do Wołoszczyzny dla popierania przeciw Turcyi zabiegów Mohiły, zakończona klęską polskiego hufca pod Dzieżą. Wywołane przez to zawikłania doprowadziły do istotnéj wojny, która się zakończyła nową, straszną klęską rycerstwa polskiego na polach Cecory. Dwukrotne powodzenie tak ozuchwaliło i zachęciło Turków, iż chcąc stanowczo zabezpieczyć się zarówno od najazdów kozackich jak i wtrącania północnych sąsiadów w spra-

(1) Działa ówczesne, którym nadawano formę smoków i t. p. potworów. Kartaony były to także ciężkie oblężnicze działa.

wy chrześciańskich prowincyj swego państwa, podejmują olbrzymią wyprawę dla zgniecenia zupełnego Rzeczypospolitéj.

Teć były proscenia, że rzekę po nasku,
Posełkowie chocimskiéj wojny, któréj trzasku
Pełen był świat..........

powiada Potocki, kończąc część pierwszą swego utworu opisem klęski cecorskiéj, słabszym o wiele od ciekawéj i pięknéj miejscami opowieści jaką pomieścił Twardowski we „Władysławie IV.“

Przedmiotem części drugiéj są narady i przygotowania wojenne, odbywające się zarówno na dworze tureckim jak i polskim.

Porywczy Osman w młodzieńczym swym zapale
Już w Krakowie popasa i koń poi w Wiśle

a dla tym pewniejszego dopięcia swych zuchwałych planów gromadzi olbrzymią armią.

Europie *randewu* pod murem swéj Porty
Że najbliższa Stambułu pyszny cesarz znaczy
Azyą i Afrykę ku Dunaju zmyka.
. . . .
Dzieci tylko maleńkie a z niemi płeć biała
Wolna od wojny w państwach tureckich została.

Udział chrześcian poddanych Turcyi w téj wyprawie boli wielce poetę:

.........czemużby ze świętej rozpaczy
Nie złączyć szable z nami na pogaństwo raczéj,

Jedną z niewielu ozdób jakiemi pozwalali sobie historycy i poeci dawniejsi urozmaicać suchą kronikarską opowieść i jakie dawały im sposobność popisać się ze swą swadą, były zmyślone mowy wkładane w usta głównych postaci dziejów lub poematu. „Wojnie Chocimskiéj“ nie zbywa na tego rodzaju ozdobach, stanowiących najczęściéj wierne kopie ówczesnych mów sejmowych i okolicznościowych. Nizki stopień rozwinięcia umysłowego nie pozwalał dawniejszym pisarzom wystawiać sobie życia nieznanych im ludów inaczéj jak w tych formach do których nawykli. Mowa Muftego do Osmana mogła być z małą zmianą włożoną w usta polskiego senatora duchownego stanu.

Mnieć przyznam się należą pacierze
Nie Mars, lecz i ty przyznaj i miej to ode mnie

Że Mars w polu i Wulkan darmo robi w Lemnie
Bez Boga. . . . .

Będąc przeciwny zamierzonéj przez Osmana wojnie, usiłuje ochłodzić jego zapał i skłonić go do zgody przez zezwolenie na chrześciańskiego hospodara w Wołoszczyźnie.

Bo wiara najpewniejsze spraw ludzkich ogniwo
Tą żyjemy, to światło, to nasze krzesiwo
Z którego gdy chce w różne iskra serca wskoczy
Wlot je wiecznem płomieniem miłości zjednoczy.
Choć zła, choć dobra jaką kto wyssie z macierze
Każdyby w takiéj rad żył i umierał wierze.

Przedstawiając następnie trudności i niekorzyści wojny z Polakami, tak myśl tę uzasadnia:

Nie liczba wojska bije, ani miast dobywa
Ale wojny przyczyna, panie, sprawiedliwa!
. . . .
Naród w złoto ubogi nic nie ma przy zdrowiu
Prócz chleba, soli, serca, żelaza, ołowiu,
Pierwej cię droga znuży i Bałkany śnieżne
Niźli równie Dnieprowe oglądasz pobrzeżne.
Gdzie całoletnim chodem utrudzonych ludzi
Skoro mróz nieprzywykłej jesieni wystudzi
Których wszystkich pieszczone wychowały nieba,
Broni na nich polakom dobywać nie trzeba;
Pomrą jako jaskółki, jako muchy posną,
Tylko że drugi raz nie ożyją z wiosną.

Od czasu do czasu wielki dygnitarz duchowny zapomina i o swém stanowisku i o dostojności tego, do którego mówi i gawędzi sobie jak stary polski szlachcic dający nauki synowi:

Proszę..... racz szczeréj radzie méj dać ucha,
A czci na wszystkich młodych ta padła pomucha
Że nie radzi gdy im kto ich propozyt porze,
Lecz jako nieraz ginął kto stał przy uporze
Tak i ten nie żałował kto chciał starych słuchać,
Próżnoż na zimną wodę sparzywszy się dmuchać.
. . . . .Szczęśliwy człek co go cudze szkody,
Uczą rozumu, jako w najpewniejszéj szkole,
I dadzą poznać głupstwo w sąsiedzkim rosole.

Osman, który wbrew temu co o jego zapalczywości powiada poeta, dał wielki dowód cierpliwości i panowania nad sobą wysłuchaniem długiéj gadaniny Muftego, co „powaga" siwizny sprawiła bi-

skupiéj," odpowiada tonem syna zniecierpliwionego naukami rodzicielskimi, a których nie myśli usłuchać.

Nie tak-em, ojcze prawi, rozumu daleki
Żebym go słuchać nie miał i acz-em z opieki
Wyszedł i wszystko mi się według woli darzy
Aniby mi potrzeba więcéj bakalarzy,
Słuchałem cię, choćbym się obszedł bez twej rady.
Krótko tedy na twoje odpowiem kazanie:
Tak chcę! to moja wola. . . . .
Powiem jeszcze, aleć to proszę niech nie cięży
Że najlepiéj w kościele dyskurować księży,
Nie mieszać się w ratusze; przez cóż się rozsuły
Państwa giaurskie jeżeli nie przez kapituły,
Miecz mieczem a piesz pieszem, kto się czemu święci
Tego niechaj pilnuje......

Mimo całéj swéj pobożności mającéj wszelkie cechy „kruchcianéj dewocyi," Potocki nie jest ani fanatykiem jak o tém świadczy tchnący tolerancyą ustęp mowy Muftego, ani też nie jest wcale pokornym sługą hierarchii duchownéj, któréj pretensye do kierownictwa świeckiemi sprawami ostro, jak widzieliśmy, potępia a obyczaje i wady surowéj niejednokrotnie poddaje krytyce, nieoszczędzając nawet saméj głowy kościoła. „Cóż mi po opończy gdy już zmoknę do nici" powiada drwiąco z okoliczności odpowiedzi papieża, który zbył poselstwo polskie proszące go o zasiłki na wojnę z Turkami obietnicą udzielenia takowych wtedy gdy cesarz skończy wojnę z heretykami (toczącą się podówczas trzydziestoletnią wojnę). O kilka stron przedtém z pod tego samego pióra wyszła przecie modlitwa nacechowana tak wybitnie mistyczną pobożnością owéj epoki:

Patrz na polskich patronów, patrz na naszych ziomków
Pokorę, a nie spuszczaj biczów swych ułomków!
Patrz na świecznik swéj chwały, który w téj koronie
Ogniem niezagaszonym ku czci Twojéj płonie,
I chociaż przez złość naszą przez nasze niecnoty,
Często go w oczu Twoich zaciemiają knoty,
Utnij knot, masz nożyce miłosierdzia w ręce'
Że nie zgasisz ufamy Jezusowéj męce......
Potęga turecka to Goliat a Polska to Dawid
. . . . .którego armata
Pięć kamyczków i proca, lecz przy Twéj pomocy
Możem ufać tym pięciom kamyczkom i procy;
Bo węglowemu każdy rówien z nich kamieniu
Co ich jest w Zbawiciela naszego imieniu.

Sprzeczność to pozorna tylko, bo właśnie ta gorąca i szczera pobożność, ta siła religijnego uczucia jaką spotykamy u Potockiego stała się źródłem tych surowych sądów o duchowieństwie, którego życie było dalekiem od ideału kapłana jakiego sobie przedstawił poeta. Jestto zresztą jedną z cech wyróżniających pobożność mistyczną średniowieczną i dawną staropolską od nowoczesnéj, ultramontańskiéj dewocyi.

Opis przygotowań obronnych przedsiębranych w Polsce jest wiernem i ciekawém odtworzeniem pogadanek szlacheckich o sprawach politycznych w końcu XVII wieku. Wprawdzie poemat przechodzi tu w gawędę, polski Tasso staje się godnym współzawodnikiem Paska, lecz bądź co bądź zyskujemy na tém mając zamiast lichego naśladownictwa Eneidy lub Jerozolimy wyzwolonéj rubaszne i trywialne niekiedy ale prawdziwe echo życia ówczesnego. Oto zebrani w szlacheckim dworku lub krakowskiéj winiarni radzą ziemianie nad zbliżającą się wojną. Powtarzają sobie wiadomość, iż wyprawiono posłów do wszystkich królów co są „pod zbawiennym krzyżem,“ niewiadomo przecie z jakiemi wrócą odpowiedziami. Lecz się na to upijać szkoda, kędy a nuż będzie (pomoc) albo nie będzie? Szkoda stawiać garnka jeżeli dopiero prosić u sąsiada ziarnka.“ Ponieważ zwykle „czyja tonie kobyła ten najgłębiéj brodzi,“ tedy o swoich rzeczach samym przyjdzie radzić, kogo obrać hetmanem, zkąd ludzi gromadzić, a co najpotrzebniejsza do wojny zkąd zasięgnąć pieniędzy.“ Co do wyboru hetmana nie było potrzeba długo się namyślać: Żołkiewski zginął, Koniecpolski w niewoli, rzecz naturalna iż „wszyscy oczy i serca na jednego zgodnie zwrócą Chodkiewicza“; na hetmana polnego zaś któż właściwszy jak „Stanisław Lubomirski hrabia na Wiśniczu“ szwagier jęczącego w „żałosnéj Jedykule“ Koniecpolskiego. Trudniejsza sprawa z pieniędzmi które by należało zebrać z najmniejszém stanu szlacheckiego uciśnieniem, boć on krew swoją przyniesie w ofierze ojczyźnie. Kto może i powinien dać to duchowni, lecz oni „choć się milionami w ojczyźnie wielmożą“ przecie tylko „półtorakroć złożą“ i „wolą nieprzyjaciołom na rabunek chować, niż suplementować konającą ojczyznę, wolą wieść za granicę i darmo dać komu, niźli węgłów podeprzeć pochyłego domu.“ Cóż to jednak znaczy wobec potęgi tureckiéj na którą się składają trzy części świata. Nic dziwnego więc iż „na posiłki wyciągamy oczy, bo nam téj gry pomogą sąsiedzi ochoczy.“ Tymczasem nadzieja ta zawodzi: Odpowiedź papieską przytoczyliśmy już powyżéj wraz z dosadną jéj oceną. „Lepszéj nowiny wyglądamy z Wiednia, naprzód, że krew przyjaźni najpewniejszym gruntem, dwie siestrze cesarz mając za naszym Zygmuntem (Boskiego i ludzkiego uchiliwszy prawa), dru-

ga, że z jego przyczyny ta wrzawa (1)... Ztąd jako na trzy tuzy bez wszelkiéj omyłki, tak śmiele na rakuskie każemy posiłki... Ale niech się tu każdy niewdzięczności zdziwi: za psa krew (jako stara przypowieść natrąca: z bratem na lwa, a z szwagrem ledwie na zająca); za psa nasza uczynność, bo póki świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem. Nie tylko nam posiłków winnych odmówili lecz werbunku w swéj ziemi cale zabronili." Widocznie „wolność nasza co im w oczu solą, przyczyną że nas chcieli wterebić w niewolą"... „Hiszpan bardzo żałował że z tym potentatem" który kiedy się ruszy całym trzęsie światem, Polacy się zwadzili" bo „niżeli mysz skoczy daléj, kocur trzaśnie"... „W ten sens i Wenetowie i wszyscy sąsiedzi niewdzięczne posłów naszym dają odpowiedzi, równi owym doktorom co widząc w malignie chorego, że nie wstanie, że już duszą rzygnie, miasto jakich syropów co mu jeszcze cięży, każą mu się z sumieniem rachować u księży" (2).

Troska o losy kraju i niepewność wyników wiszącéj nad nim wojny nie przeszkadza przecie gawędzącemu przy kielichu gronu używać uciech jakie nastręcza pora zimowa:

Już i pasterze swoje puścili koszary
I ptak poszedł na zwykłe do cieplic opary
Twardy mróz ujął ziemię, chociażbyś po bagnie
Kartaony prowadził, pewnie się nie zagnie,
Kryształowym wątpliwe brody spiął pokostem
I bystre rzeki szklanym poujmował mostem
Biały śnieg jako zmora na ten świat się kida

. . . .

Więc komu przyszła wojna głowy nie ugryza
Delikacko na płytkich saneczkach się ślizą.
Świszczą smyczki z daleka gościńcem utartem
A dropiaty, jak raróg., leci pod lampartem.
Kto myśliwy po śniegu zwierza z charty tropi
Nasz starzec przy kominie grzanki w piwie topi
A co raz pisanego nachylając garca,
Już syty tego świata czeka z gołą marca.
Nie idą mu w gust żadne przejażdżki i sanki
Zjadszy zęby woli ssać rozmoczone grzanki

---

(1) Ponieważ Zygmunt III wyprawił cesarzowi posiłki przeciw Gaborowi Betlemowi, który chcąc się od Polski zabezpieczyć podburzał Turcyą i posłał im cztery tysiące piechoty swéj na wojnę z Polską.

(2) Takimże wiernèm odbiciem rozumowań politycznych szlachty ówczesnéj jest prócz wielu innych ustępów, mowa Sobieskiego na radzie wojennéj (str. 191 po 193).

Toć ostatnia człowiecza uciecha komu się
Da Bóg zstarzeć i późne oglądać prawnusie.

Ten obrazek rozrywek zimowych, na które z okien swéj komnaty spogląda zgrzybiały staruszek, rzucony od niechcenia jak miniatura zdobiąca margines starego rękopisu, jest widocznie późniejszym znacznie dodatkiem. Nudy starości skracał sobie Potocki przeglądaniem dawnych prac, przyczem niejednokrotnie pozwalał sobie robić poprawki i dopiski, ilekroć nadarzyła się sposobność wypowiedzenia swych pojęć i uczuć z lat późniejszych. Tą drogą dostały się do „Przygody Wirginii", jednego z najpierwszych niewątpliwie utworów Potockiego ukończonego już w r. 1652, ustępy odnoszące się do śmierci ukochanego syna, zmarłego w dwadzieścia lat późniéj. W taki sam sposób należy wytłómaczyć pochodzenie tego prawdziwie flamandzkiego krajobrazu zimowego z postacią starca bezzębnego rozgrzewającego się polewką piwną przy oknie szlacheckiego dworu. Starzec ten to sam poeta, który jak dawni malarze umieścił na uboczu wielkiego obrazu, swój wizerunek. Opisując wypadki przeszłości ciągle Potocki ma na myśli chwilę obecną, współczesnych dla których zbudowania podjął tę pracę. Swobodny ton i luźna forma gawędy, którą mimowolnie i bezwiednie nadał swemu poematowi, pozwalają na takie przerywanie toku opowieści rozlicznémi zboczeniami. Porównywując współczesnych sobie z idealnym typem rycerza—obywatela, którego urzeczywistnienie upatruje w bohaterach bojów chocimskich, dostrzega z całą wyrazistością liczne i doniosłe różnice sprowadzone przez moralne i fizyczne wyrodzenie się szlachty i kontrast ten uwydatnia się w wymownych pełnych siły i wydatności zarysach.

„Przed laty, powiada poeta, nie pierwéj młody do szabelki przypadał, aż od wojewody lub króla samego do niéj był przypasany, około lat dwudziestu, i nie pierwéj godziło mu się prawić o wojnie i radzić około ojczyzny aż pierścień żelazny dany mu przy pasowaniu na rycerza zbroczył krwią nieprzyjacielską i odniósł na swem ciele blizny". Dziś „dziecku małemu do kasze drugi ojciec szabelkę i łuczek przypasze i gdy wzrosłszy przy doiwie krowiem, zwiedzi w Warszawie co przedniejsze wiechy (winiarnie), ażeby dom nie zaginął dla onéj pociechy, ożeni go; a ten téż jakby wlazł do twierdzy ani szable przypasze ani ostrze ze rdzy, zasznuruje się w duchnę i namnoży podobnych sobie gapiów ni to Bogu, ni ludziom. Nie zna jako żyw pancerza, nie widział kirysu, lecz czy to flisem czy wołmi, czy brdęgą, czego inszy krwią nie mógł, takowi dosięgą; albo idzie do dworu i tak świni ucha nie uciąwszy senator z onego piecucha"......... „Wi-

dzióć ich po jarmarkach lub prywatnym feście, gdy się strojno, czeladno przechodzą po mieście; pójdzie z nim do publiki, choć w onéjże lamie, tak skromny, tak pokorny że wilk a wilk w jamie.“ Dopiero gdy wypadnie im wystąpić w pole „stać na posłuchu i zmoknąć do nici“ gdy „grzbiet kirys orze a szyszak perfumowaną prasuje czuprynę“ gdy trafi się potrzeba „o któréj słuchając włosy z czapką wstawają do góry“ gdy wypadnie „stać na miejscu cały dzień jako cel przed działy, patrząc gdy drugich niosą, słysząc świst nieluby, oczy w górę podnosić, czynić Bogu śluby;—stanie i za śmierć strach śmierci bo sto razy umiera kto tchórzy.“ Cóż więc dziwnego „iż mierznie wojna naszym galantomom co nawykłszy od młodości domom, słuchają rychło w polu będzie po herapie, rychło im kto potrzebę przyniesie na mapie“ Ale za to pochopni wielce „żołnierzów obmawiać i hetmanów szczypać“ i mocno bywają rodrażnieni gdy wypadnie dać im „kopę na pobór:“ „Długoż, prawi, sypać będziem darmo pieniądze? Wierz, zdaniem mojem jużby czas Ukrainę widzieć za pokojem“ Drugi znowu „nie godzien z kijem chodzić mitręga za bydłem, że wiewiórczym ogonkiem dał opuszyć kołnierz aż już wąsy odyma, aż sędzia, aż żołnierz! Wdajże się z nim w rzecz, chociaż nie był daléj bursy... już on wiadom porohów, czajek i kudaku, wiadom złotego i kuczmańskiego szlaku... wszystko wie, tego nie wie do siebie nieborak że sklep dziurawy ledwie stoi za półtorak“ Niechno tylko pojawi się gdzie panicz młody a bogaty „co zdarłszy się z opieki jako ryba z wędy i blaskiem nowéj swobody zaślepiwszy oczy, prawdy słuchać nie może;“ zaraz zleci się zewsząd zgraja przyjaciół, pasorzytów „którzy wziąwszy na swoję panicza opiekę w koło go jako gęste otaczają strzępki, wielkie jego dostatki, mowy i postępki z pokorném podziwieniem od rana do zmierzchu w oczy chwalą. A jako psi do jatki idąc za baraném powtarzają niedługo będziesz wielkim panem“

Cała ich robota polega na tém by „skłamać, zagrać kto umie i chodzić przed półmiski póki czują o kocie i ojcowskim zbiorze, lecz gdy reszty w ostatnim przewąchają worze, rozbiegą się i każdy w swoję stronę kinie a jedynak jak beczka zbywszy soli spłynie, toż ubitym gościńcem i bez kałauza trafi lub do zakonu lubo do zamtuza.“

W tych pełnych życia, prawdy i dowcipu obrazkach gawędziarz staje się satyrykiem, rymotwórca poetą, niezdarny rysownik artystą. Potocki tu dorównywa niemal świetnym satyrykom stanisławowskiéj epoki. Artyzm ten, który od czasu błyska na kartach „Wojny Chocimskiéj“ ma swe źródło w uczuciu poety, w jego miłości dla społe-

czeństwa, które chciałby odrodzić, udoskonalić w cnotach i w uwielbieniu dla ideału przewodniczącego jego pracy. Ideał ten służy mu za skalę do oceny współczesnych postaci, które przy jego blasku ukazują wszystkie swe niedostatki i całą małość; oburzenie jakie wskutek tego porównania uczuwa poeta dodaje siły i werwy jego pióru, z pod którego wychodzą wizerunki wprawdzie niewykończone, nie obmyślane, naszkicowane tylko kilkoma wydatnemi rysami ale mimo to takie prawdziwe i charakterystyczne!...

(*d. n.*)

Bronisław Chlebowski.

DEMOKRACYA SOCYALNA

W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

II.

LASSALLE I MARX.

Franz Mehring. Die deutsche Socialdemokratie ihre geschichte und ihre Lehre Bremen 1878.—Emile de Laveleye. Le Socialisme contemporain. Paris 1881.—Georg Brandes Ferdinand Lassalle ein literarisches Charakterbild. Berlin 1877.

Mylić się—rzecz ludzka, najpoważniejszym uczonym zdarza się dawać o rzeczach sądy mylne, im zaś silniéj one będą motywowane, im głębiéj zdadzą się sięgać w samę naturę rzeczy, tém dziwniéj potém wyglądać muszą, kiedy fakta przyjdą im zaprzeczyć. Lorenz v. Stein w swojéj historyi ruchu socyalnego we Francyi wydanéj w r. 1850, usiłując dotrzéć do najskrytszych pobudek i najgłębszych przyczyn silnego krzewienia się pojęć socyalizmu wśród Francuzów, twierdził, że wypływa to przedewszystkiém z kierunku filozofii francuskiéj, hołdującéj sensualizmowi. Sensualiści najwyższe szczęście człowieka widzą w używaniu, nie dziw więc, że obałamuceni tą błędną filozofią lekkomyślni Francuzi pragną wszystkim ludziom otworzyć drogi do łatwego używania; nie mogą oni wznieść się do zrozumienia wielkiéj idei niemieckiéj, do pojęcia osobistości, owego *ja*, które żyje świadomością siebie, dla którego wiedza jest najwyższą rozkoszą. Zdawałoby się więc, że wzniosłe pojęcie osobistości ustrzeże naród niemiecki od zarazy socyalizmu; tymczasem któż przychodzi zaszczepić gałązkę teoryi socyalizmu na drzewie nauki niemieckiéj?—oto filozofowie wyuczeni w szkole Hegla. Wszystkie zaś rozkosze wiedzy, która sama sobie celem stać się może, ani wielkie *ja* niemieckie, ani pojęcie osobistości nie przeszkodziły téj gałązce wy-

bując silnie i szerzyć w umysłach bodaj więcéj zniszczenia aniżeli wszystkie utopie Francuzów. Tak wypadki urągają medytacyom filozofa, namiętność nie słucha logiki a historyk, zbyt śmiały w twierdzeniach, staje obok publicysty wypowiadającego, pod wpływem chwilowego interesu, aksiomata niewzruszone, których jutro sam wyrzec się będzie musiał. Kilka lat agitacyi postawiło w Niemczech socyalizm na stanowisku górującém po nad wszystkiemi kwestyami wewnętrznemi; olbrzymie wojny, niebywałe tryumfy chwilowo tylko mogło przygłuszyć głosy agitatorów. Ludność rozbujana walką polityczną, stopniowo rok za rokiem zaczęła coraz silniéj przerzucać się na grunt aspiracyj socyalnych, i dzisiaj, chociaż przywódcy stronnictw w parlamencie usiłują spierać się z ministrami o prawa sobie przysługujące, jednakże, nie kwestye konstytucyjne, ale urządzenie cechów, ale kassy ubezpieczenia stonowią oś, około któréj obraca się życie publiczne w Cesarstwie niemieckiém.

I.

Opowiadaliśmy jak w r. 1862 rozwinęła się na wielką skalę agitacya polityczna; można było przewidywać, że wśród tego ruchu powstawać będą coraz to nowe kwestye, ale nikomu wtedy na myśl nie przychodziło, że prędko głośne wołania o reformy społeczne wystąpią naprzód sceny; nie przewidywano tego tém bardziéj, że człowiek najpopularniejszy wtedy pomiędzy ludnością rzemieślniczą Szulce z Delitzch był całą duszą oddany postępowcom, a szeroko rozwinieta jego działalność zdawała się ręczyć za utrzymanie robotników na wytkniętéj przez niego drodze. Kilka niezręcznych kroków, których się dopuścili kierownicy partyi postępowéj, były tymczasem powodem do rozwinięcia się akcyi zupełnie odmiennéj.

We wszystkich, niezmiernie licznych stowarzyszeniach, po wszystkich zakątkach Niemiec, rozprawiano ciągle o najrozmaitszych rzeczach, dyskusye prowadzili wobec rzemieślników ludzie wykształceni, którzy nie zawsze słuchali haseł wydawanych przez koryfeuszów stronnictwa. W Saxonii, gdzie ludność była niechętną przewadze i wpływowi prusaków w Niemczech, w fereinach nieraz była o tém mowa, że postępowcy zanadto oglądają się na Prusy, szukano sposobów jakby temu zaradzić, a profesor z Lipska Rossmäsler w r. 1862 podał myśl miejscowym rzemieślnikom, żeby się starali zostawać członkami National-fereinu i tam opinie swe wypowiadali; za namową jego wniesiono żądanie do dyrekcyi, aby pozwoliła członkom National-fereinu opłaty roczne wnosić ratami, coby rzemieślnikom ułatwiło wstęp do związku. Dyrekcya w odpowiedzi na to żą-

danie ofiarowała rzemieślnikom bezpłatnie tytuły członków honorowych, któreby jednak nie dawały im prawa zabierania głosu ani tém bardziéj wotowania. Obraziło to kilku wyżéj wykształconych rzemieślników, zgłosili się do Szulce Delitzscha, prosząc o radę co mają robić, odpowiedział: że powinniby zadowolnić się członkowstwem honorowém, bo pieniądze lepiéj użyć mogą na opędzenie potrzeb swych rodzin. — Niepodobali sobie w téj radzie, postanowili szukać poparcia w innych fereinach i zaprojektowali zebrać kongres ogólny rzemieślników z całych Niemiec, na którymby mogli porozumiéć się i żądania swoje przedstawić dyrekcyi National-fereinu w imieniu całéj pracującéj ludności. Porozumienia w tym względzie szły opornie, rok czasu przeminął, a jeszcze o zgromadzeniu kongresu nie można było myśléć, w lutym więc r. 1863 na wniosek szewca Valteicha, zgłoszono się z prośbą o radę, jak postępować należy, do kilku ludzi znanych z przyjaznego dla klas roboczych usposobienia, pomiędzy temi ludźmi był Ferdynand Lassalle.

Znanym był już w tedy w Berlinie w kołach zarówno politycznych jak i światowych i rzemieślniczych młody ten uczony, o pięknych rysach twarzy i szafirowych pełnych ognia oczach. Liczył on rok 37 życia, ale jeszcze w czasach pierwszéj młodości, kiedy po skończeniu studyów uniwersyteckich w Lipsku i Wrocławiu pierwsze zabierał stosunki w świecie, już Heine i Humbold, najwyższe ówczesne potęgi umysłowe Niemiec, witali w nim genialnego młodzieńca, przyszłą wielkość świata naukowego. W r. 1848 brał czynny udział w ruchach rewolucyjnych nad Renem, co mu na długo zamknęło wstęp do Berlina, pierwéj zaś jeszcze spotkał był hrabinę Hatzfeld kobietę starszą od siebie o lat dwadzieścia, która jednak pięknością swą i rozumem silne zrobiła na nim wrażenie i potrafiła zainteresować go swoją sprawą rozwodową z mężem, tak, iż poświęcił jéj usługom dziesięć lat swego życia, trzydzieści kilka razy występował przed sądami w jéj obronie i doprowadził interes do szczęśliwego rozwiązania przez korzystny dla hrabiny układ z mężem. Romansowo-przyjacielski stosunek Lassalla z hrabiną, nie wykluczał pieniężnego wynagrodzenia, po zakończeniu interesu pobierał dość znaczną dożywotnią rentę, a ponieważ własna jego rodzina była zamożną miał więc na świecie stanowisko zupełnie niezależne.

Proces, który prowadził i ruchy polityczne nie przeszkadzały mu w pracach naukowych, w r. 1858 potrafił na wstawienie się Humboldta osiedlić się w Berlinie, przed swym wystąpieniem w roli agitatora napisał już był dwa dzieła poważne naukowe, które mu między uczonymi niemały rozgłos zrobiły. Z odłamków i cytat zebranych u różnych autorów staro-greckich, odtworzył on postać Hera-

klitesa (1), filozofa, który na lat sześćset przed naszą erą, istny poprzednik Hegla, twierdził, że sprzeczności są identyczne, że niebyt ma swe istnienie, a zarazem nauczał, że państwo, jako wyraz woli ogółu, jest wszechwładném, a najwyższém jego powołaniem zajmować się uszczęśliwieniem ludzi, za najwyższą zaś cnotę człowieka uważał poświęcenie się dla dobra ogólnego. Lassalle rozmiłował się w swém bohaterze, dał mu duszę ognistą, w którą wlał własne popędy i przekonania, jednakże filologowie niemieccy wysoko cenili tę książkę i widzieli w niéj prawdziwe zrozumienie epoki i człowieka, o którym traktuje. W drugim dziele wydanym w r. 1862 „System praw nabytych" (2), porzuca już spekulacyą filozoficzną, trzyma się metody historycznéj, twierdzi, że pojęcia prawne nie mogą być absolutnémi: że własność, familia, dziedzictwo, społeczność cywilna, państwo, nie są to pojęcia metafizyczne, o którychby można rozumować jak o abstrakcyach, mogą zaś być tylko tém czém je widzimy w historyi greckiéj czy rzymskiéj lub nowożytnéj. Przyczynę wszelkich spółczesnych zatargów politycznych i społecznych upatruje w tém, że ludzie nie mają dokładnego pojęcia o *prawach nabytych;* że u narodów europejskich istnieje, słuszny zresztą wstręt do wstecznego działania prawa, jako do samowolnego naruszenia cudzéj wolności, ale rozciągają go bezzasadnie do tych wszystkich praw, które nie dotykają aktu wolnéj woli ludzkiéj, a stanowią o tém, co niezależnie od woli człowieka daje mu natura lub przyznaje społeczeństwo, co niesłusznie uważamy za prawa nabyte i co przy zmianie pojęć i instytucyj naruszoném być musi; teoretyczny ten wywód w dalszym ciągu popiera studyami porównawczémi nad prawem rzymskiém i germańskiém w kwestyi dziedziczenia własności.

Studya filologiczne ani prawne nie mogły jednak zapełnić życia Lassalla, rwał się do walki politycznéj, pragnął zostawić po sobie na świecie ślady trwalsze, aniżeli drukowane książki, chciał przyłożyć rękę do udoskonalenia instytucyj i pamięć o sobie zapisać w sercach ludzkich. Jak meteor ognisty przeleciał on wśród ówczesnego tak pełnego ruchu życia Niemiec, dwa lata niespełna trwała jego akcya polityczno-społeczna, ale zapalił pochodnię, od któréj po śmierci jego dopiero zatlił się materyał palny, obficie nagromadzony wśród robotniczéj ludności niemieckiéj.

Jerzy Brandes złożył osobną książkę ze studyów swych nad charakterem i pismami Lassalla, twierdzi on, że główną cechą jego

---

(1) Philosophie Heraklites des dunklen von Ephesus. 1857.

(2) System der erworbenen Rechte, eine Versöhnung des positiven Rechtes und der Rechts-philosophie. 1862.

osobistości była siła woli, posunięta do tego stopnia, iż nie mógł pojąć dlaczegoby nie miał, lub nie zdołał zrobić tego czego chciał. Daléj dopatruje on w nim sprzeczne popędy, które logicznie wytłómaczyć się nie dają, ale które psychologicznie nie rzadko wiążą się z sobą. Najwyższe poszanowanie dla wyższości umysłowéj i duchowéj wielkości łączyło się w nim z zasadami skrajnéj demokracyi, z przypisywaniem znaczenia liczbie i masom i z naiwną prawie wiarą w zbawcze działanie głosowania powszechnego. Uczeń metody heglowskiéj, genijalnym był w argumentacyi dyalektycznéj, ale nigdy nie błąkał się w abstrakcyach i zarówno genialną nazwać można zdolność jego w dobieraniu wyrażeń najdokładniéj odpowiadających rzeczy, którą przedstawiał, obok tego przesiąkły nawskróś realizmem nowoczesnym, przedewszystkiém praktyczny, zawsze do jednego tylko dążył celu. Umysł jego pracował ustawicznie nad wykryciem rzeczywistego stosunku pomiędzy siłą a prawem; patryota zapalony ale rozmiłowany we władzy silnéj, widział w potędze monarchii pruskiéj rękojmię przyszłości dla narodu niemieckiego i wszystkie swe usiłowania zwracał ku dobiciu się znaczenia, wpływu i władzy realnéj. Dusza jego paliła się namiętnością, ukochał słabych i cierpiących miłością prawdziwą i szczerą, ale bodaj na chwilę nie mógł się pozbyć miłości własnéj posuniętéj do zarozumiałości, do próżności nawet. Olbrzymie dzieło emancypacyi klas roboczych rozpoczyna on, nie jako doktryner w imię zasad ogólnych, ale jako polityk czystéj wody, chce przeprowadzić plan jasno wskazany i obmyślany w szczegółach, lecz rozpoczyna go sam jeden, licząc na swoje jedynie siły; wśród napaści, urągań, prześladowań, które się na niego sypią ze wszech stron, w obec obojętności tych dla których pracuje, półtora roku nadludzkich prawie wysileń poświęca na to, aby się dobić pozornego tryumfu i chwilowych oklasków tłumu robotników, a zaraz potém ginie marnie z powodu kobiety, rozkochanéj w nim namiętnie, ale zrażonéj, jedynym może w życiu krokiem, sprzecznym z jego naturą, kiedy nieusłuchał głosu namiętności i nad porwanie i ucieczkę przeniósł legalność i przyzwoitość.

Tak wygląda ten człowiek studyowany w książkach, które po sobie pozostawił, a które dzisiaj jeszcze jednają mu wielbicieli i zwolenników. Czynność jego praktyczna, chociaż nosi na sobie piętno zupełnie niepospolitego charakteru i genialnych zdolności, jednakże tak dalece nacechowana jest ciągle nad wszystkiém górującą miłością własną, tak szaloném zaufaniem w swoje własne siły, że nie można mu przyznać miana prawdziwego polityka, ani téż można wierzyć w szczerość i czystość owéj miłości dla maluczkich, która o sobie zapomniéć nigdy nie umiała. Tragicznym zaiste musiał być

los człowieka, który podjął ciężar nad siły; mógł on wierzyć w prawdę swych zasad, tém bardziéj iż mniemał, że je czerpie ze źródeł nauki; ale genialny literat wykarmiony na dyalektyce, nie widział że frazes chociażby najjaskrawszy nie zwalczy interesu, że prawda nie przedziera się w umysły tłumów jasna, cała, nieskazitelna, jak ją widzimy w spekulacyi metafizycznéj lub w analizie naukowéj; w podrażnieniu namiętném nie mógł rozróżnić granic tak bardzo delikatnych w rezonowaniu samem dzielących prawdę od sofizmatu, a zaślepienie miłości własnéj kazało mu swoje sofizmata za prawdy wygłaszać; zaczął od nauczania, od tłómaczenia, ale wiedząc że go nie pojmują, a chcąc mieć zwolenników, musiał drażnić namiętności i schodził na drogi najpospolitszych agitatorów rewolucyjnych.

Kiedy w roku 1862 spór pomiędzy ministrami a parlamentem zaczynał przybierać ostry charakter, Lassalle nie mógł patrzéć na to obojętnie. Był on w bliskich stosunkach osobistych z przywódcami partyi postępowéj, przekładał im, że opozycya bierna, którą oni uważali za jedynie właściwą i do celu doprowadzić mogącą, na nic się nie zda, bo ministrowie mogą wybierać podatki bez zezwolenia parlamentu i tém łatwiéj mogą rządzić, że mają w swém rozporządzeniu wojsko i cały aparat administracyjny. Doradzał zaś jako środek skuteczniejszy zmowę czyli *strike* parlamentarny, odmówienie roboty prawodawczéj, krok to drażliwy, ale może zachwiać stałość ministrów i doprowadzić prędzéj do rozwiązania kwestyi. Postępowcy nie chcieli go słuchać, może lękali się jego zbyt radykalnych opinij społecznych, ambicyi nieograniczonéj, może skandale, których nie brakło w jego życiu, odstręczały od niego ludzi porządnych i przyzwoitych, reprezentantów bogatego i statecznego mieszczaństwa, dosyć że nietylko nie mieli ochoty iść za jego radą, ale niechcieli dać mu miejsca w parlamencie, ani w żadnym ze swoich komitetów. Poszedł więc szukać sobie zwolenników gdzieindziéj, zrażony i rozdrażniony niepowodzeniem w wyższych sferach politycznych, ufny w swoje siły, w jasne pojęcia o położeniu rzeczy i w wymowę, zamarzył o rozruszaniu ludu wyrobniczego, chciał w ten sposób zdobyć sobie prawo przemawiania w imieniu nowéj, przez siebie samego do życia powołanéj potęgi. Odważnie, a raczéj zuchwale, sam jeden, wystąpił do walki z partyą wówczas w kraju najpotężniejszą, złożoną z ludzi popularnych o rozgłośnych imionach, która miała na swe zawołanie dziesiątki gazet, setki stowarzyszeń i organizacyą gęstą siecią po całym kraju rozciągniętą.

Rozpoczął odczyty treści politycznéj w berlińskich fereinach cyrkułowych, a rozpoczął od tłómaczenia rzemieślnikom stolicy: czém jest konstytucya. Twierdził, że nie stanowią jéj spisane artykuły

prawa, ale że treścią jéj istotną jest stosunek realny sił społecznych pomiędzy sobą. Że korona, szlachta, mieszczaństwo i lud w królewstwie pruskiém mają znaczenie odpowiednie do sił moralnych i materyalnych, jakiemi mogą rozporządzać, konstytucya zaś legalnie spisana wtedy tylko może być prawdziwą i trwałą, kiedy jest rzeczywistym wyrażeniem stosunku faktycznego pomiędzy temi siłami. Pierwszy ten odczyt oburzył postępowców, w izbie panów za to bardzo mile przyjęto wiadomość o nim, a „Gazeta Krzyżowa" uprzejmie wspomniała „o młodym żydzie, który wiedziony dobrym instynktem trafił na punkt prawdziwy." Lassalle nie zważając na nagany i pochwały, odpowiadając na niesłuszne zarzuty w osobnych broszurach, bo żadna z gazet liberalnych nie przyjmowała jego objaśnień, prowadził daléj rzecz swoję. W drugim i trzecim odczycie wyjaśniał całą błahość opozycyi biernéj, którą izba chce wywojować dla siebie—prawa, dla ludu—swobody; nazywał ją bękartem moralnym zrodzonym ze związku nieprawego pomiędzy poczuciem obowiązku opierania się rządowi, a tchórzostwem niedopuszczającym oporu czynnego; daléj wykładał, że w przebiegu dziejów teraz właśnie nadeszła chwila, w któréj stan czwarty ma do odegrania rolę przeważną. Oburzenie liberalnych organów wzmagało się ciągle, lud słuchał tych objaśnień zupełnie obojętnie, a prelegent zamiast torować sobie drogę do parlamentu, zdawał się owszem zagradzać ją na zawsze.

W tym czasie doszły go listy od komitetu robotników z Lipska, którzy zarówno jak on byli mocno zażaleni na „partyą postępową." Ze zwykłą sobie stanowczością Lassalle zdecydował się natychmiast, czując że stanowisko jego wśród stronnictw politycznych robi się nieznośném, chwycił się ręki, którą do niego wyciągano; listy otrzymał w połowie lutego r. 1863, 1-go marca ogłosił odpowiedź jako „List otwarty," w którym stanowczo przechodził Rubikon, ze sfery nauczania teoretycznego przerzucał się w akcyą praktyczną, a rzucając rękawicę mieszczaństwu i całemu politycznemu światu niemieckiemu, wzywał robotników by się organizowali jako ciało odrębne i myśleli sami o sobie, bo nikt pewno o nich nie myśli. Tłómaczy on robotnikom: że zarobek ich pod wpływem popytu i podaży musi się redukować do cyfry kosztu utrzymania ich życia, że przy dzisiejszym porządku ekonomicznym żadne usiłowania nie są w stanie przemódz tego *żelaznego prawa*, że w królewstwie pruskiem 89 do 96 procentów ludności żyje pod mniéj więcéj ostrym naciskiem tego prawa, że więc dla nich: samopomoc, oszczędność i wszelkie filantropijne urządzenia są tylko złudnémi marzeniami, które nigdy skutecznie działać przeciwko nędzy nie będą w stanie. Należy zaś domagać się od państwa kredytu dla stowarzyszeń wytwórczych,

które stopniowo będą mogły objąć wszystkich wyrobników i przekształcić dzisiejszy systemat przemysłowéj produkcyi. Na téj tylko drodze można myśléć o podźwignięciu moralnie i umysłowo stanu czwartego. Głosowanie powszechne — to jedyny środek, który może doprawadzić pokojowo i prawnie do udzielania robotnikom kredytu państwowego, dla skutecznego zaś dobijania się o prawo głosowania na wyborach do parlamentu, powinni oni związać się między sobą w jedno ogólne dla całych Niemiec stowarzyszenie. Kończy swój list otwarty temi słowy: „Podnoście tę chorągiew, przy niéj czeka was zwycięztwo, innéj dla was niema.“ Lassalle wiedział dobrze, że jeżeli robotnicy nie zechcą przyjąć jego teoryi, nie dadzą się poruszyć, będzie musiał dać za wygraną wszystkim swoim nadziejom, opinia potępi go jako marzyciela i wichrzyciela; liczyć na robotników nie mógł z dotychczasowego doświadczenia, ale liczył na swoje siły i śmiało rzucał się w przedsięwzięcie w nadziei, że potrafi stanąć na czele mas ludowych, wejdzie do parlamentu i tam zrównoważy wpływ i znaczenie swoich przeciwników.

Komitet lipski przyjął chętnie myśl sobie podaną i chciał zaraz zajmować się organizowaniem związku; ale cała prasa postępowa przyjęła list otwarty jednym okrzykiem zgrozy, oburzenia a nawet śmiechu, z powodu kroku tak dalece nierozważnego. Przypomniano warsztaty narodowe w pałacu Luxemburskim, w Paryżu roku 1848 i wyrzeczono, że świadomie czy bezwiednie, Lassalle robi się narzędziem reakcyi; związki rzemieślnicze, po całych Niemczech jeden za drugim, dziesiątkami całemi, oświadczały się przeciw niemu, w Berlinie nie mógł już odzywać się publicznie, krzyki, hałasy, przerywały mu mowę, dochodziło nawet do scen gwałtownych. Wyjechał więc do Lipska, tam wobec 1300 robotników zwołanych przez szewca Valteicha bronił swych zasad, a swoje *żelazne prawo zarobku* gruntował na cytatach z dzieł największych powag ekonomicznych, jak: Smith'a, Say'a, Stuarta Milla, Roschera i innych; tutaj wymowa jego odniosła pierwszy tryumf, wprawdzie kilkunastu ludzi za przewodem Bebla tokarza opuściło salę, oświadczając, że wolą trzymać z partyą postępowców, ale reszta zgromadzenia z zapałem przyjęła jego wnioski. Korzystając z tego natychmiast spisał statuta projektowanego stowarzyszenia i rozesłał je we wszystkie strony Niemiec.

Jakkolwiek powodzenie w Lipsku dodało mu otuchy i pozwalało mieć już lepsze nadzieje, jednakże bolało go mocno, że słowa jego nie wywoływały żadnego echa pomiędzy ludźmi wykształconymi i uczonymi, na których poparcie liczył napewno; mijały tygodnie, wszyscy milczeli, z pomiędzy najbliższych przyjaciół jeden tylko Lotaryusz Bucher po cichu i bardzo dwuznacznie przyznawał się do

zasad, które on z taką pewnością wygłaszał, jako niezaprzeczone prawdy naukowe. W długich godzinach rozwagi, kiedy się wytrzeźwiał z upojenia oklaskami tysiącznego tłumu, musiał przecież rozpoznawać, że chwilowy zapał i uniesienie gromady prostaczków, pod wpływem ognistéj wymowy człowieka natury energicznéj, przemija prędko, że na nim opierać planów poważnych ani budowy trwałéj nie można. Stowarzyszenia rzemieślnicze w coraz dalszych okolicach odrzucały zawsze jego propozycye, tylko we Frankfurcie nad Menem, Bernhard Beker potrafił jeden z fereinów namówić na nową naukę. Stowarzyszenia robotników w całéj dolinie Menu były przez postępowców scentralizowane w jeden związek ogólny, którym zarządzał komitet delegatów pod prezydencyą Maxa Hirscha, widząc odstępstwo cząsteczki swoich na rzecz Lassalla i chcąc zapobiedz dalszemu szerzeniu się zgubnéj doktryny, w nadziei że dysputa publiczna wypaść musi na niekorzyść Lassalla, zaproszono na 17 maja do Frankfurtu—jego i Szulce Delitzscha, prosząc ażeby wobec delegowanych w publicznéj dyspucie wykładali każdy swoje zasady. Szulce jednakże wymówił się nawałem roboty i nie stawił się na wezwanie, Lassalle przez dwa wieczory przed kilkuset ludźmi bronił swego projektu kredytu państwowego dla spółek robotników i rozwinął ostrą krytykę całego zachowania się partyi postępowéj; 50 osób opuściło salę z okrzykiem: „niech żyje Szulce Delitzsch,“ około 400 przystało na opinie Lassalla.

Wrócił z tamtąd do Lipska i 23 maja wobec 600 przyjaznie dla siebie usposobionych ludzi, zawiązał „Ogólne niemieckie stowarzyszenie robotników,“ które miało trwać lat 30, a celem jego było spokojne, na drodze legalnéj domaganie się dla ludu prawa głosowania powszechnego przy wyborach posłów sejmowych. Przewodnictwo związku należało do prezesa i 24 członków zarządu, lecz że członkowie zarządu mieli być rozrzuceni po całym kraju i prezes tylko miał prawo ich zwoływać, więc i władza nieograniczona musiała przypaść w udziale prezesowi, a to témbardziéj, że kasyer tylko za jego asygnacyą miał wydawać pieniądze; związek nie dopuszczał żadnych rozgałęzień, żadnych pobocznych stowarzyszeń, a wszyscy mieli stanowić jedność, skoro zaś w jakiéj nowéj miejscowości znajdowali się stowarzyszeni, prezes mianował tam delegata do prowadzenia interesów; wpisowe oznaczono na 6 gr. sr., a składkę tygodniową na 6 pf. Prezesem na lat pięć wybrano Lassalla, wahał się jeszcze dni parę, ale za namową hr. Hatzfeld przyjął prezydenturę i stanął na czele, ażeby kierować daléj swém własném dziełem.

Ulubionym wzorem dla niego był Cobden i jego agitacya przeciwko prawom zbożowym, marzył o tém, że potrafi znacznéj części

ludności niemieckiéj wytłómaczyć działanie praw ekonomicznych jak je sam pojmował, że wtedy na czele kilkunastu co najmniéj deputowanych znajdzie się w sejmie i wspólnemi siłami potrafią pchnąć prawodawstwo na drogę reformy społecznéj. Było to marzenie tylko, w rzeczywistości spotkał się z ludźmi, którzy nie tylko praw ekonomicznych nie pojmowali, ale dla których były one rzeczą zupełnie obojętną; ich zajmował młody i piękny pan, bardzo uczony, który wykwintnie ubrany staje wpośród nich i tak pięknie do nich mówi, i tak gorąco ich kocha, a tak dosadnie umie wyrzekać na tych, którzy się jemu sprzeciwiają. Lassalle sam narzekał pomiędzy zaufanymi: że wyrobników niemieckich trzeba jeszcze nauczyć iż są nieszczęśliwymi, bo oni nawet tego nie rozumieją; jakkolwiek umiał dobierać słowa, zestawiać je w obrazy najjaskrawsze i działać tém na wyobraźnią prostaczków, jednakże do umysłów ich te nauki przedrzéć się jeszcze nie mogły, trzeba było, co szło daleko łatwiéj, drażnić w nich uczucia, podbudzać gniew i oburzenie, łechtać ich miłość własną. Wspólnika w pracy nie miał żadnego, pomiędzy zwolennikami jego znalazł się tylko jeden człowiek, który plany jego pojmował, a zdolności umysłowe i wykształcenie wyższego rzędu zdawały się go powoływać na dzielnego pomocnika, był to adwokat z Frankfurtu Jan Szweitzer, ale ten był pomiędzy ludnością miejscową niepopularnym a nawet tak dalece nielubionym, że wszelki jego udział w robocie odstręczał adeptów; drugi—kasyer związku, düseldorfski kupiec Lewy, chociaż oświecony i rozumny ale temperamentu spokojnego, apatyczny nawet, nie mógł z natury swojéj brać czynnego udziału w agitacyi. Lassalle więc musiał sam jeden wszystkiemu starczyć, w robocie téj gorączkowéj, któréj mało kto z ludzi mógłby podołać, zużywały się jego siły, zasad swych trzymał się zawsze, ale szlachetne cele oświecenia ludu o jego interesach, podniesienia go moralnie, doprowadzenia go do samopoznania i zrozumienia swego położenia, musiały, wśród ustawicznego a nadmiernego natężenia nerwów, przekształcać się stopniowo na puste deklamacye demagoga drażniące namiętności,—dla zapewnienia sobie uznania i tryumfu.

W zarządzie znaleźli się rzemieślnicy, trochę więcéj niż ogólna masa oświeceni, ci którzy między swoimi uchodzili za mądrych, żaden z nich nie był w stanie zrozumiéć celów jakie sobie zakłada Lassalle, ani ocenić środków któremi można celu się dobijać; dla każdego z nich interes miejscowy był rzeczą najważniejszą, każdy chciał coś robić na miejscu, widziéć skutek swych zabiegów, za najważniejsze zadanie swoje uważali podtrzymywanie ducha dobrego i każdy po swojemu oto się starał, ten organizował chóry śpiewaków, ów zbierał składki na cele dobroczynne, a inny znowu urządzał zabawy

publiczne. Członkowie nie płacili składek, a niewielka ilość pieniędzy jaka się zbierała rozchodziła się na potrzeby agitacyi miejscowéj. Prezes musiał z własnych pieniędzy opędzać rozchody ogólne związku, a przytém nauczał, przekonywał i objaśniał, tłómaczył, rozkazywał i groził,—listy, odezwy, wezwania, cyrkularze, broszury sypały się jak z rogu obfitości z pod niezmordowanego pióra i niewyczerpanéj fantazyi jego, ale jak w beczce Danaid ginęło wszystko w obojętności masy; na te wszystkie odezwy nikt nieodpowiadał, albo co gorzéj odpowiadali tylko ci ludzie głupi, którzy są prawdziwą klęską każdéj rozpoczynającéj się roboty, amatorowie reformatorzy, którzy ze wszą̨d odpychani, jak szerszenie lub osy miód, obsiadają każdą robotę cudzą, żeby z niéj dla swych błahych planików jakąś korzyść wyciągnąć; kilka małych gazetek oświadczyło się za Lassallem, ale i te zapewne liczyły na jakieś subsydya od związku, rzeczywistéj usługi żadna z nich wyświadczyć nie była wstanie. Po trzech miesiącach wysileń i pracy, w końcu sierpnia, związek liczył tylko 900 członków zapisanych imiennie w regestrach, ale więcéj niż połowa z pomiędzy nich nie opłacała składek, czynnych zaś było tylko kilkudziesięciu. Bolesny to był zawód dla Lassalla, któremu się roiły setki tysięcy popleczników i zwolenników, i który powiadał, że ażeby wystąpić poważnie, jako godny reprezentant sprawy ludowéj, ażeby zaimponować nieprzyjaciołom i być przez nich szanowanym, musi liczyć w swym związku co najmniéj siedm razy tyle ludzi ile ich ma National-ferein.

Szukając dalszych zwolenników wybrał się Lassalle w podróż do okolic nadreńskich, tam między wyrobnikami oświata była bardziéj rozpowszechniona, liczył więc na to, że ich więcéj sobie zjedna; niezapominając zaś o wywołaniu efektu, ogłosił światu że wyjeżdża nad Ren odbywać „przegląd wojska.“ Ostatnich dni września w kilku miasteczkach miał mowy, które tak ogromne zrobiły na słuchaczach wrażenie, że tryumf jego zdawał się już bliskim, tłumy robotników przez dni kilka roiły się koło niego w najwyższym uniesieniu, zagłuszając go oklaskami i otaczając ciągłemi owacyami. W ciągu tych dni kilku upijał się sam Lassalle słodkim nektarem popularności, widział przed sobą, dotykał rękami dziesiątków tysięcy zapalonych zwolenników, nie była to przecież mara wyobraźni, ale rzeczywistość dotykalna, mógł już wierzyć na seryo, że rozbudził życie w masach, że powołał do życia nową siłę społeczną. Treścią mów jego był zjazd książąt we Frankfurcie świeżo odbyty i biczowanie prasy; wprawdzie prasa liberalna t. j. wszystkie organa partyi postępowéj prześladowały go niesłusznemi zarzutami i drwinami, zaskarżały coraz głośniéj że się oddał reakcyi i służy ministrom; ale i on w kryty-

ce swojéj zapomniał już o granicach przyzwoitości i dobrego smaku nawet, mówił dużo o swojéj miłości dla ludu, ale ludowi temu nie tłómaczył już jak ma się dobijać dobrobytu i praw politycznych, lecz narzekał coraz hałaśliwiéj na egoizm, tępość i obłudę mieszczaństwa, powtarzane zaś kilkakrotnie z coraz jaskrawszém zabarwieniem zestawienie, pomiędzy babską paplaniną postępowców a męskimi czynami ministra prezydenta hr. Bismarka zdawały się uzasadniać i usprawiedliwiać robione mu zarzuty, że przeszedł na stronę reakcyi.

Pod wrażeniem tryumfu wracając z nad Renu Lassalle postanowił jak się wyrażał „zawojować Berlin,“ ułożył odezwę do klas roboczych stolicy, w stylu biuletynów Napoleona wielkiego, wzywając ich aby się łączyli z braćmi z nad morza, z Saxonii, i z nad Renu, którzy wszyscy już idą pod jego chorągwią ku zdobyciu lepszéj przyszłości dla siebie i dla całego narodu niemieckiego. Odezwa ta rozrzucona po mieście w kilkunastu tysiącach egzemplarzy chybiła zupełnie swego celu. W Berlinie propaganda udać się nie mogła z powodu: najprzód wszechwładnego tam wpływu prasy postępowców, a powtóre dla tego że policya, nie chcąc w stolicy dopuścić scen podobnych do tych, które się działy w małych miasteczkach, założyła swe veto. Lassalle probował mówić w fereinach, ale wszędzie znajdowali się zaraz jacyś ludzie, którzy wszczynali nieporządki i tumulty, tak że mówienie stawało się niepodobieństwem: spróbował przemawiać publicznie, po wielu trudnościach znalazł nareszcie salę, którą mu na to ofiarowano, ale tu wśród mowy przerwano mu i zaaresztowano, a chociaż po paru dniach, za złożeniem kaucyi wyszedł na wolność, powtórnie jednak nie mógł już wystąpić. W początku r. 1864 związek jego w Berlinie liczył tylko 35 członków.

Zima przeszła dla Lassalla obok pracy nurzącéj i wyczerpującéj siły, na nie mniéj nurzących wątpliwościach. Umarł był król duński i kwestya Szlezwig—Holsztyńska stanęła na porządku dziennym spraw niemieckich. Rozpoczęto wojnę bez wyraźnego planu co zrobić z księstwami; jeżeli hr. Bismark mógł nie wypowiadać swych zamiarów i czekać co wskażą okoliczności, Lassalle, który podjął się kierownictwa ludu, czuł konieczność wskazania czegokolwiekbądź za cel jego żądaniom, a musiał się obawiać, że okoliczności mogą zaprzeczyć jego wyrokowi, przewidywał przytém że hr. Bismark, ażeby się uwolnić od opozycyi mieszczaństwa i osłabić wpływy książąt niemieckich, użyje prawa głosowania powszechnego dla złożenia parlamentu z nowych żywiołów. W takim razie prawo głosowania byłoby oktroyowane z góry, pominio Lassalla jego związku i całéj jego agitacyi, na ten wypadek potrzebował mieć wyborców wielu, w wielu miejscowościach i być ich pewnym ażeby zająć w sejmie stanowisko poważne;

stąd coraz częstsze pochwały dla prezesa ministrów, ztąd chęć wyrozumienia go, starania o rozmowy z nim, które już na seryo zaczynają podawać Lassala w podejrzenie, że staje się stronnikiem rządu i reakcyi. Zarzuty to niewątpliwie błahe, śmieszne nawet względem człowieka, którego na całém terytorium pruskiem, od Królewca do Kolonii, prokuratorya na każdym kroku prześladuje procesami, nie przepuszczając jednego miesiąca, aby go na nowo przed kratki sądowe nie powołać; ale w obec nieprzyjaźni wszystkich stronnictw politycznych, ale w obec własnych stronników, ludzi niedaleko widzących, nie znających się zgoła na polityce i szukających zawsze namacalnych przyczyn każdéj zmiany, któréj zrozumiéć nie mogli, zarzuty te i dowody były zupełnie dostateczne dla pomawiania go o zdradę.

Wewnętrzne sprawy związku szły zawsze nie najlepiéj, członkowie zarządu, znakomitości rzemieślniczego świata po małych miasteczkach, niechętnie patrzali na władzę prezesa, nie bardzo ochoczo poddawali się jego rozkazom, stąd pomiędzy nimi ciągłe usiłowania zaprowadzenia decentralizacyi, oswobodzenia się od kierownika, który im ciężył; nawet sekretarz związku szewc Valteich, ciągle wszystkim tłómaczył konieczność niezależności miejscowych organów. Lassalle nie mógł tego dopuścić, bo jeżeli związek mógł mieć jakieś znaczenie i do czegokolwiekbądź doprowadzić, to jedynie tylko jako całość jako stowarzyszenie ogólne wszystkich robotników niemieckich, a rozpadając się na części niezależne tracił ten charakter, na zewnątrz przynajmniéj poważny. Trzeba więc było bronić się od zarzutów, utrzymywać w karności stowarzyszonych, pobudzać do czujności i działania; trzeba było bronić się przed sądami w coraz to nowych procesach, bo każda obrona wypowiedziana w obec trybunału, skoro była potém drukiem ogłoszona, dawała powód do nowego procesu; trzeba było spisać samą treść nauki swojéj, żeby w téj książce agitatorowie znaleźli wyjaśnienie dostępne rozlicznych kwestyj teoretycznych, rodzących się co chwila a tak mało i tak słabo przez nich pojmowanych. Téj ostatniéj potrzebie zadość uczynił Lassalle pisząc w ciągu trzech miesięcy gruby tom „Herr Bastiat Schultze v. Delitzsch oder Kapital und Arbeit,“ iskrzący się dowcipem, ale zarazem w części krytycznéj pełny niesmacznych zarzutów przeciwko osobie przeciwnika i przeciw teoryom ekonomicznym wolno-handlowym czyli manczesterskim; w części drugiéj w dziwnie plastyczny sposób wyłożone są tam teorye Marxa o kapitale i pracy.

Po zimie przebytéj w tak ciężkich warunkach, Lassalle wyczerpany prawie na siłach, z nerwami choremi do takiego stopnia, że spać już zupełnie nie mógł i codzień zrana po bezsennéj nocy wstawał

z gorączką, zapragnął odświeżyć się i pocieszyć się nowémi tryumfami, wybrał się więc znowu do prowincyj nadreńskich. Tam w miasteczkach fabrycznych powtórzyły się znowu sceny przeszłéj jesieni piękniejsze jeszcze, przy pogodzie majowéj, niezmiernéj mocy kwiatów, któremi go wszędzie zarzucono, z entuzyastycznym udziałem kobiét w owacyach na publicznych gościńcach wyprawianych, z bramami tryumfalnemi, iluminacyami, podawaniem dzieci do błogosławienia, i wszystkiemi oznakami uwielbienia, których lud prosty nie szczędzi swoim ulubieńcom. Trzeba było czemś za to odpłacić. Charakter Lassalla musiał się bardzo zmienić w ciągu tych gorączkowych usiłowań około zbudowania dla ludu lepszéj przyszłości, a dla siebie podstaw do sławy i znaczenia, bo kiedy przed rokiem proponowano mu aby w sprawozdaniach podwajać liczbę stowarzyszonych odpowiedział na to wspaniale: „nam kłamać nie godzi się“—teraz zaś, korzystając z tego że niedawno król pruski przyjmował uprzejmie deputacyą tkaczów ze Szląska i przyrzekł im zaopiekować się nimi i dostarczyć im pieniędzy na założenie warsztatu, kiedy wszystkim było wiadomo, że deputacya i przyjęcie i obietnica były urządzone przez ministra w celu zagrożenia postępowcom; daléj korzystając z tego, że Biskup Ketteler, w niedawno wydanéj broszurze, jemu Lassallowi przyznawał słuszność w sporze jego z Szulce-Delitzsch'em, niewahał się trybun wypowiedzieć zgromadzonemu ludowi, że sprawa jego tak dalece jest pewną tryumfu iż już obecnie może liczyć na poparcie i opiekę tronu i ołtarza. Po tym tryumfalnym pochodzie, musiał stanąć przed sądem w Düsseldorfie, gdzie skazany był na pół roku więzienia, założył apelacyą od wyroku i odjechał na kuracyą do Rigi Kaltbad. Tam musiał jeszcze napisać grubą broszurę przeciwko Valteichowi, ażeby się go pozbyć ze związku. „Dziwny los człowieka genialnego“—powiada historyk demokracyi socyalnéj niemieckiéj Mehring—„który rozpoczyna swój zawód wielkim dziełem o Heraklicie, ażeby go kończyć panfletem na szewca.“ Nazajutrz po odesłaniu rękopismu do druku spotkał na Rigi pannę Dönniges, i rozpoczęła się plątać około niego intryga, która doprowadziła go do pojedynku i rany śmiertelnéj—zakończył życie w Genewie 29 sierpnia 1864 r.

W dniu śmierci Lassalla „ogólny związek robotników niemieckich“ liczył 4610 członków zapisanych w regestra w 31 miejscowościach, pomiędzy nimi było tylko dwóch ludzi, którzy siłą ducha, nauką i talentem mogli równać się z przywódcami innych partyj, byli-to Jan Szwejtzer i Wilhelm Liebknecht; żaden jednak nie objął sukcesyi po mistrzu i dopiero znacznie póżniéj dostały się im stanowiska

naczelne, ale w dwóch przeciwnych sobie i nieprzyjaznych odłamach stronnictwa.

Na tém się skończył akt pierwszy ruchu socyalistycznego wśród ludności niemieckiéj. Zaraz że, po kilku tygodniach rozpoczęła się akcya z drugiéj strony, z Londynu, pod wpływem i kierunkiem Karola Marxa, o wiele różna od agitacyi Lassalla.

Lassale wzywał pomocy rządu dla wyrobników, chciał z budżetu państwa czerpać środki, kóreby użyte w sposób właściwy usunęły przewagę kapitału nad pracą, spodziewał się, że proponowane przezeń spółki wytwórcze staną się najdogodniejszą formą produkcyi przemysłowéj, zapanują we wszystkich gałęziach stosunków ekonomicznych i wpłyną na wykształcenie się nowego gatunku własności, nie tak absolutnie osobistéj jak ją dzisiejsze prawo pojmuje i że się przez to otworzy droga dla własności zbiorowéj. Ale jakkolwiek teorye jego bardzo zbliżały się do komunizmu, nigdy jednak, w odezwach swych do robotników nie powoływał się na swoje teorye prawne, ani im mówił o zniesieniu prawa własności; o pomoc dla nich wołał do rządu istniejącego, specyalnie do rządu pruskiego, a w gorącym swym patryotyzmie chciał tego dokazać, aby przekształcenie stosunków społecznych, wedle jego pojęć o sprawiedliwości dokonane, dało rządowi pruskiemu w ręce siłę dziesięćkroć większą od siły armii regularnéj, i zabezpieczyło na zawsze wielkość narodu niemieckiego dając mu pierwszą rolę wśród ludów cywilizowanych. Był on socyalistą radykalnym, bo wywołując ruch w masach ludu chciał przez to zmusić rząd do wzięcia na siebie inicyatywy w przerabianiu porządku społecznego, do czego żaden rząd wedle pojęć prawa i nauk społecznych powołanym nie jest; ale to ustawiczne zachęcanie robotników aby trzymali się strony rządu i od niego wyglądali lepszéj przyszłości, było, wedle jego rozumienia rzeczy, gwarancyą porządku w przeprowadzeniu reform; jakoż nigdy nie doradzał gwałtu, nie nauczał że siłą pięści należy zburzyć istniejący stan rzeczy. W ciągu jednego z licznych procesów, w których obrony jego były zwykle nierównie gwałtowniejsze od przemówień do robotników, powiadał sędziom: „Czyż na to dwadzieścia lat życia poświęciłem nauce, czy na to we własnéj myśli przerobiłem cały proces rozwoju ludzkości w ciągu wieków, od filozofii starożytnéj i prawa rzymskiego do nowożytnéj ekonomii politycznéj przestudyowałem wszystko co myśl ludzką zajmowało, ażebym dzisiaj miał dawać w ręce proletaryatu pochodnię do rozpalenia pożaru, na to trzebaby być waryatem, a głupcy tylko mogą oto posądzać takiego jak ja człowieka.“ Rewolucyonista z natury, uznawał konieczność i żądał gorąco aby się wszystko w społeczeństwie zmieniło, ale od zarzutu nawoływania do rewolucyi

bronił się, twierdził że on jéj robić nie chce, ale ponieważ ona jest konieczną, więc przyjść musi. A jeżeli klasy rządzące nie potrafią przedsięwziąść w porę kroków stanowczych, opierając się na jasnych wskazówkach nauki i rozumu, nie zechcą z dobréj woli przystąpić do reform koniecznych i przezto zapewnić im wszystkie błogosławieństwa roboty spokojnéj, nadejdzie czas, którego nikt przewidzieć nie może, ale kiedy miara cierpień przewyższy cierpliwość ludu, rewolucya zjawi się sama z nożem i pochodnią i w wielkim kataklizmie pogrzebać może wszystkie najcenniejsze nabytki cywilizacyi.

Sam jeden chciał dźwignąć ciężar olbrzymi reformy społecznéj, mówił sam jeden a nikt prawie go nie rozumiał ani zwolennicy ani nieprzyjaciele, cały ogrom nauki, najpiękniejsze talenta człowieka publicznego, geniusz stylu i wymowy wszystko to nie dało mu powodzenia stałego. Przeciwnicy raczéj wyśmiewali go aniżeli rozbierali i krytykowali na seryo jego myśli i projekta, robotnicy zagłuszali go oklaskami, osypywali kwiatami, ale myśli jego rozumiéć nie mogli, bo po kilku chwilach uniesienia i zachwytu, wracali do stanu obojętności, pracując nad zadaną w fabryce robotą.

II.

W kilka tygodni po śmierci Lassalla d. 28 Września, w Londynie na meetingu w St. Martins Hall powstaje pierwsza myśl zawiązania „Stowarzyszenia robotników międzynarodowego“ owéj smutnéj sławy i pamięci „Międzynarodówki“, która przez lat blisko dziesięć była postrachem wszystkich rządów, wszystkich ludów Europy i Ameryki, a któréj ojcem rodzicielem, patronem i kierownikiem był Karol Marx.

Marx i Lassalle (1) mieli kilka cech zewnętrznych wspólnych— obadwaj byli pochodzenia Żydowskiego, obadwaj przyszli na świat w rodzinach zamożnych zajmujących w społeczeństwie stanowisko niezależne i poważane, obu trawiła nieustannie gorączka ambicyi, i oba byli obdarzeni pracowitością niepospolitą. Ale daléj nie szły te podobieństwa; Marx przewyższa Lassalla niezmiernie obszerną znajomością faktów życia ekonomicznego, konsekwentniejszy jest w rozumowaniu i pojmowaniu życia, nie ma w naturze swéj tych sprzeczności, któreśmy widzieli w Lassallu, ten zaś o wiele był wyższym

(1) Charakterystykę niektórych głównych działaczy podajemy wedle wyżéj wskazanéj książki Mehringa, używając niekiedy własnych jego wyrazów.

świetnémi talentami, instynktem organizatorskim i zdolnością do trafnych poglądów politycznych. Lassalle skłonny do popędów najszlachetniejszych, do zapału, ożywiony silném poczuciem patryotyzmu, w błędach swych i wybrykach demagogicznych wzbudza sympatyą, tyle w nim czuć zawsze ognia i życia. Marx zawsze oblicza, grzebie się w cyfrach, swobodnie oddycha tylko w sferach abstrakcyi, usiłuje oderwać ludzi od wiążącego ich z ziemią uczucia narodowości, a kosmopolitzm zdaje się być dla niego jedynie życiodajną atmosferą, w proklamacyach swych zaostrza zimne i zatrute antytezy, nie zapala ludzi ale ich jednych przeciw drugim podjudza. Lassalle gwałtowny, namiętny, nieoględny, zuchwały, często grubijański, wrzał gniewem dzikim, ale był to gniew ludzki; Marx w polemice swéj spokojny, ale czuć w nim małostkowość, skryte plany i chęci i wstrętną naturę podstępnego działacza,—mówi to tylko czego mu w danéj chwili potrzeba. Poświęcił on całe swe życie i wszystkie siły naukowemu uzasadnieniu teoryi komunizmu, w najbogatszéj bibliotece świata w Britisch Museum, pracuje już od lat trzydziestu, przestudyował tam cały niezmierny materyał ekonomiczny, dokumenta życia narodu Angielskiego z lat kilkuset, i wszystko to musi mu służyć jako dowód: że jedynie gwałt i siła mogą światem rządzić. Publicznie odzywał się bardzo rzadko, plany swe układał przy pomocy niewielu współpracowników, tłómaczył je w zamkniętych komitetach, dzieła jego naukowe tak są przepełnione niezrozumiałémi wyrazami heglowskiéj dyalektyki, że czytać je a tém bardziéj rozumiéć mało kto może, dlatego osobistość jego dotychczas bardzo mało znana, chociaż imię jego od lat dwudziestu służy za sztandar tym wszystkim, którzy się porywają do obalenia istniejącego porządku. Powiadają, że najtrafniejszą charakterystykę jego skreślił jeden z jego wielbicieli i stronników, emigrant pruski, były porucznik Techów. „Zrobił na mnie wrażenie—powiada on—nietylko umysłowéj potęgi pierwszego rzędu, ale i osobistości znaczącéj. Jemu jednemu pomiędzy nami można przyznać, że biegłym jest w sztuce panowania: wśród ważnych okoliczności, niezapominając o szczegółach, nie zgubi się nigdy w ich chaosie. Dla celów i prac naszych wielka szkoda, że człowiek ten przy tak wzniosłym umyśle nie ma serca szlachetnego, jestem przekonany, że ambicya osobista, do niebezpiecznego stopnia rozwinięta, wyniszczyła w nim wszystko co być mogło dobrego w jego naturze. Drwi on sobie w duchu z prostaczków, którzy za nim powtarzają jego katechizm proletaryusza, drwi tak samo z komunistów naiwnéj wiary jak i z mieszczaństwa, które się go lęka. Szanuje jednych tylko arystokratów, i to prawdziwych, którzy z pełną świadomością i mocnym przekonaniem rolę swą odegrywają umiejętnie;

żeby ich usunąć od panowania i władzy, potrzebuje siły, którąby mu była posłuszną, znajduje ją w proletaryacie, dla tego systemat swój cały przystosował ku wywyższeniu proletaryatu. Pomimo ciągłych z jego strony protestacyj, z obcowania z nim wyniosłem przeświadczenie, że ostatecznym celem wszystkich jego robót i usiłowań jest osobiste jego panowanie."

Międzynarodówki, jako stowarzyszenia, nigdy rządy w Niemczech nie uznawały, jednakże zasady tego stowarzyszenia, t. j. cała nauka Marxa, zaraz że zaczęła krzewić się na ziemi niemieckiéj, lat dziesięć ścierały się te opinije z tradycyą pozostawioną przez Lassalla, aż w r. 1875 odniosły tryumf zupełny i dzisiaj stanowią treść myśli i dążności zarówno jak i program działania partyi demokracyi socyalnéj, dlatego musimy, chociażby w najkrótszym zarysie, przesunąć przed oczami czytelnika wspomnienie o powstaniu i życiu międzynarodówki.

W Anglii i we Francyi bardzo często słyszéć można opowiadania o niespokojném usposobieniu robotników fabrycznych, częste przesilenia przemysłowe w téj lub owéj gałęzi produkcyi, albo zmowy robotników i zawieszenie roboty w celu uzyskania wyższych zarobków tłómaczą to dostatecznie. Wojna amerykańska zrządziła wielkie zamieszanie w przemyśle tkackim, bo nagle zaczęło braknąć bawełny, nastały liczne bezrobocia, wywołujące poważne obawy o sam los przemysłu, że zaś polityka angielska była przyjaźniéj usposobiona dla południowych stanów Amerykańskich broniących niewoli, nie zabrakło więc agitatorów, którzy całą winę wojny zwalali na rząd angielski, a robotnicy pod wpływem tych wieści zaczęli czynniéj urządzać pomiędzy sobą stowarzyszenia ku wzajemnéj pomocy i podtrzymaniu wspólnych swych wobec fabrykantów interesów. W r. 1862 z inicyatywy Napoleona III na wystawę do Londynu przybyła deputacya robotników francuskich, była tam uprzejmie przyjmowana i fetowana, przy ucztach i naradach lubowano się w podnoszeniu wspólnych wszystkim robotnikom interesów, w omawianiu jednostajnéj ich we wszystkich krajach pozycyj. Potém przejazdy te deputacyj rozmaitych do Londynu francuzów, do Paryża anglików powtarzały się dość często, wmięszały w to kwestye polityki europejskiéj i Napoleon patrzał na to chętnie bo miał nadzieję, że w ten sposób będzie mógł oddziaływać na ministeryum Palmerstona, i usposobi go lepiéj dla swych planów. Nie domyślano się wtedy, że Marx oddawna zamieszkały w Londynie, już wpływami swemi otoczył te zjazdy i narady. Zwołano meting do St. Martins Hall na 28 września 1864 r., w celu podania petycyi Palmerstonowi w sprawie powstania polskiego, deputaci robotników francuskich

przybyli na ten meeting, gdzie po kilku przemowach wyrażających współczucie dla ówczesnego ruchu, agenci Marxa zainaugurowali dyskusyą nad smutnym stanem wyrobników na całym świecie i postawili wniosek: ażeby obmyślić środki działania wspólnemi siłami ku polepszeniu tego stanu; wniosek przyjęto, wyznaczono komisyą, któréj poruczono spisać program i statuta stowarzyszenia międzynarodowego dla opieki nad interesami robotników w Europie i Ameryce. W komisyi znalazło się kilku robotników angielskich i kilku członków innych narodowości, pomiędzy nimi za Niemcy zasiadł Marx.

Znalazłszy się w ten sposób na dawno pożądaném stanowisku, Marx musiał najprzód usunąć niebezpieczną konkurencyą. Niezaprzeczenie przewyższał on wszystkich kolegów swoich nauką, energią, bystrością umysłu i zdolnością do pracy, ale obok niego zasiadł Wolf, sekretarz Mazziniego, a Mazzini był powagą europejską wśród rewolucyonistów, niedawna zaś podróż Garibaldiego po Anglii zrobiła imię jego bardzo popularnym pomiędzy robotnikami angielskimi, jakoż do Mazziniego zwrócono się z prośbą o ułożenie planu działania; odpowiedział on prędko na wezwanie i podał plan ułożony w duchu silnéj centralizacyi, na wzór towarzystw tajnych, których kierownikiem był tak długie lata, wskazywał cele przeważnie polityczne, wyrażał się zaś nieprzyjaźnie nawet o walce pomiędzy klasami społeczeństwa. Nie było to po sercu wielu członkom komisyi, anglicy przedewszystkiém nie widzieli potrzeby działania politycznego a pragnęli pozostać w sferze interesów ekonomicznych, Marx skorzystał z tego usposobienia, zachęcał do opozycyi i krytyki, Mazzini urażony usunął się i cofnął swój plan, a cała robota przeszła w ręce Marxa.

Wystąpił on natychmiast z programatem, w którym powtarzał treść proklamacyi swojéj z roku 1847 i kończył go temiż samemi słowy: „Proletaryusze wszystkich krajów jednoczcie się." Wedle programu jego, przyczyną nędzy społecznéj, upośledzenia duchowego, podstawą i zasadą niewoli we wszystkich formach jakie ona w biegu dziejów przybierała od indyjskiego Pariasa do współczesnego proletaryusza, była i jest gospodarska bezwładność wyrobnika, zależność jego zupełna, a co zatém idzie i uleganie konieczne przywłaszczycielom środków i narzędzi do pracy, czyli samych źródeł życia. Więc emancypacya ekonomiczna wyrobnika jest najważniejszym i jedynym celem, któremu jako środek służyć musi każdy ruch polityczny. Przeprowadzić emancypacyą robotnika może tylko sam lud pracujący, a robić to powinien tém chętniéj, że podjęta przezeń w tym celu walka nie dobija się o żaden przywiléj, o żadne szczególne dla siebie prawa, a li tylko o zniesienie i zniszczenie raz na zawsze

panowania jakiejkolwiekbądź klasy, jakiegokolwiek przywileju. Wszystkie dotychczasowe w tym celu usiłowania bywały bezskuteczne z powodu braku jedności i solidarności pomiędzy robotnikami rozmaitych fachów i braku porozumienia pomiędzy klasami roboczémi krajów cywilizowanych. Wyzwolenie wyrobnika nie jest i być nie może zadaniem lokalném ani narodowém, ale zadaniem społeczném, rozwiązanie jego obchodzić musi zarówno wszystkie kraje, w których się rozwija społeczeństwo nowożytne, dokazać zaś tego mogą jedynie usiłowania zgodne i jednostajne robotników wszystkich krajów.

Program ten orzeka tylko zasady, dała się jednak z niego wyprowadzić cała ewangelia dzisiejszego komunizmu niemieckiego; poparty adresem inauguracyjnym powołującym się, chociaż fałszywie, na świadectwo samego Gladstone'a o wzrastającéj ciągle nędzy robotników, podobał się on komisyi londyńskiéj i był przez nią zaakceptowany w całości. Ogłoszony zaraz drukiem razem ze statutami stowarzyszenia wywołał w całéj Europie przerażenie, wskazał ludziom myślącym i tym wszystkim, którzy cokolwiek bądź posiadali, czemkolwiek bądź się rozporządzali, że zaprzeczono im prawa do posiadania i do zarządzania, że się znalazła jakaś siła nowa, która zabiera się do wystąpienia czynnego, że sile téj na imię liczba a wielkość jéj niewiadoma, że ona niesie ze sobą plany nieznanych dotychczas porządków, zamierza świat przekształcić.

Kongresy międzynarodówki zwoływane corocznie, składające się z przedstawicieli robotników wszystkich krajów, starały się uplastycznić te zasady, nadać im formę praktycznych przepisów i występowały z tém coraz to śmieléj coraz to dobitniéj; bo tutaj, jak w każdym ruchu, kto szedł najdaléj, na tego wszyscy musieli się oglądać i krok swój stosować do jego chodu. W r. 1866 uchwalono, że należy starać się osiągnąć władzę w państwach, znieść wojska stałe i podatki pośrednie i dążyć do wyzwolenia robotników. W r. 1867 uznano za słuszne, ażeby koleje żelazne i wszelkie środki obrotu handlowego przeszły na własność rządu, coby posłużyło do skruszenia monopolu kapitału, instytucyj zaś współdzielczych produkcyjnych nie należy uważać za doskonałą formę przemysłowéj roboty, bo one mogą wywołać formowanie się stanu piątego. W r. 1868 stają decyzye, że kopalnie węgla i metalów, ziemia uprawna, lasy, łąki etc. mają być własnością ogółu, eksploatowane będą przez stowarzyszenia robotników pod zwierzchnią administracyą rządu; wyrób w całości swojéj ma należéć do robotnika, renta, procent, zyski jako niesłuszne wymagania kapitału mają być zniesione raz nazawsze.

Po czterech latach swobodnych narad i dyskusyj okazało się, że Marxa można prześcignąć w podawaniu projektów. Bakunin, stary rewolucyonista z roku 1848 i 49, który przed kilku laty potrafił był z Syberyi zbiedz do Europy, nazwany późniéj apostołem zniszczenia, wtedy już zaprzeczył potrzebie istnienia jakiegobądź rządu, powstał nawet przeciwko moralnéj dyktaturze Marxa, założył osobne swoje „Aliance de la démocratie Socyaliste" i dał początek nowéj gałęzi roformatorów anarchistów. Odtąd ruch cały socyalistyczny dwoi się, kongresy rzadko kiedy dochodzą do konkluzij. W r. 1869 stanowią, że rada generalna międzynarodówki niema zarządzać stowarzyszeniem, lecz tylko pośredniczyć pomiędzy narodowościami, w każdym zaś kraju partya robotników t. j. demokracyi socyalnéj powinna dążyć do centralizowania się. Potém wojna r. 1870 na lat parę przerywa zbieranie się kongresów, a w roku 1872 na kongresie w Haadze, pomimo osobistego wystąpienia Marxa, międzynarodówka rozpada się ostatecznie, odwrót swój Marx maskuje wnioskiem przeniesienia rady generalnéj do Ameryki, na grunt do działania dogodniejszy, w r. 1873 odbywa się jeszcze kongres w Genewie, ale już w dwóch oddzielnych grupach, potém wszystko cichnie, ażeby jeszcze raz w roku 1877 odezwać się kongresem wszechświatowym, na którym uznano ostatecznie, że zgoda pomiędzy frakcyami jest niemożebną, że jednak powinny one szanować siebie nawzajem, nie przeszkadzać jedna drugiéj w działaniu, bo cel do którego dążą, ideał który im przyświeca jest w najogólniejszém znaczeniu wspólny.

Kongresy i uchwalone na nich wnioski podtrzymywały znaczenie międzynarodówki, nie tyle zapewne służąc do zjednoczenia usiłowań adeptów nowéj nauki, ile szerząc obawy i podejrzenia wśród wszystkich klas spokojnie pracującéj ludności. W istocie czemże była międzynarodówka. Zasady przez nią głoszone, upozorowane wymiarem sprawiedliwości dla słabych i ubogich zawsze były niejasne, a przynajmniéj o sformułowaniu ich w wyraźny artykuł prawa obowiązującego i do wykonania możebnego nikt nigdy nie myślał; ale sam sztandar wywieszony już miał znaczenie ogromne, służył on, jeśli się tak wyrazić wolno, za moralny punkt zborny, ku któremu kierowały się dążenia wszystkich niezadowolnionych ze swéj naświecie pozycyi i dlatego pragnących zmiany jakiejś ogólnéj w dzisiejszym porządku społecznym. Sztandar ów trzyma człowiek bardzo rozumny, sam nadewszystko władzy pragnący, nie cofający się przed niczém kiedy chodzi o szerzenie idej, które mu władzę dać mogą; zna się on doskonale na wszystkich środkach propagandy, wydaje coraz to nowe hasła, usiłuje wyzyskać każdy ruch malkontentów ispożytkować go na cele rewolucyjne, dlatego budzi usta-

wicznie niepokój w umysłach; myśli jego znajdują we wszystkich krajach śmiałych prozelitów, ale cele jego tak niezmiernie ogólne, tak powszechne, że akcya praktyczna być może tylko bardzo małą. Marx nie lęka się żadnych zarzutów, nie cofa się przed żadnym środkiem, któryby urok otaczający jego osobę i jego dzieło mógł powiększyć; głosi zuchwale, że on dostarcza pieniędzy wszystkim w całéj Europie robotnikom, którzy zmowy zawiązują i roboty odmawiają, chociaż bodaj nigdy najmniejszéj sumy udzielić im nie był w stanie; dowiedzionêm jest, że ani komuna paryska, ani rewolucye w miastach południowéj Hiszpanii nie były zgoła jego dziełem, a jednak głośno odpowiedzialność za to na się przyjmuje, dobija się o nią jako zaszczyt i przez to potęgę swoję w oczach nieprzyjaciół podnosi do wielkości olbrzymiéj.

Jako działanie praktyczne, jako konspiracya, przygotowanie do wybuchu i przewrotu społecznego, międzynarodówka nigdy zdaje się nie miała doniosłego znaczenia. Liczba jéj członków rzeczywistych nigdy nie była wielka, delegowani na kongresach mieli reprezentować setki tysięcy ludzi, jednakże pełnomocnictw od tych mas nie mieli nigdy, ani nawet wybierani byli przez kogokolwiek bądź, sami mianowali siebie delegatami, sami oznaczali liczbę swych mocodawców. W Haadze na jednym z ważniejszych kongresów, na którym Marx osobiście staczał walkę z opozycyą, widziano ludzi, którzy nigdy i nigdzie nie mieli żadnego znaczenia. Za Zürich wystąpił jeden z reporterów gazet berlińskich, który niewiadomo zkąd mandat wydostał, a znalazł się tam po to, ażeby wieści z kongresu przesyłać do feodalnych mieszczańskich gazet; za New-York stawał Hepner, młody żyd z poznańskiego; Berlin reprezentował Milke, drukarz, rzemieślnik cichy i skromny, nie mający żadnego znaczenia między towarzyszami. W r. 1870 kiedy międzynarodówka była u szczytu sławy i wpływów, Marx w liście pisanym do p. Bracke, kasyera organizacyi w Niemczech oznajmuje, że „finanse rady generalnéj stale trzymają się niżéj zera, wielkości ujemne rosną ustawicznie.“ Twierdzić więc wolno, że ani liczne szeregi utrzymywanych w porządku i karności stowarzyszonych, ani wielkie sumy pieniędzy nigdy nie stanowiły siły, na któréj międzynarodówka oprzećby mogła działanie, a że jedynym środkiem skutecznym utrzymującym pozornie jedność organizacyi, podającym hasła, wskazującym środki do agitowania, był niepospolity rozum samego Marxa i ślepa wiara, jaką w nim pokładali przywódcy ruchu w rozmaitych krajach. Kiedy téj wiary nie stało, kiedy Bakunin w imię anarchii, która obiecywała przewrót o wiele radykalniejszy aniżeli organizacya państwa przyszłości, a robotnicy rasy romańskiéj w imię nienawiści do nie-

mieckiego żyda, podnieśli sztandar opozycyi czynnéj przeciwko dyktaturze Marxa, rozwiała się potęga międzynarodówki, a zasady mistrza utrzymały się w jednych już tylko Niemczech. Zwolenników jednano im tam coraz więcéj i więcéj, tak, że wszystkie odcienia rewolucyjnego socyalizmu niemieckiego przyjęły je za *credo*, a na miejsce organizacyi i stowarzyszeń stanęło jedno stronnictwo demokracyi socyalnéj, z reprezentacyą w sejmie cesarstwa Niemieckiego.

Na to potrzeba było dziesięciu lat czasu.

A. Oskierka.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

IV.

Zdaje mi się, że zanim do opisu współczesnych wypadków przystąpię, nie od rzeczy będzie dać krótkie wyobrażenie o ówczesnych towarzystwach, zwyczajach, panujących mniemaniach i sportretować niektóre ważniejsze osoby.

Upadek Rzeczypospolitéj w końcu r. 1794 i ostateczny podział kraju wywarł wpływ niezmierny na stosunki towarzyskie. Wiadomo iż około r. 1792 wszystkie domy bankierów warszawskich, jako to Teppera, Kabryta, Scholtza, Prota Potockiego, Majznera, Łyszkiewicza ogłosiły swą niewypłacalność. Mówiono że z powodu wojny targowickiéj, kiedy Rosya wstrzymywała zaspokojenie likwidacyi Teppera za dostawy w wojnie tureckiéj, pociągnęło to upadek jego i innych bankierów. Niezawodnie, że wchodziło w rachubę Rosyi podkopywać i tak już upadającą budowę Rzeczypospolitéj, odejmując jéj tak potężny środek, jakim jest kredyt wewnątrz kraju. Ślady tego widać w korespondencyach o dwa lata późniejszych między posłem rosyjskim w Hollandyi a Sieversem. Sivers mianowicie żądał żeby wszelkiemi siłami przeszkadzać zaciągnięciu na rzecz Polski pożyczki w Hollandyi, która to suma mogłaby posłużyć na wzmocnienie siły zbrojnéj. Ale znajdujemy także dowody w tych korespondencyach, że w chwili upadku Teppera w kasie jego znajdowała się znaczna suma, bo przeszło trzy miliony złotych polskich, należących do Skarbu rosyjskiego. Sievers uważał je jako depozyt i żądał aby przed wszystkimi wierzycielami skarb Rosyjski był zaspokojony.

Lecz jakikolwiek był rzeczywisty powód upadku banków, to skutki bankructwa zadały cios wszystkim stosunkom majątkowym

obywateli. Bankierowie Warszawscy, dla zadosyćuczynienia potrzebom intendentury rosyjskiéj, zaciągali od prywatnych kapitały na 8, 9, a nawet i 10 od sta rocznego procentu. W ich ręku więc zebrały się wszystkie zasoby pieniężne kraju. Ci, którzy nie posiadali ziemi, czyli kapitaliści, pod tym ciosem ulegli od razu i wystawieni na długie likwidacye po długich latach oczekiwaia zaledwie $^1/_{20}$ część swego kapitału odzyskali. Niektórzy, mianowicie wierzyciele Prota Potockiego po latach 60 jeszcze rezultatu upadłości doczekać się nie mogą.

Kiedy do téj majątkowéj klęski dołączył się jeszcze wyjazd króla ze stolicy, rozproszenie się jego dworu i przecięte kraju granice trzema liniami komor międzynarodowych, podejrzenia i trudności w uzyskiwaniu pasportów, wszystko to oddziałało bardzo szkodliwie na stan miast i ich towarzyskie stosunki. Warszawa pierwsza ucierpiała niezmiernie. Owe pałace magnatów przedtém zbytkiem zaludnione stały pustkami, bo każdy z panów wolał na wsi trawić spokojne chwile, aniżeli plątać się w towarzystwo Niemców, skąpych, skrzętnych i z pogardą na krew słowiańską patrzących. Z murów zaczęły powoli tynki opadać, a bruki na dziedzińcu trawą zarastały. Bądź skutek to zmiennéj temperatury i nieregularnego jéj odświeżania, bądź brak codziennego starania o zachowanie miejsca, w którém się mieszka, pewną jest jednak rzeczą, że gmachy nie zamieszkałe prędko ruinie ulegają.

Kraków podobnego także doświadczał losu, ale inaczéj działo się we Lwowie i w Poznaniu.

Pierwsze z tych miast od r. 1772 w posiadaniu Austryi, pod łagodném panowaniem cesarzów Austryackich, zamiast upadać, wzrastać poczęło. Przeniesiono tu najwyższe sądy dla obu Galicyj, a gubernium tych dwóch prowincyj ściągało i obywateli i ludność, zresztą charakter władzy dwóch panów, choć z jednego pokolenia pochodzących, wcale był różny i zasady rządzenia nie jednakowe. Prusacy, swą cywilizacyą dumnie wnosząc do kraju nabytego, narzucali swe prawo cywilne i administracyjne i wyższością swą rzekomą uciskali owych *nieuków porządku* jak zwali Polaków, do urzędu ich nie dopuszczając. W Galicyi rzecz miała się inaczéj. Prócz gubernatorów, ludzi posiadających zaufanie rządu i rzeczywiście znakomitych, nie ustanowiono w sądownictwie urzędów, do administracyi zaś napędzono Niemców goliaszów, którzy niespodziewaną otrzymawszy karyerę, za główny swój obowiązek poczytywali w niczém się obywatelom nie narazić. Przyjmowali lada jaki datek, choćby połeć słoniny z wdzięcznością i sami interesa obywatelskie z uniżonością załatwiali. Galicyanie za boże stworzenie Niemców tych nie mieli.

Kiedy do cyrkułu Stanisławowskiego mianowany został kapitan, starosta cyrkularny i urząd objął, zapragnął przedstawić się pani Kossakowskiéj, z domu Potockiéj, kasztelanowéj Kamieńskiéj, która tu najobszerniejsze dobra posiadała. Jak się Jegomość nazywa?—zapytała ona Niemca na prezentacyi.

— Nagi—była odpowiedź.—Nie bój się, porośniesz kochanku odpowiedziała – wszyscy tu z tłómoczkiem na plecach przybywają a karetami odjeżdżają. Wkrótce nagim być przestaniesz.

W udziale rosyjskim podnosiło się Wilno, bo dzięki dobroczynnym Cesarza Aleksandra zamiarom, a za staraniem księcia Adama Czartoryskiego, zreformowano tam ową sprawiedliwie późniéj słynną akademią, obfitymi funduszami ją uposażywszy. Starano się o obsadzenie katedr znakomitościami krajowemi i zagranicznemi. Sławny Frank, ów Frank, który jak Hipokrates był podówczas wyrocznią, objął jedną z katedr medycyny. Groddek, dwaj Sniadeccy, że o innych przemilczę, także niepoślednim blaskiem świecili. Akademia ściągała młodzież ubogą i bogatą i razem także jéj rodziny.

Drugim punktem w obszernym tym udziale był Krzemieniec, także za łaską panującego, wskutek starań Tadeusza Czackiego i składek obywateli wołyńskich i podolskich powstały. Aczkolwiek nie posuwał nauk tak wysoko jak Wilno, wykłady jednak były tak gruntowne, że w szkole téj mnóstwo znakomitych talentów wykształcić się zdołało. Krzemieniec z lichéj mieściny podniósł się od razu i zaczął rywalizować z miastami celniejszémi, a siedlisko jego szczególnie jest obrane, gdyż leży ono w rozdole, między dwiema wysokiemi górami i całe przeważnie wybudowane na pochyłéj spadzistości. Sławny Bessel uczył tutaj botaniki.

Co do Poznania, miasto to zbliżone do granicy Prus i Niemcami znacznie zaludnione, zwiększało się ciągle przez napływ rozmaitych spekulantów, a choć pod względem towarzyskim, a szczególniéj czysto polskim, nie było znać postępu, jednak pod względami ekonomicznémi rozwinęło się znacznie.

W stosunkach takich dawne towarzyskie życie miejskie ustało Ci, którzy ponieśli ciężkie straty majątkowe przez bankructwa, osiedli na wsi celem dorabiania się chleba; ci zaś których fortuny potężne oparły się klęsce, także miast unikali, żeby tam nie spotykać się z Niemcami. Wskutek tego szlachta polska, dla któréj życie towarzyskie jest koniecznym istnienia warunkiem, siedziała ciągle na wózku, w odwiedzinach krewnych i przyjaciół przejeżdżając z jednego końca kraju na drugi. To nam tłómaczy także wiele okoliczności życia Puławskiego dworu i przesiadywania tu przez lata całe osób przybyłych z dalekich okolic.

Na ten termin także przypada napływ emigracyi francuzkiéj, która obficie rozlała się po Polsce. Było to czoło dawnéj elegancyi i arystokracyi dworu Ludwika XVI, tutaj wygnańcy bez majątku i sposobu do życia, doświadczali w domach obywatelskich gościnnego przyjęcia. Ludwik XVIII ówczesny tytularny ich król zamieszkiwał w Warszawie, a chociaż otrzymywał pieniężne wsparcia od dworu angielskiego i rosyjskiego, te nie były dostateczne, aby całe legjony emigracyi wspierać.

Mnóstwo Francuzów obojej płci, nie chcąc być nikomu ciężarem pełniło obowiązki guwernerów i guwernantek. Tak naprzykład przy pannie Mniszchównie guwernantką była dama orderowa pani Margrabina de La-Porte; tak znałem jako nauczyciela Hr. de Rochechouard, a wszak zresztą i Ludwik Filip Orleański był nauczycielem szwajcarskich chłopów.

Ta inwazya obcéj narodowości dwa szczególniéj sprowadziła skutki. Naprzód pewien rodzaj odrazy do rewolucyi francuzkiéj, któréj dobra strona nikła w umysłach na widok tych ofiar i pod wpływem opisywanych przez nich okrucieństw, które konwencya z zimną krwią popełniała. Powtóre w obyczajach towarzyskich została po nich pewna pamiątka. Nie powiem zaszczepienie grzeczności salonowéj, bo ta i bez nich już w wyższym nawet jak obecnie stopniu istniała, ale metoda prowadzenia konwersacyi, w któréj ani zajmując się polityką, ani szkalując i obmawiając sąsiadów zdołano utrzymywać ożywienie i interes.

Z emigracyi francuzkiéj dwie tylko znałem osoby, zamieszkałe w odległych punktach, które przez swe postępowanie stawały się rzeczywiście nieznośne. Chcę mówić o pani de Vauban i ks. Biskupie Laońskim z familii de Sabran. Ten ostatni osiadł w Łańcucie u księżnéj marszałkowéj Lubomirskiéj i swoją dumą, swémi wymaganiami stał się wszystkim niemiły, a dla księżnéj był prawdziwym ciężarem, który ona znosiła z istnie chrześciańską pokorą.

Co do hrabiny de Vauban, ta wraz z mężem znalazła przytułek Pod Blachą—tak zwano pałacyk księcia Józefa Poniatowskiego, obok Zamku w Warszawie się znajdujący. Kiedy Ludwik opuścił Warszawę i przeniósł się najprzód do Memla a późniéj do Edymburga i w słynnym Holy-Rood zamieszkał, hrabia de Vauban, potomek słynnego Vaubana udał się za nim, jako tytularny urzędnik jego dworu. Hrabina zaś pozostała w Warszawie i nie tylko opanowała Blachę, ale i całe towarzystwo warszawskie, nad którém z niesłychaną tyranią panowała aż do r. 1813, kiedy wejście Rosyan do Warszawy koniec jéj władzy położyło.

Czém ta pani zdołała ujarzmić księcia Józefa—doprawdy nie pojmuję. Nie była to miłość, boć do tego ani osoba ani wiek jéj nie były stosowne, a zresztą książę miał wyłączne przywiązanie do pani Czosnowskiéj, z domu Potockiéj, co całéj Warszawie nie było tajne. Pani de Vauban była brunetka z płcią śniadawą, południowym krajom właściwą, z pewnemi czarnemi centkami, rozrzuconemi po twarzy. Czy to były piegi, czy tylko takie znamiona drobniuchne, powiedzieć nie możem. Obok tego nosiła na twarzy ślady odbytéj ospy, co zresztą aż do czasów wynalazku Jannera bywało dość pospolite. Nerwowa w najwyższym stopniu a grymaśna jeszcze bardziéj, wiecznie leżała na szezlągu, brabanckiemi okryta koronkami, a w pokoju i zimą i latem utrzymywano zawsze temperaturę trebhauzową. Była zaś taka chuda, że skóra obciągała same tylko kości. Otóż pani ta tak owładnęła naszego bohatera, że ze szponów jéj aż do śmierci wyrwać się nie potrafił. Nie był panem ani swego domu, ani majątku, ani czasu, i nie mógł zaprosić do siebie, kogoby mu się podobało. Intraty jego pobierała, rozrządzała niemi, a bywać mu wolno było tylko tam, gdzie ona pozwoliła.

Co dziwniejsza, że nie tylko jego, ale i całą Warszawę trzymała pod ścisłą ferułą. U nikogo nigdy z wizytą nie była, a wymagała aby wszystkie damy jéj się prezentowały, jeśli do Warszawy przybędą. Te zaś, które stale tutaj mieszkały, musiały w dnie przyjęcia bywać w jéj cieplarni, lub zaraz nazajutrz usprawiedliwić się osobiście, a przynajmniéj listownie i wytłómaczyć powody swojéj nieobecności.

Warszawa po insurrekcyi kościuszkowskiéj stała lat kilka prawdziwemi pustkami i raz tylko ożywiła się, kiedy król pruski przybył odbierać *hommagium* i nakazał, aby obywatele stawili się na uroczystości i bale dworskie. Koło r. 1800 nabrała cokolwiek życia, kilka bowiem domów otworzyło swe gościnne podwoje. Książę Józef z Jabłonny na zimę tu zjeżdżał, Stanisław Potocki również z Olesina lub Wilanowa i Gutowski z Nowego Dworu, czyli Góry. Ci byli w istocie blizkimi miasta sąsiadami. Co do Stanisława Małachowskiego, ten dla podeszłego wieku stałe już tutaj schronienie sobie obrał, mając przy sobie krewną, księżniczkę Radziwiłłównę, a późniéj jéj męża Wincentego hrabiego Krasińskiego. Oprócz tego panie: Połoniecka, Świdzińska staruszka poważna i Sołtykowa miały swe salony otwarte.

Dopóki jeszcze legiony obok wojsk francuzkich wawrzynami nieśmiertelnémi skronie swe zdobiły, dopóki wojna trwała—promyk nadziei i zmiany tlił w sercach dobrze myślących. Utrzymywano w Paryżu agenta, którego dyrektoryat i ówczesne rządy półurzędow-

nie uznawały. Lecz po pokoju w Campo-Formio wszelka nadzieja zmiany losu upadła. Nie widząc żadnego jaśniejszego celu przed sobą, postanowiono zająć się przynajmniéj zachowaniem języka i szerzeniu się giermanizmu opierać. Ta myśl dała początek Towarzystwu Przyjaciół Nauk i pobudziła do życia wydawnictwo Nowego Pamiętnika Warszawskiego.

W tym okresie pięcioletnim do r. 1800 cena domów i willi pod Warszawą bajecznie upadła. Powązki, owa cudna posiadłość księżnéj Izabeli Czartoryskiéj, na któréj upiększenie krocie włożono, sprzedana została za 40.000 złp. W r. 1810 były one własnością ojca JW. Łaszczyńskiego. Z kolegą, a jego synem pewnego ranka pojechaliśmy zwiedzić to ustronie dobrze mi znane z opisów, jakie moja matka, posiadająca tam własny domek, często mi czyniła. Prócz gęstego lasu i szczątków trzech kolumn Korynckiego porządku, nie znalazłem nic więcéj. Owe pałacyki, kanały, wyspy, dworki, które w Arkadyi pędzlem Norblina są oddane, trwalszą zostawiły pamiątkę Powązek niż samo miejsce, w którém teraz dominował pyszny browar piwny, nie małe Łaszczyńskiemu przynoszący zyski. Pałac Tarnowskich sprzedany został za 20.000 złp. za takąż cenę kupił Czarnecki dom z ogrodem, należący do Ordynatów Zamojskich, dziś urząd konsumcyjny. Cokolwiek lepiéj zachowaną była willa księżnéj Lubomirskiéj Mokotów, ale i ta tylko ruiną zwać się mogła, dopóki pani Wąsowiczowa odświeżania jéj nie powzięła zamiaru.

Mody wówczas, mimo wszelkie przeciw Francyi narzekania, mimo nieprzyjaźń rządów, które nad nami panowały, mimo téj silnéj emigracyi, która stanowiła znakomitą część salonowego towarzystwa wciskały się wprost z Paryża do warszawskich komnat. Zaniechano nosić puder i tapirować fryzury; harcapy ustępowały krótko obciętym włosom, a tuniki greckie zdobiły niewieście kibicie. Pani Bronikowska, która elegantkom przewodniczyła, ukazała się raz na balu bez pończoch i trzewików *en brodequins*, a nóżka jéj zgrabna nie lękała się téj wystawy. Inną razą wystąpiła bez koszuli w tunice greckiéj. Lecz mimo całą powagę jaką zdobyła, prowadząc rej w modach, naśladowców, a właściwie naśladowniczek nie znalazła.

Z mężczyzn na czele elegancyi stał książę Józef. Wprowadził on w modę, tak nazwany mundur Jabłonny. Był to frak jasno-zielony z guzikami złotemi, na których wyobrażany był koń rasy angielskiéj, upstrzony małemi jasnemi gwiazdkami.

Do elegantów także należał Wincenty Krasiński, młodzieniec przystojny, żywy i dowcipny. Ten z pułkownikiem Molskim miał pojedynek o jakieś wiersze i wyniósł z niego poprzeczną kresę, która kształtny jego nos orli oszpeciła. Daléj odznaczał się między mło-

dzieżą Paweł Bieliński, miły, wesoły, obdarzony żywym i śmiałym dowcipem. Raz na wieczorze u pani Aleksandrowéj Potockiéj, Tyszkiewiczównéj z domu, siostrzenicy królewskiéj, późniéj panią Wąsowiczową zwanéj, bona na ręku przyniosła małego Gucia, dzisiejszego Augusta Potockiego (nie żyjący już właściciel Wilanowa). Pani ta rozumem i uprzejmością celowała, ale dowcip sarkastyczny posiadała na równi. Na wieczorach swych naśladowała p. de Maintenon i tak jak u niéj kolacyą późno podawano. Otóż hrabina wskazując na dzieciaka, rzekła do Bielińskiego—*Tenez Mr Bieliński, admirez mon Gustave.*—Ach pani, odpowiedział, wzdychając głębobo,—Gustaw, ale nie Waza. Niestety ceniony powszechnie Bieliński nie doczekał się zorzy odrodzenia politycznego, bo zgasł bardzo wcześnie.

Nakoniec koło przywódzców elegancyi męzkiéj warszawskiéj zamykali dwaj bracia Górscy i Zawisza, którego zwano w Puławach Czarnym, bo rzeczywiście z téj rodziny pochodził.

Towarzystwo w Krakowie jeszcze mniéj było świetne. Ograniczało się na kilku familiach jak Wielopolskich, Wodzickich, którzy ścisłą etykietę przestrzegali, z Niemcami się nie łączyli, ale téż i nudzili się uczciwie.

Lwów inną miał barwę. Gubernatorowie trzymali tu dom otwarty i nadawali ton towarzystwu. Oprócz tego stale tu mieszkał magnat polski, pisarz korony Kazimierz Rzewuski. Ten aczkolwiek piątego dochodził krzyżyka, zawsze w obejściu, stroju i obyczajach pozował na młodzika, a przez swój majątek i stosunki silny wpływ wywierał na towarzystwo. Daléj domy Starzyńskich, Korduli Potockiéj, Łosiów, Tarnowskich były zawsze dla gości otwarte. Adjutantami pana pisarza wówczas byli: półkownik Czyż, piękną galeryą obrazów posiadający, w któréj widziałem cudownego Murilla, i Raczkowski kapitan, amator muzyki, ładnie na skrzypcach grający, który wykradł podobno swą żonę, ładną brunetkę, dzisiejszą panią Dobkową.

Na czele familii Łosiów stał wojewoda Łoś, oryginał w guście angielskim. Miał on na dziedzińcu swoim trzy bramy—jedna senatorska, druga szlachecka, trzecia dla pospolitego ludu. Odźwierni pilnowali, aby nikt nie ważył się niewłaściwą bramą wjechać lub wejść na dziedziniec. Kiedy generał Orłowski po rewolucyi przybył do Lwowa i był u niego z wizytą, wojewoda zapytał go:

— I cóż generale?... cóż tam o Turkach słychać w Kamieńcu? Orłowski przed Targowicą był komendantem kamienieckiéj fortecy. Był on na jedno oko ślepy i w powiece tego oka miał jakieś konwulsyjne drganie. Nadto mało mówił i co moment odchrząkiwał, bo mu kiedyś w gardle polip wyrósł, który mu operowano.

— Panie Wojewodo, odrzekł, ja już od lat sześciu w Kamieńcu nie byłem. Rosyanie go zajęli i są z Turkami w pokoju.

— A cóżeść Waść zrobił jenerale, żeś Kamieniec opuścił. Wszak to forteca!

— Panu wojewodzie przecież nie tajno, mówił zdziwiony Orłowski—jakie były wypadki—Rozbiór kraju...

— Ach czyż można takim bredniom dać wiarę—przerwał Łoś żywo—to koncepta gazeciarskie. I mnie wprawdzie coś o tém gadano, ale *Deus me avertet*, żebym podobnym głupim pogłoskom miał wierzyć.

Jan Amor hrabia Tarnowski, ożeniony z Ustrzycką prowadził dom bardzo ożywiony. Jeszcze był podówczas Markuszewa nie nabył, w którym popioły jego spoczęły.

W Poznaniu nie było innych towarzystw jak tylko niemieckie, w Wilnie sawanci i młodzież akademicka, a w Krzemieńcu oprócz uczonych i młodzieży, towarzystwo wyższe. O tych jednak miastach dużo szczegółów podają drukowane książki, a tém więcéj, że w życiu tych okolic nie uczestniczyłem, nie chcę o nich opowiadać.

Głównie jak już wspominałem życie towarzyskie koncentrowało się na wsi, a opisując zwyczaje Puławskie co nie tak prędko się jeszcze wyczerpnie, sądzę że dam charakterystykę tego sposobu życia najlepszą.

Żeby nie powtarzać ciągle szczegółów o osobach biorących w niém udział, wyliczę tu od razu najznakomitszych i najczęstszych gości.

Z ministrów szczególnie trzech często się tu spotykało. Ignacego Potockiego, podskarbiego Kossowskiego i biskupa Skarszewskiego.

Ignacy Potocki był wzrostu wysokiego, włosy nosił zaczesane z czoła w tył głowy, pudrowane i z harcapem. Twarz zwykle wesoła, nos prosty cokolwiek przygruby, oczy niebieskie—łagodne. Mimo że cierpiał na pedagrę zawsze się nosił w pończochach i trzewikach, a krótkie spodnie i kamizelka były aksamitne czarne, frak zaś zawsze niebieski. Syn Eustachego Potockiego, generała artyleryi, który w Radzyniu mieszkał, miał czterech braci: Stanisława, dziada pana Augusta, Jana, który poślubił Rożniecką, matkę generała Rożnieckiego i pani Władysławowéj Tarnowskiéj, Jan z żony téj miał jedyną córkę Laurę, wydaną za mąż za Stanisława Tarnowskiego, dziedzica Tarnoskały, Egipcyaninem zwanego. Dwaj inni bracia: Kajetan, Starosta Dymirski i Jerzy, starosta tłomacki.

Ignacy i Stanisław Potoccy poślubili dwie siostry księżniczki Lubomirskie, córki księżnéj marszałkowéj, siostry Adama księcia

Czartoryskiego. Żona Ignacego wcześnie zmarła, zostawiwszy jedyną córkę Krystynę, która także na suchoty, zdaje mi się w roku 1800 zakończyła życie.

Ignacy w spadku po rodzicach dostał Kurów, Klementowice, Michów i Świdry z przyległościami. Posagu po żonie nie wziął, procent tylko dopóki żyła pobierał. Po jéj zgonie zaś, nie wiem jakie były przyczyny, że księżna Marszałkowa zięcia i wnuczki nie lubiła ale to pewna, że na kłopoty majątkowe Ignacego Potockiego żadnego nie miała względu i nigdy, pomimo ogromnych bogactw swoich z pomocą mu nie przyszła.

Drugiéj córce, żonie pana Stanisława, który w dziale po ojcu dostał Biłgoraj, była przychylniejszą i za życia jéj oddała klucze: Satanowski na podolu, Opatowski w Sandomierskiém, i piękny Wilanów z Nieporętem pod Warszawą.

Jan Potocki dostał po rodzicach Radzyń i Serniki. Żona jego utracyusz i fantastyczka, sypiąc kopce aby zasłonić kościół Sernicki, by go z domu nie było widać i wyprawiając inne dziwactwa, tak straciła majątek że pan Jan z córką utrzymywał się z łaski Ignacego, który prócz dzierżawy Klemontowic nic więcéj nie posiadał.

Dwaj pozostali bracia, starostowie Dymirski i Tłomacki także swe schedy stracili doszczętnie. Jeden zszedł bezpotomnie, drugi zostawił syna Ludwika, którego znałem i który zginął w pojedynku na Węgrzech.

Pan Ignacy Potocki nigdy o polityce nie rozmawiał i chociaż tyle razy w życiu go widywałem, bo kiedy i my w Bronicach mieszkali, przez całe lata codziennie albo on był w Bronicach, albo my w Klementowicach, albo razem w Puławach, a mimo to nic od niego w tym względzie nie słyszałem. A jednak o sejmie czteroletnim i insurrekcyi Kościuszki był w stanie dużo powiedzieć. Jedyném wspomnieniem z przeszłości, dotykaném tylko wtedy kiedy z Julianem Niemcewiczem się widywał, były opowiadania o niewoli w Petersburgu.

Humoru był zawsze wesołego i to w rodzaju buffona. Zadawalniał się żartami z mniemanego poety, szlachcica Szabrańskiego z Łokowskiéj ziemi, dla którego wiersze pisywał i jemu za własne czytywać kazał, z ekonoma pijaka Tarczyńskiego i innych służących swoich. Im który więcéj głupotą celował, tém on bardziéj z niego był kontent i szczęśliwy. Latały posłańce do Puław, Bronic i do Gutakowa, do starosty Łukowskiego, z doniesieniem, że Tarczyński w czasie wichru, bojąc się aby stara i pochylona stodoła w Klementowicach się nie obaliła, kazał pańszczyźnie plecami ją podpierać, na wzór karyatyd. Lecz największe było szczęście, kiedy Szabrański własnym konceptem ruszywszy, wiersze jakieś skleił i Potocki wtedy

i szczery jego przyjaciel Niemcewicz byli zachwyceni. W tym względzie miał pan Ignacy jakieś dziwne podobieństwo z bratem swym Stanisławem, który znowu w poezyach Bielawskiego szczególnie gustował.

Na strychu w Klementowicach znalazłem dwa tomy dziennika Szabrańskiego, lecz pan Niemcewicz tyle o tę bazgraninę konkurował, że mu ją darowałem. Przeglądając te szpargały przekonałem się, że Szabrański nie był tak głupi jak o nim sądzono. W piśmie owém, gdzie codzienne czyny swoje zamieszczał, dobre figle i Potockiemu i Niemcewiczowi płatał, a kiedy raz recytował jakieś niedorzeczne wiersze, napisane przez Niemcewicza, w dzienniku swym zapisał taką uwagę: oni myślą, że ja się nie znam, iż w wierszydłach tych niema sensu, ale udaję, że je chętnie biorę za swoje, bo widzę, że ich to bawi, a mnie o chleb chodzi.

Lubił p. marszałek Potocki grywać w karty i najczęściéj grywał w lombra ze starostą Dłuskim, moim ojcem, lub Skowrońskim. W tenczas ożywiony bywał niezmiernie i strzały rozmaitych dowcipów sypały się nieustannie. Partya prawie zawsze kończyła się faraonem. Przy obiedzie nie pijał ani piwa, ani wody, tylko lekkie francuskie czerwone wino, nigdy więcéj jak jednę butelkę.

Wówczas kiedy go poznać mogłem, już jego polityczna karyera była skończona, a kiedy w r. 1809 imieniem Galicyan z Matuszewiczem i Miączyńskim wysłani zostali do Wiednia dla widzenia się z Napoleonem, wkrótce po przybyciu tam dostał dysenteryi, na którą równie jak i Miączyński tamże umarł. Pochowany w Wilanowie.

Urodził się on r. 1750. Nauki wraz z bratem Stanisławem odbył u księży Pijarów w Warszawie, za rektorstwa Konarskiego. Kończył je w Rzymie, może dlatego, że w początku był projekt, aby go przeznaczyć do stanu duchownego. Będąc tam nosił się nawet w stroju *Abbé*, składającym się z kapelusza stosowanego lub z dużém, rozpuszczoném rondem, z fraka i całego ubrania czarnego i z mantynowanego płaszczyka, zawieszonego na plecach. Z Włoch wrócił do ojczyzny mając lat 24 i zdolności jego natychmiast spożytkowano, umieszczając go w komisyi edukacyjnéj. W wolnych chwilach od zajęć urzędowych uprawiał literaturę. Przetłómaczył loikę *Condillaca* i przygotował ogromny rękopis, obejmujący znaczną część historyi literatury polskiéj. Co się stało z tym rękopisem i gdzie się on obecnie znajdować może, nie wiem, sądzę, że w bibliotece Wilanowskiéj, tam bowiem wiele dzieł z księgozbioru Ignacego widziałem. W téj także epoce sejmu delegacyjnego wszedł w związki małżeńskie z córką marszałkowéj Lubomirskiéj. Ta pani z małżeństwa z księciem Stanisławem, marszałkiem, miała tylko cztery córki.

Z tych dwie wyszło za dwóch braci generałowiczów, trzecia Julia za Jana Potockiego, krajczyca, słynnego w literaturze, a czwarta za hetmana Rzewuskiego.

Mianowany pisarzem wielkim W. ks. Litewskiego, zasiadał w radzie nieustającéj od r. 1778 jako tejże rady marszałek, a od 1780 do 1784 jako jéj członek. Od r. 1784 widzimy go także marszałkiem nadwornym w. ks. Litewskiego, którą to godność aż do upadku rzeczypospolitéj utrzymał. W 1788 mianowany został członkiem sądu sejmowego.

Po zgonie córki, gdy jeszcze nie znał synowicy swojéj pani Laury, ustąpił bratu i jego żonie całéj sukcesyi po pannie Krystynie, to jest to, co z fortuny Lubomirskich po dożywociu marszałkowéj pozostawało. Tranzakcya ta w Pożogu, w domu mego ojca zrobiona w dobréj myśli, najgorsze miała skutki.

P. marszałek niechcąc w Kurowie mieszkać, gdy dom w Klementowicach nie był jeszcze do jego przyjęcia z folwarku przerobiony i gdy w Puławach księstwa nie było, przez dwa albo trzy miesiące mieszkał u moich rodziców. Zjechali tamże i państwo Stanisławowie, a w zamiarze osłonięcia pozostałéj części majątku od wierzycieli, ustąpienie jego uzyskali. Wkrótce na wzór téj pierwszéj tranzakcyi nastąpiła i druga, dotycząca majątku w Augustowskiém, a wreszcie i trzecia, ustępująca kompetencyi za zwrócone przez księstwo Warszawskie starostwo Jurborskie. Tak wyzuwszy się z majątku na korzyść braci, otrzymał Klementowice w dożywocie i pensyi 10,000 złp. rocznie. Gdy pan Ignacy umarł przed księżną Lubomirską, państwo Stanisławowstwo żadnych jego długów, spadłych z licytacyi Kurowa płacić nie chcieli i dopiéro syn ich Aleksander, wyrokiem senatu został zmuszony do spłacania pewnéj ich części. Obecnie nawet toczy się ciekawy proces, z tą tranzakcyą związek mający o wypożyczenie częścią przez Ignacego Potockiego, częścią przez żonę Stanisława—Aleksandrę od ks. Adama Czartoryskiego 15,000 dukatów. Proces ten w r. 1856 przegrany przez Potockich został.

W Klementowicach zwykle Ignacy Potocki zamieszkiwał w lecie i wtedy Stanisław z żoną na mieszkanie do Olesina przybywał. Ksiądz Łapicki, pleban klementowiecki, kapelan Kościuszki, pod Maciejowicami ranny, należał do jego towarzystwa, równie jak brat Jan i synowica Laura.

Marszałek Potocki różnił się od brata swego Stanisława pod wielu względami. Był poważniejszy w mowie i o sobie nigdy nie wspominał, ani się nie chwalił. Ta sama różnica istniała w ich stylu i wymowie. Pan Stanisław mówił łatwo, płynnie i obficie; pan mar-

szałek był treściwy w wyrazach a nawet czasami zanadto lakoniczny, tak że trudno było, osobliwie wiersze pojąć od razu. Obadwaj utracili majątki osobiste, ale pan marszałek do mienia nie przywiązywał wagi. Portret jego bardzo podobny znajduje się w kościele w Kurowie.

Musiał podskarbi Roch Kossowski posiadać jakieś specyalne talenta i że je posiadał nie wątpię, bo inaczéj czyliżby mógł piastować tak ważny urząd jak podskarbstwo wielkie koronne w trudnym czasie sejmu czteroletniego i późniéj jeszcze przez lat cztery. Lecz w chwili, kiedy go poznałem był to prawdziwy automat: niski, łysy, z ogromnym cienkim harcapem, uszy miał niepospolitéj długości. Ręce sparaliżowane, zawsze milczący, jadł tylko i pił i w Puławach po kilka tygodni siedział. Dając ten niepochlebny obraz nie mam zamiaru jemu ubliżać i los tylko mieć chciał, żem go poznał w chwili kiedy uciśnięty chorobą, wielkiemi nieszczęściami kraju i zagrożony utratą fortuny chylił się ku upadkowi. Powszechny posiadał szacunek, poważano go i litowano się nad stanem jego zdrowia. Słyszałem, że dom jego w Bełżycach słynął z gościnności i uprzejmości, co w Lubelskiém nie było rzeczą łatwą, jeśli zważymy, że konkurować było potrzeba z takimi domami jak Czartoryskich w Puławach, Lubomirskich w Opolu, Sanguszków w Lubartowie. Żona jego uchodziła za cudną piękność, a córki w Paryżu wychowane, wkrótce po powrocie do kraju za mąż powychodziły, ale żyły bardzo krótko.

Przyjeżdżał tu także czasami i ksiądz Skarszewski, biskup chełmsko-lubelski, podkanclerzy za króla Stanisława. Ten, jak wiadomo, podczas insurekcyi Kościuszkowskiéj aresztowany, oskarżony i sądzony, uznany za winnego zdrady kraju, na utratę życia przez powieszenie został skazany. Za wstawieniem się nuncyusza przez naczelnika ułaskawiony został. Okazywał on wiele powagi, tak, że ze wszystkich prymasów, arcybiskupów i biskupów, jakich widziałem lub znałem, żaden nie umiał podobnie zachować godności, téj wielkiéj dostojności właściwéj. Obok tego był to człowiek bardzo pracowity. Kiedym późniéj był urzędnikiem w prefekturze lubelskiéj, częste z nim zachodziły stosunki, a wszystkie ważniejsze ekspedycye jego własną pisane były ręką. Z biskupstwa, senatoryi i ministerstwa skazany był na szubienicę, a od téj zwolniony na końcu życia był arcybiskupem. Tak to koło fortuny wynosi do szczytu, strąca, pogrąża, wydobywa na wierzch i znowu do góry podnosi. Ogólnie zawsze był bardzo małomówny.

Ciekawem było dla badawczego oka widzieć u jednego stolika marszałka Potockiego, który jako dusza rządu Narodowego za Kościuszki, łącznie z Kołłątajem oddawali pod sąd biskupa, siedzącego

obok Skarszewskiego. Na rysach obu dostrzedz się nie dawała żadna zmiana. Biskup z powagi swéj i dumy surowéj nic nie tracił i żadnego nieukontentowania nie okazywał; marszałek jak zawsze był jowialny. Zdawało się że oba wychylili kubek napoju z rzeki Lety i o całéj przeszłości zapomnieli.

Po zgonie Kościuszki, kiedy jego zwłoki do Polski sprowadzono, odbywały się solenne nabożeństwa w większych miastach kraju. W Lublinie celebrował JW. biskup Skarszewski. Był wówczas sekretarzem Rady departamentowéj niejaki Iwaszkiewicz, trochę poeta i wogóle człowiek dość zdolny i do wymowy szczególną posiadający wenę. Obiecywał on sobie ciągle, że z improwizacyą wystąpi na pochwałę naczelnika. Władze cywilne lękając się zbytniego uniesienia Iwaszkiewicza zakazały mu uczestnictwa w tym żałobnym obchodzie. Los jednak zrządził inaczéj, i kiedy biskup zasiadł na krześle, żeby wysłuchać mowy, do wygłoszenia któréj duchowny się zabierał, — Iwaszkiewicz, któremu zabronienie to spokoju nie dawało, wskakuje na stopnie katafalku i mocnym głosem a poetycznémi okresami zaczyna swą improwizacyą. Sypią się obficie z ust jego pochwały Kościuszki, a kiedy słuchacze admirują mówcę, on mówiąc o miłosierdziu naczelnika, taki zwrot czyni do biskupa: „I któż snadniéj jak ty, jaśnie wielmożny celebrujący przyświadczyć może o miłosierdziu serca nieodżałowanego Tadeusza Kościuszki, kiedy stojąc pod szubienicą, z zarzuconym na szyję powrozem otrzymałeś wspaniałomyślnie jego przebaczenie?"

Daléj mówić nie zdołał, bo żandarmi ściągnęli go ze stopni katafalka. Biskup okrył się naprzód śmiertelną bladością, potém stał się jak purpura i otaczający myśleli, że apopleksyą tknięty zostanie.

Pojawiał się także czasami w Puławach w téj epoce Modzelewski, komandor Maltański, targowiczanin i członek Rady nieustającéj. Źle był jednak widziany, przyjmowano go zimno i nic szczególnego nie okazywał ani w dowcipie, ani w zdolnościach.

Późniéj miewałem często sposobność widzenia, słyszenia i obserwowania Stanisława Małachowskiego, marszałka Raczyńskiego, księcia Michała Radziwiłła, wojewodę wileńskiego i Ferdynanda Moszyńskiego. W dalszém opowiadaniu częste wzmianki o nich się znajdują. Tu ogólnie tylko nadmieniam, ze wszystkich ludzi, piastujących wysokie urzędy cywilne za Stanisława Augusta, a których znałem, trzech tylko prawdziwemi odznaczało się zdolnościami: Ignacy Potocki, Moszyński i Skarszewski.

Z poetów i literatów ci którzy stale przemieszkiwali, byli: Ernest Groddek, gdańszczanin, hellenista pierwszego rzędu, autor dzieł uczonych: „O grach i igrzyskach greckich" i „Historyi literatury gre-

ckiéj. Był on przez długi czas bibliotekarzem księgozbioru Puławskiego. Ułomny był i chociaż wielce rozumny, dowcipem nie celował. Zapalonym był szachistą i cały czas, który mu od nauk wolny pozostał, szachom poświęcał. Zwykle w szlafroku aż do 1-éj godziny pijąc zwolna jednę filiżankę kawy i paląc fajkę, obok foliałów trawił. Z nim czytywałem komentarze Cezara, w greczyznie zaś podczas pobytu swojego w Puławach jednego tylko ucznia Bobowskiego wykształcił, wszyscy inni zaś mało postępów uczynili. Za utworzeniem Akademii wileńskiéj w r. 1804 tamże na profesora powołany był parę razy dziekanem i ciągle bibliotekarzem i tam umarł 1825 roku.

Franciszek Karpiński był czas jakiś w liczbie mentorów księcia Dominika Radziwiłła. Niski, krępy, nos miał pałkowaty i włosy niepudrowane z wielką księcia feldmarszałka zgryzotą—nosił. Uprzejmy i rzadkiéj słodyczy, w obejściu prostoduszny, nic w powierzchowności jego nie odkrywało ducha poetyckiego ani egzaltacyi zwykle wieszczom właściwéj. W Dykcyonarzu biograficznym wzmiankowano, że Karpiński z namowy króla Stanisława przyjął guwernerstwo przy księciu Dominiku Radziwille. Jest to nieprawda. Król już nie żył od lat kilku, kiedy Karpiński do nauki księcia Radziwiłła był przyjęty. Pierwszy guwerner księcia był pan Winnicki, który go do Puław ze Lwowa przywiózł. Po nim nastąpił Karpiński, nie więcéj jednak jak rok trudnił się tym obowiązkiem, książę Radziwiłł był bowiem swawolny a spokojność lubiący Karpiński nie umiłował sobie téj funkcyi. Osiadł na wsi po opuszczeniu tego obowiązku, tam gospodarował i w Puławach nie pokazywał się więcéj. Karpiński nie był owym salonowym meteorem, który uwagę całego towarzystwa na siebie zwraca i swą rozmową zajmuje. Aczkolwiek wesoły i wcale nie elegijny i smętny nie wdawał się w ogólne rozmowy, nie okazywał się ani z rodzaju specyalnych sawantów, ani wszystkowiedzów encyklopedystów. Dwie rzeczy zajmowały go najwięcéj: wiejskość i poezya. Najsprawiedliwiéj ocenia go Brodziński w mowie pochwalnéj, w byłem Towarzystwie przyjaciół Nauk mianéj. Ale i Brodziński zdaje się nie miał materyałów pewnych do jego życia. Zapewnia także, że król Stanisław z opiekunem księcia Dominika, księciem Maciejem Radziwiłłem na nauczyciela młodzieńcowi Karpińskiego wybrali, i że poprzednio Karpiński był mentorem ks. Romana Sanguszki. Ja z pewnością twierdzić mogę, że Karpiński przy księciu Dominiku od 1802 do 1804 r. zostawał. Łączyła mnie ścisła przyjaźń z księciem i w jego apartamencie, w oficynie ogrodowéj na dole, nie jednę chwilę pod okiem Karpińskiego przepędziłem. Mam nawet listy tego ostatniego, pisywane do mnie wierszem.

Książę Maciéj Radziwiłł rzeczywiście pragnął zostać opiekunem nieletniego i z tego powodu z księciem Michałem, wojewodą wileńskim proces w trybunale lubelskim prowadził. Ale go przegrał i książę Michał przy opiece został utrzymany. W 1802 r. zaś król Stanisław August już nie żył. Zresztą Karpiński przed kilkunastu laty pełnił przy księciu Czartoryskim obowiązki sekretarza, był więc tyle znany, że żadnéj postronnéj rekomendacyi na guwernera nie potrzebował. Portret Karpińskiego, umieszczony w edycyi klasyków polskich bardzo mało ma podobieństwa. Włosy nawet inaczéj nosił, gładko uczesane i równo obcięte. Innego ubrania nie wdziewał, tylko koloru popielatego. Do najserdeczniejszych swoich przyjaciół zaliczał Zabłockiego i Kniaźnina, ale tego ostatniego w czasie jego słabości już nie widywał. Życie jego w dykcyonarzu biograficznym także o lat dziesięć przedłużane, umarł bowiem nie w 1835 jak tam podano, ale w 1825.

Ignacy Tański, ojciec pani Hoffmanowéj. Ten z całą familią dosyć długi czas spędził w Puławach. Naprzód księżna wzięła tu na wychowanie starszą jego córkę Aleksandrę, a w parę lat późniéj on sam z żoną, z domu Czempińską, z siostrą jéj panną Katarzyną i córką Klementyną tutaj przybył. Jak go poznałem był już siwy, dość nizki i gruby, rysy miał regularne, ale z pozoru nie wyglądał także na poetę. On to szczególnie dostarczał dla teatru puławskiego owych *pièces de circonstance*. Panna Katarzyna Czempińska, obdarzona rzadką pięknością, zaraz za przybyciem swém rozbudziła dwie pasye. Kazimierz Skowroński sekretarz i Jan Goltz, lekarz, uderzyli przed nią czołem. Ostatniego za męża wybrała.

Co do pani Hoffmanowéj, ta była jeszcze tak małém dzieckiem, że nawet do towarzystwa młodzieży należéć nie mogła. Jeżeli w pamiętnikach swych wiele o Puławach mówi, to zdaje się, musiało więcéj pochodzić z opowiadań siostry lub matki, aniżeli z własnych spostrzeżeń, wiele bowiem niedokładności w opisie jéj widzę. Panna Aleksandra Tańska wyszła za mecenasa Tarczewskiego.

Ignacy Tański życie swe więcéj polityce aniżeli poezyi poświęcał. Urodzony w r. 1761, pracował najpierwéj w departamencie policyi, pod laską Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego za czasów czteroletniego sejmu. Późniéj przydzielony do deputacyi indagacyjnéj, dotyczącéj dyzunitów, był w większéj części twórcą relacyi sejmowi podanéj, która z anneksami dwa tomy druku wynosi. Ztąd przeniesiony do kancelaryi wydziału interesów zagranicznych, pracował tamże aż do upadku kraju. Zgasł w młodym wieku, bo mając tylko lat czterdzieści cztery. Do Puław przybył i tutaj zamieszkał r. 1802. Poezye jego drukiem ogłoszone nie zamieszczą go

w rzędzie znamienitych piewców. Zdaje się że dopiero w Puławach obrawszy mieszkanie, zaczął probować sił swoich. Tu mu jednak nie dawano czasu, aby trudnił się taką pracą, jaką zamierzał. Jednę tylko komedyjkę z liczby pisanych dla teatru puławskiego drukiem ogłoszono, a dostarczał ich więcéj jak dziesięć rocznie, dlatego tłumaczenie Wirgiliusza i nie całe i niekompletne.

Jan Kruszyński poeta i literat, późniéj był sekretarzem generalnym w ministeryum skarbu. Ożenił się w Puławach z wychowanką pensyi pani Januszowskiéj, panną Barbarą Poświatowską. Pracował on szczególnie nad katalogiem historycznym zbiorów pamiątek polskich w Sybilli, których był czas niejaki zawiadowcą. Był wysoki, chudy, brunet, zézowaty na jedno oko, wesoły i dowcipny. Lubił namiętnie grę w szachy, ale zwyciężał przeciwników więcéj sarkastycznością, którą umiał pod rozmaitémi kształtami do téj gry stosować, jak świetnémi cugami. Kruszyński do Puław przez księcia Stanisława Jabłonowskiego wprowadzony został. Prac jego drukowanych nie znam, wyjąwszy te, które jako członek Towarzystwa przyjaciół nauk wydał, to jest tłómaczenie Atalii Rasyna i Od Łomonosowa. W Puławach w rękopisie znałem Brytannikusa, a myślę że i więcéj musiał z tragika francuskiego przełożyć. Zmarł jako referendarz w radzie stanu.

Rzadziéj, bo nie byli stałymi Puław mieszkańcami, lecz większą część roku w nich przepędzali:

Ksiądz Woronicz, proboszcz w Kazimierzu, późniéj w Powsinie, następnie radca stanu, biskup krakowski, w końcu arcybiskup prymas. Niski, więcéj otyły jak chudy, twarz pełna, smętna, rysy regularne, nos mały i kształtny. Napisał on na cześć Puław poemat, pod tytułem *Świątynia Sybilli*. Był zawsze wzdychający, narzekający i z losu niezadowolony. Kiedy był radcą stanu i brał 15,000 złp. pensyi, znajdował, że to za szczupła płaca na utrzymanie w Warszawie. Kiedy jako biskup krakowski miał dochodu do 60,009 złp. narzekał, że to nie wystarcza na prace Stachowicza, malującego freski w pałacu biskupim. Wymowa jego lepiéj w druku, jak w żywem słowie się wydawała, głos bowiem słaby i płaczliwy wszelki jéj urok odejmował, a zwykła przewlekłość efektowi uszczerbek przynosiła. Rozwaga, światło, wielkie zamiłowanie kraju i łagodność charakteru ogólny szacunek mu jednały.

Ksiądz Franciszek Zabłocki, proboszcz w Końskowoli, najznakomitszy wtedy nasz kanonik, wówczas już był zupełnie stetryczał, ale pisał mimo to komedye i tragedye. Płody te rozdawał pierwszemu lepszemu i wszystkie te późniejsze jego prace zaginęły. Był nizki, krępy, rumiany, z twarzą pełną i zwykle małomówiący. Nosił

perukę rudą, niepudrowaną, wielki przyjaciel Kniaźnina i Karpińskiego. Pierwiastkowo miał sobie powierzone obowiązki sekretarza komisyi edukacyjnéj. Śmierć małżonki skłoniła go do wstąpienia do stanu duchownego. W czasie, w którym to piszę, duchowieństwo nie tyle pobłażało teatrom, pisarzom teatralnym, a osobliwie aktorom. Ci ostatni, uważani jako jawnogrzesznicy, w stanie wyklęcia, nawet na cmentarzach chować ciała ich zakazano. Ksiądz Zabłocki czy dla uniknienia zgorszenia, czy że sam dzielił to przekonanie, dość że wszystko pisał w sekrecie i późniéj rękopisy podarował niejakiemu Grymbergowi, nauczycielowi języka niemieckiego w Puławach, którego bardzo lubił. Ksiądz Zabłocki w innym rodzaju nie tworzył wcale, tłómaczył tylko lub oryginalne sztuki pisał. Mimo to, że sam był ciągle smutny i prawie ciągle milczący, w ostatnich jednak drukiem nieogłoszonych utworach wiele było dowcipu i wesołości. Wielka szkoda że prace te zaginęły.

Generał Ludwik Kropiński—Ludgarda, tragedya pono jedynym jest jego do sławy poety tytułem, lecz tyle był z niéj dumny, że w jego przekonaniu Homer i Wirgili w kąt przed nim ustępować musieli. Zawsze nos do góry i mina gęsta, patrzał na świat cały z wysokości swojéj Ludgardy. W towarzystwie jednak nierównie był przyjemniejszy, jak cały szereg wymienionych wyżéj poetów. Tamci poezyą za swój fach traktowali, ten był poetą z przypadku, a w istocie człowiekiem salonowym, grzecznym, miłym, dowcipnym i wielomównym. Jest on także autorem romansu *Adolf i Julia.* W r. 1812 jako generał wojsk księstwa Warszawskiego, powierzony miał oddział rezerw, z którémi lubelskie osłaniał od napadu kozaków. Z końcem 1812 r. porzucił służbę wojskową i ożeniwszy się z panną Anielą Błędowską, na Wołyniu osiadł. Umarł w Woronczynie r. 1844, na ośm lat przed zgonem wzrok utraciwszy. Czacki wspomina o jego dziele *Podróż do Włoch.* Dzieła tego nie znam. Był wzrostu średniego, brunet, oczy miał wypukłe i cokolwiek za duże, zawsze czerwone, które zwiastowały późniejszą ślepotę, nos orli i cienki. Piękny miał być bardzo w młodości i w wieku, w jakim go poznałem, był jeszcze przystojny. Służył w szeregach wojska polskiego za czasów Stanisława Augusta i Kościuszkowskiéj insurekcyi i dosłużył się stopnia pułkownika. Ranny kilka razy, dla wyleczenia się w krajach południowych lat parę przebywał.

Tadeusz Matuszewicz, litwin, w literaturze znany jako tłómacz *Delisle'a, de l'imagination,* licznych Od Horacego, tudzież Tomasza à Kempis: o Naśladowaniu Chrystusa. Wysokie wykształcenie czyniło go prawdziwą ozdobą towarzystwa. Wzrostu średniego, szatyn, oczy błękitne, nos cokolwiek pałkowaty, prosty, twarz ściągła. Pod-

czas sejmu czteroletniego odznaczał się wymową, którą władał w wysokim stopniu. Należał do redakcyi Gazety Narodowéj i był posłem Brzeskim, pracującym w deputacyi interesów zagranicznych. Do roku 1809 jako galicyanin nie należał do żadnéj czynności w księstwie warszawskiém i dopiero w téj epoce powołany do rządu centralnego, następnie w radzie stanu zasiadał. W r. 1812 był czynnym doradcą konfederacyi generalnéj i został ministrem skarbu, którą to godność i za Królestwa polskiego w r. 1816 objął. Umarł we Włoszech w 1819, zostawiwszy syna Adama, zasłużonego w dyplomacyi rosyjskiéj i córkę Zofią, o któréj często bardzo przyjdzie mi wspominać.

Pan Matuszewicz odziedziczył po pani Szczytowéj ogromny ziemski majątek: Suchowolę, Łysów, Krześlin, Goślice, a po żonie Przebędowskiéj miał Jasieniec, Solec i Tursk. Uchodził z tego powodu za niezmiernie majętnego, chociaż w życiu swojem żadnego sobie nie dozwalał zbytku i nawet innych koni jak fornalskie nie posiadał. Ztąd urosło przekonanie, że jest skąpcem, o co go nawet i księżna Izabella obwiniała, wyrzucając mu, że nie dosyć na potrzeby ukochanéj swéj Zosi dostarcza. Po zgonie jego jednak okazało się, że te ogromne terytoryalne własności, ogromnie téż i obdłużone były i że pan Matuszewicz był skąpcem z potrzeby i musu.

W jednym z jego majątków Tursku w sandomierskiém utrzymywało się podanie o zakopanym skarbie. To téż przy każdéj tranzakcyi kiedy dobra te z rąk do rąk przechodziły, zastrzegano, że sprzedają się z wyłączeniem ukrytego skarbu. Nabywcy, chociaż każdy pretensyi się zrzekał, każdy poszukiwania czynił, ale nikt nic znaleźć nie zdołał. Podczas rewolucyi Kościuszkowskiéj kozacy wpadli do Turska, a stukając dzidami po ścianach kościoła wyśledzili skarb zamurowany we framudze i zabrali go. Mówiono, że parę kroć sto tysięcy złotych wynosił. Testament Matuszewicza jest bardzo ciekawy, usprawiedliwia on w nim bowiem swoje polityczne postępki.

Wychowany razem z Ignacym i Stanisławem Potockim u Pijarów w Warszawie, zaledwie pełnoletni, otrzymał z wyboru współziomków deputacyą na trybunał litewski, a późniéj, jak to już mówiłem, posłował z ziemi Brzeskiéj. Podług mnie był to najznakomitszy mówca naszéj ojczyzny, w stylu treściwszy niż Stanisław, zrozumialszy niż Ignacy Potocki. Nie poczytuję za mówców tych, co przy stoliku i leżąc układają mowy podług prawideł retoryki i tych, wyuczywszy się na pamięć, recytują je albo z pisma czytają. Są to styliści ale nie mówcy. Ci ostatni istnieć tylko mogą w państwach, gdzie obrady są publiczne, gdzie wielkie pod rozbiór i do rozstrzy-

gania przychodzą przedmioty. Z mówców stylistów znałem księdza prymasa Woronicza i księdza biskupa płockiego Prażmowskiego. Mowy ich bądź polityczne, bądź naukowe pięknie się wydawały w czytaniu, ale kiedy Woronicz mówił płaczliwie i powoli, Prażmowski znowu przez nos i cicho, a obaj bez żadnego ognia. Osiński znowu posiadał głos gruby, silny, dźwięczny, a nadewszystko przenikający i nim celował nad innymi, ale mów nie improwizował, lecz owszem, były one wypracowane i najczęściéj je czytał. Stanisław Potocki mówił płynnie bez przygotowania, nasuwały mu się łatwo figury retoryczne, okraszał styl doborowémi wyrazami, lecz była ich zanadto wielka obfitość a głosem dorównać Osińskiemu nie był w stanie

U Matuszewicza była rzecz szczególna—wymowa jego była bez zapału. Z najzimniejszą krwią, głosem donośnym i arcymiłym płynęły z ust jego obfite myśli, pięknie, a szczególniéj niezmiernie jasno wyłożone. Napozór zdawaćby się mogło, że są one owocem długiéj pracy, ale na sejmie 1811 roku, kiedy jako minister bronił wszystkich podatków, zaprowadzić się mających, na wszystkie zarzuty odpowiadał z tąż samą łatwością, a zagrzewając do ofiar, porywał wszystkich szczytnemi swemi improwizacyami.

Późniéj Barzykowski, poseł z Płockiego odznaczał się także oryginalną wymową, ale on, równie jak Bronikowski, poseł Kaliski, wyrażali się stylem górnolotnym, pod obłoki sięgającym. W tym doborze słów pysznych myśl się gubiła i plątała jak w labiryncie. Barzykowski nadto posiadał piękny organ i byłby należał do najpierwszych mówców, gdyby nie ten wyszukany wyrażania się sposób.

Stanisław Potocki, świadek całéj publicznéj karyery Matuszewicza, w mowie swéj, mianéj po jego zgonie w Towarzystwie przyjaciół nauk, twierdzi że większa część postanowień Sejmu Czteroletniego dokonała się pod wpływem czaru jego wymowy.

Kiedy ukończyła się opieka nad księciem Dominikiem Radziwiłłem, uznał książę Feldmarszałek potrzebę, aby młodzieniec wybrał się do Petersburga, przedstawić się cesarzowi Aleksandrowi. Za doradcę i niejako kuratora dodano mu Matuszewicza. Po krótkim tam pobycie wrócił do Jasieńca, ulubionéj swéj siedziby, o dwie mile od Puław odległéj.

Stanislaw Kłokocki, przyjaciel Matuszewicza, chwalony jako znakomity prozaista. Co napisał nie wiem, tylko często przekłady swoje czytywał. Drukiem jednakże z tego nic nie wyszło. Towarzyski, przyjemny, niezbędnym się stał w Puławach, gdzie go bardzo lubiono.

Orłowski generał, o którym już trochę wspominałem, był kiedyś admiratorem mojéj matki i z tego powodu stale jéj przychylny i mnie i siostrę kochający. Przywiązanie to swoje tém objawiał, że codzień godzinę w naszém mieszkaniu, wzdłuż pokoju chodził, nic ani słowa do nikogo nie mówiąc. Widząc go, myślałby kto, że jest niemym, bo całe tygodnie mijały, nim słowo jakie wyrzekł. O ilem słyszał dziwne jakieś miał w młodości przygody. Najczęściéj opowiadał, że nad łóżkiem swém miał zawieszony portret swéj matki, którą bardzo kochał. Owóż pewnego dnia portret ten nagle zamienił się na trupią główkę. W chwili, w któréj ta zmiana nastąpiła, miała skonać jego matka. W czasie czteroletniego sejmu był on komendantem twierdzy Kamieniec, kiedy zawiązała się konfederacya Targowicka, wezwał go Złotnicki do oddania fortecy, doręczając rozkaz podpisany przez Szczęsnego Potockiego, jako generała artyleryi. Orłowski na to odpowiedział, że bronić się będzie i dopiero po przystąpieniu króla do Targowicy, odebrano mu dowództwo i twierdzę zajęto. Podczas rewolucyi Kościuszkowskiéj był komendantem Warszawy i urząd ten, aż do kapitulacyi miasta po szturmie Pragi piastował. W młodości podróżował wiele z Kościuszką.

Wielkim jego przyjacielem był Ludwik Rembieliński, uczeń szkoły rycerskiéj kadetów, a późniéj w tejże szkole profesor matematyki. Był w niéj tak biegły, że równał się słynnemu tutaj profesorowi Lhullier. Wielce kochany przez wszystkich ten mąż, jakkolwiek z miną zawsze poważną, posiadał talent rozweselania młodzieży i zawsze był duszą wszystkich zabaw. Późniéj został dyrektorem Skarbu w Prefekturze Siedleckiéj.

To poważne grono osób bądź dostojeństwami, bądź zasługami w literaturze odznaczających się, tworzyło stałe Puław towarzystwo. Obok nich znajdowało się mnóstwo młodzieży bądź kształcącéj się, bądź już dorosłéj, a zamykali kontyngens ludzie w rozmaitych obowiązkach przy dworze pozostający. O tych ostatnich, a szczególniéj o młodzieży często mi mówić wypadnie. Wymienię więc tu choć trochę z pomiędzy tego koła.

Co do młodzieży najstarszy między nią był Maksymilian Fredro, najstarszy z licznego potomstwa Jacka Fredry, dziedzica Sądowéj Wiszni, niedaleko Lwowa. Ród w dziejach i literaturze polskiéj zdawna zasłużony i na Rusi możny. Brat jego zasłużony i słynny autor komedyj. Daléj z kolei podług wieku idąc Łopot, litwin, syn tego, który w Sejmie Czteroletnim miał duże znaczenie—Białopiotrowicz Jerzy, także litwin ojciec jego z lidzkiego już jako częsty deputat do trybunału, już w funkcyach poselskich wielkie zaufanie u współobywateli pozyskał—krótko tu także bawił brat jego starszy Romuald,

młodzieniec pełen rozsądku i wiadomości, który niestety, kąpiąc się utonął.

Daléj dwaj bracia Michałowscy, Marcin i Teodor, z ubogiéj familii z Lubelskiego, obaj niezmordowani tancerze. Książę Puzyna, z Rusi pochodzący, Henryk Deboli, syn czy téż może synowiec owego Debolego, który był posłem Rzeczypospolitéj w Petersburgu, Szumlański legionista, o którym późniéj obszerniéj wspomnę, Konstanty Dembowski, syn mego stryja Feliksa, stolnika Latyczewskiego, szambelana i kawalera św. Stanisława; Kajetan i Ignacy Witosławscy, synowie Obożnego koronnego, Czechowicz, Mogilnicki, który zginął pod Wagram, Jan Narbutt, syn Wojskiego Liteweskiego, Eustachy i Tomasz Jaworniccy, ostatni niemowa itd.

Co do Czechowicza był to jedynak bardzo majętnych rodziców. Los jego był bardzo smutny. Po rozpierzchnięciu się młodzieży Puławskiéj wrócił do domu i kiedy żadna z tylu piękności znajdujących się w Puławach nie zraniła jego serca, tu zakochał się szalenie w służącéj swojéj matki. Ponieważ na związek pozwolić nie chciano, wpadł w czarną melancholią i w kwiecie wieku życie postradał.

Ci wszyscy wymienieni, oprócz Szumlańskiego, który miał lat trzydzieści, byli mniéj więcéj w wieku między ośmnastym a dwudziestym drugim rokiem. Po nich następowała młodzież dziecinna, już mniéj liczna: książę Dominik Radziwiłł, Ordynat Nieświezki, Adam Matuszewicz, Haller Emeryk i ja. Byli to prawie rówiennicy między jedenastym a trzynastym rokiem, z wyjątkiem Radziwiłła, który miał już wtedy lat czternaście.

Dzieci domowników Puławskich choć nie codzień, brały jednak bardzo często udział w towarzystwach. Do dorosłych w téj epoce należeli dwaj synowie pana Skowrońskiego, Ksawery i Kazimierz, Jan Goltz, dwaj Hemplowie—Joachim i Stanisław. Z płci niewieściéj panny Wągrocka, Morska, Konstancya, Maryanna i Brygida Jawornickie itd.

Prócz tego księżna Czartoryska brała na edukacyą panny, po większéj części sieroty, albo niemajętne. Te pod dozorem ochmistrzyni, pani Januszewskiéj, w osobnym gmachu, dziś nieistniejącym mieszkając, staranne i co do nauk i co do obyczajów otrzymywały wychowanie. W owym czasie, o którym mówię na pensyi téj, o ile zapamiętam, znajdowały się: Aleksandra Tańska, późniéj żona Mecenasa Tarczewskiego, panna Drużbacka, późniéj Debolina, Weronika Dzierżanowska, pierwsza żona generała Rautensztraucha, dwie panny Dembickie, panna Pośmiatowska, która wyszła za Kruszyńskiego, panna Roszkowska, późniejsza pani Szparmann i wiele innych. Pan-

ny te zapraszono tylko na bale i fety, a czasem téż w niedzielę i święta na salach się okazywały.

Prócz téj pensyi istniała inna prywatna, pod kierunkiem pani Poltz, Niemki, osoby wykształconéj i poważanéj. Tu niektóre obywatelskie córki pobierały edukacyą, a między niemi w epoce, o któréj mówię, odznaczała się panna Rudnicka, córka pisarza Rudnickiego, dziedzica Żyżyna, późniéj wydana za Sołtyka:

Dwór księcia składał się naprzód z osób, które dawniéj pełniły jakieś obowiązki, a z ich ustaniem, pozostały w Puławach jako przyjaciele domowi. Takich było dużo, wymienię tylko przedniejszych. Pułkownik Ciesielski, staruszek charakteru słodkiego niesłychanie zamiłowany w botanice, był przez czas pewien dozorcą nad edukacyą synów księstwa Adama i Konstantego. W nagrodę jego zasług książę mu nadał dożywociem piękne dobra Samoklęski, nie tyle może cenne z gruntów, ile z obszernych a pięknych lasów. Bez względu że to było dożywocie, Ciesielski pobudował tu ładny dom murowany założył pyszną oranżeryą i ogród w rzadkie rośliny i frukta obfitujący. Rzeczkę śluzami ujął, wystawił młyn, tartak, założył wieś Syry, lasy szanował i z rąk jego Samoklęski wyszły z podwojonym szacunkiem. Jeśli się zważy na tę okoliczność, że donacya w niczém praw używania jego nie ograniczała; to podziwiać trzeba jak z jednéj strony hojność księcia, tak z drugiéj Ciesielskiego delikatność. Dziś inne czasy i inni ludzie, dożywotnik naprzód by tartak o dwunastu piłach założył i majątek po swojéj śmierci opustoszony by zostawił.

Do starych także takich gracyalistów należał major Orłowski. Ożenił się on z panną Lannicką i księstwo dla tego stadła wymurowali domek, niedaleko od Puław. Tam niby to oni mieszkali, ale właściwie chowały się w tym domu tylko małe dzieci, sami bowiem Orłowscy stale w Puławach przesiadywali.

Dwór czynny, to jest ludzie obowiązkami swymi się zajmujący byli naprzód sekretarze. Skowroński, Roch Orłowski, Łuniewski, Bernatowicz, autor powieści historycznych, pomiędzy któremi najcenniejszy romans Pojata.

Doktorzy: Goltz, Khitel, Schmuck i Gentzendorff, Architekt Zalewski i Aiguer, do którego należało tylko wznoszenie gmachów artystycznych jak Sybilla, Domek Gotycki i tym podobne.

Prawnik Nepomucen Orłowski i pomocnicy jego Nowacki i Kaspary.

Kasyer Piramowicz i pomocnik jego Poświatowski. Obaj oficerowie z gwardyi litewskiéj.

Zarządcy dóbr: Jawornicki, pułkownik Sałacki i Filipowicz.

Marszałkowska funkcya przy takim nieustającym napływie i gości i stałych mieszkańców, była najprzykrzejsza. To też często zmieniali tu się ludzie. Za moich czasów po kolei marszałkami byli: Belke, Torcholski i Deboli, a do pomocy, szczególniéj w sprawach rachunkowych mieli stale pana Łapczyńskiego.

Hempel, człowiek zacny i powszechnie szanowany roztrząsał i zatwierdzał naczelnie plany budowli po wszystkich dobrach i kierował wydziałem pomiarów.

Malarze i rysownicy: Frey, Rychter, Romański i Jaszczołd.

Nauczyciele języków: Poirsenot do francuzkiego, Grimberg do niemieckiego, a do kaligrafii Karger.

Na czele stajni stali Koniuszowie Zinekenbart i Szatkowski.

W części muzycznéj pierwsze miejsce zajmował Lessel, rodem Niemiec. Dawniéj nauczyciel księżniczek, obecnie chociaż był bez zajęcia pobierał pensyą, miał swój domek i ogród i namiętnie zajmował się doświadczeniami fizycznémi, a szczególniéj elektrycznością i piękne narzędzia posiadał. Przy nim podówczas bawił syn jego Franciszek po powrocie z Wiednia. Uczeń Haydna i w istocie artysta niepospolity, ale muzykę zaniedbał zupełnie. Zająwszy się urządzeniem Pilicy i domu w Warszawie dla księżnéj Wirtemberskiéj, tu osiadł i o muzyce zapomniawszy życia dokonał.

Orkiestra nadworna składała się z dwunastu muzykantów i dyrygował nią niezmordowany i dzielny Niemiec Schmeigler. Pomiędzy muzykantami za moich czasów prawdziwym talentem odznaczał się Zawiski, który grywał na klarynecie.

Grono tych dworskich osób zamykał Kapelan z zakonu Maryanów, karzeł Piotrowski, kapitan Szpencberger i wielu innych, których funkcye mi niewiadome.

V.

Przystępując do opisu życia dworu Puławskiego najsłuszniéj zda mi się rozpocząć od sportretowania gospodarzy.

Książę feldmarszałek Czartoryski w owym r. 1800 liczył lat 69. Wzrostu był średniego, szczupły, nosił perukę pudrowaną i tapirowaną podług mody, która istniała w środku panowania Ludwika XVI. Rzadko inny przywdziewał strój jak mundur austryacki błękitnawo szary, nakrapiany, z czerwonym, galonami haftowanym kołnierzem. Z orderów nosił tylko jeden złotego Runa. Nos miał cienki, orli, oczy ciemno-błękitne, mało ognia, ale wiele łagodności i słodyczy w sobie mające. Trzymał się zawsze prosto, miał chód wolny i poważny

i w całéj postaci coś imponującego. Nadzwyczajnie uprzejmy nie tylko dla obcych i dorosłych, ale nawet dla takich berbeci jak byłem ja, Heller i Matuszewicz. Nie było dnia, żeby z nami nie rozmawiał, nie wypytywał się o lekcye, nie dawał rad i przestróg. Kazał nam nadto do siebie pisywać i na listy z radami odpowiadał własnoręcznie.

Umiał kilkanaście języków, nawet mówił po turecku i arabsku z Turkiem swym Hassanem, którego mu ze Stambułu przysłali i który był kiedyś majtkiem na flocie tureckiéj. W Puławach znajdował się zawsze na pokojach, a jedyną jego funkcyą było podawanie cybuchów i drzewa aloesowego. Lecz książę mimo rozległych swych wiadomości mało wogóle mówił, a wolał słuchać konwersacyi innych, do któréj od czasu do czasu parę słów wtrącał. Mężczyzn nazywał zwykle po imieniu a nie po nazwisku.

W pałacu Puławskim mieszkał na dole w lewym pawilonie. Apartament jego dopierał z dwóch stron, do téj bogatéj biblioteki, która zawierała szacowne edycye literatur zagranicznych, a nieocenione ojczystéj, gdyż prócz zasobów, jakie taki miłośnik nauk jak książę nagromadzić zdołał, zakupiono bibliotekę porycką za złp. 600,000 to jest wszystko, co uczony Czacki przez całe życie po klasztorach przez *fas* i *nefas* zbierał. Zajmowany apartament składał się z cztérech pokojów. W pierwszym siedzieli służbowi kozacy i lokaje, w drugim kamerdynerzy: Michał Frey, niemiec i Baptiste, francuz. Ten ostatni był postrachem młodzieży. Książę bowiem do dwóch rzeczy miał antypatyą: do filozofii Kanta i do włosów niepudrowanych, a ostrzyżonych jak podówczas nazywano *à la Brutus*, Jeszcze z Kantem było mniejsza, bo *skantowana* głowa dawała się *odkantować*, ale na ostrzyżone włosy nie było już rady. Wtedy do ostrzyżonego zjawiał się Baptiste z pudermantlem, pomadą i pudrem, i z rozkazu księcia chcącym lub niechcącym głowę osiwiano. Trzeci pokój książęcego apartamentu był przeznaczony wyłącznie do ubierania, a właściwie do fryzury i pudrowania. Czwarty służył za gabinet i sypialnią. W ubieralni prócz stolika, kanapy i kilku stołków, żadnych innych mebli nie było, w sypialni prócz łóżka, przy którym mały stoliczek, kilka krzeseł i ogromnego biura, mającego długości z dziewięć, a szerokości z pięć łokci, nic się więcéj nie znajdowało. Na tém ogromném biurze przez środek był ustawiony pulpit, a obok niego mnóstwo książek i cały przyrząd piśmienniczy. Żadnego obrazu, żadnego kosztownego sztychu tu nie dostrzegłeś.

Wstawał książę zawsze o dziewiątéj i w pudermantlu wychodził do ubieralni. Tam już oczekiwali na niego dworscy, to jest major Orłowski, kasyer Piramowicz, sekretarz Skowroński, Bernatowicz,

Łuniewski i Roch Orłowski, *factotum* Tarchalski i archiwista Zalewski. Ułatwiwszy z każdym interesa dzienne, przywoływał książę marszałka i koniuszego. Pierwszy donosił kto przyjechał, drugi odbierał zlecenia co do spacerów dziennych. Następnie po ich ustąpieniu wchodzili przyjaciele domowi, stale w Puławach mieszkający. Generał Orłowski, pułkownik Ciesielski, książę Konstanty, mój ojciec i inni. Ci asystowali operacyi pudrowania, po całéj izbie manewrując, aby puder obficie zdala sypany, sukni ich nie przykrył. W czasie tego zaś trwała pogadanka, która się zwykle o dziesiątéj kończyła. Poczem książę wypiwszy w sypialni kawę, udawał się do żony na tak zwane śniadanie. Ze śniadania tego zwykle mało kto korzystał, bo wprzódy zwykle każdy posilił się u siebie. Na gawędzie i paleniu tytoniu schodził czas do południa, poczem następował spacer konny z koniuszym i Ciesielskim. Między pierwszą a drugą jadał książę u siebie obiad z trzech potraw się składający, z których rosół i cielęcina pieczona stanowiły dwa dania niezmienne. Koło szóstéj przychodził do żony i tu do ósméj poufne a przyjacielskie toczyły się rozmowy. Do tego towarzystwa dwie tylko osoby były przypuszczane: księżna Wirtemberska i moja matka. Nawet książę Konstanty, jego żona i pani Zamojska w tych dwóch godzinach do rodziców nie przychodzili.

O trzeciéj dzwoniono lub bębniono na obiad. Zawsze kilkadziesiąt osób do stołu siadało, a czasami i kilkaset i stoły rozstawione były w dwóch salach. Domowi wprzódy o drugiéj godzinie jadali. Obiad koło pół do piątéj się kończył. Wieczorem schodzono się o ósméj, a w lecie, kiedy herbata była w Parchatce, Buciec (Budce?) lub na kępie, zbierano się wcześniéj.

Kolacyą dawano o dziesiątéj i księstwo zwykle między jedenastą a dwunastą salony opuszczali. Książę na kolacyą jadał zawsze tylko suche kotlety, a przy obiedzie u stołu wielkiego siedział, ale nic nie jadł. Wieczorem dzielono się na towarzystwa: konwersacyjne, które razem z księstwem przy wielkim okrągłym stole zasiadało. Kobiety wykonywały robótki ręczne stosownie do mody i zwyczaju. Pamiętam, że był czas, w którym strzępiono jedwabne materye na watę, odkręcano zużyte galony na topienie srebra, robiono kwiaty, a nawet i trzewiki. Nie mówię już o wyklejaniu szkatułek i pudełek do domu gotyckiego i mnóstwa podobnych rzeczy.

Drugi oddział towarzystwa bawił się graniem w bilard, szachy i karty.

Młodzież obu płci po otrzymaniu na to pozwolenia, odchodziła do drugiéj sali i tam z całą hałaśliwością wiekowi jéj właściwą, biegano, skakano, grano we wszystkie *petits jeux*, począwszy od ciu-

ciubabki i gotowalni, a skończywszy na lisie i pytce. Księżna Wirtemberska i pani Zamojska nie odmawiały zwykle udziału, lecz zabawa stawała się najprzyjemniejszą kiedy zdołano uprosić Ludwika Rembielińskiego, aby objął jéj kierunek. Matematyk ten niewyczerpany miał zawsze zapas konceptów do rozmaitego rodzaju rozrywek i kiedy się bardzo z wieczora rozochocono, proszono o pozwolenie tańców. W jednéj chwili nadbiegało dwunastu muzykantów z pulpitami, a dyrektor ich Schmeigler tem ochoczéj na skrzypcach przygrywał, im z większém życiem tańcowano. W momencie organizował się bal, który, ażeby większych nabrał rozmiarów, posyłano na pensyą pani Januszewskiéj, gdzie było zawsze dwanaście panien, otrzymujących edukacyą kosztem księstwa i spraszano innych w Puławach osiadłych.

Skoro księstwo opuścili salony, opuszczali je i inni poważniejsi i zostawała sama młodzież najczęściéj pod opieką księżnéj Wirtemberskiéj. Ta lubiła późno w noc przeciągać zabawy i nieustawano jak między godziną 2 a 3 nie tyle ze znużenia ile z obawy, żeby nazajutrz nie być strofowanymi za zbyt długie w nocy czuwanie.

Nie od rzeczy zda mi się będzie tutaj, żeby do osoby księcia feldmarszałka zbyt często nie wracać, podać szczegóły odnoszące się do jego żywota.

Urodził się w Gdańsku 1 grudnia 1741 r. z Zofii z Sieniawskich, jedynéj córki Adama Sieniawskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Pobyt w Gdańsku ojca jego Augusta i stryja Michała, miał związek z elekcyą Stanisława Leszczyńskiego, którego oni obaj byli stronnikami. Matka księcia Adama wniosła w dom książąt Czartoryskich ogromny majątek Sieniawskich i Denhoffów, gdyż poprzednio była za ostatnim Denhoffem i ten nie mając potomstwa ani blizkich krewnych, cały majątek jéj zapisał. Miasto Gdańsk* trzymało do chrztu Adama, a na pamiątkę ofiarowało dla chrzestnego syna bogaty serwis srebrny, medalionami ozdobiony. W czasie wielkich festynów zdarzało mi się widzieć ogromne blaty srebrne do roznoszenia trunków służące, na których pięćdziesiąt szklanek pomieścić się mogło. Oprócz tych wazony na wino, małe do noszenia kieliszków szczególnego rodzaju i kształtu naczynia i inne tym podobne rzeczy.

Edukacyą otrzymał domową pod kierunkiem guwernera francuza pana de Mouet, poczém przez lat kilka zwiedzał kraje obce, pod dozorem Tomasza Pruszaka, kasztelana gdańskiego. Był w Niemczech, Włoszech, Francyi i Anglii, gdzie zabawił najdłużéj, przebywając w domu lorda Mansfield. W r. 1761 poślubił Izabellę, hrabiankę Fleming, córkę Jerzego Fleminga, Podskarbiego W. Ks. Litew-

skiego, wojewody pomorskiego i Antoniny z ks. Czartoryskich, siostry swéj stryjecznéj.

Z ust saméj księżnéj słyszałem, że kiedy po śmierci swéj matki wychowywana była u babki, księżnéj Katarzyny w Przybysławicach, o rękę jéj starał się Karol Radziwiłł, zwany „panie kochanku." Kiedy ks. kanclerzyna w Wołczynie bawiła, zaprosił on ich wszystkich na biesiadę do Biały. Przy stole, prócz zwykłéj służby, usługiwały niedźwiedzie, z których jeden, gdy hrabiance talerz odmieniał, ta ze strachu zemdlała i taką awersyą do księcia Karola powzięła, że o małżeństwie nie mogło być nawet mowy.

Pierwszy zawód służby publicznéj księcia Adama Czartoryskiego rozpoczął się odrazu od wielkiego dostojeństwa. Wiadomo, iż stronnictwo Czartoryskich miało silne wpływy na interesa krajowe za Augusta III. Książę wojewoda ruski więc wyjednał dla jedynaka syna dozwolenie odstąpienia mu posiadanego urzędu generała Ziem Podolskich. Niedługo po zawartém małżeństwie udał się książę Adam do Petersburga, a stosunek blizki, jaki miał z posłem pruskim, wprowadził go do poufnego towarzystwa wielkiego księcia Następcy tronu, który miał szczególną manią pruszczyzny. Wielki książę w towarzystwie księcia Adama bardzo zasmakował, nie mógł się bez niego obejść i codziennie na obiady go zapraszał.

Stryj księcia Adama i ojciec, przewidując niedaleki zgon Augusta III, a mając w zamiarze dokonanie reformy rządu rzeczypospolitéj, wysłali księcia Adama do Petersburga, celem zapewnienia sobie pomocy sąsiada, który już od Piotra W. zaczynał wielki wpływ na interesa Polski wywierać. Wielki książę Piotr sam pierwszy poddał księciu Adamowi myśl osiągnięcia polskiéj korony. Ale kiedy, jeśli nie z własnéj woli, to stosując się do życzeń ojca i stryja torował sobie drogę do tronu książę Adam, tymczasem stolnik Poniatowski silniejszą znalazł pomoc w Katarzynie.

Piotr III, pamiętny swéj przyjaźni i przyrzeczeń, w dniu wstąpienia na tron ozdobił księcia Adama orderem św. Andrzeja, lecz skoro krótkie jego panowanie koniec wzięło, uzyskanie tronu dla ks. Adama stało się bardzo niepewne, Stanisław Poniatowski, mianowany jeszcze za życia cesarzowéj Elżbiety posłem rzeczypospolitéj przy dworze rosyjskim, popierał gorliwie pierwszą część danych mu zleceń, to jest wyjednywał pomoc dla przeprowadzenia reformy, ale z drugiéj sam forytował się na króla. Książęta Czartoryscy, wiedząc o wpływie Poniatowskiego na Katarzynę, zaniechali myśli popierania księcia Adama, będąc przekonani, że również pod imieniem siostrzeńca panować potrafią i swe zamiary przeprowadzić zdołają.

Dlatego też, kiedy po zgonie Augusta III, w końcu 1763 roku zebrały się sejmiki województwa ruskiego w Sądowéj Wiszni i tam zebrana szlachta ofiarowała ks. Adamowi swe wota na elekcyą, wymówił się od tego zaszczytu. Biograf jego i sekretarz Bernatowicz wzmiankuje nawet, że toż samo oświadczył i na propozycye Piotra III-go. Wiary temu dać nie można, bo do ostatnich chwil była nadzieja i kiedy Katarzyna przysyłała posła swego Kayserlinga, pisała do Poniatowskiego: *„J'envoie en Pologne Kayserling, avec ordre de Vour faire élire Roi— Vous ou Votre cousin le prince Adam Czartoryski.“*

* Na sejmie konwokacyjnym 1764 r. objąwszy laskę marszałkowską, wyjednał książę Adam uchylenie *liberum veto*, ukrócenie władzy hetmanów i podskarbich i oddanie wojska pod straż komisyom. Na sejmie elekcyjnym jako poseł głosował za Poniatowskim i elekcyą jego podpisał. W r. 1764 był posłem Inflanckim, lecz kiedy pierwszy rozbiór kraju nastąpił, a nawet przedtem jeszcze, wraz z zawiązaniem się konfederacyi barskiéj, uchylił się zupełnie od spraw publicznych i lat kilka za granicą bawił.

W r. 1765 przyłożył się radą do założenia szkoły rycerskiéj kadetów, jéj przewodniczył i na jéj uposażenie łożył. Był generałem lejtnantem wojsk litewskich i szefem pułku gwardyi litewskiéj.

W r. 1775 wrócił znowu do życia publicznego, jako członek komisyi edukacyjnéj, a w r. 1781 został marszałkiem trybunału litewskiego.

Lecz już poprzednio zaczęły się niesnaski pomiędzy nim a królem. Zgon księcia kanclerza i ks. wojewody, a przedtém jeszcze wiek podeszły, usuwał ich zwolna od kierunku sprawami Polski, a nieszczęśliwy obrót, jaki nastąpił wskutku popieranéj przez nich interwencyi rosyjskiéj do spraw Królestwa Polskiego, osłabił stronnictwo Czartoryskich. Doszło wreszcie do tego, że wzmagające się niesnaski jawnie wyróżniły dwie partye: królewską i Czartoryskich. Wmięszały się do tego intrygi, których skutkiem była słynna w swoim czasie sprawa pani Dogrumoff, zbyt podobna do owéj naszyjnika królowéj we Francyi i ks. de Rohan.

Ponieważ druki odnoszące się do téj sprawy są dzisiaj rzadkością, w streszczeniu więc o niéj wspomnę.

Pani Dogrumoff, żona majora rosyjskiego, a o ile się zdaje francuzka rodem, kobieta obyczajów rozwiązłych, poznawszy się z anglikiem Taylorem, poprzednio kupcem, uprzedziła tegoż, jako osobę mającą stosunki z księciem Czartoryskim, że panowie: Ryx, starosta piaseczyński, a kamerdyner królewski i generał Komarzewski, adjutant królewski, dali jéj zlecenie otrucia księcia Adama. Taylor 11 stycznia 1785 r. ostrzegł o tém księcia i tegoż dnia dla otrzy-

mania bliższych objaśnień w towarzystwie Ignacego Potockiego, marszałka nadwornego litewskiego z ust Dogrumowéj usłyszeli potwierdzenie tegoż oskarżenia, a relacya jéj na piśmie, którą marszałek w dniu 14 stycznia uzyskał, oznaczała:

1° i 2° że Komarzewski, przyprowadzony do niéj przez Ryxa, obiecał jéj za zgładzenie ze świata księcia Adama nadanie wsi, pensyą roczną 500 dukatów i jednorazową gratyfikacyą 1000 dukatów. Że dał jéj proszek, służyć mający do otrucia.

3° i 4° że w celu namówienia jéj do spełnienia téj zbrodni byli u niéj sześć razy wraz z Ryxem.

Książę Czartoryski przypuszczając, że może niedostatek skłania panią Dogrumoff do podobnych zeznań, kazał jéj ofiarować 200 dukatów. Odmówiła przyjęcia téj kwoty, a przytém oświadczyła, że potrafi skłonić oskarżone osoby do powtórzenia obietnic i wyznania zamierzonego zabójstwa przy świadkach, których ukryć w swém mieszkaniu obiecywała.

Jakoż 16 stycznia o trzeciéj po południu przybył Ryx do pani Dogrumoff, mieszkającéj blizko Alei. Zaraz po nim stawili się świadkowie: Stanisław Potocki i Taylor, którzy w przedpokoju przezedrzwi rozmowie się przysłuchiwali. Skoro pani Dogrumoff powiedziała, że z księciem Czartoryskim zrobiła znajomość, że u niéj bywa, że teraz otruć go się podejmuje, byle osobę jéj zapewniono i obiecaną nagrodę wypłacono, na to Ryx miał zawołać: brawo! to dobrze.

Kiedy Ryx wychodził z pokoju, Taylor schwycił go za kołnierz, przyłożył lufę pistoletu do głowy i w ten sposób zmusił go do udania się do pałacu marszałkowéj Lubomirskiéj (dziś Stanisława Potockiego). Tu niebawem przybył Mniszech, marszałek wielki koronny, aresztowano Ryxa, Komarzewskiego i panią Dogrumoff i sąd marszałkowski zajął się tą sprawą.

Sąd ten składali: Mniszech, marszałek wielki koronny, Ignacy Potocki, Antoni Małachowski, wojewoda mazowiecki, Bazyli Walicki, wojewoda rawski, Tomasz Ostrowski, kasztelan czerski, Franciszek Podoski, kasztelan mazowiecki, Kicki, koniuszy wielki koronny, Stanisław Sołtyk, stolnik koronny, Kazimierz Rzewuski, pisarz koronny i Jerzy Wielhorski, pisarz litewski. Do pisania indagacyi 18 stycznia król przeznaczył swego sekretarza Glaire, rodem szwajcara, bo sędzia sądu marszałkowskiego Cieciszewski, nie umiał po francuzku.

Wyrok wydany 15 marca t. r. uznawał Ryxa i Komarzewskiego za niewinnych, panią Dogrumoff za oszczerstwa skazywał na wieczne więzienie, stanie pod pręgierzem i wypalenie na piersiach znaku

szubienicy,—Taylora uniewinniono od zarzutu wspólnictwa, za samowolne zaś aresztowanie Ryxa skazano go na sześć miesięcy wieży i sześćdziesiąt grzywien.

Księcia Czartoryskiego za to, że dopuścił wyroku co znaczyło w ówczesnéj terminologii prawnéj, że dopuścił zaoczności i nie stawał przez obrońcę skazano na zapłacenie sześćdziesięciu grzywien. Nakazano zarazem spalić dwa pisma przez stronnictwo ks. Czartoryskich ogłoszone pod tytułem: Pierwsze i drugie objaśnienie.

Początkowo pan szambelan Borysławski wniósł oskarżenie ze strony księcia Adama i chodziły pogłoski, że wskutek intryg dworu zabroniono adwokatom podejmować się sprawy księcia. To pewna, że panowie Kasperski i Chrzanowski, ówcześni najznakomitsi warszawscy patronowie, odmówili swéj pomocy księciu. To stało się powodem, że książę Adam postanowił dopuszczenie zaoczności wyroku, mimo, że familija jego gwałtownie nalegała, żeby przed sądem osobiście się stawił.

Zręczna była bardzo obrona Ryxa. Przywodzono w niéj, że pan Scudery, podróżując z siostrą po Francyi, na noclegu w oberży toczył rozmowę o romansie, któren pisać zamierzali, a który późniéj pod tytułem *Cyrus* wydany wielkiéj bardzo nabył wziętości. W rozmowie panna Scudery zapytała brata: *Et que ferons nous avec le prince Mazara? — Faut-il le faire périre par la foudre ou l'empoisonner?* Dwaj kupcy, którzy wpodle kwaterowali, usłyszawszy to zapytanie, w przekonaniu że o księciu Mazarin mowa, donieśli o tém policyi, aresztowano więc Scuderych, i ci z wielką bardzo trudnością usprawiedliwić się zdołali. Wogóle obrona ta z wielkim talentem ułożona, głównie polegała na tém, że trzem osobom jedynie do sprawy wpływającym zaprzeczono możności świadczenia. Pani Dogrumoff dlatego, że była delatorką, Taylorowi bo był jéj spólnikiem, panu Stanisławowi Potockiemu, bo był spokrewniony z księciem Adamem. Odsunąwszy świadectwa tych trzech osób, przyznawano, że Ryx był u Dogrumowéj, ale że zupełnie o czém inném mówił. Wynikło to prawdopodobnie ztąd, że większość sądu była królowi przychylna: Mniszech, Walicki, Podoski, Ostrowski, Kicki, Wielhorski, byli z partyi królewskiéj. Małachowski i Sołtyk nie należeli do stronnictw, a pisarz Rzewuski i Ignacy Potocki, jakkolwiek Czartoryskim oddani stanowili znaczną miejszość.

Z dzisiejszego pojmowania rzeczy na sprawę tę patrząc przedewszystkiém uderza, że strony sędziów nie ekscypowały, a szczególniéj tak blisko spokrewnionych jak byli Mniszech i Potocki. Zdaje się nadto, że potomność nie przyzna trafności wyrokowi, bo naprzód mimo że doktór Jahn i za jego zdaniem inni lekarze i apte-

karze zeznali: 1) że dany do rozbioru proszek udzielony był w tak małéj ilości, iż niepodobna było doświadczeń dokonać dokładnie; 2) że trucizny mineralnéj jak arszeniku, ołowiu, miedzi, zupełnie nie było; 3) że jednak pies, któremu szczyptę jego zadano dostał konwulsyi. Mimo że doktór Goltz zawyrokował, iż proszek ten nie zawiera w sobie trucizny znanéj,— sąd zawyrokował, że proszek nie był trucizną. Opierając się na zdaniu biegłych, należało chyba oświadczyć, że jakkolwiek proszek nie jest trucizną znaną, ani mineralną, wszakże kiedy szczypta jego sprawiła psu konwulsye, musiał być szkodliwym. Daléj kiedy Ryx zaprzeczył treści rozmowy, jakoby słyszanéj przez Taylora i Potockiego, a ci z mocy prawa za świadków przyjętymi być nie mogli, należało sprawę dla braku dowodów umorzyć, a nie wymierzać tak srogiéj kary na panią Dogrumoff. W czém jeszcze sprawa ta godna uwagi, że poseł austryacki p. Ducachet dwukrotnie udawał się do rady nieustającéj z oświadczeniem, że osobę księcia Adama cesarz bierze pod swoję opiekę.

Wogóle sprawa ta choć sądownie badana pozostała okryta jakąś tajemnicą, a że wszystkie odnoszące się do niéj druki, publikowane przez stronnictwo Czartoryskich zostały popalone, więc nic dziwnego, że poinformowany tylko z jednéj strony badacz całą winę zwala na księcia Adama.

Pani Dogrumoff skazana na surowe kary, jak wieczne więzienie, stanie pod pręgierzem i piętnowanie znakiem szubienicy, od księcia Czartoryskiego brała znakomitą pensyą i mieszkała aż do zgonu wraz z małżonkiem w kluczu Jarosławskim.

Trudno także było nie wierzyć słowom osoby tak znakomitéj jak p. Stanisław Potocki, który ukryty pode drzwiami, całą rozmowę Ryxa z panią Dogrumoff słyszał. Bądź co bądź wyrok w tym procesie sprawił, że książę Adam zamieszkał w 1785 roku w Sieniawie, a sprzedawszy już poprzednio dowództwo pułku gwardyi litewskiéj, przeszedł w służbę austryacką i za cesarza Józefa II został zamianowany dowódcą gwardyi galicyjskiéj, szefem pułku jazdy i feldzeigmeistrem. Wybrany w r. 1788 posłem na sejm czteroletni z województwa lubelskiego, jeździł w 1791 r. do Drezna dla uzyskania od Elektora Saskiego przyjęcia korony polskiéj, ofiarowanéj przez stany jemu i jego córce. Tam poznał Henryka Dąbrowskiego, wówczas służącego w wojsku saskim i namówił go do objęcia obowiązków w szeregach ojczystych. Po przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiéj usunął się do Galicyi, a po insurekcyi Kościuszkowskiéj wszystkie dobra jego położone w kordonie rosyjskim skonfiskowano. Dla odzyskania ich zmuszonym został synów swych oddać w służbę rosyjską. Cesarzowa Katarzyna starszego księcia Adama przezna-

czyła do osoby cesarzewicza Aleksandra, młodszego zaś Konstantego na adjutanta wielkiemu księciu Konstantemu, a majątek skonfiskowany tymże synom oddać poleciła. Młodzi książęta na swe imię zatrzymując tytuł własności, zarząd dóbr i intraty z nich rodzicom zwrócili. Równie szczęśliwym nie był mój ojciec, dobra bowiem skonfiskowane mu na Podolu, już nigdy do niego nie powróciły.

Cesarz Franciszek Józef r. 1802 mianował księcia Adama Czartoryskiego feldmarszałkiem, kawalerem orderu Złotego Runa i szefem pułku piechoty, a w r. 1808 sejm węgierski jednogłośnie nadał jemu i jego potomstwu indygent magnactwa węgierskiego. W r. 1809 arcyksiążę Ferdynand wezwał go, aby odezwą do wojsk księstwa Warszawskiego wydaną zachęcał też wojska i młodzież do łączenia się z Austryą. Książę Adam w odpowiedzi swéj pomiędzy innémi odezwał się w ten sposób: „wprzódy byłem polakiem aniżeli feldmarszałkiem i dlatego nigdy podobnéj odezwy nie podpiszę."

W roku następnym wykonał przysięgę na wierność księciu warszawskiemu i w 1812 stanął na czele konfederacyi, co było jego ostatnią posługą publiczną.

Od chwili cofania się wojsk francuzkich przeniósł się do Sieniawy i w Puławach już rzadko przemieszkiwał. Zgon jego nastąpił 29 marca 1829 r. w wieku lat 92. Przy końcu długiego życia książę Czartoryski zdziecinniał zupełnie. Pomięszały mu się wszystkie języki, które posiadał—grecki, łaciński, polski, rosyjski, niemiecki, francuzki, hiszpański, włoski, angielski, hebrajski, turecki, perski, arabski, węgierski i taką mieszaniną słów najrozmaitszych rozmawiał, nie będąc przez nikogo rozumianym.

Hrabia Fryderyk Skarbek na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk z dnia 5 maja 1825 r. w mowie pochwalnéj na zebraniu tém mianéj, skreślił zasługi tego światłego męża i jego działalność. Pisma jego, o ile mi wiadomo, są następujące:

a) Katechizm moralny i definicya dla korpusu kadetów.
b) Komedya: Panna na wydaniu.
c) „ Kawa.
d) „ Pyszno-skąpski.
e) „ Damy.
f) „ Gracz.
g) Myśli o pismach polskich, drukowane pod imien. Dantyszka.
h) Pamiętniki o elekcyi Henryka Walezyusza, przekład dokonany z p. Choisnin, a podpisany imieniem Turskiego.

Podobno i listy Doświadczyńskiego także jego są pióra, a że wszystkie jego prace są albo pod pseudonimami okryte, albo bezimiennie drukowane, przeto dokładnie oznaczyć je i wyliczyć trudno.

Księżna Izabella, żona księcia Adama, a wnuczka księżnéj kanclerzyny, z domu Wallenstein, pochodziła z holenderskiéj rodziny Flemingów. Ci najprzód, indygienat saski, a późniéj za Augustów i polski pozyskali. Ojciec jéj znakomity w Polsce posiadał majątek: Wołczyn, Włodawę, Izabelin, Terespol, oprócz starostw, a w Holandyi miał także dobra Gertruidensburg nazwane. Do tych przywiązane było prawo bicia monety i widziałem dukaty holenderskie, bite tamże pod stęplem ks. Izabelli z jéj wyobrażeniem w miejsce rycerza. Dobra te księżna sprzedała, czego sama późniéj żałowała często.

Wydana za mąż w czternastu latach życia, śluby te zawarła przez posłuszeństwo dla babki, u któréj, gdy matka ją odumarła, w dziecinnym wieku na wychowaniu zostawała. Chociaż książę wojewoda ruski, jeden z majętniejszych panów w Polsce z rządności słynął, związek ten wszakże skojarzony został jedynie ze względów majątkowych, bo hrabianka jako jedynaczka, całą fortunę Flemingów odziedziczyła. Ojciec jéj—o ilem z ust jéj własnych słyszał, niecierpliwym i żywym pozostał do zgonu, po polsku źle mówił i z akcentem niemieckim. To mu nie przeszkadzało piastować wielkie godności w rzeczypospolitéj, był bowiem podskarbim księstwa Litewskiego i wojewodą pomorskim. Żywość jego miała być taka, że kiedy w nocy wracał do swego mieszkania, zaraz wysiadając z powozu zaczynał zrzucać z siebie odzienie i do koszuli rozebrany dochodził do łóżka, nie zważając czy służba rozrzucone po sieni i schodach szaty zbiera. Dla tego także z księciem kanclerzem, flegmatykiem i człowiekiem sarkastycznym, nie mógł nigdy harmonizować i nie było przykładu, żeby zaproszony na obiad do niego, za stołem do końca jego dosiedział. Wolna i dłużąca rozmowa księcia Kanclerza zapalała go gniewem i porzucał teścia. Opowiadała mi nadto sama księżna, że w owéj epoce wcale nie była ładna i na krótko przed ślubem dostała ospy, która ją jeszcze więcéj oszpeciła. Dopiero koło ośmnastego roku życia nabrała téj przyjemności i wdzięków, które takiego hałasu w Polsce i za granicą były powodem.

Posiadała niewyczerpaną pamięć. Wiadomości historycznych ogromny zasób, mniéj się zajmowała literaturą. Konwersacya jéj posiadała nadzwyczaj wiele uroku, choć czasem satyryczność dziadka przypominała. Lecz mimo lekkiéj skłonności do szyderstwa, umiała być przyjaciółką, jakich trudno znaleźć, a litością i dobrocią serca współzawodniczyła z mężem. Oprócz tego polka całą siłą swych żywych i namiętnych uczuć i sentyment ten radaby przelać na wszystkich. W literaturze dwa jéj dzieła są mi znajome: jedno z rycinami, o sposobie zakładania ogrodów, — drugie: Pielgrzym w Dobromilu.

Koło roku 1787 podróżowała po Niemczech, Francyi i Anglii, w celu dokończenia edukacyi syna Adama. Moja matka odprowadziła ją do Paryża, ale ztąd, jak już nadmieniłem, z powodu spodziewanéj słabości do kraju wrócić musiała i odtąd tylko bez przerwy z sobą korespondowały. Najdłużéj zabawiła księżna w Anglii, gdzie zawiązała przyjazne stosunki z Lady Jersey, późniéj kochanką księcia Walii, następnie króla Jerzego IV. U niéj najwięcéj w czasie swojego w tym kraju pobytu przebywała, ale do zwyczajów angielskich nie mogła przywyknąć. W jednym z listów tak przed moją matką się skarży:

„Wyobraź sobie, że ci Anglicy posiadają kraj cudny, cały jakby jeden starannie utrzymywany ogród, nieprzebrane bogactwa, z któremi sami nie wiedzą co robić, oprócz tego mają ludzi światłych, kobiety anielskiéj piękności i mimo tych zasobów ciągle się nudzą. Nie znają co jest towarzyskość, co wylanie serca, przyjaźń i wszystko u nich zimne, skrzepłe, skrępowane etykietą, która w zwyczaj przeszła i od któréj jarzma wyłamać się nie umieją. Wszyscy posępni, smutni, milczący i jakby przyciśnieni ogromem nieszczęścia. O ludzie, jakże nie umiecie korzystać z darów Opatrzności! Nasza Polska sto razy lepsza i przy całéj swojéj biedzie sto razy szczęśliwsza.“

Wówczas kiedym był w stanie księżnę lepiéj ocenić, cztery rzeczy szczególnie były wyłącznym zatrudnienia jéj celem: ogród puławski, włościanie puławscy i włostawiccy, zbieranie pamiątek narodowych i obcych i edukacya panny Zofii Matuszewicz. W ogrodzie sama sadziła i szczepiła drzewka, pielęgnowała kwiaty, nakreślała plany trawników i klombów i zbierała nasiona. Włościan wszystkich znała po imieniu i nazwisku, była wszystkich protektorką, przyjaciółką i kumą, bo wszystkie ich dzieci do chrztu trzymała. Z gorliwości jéj, ujawnianéj w zbieraniu pamiątek historycznych, nagromadzało się ich wiele w świątyni Sybilli i Domku gotyckim. Tego ostatniego zbioru katalog drukiem ogłoszony, katalog zaś Sybilli w starannym rękopisie, z pracowitemi winietkami tylko był mi znany. Co do panny Zofii Matuszewiczównéj, która w niemowlęctwie straciwszy matkę pod opiekę księżnéj się dostała, znalazła w opiekunce swéj więcéj jak matkę, bo księżna o własnych swych dzieciach nie miała tyle starania co o téj sierocie. W swoim pokoju ją zawsze trzymała, sama ją pielęgnowała i ani bony, ani guwernanki nie dopuściwszy, sama ją uczyła, a kochała jeśli nie więcéj, to na równi ze swemi dziećmi.

Księżna lubiła zabawy. Prócz polonezów jednak nigdy innego tańca tańczącéj jéj nie widziałem. Chociaż wiekiem od męża znacz-

nie młodsza, bo liczyła wówczas lat 53, zawsze świeża i ruchliwa śmiało jeszcze tańcować mogła. Co do księcia feldmarszałka, ten prócz polonezów tańcował menueta i kozaka, ale tylko z jedną panią Zamojską. Już wówczas obydwa te tańce wyszły zupełnie z mody i prawie żadna z młodszych osób tańcować ich nie umiała, księżniczka Zofia tylko dla przyjemności ojca ich się nauczyła.

Apartament księżnéj znajdował się na dole, w prawym pawilonie. Ściany przedpokoju okryte były werniksowanemi karykaturami angielskiemi niekolorowanemi. W sali, któréj sklepienie utrzymywały słupy czworograniaste, znajdowały się tylko cztery stołki, na wzór rzymskich zrobione i ogromna *en stuc* porfirowa wanna. W drugim salonie na ścianach porozwieszano piękne obrazy—same oryginały. Między temi celowały: Dolabelli—wjazd Ossolińskiego do Rzymu, dziś sztychy nawet z tego obrazu przez Dolabellę robione także do rzadkości należą. Daléj pejzaż Renbrandta, ś-ty Marcin Rubensa, Samarytanka Weroneza, bydło—Casanowy, portret matki Rembrandta—przez tegoż, kobiety, Leonarda da Vinci, i Wniebowstąpienie—Van Dycka. Obok tego salonu, w którym jeśli gości Puławy nie miały, zbierano się na śniadanie i herbatę—ku ogrodowi istniały księżnéj gabinety. W pierwszym piękny pejzaż Hakerta, w drugim, holenderskimi kaflami w ściany wmurowanémi wyłożonym umieszczono małą biblioteczkę z romansów złożoną. Ztąd była komunikacya do oranżeryi. Z drugiéj strony znajdował się pokój sypialny księżnéj, a w nim wielkie portrety księżnéj Wirtemberskiéj i pani Zamojskiéj, małe dwóch synów i sześć pejzażów szkoły holenderskiéj. Te ostatnie, późniéj darowane mojéj matce są dzisiaj moją własnością.

Do najbardziéj ulubionych zabaw księżnéj należał teatr i tak zwane fety, rodzaj obrazów z żywych osób składanych i bądź na kępie, bądź w ogrodzie, bądź w salonach przedstawianych. Teatrów było dwa—jeden na dworze, na kępie,—letni, drugi nad mieszkaniem księżnéj, obok sali białéj—zimowy. Sztuki dla nich pisali poeci i literaci bawiący w Puławach, a grywali miejscowi amatorowie, a często przybyli goście. Pióra Kniaźnina, Tańskiego, Kruszyńskiego, Karpińskiego, samego księcia i księżnéj dostarczały dramatycznych utworów, a czasem przedstawiano i sztuki francuzkie. Pamiętam graną Atalią Rasyna i Menechmów Regnarda.

Co do fet, tych było takie mnóstwo i taka rozmaitość, że je opisać trudno. Dla oryginalności wspomnę jednę z zabaw do tego rzędu należących.

Ogród Puławski oddziela od Kępy Łacha wiślana, ciągnąca się od Włostowic obok Puław, Marynek do Wisły. Nad jéj brzegiem wznoszą się strome wzgórza i wapienne skały, w których groty wy-

kute. Zrobiono projekt, aby całe towarzystwo podzielić na dwie części. Jednéj zadaniem było z łodzi i statków wylądować do ogrodu, drugiéj atak ten odpierać. Zawarowane było, że skoro jedna łódź osadę swą na brzegi wysadzi bitwa już wygrana, a broni innéj jak sikawki nie można było używać. Dowódcą siły wodnéj obrany został książę Eustachy Sanguszko, a odpierającéj Stanisław Zamojski. Dwa tygodnie oznaczono do potrzebnych przygotowań i głównie czasu tego użyto na sprowadzenie mnóstwa ręcznych i dużych sikawek i przygotowanie strojów tak dla siebie jak i dla ludzi zaciągniętych pod swe zwierzchnictwo. Stroje te musiały być odpowiednie do przypuszczenia, że nikt na sucho nie wyjdzie i że przystojność zacna wymagała, żeby turniéj ten wobec dam odbywać się mający, w niczem uczuć ich nie obrażał. Obmyślano rodzaj spancerów kazimierkowych spinanych, chustki na szyje białe, kapelusze słomiane, dolne ubrania także Kazimierkowe i buty z cholewami. Damy podzieliły się także na stronnictwa, a każda swego rycerza wstążką u kapelusza i dewizą udarowała. Dwa razy w ciągu miesiąca ponowiono tę zabawę i kiedy się zaczynała odpychano statki od brzegów długiemi żerdziami, i tak z rzeki jak i z brzegów wzajemnie na siebie masę wody wylewano. Jeden galar o mało nie zatonął taką masą wody go zalano i musiał się poddać, ale jak za jednym tak za drugim razem wybrzeże zdobyto.

Na zabawę tę przybyło także mnóstwo osób z Warszawy, a pomiędzy nimi kilku emigrantów francuzkich: ks. Fleury, ks. Grammont i Vicomte de Vassy, odznaczający się tem że po stracie oka nie nosił plastra, lub innéj osłony, jak to robią inni, ale miał oko szklanne wprawne, jak hr. Neuperg, drugi mąż wdowy po Napoleonie. Było zwyczajem przyjętym w Puławach, że każdy przyjeżdżający miał dodanego służącego na swoje rozkazy i nawet jeśli kto żądał na kilka osób oddzielnego do stancyi swojéj obiadu, herbaty, kolacyi, ponczu, lodów, cukrów—to wszystko ze skwapliwością mu dostarczano. Również udzielano do spacerów pojazdów lub koni wierzchowych. Rozkaz ten zaś rozciągał się nietylko do znakomitości, ale nawet my, młodzież tych samych hojności doznawaliśmy dowodów i częstokroć śniadania i podwieczorki wyprawialiśmy dla sproszonych. Co zabawniejsza, że często na owe partye, na których jako siurpryzę przygotowywano jakąś fetę w tajemnicy, zaproszono samych gospodarzy, którzy tym sposobem własnym swym kosztem byli traktowani. Owóż, kiedy wspomniany p. Vassy rozbierał się, kazał przynieść służącemu, dodanemu mu do usługi szklankę wody i, położywszy się w łóżko, wyjął oko szklanne i do wody wpuścił. Służący stał nieporuszony mocno tem zdziwiony czekał. P. Vassy, chcąc spać, zapytał go, cze-

goby czekał. Dobroduszny Maciuś odrzekł: Czekam, żeby JWPan drugie oko wyjął.

Większą część młodzieży, mieszkającéj w Puławach, opatrywali rodzice hojnie, aby w miejscu tak świetném i w ubiorze i w potrzebach niedostatku nie okazywała. Panowało więc między nią wielkie marnotrawstwo, a każdy chciał pokazać się panem i hojnym. Nie raz za podanie piórka do zębów dawano dukata. Jedną z przyczyn głównych tego zbytku był książę Dominik Radziwiłł, któremu opieka rocznie 200.000 złp. na jego fantazye płaciła i który, nie wiedząc co z pieniędzmi témi robić, siał je na los szczęścia garściami. Za popędem przez niego danym liczba wydatków stawała się ogromną, każdy dla siebie, służących, których przy osobie swéj trzymał, musiał sprawiać ubiory, a pieniędzmi na wszystkie strony rzucać sowicie.

W podobném życiu sześć lat przepędzałem, z początku jako dziecko, później jako młodzieniec i korzystałem nietylko z nauki, ale i z zabaw, bo w Puławach młodych ludzi od towarzystwa nie odprawiano nigdy; rozmowa osób wysoko wykształconych wpływała na rozwój umysłów znakomicie. Przyjazne związki najściślejsze łączyły mnie z Hallerem, Stanisławem Hemplem, towarzyszami mojéj nauki, Jerzym Białopiotrowiczem, Puzyną i Radziwiłłem.

Puławy uległy zmianom co do ogółu budowli zamieszkanych, czyli pałacowych. Główny gmach, postawiony na cyplu znacznéj spadzistości wygazonowanéj, u schyłku tejże do Łachy wiślanéj, stu dwudziestołokciową płaszczyzną od niéj przedzielony. Przed księciem wojewodą ruskim służył on za wieżę i bramę obronną przewozu na Wiśle, która płynęła w miejscu, gdzie obecnie jest Łacha. Książę wojewoda bramę tę przerobił na pałac, architektura którego była dosyć oryginalną. W środku wznosił się korpus o dwóch piętrach w kwadrat podłużny, od strony południowéj dwoma pawilonami i czworobocznemi wieżami opatrzony. Na dole tego korpusu ganek, utworzony przez wsparcie wielkich schodów z ciosowego kamienia na arkadach. Schody te z dwóch stron zewnątrz budowli cały front zajmowały i prowadziły tylko na pierwsze piętro.

Na dole wielka sień flizami szwedzkiemi wyłożona, któréj sklepienia spoczywały na kolumnach porządku doryckiego. Ztąd drzwi na lewo prowadziły do apartamentów księżnéj, już przez księcia feldmarszałka przybudowanych i na prawo do biblioteki. Frontowemi drzwiami po kilku schodach zstępowało się do rodzaju szyi tak szerokiéj jak schody, a wiodącéj do salonu kształtu nieforemnego, którego ściany były ozdobione płaskorzeźbami, wyobrażającemi sceny mytologiczne. Salon ten przez lat kilka stał pustkami, a ztąd mnóstwo

do niego wiązało się baśni o strachach. Z salonu na prawo i na lewo, schody nie oddzielane nie tylko przedpokojem ale nawet drzwiami wiodły do dwóch wież, z których w każdéj znajdowały się apartamenta z trzech pokojów złożone. Dopóki całéj téj części na bibliotekę nie zajęto w apartamentach tych mieszkała moja matka. Co do salonu samego powszechnie utrzymywano, że z nastaniem nocy satyry i bachantki schodziły z płaskrorzeźb i straszne wyprawiały harce, inni zaś przysięgali, że słyszeli granie na fujarkach i trąbkach. Choć więc salon ten nie stanowił komunikacyi głównéj, korzystała z tych bajek młodzież i straszyła najczęściéj panny służące, zabierając się czasem i do osób poważniejszych. To było powodem, że płaskorzeźby zniszczono, a salon wraz z apartamentami po prawéj zajęto na bibliotekę. W kącie na prawo znajdowały się kręcone schody kamienne aż na dach prowadzące.

Na pierwszém piętrze tak od wejścia od schodów zewnętrznych, jako téż kręconych znajdował się obszerny salon, flizami wykładany i który pospolicie służył za jadalnią. Ztąd wchodziło się do sali zwanéj *białą*, gdyż cała sztukateryami tego koloru była wyłożona, a dwa ogromne kominy i parę pieców dostarczały tu w zimie potrzebnego ciepła. Nad kominami wisiały dwa portrety Lwa Sapiehy i Stefana Czarnieckiego, naturalnéj wielkości, ale nieosobliwego pędzla krajowego, w środku zaś pyszny także naturalnéj wielkości portret Maryi Ludwiki, królowéj polskiéj, pędzla Van Dycka. Niedaleko od wchodowych drzwi ustawiony był bilard i ta część sali przeznaczona także do gry w szachy i karty. W przeciwnym rogu stół okrągły, obszerny, mogący więcéj jak dwadzieścia osób wkoło siebie przyjąć. Tu w zimie podawano herbatę i całe poważniejsze towarzystwo zajmowało się tu gawędką, aż do jedenastéj w nocy. Młodzież, jeśli nie tańcowała, po rozejściu się starszych przy tym stole także w gry umysłowe zabawiać się lubiła. Najulubieńszą z nich była tak zwana w *punkciki*. Polegała ona na tém, że jedna osoba układała jakiś frazes i stawiąc tylko początkowe wyrazów litery, resztę wypełniała kropkami i drugiéj osobie do odgadywania dawała. Szczególniéj zakochani lubili się tą grą zatrudniać, w doborze bowiem słów do odgadywania podawanych mogli wyrażać swe sentymenta, znaczenie ich utajając dla otaczających w wyrazach dwuznacznych.

Z sali białéj przechodziło się do drugiego, mniéj obszernego salonu, którego ściany wybite były jedwabną materyą chińską, zahaftowaną rozmaitego kształtu drakonami. Póżniéj ozdobę tę zamieniono na popielate marmoryzacye. Komnata ta w niedzielę służyła za miejsce do nabożeństwa i w końcu jéj umieszczona mała kapliczka zawsze bywała zamknięta i tylko w czasie mszy ją otwierano.

W czasie nabożeństwa damy siedziały na krzesłach, a książę feldmarszałek słuchał go zawsze stojący, żeby więc staruszka nie mordować zbytnio, starano się jak najprędzéj odmawiać modlitwy. Najbieglejszym w tym względzie był ksiądz Dąbrowski, proboszcz Międzyborski i jego msza nie trwała więcéj jak dziesięć minut. Ksiądz Laville najmniéj znowu był sprawny, bo trzy kwadranse czasu dla odprawienia mszy potrzebował. Tu wieczorami młodzież się bawiła do czasu, póki starsi nie odstąpili jéj sali białéj.

Z tego salonu przechodziło się do tak zwanéj sali złotéj. Ta miała kształt szczególny, a ściany jéj całe były w żwierciadłach i złoconych floresach. Części stanowiące czworoboki były niższe od owalu środkowego, ozdobionego malowidłami Boucher. Meble tu kształtu starożytnego, kanapy i taborety wyzłacane, pokryte złotogłowami lugduńskiemi. W całym górnym apartamencie jeden tylko ten salon miał meble wysokiéj wartości. Tutaj zwykle tańcowano.

Ztąd drzwi na prawo prowadziły do apartamentów cesarskich, nazwanych tak na pamiątkę tego, że w nich mieszkał Cesarz Aleksander. Były to trzy pokoje, z których czwarty za pomocą przepierzenia zrobiony. Najobszerniejszy zieloną materyą wybity i pejzażami Norblina ozdobiony.

Ze złotéj i chińskiéj sali duże okna aż do ziemi wychodziły na balkon ciosem wyłożony, z którego odkrywał się piękny widok na przeciwległy brzeg Wisły. W rogach północnych znajdowały się dwa apartamenta, lecz te już nie do korpusu, ale do pawilonów należały i o nich mowa będzie niżéj.

Drugie piętro, na które wiodły schody kręcone, składało się tylko z dwóch salonów ogromnych i małéj komórki. W jednym z nich mieszczono pospolicie kilku młodzieży, dłużéj w Puławach bawiących, drugi zaś służył za skład głów drewnianych, z zamku krakowskiego zdjętych. Względem tych głów utrzymywała się legenda, że kiedy Zygmunt August jakąś sprawę sądził i skłaniał się do wydania wyroku niesprawiedliwego, one przemówiły: *Auguste-judica juste* i od téj chwili usta miały otwarte. Tu naznaczono kwaterę dla służby męzkiéj, ale jakże poczciwych Maćków przekonać, żeby spali wraz z drewnianemi głowami, które gadają. Póki więc głów tych nie przeniesiono do domku Gotyckiego lokaje wszyscy gnieździli się gromadą w małéj i ciasnéj komórce.

Dach ponad całym korpusem płaski, miedzią kryty, balustradą z ciosu okolony, na któréj ustawione z blachy dętéj rozmaite figury i armatura. Środkowa z nich przedstawiała olbrzymiego herkulesa, czy téż Atlasa, na barkach swych świat dźwigającego. Nad schodami

zewnętrznemi umieszczono dwa marmury z napisami, że budowa ta jest dziełem Augusta i Zofii Czartoryskich.

Za księcia feldmarszałka dobudowano na lewo dziedzińca pawilon, gdzie na dole znajdowały się już opisane apartamenta księżnéj, a na górze teatr, komunikujący się z salą białą. Pawilon prawy nie został nigdy dokończony. W nim mieszkał książę i mieściła się biblioteka, na górze zaś dwa apartamenty zachowane stale dla księżnéj Wirtemberskiéj i pani Zamojskiéj.

Prócz tych budynków, stanowiących całość pałacu, dotykały do nich dwie oficyny murowane, piętrowe i trzecia podobnaż dwupiętrowa, w któréj było archiwum i mieszkali oficyaliści. Między oficynami był czworoboczny dziedziniec. Z oficyną od strony ogrodu pałac był złączony dwoma cieplarniami, w których środku perystyl z kolumn jońskich stanowił wejście do ogrodu.

Ogród założony pierwotnie w guście włoskim, przez księżnę Izabelę zamieniony został na angielski. Zachowano tylko jedną ulicę lipami zasadzoną, która dopierała do końca góry i na któréj końcu wystawiono świątynię Sybilli, na wzór téj, któréj ruiny w Tivoli się znajdują. Aigner kierował pracami a dla naśladowania skał; sprowadzano zimową porą na saniach i walcach ogromne odłamy granitu, do których zaprzęgano po sześćdziesiąt par wołów. Od świątyni druga aleja lipowa w kształcie *berceau* wiodła do oranżeryi górnéj; po za którą znajdował się folwark, zwany Żulinki. Tu był mały domek mieszkalny i małe gospodarstwo, w którém hodowano szczególne gatunki drobiu i sześć *ponejów* karych, tak dużych jak brytany, któremi księżna zwykle na spacer jeździła.

Daléj rozciągał się obszerny, obmurowany ogród warzywny i fruktowy z czwartą cieplarnią, jedynie na stapelie i kaktusy przeznaczoną. To wszystko stanowiło ogród właściwy. Do niego od strony wschodniéj przytykał lasek, zwany *dziką promenadą* gdzie znajdował się sarkofag rodziców księstwa z kararyjskiego marmuru we Włoszech wykonany, a przez księcia Adama syna, kiedy był posłem przy królu Sardyńskim, tutaj przysłany. Za laskiem prześliczny pałacyk Marynkami zwany, w guście włoskim, z płaskim dachem przez Aignera dla książąt Wirtemberskich postawiony. W czasie wielkich zjazdów gości w nim także lokowano. Tu także oprócz pięknego salonu *en stuc blanc* z marmurowym kominem, w oknie umieszczonym, znajdowało się kilka cennych obrazów Norblina. Przy Marynkach była piąta oranżerya.

Od Marynek, w stronę Wisły rozciągał się wzdłuż Łachy tak zwany ogród dolny. Upiększały go smagło wzrosłe sokory, po trawnikach rozrzucone. Od punktu, gdzie Sybilli świątynia rozpoczyna-

ła pasmo górzyste, powykuwano w wapiennym pokładzie groty, a część ich z ziemi oczyszczona tworzyła skały, na których umieszczono napisy bądź z poetów łacińskich, polskich i francuzkich, bądź wspomnienia poświęcone pamięci nieżyjących osób, dla ukochanéj mojéj matki, po jéj zgonie kamień pamiątkowy w górnym ogrodzie położono, a dziwną koleją rzeczy ludzkich zacna pani, która utworzyła ten cały ogród cudowny, która każdego przyjaciela pamięć chciała w nim potomności przekazać, sama nic, coby o niéj mówiło nie uzyskała.

Przy grotach mieszkał pustelnik, miał w jednéj jaskini kaplicę i odwiedzających graniem na kobzie i teorbanie zabawiał.

Na Łasze most drewniany o jednym łuku, śmiało rzucony stanowił bliższą komunikacyą z kępą, a po za Łachą obszerna łąka zamykała się lasem z odwiecznych sokorów złożonym. Niektóre z nich miały bajeczne i co do grubości i co do wysokości rozmiary.

Naprzeciw pałacu na dole postawiono statuę Tankreda i umierającéj Kloryndy, a obok biła fontanna na trzydzieści stóp wysoko. Daléj zarośla z kasztanów, wśród których znowu sześć fontan, a nakoniec w cyplu sformowanym przez złączenie się Łachy z Wisłą Chiński czerdak, ocieniony wiekuistemi kasztanami. Za czerdakiem drugi ogród kwiatowy, warzywny i szósta oranżerya z cieplarnią. Z ogrodu dolnego sto schodów w obmurowaniu prowadziło do górnego a w tym ostatnim, zanim wystawiono Domek gotycki znajdował się duży salon otwarty z przodu i niemający frontowéj ściany, tylko zamiast niéj smukłą kolumnadę. Obok niego cztery pokoje, po dwa z każdéj strony, które także oddawano na mieszkanie młodzieży.

Nie opisuję Domku gotyckiego, bo ten jest sztychowany, jak również drukiem ogłoszony katalog zbiorów w nim zawartych, natomiast za obowiązek uważam obszerniéj pomówić o Sybilli.

Przy schodach u wejścia do niéj ustawiono dwa sfinksy z porfiru Ingryjskiego, dar cesarza Aleksandra, równie jak kopuła szklanna, sklepienie kończąca, a która oświecała wnętrze. Posadzka z wielkich płytów białego marmuru, ściany biało *en stuc* marmoryzowane, a kornisze (gzymsy) i sklepienia ubrane w bogatą ornamentykę. Cała budowa zawierała jeden salon okrągły, z framugą naprzeciw wejścia zasłoniętą karmazynową aksamitną oponą z kutasami i frędzlami złotémi, zawieszoną na brązowéj strzale. Po za nią zawieszone były miecze historyczne jak Władysława Jagiełły, przysłany przez wielkiego mistrza krzyżackiego w wilię bitwy Grundwaldzkiéj,—Stefana Czarnieckiego itp. W środku framugi, naprzód wysunięty postument

na którym ustawiona szkatułka hebanowa, w złoto i drogie kamienie oprawna, w któréj przechowywano łańcuchy, pierścionki i zegarki naszych monarchów. Pochodziły one po większéj części z grobowców królewskich na Wawelu i za wyjęcie ich księżna sprawiła lampę srebrną do grobu św. Stanisława, która dotąd nad grobem tego świętego jest zawieszona. Najciekawsze w tym zbiorze łańcuchy Zygmunta Starego, Zygmunta III, Batorego, królowych Anny, Cecylii Renaty i zegarki roboty Zygmunta III.

Na ścianach ułożone w sposobie trofeów starożytne zbroje książąt Ostrogskich, Zasławskich, Sapiehów, oraz sajdaki, łuki i strzały. W około ścian wielkie szafy półkoliste mahoniowe, w szufladach których niezliczone mnóstwo pamiątek. Jedne drogocenne, inne nie odznaczające się wartością, ale ważném wspomnieniem. Do rzędu tych ostatnich zaliczyć należało burkę hetmana Żołkiewskiego, koloru płowo żółtego, grubo pikowaną, w któréj pod Cecorą poległ. Były na niéj ślady krwi i miejsca przebite, w które rany otrzymał. Była ta burka tak ciężka, że trudno ją było kilka minut na ramionach utrzymać. Do pamiątek cennych jako wartość należą buławy słynniejszych hetmanów, laski marszałkowskie, szable znakomitych rycerzy, puhary, tabakierki, rogi, trąbki itd.

Na szafach ustawiano piękne starożytne szkatułki, wszystkie pamiątkowe, historyczne. Pomiędzy niémi wazon z kości słoniowéj przez Kościuszkę wyrobiony misternie, ręka Jana Kochanowskiego, czaszka Żołkiewskiego, i szczątki kości Bolesława Chrobrego.

Co do tych ostatnich ja świadkiem jestem, że są one autentyczne. W r. 1808 przejeżdżaliśmy przez Poznań, gdzie jak wiadomo ciało Bolesława spoczywa w tumie czyli kościele katedralnym miejscowym. Ponieważ gmach ten spłonął i groby więc w tym pożarze nadwerężone zostały. Zamierzono postawić nowy pomnik dla Bolesława i w tym celu subskrypcye otworzono, biskup poznański Górzyński wyjął owe kości Chrobrego z grobu, schowano je w skrzynkę, opieczętowaną pieczęciami biskupa i kanoników i złożono tymczasowo w zakrystyi.

Owóż księżnę ogarnęła chęć posiadania jakiéjś cząstki tych drogich pamiątek i z tym uporem pragnącéj czegoś gorąco kobiety, zapowiedziała, że póty z Poznania nie wyjdzie, dopóki celu swego nie dopnie. Na jéj prożby biskup sam w asystencyi kanoników skrzynkę otworzył, a przytomny temu doktór Khitel wskazał, że znajdują się trzy czaszki zamiast jednéj. Że Mieczysław I w Poznaniu także pochowany, oczywista więc rzecz że zwłoki syna obok ojca spoczęły. Trzecia czaszka jest czy Mieczysława II, czy Dąbrówki. Kiedy Khitel nad otwartą skrzynką spostrzeżenia swoje czynił, a księża się na

niego gapili, księżnéj i pannie Zofii Matuszewicz udało się parę ułamków przywłaszczyć.

Wracając do życia dworu Puławskiego, wspomniéć trzeba, że tańce wówczas były inne, aniżeli obecnie. Polonezy jedne miały przywiléj rozpoczynania balów, ale tańczono je z większą powagą, a szczególniéj przy przemianach i podawaniu ręki starano się w postawie obu płci wykazywać wiele gracyi, co w istocie nie jest łatwém i wtedy nawet nie wiele znajdowało się osób, które godnie w pierwszéj parze iść mogły. Polek nieznano wcale, a walce oryginalne, bez żadnych dodatków najwyżéj raz lub dwa razy w ciągu balu tańczono. Jedne z uprawianych podówczas tańców, które stanowiły uciechę dla widzów, były Fandango z kastanietami, menuety i kozaki, tańce przeważnie solowe. Towarzyskiemi były kadryle, ale nie francuzkie, Ecosez, krakowiaki i mazurki. Na końcu balu przychodziła kolej na *Gross-Vater*. Wszystkie dzisiaj nie będące w użyciu. Po wkroczeniu wojsk francuzkich nastały gawoty, i kadryle francuzkie, które despotycznie wyrugowały poprzednie.

Na stajni w Puławach utrzymywano koni wierzchowych trzynaście, cugowych ośmdziesiąt. Powozy wszystkie kształtu starożytnego, o których już dzisiaj trudno dać wyobrażenie. Ubiór stangretów stanowiły ferezye białe. Codziennie kilka koni wierzchowych zachowywano do dyspozycyi księcia, na innych jeździła młodzież, bądź na rajszuli, bądź na spacery w miarę czasu i okoliczności. Oprócz tych jednak większość miała także własne konie wierzchowe i kiedy całe towarzystwo w lecie jeździło na herbatę do Parchatki, Buńki lub Wólki, wtedy powozy z damami otaczała młodzież męzka na koniach.

Na czele służby stali kamerdynerowie, zawsze czarno ubrani, którzy oprócz obowiązków około księcia i księżnéj, nadzorowali także roznoszenia potraw. Lokaje ubrani byli w zielono jasne fraki z ponsowym kołnierzem i galonami, a w dzień powszedni w szaraczkowe jasne surduty z czarnemi aksamitnemi wyłogami. Tych było mnóstwo, bo oprócz do posługi przy stole, każdy gość miał przeznaczonego z nich jednego, do jego osoby. Prócz tego stale utrzymywano dwunastu hajdaków ubranych w suknie węgierskie zielone z czerwoną pasmanteryą i kilkunastu pachołków w długich opończach zielonych. Pierwsi nosili potrawy, drudzy załatwiali rozmaite drobne posługi i trzymali straż nocną.

Wydział marszałkowski, to jest koszta stołu, piwnicy i światła pochłaniały rocznie z górą 800.000 złp.

Książę feldmarszałek, o ile sobie dzisiaj przypomniéć mogę, posiadał następujące dobra:

W Nowéj Galicyi: Końskowolę z Puławami do stu tysięcy złotych rocznéj intraty czyniące. Daléj Samoklęski, Zakrzówek, Przybysławice, Garbów, Puhaczów, Tarnogórę, również ze 100.000 złp. przynoszące, Międzyrzec za 200.000 złp. Włodawę i Rożankę do 50.000 złp., i oprócz tego starostwo Latowickie.

Na Żmudzi starostwa Pienionskie i Kupiskie.

Na Litwie dobra Kossów i Wołczyn, dające intraty trzykroć sto tysięcy złotych.

Na Podolu klucze: Klewański, Żukowski, Mikołajewski, Zieńkowski, Międzyborski i Granowski, które do trzech milionów intraty przynosiły.

Ogół intrat liczono do sześciu milionów złotych, dobrami temi zarządzali komisarze i ci w jesieni z intratami i rachunkami do Puław się zjeżdżali. Książę Konstanty przy pomocy oficyalistów rachunków ich słuchał i zdarzało się często, że z dóbr podolskich do czterech milionów przywożono. Transport szedł pod strażą kozaków Granowskich.

Folwark Bukaczów na Pokuciu dostarczał tylko kapłonów na kuchnię, a te były tak wielkie, że i Normandzkim nie ustępowały.

(*d. c. n.*)

PIONIEROWIE GOTYCYZMU W POLSCE.

ARCHITEKTURA CYSTERSKA I WPŁYW JÉJ POMNIKÓW NA GOTYCYZM KRAKOWSKI XIV WIEKU.

(Dokończenie).

II.

W głębi dziedzińca *Sulejowskiego* klasztoru, za murami klasztorów *Jędrzejowa* i *Wąchocka*, widnieje ścisła grupa budowli przyczepionych do kościoła, gmachy to wielkie, opustoszałe, a jak w *Koprzywnicy* w części rozburzone. W *Mogile* pod Krakowem, zamieszkałe są dotąd, wskazując jeżeli nie dawny obyczaj mieszkańców w ścisłości średniowiecznéj, to ich strój i pobożność (?). To *claustrum*, klasztor właściwy, miejsce pobytu pokoleń Cystersów przez wieki, którego rozkładem lokalności kieruje obyczaj dawny. W XIII wieku dostęp tu świeckim wzbroniony, broni wejścia nowa furta z rozmównicą — i kościół ten wielki obszerny dla ludu zamknięty!

Jakkolwiek z dyplomataryuszów klasztornych, z tych kart pargaminowych, któremi utwierdzali książęta swoje i cudze darowizny, łatwo da się wyprowadzić ścisła data fundacyi każdego klasztoru, zaznaczyć stopień generacyi a więc i pochodzenie mnichów; początkiem klasztoru dla naszych celów jest chwila w któréj w Jędrzejowie, Wąchocku, Koprzywnicy, Sulejowie i Mogile stanęły te mury, które dotąd w częściach lub w całości dają dowód życia sztuki średniowiecznéj. Widzieliśmy bowiem, że obdarowani posiadłościami od fundatora długo namyślają się, gdzie najstosowniéj stały gmach pomieścić. Kronik klasztornych nie mamy, któreby zapisały epokę budowy, — styl budowli zaznacza nam epokę a potwierdzenie sądu w tym kierunku przynoszą te przywileje, na których czytamy: *in consecratione ecclesiae*, spisano je bowiem przy poświęceniu kościoła po jego ukończeniu. W r. *1210* biskup Wincenty Kadłubek, ten sam któ-

ry usunął się dobrowolnie ze stolicy krakowskiéj w zacisze klasztorne, ten sam, który w poczet świętych Cysterskiego zakonu policzony został, poświęca świeżo co ukończony kościół klasztorny w Jędrzejowie. Od téj daty zmieniał kościół i klasztor szatę swoją stylową razy wiele, została mu sukienka XVII wieku, przedłużyły się części kościoła, ale biegłe oko dostrzeże, że podwaliny, że detaile, tu i owdzie ukryte, należą do XIII wieku. Pomimo więc, że klasztor funduje Janik r. 1154, dla nas jest on XIII-owiecznym zabytkiem.

Roku *1207*, wedle zapisków tak zwanych koprzywnickich, które ogłosił Bielowski w III tomie Monumentów, budują kościół i część klasztoru w Koprzywnicy, przynajmniéj tak tłómaczyć musimy wyrażenie *templum fundatur clara provincia Christo*, — kościół fundują Chrystusowi w Koprzywnicy, co ze stylem kościoła dzisiejszego i reszty klasztoru zgadza się wybornie. Klasztor fundują Bogorye r. 1185. Daty budowli Wąchockich oznaczyć nie umiem, fundowany r. 1179, jeszcze w r. 1210 był— zdaniem Helcla—we wsi *Kamiena*, w powiecie Szydłowieckim, zatém budowy w Wąchocku stanęły znacznie później.

Roku 1232 poświęcano dzisiejszy kościół w Sulejowie, erygowany 1179, — Mogilski dokumentnie pochodzi z r. 1266, przynajmniéj Prandota tego roku go poświęca, a r. 1253 już się buduje.

Z dat tu przytoczonych pokazuje się, że gdyby wszystkie te cysterskie kościoły dochowały się w pierwotnéj czystości architektonicznéj, mielibyśmy materyał do historyi architektury w kraju, zapełniający pierwszą połowę XIII wieku, a nawet przekraczający w drugą. Ale najpiękniejsze dzieła średniowiecznéj architektury zrozumianemi nie będą, jeżeli zapełniły się obcemi elementami sztuki ostatnich epok, dziełami baroka. Pierwotny architektoniczny charakter wnętrzy, ginie też w tych naszych kościołach przy ołtarzach zepsutego smaku i przy lichych sprzętach. Pomalowanie ścian w bombastyczne produkcye malarza XVIII wieku, podrapane tynki, przesadne formami olbrzymie stalle i ambony, wrzaskliwe kontrasty chorągwi i feretronów, nie zawsze mogą dobrze usposobić widza do zabytku. Taki stan jest zwykłym pięciu naszych kościołów i potrzeba wprawnego oka, żeby w pośród tego chaosu widziéć jedynie tylko szkielet architektoniczny, niedotknięty przez nowych barbarzyńców, ubrany w dawną polichromią, ze stallami i ołtarzem romańskiemi, z posadzką we wzorzyste desenie. Przedsmak takiego stanu dają nam nawy boczne romańskie z restaurowanego kościoła w *Mogile*, że o prezbiteryum jego z powodu ołtarza wielkiego barokowego nie wspomnę. A jednak dość spojrzéć na zewnętrze kościoła w Wąchocku, który za najlepiéj z wierzchu dochowany uważać musimy, na świątynie

w Koprzywnicy i Sulejowie, aby doznać wrażenia jak od monumentalnéj niezwykłéj budowy.

Przyzwyczajonym do kościołów naszych, pospolicie otynkowanych zewnątrz i wrzekomo ozdobionych gipsaturami, dziwnie imponuje każda budowa z szlachetnych kamiennych ciosów czysto zbudowana. Te szychty wielkich bloków, starannie obrobionych podobają się, bo zaznaczają życie statyczne, ten jak widzieliśmy warunek estetyczny architektury. Najpiękniejszy cios, w sztukach wielkich umiejętnie obrobiony i wiązany, tak zwany *grand appareil* jest materyałem naszych kościołów z wyjątkiem ceglanego mogilskiego. Ten dobór kamienia twardego, zbitego piaskowca w dwu barwach szaréj i ciemno-czerwonéj, tworzącego pasy na zewnątrz kościoła w Wąchocku, przypominający Sieńską katedrę — ten wapień jędrzejowskich budowli i szlachetny materyał Sulejowskiego i Koprzywnickiego, szczernione czasem, zwracają najprzód na się uwagę. Ale to nie dosyć; możemy się dziwić nad rozumem Cystersów, owych przybyszów z dala wpośród nas, którzy umieli wyszukać materyał kamienny wyborny, do budowy jedyny, pouczyć miejscowych ludzi obchodzenia się z nim przy ciosaniu i rzeźbieniu, ale większy podziw w nas budzi rozumny układ planu naszych cysterskich kościołów i konstrukcya sklepień w związku z tém stojąca.

Historya architektury w Polsce notuje po raz pierwszy kościoły o bogatém rozwinięciu planu i o zasadzie sklepieniowéj— z chwilą czynności Cystersów na tém polu, a więc przy końcu XII wieku.

Pomniki romańszczyzny, jakie pod tą datą powstały u nas w kraju, są dość liczne i znamy je zbliska. Studya, których nad nimi dokonaliśmy, postawiły nas w możności obeznania się z ich pierwotnym układem. Wieki XVI, XVIII zawiele bawiły się przerabianiem kościołów, aby bez kłopotliwszych studyów i pewnego dowcipu, opartego na znajomości pomników lepiéj zachowanych, przyjść do tego było można. Za zasługę przyznaje sobie autor, że wielu zabytkom, choć na papierze, powrócił dochodzeniem pierwotną szatę. Inaczéj nie zbiera się materyału do historyi sztuki, a pozostawiam czyniącym igraszkę z umiejętności rezonowanie bez gruntownéj znajomości pierwotnej szaty pomników romanizmu naszego. Zabytki romanizmu Wielkopolski zarówno jak Małopolski i Mazowsza (katedra płocka, Czerwińsk), mają wiele motywów piękna a nawet plany dość rozwinięte, ale bądź co bądź są to wszystko bazyliki pułapowe z małym bardzo wyjątkiem. Z wyjątkiem *płockiéj katedry* o filarach i kolumnach naprzemian rozdzielających nawy, wszystkie inne są *filarowe* nawowe. *Katedra kruszwicka,* dzieło XI wieku, najstarsza po ruinach *kościołka na Ostrowiu lednickim. Tum Łęczycki* z XII

wieku, — kościoły: w *Inowrocławiu* i *Strzelnie* w *Wysocicach, Kościelcu, Gieczu, Lubinie* i t. p., jakkolwiek mniéj lub więcéj po romańsku się przedstawiają i dochodzą rozmiarów znacznych, sklepionemi nigdy pierwotnie nie były. Świadczą one o rozwoju sztuki, o stosunku z zachodem; ale podobnie, jak we Włoszech, konstrukcya sklepień nie zajmowała budowniczych, a łatwość dostania belek rozmiarów znacznych w naszym kraju lesistym, kazała poprzestawać na pułapach. Sklepienie niemniéj w téj epoce znaném u nas jest i natrafiamy nań w kościele *św. Prokopa w Strzelnie*, w lokalnościach dolnych wież *kościoła w Inowrocławiu*, a najbogaciéj uposażoną w nie jest *krypta na Wawelu*, dzieło Władysława Hermana, jeżeli nie Krzywoustego. Wszystkie jednakowoż te okazy nie mogą mierzyć się z zadaniem—zasklepienia wysokiéj nawy kościoła, są tu bowiem przestrzenie drobne, kwadratowe, widać téż i w budowie sklepienia wawelskiéj krypty, pewne dochodzenia, jak to wskazują spotkanie się nieregularne gurt na abakusach, wolno stojących kolumn. W naszych cysterskich kościołach Małopolski, w pół wieku po zbudowaniu Tumu łęczyckiego, owego arcydzieła swego czasu, zjawia się sklepienie w budowie nawowéj o bogatém nakreśleniu planu.

Odległe wiekiem i przestrzenią wielomilową budowy, mają kościoły nasze cysterskie pewien wspólny typ w układzie planu, jeden niemal charakter stylowy: wszystkie są w formie krzyża, mają nawy boczne niskie i krótkie, prostokątnie zamknięte prezbiteryum, z kaplicami po bokach. Brak wież jest im wspólnym, a przedewszystkiém odznacza je skromność ornamentacyi, szlachetna powaga proporcyi i ten rytm organiczny całości, co je odróżnia od współczesnych parafijalnych i katedralnych kościołów.

Układ planu, stojący w związku z konstrukcyą, wypłynął pracą lat poprzednich w gniazdach sztuki, — typ i charakterystyka poszła z obyczaju cysterskiego, prostota w zdobieniach, wywołująca znaczenie proporcyi i organicznego nastrojenia w harmonijnym rytmie, wynikły ze zdolności artystycznych Cystersów, prowadzonych myślą wyrażoną w liście ich najwyższego przedstawiciela — św. Bernarda, do Wilhelma opata. Jeżeli mniemanie o wspólnym typie cysterskich kościołów w całym świecie przez wszystkie epoki sztuki średniowiecznéj, głoszone do niedawna, okazało się przy bliższém zbadaniu pomników w Niemczech błędném, to sądząc z tych pięciu kościołów naszych, musielibyśmy przyznać, że jest prawdziwém. Ale zważywszy, że przybyli architekci wprost z siedliska sztuki, z Burgundyi, do budowy najstarszego kościoła w Koprzywnicy przynieśli pojęcie planu, będące tam na porządku chwili, i że nie mogła wpłynąć na odmianę jego sztuka miejscowa jak w Niemczech, bo tak

wybitnemi jéj pomniki nie były, — zrozumiemy tę jednolitość ich planów.

Koprzywnica, Sulejów a głównie Wąchock, mają kościoły najmniéj przeistoczone, trochę więcéj Mogilski, a w Jędrzejowskim już tylko badacza oko zdolne dostrzedz myśl pierwotną budowli XIII w. Gmachy to wyniosłe, wydłużone, zawsze w kierunku z zachodu ku wschodowi, których długość przeżyna poprzecznie ustawiona nawa, tworząc formę krzyża wyniosłémi dachami; na przecięciu zaś dachów pod kątem prostym, sterczy sygnaturka w stylu nowszych czasów, czasem tak olbrzymia jak w Koprzywnicy, że aż przygniata obszarem swym całą budowę kościoła. Forma krzyża wywołuje piękny efekt mas załamywaniem się ścian głównych, do których czepiają się u przodu niskie nawy boczne pulpitowemi pokryte daszkami; cztery wysmukłe facyaty z frontonami zaznaczają ramiona krzyża: jedna z nich wiąże się z klasztornym gmachem, inna zamyka kościół po za wielkim ołtarzem, przodkowa przepruta dołem w bogaty romański portal, ostatnia zwrócona jest ku ogrodom, dawniejszym cmentarzom klasztornym. Ogół to dobrze pomyślany, z delikatném jak w Wąchocku poczuciem proporcyi.

Obok wspólności ogólnego planu, indywidualność artystyczna w każdym gmachu naszym odmienną jest, jak skoro różnice czasu budowy przynoszą nowe motywa piękna. Widzimy te różnice zarówno zewnątrz jak wewnątrz kościołów naszych. Silnie występujący cokuł, stosunkowo wysoki, wiążący się za pośrednictwem gzymsu ze ścianami, które podpiera, będzie obiegał zewnątrz bez przerwy gmach cały, załamywał się około ramion krzyża, stanowiąc dobrze pojęty środek powiązania organizmu w jednę całość, środek, którego nasze kościoły XII wieku nie znały. Ma on toż samo znaczenie odcięcia budowy od ziemi, zaznaczenia jéj spodu, jakie znajdzie się w klasycznéj architekturze, a jednak sztuka średniowieczna własną pracą do tego pomysłu tu doszła. Ów gzyms wiążący cokuł ze ścianą, będzie jeszcze w Koprzywnicy szematycznym profilem romańskiéj bazy, o dwu wałkach rozdzielonych scotią, gdy w późniejszym kościele w Wąchocku przybierze ten wyraz siły gniotącéj z góry i elastycznego z ciążeniem połączenia, jaki otrzymano wałkiem podwójnie przegiętym, a odciętym u spodu z wielką finezyą, dwoma brózdkami. Profil ten pójdzie organicznie z cokułu w obramowanie portalu bocznego w Wąchocku, w Koprzywnicy, — w podziały pól facyaty zakończenia tylnego, lub da podstawę pod wciśnięte kolumienki tejże ściany w Mogile.

Ożywienie ścian zewnątrz, prócz samego układu ciosów, choćby w sposób tak szlachetny w szychtach dwubarwnych jak w Wą-

chocku, nie zdaje się zadawalniać architekta naszego: wprowadza on lizeny u naw bocznych w Koprzywnicy, które mają pod wpływem konstrukcyi wyrość w szkarpy w Wąchocku i Sulejowie; szkarpy te, ustępowo zakończone w górze, są zawiązkiem przyszłych piękności gotycyzmu, a jak tu ogzymsowanie cokułu, biegnąc po nich, wiąże je organicznie z budową. Właściwe ożywienie stanowią okna: mają one stosunki wysokości do szerokości, jak 1:2 i ten układ glifów półkolem romańskim w górze zamkniętych, co tak pięknie wyraża zapraszanie światła do wnętrza, tém skośném ich wycięciem. Delikatne uczucie architekta wąchockiego zaznaczy silnym wałkiem kontur niszy okiennéj od zewnątrz — znamię prawdziwie artystyczne. Jeżeli gzyms romański tak zwany *bois rompu*, w trzech naszych kościołach wybornie kwalifikuje się jako zamykający ściany i chroniący konstrukcyjnie, to umie artysta odnaleść jego stosunek do wysokości ścian, da go większym, silniéj wyskakującym o trzech wnętrzach u poddasza ścian wysokich, da mu przy mniejszych rozmiarach dwie tylko szczęki u naw bocznych wąchockiego budynku.

Najtrudniejsze zadanie miał mistrz ze ścianami frontowemi, bo jeżeli z jednéj strony reguła zakonna broni mu zbytkownéj ornamentyki, to z drugiéj — uczucie artystyczne wymagało tu motywów piękna rzeczywistego. Cóż więc robi? wzmacnia węgły przełamującemi się na dwie strony lizenami i doprowadza takowe pod spód frontonu progowato, ze ścianą je zlewając, lub traktuje je w rodzaju płaskich szkarp obok węgła swobodnie sterczącego. Główną ozdobą ścian frontowych są zawsze okna okrągłe, rozasy olbrzymich rozmiarów, oprofilowane efektownie, ozdobione szychtami ciosów dwubarwnych, w promień biegnących. Znajdzie czasem i tu ożywienie ścian tych rodzajem pól oprofilowanych po romańsku, w których spodem mieszczą się okna mniejsze półkolem zamknięte.

Najpiękniejszémi są frontony facyat i o tyle ciekawémi, że swą mniejszą lub większą wysmukłością przynoszą wiadomość o dacie budowli. Jeżeli w Koprzywnicy ślady pierwotnéj budowy podwyższonéj następnie w XVII wieku, a w Sulejowie podobnież, ale niepotrzebnie późniéj ogzymsowanych, świadczą, że ich formy i proporcye były romańskie,—w Wąchocku zdradzają już swą wypukłością drogę ku ostrołukowi. Będą one dołem szersze od przestrzeni objętéj murami nawy o tyle, ile gzyms okapowy tu się kończy i jest ściętym gładko. Gładki tympanon ożywia okno romańskie lub rozeta ze szprossami kamiennemi romańska, jak u facyaty w Wąchocku, gdzie wyjątkowo owe frontony obramowuje śliczny kapnik pierwotno-gotycki, wystrzeliwający w górę kamiennym krzyżem. Dodajmy

do tego, że na podstawie dokumentów kościoły te przed napadem Tatarów w r. 1241 były ołowiem pokryte, dziś są dachówką a częściéj podłym gątem pobite.

Tyle artyzmu przedstawiają dotąd nasze zabytki od strony otoczenia swego, — przypatrzmyż się jakiemi ich układ i artyzm był we wnętrzu.

Trzeba było tak szczęśliwych okoliczności dla budynku, jakiemi są uniknięcie pożarów, manii restauracyi i przerabiań, aby kościół w Wąchocku przechował się w tak poważnéj, niedotkniętéj ręką późniejszą zewnętrznéj szacie. Wszystko aż do pokrycia włoską dachówką starych wiązań modrzewiowych zdawałoby się pierwotném, prócz téj sygnaturki, kruchty i kaplicy XVII-owiecznéj Ś-go Wincentego. Koprzywnicki kościół ma front przerobiony w duchu upadku sztuki, — potynkowane zewnętrzne ściany, szkaradną wieżę w pośrodku i nadsztukowane mury po pożarach; Sulejów pokrył swój klasztorny kościół żelazną blachą, na czerwono pomalowaną, zaznaczając barbarzyństwo powiatowego architekta: poobwodził on też gzymsem gipsowym krawędzie frontonów, potynkował co mógł; w Mogile tylko zakończenie kościoła od ogrodu zachowało starożytność, ale sprawa jego to rzecz osobna, kościół to ceglany w innym systemacie.

Wejdźmy do wnętrza przez ten portal romański Sulejowa, Wąchocka, ten portal, którego podwoje stoją dziś dla nas świeckich otworem, gdzie przedewszystkiém nikt nie broni wejścia drugiéj połowie naszego rodu. Obyczaj klasztorny chce w XI, XII, XIII a nawet XIV i XV wieku mieć tylko kościół dla użytku zakonników, komunikacyą z klasztorem i portal właściwy ma od strony mieszkań; wejścia głównego w niejednym kościele nie było. Portale naszych kościołów od frontu, a dostęp do nich przez dziedziniec gospodarczy—okazują, że mężczyzni świeccy, wieśniacy i robotnicy klasztorni przychodzili do kościoła, zajmując w nim miejsce odgrodzone murkiem od zakonników.

Wnętrze kościołów naszych jest pięknem, jeżeli patrzymy na nie okiem badacza albo o tyle znawcy, że się umie rozróżnić linie architektury z pośród, jak mówiliśmy, chaosu sprowadzonego zapełnieniem sprzętami barokowemi. Jest ono trochę przyciemne, a ten półcień podnosi jeszcze majestat starożytnego piękna romańskiego. Wysokie, opięte żebrami sklepienie, spływa po ścianach wciśniętemi kolumienkami, pilastrami w grube prostokątne filary romańskie, co powiązane półkolistemi arkadami, oddzielają tę nawę główną od naw bocznych. Szereg sklepień nawy głównéj przedłuża się w głąb aż ku wielkiemu ołtarzowi, gdzie okno okrągłe i trzy mniejsze w rzę-

dzie, rzucają blask na ten przybytek boży. Wzniosłe sklepienie krzyżuje się z takimże poprzecznic, tworząc spodem *transept*, nawę poprzeczną, przestroną, jasną. W przeciwieństwie do tych przestrzeni swobodnych, ciągną się obok nawy głównéj obustronnie—nizkie, nieco ciasne, ale bogate w łuki, arkady, gurty i żebra, bogate w kroksztyny i filary u ścian — korytarze romańskie. To nawy boczne, w których najczęściéj opadłe tynki dają widzieć konstrukcyą ciosową, subtelną, staranną. Taki jest układ wnętrza, ale to nie wszystko jeszcze: w téj obszernéj nawie poprzecznéj, do któréj doprowadzają nawy główne i jéj sąsiady, nizkie nawy poboczne, w dalszym tychże kierunku znajdą się bramy do kaplic; będzie ich dwie, zupełnie jednakich, po każdéj stronie prezbiteryum w Jędrzejowie i Mogile, w Wąchocku zaś, Koprzywnicy i Sulejowie, tylko po jednéj. Należą one do właściwości cysterskiego planu kościoła, ale głównie znajdą się one w rodzinnéj ziemi zakonu, w kościołach klasztornych cysterskich. Jakie ich było przeznaczenie, nie zanotowały zbiory przepisów zakonnych; twierdzą pisarze cysterscy XVII wieku, że był obyczaj u Cystersów po skończonych wspólnych modłach pojedynczo modlić się na osobności w kaplicy. Każda też kaplica nosiła tytuł innego świętego, najczęściéj św. Piotra, Pawła, Benedykta i t. d.

Ten sam charakter artystyczny, dążący do utworzenia organizmu, jaki znajdowaliśmy zewnątrz, przedstawia się we wnętrzu, tylko że tu konstrukcya wywołała większe bogactwo form. Układ filarów i arkad głównych, kształty i profile gzymsów są romańskie, a wszystko związane z sobą tak, że od samego spodu ciągnie się myśl konstrukcyjna i ona wywołuje estetyczną szatę. Patrzmy na te filary prawie identyczne w Wąchocku i Koprzywnicy, jak forma ich czworokątna wzmacnia się przydatkami, które wspólném z trzonem pokryte ogzymsowaniem, dają początek na trzy strony gurtom arkad i naw pobocznych. Te filary o płaskich ścianach wyrastają w formę wiązek wciśniętych kolumn w Sulejowie i Mogile, a prawdopodobnie w Jędrzejowie, konsekwentnie przedstawiając szczuplejsze to grubsze podpory pod gurty i żebra krzyżowe. Dawna prostota przechodzi tu w bogactwo właściwe katedrom romańskim.

Gładkie są ściany filarów od strony nawy głównéj, a podstawy pod gurty, które winny wedle zasad romanizmu poczynać się od ziemi, wyrastają znacznie wyżéj u ścian ze wsporników kamiennych: leży to w potrzebie pomieszczenia stall przy ścianie. Ciągną się one jednak w górę zaznaczone kapitelami u podstawy gurt i żeber wyniosłego sklepienia, a ich abakus przedłuża się w gzyms biegnący poziomo przez całą długość naw wysokich, oddzielając pole podsklepienne na równi z pionowością, która daje początek gurtom głównym.

Pozornie wszystko tu jest romańskiém: w ogólnych formach i zasadzie jest niém ornamentacya bogata portali, są kapitele dinstów w Sulejowie, profile baz i abakusów i gurty, szerokie sklepienia, a jednak jest coś w tém, co choć nie zmienia charateru tego stylu, przynosi jakieś swobodniejsze traktowanie proporcyi, jakąś wyniosłość i lekkość sklepień. Oto rozpatrując się bliżéj, dostrzegamy, że na sklepieniach wszystkie łuki nie są zwykłém półkolem; te arkady, te żebra łamią się w łuk ostry — *to łuki gotyckie*, to żebra kamienne o profilu ciężkim, ale zamarkowane po gotycku.

Miałożby sklepienie stanąć późniéj na podstawach romańskiego wcześniejszego kościoła? O nie! to wszystko wiąże się harmonijnie z całością, to odlew z jednéj formy, jedna myśl artystyczna mu przewodzi.

Jeżeli czém są nasze budowle, to świadectwem, że gotycyzm idzie w dalszym rozwoju romańskiego stylu, a leży to właśnie w tém swobodném traktowaniu przestrzeni, które jest rezultatem konstrukcyi sklepień na zasadzie ostrołukowéj. Nikt nie marzył w epoce romańskiéj o zmianie motywów piękna—szczegółów, to zadawalniało wszystkich, ale myśl architektów zwróconą ciągle była w kierunku konstrukcyi sklepień, których forma wymagała pewnych stałych proporcyj w murach. Krzyżowe sklepienie romańskie nie zawsze i wszędzie zastosować się dało.

Przy końcu XII wieku w Isle-de-France i Burgundyi, w północnéj Francyi jakiś szczęśliwy mnich rozwiązał zagadkę, wprowadzając w miejsce półkolistego łuk ostry. Wprowadzenie żeber było już postępem w budowie romańskiego sklepienia: teraz posługuje się nim nowy wynalazek, co więcéj—szerokie ciężkie gurty przerabia na żebra, zdobiąc ich krawędzie profilowaniem. *Oto początek gotycyzmu*, którego pierwsze wprowadzenie do Polski zawdzięczamy Cystersom.

Niebyły to czasy kolei żelaznych i dziennikarstwa, a wiadomości o wynalazkach nie roznosiły telegrafy po świecie rozciekawionemu społeczeństwu. A jednak można powiedzieć, że zaledwie gdzieś w odległéj od nas Francyi wyrobił się *styl przechodowy*, już w lat niewiele mamy dzieła jego u siebie. Zadziwiać nas to nie będzie, jeżeli przypomnimy sobie stosunki klasztorów cysterskich nie tylko między sobą przez tak zwane generacye, ale stosunki z Francyą klasztorów niemieckich i polskich przez obowiązek każdego opata udawania się raz do roku do *Cystertium* na kapitułę generalną. Po drodze, która miesiące trwała, spotykali się zakonnicy z nowemi budowlami klasztornemi, gdzie przytułku szukali, a na zebraniu nie jednokrotnie mówiono o architekturze i proszono dla siebie o architektów. Co raz

uznano za postęp, stosowano w domu. Pomniki cysterskie w Niemczech, jak w *Heisterbachu*, *w Ebrach*, *w Walkenried*, będą przynosiły jeszcze więcéj niźli nasze tego świeżego elementu architektonicznego, bo sięgną po wzory katedr francuzkich.

Jeżeli łuk ostry jaki się zjawia na sklepieniu kościołów w Koprzywnicy, Sulejowie i Wąchocku, jest sprawą wynikłą z nowéj zasady budownictwa, to jednak nie rozwiązuje on sam zadania konstrukcyjnego; daje on swobodę w traktowaniu proporcyi przestrzeni, ale do utrwalenia wytrzymałości potrzeba będzie iść krok naprzód. Wypadki walenia się sklepień takich zaraz po ukończeniu nie są faktem oderwanym we Francyi przy końcu XII wieku; trzeba było parciom sklepień na ściany dać opór albo w grubszych jak zwykle ścianach lub w wymyśleniu nowego konstrukcyjnego środka. Tym środkiem były *szkarpy*, nowy krok w kierunku do rozwoju gotycyzmu, szkarpy które dozwolą następnie na tę przezroczystość wnętrzy, na tę koronkowość kamienną, jaką dają rozwinięte pomniki ostrołuku, katedry Niemiec, Francyi i Anglii a po części i Polski.

Jeżeli daty kościołów, jakie powyżéj postawiliśmy, szykują pomniki nasze w porządku pewnym, i najstarszym z nich będzie Jędrzejowski a końcowym Mogilski, to powinna się znaleść dążność do udoskonalenia tego nowego środka w każdym następnie budowanym dziele. Jędrzejowski do naszych studyów już nie przydatny, Mogilski wprowadza w inny system, bo to ceglana budowa; pozostają trzy inne na szczęście i dobrze dochowane i mające tak wielkie między sobą analogie, że je za dzieło jednego architekta pierwszéj połowy XIII wieku mieć musimy. Jedne profile abakusów, ten sam charakter sztuki, układ planu do tego mniemania nas upoważnia. Różnice są w rozmiarach, stosunkach szerokości naw i w mniéj lub więcéj odmiennéj konstrukcyi. Otóż jeżeli w najstarszym datą kościele koprzywnickim architekt waha się jeszcze w użyciu formy filarów i nie wie, czy je robić prostokątnemi, czy nasadzać je wiązkami uciśniętych kolumn, to w grubości murów widzi jedynie nadzieję wytrwałości sklepienia. Moglibyśmy miarami podanemi udowodnić, że jego mury są grubsze, wysokości sklepień niższe jak w innych jego towarzyszach. Nie ma téż szkarp Koprzywnica u naw bocznych, a jeżeli lekkie, więcéj do lizon podobne, na ich miejscu natrafiamy filarki, to one konstrukcyjnego znaczenia podtrzymywania parcia nie mają. W Sulejowie znajdujemy już te filarki wyrośnięte silniéj, a jednak nie są one konstrukcyjnym środkiem, jak skoro sklepienie od pierwszéj chwili grożące upadkiem musiano powstrzymać silnemi ankrami przeciągniętemi od ściany do ściany u spodu gurt sklepienia. Dopiero w trzecim pomniku naszym w kościele Wąchockim, ten sam ar-

chitekt umiał rozwiązać zadanie konstrukcyjne wprowadzeniem silnych szkarp u naw bocznych i dowcipném bardzo urządzaniem tychże u nawy głównéj, wyłączającém zagraniczne *szkarpy przerzucane* tak zwane *arc-boutants*, *strebebogen*. I oto zwyciężone trudności: sklepienie—wspaniałe dzieło XIII wieku—trzyma się bez pomocy ankrów trzyma tak silnie, że pomimo niebezpieczeństwa na jakie narażony był kościół w XVIII wieku przez rozszerzenie i podwyższenie okien, przez wykucie nowych otworów, gmach stoi i stać będzie silnie, dzięki rozwiązaniu zagadki konstrukcyi ostrołukowéj.

Jest jeszcze jedna sprawa bardzo ważna w układzie kościołów Wąchocka, Sulejowa i Koprzywnicy, to jest kształt półkolisty arkad rozdzielających nawy przodkowe, że one niemogły być ostrołukowe, jakby przynależało ze względu na linije sklepień, leżało w zasadzie konstrukcyjnéj, i właśnie téż to objawia zarówno epokę wyrabiania się zasady sklepionéj, jak dążność do organizmu. Łukami półkolistemi zakreślone są gurty przyścienne sklepień naw pobocznych, są zatem one miarą wysokości dla gurt poprzecznych tychże sklepionek; aby utrzymać się przy rozmiarach szerokości naw bocznych, użyto ostrołuku dla tych ostatnich. System podwójnéj liczby sklepionek względem sklepień nawy głównéj, używany w romanizmie, wywołujący stosunek naw do siebie jak 1 i 2—w ten sposób upada, dając swobodę w proporcyach kościoła pod względem estetycznym korzystniejszą? Z drugiéj strony uczucie estetyczne niemogłoby pogodzić prostokątnych filarów z kapitelami o ciężkich abakusach z arkadami ostrołukowemi, tracił by na tém organizm architektoniczny, tém więcéj tam gdzie, jak w Sulejowie, kompletnie romański układ przyściennych wiązek kolumn w żaden sposób niedałby się pogodzić z gotycką arkadą. Byli to więc rozumni i estetycznie wykształceni ci nasi architekci Cysterscy. Więc jakże nie oddać czci pomnikom naszym i owemu architektowi, mnichowi nieznanego nazwiska, który tu na naszéj ziemi, sam jeden, bez zachęty, bez uznania, zrobił to, co mieści w sobie zaród dla przyszłości. Że tak jest, że to pragnienie postępu ciągłego widnieje z naszych cysterskich budowli, dość przypatrzyć się najpóźniejszéj ich budowie, kościołowi w Mogile. Tu system jest niemiecki bo klasztor pochodzi z *Lubiąża*, który jest córką opactwa w *Porta coeli* w Saksonii; materyał nowy—cegła, i rozmiary wielkie, nowe nastręczają trudności. I patrzmy, to co znaném już jest budowniczemu bezzaprzeczenia wcześniejszego Wąchockiego kościoła, tu przez Niemcy jeszcze nie doszło. Kościół jest z roku 1256, a o szkarpach nie ma jeszcze mowy, choć ostrołuki znajdują się nietylko u sklepienia, ale w arkadach rozdzielających nawę główną od pobocznych. Rozmiary są świetne, proporcye majestatyczne, ale ar-

chitekt *niemiec* uciekł się do starego systemu katedr swoich, do podwójnéj liczby sklepionek naw bocznych, względem sklepień nawy głównéj, jak wtedy kiedy tego wymagało romańskie sklepienie krzyżowe, półkolistemi zakreślone łukami. Ten brak szkarp wywołał wkrótce upadek sklepienia nawy głównéj, i to po dwakroć, tak iż dzisiejsze jest beczkowém, na które wiek XVIII pracował. Upadek sklepienia prezbiteryum powstrzymały wkrótce dobudowane szkarpy, jak o tém dowodnie po za wielkim ołtarzem od strony ogrodu przekonać się można.

Postępem w budowie Mogilskiego kościoła, który nie mało zaważy w sprawie naszych krakowskich XIV wieku budowli, jest użycie współcześnie kamienia i cegły.

Gdyby zubożony wojnami Łokietkowskich czasów kraj nasz chciał, by za Kazimierza wielkiego tyle stawiać budowli z ciosu, ile ich postawił z cegły, zadaniu by dla braku pieniędzy nie podołał. Cegła jest tańszym niezawodnie od ciosu materyałem, a dla okolic pewnych jedynym wątkiem budowy, w warunkach artyzmu, bo trudno wracać było do pierwotnych form, jakie granitowe kamienie polne w Wielkopolskich wywołały kościołach. Zasługa w użyciu cegły, zdaje mi się, przynależy Dominikanom, którzy ją do Małopolski przynieśli z Lombardyi—starałem się dowieść tego w ostatniéj méj pracy o kościele św. Jakuba w Sandomierzu. Stało się to w pierwszéj połowie XIII wieku, a pierwotne kościoły Dominikanów i Franciszkanów w Krakowie przynoszą dowód, że obyczaj ten w stolicy kraju się przyjął.

Ale to nie dosyć; o ile cegła jest materyałem stosownym, to nie może bez zmiany pojęć piękna i całego nastrojenia, kamiennéj naśladować struktury: szuka ona form nowych odgniecionych z prasowanéj cegły, jak nas o tém pouczają Lehnińskie i Jerychowskie w Brandeburgii kościoły. Oto jak najmniéj szło architektowi Mogilskiemu; usiłuje on stać przy formach kamiennych, więc obok cegły posiłkuje się, gdzie potrzeba, ciosem. Będą więc żebra kamienne,—kapitele i abakusy kolumn, tychże bazy wykute z kamienia; co więcéj, sztywność ścian wymagać będzie przegrodzenia szycht cegieł szychtą ciosów i utworzy się polichromijna dekoracya wnętrza pierwotnego kościoła w Mogile, przypominająca duch polichromii kościoła Wąchockiego, oto co nazywamy postępem, co jest pierwszém słowem tych poematów, które katedrą na Wawelu i kościołem Panny Maryi w Krakowie nazywamy. Czyż nie są Cystersi pionierami gotycyzmu?

Historya sztuki dowodnie wykazała, że przewaga jednéj ze sztuk plastycznych w danéj epoce źle wpływa na kierunki dwu dru-

gich. Nie ulega wątpliwości, że żyjemy w epoce malarstwa i że ono panuje nad architekturą i rzeźbą i nazwiemy pięknémi te dzieła tych ostatnich sztuk, które warunki malowniczości przynoszą. Surowe formy właściwe arcydziełom, chcemy widzićć w szacie malarskiéj, zachwycamy się rzeźbą udającą materye przezroczyste i jedwabne, dzieło architektury lubimy przeładowane ornamentami i koloryzacyą. Co nie trafia w miarę malowniczości, pomija ogół obojętnością. Nie dziw téż, że nie wszyscy umiemy poznać się na piękności naszych budowli cysterskich, naszego ołtarza Wita Stwosza, a sława którą głoszą obcy o gotyckich kościolach krakowskich XIV wieku, o katedrze na Wawelu, kościele Panny Maryi i kilku innych, jako o budowlach z odrębną cechą konstrukcyjną i estetyczną, mniéj zaważa u nas i mniéj podnosi dumę narodową, jak pobieżne szkica żyjącego naszego malarza. W malarstwie najczęściéj dzisiaj treść narodowa jaką artysta bierze za przedmiot stanowi o narodowéj szkole. Architektura i rzeźba narodową być może, ale cechy jéj charakterystyczne nie mogą treścią występować: swojskość—to wychowanie tych sztuk miejscową pracą. A w jakiejże epoce praca w sztuce na własną rękę w danéj okolicy więcéj miała miejsca, niż w wiekach średnich, gdzie ogniskiem sztuki były miasta stołeczne? gdy do Włoch po naukę nie jeżdżono jak od XVI wieku począwszy, gdy niebyło innych szkół artystycznych jak praktyka u mistrza duchownego lub świeckiego. Jeżeli więc w sądzie o pomnikach architektury i rzeźby średniowiecznéj głos zabrać chcemy, musimy na nie innén, nie dzisiejszém patrzéć okiem, a jeżeli pragniemy dowiedzićć się, czyśmy mieli cechy właściwe naszych sztuk, to zapytajmy o to pozostałe reszty. Bywają pytania bardzo ważne, ale śmieszne o tyle, o ile stawia się je nie na czasie; takim ważném 'pytaniem jest zapewne to czyśmy mieli cechy odrębne w sztuce średniowiecznéj, bo o odrębności w innéj epoce dla mnie mowy niema. Otóż śmiesznością rezonować o rzeczy, któréj się dobrze nie zna, a my pomników naszych średniowiecznych zaledwie od lat kilkunastu umiejętnie zapytywać czém są, i porównywać je z sąsiedniemi poczęliśmy. Rozrzucone po kraju, ukryte dla badacza, niewystudyowane albo tylko z lekka po amatorsku poznane, niemogą stanowić materyału, na którego podstawie można orzec czy była i w czem leży charakterystyka naszéj sztuki. Więc śmieszném było, gdy przed laty dwaj uczeni krakowscy filozof i artysta kruszyli o to kopie, niewyruszywszy po za mury Krakowa dla zapytania pomników; śmieszném, gdy z katedry głosi się zaprzeczenia charakteru sztuki, któréj się pomników nie zna i przerywa w ten sposób spokojną pracę zbierających od r. 1865 materyał do ich poznania, szczęśliwych że już wśród tego natrafiają rozwiązanie przynaj-

mniéj niektórych pytań korzystnie na rzecz narodowości. Jednym z takich jest na dziś sprawa konstrukcyi ostrołukowéj krakowskiéj XIV wieku i cechy kamienno-ceglanéj krakowskiéj budowli tejże epoki. Wyznajemy, że pierwszy Essenwein w *Mittheilungach* wiedeńskich jeszcze w roku 1865, podnosząc znaczenie takiego pomnika architektury, jak katedra na Wawelu, i pierwszy raz umiejętnie go studyując, zwrócił uwagę na odrębność jego konstrukcyi, ale bądź co bądź nie dotarł on do dna i pozostało nam zaznaczyć rolę, jaką zajmuje nasz ostrołuk XIV wieku w kościołach Polskich. Rozpatrując się w pomnikach po za Krakowem, znalazłem, że i wspaniała katedra w Gnieznie trzyma się tegoż systemu. Uwagi swe ośmieliłem się przedstawić na kongresie historyków i badaczy starożytności, odbytym przed dwoma laty w Krakowie, w formie zapytań, na które słusznie pragnąć mogłem odpowiedzi od specyalistów z różnych stron kraju przybyć mających. Jedno z tych pytań odnosiło się do genezy naszéj właściwości stylowéj, uderzało więc w strony, które odezwać się powinny głosem badaczy pomników po za Krakowem oświadczeniem, że ten system w zawiązku tu lub tam w kraju już widzieli. Brakło specyalistów, a koledzy moi krakowscy mogli mi tylko zwracać uwagę na pokrewieństwo prawdopodobne budowli polskich z holenderskiemi lub zapytywać: czyli w badanych przezemnie pomnikach romańskich nie znalazło się początku krakowskiego systemu. Na razie odpowiedziałem na to ostatnie przecząco, a jednak z przyjemnością dziś napisać mogę, że w romanizmie Cysterskim znalazło się rozwiązanie i to w tym pomniku, do którego roku bieżącego studya moje dotarły, to jest w kościele Wąchockim. Z obszernego przygotowanego materyału rysunków, trudu lat wielu, do pracy w tym kierunku, z którego dopiero można będzie wyciągnąć owoc to jest stanowczy dowód, czém jest ostrołuk nasz, jakiemi kieruje się zasadami matematycznemi w konstrukcyi i estetycznemi w formach, pozwolę sobie słów parę tu wypowiedzieć.

Przeszło pół wieku oddziela ostatnie budowy małopolskich Cystersów od gotyckich kościołów Krakowa, a przez ten przeciąg czasu zmieniło się pojęcie sztuki: z romańskiego stylu wyrosły gotycyzm wyrobił sobie właściwe estetyczne motywa i ornamentacyą, któremi odsunął się zupełnie od swéj kolebki. W budowlach cysterskich romańskich znaleźliśmy ślady budzącéj się konstrukcyi gotyckiéj, w pomnikach XIV wieku jest ona rozwiniętą zupełnie. Otóż to rozwinięcie po swojemu powinno przedstawić pośrednie wzory, stające między epoką ostatnich cysterskich a katedrą krakowską z roku 1320. Z dotychczas znanych zacytować możemy tylko, *kościół klasztorny w Staniątkach* z r. 1285 wydany w moich „Zabytkach budownictwa w ob-

rębie konserwatorstwa krakowskiego, i dawne części *kościoła Franciszkanów w Krakowie*, a głównie układ tu planu o ile nie zmienił go Zbigniew Oleśnicki, przybudowaniem wielokątnego zakończenia i ciekawe rozetowania dwu okien zamurowanych do połowy w prezbiteryum. Nie tracąc nadziei, że dalsze badanie pomników w małopolsce może odnaleść więcéj wzorów i odpowiedniejszych, zwracamy uwagę, że w obu naszych zabytkach system ceglano kamienny jest rozwiniętym, a gotyckie formy obok romańskich zajęły główniejsze stanowisko. Niemożemy tu jednakowoż szukać dziejów konstrukcyi sklepień naw przodkowych, jak skoro należą one do *takowéj budowy* w Staniątkach z mało rozwiniętemi szkarpami a grubémi murami, i gdy u Franciszkanów nawa główna przebudowana w XVII została wieku. Jednakowoż, że nić tradycyi cysterskiéj ciągnie się w budownictwie, to same profile kapiteli Staniąteckich wyraźnie wskazują, jak wskazywał kościół w Kościelcu pod Proszowicami taki sam związek. Tak kościoły w Staniątkach i franciszkański w Krakowie mają jeszcze jednę wspólność z planem cysterskim, to jest zamknięcie prezbiteryum prostą ścianą. Otóż tęż samę cechę znajdujemy i w gotyckiéj katedrze na Wawelu, zbudowanéj z kamienia i cegły—system którego użyli po raz pierwszy Cystersi w Mogile. Naddatki w tyle po za filarami naszych pięciu kościołów krakowskich XIV wieku, będące podstawami szkarp sklepienia nawy głównéj, z których rozwijają się arkady, o które wspiera się sklepienie naw bocznych niskich,—jest to co uwalnia od szkarp przerzucanych (arc-boutants, Strebebogen), używanych za granicą kraju w téj epoce, i co stanowi zasadę konstrukcyjną krakowską. Ależ wszystkie nasze kościoły cysterskie obchodziły się bez tego rodzaju przypór i wykazaliśmy powyżéj, jak stopniowo rozwijały się w szeregu lat te nasze środki konstrukcyjne; kościół w Wąchocku jest ostatnim rezultatem usiłowań i tu rzeczywiście znajdujemy pierwowzór naszego systemu krakowskiego. Silne szkarpy naw bocznych, wyskakujące blisko na metr od ściany (0^0 86 metra) przy szerokości 1^0 10 metra, są tutaj głównémi punktami parcia sklepień, podobnie jak w krakowskich kościołach owe szkarpy, co dziś weszły w ściany działowe późniéj przyczepionych kaplic. Z nad dachów naw bocznych ciągną się po ścianach nawy głównéj szkarpy dla sklepień wysokich—podstawa ich znajdzie się w Wąchocku w naddatku do filarów rozdzielających nawy, który rozwija się w arkadę dającą oparcie sklepieniu niskiemu naw bocznych.

Bez przerwy wyrastają szkarpy z wnętrza kościoła, przyznaję, że nieśmiało, małym stosunkowo wyskokiem u spodu (0^0 25), ale który wyrasta do podwójnéj miary przez odsadzkę ścian od zewnątrz pod nad sklepionkami naw bocznych. Od téj zasady do zasady kra-

kowskiéj krok tylko jeden: zwiększyć wyskok naddatku za filarem, a zadanie będzie rozwiniętém. W katedrze gnieźnieńskiéj zasada ta rozwinęła się estetycznie najwyżéj, ale to nas tu już nie obchodzi.

Jeżeli obcy przyznali pewien odrębny charakter ostrołukowym kościołom krakowskim, jeżeli znajdziemy tak piękne u nas gmachy jak kolegiata Sandomirska, kościół w Bieszu itp. bądźmy pewni, że odnajdziemy ich nić przewodnią w naszych budowlach cysterskich. Tu znalazła się geneza krakowskiego systemu szkarp, tu prostokątnego zamknięcia katedry Wawelskiéj i obejścia naw do koła, a użycie kamienia obok cegły obyczajem Mogilskim się wytłómaczy.

Ścisłość naukowa, jakiéj wymagałoby przeprowadzenie dowodu rzuconéj tu myśli nie może się obejść bez detalicznych objaśnień rysunkami pomników, bez głębszego wnikania w suche prawa konstrukcyi: miejsca po temu w specyalnéj publikacyi odpowiedniejsze niźli w tém piśmie, którego czytelnika i tak nadużyłem cierpliwości. Zbliżamy się téż do końca, ale opuszczając gmach przeszłości kościelnéj, radbym jeszcze przeprowadzić czytelników przez klasztor właściwy i obeznać z resztami architektury klasztornéj średniowiecznéj, jakie, na szczęście, dość obficie w powyższych znajdą się miejscowościach.

Częściéj w powieściach niż w rzeczywistości, występuje ów stary klucznik, oprowadzający gościa po zrujnowanych korytarzach, salach i sklepach starego zamku, który oddawna opuścili mieszkańcy, zabrawszy sprzęty i bogactwa: gdzie zniszczenie kompletne siłą zapanowało. On jeden stary pamięta przeznaczenie każdego gmachu i prowadzi, wskazując gdzie co było. Ciekawa to wędrówka i słuchać miło opowieści sługi o dawnych panach, w ruinach zamku; ale to przyjemności, których jak mówią, w naszych stosunkach rzeczywistych odmówić sobie musimy. Ruin dosyć się u nas znajdzie, ale kluczników, coby zapamiętali całość świeżą budowli, która w ruinę się rozsypała, braknie: złożyli oni już dawno głowę do grobu a ich synowie często obojętnie mijają pustkowie.

Ruiny, które rzeczywiście budzą ciekawość, bo stanem swoim dopominają się wiadomości o ich mieszkańcach zbyt jeszcze niedawnych, są reszty mieszkań klasztorów w Wąchocku, w Koprzywnicy i Sulejowie; oglądamy się w nich za przewodnikiem, pytamy starych sług sąsiedniego kościoła, zapytujemy miejscowych napróżno. Nikt nie umie wytłómaczyć, co znaczą te sale, te korytarze, sklepy podziemne, te oczerniałe ściany.

Zostawiam naszemu malarstwu przeniesienie na płótno ślicznych widoków walących się wnętrzy z efektami światłocienia, archeologom naszym oprowadzenie z Feilem lub Violet-le-Duc'em w ręku, po roz-

licznych salach i korytarzach i pouczenie o szczegółach życia domowego Cystersów w epoce surowości reguły: mnie pozostanie wydobyć ztąd piękno architektoniczne XIII wieku, idące w parze z pięknèm kościoła. Zadanie to nie łatwe, bo klasztory nasze w wieku XVII przebudowały się zupełnie; na szczęście budowały tak licho, że same się walą, pozostawiając nietknięte zębem czasu części średniowieczne.

Wiek XVII połączył składowe dawne części klasztoru pod jeden dach w Wąchocku, Sulejowie i Koprzywnicy, a jak tu, tak w innych, kilka osobnych gmachów piętrowych lub parterowych stało pierwotnie około krużganku głównego.

Od wschodu mieścił się *gmach dormitarza*, z kapitularzem i salą opata, zakrystyą i biblioteką; od południa *gmach refektarza* i kuchni bez piętrowy: od zachodu *zabudowania furty* z piwnicami i składami. W wielkich klasztorach, gdzie obok rolnictwa kwitła nauka i przemysł, gdzie klasztor wziął na się nauczanie i opiekę nad chorymi, stało takich gmachów więcéj.

W epoce, w któréj polskie rody w drewnianych mieszkały dworach, a zamki otaczały się fosą i ostrokołem—tylko w klasztorach Cysterskich spotkać się można było, z monumentalną z ciosu budową, z wspaniałemi salami i komnatami sklepionemi.

Z masy późniejszych murów przepierzeń i przebudowań wydobywamy jeden taki gmach klasztoru Wąchockiego. Wznosi się on prostopadle do kościoła obok krużganku; facyata jego, zwrócona ku ogrodom, nosi na sobie piętno monumentalnéj budowy romańskiéj. Ożywienie ścian stanowią stosugi ogromnych ciosów, starannie układanych, szereg regularny okien piętra rozdzielają lizeny wydatne, zawieszone na wspornikach silnie profilowanych; zakończenie budynku zaznacza u poddasza piękny fryz arkadowy. Okna dolne grupują się odpowiednio do lokalności wewnętrznych, a wspólny z kościołem cokuł wiąże z nim gmach ten w organiczną jedność. Dach ołowiem kryty uzupełnia gmach nasz górą. Siła w połączeniu z prostotą jest wyrazem téj architektury, co Syryjską tak bardzo przypomina.

Wejście do tego gmachu osobnèm jest na piętro, bo z kościoła wprost po schodach, do olbrzymiéj jednéj sali do dormitarza, gdzie rząd filarów środkiem ustawionych dźwigał wspaniałe sklepienie podobne do kościelnego i miał téż same gurty ostrołukowe i ten sam profil żeber; do dalszych lokalności idzie się z ramienia wschodniego krużganku, który był główną komunikacyjną arteryą między gmachami osobnèmi.

Tu przez otwarty *portal* z pięknèmi przezroczami romańskiemi po stronach dostajemy się do wspaniałéj salki sklepionéj, do kapitu-

larza; cztery kolumny z bogato rzeźbionémi kapitelami dźwigają gurty i żebra dziewięciu sklepionek, które zwieszają się u ścian wspornikami niemniéj odmiennie, niemniéj bogato rzeźbionemi. Na ścianach, na gurtach stosugi ciosów rysują życie statyczne: takie to piękne, szlachetne, ciche, poważne, i to sięga XIII wieku. Dzieła sztuki nieumierają, one są czemś więcéj jak zabytkiem archeologii przedhistorycznéj, czemś więcéj jak krzemykiem lub urną.....

Pomijam obok położony *karceres*, *sień przechodnią* i posuwamy się do ostatniéj najwięcéj oddalonéj od kościoła lokalności — sali opata klasztornego. Tu, w Wąchockim gmachu, ma ta sala odmienny wyraz od sali kapitulnéj. Z jednego w pośrodku filaru, ujętego w formy proste, energiczne, rozchodzą się gurty do pilastrów i wsporników u ścian, w sposób pierwotny ale dziwnéj siły i charakteru. Mimowolnie wywołuje jéj widok, dziś jeszcze postać tego dzielnego opata, który rzucony w świat obcy, gmach ten buduje i rozkazy wydaje.

Mniéj więcéj i w *Koprzywnicy* i w *Sulejowie*, a do niedawna i w Jędrzejowie, dalsze lokalności takiego gmachu zachowane są dobrze; w Koprzywnicy ogrzewalnia urasta do rozmiarów wielkich, bo ma trzy w rzędzie filary; w Sulejowie zostanie w ruinach największy kapitularz romański z cegły zbudowany, z użyciem ciosu, jak w Mogile. Romańska zakrystya a może biblioteka pierwotna, znajdzie się tylko w Koprzywnicy; ale najwięcéj pod względem piękna wart był uszanowania kapitularz Jędrzejowski: pozwoliliśmy mu przed laty kilku rozsypać się w gruzy—dziś go niema. Mówię o nim jako o nieboszczyku, którego testament spoczywa w papierach po ś. p. Bolesławie Podczaszyńskim. Trzeba było widziéć zapał, jaki ogarnął na widok pomnika, znakomitego archeologa; zebrał on dokładne jego rysunki, zanim runął. Miał pisać studyum i publikować—śmierć mu je przerwała.....

Trudniéj w pomnikach naszych o stary dormitarz; mieścił się on na piętrze gmachu klasztornego gdy z zaprowadzeniem wygodnych celek, osobnego dla każdego mnicha mieszkania, niepotrzebną okazała się *sypialnia*, zniszczono ją przebudowując piętro; to téż tylko w Wąchocku znaleźć moglibyśmy ślady i z nich odbudować dormitarz polski XIII wieku. Drugi osobny gmach przy ramieniu krużganku południowém, więc odsunięty od kościoła o całą szerokość *wirydarza*, znaleść się powinien dla pomieszczenia refektarza i kuchni. Bywają i *kuchnie* monumentalnemi budowami w klasztorach średniowiecznych, i to nielada. U nas prócz gmachu refektarzowego w Koprzywnicy, bardzo zresztą pięknéj ceglanéj budowy gotyckiéj z XIV wieku, z olbrzymią wewnątrz salą gotycką niegdyś na 3 fila-

rach szczupłych sklepioną, — dotąd romańskiego refektarza nie zaznaliśmy. Spotkaliśmy się z nim dopiéro ostatnich miesięcy i to znowu w tyle razy wspomnianym Wąchocku. Gmach był bezpiętrowy, węgieł jego wschodni odszukać się daje, ale zakończenie od zachodu niepewne, bo wiąże się z dalszą częścią klasztoru renesansowego. Czyli więc były dwa w nim refektarze zimowy i letni—odpowiedziéć trudno. Pozostał *romański refektarz zimowy*: sala szerokich rozmiarów z olbrzymiemi trzema oknami od południa i otworami w ścianie do podawania potraw z kuchni. Wejście do niéj z krużganku.

Artystyczną piękność jéj stanowi sklepienie krzyżowe o trzech polach, rzucone niesłychanie śmiało. Silnie profilowane gurty i żebra, już prawie gotyckie, wyrastają z wspaniałych siłą ornamentacyi wsporników u ścian. Wszystko to wdzięczne a poważne: z dziwną energią zarysowują się kamieniem ostrołuki sklepienia, ściany noszą ślady polichromii—nawet figuralnéj. *Trzeci gmach* którym zamykała się środkowa krużgankowa przestrzeń klasztorna, gmach od zachodu ciągnący się na równi z frontem kościoła, był zwykle w średniowieczu pomieszczeniem furty i nowicyatu; tu było wejście do claustrum za klauzurą, tu składy, piwnice dla łatwego dostępu od zewnątrz.

Już tu nigdzie romanizm nie kwitnie w téj okolicy klasztoru cysterskiego, nie ma go w żadnym z naszych, i gotycyzm rzadki— zburzono, przerobiono wszystko. Ale nie, mamy jeszcze choć reszty tego gmachu w Mogile, w tych podziemnych sklepach, w tych ich arkadach ceglanych, wyrastających z filarów; to najmonumentalniejsze, jakie znam, piwnice z osobnym dostępem przez równię pochyłą od dziedzińca gospodarskiego. Styl cysterski i tu panuje.....

Skończyliśmy przegląd pomników architektury klasztornéj XIII wieku w opactwach naszych, ale nie wyczerpaliśmy jeszcze całego zasobu ich piękna, więc jeszcze słów parę poświęcić im należy.

Szlachetne umysły zapragnęły stworzyć w Warszawie skarbnicę dla przemysłu i artystycznéj rękodzielnika wiedzy, kraj cieszy się już témi objawami ruchu przygotowawczémi, widzi w przyszłości zapełnione sale muzeum nie tłumami ciekawych, ale szerokim kołem pracowników szukających tu wzorów. Niewątpię, że wśród rozmaitych działów przyszłych zbiorów znajdzie się sala odlewów gipsowych, najpiękniejszych ornamentacyj, architektonicznych rozmaitych stylów, nieprzebrane źródło jak nazywamy dzisiaj *gustu*, w jedném i drugiem artystyczném rękodziele. Gdyby nam przy dzisiejszéj naszéj niewiadomości, pokazano między témi odlewami z ośmdziesiąt co najmniéj wielkich kapiteli romańskich oplecionych śliczną ornamentacyą roślinną, z ogromnym pojęciem architektonicznego

rytmu, i powiedziano, że odlano je na oryginałach w Polsce, tu od XIII wieku w miejscu publicznêm, dostępnêm przechowanych, jestem przekonany, że większa część zwiedzających nie chciałaby wierzyć. Sześćdziesiąt tych odlewów należałoby, co najmniéj, do Cystersów i ich pięciu klasztorów w Małopolsce. Jędrzejów dostarczyłby ich 15, Koprzywnica 6, Sulejów co najmniéj około 16, Wąchock 18, nie licząc drobniejszych rzeźb fryzowych, a jeżelibyśmy wliczyli w to i kapitele podwójne z niezawodnego dzieła architekta Cystersa *kościoła św. Wojciecha w kościelcu pod Proszowicami*, liczba powiększyłaby się dwudziestoma. Obok skromności w zdobieniach, jaką charakteryzują się nasze cysterskie kościoły, skromności, która jeżeli wynikła z ducha reguły, miała tak wielkie dziejowe znaczenie, że postawiła zasadę mas, rytm proporcyi w architekturze, po nad strzępienie ozdobami i wywarła ten skutek, jaki przynosi lekarstwo na zbytek, przygotowując romanizm do przejścia w gotycyzm konstrukcyjny; sale, przeznaczone na użytek domowy, niewahały się twarde linie swéj architektury bogatą miękczyć ornamentacyą. W jednym też Sulejowskim kościele kapitele dinstów i filarów są ornamentowane szczególnym wyjątkiem od przepisów, ale nie ma kapitularza, któryby nie miał ozdób roslinnych w kamieniu kutych. A są to ozdoby tak szlachetne, tak stylowe, że je za wzór brać można, ornamentacya romańska posługuje się u Benedyktynów francuzkich motywami zarówno roślinnemi jak z fauny rzeczywistéj i bajecznéj. Motywa te mięsza z sobą, co więcéj tworzy świat dziwactw, w którym erudycya klasztorna niemałą gra rolę. Powstaje gwałtownie przeciwko stosowaniu jéj do religijnego gmachu wielki św. Bernard, a słowa jego, wyjęte z listu do Wilhelma S-ti Teodorici opata, czém ona była pouczają: „*Cóż znaczą w klasztorze obok modlących się braci te śmieszne potworności i dziwne, te nieforemne kształty i kształtne dziwolągi; co te ogromne małpy, dzikie lwy, potworne centaury, pół-ludzie i plamiste tygrysy. Co znaczą te walczące żółwie i w trąby dmący myśliwi? Zobaczysz, jak liczne ciała mają jedną głowę lub na jednym tułowiu wiele głów się mieści. Ujrzysz czworonoga z wężowym ogonem, rybę z głową czworonoga, tam dzika bestya ciągnie za sobą formy kozy, przerasta konia ogromem, tam rogate bydle przemienia się w rumaka. Ta dziwna zbieranina kształtów sprawia, że więcéj byś chciał czytać na marmurach jak w kodexach, a dzień cały zeszedłby ci, dziwiąc się wszystkiemu po kolei a zapominając o prawie bożem. Boże, jeżeli nie wstyd głupoty, czemuż ona nie obmierznie......*"

Cystersom przynależy się téż zwrot do warunków ornamentacyi architektonicznéj; trzymają się oni tylko roślinności w Synejskich zabytkach czerpanéj, roślinność to konwencyjna; wprawdzie

takich liści jak na kapitelach w Sulejowie i Wąchocku nie ma na świecie, ale natura wzrostu liścia, jego przegięć zachowaną jest wszędzie. Co przedewszystkiém nas zadziwia, to miara w jéj użyciu i logiczność w zastosowaniu do ogólnéj formy, a więcéj jeszcze taka niezrównana fantazya i to bogactwo pomysłu, które nigdy dwu jednakich wzorów nie stosuje. Każdy kapitel, każdy wspornik ma odmienne ozdoby. Gdyby przyszło dzisiaj wykonać 12 odmian, jak w kapitularzu wąchockim ozdób, przy zachowaniu jednego charakteru, pytalibyśmy się: komu to powierzyć, czyli kamieniarzowi naszemu? czyliby architekt nasz miał to bogactwo pomysłów? a jednak nie brak nam wzorów, których kraj w XIII wieku dostarczyć nie mógł. Mnich, podobnie jak Bartłomiéj Berecci w kaplicy Zygmuntowskiéj, przyszedł do Polski z całym zasobem artystycznéj twórczości, że mu z pod dłuta wychodziły coraz to nowsze pomysły. Roślinność panuje we wszystkich naszych klasztorów ozdobach, ale będzie ona w Sulejowie związana z motywami geometrycznemi, plecionkami koszykarskiemi, lub stać będzie w oddźwięku klasycznych liściowań koryntyku; w Koprzywnicy poprowadzi roślinność drżąca i mniéj umiejętna ręka kamieniarza, za to wystąpi w dwu innych klasztorach najwyżéj na północ posuniętych z tą pewnością zacięcia, giętością i charakteryzacyą, jak nigdzie.

Liście drżące, strzępate, modelowane dosadnie, otoczą wieńcem kapitele, a na wspornikach sklepień refektarza wąchockiego przybiorą ten majestat i energią, która sąsiaduje z kierunkiem realistycznym gotycyzmu.

Jeżeli kościoły cysterskie stają na przełomie dwu wielkich stylów średniowiecza romańskiego i gotyckiego, ornamentacya nasza klasztorna wskazuje, że po wyczerpaniu motywów fantastycznych następuje, jako chwila przejścia do gotyckiéj drogi szukania wzorów w naturze, pewien stopień refleksyjnéj ornamentacyi. I na tém więc punkcie Cystersi zwiastunami są nowego odrodzenia i słusznie noszą miano pionierów gotycyzmu w Polsce.

Tu się kończy kartka dziejów sztuki, którą odczytaną z pomników naszych cysterskich, ośmieliłem się czytelnikom „Ateneum" powtórzyć. Odczytałem-li wszystko, co tam zapisanem było? nie do mnie należy sądzić, ale wolno mi powtórzyć co napisałem na początku rozprawy: nie wszystko wielkiem jest co się podoba, i nie wszystko, co wielkie z przeszłości, bez objaśnienia się obejdzie. Jeżeli nie odczytałem wszystkiego, co zapisały pomniki cysterskie, może trochę ich znaczenie objaśniłem, a poruszając prochy dawnych

mistrzów, chciałem tylko kołatać o opiekę nad rozsypującemi się ich dziełami.

I jeszcze słów parę zakończenia.

Gdyby pełne życie religijne w epoce po-reformacyi, występujące u nas budową nowych a zdobieniem dawnych kościołów, a więc czynnością niemałą sztuki, nie zaznaczyło się przebudowywaniem na modłę włoską zabytków średniowiecznych architektury, wyrzucaniem posągów i obrazów dawniejszych epok, nie bylibyśmy tak ubodzy w dzieła średniowiecza; ale właśnie dlatego, że w owych czasach sąd o wielkości utworów wynikał z zasady podobania, a sztuka poddana była rządom mody, której ulegali wszyscy, w kościołach naszych więcéj jak gdzieindziéj dało się poczuć marnotrawstwo utworów sztuki dawniejszéj, które nie przypadały w miarę sądu chwili. Nie wiele u nas pomników romańskich uszło losu przerobienia, nie wiele sprzętów kościelnych téj epoki zostało na miejscu, wolno nam powiedzieć—prawie żadnych: ni jednego ołtarza romańskiego, ni jednych stall, nigdzie dawnéj posadzki lub oszkleń. Za to barokiem przeładowano wszystko i niewolne od tego najstarsze nasze świątynie. Nie doświadczyliśmy tak bardzo łupieży kościołów przez nowych ikonoklastów reformacyi, jak Holandya i Niemcy, a jednak stokroć większą krzywdę wyrządzali nam opiekunowie wiary i kościoła XVII i XVII wieku, ze względu na dzieje naszéj sztuki średniowiecznéj! Ubożsi więc jesteśmy aniżeli sąsiedzi nasi zachodu, ale niewolno nam twierdzić, iżby nam brak było pomników; musimy jednak przyznać sobie, że gdy sąsiedzi odszukali i otoczyli opieką i miłością te skarby przeszłości, jeżeli umiejętność szczerze zajęła się niemi, my nie zawsze umiemy ich wyszukać, ocenić i na podstawie ścisłych badań oznaczyć ich wartość. Cudzoziemscy badacze daleko chętniéj zwracają na nie uwagę — my dozwalamy w naszych oczach rozsypać się ślicznemu kapitularzowi Jędrzejowskiemu, który lat temu dwadzieścia stał jeszcze dobrze. Nie wytłómaczy nas przed światem uwaga, że nie posiadamy tak wybitnych arcydzieł średniowiecznego budownictwa jak obce kraje, bo w dziejach sztuki wszystko jest równie ważném, skoro przynosi wiadomość o charakterze sztuki miejscowéj danéj chwili.

Obojętność dla dzieła sztuki średniowiecznéj jest oznaką nieświadomości, pouczanie więc o znaczeniu pomników rozbudzić musi poszanowanie dla nich. Im więcéj w literaturze naszéj pojawiać się będzie ścisłych badań artyzmu naszego średniowiecznego, im więcéj nauka wnikać będzie w tajemnice jego piękna, tém poszanowanie to bardziéj wzrośnie. Urosł nam Wit Stwosz od czasu studyów nad jego pracami w Polsce, urośnie wiele jeszcze znakomitości naszych,

gdy ich nam dadzą uczeni pracami swémi znać. Do Wita Stwosza i zabytków naszego budownictwa XIV wieku, jużbyśmy dzisiaj dodać mogli naszą szkołę cechową malarstwa XV i XVI wieku, gdyby środki dozwalały wydać o nich studyum poparte szeregami fotodruków. Czas na monografie artystyczne naszych pomników średniowiecza, a jeżeli Akademia umiejętności w Krakowie skromnémi środkami, jakie posiada, otwiera pierwsze drogi, to pomoc ze strony możniejszych przydaćby się mogła dla tych, którym każda strona chwały narodowéj miła. Dziś, chwała Bogu, kółko badaczy wierzy w prace własne na polu sztuki średniowiecznéj, potrzeba dozwolić im i umożebnić rozpowszechnienie ich prac, dozwolić im odbudowania publikacyami tego, co w spuściznie od XI wieku zostało, a co późniejsze oszpeciły czasy. Czas, aby w muzeum narodowém zebrano w odlewach gipsowych nasze piękne rzeźby i ornamentacye, rzędy obrazów i tryptyków miejscowéj produkcyi, a to utwierdziłoby wiarę w naszą średniowieczną sztukę. Czas na seryo pomyśléć o tém, bo gmachy się walą, rozpierzchnione obrazy butwieją po strychach, rozsypują się posągi i rzeźby, byśmy, zanim spostrzeżemy się cośmy posiadali, nie utracili wszystkiego lub bardzo wiele. Czas, abyśmy postarali się związać naukowo tę sztukę, którą nas nieba dziś obdarzyły, z pracą odległéj przeszłości, iżbyśmy nie przedstawili się na sądzie bez genealogicznego drzewa.

Wł. Łuszczkiewicz.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Oswald Balzer, kancelarye i akta grodzkie w wieku XVIII. Odbitka z „Przewodnika Naukowego i Literackiego.“ We Lwowie 1882.

W korzystaniu z archiwów naszych sądowych, z aktów grodzkich i ziemskich, prawdziwéj skarbnicy do poznania stosunków wewnętrznych, spotykali badacze zaraz u wstępu, w saméj formalnéj ich stronie, wielkie trudności, które dopiero dokładniejsze zapoznanie się z nimi w części, ale w nieznacznéj tylko części, usuwało. Zawsze jeszcze trudno było rozgatunkować obfity materyał, oddzielić ważne od mniéj ważnego, szukać odnośnych dokumentów w właściwych książkach. Są wprawdzie na tych foliantach napisy: „*Libri relationum*, *libri inscriptionum*, *prothocollon*, *regesta causarum* itp., ale dopóki jasno nie wiedzieliśmy, co do któréj księgi wpisywano, jaka była manipulacya kancelaryjna, dotąd oczywista na niewiele zdały nam się wszelkie napisy. Wskazówki zaś jakie znajdują się w tym lub owym podręczniku prawa polskiego lub w opisach pojedynczych archiwów, albo zupełnie niewystarczają albo pozbawione są wszelkiéj głębszéj znajomości rzeczy. Okazywała się tedy coraz bardziéj naglące potrzeba zbadania gruntownego téj formalnéj strony naszego sądownictwa i archiwów, a potrzeba ta spotęgowała się jeszcze bardziéj, odkąd badacze dziejów naszych zwrócili się z szczególną predylekcyą do stosunków wewnętrznych pojmując dobrze, że bez nich nie będziemy mieli nigdy jasnego na całe dzieje poglądu; odkąd oddano pod naukowe kierownictwo i otwarto badaniu dwa nadzwyczaj obfite zbiory aktów sądowych tj. archiwum krajowe we Lwowie i Krakowie.

Potrzebie téj zaradza w bardzo znacznéj części rozprawa p. Oswalda Balzera, powstała głównie ze spostrzeżeń zebranych w ar-

chiwum aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie, ograniczająca się wprawdzie na akty *grodzkie* i na urządzenie *ich w wieku XVIII*, ale jasném uchwyceniem kwestyi *i przejrzystością przedstawienia rzucająca* na całe urządzenie *kancelaryi naszych żywe światło. Biorąc je* sobie za przewodnika, już i mniéj *obeznany z archiwami naszémi* uczony, będzie mógł zoryentować się wśród prawdziwego lasu ksiąg i fascykuł; biorąc ją za podstawę będziemy mogli łatwiéj śledzić i w ubiegłych wiekach urządzenie kancelaryi grodzkich a przyjść także do ładu z ziemskiémi aktami, których ustrój pewnie nie wiele różnił się od grodzkich.

Zbadanie zresztą aktów grodzkich okazywało się zawsze jako rzecz potrzebniejsza, bo są one nie tylko zbiorem zapisek sądowych ale i pism wszelkich publicznych, jak przywilejów, rozkazów, konstytucyj, prywatnych kontraktów,—„skarbnicą dowodów o istnieniu najrozmaitszych praw i obowiązków." Księgi ziemskie były otwarte tylko podczas kadencyi lub na krótki czas przed i po niéj, grodzkie zaś zawsze, stale, jak nazywano, wieczyście z wyjątkiem oczywiście świąt uroczystych. Musiała téż być manipulacya w kancelaryi grodzkiéj bardziéj rozwinięta, bardziéj zastosowana do potrzeb ogółu. Istniala obok sądu oddzielnie, zajęta wyłącznie wpisami i odpisami aktów, prowadzeniem ksiąg sądowych. Łączność jéj z sądem objawiała się tylko w osobie najwyższego zwierzchnika tj. starosty grodowego, dawniéj także w osobie pisarza grodzkiego, który jednak późniéj należał zupełnie do urzędników sądowych. W miejsce jego objęli najwyższą władzę nad kancelaryą regenci i ich zastępcy susceptanci, którzy własnoręcznie mieli wpisywać zeznanie stron do protokołu. Na posługi dwóch tych dygnitarzy kancelaryjnych istniała większa lub mniejsza ilość palestrantów, którzy odbywali praktykę u patronów a równocześnie dla nabycia wprawy służyli w kancelaryach grodzkich bezpłatnie lub za małą kwotę, jaka im się dostawała z należytości za wypisy. Wedle zajęć poszczególnych dzieli ich autor na inducentów, ekstradentów, lektantów i klawierów.

Tak zorganizowany urząd służył przedewszystkiém do przyjmowania i wpisywania, bądźto aktów publicznych bądź aktów woli prywatnéj, testamentów, kontraktów itp. bądź wreszcie manifestacyj, protestacyj, relacyj wozneńskich itd. Zeznania ustnie lub piśmiennie podawane pisarz przybierał w formę prawną w języku łacińskim, w którym istniały ubite frazesy i formularze kancelaryjne. Często wpisywano téż akty dosłownie np. wszelkie dokumenty publiczne, co się zwało oblatowaniem.

Mimo dość znacznéj liczby urzędników nie mogli oni, w miarę rozwoju stosunków społecznych, wystarczyć wszystkim potrzebom,

zwłaszcza, że natłok stron w pewnych terminach, np. w styczniu, był bardzo wielki. Musiano przyjmować zeznanie stron tylko w krótkości, notować jedynie treść do protokółu, z którego dopiero później przepisywano go z odpowiednią formą do t. z. indukty. Tak wyrobił się system podwójny w prowadzeniu ksiąg sądowych; każdy akt był równocześnie w protokóle i indukcie. Wpisy protokólarne stanowiły podstawę, oryginał, z którego palestranci później wyrabiali induktę. Stąd to protokół był ważniejszy i stał pod szczególnym nadzorem starostów i ich regentów, którzy odpowiadali za każde popełnione nadużycie. A nastręczała się ku temu niejednokrotnie sposobność, bo na żądanie stron interesowanych zatrzymywano pod jakąś datą miejsce wolne, do którego miano wpisać dopiero później zeznanie, a można było łatwo podsunąć zupełnie inne lub fałszywe. Zapobiegając temu zabraniały konstytucye zostawiać dłużéj takie *vacuum* nad dni trzy, poczém miało być zamazane „*kancelowane*", a nadto kazano podpisywać się zaraz stronie pod miejscem wolném, późniéj nawet treść zeznania notować z boku, na marginesie. Zeznania podawały strony coraz to częściéj na piśmie, aby pisarz dowolnie nie indukował. Pisma te t. z. *copiae* składano w osobne fascykuły, nadając każdéj jako *signum* jakieś słowo. Mimo to pisano obok tego także induktę, która już wówczas była zupełnie zbędną.

Oprócz tego prowadziła kancelarya grodzka rozmaite księgi sądowe, wynikłe już z samych czynności sądu, a więc regestra, wedle których sprawy przychodziły na stół, księgi dekretów, składające się znowu z protokółu, pisanego zaraz podczas załatwienia sprawy, i indukty, daléj spisy, sumaryusze, seryarze itp. przeznaczone bezpośrednio do użytku manipulacyjnego.

Wszystkie te księgi, publiczne tj. dla stron przeznaczone, sądowe i pomocnicze rozpadały się znowu w miarę gromadzącego się materyału na kilka działów np. akta wpisów obejmowały księgi relacyi, inskripcyi, oblat itp. które autor o ile możności dokładnie podaje wyjaśniając zarazem co do któréj wciągano. Ponieważ przepisów stałych pod tym względem nie było i jedynie kierowano się praktyką kancelaryjną, oznaczenie ścisłe wielokrotnie jest bardzo trudne lub wprost niemożebne.

W zakres czynności kancelaryj grodzkich wchodziło nadto wydawanie ekstraktów tj. odpisów. Zazwyczaj sama strona, jeżeli nie mogła podać dokładnie gdzie się żądany przez nią akt znajduje, robiła pod dozorem urzędników poszukiwania; a tylko odpisem, porównaniem z oryginałem (t. z. lecta) i stwierdzeniem zgodności (t. z. correctą) zajmowała się kancelarya.

Za wpisy i odpisy pobierali urzędnicy kancelaryjni, ale jedynie prawie wyżsi, pewne opłaty, dosyć nawet znaczne (za wpis plenipotencyi płacono 2 złp.), które wyrobiły się zwyczajem a ostatecznie na Litwie 1726 w koronie dopiero 1768 unormowane zostały osobną taryfą.

Przechowywanie i dozór nad aktami i archiwami, znajdującémi się bądźto na zamku starościńskim bądź w osobno na ten cel kosztem szlachty miejscowéj stawianych budynkach, ale jeszcze częściéj walającémi się po gospodach albo składanémi w lochach, mieli także wyżsi urzędnicy kancelaryjni, osobliwie sam starosta i regent. Nadarmo starały się konstytucye zaradzić niszczeniu ksiąg publicznych, ostro zakazując wynosić księgi z kancelaryi, wysyłając komisarzy do rewizyi archiwów; butwiały i gniły księgi sądowe, narażone były wielokrotnie na pożary, chociaż na nich zależało—jak słusznie mówiono, bezpieczeństwo życia i fortun szlacheckich.

To zaś co się mimo to szczęśliwie dochowało i jak się dochowało zawdzięczamy zapewne nie mało urządzeniu kancelaryj grodzkich, które bądź co bądź umiały uchronić się od rozgałęzionéj biórokracyi a spełniać swe zadanie w małym zakresie dobrze. Przedstawienie urządzenia tego nie tylko ma praktyczne dzisiaj znaczenie—jest rodzajem przewodnika dla badaczy, ale nadto odsłania nam jednę z ważnych instytucyj naszych. Autor podejmując się téj pracy, tego zestawienia dat pozyskanych z doświadczenia archiwalnego i poczerpniętych w pojedynczych konstytucyach, zasłużył się bezprzecznie naszéj literaturze historycznéj.

Szkoda tylko, że autor nie poparł dostatecznie wszystkich swych twierdzeń, że w ogóle występując po raz pierwszy z rzeczą tego rodzaju przemawia za nadto apodyktycznie, nie stara się nawet w kwestyach historycznego rozwoju kancelaryi nigdzie o zestawienie dowodów, słowem zachowuje się tak jakby w tym względzie wyrzekał już *ostatnie* słowo, gdy w rzeczywistości mówi dopiero *pierwsze*.

To téż całe przeprowadzenie powstania, ważności i wieczystości grodów, stanowczéj ich przewagi nad aktami ziemskiémi pozbawione jest dostatecznego poparcia, nieujęte w jakieś daty, w ogóle niejasne. Na pytanie kiedy rozpoczęła się ta przewaga grodów, a zwłaszcza jaki był stosunek aktów grodzkich w późniejszych czasach do ziemskich, które przecież istniały do końca Rplitéj, nie znajdujemy zupełnie odpowiedzi.

Autor podał wprawdzie, na końcu swojéj rozprawy w dosłownem brzmieniu ordynacyą kancelaryjną starosty lwowskiego z r. 1753, na poparcie wielu swoich sądów, ale nawet sprzeczności zachodzących między nią a swojém przedstawieniem, albo nie dotknął wcale

albo tylko niedostatecznie wyjaśnił. Zwraca uwagę (str. 38), że w instrukcyi wymienionéj jest mowa o feryantach indukty (gdy on tylko feryantów ekstradentów zna) ale tłómaczy to tém, że stanowisko ich w grodzie lwowskim było wówczas tylko wyjątkowe z powodu licznych zaległości. Muszę się przyznać, że tłómaczenie to wobec niedwuznacznych słów instrukcyi, nie przypada mi do przekonania, ale choćby nawet tak było, dla czegoż niema tam nic o feryantach ekstraktów? Co więcéj, z instrukcyi téj wypływa, że nie *sami* palestranci dzielili się na *inducentes*, *extradentes* etc., ale *wszyscy* urzędnicy z wyjątkiem chyba regenta. Między feryantami czytamy: „Jegomość pan Bąkowski *susceptant*. Zdaje się daléj z téj instrukcyi, że usługa inducentów nie była zupełnie bezpłatną, skoro starosta pisze: „niechaj piszą induktę, ażeby sobie zasłużyli na stół i *feryą*." Słowem nasuwają się po przeczytaniu instrukcyi wątpliwości (np. stanowisko Klawiczów?) których nie rozstrzyga rozprawa.

Brak innych dowodów, zestawień z archiwum, z którego autor czerpał i konstytucyj daje się czuć dotkliwie; wiele twierdzeń autora może być zupełnie słusznych, ale my domagamy się poparcia. Tak np. że wciągnięcie do aktów jakiegoś pisma publicznego było na dowód dokonanéj promulgacyi (a może właśnie celem promulgowania), że palestra nie należała do kancelaryi i że od palestrantów przysięgi nie żądano (str. 11), że wolno było zmieniać inducentowi stylizacyą podanego na piśmie aktu (str. 25) i t. d., na te i inne twierdzenia pragnęlibyśmy tém bardziéj dowodu, że niektóre zdania autora zdają nam się dorywcze.

Żebyśmy w XVI wieku nie spotykali wcale podpisów w protokule (str. 23), temu stanowczo zaprzeczyć musimy. W księdze grodu przemyskiego z r. 1574 (str. 664) znajdujemy w protokule podpisy na str. 122, 115 (1), 134; w buskiéj 7, p. 308, etc. Był pewien rodzaj wpisów, pod któremi już wtedy kazano się podpisywać.

Twierdzenie, że „jeśli w księgach naszych sądowych spotykamy jakiś akt polski, to chyba jest-to przysięga lub kontrowersya albo oblata aktu polskiego, do któréj w tym razie zwykłą formułkę kancelaryjną dopisywano po łacinie" (str. 19), chociaż wogóle słuszne, podpada, o ile wiemy z doświadczenia, osobliwie w XVI wieku licznym wyjątkom, a znajdujemy manifestacye, cytacye, nawet formuły wstępne po polsku (2). Regestry złodziejów (t. z. regestra furum) utrzymywano, zdaniem autora, w niektórych grodach w XVI

(1) Mikołay Ostrowski manu propria, Joannes Prochenskj o prochny ręką własną.

(2) Nawet relacyj wozneńskich np. Castr. Busconsia 6; z innych Trembovlensia 95, 490 nn.

wieku w celach policyjnych i zapisywano w nie nazwiska ludzi, poszlakowanych lub przekonanych o zbrodnią kradzieży. O ile my znamy regestry te znajdujące się w archiwum lwowskiém mianowicie w grodzie sanockim (tom 447, 448), bełzkim (159) i t. d. — to nie są to wcale spisy poszlakowanych lub przekonanych złodziejów, ale t. z. testamenty złodziejskie czyli zeznania złoczyńców na torturze lub przed straceniem. Regestr bełzki rozpoczyna się słowy: „Podan yesth regestr złoczinczów w Przeworsku potraczonich Cziganów," tak samo regestra sanockie: „Testament Waszka Suchego s Stankowey," którego stracono w Porażu w r. 1569 i t. p. W jedném miejscu wyraźnie jest: „Et hoc recognovit spontanea voluntate ante tormentum" (Sanockie grodz. 447).

Wątpliwości i zarzuty, przez nas podniesione, są to raczéj postulaty do autora téj rozprawy: my byśmy jeszcze tego i owego chcieli, ale z pełném uznaniem przyjmujemy, co nam dał, bo znać z całości, że są to wyniki rzetelnéj pracy. *Ludwik Finkel.*

Seweryn Smolikowski. Rozbiór krytyczny podstaw zasadniczych filozofii Schopenhauera. Warszawa, 1881.

Z wielkich systemów filozoficznych, które w Niemczech wybujały na gruncie filozofii Kanta, najdłużéj czekać musiał na uznanie, we własnéj nawet swéj ojczyźnie, filozoficzny pessymizm Schopenhauera. Za to dziś, kiedy systemy Fichte'go, Schelling'a, Hegla, a nawet Herbart'a, mają znaczenie wyłącznie historyczne, filozofija Schopenhauera stanowi *żywy* pierwiastek filozoficznego ruchu chwili obecnéj. U nas zaznajomiono się z Schopenhauerem bardzo późno i głównie pośrednio w skutek zajęcia, jakie obudził jego epigon Hartmann. O oryginalnéj filozofii Schopenhauera posiadamy, jeśli się nie mylę, tylko jednę—oprócz zacytowanéj w nagłówku, pracę, umieszczoną już dawniéj w „Bibliotece Warszawskiéj." Rozprawa p. Smolikowskiego poświęcona jest wyłącznie krytyce filozofii Schopenhauera; a krytyka ta zmierza głównie do wykrycia sprzeczności w podstawach téj filozofii. Sprzeczności te, o ile zdołałem zrozumiéć autora, dadzą się sprowadzić do następujących:

1) Podmiotowy idealizm Schopenhauera, wyrażający się w twierdzeniu, że świat jest naszém wyobrażeniem, powinien był konsekwentnie doprowadzić do bezwzględnego sceptycyzmu; tymczasem Schopenhauer, uznając świat tylko za ułudę umysłu naszego, przypisuje przecież temuż możność poznania metafizycznéj istoty wszechświata. 2) Wyzwolenie się woli od chęci życia za pomocą pozna-

nia niedoli świata staje w sprzeczności z zasadniczém twierdzeniem Schopenhauera, że rozum wraz z całym aparatem pomocniczym jest tylko wytworem metafizycznéj woli. 3) Przypisując wreszcie rozumowi możność odwrócenia woli od życia, wikła się Schopenhauer w dwie naraz sprzeczności: po pierwsze bowiem, rozum staje się przez to takim samym ostatecznym metafizycznym pierwiastkiem jak wola; powtóre zaś, skoro rozum ma władzę pokonania woli, przeto we wszechświecie po nad pierwiastkiem nierozumnym i złym panuje pierwiastek rozumny i dobry; jedném słowem *monizm* Schopenhauera jest w rzeczywistości *dualizmem* a *pessymizm—optymizmem*.

Nie można odmówić autorowi bystrości w dostrzeżeniu słabych stron filozofii Schopenhauera. Wszakże werwa krytyczna uniosła go za daleko, zwłaszcza odnośnie do punktu pierwszego. Przedewszystkiém Schopenhauer nigdy i nigdzie nie twierdził jak Berkeley, że świat cały jest prostą fantasmogoryą, pozbawioną rzeczywistego istnienia po za granicami naszego umysłu, i jego podmiotowy idealizm bynajmniéj nie zobowiązuje go siłą logicznéj konsekwencyi do podobnego twierdzenia. Pod tym względem Schopenhauer najzupełniéj pozostaje na stanowisku Kanta z tą różnicą tylko, że konsekwentniéj niż on istnienia „rzeczy saméj w sobie“ nie gruntuje na kategoryi przyczynowości lecz na bezpośredniém wewnętrznéem doświadczeniu. „Świat jest wyobrażeniem“ znaczy w duchu filozofii Schopenhauera tylko to, że świat naszéj obserwacyi i naszéj wiedzy ściśléj nie jest *takim*, jakim jest metafizycznie. I najzupełniéj słusznie twierdzi Ribot, że podmiotowy idealizm Schopenhauera bardzo się zbliża do obecnego idealizmu nauk ścisłych. „Jeśli — powiada ten uczony (*La philosophie de Schopenhauer*, str. 164) — doktrynę tę pozbawiemy jéj form metafizycznych, to przekonamy się, iż ona daleko mniéj odbiega od tego, co utrzymują ściśli uczeni, niż się zdawać może. I tak Helmholz usuwając, o ile można, wszelką hipotezę i trzymając się tylko faktów, umiejętnie ustalonych, oświadcza, że dane naszych zmysłów mogą być uważane tylko jako *symbole*, *które my interpretujemy*, że niepodobna pojąć analogii pomiędzy wyobrażeniem a jego przedmiotem, że pierwsze jest po prostu duchowym znakiem drugiego; znakiem, który jednak nie jest dowolnym, gdyż go nam narzucił ustrój naszych zmysłów i ducha..... I tak to, co Schopenhauer nazywa zjawiskami, Helmholz nazywa symbolami; symbole wyrażają jakąś rzeczywistość niedostępną dla poznania; zjawiska kryją w sobie jakieś *x*, wolę.“— Z drugiéj strony nie popadł Schopenhauer w metafizyczny dogmatyzm, co w saméj rzeczy nie dałoby się pogodzić z jego teoryą poznania. Przeciwnie twierdzi wyraźnie, że zupełne (*adaequate*) poznanie metafizyczne jest niemożliwe, a to

z dwóch powodów: Po 1-sze dlatego, że nawet owo bezpośrednie wewnętrzne doświadczenie, które nam pozwala odchylić rąbek zasłony, pokrywającéj metafizyczną istotę świata — wolę, nie jest całkowicie niezależne od form poznania; lecz przez dwie z nich jest zawarowane, a mianowicie przez kategoryą czasu i przedmiotu. Po 2-gie dlatego, że poznanie „rzeczy saméj w sobie" jest największą sprzecznością. Poznanie bowiem czy to pośrednie czy to bezpośrednie ujmuje rzecz poznawaną zawsze jako przedmiot t. j. jako formę istnienia dla podmiotu a nie jako rzecz samę w sobie.—Nie jest więc Schopenhauer sceptykiem i konsekwentnie być nim nie może; ale też nie jest metafizycznym dogmatykiem, łudzącym się, iż w filozofii swéj dotarł do absolutnéj istoty wszech rzeczy. Przeciwnie, wié doskonale i stanowczo twierdzi, że nie ma odpowiedzi na pytanie, czém metafizyczny pierwiastek świata jest sam w sobie. Jeśli zaś pierwiastek ten nazwał on wolą, to dlatego, że „rzecz sama w sobie" przedstawia się nam, według jego mniemania, w woli pod formą dla nas najbardziéj przezroczystą i najlepiéj znaną (*cf. Die Welt als Wille und Vorstellung*, tom II, c. 1. i 25). Jedném słowem, metafizyczne poznanie, według Schopenhauera, absolutnie prawdziwe być nie może, lecz może być bardzo do prawdy zbliżone.

Dwa drugie wyżéj wymienione zarzuty, które p. Smolikowski stawia filozofii Schopenhauera, zdaniem naszém są słuszne. Wypadałoby tylko, według naszego rozumienia, obie sprzeczności uważać za wynik innego zasadniczego błędu, którego autor się nie dopatrzył. Zasadniczy ten błąd filozofii Schopenhauera tkwi w najoryginalniejszéj jéj doktrynie, t. j. w pessymizmie. Doktryna ta bowiem nie jest bynajmniéj koniecznym wynikiem metafizyki Schopenhauera, lecz złączona jest z nią wątłą nicią teoryi o przeczącém znaczeniu uczucia przyjemności. Z tego, że istotą świata jest ślepa wola, nie wynika zgoła, żeby w świecie tym nie było absolutnie miejsca dla szczęścia i zadowolnienia. Wszak wola w dążnościach swych bywa niejednokrotnie zaspakajaną, chociaż z każdego takiego zaspokojenia wnet nowe powstaje pożądanie. Schopenhauer pojmował to bardzo dobrze i dlatego, chcąc związać pessymizm ze swą metafizyką, wynalazł teoryą, według któréj tylko ból odczuwamy rzeczywiście, przyjemności zaś zgoła nie czujemy; to zaś, co nazywamy przyjemnością jest w gruncie rzeczy brakiem bólu. Z zasad więc swéj metafizyki nie był Schopenhauer zobowiązany do pessymizmu; i, gdyby go nie był wprowadził do swéj filozofii, nie miałby téż potrzeby szukać środków dla wyzwolenia woli od jéj dążenia do życia, a tém samém nie byłby zmuszony naznaczać rozumowi w tém dziele wyzwolenia roli wprost przeciwnéj zasadniczym podstawom całéj swéj filozofii.

Pomijając inne mniéj ważne szczegóły rozprawy p. Smolikowskiego, zauważyć nam wypada, że czytelnik, nie znający filozofii Schopenhauera, zadziwi się bez wątpienia, że filozofia ta mogła sobie wyrobić to szerokie uznanie, jakiém dotychczas się cieszy, wobec rażących sprzeczności, wykrytych przez autora w jéj zasadniczych podstawach. P. Smolikowski zachwala wprawdzie Schopenhauera jako głębokiego myśliciela, ale żadnemi dowodami tego twierdzenia nie popiera; stąd rodzi się dziwna sprzeczność pomiędzy rezultatem jego krytyki a doniosłém znaczeniem, które historya filozofii powszechnie przypisuje Schopenhauerowi, a którego i p. Smolikowski widocznie mu nie odmawia. Dyssonans ten wynika z wadliwości metody krytycznéj p. Smolikowskiego. Krytyk systemu filozoficznego nie może się ograniczyć, jak to czyni p. Smolikowski, na wyszukiwaniu jego wad, tkwiących bądź to w sprzecznościach wewnętrznych, bądź to w sprzecznościach z faktami i umiejętnościami ścisłemi. Gdybyśmy podług takiéj metody postępowali, musielibyśmy większéj części filozoficznych systemów odmówić wszelkiego znaczenia i to tém bardziéj, im bardziéj dany system byłby w sobie zamknięty i skończony; gdyż w takich właśnie systematach sprzeczności te są z natury rzeczy największe i najwidoczniejsze. Lecz zadaniem krytyki filozoficznéj jest nietylko *skrytykowanie* danego systemu, ale i wyjaśnienie jego stosunku do całego życia umysłowego epoki, w któréj powstał t. j. wykazanie ogólnych i indywidualnych motywów, które go do życia powołały. Gdyby p. Smolikowski w ten sposób zapatrywał się był na filozofią Schopenhauera a nie był rozważał jéj zupełnie w oderwaniu, pokazałoby się, że filozofia ta mimo swych wielkich sprzeczności jest bardzo ważną kartą w dziejach rozwoju ducha giermańskiego epoki po-kantowskiéj. P. Smolikowski zaniedbał to uczynić, a stąd jego krytyczny rozbiór zasadniczych podstaw filozofii Schopenhauera uważamy za niedostateczny, bo jednostronny.

W końcu nadmienić musimy, iż zawartość rozprawy wcale nie usprawiedliwia dedykacyi onéj „pamięci Emanuela Kanta w setną rocznicę wydania Krytyki czystego rozumu;“ gdyż stosunku Schopenhauera do Kanta autor tylko mimochodem dotyka. A przecież wobec wzmiankowanéj dedykacyi ten stosunek powinien był, zdaje się, stać na pierwszym planie; tém bardziéj, że wyjaśnienie jego znakomicie uzupełniłoby krytyczny rozbiór zasadniczych podstaw filozofii Schopenhauera i, że krytyka filozofii Kanta, dokonana przez Schopenhauera, do dziś dnia może być uważana za klasyczną.

H. G.

= **Ból fizyczny i moralny.** *Studyum dr. Juliana Ochorowicza* (odbitka z „Kosmosu"). Lwów, 1882, str. 75. Autor z właściwą sobie jasnością, żywością i dostępnością słowa kreśli najprzód ogólne znaczenie bólu w zestawieniu z rozkoszą, odpierając twierdzenia pessymistów utrzymujących, że suma uczuć i wrażeń przykrych przeciętnego człowieka jest większa od sumy uczuć i wrażeń przyjemnych. „Gdyby tak było — powiada — to ogół ludzi dążyłby nie do zachowania bytu, lecz do pozbycia się go i nie nazywanoby nas ludzkością samolubów, lecz—samobójców." Dodaje atoli zaraz, że wrażenia i uczucia przykre, chociaż ilościowo mniéj liczne, są jakościowo silniejsze: „ta mniejsza liczba kropli goryczy, jaką los wypełnia nam kielich życia, wystarcza nieraz do zepsucia napoju, i chociaż krople chowają się na dnie, lub odosobnione pływają po powierzchni; jedna z nich zaciera smak tysiąca innych; tysiąc przyjemności nie zrównoważy jednéj chwili rozpaczy...." Najsilniejsze bóle nie mają równych rozkoszy ani co do siły ani co do trwałości; przyjemność trwająca zbyt długo staje się powszednią, niekiedy nawet uprzykrzoną; ból długotrwały nigdy bólem być nie przestaje. — Następnie przytacza autor 8 obserwacyj częścią własnych częścią obcych, mających na celu opisową stronę różnorodnych objawów bólu u różnych jednostek; ustęp ten ma podwójne znaczenie: jako materyał do uogólnień i jako metodologiczna wskazówka badań psychologicznych. W dalszym ciągu rozpatruje p. O. systematycznie objawy bólu, poczynając od najpospolitszego t. j. od *płaczu*. Na podstawie licznych spostrzeżeń utrzymuje, że noworodki wogóle są wrażliwsze na wrażenia przyjemne niż na ból i że wrażliwość na ból rośnie wraz z rozwojem organizmu. O ile płacz jest *wogóle* wyrazem téj wrażliwości, o tyle téż idzie z nią w parze; lecz wrażliwość sama w sobie, doskonaląc się, urozmaica swoje objawy, a nawet zmienia swą naturę: z powierzchownéj staje się głęboką— i wtedy płacz przestaje być jéj miarą; rasy wyższe są mniéj płaczliwe choć więcéj czują; rasy niższe okazują większą skłonność do płaczu obok mniejszéj wrażliwości na ból; upadek umysłu, w niektórych zwłaszcza formach melancholii, bardzo często powiększa obfitość łez i łatwość ich wylewania. Po płaczu bierze autor pod uwagę takie objawy jak palenie głowy, pocenia się, ziębienie ciała, dreszcze, zaburzenia w krążeniu krwi, w funkcyach żołądka i kiszek, blednienie i żółknienie, siwienie, westchnienia, chudnienie, zmiany w wyrazie twarzy. Rozpatrzywszy stronę zewnętrzną objawów bólu, p. O. przechodzi do rozejrzenia się w wewnętrznéj, twierdząc, że wszelkie wrażenia bolesne przedstawiają się w świadomości jako przemoc, od któréj umysł stara się uwolnić; ból rozpędza i przytłumia myśli; wszelkie wysiłki woli, ażeby myśléć

porządnie są bezskuteczne, co chwila wątek asocyacyi przerywa się i znów kojarzy bezładnie, nie tak jakbyśmy chcieli. Na to spostrzeżenie kładzie p. O. silny nacisk, sądząc, że ono ogranicza przyjętą dziś powszechnie teoryą asocyacyi, wedle któréj wszystkie czynności duchowe odbywają się na zasadzie praw asocyacyi i tylko na zasadzie tych praw. Autor utrzymuje, że „wewnętrzny bieg skojarzeń może być ożywiony lub zwichnięty niezależnie od praw asocyacyi;“ pierwszy wypadek, zdaniem jego, bywa wtedy, gdy nagromadzony zapas żywéj siły nerwowéj *niezależnie* od wrażeń, wyobrażeń i uczuć ożywia je i wprawia w ruch; drugi zaś wtedy, gdy wycieńczenie, jakie między innemi sprowadza ból, przerywa pasmo asocyacyj i plącze działanie ich praw. To aż nazbyt lakoniczne sformułowanie zarzutów przeciwko prawu kojarzenia się nie pozwala ich wartości ocenić. Poprzestając tedy na ich zaznaczeniu, przytoczymy tu objaśnienie fizyologiczne podane do jednego ze zdań Szekspira. W Makbecie czytamy:

Raczéj, człowieku, wymów całą boleść,
Żal niemy może gwałtownie ściśnięte
Rozsadzić serce.

P. O. przekłada wyrażenie to na język fizyol ogiczny w ten sposób: „Zużyj część rozdrażnienia na objawy zewnętrzne w mięśniach prążkowanych od woli zależnych, a wtedy mniéj go zostanie na niebezpieczne drażnienia mięśni gładkich, takich jak serce, jak mięśnie płuc, żołądka i kiszek.“ Wskazawszy następnie wzmożenie się drażliwości i obraźliwości w jednostkach bólem dotkniętych, wyszukiwanie nowego bólu dla stłumienia dawnego, wywoływanie przez ból znieczulenia, kończy tę część swéj pracy spostrzeżeniem, że im ból silniejszy, tém większą przestrzeń zdaje się zajmować.— Drugą część swego studyum poświęca autor zbadaniu *przyczyn* bólu. Wszystkie cierpienia ludzkie podciąga pod trzy kategorye: *choroby*, *wrażenia* i *zawodu;* we wszystkich pewne naruszenie równowagi funkcyj wywołuje ból. I tak: organizm normalnie funkcyonujący nie doznaje sam z siebie bólu; dopiero gdy jedna czynność zostanie podniecona kosztem drugich, lub na rachunek drugich osłabnie, wtedy nerwy czucia zmianę tę odczują, a zawiadomiony o niéj mózg dozna uczucia przykrego, które trwać będzie dopóty, dopóki trwać będzie wywołująca je zmiana funkcyj i dopóki istnieje świadomość. Co do *wrażeń*, to wszystkie one około maximum swego natężenia lub téż rozprzestrzenienia stają się bolesnemi; a działając i silnie i rozlegle muszą naruszać równowagę funkcyj. Co do trzeciéj kategoryi, to wszystkie przyczyny psychiczne bólu sprowadza autor do jednéj: *niezaspokojonego popędu;* gdyż nawet tam, gdzie pozornie ból nie po-

wstał przez negacyą popędu, gdzie on zdaje się mieć charakter pozytywny, gdzie popędu uprzedniego jakby nie było, możemy go się zawsze domyślać, jest on zawsze utajonym, tak że wszelki ból moralny daje się do negacyi sprowadzić. Jako poczucie braku, ból taki jest również naruszeniem pewnéj równowagi (swobody asocyacyi myśli i uczuć). Ale zachodzi pytanie, jakie to funkcye tracą równowagę, gdy doświadczamy bólu. Gdybyśmy poprzestali na wyjaśnieniu, że funkcye te mogą być bądź cielesne jak np. oddychanie, krążenie krwi i t. d., bądź duchowe jak np. myślenie, przypominanie i t. d.; to zasada *jedności* téj kategoryi zjawisk zostałaby niewykrytą. Autor stara się właśnie o zdobycie téj zasady i w tym celu przebiega różnorodne teorye tworzone celem wyjaśnienia istoty uczuć, poddaje je krytyce i w końcu przedstawia pogląd własny. Niepodobna nam iść trop w trop za autorem, chociaż rozbiór teoryj jest nader nauczającym; musimy poprzestać na streszczeniu wywodów samego autora. Organizm żywy dlatego tylko żyje, że się ciągle odradza; z chwilą gdy odradzanie się ustaje, ustaje też życie. Odradza się zaś dlatego, że się *zużywa*. Zarówno więc *zużycie* jak *odnowa* są najbardziéj zasadniczemi, najistotniejszemi procesami życia: od nich się ono zaczyna i na nich kończy, a wszystko, cokolwiek za funkcyą istoty żywéj uważać możemy, jest różnokształtnym przejawem jednéj funkcyi zasadniczéj — *przemiany materyi*. A jeżeli tak jest, to i funkcya uczuciowości musi się z tą zasadniczą znajdować w jakimś ścisłym stosunku. Z punktu widzenia obserwacyi wewnętrznéj polegają wszystkie bóle na pewném naruszeniu równowagi funkcyj, lecz ponieważ nie każde naruszenie téj równowagi jest bólem, przeto trzeba dopełnić owo wyrażenie dodatkiem, że bólem jest zawsze to, co indywidualnie pojętą, autonomiczną równowagę funkcyj narusza lub znosi. Z punktu widzenia obserwacyi zewnętrznéj ból jest naruszeniem równowagi pomiędzy zużyciem a odnową tkanek, jak to wynika z uogólnienia spostrzeżeń i z eksperymentów Mantegazzy, które, wykazały, że ból wstrzymuje ruchy serca, zniża temperaturę ciała, powiększa częstość ruchów oddechowych albo je wstrzymuje, paraliżuje trawienie i odżywianie. Odróżnia p. O. ból negatywny i pozytywny. Ból negatywny będzie wtedy, gdy wobec znacznéj odnowy tkanek wstrzymane jest zużycie, ból pozytywny wtedy, gdy wobec znacznego zużycia wstrzymaną jest odnowa. Uogólniając zaś wszystkie spostrzeżenia i łącząc oba punkta widzenia, fizyologiczny i psychologiczny, dochodzi autor do następnéj definicyi: „*Przyjemność* jest funkcyą psychiczną wszystkich tych procesów fizyologicznych, które bądź-to przez zużycie, bądź przez wstrzymanie zużycia *ułatwiają* odnowę tkanek. *Przykrość* zaś jest funkcyą psychiczną wszystkich tych procesów fizyologicznych, które bądź-to przez zuży-

cie bądź przez wstrzymanie zużycia *utrudniają* odnowę tkanek... Najwyższy stopień *rozkoszy* jest wówczas, gdy najwyższemu chwilowo zużyciu odpowiada najwyższa chwilowa odnowa. Najwyższy zaś stopień bólu wówczas, gdy najwyższe możliwie zużycie dąży do zupełnego wstrzymania odnowy—lecz takie wytężenie struny cierpień nie może trwać długo, gdyż organizm broni się przed niém omdleniem lub śmiercią." Oto ostateczne rezultaty, do których doszedł p. Ochorowicz. Rozumie się, że w tém suchém streszczeniu nie mogliśmy dać poznać zalet wykładu autora, który nigdy nie wchodzi w zakres oderwanych pojęć, dopóki za pośrednictwem przykładów z życia wziętych nie wyjaśni dostatecznie każdego pojęcia i dopóki nie przygotuje tym sposobem czytelnika do zrozumienia abstrakcyjnych wywodów. Rozprawa o bólu należy niewątpliwie do najlepiéj pod względem metodycznym wykonanych prac naszego wysoce utalentowanego psychologa.

— **Ostatni list**. Skreślił *Aleksander Chomiński* (Warsz. 1882 str. 92). Jest-to jakby studyum, w kształcie noweli, nad „manią wielkości." Konrad, dusza płomienna i artystycznie uzdolniona, pochodził z rodziny czeskiéj, przechowywującéj oddawna przepowiednią, iż jeden z jéj członków zostanie mistrzem, którego „melodyjna pieśń nad całą nawą świata zapanuje." Każdy więc członek sądził, że on jest tym zapowiedzianym mistrzem, a gdy życie kłam zadawało takiemu zdaniu, miał nadzieję, że na synu jego wróżba się spełni. Konrad wyrósł w téj myśli, od dzieciństwa pokochał skrzypce, a uważając się za muzyka—poetę, za gieniusz, z lekceważeniem odtrącał rady i wskazówki swoich nauczycieli, co w technikę wprawić go zamierzali. Samorzutnie fantazyując, gdy pierwsza miłość obudziła w nim żywsze prądy, pokusił się o danie koncertu i zrobił najfatalniejsze fiasko. Znalazł pociechę w nowéj, jak mu się zdawało, miłości, a raczéj w szale przemijającym względem kobiety, która ognistą swoją naturą wyobraźnię tylko jego drażniła. Wtedy pomyślał o wystawieniu wielkiéj opery, na tle patryotyczném osnutéj (*Jan Sobieski*), połączył się z poetą Romanem, również pragnącym sławy, ale mniéj wybuchowym niż on sam. Pracowali długo. Z początku zdawało się, że „natchnienie" zdrojem spłynie na artystę, lecz w ciągu pracy brakowało pomysłów, tak że Konrad musiał się uciekać po motywa do starych mistrzów, któremi dawniéj pogardzał. Wreszcie z wielką męką ukończono dzieło. Żaden wydawca nie chciał go ogłosić. Dyrektor teatru obiecał wystawić, ale honoraryum zaproponował tak niskie, że było ono ironią w porównaniu z marzonemi przez autorów górami złota. Cóż było robić? Zgodzono się na wystawienie opery. W przeddzień przemówił się zazdrosny o Irenę artysta z recenzentem teatral-

nym, który jego ukochanéj nadskakiwał. W skutek przemówienia się tego, w sam dzień reprezentacyi pojawił się artykuł odsądzający operę od wszelkiéj wartości. Pomimo patryotycznéj treści opera mało ściągnęła widzów, oklaski po pierwszym, najlepszym akcie wydały się artyście objawem litości; po skończonéj sztuce wywołano autora, a gdy się ukazał, dały się słyszéć przeciągłe sykania. Zemsta zawiedzionéj publiczności była dla artysty dotkliwszą od samego niepowodzenia. Na dobitkę miłość własna obu autorów wywołała starcie. Roman przypisał niepowodzenie Konradowi. Nastąpił pojedynek; Roman poległ, siostra Konrada kochająca poetę, wstąpiła do klasztoru, matka umarła, artysta dostawszy tyfusu, wyłysiał, posiwiał, wynędzniał. Gdy cokolwiek przyszedł do siebie, nie mając ani grosza w kieszeni, nie wiedząc co z sobą począć, doznał jeszcze jednego, okropnego ciosu. Pierwsza jego miłość, siostra po duchu, anielska Eugenia, widząc go zakochanym w innéj, a nie mogąc nienawidzić, trawiła się w sobie, nikła z każdym dniem a przed zgonem zapragnęła go raz jeszcze zobaczyć i poślubić go, ażeby mu przekazać swój majątek. Prześlicznie są nakreślone przedzgonne marzenia suchotnicy (str. 67—73), przypomnienia pierwszych chwil znajomości, wspólnych śpiewów, wspólnych rojeń... Po śmierci Eugenii Konrad znowu wpadł w chorobę, z któréj wyszedłszy, oprzytomniał niby z manii i surowo osądził całe swoje tak krótkie a tak znękane życie: „Może był we mnie talent... powiada—charakter dumny, zarozumiałość zniweczyły i tę cząstkę geniuszu, bo praca nie rozwinęła ziarn należycie, nie dała im pokarmu; nie dziw więc, że roślina skarlała; a tu przygnębiły jeszcze okoliczności nieprzyjazne, zwarzył mróz niepowodzeń i... zginęła marnie.“ Otrzeźwienie było chwilowe. Obłąkanie stało na progu jego umysłu i weszło wreszcie do wnętrza. Bezładne marzenia opanowały jego głowę, zaczął zajmować się wielką polityką, wielką nauką, wielkiemi pomysłami. W końcu zmienił mieszkanie... na szpital waryatów. W chwili przedzgonnéj marzył jeszcze o wyśpiewaniu wielkiéj pieśni, co nad nawą świata zapanować miała, żądał skrzypiec; nie dano mu ich, skonał... Autor nadał swojéj noweli kształt listu pisanego przez zwichniętego artystę w chwili jaśniejszego poglądu; stąd romantyczne wybuchy miarkowane są niekiedy trzeźwą rozwagą. Opowiadanie jest pisane językiem i stylem poprawnym a czasami pięknym. Jeżeli uwzględnimy jednostajność formy, wynikłą z głównego pomysłu, to będziemy musieli przyznać, że autor w tym zakresie wyzyskał prawie wszystko, co było do wyzyskania artystycznego.

= **Z życia poety** (*Sebastyan Klonowicz*). *Szkic powieściowy na tle historycznem napisał Władysław K. Zieliński.* (Tom XXI „Biblioteki

Nowości"). Lwów. Nakład księgarni K. Łukaszewicza. 1882 str. 187. Ostatnie lata życia Klonowicza podawały już dawniéj powieściopisarzom, poetom i artystom przedmiot do obrazów wykonanych piórem lub pędzlem, że tylko wspomnę Zacharyasiewicza, Syrokomlę, Leopolskiego. Opierając się na szczegółach mętnego podania wystawiali nam oni plastycznie dogmat romantyzmu, że poeta nie może być nigdy w zgodzie i harmonii z „brudną" i „zimną" rzeczywistością, gdyż sama natura jego ducha tak jest różną od natury otoczenia ziemskiego, iż walka między niemi staje się konieczną; walka ta wypada dla poetów niepomyślnie na ziemi, ale zapewnia im nieśmiertelne imię w krainie wspomnień, w regionach ideału. Klonowicz pojęty według tradycyi jako męczennik idei umierający w szpitalu był wyborną ilustracyą onego dogmatu i zwracał ku sobie sympatyczne uczucia artystów—braci po duchu. Nowsze, ściślejsze poszukiwania zaprowadziły niektóre zmiany w tradycyi, na niekorzyść poetycznego pojmowania walki poety ze światem. Nie udowodniły one wprawdzie, iżby Klonowicz nie doświadczał w życiu starć bolesnych, iżby nie spotykał na drodze swéj cierni, ale zachwiały autentyczność wielkiéj roli ubóstwa, prześladowania i szpitala w ostatnich chwilach poety. Można téż było na podstawie tych nowo odszukanych dokumentów nakreślić życie Klonowicza z innego niż dawniejszy punktu widzenia; można było dać np. zajmujący obrazek mieszczanina mówiącego gorzką prawdę szlachcie a jednak szczycącego się przyjaźnią lepszych przedstawicieli téj szlachty w wieku XVI. Gdybyśmy w zupełności zawierzyli przedmowie p. Zielińskiego, to zdawałoby się, że właśnie zmieniony przez nowo odszukane akta punkt widzenia skłonił autora do napisania szkicu powieściowego „z życia poety." Zapewnia bowiem p. Zieliński, że „co do głównych momentów dotyczących życia i śmierci Acerna," trzymał się „ściśle najnowszych odkryć i wyjaśnień poczynionych przez pp. Józefa Detmerskiego i prof. Przyborowskiego, jako téż i wskazówek zawartych w aktach archiwum akt dawnych w Lublinie?" Może autor miał zamiar tak zrobić, ale że nie zrobił w całéj rozciągłości, to pewna. Przyjął świeżo ustaloną datę śmierci Klonowicza; o kamienicy, którą dostał poeta w posagu po żonie, rozprawia szeroko w całéj książce; nazwiska znajomych autora „Roksolanii" przytacza obficie; różne nieruchomości miejskie, gwoli swéj żyłce archeologicznéj opisuje drobiazgowo; lecz na tém podobno można zakończyć szereg owych „głównych momentów" wspomnianych w przedmowie. Inne szczegóły przedstawia autor po staremu, dodając tylko tu i owdzie trochę skandalicznych wymysłów. Żona poety Agnieszka występuje w tym szkicu powieściowym nie tylko jako sekutnica lecz jako bezwstydna i rozpustna marnotrawczyni,

a co gorsza jako trucicielka; Klonowicz umiera w szpitalu ś. Ducha; a osnowę powieściową splątał autor z prześladowania poety przez jezuitów za jego pamflet przeciw zakonowi i za „Victoria deorum“ oraz ze spisku wójta Mrzygłoda i palestranta Wylągowicza na majątek i dobre imię Klonowicza. Okolicznościom tym, wielce podejrzanéj autentyczności, nadając przeważne w swém opowiadaniu znaczenie, p. Zieliński natomiast pomija rzeczy udowodnione (np. zajście z żoną jedynie dokumentami stwierdzone), albo też je przekręca (sprawy procesowe). Pomimo słów uwielbienia, których autor poecie nie szczędzi, w opowiadaniu jego Klonowicz wygląda nader niepocześnie i nie sprawdza w działaniu niczém owych lirycznych ustępów. Opowiadanie wogóle całe bez talentu powieściopisarskiego prowadzone, ciągle się urywa i znowu nawiązuje, posiłkując się wszystkiemi zużytemi środkami starych i nowych romansów (bójki, skarby w misternych skrytkach, wyklęcia itp.), tak że całość sprawia niemiłe, a czasem nawet wstrętne wrażenie. Jako utwór powieściowy szkic „Z życia poety“ świadczy o braku talentu, jako biografia udramatyzowana może fałszywe całkiem wyobrażenie dać o autorze Roksolanii, Flisa, Worka Judaszowego i Zwycięstwa Bogów. Łacina, którą się lubi p. Z. posługiwać, jest okropna—pod względem nawet elementarnéj gramatyki.

== Przyrodnicy nasi idą przebojem. Ledwo upadła „Przyroda i Przemysł“, nie mogąc utrzymać dostatecznéj do pokrycia nakładu liczby prenumeratorów, a już ukazało się nowe pismo poświęcone popularyzacyi nauk przyrodzonych, tym razem pod rozległą nazwą **Wszechświatu**. Wydawcy liczą widocznie, że zdołają ostatecznie przełamać obojętność czytającego ogółu i wzbudzić zamiłowanie do téj gałęzi wiedzy ludzkiéj, która zarówno dla wysokiego rozwoju teoretycznego jak i dla zastosowań praktycznych tak górującą rolę w czasach naszych odgrywa. Mówić o potrzebie popularnego organu przyrodniczego byłoby rzeczą niezawodnie zbyteczną, sądzimy, że i ogół nasz potrzebę tę nakoniec tak dalece oceni, że pismo to potrafi zapewnić sobie byt trwały. Jako wydawca podpisuje się pan E. Dziewulski, jako redaktor p. Br. Znatowicz; komitet redakcyjny stanowią pp. Chałubiński, Dudrewicz, Kramsztyk, Ślósarski, Słowikowski, Trejdosiewicz i Wrześniowski; zbiorowa redakcya pozwala dobrze tuszyć o wartości pisma. Dotąd mamy przed sobą cztery pierwsze numery tego nowego tygodnika, zalecające się zarówno obfitością materyału, jak i jasném jego obrobieniem. Znajdujemy tam odczyt prof. Oskara Fabiana „*O promienistym stanie materyi*,“ daléj żywo prowadzone „*Wspomnienia z podróży do Peru*“ p. Sztolcmana, kilka rozprawek popularnych, jak „*Powstawanie gliny*“ p. Józefa Bąkow-

skiego, „*Krzemionka w przyrodzie*“ p. Jana Trejdosiewicza, „*Z powodu kolei konnéj*“ p. Stanisława Kramsztyka „*Kauczuk i gutaperka*“ p. Józefa Natansona, „*Kamieniołomy w Dyczkowie*“ p. Wł. Boberskiego i in. *Życiorysy* świeżo zmarłych naturalistów, *ks. Wł. Lubomirskiego* i prof. *Rafała Czerwiakowskiego* napisane przez prof. Wrześniowskiego i Rostafińskiego wskazują, że redakcya baczną uwagę zwracać zamierza na sprawy nauki krajowéj. Początek obszernéj, jak się zdaje, pracy p. K. Filipowicza „*Rośliny skrytokwiatowe*“ przedstawia raczéj charakter podręcznika naukowego, aniżeli pracy do pisma bieżącego przeznaczonéj. Sprawozdania literackie i kronika naukowa zajmują obszerną część każdego numeru.

= **Starodawne prawa polskiego pomniki.** *Tom VI wyd. M. Bobrzyński.* Głównem zadaniem istniejącéj przy Akademii Umiejętności w Krakowie komisyi prawniczéj jest wydawanie źródeł prawa polskiego. Ponieważ w chwili utworzenia Akademii a więc i zawiązania komisyi prawniczéj śp. A. Z. Helcel wydał był już dwa tomy starodawnych prawa polskiego pomników, postanowiono pracę przez znakomitego tego męża zaczętą daléj prowadzić i najbliższy własnym Akademii nakładem wydać się mający tom trzecim z rzędu nazwać. Tom ten obejmuje przedruk korektury Taszyckiego dokonany przez p. Bobrzyńskiego. W tomie czwartym mieszczą się statuta synodalne wydane przez p. Heyzmanna, tom piąty nakoniec poświęcony został pomnikom literatury politycznéj polskiéj z w. XV, a wydawcą pierwszéj jego części, która przed kilku laty się pojawiła, jest znowu p. Bobrzyński. Obecnie mamy przed sobą tom VI, który również niezmordowanéj pracy młodego profesora prawa polskiego w Krakowie zawdzięczamy. Jak wiadomo, cały prawie drugi tom Pomników wydany przez Helcla zawiera wyjątki z ksiąg sądowych krakowskich z lat 1394—1506. Oczywiście nie wyczerpał Helcel materyału nawet z tego okresu, i bez przesady da się powiedzieć, że stosunek wydrukowanych przezeń zapisek do rękopiśmiennych, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy świeżo ze Lwowa spowadzone do archiwum krakowskiego księgi Bieckie i Czechowskie, jest jak 1 : 100. Jeżeli zatém już z wieku XV tak wielki zasób materyału się nagromadził, cóż powiedzieć o w. XVI, w którym księgi, choćby już z tego powodu, że forma zapisek stawała się w miarę wykształcenia przewodu sądowego znacznie dłuższą i rozwleklejszą niż poprzednio, musiały téż urość znacznie tak co do objętości jak i liczby. Zadanie wydawcy jest co do w. XVI z jednéj strony łatwiejsze, z drugiéj trudniejsze niż co do wieków poprzednich. Łatwiejsze o tyle, iż prawidłowo księgi z tego czasu lepiéj zachowane i pismo do odczytania mniéj trudne; trudniejsze zaś z powodu uwagi, jaką trzeba przyłożyć przy wyszuki-

waniu stosownych do druku aktów z całéj chmary przechowanych. Dokładną téj różnicy ilustracyą jest wykaz statystyczny przez wydawcę w przedmowie umieszczony. Bobrzyński bowiem w obecném wydawnictwie ograniczył się do wyroków sądu nadwornego królewskiego z lat 1507—1531, które mieszczą się w odrębnéj kategoryi ksiąg, stanowiących jeden z najciekawszych zabytków archiwum krakowskiego. W księgach, które pochodzą z okresu objętego tomem VI. Starodawnych pr. pol. pomników znajduje się aktów blisko 9.000, z których uwzględnienie znalazło tylko 521 a więc część 18-sta. Zważywszy, że i księgi królewskie są tylko drobną częścią wszystkich aktów współcześnie prowadzonych, łatwo się przekonać, jak dalece trzeba być w księgach sądowych oczytanym, jak dobrze znać należy przedmiot w nich się znajdujący, aby tylko istotnéj wartości zapiski do druku podawać. W krótkiéj, ale treściwéj przedmowie nie tylko ów wykaz statystyczny jest zawarty; zajmuje on tylko § 12, podczas gdy §§. 2—8 mieszczą w sobie uwagi ogólne co do wydawnictwa zapisek, pełne trafnych i z doświadczenia zaczerpniętych spostrzeżeń, §§ 9—11 zaś określają stanowisko i kompetencyą sądów nadwornych z dołączeniem wykazu ksiąg królewskich od r. 1436—1563. Nadmienić tu wypada, że wykaz ten nie jest rzeczą najmniéj ważną i najłatwiejszą. Niezawodnie jedno tylko archiwum krakowskie, którego dyrektorem jest p. Bobrzyński, posiada dokładne wykazy zawartych w niém ksiąg; nie idzie tu bowiem o spisanie i policzbowanie, ale o ułożenie w księgi pojedyńczych arkuszy i dokładne chronologiczne ich zestawienie. Z wykazu tego dowiadujemy się, że wszystkich ksiąg sądu królewskiego w Krakowie znajduje się 47, z których na panowanie Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta przypada 33. Jak nas poucza wzmianka w przedmowie, zamierza p. Bobrzyński prócz 10 już wyzyskanych ksiąg i dalsze 23 objąć w zakres wydawnictwa, przez co tém większą dla nauki odda przysługę, iż owe wyroki z w. XVI są najznakomitszém źródłem do poznania przewodu sądowego polskiego w jego prawie zupełnym już rozwoju. Co się tyczy wydania obecnego tomu, to przedewszystkiém na pierwszy rzut oka zastanawiają tytuły, któremi pojedyńcze akty są opatrzone. Jest to dla korzystających wielkiém ułatwieniem, tém bardziéj że p. Bobrzyński umieszcza zarazem odpowiednie §§ z korektury Taszyckiego, która, chociaż pozostała tylko projektem, zawiera jednakże po największéj części zasady istotnie obowiązującego pr. polskiego. Możnaby się uskarżać na znaczną ilość błędów drukarskich, które nie wszystkie w *corrigendach* są umieszczone, ale kto kiedykolwiek miał do czynienia z wydaniem pomników łacińskich, zwłaszcza gdy się korektę z oryginału prowadzi, ten najlepiéj potrafi

ocenić, iż uniknięcie znacznéj liczby omyłek jest prawie niemożliwe. Trzy wykazy: 1) wyrazów i zwrotów polskich, 2) rzeczy, 3) w związku z sobą stojących wyroków, tém wdzięczniéj należy powitać, iż wydawcy zapisek sądowych zwykle od nich się uchylają. Zwłaszcza wykaz „rzeczy" przeprowadzony systematycznie t. j. porządkiem, w jakim prawo polskie mogłoby być wykładane, chociaż zbyt krótko i pobieżnie ułożony, ze względu na swą nowość na uznanie zasługuje, i dowodzi wprawnéj ręki wydawcy.

= **William Stubbs.** *The Constitutional History of England in its origin and development.* 3 volumes. (I third ed. 1880. II second ed. 1877. III second ed. 1878); Select Charters and other illustrations of English Constitutional History from the earliest times to the reign of Edward I, second ed. 1874. — Z pomiędzy teraźniejszych historyków angielskich, zajmujących się wiekami średniemi, trzy główne imiona na uwagę zasługują. Freeman znany autor historyi zawojowania Anglii przez Normanów, James Bryce profesor prawa rzymskiego w Oksfordzie, którego obszerną rozprawę *The Holy Roman Empire* dwukrotnie na język niemiecki przełożono, ostatni raz w r. 1877 przez D-ra Artura Wincklera p. n. „Des deutschen Reiches Vergangenheit und Gegenwart," a obecnie drukujące się dzieło *History of Germany and of the Empire down to the close of the Middle Ages*, z niecierpliwością jest wyczekiwane, i nakoniec William Stubbs, autor pierwszéj wyczerpującéj i z zastosowaniem nowéj metody krytycznéj napisanéj historyi konstytucyi angielskiéj w wiekach średnich. Obszerne trzytomowe dzieło Stubbsa ma dla Anglii być tém, czém Waitza *Verfassungsgeschichte* dla Niemiec, z tém jednak zastrzeżeniem, że przedmiot swój traktuje historyk angielski znacznie zwięźléj,— pomijając polemiczne wycieczki, które stanowią, zwłaszcza w niektórych kwestyach, nie najmniéj ciekawą część książki obecnego dyrektora wydawnictwa „Monumenta Germaniae Historica." Jako uzupełnienie saméj historyi konstytucyi mają służyć najważniejsze pomniki prawa publicznego angielskiego zebrane przez Stubbsa w osobnym tomie i opatrzone treściwemi objaśnieniami i wstępami mającemi ich zrozumienie ułatwić. Wprawdzie wyciągi te sięgają tylko do końca XIII w. a z czasów następnych już tylko w dodatku najważniejsze akty umieszczono, niemniéj wszakże wystarcza zebrany przez Stubbsa materyał, aby najważniejsze zasady konstytucyi angielskiéj z samych źródeł módz poznać. Wdzięcznym też być należy autorowi za słowniczek średniowiecznéj łaciny, który na 20 stronach zawiera wytłómaczenie mniéj zwykłych wyrazów i stanowi, zwłaszcza dla nieobznajomionych ze źródłami średniowiecznemi angielskiemi, pożądany bardzo środek pomocniczy.

— **George Rawlinson**: *A manual of ancient History*. 1880 r. — Nie mówiąc już o literaturze historycznéj polskiéj, w któréj brak wszelkich podręczników dotkliwie daje się uczuć, trudno zaprzeczyć, że i zachodni nasi sąsiedzi wielką obfitością dobrych kompendyów historycznych poszczycić się nie mogą. We Francyi lukę tę zapełnia obecnie wydawnictwo p. Wictora Duruy, byłego ministra oświaty, który z jednéj strony układa sam szereg książek historycznych przeznaczonych to dla szkół niższych, to dla wyższych, a z drugiéj przewodniczy całéj grupie uczonych zajętych opracowaniem dziejów pojedyńczych narodów. Z dzieł należących do tego wydawnictwa, słuszny rozgłos pozyskała Historya literatury francuskiéj p. Demogeot, Historya literatury włoskiéj p. Etienne, Historya Rosyi p. Rambaud, podczas gdy ostatnie dwie publikacye: Historya Austro-Węgier przez p. Leger i Cesarstwa Ottomańskiego przez wice-hrabiego de la Jonquière, poprzednim nie dorównywają. Perłą jednakże tego wydawnictwa jest *L'Histoire Ancienne des peuples de l'Orient*, przez p. G. Maspero, którą odrazu uznano jako w swoim rodzaju dzieło znakomite, w całéj literaturze europejskiéj nie mające równego; Niemcy też pośpieszyli przyswoić sobie książkę p. Maspero, co w r. 1877 przez przekład p. Pietschmana do skutku przyszło. Tém samém zyskali podręcznik, którego nawet znana Historya starożytna Maxa Dunckera, obecnie pojawiająca się w 5 wydaniu, zastąpić nie może. Największą zasługą p. Maspero jest jasność i zwięzłość; na 600 stronach potrafił ugrupować dzieje całego wschodu prócz Indyj i to traktując przedmiot nie pobieżnie, lecz niezmiernie dokładnie i źródłowo. Pod względem zwięzłości przewyższa dzieło następcy Mariette-bey'a w Kairze, podręcznik historyi starożytnéj napisany przez jednego z najznakomitszych oryentalistów angielskich Jerzego Rawlinson'a słynnego autora dziejów *of the five great Monarchies*, do których późniéj przybyły *the sixth and the seventh great Monarchy*, i niedawno wyszłéj dwutomowéj Historyi Egiptu. Również na mniéj-więcéj 600 stronach przedstawia p. Rawlinson całokształt dziejów starożytnych z wyłączeniem Indyj i Chin, których dzieje, jak słusznie uważa, najstosowniéj kreślić przy wykładzie historyi nowożytnéj. Dzieło uczonego angielskiego nie równéj jest wartości. Część pierwsza obejmująca przedmiot, opracowany przez p. Maspero, jest najsłabszą. Zbytnia systematyczność i chęć traktowania każdego choćby najdrobniejszego państewka całkiem osobno, sprawia, iż tracimy ustawicznie wątek opowiadania, cô zwłaszcza wobec nieustalonych dat prowadzi do wielkiego zamieszania. Historya grecka, wypełniająca część drugą, w ogólności przedstawia się o wiele lepiéj; szczególniéj Historya kolonizacyi greckiéj z niezwy-

kłą skreślona została dokładnością. Rawlinson podaje przed każdym rozdziałem nietylko najważniejsze dzieła tak z angielskiéj jak francuskiéj i niemieckiéj literatury, ale nadto i wszystkie źródła z krótkiém nadmienieniem o ich wartości i czasie powstania. W samém zaś opowiadaniu daremniebyśmy szukali owéj nieznośnéj pragmatyczności, która jest plagą książek niemieckich; z pod pióra Rawlinsona występuje historya grecka plastycznie, nie traci swéj żywotności, nie obraca się w konwencyonalnych ramach, w które ją niemieccy autorowie podręczników gwałtem wcisnęli, czyniąc z niéj raczéj część starożytności greckich, niż jednę z najpiękniejszych kart dziejów powszechnych. Macedonia i Dyadochowie doczekali się gruntownego i obszernego uwzględnienia, w porównaniu z innemi rozdziałami może nawet za obszernego. Wszystkie zalety części drugiéj występują w wyższym jeszcze stopniu przy kreśleniu dziejów rzymskich. Przedewszystkiém jedna strona dodatnia zasługuje na podniesienie. Rozwój ustawy rzymskiéj nie jest pojęty ze strony głównie formalnéj, powiedzielibyśmy biurokratycznéj, jak to czynią Niemcy, przeciwnie drobiazgi mniéj ważne i nieskończona ilość terminów technicznych prawie całkiem pominięta, natomiast istotny charakter walk i przeobrażeń społecznych w rzeczypospolitéj rzymskiéj występuje żywo i przestaje mieć ów odcień mitologiczny, legendowy, który jest nieuchronnym skutkiem zbyt pragmatycznego i suchego przedstawiania odległych bardzo wypadków. Historyą cesarstwa nie mniéj dokładnie R. skreślił, zwłaszcza zawiłe bardzo ostatnie lata jego istnienia, zlewające się z początkiem średnich wieków. Ostatnią część książki stanowią dzieje Persyi za Sassanidów sięgające aż do w. VII po Chrystusie, w skutek czego końcowe ustępy dzieła Rawlinsona wkraczają zupełnie w zakres średniowieczny.

= **Dr. Michael Perlbach**: *Pommerellisches Urkundenbuch*. 1882 r. Niemała jest liczba uczonych niemieckich, którzy prawie wyłącznie oddają się badaniu dziejów polskich. I nic dziwnego; jeżeli bowiem historyk, chociażby i Niemiec znajduje się przez dłuższy czas w kraju zapełnionym zabytkami czysto polskiemi; jeżeli najczęściéj ze względu na swoje urzędowe stanowisko zmuszony jest w zabytkach tych się rozglądać i wartość ich krytyce poddawać, to mimowoli lgnie do przedmiotu nasuwającego mu się tak łatwo do naukowych spostrzeżeń, a raz się w nim rozmiłowawszy rzadko go kiedy porzuca. Tak się rzecz ma szczególniéj na Szlązku, w Poznańskiém i w Prusach, gdzie wszędzie znajduje się znaczna ilość archiwów rządowych i miejskich, których urzędnicy przyczyniali i przyczyniają się niemało do wydawnictwa źródeł historycznych polskich.— Pan Perlbach, były archiwaryusz w Królewcu a obecnie kustosz

w bibliotece uniwersyteckiéj w Gryfii (Greifswalden) nie stanowi wyjątku w szeregu ludzi, między któremi przytoczyć można imiona, jak Büschinga, Stenzla, Grünhagena, Wattenbacha, Grotefenda i innych. Już rozprawa jego doktorska o kronice Oliwskiéj wskazywała, iż w czasie studyów uniwersyteckich przeważnie się dziejami prusko-polskiemi zajmował, a następne prace jak *Die ältesten preussischen Urkunden kritisch Untersucht* i *Preussische Regesten* dowiodły, że raz obranéj drogi i nadal trzymać się zamierza. Jeżeli jednak co się tyczy Prus z powodu prac Jana Voigta nie tyle pozostawało do czynienia, to nie mniéj ważne zadanie czekało na odpowiednich pracowników; mam tu na myśli kwestyą wydania dyplomatów pomorskich, w zawieszeniu pozostającą od czasów Hasselbacha i Kosegartena (wydawców kodeksu dypl. pomorskiego) jakotéż Roberta Klempina ich uzupełniacza (wydane przez niego *Pommersches Urkundenbuch* sięga równie jak *Codex Dip. Pom.* tylko do r. 1253). Hasselbach jednak jak i Klempin mieli na myśli całe Pomorze zachodnie i wschodnie, p. Perlbach zaś pozostawiając pracę dalszego prowadzenia dzieła zasłużonych tych mężów p. Prümersowi, który z niéj częściowo bo do r. 1278 już się wywiązał, postanowił zebrać w jednym dyplomataryuszu wszystkie akty, odnoszące się do Pomorza polskiego tj. wschodniego, tak iż wydane przez niego *Pommerellisches Urkundenbuch* zawiera w sobie ogół znanych dotychczas z druku i nieznanych dokumentów tyczących się Pomorza wschodniego po r. 1315. Niemałych trzeba było zabiegów, aby opanować materyał w rozmaitych archiwach zawarty, témbardziéj że p. Perlbach nie zadawalniał się przedrukowaniem znanych już dyplomatów, lecz zawsze starał się sięgnąć do oryginału, aby dać tekst o ile możności najwierniejszy. Opis swéj podróży po rozmaitych archiwach ogłosił p. Perlbach jeszcze w r. 1880 (*Bericht über eine für das Pommerellische Urkundenbuch übernommene Reise nach Polen*), zapowiadając zarazem rychłe ukazanie się samego dyplomataryusza. Nie miejsce tu wchodzić w krytykę rzeczową np. co do sądu wydawcy o autentyczności niektórych dokumentów, bo będąc nawet w niektórych punktach odmiennego od niego zdania, uznać należy niezmierną skrzętność i sumienność, z jakiemi trudnego zadania dokonał. Dokładny Indeks użycie dyplomataryusza niezmiernie ułatwia. Przypominamy nareszcie, że w ostatnich czasach umieścił p. Perlbach w XVIII tomie czasopisma „Altpreussische Monatschrift“ dwie cenne prace: *Preussische Urkunden aus polnischen und englischen Archiven*“, i *Regesten der Stadt Königsberg* (1256—1524).“

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

REPREZENTACYA POLSKA

W ZIMOWÉJ KADENCYI

SEJMU RZESZY NIEMIECKIÉJ I SEJMU PRUSKIEGO.

I.

Przed niedawnym czasem poświęciliśmy w „Ateneum" kilka słów bliższego zastanowienia sprawie wyborów poznańskich do sejmu Rzeszy niemieckiéj. Obecnie zamierzyliśmy rozpatrzéć się w częściowym ich rezultacie na widowni parlamentarnéj. W *częściowym* wyraźnie mówimy, ponieważ reprezentacya W. Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich w sejmie pruskim, którego czynność będzie również przedmiotem kilku słów naszych, jest wynikiem dawniejszych już, w roku 1879 odbytych wyborów. Nie wiadomo nam naturalnie, czy i o ile szanowni czytelnicy nasi zechcieli zwrócić uwagę na orzeczenie w rozprawie *O wyborach poznańskich*, na które z wielu względów pragnęlibyśmy *mieć* zwróconą uwagę, na orzeczenie, „iż korzystny dla naszego żywiołu rezultat owych wyborów ma większe znaczenie dla naszych stosunków wewnętrznych, świadczy raczéj, co rzecz nielada pocieszająca w naszém położeniu, o wzroście liczebnym i o rozwoju moralno-politycznym naszego żywiołu, aniżeli zapowiada zrealizować się bezpośrednio i dotykalnie jakiemi bądź dlań praktycznemi korzyściami." Znając z jednéj strony nasze stosunki miejscowe, z drugiéj obecny system rządowy, uprzedzenia i prądy w wysokich i najwyższych sferach przeciw żywiołowi polskiemu panujące, nie trudno tu byłoby *być* prorokiem i to prorokiem prawdziwym. Mimo że w sejmie Rzeszy niemieckiéj jesteśmy reprezentowani poważną cyfrą ośmnastu deputatów; mimo że w sejmie pruskim nie wiele nam do tejże saméj cyfry niedostaje; mimo, że dzięki téj względnéj, liczebnéj powadze i przewadze, znajdują się

reprezentacye nasze obie sejmowe w szczęśliwém niby to położeniu możności przeważania swémi głosami wahającéj się między różnémi, sprzecznémi z sobą stronnictwami szali; mimo, że książę-kanclerz cesarstwa niemieckiego troskliwszy zawsze o zachowanie władzy, aniżeli wybredny w wyborze środków i sprzymierzeńców, za pomocą których celu by dosiągł, zwracał się już z kolei do wszystkich politycznych stronnictw i sejmowych frakcyj z kolei,— nie powiodło się dotąd obu naszym reprezentacyom sejmowym wyjść z zaczarowanego koła odosobnienia, w jakiém się znajdują, wobec rządu przynajmniéj i zyskać jaką bądź, choćby najdrobniejszą ulgę w systemie nad ludnością polską zawisłym. Nie przeszkadza to, że wobec liczebnego zastępu polaków w jednym i drugim sejmie te i owe frakcye, jak mianowicie konserwatywna, jak daléj katolicka czyli środkowa, usiłowały zbliżyć się do polaków i mieć ich w danych przypadkach sprzymierzeńcami. Jedynie wszakże o drugiéj z tych frakcyj można powiedzieć, że (mniejsza o powody) wytrwała w zawartém przymierzu i nieopuszczała sprawy naszéj i naszéj reprezentacyi tam, gdzie przymierze podobne opłacało się jéj gradem pocisków lub co gorsza pomrukiem nizkich podejrzeń ze strony przeciwnéj. Ze względu na oddzielne i różne całkiem tak treścią, jak widownią zadania, które się dostały do spełnienia naszym reprezentacyom sejmowym, wypadnie nam, choćby ze względu na porządek chronologiczny tylko, rozpocząć rzecz od krótkiego obrazu działalności reprezentantów naszych w *sejmie Rzeszy niemieckiéj.*

Przypominamy tutaj w interesie dokładności i zrozumiałości naszego opowiadania, iż po odbyciu się wyborów w dniu 27 październikа r. z. sejm został zwołany dekretem cesarskim na dzień 11 listopada i rozpoczął z datą ową swe czynności. Nie od rzeczy może dla kogoś nieobeznanego ze stosunkami naszémi, powiedzieć choć słów kilka tylko o aurze politycznéj w społeczeństwie naszém panującéj, o usposobieniu ogólnego, zbiorowego instynktu względem rozmaitych frakcyj sejmowych, mianowicie zaś dla wszelkich odcieni liberalnéj opozycyi. Usposobienie ogółu naszego dla owéj opozycyi jest bardzo naturalnie jak najnieprzychylniejszém. Powód tego równie jasny, jak słuszny. Stronnictwa mieniące się opozycyjnémi w Prusach i Niemczech, czy to narodowo-liberalne, czy lewica jego nosząca nazwę secesyonistów, czy postępowcy tak dalece *kłamią*,— ile razy tylko chodzi o nas, choćby najniewątpliwiéj słuszne nasze żądania, zażalenia i prawa, — swéj firmie *liberalizmu* i *postępu*, że nie ostatnią zaiste przyczynę mimowolnego zwrotu naszego publicznego usposobienia w stronę owéj opozycyi przeciwną, jest właśnie owa jéj cyniczna sprzeczność praktyki i rzeczywistości z tak hałaśliwie

wywieszoném a nadużywaném tak niegodnie względem nas godłem. Téj niedzisiejszéj już zresztą przyczynie przypisać należy,—jeżeli mowa tronowa odczytana przy zagajeniu sejmu Rzeszy, a zapowiadająca przedłożenie projektu do prawa o monopolu tabacznym w celu zniżenia bezpośrednich podatków i nowy projekt do prawa o zabezpieczeniu robotników przeciw nieprzewidzianym przypadkom, pomijając inne mniéj ważne rzeczy, — *nie* bez pewnéj sympatyi przyjęta została. Cokolwiek bądź, zdawała się niemniéj treść mowy tronowéj, jak więcéj może jeszcze sytuacya sama otwierać reprezentacyi naszéj w sejmie Rzeszy lepsze widoki i szersze na wszystkie strony horyzonty.

Wśród takich to okoliczności i ogólnych usposobień zjechała się i ukonstytuowała nasza reprezentacya w Berlinie. Składali ją i składają, z *W. Ks. Poznańskiego:* Hipolit Turno, Stafan hr. Kwilecki, Stanisław Chłapowski, Kazimierz Chłapowski, ksiądz Jażdżewski, Teofil Magdziński, Leon hr. Skórzewski, Stanisław Kurnatowski, Roman Komierowski, Marcelli Żółtowski, Ferdynand książę Radziwiłł, dr. Witold Skarzyński; z *Prus Zachodnich:* Ignacy Łyskowski, Leon Czarliński, Michał Szczaniecki, Kosowski, Antoni i Michał Kalksteinowie. Urządzając według przyjętego obyczaju swe bióro, obrało koło sejmowe polskie przewodniczącym Ignacego Łyskowskiego, zastępcą jego księdza Jażdżewskiego, członkami tak zwanéj komisyi parlamentarnéj: Magdzińskiego, księdza Jażdżewskiego i Czarlińskiego, sekretarzami: dr. Skarzyńskiego i Kosowskiego. Tyle co do zewnętrznéj organizacyi koła sejmowego. Ważniejsze pytanie, jakie się parlamentarnéj jego działalności przedstawiały widoki. W odpowiedzi na to pytanie, niechaj nam będzie wolno rzecz naszą rozpocząć od koniecznego dla jéj objaśnienia i zrozumiałości nawiasu.

Jak odbywające się u nas *wybory* do ciał politycznych niemieckich są przedewszystkiém *siłomierzem* naszego narodowego żywiołu, tak stająca jako ich rezultat na widowni parlamentarnéj berlińskiéj reprezentacya nasza ma *dwa* zadania, *pierwsze* stwierdzenia aktu naszéj obecności, ku zapobieżeniu fatalnéj nietylko w sądownictwie i miłości kontumacyi *(les absents ont tort)*, obrony *moralnych* interesów naszych; *drugie*, starania się tam, gdzie można i o ile można, o jakie bądź praktyczne dla żywiołu naszego korzyści i ulgi. Dotąd, począwszy niemal od pierwszéj chwili istnienia konstytucyonalizmu pruskiego i niemieckiego w r. 1848, znalazła się tylko dla wszystkich reprezentacyj naszych możność zadosyć uczynienia, często w bardzo świetny i zwycięzki nawet sposób *pierwszemu* zadaniu. *Drugie* nie zapisuje żadnych. godnych wzmianki faktów. Czasem, i to bardzo *nie* często, udawało się indywidualnie, tym i owym, dla tych

i owych instytucyj, dla tych i owych szczegółów, wyjednać pewne maleńkie ustępstwa. *Zasadniczo* i na obszerniejsze rozmiary nie zdołała do téj chwili postawa naszych posłów *praktycznie* i *dotykalnie* nic dla kraju uzyskać. Ta *bezowocność* właśnie jéj działalności w dziedzinie *praktycznéj* i to wśród coraz cięższych opałów, kiedyby *skuteczność* takiéj akcyi była tém potrzebniejszą i pożądańszą, sprowadza od czasu do czasu, peryodycznie niemal, pewne sporadycznie i trwożliwie odzywające się zarzuty *przeciw* opozycyjności naszych reprezentacyj sejmowych. Nie wymieniając osób i nazwisk, mamy w pamięci zapisane mnogo przypadków, że projektowano zmienić system akcyi naszéj parlamentarnéj, że mówiono o potrzebie zbliżenia się do rządu w interesie krajowym, że projektowano, co więcéj, że układano nawet memoryały w kierunku nieofiarowanéj wcale, ani chętnie słuchanéj nawet z przeciwnéj strony ugody. Projekty i pomysły tego rodzaju rozbijały się zawsze o granitową oczywistość, że zgody z nami, tak długo, póki chcemy pozostać *sobą*, nikt niechce, że więc wchodząc na ową odmienną od dotychczasowéj drogę, straciłoby się jedynie tylko moralnie, nie wygrywając nic materyalnie. Właśnie przecież obecna sytuacya, właśnie obecne okoliczności, przedstawiające obraz dziwnego rozdarcia reprezentacyi cesarstwa niemieckiego na stronnictwa, z których żadne samo przez się nie było dość liczebnie silném, by mogło być rządowi wystarczającym sprzymierzeńcem, zdawałoby się zapowiadać, iż nastała *teraz* nareszcie może chwila, w któréj przy zręcznéj akcyi będzie można osiągnąć rzeczywiste jakieś i praktyczne korzyści, nie zrzekając się swego stanowiska zasadniczego. Mianowicie przedstawiała takie widoki kwestya monopolu tabacznego. Wiadomo aż nazbyt dobrze, jak wielką wagę przywiązuje do téj sprawy kanclerz niemiecki, jak ważną rolę odegrała ona w niespodzianym zwrocie wielkiego męża stanu do frakcyi centralnéj, jak nie było dawniéj już a jak jest z każdym dniem coraz mniéj widoków, aby liberalna opozycya jakich bądź odcieni chciała kapitulować i głosować za tyle wstrętnym sobie projektem. Zdawało się tedy, zdaje się może ciągle jeszcze, że ostatecznie ten kardynalny temat wewnętrznéj polityki kanclerskiéj doprowadzi do kombinacyj dla nas w rezultacie korzystnych. Czy tak rzeczywiście będzie, mówimy wyraźnie *będzie*, ponieważ sprawa monopolu tabacznego stanie się dopiero przedmiotem narad obecnéj kadencyi wiosennéj sejmu Rzeszy, nie wiemy. Co natomiast już *wiemy*, to że w pierwszych początkach ubiegłéj kadencyi jesiennéj i zimowéj sejmu Rzeszy, reprezentanci różnych stronnictw niemieckich zbliżali się, wybadywali, komplementowali na przemian polaków bez ofiarowania wszakże jakiego-bądź, opartego na jasnych i wy-

raźnie sformułowanych warunkach kompromisu; daléj, że mimo wszelkich optymistycznych wyczekiwań i nadziei, żadna propozycya, ani ofiara kompromisowa ze strony sfer rządowych nie wyszła. A przecież samo już takiéj ofiary, czy takiéj propozycyi prawdopodobieństwo starczyło, by stać się pobudką (w miesiącu grudniu r. z.) do zjazdu w Berlinie członków polskich *wszystkich*, jakich bądź korporacyj politycznych prusko-niemieckich, zjazdu mającego zadanie zastanowić się nad przyszłą postawą zasadniczą reprezentacyi polskiéj wobec rządu i niemieckich stronnictw. W gruncie rzeczy nic takiego nie nastąpiło, coby było mogło dawać racyą takiemu polityczno-parlamentarnemu soborowi, którego narady i uchwały pozostały, czy przynajmniéj miały pozostać, jak to nawiasowo powiadamy, tajemnicą. Tyle jednakże z owych *arcanów imperii* przeniknęło na zewnątrz (a powtarzając to, nie ściągniemy na siebie zarzutu wykroczenia przeciw przykazom dyskrecyi), iż w nadziei ofiarowanych korzyści i ugód, z któremi nikt jeszcze ze strony przeciwnéj nie występował, odzywały się głosy doradzające zajęcie postawy, któraby je ułatwiała i niejako prowokowała. Projektowano jakieś memoryały ofiarujące pewne usługi, nawet uczucia w razie pewnych korzyści; odzywano się przeciw praktyczności i słuszności dotychczasowéj taktyki kół sejmowych, jako nie prowadzącéj do żadnego celu; zalecano z téj i owéj strony postępowanie ręka w rękę z rządem tam, gdzie temu wyraźnie i stanowczo zasadnicze stanowisko naszych kół sejmowych i reprezentowanéj przez nie ludności nie przeszkadza. Ostatecznie, po odezwaniu się niemniéj licznych głosów opinii przeciwnéj, zapadła uchwała natury elastycznéj, nie obowiązująca do niczego, nie obejmująca żadnego wyraźnego programu, aby trwając na dawném stanowisku nie stawiać przecież stanowczéj opozycyi programowi rządowemu i wyczekiwać z jego strony spodziewanych propozycyj. Uchwała taka walnego zjazdu członków wszystkich kół sejmowych naszych, nie miała do tyla praktycznego znaczenia, że jesienna i zimowa kadencya sejmu Rzeszy, ograniczając się na parlamentarnéj tyralierce, nie wprowadzając w grę najważniejszych, zapowiedzianych mową tronową kwestyj, jak właśnie np. monopolu tabacznego, nie dała reprezentacyi polskiéj żadnéj sposobności uwydatnienia na zewnątrz, jakie to postanowienia w łonie jéj zapadły. Natomiast miała owa uchwała, jak się późniéj okazało, *to* ujemne następstwo, iż podziałała paraliżująco i ubezwładniająco na działalność parlamentarną naszéj reprezentacyi w dotychczasowym jéj kierunku. By uniknąć zarzutu i pozorów opozycyjności *quand même*, reprezentacya nasza w pierwszym peryodzie kadencyi sejmowéj pominęła kilka sposobności, w których należało zaznaczyć swoją obec-

ność. Mianowicie mamy pod tym względem na myśli w samym zaraz początku czynności sejmowych, dyskusyą nad budżetem cesarstwa, dyskusyą, w któréj z wyjątkiem jedynym polskiéj, wszystkie inne frakcye wzięły udział i zaznaczyły charakterystycznie swe stanowisko. Byłaż podobna taktyka odpowiednia zamierzonemu celowi, celowi zyskania na ten raz jakichś rzeczywistych i dotykalnych ustępstw, ze strony rządowéj? Zdaje nam się, że *nie*. Chcąc w dziedzinie politycznéj i parlamentarnéj odnosić jakie bądź korzyści, nie można się osłaniać płaszczem prawdziwéj czy udawanéj bierności i trzymać się milcząco na uboczu. Przeciwnie, należy czynnikom, którym o zyskanie takich korzyści chodzi, wykazać z jednéj strony charakter swéj dążności, z drugiéj specyficzną wagę swego znaczenia i swéj wartości. Jakżeż do podobnego rezultatu dojść inaczéj, aniżeli właśnie drogą akcyi w zasadniczym swym i naturalnym kierunku? Tymczasem widzimy koło sejmowe polskie, w pierwszéj fazie kadencyi sejmowéj, na dyskretném uboczu. Połączywszy się, czego mu bynajmniéj ze względu na stanowisko niemieckiego liberalizmu wobec żywiołu naszego za złe nie bierzemy, w sprawie wyboru przewodniczącego w sejmie, z frakcyą katolicką i konserwatywną; dopomógłszy w ten sposób do przeprowadzenia kandydatury marchijskiego barona Lewetzowa, bardzo względnego zresztą i zręcznego na swém prezydyalném stanowisku męża, postanowiło koło sejmowe polskie, jeźli nie drogą wyraźnéj jakiejś uchwały, to widocznie przecież drogą nie dającego się zaprzeczyć i przeoczyć faktu, „być o ile możności jak najmniéj widzianém“ na widowni sejmowéj. Taka taktyka i taka postawa tém mniéj wytrzymywała próbę, że wobec niecierpliwości głosów nadchodzących z kraju i różnych wydarzających się już w samym sejmie przypadkowości, *nie* mogła *wytrwać* i *wytrzymać*. Już w miesiącu grudniu znalazł się, poseł z Prus Zachodnich Leon Czarliński, zawsze gotowy i najenergiczniejszy, w ciągu ostatniéj kadencyi reprezentacyi naszéj mówca, w konieczności przypomnienia praw, jakie służą ludności polskiéj w obrębie monarchii pruskiéj na podstawie stypulacyi traktatów wiedeńskich. Była to wszelkiego uznania godna przerwa owego systemu dobrowolnéj *kontumacyi*, systemu, który po epizodzie wystąpienia Czarlińskiego, znów stał się jakoby faktem. Że zaś niekoniecznie fortunnie i zręcznie pod względem politycznym, dowodzi najlepiéj okoliczność następna.

Wobec toczącéj się nieprzerwanie a zacięcie walki liberalnéj opozycyi, mianowicie postępowców, z kanclerzem, jego osobą i systemem, wystąpiła w sposób rozjemczy osoba samegoż monarchy. Cesarz wydał właśnie w czasie trwających jeszcze po świętach Bo-

żego Narodzenia feryj parlamentarnych, pod dniem 4 stycznia r. b. pamiętne owo orędzie, *Erlass*, w którém wyraził z jednéj strony najzupełniejsze swe uznanie dla polityki i sposobu postępowania swego kanclerza, w którém, z drugiéj, zwracając się bezogródkowo do liberalnéj opozycyi, mianowicie jéj lewego, „postępowego" skrzydła, przypomina, że fakt istnienia ustawy konstytucyjnéj w Prusach nie zmienia niczego w nieprzedawnionych i niespożytych prawach królewskości pruskiéj i przestrzega, aby czasem liberalizm nie robił sobie pod tym względem jakich bądź iluzyj i nie chciał sobie czasem wyobrażać, że w monarchii Fryderyka Wielkiego istnieją parlamentarne rządy angielskie. W gruncie rzeczy nie mogło być *historycznie* nic prawdziwszego, *politycznie* trafniejszego i słuszniejszego od treści i zapatrywań cesarskiego orędzia. Grzeszna iluzya i niewczesny żart chyba tylko mogą windykować sejmom prusko-niemieckim stanowisko polityczne parlamentów angielskich, a jeżli kto, to właśnie liberalizm niemiecki,—ograniczający swój program *alfą* i *omegą* protestów przeciw monopolowi tabacznemu i cłom ochronnym lub wycieczek przeciw ministeryalnéj prasie i tanich deklamacyj przeciw Rzymowi i katolicyzmowi, — miał wszelki powód przyznania w cichości serca, jak śmiesznie i niewcześnie z jego strony byłoby chcieć sięgać po berło jakiegoś *istotnego*, wpływającego na postanowienia rządu znaczenia.

Mimo to uważało stronnictwo postępowe za rzecz potrzeby i obowiązku, skorzystać ze sposobności dyskusyi nad tak zwaném drugiem czytaniem ogólnéj części państwowego budżetu i poddać cesarskie orędzie krytycznemu rozbiorowi. Hänel, estetyk *Fortschrittu*, został ze strony swego polityczno-parlamentarnego zastępu zaszczycony misyą wystąpienia z konstytucyjnym protestem przeciw tyle stanowczemu objawowi monarszego prawa. Zacny profesor wywiązał się z drażliwego zadania swego w sposób o ile możności jak najumiarkowańszy, a przecież nie do tyla umiarkowany, aby nie wywołać piorunującego *Quos ego* ze strony obecnego wyjątkowo w komnacie sejmowéj kanclerza. Zajście świadczące o stopniu dziwnéj pokory „*postępu*" i całéj liberalnéj opozycyi wobec zmarszczenia brwi kanclerskich, nie znalazłoby miejsca w naszym niniejszym szkicu, gdyby wielki mąż stanu nie był uważał za rzecz stosowną w gromie swym rzuconym w oczy opozycyi, uczynić wzmianki o Polakach, o Polsce, co więcéj wymówić nawet ironicznie pierwsze słowa znanéj polskiéj pieśni narodowéj. W wykrzykniku kanclerskim słychać było zarzut przeciw opozycyi, iż był czas, kiedy *nam* zanadto sprzyjała. O ile nam się zdaje, był, jeżeli wogóle kiedykolwiek, to wtedy przedewszystkiém powód uczynić ze strony polskiéj akt

obecności, nie dopuścić „*kontumacyi*.“ Stało się inaczéj, czy może nie pod wpływem i wrażeniem uchwał i postanowień walnego zjazdu skombinowanych kół sejmowych? Nie rozstrzygając téj kwestyi, stwierdźmy tyle tylko, że milczenie odpowiadające tak bardzo wyraźnéj prowokacyi kanclerza, nie zrobiło na społeczności polskiéj w kraju dobrego wrażenia, a że choć spóźnione wystąpienie posła Czarlińskiego ocalającego i na ten raz jeszcze honor koła polskiego było przyjęte z tém większém zadowolnieniem.

W kilka dni późniéj w początku lutego dał, wniesiony przez frakcyą postępową wyraźnie na przekór inicyatywie rządowéj projekt prawa o zabezpieczeniu robotników w razie nieprzewidzianych przypadków, sposobność kołu polskiemu przez usta młodego deputowanego Skarzyńskiego do zakreślenia swego stanowiska w sprawie pomienionego wniosku. Mówca wstępujący poraz pierwszy w parlamentarne szranki, znany ze swych studyów w dziedzinie ekonomicznéj a mianowicie z dzieła o Adamie Smith'cie, uzasadnił w obszerniejszym głosie, dla czego reprezentacya polska oświadcza się przeciw wnioskowi postępowców. Na tém wystąpieniu kończy się nasz udział w dziejach i działalności sejmu Rzeszy podczas jéj zimowéj kadencyi z roku 1881 na 1882. Wkrótce skończyła się sama kadencya, pozostawiając, nawiasowo powiedziawszy, nie istniejącą już teraz wątpliwość, czy sejm będzie rozwiązany, czy téż doczeka się jeszcze ponownego zwołania swego na wiosnę.

Szczupła, jak z powyższego krótkiego sprawozdania widzimy, była tedy czynność sejmowego koła polskiego w sejmie Rzeszy, szczuplejsza, aniżeli można było przypuszczać, aniżeli się nawet spodziewać należało. Reprezentacya polska uczyniła tutaj zaledwie akt obecności, stoczyła zaledwie kilka nic-nie znaczących, parlamentarnych potyczek, nie miała sposobności dać poznać wagi swego stanowiska w sejmie, wywołać ze strony niemieckiéj starań około pozyskania jéj, ani zdobyć jakichbądź ustępstw praktycznéj doniosłości i wartości dla kraju. Tłómaczy się to do pewnego stopnia fabiuszowo-kunktatorską uchwałą z epoki zjazdu skombinowanych kół sejmowych; więcéj przecież daleko jeszcze samąż treścią i przedmiotem sejmowych obrad. Sejm nie przystąpił dotąd wogóle przez czas swego trwania do swych najważniejszych, esencyonalnych zadań; sam dopiero ograniczył swą działalność na forpocztowych walkach, najwięcéj interesu wzbudzające i zapowiadające przedmioty jego obrad, jak monopol tabaczny, jak *rządowy* projekt prawa o zabezpieczeniu robotników czekają jeszcze swego przyjścia na porządek dzienny, spowodują nadto, być może, bądź to spontaniczną, bądź wywołaną przez rząd lub którebądź z ważniejszych stronnictw politycznych, in-

terwencyą koła sejmowego polskiego w owe kardynalne zadania parlamentaryzmu niemieckiego. Słowem, zapowiada rozpoczynająca się z końcem miesiąca kwietnia wiosenna kadencya sejmu Rzeszy, pewne widoki dla reprezentacyi polskiéj. Istnie, jak w prawdziwéj, wielkiéj wojnie są małe mocarstwa, co niezdolne wystąpić samodzielnie o własnych siłach, przeważają przecież szalę w przymierzu i połączeniu z innémi, tak téż i frakcya polska niedość silna, by na widowni parlamentarnéj walki przyszłéj kadencyi sejmowéj odegrać rolę samodzielną, ma przecież wszelkie widoki zaważyć na niéj, zawierając kompromisową ugodę z żywiołami, z którémi alians będzie przedstawiał najprawdopodobniejsze i najdotykalniejsze razem, praktyczne korzyści dla kraju i narodowości polskiéj. Będzie w tym kierunku potrzeba tyleż przynajmniéj oględności, ile zręczności i bystrości politycznego oka...

II.

W nadziei i oczekiwaniu podobnego rezultatu, zwróćmy się teraz do krótkiego również szkicu działalności naszéj reprezentacyi w sejmie *pruskim*, którego *pierwsze* czynności w miesiącu lutym spotykały się z *ostatniemi* sejmu Rzeszy niemieckiéj. Podobnie jak w charakterystyce powyższéj deputacyi naszéj do sejmu Rzeszy, tak i w opowiadniu czynności reprezentacyi naszéj w sejmie pruskim, wypadnie nam rozpocząć od niezbędnych szczegółów natury statystycznéj. Obecna nasza reprezentacya w sejmie pruskim jest rezultatem wyborów odbytych w październiku 1879 i składa się z następnych dziewiętnastu reprezentantów W. księztwa Poznańskiego i Prus Zachodnich: Henryka Szumana, Hipolita Turny, Stanisława Stablewskiego, Władysława Wierzbińskiego, Juliusza Pilaskiego, księdza dra Stablewskiego, księdza Jażdżewskiego, Józefa Grabskiego, Stanisława Chłapowskiego, Franciszka Chłapowskiego, Teofila Magdzińskiego, Antoniego Świnarskiego, Kazimierza Kantaka, Ignacego Łyskowskiego, Thokarskiego, Osowskiego i Rybińskiego. Przewodniczącym *tego* koła sejmowego jest dr. Henryk Szuman wiceprezesem Ślaski, komisyą parlamentarną tworzą tutaj Magdziński, Wierzbiński, Kantak i Stanisław Chłapowski. Co się tyczy reprezentacyi polskiéj w sejmie pruskim rozpoczynającym działalność swą w miesiącu lutym, było zadanie jéj pod dwojakim względem prostszem i wyraźniejszém od zadania deputacyi polskiéj do sejmu Rzeszy. *Nasamprzód* nie pozwalały jéj bardzo stanowcze głosy prasy i opinii publicznéj wątpić, że społeczność krajowa *chce* akcyi parlamentarnéj bardziéj energicznéj, aniżeli nią była niepewna swoich

dróg i programu akcya w sejmie Rzeszy. *Dalej* zaś zmuszały poniekąd tak zwane wnioski rządowe koło polskie w sejmie pruskim do zajęcia postawy, która nie pozostawiała wyboru. Do rzędu tych wniosków należał projekt do prawa a raczéj do długiego szeregu przepisów modyfikujących tak zwane prawodawstwo Majowe,—prawodawstwo kościelno-polityczne, w interesie zamierzonéj zgody z dworem rzymskim. Nie dość zaś na tém, *budżet państwa* w najrozmaitszych swych gałęziach administracyi politycznéj, dostarczał reprezentacyi naszéj sejmowéj najnaturalniejszéj poręczy, do zajęcia odpowiedniego swym tradycyom, potrzebie krajowéj i godności narodowéj stanowiska. Projekt zmiany prawodawstwa kościelnego i budżet państwa przedłożony sejmowi,—otóż dwa naczelne czynniki regulujące parlamentarną akcyą naszéj reprezentacyi w sejmie pruskim. Trzecim dopiéro czynnikiem miała być *własna* inicyatywa.

Przypatrzmy się według chronologicznego i przedmiotowego porządku trzem tym dziedzinom akcyi koła polskiego w ciągu zimowéj kadencyi.

Zacznijmy od projektu zmiany prawodawstwa kościelno-politycznego. Działalność reprezentacyi naszéj znalazła tu bardzo prostą, bardzo naturalną prowokacyą w rządowych motywach pomienionego projektu. Ministeryum domagało się od reprezentacyi kraju dyskrecyonalnych pełnomocnictw w sprawie obsadzania wakansów duchownych. Motywując to żądanie, o którém można było przypuszczać z góry, że napotka opozycyą reprezentacyi krajowéj, składał się rząd głównie stosunkami panującémi w ziemiach *polskich*. Według motywów rządowych wymaga stan panującéj tamże nieprzerwanie agitacyi, w któréj właśnie duchowieństwo katolickie pierwszy i naczelny według niego bierze udział, szczególnéj baczności i wyjątkowéj uwagi w obsadzaniu stanowisk duchownych. Temat ten dotknięty w sposób przedmiotowy i chłodny, choć znaczący w motywach do projektu rządowego, znalazł nader jaskrawą ilustracyą w wystąpieniu ministra oświecenia Goslera. P. Gosler uzasadniając, projekt rządowy, przedstawił, w ponurych dla strachliwości i drażliwości niemieckiéj barwach, stan rzeczy w w. księstwie Poznańskiém, Prusach Zachodnich i Górnym Szlązku. Ostatnia mianowicie kraina budziła jego, jak budzi wogóle wszystkich Niemców, całéj ich prasy i opinii publicznéj drażliwości. Nie uwzględniając, co rzeczą najniewątpliwszą ze stanowiska litery konstytucyjnéj ustawy i praw organicznych, że to, co nazywa „*agitacyą*“, jest dozwoloną obroną narodowego żywiołu i rozwijanie jego życia i istnienia na naturalnéj podstawie kreślił minister oświecenia położenie rzeczy w ziemiach pol-

skich pod panowaniem pruskiém jako niebezpieczne i groźne niemal dla obecnego rządu, wymagające, wyjątkowych środków zaradczych. Ze względu na niewątpliwy według jego wywodów fakt, iż duchowieństwo katolicko-polskie w téj agitacyi przoduje, uważał za rzecz naturalną, że rząd domaga się nadzwyczajnych pełnomocnictw ku utrzymaniu swéj powagi. Wobec tego wystąpienia p. Goslera, nacechowanego nieskąpą dozą rozdrażnienia opierającego się w *faktycznéj* swéj części na sprawozdaniach władz miejscowych, na owych „*Berichtach*",—w których *ci* właśnie, przeciw którym zanoszą się zażalenia i których postępowanie podlega krytyce, wystawiają sobie sami pochwalne świadectwa,—była taktyka naszéj reprezentacyi bardzo prostą i równoległą spotykającéj cały nasz narodowy żywioł i nasze duchowieństwo zaczepce. Jako gotowi rzecznicy sprawy naszéj stanęli tu w pierwszym rzędzie deputowani ksiądz Stablewski i Kazimierz Kantak. Argumenta odpowiedzi na rządową zaczepkę zaczepiały się tu same przez się, były z natury rzeczy obfite, zostały wyczerpnięte i zużyte należycie przez obu mówców. Obaj starali się w słowach wymownych i przekonywających, niestety dobrą tylko wiarę, wykazać, że Polakom w. księztwa Poznańskiego służą prawa z międzynarodowych traktatów wynikłe, konstytucyjne, przyrodzone, na podstawie których narodowego istnienia swego bronią, a że duchowieństwo nie przekraczając w niczém ani litery prawa, ani obowiązków swego stanu, uczestniczy po prostu w pracach obywatelskich według sił i możności. Wywody i argumentacye obu mówców zgadzały się z sobą i dopełniały nawzajem, z tą jedynie może tylko różnicą, że czego ksiądz Stablewski nie uczynił, deputowany Kantak wsunął niepotrzebnie nieco w replikę swą pochwałę administracyi *landratów* w. księztwa Poznańskiego, rzecz, co najmniéj zbyteczną a w różnym stopniu pod względem faktycznym prawdziwą, osłabiającą nadto wrażenie własnego wystąpienia a natychmiast przez ministra oświecenia w ciągu dalszéj dyskusyi wyzyskaną.

Minister Gosler nie pozostał dłużnym w odpowiedzi w ciągu tejże dyskusyi a drażliwość, więcéj powiedzielibyśmy, gwałtowność jego występowania wzrastała w miarę wytrwałości obrony naszych reprezentantów. Pominąwszy bardzo widoczny akcent osobistego rozdrażnienia, przytaczał minister, bez szczególnego wyboru i krytyki wszystko, co się konsekwencyom zajętego przezeń stanowiska odpowiadać zdało, sprawozdania urzędowe władz miejscowych, artykuły nieznanych, pokątnych dzienników, treść jeszcze mniéj znanych broszur. W zawziętéj téj, ponawiającéj się w pierwszéj połowie miesiąca lutego kilkakrotnie między naszą reprezentacyą a ministrem oświecenia parlamentarnéj walce, uderzała ze strony niemieckiéj na-

samprzód *nieobecność* stronnictwa postępowego, ile razy o naszych prawach, o pokrzywdzeniu i obronie takowych była mowa. Niemiecki „*postęp*" ogranicza, jak wyżéj wypowiedziano, swą działalność na deklamacyach przeciw ministerialnéj *Provinzial-Correspondenz*, przeciw cłom ochronnym i monopolowi tabacznemu. Daléj horyzont jego nie sięga a mianowicie zapada się szczelnie wobec jakichbądź praw i prawd *naszych*. Natomiast, czego ze stanowiska faktycznéj prawdy naprzód, wdzięczności następnie, przepominać niewolno, to wytrwałéj, nie zawodzącéj nigdy a sympatycznéj zawsze interwencyi głównych reprezentantów frakcyi środkowéj, Windhorsta i barona Schorlemera-Alsta na rzecz naszą. Czy to maleńki, niepokaźny, przypominający powierzchownością Thiersa, były minister króla hannowerskiego; czy westfalski baron przedstawiający na trybunie sejmowéj wiernie dawną swą rolę rosłego i barczystego rotmistrza kawaleryi,—byli zawsze gotowi spieszyć z odsieczą Polakom, ile razy wojowniczość ministeryalna ich napierała. Być może, iż ta pomoc nie była całkiem bezinteresowną, że wymagała kompensaty i że liczyła nawet na nią. Być daléj jeszcze może, iż podobny sojusz wpływał niekiedy do pewnego stopnia niekorzystnie na swobodę własnéj inicyatywy polskiéj, – w czémby naturalnie znów tylko była wina polska, ponieważ warunkiem definicyi jakichbądź przymierzy jest wspólność działania *obu* stron, *bez* poświęcania najesencyonalniejszéj części ich interesów. Cokolwiek bądź, należy się w obec nieprzyjaznéj postawy rządu, w obec mniéj lub więcéj niechętnego milczenia wszystkich innych elementów reprezentacyi pruskiéj, wdzięczne uznanie frakcyi jéj środkowéj, iż sama jedna miała odwagę odezwać się za nami i za naszémi prawami, że przemawiała za niemi śmiało i bez ogródki, wystawiając się równocześnie na szarpaniny dzienników urzędowych, jak *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* na rektyfikacye pełne, nawiasowo powiedziawszy, fałszów i błędów faktycznych w „inspirowanych" *Grenzbotach* lipskich, na mierne koncepta satyrycznych pism berlińskich, jak *Kladeradatscha* i *Ulka*.

Rezultatem długiéj, namiętnéj dyskusyi w sprawie owego projektu rządowego, w którym żywioł polski tak znaczną rolę odgrywał, było oddanie go komisyi składającéj się z 21 członków, w grono których z pomiędzy Polaków wchodził wspomniany wyżéj najzdolniejszy niewątpliwie całéj frakcyi mówca, ks. dr. Stablewski. W łonie tejże, powtarzały się *mutatis mutandis*, dyskusye i drażliwości wielkiéj widowni sejmowéj. Wchodzący w skład komisyi Polak bronił duchowieństwa, narodowości polskiéj i kładł, o ile to było w jego możności, wytrwale protest przeciw żądanéj ze strony gabinetu wyjątkowości. Ostatecznym owych czynności komisyjnych rezultatem by-

ło, jak wiadomo, odrzucenie rządowego projektu. Dalsze jego losy, na które znów postawa sejmowego koła polskiego miała w bardzo stanowczy wpłynąć sposób, niechaj będą przedmiotem późniejszego naszego opowiadania. Na teraz wypada nam w interesie historyi działalności reprezentacyi naszéj trzymać się porządku chronologicznego i zdać po prostu sprawę z tego, co się przy *jej* udziale praktykowało na wielkiéj, plenarnéj widowni sejmu, kiedy wspomniana komisya rozbierała na swém uboczu kościelno-polityczny projekt rządu.

Nim przystąpimy do naszego sprawozdawczego zadania, należy zacząć znów od pewnéj wstępnéj, objaśniającéj uwagi. Pominąwszy parlamentarny oręż *wniosków* i *interpelacyj*, daje tylko dyskusya nad rozmaitemi pozycyami *budżetu państwowego* sposobność różnym stronnictwom występowania ze swémi postulatami, wytaczania skarg i zażaleń. Co się tyczy podobnychże *postulatów* i *grawaminów* frakcyi polskiéj, był na ten raz właśnie szereg ich obfitszy, niż kiedykolwiek. Stan wychowania publicznego w w. księztwie Poznańskiém, począwszy od najniższych skończywszy na najwyższych zakładach naukowych; stan stosunków kościoła katolickiego tamże; sądownictwo, administracya i postępowanie jéj równie w przedmiocie zmiany nazw naszych miejscowości, jak względem różnych naszych towarzystw, którym ze stanowiska litery prawa nic zarzucić nie można,—otóż to wszystko rzeczy, powołujące nieubłaganie do czynności naszą reprezentacyą. Mianowicie wymagało tego natarczywie położenie naszych zakładów szkolnych. Gwałtowny system niemczenia i symultanizowania szkół; usuwanie systematycznie nauczycieli Polaków z wyższych zakładów naukowych do tego stopnia, że np. gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu na 27 nauczycieli liczy siedmiu Polaków; zażywanie *rozmaitych* bardzo *rozmaitej* natury sposobów, aby narodowy charakter tegoż zakładu i w składzie *uczniów* przeinaczyć,—wszystko to razem wymagało wzmianki a o ile możności i naprawy za pośrednictwem trybuny parlamentarnéj. Nie dość na tém, zaczęli się ci i owi z nowo-ustanowionych inspektorów świeckich szkolnych dopuszczać najniesłychańszych „patryotycznych“ samowolności. Niektórzy, posprowadzani z innych prowincyj niemieckich nauczyciele, poczęli tak dalece praktykować swoję cywilizacyjną u nas misyą że w obec zupełnéj niemożności dojścia do swego prawa u władz miejscowych, bezpośrednio przełożonych, pozostawała nam jeszcze tylko droga sejmowa jedynym środkiem zapobieżenia złemu. Dość powiedzieć np., że nauczyciel elementarny, nazwiskiem Woy, zatrudniony przy miejskiéj, świętomarcińskiéj szkole w Poznaniu, uderzył w twarz chłopca za to, iż mu na zapytanie co do swéj naro-

dowości odpowiedział, że jest Polakiem. Dość daléj przytoczyć, że osławiony inspektor szkolny powiatu poznańskiego, niejaki Lux, posunął się do samowolnego przeinaczenia nazwisk uczniów i uczennic, których nazwiska zdawały mu się niemieckiemi lub brzmiącemi z niemiecka, że daléj sfabrykowawszy w ten sposób w szkole miasteczka Swarzędza kilkudziesięciu Niemców swego autoramentu, narzucił im równocześnie obowiązek pobierania nauki religii w języku niemieckim. Napróżno wystąpiła z oskarżeniem podobnego postępowania miejscowa prasa polska. Przełożona władza ograniczyła swą czynność na zażądaniu od takiego p. Luxa własnego sprawozdania we własnéj sprawie, zostawiając go zresztą nietkniętym na zajmowaném stanowisku. Pozostała tu więc jedyna droga—wystąpienia sejmowego.

Nie inaczéj działo się w kwestyi przeinaczania nazw miejscowości, daléj w sprawie postępowania władz miejscowych administracyjnych z rozmaitémi towarzystwami naszémi, towarzystwami nawet dobroczynnémi i naukowémi, do jakich rzędu należą np. między innemi Towarzystwo Pomocy Naukowéj imienia doktora Karola Marcinkowskiego i Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie. Pierwsze z pomienionych towarzystw istniało od roku 1841 nie tylko bez przeszkody, ale nawet wśród dowodów pewnego uznania i protekcyi ze strony przedkonstytucyjnéj administracyi króla Fryderyka Wilhelma IV. Drugie, istniejące od roku 1856, ciągnęło swój żywot niezaczepiane przez lat dziesięć, aż dopiero w roku 1866, za inicyatywą ówczesnego prezesa policyi, słynnego Bärensprunga, wszystkie władze państwowe zakazały zależnym od siebie urzędnikom uczestniczenia w pracach i posiedzeniach jego.

Stokroć więcéj jeszcze drażniącą i obrażającą uczucia ludności polskiéj była ze strony miejscowéj administracyi praktyka przeinaczenia nazw polskich miejscowości. Prawodawstwo pruskie ma pod tym względem wyraźnie przepisaną procedurę; sprawa zmiany takiéj nazwy opiera się ostatecznie o sankcyą królewską. Tymczasem w gorliwości swéj germanizacyjnéj zaczęły podrzędne władze administracyjne, landraci, dystryktowi komisarze, tu i owdzie żandarmi nieledwie, praktykować zmianę nazw miejscowości polskich w najrozmaitszy sposób. Nasamprzód zmieniali do niepoznania ortografią polską takich nazw; nie dość na tém, poczęli nadawać im sami dowolnie przetłómaczone lub wymyślone przez się niemieckie miana, nakładać kary na *dominia*, których furmanki zajeżdżające do pobliskiego miasteczka we dnie targowe, nosiły, *polskie* nazwy miejscowości. Między innemi np. był wystawiony na przyjemności podobnéj żandarmskiéj procedury sam prezes sejmowy koła polskiego, Hen-

ryk Szuman, który dopiero drogą procesu w dwóch instancyach zdołał przeprowadzić prawo swe, że własności jego pozostała nazwa polska *Władysławowa* zamiast nowo-narzuconéj *Althütte*. Procedura ta znalazła ochocze poparcie ze strony organów sądownictwa. Naczelny prezes sądu nadziemiańskiego poznańskiego, rozgłośny ze swych germanizacyjnych dążności von Kunowski, wydał do urzędów hipotecznych rozporządzenie, aby i w księgach wieczystych po dziesięciu latach ginął ślad pierwotnéj nazwy polskiéj a odtąd figurowała w nich jedynie nowa, niemiecka. Posuwając się jeszcze daléj, zaczęła tendencya germanizacyjna bądź to, jak już wyżéj nadmieniono, przez inspektorów szkolnych, bądź przez urzędników stanu cywilnego przeinaczać nazwy rodzinne, kaleczyć ich pisownią i to do tego stopnia, że nawet naczelny prezes w. księztwa Poznańskiego uznał za rzecz potrzebną zwrócić na to uwagę i zalecić, aby podobnéj praktyce położono koniec. Że *monitum* takie, którego fakt w imię prawdy i bezstronności zapisujemy niniejszém, nie odniosło zamierzonego skutku, dowodzi niestety obecny stan rzeczy w téj dziedzinie panujący.

Wchodzi wreszcie w dział tych *grawaminów* stanowiących materyał dla naszéj deputacyj sejmowéj zarząd świecki majątku kościelnego naszych obu dyecezyi, gnieźnieńskiéj i poznańskiéj, z radzcą regencyjnym Perkuhnem na czele. Obok niezaczepialnego i niezaprzeczalnego finansowego i ekonomicznego ładu stanowiącego przedmiot głośnego uznania ministra oświecenia Goslera, jak wszędzie, tak i tu tendencya germanizacyjna dawała się pod najrozmaitszémi względami dotkliwie we znaki żywiołowi rodzimemu.

Szerokie tedy, jak ztąd widzimy, pole przedstawiało się deputacyi naszéj sejmowéj do rozpoczęcia kampanii parlamentarnéj w interesie licznego szeregu pokrzywdzeń i potrzeb reprezentowanego przez się żywiołu. Należałoby teraz zapytać, czy i jak temu zadaniu odpowiedziała i sprostała? Otóż, formalnie rzeczy biorąc, dostarczał, regularnie znajdujący się na porządku dziennym, *etat* téj lub owéj dykasteryi państwa sposobność naszéj deputacyi występowania ze swemi zażaleniami i postulatami. Inicyatywa rządowa, regulaminowa, wywoływała w ten sposób obecność okolicznościową naszéj deputacyi i wprowadzała od czasu do czasu tych i owych jéj członków na trybunę sejmową. *Etat* ministeryum spraw wewnętrznych, rozpoczynający „z wieku i urzędu“ lustracyą mających być zatwierdzonémi i sprawdzanémi przez reprezentacyą krajową wydatków publicznych, dostarczył nasamprzód deputowanemu Wierzbińskiemu sposobności do wypowiedzenia uwag o postępowaniu władz administracyjnych względem wspomnianych wyżéj towarzystw naszych. W mowie

swéj wspomniał Wierzbiński, co się tyczy towarzystwa pomocy naukowéj, jak przedkonstytucyjne rządy króla Fryderyka Wilhelma IV umiały tak wysoce humanitarną instytucyą szanować, jak jéj nie kładły nietylko żadnych przeszkód, ale jak przeciwnie starały się jéj dawać wszelką możliwą pomoc i opiekę, a że dopiero smutną właściwością obecnéj epoki konstytucyonalizmu i liberalizmu stało się zapobiegać, o ile się da, rozwojowi towarzystwa, poddawać kontroli skład jego komitetów powiatowych, zakazywać urzędnikom i nauczycielom udziału w towarzystwie. Ku ilustracyi postępowania z tą szlachetną i piękną instytucyą, przytoczył mówca fakt, iż wspomniany już wyżéj, głośny ze swéj dążności germanizacyjnéj prezes sądu nadziemiańskiego poznańskiego nakazał jednemu ze starszych, zasłużonych sędziów polskich złożyć urząd podskarbiego powiatowego Towarzystwa Pomocy Naukowéj, który to obowiązek pełnił bez przeszkody przez długie lata. W podobny sposób występował Wierzbiński w obronie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zapytując czy jest istotnie zadaniem państwa, którego hasłem prawo, światło i cywilizacya, kłaść ustawiczne przeszkody swobodnemu rozwojowi czysto naukowéj instytucyi, stworzonéj do tego przez społeczność pomawianą z pewnym powtarzającym się konsekwentnie uporem o lenistwo duchowe i niższość kultury. Drugie czytanie tegoż samego etatu dało temuż posłowi nową sposobność wystąpienia ze skargą przeciw: przeinaczaniu nazw miejscowości i rodzin polskich za pomocą argumentów i komentarzy łatwych do odgadnienia w ustach słusznéj drażliwości polskiéj. Zauważyć przy téj sposobności należy, że *etat* ministeryum spraw wewnętrznych ma swego rządowego i urzędowego reprezentanta w baronie Puttkammerze, osobistości form *wielce* przyzwoitych, *nie* odznaczającéj się nadto przeciw żywiołowi naszemu zawziętością Falka i jemu podobnych, prócz tego obdarzonéj pewną dozą samodzielności, o ile pod rządami księcia-kanclerza niemieckiego jaki bądź jego podwładny samodzielnym być może. Minister Puttkammer uznał do pewnego stopnia słuszność wywodów Wierzbińskiego, odpowiadając na nie znaczącém w takich razach milczeniem.

Inaczéj działo się przy następnéj pozycyi budżetu państwowego, przeznaczonéj dla ministeryum oświecenia. Jeżeli deputaci nasi, nie podnosząc wcale głosu przy etacie ministeryum sprawiedliwości dostarczającym bardzo wiele ciekawego i obfitego materyału, zwrócili główny nacisk akcyi swéj parlamentarnéj na etat wydziału oświecenia, nie można powiedzieć, aby się nie byli spotkali z zaciętym, pewne rozdrażnienie znamionującym oporem reprezentanta tegoż wydziału p. Gosslera. W miarę ponawiającéj się z coraz większą

konsekwencyą wśród przytaczania coraz ważniejszych i poważniejszych argumentów akcyi naszych reprezentantów, stawała się coraz drażliwszą, coraz więcéj posuwającą się do gróźb i szorstkości postawa ministra oświecenia. Właśnie zaś *jego* wydział miał uprzywilejowane szczęście wywoływania na scenę, za każdym niemal krokiem w dyskusyi *swego* etatu, interwencyi deputowanych polskich. Pozycya etatu traktująca przedmiot świeckiego zarządu majątku archidyecezyi gnieźnieńsko - poznańskiéj spowodowała wystąpienie księdza Jażdżewskiego z gruntowną, pełną obfitego, faktycznego materyału mową mającą na celu udowodnić, jak dalece zarząd podobny ciąży interesom ludności a mianowicie, jak niepotrzebnie dawał się we znaki osobom rozwiązanych stowarzyszeń zakonnych, nie wyjmując żeńskich. Minister oświecenia Gossler odpowiedział na tę mowę z jednéj strony entuzyastyczną pochwałą osoby i działalności kierującego naczelnie tym zarządem radcy regencyjnego Perkuhna, z drugiéj zbywającą rzecz wymówką, że chcąc odpowiadać na wywody księdza Jażdżewskiego, byłby zmuszony przynosić z sobą do izby całą swą registraturę.

Po lekkiéj wymianie słów między nim a posłem Kantakiem w sprawie archiwum prowincyonalnego poznańskiego, w sprawie, która nawiasowo powiedziawszy, ze strony p. Kantaka mogła być na naszą korzyść tem skuteczniéj wyzyskaną, że na czele tegoż archiwum znajduje się znany ze swéj nieporównanéj *Geschichte des Landes Posen* dr. Mayer,—nastąpiło później nieco i to po kilkakroć, przy pozycyi gimnazyów i szkół elementarnych, walne spotkanie między ministrem oświecenia a obu deputowanymi Kantakiem i księdzem Stablewskim. Stanowisko obu mówców było zgodne w treści, energiczne i stanowcze pod względem formy, jak dalece zaś prawdziwe i w cel trafiające, najlepszym dowodem rozdrażnienie i zakłopotanie zainterpelowanego przez nich ministra oświecenia, nie dość zaś na tém jeszcze, pieniące się istną przeciw nam wściekłością artykuły liberalnych i postępowych organów niemieckich, jak berlińskiego *Tageblatu*, jak *Danziger*, jak *Posener Zeitung*. Coby może tylko obu mówcom, tak Kantakowi, jak księdzu Stablewskiemu zarzucić można, to że faktyczny ich materyał nie był dość obfitym, że mianowicie, *skoro* się już sprawę tą podjęło, należało gruntowniéj traktować temat wyższych naszych zakładów naukowych, temat równie ciekawy jak bogaty, ku zbudowaniu i wiadomości społeczeństwa niemieckiego. Mimo to byłoby niesprawiedliwością, popełnioną przecież przez niewczesną krzykliwość niektórych, mniejszych organów poznańskich, chcieć uwłaczać stanowisku, zasłudze i odwadze wystąpienia obu mówców. Obaj zakreślili silnie i stanowczo podstawę

zasadniczą, z któréj wychodzili, obaj położyli przycisk na konstytucyjne *prawo* tego, co minister i postępowa prasa nazywali i potępiali jako „agitacyą;“ obaj napiętnowali zasłużonemi wyrazami system symultanizowania i germanizowania szkół poznańskich. Znalazł nadto miejsce w mowie księdza Stablewskiego tak inspektor szkolny powiatu poznańskiego Lux, ze swémi dekretami zamieniającémi nazwiska polskich uczniów na niemieckie, jak nauczyciel święto-marcińskiéj szkoły poznańskiéj Woy, ze swym policzkiem danym, ku wiecznéj rzeczy pamięci chłopcu polskiemu za to, że śmiał, na zapytanie, przyznać do faktu swéj narodowości. Jakaż była odpowiedź ministeryalna? Najwyższe rozdrażnienie odwołujące się na *Berichty*, na sprawozdania, które naturalnie zaprzeczają z góry prawdzie wszelkich zażaleń, a które system bezwzględnéj germanizacyi w szatę nieomylności przyodziewa.

Etat ministeryum oświecenia stał się w ten sposób główną, uprzywilejowaną jakoby widownią, na któréj się praktykowała działalność naszéj reprezentacyi w sejmie pruskim, na któréj się stoczyła główna jéj walka z prześladującym nas systemem. *Przed* feryami wielkanocnemi, poza których granicę sprawozdania naszego nie mamy zamiaru rozszerzać niniejszém, zapisuje kronika akcyi parlamentarnéj posłów naszych *dwa* jeszcze tylko godne wzmianki wypadki: wystąpienie księdza Stablewskiego przeciw narodowo-liberalnemu deputatowi, niejakiemu Cuny, gdy tenże za powrotem rządowego, kościelno-politycznego projektu z Komisyi do sejmowego *plenum* mówił o niepodobieństwie ułaskawienia i restytucyi kardynała Ledóchowskiego; następnie mowę prezesa koła sejmowego polskiego Henryka Szumana w przedmiocie akcesu reprezentacyi polskiéj do kompromisu zawartego między frakcyą środkową a konserwatystami sejmu w przedmiocie projektu kościelno-politycznego. Kompromis ten redakcyi konserwatysty Rauchhaupta, upoważnia rząd do ułaskawiania destytuowanych wyrokami tak zwanego trybunału kościelnego osób duchownych i do przywracania ich na zajmowane dawniéj stanowiska. Prezes sejmowego koła polskiego, motywował ów akces polski do tegoż kompromisu argumentem, „iż rządowy projekt, jakkolwiek nie wystarczający, obejmuje przecież w swéj obecnéj modyfikacyi pewne ulgi dla kościoła katolickiego, od których wyjednania koło sejmowe polskie uchylać się nie ma zmiaru.“

Jakkolwiek jesteśmy dalekimi od myśli wynoszenia, za przykładem pewnych naszych żywiołów, owego akcesu do wysokości jakiegoś wielkiego, zasadniczego grzechu, nie zdaje nam się przecież aby krok ten reprezentacyi naszéj był istotnie potrzebnym. Nasamprzód wystarczały głosy frakcyi środkowéj i konserwatystów do

przeprowadzenia zmodyfikowanego przez Rauchhaupta rządowego projektu. Prócz tego nie można było wątpić, że choć do pewnego stopnia polskiemi przeprowadzony głosami, nie obróci się w praktycznėm wykonaniu na klasycznėm terytoryum W. Ks. Poznańskiego na naszą korzyść. Dalėj zaś jeszcze przytoczone wyżėj motywa do tego, choć zmodyfikowanego następnie wniosku, cechowały jego dążność i sens moralny względem nas pierworodnym grzechem, który wszelkiemu kompromisowi na tėm polu powinien był postawić z góry stanowczą zawadę. Zawarcie jego, jeżli się bardzo nie mylimy a rzecz dobrze rozumiemy, było rodzajem skwitowania frakcyi środkowėj za jėj, cokolwiek-bądź, wszelkiėj wdzięczności i uznania godną pomoc w dyskusyi nad projektem rządowym w dziedzinie kościelno-politycznėj i nad etatem ministeryum oświecenia. Z *tego* stanowiska rzecz uważając, nie będziemy zaiste zbyt surowymi sędziami pomienionego kompromisu, jakkolwiek zwolennikami jego nie byliśmy i nie jesteśmy. Dobijając do końca naszego sprawozdawczego zadania, winniśmy jeszcze pełną uznania wzmiankę wystąpieniu księcia Ferdynanda Radziwiłła w izbie panów za całością praw politycznych i narodowych, przyznanych W. Księstwu Poznańskiemu przez traktaty wiedeńskie z roku 1815. W innych ustach byłaby obrona taka rzeczą zwyczajną i naturalną. W ustach księcia Radziwiłła, jako wnuka dawnego namiestnika królewskiego w W. Ks. Poznańskiém, nabierała tem większego znaczenia, że znamionuje nadto pierwszy występ młodszėj generacyi tėj rodziny na parlamentarnėj widowni w sensie stanowczo polskim.

Pozostaje nam teraz jeszcze tylko obowiązek *ogólnego* ocenienia akcyi i stanowiska naszėj reprezentacyi sejmowėj w ciągu ubiegłėj, zimowėj kadencyi. Akcya ta w sejmie Rzeszy była, jak nas przekonywa powyższe sprawozdanie, obronnėj tylko, jeżli tak wolno powiedzićć natury, nieco ułomnėj i niedomagającėj, a energiczniejszėj nieskończenie i nastrajającėj sią coraz więcėj do należnėj wysokości w sejmie pruskim. Mimo tych przymiotów, które jėj z wszelką skwapliwością przyznajemy, pociągała przecież akcya taka za sobą niedogodności wypływające z taktyki obronnėj, zrzekającėj się jakoby z góry i z zasady własnėj i własnemi potrzebami natchnionėj inicyatywy. Była dorywczą i okolicznościewą, ograniczała się z natury rzeczy do *sposobności* i *możności* dostarczanych sobie przez stronę przeciwną, nie mogła dla tego ogarnąć *całości* ani naszych potrzeb, ani naszych zażaleń. Takiemu nieuniknionemu prędzėj czy późnėj naszego parlamentaryzmu zadaniu, może jedynie według nas sprostać obszerny, umotywowany gruntownie wniosek domagający się zmiany obecnego systemu odpowiednio z jednėj strony do zarę-

czonych naszemu żywiołowi traktatami międzynarodowemi praw politycznych i narodowych, z drugiéj strony odpowiednio do praw konstytucyjnych i przyrodzonych. Z wnioskiem takim łączyćby się powinien nieodzownie drugi, domagający się zbadania na miejscu stosunków poznańskich w dziedzinie szkolnéj, sądowniczéj, administracyjnéj, kościelnéj, przez osobną komisyą sejmową, w któréj skład wchodziliby i Polacy, w myśl artykułu 82 ustawy konstytucyjnéj pruskiéj. Wnioski takie, czy skuteczne *praktycznie*, mniejsza o to, miałyby przynajmniéj zasługę, przedstawiałyby sposobność i możność wykazania całéj wartości praktykowanego przeciw nam systemu, objęcia *całości* naszych skarg, potrzeb i zażaleń na wszystkich polach państwowego zarządu i organizmu. Wniosek taki, choć w innéj nieco formie i redakcyi, obdarzony przez pewną część publicystyki naszéj mianem *walnego wniosku*, stał się już przedmiotem zastanowienia i dyskusyi w łonie naszego sejmowego koła, nie zdołał jednakże zyskać większości z powodów, które się nam istotnemi *powodami* nie zdają. Jednym z takich argumentów np. był wzgląd na niewątpliwy fakt, iż koło nasze sejmowe występując z podobnym wnioskiem, znalazłoby się zupełnie odosobnionem. Jak gdyby było kiedykolwiek-bądź inaczéj i jak gdybyśmy zawsze, z wszystkiémi naszemi potrzebami, żądaniami i zażaleniami, jak gdybyśmy z całą istotą naszą nie byli w sejmach niemieckich i pruskich *soliterami*, którzy tylko konsekwencyą i wytrwałością sobie samym szacunek, swojéj sprawie, przy szczególnych konstelacyach i zbiegu szczególnych okoliczności, praktyczne korzyści zdobyć mogą!

Zatrzymujemy się z opowiadaniem naszém na pauzie, jaką w parlamentarnéj działalności obu sejmów spowodowały wielkanocne ferye. Po ich upływie rozpoczyna się ponowna ich czynność. Jeżeli w sejmie *Rzeszy* tyle żywotny dla interesu politycznego księcia-kanclerza projekt monopolu tabacznego otwiera reprezentacyi naszéj, przy poważnym jéj liczebnym składzie, pewne widoki zyskania praktycznych dla kraju korzyści w zamian popierania kanclerskiego projektu; to w sejmie *pruskim* ciągle jeszcze oczekuje deputacyą naszę niezałatwiona i nieusunięta z porządku dziennego sprawa *walnego wniosku* wraz z jego naturalnemi konsekwencyami. Czekajmy, co w tym względzie przyszłość odsłoni.

J. P.

1 kwietnia.

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

VII.

Nazajutrz, o zwykłéj porze wróciwszy z biura, jak zwykle znalazł na stole, przyniesiony z garkuchni przez Rębkowę obiad. Jak zwykle téż, warstwa obrzydliwego tłuszczu okrywała ostygły rosół a ckliwa woń ulatywała z żółtéj jarzyny, otaczającéj kawał ugotowanego mięsa. Wszystko to zawierało się w glinianych naczyniach, umieszczonych na zastępującym obrus ręczniku. Zaledwie usiadł na stołku i jeść zaczął, wszedł Kaplicki. Dobroduszna i otwarta fizyonomia jego, od pierwszego zaraz wejrzenia zdradzała skwaszony nieco humor. Siadając na przeciw gospodarza izdebki, który powitawszy go, wziął się znowu do rosołu z zastygtą tłustością, zaczął.

— Przyszedłem aby pożegnać cię, bo choć parę dni jeszcze zabawię w mieście, wątpię abym miał czas zobaczyć się z tobą. Przytém, przeprosić cię powinienem. Zdaje się, że nie bawiłeś się dobrze na wieczorze naszym.

Mówiąc to, dziwnie jakoś na obiad dawnego kolegi spoglądał. Raził mu on wzrok i powonienie tak, że ukryć tego nie mógł. Spostrzegł téż to Ławicz ale ze spokojem zupełnym jadł daléj. Z uśmiechem téż odpowiedział.

— Nie masz za co przepraszać mię, mój Michasiu. Chęci miałeś najlepsze i ja to sam, do zabaw podobnych, okazałem się niezdatnym.

Michał wybuchnął.

— Ależ zlituj się, jak można pozwolić sobie do tego stopnia zdziczéć! Jesteś chłopcem dobrze urodzonym, przystojnym i z dobrą głową, pomimo więc, że niemasz majątku i służysz w biurze,

mógłbyś być w towarzystwach bardzo dobrze widzianym, gdybyś chciał tylko zastosować się...

Ławicz, niecierpliwym ruchem położył na stole sztućce wykrzywione i w drzewo oprawne.

— Mój drogi, rzekł, ja wcale nie pragnę ani dobrze widzianym być w towarzystwach ani ich widywać...

— Dla czegóż to?

— Bo pomiędzy niemi a mną istnieje rozdział nieprzebyty. Wy, kochacie się w mnóstwie form i formułek, których ja nie uznaję, bo żadnego sensu w nich nie widzę .. Wam, nie idzie o człowieka i wartość jego ale o frak, rękawiczki, kapelusz, zgrabny ukłon i umiejętność tańcowania. Pomiędzy wami, kto nie umie tańczyć, grać w karty i po francuzku mówić, jest zerem i piątem kołem u wozu... Wasi lokaje nawet sądzą ludzi ze stanowiska fraka albo tużurka...

Mówił to z rumieńcem na twarzy i błyszczącémi oczami. Gestykulował i wpadł w ton kaznodziejski. Kaplicki wydawał się obrażonym trochę.

— Surowe bardzo i prędkie sądy wydajesz, rzekł; raz tylko popatrzyłeś na ludzi i to wtedy gdy oni bawili się a już ich potępiasz. Jeżeli myślisz, że pomiędzy tymi, których widziałeś wczoraj niéma uczciwych, zacnych i pracowitych mylisz się bardzo i jesteś niesprawiedliwym.

Dziwna rzecz! człowiek ten tak łagodny i skromny, nie spostrzegał, że w istocie tworzył o ludziach sąd surowy i pośpieszny, sąd zresztą właściwy samotnikom, którzy nie znając ludzi, przymierzają ich do własnych pojęć i teoryj, i z ich wysokości na świat poglądają. Uparł się i uniósł.

— Być może! być może! ja widziałem tylko, że piękna narzeczona twoja jest dumną i przesądną, śliczna panna Jadwiga rozmarzoną trochę roztrzepanicą, że młodzi przyjaciele twoi rozmawiają o samych niedorzecznościach a starsi rzucają na stół karty z takiém przejęciem się, jakby od wyniku ich gry, losy świata zależały...

Kaplicki wstał.

— No, rzekł, widzę, że jesteś w kaznodziejskiém usposobieniu a ja niemam czasu na słuchanie kazań. Daję dziś obiad dla tych przyjaciół moich, którzy o samych niedorzecznościach...

— Dajesz obiad, na którym zapewne będziecie pić szampana, a po którym zasiądziecie do kart...

— Naturalnie.

— Widzisz! ganisz mój sąd prędki i surowy. Jak można sądzić

was inaczéj? Czy pamiętasz tę hulankę u Zegrzdy, na któréj byliśmy razem?

— Pamiętam; cóż więc?

— Będziesz dziś przecie robił zupełnie to samo co Zegrzda...

— Ależ to zupełnie co innego!

— Dla czego?

— Ojciec zdał na mnie świeżo rządy majątku, żenię się, wchodzę do obywatelstwa...

— Więc?

— No, muszę więc zaprosić, przyjąć, ugościć współbywateli...

— Zupełnie to samo robił Zegrzda. Zapraszał, przyjmował, ugaszczał...

— W innėm kółku.

— W każdém kółku co złe to złe.

— I w innéj zupełnie formie...

— Otóż to! forma... rzecz zawsze dla was najważniejsza... I występki popełniać można, byle w wykwintnéj formie...

Sprzeczali się zawzięcie, powierzchowność Ławicza utraciła całkiem zwykły swój charakter. Unosił się. Kto wié, czy w goryczy jego uśmiechów i sarkazmie słów nie było kropli żalu za światem tym na który piorunował, a w którym brzmiała muzyka, rozlegały się czarujące śpiewy, w obłokach jakby leciały piękne głowy i nagie ramiona kobiece. Ale Kaplicki, psychologiem nie był. Obraził się i rozgniewał.

— Bądźże zdrów, rzekł, i wiesz co? na pożegnanie, dam ci radę jedną. Kamedułą zostań!

Mówiąc to wkładać począł futro swe. Ławicz ochłonął. Czy zawstydził się uniesienia swego? czy drgnęło w nim stare koleżeńskie przywiązanie? Pochwycił w obie dłonie rękę gościa.

— Michasiu, nie odchodź rozgniewany. Byłeś dla mnie zawsze bardzo dobrym, nie powinienem był cię obrażać. Posłuchaj! Mnie świat wasz wydaje się istotnie pustym i nudnym ale może to w części i moja wina. Nie rozumiem go, nie bawi mię on...

— Bo zdziczałeś, ułagodzony trochę podchwycił Kaplicki.

— Wcale nie! przeciwnie! ja siebie właśnie mam za cywilizowanego człowieka! a was.. przebacz mi, mój drogi. Obrażać cię nie chcę. Ze smutkiem to mówię. Co cię zawsze i wyłącznie zajmuje? Procesy, długi, meble, powozy, konie, polowania i wieczory. Nigdy o niczém innėm, gdy rozmawiam z tobą nie słyszę...

— A czemże u dyabła chcesz, abym się zajmował?

— Jakto? nic więcéj... nic?

— No, a cóżby naprzykład?

— Pamiętasz szkolne czasy nasze i własne marzenia swoje?..

Na poczciwéj twarzy Kaplickiego odmalował się niesmak.

— E! dawno to było i trwało krótko! Co innego marzenia a co innego rzeczywistość. Dzieciakiem prawie poznałem się z życiem rzeczywistém i jakiem ono jest, takim i ja się stałem...

— A wpływać trochę na tę rzeczywistość, uszlachetniać ją, coś wyższego w nią...

— Utopje, mój drogi, mrzonki i nic więcéj! Jestem człowiekiem uczciwym i honorowym, będę dobrym mężem i ojcem i—niczego więcéj od siebie nie wymagam. W teraźniejszych czasach, każdy z nas obywateli i bez tego ma kłopotów i nieprzyjemności mnóstwo, a żeby mi przyszło jeszcze nad jakiemiś mądrościami albo wielkiémi czynami głowę sobie suszyć, toby i życie zbrzydło.

— Ale w takiem życiu, mój Michale, przy takich wyłącznie przedmiotach zajęcia, zniżyć się musi strasznie skala...

— Daj mi tam pokój ze swoją skalą! Wiesz co? naczytałeś się książek i według nich świat sądzisz. Nie zgodzimy się z sobą nigdy..

— Ha! opuszczając ręce, smutnie rzekł Ławicz, boli mię to... ale... dziś mi jakoś ciągle na pamięć przychodzi Zegrzda,—czy pamiętasz jak wtedy mówił on nam: wszak ludzie różnie żyć muszą, tak jak im tam wypadnie...

— Pamiętam, więc cóż?

— Więc przebacz mój sposób życia i widzenia rzeczy i zachowaj mi swą życzliwość..

Mówił to serdecznie, smutnie patrząc w twarz przyjaciela. Ale Kaplicki, od wczorajszego już wieczora, trochę zobojętnieć dla niego musiał. Dzisiejsza sprzeczka a może i ręcznik zamiast obrusa na stole zasłany i wstrętna woń obiadu Ławicza, dokonały reszty.

— Naturalnie, odparł, naturalnie. Jakże? jesteś przecie szkolnym kolegą moim i spotkam cię zawsze z prawdziwą przyjemnością... Adieu!...

Od dnia tego pogrążony znowu w czytaniu książek, których świeżo właśnie, kolega jego, księgarz, dostarczył mu ilość znaczną, Ławicz nie wychodził wieczorami na miasto i nie podsłuchiwał muzyki brzmiącéj we wnętrzach domów. Zresztą, na pierwszém piętrze domu w którym mieszkał, z pierwszym brzaskiem wiosny nie grano już i nie śpiewano. Było ono pustém. Z pierwszym téż brzaskiem wiosny, otrzymał on od Zenona Derszlaka list długi, na który dwa razy dłuższym listem odpowiedział. Była to także sprzeczka, innego przecież rodzaju niż ta, którą stoczył z Kaplickim. Derszlak, w charakterze nauczyciela udzielającego po domach lekcyj prywatnych, bawiący ciągle w stolicy, ognistemi słowy Apostola lub ekstą-

tyka opisywał mu atlantydę na jaką świat ten, wspólnie z gromadką przyjaciół swych, przemienić zamyślał. List kończył się słowem „przybywaj!“

Ławicz odpowiedź swoję zaczął od wyrazów: „nie przybędę!“ On także marzył nieraz o Atlantydach, ale uczeńszy albo przynajmniéj bliżéj poznajomiony z nauką, w jéj tylko niezawodne lecz powolne działania ufał, kto wié? za te to właśnie jéj obietnice szczęśliwszych losów świata, najwięcéj może kochał ją i czcił. W zapale Derszlaką widział exasperacyą człowieka, który sam cierpiał wiele, i wszystkie cierpienia rozumiał, nielogiczność umysłu pięknego może, lecz który zwichnął się, nim możliwy kres wzrostu swojego osiągnął. Zresztą, przed pisaniem odpowiedzi swéj, otworzył on okno swéj izdebki, i na wiszącą nad dachami błękitną wstęgą nieba patrzał tak długo i w taki sposób jakby ona była kartą, z któréj wyczytywał wielkie mnóstwo rzeczy. Zaczął więc odpowiedź swą od wyrazów: „nie przybędę“ a zapisawszy kilka arkuszy zakończył ją słowami: „ludzie różnie żyją i różnemi drogami chodzą, tak jak im wypadnie. Twoja droga nie może być moją. Przebacz mój sposób widzenia inny niż twój i zachowaj mi życzliwość twoją.“

Napisawszy list ten zamyślił się nad dwoma rzeczami. Naprzód, zapytał sam siebie.

— Jakąż jest moja droga?

A potém.

— Dla czego zawsze mówić do ludzi muszę: przebacz mój sposób widzenia inny niż twój?

Wkrótce potém, witając się w biurze z Piotrem Kwirą, spostrzegł w nim tak jak wtedy, przed kilku laty, zmianę wielką. We wnętrzu kościanéj figurki było znowu coś, co powierzchowność jéj okryło wyrazem zgryzoty. Znowu, nim pisać zaczął, łysę głowę wstrzęsał długo nad sinym arkuszem a pisząc, końcem suchego palca pocierał brzegi czerwonych powiek, pisał jednak wciąż, wciąż z powolną regularnością dobrze funkcyonującéj maszyny i nawet, wzdychając ciężko, pisać nie przestawał.

I znowu, tak jak przed kilku laty, pomiędzy dwoma ludźmi u dwu okien wielkiéj sali piszącymi, zawiązała się krótka, półgłosem prowadzona rozmowa,

— Panie Kwira, co panu dziś jest?

— Bieda, panie dobrodzieju...

— Czy wielka bieda, panie Kwira?

— Oj! bez grzechu narzekania... teraz już... to i okropna...

— Cóż? Zenon może?..

Kwira, jak sprężyną poruszony, wstał nagle, z piórem w ręku, cichym, skradającym się krokiem do Ławicza zbliżył się i schylony, we dwoje prawie zgięty, szepnął mu coś do ucha. Był to widocznie jeden tylko wyraz, ale Kwira wymówił go z przerażeniem w szeroko rozwartych oczach a Ławicz zbladł i pióro z palców mu wypadło. Tegoż dnia, zstępował wraz z Kwirą po starych, kołyszących się wschodach, do suteryny, która z pod czteropiętrowéj kamienicy, wyglądała na świat, okratowaném swém oknem.

W izbie, do któréj, wiosna przyniosła tylko woń stęchlizny i występującą na nizkie ściany kroplistą wilgoć, szaro było jak o zmroku. W ogromném, czarném wnętrzu komina nie palił się ogień, deska do prasowania stała przy ścianie, u stóp jéj stało zimne żelazko. W tém samém miejscu, na którém kiedyś rozlegał się gorzki śmiech chorego i przeciw światu zbuntowanego chłopca, z za firanki utworzonéj z prześcieradeł i paru kobiecych spódnic, wyciągnęło się ku wchodzącym dwoje śniadych, wychudłych ramion z załamanemi rękoma a głos kobiecy ochrypły od choroby czy płaczu zawołał.

— Zgubiony! zgubiony.

Z pod wilgotnéj chustki, oblepiającéj szczelnie głowę Anny, na szare płótno grubéj koszuli, na spłowiały łachman służący jéj za kołdrę, i aż na skraj jéj łóżka, spływały gęste, długie, kruczo-czarne a siwizną przysypane włosy. Żar oczu jéj, rozpalonych boleścią i gorączką ponuro oświetlał twarz zciemniałą i od wychudnięcia kościstą, ze spieczonych ust, w których zarysie był jeszcze smutny odblask dawnéj ich piękności, lał się potok wyrzekania.

Zgubiony! jak złodziéj albo rozbójnik jaki w turmie siedzi!... Co to jest? jakim sposobem stać się to mogło! Dla czego ona dnia tego dożyła? Dla czego za mąż nie poszła—o Boże! wszakże mogła była to uczynić!... i dla czego swoich własnych dzieci nie miała aby obchodzić się z niemi srogo, łając ciągle, bić nawet, byleby nie spotkało ich to, co stało się z tym niegodziwym chłopcem bez serca i sumienia... Trzeba być niegodziwym i odrobiny rozsądku nie mieć aby tak zmarnować się samemu a ją zgubić, która dla niego była nie siostrą lecz matką, która za nim świata i siebie saméj nie widziała! O! czemu go ona nie biła... często bite dzieci bywają ciche i spokojne a on zawsze był taki żywy, tak wszystko strasznie brał do serca tak każdemu oporem stawał... trzeba było upokorzyć go, złamać, zrobić go głupcem choćby, ale takim, coby spokojnie gryzł swoję kromkę chleba i o niczém więcéj nie myślał... O, najszczęśliwsi głupcy i najszczęśliwsze matki te, które z głów swoich dzieci, kijem choćby wypędzają wszystkie te myślenia, co niby mądre są, a jak smoki

pożerają dzieci! Ale ona nie była jego matką, była tylko jego siostrą i nie miała prawa bić—sierotę. Zresztą ona bić nie umiała. Ojciec ich, biedaczysko to, które spadając z rusztowania kości sobie połamało, upijał się czasem, ale dzieci swoich nigdy nie bił i ich bić się nie nauczył. On umierając oddał jéj brata, takiego jeszcze wtedy malutkiego i powiedział: —Pamiętaj Anulku, pilnuj go jak źrenicy w oku i do szkół oddawaj. — Widzisz, ja cieśla, z rusztowania spadłem. On, uczonym będąc, nie spadnie! — O! tatku! czy ty widzisz ztamtąd jak on okropnie spadł!...

Żeby kto wiedział, i Kwira nawet nie znał go jeszcze wtedy, co to był za śliczny dzieciak, z włoskami kręcącemi się jak pierścionki a czarnemi jak krucze pióra, z takiemi czarnemi i modremi oczami, że wszystkie panie te, które przychodziły do niéj aby roboty u niéj zamawiać, całowały go i pieściły jak panicza jakiego, jak cherubina! Wtedy miała ona jeszcze zdrowe oczy i prześlicznie haftowała, umiała téż naprawiać i prać koronki. Roboty takie płacą się drogo a ona pracowała dniami i nocami i niedojadając trochę, w téj suterenie mieszkając mogła mu sprawić mundurek i kupić książki i zapłacić wpisowe i oddać go do szkoły. Cóż? gdyby był zdolności nie miał, oddałaby go do szewca albo do mularza, ale zdolności miał....

— Bywało, noc już późna, a on siedzi przy tym ot stole, głowę rękami obejmie i uczy się i uczy się i uczy.... takich mądrości różnych, po łacinie, po grecku, czy ja wiem już po jakiemu jeszcze, a potém wstanie od książki i bęc! przedemną na kolana i ręce moje całować zaczyna.—„Anulko! ja to tobie winienem, że uczę się ale idź ty już spać! — Ty przezemnie oślepniesz — mówi i jak bóbr, bywało, zalewa się łzami. — Doktorem, mówi, zostanę i wyleczę ciebie. Wyjdziesz za Kwirę, wyjedziemy wszyscy na wieś i spokojnie sobie żyć będziemy, ludziom dobrze robiąc.“ Ot i doktorem został, ot i wyleczył mię, ot spokojnie wszyscy żyjem! — O, głupi, niegodziwy, złoty, serdeczny, biedny, biedny mój chłopak!

Namiętnym i łzawym potokiem, wyrzekania te lały się w mrok podziemnéj izby, w głębi któréj Kwira zapalił na kominie mały ogień, gotując przy nim obiad dla siebie i ziółka dla choréj. Z drugiéj strony izby, za żelazną kratą okna, ciągnął się chodnik ulicy, słońcem wiosenném oblany, migocący barwami przesuwających się po nim sukien kobiecych. Pomiędzy dwoma światłami temi, z pod ściany wilgotnéj wyciągały się wciąż śmiałe, chude ramiona z załamanemi rękami i deski starego łóżka skrzypiały pod ciałem rzucającém się na nich w gorączce i szlochaniach. Wilgotne ściany izby, zakrato-

wane jéj okno, deska do prasowania i ciężkie żelazko przykrywające część wypalonéj podłogi, ciemne okulary rzucone przy lampce z zielonéml okryciem, szczupła komódka, a na niéj w ładnych ramkach fotografia 16-letniego chłopca w studenckim mundurku, wszystko to aż do chudego, łysego człowieka, którego ptasi profil rysował się na żółtém tle ognia, a małe oczy spoglądały w przestrzeń z wyrazem boleści, wszystko słowem, co się tu znajdowało, stanowiło zgłoski historyi téj, która teraz, w kącie izby, zdawała się kresu swego dobiegać. Przysłaniająca łóżko a na sznurach zawieszona odzież, wyglądała jak koło utworzone z bujających w powietrzu widm nędzy. Kolem tém otoczona kobieta, długie jeszcze dni kilka coraz ciszéj wyrzekała, szlochała, kaszlała i wyciągała w przestrzeń coraz chudsze ramiona, zabliźnionemi ranami od żelaza okryte. Blizny te, były także zgłoskami jéj historyi i historyi tego, czyje imię wymawiała ona dopóty, dopóki nie zrobiło się tam zupełnie już cicho.... Było to o świcie. W szarem świetle wschodzącego dnia, lampka z zieloną zasłoną paliła się jak wielki szmaragd, którego światło padało na ładne ramki i rysującą się pośród nich twarz młodzieńczą, pełną czułości, ognia i nadziei.... W godzinę potém Ławicz i Kwira znaleźli się na poddaszu czteropiętrowego domu. Kwira usiadł na łóżku swém i łokcie oparłszy na kolanach, a łysą głowę ująwszy w kościste dłonie, pogrążył się cały w długiéj medytacyi. Szczupła postać jego, melancholijnie, zwolna i rytmicznie kołysała się w obie strony. Raz tylko i nie podnosząc głowy, wymówił:

— Bez grzechu narzekania.... można Pana Boga zapytać pocośmy się rodzili? ona... ja... i tamten?

W tejże chwili pierwszy promień słońca błysnął na szybach okna i złotą nicią spłynął na ścianę. Zaludniające izbę kanarki, obudziły się, powylatywały z klatek, pozlatywały z prętów swych, ze sprzętów, zewsząd ruchliwym, wesołym rojem zatrzepotały i rozśpiewały się nad zgiętemi plecami i łysą czaszką człowieka, kołyszącego się na ubogiéj pościeli.

On wtedy podniósł głowę, schwycił rękę Ławicza, popatrzył mu w oczy wzrokiem od łez nabrzmiałym i szepnąwszy: — Niby nic... panie dobrodzieju... a to była kobieta święta! — Wybuchnął wielkim łkaniem. Śpiewanie kanarków zagłuszyło szmer jego płaczu. Jeden z nich usiadł mu na plecach, na tém właśnie miejscu gdzie w domowém ubraniu jego była spora, załatana dziura, parę zaś innych umieściło się na urzędowym surducie, który leżał na stołku, a w którego pozłacanych guzikach promień słońca rozpalał skaczące, wesołe błyski.

VIII.

„Jakąż jest droga moja?“ było to pytanie, które od czasu pewnego, dniem i nocą, w biurze i na ulicy, prześladowało Ławicza, niby zwrotka pieśni, na różne tony wyśpiewywana, po mózgu jego krążąc.

Jakto! miał lat dwadzieścia kilka, tak wiele już pracował, tak ciężko i oddawna wywalczał sobie możność oddychania powietrzem téj ziemi a jeszcze nie wiedział, jaką jest droga jego? Tak, nie wiedział zrazu, lecz potém, gdy zgłębiać zaczął pytanie własne, dowiedział się, że nie było przed nim drogi żadnéj.

Dnia pewnego wróciwszy z biura i roztworzywszy przed sobą książkę, uczuł, że czytać nie może. Ciemne fale mgły jakby wilgotnéj albo krwi zbiegającéj do powiek, zawieszały się pomiędzy oczami jego a kartami książki. Myślał, że dla niego nie było na świecie miejsca, na którym mógłby siać zebrane ziarna i cieszyć się nadzieją czy widokiem plonów, że nie było i być nie mogło dla niego plonów żadnych, ani wzrastania i dążenia żadnego. Tu niedostawało mu prawa, tam możności i za nim jak przed nim nie istniało nic, prócz ścian téj izdebki, prócz ścian kancelaryjnéj sali, prócz dośmiertnego przepisywania aktów kancelaryjnych, prócz wiecznego wypychania własnéj czaszki tém, co w niéj tylko nazawsze pozostać miało.

Przymusowość pracy nuży, bezowocność jéj zniechęca. Sześć lat przymusowego orania na powszedni rosół z zastygłą tłustością i kubek mleka z sześciogroszową bułką, — dziewięć lat gonitwy bez oddechu za wiedzą, przed którą ubóstwo z jednéj strony a z innéj artykuły prawa, krzyżowały swe miecze, lata te pracowite, samotne i nędzą zaprawne, zaciężyły mu na barkach, głowie i ramionach. Teraz dopiero przypomniał sobie, że były w nich i praca i samotność i nędza. Teraz dopiero uczuł zniechęcenie rozbitka, który długo i z całéj siły płynąc z okiem utkwioném w dalekie brzegi, spostrzega, że widok brzegów tych był złudzeniem. Skoro więc nigdzie, na całym widnokręgu, na całéj przestrzeni szerokiego jednak świata, niema dla niego żadnych brzegów, po cóż ma dłużéj piersią zdyszaną pruć fale morza—zimne i oporne?

Po co? pytanie to przywiodło za sobą cały szereg pytań i twierdzeń, które przez wszystkie te lata obijały się o uszy jego, w piersi zapału i wytrwania pełnéj echa nie znajdując. Teraz echa zagadały.

— Co ty z tém wszystkiém zrobisz? — Jaką rolę użyźni pot czoła twego? — Czyją dolę rozjaśni światło, którego tyle do głowy swéj nabierasz?—zapytywał Derszlak.

— Po co ci to? na co ci się to przyda?— pytał Dębski— a tenże sam chłodny i rozważny głos mówił jeszcze: bez celu.... bez celu... niepraktyczne!

— Bzika masz! — junacko twierdził Zegrzda.

— Kamedułą zostań — doradzał Kaplicki.

— Sfiksujesz pan — przepowiadała nawet Rębkowa. — A szafirowe oczy panny Jadwigi patrzały na niego z litością albo ironią, alabastrowe ramiona panny Aliny wstrząsały się wzgardliwym śmiechem; lokaj nawet, roznoszący na tańcującym wieczorze limoniadę i wodę z sokiem, wejrzeniem swém i ruchem wspaniałéj swéj brody mówić się zdawał: — Jam mędrszy od ciebie, uczony głupcze, który po łacinie umiesz i promienie słońca w garść łapać chciałeś a z ubrania i miny wyglądasz na kredensowego chłopca! Może... może oni mieli słuszność... Zapewne.... najpewniéj mieli słuszność!

Gdyby nie to i nie to i nie tamto, byłoby inaczéj, ale ponieważ to zdarzyło się a tamto na świecie istnieje, więc mieli słuszność!

Z książek stojących przy ścianie, leżących na podłodze, piętrzących się na stole i stołkach, długoletnim przyzwyczajeniem wywoływane, śpiewały głosy syren:

„Ku nam, ku nam statek naklеruj,
„Głosom przysłuchać się naszym.. ..

Ale Ławicz z okiem przygasłém i opuszczonemi rękami odpowiedział:

— Nie chcę....

Lecz zaledwie powiedział to, uczuł spadającą mu na barki niezmierną nudę życia. Cóż więc miał czynić z godzinami swemi, wieczorami, nocami, w których przywykł był spać niewiele? A bardziéj jeszcze, co czynić miał z tym ogniem wewnętrznym, który przygasł lecz nie zgasł i nie zużywany na nic dławił go i dręczył?

Życia więc, ruchu, czynu i uczucia! Gdzież one były? — Wszędzie. Świat był ich pełen. Pełno było na świecie ludzi, którzy ruszali się, kochali — słowem żyli. Więc żyć jak inni ludzie.... żyć jak żyli wszyscy!...

Ba! alboż on już mógł żyć jak wszyscy? Stała się z nim rzecz szczególna. Spadła nań pokuta za to co miał w sobie najlepszego, za długoletnie, zapamiętałe przebywanie w wysokich sferach uczuć i myśli. Sfery te były od powszednich zjawisk życia tak oderwane, że przebywając śród nich, stał się on powszedniemu życiu obcym a ono dla niego stało się nieprzyjaznem. Sfery te jeszcze były tak wysokie, że przebywając śród nich, przywykł on do zapatrywania się na powszednie życie z wysoka. A życie powszednie przymierza-

nia go do idealnych modeł nie znosi. Kto uciech jego używać pragnie, musi przyjmować je naiwnie, wpółślepo, bez drobnowidza, bez skalpelu, bez wstecznych spojrzeń na źródła ich i następstwa. Ławicz zaś z długich lat samotnéj pracy, wyniósł pełno zasad i teoryj.... Z życiem powszedniém i powszedniemi uciechami pokłócony, czuł, że w sferach idealnych, w których przemieszkiwał dotąd utrzymać się już nie może....

Więc cóż? Przez małe okno otwarte nad blaszanym dachem, zalatywało go powietrze majowego poranku. Był to także poranek niedzielny, w którym ulice miasta słały ku małym oknom nad dachami otwartym, zmięszane gwary. Tam, daleko, pośród pól i lasów, od których przylatywał upajający ten powiew wiosny, słonecznie było, świeżo, zielono; chaty wieśniacze stały wśród drzew okrytych kwiatami, z rzędami pyzatych twarzy dziecinnych na przyzbach; swobodne wiatry dziwne pieśni grały na samotnych gruszach polnych, na brzozach w gęsty gaj zbitych i na sercach ludzkich, odświętnie pod odświętną odzieżą bijących. Tu znowu, na tych ulicach i w tych domach miejskich rozlegał się uroczysty śpiew dzwonów kościelnych, uśmiechały się ku sobie twarze i przyjaźnie spotykały się dłonie ludzkie; na rynkach toczyły się głośne i żwawe targi; z otwartych okien wychylały się roześmiane twarze dzieci i dziewcząt, potém nieco, za godzinę, za dwie, okna te wyleją na świat potoki wesołéj albo melancholijnéj muzyki.... Tam i tu każdy miał coś albo kogoś swego. Chata skąpana w słońcu, zorany zagon, szmaragd łąki, gromada drzew szumiących, kobieta, dziecię, muzyka, te nawet dzwonienia kościelne mówiące ludziom, że Bóg modlitwy ich słuchać gotów, te nawet targi na rynkach i te na chodnikach przelotne uśmiechy,—było to przecież wszystko czyjemś szczęściem, uciechą, nadzieją, a choćby złudzeniem tylko, lecz błogiém....

Młody, samotny człowiek, wychylający się przez małe okno, wysokiego poddasza, pomimo majowego słońca grzejącego mu plecy, uczuł przenikające go zimno. Zwrócił się twarzą do swéj izdebki. Podniósł głowę i ze zdziwieniem słuchać zaczął.....

Jakaż to piosnka wesoła i razem rzewna, kobiecym głosem śpiewana, zbliżała się ku drzwiom jego? Szła ona z dołu i zwolna podnosiła się coraz wyżéj, dźwięczała coraz bliżéj, świeża tak i swobodna, jak gdyby ją ku niemu, w czarnéj chwili jego życia, przysyłały zielone pola i śpiewające gaje wioski:

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciłabym, nie świeciłabym.... jak tylko dla ciebie."

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich kobieta wcale niepodobna do Rębkowéj, która zwyczajnie o téj porze przynosiła tu na

tacce kubek z mlekiem i sześciogroszową bułkę. Niosła ona także w obu rękach tackę z kubkiem i bułką ale była ośmnastoletnią dziewczyną, wysoką, silną, zgrabną, z błyszczącémi jak wiśnia ustami, pośród rumianéj twarzy, z oczami, które z pod ciemnéj rzęsy patrzały jak dwa liliowe kwiaty lnu. Na stanik źle zrobionéj i przeraźliwie wykrochmalonéj sukni opadał warkocz ciemno-płowych włosów, a nad samém uchem jéj, niezgrabnie sterczała duża i silnie pachnąca gałęź kwitnącego jaśminu. Ławicz zdziwionêm okiem orzucił od stóp do głowy to żyjące uosobienie zdrowéj, raźnéj, wiejskiéj piękności kobiecéj. Ona, zmięszana trochę, w grubych swych i ciężkich trzewikach dość lekko przeszła izdebkę, a stawiając na stole tackę z kubkiem i bułką, rzekła:

— Ciotka Rębkowa cościś cierpiąca trochę, kazała mi przynieść panu śniadanie i w mieszkaniu uprzątnąć. Czy można?

Mówiąc to, patrzała nie na tego do kogo mówiła, ale na ścianę, a oczy jéj wyglądały jak dwa kwiaty lnu z nieśmiałą ciekawością na świat wyglądające.

— Owszem, proszę. — Czy pani jest krewną pani Rębkowéj?

— A jakże!

— Blizką krewną?

— A jakże! bratanicą....

— Ale pani ze wsi tu przybyła?

— A jakże!

— Niedawno pewnie?

— A wczora tylko.

— Nazywam się Zygmunt Ławicz. — Czy mogę wiedzieć....

— Co takiego?

— Czy mogę wiedzieć, jak imię i nazwisko pani.

— Czemuż nie? — Franciszka Rębkówna.

— Także Rębkówna?

— A jakże!—U nas w okolicy trzydzieści domów Rębków. Wujaszek Paweł z téj okolicy pochodzi, i ciotka Pawłowa z téj okolicy i ja...

Rozmowa urwała się. Piękna dziewczyna krzątała się około uprzątania izdebki. Ruchy jéj miały w sobie swobodę i giętkość pokrywającą to co było w nich prostaczego. Widocznie stawała się coraz śmielszą.

— Jezu!—zawołała po chwili— co tu książek! I w serdecznym śmiechu, pomiędzy wiśniowemi wargami, ukazała dwa rzędy prześlicznych zębów.

Ławicz wydawał się trochę zmięszanym. Dziewczyna miotełką z piór kogucich strzepywała pył z książek, tak blizko niego, że zapach sterczącego we włosach jéj jaźmiu twarz mu oblewał.

— A pani lubi czytać książki?

— Ja?

Zdziwiła się nieco i zastanowiła.

— A lubię... kiedy piękne modlitwy są....

— A innych książek, prócz do nabożeństwa, pani nie lubi czytać?

— A jakże! — Do nas *węgrzyni* takie śliczne książki czasem przynoszą! Zimową porą, jak niema czego robić, zbieramy się po domach i czytamy....

— Jakże nazywają się te książki?

— Ot, głupstwo!—Jedna była historya świętéj Genowefy, a druga historya księżniczki Magelony, a trzecia o tym rozbójniku, co to nazéwał się.... Oj, żeby jego....

Zachichotała z cicha, ale bardzo zawstydzona wesołością własną twarz za wieszadła z odzieniem schowała.

Ławicz uśmiechnął się. Bawiły go wymienione przez dziewczynę tytuły książek, najbardziéj przecież rozweselała go może świeżość jéj uśmiechów i swoboda ruchów, z jakiemi, wskoczywszy na stołek, miotełką swą zdejmowała pajęczyny zapełniające kąt izdebki.

— Jezu! co tu pajęczyn! a pyłu po kątach, jak w jakiéj karczmie! Już to ciotce wstyd, że tu tak brudno. Ja tego nie lubię! U mnie izba powinna być czysta jak szklanka i odzienie *tak samo*.— A jakże! czy to człowiek świnia, żeby żył w brudach? I u ciotki Rębkowéj *tak samo* brudno, ale niech ja tam pobędę troszkę.

— Czy ciotka pani bardzo chora?...

— Et, głupstwo! kolki *sparły*, bo *musi* wczoraj objadła się....

Zeskoczyła ze stołka, cała pąsowa od podejmowania ramion i pełnego zapału opylania ścian.

— Jezu! że téż i u pana żadnego kwiatka na oknie niema. I u ciotki niema! Ja niewiem jak to tu ludzie żyją, bez zieloności i bez kwiatów i bez wszystkiego. Przed naszym domem nagietki i maki jak rozkwitną, to aż żółto i czerwono robi się w oczach, a jeszcze i w izbie wazony śliczne. Pelargonię różową mam, tę co mi ją przeszłego roku ogrodnik z Zawirowa darował... Wyrosła ot tak! i kwitnąć już zaczynała... chciałam ją wziąść z sobą ale matka nie dała. Matka tak samo *przepada się* za kwiatami. — Kiedy już ciebie nie będzie—mówi—niechże choć twoje kwiatki oczy moje pocieszają. — Och, och!

Westchnęła, opuściła ręce z miotełką i posmutniała.

— Pewno panna Franciszka prędko na wieś powróci, spróbował pocieszyć ją Ławicz.

— Bóg święty wié — ze spuszczonémi oczami szepnęła.

— Po cóż pani przyjechała tu, kiedy tak smutno po wiosce i po rodzicach i — po pelargonii?

— Ot, pan żartuje sobie, a mnie naprawdę bardzo smutno....

Stała na środku izby, ze wzrokiem spuszczonym na miotełkę, kogucie jéj pióra skubiąc grubémi, spracowanémi palcami.

— Ot, po co ja tu przyjechałam! — Zwyczajnie bieda z domu wygnała! Pola u nas niewiele, łąki tyle co nic, a braci trzech i dwie siostry... braci dwóch dorosłych już... w tym roku pożenią się pewnie... i ojciec i matka... gromada taka! Gdzie tu wszystkim w domu wyżyć! Młodszego brata ojciec do rzemiosła przeznaczył... W świat pójdzie. I mnie powiedział: idź w świat! Z naszéj okolicy dużo dziewcząt w służbę do miasta idzie. I mnie w służbę wysłali, żebym późniéj braciom na karku nie siedziała. — Kiedy trzeba to trzeba! Ojciec na *wspólność* z sąsiadami *gubernantkę* dla nas trzymał... Czytać nauczyła, szyć i szydełkiem robić i prać różne cienkie rzeczy. Albo to święci garnki lepią? kiedy trzeba to trzeba!

Mówiła to wszystko prędko, zcicha, uśmiechała się niby, ale ze spuszczonych oczu na twarz jéj posmutniałą i usta zmuszające się do uśmiechu, a krzywiące się do płaczu, płynęły łzy. We wpatrzonych w nią oczach Ławicza, malowało się współczucie....

— Prędkoż panna Franciszka pójdzie już w służbę?

— Bóg święty wié! pewnie prędko. Wujaszek Paweł stara się o miejsce dla mnie... tymczasem będę mieszkać u nich i ciotce pomagać.

— A może... może zanim znajdzie się te miejsce... panna Franciszka za mąż pójdzie?...

Od płowych włosów aż do ogorzałéj szyi, stanęła cała w ogniu rumieńca. Zarazem odwróciła się prędko; skoczyła ku drzwiom. Już otwierała je, kiedy Ławicz wstając ze stołka, zawołał:

— Proszę pani... panno Franciszko!

— A co?

Z ręką na klamce, odwróciła ku niemu twarz jeszcze nieostygłą, z nieśmiało podnoszącémi się z pod ciemnych brwi liliowémi oczami.

Alboż on wiedział sam, co miał jéj do powiedzenia? Przez kilka sekund patrzali na siebie wprost, oko w oko.

— Ot tak. Nic! mnie tu smutno.... więc chciałem, żeby pani dłużéj trochę pobyła...

Spojrzała po izdebce i wstrząsnęła głową na dowód niby pożałowania....

— Że smutno, to smutno....

— I ja... z biedy... w służbę pójść musiałem.

— Do kancelaryi? — zapytała.

Skinął twierdząco głową.

— Wujaszek mówił wczora....

Urwała i twarz za drzwi wpółotwarte schowała.

— Co wujaszek mówił?

— Że pan bardzo uczony.... odpowiedziała z za drzwi.

Ławicz uśmiechnął się dziwnie.

— To ja byłam bardzo ciekawa zobaczyć pana. Józefek, ten mój stryjeczny, także w kancelaryi służy ale *barzdo* głupi...

Z nieśmiałą ciekawością wyjrzała z za drzwi i znowu mu w twarz popatrzała, a potém spójrzeniem izdebkę do koła obiegła.

— Jezu!— rzekła — tu w téj ciasnocie świata bożego nie widać! I mnie, od kiedym do miasta wyjechała cościć aż dusi.... U nas o téj porze, w niedzielę tak wesoło....

Plecami o drzwi oparta, skubała w palcach gałąź jaśminu, która z włosów jéj wypadła.

— Niech mi pani tę gałązkę daruje...

— A na co?

— Będzie mi z nią trochę weseléj....

Zdziwiła się, zawstydziła i spuściła oczy.

— Od czego to ma być weseléj? z niezadowoleniem niby wydymając wargi, szepnęła:

— Od tego może, że kwiat ten jest cząstką bożego świata, którego... tu nie widać!

Wstrząsnęła potakująco głową:

— To prawda... że nie widać!

— Widzi pani! kto sam smutny choć trochę, ten i cudzy smutek zrozumié!

— No to proszę!

Ruchem w którego trwożliwéj niezgrabności było dużo wdzięku, podała mu pachnącą gałązkę i — pąsowa znowu cała uciekła. Po paru minutach zdaleka już, z dołu wschodów czy z dziedzińca na poddasze zaleciały znowu oderwane dźwięki i słowa piosenki:

„Gdybym ja była słowiczkiem majowym,
„Nie śpiewałabym, nie śpiewałabym jak tylko.....

— Franka! Franka! — ozwało się z otwartego na dziedziniec okna basowe wołanie Rębkowéj.

— Aha! ciotko! aha!

Wpadła do dużéj, dostatnio sprzętami napełnionéj, a brudnéj jak komin izby Rębków i jednym skokiem od progu, schowała się pomiędzy piec i szafę.

— Ciotko! ozwała się z ukrycia tego.

— Aha? z topieli poduszek i kołder głowę wysuwając zapytała Rębkowa.

— Ten pan, coście mnie do niego posyłali...

— To co... ten pan? pewnie go już w domu nie było...

— Był...

— No i cóż?...

— Ten pan... bardzo grzeczny...

— A coby miał być niegrzeczny! albo ty *chamka* jaka, czy co? Szlachcianką jesteś tak jak i on, i bratanicą moją.

— Ono to tak ale on bardzo grzeczny i taki delikatny...

— Ano! z edukacyą człowiek. Wié jak z ludźmi obchodzić się trzeba. Oj kolki, kolki!

Pomiędzy szafą a piecem słyszéć się dawał szczególny szmer, bardzo podobny do drapania paznogciem po drzewie.

— Ciotko!

— Aha?

— Ten pan...

— To co jeszcze?...

— Bardzo ładny... taki jakiś biały i tak smutno patrzy..

— A coby miał być wesołym? biedaczysko! pracuje jak wół a sam jeden na świecie jak palec...

Tym razem, pomiędzy piecem a szafą dało się słyszeć głośne westchnienie.

— Ciotko!

— Aha?

— Ten pan... daleko rozumniejszy od Józefka... *Musić* to nie każdy *kancelista* głupi taki jak Józefek...

Tym razem, z pod kołder, wychylił się cały już potężny biust Rębkowéj.

— No, no! coś ty mi zanadto o tym panu gadać zaczęłaś! Jeszcze nim sobie głowy nie zawróć! On nie dla ciebie, pamiętaj! bo choć ty szlachcianką i bratanicą moją jesteś ale bez edukacyi a on uczony i będzie sobie żonki z edukacyą szukał. Ot, wyleź lepiéj z kąta i zawiń się około uprzątnięcia izby i około obiadu, bo jak wuj z miasta przyjdzie a obiadu nie będzie... *herezyi* takich narobi, że piechotą do *okolicy* uciekniesz...

Nie wylazła z kąta ale wyskoczyła i zawinąwszy po łokieć rękawy perkalowéj sukni a trzewiki z nóg zdjąwszy tak się około wska-

zanych jéj robót zawinęła, że po godzinie, duża izba zamiast do okopconego komina, podobną była do starannie wymytéj szklanki a na kominie, przy wielkim, wesołym ogniu gotował się obiad. Wyskoczyła na dziedziniec i po chwili wróciła z ogromnym pękiem kwitnącego bzu i różnéj zieleni, w obu rękach. Łupami temi przyniesionémi ze wspólnie do wszystkich lokatorów kamienicy należącego ogródka, zdobić zaczęła izbę. Z twarzą rozognioną od ruchu i zmęczenia, z kroplami potu na czole i potarganym warkoczem, bosa, w spódnicy podniesionéj prawie do kolan a rękawach do łokcia zawiniętych, stała na stołku i ogromne pęki kwitnącéj i nie kwitnącéj zieleni za belki sufitu wsuwała. Przytem, głosem rwącym się od przyśpieszonego oddechu, śpiewała.

—„Oj, cóż komu do tego
Że ja kumelę lubię,
Że ja kumci mojej miléj...

W tém, śpiewać przestała i ze stołka zeskoczyła. Rębkowa krzyknęła: Jezus Panie! i nurka dała pod kołdry. Do izby, w paltocie i z czapką w ręku wszedł Ławicz. Wszedł i niewiadomo było zupełnie czy słyszał krzyk przerażenia Rębkowéj albo widział wielką górę, która po schowaniu się jéj pod kołdry, spiętrzyła się nad łóżkiem, patrzał na Frankę.

— Przyszedłem prosić panią Rębkowę aby klucz od mieszkania mego tu został... Do miasta idę...

Położył klucz na stole i prędko wyszedł.

— A toż co? Jezu panie! klucz do nas odnosić! jeszcze nigdy tego nie było, zawsze brał go z sobą! Ot, przyczynę znalazł... oho! słuchaj no, Franka! a tyże czego stoisz jak bałwan z tym *wiechciem* w ręku?... Ot skocz lepiéj do komody i suknię mi dostań... kolki mię już opuściły, wstanę!

Z zieloną gałęzią w ręku i szeroko otwartémi oczami, stała nie jak bałwan wprawdzie ale jak uosobienie zachwycenia połączonego z żalem, i na drzwi, które zamknęły się za Ławiczem patrzała.

W kilka godzin potém, Ławicz, wracając z miasta, znalazł na stole swoim, obok oczekującego nań jak zwykle obiadu, wielki, w gliniany garnek wtłoczony bukiet z kwitnącego bzu i jaźminu. Nie zdziwił się wcale, lecz wziąwszy bukiet w ręce, pochylił się nad kwiatami, które wonią swą i atłasową miękkością czoło jego i usta pieściły. Niedługo potem, zszedł na dziedziniec i zobaczył Frankę, która obuta już, gładko uczesana, z czerwoną wstążką na szyi siedziała na wschodkach mieszkania Rębków. Nie śpiewała tym razem; z policz-

kiem opartym na dłoni, patrzała w przestrzeń smutnie i z zamyśleniem takiém, że nie spostrzegła jak się do niéj zbliżył.

— Dziękuję pannie Franciszce za bukiet...

Jak zbudzona ze snu podniosła głowę. Smutek jéj pierzchnął, usta otworzyły się świeżym jak wiosna uśmiechem. A zkąd pan wié, że to ja ten bukiet panu przyniosła? filuternie zapytała.

— Bo mnie dotąd nikt nigdy żadnych bukietów nie dawał. Teraz, w mojém mieszkaniu weseléj...

— To i dobrze, ja tego i chciała, żeby panu troszkę weseléj było...

— A o czemże pani tak smutnie myślała teraz?

— Et, wiadomo! o domu swoim, o swoich rodzonych, Boże mój, Boże! jak ja od nich daleko odjechała...

— I o téj służbie może?...

— A jakże! albo to miło pomiędzy cudzych ludzi iść? Pracy ja nie lękam się. Albom to ja w domu nie pracowała? Ale cudzych ludzi lękam się... Nie przygarną, nie pożałują i może jeszcze... źle obchodzić się będę!

— Żeby moja matka mieszkała ze mną...

— To co?

— Toby panna Fraciszka przy mojéj matce została... ona jest bardzo dobra, przygarnęłaby, pożałowała!...

— A dla czego mama pana z panem nie mieszka?

Ławicz nie odpowiedział. Chmurny, z brwią ściągniętą, patrzał w ziemię. Dziewczyna, podniosła oczy i popatrzała na niego z bystrą przenikliwością.

— Nie można? szepnęła.

— Nie można! powtórzył z cicha.

Wstrząsnęła głową i westchnęła.

— Bieda! rzekła.

Tego wyrazu on nie powtórzył, tylko patrzał na nią tak, że gdy podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem spłonęła cała rumieńcem i znowu powieki spuściła.

— Mój Boże! szepnęła, czemu to Pan Bóg dobrym ludziom szczęścia nie daje?

— Panna Franciszka będzie jeszcze kiedyś szczęśliwa...

— Bóg święty wié!

Zerwała się ze wschodków.

— Ot, co tam biedować! z biedowania nic nie przyjdzie! Żeby to pan na majówkę dziś z nami poszedł!

— Na jaką majówkę?

— A jakże! wujaszek i ciotka na majówkę dziś idą... za miasto... het, daleko, do lasu i mnie z sobą biorą. Żeby to pan z nami poszedł...

Dziwna rzecz! Ławicz, tak oporny, gdy go przyjaciel na tańcujący wieczór namawiał, teraz, jednym skokiem znalazł się w mieszkaniu Rębków. Rębki nie było i tylko Rębkowa królowała tam, nastrzępiona falbanami niedzielnéj sukni, w czepcu z barwistemi wstęgami na włosach, oblepiających niskie czoło dwoma wypomadowanemi pasmami.

— Jezu panie! pan z nami na majówkę chcesz iść! pustelnik taki! skończenie świata! A cóż na to te mądrości powiedzą, którychem nigdy naopylać dość nie mogła?

Uśmiechała się kobieta dwuznacznie i trochę markotnie wstrząsała głową. Ale gdy oświadczając żywą swą chęć udania się na majówkę, Ławicz pocałował ją w rękę, okrągła i pulchna twarz Rębkowéj rozjaśniła się jak słońce.

— A dla czegóż nie? dla czegóż? z takim uczonym i grzecznym kawalerem, honor nam będzie wielki i przyjemność... Paweł będzie bardzo kontent, przynajmniéj nagada się z panem o swojéj *palacie*!...

Czy Paweł Rębko wiele mógł mówić z Ławiczem, w czasie przechadzki téj, o swojéj *palacie*?—niewiadomo. Co pewna, to że młody kancelista, wróciwszy do izdebki swéj o dość późnéj wieczornéj godzinie, miał na twarzy i w oczach wyraz upojenia. I nie czytał wcale i spał, nocy téj, niewiele. Nazajutrz zaś, zaledwie obudził się, zdaleka, z dołu, z dziedzińca zapewne, zaleciał go głos dziewczęcy, śpiewający wyraźnie:

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...!"

A izdebka pełną była lejących się przez okno złotych potoków słońca i silnéj woni kwiatów, zwieszających się z glinianego garnka.

Od dnia tego, zachodzić w nim poczęły coraz widoczniejsze zmiany. Z biura, wracał do domu nadzwyczaj śpiesznie, w izdebce swéj usiedzieć nie mógł. Ciągnęły go ku sobie pola i lasy zamiejskie, szerokie, zielone, rozśpiewane głosami wolnéj natury. Ciągnęła go ku sobie natura wesoła i świetna, nawskroś przejęta w porze téj gorącym oddechem miłości. Ciągnęły go też ku sobie liljowe źrenice dziewczyny, wilgotne usta jéj, i ogniste rumieńce, które, niby strumień waru, oblewały ją ilekroć zbliżał się ku niéj. Ciągnęły go serdeczne jéj śmiechy śród których błyskała zębami białemi jak perły, a bardziéj może jeszcze westchnienia, które przesyłała daleko, ku domowi swemu, ku swoim rodzonym. Czy, gdy pójdzie w służbę, *cudzy ludzie* pozwolą jéj wyśpiewywać tak nieustannie prawie i tyle kwia-

tów wkładać we włosy, że aż zwieszały się one na szyję jéj, uszy, czoło i czyniły ją podobną do jakiejś nimfy leśnéj, wypadkiem, na brudny dziedziniec miejski, spadłéj. Wchodząc na dziedziniec, szukał jéj oczami, usłyszawszy śpiew jéj biegł prawie w tę stronę, w któréj się on rozlegał, spotkawszy się z nią, pożerał ją oczyma a czasem, słowa przemówić do niéj nie mógł. Echo jakieś z przeszłości, przynosiło mu, słyszane kiedyś słowa:

— Biéda z biedą!

Raz o zmroku, zobaczył suknię jéj pomiędzy drzewami ogródka. Poszedł tam i znalazł ją siedzącą na ziemi i płaczącą rzewnie. Usłyszawszy kroki jego zerwała się i chciała uciekać. Ale on drogę jéj zastąpił.

— Czego płacesz? zapytał.

Nie odpowiedziała. Stała przed nim, odwracając spłakaną twarz i zasłaniając ją ręką.

— Może... może po tym ogrodniku z Zawirowa, który ci tę różową pelargonią darował?

— Niech jego dyabli wezmą! sarknęła.

— Cóż? za matką ci tęskno?...

— A tęskno, ale nie dla tego...

— Nie dla tego płaczesz? Więc dla czegóż?

Nie spostrzegał wcale, że rozmawiał z nią w taki sposób, w jaki ludzie dorośli rozmawiają z dziećmi.

— Może już w służbę tę trzeba ci iść?

Łzy deszczem polały się z jéj oczu.

— A już—trzeba, szepnęła, wuj miejsce znalazł...

Wziął ją za rękę.

— Lękasz się służby... biédna...

— Nie, nie, zawołała, nie tego...

— Czegóż więc? Smutno ci, że pomiędzy obcymi...

— Nie! nie!

Z gestem rozpaczy załamując dłonie i oczy sobie niemi zasłaniając, krzyknęła prawie.

— Ja ztąd niechcę iść... Boże mój! po co ja tu przyjechała! Jak te drzewa w ziemię tak ja tu już wrosła!...

Zrozumiał; otoczył ją ramieniem, przycisnął do piersi i w usta pocałow .

— Kochasz mię trochę? prawda?

Drżąca, z przymkniętémi oczami, szepnęła. A-jéj! Ty moje słońce złote!... potém, wyrwała się z jego objęcia i szlochając, uciekła. Tego samego wieczora Rębkowa weszła do izdebki Ławicza. Pomimo że nie była to niedziela i że nie miała na sobie ani sukni

z falbanami ani czepka ze wstążkami; pomimo, że całym strojem jéj była krótka spódnica i luźny kaftan, przysadzistą postać jéj kwadratową prawie czyniące, wyglądała bardzo poważnie i uroczyście.

— Przyszłam ja tu, odedrzwi zaraz zaczęła aby z panem o ważnych rzeczach pomówić.

Ławicz z pośpiechem krzesło ku niéj posunął, a objaw ten uprzejmości, rozjaśnił nieco okrągłą twarz i czarne jéj oczy, które widocznie do wyrazu powagi i nawet niezadowolenia układała. Usiadłszy i tłuste, ciemne ręce na kolanach złożywszy, zaczęła znowu.

— Jest to bardzo delikatna materya i mnieby może nie wypadało o niéj z panem mówić. Ale, co trzeba to trzeba, każdemu człowiekowi krew jego droga a ot dziewczyna ta, to rodzona krew moja, brata rodzonego córka i upodobaliśmy ją sobie z Pawłem bardzo. Możebyśmy téż ją i nie oddali w służbę a za dziecko swoje przybrali żeby nie pan...

— Ja?

— A no! czegóż pan się tak dziwujesz? Niewiniątkiem nie jesteś. Dwadzieścia kilka lat masz i choć skromnie żyjesz, ja sama wiem, że skromnie, ale ot teraz zechciało ci się dziewczynie mojéj głowę zawrócić... Sztuka niewielka! młode to i tylko co ze wsi i może tam pomiędzy naszymi parobkami śniło się jéj czasem o takim paniczu z białą twarzą, grzecznym i delikatnym. Dla pana to zabawka ale dla niéj zguba i to jest, powiem prawdę, bardzo ze strony pana nie pięknie. Ona nie chłopka jakaś, *chamka* taka, coby z nią każdy mógł zrobić co zechce. Ona szlacheckie dziecko, moja rodzona krew, i ja jéj w poniewierkę nie dam. I Paweł nie da. Każdemu honor jego miły i krew jego droga. Ot, z czém ja do pańskiego honoru przyszłam. Wóz albo przewóz. Albo pan przestań Frankę bałamucić, latać za nią wszędzie i całować ją tak jak ja to dziś na własne oczy moje, w stajence krowę karmiąc, widziałam, albo my Frankę wnet w służbę oddamy i jutro już, jak Boga kocham, śladu tu po niéj nie będzie. Żeby nie pan zostałaby się u nas i ot, szlacheckie dziecko, cudzym ludziom kątów by nie wymiatało a może tam kiedy i posażek dla niéj jaki znalazłby się i za mąż byśmy ją wydali... Ale wszystko to od pańskiego honoru zależy... Niech pan sam sądzi jak uczciwie jest i po bożemu a jak po fanfarońsku i tyle!

Kobiéta, zapérzyła się była zrazu i mówiła z gniewem; potém, wpadła w ton płaczliwy i połą od kaftana wycierała sobie zwilgocone oczy.

Ławicz wstał, wziął rękę trzymającą połę kaftana i pocałował ją z uszanowaniem.

— Pani Pawłowo, wzruszonym głosem zaczął, nie zrobiłaś pani jeszcze przypuszczenia trzeciego...

— Jakiegoż to?

— Żebym się ja z panną Franciszką ożenił.

Kobieta szeroko otworzyła oczy.

— Wszelki duch... zaczęła a skończyła przeciągle wymówioném.—A!

— A! powtórzyła, no, nie było to w mojem oczekiwaniu! Ale no... nie takie rzeczy dzieją się na świecie... To pan doprawdy Frankę tak polubiłeś, żebyś z nią i żenić się chciał?

— Jest to szczerém pragnieniem mojém...

Kobieta, bardzo widocznie ucieszoną była. Wstrząsała jednak głową.

— Ale jakże to będzie! pan to podobno mądry bardzo a ona zwyczajnie, zagrodowa szlachcianka, bez edukacyi...

Ławicz uśmiechnął się trochę smutnie, trochę ironicznie.

— Raz tylko, rzekł, byłem w towarzystwie panien edukowanych. Nie podobałem się im i one mnie nie podobały się także...

— No, no! to dziwy jednakowóż! Zawszeż to, panu potrzeba żonki i z manjerą pańską i ot, z pięknego domu...

— Ja sam ani manjery pańskiéj ani żadnego domu niemam...

Kobiéta medytowała daléj.

— Przystojna ona to przystojna, niema co powiedzićć! zdrowa dziewucha, tęga, pracowita i charakteru dobrego ale wiadomo, prosta, *obczytania* żadnego nie ma...

— Pani Pawłowo! z powagą i wzruszeniem przerwał Ławicz, panna Franciszka podobała mi się i dla piękności i dla dobroci i dla prostoty swojéj. Ja tę prostotę jéj wolę, jak płytką i fałszywą edukacyą kobiet z tak zwanego wyższego świata, z któremi zresztą ani mówić ani bawić się nie umiem. Przytém, bywają położenia, w których miłość dla kobiety i związki rodzinne, jedyną być mogą deską ratunku, przyszłością, celem życia... Ja, znalazłem się w położeniu takiém. Pokochałem pannę Franciszkę, zdaje mi się, że mam wzajemność, chcę żyć, chcę być szczęśliwym, chcę mieć kogoś swego, rodzinę, przyszłość...

Rębkowa była bardzo ucieszona ale też zaniepokojona widocznie.

— No, no! rzeczy takie nie były w oczekiwaniu mojém—powtórzyła! O takich już wielkich rzeczach, nie mojéj głowie sądzić. Ja nie od tego, owszem, z duszy i serca zgadzam się. Patrzałam przez tyle lat jak pan żyłeś i—dalibóg, samabym za pana poszła, cha, cha, cha! Ale do takich rzeczy trzeba męzkiéj głowy i dobréj głowy. Po-

gadaj pan jutro z Pawłem, tylko tak, żeby dziewczyna rozmowy waszéj nie słyszała i jak tam *mój* zadecyduje, czy tak, czy owak niech tam zawsze pana pan Bóg i najświętsza panna błogosławią! Honorowy jesteś człowiek, honorowy i z sumieniem...

Rozpłakała się już na dobre i ramieniem wydobywającém się z brudnego rękawa szyję Ławicza objąwszy, z głośném cmokaniem, w głowę go ucałowała.

Nazajutrz była niedziela, a rozmówienie się w dniu tym z Pawłem Rębką przedstawiało znaczne trudności. W niedzielę, bywał on daleko więcéj zajętym niż w dnie powszednie.

(*dok. nast.*) *El. Orzeszkowa.*

WACŁAW POTOCKI

JAKO AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIÉJ".

(Dokończenie).

IV.

W trzeciéj dopiero części rozpoczyna Potocki opowieść dziejów saméj wyprawy. Początkowy ustęp, nacechowany mistycyzmem i skreślony w stylu ówczesnych kazań, jest prawdopodobnie dopiskiem uczynionym już w starości, gdy oddany dewocyi poeta układał „Nowy Zaciąg," z którym miejsce to przedstawia duchem i tonem wiele podobieństwa. Właściwym początkiem jest dopiero wiersz:

Już się wiosna poczęła, już baran ochudły.....

gdyż i poprzedni ustęp od słów: „Kiedy wicher wschodowy ruszywszy świat z gruntu"—zwrócony do Lubomirskiego, wygląda na późniejszy dopisek, skreślony pod wpływem wieści o najeździe tatarskim, który np. w 1672 r. sięgnął aż do Krosna i Biecza. Słowa bowiem poety:

.......gdzie poganin srogi
Niesie pustki żałośne, okropne pożogi,
Niesie płacz matkom naszym i smutne lamenty
Obciążywszy karawan, kajdany i pęty.

nie odnoszą się przecie do wyprawy Chocimskiéj, która nie pociągnęła za sobą tych klęsk, ponieważ armia turecka została powstrzymaną na saméj granicy, za to wspomniany najazd r. 1672 połączony był ze spustoszeniem licznych miast i wiosek i uprowadzeniem do 20,000 jeńców.

Przypomniawszy sobie wreszcie o swojém zadaniu, rozpoczyna Potocki ten uroczysty turniéj opowieścią o zbieraniu się polskich sił i rozłożeniu obozu pod Chocimem. Za tło daje poeta krajobraz wiosenny dość zręcznie odmalowany:

Już się wiosna poczęla już baran ochudły
. . . .
Po łąkach i zielonych murawach się tara
. . . . . . .lasy się popużą,
Obnażone konary skoro im wiatr pępki
Porozdyma, znowu się pstrzą w barwiste strzępki.
Już krzykliwe żórawie, już swe gęsi klucze,
Długiem pasmem prowadzą . . . .

Jako małopolanin i szreniawita, wysuwa Potocki na pierwszy plan Lubomirskiego. Rzeczywiście małopolanie odgrywali w obozie przeważną rolę, gdyż w gronie komisarzów wojennych, ze stanu rycerskiego towarzyszących wyprawie, oni stanowili większość (Sobieski Jakób, Mikołaj Sieniawski, Maciéj Leśniowski i Michał Tarnowski i dwaj Działyńscy wielkopolanie). Troskliwy o sławę swych współziemian, pozbierał starannie Potocki wszystkie szczegóły odnoszące się do ich udziału w téj wyprawie i porozmieszczał w swéj opowieści.

Z pewną dumą zaznacza, że chorągwie Lubomirskiego uprzedziły rycerstwo Chodkiewicza, który nie chcąc „zasypiać gruszek w popiele... sunie się z Litwą krokiem ku Podolu chyżym, łączy się z Lubomirskim i zawiera kołem i Orły i Pogonie pod Rzepnicą siołem.“ Po złączeniu wojsk dopiero okazało się, że komput ich jest szczuplejszy niż postanowiono na sejmie warszawskim i zafrasowany hetman „w głowę się skrobie.“ Imię „Jezus,“ które otrąbiono jako pierwsze hasło w obozie zjednoczonych wojsk to jedyna „warowna reduta, mur miedziany,“ osłaniający Rzeczpospolitą.

Noc zapadła, śpi obóz, tylko „Dniestr szumi, a woda ze skałami się kłopi;“ Chodkiewicz przecie „tłocząc na bok z boku twarde łoże i w głowie pełno mając zgrzytu, ranego oczekuje świtu,“ ani śpiew syren bowiem, ani „kolebka z morskiéj utoczona spumy,“ nie uśpią człowieka „gdy w głowie jak w browarze, sto wątpliwości razem, razem tysiąc myśli.“ To też „skoro się wschód zabieli, a zorza purpurowéj Febowi pościeli ustąpi,“ choć „Zefir jeszcze Flory z mokrych pereł nie rozbierze,“ Chodkiewicz zwołuje już radę wojenną do namiotu dla zdecydowania, czy zostać w miejscu, czy się przeprawić za Dniestr. Gdy się na to ostatnie zgodziła rada, przystąpiono bezzwłocznie do budowy mostu, która ciągnęła się dość długo,

z powodu trudności jakie stawiał bystry pęd wody (1). Fakt ten daje pochop poecie do długich filozoficznych uwag nad potęgą rozumu ludzkiego, który ujarzmił wszystkie żywioły, policzył gwiazdy, wynalazł pismo, papier i druk, a mimo to, na własne namiętności nie znalazł hamulca, „zna zwierze, ryby, ptaki, drzewa, zioła, gady, wie zkąd grom, piorun, zkąd deszcz, zkąd padają grady.... na ziemi zna się i na niebie, wszędzie mądr; doma głupi, że sam nie zna siebie." Jestto najwyższy stopień refleksyi, do jakiego zdolnym był wznieść się umysł polskiego ziemianina w XVII wieku. Źródłem jéj jest ideał moralny, wytworzony przeważnie z idei zaczerpniętych w starożytnych pisarzach i Kochanowskim, którego pisma zna dobrze Potocki, często je naśladuje lub żywcem przyswaja sobie pojedyncze myśli i obrazy. Obszerny ustęp o zmienności losu (str. 139) jest tylko przeróbką ulubionéj Kochanowskiemu i wielokrotnie w pieśniach rozwijanéj myśli o „niestateczności fortuny." Spotykamy tu te same znane dobrze obrazy: słońca wynurzającego się z po za gęstych chmur zaciemniających niebo, okrętu skołatanego burzą, któremu przyjazne wiatry pozwalają nareszcie przybyć do portu, toż samo zalecenie statku i wytrwałości wobec igraszek losu. „Kto chce mieć wygraną" musi „z fortuną chodzić na wytrwaną, nie zaraz bujaj kiedy cię upierzy bo bardzo częsty różny obiad od wieczerzy" i, dodaje własnym niezbyt smacznym konceptem poeta: „w siedm godzin, daje ona swoim pieszczochom po bażantach słodzin." Uwagi te przyczepił poeta do wzmianki o Piotrze Mohile, który jako kandydat do hospodarstwa wołoskiego bawił w obozie polskim, ufając w „Bogu i szabli polskiéj, że się dopnie skąd wypadł."

Cała niemal trzecia część poematu składa się z takich epizodów, zostających w bardzo luźnym związku z główną akcyą. Starając się o wierność i dokładność dziejopisarską, nie umie poeta poradzić sobie z obfitym materyałem i mnóstwem tłoczących mu się do głowy myśli, uczuć, spostrzeżeń, ztąd plącze on bezładnie samę akcyą wojenną z dyplomatycznémi zabiegami i przygotowaniami

---

(1) Twardowski, który jako bliższy saméj wyprawy, a przez stosunki z jéj uczestnikami i zwiedzanie pobojowiska w rok po skończonych bojach, lepiéj obznajomiony ze szczegółami, podaje we „Władysławie IV" ciekawy fakt o budowie mostu. „Siła podjętéj pracy było— powiada — i łamania próżnego mózgów inżenierskich, gdy pana żadnego rzeka z wieku swywolna niechcąc mieć nad sobą coraz go (most) rozbijała. Aż (jeśli z chudobą cnota nieutracona i w chacie wzgardzonéj mieszka rozum) chłop jeden jéj nieujeżdżony kark ukrócił, podawszy sposób prosty jakie pale być pod nim miały, cienkie a dwojakie, trzecim z wierzchu przywarte, które na dnie stały kształtem jakich trzynogów, a ztąd się nie bały wirów żadnych" (str. 117).

czynionymi jednocześnie w kraju. Ciągle się wraca, ciągle znowu przerywa swą opowieść, to objaśniającémi zboczeniami, to satyrycznémi obrazkami i uwagami. Z okazyi przybycia Konaszewicza do obozu w charakterze delegata kozackiego, podaje szeroki opis jego poprzednich czynów i udziału w wyprawach Żołkiewskiego, wplatając w to humorystyczny, uszczypliwie skreślony obrazek pożegnania Zygmunta III z synem udającym się do Moskwy. Przybycie Rusinowskiego z pułkiem Lisowczyków skłania znowu Potockiego do opisu ich dalekiéj wyprawy, w któréj dotarli brzegów morza północnego. „Już im Białe jezioro w tyle i Sybiory, już minęli ryfejskie śniegiem kryte góry, kędy ciepłe sobole i czarne marmurki w nos bije mierny strzelec ochraniając skórki, gdzie na smukłéj łyży człowiek lata po śniegu od sokoła chyżéj.... Dotąd się w one dzicze i pustynie darli, aż się piersiami o lód północny oparli.“

Najobszerniejszym z tych epizodów jest historya bohatérskich czynów kozackiego pułku, który idąc pod Chocim i plądrując wedle zwyczaju po drodze, wpadł niespodzianie w sam środek armii tureckiéj. „Witaj — woła uradowany Osman szlachecko-myśliwskim językiem—nie brodząc do wieczerzy kaczka! Rozumie, że ich połknie, i już pierwsze koty, kwoli dalszéj fortunie wyrzuca za płoty; ano się często wstydzi kto przed skokiem hupa,“ gdyż dzięki rozpaczliwemu męstwu zdołali kozacy ujść z rąk rozjuszonych wrogów. Znać w scenach wojennych, że Potocki i sam brał udział w niejednéj walce i nasłuchał się dużo opowiadań starych żołnierzów, to też obrazy jego są kreślone grubo, niezdarnie ale rysowane z rzeczywistości, wypowiadane prawdziwie obozowym językiem. Kozacy widząc się otoczonymi: „wszyscy zsiądą z koni a skoro się potwierdzą i poplemą dłoni, czoła przetrą i szłyku posuną po skroni, zepną tabór i działa, których ośm dwadzieścia ciągnęli tak rozsadzą, że nikędy przejścia nie mógł mieć nieprzyjaciel.“ W téj pozycyi pozwalają Turkom zbliżyć się bez wystrzału; dopiero gdy ci uzuchwaleni milczeniem kozaków podstąpią pod sam tabór, „jak z chmury grad, jako groch z woru działa i samopały śróty z ogniem i kule rzygną w on gmin gęsty, lecą na wszystkie strony chłopi jako chmięsty, a pogaństwo usławszy ziemię ścierwy ucieka, kto może najpierwéj.“ Tymczasem „durny Osman słyszy to i proch czuje w nosie, gryzie się strasznie, włosy na łbie targa, prosi, grozi, klnie, łaje,“ mimo to przez ośm dni bronią się walecznie w swym taborze kozacy, i wreszcie wymykają się szczęśliwie. Garść ich tylko ukryta w pieczarze pada ofiarą wściekłości Turków.

Rażąco odbija od żywego i naturalnego toku téj opowieści, szumna i upstrzona retorycznémi efektami i moralno-filozoficznemi

uwagami mowa jednego z jeńców kozackich do Osmana, w któréj przypomina mu, że jest człowiekiem takim samym jak oni, że śmierć, jaka ich czeka, i jego nie minie, że choćby „antypody w ręku miał, śmiertelnéj nie ujdzie przygody" albowiem choć „trefunkiem na świat idziem," przecież ze świata „prawa nas nieprawnego konieczny mus zmiata." Ten jednak „kto umiera w bohaterskiéj cnocie, żyje po śmierci w piersiach ludzkich," bo go „sława z grobowca po pogrzebie dźwignie, któréj świecka zazdrość nie poścignie." Na sławę tę najwięcéj zważać winni ci, „których na tron wysadziły nieba" bowiem „kto ją opaskudzi lada jakim postępkiem.... żyjąc w obeldze umiera w sromocie." Najwyższą cnotą i zasługą człowieka „zhołdować żądze serca i zwyciężyć siebie." Mimo tych argumentów, mściwy Osman kazał wymordować wszystkich. Godną podziwu jest doprawdy rzeczą, iż Potocki, piszący swój poemat po świeżych walkach z kozakami i klęskach jakie zadali krajowi, z taką sympatyą i poszanowaniem mówi zawsze o nich i stawia ich na równi niemal z polskiém rycerstwem. „Tak legli ci mężowie"—powiada—opisawszy zgon wymordowanych przez Osmana jeńców; w innym znowu miejscu zwie ich „junakami Rzeczypospolitéj."

Za epizod możnaby uważać także ustęp o wyprawieniu posłów z obozu do opóźniającego się z przybyciem królewicza Władysława i posłuchanie jakie mieli u niego. Ustęp ten przedziela na dwie połowy: obszerna satyryczna wycieczka przeciw zniewieściałości i małoduszności współczesnych, w zestawieniu z dzielnością i ofiarnością obywatelską, jaką okazała dawna szlachta w wyprawie chocimskiéj. Cała akcya wojenna w trzeciéj części, najobszerniejszéj z 10-ciu na jakie się dzieli poemat, ogranicza się na przeprawieniu wojsk przez most zbudowany na Dniestrze i rozłożeniu obozu po drugiéj stronie rzeki w dogodnéj i warownéj pozycyi.

Przejście wojsk po moście daje okazyą poecie do charakterystyki dwóch wodzów wyprawy: Chodkiewicza i Lubomirskiego i obdzielenia ich całym zasobem porównań z postaciami dziejów starożytnego świata, jakim rozporządzał poeta. „Nie tak Hektor serdeczny, nie tak wspaniały był Agamemnon, Kajus nie tak roztropny, Pirrus nie tak możny ręką i mową, nie tak Hannibal ostrożny, nie tak Kamill szczęśliwy, nie tak jeden ze stu Scypio, jako tu był z twarzy, z mowy, z gestu hetman polski roztropny, serdeczny, wspaniały, szczęśliwy i ostrożny." Nie jestto naturalnie portret Chodkiewicza, lecz wymarzony przez poetę ideał wodza; w innem znowu ustępie podsuwa własny wizerunek w miejsce postaci walecznego pogromcy Szwedów i Turków. „Chodkiewicz— powiada (dopisując to widocznie w swéj starości poeta) — z którego niechaj każdy bierze wzorki,

prosto z pościeli, książki wziąwszy i paciorki, tam szedł kędy go kapłan czeka u ołtarza i Stwórcy swemu chwałę codzienną powtarza, za przeszłą noc dziękuje, na dzień się porucza, bo mu razem i starość i słabość dokucza" (str. 208).

Czyż to nie wierny obraz porannych modłów autora „Zaciągu pod chorągiew Chrystusa," posiadającego w swéj Łużny kościół parafialny, czyż nie poznajemy tu tego samego staruszka, co maczając grzanki w piwie, przypatruje się przez okno dworskiéj komnaty pięknościom zimowego krajobrazu? (1). Lubomirski znowu to tylko piękny rycerskiego oblicza młodzian na ognistym rumaku. „W kożle Mars urodzony, u oczu choć nieznaczny uśmiecha się gdy czas ma Kupido sajdaczny. Pod nogami koń dzielny... który widząc, że złotem gore i co ma za jeźdzca, stać spokojnie nie może lecz na miejsce z miejsca stąpa, wysmuknionéj go szukający nodze, rzuca wodza i munsztuk upieniony głodze." Wyczerpawszy cały szereg bohaterów starożytnych, dla odmalowania przymiotów Chodkiewicza, znalazł dla jego towarzysza tylko podobieństwo z Achillesem i Kastorem, ale za to i dla konia jego wyszukał dwóch godnych rówienników: w Ksantusie i Cillarze, którémi się ci bohaterzy posługiwali w swych bojach. Tych samych niemal rysów i porównań używa dla odmalowania swego syna Stefana, wyprawiającego się na wojnę („Peryody" str. 394). Zamiast skorzystać ze sposobności, jaką mu dawał opis przejścia wojsk przez most na Dniestrze i po charakterystyce wodzów zamieścić wyliczenie i charakterystykę rozmaitych chorągwi i pułków składających siłę wojenną, Potocki dokonywa tego o kilkanaście stron daléj, kładąc naprzód piękną przemowę do współziomków, przemowę, w któréj uczucie poety pobudzane obcowaniem z mężnymi postaciami przodków, wybucha gwałtowną i zjadliwą satyrą w obrazach życia współczesnych panów i senatorów.

Jest co widzieć w Krakowie, kiedy na trzy zbyty
Drogiemi poobija ściany aksamity,
Ubrawszy ono łoże nakształt katafalku,
Śród pokoju postawi od samego balku;
Wkoło fraszki rozliczne od szkła i kamieni,
Tym pompa większa, im się która drożej ceni.
Chorągiew-by zaciągnął za każde z tych cacek,
. . . .

---

(1) Ten sam wizerunek bezzębnego starca, tylko nieco rozwinięty (głowa się trzęsie, marzec niedaleki wygląda przez brwi i zawiesiste powieki, kaszel dusi, w piersiach skrzypi, włosy orzedziałe i przegniłe dziąsła, z których starość późna do zęba wytrząsła), ma być portretem wezyra tureckiego Dilowera (str. 279).

Cóż szaty, cóż klejnoty, cóż argenteryje
Auszpurskie? cóż splendece i ludne gwardyje?
Że żaden z królów polskich aże do trzeciego
Zygmunta nie miał pompy, nie miał *fastu* tego,
Jaki dziś ma starosta, cóż o senatorze
Rozumieć w jakiej bucie żyje i splendorze!
. . . .
Drugi osiadł pół Polski, że już i tytułu
Nie masz przedeń w koronie, więc do protokułu
Cesarskiego — o wstydzie! o hańbo! o brednia!
Leci, wziąwszy tysiąców, po grabstwo do Wiednia.
Aż *comes* albo książę. . . . .
Nie widziawszy chorągwi ani broni gołej,
Chyba na Boże Ciało obchodząc kościoły,
Wąsy ogoli drugi a tak się wysmuknie
Jako jedna z francuzek, prócz że much na czole
Nie stawia, ani uszu dla trzęsideł kole
Od głowy się do stopy ustrzmi i uwstęży,
W ręku mu obuch, szabla u boku mu cięży
. . . .
Którym dziś szaty ciężkie, nie rzkąc twarde blachy,
Take-śmy się postrzygli z bohaterów w gachy....
. . . .
Co gorsza, że i księża nie tylko nie tłumią
Tej w ludziach wyniosłości ale sami szumią.

Taka zniewieściałość i marnotrawstwo, smutne naturalnie sprowadzają następstwa. Nie mogąc „dla zbytków żelazem się okupić" od Tatarów, musimy „ujmować ich przez dary, żeby nas nie pobrali.... Do czego to kożuchy przyszły dziś baranie!" Nie mając pieniędzy na potrzeby krajowe z tejże saméj przyczyny „kilkadziesiąt razem uchwalamy podatków na onego chłopka, co ledwie nocną pracą odzieje parobka, ledwie tchnie, ledwie zieje, przecie je dać musi i poduszkę sprzedawszy, gdy go gąsior dusi."

To téż gdy potrzeba wystąpić na wojnę „miłośnik ojczyzny" co ma „sto wsi królewskich" zamiast prawdziwego rycerstwa i szlacheckiéj młodzieży wystawia chorągwie „dragonów co dopiero cepami i łągwią robili," pookrywawszy „Maćków płaszczami," byle „zbyć pańszczyzny," sam zaś „comes" jeżeli nie został w domu, to podczas boju trzyma się pod lasem otoczony przez „gwardye i hajduków kupy, co wyjadali wszystkie trety, wszystkie krupy, że się przez kalwakaty i przez owe trzody nie mógł czasem docisnąć człowiek do gospody." Własne wspomnienia z czasów służby w pospolitém ruszeniu dostarczyły widocznie Potockiemu rysów do tego obrazu.

Przy takim upadku moralnym szlachty, szlachectwo samo straciło swą wartość, ztąd lada kto się ogłasza szlachcicem, i wziąwszy

tylko *ski* do swego nazwiska. „Spytasz go gdzie się rodził? zaraz basarunkiem potrząsa, zaraz liczy rotmistrze i pułki gdzie służył; choć za ciurę gdzie skrobał gomółki,“ a mimo to taki awanturnik, „trzęsie najbardziéj sejmikiem i siła rozprawia przygrzawszy animuszu jakimkolwiek trunkiem.“ Oburzony na zuchwałość Mazurów, którzy pięścią i obuchem (jak Pasek) wyrabiali sobie znaczenie śród dumnéj dawnością rodu szlachty małopolskiéj, powiada Potocki: „chcesz być szlachcicem pokaż z ksiąg szlachcica dziada, dopiero mi się bracie będziesz liczył równy.“ Zresztą nie urodzenie, nie błyszczenie sławą i zasługami przodków lecz osobista dzielność i czyny robią człowieka szlachcicem, bo „rodzą chłopów szlachcianki i szlachtę chłopówny.“ Darmo więc budzić męztwo w zniewieściałych panach, którym na widok niebezpieczeństwa „łydki dygocą, zęby skaczą w gębie,“ chyba ich „z Warszawą wziąwszy i Krakowem“ zanieść gdzieś „pod urwi-żywot albo gdzie szlak złoty,“ by tam radzi nie-radzi dla ocalenia własnéj skóry, musieli się stać żołnierzami. „Lecz trudno wilkiem orać, co się łyso lągnie, łyso ginie; kto nie chce, z góry nie pociągnie“ — powiada Potocki— spotykając się w swéj zaciekłéj nienawiści ku panom z Paskiem.

„Patrzcież na świątobliwe ojców swych obrazy—woła do współczesnych poeta—nie łoże, nie łabęcie puchy, nie miękkie szaty przodki nasze a stare zdobiły sarmaty. Ziemia łóżko, barłóg mech, falandysz od festu, zwyczajnie karazyi albo téż breklestu na kurty używano, obok cię posadził największy pan, chocieś oszył safianem łokcie... siodła usarskie, polerowany puklerz i tarcz zdobił ściany..... Nie mając chleba królewskiego bułki, nie rzkąc roty usarskie, lecz stawiali pułki nie szarków, nie rusnaczków, owych skotopasów; żołnierza ćwiczonego: Węgrów, Szwedów, Sasów, co się rodził w obozie, we krwi go kąpała, a trzaskiem muszkietowym matka usypiała.“ W zapale krasomówczym nie spostrzega poeta śmiesznéj przesady tego obrazu rycerskiego wychowania.

Z takich to wojaków składała się armia zebrana pod Chocimem, którą poeta przesuwa pułkami i chorągwiami przed oczyma słuchaczów. „Naprzód Władysławowa (chorągiew) kwiat sarmackiéj młodzi, którą stary on wojen Kazanowski wodzi,“ późniéj Janusza Wiśniowieckiego, który „staremi kawalery szeregi osadził,“ same „Marsowe chłopy,“ potém Tomasz Zamojski wiedzie „pułk w gorąco uzłocone obleczony blachy;“ w długim pochodzie tym dostrzegamy i Lipskiego co „dobrą bardzo sprawą wiedzie sto koni Petyhorców pod krętą Srzeniawą.“ Najbardziéj rozrzewnia poetę hufiec, który „choć był na końcu, lecz go było położyć na przedzie, żeby inszych kłół w oczy,“ gdyż wystawił go swoim kosztem „tak grzeczny, tak ludzki, tak kochający matkę Paweł Wołucki biskup włocławski.“

„Cić to są ci Polacy, którzy wam tę ziemię dali, co ją orzecie, aleście w ich strzemię nie wstąpili; dotąd się w ich świecąc starzyźnie, nie mogliście na nowe *zarobić ojczyźnie.... Niech więc całem* gardłem pieją ich nasze Muzy!" *Inaczéj też przedstawiał się poecie* obóz pod Chocimem niż współczesne: „Widziałbyś tam był serce, widziałbyś był męstwo starych owych sarmatów jakby już zwycięstwo w ręku mieli; jakobyś w pełne dmuchnął ule, ci szable na musaty strzelby drudzy w kule dyktują; wre tryumfu, wre wygranéj pewien obóz.... kiedy im ich wodzowie, doświadczeni w raziech marsowych w pradziadowskich stawiają obraziech rycerską cnotę, któréj niestrzymane ostrze orła swego od morza do morza rozpostrze, rzekłbyś że to ci wstali z Bolesławem z trumny, co żelazne po końcach ojczystych kolumny stawiali, kiedy na wschód padł Rusin premudry, na zachód pyszny Niemiec krwią zaszargał pludry."

Nie jestto przecie obraz rzeczywistego obozu pod Chocimem, ale idealny obóz idealnego rycerstwa, jak idealnym był przytoczony powyżéj wizerunek hetmana. Prawdomówny poeta-historyk sam burzy własny ideał, podając na każdéj niemal karcie swego utworu rzeczywiste rysy tak niepodobne do powyższego obrazu. Oto już w téj saméj trzeciéj części opowiada Potocki jak postanowienie wodzów co do obioru stanowiska po drugiéj stronie Dniestru, wywołało szemranie i omal że nie bunt śród wojska, które „widząc że nie żarty, że gościniec do Wołoch czeka ich otwarty, sto razem niebezpieczeństw, sto trwóg w oczach stanie.... więc zrazu po namiotach mówili cicho, potém głośniéj, aż górę wzięło ono licho." Głównémi powodami jakie podało wojsko wodzom przez swych rotmistrzów były: „że ich za Dniestr jakoby na rzeź żeną owce, w kraj pusty między dzikie wołoskie manowce," gdzie o żywność trudno, odwrót może być uniemożliwiony przez zniesienie mostu, a przytem „praca w ręku, o płacéj żaden dotąd nie wie.... już w oczach Wołosza, a drugi jeszcze nie wziął złamanego grosza." Zwołana rada wojenna widząc niemożliwość surowego ukarania tego wybuchu niekarności, zdołała wreszcie poufném i osobném dla każdéj chorągwi zapewnieniem wypłaty „ćwierci" uspokoić rozruch. Niech tylko jakaś niepomyślna pogłoska rozejdzie się po obozie „wszyscy sowę zadęli, powiesili nosy wszystkim jak dał po uchu, jak psi zjedli krupy."

Niekarność i nieposłuszeństwo paraliżują ciągle plany wodzów. „Chodkiewicz tocząc obóz z razu, rozkazał wały sypać naokoło, lecz jego rozkazu nie słuchali rotmistrze pieszy, choć im w sznury rozmierzył; jeżeli też począł dłubać który do połowy nie skończył, że na cztery stopy w głąb i w szerz tylko były one ich okopy." Owi zaciężni Niemcy „pod twardem żelazem," których „matka we krwi

kąpała" a „trzaskiem muszkietowym usypiała," jakże się inaczéj przedstawiają w rzeczywistości! „Każdego-by z pluder wytrząsł: bo gdy ogroda dopadł głodny bruder, żarł bez względu jarzyny niewarzone póty, aż mu brzuch w twardy bęben, kiszki poszły w druty, ztąd ich *kranki* zwyczajne, a skoro ociekli ledwie że kości skórą powleczone wlekli."

Jak widzimy na każdym kroku ideały poety stają w sprzeczności z istotnym stanem rzeczy; chwilowe porywy uczucia i wyobraźni unoszą go w świat idealny, lecz obowiązki historyka, a więcéj jeszcze słabość ducha nienawykłego do patrzenia na świat i życie z wyższego stanowiska, zwracały napowrót ku ziemi, ku rzeczywistości, którą obserwował głębiéj i wszechstronniéj niż Pasek lecz z tymże co on malował humorem i animuszem.

V.

Z przybyciem armii tureckiéj mogła sie rozpocząć właściwa akcya wojenna. Początek czwartéj części poświęca Potocki obszernemu opisowi obozu nieprzyjacielskiego. „Zabielały się góry i Dniestrowe brzegi, rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi, skoro Turcy stanęli i swoje okiem nieprzemierzone rozbili namioty." By tém więcéj uwydatnić doniosłość odniesionego przez Polaków zwycięstwa, kilkadziesiąt wierszy zapełnia samém wyliczeniem nazwisk rozlicznych plemion i narodów, które pod sztandarem Osmana zebrały się na podbój Rzeczypospolitéj. Zasobami swéj erudycyi dorównał tu Potocki samemu Wiktorowi Hugo lubującemu się w podobnych wyliczeniach, o czém przekona mały choć urywek tego spisu: „Psylli, Baktrzy, Imanie Pargiedrzy, Geloni, łysi Arymfei i Mezopotami, Fryksi Cyrci, Sabei, Kaspii, Albani, gdzie Ganges, gdzie Eufrat gdzie Tanais z Nilem, gdzie się lerneńska hydra miesza z krokodylem, gdzie Leumo Wulkanowe, gdzie starego raju małe znaki. Tu Babilon i Memfis, Trypol z Alkairem wschodni świat, rumem dzisiaj zasypany szczerem." Jednakże w téj karawanie ludów, któréj towarzyszyły takie gromady rozlicznego bydła że „sam Febus złotowłosy" jak dawno „snuje swéj sfery wydział" nie dojrzał nic podobnego, nie było i nie mogło być rzeczywistéj siły wojennéj „odjąwszy ludzi europejskich z czoła, ostatek czerń, szarańcza, motłoch, skomon, smoła." Rozmaitość ta dostarczyć mogła jedynie wdzięcznéj bardzo treści do opisu lub obrazu, lecz dla utrzymania ładu w obozie, dla szybkości i dokładności w ruchach wojennych była wielką przeszkodą i jednym z głównych powodów klęski. Po nad tą całą różnoplemienną i różno-

języczną rzeszą góruje Osman porywczy, niedoświadczony, słuchający jedynie głosu swych namiętności, spragniony zemsty i tryumfu „jako lew krwie pragnący wyciąga pazury, jeży grzywę, po bokach maca się ogonem, jeżeli żubra w polu zobaczy przestronem". To homeryczne porównanie, przyczepione do postaci Osmana tylko dla ozdoby, nie odpowiada wcale rysom jego charakteru jakie podaje w innych miejscach poeta. Jest on okrutny, zacięty, mściwy, ale nie okazuje nigdzie ni lwiéj odwagi, ni wspaniałomyślności, którą zwykle przypisują poeci temu królowi zwierząt, prędzéj za to przypomina nieraz zaciekłego brytana podwórzowego gdy naraziwszy się swą porywczością na razy bolesne „wraca pod się z chwostem" (str. 189). Bez namysłu i przygotowań postanawia młody sułtan od razu uderzyć na oszańcowanych Polaków i jednym zamachem zgnieść powstrzymującą go garstkę wojska. Zapowiada więc swym wodzom, iż musi koniecznie wieczerzę spożyć w polskim obozie i zająwszy stanowisko na wyniosłości, pod zielonym sztandarem, otoczony gronem „wieszczków, wróżków, kuglarzy" wyczekuje niecierpliwie rezultatu rozpoczętego boju wyznaczywszy „sto tysięcy nagrody, konia z rzędem i znaczny urząd" temu, kto pierwszy wieść o zwycięstwie mu przyniesie. Chodkiewicz tymczasem „bawi się jeszcze kościołem", choć „szpieg na szpiegu jedzie, że się Osman u niego kładzie na obiedzie." Odprawiwszy nabożne modlitwy i wstawszy z kolan na nogi: „rad mu będę—prawi—tylko niechaj nie mieszka niech nie kwasi grochu, będzie bigos gorący z ołowiu i prochu." Uczucie poety, podbudzone myślą o świętości i ważności boju za wiarę, do którego miało wystąpić polskie rycerstwo, ozłaca je idealnym blaskiem. „O chwalebna ochoto! o kochana młodzi" woła rozrzewniony starzec, serce rośnie patrzącym, gdy jedni do zbroi drudzy się biorą do pancerzy wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańcu, rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś że do tańcu, że już na skroń korony wdziali tryumfalne... gdy nakształt powodzi blizkie pola osuli a mężnemi czoły wyrażają zmieszany gniew z radością w poły." Konie nawet czując na swych grzbietach „kawalery dzielniejsze niż z Malty pryskają, rżą i postać w miejscu nie mogą, czyniąc serce i ochotę w jeźdźcu. Gdy już wojsko stanęło w szyku bojowym, zająwszy stanowiska według dawno ułożonego planu, przy pomocy „starych pułkowników i mądrych inżynierów", Chodkiewicz zgromadził koło siebie starszynę i zwyczajem „zawołanych hetmanów, krótkiéj lecz zwięzłéj do nich zażyje przemowy." Pod piórem Potockiego przecie ta „zwięzła i krótka" mowa zamieniła się w rodzaj manifestu wojennego, zwróconego nie tyle do rycerstwa zebranego pod Chocimem ile do współczesnego społeczeństwa, by je zachęcić do wyprawy przeciw niewiernym. Przy-

pomina tu wojenne cnoty pradziadów, zwycięstwa i podboje Chrobrego, wylicza krzywdy i klęski zadane przez Turków, porusza najczulsze struny w sercach swych ziomków przedstawiając jak: „matka utrapiona pokazuje ubogich poddanych chrześciańskie gminy, ojczyste ściany i kominy, pod wasze się z tém wszystkiem dziś kryje ramiona, do was obie wyciąga ręce wolność złota." Niema co się lękać Turków, bo „że się poganin upstrzy, uzloci, 'uskrzydli" że prowadzi z sobą tak liczne „namioty, słonie, muły, wielbłądy i osły" to powinno jeszcze więcéj zachęcać rycerstwo, nadzieją łupów „do szczęśliwych tryumfów bo lubią sławę i złoto przy sławie żołnierze." W wielkiéj liczbie wojsk pogańskich „mało wojennych, dziady, kupce, żydy... postroili i dali im dzidy. Co człek to tam rzemieślnik a każdy serce zostawił u warsztatu..." oręż ich to „młotek, szydło, dratwa." W żarliwości swéj stara się Potocki poruszyć wszelkie bodźce, użyć wszelkich możliwych argumentów, by ośmielić, zachęcić i nakłonić ziomków do podjęcia rycerskich bojów z niewiernymi, przez które spodziewał się przebłagać Boga zagniewanego na Rzeczpospolitą i odrodzić moralnie stan szlachecki. Przenosząc własne uczucia i zapał własny w serce Chodkiewicza powiada poeta, iż „gdy dokończył swéj mowy zdawało się, że słońca promień go ogniowy ogarnął, że na głowie i na skroni białéj włosy mu orzedziałe promieniem gorzały."

Bój wreszcie się rozpoczął; cała siła Turecka i najlepsze wojsko (janczarowie) zwróciło się przeciw kozakom, polskie rycerstwo zaś przez ten czas stało na stanowiskach i zabawiało się harcami, podczas których Morsztyn Aleksander, mszcząc się za całoroczny pobyt w niewoli (jako jeniec z pod Cecory) wziął na arkan krymskiego murzę i przywiódł Chodkiewiczowi. To też cała strata szlacheckich chorągwi w ciągu całodziennego boju wynosiła dwanaście koni i kilku ludzi. O stratach kozaków, którzy cały ciężar boju wytrzymywali, nic nie wie poeta, powiada tylko, iż Turcy trupów swoich nakładali pełne wozy „jako rolnik przed deszczem kiedy do stodoły wozi z wierzchem pod pawąz wysuszone snopki." Całą jednak zasługę wygranéj polskiemu przypisuje rycerstwu: „Nie Węgrzyn tu, nie Niemiec, nie Arabin nagi, nie Budzyn, nie Agier, nieme mury, ale co piersi to forteca w twardéj kuta skale, do każdéj dział burzących trzeba wam i miny. Takie przedtem rodziła Sarmacya syny!" woła zapatrzony w swój ideał poeta. Sam jednak obniża zasługę tego bohaterstwa zwracając uwagę, że „Polak gdy go zbroja hartowana okryła, piersi blachem opatrzył, szyszak głowy strzeże, nie czuje chociaż go kto kole, chociaż rzeże" tymczasem „pogaństwo gołe brzuchy niesie jako lutnie, goły łeb, cienką szyję od razu mu utnie." Z tém

wszystkiém nie pokrywa milczeniem męstwa i zasług kozaków, owszem niejednokrotnie powtarza, że Turcy całe swe usiłowania i wszystkie ataki zwracali głównie ku obozowi kozackiemu.

Podczas gdy Turcy wyprowadziwszy w pole „ćmę dział burzących, sobie tuszą, że jeśli nie pobiją, to pewnie pogłuszą albo kulmi zasypią;" dzielni Zaporożcy tymczasem siedzą sobie spokojnie „pod piastą gnojem nafasowaną i tną *siedm odenastą* (1) aże skoro się ku nim ta chaja zagości, wtenczas do samopałów, pokinąwszy kości, każdy swego wymierzy i pewnie nie chybi, ale gdzie dusza mieszka, tam mu kulę wścibi." Gdy celnemi strzały „zmylą im szyki, suną się do nich w pole z rzeźwemi okrzyki, a kto co w ręku trzyma, tém się mężnie pisze, oszczepy, rohatyny, szable i berdysze..... tną janczarów z Araby, Serów z mameluki." Atak był tak szybki i gwałtowny że działa tureckie musiały zamilknąć, by swoich nieraziły a „Turcy swój nadołek wziąwszy w zęby długi, rzadko który w zawoju, rozpuścili fugi, dawszy miejsce u siebie staremu przysłowiu: uciekli i nogami poradzili zdrowiu."

Jak widzimy poeta z całą sympatyą podnosi dzielność kozaków malując ich odwagę żywémi i barwnémi rysami. Sam przyznaje, że gdy poganin kozakom „rogów utrze i wyżenie ich z szańców" to „Polak musi siedzieć jako groch na bębnie". Gdy ponowione ataki Turków nie odnosiły skutku, Osman kazał przenieść część górnego obozu pod same wały kozackie. „Lecz nalazł bies sąsiady, trafił przenosiny—powiada z humorem szlachecko-żołnierskim poeta—bo zaporożce znając dobrze tych rycerzów, tylko sobie na szańcach podniosą kołnierzów, i w tę stronę nośniejszych przetoczywszy działek, ochotnie grać pomogą dla zabawy gałek; albo czem sąsiadowi sąsiad zwykł wygadzać, dadzą ognia i poń się nie trzeba przechadzać."

Choć z boleścią ale wierny podjętemu obowiązkowi nie pomija Potocki szczegółów rzucających plamę na obóz polski. „Rzecz sromoty pełną wspomnij Muza; trudno słów uwijać bawełną gdy się prawdę pisać rzekło." Smutnym tym wypadkiem, świadczącym, do jakiego stopnia niekarności i samowoli posuwała się czeladź obozowa, ta plaga wszystkich wypraw rycerstwa polskiego, była rzeź Wołochów, którzy przed nadciągającą armią turecką schronili się ze szczątkami mienia, jakie unieść zdołali, pod osłonę obozu polskiego i tam „rozbili swe ubożuchne kotary" żyjąc „o wodzie i suchara skórze." Opierając się na fałszywéj pogłosce, jakoby na radzie wojennéj postanowiono wyrznąć wołochów jako dostarczających wiadomości

---

(1) Rodzaj gry w kości.

do obozu tureckiego, „ciurowie i pacholcy luźni" zaprawieni do mordów i grabieży w częstych nocnych wycieczkach do obozu tureckiego, urządzają napad na koczowisko wołoskie. Wiedząc „iż grzech bez pomsty uchodzi im się nań większa kupa zgodzi," schodzą się na bazar, gdzie „zażywszy gochy bieżą znosić niewinne Wołochy." Jaskrawym realizmem i żołnierską szorstkością nacechowany opis rzezi przekonywa, że co do okrucieństwa i dzikości chrześcianie w niczém nie ustępowali niewiernym a nawet o wiele ich przewyższyli. „W posoce się uszargawszy po pas, zrabują co tylko jest i pełni korzyści wracają jakby Turka znieśli; chłopi czyści!" W tém pogardliwém napiętnowaniu mianem chłopów tych co zdolni byli splamić się podobną rzezią i rabunkiem, przebija się to idealne i podniosłe pojmowanie szlachectwa jako zaszczytu wymagającego w zamian od człowieka pojęć, uczuć i czynów szlachetnych.

W mnóstwie szczegółów, jakich dostarczała akcya wojenna i wydarzenia życia obozowego, Potocki nie czyni żadnego wyboru i nie zaprowadza innego ładu prócz chronologicznego następstwa. Pomijając te jedynie dnie, w których nie było żadnych utarczek, opowiada on ze ścisłością kronikarza, a raczéj oficera sztabowego, cały porządek dzienny obozowego życia i przebieg walk, o ile takowe opisał Sobieski w swym komentarzu, lub dostarczyły poecie prywatne dyaryusze i ustne opowieści uczestników. Rzecz naturalna, że walki te toczone zawsze w tych samych lub podobnych warunkach przedstawiały wielkie podobieństwo w swym charakterze i przebiegu.

Opis ich Potocki zaczyna zawsze od wschodu słońca, modlitw i przygotowań porannych, a kończy z zapadnięciem mroku wieczornego, który kładł koniec zapasom, zwracając walczące strony na nocny wypoczynek do obozów. Co do formy opisów to stale trzyma się poeta tonu i stylu gawędy przedstawiając żywo, obrazowo ale w grubych zarysach i pojedynczych szczegółach, koleje walk toczonych zwykle na obszernéj przestrzeni i w kilku jednocześnie punktach. W zapale nienawiści ku Turkom zdaje się poecie iż bierze sam udział w tych zapasach, że opowiada to, na co patrzał własnemi oczyma i w czém brał czynny udział, podzielając upojenie zwycięstwa i zajadłość podniecona widokiem krwi i dymem prochu. Na boje i pobojowiska spogląda nie okiem historyka i poety ale żołnierza; trupy zaścielające plac walki, ranni wijący się w cierpieniach nie budzą w nim ni grozy oburzenia ni tego podniosłego smutku, w którym jednym współczuciem ogarniamy swoich i wrogów złączonych wspólnością cierpienia i śmierci. Potocki, który znalazł słowa współczucia dla krzywd niewinnie pomordowanych Wołochów, z radością opowiada jak „gdy naszy ławą brali pogaństwo na sztychy, chrzęst tylko i sze-

lest słychać było cichy, żaden swego nie chybi i trzech drugi dzieje, że im ciepłe wątroby kipią na tuleje; trzask potem i zgrzyt ostry, gdy po same palki kruszyły się kopie w trupach na kawałki; pełno ran pełno, śmierci; więzną konie w mięsie, krew się zsiadła na ziemi galaretą trzęsie, ludzie się niedobici w swoich kiszkach plączą, drugi chlipią z paszczęki posokę gorącą.“ Podczas bowiem gdy „Turczyn tylko dzwoni po zbrojach hartowanych, nasz gdzie tnie, tam rana, gdzie pchnie, dziura w ciele; w łep, pierś, brzuch gdzie się nada, rąbią, kolą śmiele“. I to pisze nie żołnierz z rzemiosła jak Pasek, który połowę życia strawił na wojnach, lecz spokojny, pobożny ziemianin małopolski „rycerz do miecza przypasany“ według wyrażenia Kochanowskiego, pobudzony jedynie religijno-patryotycznym zapałem a w pewnéj cząstce może i wspomnieniami własnych czynów i przygód bojowych. Jużto że i sam dobrze władał koniem i szablą w młodości i nieraz zapewne w czasie szwedzkich i kozackich wojen wyprobował swe męstwo, o tém świadczą liczne obrazki bojowych epizodów, których przedmiotem są mężne czyny i śmiałe harce rycerzy polskich a właściwie małopolskich, bo czy to przez szczególne przywiązanie do swéj prowincyi i chęć wykazania jéj wyższości nad innemi częściami Rzeczypospolitéj, czy téż dla tego że ustne i piśmienne opowieści, któremi się posilkował, pochodząc od krewnych i sąsiadów także pomijały czyny rycerstwa innych stron kraju, Potocki uwydatnia z wielką troskliwością bohaterstwo i zasługi samych niemal małopolan.

Pierwsze miejsce naturalnie zajmuje tu Lubomirski, który nietylko jako pomocnik Chodkiewicza i jego następca po zgonie, kieruje bardzo rozumnie działaniami wojennémi ale i sam „we lwiéj piersi ma serce żywe“ i krew młodą, która igra tym więcéj im „bliżéj czuje pole swéj sławy.“ To téż zagrzany widokiem walki „jak chart chciwy“ który widząc „że go lis polem mija albo zając kusy“ zdziera się z obroży i goni zwierza „takie czyni serdeczny Lubomirski susy. Koń pod nim skarogniady krwawe toczy piany, nozdrzem iskry z płomieniem bucha na przemiany. Zanurzy się w zastępach bisurmańskiéj zgraje, ręką bije, przynuką ochoty dodaje; zamiesza ich jak w kotle jako w garncu kaszę, sam koncerzem znacznego w oczu wszystkich baszę obali.“ Drugi dostojnik małopolski Sieniawski „już trzeciego grzeje konia, sam krwią przemókł do nici, kiedy nań z ustronia spadnie Turczyn dorodny w okropnéj posturze; A długoż dokazywać będziesz psie giaurze? Czas by téż przestać! a wraz co siły nań przytnie. Ale cóż? szabla tylko po szyszaku zgrzytnie. Chce powtórzyć lecz przyszło rozstawać się z światem, bo mu łeb zdjął i z brodą Sieniawski bułatem“ (str. 226). Wspominaliśmy już o Mor-

sztynie Aleksandrze, który arkanem wziął do niewoli murzę tatarskiego. Znanym jest również powszechnie opis walki Piotra Lipskiego z Arabem spopularyzowany przez malarzy i podręczniki do wykładu literatury. Spokrewnionym z poetą Pisarskim i Lipskim dostają się oddzielne wspomnienia. „Zmoczywszy pióro w bystréj Szreniawie—powiada dumny ze sławy swego rodu poeta, pisać was mi Pisarscy! chociaż podłym rymem podać was światu Janie, Przesławie z Jachimem.“ Choć prawdę powiedziawszy nie miał za co ich chwalić poeta bo cała zasługa polegala w tém, że jeden z nich Jan mianowicie „skoro obadwa boki bracią swą ustalił jako dwoma basztami, znacznego Turczyna po stroju i czole sztychem w gębę trafiwszy na ziemię obalił“ (299 str.).

Cały ten ustęp o Pisarskich nosi wybitne cechy panegiryku, którego nadętości, fałszu i bezmyślności nie mógł się ustrzedz nawet tak miłujący prawdę, tak szczery w swych uczuciach i czerpiący zawsze swe myśli z głębokiego przekonania poeta. Podlega on téj słabości zwykle gdy przychodzi mu wspominać Lubomirskiego; drobnostka taka, jak wydany przezeń rozkaz by nie przeszkadzać Turkom w zbieraniu i grzebaniu trupów, powoduje Potockiego do wyrzeczenia iż „wielki Lubomirski Achillesa w męstwie we wspaniałem Scypiona wyrównał zwycięstwie“ (str. 267). Jedni Lipscy tylko słuszne odbierają od poety pochwały gdyż opisane czyny usprawiedliwiają je dostatecznie. Gdy do obozu przyszła wiadomość iż Tatarzy zabrali cały transport żywności wynoszący przeszło tysiąc wozów „wszyscy nosy spuścili bo ich tak głód ściągał, że już spienciem ostatniéj prawie dziurki sięgał“; i „z próżnego biorąc pochop ksieńca“ zamyślali pod pozorem wyprawy za żywnością opuścić obóz ze wszystkiem, wtedy Jan Lipski (dziad zięcia poety także Jana) służący w wojsku jako rotmistrz husarski z czterema synami, swém energiczném przemówieniem wstrzymuje gotowych już do dezercyi. Rzecz naturalna iż obszerna mowa Lipskiego, jak i odpowiedź rozrzewnionego i uszczęśliwionego z tego obrotu rzeczy Chodkiewicza, są wymysłem Potockiego i wierném odbiciem jego własnych pojęć i uczuć. On to sam przez usta Lipskiego przypomina współczesnym iż praojcowie ich przez siedm lat z Bolesławem wojowali pod Kijowem, iż im „dla drogiéj ojczyzny w kanar się obracały smrody i trucizny“ że najszczęśliwszą ma śmierć człowiek gdy go „pan na zagonie zastanie przy żniwie“ niech tam „sto wisi chorągwi nad drugim w kościele ze stem szumnych nagrobków, gdzie nie moja ściele łoże cnota tam kości me doleżą całkiem, brednia malarz i z swojéj kitajki kawałkiem“. Przez usta Chodkiewicza znowu wypowiada swe marzenia o téj wyczekiwanéj przed śmiercią jeszcze chwili gdy odrodzone rycerstwo

pośpieszy znowu na szczęśliwe boje pod wodzą króla Piasta, chwili która tak niedługo miała się ziścić. „O moja krwi szlachetna o zacne rycerstwo nieodrodni wielkich rodziców synowie!“ woła rozrzewniony swém marzeniem Potocki, bo przecież słowa powyższe byłyby zupełnie nie na miejscu w ustach Chodkiewicza przemawiającego do tych których groźba szubienicy dopiéro i energiczne słowa Lipskiego powstrzymywały od ucieczki z obozu. „Niech mi Bóg będzie świadkiem, że choć mnie gniecie do grobu moja starość chora, lecz skoro słyszę w uszy i widzę na oczy waszę gorliwość, zaraz serce we mnie skoczy, sił mi znacznie przybywa. Niechże Bóg, który słowem może światy tworzyć, że wam serca, mnie zdrowia raczył sam przysporzyć, wiecznie będzie pochwalon!“ Właściwą odpowiedź Chodkiewicza stanowi dopiero końcowy ustęp od wiersza: „Szubienic tu nie trzeba ani żadnéj grozy“ (str. 273).

Najświetniejszy popis swéj dzielności dał stary wojak już przy samym końcu wojny, gdy z powodu dostrzeżonego ruchu armii tureckiéj Lubomirski zapragnął zasięgnąć języka i zawezwał w tym celu ochotników. Choć jednak „grono rzeźwéj młodzi lekkim harcem podemknie się pod straszne mnóstwo pogaństwa“ Turcy przecie zajęci swym manewrem nie zważali wcale na te zaczepki a harcownicy nie mieli odwagi zapuszczać się w głąb zwartych szeregów nieprzyjacielskich. Widząc to Lipski zwraca się do swych synów z przemową stanowiącą właściwie mowę pochwalną, pogrzebową dla niego w połączeniu z nauką i przykładem dla potomnych. Już to Potocki nie opuszcza najmniejszéj sposobności do przypominania współczesnym o świętém posłannictwie szlachcica. „Nie to żywot sto lat żyć, woła przez usta Jana Lipskiego, sto lat w ziemi gmerać, myśląc tylko żeby jak najpóźniéj umierać“ ale „jeden dzień, jeden sercu wspaniałemu lepszy co mu tysiąc lat da żyć na ziemi“ a gdy stanie „z grobu na popis generalny“ wtedy udzieli mu „wódz święty niebieski indygenat.“ Wypowiedziawszy sam sobie te mowę pogrzebową rzuca się stary wojak na czele hufca ochotników „jako lew w kupę żubrów, jako jastrząb w stado wron“... „na lewe tureckiego szyku skrzydło skoczy i baszy co na tamtem rozkazował skrzydle przy samych łeb ramieniach utnie jak po mydle. Spadł buńczuch chorążemu przycięty w ręku, wypadł i sam przez piersi pchnięty sztychem, z lęku.“ W zapale walki zapomnieli wszyscy o dostaniu języka i dopiero syn starego rotmistrza Hieronim (ojciec zięcia poety) „z obudwu rącz Turczyna za piersi uchwyci, który mu się z urody uda i kibici“ kiedy jeniec „nie chce iść i zrzędzi, Piotr go młodszy obuchem za plecy popędzi. Toż go co w koniech skoku z przetarganą brodą prosto ku

obozowi do hetmana wiodą". Dwaj drudzy synowie „przy rodzicu i z prawa i z lewa jako baszty jako dwa niezłomione drzewa, rum sobie szablą czyniąc, następują śmiele." Tymczasem Turcy rozjątrzeni zuchwałą napaścią zaszli tyły garstce walecznych, którzy „w ostrzu tylko broni swe nadzieje po Bogu kładą że z téj toni wynijdą: tam Lipski jak Leonidas drugi chce umrzeć zwyciężając; krwawe zewsząd strugi szumią, poganie jako trzcina, jako słoma płoną." Nigdy Wisła w czasie wiosennych wylewów tak „nie rozbierze brzegów jaką dziurę w pogaństwie garść ludzi tak mała ostrą szablą rozkopała." Mężny rotmistrz byłby szczęśliwie wydostał się z tego zamętu gdyby nie utrata konia, który upadając przycisnął swemu panu „nogę ze strzemieniem do skały". Nie mogąc się wydobyć dla ciężkiéj zbroi „gęstych strzał i kiścieniów grady osuty, stratowany końskiemi kopyty Bogu dał nieśmiertelną duszę w depozyty. . i Tatr Pirenejskich nieprzebytym wałem zaległ Turkom tamten próg zacném swojem ciałem." Niemogąc się otrząsnąć ze szkolnych tradycyj i wymagań smaku swéj epoki zeszpecił poeta bohaterską mogiłę Lipskiego niedorzecznym panegirycznym nagrobkiem. Szereg scen wojennych zakończa Potocki poetycznym legendowego charakteru szczegółem, o wycieczce Osmana pod Kamieniec z zamiarem opanowania téj twierdzy i powetowania swych niepowodzeń owładnięciem tego tak ważnego pogranicznego grodu. Nie wiedziano przecie w radzie przybocznéj Osmana, że głęboki o stromych skalistych ścianach jar, spodem którego płynie rzeka Smotrycz, otacza miasto uniemożliwiając dostęp Gdy wysłany podjazd wraca z tą niepomyślną wieścią, rozjątrzony Osman sam udaje się sprawdzić otrzymaną relacyą.

„Kto kował te kamienie? kto skały obrywał?
Bóg! rzeką—słuszna i on żeby ich dobywał!" (str. 327)

Gdyby na tym obrazie zakończył poeta swą opowieść o bojach podchocimskich, czytelnik zamykałby książkę pod wrażeniem podniosłéj myśli, która przewodniczyła Potockiemu w ciągu jego pracy. Na nieszczęście obowiązki kronikarza zniewalają go do opowiedzenia wszystkiego co się przytrafiło Osmanowi w powrocie z pod Kamieńca do Chocimia, a mianowicie o niefortunném szturmowaniu do bezbronnego zamku w Paniowcach, w którém obrało sobie schronienie „czterdziestu chłopów z dobytkiem swoim" i pop cerkiewki mieszczącéj się w murach zamku. Celne strzały tych zaimprowizowanych rycerzy o mało nie pozbawiły życia samego Osmana, który uznał za właściwe zaniechać szturmu i zakończyć na tém szereg niepomyślnych usiłowań przeciwko siłom polskim.

VII.

Porozrzucane tu i owdzie rysy życia obozowego tworzą obraz daleki bardzo od tego idealnego obozu jak się chwilami przesuwał w wyobraźni poety. Nieregularny dowóz żywności wywoływał niejednokrotnie rozruchy i zamiary ogólnéj dezercyi; częściowe zbiegostwo było rzeczą bardzo zwyczajną. „Brzuch niema rozumu uszu i niczyjéj kiedy próżny nie słucha cale perswazyjéj" (243). Brak amunicyi („kul już niema z czego lać, proch już wystrzelany... o nierząd cudowny! bez prochu, bez ołowiu na wojnie tak głównéj!" 302 str.). „Konie zdychają dla braku paszy, smród w obozie zkąd chorych na poły, Niemcy sną jako muchy i ledwie im doły zdrowi kopać nadążą" (252 str.).

Te wewnętrzne przyczyny były o wiele niebezpieczniejsze od nieudolnie prowadzonych szturmów tureckich. Działa nieprzyjacielskie, pomimo ich niezwykłéj na owe czasy wielkości i siły („ziemię z gruntów trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów"), obsługiwane niedołężnie, nie wyrządzały żadnéj szkody obozowi polskiemu; umiejętne oszańcowanie, dokonane przez obeznanych z postępami sztuki fortyfikacyjnéj polskich i holenderskich oficerów (Arciszewscy, Apelman), zabezpieczało od pocisków i niespodzianych szturmów. Początkowy strach przed olbrzymią potęgą turecką przemienił się wkrótce w naganne niedbalstwo i lekceważenie nieprzyjaciela. Niekarność i nieład wzrosły jeszcze, gdy Chodkiewicz wyczerpawszy resztę sił w trudach obozowych położył się do łóżka; a młody królewicz Władysław od chwili przybycia do obozu nie wstawał z pościeli. Każdy rotmistrz uważał się za naczelnego wodza; kozactwo działało odrębnie uganiając się głównie za łupami, które codziennie prawie zdobywali w nocnych wycieczkach; ciurowie działali także na swoję rękę gdy się trafiła okazya do rabunku. Rycerstwo „któremu spowszedniały one huki" spędzało dnie całe na grze w karty po namiotach i dopiero „gdy pogańskie w swych wałach buńczuki ujrzeli téż dopiero porzuciwszy pasza, do nich się pobierali od kart do pałasza; zwłaszcza gdy kto miał pewną a rzęsisto stało, tym bardziéj siekł im go to bardziéj rozgniewało. Ten za się rad przerwaniu który gonił resztą, za nim się z grą fortuna odmieni odeszłą: bowiem jako pogaństwo przegnali przez pole, do swéj się zabawy wracali przy stole."

Harce wzajemne, nie przedstawiające więcéj niebezpieczeństwa od łowów na dzikiego źwierza, stały się dla rycerstwa rodzajem rozrywki, *sportu* wykazującego dzielność jeźdzca i przymioty konia. To téż Potocki myśliwskim językiem nazywa je „gonami." „Kto ma

serce a konia, niżeli gnić w kuczy, harcem sobie po błoniu szerokiem pohuczy." Przypatrzmy się przez chwilę téj rycerskiéj rozrywce któréj widzami były oba wrogie obozy: „Oto Chełmski Scibor zwali z konia pięknego Turczyna na wybór, drugiego żywcem przywiódł; tymże idzie torem Borek wielki najezdnik, Kulczycki z Minorem." Coraz to który z grona patrzących, zachęcony powodzeniem harcowników „nie mogąc się odjąć żądzy dłużéj" przyłącza się do ich grona; stopniowo wysuwają się całe gromadki w których przodują najśmielsi jak: Sieniawski, Żórawiński reszta zaś pozostaje nieco w tyle by w razie potrzeby nadbiegnąć z pomocą. Między Turkami nie zbywa także na śmiałych ochotnikach „Prosto na krajczego (Sieniawskiego) z wyniosłym dzirytem leci Turczyn; z gotowym i on pistoletem nie stoi i tak żartko przyszło się im zderzyć, że się chybią nie mógłszy do siebie wymierzyć. Obróci się Sieniawski szablą mając w ręku a już Turczyn zniesiony u sług jego w ręku. Krolewski z Suchodolskim kiedy pana strzegą nim ten koniem obróci, porwą go i zbiegą. Toż szczęście Żórawiński toż i inszy mają, gdy albo biorą Turków albo ich strzelają." Nie obeszło się przecie bez rozlewu krwi polskiéj bo „téj gry Rozen z Twardowskim przypłacili zdrowiem gdy się daléj zagonią; tam Potocki z łuku w ramię wziął, gdy Araba wiedzie przy munsztuku i inszych kilku rannych" (str. 277) Zachód słońca położył koniec „téj krotofili" którą Potocki patrzący na Turków jak za dzikie zwierzęta opisuje czysto myśliwskim językiem. Nie tyle przecie męstwo rycerstwa ile umiejętne oszańcowanie obozu, założonego w trafnie obraném miejscu, nadało szczupłym silom polskim tak wielką odporną potęgę. Turków znowu osłabiała sama wielkość i plemienna różnorodność półmilionowéj armii, która o ile była straszną w pochodzie swą niszczycielską energią, o tyle znowu zatrzymana przez czas dłuższy na jednym miejscu w okolicy nieludnéj i bezdrożnéj, w ostrym stosunkowo klimacie, topniała szybko od głodu, chłodu i chorób nieuniknionych w takim nagromadzeniu ludzi, koni i bydła. Śmierć Chodkiewicza nie wywarła wpływu na obustronne położenie. Następca jego młody Lubomirski nie potrzebował rozwijać wielkiéj energii i zdolności by dotrwać do końca na odpornéem stanowisku.Trudy i niewygody życia obozowego usposobiły pokojowo obie strony. Na propozycyą tureckiego agenta Wewelego posłano dla wybadania usposobienia i żądań Turków marszałka nadwornego Lubomirskich Jakóba Zielińskiego. Przyjęty przez wodzów tureckich bardzo uprzejmie powrócił z zapewnieniem o pokojowém usposobieniu Osmana, który wyczekuje tylko na przybycie upełnomocnionych posłów. W krótce po nim zjawił się Weweli z listem sułtańskim warującym posłom bezpieczeństwo ich osoby. Oświadczenia te przecie

nie były szczere. Osman był tak skłonny do przymierza, powiada Potocki posługując się ulubionym mu porównaniem z życia myśliwskiego: „jako pies kiedy wielkiego naszczeka zwierza, mów hojwo! każ mu leżeć, bierz go i za uszy, nie pójdzie, aż niedźwiedzia albo wieprza ruszy.“ To też postanawia on jeszcze raz sprobować szczęścia i przypuścić ostateczny szturm do obozu polskiego w dzień św. Wacława patrona poety. I ta okoliczność zapewne tudzież wzgląd iż był to pierwszy bój zwycięzki za hetmaństwa Lubomirskiego podnieciły uczucie i wyobraźnią Potockiego, który z wielkiem życiem kreśli koleje walki podobnéj zresztą zupełnie do kilku poprzednio już opisanych. Lubomirski jest jego ulubieńcem bowiem swą młodością urodą, rycerską postawą i ogniem zapału urzeczywistniał w jego wyobraźni ideał jeżeli nie wodza to bohatera, od którego tak dalekim był energiczny lecz przygnieciony wiekiem i chorobą Chodkiewicz, ztąd tak chętnie w usta nowego hetmana kładzie swe własne pojęcia i uczucia. Modlitwa którą Lubomirski odmawia po swym obiorze na hetmana, jest wiernym wyrazem pojęć i pragnień poety w chwili pisania poematu (około 1670 r.). Tchnie ona tym mistyczno-religijnym patryotyzmem, który uwydatnił się tak potężnie w Psalmodyi Kochowskiego: „Po swych aniołach pojrzyj panie a każ któremu niechaj sekundantem będzie gdy się baranek bije z elefantem. Rozum wodzowi, serce daj żołnierzom. Jakoś Ieftego kiedy szedł na twoję wojnę przyjął ofiarę, tak przyjmij i moję któryć dziś z tém rycerstwem Chrystusowéj wiary nie córkę ale duszę kładę na ofiary... Skrusz Mahometa, jakoś kruszył więc Baale“. Modlitwa ta powiada poeta „przebodła niebo“ i doszła Stwórcy który „każe Michałowi co dyabła wysadził aby o rzeczach polskich pod Chocimem radził.“ Jest to aluzya do narzucanego przez poetę Wiszniowieckiemu posłannictwa co do zgromienia Turków i wypędzenia ich z Europy.

Mowa Lubomirskiego do rycerstwa w chwili rozpoczęcia boju odznacza się niezwykłą u Potockiego zwięzłością, bo zresztą nie różni się doborem argumentów i zwrotów retorycznych od przemów Chodkiewicza. Jak zawsze tak i teraz przez usta Lubomirskiego przemawia sam Potocki do współczesnych sobie. Świeża elekcya Wiszniowieckiego napełniła jego serce otuchą, która przebija się tu z każdego słowa. Nadeszła nareszcie chwila „ma sarmacka młodzi“ którą Bóg umyślnie dotąd chował „żeby w niéj krzyż z miesiąca sławnie tryumfował“. . „Nam słońce dziś na niebo wschodzi, naszéj o bracia sławy gore lampa złota, żeby widzianą była każdego z nas cnota“. Nie lękajcie się potęgi tureckiéj są to ci sami ludzie „cośmy ich sto razy jako bydło szablą gnali krzywą... co z pola przed naszemi uciekali ciury, cośmy im palce w gęby kładli, z ręki brali buńczuki...

Tenże chłopiec i teraz głupi; taż ich niwa pod téż wam szable znowu pędzi do rzeziwa.... Bijmy mężnie nie licząc, mamy nad złoczyńce serce w piersiach na ziemi, na niebie przyczyńce" (str. 298).

Porażka, jakiéj doznali w téj walce Turcy, uczyniła ich skłonniejszymi jeszcze do zgody. Osman przekonawszy się dowodnie, iż „serce ma nad liczbą w okazyej więcéj, że przed jednym ucieka chartem sto zajęcy," widząc „kawalery i swych rycerzów jednych jako wory na wozach, drugich jako bydło do obory gnanych z pola... spuścił z kwinty" i tylko „płakał jako bóbr, a ze łzami szczery jad pryskał mu po piersiach." W obozie polskim całodzienny bój wyczerpał tak zapasy prochu, iż jedna tylko pozostała beczka („o nierząd cudowny" woła poeta) trzeba więc było zrzucić pychę z serca i korzystając z chwili, wyprawić poselstwo do obozu tureckiego dla spiesznego zawarcia pokoju. Wybrano w tym celu z grona komisarzów wojennych: Sobieskiego (z senatu) i Żórawińskiego (z izby poselskiéj), Andrzeja Szołdrskiego, kanclerza przy królewiczu („człowiek wielki z rozumu, wymowy i cnoty) i Aleksandra Szembeka, który z listami hetmana do Osmana i Dilawera (wezyra) i darami („któremi sami miękczą się bogowie") wyruszyli z obozu.

Wieść o przybyciu posłów polskich wywołała niezmierną radość pomiędzy wojskiem tureckiem. „Co żywo się na wozy i na budy wspina, ciągnie szyje.... straże nawet co przyległe trzymały wzgórki, wyrzucały zawoje z krzykiem na powtórki, czując czas niedaleki szczęsnego powrotu w miły dom z bud niewczesnych." U wstępu do obozu oczekiwało na orszak poselski sto *czausziów* (gońcy, kuryerzy tureccy) „w poczesne wszyscy brody przybrani, by tak w rozum maluj wojewody." Daléj spotkał ich oddział Wołochów z zaproszeniem do namiotu hospodara Raduły. Pomimo pewnéj wątpliwości, czy nie będzie to „z dyshonorem Rzeczypospolitéj," że zamiast coby hospodar na nich czekał, posłowie pierwsi udadzą się do niego, okoliczności przecie nie pozwalały wszczynać sporów ze względu na pożytek, jaki Raduł jako pośrednik między posłami a sułtanem, mógł przynieść interesom polskim. Osman tymczasem chce przed rozpoczęciem układów opanować podejściem Kamieniec, by mieć podstawę do stawienia trudniejszych warunków posłom. W tym celu dla zasłonięcia swych zamiarów rozwija gwałtowny ogień działowy na obóz polski i wyprowadza znaczne siły w pole, udając zamiar szturmowania. Potocki nie rozumiejąc znaczenia tego udanego ataku, przypisuje go zaciekłości wojowniczéj Osmana, („Mów wilku pacierz! a on przecie owca, baran") nie mogącego się pogodzić z myślą o pokoju, to téż dziwi się, że Turcy wyszedłszy w pole „kiedy już, już trzeba było skoczyć, zaczęli się boczyć" i krzy-

cząc jedynie *hałła, hałła*, „swój impet obrócili w harce“ (str. 313). Tymczasem w obozie tureckim robiono przygotowania do ataku na Kamieniec, który, jak to już wspomnieliśmy wyżéj, nie powiódł się, co sparaliżowało połączone z tém dalsze plany wojenne Turków, zmierzające prawdopodobnie do zupełnego oblężenia obozu polskiego i przecięcia mu komunikacyi z krajem.

Po niefortunnym powrocie z pod Kamieńca, usposobienie pokojowe przeważyło znowu u Osmana i wskutek tego zawezwano posłów polskich, wyczekujących dotąd bezczynnie na konferencyą do wielkiego Wezyra.

Żórawiński, który przemawiał w imieniu całego grona, wypowiada— w wyobraźni Potockiego naturalnie— i pojęcia i sądy współczesnéj szlachty o kwestyi wołoskiéj: „O Wołochy tak stoim jak pies o piątą nogę, jak ptak o trzecie skrzydło, póki był wolny naród i do nas się skłaniał, póty go Polak bronił, póty go oganiał. Dziś kiedy się sam od nas tak odsaczy, kto z nami nie chce chleba, my z nim i kołaczy.“ Wizerunki dostojników tureckich rażą nas cudaczną karykaturalnością, przypominającą postacie rysunków dziecinnych o kształtach i wymiarach najdowolniejszych, pozbawionych wszelkiéj prawdy harmonii, proporcyi, odpowiadających jedynie wymaganiom fantazyi niemowlęcéj, lubującéj się w tworzeniu czysto fantastycznych kształtów. Oto jak nam maluje Potocki Muftego (Szeik Islamu), któremu przedstawiali się posłowie po audencyi u Wezyra: „Blady, chudy, krzywy, zgoła trupek, kamyków nawtykawszy na nić, jako słupek w miejscu stał, szepcąc swoje nikczemne pacierze.“ Osman znowu przyjmując posłów, „siedzi jak bałwan, jakby sztukę balku złoconego postawił kto na katafalku. Dywan naprzód wysoki, na dywanie zatém we trzy łokcie wysokim wzniósł się majestatem. I tak siedzi, ni ręką, ni nogą nie rucha, ni głową, ni okiem, i chociaż mu mucha w nos lezie uprzykrzona, jéj się nie ożenie. Właśnie takie stawiają na jarząbki cienie“ (str. 345). Są to naturalnie czysto fantazyjne rysunki, bowiem Potocki nie widział na oczy ni sułtana, ni żadnego ze wspominanych tu dygnitarzy tureckich, mógł tylko słyszéć żartobliwe i przesadzone opowieści uczestników saméj wyprawy, a może i poselstwa, z których pochwycił i przedstawił w powiększeniu najjaskrawsze rysy jedynie.

Rozmowa posłów polskich z hospodarem Radulą, który ich na obiad zaprosił, jest ciekawém odbiciem szlacheckiéj dysputy o stosunkach z Turcyą, Tatarami i Wołoszczyzną. Gdy Radul wspomniał o potrzebie dawania sułtanowi upominków w złocie: „Na on twardy sylogizm Żórawiński krząknie, już mu z serca chybki gniew do języka sięga.“ Widząc to Sobieski, powstrzymuje porywczego towa-

rzysza od wybuchu i sam „skoro kęs odpocznie, skromnie Wołoszynowi odpowiadać pocznie.“ Otóż w téj „skromnéj odpowiedzi“ prawi Radule u którego był gościem komplement, że się srodze zawiódł, rachując, że on jako „chrześcijański człowiek“ będzie życzliwym dla chrześcian, a tymczasem „nie będzie ryś ze psa nigdy jako widzę,“ że jego animusz nie jest „pośredniczy ale niewolniczy,“ że „w sicie szuka sęku,“ że „jako pismo na śniegu tak wołoska wiara,“ że Wołochom tylko przystoi dawać daniny i haracze, „których natura jako wielbłądy i muły do ciężarów sprawiła.... znakiem w herbie u was łeb bydlęcy.“

Turcy pragnąc koniecznie wytargować choć drobne jakieś zadość uczynienie, by tém swą powagę polityczną uratować po doznanych porażkach, używają rozmaitych sposobów do nastraszenia i zmiękczenia posłów polskich. Opowiadają im więc, że Osman uparł się sześć tygodni jeszcze prowadzić wojnę, że mu świeże posiłki nadchodzą, wyprowadzano w nocy z obozu oddziały, które z rana „z wielką pompą“ wprowadzano do obozu koło szałasu posłów, którzy „na to wszystko pokazali figi; dobry kobuz na wróble, Ulisses na Frygi, rano było wstać ktoby chciał ich wywieść w pole.“ Oddając wet za wet, posłowie znoszą się z obozem swoim, z którego Lubomirski przysyła im list, donoszący o nadchodzeniu króla z ogromnym wojskiem, a jednocześnie Sieniawski „przenocowawszy w polu na zmowie z hetmanem, z wielką pompą wszedł w obóz prawie z słońcem rannem.“ Na odgłos trąb i wystrzałów „turków jako podszywał, jak wlókł przez nich siano.“

Nareszcie po długich sporach i naradach, gdy posłowie stanowczo oświadczyli że zerwą układy, gdy turcy będą obstawać przy żądaniu haraczu, i powiedziawszy to „zerwą się z kobierca,“ Dilawer „chwyci ich za ręce“ i słowami polskiego szlachcica łagodzącego rozgniewanego gościa rzecze z uśmiechem na posły: „Gorącoście kąpani, byłoby to grzechem w tém was puszczać rosole do swoich.“ Posłowie ochłonąwszy, przystają ostatecznie na złożenie podarków jedynie Osmanowi i dygnitarzom dworskim. „Bo turcy — powiada objaśniając i usprawiedliwiając to poeta, jako żaden na ziemskim padole naród, tak pragną złota.... i do podobieństwa, gdyż w najpodlejszych ludzi tkają dostojeństwa. Tam wszystkim rzemieślnikom do honoru prędki przystęp; tam szewc co wiechciem wyściela na piętki, kuśnierz, krawiec, tkacz, barwierz wstawszy od warsztatu, obok siędzie z wezyrem i wschodniemu światu prawa daje z dywanu.“

Gdy ułożono ostatecznie warunki pokoju z wezyrem, Sobieski udał się do obozu dla akceptacyi punktów przez królewicza, hetma-

na i komisarzów. Nie mając amunicyi ani nadziei na przybycie króla z posiłkami nie stawiali oni trudności posłom i potwierdzili układ. Turcy też z niecierpliwością oblegali namiot posłów wyczekując powrotu Sobieskiego, „jako psi, kiedy w jatce rzeźnika więc czują na zapach tylko mięsa pyski oblizują.“ Gdy nareszcie przybył, nastąpiło uroczyste zaprzysiężenie pokoju przez obie strony i posłuchanie u Sułtana dla oddania mu podarków. Potocki korzysta z téj sposobności by przeciwstawić turkom postacie rycerskie posłów polskich, którzy śród nich „jako dwie świecili kozyry, obom rycerska postać każdy bohatyry, z kroju, stroju, z humoru, z kształtnéj ciała tusze poznał, i zgasły brody na ich animusze“ (344).

Jowialność szlachecka będąca w istocie dziecięcą wesołością ludzi nie znających wyższych celów życia, wyzwolonych od wszystkich uciążliwych obowiązków, zamykających oczy na klęski publiczne i upadek polityczny kraju, szukających jedynie w aktach życia publicznego i prywatnego sposobności do zabawiania się i upatrujących we wszystkiém jakieś śmieszące strony i rysy — występuje dość często u Potockiego. Opisując tak doniosły i uroczysty akt jak zawarcie pokoju, nie może utrzymać powagi, jakiéj zarówno od historyka jak poety wymagamy i oczekujemy. Jak uczeń, który mimo swéj pilności i przykładnego sprawowania, szuka skwapliwie, czy w osobie nauczyciela lub kolegi, czy w treści lekcyi lub drobiazgu życia powszedniego, pobudki do żartów i śmiechu, stanowiącego fizyczną potrzebę jego natury: tak i Potocki, mimo podniosłych pobudek, mimo idealnych celów swego poematu, nie może oprzéć się pokusie wyszukania przedmiotu do śmiechu, gdzie tylko ma do tego najmniejszą sposobność. Gdy po dopełnionych formalnościach Wezyr zaprosił posłów do swego namiotu, przyjął ich wschodnim obyczajem słodyczami i chłodnémi napojami, a stosując się do zwyczajów europejskich, wniósł zdrowie posłów trunkiem „wody czystéj z farfury złocistéj ze świeżéj ambry perfumem; tak skoro koleją wszyscy w się po puharze wody onéj wleją, zacznie drugą pan Bełzki za cesarskie zdrowie: na co razem klęknęli wszyscy wezyrowie — a potém go niedługo zadławili sami wolałby ich kwitować z ceremoniami. Trzecią wypił Sobieski, jakby wytarł płatem za zdrowie wezyrowe wraz z całym senatem.“ Na samą myśl, iż Polak mógł wnosić zdrowia perfumowaną wodą, wybuchał śmiechem tak opowiadacz tego szczegółu, jak i powtarzający go Potocki, który dla tém większego efektu dodaje, że wodę tę „z najbliższego popijano stoku“ zapominając, że poprzednio wspomina, iż miało to miejsce przy świetnie zastawionym stole w namiocie wielkiego Wezyra. „Idą ci (posłowie z powrotem do swego namiotu), coraz zimna porywa ich febra, bo

mało z nich nie dopił każdy wody cebra“ — dodaje swoim już konceptem rozweselony kłopotliwem położeniem posłów poeta.

Załatwiwszy wszystkie formalności i ułożywszy się z Turkami co do obustronnego odwrotu wojsk, wracają posłowie do obozu „jakoby kto wołu z pługa wyprzągł“ i stawają „z wesołą twarzą i obrotem“ śród rycerstwa, które ich wyczekuje, zostając „między młotem a kowadłem: serce grzeje nadzieja, strach ziębi przejęty.... czy przymierze i do dom abszejt pożądany czy w dzień z głodem, w noc ze snem, w dzień i w noc z pogany uprzykrzone zapasy?“ To też gdy z ust Żórawińskiego usłyszą tak pożądaną wiadomość o zawarciu pokoju i rozpoczętym odwrocie Turków „ledwie z wielkiéj pociechy nie wyskoczą z skóry, gdyby im kto na czołach zrobił apertury— powiada konceptujący przy sposobności Potocki.— Tenci koniec był wojnie, która im straszniejsza tym téż dzięka wielkiemu Bogu powinniejsza za Jego świętą pomoc: On nam sam hetmanił, On pogaństwu tak harde bezpieczeństwo zganił.“ To téż wracając do poważnego nastroju, poeta kończy swą różno-barwną i różno-tonną opowieść dziękczynnym, uroczystym hymnem: „Tobie, tobie monarcho szerokiego świata.... Tobie w piersiach, podniosłszy tryumfalne palmy, święty pacan przez hymny głosimy i psalmy.... Twoja to Wiktorya, Twój fest... że Turczyn... który wielkie kruszył fortece i narody gładził o szczyptę Twoich ludzi, jako kosa o kamień zawadził..... Tyś nasze z lwiéj paszczęki wydarł z Danielem, z Jonaszem na dnie morskiem z wielorybich księńców i z ognistego pieca jako trzech młodzieńców..... Ofiaręć na serc czystych kładziemy ognisko..... Chciéj... zdarzyć... aby pokój w téj koronie wiekował ku Twéj chwale świętéj, a z nas grzechu wszelakie wykorzeń ponęty, pobożność, mądrość, miłość i insze pożytki, rozmnóż Ducha świętego, a przemierzłe zbytki... niech z nas Twa prawica wyplewie; daj w ojczystéj swobodzie, w rządzie, w dobréj sile wyżyć téj śmiertelności zamierzone chwile.“

Temi słowy skończył w ostatnim dniu 1670 roku swój poemat Potocki, w radosnym nastroju ducha, pełen ufności, iż wszystkie oczekiwane przezeń zmiany w życiu i losach społeczeństwa polskiego ziszczą się wkrótce z pomocą Boga i wybranego przezeń narzędzie króla-Piasta.

VIII.

Jak przy każdéj sposobności podnosi Potocki zasługi swych współziemian małopolskich, wygłasza swe ukochane idee i zaleca ulubione cnoty; tak również nie zapomina o tych, co zasłużyli na

jego nienawiść zarówno stanach jak osobach, ideach jak wadach współczesnych i z całą siłą sarkazmu odtwarza w zjadliwych rysach nienawidzone postacie, gromi wstrętne sobie dążenia i wytyka ujemne strony społeczeństwa.

Głównym przedmiotem nienawiści są panowie, których zniewieściałość i samolubstwo odmalował, jak to już widzieliśmy, w tak prawdziwych choć jaskrawych obrazach, a przytém ród Wazów, z którego jeden tylko Władysław IV cieszy się względną pobłażliwością poety, prawdopodobnie dla żywionego przezeń choć nie ziszczonego zamiaru wielkiéj wyprawy na Turków. O jego pomniejszych wyprawach i panowaniu nie wspomina nigdy, żartuje sobie tylko, że przeleżawszy przez cały czas bojów chocimskich w łóżku, był „w aptece, nie w obozie," a mimo to w czasie swéj podróży za granicą odbierał ciągłe owacye za te niepołożone zasługi, „sławą odęty pełne panegiryków prowadził okręty" ale „w cudze ozdoby, w cudze pstrzyć się piórka nie siedziawszy na koniu, nie widziawszy turka, ujma cnocie hetmanów." Przecież „Bóg widzi czyj kogut, czyj baran z wysoka, niech się pstrzy, niech rzegoce, zawsze sroką sroka" (str. 359 i 360). Za to nie żałuje Potocki zjadliwych docinków Zygmuntowi III, pomimo, iż z jego panowania zaledwie ostatnie lata mógł pamiętać. Już w przedmowie wylicza cały szereg zarzutów, małoznaczących zresztą, któremi zniechęcił ku sobie szlachtę,—„nienaprawione obyczaje, konwersacye z ludźmi swego, dalekiego od polskiego honoru, narodu, nie królewskie piły i kręgli zabawy, odmiana dworu polskiego na niemiecki, za onych harcerzów, których Stefan czterystu z synów koronnych przy boku swoim chował i kochał, dragonów i alebartników wprowadzenie, ze dwiema siostrami austryackiemi, *sine consensu Reipublicae*, ożenienie i t. d. Nie wspomina tu przecie najważniejszego, choć niewypowiadanego głośno przez małopolan zarzutu, iż z przeniesieniem stolicy do Warszawy, szlachta mało-polska straciła swe dawniejsze polityczne znaczenie i wpływ na bieg spraw publicznych i w tém było główne źródło jéj niechęci i opozycyi przeciw Wazom. To téż korzystając ze sposobności, jaką mu dostarcza opieszałość Zygmunta III, zabawiającego się polowaniem we Lwowie i trzymającego przy sobie całe pospolite ruszenie, podczas gdy pod Chocimem rozstrzygały się losy kraju, nie szczędzi Potocki jaskrawych barw dla odmalowania jego wzgardliwéj obojętności na dobro powierzonego jego pieczy kraju.

Gdy podczas łowów królewskich przybywa poseł z listami od hetmanów, Zygmunt włożywszy nieczytane pismo „w skórzane pludry, w drugą zaraz dolinę ogary założy," albowiem „psie gony milsze

mu niż sława dobra, niż całość korony.“ To téż „o wojnie jakoby o wilku żelaznym kto mu bajał,“ on tylko „pilen łowu zajęczego.... z stem tysięcy młodzi sarmackiéj siedzi w miejscu; takci kiedy wodzi kaczka młode kurczęta, nie masz zgody: bo kury chodzą, kaczka pływa.“ Dopiero kiedy odbiera wiadomość o zawarciu pokoju, zaczyna odgrywać komedyą wojennego zapału i grozić, że skoro bez niego zawarto traktaty, on nie zważając na te umowy, „pójdzie za turki w pogonią“ po za „Dunaj i Bałchany śnieżne i nie oprze się aż nad Hellespontem... A gdybyś w serce wejrzał niesłychanie cieszy, że jutro do kochanéj Warszawy pośpieszy.... Spać raczéj nie wojować.“ Zresztą zdaniem poety lepiéj się stało, że „leniwy jak żółw“ Zygmunt nie zdobył sobie wieńca sławy, który komu innemu przeznaczyły „niebieskie archiwy.“ Gdyby był „Piastem, mógł był dopiąć korony, która doczekała sobie obiecanego Michała.“ Jan Kazimierz znowu to „ptak obcy rodem,“ który „wodząc dzieci orła biało-piórego zdzicze i w cudzy kraj ich w kłopocie odleci“ (str 178), to „głowa źle przystająca do ciała“ (Rzeczypospolitéj). Na dworze królewskim réj wodzą „metresy, karli, skrzypkowie, pochlebce,“ a „szedziwego starca zdrowa rada“ wzgardę spotyka. Równie surowym jak dla królów jest i dla współczesnego społeczeństwa, nie poprzestając na podanych powyżéj satyrycznych obrazach, uzupełnia je i powtarza niejednokrotnie z małemi odmianami. Wspomniawszy, iż w armii tureckiéj było dwanaście tysięcy janczarów, podczas gdy ze skarbu wydano pieniądze na dwadzieścia, ale na ośm skradziono, zwraca się ku swemu społeczeństwu gdzie te same dostrzega nadużycia: „kto li temi czasy pańskiéj bez interesu podejmuje się kasy? Każdy tam pragnie służyć kędy okrom myta choć co ukradnie, nikt się o to go nie spyta. Nie regiestr do sumienia ale do regiestru sumienie mając pogotowiu.“ Chciwość tę rodzi zbytek.

Nie poprzestajemy na tém co własna ziemia wydaje, choć mając „chleb a piwo i tłuste mięso z chrzanem“ przy zdrowiu „dłużejbyśmy żyli i starzy i młodzi, każdyby z nas trzech Węgrów przesiedział na świecie.... Nie znanoż dawno pieprzu, kanaru, cymentu, apetyt by każdemu miasto kondymentu“ to téż „patrzmy co za ludzi miały tamte wieki, którzy nam tę ojczyznę dali do opieki.“ Dziś gdy „na wszystkie posyłamy światy po trunki, po korzenie, szkiełka i bławaty, nikt do nas.... w tém kmiotków naszych poty, w tém toną ich prace.“ Za zbytkiem idzie zniewieściałość. „Ledwie że nie z nogami drugi dzisiaj wlezie w szyszak przodka swojego, puklerza nie dźwignie, pod mieczem jako wyżeł do ziemi się przygnie, ledwieby i ostrogę uniósł na ramieniu.... Zbytkami nieszczęsnymi, łakomymi garły, samiśmy się w pigmeów postrzygli i w karły... Co żywo na nas jeż-

dzi i wszyscy nas lubią, wszyscy nas jako własne gąski skubią.“ Tu kreśli Potocki wymowny, tragiczny w swéj satyryczności, obraz tego rozpadania się organizmu państwowego, szarpanego przez najbliższych sąsiadów. „Wziął turczyn Wołochy, Inflanty z Estonią szwedzi, niemcy Prusy trzymają, węgrzyn czyha na Śpiż, wzięto nam część Litwy i całe Zadnieprze... A toż wina, hatłasy, sobole i pieprze. Nie lepiejże nam było w starożytnym trybie zostając, to jeść, to pić, w tém chodzić, na skibie co się rodzi ojczystéj a durnym narodom prawa dawać i wielkim rozkazować grodom?“ (str. 176 i 177). Przy takiéj bezsilności jesteśmy na łasce sąsiadów, „teraz się wszyscy cieszą śmiele wilcy polskiéj wolności i nieprzyjaciele“ a my przeciw ich potędze nie możemy stawić żadnéj zapory. „Wisła?.. co sucho ją pewnie zbrodzą kury.... fortece? Kraków?... samychby dział burzących spadł na ziemię grzmotem.“ Kto rachuje „że sąsiad z posiłkiem przyjedzie jakobyś téż budował na marcowym ledzie... z braciéj szlachty nie wiele rozumiem pociechy.... drugi jako żywo nie służył, mów ty: wojna, a on będzie: żniwo“ (str. 192). Czyż w tych rozumowaniach nie odbiły się w całéj świeżości szlacheckiego humoru, języka i logiki, pogadanki polityczne ówczesnych poważniejszych i rozumniejszych ziemian małopolskich?

Jak z pomiędzy nich wyszła inicyatywa konfederacyi Tyszowieckiéj i wybawiciel ówczesny Rzeczypospolitéj— Stafan Czarnecki, tak w dalszym ciągu konsekwentnego przeprowadzania zamiaru odrodzenia Rzeczypospolitéj, przez powrót do staropolskich urządzeń, obyczajów i męstwa, występują oni pod wodzą Lubomirskiego w energicznéj opozycyi przeciw dążeniom partyi francuskiéj i uwieńczają wreszcie swe usiłowania wyborem upragnionego Piasta w osobie Michała Wiszniowieckiego. Potocki, który rozpoczął pisać swój poemat z zamiarem rozbudzenia w sercach całéj szlachty dawnego męstwa, dawnych cnót i miłości dla staropolskich obyczajów, wierząc, iż na téj drodze jedynie można było przywrócić Rzeczypospolitéj dawną potęgę, widział w królu Piaście pierwszy, nieodzowny warunek téj moralnéj reformy, to téż wybór Wiszniowieckiego powitał z taką radością i zapałem.

W wyobraźni Potockiego elekt ten, jako wnuk Jana Zamojskiego i syn Jeremiego, ukazał się odrodzicielem ducha rycerskiego i narodowego obyczaju. Bóg „rozegnawszy niemieckie żołny, francuskie papugi, węgierskie kruki, szwedzkie sępy, gwiazdy swoje na własném umieścił niebie“— powiada poeta— robiąc aluzyą do gwiazdy mieszczącéj się w herbie Wiszniowieckich. Imię tego Bożego zesłańca, którego patron niebieski zwyciężył piekielnego smoka, zapowiadało, że i on nietylko „przezwiskiem Lech (Michael=Jam Lech)

i samą rzeczą mścicielem krwi szlachetnéj będzie i odsieczą“ (str. 356). Urodzony w obozie, wychowany w zbroi ojcowskiéj (str. 52) skupi on w swéj osobie „jakoby w jeden kościół“ doskonałości i cnoty tysiąca rodzin szlacheckich, z któremi pozostawał w pokrewieństwie. „*Jam Lech* — zapowiada przez usta swego wybrańca poeta— spustoszone osiadłości dziedzictwa orła białego, odarte i obnażone z dawnéj sławy, tytuły jego zdeptane, oblane krwią tak obficie przez dwanaście wieków zaszczyty zdobyte i nagrody cnocie oddam, oraczom role, kościołom ołtarze i koronie mojéj dawny blask przywrócę“ (str. 54).

Dokonawszy tego cudownego odrodzenia w powierzoném jego pieczy społeczeństwie, powiedzie ten król-wódz hufce pałających wiarą i męstwem rycerzy na wielki bój z wrogami Boga, kościoła i ojczyzny. „Jako we dnie, niebieski przed słoneczném światłem księżyc blednie, tak ziemski (turecki półksiężyc) przed niebieskim, zwłaszcza kiedy z krzyżem się złączy (herb Wiszniowieckich), padnie paraliżem.“ Z pomocą Bożą „Azya, pod tym tytułem, pod którym upadła, pod tym samym wstanie i wolności drogiéj nabywszy, w chrześciańskie wróci katalogi.“ Że jak pod Michałem Paleologiem uległa przemocy niewiernych, tak za sprawą Michała, zesłanego przez Boga odzyska swój byt samoistny. Już Tacyt, zdaniem Potockiego, „prorokował inwestyturę tego króla na tron polski“ (str. 55). Cudowne znaki towarzyszące wyborowi Michała świadczą, iż jest przez Boga zesłanym, „któremu nie nowina nie z książęcego jako u nas domu, ale z pasterskiego królów wysadzać szałasu.... Już zaszedł niepogodny sierpień, który swoje pognoił snopy“ (herb Wazów).... co je „żaba obje i chróściel wyżobie bezkarnie.... (str. 356) a wrzesień (miesiąc elekcyi) nam szczęśliwéj nadziei nowego posiewu na różanym wozie pośrodku niebios wstępuje“ (str. 63).

Napróżno jednak Potocki wraz z całą szlachtą wyczekiwał od upragnionego Piasta tych wielkich dzieł, jakie wraz ze stanem rycerskim miał dokonać, udzielając mu swych cnót i zapału. Ten, przez Boga zesłany Michał, okazał się o wiele nieudolniejszym królem niż jego znienawidzony poprzednik. Małżeństwo z austryaczką, zabranie Kamieńca przez Turków, haniebny pokój w Buczaczu, swobodne rozpościeranie się po kraju zagonów tatarskich, a wreszcie konfederacya gołąbska, która odsłoniła upadek i ducha rycerskiego i ducha obywatelskiego śród tłumów szlacheckich, kłócących się i bijących zamiast ruszać na Turka — rozwiały stopniowo nadzieje i złudzenia poety. „Nowy Merkuryusz“ jest ciekawym bardzo wyrazem uczuć i pojęć Potockiego, wywołanych wiadomością o wzięciu Kamieńca i haniebnych warunkach traktatu buczackiego. „Haracz dają oni —

oni, mówię—Polacy, co złotą swobodą wszystkie świata narody dotąd w oczy bodą.... Ah kędyż staropolskie w szlachcie animusze! Dopiero widzisz smutne wolności frymarki, gdy im ku większéj hańbie a swojéj pociesze, lada żyd, lada cygan kijem grzbiety czesze!" Ze smutkiem i goryczą doznanego zawodu przemawia do króla: „Nie stój, Michale, nie stój!—Mars pole otworzył, długoż będzie skubł pierze pod Lublinem orzeł?.... Przejrzyj się w Bolesławach, Zygmuntach, Stefanach.... patrz w przodków twoich gniazda... im wyżéj nad inne weszła twoja gwiazda, tym jaśniéj ma świecić nad obliczem ziemie, a choć tak jak Janusze, Dymitry, Jeremie.... Niech turczyn nie urąga językiem zuchwałym, wziął Stambuł i Kamieniec weźmie pod Michałem.... niech tryumf odniesiem u świata, że nam nie żal gdy królem mamy swego brata. Niech nie urąga węgrzyn, francuzi i szwedzi, że tylko *koła* robim gdy Piast w tronie siedzi...." Szczera boleść, zawiedzionego w swych najdroższych uczuciach i nadziejach poety, przebija się w tém wymowném tak wezwaniu przechodzącém w gorzki wyrzut miejscami. Na szczęście wschodząca podówczas gwiazda Sobieskiego, obudziła na nowo otuchę w sercu Potockiego, i zwróciła całą uwagę i całą miłość jego ku osobie dzielnego pogromcy Turków.

Wobec téj rycerskiéj postaci, przy któréj blasku znikła blada figura króla, pocieszony poeta mści się za swój zawód, żartując lekceważąco ze swego niedawnego ideału w wierszu: „Koszty ogromne na pospolite ruszenie pod Gołąb" (*Wety parnaskie* str. 438). Opowiada tu, iż król Michał dla wystraszenia Turków z Podola, kazał porobić ogromne kotły na czterech doboszy tak wielkie, iż cała skóra bawoła ledwo wystarczała na obszycie jednego, a każdy musiał być umieszczony na oddzielnym wozie. „Pewnie tak srogich bębnów przestraszony echem, uciekłby był poganin z Kamieńca przed Lechem, rozumiejąc, że tyleż serca tyleż ma sił" — powiada poeta — wyśmiewając tak uwielbionego niedawno króla-Lecha. „Kotły one— dodaje uszczypliwie — miały być przy Jagiełłowych mieczach powieszone," ale gdy nie mogły się zmieścić w ciasnych drzwiach skarbca królewskiego w Krakowie „przysądzono (je) piwu.... Niech nie będzie nikomu postępek ten dziwny, alboż nie gorzałczany obóz i nie piwny" (pod Gołębiem), z którego „na wieki się korona polska nie wyszuma" (1).

---

(1) W tym zawodzie i zwróceniu się uczuć i nadziei poety ku Sobieskiemu, upatrywać należy główny powód nieogłoszenia drukiem „Wojny Chocimskiéj;" idei przecie która mu przewodniczyła w tym poemacie, nie przestaje Potocki nadal wiernie służyć i stara się ją w praktyczniejszy sposób urzeczywistnić w „Poczcie herbów," który

Zawód ten choć bolesny nie trafił u Potockiego na umysł nieprzygotowany do tego rodzaju niespodzianek, choć skłonny do zapału i egzaltacyi, ze swego szlacheckiego, polskiego temperamentu ulegał on, tak pod wpływem doświadczenia życiowego, z którego umiał korzystać jak i książek ascetycznych, które z upodobaniem czytywał przystępom zniechęcenia, zwątpienia i filozoficzno-religijnéj pogardy dla życia. Przedstawiając bezsenną noc znękanego niepowodzeniami Osmana i kłopoty pozbawiające snu Chodkiewicza, z uśmiechem filozofa zaznacza jak „nie śpi stary Chodkiewicz, nie śpi Osman młody, jeden myśli o drugim" podczas gdy ziemia „co dopiero strasznym grzmiała zgrzytem, jako makiem zasuta śpi pod cichym cytem." Jakże śmiesznémi są ludzkie porywy, i zapędy „nie mogąc na swém ciele czarnego włosa białym uczynić" człowiek tak wiele przedsiębierze „nie wiedząc że to jest już w druku o co ty biedną głowę trudzisz do rozpuku." Bóg z uśmiechem patrzy na ludzkie wysiłki a człowiek zwykle osięga to czego się nie spodziewał. „Nie być wam na tych godziech gdzie mierzycie oba, powiada poeta do Osmana i Chodkiewicza, ciebie starcze już blizka dogryzie choroba a młodziak spadłszy przykro z swéj nadziei szczytu i półrocza na świecie nie będzie mieć bytu". Jedyne to miejsce w poemacie w którym Potocki z wyższego punktu widzenia spojrzał na strony walczące i wzniósł się do zupełnéj objektywności w swéj refleksyi.

Ludzie przecie w swéj niewiadomości jutra, nie myślą ani o przygodach jakie mogą pokrzyżować ich plany, ani o śmierci która lada chwila może położyć kres ich zabiegom i z całym zapałem oddają się rozmaitym zajęciom, dążeniom, upodobaniom. Znać ziemianina myśliwca w tém długiem wyliczaniu zatrudnień ludzkich, bowiem opisowi łowów poświęca połowę całego ustępu a drugą w znacznéj części rolniczym zatrudnieniom (str. 318 i 319). Zajęcia rzemieślnicze pomija zupełnie poeta i kończy poczet tych prac ludzkich mozołami uczonego, który „w księgach utonął i by go kto spytał, czego się przez wiek swój tak długi doczytał? Mniemam, że na odpowiedź myśliwszy ze trzy dni, rzekłby: że wszystko próżność! snu i nocnéj bredni rówien świat i to wszystko cokolwiek na świecie; wszystko bywszy nie będzie bo śmierć wszystko zmiecie." Z tym pessymizmem mędrca izraelskiego łączy Potocki stoicką zasadę rozwijaną przez Senekę

---

dedykuje całemu rycerstwu walczącemu pod wodzą ukochanego króla bohatera Sobieskiego. W tym olbrzymim rymowanym herbarzu (opartym na pracy Okolskiego) chciał on przypomnieć każdemu po szczególe rodowi zasługi przodków i ciążące na nim obowiązki obywatelsko-rycerskie, tudzież oddzielić prawdziwą starożytną szlachtę od „hybrydów," jak się wyraża w przedmowie.

że człowiek „póki tylko żyje, póki tylko ziewa zawsze albo się boi albo się spodziewa" i za swym rzymskim mistrzem przedstawia cały szereg niewolników pewnéj namiętności. Oto palony żądzą wyniesienia się „w kruchéj cegle wystał już jakoby za pokutę dołek „byleby nie minął go stołek, skąpiec znowu śród bogactw nagromadzonych umiera w nędzy „gdy drudzy jedli, pili on połykał ślinki." Ten znowu dumny „faworem pospólstwa w niebo pluje i stawia z tablatury pięty." Inny znowu dla pozyskania popularności „karmi i poi, trąbi, bębni, skrzypie, wioskę sprzeda ojcowską a pieniądze sypie" niepomny na to że „póki psu dajesz chleba tobą się opieka; przestaniesz? da kto więcéj kąsa cię i szczeka."

Wtedy dopiero przekonywamy się całéj marności naszych zabiegów i rozkoszy gdy „trzeci kur zapieje i przyjdzie nam umierać" wtedy dopiero „gdy śmierć oczy przetrze" poznajemy, że życie nasze było „snem—marą."

Wszystko, za czem ubiegaliśmy się: „sławę, bogactwa rozkosz, świeckie delicye lekki wiatr po znikomém powietrzu rozwieje" a skoro „opadną mgły one i blask sławy szumny, aż niema nic aż nago wleziem się do trumny, jakoś my na świat wyszli." Jednakże okropne skutki tego snu-życia człowiek pozna dopiero „gdy straszne uderzą pobudki" i „trąba anielska" powoła na sąd ostateczny, na który poeta, przybierając ton kaznodziejski wzywa przedewszystkiém wszystkich „wielkich" tego świata co „nad duszami i nad ciały"... berła mają albo pastorały."

Tak zapatrując się na życie Potocki, za Horacym i rozwijającymi jego myśl poetami polskimi XVI i XVII wieku, szuka szczęścia prawdziwego w cichem, ustronném życiu i swe pragnienia wypowiada w pięknym, wymownym i poetycznym ustępie:

„Mnie w odległém ustroniu splacheć méj ojczyzny
Niechaj zmarsku i późnéj domieści siwizny;
Niechaj żywszy dalekim świata tego burze
Na tém tylko przestając co dosyć naturze,
Lubym wczasem bez potu, bez pracy okryty
Swobodnych dni i wieku tutecznego syty
Płynę do kresu, gdzie się kończą lata człecze!
Niech mnie z nich wyprowadzi śmierć, a nie wywlecze
Starego ziemianina co ma dosyć na tém
Że się sam zna z obłudnym choć się nie zna światem,
Który dosyć wysoko swą fortunę ceni
Gdy ani upaść może ani się odmieni;
Cnotą zaś, co i w grobie nie boi się straty,
Wszystkie takie na świecie przeniósł fortunaty!

W wyznaniu tém widzićć należy nie tyle samochwalstwo ale naiwną szczerość poety wypowiadającego bez wąhania własne myśli. Dokonawszy obrachunku ze swém sumieniem i nie czując się winnym tych ciężkich wykroczeń przeciw moralności, jakie dokoła siebie widział zarówno śród magnatów i dostojników jak i w średniéj szlachcie, nie dostrzegłszy w sobie żadnéj z tych namiętności, które wiodą człowieka ku upadkowi i bolesnym zawodom, uczuł się wyższym nad tłum niewolników żądz swych i kaprysów fortuny, nad liczny zastęp skalanych brudnémi i występnémi czynami a mimo to zajmujących wysokie godności i ztąd śmiało twierdzi, iż cnotą swą tj. wiernem spełnieniem obowiązków i hamowaniem żądz „wszystkie takie na świecie przeniósł fortunaty.“

O ile pod względem moralnym góruje istotnie Potocki nad ówczesném ziemiaństwem miłością dla wyższych celów życia i podniosłém pojmowaniem obowiązków człowieka i obywatela, o tyle znowu stopniem swego umysłowego wykształcenia jest wiernym synem pogrążonéj w ciemnocie epoki.

W czasie pobytu w szkołach krakowskich zaznajamiał się on z tém co dla ówczesnego szlachcica było najpotrzebniejszém, co jednało mu poklask na sejmiku proszowskim i poważanie w stosunkach sąsiedzkich; a więc z pisarzami klasycznymi których utwory objaśniały mu życie i instytucye polityczne świata starożytnego, a co najważniejsza dostarczały wzorów wymowy i zasobu obrazów, porównań, faktów, sentencyj potrzebnych jako argumenta i ozdoby dla każdego utworu literackiego, przemówienia publicznego, nawet listu prywatnego i poufnéj pogawędki przy kielichu (1).

Odpowiednio do potrzeb słuchaczów i własnych pojęć o przedmiocie profesor ówczesny w wykładzie autorów starożytnych, zwracał uwagę gównie na retoryczne piękności sentencyi i zwrotów, uwydatniając je nie krytycznym rozbiorem ale ogólnikami wygłaszanémi z nadętą deklamacyą; zastanawiał się nad cudownością przygód i czynów bohaterów i bogów, objaśniał szczegóły mitologiczne i figury retoryczne z pomocą dawnych komentatorów, nieośmielając się własnéj wytworzyć opinii. Sam dźwięk uroczyście wygłaszanych słów, powaga języka któremu kościół nadał znamię świętości niemal, poważny strój nauczyciela, mrok panujący w słabo oświetlonych, sklepionych izbach szkolnych, wszystko to oddziaływać musiało na

---

(1) „Szlachcic byle się sprzedać po łacinie nie dał; byle rozumiał w kościele i grodzie (krzywda cudzym językiem w swym mówić narodzie), byle umiał Tacyta zażyć z Cyceronem a Seneki do tego, dosyć jest uczonym“ (str. 70) powiada sam poeta oznaczając stopień swych wymagań.

młodą wyobraźnię i odwracało uwagę słuchaczów od myśli zawartych w wykładanym autorze, odurzając ich do pewnego stopnia i budząc uczucie religijnéj czci dla tego świata starożytnego, w którym ukazywano im wzór niedoścignionéj doskonałości w zakresie życia politycznego i świeckiéj mądrości. Kazania, z jakiémi dotąd jeszcze można się spotykać po niektórych wiejskich kościołach, przechowały nam dalekie echo formy a po części i metody tych wykładów szkolnych w wieku XVII. Jestto ten sam ton patetyczny utrzymujący się od początku do końca bez względu na treść, to samo popisywanie się z erudycyą nieusprawiedliwioną wymaganiami samego wykładu, to ciągłe odchodzenie od przedmiotu dla przytoczenia jakiejś wyszukanéj anegdoty lub szumnéj sentencyi, to samo prawdopodobnie dodawanie znaczenia swym słowom przez wygłaszanie ich z przesadną krzykliwą deklamacyą. To jednak co nas dziś śmieszy i wydaje się niedorzeczném, w ówczesnych słuchaczach budziło przyjemne wrażenie a może nawet podziw i zachwyt, względnie naturalnie, dla znacznie mniejszego stopnia wrażliwości ówczesnego pokolenia lubującego się przedewszystkiém w „akcencie wspaniałym" i donośnym głosie mówcy (1). Prawda naturalnie ulatniała się tu zupełnie, gdyż ani patetyczność nie wypływała z serca mówcy, ani podniosłość tonu nie opierała się na podniosłości wygłaszanych myśli. Czyż i dziś jeszcze dla mas ludowych, hałaśliwa fanfara muzyki wojskowéj nie wydaje się wielekroć piękniejszą od symfonii Beethovena z całem bogactwem jéj harmonicznych i instrumentalnych kombinacyj, odtwarzających tak subtelnie pomysły mistrza? Rzecz naturalna, iż uczeń biorąc miarę z wrażenia, jakie na nim i kolegach sprawiał wykład nauczyciela (mam tu na myśli przedewszystkiém wykłady w akademii krakowskiéj) starał się zawsze myśli swoje wyrażać, na piśmie mianowicie, w takiéj formie, dobierać dla nich takich wyrazów, obrazów i porównań, jakie najlepiéj nadawały się do podobnego wygłaszania.

Treść tych wykładów zapełniała umysł ale go nie zbogacała, nie rozwijała wcale, obciążała pamięć ale nieuzdolniała do myślenia i sądzenia samoistnego. Nie wytwarzała ona w umyśle słuchacza choćby najuboższéj grupy pojęć powiązanych z sobą w pewną organiczną całość, mogącą ulegać dalszemu rozwojowi i przekształceniom drogą przyswajania nowych idei. Przedewszystkiém wykłady te nie dopuszczały do świadomości ucznia tego wszystkiego co dokonała ludzkość od końca epoki starożytnéj zarówno w życiu dziejowem jak w sztuce, literaturze i nauce. Młodzieniec, który czyto słuchając prawa czy medycyny, matematyki czy gramatyki, astronomii czy reto-

(1) *Wojna Chocimska* 346 str.

ryki spotykał ciągłe powoływanie się na greckich i rzymskich mistrzów, których prawidła, określenia i rozwiązania przedstawiano jako ostatnie słowo nauki i prawdy niewzruszone, uważał się za dosyć uczonego gdy sobie przyswoił tę mądrość starożytną i nie przyszło mu na myśl nawet, by można było wątpić o nieomylności starożytnych lub własném badaniem posunąć naprzód wiedzę, odkryć nieznane prawdy. Jeżeli próbował zastanawiać się samodzielnie nad treścią własnéj wiedzy, to dochodził bardzo logicznie zresztą do téj dziwacznéj filozofii dziejów, jakiéj próbkę podaje nam Potocki w przedmowie do „Wojny Chocimskiéj". „Rzecz podziwienia godna, powiada on, że jako w cnocie tak i w dowcipie pierwsze one wieki siła mają przed nami. Za cóż teraz pisma nasze, kazania, oracye, listy nawet stoją bez dawnych autorów, których jeśli nie wszystkich inszémi słowy, tedy wielką część w uczonych recytujemy sentencyach... Wiek nasz i eksperyencya starszym będąc dwiema tysięcy lat a *dies diem docet* siła ma przed wczorajszym i nową niebieską nauką wsparty miał *utroque excellere* (w obu przodować)... ale za nim w obojgu mydło wozimy." Wyszukując następnie przyczyn tego zjawiska dochodzi do przekonania, iż prawdopodobnie sześć tysięcy lat ma stać „budowa tego świata" mianowicie dwa tysiące rość aż do czasów Abrahamowych i podania zakonu Bożego; dwa tysiące w perfekcyi i sile aż do narodzenia Zbawiciela naszego; dwa tysiące do starości i końca swego."

Nic więc dziwnego iż „lata nasze wszystkie, duchowne porzuciwszy ćwiczenia w nauce i cnocie, świat ten przyrodzonym biegiem ziębnący i już dogorywający, zbytkami i rozpustami... budzą"...

Treść jednak téj najwyższéj mądrości starożytnego świata nie przedstawiała prawie żadnego związku z praktycznemi potrzebami, dążeniami i uczuciami ówczesnego życia. Był to prawdziwy „kwiatek przy kożuchu," sprzęt zbytkowny, z którym nie umiały się obchodzić prostacze stosunkowo umysły. Ztąd głębsze zastanowienie się prowadziło je do przekonania, że cała mądrość ludzka to „sen i nocne brednie," że zbyteczne wysilenie umysłu, że uczoność Greków i Rzymian doprowadziła do upadku te ludy, że podobnież przejęte od starożytnych mądrość a od Włochów polerowność sprowadziły na Rzeczpospolitą szereg klęsk, które omal że jéj nie zgubiły (Twardowski) że więc jedynie wiara, jedynie nauka kościoła podaje nam prawdy i niewzruszone i pożyteczne bo zapewniające żywot wieczny, w obec którego cóż warta mizerna egzystencya na dogorywającym już świecie. Lekceważy więc Potocki naukę i zabiegi mędrków, którzy „co głowa to inaczéj piszą" a między innémi takie niedorzeczności „że ziemię jak pieczenią obrócą na rożnie, słońce w mecie po-

sadzą"; sam przecie nie może pojąć, jakim sposobem „antypodzi, naród człeczy, piętami w nasze pięty godzi, oni nam my się im też dziwujemy wzajem, że w niebo nie przepadną, gdy od ziemie wiszą?" (str. 317).

Jeden przecie z najszkodliwszych wyników ciemnoty umysłowéj, w jakiéj ze swym przedstawicielem Potockim pogrążony był cały stan szlachecki, stanowiło ogólne przeświadczenie o doskonałości politycznego ustroju Rzeczypospolitéj, wskutek której wszystkie ludy z zawiścią patrzą na polską wolność i nie mogąc jéj posiadać, radeby ją zniszczyć. Choć współczesny Starowolski i garstka światlejszych umysłów, znających koleje rozwoju dziejowego i warunki bytu politycznego państw zachodnich, pojmowała całą szkodliwość téj wolności, niedającéj przecie ani bezpieczeńtwa ani należytego wymiaru sprawiedliwości, jakim cieszyli się przecie poddani wschodnich sułtanów i despotów, (1) jednakże dla upartych w swéj ciemnocie i dumnych w fałszywém pojęciu ludzkiéj godności, wolność ta a raczéj samowola stanowiła znamię wyższości narodu polskiego i jako najdroższy klejnot musiała być zazdrośnie strzeżoną i rozpaczliwie bronioną przed wszelkiémi zamachami. Jeżeli inne państwa europejskie odmawiają Rzeczypospolitéj pomocy przeciw Turkom, czynią to dla tego, jak mniema Potocki, iż „wolność nasza im w oczu solą", że pragnęliby" po polskiéj wolności deptać grobie." Rozumniejsi i zacniejsi z pomiędzy szlachty czuli i pojmowali jednak, że tylko cnota i dzielność rycerska czynią człowieka godnym posiadania tego klejnotu, że trzeba „zwyciężyć siebie" i pełnić sumiennie obowiązki człowieka i obywatela, by zasłużyć na miano szlachcica i korzystać ze złotéj wolności, ztąd to wszyscy poeci, kaznodzieje, publicyści pracują nad poprawą obyczajów, szukając w umoralnieniu obywateli nie zaś w przekształceniu ustroju politycznego, ratunku dla upadającéj Rzeczypospolitéj.

Lekceważenie rozumu i wzgarda dla rezultatów jego usiłowań, choć prowadzi szlacheckie umysły ku mistycyzmowi i dewocyi, ma przecie swe źródło nie w niewolniczéj uległości dla dogmatu i hierarchii kościelnéj, lecz głównie w przewadze kierunku praktycznego nad spekulacyjnémi zaciekaniami. Nie widząc możności zużytkowania, tak w prywatnych stosunkach jak w publicznéj działalności, treści udzielonéj im w szkołach filozofii i nauki, nie rozumiejąc piękna stanowiącego duszę sztuki, cenili oni to tylko, co miało związek praktyczny z interesami życia doczesnego i zagrobowego. Doskonalić

---

(1) Starowolski: *Reformacya Obyczajów.*

się w wymowie, obznajmiać z prawem i sprawami publicznemi, wreszcie ścisłém i żarliwém wypełnianiem praktyk i przepisów religijnych zapewnić sobie zbawienie—oto najważniejsze zadania i cele duchowego życia szlachcica polskiego. Nie znał on cierpień sercowych, nie znał walk i burz odbywających się w duszy dzieci XIX stulecia, nie potrzebował szukać w sztuce balsamu gojącego rany wywołane wewnętrzną rozterką i silnie odczuwanémi wrażeniami otaczającego nas świata Natura nie odsłoniła mu swych tajemnic, nie nęciła urokiem wiecznotrwałéj młodości i piękności, nie zdumiewała i nie pobudzała do myślenia cudowną prawidłowością i harmonią zjawisk. Poezya pociągała go jedynie swą realną treścią, historyczną osnową, obyczajowémi obrazami i retoryczną siłą wysłowienia. Szukano w niéj nie ideałów lecz faktów, nie uczuć lecz praktycznych rad i wskazówek, nie piękna lecz prawdy—dziejowéj i obyczajowéj. Poeci ówcześni stosują się naturalnie do pojęć i upodobań, które sami także podzielają, inaczéj bowiem ich utwory, ani zrozumiane ani ocenione pozostałyby bez żadnego wpływu na społeczeństwo.

IX.

Przedstawiając czytelnikowi wewnętrzny układ „Wojny Chocimskiéj", wykazując związki zachodzące pomiędzy pojedynczémi ustępami poematu a interesami, pojęciami i stanem moralnym ówczesnego społeczeństwa, uwydatniając charakterystyczne właściwości tego utworu, zaznaczałem jednocześnie wybitniejsze znamiona saméj jego formy, w któréj Potocki był nietyle tłómaczem wymagań i upodobań swéj epoki, ile doskonałym a bezwiednym stenografem—że tak powiem - chwytającym i utrwalającym dla potomności mowę życia powszedniego, język towarzyski, obozowy, myśliwski. Rozmiłowany w ideach i ideałach nie mających nic wspólnego ze światem starożytnym, poeta, mimo wyniesionéj ze szkół czci dla niego, nie zważa na jego wzory i przepisy, a w życiu codziennem w zajęciach, rozrywkach, pojęciach, ulubionych zwrotach i przysłowiach ziemianina polskiego czerpie materyały do wytworzenia formy niezdarnéj prawda, nienadającéj się do wyrażenia podniosłych uczuć i idei lecz nowéj, narodowéj i przy całéj nieudolności właściwszéj dla wybranego przedmiotu, niż pożyczone od Rzymian lub Greków szaty. Język, którym posługiwał się Potocki, już przestał być ludowym, stracił pierwotną obrazowość, barwność i poezyą, a nie dosięgnął jeszcze gięt-

kości i podniosłości języka wyższéj kultury; była to mowa życia na pół ucywilizowanego, interesów materyalnych przedewszystkiém, język spraw sądowych, dysput politycznych, religijnych, zajęć rolniczych, życia obozowego i sejmikowego. Pierwotna poezya przyrody zaginęła bezpowrotnie, nowa poezya serca i ducha przyjść miała znacznie późniéj dopiero. Jako płod epoki przejściowéj poezya ówczesna nie ma ani swéj właściwéj, odrębnéj treści ani téż nie znajduje materyałów dla wytworzenia narodowéj oryginalnéj formy. Gdy poeta ówczesny przestaje kopiować wiernie wzory starożytne lub włoskie wtedy wykazuje całe swe artystyczne niemowlęctwo, w owładnięciu i zużytkowaniu materyału. Układ „Wojny Chocimskiéj" ustosunkowanie podrzędnych szczegółów do głównéj rzeczy, przyczepienie wtrąconych licznie epizodów do właściwéj treści, przypomina nieudolne dziecięce rysunki, w których człowiek bywa wyższym od domu, przy którym stoi, a dym z komina pod nos mu podchodzi, w których wszystkie przedmioty mieszczą się na jednym planie a wymiary ich i ugrupowanie nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, lecz są wyrazem samowolnéj fantazyi rysownika znajdującego właśnie przyjemność w swobodnym rozmachu swego ołówka. Potocki i w tém jeszcze przypomina takiego młodego rysownika, iż z początku trzyma się wzorów, które zamierza starannie naśladować, lecz wkrótce zniecierpliwiony nie mogąc znosić przymusu, odrzuca wzory i puszcza wodze swemu pióru. Całe szczęście że idea przewodnia, któréj nigdy nie traci z oka, miarkuje te zapędy i nie pozwala zbyt daleko odbiegać od rzeczy. Dzisiejszy czytelnik zyskuje wprawdzie na tych zboczeniach, znajdując w poemacie to, czego się nigdy nie spodziewał tam napotkać, a mianowicie wierne i barwne obrazy obyczajów, epoki nie tyle téj, którą opisuje, ile téj, w któréj pisze, a przytém, obok zapowiedzianéj na tytule parafrazy wierszowanéj „Pamiętników" Sobieskiego, bogatą anegdotyczną kronikę wyprawy chocimskiéj z ustnych czerpaną tradycyi i ciekawe odbicie reformatorskich dążeń ówczesnéj szlachty małopolskiéj.

Ze względu na formę niepodobna podciągnąć „Wojny Chocimskiéj" pod żaden ze znanych w literaturze rodzajów. W ramach poważnego religijno-rycerskiego poematu mieści się olbrzymich rozmiarów gawęda przeplatana satyrycznemi obrazami, filozoficznemi rozumowaniami, panegirykami, kazaniami, mowami i modlitwami,—gawęda wznosząca się chwilami do podniosłości epopei a zniżająca często bardzo do trywialności anegdoty, facecyi. Usuńmy na chwilę podniosłe ideały ozłacające swym blaskiem oblicze osiwiałego poety, a stanie przed nami Jowialski upatrujący we wszystkiém sposobno-

ści do śmiechu, okazyi do wygłoszenia anegdoty lub przysłowia. Czytelnik, którego uczucie rozbudził i nastroił uroczyście poeta, w którego sercu rozniecił zapał dla wielkich celów—wybucha naraz śmiechem wywołanym przez rubaszny żart i zapał jego i podniosły nastrój ducha znika odrazu.

Nietylko to ciągłe przechodzenie „z hymnu do prostéj powieści,“ ale ta co krok napotykana dysharmonia między pojęciami i uczuciami poety, a powszednią, jowialną, realistyczną formą w jaką je przyobleka, zniechęca dzisiejszego czytelnika, rażąc jego estetyczne wymagania i nawyknienia.

Ulubioném źródłem porównań Potockiego jest życie podwórzowe i kuchnia folwarczna. Zniechęceni brakiem żywności, żołnierze mają miny takie jakby im „psi zjedli krupy;“ gdy turcy dobrą otrzymali naukę, stali się ostrożni „jak pies bity, co drugi raz nie pójdzie do kuchni, choćby nań wołać: ciu, ciu,“ to znowu: „pies psa kąsa a iszcze.“ Osman po przegranéj wraca „pod się z chwostem.“ Kandydaci do opieki nad rzecząpospolitą w czasie bezkrólewia po abdykacyi Jana Kazimierza cisną się jak psy do kości. „Każdemu psu kość luba, każdemu łakoma, tym się kąskiem będzie-li chciał szczeknąć udławi.“ Kozacy znowu tak nawykli do nocnych napaści na obóz turecki, „jak gdy komu przez tajemne dziury kotowie się w mięso wnęcą albo tchórze w kury.“

Muzyka turecka podobną jest do głosów „świń zamkniętych,“ król cudzoziemiec to „kaczka wodząca kurczęta,“ Polak wobec nieprzyjaźni sąsiadów musi spać czujnie „jak kur na grzędzie.“ Kule w czasie boju sypią się jak „groch z woru,“ wielkie czyny człowieka to „świece,“ których „knot z cnoty.“ Gdy człowiek z tych czynów daje Bogu „prezent,“ on mu nawzajem „z wierzchem łaskę swą sypie.“ Kłopotliwe położenie, to „rosół.“ Malując swą boleść po stracie ukochanego syna przyrównywa swe serce do kotła, cierpienie do ognia, pod którego działaniem łzy jako „likwor gotujący się w kotle, kipią przez oczy“ i „mózg przeniknąwszy parą,“ znowu wracają „z pluskiem“ do serca.

Jedyny sposób zaradzenia cierpieniom polega na tém, by jak to czyni „mądra kucharka“ ująć likworu „warzęchą do poblizkiego garka.... jest i sposób iny przez szumowiny.“ Naśladując więc postępowanie swéj kuchmistrzyni „żeby się żałość na kupie nie gniotła,“ postanawia „ująć jéj z kotła i rozmazawszy piórkiem po papierze tym, którzy mu jéj dopomogą szczerze użyczyć“ (*Peryody*, II, 389). Ten ostatni przykład, choć nie z „Wojny Chocimskiéj“ wyjęty, dosadnie charakteryzuje jeden z najważniejszych niedostatków ówcze-

snéj poezyi szlacheckiéj, wynikający z braku wyrazów na oznaczenie stanów duchowych i pojęć oderwanych (1).

To ubóstwo języka, przy wykształceniu szkolném na łacinie opartém, wprowadziło do mowy i pisma mnogość łacińskich frazesów i cudzoziemskich wyrazów, cechującą tak zwany styl makaroniczny. Nizki stopień rozwinięcia umysłowego, lenistwo myśli podtrzymujące dotąd w naszém społeczeństwie francuszczyznę, któréj gotowe frazesy pokrywają nieudolność umysłową mówiącego, były również głównym powodem posługiwania się łacińskiemi zwrotami, włoskiemi i francuzkiemi i tatarskiemi nawet słowami, zamiast naginania własnéj mowy i urabiania z jéj pierwiastków nowych wyrazów za przykładem pisarzów wieku XVI. Choć utwory poetów wieku XVII są stosunkowo bez porównania mniéj zanieczyszczone makaronizmami niż dzieła prozą pisane, mimo to nie brak ich w poematach Twardowskiego, Kochowskiego i Potockiego. W „Wojnie Chocimskiéj" na każdéj stronie spotykamy takie wyrazy jak: speza, reza, impreza, fant, randewu, fuga i t. p.; obszerny słowniczek zamieszczony przy końcu pierwszego wydania, a znacznie powiększony przy drugim, daje o tém wymowne świadectwo. Nie tyle ubóstwo języka ile nizki stopień wykształcenia i nieznajomość dobrych wzorów, są powodem rażącego nas niedołęstwa w malowaniu uczuć ludzkich. Osman np. „z jadu puka i omdlewa i naturę łamie w sobie tyran

---

(1) Źródłem, z którego Potocki czerpał wiele obrazów, porównań i wogóle poetycznych ozdób swéj opowieści jest „Jerozolima wyzwolona," nie w oryginale jednakże lecz w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Trzy wydania, których doczekał się przekład ten w ciągu XVII wieku świadczą, jak sam poemat przypadał do upodobań i pojęć ówczesnych polskich czytelników. Bliższe rozpatrzenie się w utworach Twardowskiego, Kochowskiego i Potockiego przekonywa, iż zarówno obrazy i postacie skreślone przez włoskiego mistrza, jako téż i z polska przykrojona szata, w jaką je przyodział tłómacz, wywarły ogromny wpływ na poetów wieku XVII-go i na rycersko-religijny i sielankowo-romantyczny kierunek ich twórczości. Przedstawienie całéj rozległości i doniosłości tego wpływu może być podjętém w osobnéj jedynie pracy, tu poprzestać muszę na zaznaczeniu samego faktu i poparciu go kilku przykładami. Nietylko pomysł zesłania Michała Archanioła na pomoc polskiemu rycerstwu wskutek modlitwy Lubomirskiego, która „niebo przebodła" i obraz ów żalu po stracie syna nurtującego serce, jak ukrop gotujący się w garnku, są żywcem wzięte z „Jerozolimy" (Pieśń XII, strof. 74 i IX, str. 58 i następne), ale charakterystyka wojsk tureckich, opisy przygotowań do każdéj ważniejszéj bitwy, przemowy wodzów, szykowanie wojsk, sama walka wreszcie, są mniéj lub więcéj wiernemi kopiami odpowiednich ustępów z poematu Tassa. Ostatnia pieśń Jerozolimy, a mianowicie obszerny opis bitwy z Solimanem, stanowiła dla Potockiego wzór nietylko naśladowany ale często dosłownie przezeń kopiowany.

zgryżny" (217). Chodkiewicz znowu „zbyć nie może z serca swego zgagi" (219). W drugiem miejscu Osman będąc świadkiem sromotnéj ucieczki swych wojsk, „w różne się przetwarzając kształty i figury, prosi, żebrze, przysięga" (237). Po innéj znowu porażce „trzy dni nie jadł, prócz że swą zjadłą pianę chlipał, a ciało sam na sobie kąsał, targał, szczypał" (268).

Rzecz naturalna, iż niepodobna nam wymagać od Potockiego tych ozdób i efektów poetycznych, jakich dostarczyć winien trafny wybór epitetów, stopniowanie w opisach uczuć czy akcyi odpowiadające ich naturalnemu rozwojowi; spajanie organiczne pojedynczych epizodów z główną treścią, pomijanie mniéj ważnych lub wstrętnych szczegółów a uwydatnienie głównych momentów, wybitnych postaci, kontrasty osiągane przez umiejętne rozłożenie świateł i cieni i t. p., elementarne środki artystycznego tworzenia. Raz tylko jeden pozwala sobie Potocki przyozdobić swą opowieść zmyślonym szczegółem, lecz jednocześnie niszczy cały efekt swego pomysłu, ostrzegając z góry czytelnika, że „przerywa rzecz fabułą." Zmyśleniem tym jest sen, który jeden z wróżków tureckich opowiada Osmanowi („który choć mu lada co i psie prawi g.... wierzy jak aniołowi"). Treścią jego jest ciężka alegorya z jakiegoś sennika czy kalendarza ówczesnego zaczerpnięta. Drzewo, które widział we śnie Osman, miało oznaczać Dniestr, ponieważ zamiast ptaków „ryby się na nim lęgły oczywiście,"—„orzeł srogi," kóry przyleciał z zachodu i gniazdo na tém drzewie założył, to Polak. Tymczasem na niebie pojawia się „księżyc bez gwiazdy" i „w zielonéj sferze stanął nad onemi gniazdy, z którego zimna rosa tak rzęsisto leci, że i orła i jego potopiła dzieci." Wreszcie z drzewa wyrosło „grono jagód rumianych," które Osman zerwawszy „w ciasnéj prasy fugi, wrzucił i wycisnął krwie purpurowéj strugi" (str. 209). Niemożna na usprawiedliwienie tego niedorzecznego pomysłu uważać go za dodatek późniejszy w starości uczyniony, gdyż łączy się ona ściśle z poprzedzającym go i następującym po nim wstępem, a przytém słowa „księżyc bez gwiazdy," świadczą, iż pisząc to, miał na myśli świeżo obranego królem Wiśniowieckiego, w którego herbie był księżyc z gwiazdą.

Z rymowaniem, które z dziwną łatwością mu przychodzi, niewiele sobie robi zachodu Potocki, gdy mu brakuje końcówki, przestawia najdowolniéj wyrazy w zdaniu („który swoim do tego rozumem honoru") umieszcza w końcu wiersza cudzoziemskie wyrazy (spezy-imprezy fanty-elefanty, impetu-dekretu, kauzy-cekhauzy, gustem-inkaustem, bruder-pluder, echem-cechem, legarty-warty), nie waha się użyć niestosownego całkiem słowa (wojsk niebieskich *zgra-*

je i psie prawi g..... dla rymu do „nierówno“ — Chodkiewicz, z którego każdy niechaj bierze *wzorki*); wreszcie wstawia w końcu wiersza zupełnie zbyteczne w zdaniu wyrazy: (Nieszczęśliwa zaprawdę kondycya *i tu*, nie mieć u nieprzyjaciół i u swych kredytu — Na którego liście, ryby się lęgły *oczywiście*). Rzecz naturalna, że tak zwane częstochowskie rymy co wiersz napotykamy.

Ta nieudolność formy, obfitość przysłów i porównań z życia powszedniego branych, zbliża niezmiernie „Wojnę Chocimską“ do utworów poezyi ludowéj. Podobieństwo to występuje wybitniéj jeszcze w „Nowym zaciągu,“ przedstawiającym mękę Chrystusa z punktu widzenia naszego ludu, w obrazach przypominających zupełnie niedołężne malowidła zdobiące ołtarze wiejskich kościołków, i ściany chat wieśniaczych, tudzież i naiwny realizm kantyczek ludowych.

Jak szlachta ówczesna była jeszcze na pół ludem i na pół narodem, tak i wytworzona przez nią literatura nosić musiała znamiona ludowéj i narodowéj w części poezyi.

„Gdy w rycerskiéj dłoni
Zajuszona w tatarskiéj krwi szabla zadzwoni,
Lecą łby jak kapusta, szyje jako głąbie,
Pole jako purpura, ten kole ów rąbie.“

Obraz ten z „Nowego Merkuryusza“ wyjęty, charakteryzuje wybornie dwoistość szlacheckiego charakteru, łączącego dzielność rycerską z kmiecym prostactwem, dwoistość występującą w każdym niemal ustępie „Wojny Chocimskiéj.“ Na czemże więc polega ta wiecznotrwała piękność, która przy całéj nieudolności układu, niezdarnéj charakterystyce postaci, niedołężnym rysunku i jaskrawych barwach obrazów, przy całém niewyrobieniu stylu i zaniedbaném wierszowaniu—prześwieca jednak z takim blaskiem z tylu miejsc „Wojny Chocimskiéj?“

Piękno zjawia się zawsze tam, gdzie myśli i obrazy płyną bezpośrednio z ducha zostającego na tym stopniu podniesienia, przy którym drobiazgi życia powszedniego, nasze materyalne interesa i samolubne cele przestają dla nas istnieć, pod wpływem oddania się pewnéj idei i pogrążenia w pewném idealném uczuciu. Wprawdzie techniczne uzdolnienie jest koniecznem dla nadania téj treści naszego ducha odpowiednich form, dla uzmysłowienia piękna i podzielenia się rozkoszą tego stanu natchnienia z drugimi, jednakże najdoskonalsza nawet forma nigdy nie odtworzy w całéj pełni piękna duchowego, a będzie tylko do pewnego stopnia jego znakiem, symbolem, zmieniającym się w różnych epokach i u różnych plemion,

coraz doskonalszym i wierniejszym niezawodnie, ale zawsze nieskończenie dalekim od wzrastającéj w potęgę i bogactwo myśli, w subtelność i szerokość uczucia treści ludzkiego ducha.

Otóż choć idee i uczucia poety nie znajdą odpowiedniéj dla siebie formy i przywdzieją niezdarnie skrajane i pozszywane szaty, nie tracą mimo to swéj podniosłości i piękności, i choć tłumy przekładać zawsze będą zgrabny i lśniący strój i rozkoszować się jego wdziękami, choćby pod nim znajdował się bezduszny tylko manekin, to dla głębszych umysłów duchowe piękno stanowić będzie zawsze źródło najwyższéj rozkoszy, a żebraczy płaszcz nie zasłoni przed nimi majestatu wielkiéj idei.

Na tém zasadza się cała piękność „Wojny Chocimskiéj." Gorące uczucie i myśli podniosłe nadają saméj formie nawet miejscami to uroczystą powagę, to wdzięk ujmujący, to znowu rycerski animusz lub satyryczną werwę. Idea moralnego odrodzenia szlachty przez powrót do pierwotnéj prostoty obyczajów piastowskiéj epoki, choć błędna, przedstawia przecie ścisłe pokrewieństwo z ideą odrodzenia społeczeństwa przez powrót do stanu natury, odgrywającą tak ważną rolę w życiu umysłowém i literaturze XVIII stulecia. Ideał rycerza obywatela broniącego krwią własną ojczyzny i cywilizacyi europejskiéj przed najazdem dziczy wschodniéj, świadczy o podniosłém pojmowaniu narodu jako całości żywéj, mającéj swe posłannictwo cywilizacyjne i obowiązanéj do jego spełniania pod groźbą utraty swego znaczenia i bytu. Wreszcie idea Opatrzności czuwającéj nad losami narodów i jednostek, służącéj za nieprzeparty puklerz tym, co idą wskazanemi przez nią drogami, a karcącéj bez miłosierdzia pysznych zbrodniarzy, gwałcicieli prawdy i sprawiedliwości stanowi u Potockiego kamień węgielny jego poglądu na świat i życie, jego prostéj lecz podniosłéj historyozofii. Cały poemat jest tylko bogatą i różnobarwną illustracyą powyższych idei przypominającą, stosunkiem nieudolnéj lub sztywnéj formy do wspaniałéj treści, obrazy natchnionych mistrzów włoskich z przed rafaelowskiéj epoki.

To podniosłe stanowisko pozwoliło Potockiemu dojrzeć zarówno nędzę moralną, kryjącą się pod przepychem życia ówczesnych panów, butą i hałaśliwym patryotyzmem średniéj szlachty, jak i cierpienia milczącego choć odzieranego do koszuli prawie wieśniaka, umożebniło pogodzenie żarliwéj pobożności z nienależnym a niekorzystnym sądem o współczesném duchowieństwie, i patryotycznych uczuć z uwielbieniem dla męstwa kozaków, od których świeżo tak wiele ucierpiała Rzeczpospolita.

Jak naszéj sympatyi dla dzielnéj i szlachetnéj postaci cześnika z „Zemsty“ nie zmniejsza jego nieudolność w wypowiedzeniu swych uczuć, gdy nie mogąc znaleść właściwych słów, powtarza tylko swe „mocium panie,“ tak samo wykazane powyżéj liczne wady formy, nie powinny osłabiać naszego uwielbienia dla autora „Wojny Chocimskiéj.“ Choć świat przyrody i świat ducha nie odsłoniły mu swych tajników, ale za to życie współczesne obserwował i malował tak żywo i prawdziwie, pragnienia i dążenia swych współbraci wypowiadał z taką siłą zapału i przekonania, że pod tym względem przewyższył wszystkich przedstawicieli życia i pojęć szlacheckich od Kochowskiego aż do Pola.

Bronisław Chlebowski.

Wspomnienie o Janie Wilhelmie Draperze.

Od pierwszéj wieści o zejściu ze świata słynnego amerykańskiego przyrodnika i historyka, którego dzieła tłómaczone wzbogaciły niewątpliwie naszą literaturę, czekaliśmy po dziś dzień cierpliwie, ażali które z poważnych pism polskich omówi obszerniéj życie i prace Drapera. Jakto? czyżby z wyjątkiem jednego krytyka, który podał trafną ocenę najsławniejszéj z tych prac, wydanéj niedawno w pięknym przekładzie dr. Karłowicza, nikt u nas nie chciał lub nie umiał więcéj o tak popularnym myślicielu powiedziéć, okrom stereotypowéj wzmianki, wyjętéj z jakiejś małéj encyklopedyi i powtórzonéj we wszystkich gazetach?

Nadzieja, żeby się coś więcéj w tym przedmiocie usłyszéć udało już słabnie. O autorze *Historyi sporu religii z nauką* milczenie głuche. Owoc pracy dr. Karłowicza może się cieszyć sporym zastępem czytelników, ale recenzentów nie pobudził bodaj do wydania wyroku potępiającego. Żeby przerwać to milczenie i obojętność podejmujemy pióro, chociaż zaklęci jak skarb Boruty w nędznym partykularzu nie posiadamy ksiąg i źródeł do pracy życiopisowéj, albo krytycznéj. Pamięć osobistéj znajomości będzie jedyną podstawą naszego wspomnienia pośmiertnego. Z niéj spróbujemy rzucić światełko na mniéj znaną stronę charakteru Jana Wilhelma Drapera, pozostawiając ciekawemu czytelnikowi poznanie go jako autora, w dziełach jego najważniejszych, spolszczonych na szczęście, a tak jasnych i przyjemnych do czytania, że są przystępne dla wszystkich.

Nasza znajomość osobista z Draperem datuje się od czerwca r. 1880, gdyśmy skutkiem listu dr. Karłowicza poprosili autora *Historyi sporu religii z nauką* o wysłuchanie z naszych ust, z jakiemi trudnościami tłómacz tego dzieła się łamał, żeby je wydać po polsku w formie zgodnéj z oryginałem. Dziekan medycznego fakultetu wszechni-

cy w New Yorku odpisał na prożbę powyższą, że stan jego zdrowia zabraniał mu jeździć powozem, więc nie mógłby nam służyć na przedmieściu Jersey City, gdzieśmy mieszkali, ale byłoby mu miło przyjąć nas każdego dnia w swoim domu wiejskim w Hastings upon Hudson, albo téż co wtorek w bibliotece gmachu uniwersyteckiego przy Washington square, dokąd podczas feryj letnich raz na tydzień się udawał, dla załatwienia spraw administracyjnych.

We wtorek po odebraniu téj odpowiedzi stawiliśmy się w wielkiej sali bibliotecznéj i zastaliśmy w niéj samotnego, maleńkiego i zawiędłego staruszka, którego ledwie było widać w ogromnym fotelu, w którym tonął. Żeby się podnieść z tego siedzenia i rękę nam podać—kosztowało go cokolwiek cierpienia fizycznego. Boleść tocząca jego wnętrze wciąż się na jego twarzy drganiem pomarszczonych rysów odbijała. Tylko duże, bystre oko zachowywało ogień i humoru iskierkę, jakiemi niegdyś opływał charakter uczonego starca. W tém oku dostrzegliśmy radość z naszego przybycia, a w tonie serdeczność i poufałość, rzadką przy pierwszém spotkaniu u anglika —czém dr. Draper był z urodzenia – zwłaszcza z cudzoziemcem. Ta serdeczność dziwiła nas z początku, ale sam gospodarz ją wytłómaczył temi słowy, że wypływała z miłego wrażenia, jakie utkwiło w jego umyśle po złożonéj mu w roku wystawy filadejfijskiéj wizycie przez dr. Karłowicza. W pierwszym tym polaku, jakiego w życiu spotkał—ciągnął daléj Draper – znalazł umysł i przekonania tak bardzo niepodobne do obrazu, jaki sobie stworzył o polskiém wstecznictwie z opowiadań tendencyjnych—iż rad przyjmował drugiego człowieka tegoż narodu, a pragnąłby spotkać bodaj najwięcéj takich ludzi, żeby się przekonać, czy tamten był jednym rarogiem w swoim rodzaju, albo czy téż wyobrażenia jego (Drapera) o ogóle naszych ziomków nie powinny by być zmienione. Całą tę spowiedź zabawnie szczerą wygłosił z właściwym sobie, chłodnym humorem, świdrując nas okiem, jakby chciał z miny słuchacza odgadnąć, do jakiéj szkoły i obozu należy.

Rozmowa nasza stała się wkrótce bardzo ożywioną. Staruszek zachwycał nas erudycyą, skromnością, darem badania ludzkich charakterów i odgadywania pobudek, dyktujących nasze słowa. Dodajmy do tych przymiotów grzeczność prawdziwie amerykańską i ciepłą sympatyą dla niższego, ale chciwego światła gościa, a każden łatwo zrozumie, jak przyjemnie upłynęła godzinka z mędrcem. Jego wesołość miała w sobie kroplę bohatérskiéj stałości, albowiem nie zapominajmy, że gdy próbował bawić pokornego cudzoziemca, cały czas cierpiał—że boleść zginała we dwoje jego postać wątłą i kurczyła twarz pergaminową. Raz tylko wspomniał o niéj. Spoglądając

przez wielkie okno gotyckie na zielony, cienisty, sielankowo spokojny plac przed gmachem wyraził żal głęboki, że niedługo, a będzie musiał przestać wykładać i badać. Śmiertelna choroba nérkowa zabijała go powoli. Nie wierzył zapewnieniom lekarzy, że go uratują. Będąc sam lekarzem obliczał ze ścisłością matematyczną, jak długo jeszcze się pociągnie walka między organizmem starym i zużytym, a śmiertelną chorobą. Czas przed nim był krótki, a tyle jeszcze zostawało do wykonania! Tu oglądnął się ze słodką rezygnacyą po sali, pełnéj ksiąg i rozmaitych instrumentów tak porozkładanych, że łatwo się było domyśléć, że oczekując nas, pracował, a po naszém wyjściu pracować będzie. Z tego spojrzenia można było zgadnąć, iż przy całéj gotowości do opuszczenia téj widowni życia, dr. Draper pragnąłby pożyć jeszcze tak długo, aż spełni jakieś zadanie, sobie postawione. Późniéj dowiedzieliśmy się, że zupełne przekształcenie systemu nauczania w uniwersytecie nowojorskim było tém zadaniem.

Był on równie przyjemnym słuchaczem, jak gadułą. Nasze opowiadanie o tém przez jakie-to rogatki przeciskać się muszą tłómacze żeby polskie przekłady jego myśli nie poniosły uszczerbku, ubawiło go i zaciekawiło. Tak ono, jak list dr. Karłowicza przedstawiły mu w zupełnie nowém świetle stosunek wyrodzonego bizantynizmu do czystéj wiedzy,—bizantynizmu, o którym skutkiem błędnéj informacyi rzekł w swém ostatniem, sławném dziele, że tworzył chlubny wyjątek z tłumu prześladującego empiryczną naukę. Zastanowiwszy się dłużéj nad niezbitémi dowodami swego błędu rzekł w końcu energicznie, że jeśliby mu było pozwoloném dożyć jeszcze jednego wydania *Historyi sporu religii z nauką*, nie zapomniałby usunąć z niéj kilku ustępów, a dodać kilka.

I tak zbudował się pomost ściślejszéj znajomości pomiędzy skromnym polskim wędrowcem po amerykańskiéj ziemi, a sławnym profesorem amerykańskim. Powtarzając nasze odwiedziny przez kilka tygodni co wtorek, poiliśmy się często jego mądrością, która nie zapominając nigdy o abstrakcyach zawsze przecież, prawdziwie po anglosasku, miała na oku praktyczne zadania życia. Starzec np. wybierał z długiego swego doświadczenia najcenniejsze perły dobrych rad, dla młodszego zwolennika, aby mu oświecić ciernistą ścieżkę dziennikarskiéj pracy. I tak np. pamiętamy prawie dosłownie jego odpowiedź na uwagę o trudnościach takiego zawodu, w pewnych warunkach i okolicznościach:

Rozumiem powód pańskiéj zgryzliwości. Prawda, było by wygodniéj i bezpieczniéj człowiekowi z pewnémi przekonaniami pracować w pełnéj zabójczych wyziewów kopalni węgla angielskiego, niż w publicystyce, gdzie reputacya i byt zależą od sztuki ukrywania lub bardzo ostróżnego wyrażania myśli, do których ogół i za sto lat

nie dojrzeje. Stanowczo utyłby człek prędzéj przy warsztacie lub trzymając kram jakikolwiek, niż będąc dziennikarzem gdziekolwiek, gdzie ledwie cząstka inteligencyi swobodę myśli ścierpić umie. Wiem, że niejeden wolałby kamień młyński sobie u szyi powiesić i pójść prosto do rzeki i utopić się, niż znosić codzienną walkę między pokusą wypowiadania serdecznych przekonań, a koniecznością tłumienia ich w milczeniu, dla chleba. A jednakże to wszystko nie usprawiedliwiłoby zaprzańca, którył wyrzekł się tego zawodu, gdy posiada odpowiedni talent i zamiłowanie w nim. Sumienny dziennikarz—to kaznodzieja cywilizacyi. Ostrożnie, pomału, kocią łapką, ukrywającą pazury nagina on do swych celów tak społeczność, jak każdą czytającą jednostkę. Pomyśl tylko coby za krzywda stała się światu, gdyby wszyscy reformatorowie uszli z pola znużeni i znudzeni walką, a zostali na niém jedynie wstecznicy?

W ogóle mówiąc miał on słabość do dziennikarzy, lubił otaczać się nimi, zagrzewać ich, zaznaczać drobnemi grzecznościami i usługami przychylność dla nich. Z początku podejrzywaliśmy, że czynił to dla zniewolenia sobie ludzi, którzy mogli mu kadzić w druku i pism jego rozgłos szerzyć. Gdyśmy się jednak przekonali, że nie robił różnicy między współpracownikiem „Heralda" z milionem czytelników, a pierwszego lepszego dzienniczka, nie rozchodzącego się po za rogatki lichéj mieściny—podejrzenie powyższe się rozwiało. Draper przyciągał do siebie dziennikarzy skutkiem całkowitego poświęcenia się misyonarstwu swych zasad religijno-filozoficznych. Żyjąc jedynie dla nich i dla ich krzewienia usiłował niewolić ludzi, których nazywał najlepszémi narzędziami do stworzenia szerokiego koła prozelitów.

Podczas owych wizyt wtorkowych zdarzył się wypadek rzucający promyk światła na brak taktu i mądrości w pewnych obozach. Wspomnieliśmy raz z niechcenia, że jedne pismo polskie umieściło przekład polemicznego artykułu z *Civiltà Cattolica*, przeciw dziełu słynnemu, nad którego tłómaczeniem dr. Karłowicz właśnie się mozolił. Draper tylko z trudnością nam dał wiarę. Nigdy nie słyszał o téj napaści w organie rzymskim—co nie dziw, gdyż ten omnibus scholastycznéj i duchownéj mądrości prawie nieznany w Ameryce. Jakto, pytał się, mogli byż się znaleźć ludzie tak bardzo nieostrożni, że zapominając dobre przysłowie o niebudzeniu śpiącego licha, podali tłómaczenie mdłéj filippiki przeciw książce, o któréj wydaniu w ich kraju nikomu się jeszcze wtenczas nie śniło? Przekonany w końcu o prawdzie tego faktu nieprawdopodobnego, jął szukać za rocznikiem dziennika, zawierającym oryginalną krytykę jego dzieła. Nie znalazłszy go w Stanach Zjednoczonych napisał do rzymskich przyja-

ciół, żeby go wyszukali i przysłali. Tymczasem dostaliśmy polski przekład z Warszawy, a dla zadowolenia niecierpliwego staruszka tłómaczyliśmy mu go ustnie. Draper słuchał cierpliwie. Żółć go nie gniewała, zarzuty niesprawiedliwe tylko bawiły. I tak uśmiechał się tylko, gdy mu krytyk zarzucał rzekomy brak znajomości łaciny, posunięty do niezrozumienia miernego języka i dziwnéj logiki Ojców, a poprzekręcania ustępów ze św. Augustyna. Otrzymawszy włoski oryginał wziął się skutkiem nalegań przyjaciół do napisania odpowiedzi. Ton przyjęty w niéj przez filozofa był grzeczniejszy i chłodniejszy od namiętnych zarzutów krytyka, głoszącego z zawodu miłość bliźniego. Wyjechawszy do Europy przed ukończeniem téj pracy dr. Drapera nie umiemy wymienić czasopisma, w którém ją umieścił, a szkoda, bo warto by wskazać własnoręczną obronę Drapera od zarzutów, które z powodu ogłoszenia przekładu dr. Karłowicza znów podobno jakieś pismo polskie pomimo ich wątpliwéj wartości powtórzyło.

W sierpniu wzmogła się choroba Drapera do tego stopnia, że zaprzestał przyjeżdżać do miasta. Odwiedzaliśmy go odtąd niekiedy w ślicznym domu wiejskim, położonym w jedném z najpiękniejszych miejsc nad jedną z najpiękniejszych rzek świata. O wspaniałości tego domu i zamożności uczonego właściciela powiemy tylko tyle, że cesarz brazylijski Dom Pedro był gościem Drapera podczas swego pobytu w handlowéj stolicy Ameryki, chcąc być bliżéj swego przyjaciela i mistrza. Na werendzie swego pałacyku, z któréj można by rzucić kamyk do modrego, szumiącego Hudsonu, lubił schorzały starzec przyjmować gości, których nigdy nie było brak. W obcowaniu z nimi rozwijał rzadki dar dogodzenia wszystkim obecnym. Od prawnika, z którym układał z praktycznością biegłego w interesach kupca projekt ubezpieczenia dochodu z swéj spuścizny literackiéj dla spadkobierców, zwracał się do męża stanu, by omówić zajmującą wszystkich elekcyą prezydenta, a zaraz potém słuchał uważnie, co inny gość o naukowych, literackich, społecznych itp. opowiadał stosunkach w kraju dalekim—u nas i w ościennych narodach. O tych rzeczach nie wiedział wiele, często zdradzał mylne wyobrażenia, ale lubił słuchać, pragnął prawdy, zapytywał o tytuły poważnych książek, w których by mógł znaleźć potwierdzenie tak naszych słów, jak tłómaczonych sobie ustępów z listów dr. Karłowicza.

Tymczasem zdrowie jego podupadało coraz widoczniej. Pomimo dolegliwych cierpień przecież nigdy nie zapominał o wrzawie życia w świecie zdrowym, abstrakcyjnéj zadumie nieoddanym, a zmiennym losom niepewnéj elekcyi narodowéj przypatrywał się z natężoną uwagą, biorąc udział w walce według możności.

W polityce amerykańskiéj był Draper, jak większość tamtejszéj inteligencyi, zwolennikiem t. z. stronnictwa republikańskiego i polecał przyjaciołom kandydaturę Garfielda. To stało się powodem ściślejszych stosunków między nami, sięgających już po za granicę uczenia się i nauczania doktryn. Zdumiała go i ucieszyła wiadomość, że znaczna większość inteligentnych polaków tak w New Yorku jak w całym kraju łączyła się z republikanami, a wpływem swym przyciągała do tejże strony mniej inteligentnych rodaków, wywołując tym sposobem niezwykły w Ameryce widok żywiołu przeważnie katolickiego, a przecież oddającego swe kreski stronnictwu i kandydatom potępianym i wyklinanym z ambon irlandzkich. Zachwycony tą nowiną starał się zwrócić na nią uwagę prowodyrów swego stronnictwa. Pisał do wielu osób, ułatwił nam osobiste znoszenie się tak z centralnym komitetem republikańskim, jak z p. Arthurem, teraźniejszym prezydentem, a ówczesnym kierownikiem agitacyi wyborczéj w stolicy. Rada Drapera przyczyniła się głównie do postanowienia, ażeby wielkie stronnictwo amerykańskie przemówiło pierwszy raz do wyborców polskich w ich własnéj mowie, odezwami odbitemi w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy. On także poparł wniosek, żeby wysłano do miejsc z liczniejszą polską ludnością mówców polaków, jak np. pana Kiolbassę z Chicago do Indyany, a autora niniejszych słów do Pensylwanii.

Przez cały czas naszéj kilkodniowéj wycieczki po mieścinach i koloniach węglodajnego kraju, w którym tysiące polskiego ludu pracuje, odbieraliśmy listy Drapera, zachęcające nas do gorliwości, lub wyrażające zadowolenie z każdego, bodaj najmniejszego powodzenia. Powróciwszy z téj podróży odwiedziliśmy go dopiero po dniu, w którym Garfield został wybrany, a przywitanie jakie nas spotkało, było tém cieplejsze i weselsze, im mniéj taki wypadek był spodziewany.

Teraz nadeszła zwyczajem amerykańskim pora, w któréj każden co przyłożył rękę do szczęśliwego wyniku wyborów, przedstawiał wybrańcowi narodu swój rachunek, mniéj może natarczywie, niż to czynił ohydny Giteau, ale niemniéj stanowczo. Ponieważ zaś mężowie stanu w owym kraju są zarówno skorzy do dawania przyrzeczeń i zapominania o nich, jak wszyscy polityczni intryganci w ogóle, więc téż okazała się potrzeba silnego orędzia, żeby przypominało możnym zrobioną nam, skromną obietnicę, iż dostaniemy w Castle Garden opiekuna, rozumiejącego język i potrzeby przybywających z pod berła pruskiego polskich prostaczków. Tym orędziem stał się Draper. Poznawszy przez nas kilku innych polaków podczas elekcyi i polubiwszy tak ich, jak narodowość naszą, porusza

on rozmaite sprężyny, celem zadość uczynienia gorącemu ich życzeniu. Nie zliczylibyśmy listów, jakiemi nas zaopatrzał do wpływowych osób. Najważniejszém z nich było pismo do jego przyjaciela, pana Cornell, gubernatora stanu New-York, w którym poświadczał, że liczba przybyszów polskiéj narodowości do Castle Garden wynosi rokrocznie przeszło 10,000 głów, że ci ludzie nie rozumieją zwykle żadnego języka krom własnego, a będąc poruczani opiece biura niemieckiego, istniejącego w tym głównym punkcie wysadzania przybyszów polskich na ląd amerykański, nietylko żadnéj pomocy w uzyskaniu zajęcia nie znajdują, ale nawet pogardę i obelgi cierpią.— Jeśliby—dodał—stronnictwo republikańskie, kierując się zdrową polityką, losem tych biedaków w pierwszych i najcięższych dniach ich pobytu w obcym kraju się zajęło, nietylko by spełniło godne swych humanitarnych zasad zadanie, ale by także powoli sobie jednało liczbą wzrastający żywioł narodowy, który dotychczas skutkiem uległości biskupom irlandzkim do demokratycznego stronnictwa bywał wciągany.

P. Cornell odpowiedział mu na to czarno na białém, że gdy sejm stanowy się zbierze na wiosnę, suma na utrzymanie pożądanego opiekuna potrzebna będzie wstawioną do budżetu.

Głucha wieść o tych wszystkich zabiegach nie pozwalala spać niektórym osobom ruchliwym, opartym o silne i energiczne plecy, a stawiającym sobie zadanie, żeby nieoświecone masy swego narodu w Stanach Zjednoczonych zmienić w zwarty, ofiarny i posłuszny zastęp polityki, zmierzającéj do owładnięcia rzeczypospolitéj, a mianowicie do przeobrażenia jéj czysto świeckiego systemu edukacyjnego na niezależne od państwa szkoły wyznaniowe. Nie szczędzili oni pracy, aby wymódz u osób wpływowych obietnicę, że wybór przyrzeczonego opiekuna im jedynie będzie poruczony. Gorliwość ta o zapewnienie sobie wysoko jeszcze w obłokach wiszącego daru miała swą stronę zabawną, ale także i mądrość węża, gdyż za pomocą swego wybrańca w Castle Garden, mogliby oni osiedlać zaraz na pierwszym kroku każdego przybysza, a po tym już nigdy go z oczu i z pod opieki nie wypuścić. Usłyszawszy o nich Draper zdobył się na dowód energii i przyjaźni, który się nigdy w naszéj pamięci nie zatrze. Pomimo cierpień jakie mu wszelki ruch sprawiał, spędził pół srogiego dnia styczniowego w mieście, żeby z ust decydujących odebrać zapewnienie, że wymienione żądanie nigdy nie będzie wysłuchane.

W tydzień późniéj pożegnaliśmy go, jak czas pokazał, na zawsze. Skutkiem naszego wyjazdu do Europy, ciężkiéj choroby Drapera i niedbalstwa osoby, któréj ukończenie szczęśliwie zaczętéj pra-

cy było poruczone, zniweczyły się wszystkie starania opisane powyżéj. Niepodniecany przez nikogo p. Cornell zapomniał w marcu o przyrzeczeniach danych w grudniu. Jednakże nie można rzec, żeby przychylna nam praca Drapera miała zginąć marnie. Teraz, gdy skutkiem związania się, tak inteligencyi naszéj w Stanach Zjednoczonych jak znacznéj części robotników, w ciało poważne, istnieje reprezentacya wybitna, silna i mogąca daleko skuteczniéj prowadzić pracę, dawniéj sporadycznie przez wątłe jednostki podejmowaną— teraz by można na podstawie wyrobionych z łaski sławnego profesora stosunków i obietnic to uzyskać, czego przed rokiem nie dano.

Wyjazdem przecięliśmy przyjemny stosunek z przychylnym autorem. Korespondencya między nami ustała prawie. Donosiliśmy mu o dokonaném po licznych trudnościach wydaniu przekładu *Historyi sporu religii z nauką*, wiedząc dobrze, jaką mu przyjemność ta nowina zrządzi. Zwykł był bowiem powtarzać, że choć tłómaczono jego dzieła na wszystkie prawie języki, przecież żadne tłómaczenia bardziéj go nie cieszyły, jak polskie, gdyż nikt się z nim tak grzecznie i sumiennie nie obchodził, jak p. Korzon i dr. Karłowicz. Inni tłómacze rzucali się najczęściéj do owéj pracy dla widoków materyalnych, zgoła nie prosząc autora o pozwolenie, a przekręcając jego myśli i wyrażenia jak najdowolniéj, podczas gdy od polaków doświadczał jedynie uszanowania, a nieprzyjemności znoszone przez naszych tłómaczy zdawały się wskazywać, iż wyższa idea kierowała ich pracą. Kilka tygodni potém wyczytaliśmy w gazetach podwójnie dla nas bolesną wiadomość o zgonie Drapera w New-Yorku. Nie wiedzieliśmy, czy posyłka nasza zastała go jeszcze przy życiu. Któż wysłowi nasze wzruszenie, gdy w parę miesięcy późniéj doniósł nam syn zgasłego historyka—astronom Henryk Draper, że przekład dr. Karłowicza i nasz list zostały doręczone jego ojcu kilka godzin przed śmiercią, sprawiając mu najżywsze zadowolenie, a pismo nasze było ostatniém, jakie czytał w życiu. Więc udało się spłacić staruszkowi cząstkę długu przynależnego, osładzając jego ostatnie chwile dowodami czci i przywiązania, ożywiającego niejedno serce w dalekim mu, obcym kraju! Więc jego ostatnie spojrzenie spoczęło na polskiéj książce, jego ostatni uśmiech i oka mgnienie wesela były owocem polskiéj troskliwości o sprawienie mu pociechy. Uśmiechem ust zawierających się na wieki zapieczętował on niejako traktat między sobą i *nami*—traktat, o którym już się nie mógł rozpisać zgrzybiałą ręką, ale który potwierdzał we wszystkich listach i rozmowach z przyjaciołmi lub z rodziną.

To jego współczucie dla naszego narodu nie poszło z nim do grobu. Ze sławą, z mieniem i nazwiskiem ojca odziedziczył je go-

dny syn, sławny astronom, Henryk Draper. Przed nami leżą książki i czasopisma, któremi nas często obdarza w nagrodę za to, żeśmy mieli szczęście pozyskać, przychylność ojca jego. Polecił nam zebrać wszystkie polskie przekłady dzieł starszego Drapera, oraz cokolwiek o nim prasa polska pisała, żeby uzupełnić temi rzeczami księgozbiór, stojący w jego bibliotece pod portretem Jana Wilhelma Drapera i będący ołtarzem z dzieł historyka, z przekładów i recenzyj tychże dzieł—ołtarzem zbudowanym ku czci znakomitego autora.

Nadto zawdzięczamy Henrykowi Draperowi szczegóły autentyczne o życiu jego ojca, z których wybieramy następujące:

Jan Wilhelm Draper urodził się w Anglii 5 maja 1811, przybył do Ameryki w 22 roku życia, otrzymał stopień doktora medycyny w Filadelfii, objął katedrę chemii przy wszechnicy w New Yorku w r. 1839. Zmarł w Hasting nad Hudsonem 5 stycznia 1882. Zostawił po sobie trzech synów i dwie córki. Z pierwszych zjednał sobie najszerszą sławę Henryk, astronom i fizyk, mieszkający w New Yorku, zkąd oznajmia światu swoje bystre i ciekawe spostrzeżenia. Drógi, Jan Draper, jest profesorem fizyologii przy uniwersytecie nowojorskim i posiada poważne imie w świecie naukowym. Trzeci, Daniel, jest dyrektorem głośnego obserwatoryum meteorologicznego stojącego w Central Parku w New Yorku i cieszy się sławą niepospolitą w Stanach Zjednoczonych, albowiem przyczynia się w wysokim stopniu do rozwoju meteorologii w Ameryce, gdzie jak wiadomo wzięto tę naukę pod opiekę rządową i doprowadzono do wysokiego stopnia.

Ojciec tylu znakomitych synów złożył wcześnie dowód zdolności niepospolitych. Jego rozprawa doktorska, ogłoszona z powodu swéj wartości przez senat wszechnicy, zwróciła uwagę wielu czytelników na siebie. Po objęciu katedry profesorskiéj pisał Draper niemało o chemicznem działaniu światła. Badając w r. 1840 odkrycie Daguerre'a był pierwszym, któremu się udało oddagerotypować żywą osobę—była nią jego siostra. W tymże roku odrykł także, że żółtym promieniom widma słonecznego należy przypisać wpływ światła na roślinność i rozkładanie kwasu węglowego w liściach. Poźniéj odkrył znaczną ilość ciemnych linij w fioletowéj części widma słonecznego. Wynalazł instrument do mierzenia chemicznéj siły światła. W r. 1847 wydał ważną pracę o „Wytwarzaniu się światła przez ciepło.“ Jego „Chemia“, „Historya Naturalna“ i „Rozprawa o fizyologii ludzkiéj“ stały się podręcznikami w amerykańskich szkołach wyższych Ostatnie dzieło, przełożone na kilka języków, było podręcznikiem naukowym w Rosyi.

W r. 1863 wystąpił Draper niespodziewanie na nowém polu, pozornie nie mającém związku z naukami przyrodniczemi, ale w gruncie rzeczy z niemi spokrewnionèm. Jego „Historya rozwoju umysłowego Europy“ zrobiła go sławnym w całym świecie. Przełożono ją na wszystkie główniejsze języki ucywilizowanych narodów, nawet na arabski. Zaliczono jéj autora do niewielu uczonych, umiejących pisać prawdziwie naukowo, a popularnie. Myśl przewodnia téj zajmującéj książki daje się streścić w zdaniu, że rozwój społeczeństwa podlega tak samo prawom przyrodzonym, jak wzrost jednostki. Sam Draper rzekł o niéj: „Ta praca jest tylko uzupełnieniem mojéj Rozprawy o fizyologii, w któréj mówiłem o człowieku jako osobniku. Teraz traktuję go w jego społecznych stosunkach. Patrząc na historyą przez szkło fizyologii widzimy ją w nowéj postaci, zdobywamy sobie sprawiedliwsze i gruntowniejsze pojęcie tak myśli jak pobudek ludzkich w następujących po sobie wiekach.“

Powodzenie téj książki zachęciło Drapera do dalszych prac społeczno-historycznych. W r. 1865 napisał „Myśl o Przyszłéj Polityce Stanów Zjednoczonych“, a między 1867 i 70 trzytomową „Historyą domowéj wojny amerykańskiéj,“ która także w Europie wielu czytelników i tłómaczy znalazła. W niéj znajdziemy, obok żywych obrazów z olbrzymiéj walki filozoficzne wytłómaczenie jéj powodów, tkwiących w ustroju społecznym Południa i Północy.

We wszystkich wyliczonych dziełach daje się dostrzegać ciągłość i systematyczność, cechująca długą i niezmordowaną literacką działalność Drapera i nadająca jego pracom ten charkter, iż każda z nich jest uzupełnieniem swéj poprzedniczki, a przygotowuje umysł czytelnika do zrozumienia następnéj. Ostatniem słowem i wieńcem godnym téj działalności była głośna „Historya sporu religii z nauką,“ liczniéj czytana i tłómaczona od wszystkich dzieł poprzednich Drapera. Na nią pragniemy zwrócić uwagę czytającego ogółu. Posiadamy przekład jéj wykwintny. Jest ona najpoczytniejszą i najważniejszą z prac Drapera. Wady jéj i zalety były wskazane w „Prawdzie“ piórem bieglejszém od naszego, więc nie dodajemy nic do téj krytyki, krom uwagi, do jakiéj czujemy się upoważnieni skutkiem osobistych stosunków z autorem.

Powodzenie tego dzieła w ojczyźnie przybranéj Drapera było niezmierne, bo też było głównie napisane dla jego ziomków, których umysł i upodobania autor znał gruntownie. Przez to samo jednak nie zadawala ono w niektórych punktach czytelników nieamerykańskich. Nadewszystko potrzeba pamiętać, że Draper starał się pisać dla przeciętnych głów narodu, w którym miliony czytają, krytykują, nawet rezonują pobieżnie — miliony stojące na niższym stopniu na

ukowego wykształcenia od garstek zajmujących się pytaniami filozoficzno-religijnemi. U nas, gdzie po za światem literackim nikt prawie nie dysputuje o teologii, jak to lubi czynić każdy chłop szkocki lub amerykański, trudno zrozumiéć, że Draper pisał nie dla gromadki wysoko ukształconéj, ani dla ogółu płytkich materyalistów i sceptyków, lecz dla kroci tysięcy ludzi, którzyby gruntownie walką między wiarą a rozumem się zajęli, gdyby tylko czas im pozwalał, a tymczasem lubią o niéj czytać. Jakiż pierwszy warunek powodzenia dzieła, starającego się przekonać takich czytelników? Czyż nie jest nim jasność, wykład popularny, myślenie myślami i wyrażenie się wyrażeniami ogółu, naginanie się do jego sposobu polemiki i rozumowania? Draper, pełen zdrowego instynktu, wskazującego drogę do poczytności, mniéj dbał o to, co uczeni krytycy o nim napiszą, więcéj zaś, by jego prace posiadały przymiot demokratyczny, rzadko spotykany w dziełach myślicieli z jego szkoły. Ogień i nienawiść Paine'a oblekał chłodną wymową Jerzego Elliota i zdradliwie popularyzował swoje nienawiści, uchylając maskę zupełnie dopiero w ostatniéj pracy, ale i tu licząc się z przesądami zakorzenionémi w ludzie protestanckim. Tym sposobem wycisnął ślady wieczne na niezliczonych umysłach, zwłaszcza młodych — ślady często nierównomierne z naukową wartością jego twierdzeń. Podczas gdy niejedno gruntowniejsze dzieło nie zmarszczyło nawet oceanu pospolitych przekonań, każdy podmuch Drapera spiętrzał na nim bałwany.

Parę razy udało się nam przekonać naocznie o magnetycznym wpływie tego autora na jego rodaków. Czytaliśmy na próbę piérwszą lepszą stronnicę jego pióra słuchaczowi, któryby w żaden sposób nie był chciał słuchać nas, gdyby był uprzedzony, że Drapera mamy w ręku. Słuchacz zaciekawiał się powoli, zdradzając miną zajęcie. W języku Drapera, w logice jego i sposobie polemicznym poznawał własne przymioty. Potakiwał w duszy autorowi, lub się z nim sprzeczał, a gdyśmy książkę odłożyli, podejmował ją i czytał daléj, żeby go pamięć jéj długo ścigała. Dzieła Drapera znaleźlibyście niespodziewanie w tysiącach domów, takich, których mieszkańcy ściśle zewnętrznych form swéj sekty przestrzegają, dla utrzymania swych handlów, kredytu i pozycyi społecznéj w kwitnącym stanie, ale przecież czytują pokryjomu potępionego autora.

I jeszcze jedno przekonanie powzięliśmy z doświadczenia, że Draper był głębszym i bezstronniejszym, niżby się spodziewał krytyk, co słusznie zarzucił jego dziełom formę panfletową, i stronniczość dla protestantyzmu. Ta forma, ta stronniczość były tylko podobno *fintami*, dla tém łatwiejszego podważenia zdań przeciwnych. Znając swój naród, Draper próbował skutecznie posiąść jego zaufa-

nie namiętném uderzaniem na katolicyzm, a rzekomém wyciąganiem gałązki oliwnéj protestantyzmowi, bo wiedział, że dość byłoby zburzyć wielką, hardo sterczącą cytadelę, ażeby gruzy jéj zasypały wszystkie podparte o nią, w podwalinach zbutwiałe zameczki. W rozmowach poufnych wyrażał się jednak: o anglikanizmie, purytanizmie i wszystkich dowolnie Pismo św. tłómaczących sektach, z większém lekceważeniem, niż o silnych i tradycyjną karnością mocno spojonych, trudnych do zachwiania wyznaniach.

Zastosowana do umysłowości anglo-saskiéj zręczność polemiczna podsuwała mu nieraz oręż, wielostronnie krytykowany przez nieznających tego narodu, a jednakże jak najwłaściwszy dla jego celów. Pisząc dla ludzi czczących jak fetysza księgę zajmującą honorowe miejsce w ich domach i zamiłowanych w tworzeniu z jéj liter martwych wniosków bodaj najprzeciwniejszych jéj duchowi, Draper nie bez powodu kładł nacisk na walkę umysłową w dawnéj stolicy Ptolomeuszów w 2 i 3 wieku po nar. Chr. Dla tém silniejszego wrażenia zrobił z Aleksandryi kolebkę i ognisko helleńskiéj nauki, któréj spadkobiercami są empiryczni, napastowani przez dogmatyków uczeni dzisiejszego wieku. — W tejże Aleksandryi — powiadał — nie zaś w Judei, krystalizowało się to, co od założenia swego musiało z nauką o byt walczyć. Jak filozofia aleksandryjska była dziełem hellenów europejskich, tak nowa teologia była jedynie systematyczném przerobieniem wierzeń egipskich, ani zaś duch semicki, ani księga, którą słusznie poważacie, nie miała z nią nic a nic wspólnego. Więc nie szukajcie genezy systemu przeciw któremu występuję, nigdzie, jeno w napisach grobowych i na ścianach świątyń, odwiecznych, jak pierwsze piramidy. Jeśli Marriette Bey, Brugsch i t. p. nie kłamią, chciwe kapłaństwo egipskie znało wszystkie sposoby niewolenia umysłów. Życie pośmiertne, wieczne szczęście lub wieczne potępienie, wydobywanie cierpiącéj duszy z mąk czyszcowych przez modlącego się za wynagrodzeniem kapłana, szatanów w płomiennych otchłaniach, wesele nieszczęśliwych a cnotliwych w drugiem życiu, smutek zaś tutaj szczęśliwych i grzesznych, wodę święconą, ofiarę chlèba, nawet coś naksztalt *Logos* św. Jana i odkupienie ludzkości zmazanéj przez ofiarną śmierć Ozirisa—wszystko to wyznawał naród nad Nilem, a św. Augustyn mógł słusznie wygłosić swe śmiałe zdanie: „rzecz nazywana teraz religią chrześciańską była zaprawdę znana starożytnym, a od początku istnienia rodu ludzkiego nigdy mu nie zbywała.“ Mówiąc z Max Müllerem jest ona nową kombinacyą tychże samych, radykalnych pierwiastków religijnych.

W podobny, ale wymowniejszy sposób starał się on niejako zaszczepić w słuchaczach przychylność dla nauki pohelleńskiéj, któréj

był obrońcą, przeciw tradycyom poegipskim, wtłoczonym aryjskiéj Europie, których panowanie mogło się jedynie ustalić na gruzach heleńskiéj cywilizacyi i aryjskiego panteizmu, a wszechwładztwo pociągnęło by za sobą całkowite zaprzanie się rozumu. W obronie nowoczesnego agnostycyzmu angielskiego posługiwał się, wśród ludzi miernéj, anglosaskiéj inteligencyi, innym argumentem, który według nas mógł się tylko w głowie dobrze swój naród znającego anglika wyrobić. Mianowicie przyrównywał ten ruch i tworzoną na jego podstawie „Religią Ludzkości" do reformacyi, wywołanéj przez Mojżesza przeciw religii egipskiéj, wierzącéj w bezpośrednie i ciągłe mieszanie się Opatrzności w sprawy światowe, w nieśmiertelność, w kary i nagrody pozagrobowe itp. dogmaty jéj. Wartość etyczna była tego rodzaju, iż naród ją wyznający oddawał się wszelkim sprosnościom. Chcąc wydobyć swój lud z upadku moralnego reformator przemilczał o nieśmiertelności duszy i o sprawiedliwości pośmiertnéj, a natomiast przedstawił strasznego Jehowę, karzącego winowajców zaraz i w najbliższych pokoleniach. Według Drapera agnostycyzm był jedyną dźwignią, mogącą podnieść ludzkość dzisiejszą z upadku moralnego, srozszego od sromoty egipskiéj, a więc spełniłby główne i jedyne zadanie wszelkiéj religii.

Traktując przedmiot natury drażliwéj staraliśmy się usprawiedliwić taktykę Drapera, rażącą nieraz naszych myślicieli, co ją o głowę przerośli, warunkami jego położenia. Trudno nam mówić jaśniéj o tym przedmiocie, więc porzucamy go dodawszy zapewnienie, że jakkolwiek łatwo taką taktykę zganić, skutek jéj był przecież w warunkach i okolicznościach otaczających Drapera niewątpliwy, zadziwiający. Sam powiadał, że choć liczył wrogów swych dzieł na miliony, osobistych nie miał prawie zgoła, a nie było miasteczka i sioła w kraju, w którém by nie posiadał zwolenników.

Trudno by sobie wyobrazić autora w szczęśliwszém na pozór położeniu. Posiadał sławę, mnóstwo przyjaciół szlachetnych, mało nieprzyjaciół, fortunę rzadką u ludzi nauki, ułatwiającą jego prace i badania. Same tantiemy z raz wraz wydawanych przedruków jego dzieł przynosiły pański dochód. A jednakże, długo nawet przedtém, nim go poznaliśmy złamanego chorobą i boleścią niespoczywającą jak sępy co pożerały jelita Prometausza, Draper miał według zapewnień jego najstarszych przyjaciół podlegać często owéj melancholii, która podobno ukrywa się na dnie każdéj czynnéj i samodzielnéj duszy. Cnotliwy w życiu prywatném jak gdyby wiecznie pamiętał platońskie „żelazne poczucie prawdy i sprawiedliwości"—piórem, słowem i przykładem krzewiąc t. z. Religią Ludzkości (tj. polecając rozniecać płomień miłości bliźniego do tego stopnia, aby się stał dość

silną podnietą do zrobienia nas cnotliwymi, dla uszczęśliwienia rodu naszego, bez nadziei osobistéj pośmiertnéj nagrody)—pracowity jak stoiczny cesarz rzymski, którego ostatniém hasłem dla legyonów było słowo *Laboremus*!—słodki, łagodny, pozbawiony innéj ambicyi, krom żądzy szerzenia wiedzy—człowiek ten bywał często smutnym bo w duszy tail przekonanie, że każdy krok naprzód w rozwoju umysłowym ludzkości powiększa jéj niedolę, nie dla tego, by sumę ciążących na niéj cierpień o włos pomnażał, ale ponieważ czyni ją drażliwszą na braki i niedostatki, których natury nieokrzesane nie czują. Nie odważając się, z bezwzględną niemiecką logiką Schoppenhanera, polecić radykalnego lekarstwa na taki stan rzeczy w kształcie rady, aby całe plemie uwolniło się od klątwy przez dobrowolne unicestwienie, rzekl raz do nas, iż nie warto ani chwalić istniejącego porządku wszechrzeczy, ani napróżno przeciw niemu się buntować, lecz lepiéj by było wytężać wszystkie siły na to, by ulżyć naszém życiem ciężkie brzemie, tłoczące braci. Taka nauka wiodłaby w życiu praktycznem do cichéj filantropii i kwietyzmu, więc téż jéj nauczyciel był dobroczynnym przyjacielem ubogich i ucisnionych; ale nie ich trybunem, a w pismach traktował najzawziętszych przeciwników spokojnie i z umiarkowaniem w słowie.

Kto wie, czy ten spokój w polemice, te umiarkowanie w wyrażeniach nie zjednały jego pośmiertnéj pamięci, rzadko ludziom takich przekonań udzielanéj, tolerancyi. Wszak nigdzie się nie spotykamy z gromami na jego dobre imię, na jego naukowe prace i zasługi, jakie przecież z taką obfitością na mniéj niebezpieczne nazwiska i utwory spadają. Nikt nie plwa na jego pomniki.

A ma on pomniki. Jeden—w licznych, ciepłych sercach jego uczniów, i licznych przyjaciół i wszystkich tych, co go znali osobiście. Trudno było poznawszy go nie polubić mądrego starca, cierpiącego z bohaterskim stoicyzmem, a wśród cierpień służącego nauce i filantropii. Drugi, olbrzymi—w umysłach czytających milionów wszystkich narodów—bo na jakiż to język nie przełożono jego dzieł historyczno-polemicznych? Wszyscy ci, których choć nie przekonał, ale przecież nakłonił do czytania swych prac, zastanawiać się będą nad ich treścią i szczegółami, wspominać długo ich sens moralny, powtarzając bez goryczy imie śmiałego, szczerego, ale umiarkowanego myśliciela. W stu tysiącach domów są książki z pod jego pióra kryształowego, nie pyłem okryte, lecz czytywane tak często, jak owa wielka księga, którą „swobodnie“ tłómaczył.

Oprócz tych wspaniałych mauzoleów, uwieczniających jego nazwisko, piersi kilku ludzi obcéj mu narodowości zawierają kamyczek skromny, na którym słowo *Draper* wyryło się w sposób niestarty, od

pierwszego dnia prawie, w którym sędziwy, czcigodny, jedną nogą w grobie stojący autor z nimi się zetknął. Nie trwało długo, nim uprzedzony przeciw wszystkiemu co się z ich narodowością łączyło mąż postępowy, wpadł w przeciwną ostateczność żarliwéj przyjaźni dla ich charakteru, ich celów i rzekomo porywającego cały ich kraj prądu. Nie było czasu rozczarować go, że się mylił w niejednym z naprędce stworzonych poglądów. A potém, na co by się zdało go rozczarowywać? Wszak ten obłęd niewinny sprawiał mu uciechę, gdy nikt nam nie mógł był zarzucić, żeśmy nim samowiednie osidłali starca, którego nadwątlona wiekiem wyobraźnia budowała sobie wielki pałac karciany na podstawie kilku pobieżnych spostrzeżeń. Dość, że nas przyjął do serca—*nas*, w znaczeniu zbiorowem. Za to chowamy ów kamyczek z czcią przystojącą wdzięcznym dłużnikom, co inaczéj odwdzięczyć się wierzycielowi nie są w stanie.

Co się tyczy naszéj osoby winniśmy mu jeszcze wdzięczność za widok pouczający, jaki nam przedstawiał na słonecznéj werandzie chłodzonéj powiewem od fali rzecznéj i od wierzb pochylonych. Fotel w którym cierpiał, z którego się uśmiechał i lubił prawić, był jego pościelą śmiertelną. Wiedział o tém, ale konał na nim z hardą słodyczą dobrze zasłużonego rycerza, co ustępował z bojowiska życia bez trwogi, gdyż był przekonany, że bądź co bądź nic się nie stanie jego istocie myślącéj, która szczerze, sumiennie i dzielnie używała mocy wielkiego, danego jéj talentu. Choć żadna iskra nadziei szczęścia nie oświetlała zmroku jego dni ostatnich, oczekiwał rozwiązania dramatu z filozoficzną rezygnacyą. Jego istnienie kończyło się zgodnie z całym swym przebiegiem, zaokrąglało się, jak piękny poemat dydaktyczny...

Sygurd Wiśniowski.

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

I.

JAN ŁASKI

Arcybiskup Gnieźnieński.

(*Dokończenie*).

Trzy, właściwiéj cztery, były wielkie sprawy polityki zewnętrznéj, które podówczas rząd polski zajmowały: sprawa pruska, węgiersko-czeska, wołoska i tatarsko-turecka. Piąta równéj co tamte wagi, sprawa stosunku do W. Ks. Moskiewskiego, była sprawą litewską, pośrednio tylko dotyczyła i Polski, jako jednego z Litwą mającéj władcę. Ta zrazu stała na pierwszym planie z powodu knowań Glińskiego; na nią wpływać mógł Łaski tylko pośrednio, a jak wpływał, o tém nic zgoła nie wiemy. Domyślać się tylko można, że przemawiał za jéj załatwieniem pokojowém, za dozwoleniem wolnego wyjścia do Moskwy przyjaciołom i stronnikom Glińskiego, żeby się pozbyć z Litwy tego żywiołu, z którym za Aleksandra już walczył. W taki istotnie sposób zakończono téż tymczasowo pierwszą Zygmunta wojnę z W. Ks. Wasilem.

Przyszła koléj na sprawę pruską. Wlokły się oddawna rokowania z W. Mistrzem krzyżackim o ów hołd, który według pokoju toruńskiego winien był królowi składać, który składało kilku już jego poprzedników, którego odmawiał wytrwale wielki mistrz Fryderyk Saski; w Niemczech i w Rzymie szukał przeciw Polsce obrony, kwestyonując prawność wieczystego pokoju. Spełzł na niczém kongres poznański, umarł ks. Fryderyk, Krzyżacy nowego mistrza w osobie siostrzana królewskiego, Albrechta Brandeburskiego, sobie obrali. Albrecht jeszcze się nie był udał na Prusy, chodziło o to, czy go tam

puścić, jakie wogóle w obec niego zająć stanowisko. Łaski, który już w Poznaniu stał na czele polskich komisarzy, który następnie, objąwszy swoję godność w Gnieźnie, udał się był na Prusy i tam się z wpływowymi rejentami pruskimi porozumiewał, odmawiał Zygmunta od prowadzenia wojny z Zakonem, do czego, jak się zdaje, inni senatorowie go wiedli. Za jego też sprawą nowy zjazd i nowe układy naznaczono w Toruniu r. 1511; a tu Łaski wystąpił z całkiem nowym pomysłem. Żądał, aby nowy mistrz złożył swą godność, któréj jeszcze w istocie nie posiadł (dla wynagrodzenia go oświadczał prymas gotowość, że złoży na jego korzyść swoje dostojeństwo); proponował, że król polski przyjmie regułę zakonną i wielkim mistrzem zostanie; wszyscy biskupi polscy również członkami Zakonu się staną i odtąd Zakon z koroną polską jedno stanowić będzie ciało, a przez to znajdzie sposobność, jakiéj mu w Prusach braknie, walczyć wedle swéj reguły z niewiernymi.

Byłby to ni mniéj ni więcéj, jak pierwszy krok na drodze do zupełnéj Zakonu polonizacyi; o czémś podobném już przy wieczystym pokoju toruńskim myślano, zastrzegając podówczas, że i Polacy do Zakonu mają być przyjmowani. Z myślą tą widocznie Łaski się nosił już oddawna, może na dworze Aleksandra jeszcze powstała, bo dawny tam towarzysz a potém wróg Łaskiego, Erazm Ciołek, taką samę w kilka lat późniéj jeszcze Zygmuntowi podawał radę. Sam zresztą Łaski w przedmowie do Statutu, w miejscu gdzieby się tego najmniéj spodziewano, wspomniawszy o sprowadzeniu Krzyżaków do Prus przez Konrada, nad zakonami rycerskiemi się rozwodzi, jakie istnieją wylicza, i swoim współobywatelom zaleca rozważyć należycie z takich zakonów pożytek. Wzrosły w pojęciach średniowiecznych prymas chciał więc tym śmiałym lecz i trudnym do wykonania pomysłem Zakon zakonserwować i zużytkować na korzyść Polski, odjąwszy mu tylko to, co właśnie krzyżaków nienawistnymi Polsce czyniło, ich czysto niemiecki charakter. W ten tylko sposób można było uniknąć z nimi wojny nowéj, któraby może Polskę w konflikt ze stolicą apostolską, Zakonu opiekunką i zwierzchniczką, przywieść mogła, a z tą Łaski chciał zawsze w najlepszéj żyć przyjaźni. Prawdopodobnie przyświecał mu przykład Hiszpanii, gdzie w samym końcu 15 wieku W. Mistrzostwo podobnych zakonów rycerskich Alcantara, Calatrava i S. Jago, Ferdynand katolicki połączył z koroną; te właśnie zakony w przedmowie do statutu wymienia, nie zapominając wyraźnie dodać, że do zakonu Calatrava należą także żonaci. Ten wzór pokazywał zarazem, że niepotrzeba się obawiać, aby takie połączenie mistrzowstwa z koroną polską miało przyszłość dynastyi na szwank narazić, że z Rzymu

uda się otrzymać stałą dla królów dyspensę od zakonnego bezżeństwa; bo trudno przypuścić, aby Łaski naprawdę o tém myślał, że królowie będą odtąd zupełnymi zakonnikami, a jeśli to w Toruniu przyrzekał, to zapewne aby tym łatwiéj reprezentantów Zakonu dla swojéj myśli pozyskać.

U Zygmunta znalazł zrazu ten projekt bardzo dobre przyjęcie; odtąd czas jakiś przy warunkach recesu toruńskiego obstaje i ich wykonania się dopomina. Wtedy téż, gdy sprawa pruska na drogę układów wstąpiła, w inną stronę, ku południu, zwraca się za sprawą Łaskiego uwaga króla. Tam na Węgrzech ważyły się od dłuższego już czasu w całym kraju i na dworze słabego Władysława, brata Zygmuntowego, dwa stronnictwa: austryackie, chylących się ku Habsburgom magnatów, i narodowe, szlacheckie, Niemców nienawidzące pod przewodnictwem Zapolyów. Władysław sam więcéj sprzyjał stronnictwu austryackiemu, które wpływ cesarza Maksymiliana popierało; Łaski zaś wiódł Zygmunta do sojuszu z narodową węgierską partyą. Łaskiego było dziełem ułożone właśnie teraz, jesienią 1511, małżeństwo Zygmunta z Barbarą Zapolyanką, co Polsce szerokie do wpływu na Węgry miało otworzyć wrota, a Habsburskie wpływy sparaliżować. Daremnie cesarz Maksymilian, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, w ostatniéj chwili żonę ze swéj poręki Zygmuntowi nastręczał; daremnie sam Władysław wzywał brata, aby odwlekł swoje małżeństwo, które sam poprzednio doradzał zręcznym podstępem stronników Zapolyi nakłoniony. Mimo to Barbara wnet została królową polską (w lutym 1512 r.), a z całą rodziną Zapolyów król Zygmunt zawarł potajemnie ścisły układ, że wzajemnie swoje interesa będą popierać (1). Twórca tego sojuszu, pierwszego samoistnego czynu polityki zewnętrznéj za Zygmunta, prymas Łaski gotował się do podróży do Rzymu, na sobór laterański, aby w zgodzie z papieżem nowe Niemcom zgotować ciosy.

---

(1) Późniéj, kiedy Zapolya obrany królem węgierskim, musiał przed Ferdynandem austryackim uchodzić do Polski, wzywając nieustannie pomocy Zygmunta, odwoływał się na prywatne pakta, jakie pomiędzy nimi istnieją. Z polskiéj strony dawano na to odpowiedzi wymijające, ale że układ taki istniał, widzimy z listu Krzyckiego do Tomickiego (z 4 czerwca 1528, w Tomicyanach rękopiśmiennych), który powiada, że Rincon i poseł Zapolyi do Francyi ferunt secum exemplum litterarum foederis et coniunctionis inter Mtem. Regiam et domum Trencinensem (t. j. rodziną Zapolyów), de qua ego prius nunquam scivi mirorque vehementer datas tales litteras absqe aliqua conditione, ut nihil videatur, quo iure excusari possit Mtas. sua, si non satisfecerit fidei suae; obawia się więc, że to zaszkodzi dobréj sławie króla Zygmunta. Otóż taki układ nigdy potém powstać nie mógł i musiał pochodzić z czasu, kiedy się Zygmunt żenił z siostrą Zapolyów.

Wiadomo, jak w walce o Medyolan król francuski Ludwik XII popadł w nieprzyjaźń z Juliuszem II, porozumiał się z cesarzem, pozyskał kilku kardynałów i przedsięwziął zwołać przeciwko papieżowi sobór powszechny do Pizy; wiadomo także, jak niebawem i papież ze swéj strony inny sobór do Lateranu w Rzymie rozpisał a kardynałów schyzmatyckich klątwą obłożył. Z obu stron czyniono w Polsce i w Węgrzech zabiegi: śląc kardynałów zaproszenie wzywał Maksymilian, aby z obu tych krajów wzięto udział w soborze pizańskim; niebawem zjechał nuncyusz papieski z zaproszeniem na sobór laterański. Zygmunt Stary myślał o pośrednictwie, o zgodzie między papieżem a cesarzem; naklaniał się jednak ku Rzymowi, tam zapytywał, co z zaproszeniem do Pizy uczynić. Nie wahał się podobno prymas Łaski, zaraz do Rzymu na sobór sam pojechać umyślił łącząc z tém, jak się zdaje, jakieś bardzo rozległe plany.

Niepodobna rozpoznać, jakie właściwie to były plany; trudno nawet powiedzićć, czy się już w myśli Łaskiego dokładnie sformułowały; wyraźne jednak ślady pokazują, że miał jakąś wielką akcyą polityczną ku południo-wschodowi na oku, w któréj na pomoc Rzymu a nieprzyjaźń papieża z cesarzem rachowal. Z soboru, jeszcze późniéj, kiedy się warunki na niekorzyść Polski zmieniły, podnosi Łaski myśl krucyaty na Turków, krucyaty, w którejby przewodnictwo przypadło Zygmuntowi. Myśl takiéj krucyaty pojawiała się w Polsce i przedtém, za Olbrachta, i późniéj jeszcze, kiedy do niéj inne kraje wzywano; a jeśli wezwaniom papieskim do krucyaty nie zawsze w Polsce dawano posłuch, to dla tego jedynie, że niezawsze wierzono, czy istotnie przyjdzie do skutku, a nie chciano się samym przy sąsiedztwie Tatarów na niebezpieczeństwo narazić. W chwili, kiedy się Łaski do Rzymu na sobór zaczął wybierać, o krucyacie przemyśliwano w Węgrzech, popierał ją Zapolya, sam nawet walki z Turkami próbował; prymas węgierski kardynał Bakacs po to jechał na sobór; a gdy dodamy do tego ów projekt Łaskiego, aby król Zygmunt został W. Mistrzem Zakonu, to prawie by się zdawało, że układał się w głowie Łaskiego wielki pomysł, dla którego jadąc do Rzymu papieża pozyskać się spodziewał. Zygmunt, za dyspensą papieską zostałby W. Mistrzem Zakonu; w ten sposób załatwionoby sprawę pruską ze szkodą Niemców; Zygmunt, nie zaś wróg papieża cesarz, zostałby naczelnikiem krucyaty głoszonéj w Polsce, Węgrzech i całém chrześcijaństwie, popartéj skarbami stolicy apostolskiéj; król polski rozporządzając siłami nietylko Polski lecz i Węgier, stałby się „opiekunem królestwa węgierskiego“ a wpływ habsburski na wschodzie musiałby upaść zupełnie; niedogodna Wołosza musiałaby zupełnie Polsce uledz, a dawny między Polską a Węgrami spór

o zwierzchność nad nią z natury rzeczy załatwiłby się na korzyść Polski. Jeszcze potém chciał Łaski kraj ten wydaniem naturalnéj córki Zygmunta za wojewodę wołoskiego ściśléj z Polską związać i układał się o to podobno bez wiedzy króla.

Lecz obok wielkich i śmiałych planów, roiły się w głowie Łaskiego i bardzo dziwaczne pomysły. Oto słyszymy, jak radzi z Rzymu, aby zrobić próbę w Stambule, czy się nie uda nawrócić Sułtana na chrześcijaństwo; jeżeli zechce się o to układać ze stolicą apostolską, może zostać tak samo panem i zwierzchnikiem zachodu, jak jest nim już na wschodzie. Nieśmiało wprawdzie, z zastrzeżeniami, pisze o tém Łaski do króla; jedno w tym osobliwym projekcie uderza: widocznie godzi nim w cesarza zachodniego, rzymsko-niemieckiego, któregoby nawrócony sułtan zastąpił.

Jakkolwiekbądź, to pewna, że Łaski podówczas liczył na związek z papieżem Polski i Węgier i na nieprzyjaźń papieża z cesarzem. Obecność papieskiego nuncyusza przy tak wstrętném dla Maksymiliana małżeństwie Zygmunta z Barbarą była widomym znakiem, na co się zanosiło. Oczywiście i prymas sam osobiście spodziewał się nowych z Rzymu godności i zaszczytów; oświadczenie królewskie z tego czasu, że nikomu z biskupów polskich nie wolno się starać o kardynalstwo prócz arcybiskupa gnieźnieńskiego, zarówno przeciw zabiegom Ciołka biskupa płockiego było wymierzone, jak za przyszłem wyniesieniem Łaskiego miało przemawiać.

Na nieszczęście prymasa zwlókł się jego wyjazd do Rzymu, dokąd dopiero w początkach r. 1513 wyruszył. Jak się zdaje, Zygmunt to jeszcze się wahał i jeszcze na wiadomość o śmierci Juliusza II, zwracał już jadącego uwagę, iż może, jeżeli zechce, dalszéj podróży zaniechać. Prymas wprawdzie nie zawrócił, ale tymczasem zmieniły się i w Polsce i po za Polską te warunki, na których przedtem Łaski swoje plany opierał. Zachwiał się potężny w r. 1511 wpływ prymasa na króla. Gdy w Piotrkowie 1513 podczas sejmu przyszło do dalszych z Zakonem traktacyi, Zygmunt sam pierwszy oświadczył, że już nie chce układanych w Toruniu a tak niemiłych Niemcom środków, że odstępuje od nich, bo gdyby Mistrzem Zakonu został, naraziłby swą rodzinę na zagładę. Bardzo być może, iż Łaskiego przeciwnicy, których tak wielu miał wśród rady koronnéj, na niepewność dyspensy papieskiéj pokazując, króla do projektów prymasa i do jego osoby zniechęcili; zwłaszcza że projekt ten w istocie w wykonaniu na wielkie napotkaćby musiał trudności. Nieprzyjaźń téż papieża z cesarzem tymczasem się już skończyła; Maksymilian jeszcze z Juliuszem II się pogodził. Brakło gruntu, na który Łaski w Rzymie liczył, przyszło się łamać z trudnościami sprawy pruskiéj, którą

i krzyżaków ajenci i cesarz popierali i przed sobór wytoczyć pragnęli. Łaski starał się temu przedewszystkiem przeszkodzić i w końcu rzeczywiście przeszkodził; ale sprawa się przewlekła, w Polsce skarżono się na Łaskiego powolność, na mały skutek jego zabiegów; wpływ jego w nieobecności nieustannie podupadał i upadł w końcu zupełnie.

Podjęta bowiem (zapewne w myśl prymasa) reforma wojskowa, prowadzona bez energii, nie powiodła się ostatecznie; na zgromadzonym bez prymasa synodzie duchowieństwo zaczęła robić trudności w sprawie podatków, a w końcu wystąpiło nawet z głośnemi na Łaskiego skargami. Skargi te bynajmniéj nie były tak zgoła bez podstawy, jak to ks. Korytkowski wytłumaczyć czytelnikowi usiłuje. Owszem, widocznie prymas nie mogąc planów swych publicznych w Rzymie przeprowadzić, zaczął tém gorliwiéj się krzątać około korzyści osobistych, o których nigdy nie zwykł był zapominać. Wyjednał wprawdzie różne łaski kościelne, ale wyjednał także i przyzwolenie papieskie na długoletnią, po za czas życia jego mającą trwać dzierżawę dóbr arcybiskupich przez jego krewnych, aby ztąd mógł swe długi opłacić; wyjednał wreszcie, że cały szereg znacznych prelatur i kanonii wcielono do dochodów stołu arcybiskupiego, jak na to sam ks. Korytkowski z archiwum gnieźnieńskiego dostarcza nam dowodów. Było to i ze szkodą duchowieństwa i z uszczerbkiem królewskiego prawa nominacyi, na co Zygmunt Stary był bardzo drażliwy. W Węgrzech zaś, ogłoszona przez kardynała Bakacsa, kiedy z Rzymem powrócił, wojna krzyżowa na Turków, najsmutniejsze wydała owoce—straszny bunt chłopski, który ledwo z trudnością udało się Zapolyi uśmierzyć; w całym kraju panował tam zamęt i rozstrój, król Władysław więcéj niż kiedykolwiek w mocy był stronnictwa habsburskiego. Nakoniec cesarz Maksymilian oburzony na związki dworu polskiego z Zapolyą i narodowém w Węgrzech stronnictwem, utwierdzał W. Mistrza Albrechta w dotychczasowym oporze, a zbyt słaby, aby sam miał mu nieść pomoc, w tym celu pracował nad utworzeniem koalicyi z książąt północno-niemieckich i z Danii; wiązał się wreszcie przymierzem z W. Ks. Moskiewskim przeciwko Zygmuntowi. Bo tymczasem odnowiła się wojna moskiewska, stracono Smoleńsk; gorszych klęsk można się było lękać, gdyby istotnie zamierzona koalicya przyszła do skutku.

Wszystko to oddziaływało na Zygmunta wahającego się i niepewnego co czynić. Za kierunkiem Łaskiego nie miał kto teraz przemawiać, przeciwnicy prymasa z pewnością nie zasypiali sprawy, pokazując królowi, że prymasa polityka wewnętrzna jak zewnętrzna kraj prowadzi do zguby. W otoczeniu królewskim coraz więcéj

nabywał wpływu Piotr Tomicki, wiążący się ściśle z najmilszym Zygmuntowi, jeszcze z czasu jego na Szląsku rządów, Krzysztofem Szydłowieckim. Tomicki dotąd szedł utartą przez Łaskiego koleją, do małżeństwa króla z Barbarą czynnie przykładał ręki. Ale pewno się nie omylim przypuszczając, że od początku Łaskiego kierunek mu się nie podobał, że mu tylko ulegał, dopóki podrzędniejsze zajmował stanowisko. Nieprzyjaciel szlachty, Tomicki pewno potępiał prymasa z nią sojusz; ostrożny i rozważny, przed zuchwałémi Łaskiego pomysłami niewątpliwie uczuwał trwogę. I Tomicki żywił wielką ambicyę, swem metodycznem wysokiem wykształceniem czuł się uprawniony do tego, aby ważną odegrać rolę; lecz dążąc do godności i zaszczytów chciał je regularniejszą niżli prymas osiągnąć drogą, stopniowo powoli; nie tyle téż co prymas o korzyści osobiste się troszczył, rodzinę swą wynieść i wzbogacić mniéj gorączkowo się starał. Brakło mu ducha inicyatywy, rzutności i energii, w których celował prymas; wynagradzać to starał się systematycznością, porządkiem, doskonałą formą wychodzących z pod jego ręki aktów, które się odznaczały i poprawnym językiem i piękném nawet pismem, o co Łaski dbał bardzo mało; mozolnie, sumiennie, pracowicie spełniał Tomicki swój urząd kanclerski i nie chciał się z nim nigdy rozstać.

Tomicki, jak się zdaje, zawsze kładł większy nacisk na sprawę pruską, kiedy Łaski sprawę węgierską na pierwszym stawiał planie. Od ostatniéj w Węgrzech Tomickiego legacyi zaniosło się téż na porozumienie z Maksymilianem, z którego posłami tam się zetknął, od których się przekonał, że cesarz gotów poświęcić W. Mistrza, jeśli Zygmunt jego na Węgrzech wrogów porzuci. Po chwilowém wahaniu poszedł król w tym nowym przez Tomickiego inaugurowanym kierunku: dowodem uznania królewskiego było biskupstwo przemyskie, a wnet i podkanclerstwo koronne, które jedno i drugie Tomicki teraz otrzymał. Równocześnie oświadczał się Zygmunt przeciw polityce i przeciw osobie prymasa: wbrew poprzedniemu przyzwoleniu teraz przeszkadzał w Rzymie, żeby Leon X godnością kardynalską prymasa nie ozdobił. Rozumiał Łaski dobrze, co się przeciwko niemu knuje; dlatego już zawczasu, nim król się ostatecznie zdecydował, szkodzić w Rzymie interesom Tomickiego probował. Takie niewątpliwie znaczenie miała sprawa kantoryi gnieźnieńskiéj, którą Tomicki, choć już biskup, zatrzymać nadal pragnął, a do któréj Łaski tymczasem u papieża Wapowskiemu dopomógł.

Nastąpił znany kongres wiedeński i znane na nim układy 1515 (1); nie stanął wprawdzie żaden nowy układ sukcesyjny, ale

(1) Liske, Kongres wiedeński 1515 roku, w Studyach z dziejów w. 16.

ułożone wtedy ostatecznie małżeństwo wnuków Maksymiliana z dziećmi Władysława Jagiellończyka więcéj niżli co bądź dotąd torowały sukcesyi habsburskiéj drogę i ułatwiając wpływ cesarzowi na Węgry i Czechy burzyły cały Łaskiego program. Kiedy zawiadomiony o wszystkiem, przyśpieszając swój do kraju po dwuletniéj nieobecności powrót, po drodze na Węgry zajechał, przekonać się tam musiał, że się nie da odrazu odrobić to, co się stało w Wiedniu. Giętkości niepospolitéj i rzutności naszego prymasa wymownym to dowodem, że natychmiast, nie mogąc już nic zmienić, wszystkie możliwe korzyści z nowego zwrotu politycznego osięgnąć postanowił. Do polonizacyi Zakonu zamknięta teraz była droga, bo zrzeczono się w Wiedniu tego warunku traktatu toruńskiego, który Polaków do Zakonu przyjmować przepisywał. Za to cesarz przyrzekł, że W. Mistrza opuści, obiecał pośrednictwo między Polską a W. Ks. Moskiewskim; wojna ta zresztą od zwycięztwa pod Orszą przestała być już groźną. Łaski więc ledwo stanął w Krakowie, w długich, tajemnych rozmowach z królem nakłaniał go, aby teraz natychmiast energicznie przeciwko mistrzowi i krzyżakom wystąpił. Czy radził orężem Zakon z Prus wyprzéć zupełnie, czy tylko do niezwłocznego hołdu mistrza przymusić—nie wiemy; dosyć że osobiste zetknięcie Łaskiego z królem wywarło dawne wrażenie, że król się na jego radę zgodził. Tylko że teraz wpływ ten szybko przeminął; ledwo się król z prymasem rozstał, ledwo nadeszły nowe od Maksymiliana przyrzeczenia, porzucił Zygmunt plany energiczne i ufny w skutek cesarskich oświadczeń na Litwę wyjechał (1).

Odtąd na jakiś czas działalność polityczna Łaskiego cichnie: sporadyczne tylko przez lat parę spotykamy jéj ślady. Jedzie w następnym roku 1516 prymas na Węgry, gdy król Władysław umarł i o rządy opiekuńcze nad małoletnim Ludwikiem chodziło, ale jako kolega towarzyszy mu kanclerz Szydłowiecki, jeden z głównych zwolenników porozumienia z cesarzem, a król niedozwala Łaskiemu wziąść ze sobą i pozostawić przy Ludwiku dwóch zaufanych stronników i przyjaciół. Potém zaprząta wszystkich sprawa powtórnego królewskiego małżeństwa. Tomicki, Szydłowiecki i inni przemawiają za małżonką z ręki cesarza, najchętniéj za wnuczką Maksymiliana; gdy téj zaś dostać nie można, zgadzają się na tę dalszą krewniaczkę,

(1) Zdaje mi się, że tylko w ten sposób można rozumieć słowa listu Zygmunta do Łaskiego, Acta Tom, III, 439: Caes. Mtas. petit a nobis, ut ob omni erga magistrum actione... nos... contineamus .. se magistrum cohortaturum fuisse, ut debitum nobis praestet.. His igitur placidis pollicitis retenti Ptis. V. cracoviense *de magistro consilium, cui plane acquieveramus*, distulimus exsequi.

Bonę, która istotnie żoną Zygmunta została. Łaski wszelkiemi sposobami stara się niedopuścić takich związków habsburskich; żeby włoską księżniczkę zohydzić, donosi królowi, jakie to ubliżające o nim krążą we Włoszech pogłoski, rai mu koniecznie na małżonkę księżniczkę Mazowiecką, nakłania go, aby sam jechał na Mazowsze godzić tam spory między księżną a poddanymi. Tomickiego te zabiegi tak dalece trwożyły, że nawet wtedy, gdy już prawie ukończono układy o Bonę z Maksymilianem, chce je trzymać przed Łaskim w tajemnicy, króla nieustannie strzeże, na Mazowsze mu jechać niedopuszcza, a Łaskiego obwinia, że się dał księżnie Mazowieckiej przekupić. Łaski uległ w walce z przeciwnikami; jakby przez ironią jego to wysyłano na Mazowsze w zastępstwie króla, aby księżnę z jéj stanami pojednał. Dotknięty do żywego—nie wypełnił téj misyi.

Przyjechała do Polski Bona; do Niemiec na sejm Augsburski wyruszył wróg Łaskiego Ciołek, aby wzywać Rzeszę do krucyaty na Turków i przyrzekać Maksymilianowi, że król polski w imieniu swego synowca króla czeskiego odda głos elektorski wnukowi cesarskiemu. Przymierze habsburskie trwało w pełnéj sile, Łaski nie miał na dworze co robić. W tym téż czasie zwraca się najgorliwiéj do spraw kościelnych, a równocześnie usilnie i skutecznie nad wyniesieniem swéj rodziny pracuje, przyczem nie zapomina przeciwników swych podkopywać.

Historya kościoła w Polsce tak bardzo leży dotąd odłogiem, że niełatwo nam znaczenie i doniosłość działalności Łaskiego na tém polu zrozumieć, nie łatwo zwłaszcza ocenić, w jakim stosunku zostawała do działalności jego poprzedników albo następców. Ze słów, jakiemi Zaborowski witał nowego prymasa, widoczna, że i dla kościoła w Polsce błogich oczekiwano skutków po jego zarządzie; testament Łaskiego, bibliografia dzieł jego, nakoniec skrzętnie zgromadzone z ksiąg kapituły gnieźnieńskiéj przez ks. Korytkowskiego świadectwa pokazują, że oczekiwania przynajmniéj w części usprawiedliwił. I tu „cechuje go niezmierna ruchliwość i wielostronność. To zasiada na kapitułach, to gromadzi synody dyecezyalne lub prowincyonalne, to wreszcie w dalekie spieszy strony odbywać osobiście wizytacye kościelne. Podejmuje znaczne fundacye, o jeszcze liczniejszych zamyśla, które potém wcale do skutku nie przyszły. Każe ogłosić drukiem dawnych synodów ustawy, nowe w jedną całość zebrać poleca, wydaje mszały, brewiarze, agendy. Widocznie chodzi mu o to, aby wprowadzić w obrzędach kościelnych większy ład, porządek, jednostajność, szczególniéj od téj chwili, odkąd przywiózł z Rzymu dla siebie i swych następców godność urodzonego legata

niezbyt mile widzianą przez polskie duchowieństwo, które na synodzie prowincyonalnym granice władzy legata ściśle określić się starało. Godności téj z pewnością nie po to pragnął Łaski, żeby węzły łączące kościół polski z Rzymem obluźnić; widział w niéj tylko uświetnienie swojego stanowiska. Znamy już jego do Rzymu stosunek; kiedy nauka Lutra i w Polsce także zaczęła kiełkować, prymas nie mało się przyczynił do wydania ostrych edyktów królewskich. Z największą nienawiścią wyrażał się przed Erazmem z Rotterdamu synowiec prymasa o nauce i o osobie wittenberskiego reformatora (1).

Prawda, że nie sama gorliwość kościelna parła prymasa do ruchliwego działania na tém polu. Odepchnięty od rządu, na własną rękę krzątał się około celów politycznych i z kościelnémi je łączył. Kiedy śpieszył na Litwę wizytować tameczne dyecezye, ugruntować tam swoją prymasowską powagę, przynaglić do ogłoszenia jubileuszu, prowadzić śledztwo kanoniczne w celu kanonizacyi brata królewskiego św. Kazimierza, to zarazem chciał jednać panów litewskich dla ściślejszéj z Koroną unii. A gdy się wybrał na Prusy z pobożną pielgrzymką do miejsc męczeństwa św. patrona katedry gnieźnieńskiéj, to zarazem chciał się przypatrzéć sprawom W. Mistrza, z którym jeszcze podówczas nie załatwiono sporów, porozumiewać się z wysłańcem papieskim, który na Prusiech przebywał i Łaskiemu ukazywał znowu kapelusz kardynalski. Na to wszystko patrzy kapituła gnieźnieńska krzywém okiem, z wyraźną podejrzliwością; nieraz stawia Łaskiemu przeszkody, uskarża się na tę jego kosztowną ruchliwość, wzywa, aby dla oszczędności za przykładem innych biskupów na jedném osiadł miejscu i tylko na sejmy się udawał. W każdym kroku Łaskiego wietrzą niechętni mu jakąś myśl osobistéj korzyści, pewno nieraz i wtedy, kiedy takiéj myśli wcale nie było. Że jednak do tych podejrzeń były nieraz słuszne powody, daremnemby było temu zaprzeczać. I swoje opłacić długi i krewnych swych ubogacić majątkiem arcybiskupim, w sposób nie zawsze dosyć legalny, do tego nasz prymas aż nazbyt był skłonny.

Liczną miał prymas po swych siostrach rodzinę, a wzmianki w testamencie pokazują, że i o tych krewniakach pamiętał i nieraz im dobrodziejstwa wyświadczał. Przedewszystkiém jednak dbał o tych, którzyby świetność imienia utrzymać mogli, pomnożyć jeszcze ten blask, jakim przez niego nazwisko Łaskich zajaśniało. Brat prymasa, wojewoda sieradzki Jarosław, jak się zdaje, nie celował wielkiemi zdolnościami, skoro żadnéj głośniejszéj nie odegrał roli; nie miał też

(1) Ul. Hutteni Opera ed. Böcking II, 398—400.

i świetnych koligacyi, skoro wtedy, kiedy się żenił jeszcze Łascy niewiele znaczyli. Tego brata zasilał ciągle prymas, pomagał mu do skupowania nowych dóbr i posiadłości, wziął wreszcie całkowicie na siebie wychowanie synów i częściowe wyposażenie córek. Sam boleśnie czując brak wykształcenia naukowego, tém staranniejsze synowcom dać umyślił, do Rzymu zabrał dwóch starszych z sobą, potém pod staranną opieką na uniwersytet posłał do Bolonii. Jeszcze tam odbywali studya, a już prymas za powrotem do kraju świetną im przyszłość starał się przygotować. Kiedy najstarszy, Hieronim czyli Jarosław, śladem pradziada wędrował do Jerozolimy z Bolonii, prymas się krzątał, żeby mu wynaleźć świetną koligacyę, a równocześnie rozbić tem zastęp swoich w Polsce przeciwników. Nie bez trudu, jak się zdaje, przeszkodził Tomicki, że możny kasztelan poznański i starosta W. Polski Łukasz z Górki odmówił w końcu swéj córki, z którą zaślubić Jarosława Łaskiego prymas przedsięwziął, młodemu Górce ofiarując za to rękę bogatéj dziedziczki dwóch już wygasłych rodów, które między najmożniejsze w Polsce w 15 wieku liczono, Anny z Kurozwęk na Rytwianach, zostającéj pod opieką prymasa. Ją téż, gdy się pierwotny projekt nie udał, synowcowi swemu przeznaczył: (1) z nią posiadł wkrótce Jarosław Łaski ogromną fortunę, która odrazu postawiła Łaskich na równi z najmożniejszemi w Polsce rodzinami. Rozbudziło to więcéj jeszcze zawiści, narażało na mnóstwo procesów; i tu jednak umiał prymas poradzić i bogatym posagiem przynęcił synowicy, siostrze Jarosława, możnego małżonka Jana Tęczyńskiego, kojarząc Łaskich interesa z interesami téj znakomitéj Małopolskiéj rodziny (2).

---

(1) Żonę Jarosława młodszego nazwal Hubert, niewiedzieć dla czego, Anną Kościelecką (Hier. Łaski w Bibl. Warszaw. 1861, tom III) i to niektórzy za nim do dziś dnia powtarzają, choć najmniejszéj nie podlega wątpliwości że byla Kurozwęcką. Zapiski sądowe w Starodawnych prawa polskiego pomnikach, tom 2 i 6, pokazują że Mikolaj z Kurozwęk wojewoda lubelski (brat kanclerza Krzesława) zaślubil dziedziczkę Rytwiańskich, Ewę, która mu wniosla Rytwiany. Z tego malżeństwa było troje dzieci: Adam, Hieronim i Elżbieta wydana za Oleśnickiego. Obaj bracia umarli jak się zdaje młodo, po Adamie zostala jedynaczka, ta właśnie Anna któréj przypadly Rytwiany (ztąd bywa zwana także Rytwiańską choć jéj ojciec byl Kurozwęcki) z szeregiem wsi, po Hieronimie zaś Kurozwęckim pozostaly 2 córki, w r. 1521 jeszcze nieletnie, Anna i Barbara, na które przypadaly Kurozwęki również z wielu wsiami. O opiekę nad niemi i zarząd ich majątkiem toczyly się wtedy (1521) procesy, a równocześnie Anna Łaskiego Jarosława żona procesowala się o swoje dobra z Przemyslawem Lackorońskim i z Janem Pileckim.

(2) Katarzyna z Łaska, wydana za Tenczyńskiego, otrzymala 3000 zł. posagu, gdy inne jéj 2 siostry dostaly tylko po 1000 zł. tj. po 500 od ojca a drugie tyle od stryja prymasa, Zeissberg, Testament, 179 (695).

Dla drugiego synowca i swego imiennika Jana przeznaczał prymas wysokie w przyszłości dostojeństwo w kościele. Jan jeszcze był bolońskim studentem, gdy mu stryj niemałym w Rzymie nakładem szereg dostatnich beneficyów duchownych już zapewnił. W ciągu jednego roku (1517) zostaje młody Jan kanonikiem i kustoszem łęczyckim, kanonikiem płockim, otrzymuje koadjutoryą kanonii krakowskiéj i dziekanii gnieźnieńskiéj, którą już w rok potém posiadł istotnie. Jemu téż wydzierżawia prymas dwa najważniejsze klucze swoich dóbr arcybiskupich; lecz niebawem właśnie ta sprawa sprowadza groźny konflikt z kapitułą gnieźnieńską. Bo gdy prymas chciał tę dzierżawę nie tylko na cały czas swego żywota rozciągnąć, ale nawet na kilka lat dłużéj jeszcze, to pomimo pozwolenia papieża oddzielną bullą i mimo zgody króla, kapituła wystąpiła z ostremi wyrzutami i tak silnym oporem, że się na zwykłéj dzierżawie dalszéj skończyło. Musiał prymas niemało gorzkiéj prawdy wysłuchać; nie posłuchał jednak rad, których nie szczędzono, nie zasiadł spokojnie na jedném miejscu: właśnie teraz mu do działania otwierało się pole.

Trwające od kongresu wiedeńskiego przymierze habsburskie nie przyniosło jeszcze Polsce żadnych korzyści. W. Mistrz Albrecht za przykładem poprzednim cesarza z Moskwą się wiązał i ani myślał o hołdzie. Maksymilian zaś napotkał w zabiegach u Rzeszy o elekcyą wnuka potężnego rywala we Franciszku francuzkim, który także korony cesarskiéj zapragnął. Gdy tymczasem Maksymilian umarł, gdy się na walne starcie obu rywalów przy elekcyi, Karola i Franciszka, zaniosło, gdy i francuzcy posłowie do Polski zjechali, najgorliwsi dotąd przymierza austryackiego zwolennicy na dworze polskim nie mogli nie dostrzedz wyraźnie, że wybór króla francuzkiego pod każdym względem nierównie lepiéj interesom polskim dogadzał. Aniby król francuzki jako cesarz strzegł w Prusiech interesów niemieckich zbyt gorliwie, aniby popierał austryackich do Węgier i Czech pretensyi, których urzeczywistnienie w żadnym razie dla Polski nie było pożądaném. To téż poselstwo francuzkie znalazło w Polsce wcale przychylne przyjęcie, tylko stanowczo nie chciano się jeszcze związać, aby na wszelki wypadek nie zrażać sobie i Karola; zwłaszcza że tu wchodziła w rachubę sprawa o Bari neapolitańskie, podległe Karola zwierzchnictwu. I jemu czyniono obietnice, aby jakkolwiek elekcya w Rzeszy wypadnie mieć cesarza przyjacielem.

Wiadomo, że polscy posłowie wcale w wyborze cesarza nie wzięli udziału, że koronę posiadł król hiszpański, a skutkiem tego na wojnę jego z Francyą się zaniosło. Spodziewano się w Polsce, że zajęty walkami we Włoszech nie będzie mógł na wschód zwrócić uwa-

gi: tę właśnie chwilę, pod koniec 1519 r., wybrano do podjęcia nareszcie wojny przeciwko Zakonowi.

Skoro się przymierze z Habsburgami chociaż chwilowo tylko zachwiało, skoro się przecież w Polsce do energiczniejszych gotowano kroków, prymas Łaski nie mógł pozostać zdala. Posłyszawszy, że sejm na pograniczu Prus w Toruniu ma się zebrać dla narady o przyszłéj wojnie, zaraz śpieszy do króla ze stanowczą jak zawsze radą, aby natychmiast nie czekając sejmu wojnę rozpocząć, zanim się Zakon do niéj przysposobić potrafi. Ostrożny Tomicki z oburzeniem o tém wspomina; królowi widocznie projekt Łaskiego nie przypadł do smaku: ale prymasa nie zraża to bynajmniéj. Odtąd go przez czas jakiś przy boku Zygmunta nieustannie widzimy: i po sejmie, który wojnę uchwalił, przebywa z królem na Prusach, zajmuje się gorliwie uzyskaniem pożyczki od duchowieństwa na koszta wojny, obiecuje podatki, które przyszły synod uchwali, a wpływ jego powoli zaczyna się podnosić i równoważyć wpływ Tomickiego. Podkanclerzy chory właśnie, nie mogąc spełniać obowiązków swojego urzędu, z największą niechęcią musi na to patrzéć, że prymas go w przyjmowaniu posłów zastępuje, że synowiec prymasa, Jarosław, dostaje urząd na dworze, mianowany przez króla krajczym koronnym, wreszcie że ten sam młody Jarosław Łaski ma jechać jako poseł do cesarza, powitać go, asystować koronacyi w Akwizgranie, wytłómaczyć mu Polski do Prus prawa, odwieść go od wspierania Krzyżaków—a następnie ma udać się i do Francyi, by rozpoznać, czy Franciszek zechce z Polską wejść w ściślejsze stosunki.

Cóż to znaczyło że po raz pierwszy rząd Zygmunta Starego słał swego posła do Francyi? Dr. Hirschberg ma gotową na to odpowiedź. To król Zygmunt się przekonał, że przymierze habsburskie nie na wiele się przyda, to podkanclerzy Tomicki spełniając wolę króla z Francyą nawiązać stosunki przedsięwziął. Jarosław Łaski nazbyt był jeszcze młody, żeby mógł sam cośkolwiek na własną podjąć rękę; był on tym razem jedynie planów Tomickiego wykonawcą. Tylko zapomina dr. Hirschberg, że król Zygmunt „nic nie czynił sam u siebie,“ a przedewszystkiem wcale nie probuje wytłómaczyć, dla czegóż to dla tak ważnéj misyi nie umiał znaleźć Tomicki żadnego innego, doświadczonego dyplomaty, których przecież zdaniem dr. H. podówczas w Polsce nie brakło; dla czego wybrał właśnie tego, o którymby nigdy nie powinien pomyśléć, synowca swego zawziętego rywala, młodego i bez doświadczenia, o którego talentach dyplomatycznych nikt jeszcze nic nie wiedział. Już sama ta okoliczność każe nam tłómaczenie dr. H. uznać za bardzo nieprawdopodobne; a jeśli jeszcze widzimy w poufnych listach Tomickiego, z jaką to zazdrością i nie-

chęcią spogląda właśnie w téj chwili na zabiegi prymasa, jak to właśnie najbliżsi prymasowi otrzymują senatorskie godności (Miedzieleski biskupstwo kamienieckie), jeżeli właśnie teraz sypią się na prymasa zjadliwe Krzyckiego epigramata: to chyba już dowód nieomylny, że co czynił w téj chwili król, czynił pod wpływem prymasa Łaskiego. Jego to więc pomysły wykonać miał najbliższy mu, dwudziestokilkoletni krajczy koronny; za jego to, prymasa, sprawą Zygmunt nie zrywał wprawdzie z Karolem V, lecz się już gdzie indziéj oglądał, gdyby i nadal przymierze habsburskie większych niż dotąd nie przyniosło pożytków. Mógł z tém prymas łączyć nadzieję, że Tomickiego albo od boku króla całkiem usunąć albo zjednać sobie potrafi. Tomicki właśnie został biskupem poznańskim i król nie mogąc się rozstać z tak miłym sobie doradzcą, pieczęć mu nadal zatrzymać pozwalał: ale było to wbrew ustawom, a ztąd się podkanclerzy na wiele napaści narażał.

Tymczasem trwała daléj wojna w Prusiech jak najlepsze rokując zrazu nadzieje. I pruskie i polskie źródła stwierdzają najwyraźniéj, że jeśli kiedy, to teraz właśnie była chwila jedyna, żeby Zakon i Albrechta zupełnie z Prus wyrzucić. Położenie W. Mistrza było rozpaczliwe, w Prusiech grozili wszyscy, że wnet go opuszczą, już się wielu, jak biskup pomezański ze swą dyecezyą, Zygmuntowi poddało, już wojska królewskie stały pod murami Królewca; jeszcze chwilę, a Albrecht nie miałby żadnego ratunku. Nawet Tomicki, choć wyznaje, że pokoju pragnął najmocniéj, uważał przerwę działań wojennych w téj chwili za zgubną i haniebną. A jednak Zygmunt Stary na zawieszenie broni dla układów teraz pozwolił. Podjęto je z przybyłym do Torunia Albrechtem, przedłużono następnie rozejm, aż się Albrecht posiłków z Niemiec doczekał i z Torunia natychmiast zrywając rokowania oddalił. Przeminęło wprawdzie szczęśliwie niebezpieczeństwo od landsknechtów, którzy oblegać Gdańsk poczęli; Albrecht się z nimi połączyć nie zdołał i znów z całą siłą polską niebawem musiał walczyć; ale chwila pomyślna minęła niepowrotnie; wdali się pośrednicy: papiescy, cesarscy, węgierscy, różnych książąt niemieckich i stanął rozejm czteroletni, który całą tę sprawę pruską pod sąd arbitrów poddawał, to jest cofał znów na to stanowisko, na którém się przed wojną znajdowała.

Nikt wytłómaczyć nie umie, jakim sposobem to się stać mogło, kto winien, że bez skutku zmarnowano całoroczne wysiłki wojenne, kto z radzców koronnych przywiódł króla do tak zgubnéj decyzyi. Niewątpliwie wiadomości z południa o groźném wystąpieniu Turków, którzy niebawem potém klucz do Węgier, Belgrad, zdobyli, nie były bez wpływu na króla; może i sejm toruński odegrał tu jakąś rolę:

bądźcobądź, to co się w Prusiech ze strony polskiéj w r. 1521 stało, jest dowodem takiego niedołęztwa, jakie się nader rzadko spotyka: odtąd już było niemożebném pomyślne rozwiązanie sprawy pruskiéj.

Jaką w tém wszystkim odegrał prymas rolę? nie wiemy wcale. Znając dawniejsze jego rady zawsze do energicznych kroków wiodące, trudno przypuszczać, żeby na niego także część winy tego niedołęztwa miała spadać. Wpływem zresztą na króla, który w początkach wojny zaczynał znów wywierać, nie cieszył się widocznie zbyt długo ani niepodzielnie; bo właśnie teraz mocno się stara, aby się z Tomickim mógł pojednać w taki sposób, któryby i rodzinie prymasa nowe przyniósł korzyści. Nęci prymas swego rywala widokami następstwa po sobie; ofiaruje mu koadjutoryą arcybiskupstwa, byleby zato i Tomicki już teraz przybrał sobie koadjutora w biskupstwie poznańskiem (Latalskiego), który znów swoich dostatnich prebend na rzecz młodego Jana Łaskiego się zrzecze. Lecz chociaż prymas do tego planu i potém wytrwale wracał, Tomicki nie chciał się w żadną od niego podać zawisłość, a pieczęć, któréj będąc prymasem nie mógłby żadną miarą zatrzymać, cenił sobie nierównie wyżéj niż naczelne wśród duchowieństwa stanowisko. On pewno sprawił, że i kanclerz Szydłowiecki odstąpił całkiem prymasa, że nawet wroga prymasowego Ciołka wziął w swą opiekę, chociaż dla zamysłów prymasa przyrzeczoną dzierżawą dóbr arcybiskupich już był zjednany. Odtrącony przez przeciwników, musiał prymas z głównym z nich, Tomickim, prowadzić walkę; zrazu udało mu się odnieść w niéj powodzenie.

O pierwszém Hieromina Łaskiego do Francyi poselstwie nic zgoła niewiadomo, ani kiedy je u Franciszka I odprawił, ani jakie były najbliższe tego skutki. Może brak aktów do téj sprawy w Tomicyanach wskazuje, że nie przez Tomickiego szła ona ręce; może we Francyi w pierwszéj chwili nie zbyt skwapliwie pochwycono dłoń dość nieśmiało wyciąganą z Polski. Ale odkąd cesarz Karol rozpoczął walkę o Medyolan, odkąd zwłaszcza jego we Włoszech armie zaczęły pierwsze odnosić powodzenia, odtąd i na wschód, na nieprzyjaciół tam habsburskich, zwrócono we Francyi uwagę, a poseł francuzki Rincon zjechał na dwór krakowski i do Węgier się udał. Nie z królem Ludwikiem jednak, opanowanym zupełnie przez stronników austryackich, miał traktować, lecz dążył do Zapolyi, na którego, bardzo być może, Łaski to Franciszkowi ukazał. Groźne Zapolyi ze stronnictwem narodowém wystąpienie przeciwko dworsko-austryackiéj partyi w tym właśnie czasie, 1523 r., pewno w związku z tém poselstwem zostaje; a to znów i podobne objawy w Czechach

niewątpliwie na stanowisko rządu polskiego wpłynęło. Były ważne powody, które od przymierza austryackiego mogły Zygmunta odstręczać: w Czechach a zwłaszcza w Węgrzech wpływ austryacki wzrastał nieustannie, odkąd małżeństwa w Wiedniu ułożone przyszły do skutku; dla Polski nic dotąd téj szkody nie nagradzało. Cesarz nawet w sprawie sukcesyi barskiéj robił jeszcze trudności, za W. Mistrzem wśród wojny pruskiéj się oświadczył, co najgorsza, znowu przymierze z W. Ks. Moskiewskim odnowić pragnął i pewne w tym celu już czynił kroki. To wszystko każdy mąż stanu polski musiał uznać szkodliwém i szukać sposobu odparcia. Ale skoro widzimy, że właśnie w tym samym czasie, gdy się w Polsce na bliższe z Francyą porozumienie zaniosło, prymas Łaski gorąco przeciw Tomickiemu w sprawie pieczęci pomiędzy szlachtą agituje, że długie potajemne miewa u króla posłuchania, że Jarosław Łaski w szybkiem po sobie następstwie raz po raz nowe bierze wysokie dostojeństwa, a wreszcie on to powtórnie do Francyi jedzie jako poseł: to trudno w tém nie uznać wskazówki, z któréj strony popęd do francuzkiego przymierza pochodził, trudno przypuścić, żeby to wszystko przypadkowym tylko miało być zbiegiem okoliczności. Łascy to niewątpliwie pchali króla w objęcia Francyi, a Tomicki i inni ich przeciwnicy nie mieli dostatecznego powodu, żeby się temu opierać. Króla nęciła najbardziéj świetna z możnym dworem francuzkim koligacya; żeby ją ułatwić wynaleziono dla królewskiéj córki pokaźny bardzo, chociaż problematyczny dosyć, posag: pretensye Bony do Medyolanu, oparte wprawdzie na kruchych nader podstawach, o których za to tém głośniéj zaczęła dyplomacya polska rozprawiać.

Na tym gruncie Jarosław Łaski doprowadził teraz do skutku ścisłe z Francyą przymierze (1) i ułożył podwójne dzieci królewskich małżeństwo, właśnie w téj chwili, gdy Franciszek na nowo najechać Włochy ze świetną armią i wydrzeć Karolowi Medyolan się gotował. Liczono na to, że i papież się przeciw cesarzowi oświadczy; Jarosław Łaski miał po to jechać do Rzymu (czy pojechał—nie wiadomo zgoła); prymas Łaski zawsze dbały o dobre z Rzymem stosunki, ofia-

(1) W ostatniéj swéj pracy: Przymierze z Francyą z r. 1524 dr. Hirschberg bardzo starannie zebrał wszystko, co się do tego przymierza odnosi i bardzo trafny wydał sąd, (szkoda że ukryty w przypisku) o polskiéj dyplomacyi ówczesnéj i o zachowaniu się Zygmunta I. Tylko mojem zdaniem do mniemanych praw Bony do Medyolanu nazbyt wielką przywiązuje wagę, a za to nie dosyć podnosi tę okoliczność, że wydanie córki za mąż za francuzkiego księcia było dla Zygmunta nader ważném i pożądaném. Zbyteczna wreszcie dodawać, że przecząc istnieniu stronnictw za Zygmunta, nie rozróżnia dr. H. wcale że to z różnych stron działały na króla różne wpływy. Zob. jednak Łukasa recenzyą w Ateneum z Marca b. r.

rowywał Klemensowi VII, że i jego, rozejm świeżo między Polską a Turcyą zawarty, może objąć. Bo myśli o krucyacie nie zrzekano się wprawdzie, ale ją aż do czasu odłożyć należało, kiedy włoskie wojny się skończą. Wtedy i król francuzki dałby Polsce i Węgrom pomoc przeciw Turkom; to także ułożone przymierze zastrzegało.

Twórcy traktatów z Francyą z pewnością mieli zamiar, żeby ze strony polskiéj czynniéj niż dotąd w Węgrzech i Czechach wystąpić przeciw wpływom austryackim. W jaki sposób—to najlepiéj pokazują groźne zajścia węgierskie w roku następnym (w lecie 1525), oddalenie wszystkich dotychczasowych urzędników, których miejsce reprezentanci stronnictwa narodowego zajęli. Prymas Łaski naglił wtedy usilnie Zygmunta, aby się sam osobiście udał na Węgry i tam jako rozjemca wśród różnych partyi wystąpił; Tomicki bawił zdala od dworu, gniewny, że wbrew jego życzeniom król biskupstwem poznańskim rozporządził:—to także za wskazówkę może posłużyć. Ale Zygmunt już ochłódł znacznie: klęska pod Pawią Franciszka, przy którego boku walczył najmłodszy z Łaskich Stanisław, wtrąciła go napowrót w zwykłe wahanie.

Wprzód jednak zdobył się rząd polski na krok wymagający do pewnego stopnia energii, na rozwiązanie ostateczne sprawy pruskiéj. Sprawa sekularyzacyi Prus jest dotąd niewyjaśnioną zagadką pod tym względem, że zgoła nic nie wiemy, co rząd polski do tego kroku w następstwach swoich tak szkodliwego mogło popchnąć. Nie miejsce tu nad tą sprawą zastanawiać się bliżéj, zwłaszcza, że niewiadomo nic, czy i jaki w niéj brał prymas Łaski udział. Mimochodem więc chyba wspomnieć należy, że wiele prawdopodobieństwa ma to, co dr. Hirschberg powiada, jakoby sekularyzacya Prus pozostawała w związku z przymierzem francuzkiem Zygmunta. A przytém trzeba pamiętać, że w Polsce nikt już w téj chwili, jak się zdaje, wcale nie przypuszczał możności wcielenia Prus Zakonnych do Polski bezpośrednio. Trudniejszém to z pewnością było obecnie o wiele, niż przed czterema laty, kiedy przecież Albrechta, choć można było, nie wyparto. Pamiętać trzeba także, że sekularyzacya Prus zwracała się przedewszystkiém przeciwko cesarzowi i Rzeszy. Zakon był stanem Rzeszy i dotąd, w ostatnich czasach, jednym ze stanów bardzo gorliwych. Zakonu zniszczyć Polska niemiała sposobu, bo chociaż Prusy były najważniejszą Zakonu posiadłością, nie były jednak wcale jedyną; w Niemczech miał ich, choć rozrzuconych, tyle, że razem pewno się Prusom równały. Zakon też, jak wiadomo, pomimo sekularyzacyi Prus nie przestał istnieć tak długo, jak długo dawna Rzesza niemiecka istniała, do 19 wieku, imiennie dziś jeszcze istnieje. Tę

łączność Prus przez Zakon z Rzeszą sekularyzacya przecinała zupełnie; lenny w Prusach książę nietylko członkiem Rzeszy być przestał, ale stawał i z Rzeszą i z cesarzem w konflikcie, na swego nowego zwierzchnika wyłącznie się musiał oglądać i ulegać mu nieustannie we wszystkiém. Dalszego postępowania już było rzeczą, żeby powolne wcielenie Prus do Polski bez wstrząśnień przygotować i w stosownéj chwili go dokonać. A nakoniec pamiętać trzeba także, iż uznanie w Prusiech zlutrzonego księcia, współczesnym nie zdawało się religii katolickiéj i kościołowi tam zagrażać. Wśród współczesnych, w obu obozach religijnych, nikt jeszcze wtedy nie wątpił, że rozdział kościelny jest chwilowy, że go najbliższy sobór, dokonawszy reformy, usunie, że jedność religijna znów powróci. Dla współczesnych było to tylko kwestyą czasu, prawdopodobnie nie zbyt odległego. Tak też Prus sekularyzacyą wszyscy współcześni pojmowali: na dworze cesarskim panowało najwyższe oburzenie, udawano, że taki skandal, króla Zygmunta jako opiekuna herezyi niesławą okryje u wszystkich katolickich monarchów. W Rzymie natomiast Klemens VII, cesarzowi niechętny, przyjął wiadomość o tém dość chłodno i z uśmiechem powiadał, że widocznie król polski, jak to i inni czynią, woli prosić papieża o zatwierdzenie już spełnionego czynu niż naprzód o pozwolenie się starać. Niebawem nawet przysłał papież królowi poświęcony miecz i kapelusz, coby nastąpić nie mogło, gdyby tam za skandal sekularyzacyą Prus uważano.

W taki sposób wypadek ten pojmując mógł i prymas Łaski do sprowadzenia go się przyczyniać, aby rozwiązać ręce królowi dla działania na południu; prawdopodobniejszem jednak się wydaje, że to ostrożniejsi mężowie stanu polscy, nie tak jak prymas ryzykowni, chcieli przynajmniéj na północy mieć spokój. W każdym razie na szkodę kościoła katolickiego Łaski nie myślał działać: był jednym z pierwszych, którzy wobec zaburzeń gdańskich królowi ostre kroki radzili, a za gorliwe herezyi tępienie od papieża odbierał pochwały. A gdy się Zygmunt wedle rady prymasa do Gdańska wybrał, Hieronim Łaski mu towarzyszył: otrzymawszy już przedtém ekspektatywę na starostwo malborskie, może w nagrodę za swe poselstwo do Francyi, teraz nalegał na króla, aby je obecnemu staroście odebrano i zaraz jemu oddano w zarząd.

Dla czego pragnął właśnie tego starostwa, które trzymał Stanisław Kościelecki, wojewoda poznański, trudno zrozumieć; Kościeleccy byli przecież z Łaskimi w powinowactwie. Może więc tu jakieś waśni rodzinne w grę wchodziły. To pewna, że takiem żądaniem, koalicyą wszystkich przeciwników rodziny Łaskich wywołano. Bo do-

żywotność starostw, to jeden z punktów kardynalnych, którego strzegli senatorowie jak oka w głowie. Cały więc długi szereg najznakomitszych panów rady z obu kanclerzami na czele wystosował petycyą do królowéj Bony, która właśnie teraz wpływ znaczny na Zygmunta zaczynała wywierać. Przedstawiano jéj, jaką to byłoby dla wojewody poznańskiego hańbą, gdyby go bez przyczyny starostwa pozbawiono, jak to jest rzeczą niestosowną, aby najważniejszą na Prusach twierdzę powierzano niedoświadczonemu młodzikowi. Błagano więc królowéj, aby takiéj niesprawiedliwości niedopuściła (1) — wiedziano dobrze, że osobiście Bona Łaskich niecierpi.

To wystąpienie okazuje, że wpływ Łaskich na króla musiał być wtedy jeszcze bardzo wielkim, skoro aż tak poważnych chwytano się przeciw niemu sposobów. Istotnie nie zbyt dawno Zygmunt dał prymasowi nowe swéj przychylności dowody, jakich teraz pożądał on najbardziéj: nowe dostatnie prebendy duchowne dla młodszego synowca Jana. Ale to wystąpienie całego szeregu najpoważniejszych senatorów nie mogło pozostać bez wrażenia na Zygmunta, który zwykł „czynić wszystko, czego zechcą ważni senatorowie." Zresztą reakcya, która w Węgrzech rychło po przeszłorocznych zajściach nastąpiła przeciw Zapolyi, prymasa sprzymierzeńcowi, musiała znowu wpływ jego podkopać; a pogrom turecki pod Mochaczem zadał mu cios ostateczny. Nie tylko Jarosław Łaski nie otrzymał starostwa malborskiego, o co odtąd najgłębszą do Tomickiego chował urazę, ale i stryja rady król zaprzestał zupełnie słuchać, ani nawet nie zasięgał już odtąd jego zdania (2). Odtąd czego chciał prymas, na własną musiał tego probować rękę.

Przerażająca pod Mochaczem klęska, a więcéj jeszcze śmierć w niéj króla Ludwika, sprowadzała dla Polski i wielkie niebezpie-

---

(1) Oryginał tego aktu (drukowanego w Act. Tom. VIII, 69) z podpisami i pieczęciami 17 senatorów duchownych i świeckich znajduje się w Bibliotece XX. Czartoryskich Ms. 262, bez daty jednak dnia, na któréj wpisanie zostawiono okienko, a to podaje w wątpliwość, czy akt został istotnie Bonie doręczony. Może osiągnąwszy bez interwencyi królowéj to, czego żądano od króla, nie złożono już jéj téj petycyi; bo myli się Dr. Hirschberg mniemając, że skoro król expektatywy starostwa Łaskiemu nie odebrał, to widocznie wystąpienie owo senatorów pozostało bez skutku; w tym wypadku chodziło o wypełnienie expektatywy, tego dopominał się Łaski a temu skutecznie przeszkodzono.

(2) Uskarżał się potém prymas, że już oddawna nie pyta go król o zdanie oprócz na sejmie (w liście do Zygmunta z 20 kwietnia 1528 r.). Korzystając w dalszym ciągu z niewydanych Tomicyanów rękopiśmiennych, nie robię szczegółowych cytatów, bo jak wiadomo, istnieją różne redakcye i różne odpisy Tomicyanów, w których pojedyncze akta w różnych też stoją miejscach.

czeństwo i kłopot ogromny. Że po jedynéj bitwie całe Węgry bezbronne stanęły Turkom otworem, to najwyższą na wszystkie strony roznieść musiało trwogę. Ale kłopot prawdziwy ztąd dla rządu polskiego nastał, że obie zawakowały przez Jagiellonów dzierżone dotąd korony, w Czechach i w Węgrzech. Wiedziano w Polsce doskonale, że po obie korony sięgnie teraz Ferdynand austryacki; lecz każdy w Polsce rozumiał, od króla do ostatniego szlachcica, że takie usadowienie się pod bokiem Polski Habsburgów i to w téj chwili, kiedy potęga cesarza wszędzie dotąd okazywała się zwycięzką, najgroźniejsze na przyszłość stworzyłoby położenie. Jak temu jednak zapobiedz? Mogli w poprzedniem pokoleniu Jagiellonowie sięgnąć sami po spadek Podjebrada i Korwina, bo Kazimierza otaczało grono dorosłych synów, którychby na więcéj jeszcze tronów starczyło. Teraz ród cały składał tylko jeden starzec i jedno dziecię; starzec ledwo mógł rządom trzech swoich państw wydołać (prócz Litwy jeszcze i Prus ściślejsza z Polską unia nie łączyła), dziecięciu przedewszystkiem następstwo po ojcu należało zapewnić. Dziwić się zatém nie wypada, że król Zygmunt nie pragnął węgierskiéj ani czeskiéj korony. W danych warunkach jedną tylko miał rząd polski, jedyną drogę, jeśli nie chciał dopuścić w Węgrzech i Czechach sukcesyi habsburskiéj: musiałby oświadczyć się odrazu i stanowczo za Ferdynanda rywalami, o ile który tu lub tam miał najwięcéj widoków powodzenia. Byli tacy rywale: w Czechach książęta bawarscy, w Węgrzech ten magnat, który oddawna bożyszczem był partyi narodowéj, a sam tylko marzył o koronie królewskiéj. Można było się z nimi połączyć ściśle: za pomoc choćby dyplomatyczną każdy z nich był gotów poddać się Polski przewodnictwu; związać ich powinowactwem żadnéj nie przedstawiało trudności, nawet zapewnić sobie mogli polscy Jagiellonowie w którym z tych krajów następstwo na lepsze czasy, gdyby król Zygmunt jeszcze się miał doczekać drugiego syna. Tylko trzebaby działać szybko i energicznie; tego obecne otoczenie Zygmunta nie umiało; tylko trzeba było na możliwe niebezpieczeństwo gniewu i nieprzyjaźni habsburskiéj się narazić: na to nikt z panów rady na dworze, odkąd Łaskich od króla odsunięto, nie miał dosyć odwagi.

Chwycono się więc półśrodków nie prowadzących do żadnego zgoła celu. Tradycya dynastycznéj dawniejszéj polityki była jeszcze tak silną, że podjęto zamiar starania się dla Zygmunta, przynajmniéj o koronę węgierską, czy to żywiąc nadzieję, że Ferdynand na koronie czeskiéj poprzestanie, gdy mu się tu nie będzie żadnéj stawiać przeszkody, czy téż żeby przecież cośkolwiek uczynić, nie licząc na skutek szczęśliwy. Takby się prawie zdawało; działano niezręcznie

i nieśmiało, o powodzeniu kandydatury polskiéj w Węgrzech nie mogło być teraz wcale mowy. Ferdynand został królem czeskim bez wielkich trudności, ale Węgrzy żadnego nie chcieli cudzoziemca: zanim posłowie polscy zjechać tam zdążyli, już Zapolyę z zapałem okrzyknięto królem i koronowano niezwłocznie. Jak wiadomo, niepowstrzymało to stronników, chociaż nielicznych, Ferdynanda: niebawem i jego téż królem węgierskim obwołano, lecz królestwo musiałby sobie dopiero zdobywać.

Z obu stron słano do Polski, z obu stron żądano praw swych uznania, pomocy, gdy się na walkę zaniosło. Rząd polski postanowił najściślejszą zachować neutralność. Przyjmowano posłów od obu królów węgierskich, żadnemu tego tytułu nie odmawiano, każdego zapewniano, że Zygmunt mu sprzyja szczerze, z całego serca, ale po za to ani na jeden krok nie chciano postąpić. Powołując się na przymierza, które Polskę z obu państwami wiążą, na powinowactwo, które łączy Zygmunta z obydwoma rywalami, odmawiano wytrwale wszelkiéj czynnéj pieniędzmi lub zbrojnymi pomocy. Odkąd wojna w Węgrzech zawrzała, ogłoszono edykt królewski, którym wzbroniono komubądź z kraju za granicę się dla walki udawać. O jedno tylko starano się nieustannie i wytrwale, przed wojną i wśród wojny: o zgodę pomiędzy obu współzawodnikami. Bezustannie podejmował się dwór polski pośrednictwa; bezustannie szły z kancelaryi koronnéj odezwy, w których wymownémi słowy wychwalano dobrodziejstwa pokoju; raz po raz jeździli posłowie polscy dobro chrześciaństwa, niebezpieczeństwo od Turków, walczącym stawiać przed oczy.

Był niejeden powód i słuszny, który do takiego stanowiska zachęcał. Wdzięczności Zygmunt sobie tém nie zjednał u żadnéj strony. Zapolya, król Jan—jak go w Polsce zwano powszechnie—uskarżał się z goryczą, że go szwagier opuszcza i najsłuszniejszą jego sprawę tém gubi, że łamie dawne układy familijne, które wspierać we wszystkiem przyrzekł mu uroczyście. Oddawał to pod sąd swych sprzymierzeńców i dyplomy układów słał do Francyi. A gdy opuszczony przez swoich i rozbity, do Polski z garstką wiernych musiał się schronić, żalił się z oburzeniem, że go nawet król w nieszczęściu przez posła żadnego nie nawiedzi, że mu w ciężkiem strapieniu żadnego nie okazuje współczucia. Ferdynand ze swéj strony nieustanne czynił wyrzuty, że z Polski mimo zakazów królewskich dla Zapolyi idą posiłki; nastawał na to, że z Tarnowa Zapolya szerzy na Węgrzech agitacye, że go panowie polscy w tém wspierają; żądał przez posłów i listownie, aby mu pobytu w Polsce wzbroniono.

Król i podkanclerzy nie dali się niczem zbić z raz obranéj drogi Tomicki wymówił się chorobą, gdy Zapolya jego i innych panów polskich na zjazd osobisty zapraszał; starał się odwieść innych, żeby nie brali w tym zjeździe udziału. Ale Ferdynandowi odpowiadano równocześnie, że lepiéj o wiele dla niego, aby Zapolya przebywał w Polsce, niż by ztąd wydalony miał u Turków lub innych wrogów habsburskich szukać przytułku. Ztąd na dworze i Ferdynanda i cesarskim miano rząd polski wciąż w podejrzeniu i w szczerość oświadczeń neutralności nie chciano wierzyć.

Bo istotnie urzędową politykę polską mało kto w kraju pochwalał. Spieszono zewsząd pod chorągwie Zapolyi, dopóki walczył w Węgrzech; król patrzał na to przez szpary, nawet poufnie, w tajemnicy, udzielał pozwolenia, byleby tylko neutralność nie była naruszoną. Lecz kto tę neutralność potępiał, ten bynajmniéj nie trwożył się o to, czy jéj przypadkiem nie skompromituje, owszem skompromitować ją pragnął, przywieść króla koniecznie, żeby z neutralności wyszedł, wciągnąć go w antihabsburskie przymierze. Tego pragnęli Łascy i na własną téż rękę odmienną od urzędowéj zaczęli prowadzić politykę. Jarosław Łaski był jednym z pierwszych, którzy do Zapolyi na Węgry pośpieszyli i niebawem rozgłośną począł odgrywać rolę w króla Jana usługach. Zręcznie potrafił on omylić czujność straży austryackich i uniknąć zasadzek, przedarł się na zachód: we Francyi i w Anglii, w Danii i u wszystkich domu Habsburskiego wrogów znalazł chętne przyjęcie. Wszędzie zjednał dla króla węgierskiego przymierza, z Francyi nawet pomoc pieniężną uzyskał i napowrót do swego pana potrafił wrócić. A gdy Zapolya przed Ferdynandem musiał uchodzić, Łaski poważył się na krok stanowczy. Wysłany do Stambułu, tu dopiero całą swą zręczność dyplomatyczną rozwinął. Bez haraczu, bez jakichbądź warunków upokarzających, pozyskał dla Zapolyi uznanie przez Sułtana i sułtańską opiekę, w potrzebie pomoc przeciw Ferdynandowi. Dumny z takich powodzeń wracał do Polski: przodem słał wypowiedzenie wojny (t. zw. dyffidacyą) Ferdynandowi i jego w Węgrzech stronnikom, na swych w Polsce przeciwników otwarcie się odgrażał. „Już mi zęby wyrosły, nie tylko szczekać, ale i kąsać potrafię," pisał przypominając, jak go Tomicki „niby młodego psa od misy" odegnał od starostwa malborskiego, że jeszcze z niego młodzieniaszek. Podkanclerzy obawiał się nawet jakiego na swą osobę zamachu, i ze skargą się zwracał do króla, z prośbą, aby go swą opieką zasłonił.

I Ferdynand skarżył się znowu przed Zygmuntem, że Jarosław Łaski jego nadużył imienia, że mianując się posłem polskim przez kraje Ferdynanda się przedostał; skarżył się szczególniéj na ową

dyfidacyą i pogróżki Turkami. Król się też mocno obruszył, o ostrych zamyślał środkach, chciał Łaskiego zapozwać i urzędu pozbawić, że przekroczył królewskie zakazy. Najbardziéj gniewało króla, że Łaski sam od siebie zawarł także 10-letni rozejm z sułtanem w imieniu Polski, pod warunkiem, że Zygmunt będzie wspierał Zapolyę. Tomicki podzielał oburzenie królewskie, lecz doradzał cierpliwość i odwłokę: odkąd Zapolya ufny w przymierze tureckie na Węgry znowu się wracał, trzeba się było i z Łaskimi bardziéj liczyć. Rozejmu, który przywiózł Łaski, nie przyjęto, ale przed niebezpieczeństwem od Turków strzeżono się bardzo; oddzielny poseł polski do Stambułu przywiózł ztamtąd 5-letnie zawieszenie broni bez wszelkich neutralność naruszających zastrzeżeń. Dla tego odmówiono i Ferdynandowi, gdy niebawem dla walki z Turkami prosił Zygmunta o pożyczkę. Dla tego nawet się napozór z Jarosławem Łaskim, gdy ten na chwilę do Polski przybył, podkanclerzy pogodził i przyrzekł gniew króla ostudzić, a Łaskich sprawy popierać.

A prymas Łaski, wypada nam zapytać, cóż czynił przez ten czas cały? czy brał jaki udział w synowca zabiegach? czy je pochwalał i zachęcał? Nieliczne istnieją działalności prymasa ślady i ztąd to mogła powstać w tym względzie wątpliwość, a nawet całkiem sprzeczne zdania. Dr Hirschberg identyfikuje prymasa zupełnie z Jarosławem i wszystkie w monitorium papieskiem z r. 1530 zawarte przeciw niemu zarzuty przyjmuje jako prawdziwe. Ks. Korytkowski za to we wszystkiem widzi tylko proste oszczerstwo, przeczy, żeby między prymasem a synowcem jego, odkąd Polskę opuścił, jaki bądź zachodził związek a nawet zapewnia, że żadnego nie znajdzie się dowodu jakiegokolwiek pomiędzy nimi w sprawach politycznych porozumienia i stosunku. Na to się żadną miarą zgodzić nie można: ogółem biorąc dr. H., choć nie we wszystkiem, nierównie bliższym jest prawdy niźli ks. K.

Dawne stanowisko prymasa kazałoby się z góry domyślać, że i teraz do walki z Habsburgami on nakłaniał i prowadził. Teraz istniała przecież potężna przeciw Habsburgom liga, a na jéj czele stał papież, jak tego zawsze prymas pragnął. Świeżo jeszcze jakieś z Rzymu otrzymał prymas przywileje, na które się Tomicki mocno uskarżał. Porozumienia zresztą prymasa z synowcem są wyraźne dowody. Kiedy Jarosław Łaski niby to z pielgrzymką do Loretu z Polski się oddalał, na dworze polskim lękano się jego w Rzymie zabiegów i zawczasu przeciw temu starano się tam zastrzedz. Ale prymas wiedział o tém, że synowiec jego pojedzie od Zapolyi do Francyi; przez niego podawał Franciszkowi wskazówki, jakby, obietnicą pomocy pieniężnéj na obronę od Tatarów, należało Zygmunta do przymierza

francuzkiego nakłonić. Potępiał prymas ścisłą neutralność rządu polskiego, głośno oświadczał, że „przez obecne rady i obecnych urzędników ginie rzeczpospolita", nieprzestawał gorliwych czynić zabiegów, aby Tomickiego przecież pieczęci pozbawić i od osoby króla oddalić. Po za agitacye, co prawda, nie mógł się posunąć, skoro wpływ wszelki na królá utracił; bezpośrednie przeprowadzenie swych planów musiał zdać na synowca, boć i wyjechać z kraju nie mógł zgrzybiały starzec.

Drugi synowiec, Jan młodszy, wspierał go znów w walce innego rodzaju, literackiéj, która teraz nie mniéj wrzała zawzięcie. Dawno już trapił Krzycki swych nieprzyjaciół (a nawet nieraz i przyjaciół także) złośliwémi epigramatami, a prymas Łaski przed innymi był ulubionym celem tych pocisków. Długo nikt z otoczenia prymasa nie umiał na nie odpowiedzićć. Aż dopiero Jan Łaski młodszy powracając z Francyi przywiózł także, może umyślnie w tym celu, młodego poetę humanistę Burgundczyka Aniana. Wyszydzanie w epigramatach herbów jednych osób, a wynoszenie innych musiało wtedy bardzo popłacać. Więc w odpowiedzi Krzyckiemu naśmiewać się Anian począł z wysławianéj przez niego Łodzi Tomickiego a natomiast zachwalać Korab Łaskich. Naturalnie pełno w tém osobistych przymówek i politycznych aluzyi. Wielbił Krzycki Łódź, że choć mała bezpiecznie mknie środkiem morza niby łódka Piotrowa (Piotr, jak wiadomo, miał na imię podkanclerzy) co to Rzymem zawładła (1). Odpowiadał mu Anian: bezpiecznie płyniesz to prawda, kiedy morze spokojne, lecz gdy wichry rozburzą fale, na łańcuchach mozolnie trzeba tę Łódź holować; ani jéj równać z Korabiem, z którego cały ród ludzki wyszedł. Dziś nam się to wydaje błahe i prawie śmieszne; wtedy robiło takie wrażenie, że Krzycki nie chciał udzielić wujowi tych wierszy, dopóki na nie coś nie odpowie, żeby się nazbyt nie zirytował. „Wiem—powiadał (27 lipca 1528)—z jakiéj te wiersze kuźni; czuć w nich chłopaka francuzkiego lub jego pana, który je wielu ludziom zwykł czytywać z wielką uciechą; trzeba więc im jeszcze lepiéj odpowiedzićć, żeby wiedzieli, co to znaczy zaczepiać tych, co i odpisać i odpłacić potrafią." Cała téż młodzież kosztem Tomickiego kształcona rzuciła się na Korab Łaskich: Hozyusz, Konarski i inni. Ale tę wrzawę epigramatów przygłuszył głos całkiem inaczéj doniosły. Jan Łaski młodszy niedarmo był ulubieńcem Erazma z Rotterdamu; wydając pisma św. Ambrożego dedykował je Erazm prymasowi

(1) Przez omyłkę ten epigramat Krzyckiego pomieszczono między wierszami Hozyusza a pominięto i Hozyusza odpowiedź na Korab i pochwalny wiersz na cześć prymasa, o walce téj zob. Hosii epistolae I, 36 nota 7.

listem, w którym nieszczędził mu kadzidła. Brał Erazm więc, bezwiednie pewno, udział w téj walce literackiéj, a przed powagą „najuczeńszego z ludzi“ padał kornie na twarz cały polski świat humanistyczny; cichły przynajmniéj na czas głośne przed chwilą waśni: Hozyusz, który dopiero co dogryzał Korabiowi, dosiadał nieco chromającego pegaza, żeby obok Aniana chwalić znów cnoty prymasa na czele wydanych przez niego ustaw synodalnych; sam Krzycki do młodszego Jana Łaskiego się garnął, żeby liścik dostać od Erazma i módz się nim poszczycić przed wszystkimi.

Ten grunt humanistyczny stanowił pewien łącznik pomiędzy Krzyckim a prymasowym synowcem; ku Krzyckiemu zwracał się teraz prymas, żeby osięgnąć, co się z Tomickim nie powiodło: koadjutoryą, obietnicą następstwa po sobie na stolicy arcybiskupiéj, nakłaniał go do przyjęcia sobie za koadjutora w biskupstwie płockim Jana Łaskiego młodszego. A gdy słyszym, jak usilnie przestrzega podkanclerzy swego siostrzeńca, aby broń Boże nie wdał się z prymasem w żadne układy, to zdawałoby się, że ambicya Krzyckiego skłonną była uledz takiéj pokusie. Nie stało się to jednak, prymas namiętnie goniąc za ubezpieczeniem przyszłości swéj rodziny, musiał do innych (jak Drzewiecki, Latalski) kołatać, zawsze daremnie. Polityczne jego stanowisko wrogie urzędowéj polityce zrażało od bliższych z nim związków.

I o trzecim synowcu, Stanisławie, rycerzu z pod Pawii, który znów teraz z wyprawą francuzką Lautrec'a aż pod Neapol się zapędził, pamiętał stryj o rodzinę dbały: zaswatać mu chciał księżniczkę mazowiecką teraz sierotę, że aż Krzycki z rozkazu Tomickiego musiał ją od tego odwodzić. Wdzięcznie przyjęła przestrogę, że król tego sobie nie życzy, że to ujma dostojeństwa książęcego; nie mniéj jednak i księżniczka i Mazowszanie woleli nad księcia zagranicznego widzieć księżniczki oblubieńcem krajowca w przewidywaniu zmian w Polsce może niedalekich. Snać liczono, że w razie śmierci starego króla, przy dziecinnym wieku Zygmunta Augusta, małżonek księżniczki mazowieckiéj może miałby tronu nadzieję, w każdym razie jakieś naczelne stanowisko wśród rządów opiekuńczych musiałby zająć.

Najmniejszéj więc nie może podlegać wątpliwości, że prymas, krzątający się tak gorliwie około zwalenia obecnie rządzących radców królewskich, był ciągle gorącym przymierza francuzkiego zwolennikiem, jak na to prof. Liske wskazał. Nie o samo tylko synowców wyniesienie mu chodziło, jak mniema dr. Hirschberg; włoskie wyprawy Stanisława Łaskiego w służbie francuzkiéj nie były drogą do wyniesienia. O wyniesienie rodziny chodziło mu jak zawsze tak

i teraz bardzo, ale mimo niechęci dworu nie poświęcał swego politycznego stanowiska, aby dostęp do godności synowcom swym ułatwić. Toć gdy poseł francuzki przy Zapolyi Rincon powracał (w lipcu 1529) przez Gdańsk od Franciszka, w Łowiczu w rezydencyi prymasa, opatrzył go młodszy Jan Łaski w wóz i konie na dalszą do Krakowa i do Węgier drogę; a że Rincon przywoził teraz Zygmuntowi obietnicę subsydyów pieniężnych z Francyi, gdyby z nią zawarł przymierze, to było wypełnieniem dawnéj prymasa rady. Lecz czyż prymas pochwalał i przymierze Zapolyi z sultanem i udział, jaki w tém wziął Jarosław Łaski? Mamy własne prymasa świadectwo, które uszło uwagi jego biografów; szkoda tylko, że to urzędowy list do króla, w którym zapewne liczył się z króla nieprzyjaznêm usposobieniem.

Kiedy na wiadomość o dyfidacyi Jarosława Łaskiego Ferdynandowi, o zawarciu przez niego z Turkami rozejmu, który Polskę do pomocy dla Zapolyi zobowiązywał, król w gniewie chciał sądu na wojewodę sieradzkiego i pytał panów rady listownie o ich zdanie, wtedy i do prymasa napisał. W odpowiedzi, która się przechowała (1), niezmiernie długiéj i często zawiłéj (Krzycki się nieraz z nieudolnego stylu i wysłowienia prymasa natrząsał), co zrozumienie jéj utrudnia niekiedy, wykłada prymas całe swe na stosunek Polski do Węgier, Turków i Ferdynanda zapatrywanie. Nie chce usprawiedliwiać synowca, bo to on sam, wezwany „uczynić potrafi a „cokolwiek teraz czyni, czyni to bez mojéj rady.“ „Nigdym nie chwalił ani dotąd pochwalić nie mogę tego jego przedsięwzięcia“, powiada o przymierzu z Turkami, dodając zaraz: „zaprawdę za moją radą nigdy by tego nie podjął, chyba żeby ztąd jaki pożytek dla w. k. mości i dla państw w. k. m. miał wyniknąć.“ A jeśli to zastrzeżenie zostawia pewną wątpliwość, czy przymierza z Turkami nie pochwala w ogóle, czy też gotów je chwalić, o ile by korzyść przyniosło, to wątpliwość ta znika zupełnie w dalszym ciągu. Bo prymas zapewnia, że układem z Turkami ubezpieczył Jarosław Polsce spokój od Tatarów, a rozwijając daléj swój pogląd mniema: „mojem zdaniem nie potępiać należy mego synowca Jarosława za jego sławne czyny, w których się okazał i okazuje prawym i wiernym senatorem w. k. m. i jego państw... lecz raczéj wypada zachować te jego dzieła w sercu w. k.

---

(1) Z 11 lipca 1528; znal ten list Bużeński, cytujący 7 tom Tomicyanów (II, 198), którego tu w Krakowie nie ma; znalazłem list ten w Tekach Naruszewicza T. 42 N. 9 (w Bibl. XX. Czartoryskich), pełniejszych niż Tomicyana, bo zawierających odpisy z różnych redakcyi Tom., ale mających teksty nieraz bardzo popsute przez kopistów.

m. i rad koronnych, tych przynajmniéj, którzy dla szczęścia w. k. m. należycie rozumieją, że przez wytrwałą chociaż niedostateczną obronę króla Jana" (naturalnie przeciw Ferdynandowi) „wszystko jeszcze z czasem na pożytek w. k. m. będzie się mogło obrócić." Dalszy ów wywód, rady praktyczne, które daje królowi, pokazują, że prymas nie szedł tak daleko jak Jarosław, lecz na wspólnym z nim stał gruncie. Wobec groźnéj potęgi Turków porzucał dawniejsze zamysły krucyaty, nawet ją za szkodliwą uważał, zwłaszcza że teraz tylko pod przewodnictwem cesarza i Habsburgów mogłaby się odbyć, na ich oczywiście korzyść. Opanowanie całych Węgier przez Ferdynanda zawsze się prymasowi największém dla Polski złem wydaje, gorszém niż przymierze z Turkami. Każe zważyć królowi, że gdyby się z Ferdynandem połączył, Turcy się na niego obrócą całą siłą, a Habsburgowie go z pewnością opuszczą: dosyć przecież usposobienia swego względem Polski dali dowodów wspierając Albrechta i łącząc się z W. Ks. Moskiewskim. Uwzględniając widocznie to tylko, co teraz u króla możnaby istotnie osięgnąć, nie staje w zasadniczéj sprzeczności z urzędową Tomickiego polityką, nie radzi teraz porzucić neutralności, lecz zaleca więcéj energii i śmiałości. Niechaj król Zygmunt znowu śle do Ferdynanda i, wskazując na niebezpieczeństwo od Turków, do układów z Zapolyą go nakłoni, żeby chociaż część Węgier mu pozostawił (Zapolya bawił jeszcze podówczas w Polsce). Zapolyę niech także do układów przywiedzie i przestrzeże, aby ani Węgrom, ani Turkom nazbyt nie ufał. Zakaz publiczny wojowania za granicą utrzymać należy, to Ferdynada powinno zadowolnić, ale niech król Zapolyę zawiadomi, że może z Polski żołnierzy werbować, a nawet rotmistrzów polskich niech król potajemnie zachęca, aby w służbę Zapolyi wstępowali. Otwarcie Zapolyi wspierać nie można, tę pomoc bowiem swojemu sprzymierzeńcowi uważałby sułtan jak gdyby daną sobie, a to hańba dla króla polskiego; lecz trzeba słać do sułtana, podziękować mu za przyjaźń, którą okazał Zapolyi, wezwać go, aby zaniechał wojny, bo król rezultat dla Turków pożądany, pozostawienie całych Węgier Zapolyi, u Ferdynanda układami bez krwi rozlewu spodziewa się osięgnąć. Wyraźnie wskazywał prymas swego synowca Jarosława, że on mógłby jako poseł królewski u Turków zaniechanie wyprawy wyjednać i kończył swój list słowami: „bierzmy przykład z Wenecyan; oni sądzą, że jeśli wszystko już ma zginąć, niechajże oni sami zginą przynajmniéj ostatni".

Z całego wywodu prymasowego pokazuje się ogromna, po doświadczeniach w Węgrzech, przed Turkami trwoga, najwyższy strach, żeby się tam nie usadowili, przekonanie, że tylko przez Zapolyę można tego uniknąć. I Jarosław Łaski w Stambule zawierając

przymierze nie pragnął Turków do Węgier sprowadzić, zastrzegał się u W. Wezyra, żeby dopiero przybyli, gdy Zapolya tego zażąda, żeby tylko hospodarowi wołoskiemu nieść pomoc przeciw Ferdynandowi nakazali. Poselstwo jego do Turków miało na celu głównie tyły sobie ubezpieczyć: innemi siłami zamierzano walczyć z Ferdynandem. Że Turcy w żadnym razie nie ścierpią, aby Węgry dostały się całe w moc Habsburgów, to było dla każdego jasném; w takim razie nowa wyprawa turecka, któréj Węgry stałyby się teatrem, była więc nieuniknioną, a wobec tego, co się działo na zachodzie, było též prawie pewnem, że Ferdynand utrzymać całych Węgier nie zdoła, że nowe Węgier części w moc Turków się dostaną. Natomiast było możliwem, że słabego Zapolyę Turcy w posiadaniu Węgier bez wojny pozostawić się zgodzą, gdy się z nimi sprzymierzy, że w inną może się zwrócą stronę. W ten sposób możnaby i od Ferdynanda ocalić Węgry i od tureckiego panowania zasłonić; to prymas pochwalał najzupełniéj, tem usprawiedliwiał wiązanie się z Turkami.

Tylko nieprzewidywał, jak się zdaje, co to będzie, jeśli Turcy przecież wyprawę przeciw Ferdynandowi i to przez Węgry przedsięwezmą. Wtedy Zapolya stawał się lennikiem tureckim, choćby nie płacił haraczu, do którego opłaty gotów był Ferdynand, byle jemu Węgry zostawić Turcy by się zgodzili. Bądź co bądź uniknąć wyprawy tureckiéj można było najprędzéj, jeśli wogóle jéj uniknąć było podobna, gdyby innemi siłami udało się Zapolyi Ferdynanda z całego wyprzeć kraju. O to się więc starać należało, o to się starał Jarosław Łaski i ani wątpić, że mu w tém prymas wedle sił dopomagał. Czy obracał na ten cel dobra swe arcybiskupie, czy zastawiał swoje kościelne włości? Zarzucano mu to potem w pozwie papieskim, Dr. Hirschberg rzecz jako fakt przyjmuje, z oburzeniem ks. Korytkowski odpiera; ale w zapale polemiki zapędza się nazbyt daleko, twierdząc, że prymas nic nigdy nie zastawiał; bo przecież sam w aktach kapituły gnieźnieńskiéj znalazł jakieś ślady zastawu dóbr arcybiskupich, a może było ich dawniéj więcéj (1). Bądź co bądź rzecz to niejasna dotąd bardzo.

---

(1) W r. 1529 wzywała prymasa kapituła, ut arces archiepiscopales essent eliberandae et *redimendae* de manibus saecularium personarum et quod saeculares non gubernent neque *per obligationem* aliquam bona mensae archiepiscopalis teneant, Korytkowski, str. 73, nota 1. Słowa podkreślone wyraźnie mówią, o wykupie i o zastawie, choć ks. K. tłomaczy to (w tekście) wyrazem: zobowiązania; trudno zaś przypuszczać, że kapituła zastrzegała się przeciw temu, coby się stać dopiero mogło, raczéj trzeba mniemać, że skarżyła się na to, co się już stało. A czy w księgach kapitulnych są istotnie w tém miejscu jakie karty wydarte? twierdził to dr. Hirschberg wedle udzielonéj mu wiadomości; ks. K. tak ważnéj wskazówki wcale nie podnosi, ale též jéj i nie zaprzeczył wyraźnie.

Krzątał się Jarosław bardzo gorliwie, prawdopodobnie zasilony przez stryja, aby na rzecz Zapolyi w Niemczech wojsko zwerbować. O te zaciągi wojskowe z Niemiec starał się już oddawna Zapolya: jeszcze przed powrotem Łaskiego upraszał króla Zygmunta, aby je wolno było robić w Poznaniu. Teraz Jarosław Łaski sam pośpieszył do Niemiec w tym celu. Co tam sprawił? znowu rzecz niejasna niezmiernie. Jarosław Łaski donosił wprawdzie niebawem, że już 15000 zbrojnych w Niemczech zwerbował i wymieniał sumę żołdu, jaką im przyobiecał; ale mogły to być tylko z jego strony przechwałki przedwczesne. I sam Zapolya skarżył się potém, przed Zygmuntem, że jego namiestnicy Tomicki i Szydłowiecki (król wtedy na Litwie przebywał, 1529 r.) „wielkie krzywdy wyrządzili i do domu odesłali" śpieszących mu przez Polskę na pomoc żołnierzy, których z wielkim kosztem z dalekich krajów zaciągnął. Ale Tomicki powiada, pisząc o tych skargach do Zygmunta, że fałszywie widać Zapolyi o takich posiłkach doniesiono, bo nikt ich w Polsce nie widział, ani nic o nich nie wie; przed królem zaś nie potrzebował Tomicki kłamać dla usprawiedliwienia się, bo Zygmunt jeszcze przed rokiem wyraźny wydał rozkaz, aby posiłków z Niemiec do Zapolyi nieprzepuszczono. I Krzycki także w poufnym do wuja liście z powodu tych zaciągów powiada, że Łaski w Niemczech posiłków nie otrzymał, że umyślnie się uskarża na więzienie i odsyłanie żołnierzy jakoby przez Polskę ciągnących, żeby na Tomickiego powszechne oburzenie wywołać. A jednak kiedy Łaski z pogróżką i wyrzutem sam do Tomickiego o to się zwrócił, to podkanclerzy usprawiedliwiał się przed nim i przyznawał, że zmuszony naleganiem posła Ferdynandowego istotnie wspólnie z Szydłowieckim zakaz jakiś na piśmie wydał. Byliż więc ci żołnierze czy nie byli? Trudno coś pewnego powiedzieć; ze słów Tomickiego (1)—zdaje mi się— wnosić należy, że to nie o armią choćby podzieloną na części chodziło, jak mniema Dr. Hirschberg, nie o zagraniczne zaciągi, lecz o jakąś niewielką prawdopodobnie garstkę w Polsce zwerbowanych dla Zapolyi żołnierzy. Bądź co bądź rzecz wymagałaby dokładniejszego wyjaśnienia.

Zgoła zaś wierzyć w to nie mogę, żeby w dobrach arcybiskupich żołnierzy zagranicznych, i do tego heretyków t. j. luteranów zbrojono, zaopatrywano w wojenny rynsztunek i wyprawiano ztamtąd do obozu Zapolyi, chociaż dr. H. zdaje się i te zarzuty czynione

---

(1) Raz powiada (w liście z 3 października 1529) że Ł. skarżył się propter dehortationem profectionis *e Regno* apud milites V. Mag. (Łaskiego) litteris et nuntio communi meo ac Dni. Cracoviensis nomine factam; drugi raz (19 paździer.): propter litteras, quas ad *comites* eius sub meo nomine ac sigillo datas sive vidit sive intellexit.

prymasowi za prawdę uznawać. W tym jednym punkcie słuszność jest mojém zdaniem niewątpliwie po stronie ks. K., który powiada, że przeciwnicy polscy prymasa nieomieszkaliby tego zaznaczyć i przeciwko niemu wyzyskać. W chwili, kiedy się urzeczywistniało to, czego prymas obawiał się najbardziéj i czego pragnął koniecznie uniknąć, kiedy Turcy ciągnąc przeciw Ferdynandowi wkraczali do Węgier, prymasowi nie pozostawało nic innego, jak czekać bezczynnie, co z tureckiéj wyprawy wyniknie.

Wyniknęły skutki dla prymasa osobiście jak najsmutniejsze; nie bez pozorów słuszności można go było nazywać sprzymierzeńcem Sułtana i przed papieżem o to skarżyć. Zwycięstwa włoskie Karola V kazały Rzymowi wierzyć temu, co cesarz powie. W Cambray uznał już król francuzki przewagę cesarza, już przedtém w Barcellonie ugiął się papież przed hiszpańską we Włoszech potęgą. Kiedy w Bolonii wieńczył Klemens VII Karola koroną cesarską, rozlegały się gromy kościelne przeciwko tym wrogom Ferdynanda, których oręż Habsburgów mniéj łatwo mógł dosięgnąć. Jeszcze świeżo Ferdynand wielkim haraczem chciał u Turków posiadanie Węgier okupić,—teraz zamieniał się w obrońcę chrześciaństwa; Zapolyi słał dotąd papież zachętę i błogosławieństwo, nawet wtedy, gdy już z sułtanem się sprzymierzył,—teraz wyklinał w nim wroga chrześciaństwa i sługę tureckiego (1). Należało ubezwładnić i w Polsce Zapolyi przyjaciół, żeby mu nie dawali pomocy: papież pozywał prymasa Łaskiego, że Turkom dopomaga.

Nie pierwszy to raz i nie ostatni użyto broni duchownéj dla celów czysto politycznych; brudną i niecną intrygą tego nazywać się więc nie godzi. Kanclerz cesarski, kardynał Gattinara, czynił co każdy na jego miejscu podówczas by uczynił, gdy się chwytał sposobu, który mógł dobrze posłużyć. Zresztą niekoniecznie działał całkiem w złéj wierze. Poseł cesarski Korneliusz Schepper był w Polsce, kiedy o zabiegach rodziny Łaskich dla Zapolyi było niezmiernie głośno, kiedy Jarosław Łaski powracał z Turcyi, kiedy oczekiwano zaciągów z Niemiec. Gdy się Schepper skarżył, że z Polski Zapolyi niesiono pomoc, odpowiadano mu na dworze usprawiedliwiając neutralność: to nie król, to stronnicy Zapolyi, których ma w Polsce wielu, na czele których stoi prymas. Jarosławowi prymas

---

(1) Zapolya apelował do papieża wolnego od namiętności i do soboru powszechnego, a w Węgrzech odzywały się głosy (według listu Frangepanego, arcybiskupa Koloczańskiego, do Tomickiego z wiosny 1530): papież umyślnie Zapolyę wyklina, żeby mu dopomódz, skoro tak źle mu się wiodło, póki go błogosławił; lepiéj w Budzie słuchać klątwy niż czytać błogosławieństwa papieża w Tarnowie.

dopomagał nieraz pieniężnie, dopomagał mu pewnie i wtedy, bodaj nawet czy niezastawił jakichś dóbr arcybiskupich; Jarosław Łaski werbował w Niemczech żołnierzy, a chociaż, jak wiadomo, na Węgrzech obóz Zapolyi reprezentował ścisłą prawowierność, gdy wszyscy sympatyzujący tam z Lutrem stali po stronie Ferdynanda, to z pewnością werbowanych nie pytał o wyznanie i chętnie zaciągał Luteranów, tak jak prawowierny cesarz niedawno z Luteranami Rzym na papieżu zdobywał. Niebawem Turcy Wiedeń oblegli: cóż było łatwiejszego, jak wszystko z sobą skombinować i niewiele dodawszy całą baśń utworzyć, że prymas dobra biskupie zmarnował, za to zbroił heretyków i do obozu Turków pod Wiedeń ich wyprawiał? Z takiemi zarzutami wystąpił Schepper przed papieżem, kardynał Gattinara je poparł: takie zarzuty znalazły miejsce w tym pozwie, który przeciw prymasowi wydano. Materyału do pozwu dostarczyła strona skarżąca, Schepper, nie w kancelaryi papieskiéj on powstał; tylko papież się zgodził, że skargę wniesiono z urzędu, że prokurator papieski o naznaczenie sędziego upraszał. Papież delegował jednego z kardynałów, któryby sprawę rozpatrzył, a ten kardynał prymasa zapozywał. To było owo monitorium papieskie z lutego 1530 roku, o którego genezie szczegółowo listy Dantyszka pouczają (1). W pozwie pomieszczono wszystkie zarzuty, jak je kancelarya cesarska sformułowała; nie szczędzono oczywiście obelżywych nazw zdrajcy, arcydyabła, judasza. Dla usprawiedliwienia się i sądu wzywano prymasa pod klątwą, złożeniem z godności i olbrzymią karą pieniężną, aby osobiście stawił się przed papieżem. Samo monitoryum złożono na ręce obecnego w Bolonii na zjeździe posła polskiego przy dworze cesarskim, aby je przesłał królowi; wykonanie t. j. publiczne ogłoszenie pozwu pozostawiała stolica apostolska woli Zygmunta.

Prawdę z fałszem pomięszano w tym pozwie, nie inaczéj jak i dziś jeszcze w niejednym pozwie się to znajdzie. W Polsce wiedziano o tém dobrze. Wpisując w Tomicyana oskarżenie ostrzegał Górski czytelnika (2): „coś tu przeczytał, wiedz że to są kłamstwa i wściekłe infamie: to Romaniści za pieniądze razem z Niemcami poszaleli.“ Ale choć Górski był poufnym sługą i przyjacielem Tomic-

---

(1) Listy te pokazują, że o monitorium starała się wyłącznie kancelarya cesarska, Gattinara, Schepper; ze strony Ferdynanda o takie środki nie dbano wiele, a to się zupełnie zgadza z całym, jak go znamy, różnym stosunkiem obu braci i ich rządów do sprawy węgierskiéj.

(2) Dopisek taki, który nie wiem, czy w innych kodeksach Tomicyanów się znajduje, stoi w Ms. 268 Bibl. XX. Czartor. f. 82.

kiego, choć w jego słowach należałoby zdanie podkanclerzego upatrywać, trudno przecież obronić się od podejrzenia, że polscy Łaskich przeciwnicy nie byli zupełnie obcy wydaniu tego monitorium. Wówczas kiedy Jarosław Łaski na Tomickiego nastawał, że przeszkodzono zaciągom dla Zapolyi, pisał o tém do wuja Krzycki (5 listopada 1529): „wiem ja, z czem i przedemną się odgrażano; to są podobno przedwstępne kroki, trzebaby im tak odpowiedzieć, żeby poznali, jaką sobie zjednają u nas przychylność temi groźbami.“ A kiedy Gattinara w Bolonii u papieża o monitorium kołatał, to Dantyszek nalegał wprawdzie ciągle, aby nic się przytém nie stało z ujmą dla króla Zygmunta, lecz zarazem ostentacyjnie, zachęcająco, powtarzał, że bronić prymasa nie będzie, że niema żadnych o tém instrukcyi, że więc niczemu się nie sprzeciwi. Dodajmy do tego, że autor oskarżenia, Schepper, o Tomickim z uwielbieniem się wyrażał, że króla Zygmunta bronił na dworze cesarskim, a król mu za to, oczywiście za sprawą Tomickiego, oddzielnym listem już po wydaniu monitoryum dziękował: to podobno będą poszlaki dość znaczące, które za takim podejrzeniem zdawałyby się przemawiać. Z pewnością nie wystąpiono wyraźnie, niewątpliwie na lekkiéj tylko poprzestano insynuacyi; ale czyż trudno było Dantyszkowi, który w wielkiéj żył z Schepperem przyjaźni, nieznacznie napomknąć mu w rozmowie, że kancelarya cesarska mogłaby znaleść przecież sposoby u papieża, jak należy sparaliżować działanie stronników Zapolyi w Polsce, jak ułatwić tę neutralność zupełną, któréj chce król polski stale przestrzegać.

Lecz jakiż cel mógł mieć w tém Tomicki, a jaki Gattinara? Czego chciał kanclerz cesarski, to zupełnie wyraźne. Słuchając nieustannie, jak rząd polski stronnictwem anti-austryackiem się wymawia, że nie może przeszkodzić pomocy dawanéj Zapolyi z Polski, chciał zgnieść stronnictwa tego głowę—prymasa, chciał go pozbawić godności arcybiskupiéj i tem zbawienną dla zamiarów habsburskich obudzić w Polsce trwogę. Tomicki z pewnością tego nie pragnął, ani pragnąć nie potrzebował; jemu wystarczało wydanie pozwu, choćby wcale do egzekucyi nie przyszło, a skandalu głośnego, złożenia arcybiskupa, nigdy nie był chciwy. Pozew papiezki publicznie prymasa nazwą zdrajcy kościoła piętnował; to dostatecznie utrudniało prymasowi te z Rzymem stosunki, których się Tomicki zawsze lękał, te zabiegi, szczególniéj na korzyść synowca Jana, którym się starał przeszkodzić. Odkąd nad prymasem zawisł ów groźny pozew, nie trzeba się było podkanclerzemu obawiać jego pogróżek, jego agitacyi wśród szlachty, że pieczęć biskup krakowski bezprawnie dotąd piastuje; gdyby prymas chciał daléj stawiać w czembądź To-

mickiemu przeszkody, łatwo było kogoś z dworu cesarskiego nasadzić, żeby pozwu dochodził. Król Zygmunt bowiem egzekucyi się nie podjął, w Polsce monitorium nie ogłoszono, zwrócono je kancelaryi papieskiéj z oświadczeniem, że neutralność ścisła zabrania królowi cokolwiek bądź w téj sprawie uczynić. Ogłoszeniem obraziłby król Zygmunt Zapolyę, nie dopuszczając egzekucyi naraziłby się Ferdynandowi: dlatego król oznajmiał, że nie przeszkodzi, jeśli papież od siebie zechce sprawę daléj prowadzić.

Mylne to mojém zdaniem mniemanie, że prymasa pozew papieski i zagrożona nim klątwa zaniepokoiła w sumieniu, że się uląkł o zbawienie swéj duszy. Tak się nam może dziś zdawać: ale ówczesny dostojnik kościelny wiedział doskonale, że groźba klątwy, a nawet sama klątwa, to zwykły wówczas i pospolity środek egzekucyjny sądów duchownych, przy pierwszéj lepszéj sprawie o byle dług, o byle dziesięcinę zatrzymaną. Sam się nią nieraz pewno nasz prymas posługiwał. A zresztą prymas nie podległ klątwie, bo pozwu w prawomocny sposób, w Płocku i Poznaniu, jak to monitorium przepisywało, nie ogłoszono wcale. Ale ten pozew był dla prymasa klęską polityczną, był przegraną w walce z politycznymi i osobistymi wrogami. W tém leżała tragiczność jego losu. W związku z Rzymem walczył całe życie przeciw Habsburgom, chciał zwalić swych przeciwników w Polsce, chciał prowadzić politykę, którą papież popierał: z Rzymu spadł nań w starości cios, który go na łaskę przeciwników oddawał i zmuszał błagać króla i Tomickiego o ochronę przed skutkami pozwu papieskiego.

Głęboko upokorzony w swéj dumie, w téj godności, o którą wielce dbał zawsze, udawał się zgrzybiały prymas do króla, aby go przez umyślnego posła w Rzymie usprawiedliwił, prosił podkanclerzego równocześnie o jego pomoc. Tomicki nie miał powodu sprzeciwiać się temu, ale się téż wcale nie spieszył z wyprawieniem takiego posła, robił trudności co do jego osoby. Tymczasem umarł kardynał Gattinara, sprawy pozwu nikt przeciw Łaskiemu nie popierał w Rzymie, Ferdynand do nowych z Zapolyą nakłaniał się układów — dał sobie prymas wytłumaczyć podkanclerzemu, że lepiéj całéj sprawie dać pokój i nieporuszać jéj na nowo, skoro popadła w zapomnienie. Na tém się téż skończyło — nikt o pozwie nie przypomniał, ale nie zdjęto go z prymasa wyraźnie; aż do śmierci, która niebawem nastąpiła, 19 maja 1531 r., wisiał nad nim jak groźba. Tak tryumfującym przeciwnikom Łaskiego było najwygodniéj.

Zgryziony i złamany umierał starzec 75-letni uległszy ostatecznie w długiéj walce; jedną mógł przecież mieć pociechę. Węgry się nie dostały Ferdynandowi, Zapolya utrzymał się w posiadaniu więk-

széj ich części; prawda, że po nim zawładnęli tam Turcy. Ale tego prymas niedożył, jak nie dożył i tryumfu swojéj myśli, którą zawzięta przedtém jego nieprzyjaciółka, królowa Bona, urzeczywistniła, wydając córkę za króla Jana. Przy boku tego króla Jana Zapolyi stali wszyscy trzéj prymasa synowcowie, przez niego zaszczytami obsypani, każdy mu służąc w inny sposób. Jarosław, teraz— jak Zapolya sam zanim królem został — hrabia spiski i wojewoda siedmiogrodzki kierował węgierską dyplomacyą, Jan jako biskup Veszprimski, zasiadał w radzie króla Jana, Stanisław walczył za niego z wojskami Ferdynanda. Kiedy, jeszcze przed śmiercią prymasa, znów układy się między obu królami węgierskimi przy polskiem pośrednictwie nawiązały, to i Jarosław i Jan Łascy na zjeździe w Poznaniu (wrzesień i październik 1530) stawali jako posłowie węgierscy. Ale niepowodzenia prymasa wytrąciły i rodzinę jego ze zwykłéj kolei; zaszczyty i godności, których dla niéj tak pragnął, na kruchéj w Węgrzech spoczywały podstawie, jak to się pokazało w niedalekiéj przyszłości. I pod tym względem tylko połowiczny rezultat zdołał prymas osiągnąć.

Za to późniéj, w trzeciéj ćwierci wieku 16-go, wszystko co stało w programie prymasa Łaskiego, podejmuje znów na sejmach szlachta i prawie wszystko przeprowadza. Prymas zamknął ustawą z 1504 r. szafunek dóbr królewskich — szlachta egzekucyi tego statutu, odbioru królewszczyzn po nim rozdanych i obrócenia ich na wojsko dopomina się i wymusza; prymas zmierzał do ścisłéj z Litwą unii—szlachta nieustanném naleganiem unią zdobywa; prymas był stałym Austryi wrogiem—antagonizm do Austryi jest hasłem stronnictwa szlacheckiego; prymas z Turkami pragnął pokoju, odkąd walka z potęgą muzułmańską na korzyść przedewszystkiem Habsburgów musiałaby się obrócić—pokój, nawet przymierze z Turcyą to także jeden z punktów szlacheckiego credo politycznego. W jedném tylko różni się dążność późniejsza szlachty od prymasowskiego programu: prymas zawsze stał silnie przy związku z Rzymem, przestrzegał prawowierności,—szlachta zmierzając do reformy stosunków wewnętrznych chce jéj także w kościele. Ale i na polu kościelném kto wie, czy nie prymasa program przyszedł w końcu do urzeczywistnienia, kto wie, czy pierwszego pomysłu podjętéj i dokonanéj w samym końcu 16 wieku unii kościelnéj nie należy szukać już w tych memoryałach, które przeciw wyznaniu ruskiemu prymas składał na soborze Laterańskim. W każdym razie w prymasie Łaskim widzimy pierwszego reprezentanta tego kierunku, który święcił swój tryumf przez elekcyą Stefana, którego zwycięztwa przedstawicielem był Zamoyski. Kanclerz i prymas Ła-

ski na początku, kanclerz i hetman Zamoyski na końcu — to dwaj najznakomitsi przywódcy szlacheckiego stronnictwa.

Tylko że Łaski nie znalazł w Zygmuncie takiego króla, jakim był Stefan dla Zamojskiego, króla, któryby go poparł całą swoją powagą, zlał na niego całą swą władzę, uczynił zadość jego olbrzymiéj ambicyi, starał się wykonać jego pomysły. Nie znalazł Łaski w Zygmuncie energii ani siły; ale téż — trzeba dodać — sam Łaski talentem organizatorskim się nie odznaczał, stronnictwa silnego stworzyć nie umiał. Gorączkowa ruchliwość, namiętna żądza czynów, nie pozwalała mu nigdy wykonać własnych pomysłów, spokojnie, powoli nad ich urzeczywistnieniem pracować. Ledwo zasiał, jużby chciał zbierać owoce. Ledwo rozpoczęto dzieło reformy skarbu i wojskowości, prymas spieszy do Rzymu właśnie w chwili, kiedy się wpływ jego na króla zachwiał; potém się rzuca do anarchicznéj opozycyi i wpływu swego na szlachtę nadużywa, podburzając ją przeciw królowi.

Bądź co bądź prymas Łaski odbija energią od bladego tła ludzi współczesnych: miał przynajmniéj śmiałe pomysły, gdy przeciwnicy jego nie posiadali nic oprócz saméj rutyny. Osobistość to, choć niezupełnie czysta, — cokolwiek-by się w zarzutach przeciwników na karb zawiści położyło—nader ciekawa, a wyczerpująca prymasa biografia, jakiéj dotychczas niema, jakiéj tu tylko zarys podać się starałem, podległy i uzupełnieniu i sprostowaniu pewno w niejedném, byłaby dziełem ważném i pouczającém.

Wincenty Zakrzewski.

O zdolności ruchu u roślin.

Ch. Darwin. The power of movement in plants. London, 1880.
J. Wiesner. Das Bewegungsvermögen der Pflanzen. Wiedeń 1881.

Przed niezbyt stosunkowo dawnym czasem panowało przekonanie, do dnia dzisiejszego utrzymujące się pomiędzy mniéj rzeczy świadomymi, jakoby rośliny z natury swojéj były nieruchome, czém właśnie miały by się najistotniéj różnić od zwierząt. Przekonanie musiało być głęboko zakorzenione, bo gdy przed 40 mniéj więcéj laty, spostrzeżono, że zawartość pojedynczych komórek u wodorostków wysuwa się z krępującéj ją powłoki i swobodnie buja po wodzie, starano się niespodziewany ten fakt tym sposobem wytłómaczyć, że wodorosty są naprzemiany to roślinami to zwierzętami. Zakorzenione mniemania i przesądy nie pozwalały dostrzedz prawdy, że ów fakt dowodzi zdolności roślin do swobodnych ruchów miejscozmienności.

Powoli, po długich sporach, w których zaszczytny udział przyjął profesor Leon Cienkowski, przekonano się wreszcie, że najistotniejsza część komórki roślinnéj jest tą samą *protoplasmą (zarodzią, pierwoszczem)*, która tworzy również zawartość komórek zwierzęcych; przekonano się daléj, że protoplazma jest w obydwóch państwach zarówno kurczliwa i zdolna do poruszeń. Ruchy, zależne od kurczliwości protoplazmy, przestały tedy zadziwiać u roślin. Stopniowo zwrócono uwagę na ruchy wyższych roślin. Zbadano poruszenie liści czułka, zbadano tak zwany sen liści, ruchy płatków korony i innych części kwiatu, a przed niedawnym czasem Karol Darwin z właściwą sobie przenikliwością zbadał ruchy pnących się roślin, a następnie zastanawiające ruchy roślin owadożerczych, które, jak rosiczka lub muchołówka, za pomocą liści chwytają zdobycz dostarczającą im pokarmu.

Z biegiem czasu przekonano się tedy, że rośliny posiadają bez porównania większą zdolność ruchu aniżeli skłonni jesteśmy na pierwszy rzut oka przypuszczać; pomimo to jednak rośliny zawsze przedstawiały się jako istoty wyjątkowo tylko ruchem obdarzone, i dopiero spostrzeżenia Darwina w zaprzeszłym roku drukiem ogłoszone dążą do wykazania, że ruch jest powszechną władzą roślin. W rok później Wiesner wystąpił z zarzutami przeciwko temu dziełu Darwina. Obiedwie te prace stanowią przedmiot niniejszego sprawozdania o zdolności ruchu u roślin, winienem jednak uprzedzić, że zupełnie pominę ruchy czysto protoplasmatyczne, jako to: ruch protoplasmy wewnątrz błony komórkowéj, ruch zarodników czyli pływek (zoosporów), ruch ciałek nasiennych u roślin skrytokwiatowych, oraz poruszenia nagich komórek.

* * *

Karol Darwin z pomocą syna swego Franciszka zbadał rozmaite rośliny, głównie dwuliścieniowe, należące do kilkudziesięciu bardzo odmiennych rodzin i przyszedł do wniosku, że organa wszystkich, a przynajmniéj znakomitéj większości roślin, przez znaczną część swego życia wykonywają w przestrzeni ruchy obrotowe mniéj lub więcéj obszerne i widoczne. Ten ruch obrotowy, czyli *cyrkumnutacyjny* jest według Darwina pierwotnym niejako ruchem, z którego powstały rozmaite inne ruchy roślin. Nadto Darwin mniema, że u rośliny czułość na wpływy zewnętrzne jest umiejscowiona w pewnych jéj częściach, oraz że pobudzenie zostaje przesłane do sąsiedniéj okolicy organu, gdzie powoduje odpowiedni ruch. Tak więc pewne części rośliny zachowują się według Darwina na podobieństwo układu nerwowego zwierząt.

Przeciwko tym wnioskom powstaje Wiesner. Opierając się na dawniejszych swoich spostrzeżeniach; oraz na doświadczeniach, które przedsięwziął umyślnie w celu sprawdzenia twierdzeń Darwina, utrzymuje on, że cyrkumnutacya, jako szczególny, pierwotny ruch roślin wcale nie istnieje, podobnie jak owe ośrodki pobudliwości, mające przesyłać podrażnienie do sąsiedniéj, nieczułéj części organu. Wiesner stara się wytłómaczyć ruchy roślin za pomocą objawów towarzyszących wzrostowi na długość.

W tym samym tedy, nader dla biologii ważnym przedmiocie posiadamy dwie prace w wielu razach odmiennie zapatrujące się na te same zjawiska ruchu roślin. Dla wydania sądu, które z tych zdań jest prawdziwe, należałoby powtórzyć ważniejsze przynajmniéj spostrzeżenia i doświadczenia poprzedników. Zanim badacze dokonają tego

poprzestanę na treściwém przedstawieniu spostrzeżeń i poglądów Darwina, wplatając we właściwém miejscu uwagi i krytyki Wiesnera, przedewszystkiém jednak podam krótką wiadomość o znanych formach ruchu roślin, opierając się głównie na zestawieniu ostatniego z powołanych badaczy.

Ruchy roślin można rozdzielić na dwa wielkie działy: jedne ruchy objawiają się tylko podczas wzrostu danego organu, inne zaś są udziałem zupełnie nawet wyrośniętych części roślinnych.

Ruchy będące w związku ze wzrostem rośliny dwojakiego bywają rodzaju: albo polegają na wydłużaniu się organu w prostym kierunku, albo też odbywają się w różnych, ściśle oznaczonych kierunkach. Ruch pierwszego rodzaju można nazwać *wzrostem w kierunku prostym*, drugi zaś *ruchem nutacyjnym*. Ten ostatni jest właściwym przedmiotem niniejszego sprawozdania.

Ruch nutacyjny może być wywołany przez wpływy zewnętrzne, albo też wynika z przyczyn wewnętrznych, tj. z saméj organizacyi rośliny. Ruchy pierwszego rodzaju odróżniono jako *wywołane* (*receptive*, *albo paraton'sche Nutation*), drugie zaś jako *samoistne* (*spontane Nutation*).

Ruchy wywołane powstają pod wpływem światła, siły ciężkości, wilgoci, lub pod wpływem ściskania i rozciągania tkanek.

1. Ruchy wywołane przez światło noszą imię *heliotropizmu*. Rozmaite organa roślinne, zwłaszcza nadziemne, zwracają się i pochylają w stronę światła z boku padającego, gdy tymczasem inne zachowują się wprost przeciwnie, albowiem odwracają się od światła. W pierwszym razie będzie to *heliotropizm dodatni* w drugim zaś *heliotropizm ujemny*. Według Darwina ruch w stronę światła należy oznaczać poprostu jako *heliotropizm*, a ruch od światła jako *apheliotropizm*. Nadto Darwin odróżnia *diaheliotropizm*, polegający na ustawianiu się organów roślinnych w poprzek padającego światła, oraz *paraheliotropizm*, tj. ruch silnie oświetlonych liści zupełnie podobny do sennego poruszania się tychże organów wieczorną porą.

Heliotropizm dodatni nadzwyczaj jest rozpowszechniony, albowiem prawie wszystkie organa roślinne są podczas wzrostu dodatnio heliotropowe, nawet niektóre korzenie, jak np. korzeń czosnku.

Łodyga jest z małemi bardzo wyjątkami dodatnio heliotropowa, u niektórych jednak roślin, jak u dziewanny lekarskiéj i wielkokwiatowéj (*Verbascum thapsus* i *V. phlomoides*) jest stanowczo na światło nieczuła, czyli *aneliotropowa*. Pomiędzy łodygami aneliotropowemi i wyraźnie heliotropowemi istnieją stopniowe przejścia, tak np.

u drapaczy czyli szczeci (*Dipsacus*) i skrzypów (*Equisetum*) łodyga okazuje bardzo słaby heliotropizm dodatni tylko w razie szczególnie odpowiedniego oświetlenia i do tego jedynie w stanie wypłonienia. Inne znowu rośliny okazują heliotropizm dodatni tylko wtedy jeżeli się znajdują w cienistém miejscu, lecz w otwartéj i słonecznéj miejscowości posiadają sztywną i anelitropową łodygę. Tak zachowuje się np. cykorja (*Cichorium intybus*), witułka zwyczajna (*Verbena officinalis*), prątki (*Sisymbrium strictissimum*), krwawnik (*Achillea millefolium*), i wiele innych.

Na liściach heliotropizm dodatni mało jest widoczny z powodu jednocześnie działających rozmaitych innych wpływów, nie mniéj jednak daje się on w różnych razach wykazać.

Szypułki kwiatowe, a zatém łodygi, u niektórych roślin zwracają się w stronę światła i nadają kwiatom stałe położenie względem jego źródła, albo téż poruszają się za słońcem. Jako przykład takiego ruchu mogą służyć różne gatunki kozibrodu (*Tragopogon*) oraz mlecz polny (*Sonchus arvensis*). W niektórych razach do światła zwracają się części składowe kwiatu; tak u pszeńca fioletowego (*Melampyrum nemorosum*) poruszają się płatki korony, u babki średniéj (*Plantago media*) poruszają się pręciki, u wierzbówki (*Epilobium roseum*) i wieżyczki gładkiéj (*Turritis glabra*) porusza się zawiązek.

Heliotropizm dodatni w ostatnich czasach spostrzeżono u wielu grzybów.

Słaby heliotropizm ujemny jest równie rozpowszechniony jak heliotropizm dodatni, ale rzadko kiedy większą posiada siłę. Powietrzne korzenie pospolicie okazują wyraźny heliotropizm ujemny, często bardzo nawet silny.

Wąsy niektórych roślin, jak winorośli (*Vitis vinifera*), dzikiego wina (*Ampelopsis hederacea*), kolcowoju (*Smilax aspera*), i surmii (*Bignonia capreolata*) okazują wyraźny heliotropizm ujemny, i to samo spostrzegamy na łodygach niektórych roślin, np. bluszczu (*Hedera helix*), nasturcyi (*Tropaeolum majus*) i innych. U wielu znowu roślin łodyga, wystawiona na silne światło, przy bardzo uważném badaniu, okazuje bardzo słaby heliotropizm ujemny, jak np. łodyga cykoryi, (*Cichorium intybus*), przytulii żółtéj i białéj (*Galium verum* i *G. mollugo*), łodyga pokrzywy zwyczajnéj (*Urtica dioïca*), daléj pędy derenia właściwego (*Cornus mas*), dębu (*Quercus cerris*), klonu krzewowego (*Acer campestris*) itd.

Według spostrzeżeń Wiesnera dla każdéj rośliny istnieje pewne natężenie światła pod względem heliotropizmu najkorzystniejsze; poczynając od tego punktu heliotropizm coraz bardziéj słabnie tak przy wzmaganiu się światła jako téż przy jego słabnięciu. W końcu

w obydwóch razach, ruchy heliotropowe zupełnie ustają. Takie zachowanie się organów roślinnych ztąd pochodzi, że objawy heliotropowe powstają skutkiem różnicy w oświetleniu przedniéj i tylnéj połowy organu. Przy pewném natężeniu światła różnica ta jest największa, lecz zmniejsza się w miarę wzmocnienia światła i ostatecznie znika, gdy organ już jéj nie uczuwa, albo téż różnica w oświetleniu zmniejsza się i ostatecznie znika przy stopniowém zaciemnieniu światła. W obydwóch tedy razach ostatecznie otrzymujemy najmniejszy wpływ heliotropowy równający się zeru.

Światło wywołuje dodatni heliotropizm, powstrzymując wzrost oświetlonéj połowy, jak o tém przekonywa fakt, że roślinki kiełkujące daleko silniéj wyrastają w ciemności aniżeli na świetle. Pewne natężenie światła zupełnie nawet powstrzymuje wzrost organów roślinnych.

Organa roślinne dopóty pochylają się ku światłu dopóki się nie ustawią równolegle do padających jego promieni, poczém wpływ heliotropowy ustaje, bo właściwie organ przestaje być oświetlany.

Gdy organ roślinny przez jakiś czas wystawimy na działanie światła z boku padającego, a następnie zgasimy je, jego wpływ przez pewien czas objawia się w ciemności. Jakiekolwiek położenie nadamy takiemu chwilowo oświetlonemu organowi, zawsze pochyli się on odpowiednio do obudzonych w nim dążności heliotropowych. Takie działanie światła nazywa Wiesner *fotomechaniczną indukcyą*. Badacz ten wykazał, że dla różnych roślin wystarcza $^1/_3$ ilości światła, tj. że w tym samym stopniu oddziaływają bez względu na to czy będą przez pewien czas bez przerwy oświetlane, czyli téż z przerwami dwóch sekund po każdéj sekundzie oświetlenia.

Jeden i ten sam organ bywa jednocześnie i dodatnio i ujemnie heliotropowy, a mianowicie w słabem świetle okazuje własności dodatniego heliotropizmu, a w silném staje się heliotropowo ujemnym. Wiesner mniema, że w podobnych organach znajdują się pierwiastki tak dodatniego jak ujemnego heliotropizmu, pierwsze bujniéj rosną w ciemności, drugie zaś w świetle. Ponieważ młoda łodyga składająca się z miąszu (parenchymy) jest obdarzona silnym hieliotropizmem dodatnim, a heliotropizm ujemny objawia się w niéj dopiero po powstaniu pęczków naczyniowych, przeto Wiesner uważa komórki miąszu za pierwiastek dodatnio heliotropowy, a wiązki naczyniowe za pierwiastek ujemno heliotropowy.

Jeżeli organ roślinny posiada obadwa te pierwiastki w takim razie jego zachowanie się pod wpływem światła zależyć będzie od stosunkowéj ilości pierwiastków jednego i drugiego rodzaju, oraz od natężenia światła.

2. Łodyga i korzeń, jak wiadomo, przybierają położenie mniéj więcéj pionowe, przyczem łodyga wznosi się do góry, a korzeń opuszcza w głąb ziemi, tj. ku jéj środkowi. Jeżeli łodygę na długość rosnącą poziomo ułożymy, w takim razie, bez względu na brak lub obecność światła, dopóty łukowato wznosi się ona do góry, dopóki się pionowo nie wyprostuje. Tak samo zachowują się korzenie z tą tylko różnicą, że się ku dołowi opuszczają. Jeżeli poziomo ułożoną łodygę obracać będziemy koło jéj własnéj osi, skutkiem czego rozmaite jéj okolice będą naprzemian obrócone to do góry to na dół, w takim razie łodyga do góry się nie zagina. Korzeń i w tym razie zachowuje się tak samo jak łodyga. Doświadczenia, które tu bliżéj opisywać zajęłoby zbyt wiele miejsca, przekonywują że łodyga i korzeń ustawiają się pionowo pod wpływem siły ciężkości, chociaż zresztą nic nie wiemy o sposobie działania tej siły na roślinę.

Wyrastanie roślin w kierunku pionowym nazwano, za przykładem Franka *geotropizmem*. Dążność do pionowego położenia, jak to widzieliśmy, może polegać na wznoszeniu się do góry albo na opuszczaniu się ku dołowi. Ruch w pierwszym kierunku odróżniamy jako *geotropizm ujemny*, a ruch w przeciwnym kierunku oznaczono mianem *geotropizmu dodatniego*. Darwin i w tym razie nową tworzy terminologią nazywając dodatni geotropizm po prostu *geotropizmem*, a ujemny *apogeotropizmem*. Nadto Darwin, idąc za Frankiem przyjmuje trzeci jeszcze rodzaj geotropizmu, to jest *diageotropizm* polegający na poziomem mniéj więcéj rozpościeraniu się organów, czyli na ich układaniu się w kierunku prostopadłym do kierunku działania siły ciężkości.

Różne organa w różnym stopniu są obdarzone własnościami geotropowemi. Najbardziéj jest pod tym względem uprzywilejowany główny pień i główny korzeń; pierwszorzędne rozgałęzienia daleko mniéj posiadają geotropowych własności, a drugorzędne często już są zupełnie téj własności pozbawione.

Światło i siła ciężkości jednocześnie działając na roślinę nadają różnym jéj organom nadziemnym pewne, stałe położenie, do którego roślina uporczywie powraca tém bardziéj, że obiedwie te siły po usunięciu ich działania jeszcze przez pewien czas wywierają swój wpływ w nadanym kierunku. Tak łodyga przez pewien czas wystawiona na działanie bocznego światła po przeniesieniu do ciemności w dalszym ciągu zgina się w nabytym kierunku. W podobny sposób objawia się wpływ siły ciężkości. W obydwóch tych razach odpowiednie zmiany w tkankach roślinnych zostają niejako przez dany wpływ *indukowane*.

3. *Hydrotropizm* polega na zaginaniu się części roślinnych w stronę większéj wilgotności. Zjawisko to łatwo uwydatnić za pomocą następującego doświadczenia. Nasiona umieszczamy w trocinach w płaskim przetaku pochylonym do poziomu mniéj więcéj 40°. W wilgotnych trocinach nasiona kiełkują, a ich korzenie przeszedłszy przez trociny wkrótce wychodzą na zewnątrz otworami przetaka, lecz zamiast pionowo opuszczać się ku dołowi ściśle przylegają do jego dna wilgotnego.

4. *Wzrost z rozciągania tkanek* (*Zugwachsthum*). Pod tą nazwą Wiesner pojmuje szczególną formę wzrostu roślin, która powstaje skutkiem zgięcia organu przez jaki wpływ mechaniczny. Na wypukłéj stronie powstaje rozciąganie, a na wklęsłéj ściskanie tkanek. Skutkiem tego bardzo często wzrost zostaje na wypukłéj stronie spotęgowany, na wklęsłéj zaś mniéj lub więcéj powstrzymany. Tak np. pączki, lub liście położone na wierzchołku łodygi zwieszając się wywołują wzrost skutkiem rozciągania tkanek.

Samoistne ruchy nutacyjne są następujące.

1. *Epinastja*. Niektóre organa roślinne bez wszelkiego wpływu zewnętrznego silniéj rosną na górnéj aniżeli na dolnéj powierzchni, skutkiem czego zaginają się ku dołowi. Tego rodzaju wzrost oznaczono mianem *epinastji*.

2. *Hyponastja*. Pewne organa niektórych roślin okazują wprost przeciwną własność, albowiem silniéj rosną na powierzchni dolnej, a tém samém podnoszą się do góry.

Przyczyna obydwóch tych zjawisk nie jest znana. Ten sam organ w różnych epokach życia może okazywać to jeden to drugi sposób wzrostu, co mianowicie daje się na liściach spostrzegać.

3. *Ruch obrotowy* (*revolutive Nutation*). Spostrzegać się daje na łodygach wijących się roślin. Wierzchołek rosnącéj na długość łodygi zakreśla linią śrubową i tym sposobem zostaje uzdolniony do obejmowania podpory, po któréj się wspina. Ruch ten powstaje skutkiem tego, że łodyga silniéj rośnie wzdłuż idealnéj linii albo krawędzi spiralnéj, a tém samém staje się wzdłuż téj linii wypukłą, gdy tymczasem przeciwległa strona tejże łodygi, tj. strona zwrócona do podpory, wolniéj rosnąc staje się wklęsłą.

4. *Nutacya falista* (*undulirende Nutation*) bardzo jest rozpowszechniona albowiem daje się spostrzegać na wszystkich niemal łodyżkach kiełkujących roślin, oraz na wielu łodygach liściastych. Można ją poznać po zgięciu łodygi w kształcie litery S. co ztąd pochodzi, że łodyga jest u góry łukowato zgięta w jednę stronę, a u dołu także łukowata ale w stronę przeciwną. Innemi słowy; najmłodsza część łodygi szybciéj rośnie wzdłuż jednego boku, który nazwiemy

tylnym, daléj ku dołowi następuje część jednostajnie z obydwóch stron rosnąca, a jeszcze niżéj położona najstarsza część łodygi odznacza się spotęgowanym wzrostem wzdłuż *przedniego* boku. Niekiedy na przestrzeni jednego międzywęźla powstają dwa, trzy lub więcéj zgięć, jak to np. spostrzegamy u wyki pastewnéj (*Vicia sativa*), i u grochu. Faliste zgięcia powstają tak u roślin hodowanych w ciągłém oświetleniu za pomocą płomienia gazowego, jako téż u hodowanych w zupełnéj ciemności lub w słabém świetle dziennėm, a zatém nie mają nic wspólnego z heliotropizmem.

Podczas dalszego wzrostu łukowate zgięcia pospolicie zostają wyrównane, lecz niekiedy pozostają one i nadal u łodyg mniéj pomyślnie, lub choćby bujnie ale w ciemności wyrastających.

Nutacya falista często odbywa się na téj saméj płaszczyźnie i zdaje się, że rozłożenie liści na łodydze pozostaje w związku z jéj ruchami, a mianowicie: że nutacya odbywa się na jednéj płaszczyznie, jeżeli liście są naprzeciwległe, a w razie bardziéj zawiłego ułożenia tych ostatnich przechodzi w obrotową. Należy jednak zauważyć, że istnieją zwijające się rośliny, jak np. chmiel, z liśćmi naprzeciwległemi.

5. *Nutacya przerywana* (*unterbrochene Nutation*) wtedy się objawia, gdy gałąź odgina się w miejscu osadzenia pączka kątowego i tym sposobem przybiera zygzakowaty kierunek. Nutacyą tego rodzaju spostrzegamy u wyki ptasiéj (*Vicia cracca*), lipy, wiązu, róży i wielu innych roślin. Przyczyna téj nutacyi wcale nie jest znana.

Nutacya przerywana, podobnie jak falista, nie zawsze odbywa się na jednéj płaszczyznie; niekiedy łodyga porusza się także na boki, tj. w kierunku prostopadłym do płaszczyzny saméj nutacyi; w takim razie mamy do czynienia z przejściem od nutacyi falistéj i przerywanéj do obrotowéj.

6. Pod nazwą *zwykłéj nutacyi* (*einfache Nutation*). Wiesner odróżnia haczykowate zgięcia pionowo wyrastających łodyg. Zwykła nutacya tém tylko różni się od epinastyi, że ta ostatnia dotyczy organów roślinnych mniéj lub więcéj poziomo wyciągniętych, gdzie można odróżnić górną i dolną stronę, gdy tymczasem zwykła nutacya objawia się na organach pionowo wzniesionych, gdzie można odróżniać przednią i tylną stronę. Do działu zwykłéj nutacyi pomiędzy innemi zaliczyć należy tak nazwane przez Darwina *zgięcie Sachsa*, które polega na łukowatém zgięciu łodyżki (*hypocotyl*) niewychodzącéj po nad ziemię, jak to np. miewa miejsce u bobu i innych roślin strąkowych. *Zgięcie Sachsa* zawsze następuje w oznaczonym kierunku i we wszystkich poniżéj przytoczonych doświadczeniach tak Darwin jak Wiesner zawsze zgięcie to mieli na uwadze, aby nie popaść

w błąd przy oznaczaniu zgięć geotropowych. Objawy zwykłéj nutacyi bardzo bywają podobne do objawów nutacyi wywołanéj skutkiem obciążenia wierzchołka pędu przez pączki i listki, które wywołują proces obciążenia prowadzący do wzrostu skutkiem rozciągania tkanek.

Niektóre ruchy dotyczą roślinnych organów zupełnie wyrośniętych. Pfeffer nazywa je *ruchami wariacyjnemi* (*Variationsbewegungen*), które także mogą być albo wywołane, albo samoistne.

Do samoistnych ruchów wariacyjnych należą rytmiczne wahania liści poruszliny (*Desmodium s. Hedysarum gyrans*). Ruchy samoistne wychodzą po za obręb niniejszego sprawozdania, jako niemające nic wspólnego z traktowanym przedmiotem.

Wywołane ruchy warjacyjne wielce są dla nas ważne jako w części zaliczane przez Darwina do ruchów cyrkumnutacyjnych. Ruchy pod wpływem pobudzenia mogą się dokonywać nadzwyczaj szybko albo nadzwyczaj powoli.

Ruchy pierwszego rodzaju nazywa Wiesner *ruchami pobudliwości* (*Reizbewegungen*). Polegają one na tém, że wpływ zewnętrzny jest nadzwyczaj słaby w porównaniu z wywołanym skutkiem. Wpływ zewnętrzny, występujący tu jako *bodziec*, nie jest siłą ruch dokonywającą, ale siłą pobudzającą do ruchu. Nadto pobudliwa część organu roślinnego posiada zdolność przesyłania podrażnienia do sąsiednich części. Jako przykład przesyłania podrażnień może służyć liść czułka (*Mimosa*), który za dotknięciem przytula swe listki do drugorzędnych ogonków, te ostatnie przytula do głównego ogonka i ogonek ten popuszcza ku dołowi. Daléj przesyłanie podrażnienia bardzo wybitnie występuje na liściach rosiczki (*Drosera*), i muchołówki (*Dionaea*), wszakże nie będę wchodził w bliższy rozbiór spostrzeganych tu zjawisk, albowiem czytelnik odpowiednie szczegóły znajdzie w odczycie Franciszka Darwina „*o analogicznych objawach w życiu roślin i zwierząt*“, który w polskim przekladzie ogłoszono w czasopiśmie „*Przyroda* i *Przemysł*“ (rok VII, 1879, str. 421—423, 433—434). Nadto w końcu niniejszego sprawozdania wypadnie mi jeszcze nad zjawiskami temi nieco się zastanowić.

Do wywołanych ale powolnych ruchów wariacyjnych należy tak zwany *sen liści* czyli *nyktitropowe* ich *poruszenia*, oraz tak zwany *dzienny sen* czyli *paraheliotropizm* tych organów.

Wyliczone powyżéj ruchy roślin, z wyjątkiem ruchów pobudliwości, Darwin zalicza do wielkiego szeregu ruchów cyrkumnutacyjnych, czemu właśnie Wiesner przeczy, zgadzając się zresztą na same fakta.

* * *

Według Darwina wszystkie części rośliny, czy to na długość rosnące, czyli też posiadające tak zwane poduszeczki albo stawy (*pulvilli*) nawet po zupełném wyrośnięciu, wykonywają ruchy polegające na zwracaniu się kolejno wierzchołka ku wszystkim stronom horyzontu. Jeżeli np. łodyga w pierwszéj chwili naszych spostrzeżeń jest ku północy zwrócona, tedy stopniowo pochyla się ku wschodowi, dopóki nie stanie naprzeciwko téj strony horyzontu, a następnie nagina się ku południowi, potém ku zachodowi aż w końcu powraca do pierwotnego pochylenia ku północy. Taki obrotowy ruch roślin nazywa Darwin *cyrkumnutacyą*.

Gdyby ruch był zupełnie regularny, wierzchołek łodygi, którą obierzemy jako przykład, zakreślałby okręgi koła zamienione na linią śrubową skutkiem ciągłego wydłużania się organu. Pospolicie ruchy mniéj są regularne, albowiem wierzchołek powracając do pierwotnego położenia, zamiast okręgu koła, zakreśla w powietrzu nieregularną elipsę lub owal, albo téż odbywa swą drogę zakreślając mniéj lub więcéj liczne elipsy lub owale dłuższą średnicą zwrócone ku rozmaitym okolicom horyzontu. Tym sposobem droga obieżona przez wierzchołek łodygi lub innego organu roślinnego, zamiast zwykłego okręgu koła, utworzy zbiór elips lub owali w okrąg ułożonych. Zjawisko staje się jeszcze bardziéj zawiłem z powodu, że wierzchołek łodygi lub innego organu roślinnego zakreślając owe linie tworzy rozmaite drugorzędne pętlice i trójkąty.

Jako przyczynę ruchu obrotowego roślin, według Darwina, uważać należy nabrzmiewanie zawartości i wynikające ztąd rozciąganie ścian komórek, położonych na wypukłéj stronie poruszającego się organu. Ponieważ zaś wzrost zawsze bywa poprzedzany nabrzmiewaniem komórek, przeto wzrostowi stale towarzyszy ruch obrotowy, który oprócz tego, jak nadmieniono, w organach zupełnie wyrośniętych wtedy tylko się objawia, gdy u podstawy organu znajduje się staw czyli poduszeczka złożona z drobnych i miękkich komórek, posiadających zdolność nabrzmiewania.

Pomijając tymczasem kwestyą saméj cyrkumnutacyi, bo rzecz ta dopiero późniéj może być rozbierana, zwrócę tu uwagę na okoliczność, że Wiesner inaczéj zapatruje się na przyczynę ruchów zaliczonych do obszernéj kategoryi ruchów nutacyjnych. Wszystkie te ruchy uważa on jako objawy towarzyszące wydłużaniu się organów roślinnych i stanowczo ze szczególnym przyciskiem obstaje przy tém, że ruchy nutacyjne spostrzegać się dają wyłącznie u tych tylko części roślinnych, które rosną na długość, oraz że ruchy tém są wybitniejsze, im bujniéj wyrasta dana część rośliny. Daléj Wiesner utrzymuje, że nabrzmiewanie i wzrost komórek są zjawiskami współcze-

snemi, chociaż w pierwszych chwilach przewaga może być po stronie nabrzmiewania. Nabrzmiewanie komórek skutkiem nabierania wody niema nic wspólnego ze wzrostem i nutacyą.

Nieco szczegółowiéj wspomniałem o zapatrywaniu się Wiesnera na przyczyny nutacyi, albowiem pogląd ten w ścisłem pozostaje związku z jego sposobem pojmowania zjawisk, które Darwin zalicza do objawów cyrkumnutacyi.

Ruchy obrotowe objawiają się bardzo wcześnie, albowiem korzonek (*radicula*) wysunąwszy się z powłok nasiennych, natychmiast zaczyna je wykonywać, a skutkiem wpływu siły ciężkości ruchy te stają się dośrodkowemi czyli geotropowemi. Jeżeli tedy nasienie leży na powierzchni ziemi, jego kiełek natychmiast zagina się ku dołowi zakreślając przytém linią mniéj lub więcéj śrubową, jak się to okazuje z linii nakreślonéj przez niego na okopconém i pochyło ustawioném szkiełku. Czułość na siłę ciężkości spoczywa w wierzchołku korzonka; wierzchołek oddziaływając na wyżéj położone części organu zmusza je do zaginania się ku dołowi. Następujące doświadczenia Ciesielskiego, sprawdzone i uzupełnione przez Darwina, według tego ostatniego nie pozostawiają żadnéj pod tym względem wątpliwości. Gdy kiełkujące nasiona np. bobu, w ten sposób zawiesimy w wilgotnéj przestrzeni, że korzonki poziomo są wyciągnięte, wtedy nienaruszone korzonki wkrótce, bo w ciągu 8 do 9 godzin, zaginają się wierzchołkiem ku dołowi, gdy tymczasem korzonki posiadające wierzchołek obcięty lub w jaki bądź sposób zniszczony na przestrzeni 1 do 1,5 milimetra, dopóty daléj rosną w kierunku poziomym, dopóki im wierzchołek nie odrośnie. Skoro to nastąpi, korzonek pod wpływem siły ciężkości nagina się wierzchołkiem ku dołowi. Pobudzenie przesłane przez wierzchołek do sąsiednich części korzonka objawia się nawet po odcięciu lub zniszczeniu tegoż wierzchołka. Tak mianowicie, jeżeli nienadwerężony korzonek godzinę lub dwie pozostawał w poziomém położeniu pod wpływem siły ciężkości, a następnie jego wierzchołek w jaki bądź sposób zniszczono, wtedy operowany korzonek po upływie pewnego czasu zagina się ku dołowi odpowiednio do geotropowego dążenia nieistniejącego już wierzchołka. Nie dosyć na tém, korzonek w powyższy sposób traktowany nawet wtedy okazuje odpowiednie zgięcia gdy go po operacyi pionowo zawiesimy; w tym ostatnim razie siła geotropowa żadnego nie może mieć wpływu, a zatém jedyną przyczyną zgięcia korzonka jest według Darwina wpływ wierzchołka, który przez pewien czas był wystawiony na działanie siły ciężkości i wypływające ztąd podrażnienie przesłał powyżéj położonéj części organu.

Jeżeli grunt jest pulchny albo kruchy, korzonek pod wpływem siły ciężkości zagłębia się w ziemię, a ruchy obrotowe są mu w tym razie niewątpliwie pomocne. W razie gdy grunt jest na powierzchni zanadto zbity, nasienie skutkiem wzrostu korzonka zostaje przesunięte albo podniesione, wyjąwszy tylko gdy jest zbyt ciężkie. Przenikanie korzonka w ziemię znakomicie ułatwia silne przyleganie jego włosków do otaczających, choćby najgładszych, przedmiotów, albowiem korzonek znajduje we włoskach silny punkt oparcia; przy wydłużaniu swém musi zagłębiać się w ziemię. W stanie natury nasiona zwykle pokrywa warstwa ziemi lub innéj substancyi, a czasami wpadają do szpar; w jednym i drugim razie korzonek zyskuje punkt oparcia dopomagający mu do zagłębienia się w ziemię.

Korzonek zagłębiwszy się nieco, zostaje umocowany w swém położeniu skutkiem przyczepienia włosków do otaczających przedmiotów oraz zwiększającéj się jego grubości. Wydłużając się i jednocześnie grubiejąc korzonek działa na podobieństwo klina i stosunkowo znaczną posiada siłę; tak korzonek zwyczajnego grochu może poruszyć z miejsca kilko-funtowy ciężar. Wierzchołek korzonka zagrzebanego w zbitéj ziemi prawdopodobnie nie może wykonywać ruchów cirkumnutacyjnych i tym sposobem ułatwiać sobie dalszéj drogi; lecz usiłując obracać się w około, niewątpliwie znajduje on sposobność zapuszczania się do wszelkiéj bocznéj szpary, albo do przewodu wydrążonego przez dżdżownika lub gąsienicę owada, a niewątpliwą jest rzeczą, że korzenie często przebiegają w podobnych przestworach. Nadto wierzchołek korzonka, usiłując wykonywać ruchy cyrkumnutacyjne, musi na wszystkie strony cisnąć na otaczającą ziemię, co z pewnością nadzwyczaj jest dla rośliny ważne, a to dla następujących powodów.

Wierzchołek korzonka jest czuły na rozmaite podrażnienia i pod ich wpływem wywołuje ruchy w sąsiednich częściach tegoż organu. Do tego rodzaju bodźców należy lekki ucisk przez dłuższy czas działający. Siedliskiem czułości jest na ten raz wierzchołek korzonka na przestrzeni 1 do 1,5 milimetra. Ucisk na tę część korzonka pobudza sąsiednią okolicę tegoż organu na przestrzeni 6 lub 7, czasami nawet 12 milimetrów do zginania się w stronę przeciwną téj, z któréj ucisk pochodzi. Podobnie jak ucisk działa jednostronne przypiekanie wierzchołka za pomocą saletranu srebra, albo téż obcięcie z jednéj strony. We wszystkich tych razach korzonek stale zagina się w stronę przeciwną téj, która została obrażona.

Wrażliwość wierzchołka na ucisk daje się uwydatnić na korzonkach wyrastających w wilgotném powietrzu, którym za pomocą szellaku w spirytusie rozpuszczonego lub gęstéj gumy arabskiéj z jed-

néj strony przylepiono kawałek grubego papieru, np. biletu wizytowego. Skutkiem ciągłego ucisku część korzonka położona nad wierzchołkiem nagina się w stronę przeciwną téj, na któréj papier naklejono. Dokonanie tego ruchu wymaga niekiedy 6—8 godzin, a co najwięcéj 24 godzin. Obszerność zgięcia bardzo bywa rozmaita; czasami korzonek przybiera poziome położenie, czasami zagina się jeszcze daléj i w końcu tworzy haczykowate wygięcie, a niekiedy powstaje pętlica, czasami nawet wężownica.

Po pewnym czasie korzonek przyzwyczaja się do ucisku i pomimo obecności papierka wyprostowywa się i przybiera pierwotne położenie geotropowe. W podobny sposób jak przylepiony papier działa wszelka przeszkoda, jaką korzonek na drodze swéj napotyka. W tym ostatnim razie korzonek także się zgina i przybrawszy poziome położenie pełza wzdłuż przeszkody, a doszedłszy do jéj brzegu raptownie zagina się ku dołowi i daléj pionowo w głąb ziemi rośnie. Raptowne zagięcie korzonka na brzegu przeszkody zostaje spowodowane siłą ciężkości, która kieruje wierzchołek korzonka ku środkowi ziemi. Skoro się wierzchołek ku dołowi skieruje, jego powierzchnia na któréj się czołga zostaje do brzegu owéj przeszkody przyciśnięta; że zaś części po nad wierzchołkiem położone posiadają własność zginania się ku stronie na ucisk wystawionéj, przeto korzonek doszedłszy do brzegu przeszkody tem prędzéj i energiczniéj musi się zaginać ku dołowi. Pierwszy popęd nadaje tu siła ciężkości działająca na wierzchołek w kierunku geotropowym, a następnie wrażliwość powyżéj położonych części szybko uzupełnia dzieło skierowania korzonka na właściwą drogę.

Stopień wrażliwości na ucisk u rozmaitych gatunków bardzo jest rozmaity. Czasami wystarcza kawałek biletu wizytowego lub zwykłego papieru do pisania 1 do 2 milimetrów długi i tyleż szeroki, a w razach szczególnéj czułości dostatecznym bywa takiż mniéj więcéj kawałek zwilżonego złota malarskiego, które zresztą bardzo powoli działa. W wyjątkowych razach czułość tak bywa wielka, że zgięcie korzonka następuje pod wpływem bryłki szellaku ważącéj zaledwie $1/_{200}$ grana (0,32 miligrama). Najbardziéj zastanawiającą jest zdolność wierzchołka do rozróżnienia rozmaitego stopnia ucisku wywieranego przez kawałek grubego biletu i cienkiego papieru, jednakowo wielkich i nalepionych na przeciwnych powierzchniach tegoż wierzchołka, albowiem w podobnym wypadku, jak to sprawdzono na korzonkach bobu (*Vicia faba*) i dębu zwyczajnego (*Quercus robur*), korzonek zgina się w stronę przeciwną powierzchni obciążonéj przez grubszy papier, a zatém ku stronie cieńszego papieru t. j. mniejszego ucisku.

Według powyżéj przedstawionych własności korzonka wypada, że organ ten będąc w ziemi zanurzony i usiłując wykonywać ruchy obrotowe wywiera ciśnienie na otaczającą go ziemię; że zaś jego wierzchołek jest czuły na ucisk i posiada zdolność rozróżnienia rozmaitéj jego siły, przeto z konieczności musi być także czuły na rozmaitą spójność otaczającéj ziemi. Znalazłszy się pośród warstw rozmaicie zbitych, korzonek odchyli się od twardszéj warstwy i zagłębi w pulchniejszą, a napotkawszy przeszkodę obejdzie ją i znowu powróci do pierwotnego położenia.

Korzonek jest także czuły na rozmaity stopień wilgotności otaczającego środka, czyli innemi słowy okazuje własności hydrotropowe i nagina się w stronę większéj wilgotności. Jest tedy prawdopodobném, że korzonki są czułe na wilgotność gruntu. Siedliskiem czułości jest wierzchołek, który oddziaływa na sąsiednie części i zmusza je zaginać się wbrew sile ciężkości, ku wilgotniejszemu miejscu. Można tedy przypuszczać, że to samo dzieje się wewnątrz ziemi, a mianowicie, że korzonki zaginają się ku wszelkiemu źródłu wilgoci. Téj czułości korzonka na wilgoć należy prawdopodobnie przypisać fakt, że korzenie roślin często przenikają do rur drenowych.

Na dowód wrażliwości na wilgoć samego tylko wierzchołka, Darwin przytacza doświadczenia nad korzonkami bobu, owsa i pszenicy, przekonywające, że korzonek *pospolicie* nie tworzy hydrotropowego zgięcia jeżeli jego wierzchołek (na przestrzeni 1 do 2 milimetrów) zostanie pokryty nieprzemakalną mięszaniną oliwy z sadzami. Taki sam wypadek osiągnięto przez przyżeganie wierzchołka za pomocą kamienia piekielnego.

Wreszcie korzonek wielu, może wszystkich roślin, jest także nieco czuły na światło, od którego się odchyla. Darwin przypuszcza, że to unikanie światła może dopomagać korzonkowi przy zagłębianiu się w ziemię, gdy nasienie leży na jéj powierzchni.

Tak tedy—według Darwina—wierzchołek korzonka jest obdarzony rozmaitemi własnościami, które uzdalniają organ do wykonywania właściwych mu czynności z zadziwiającą dokładnością. Jakiekolwiek jest położenie kiełkującego nasienia, zawsze korzonek zwraca się wierzchołkiem ku środkowi ziemi; napotkawszy jaką przeszkodę odchyla się od niéj i obchodzi ją; wybiera pulchniejszą i wilgotniejszą ziemię; będąc na światło wystawiony odchyla się w stronę mniéj oświetloną.

Streszczone tu spostrzeżenia Darwina nad pobudliwością wierzchołka korzeni oraz jego zdolnością przesyłania podrażnień do sąsiednich części, które same przez się nie okazują wrażliwości na dany bodziec, niezwykłéj są doniosłości. Według nich, wierzchołek

korzonka zachowuje się podobnie jak ośrodki nerwowe, które odbierają pobudzenia i przesyłają je do właściwéj części organizmu wykonywającéj odpowiednie ruchy. Tym sposobem u roślin znaleźlibyśmy coś bardzo zbliżonego w swych własnościach do układu nerwowego i mięśniowego zwierząt, które to układy dotychczas uchodzą za szczególny przywiléj tych ostatnich.

Przeciwko tym niesłychanie ważnym wnioskom Darwina, Wiesner powstaje w następujący sposób.

Doświadczenia z korzonkami kukurydzy, grochu, bobu i fasoli wielkokwiatowéj *(Phaseolus multiflorus)*, dostarczyły dowodu, że korzonki z wierzchołkiem obciętym na przestrzeni jednego milimetra mają wzrost upośledzony w porównaniu z korzonkami nienaruszonemi. Upośledzenie wzrostu w rozmaitym bywa stopniu, co pozostaje w związku z geotropowemi własnościami korzonka. Korzonki operowane, których wzrost mało ucierpiał pomimo braku wierzchołka, oddziaływały pod względem geotropowym i do tego tém silniéj im mniéj ucierpiały pod względem zdolności wyrastania na długość. Przeciwnie korzonki skutkiem operacyi znacznie we wzroście powstrzymane postradały własność geotropową. Opalenie wierzchołka za pomocą kamienia piekielnego takie same miało skutki jak obcięcie.

Ponieważ tedy korzonki z obciętym wierzchołkiem, przed odtworzeniem tego wierzchołka niekiedy mogą się zaginać w kierunku geotropowym, przeto nie można się zgodzić na to, aby siła ciężkości jako bodziec działała na sam tylko wierzchołek korzonka. Przeciwnie należy przypuszczać, że siła ciężkości działa wprost na tę okolicę korzenia, która ulega geotropowemu zgięciu.

Zagięcie korzonka poziomo ułożonego i następnie operowanego, według Wiesnera, należy przypisać wtóremu działaniu siły ciężkości, jak to Ciesielski uczynił. Tłómacząc zjawiska za pomocą wtórego działania siły ciężkości Wiesner powołuje się na fakta, że i w chemii i w fizyce znamy działanie pewnych sił objawiając się przez jakiś czas po usunięciu bezpośredniego ich wpływu.

Wiesner zwraca daléj uwagę na okoliczność, że sam Darwin zauważył geotropowe zgięcie korzonków z obciętym wierzchołkiem, lecz zjawisko to uznał za wyjątek.

Wreszcie Wiesner zarzuca Darwinowi, że postąpił nielogicznie, nie stosując swéj teoryi o pobudliwości wierzchołka do geotropizmu ujemnego łodygi, która się tak samo jak korzenie zachowuje. Obcięcie wierzchołka łodygi zmniejsza bujność jéj wzrostu, skutkiem czego odpowiednio zmniejszają się albo znikają jéj własności geotropowo-ujemne. Łodyga przez pewien czas poziomo leżąca a następ-

nie wierzchołka pozbawiona tak samo ulega wtóremu działaniu siły ciężkości jak korzeń w podobny sposób traktowany. W rzeczy samćj Darwin zupełnie na ten raz zapomniał o łodydze, co niczego nie dowodzi.

Czułość korzonka. Wiesner przedewszystkiém zwraca uwagę na okoliczność, że korzonek może znosić stosunkowo dosyć znaczny ucisk. Jest on w stanie zagłębić się w rtęć, oraz przebić zwilżoną bibułę. Dalćj Wiesner za pomocą dwóch następujących doświadczeń przekonywa, że korzonek bez odchylenia się znosi ciężar 1 grama, a nawet więcćj. Urządziwszy sprężynową wagę na jednym końcu sprężyny umieścił on maleńką miseczkę, i do tego samego końca przymocował skazówkę, poruszającą się na tarczy z podziałką. Obciążając miseczkę oznaczył jakiemu ciężarowi odpowiada każda podziałka. Miseczkę nakrył cieniutkiem szkiełkiem, a następnie po nad miseczką umieszczał kiełkujące nasienie, tak, że korzonek skutkiem rozrostu dochodził do szkiełka i wydłużając się wywierał ciśnienie na miseczkę i na sprężynę. Inne doświadczenia na tém polegały, że korzonek poziomo umieszczonego nasienia, np. bobu, spotykał na drodze wilgotny korek i wydłużając się usuwał go. We wszystkich doświadczeniach umieszczano korzonki w najpomyślniejszych warunkach wzrostu.

Wreszcie dla sprawdzenia o ile wierzchołek korzenia jest wytrzymały na ucisk, Wiesner ostrożnie wtłaczał w tkankę wierzchołka drobne drewienka albo ziarnka piasku. Korzonek nigdy nie okazywał odchylenia od strony na ucisk wystawionćj.

Tak tedy, zdaniem Wiesnera, w doświadczeniach Darwina zgięcie korzonka nie powstawało skutkiem czułości na ucisk i zjawisko innego wymaga objaśnienia. Według Wiesnera substancya użyta do naklejania papierków, a zwłaszcza szellak, zabija odpowiednią stronę wierzchołka, który w dalszym ciągu rośnie na zdrowćj stronie i tutaj staje się wypukły. Część korzonka położona powyżćj skaleczonćj strony wierzchołka zostaje pobudzona do silniejszego wzrostu i tym sposobem korzonek zgina się ku zdrowćj stronie wierzchołka. Obudzenie silniejszego wzrostu po nad nadwerężoną stroną wierzchołka pozostaje zupełną zagadką. Taki sam wpływ wywierają inne jednostronne obrażenia wierzchołka, jako to: obcięcie lub przypalenie saletranem srebra.

Jakkolwiek doświadczenia Wiesnera niewątpliwie wysoką posiadają wartość, jednakże jego zarzuty nie są zupełnie zadawalniające, albowiem nie wyjaśnia on, czy gęsty roztwór gumy arabskićj oraz zwilżone złoto malarskie równie zabójczo działają na tkanki korzonka jak roztwór szellaku w spirytusie, przypalenie za pomocą

kamienia piekielnego, lub obcięcie jednéj strony wierzchołka. Dla zupełności dowodu należało i te szczegóły sprawdzić. Nadto Wiesner nie wyjaśnił faktu, że w razie naklejenia na wierzchołku korzenia z jednéj strony grubego, z drugiéj cienkiego papieru, korzeń zgina się ku stronie z cieńszym papierem. Istota użyta do naklejenia papierów oczywiście nic tu nie tłómaczy. Wyznaję, że dla mnie wywody Wiesnera nie są zupełnie przekonywające, bo jego doświadczenia nie obalają stanowczo poglądów Darwina na czułość wierzchołka korzeni.

Wiesner przyznaje, że korzeń napotkawszy przeszkodę odchyli się od niéj, ale dopiéro wtedy, gdy skutkiem tarcia jego wierzchołek zostanie z jednéj strony nadwerężony.

Zginanie się korzenia w stronę przeciwną téj, gdzie nastąpiło obrażenie wierzchołka Wiesner proponuje nazywać *zgięciem Darwina.*

Hydrotropizm. Wiesner przekonał się, że korzonki, których wierzchołek pokryto mięszaniną oliwy i sadzy albo powłoką szybko schnącego roztworu szellaku, wolniéj rosną aniżeli korzonki nienaruszone. Ponieważ — według niego — jak widzieliśmy, korzonki z upośledzonym wzrostem słabéj oddziaływają na siłę ciężkości, więc prawdopodobnie z mniejszą energią oddziaływają także i na inne wpływy zewnętrzne. Przytém Darwin przyznaje, że niektóre korzonki z natłuszczonym wierzchołkiem zachowywały własności hydrotropowe, co stara się wytłómaczyć okolicznością, że w takich razach tłuszcz siatkowato był na wierzchołku rozłożony a zatém nie odosabniał go od otaczającéj wilgoci.

Na mocy wszystkich tych względów Wiesner wyraża zdanie, że chociaż stanowczo nie rozstrzygnął kwestyi hydrotropizmu, wszakże uważa się za upoważnionego do wyrzeczenia, że najprawdopodobniéj wierzchołek korzenia nie jest źródłem hydrotropowego zgięcia, oraz że korzenie z natłuszczonym, przypalonym lub oblepionym wierzchołkiem dla tego nie zaginają się ku wilgotniejszéj okolicy ich otoczenia, że skutkiem operacyi wystawiono je na niezwykłe warunki bytu.

Cyrkumnutacya korzeni. Wiesner utrzymuje, że ślad rosnącego korzonka pozostawiony na zakopconéj powierzchni szkła wtedy tylko jest nierówny i przerywany, gdy warstwa sadzy znacznie jest gruba. Przeciwnie, jeżeli sadze tworzą bardzo cienką warstwę albo gdy szkło pokryte cieniutką warstewką nasienia widłaka *(semen Lycopodii)*, ślad korzonka jest nieprzerwany i prosty.

Wiesner jest zdania, że sadze w większéj ilości nagromadzone działają na wierzchołek korzenia w podobny sposób jak kamień pie-

kielny, szellak w spirytusie rozpuszczony lub obcięcie jednéj strony, t. j. że wywołują zjawisko, które nazwał zgięciem Darwina.

Mikroskopowe badania korzonków kapusty i wyki, umieszczonych w najpomyślniejszych warunkach wzrostu (w rurce szklannéj w wilgotnéj przestrzeni) przekonały, że korzonek pionowo wierzchołkiem na dół umieszczony wykonywa wahanie na prawo i na lewo, ale przeważnie w jednym kierunku, albowiem w jednę stronę zaledwie przechodzi po za linię pionową. Tak np. w jednę stronę wierzchołek korzenia odchyla się od linii pionowéj 0,25 milimetr., w przeciwną zaś stronę od linii téj odchyla się tylko 0,092 milimetr. Wahania nie odbywają się na téj saméj płaszczyznie lecz wierzchołek pochyla się także w kierunku pionowym do płaszczyzny głównego wahania.

Wiesner sądzi, że główne wahania wynikają z przeciwdziałania dążności geotropowéj i zgięcia Sachsa. Pierwsza sprowadza korzeń do pionu, drugie odchyla go w pewnym kierunku; gdy obadwa te wpływy układają się do równowagi, korzeń rośnie w prostym kierunku. Niejednakowy wzrost tkanek składających korzeń powoduje znowu odchylanie się jego wierzchołka od płaszczyzny wahań. Przechodzenie wierzchołka po za pion w kierunku przeciwnym zgięciu Sachsa będzie działaniem wtórym siły ciężkości, które zmusza korzeń do zginania po za linią pionową. Jednem słowem cirkumnutacya korzenia jest według Wiesnera zjawiskiem złożoném powstającém skutkiem działania rozmaitych wpływów, lecz w żadnym razie nie jest ruchem odrębnym, samoistnym.

Wogóle wahania są bardzo nieznaczne. Badane pod mikroskopem przedstawiają odchylenie od pionu na parę lub kilka dziesiętnych milimetra.

U roślin dwuliścieniowych, po wyjściu korzonka z powłok nasiennych, łodyżka (*hypocotyl*) ze swéj strony powłoki te opuszcza i następnie wychodzi po nad ziemię, wyjąwszy tylko gdy liścienie pozostają zagrzebane, gdyż w takim razie z ziemi pierwsze wysuwa się piórko (*epicotyl s. plumula*). Niekiedy ogonki liścieni lub liści, uprzedzają pod tym względem łodygę. Wszystkie te części podczas przechodzenia przez ziemię są w pałąk zgięte i prostują się dopiero po wyjściu nad powierzchnią téj ostatniéj. Czasami ogonki obydwóch liścieni są z sobą zrośnięte tworząc jednociągłą pochewkę na około piórka, jak to np. spostrzegamy u *Delphinium nudicaule* i *Megarrhiza californica*. Uwięziony wierzchołek młodéj łodyżki lub pierwsze listki muszą się tedy przedewszystkiem przeciskać przez ota-

czającą pochewkę a następnie przez ziemię i podczas tego przejścia zawsze są w pałąk zgięte. U *D. nudicaule* w ten sposób wychodzą na zewnątrz ogonki pierwszych liści, a u *Megarrhiza* całe piórko. Podobne zjawisko spostrzegamy także u rozmaitych roślin dojrzałych.

Szypułki kwiatowe łuskiewnika (*Lathraea squammaria*) i korzeniówki (*Monotropa hypopitys*) wychodzą z pod ziemi w pałąk zgięte. To samo spostrzegamy u ciemiernika (*Helleborus niger*), u którego szypułka kwiatowa przebija ziemię niezależnie od liści. W podobny sposób zachowują się daléj znacznie wydłużone szypułki kwiatowe oraz ogonki liściowe dziwoczni (*Epimedium pinnatum*). Szypułki kwiatowe u jaskra *Ranunculus ficaria* także zginają się w pałąk gdy są zmuszone przebijać się przez ziemię, lecz wyrastając z bulwy nadziemnéj zachowują się w sposób nader zastanawiający, albowiem wznoszą się prosto do góry. Wreszcie ogonki listowia orlicy czyli paprotnika (*Pteris aquilina*) wychodzą z pod ziemi w pałąk zgięte.

U roślin jednoliścieniowych, mało zresztą pod tym względem badanych, liścień wychodząc z pod ziemi jest wyprostowany, lecz czasami, jak np. u roślin trawiastych, jego wierzchołek jest uwieńczony ostrą i nieco stwardniałą krawędzią, która oczywiście ułatwia przebijanie ziemi. Cebula zachowuje się odmiennie, albowiem jéj liścień wychodząc z ziemi jest pałąkowato zgięty, a szczyt pałąka posiada białą, stożkowatą narośl, oczywiście zastosowaną do torowania mu drogi.

Rozmaite tedy organa roślinne, jako to: łodyżka (*hypocotyl*), piórko (*epicotyl s. plumula*), ogonki liścieni i liści, liścień cebuli, ogonki listowia paproci, oraz szypułki kwiatowe, podczas przebijania ziemi bywają w pałąk zgięte. Powszechność zjawiska dowodzi jego znaczenia dla nasion i roślin wogóle, jak to słusznie Haberlandt zauważył. Uczony ten największe znaczenie przypisuje tu ochronie od zniszczenia delikatnych części organu, które tym sposobem są zabezpieczone od obtarcia i ucisku podczas przejścia przez ziemię. Przypuszczenie niewątpliwie jest słuszne, bo wybór naturalny z konieczności musiał utrzymać i spotęgować wszelkie zboczenia w tym mianowicie kierunku zmierzającym do zabezpieczenia piórka od nadwerężenia, lecz niepodobna odmówić także słuszności zdaniu Darwina, który co najmniéj równą wagę przypisuje spotęgowaniu siły w pałąkowato zgiętym organie, albowiem obiedwie odnogi łuku rosną i obiedwie dopóty znajdują punkt oparcia, dopóki wierzchołek organu pozostaje w powłoce nasienia. Tym sposobem wierzchołek łuku, w porównaniu z organem wyprostowanym, jest z podwójną siłą z ziemi wypychany. Po wyjściu z powłok nasiennych wierzchołka zgiętego organu całą pracę dokonywać musi odnoga podsta-

wowa, która zresztą bywa obdarzona stosunkowo potężną siłą. Tak piórko bobu, wyciągnąwszy wierzchołek z powłok nasienia, rosło w górę z siłą wystarczającą do podniesienia cieniutkiéj blaszki cynkowéj obciążonéj 12 uncyami. Całéj pracy dokonywała tu sama tylko podstawa organu.

Na pierwszy rzut oka przyczyna takiego zaginania się w pałąk rozmaitych organów roślinnych zdaje się polegać na sposobie ułożenia zarodka w nasieniu, wszelako nie jest to jedyny powód, gdyż pałąkowate zgięcie często występuje dopiéro po wyjściu organu z powłok nasienia, albo téż pierwiastkowo bardzo jest słabe i dopiéro przy dalszym rozroście coraz silniéj występuje. Możnaby powiedzićć, że pierwotnie pałąkowate zginanie się rozmaitych organów zarodka powstało skutkiem ich uwięzienia w powłokach nasienia, albo skutkiem tarcia podczas przebijania ziemi. Przypuszczenie może być słuszne, ale obecnie skłonność do zginania się oczywiście jest w wysokim stopniu dziedziczna, albowiem występuje nawet wtedy, gdy zupełnie usuniemy owe przypuszczalne przyczyny, a mianowicie gdy zdejmiemy powłokę z ziarn kiełkujących i umieścimy je w wilgotném powietrzu, gdzie oczywiście rozwijające się organa są wolne od wszelkiego ucisku lub tarcia. Niedosyć na tém, łukowate zgięcie często występuje tam, gdzie obecnie stanowczo żadnego nie ma znaczenia dla odpowiedniego organu, lecz zostało utrzymane skutkiem dziedziczności czyli *atawizmu*. Tak np. u bobu i wielu innych roślin strąkowych, jak to Sachs pierwszy zauważył, łodyżka zgina się pałąkowato, chociaż słabo jest rozwinięta i nigdy z ziemi nie wychodzi pozostawiając liścienie pod jéj powierznią (zgięcie Sachsa). Jestto oczywiście własność odziedziczona po przodkach z normalnie rozwiniętą łodyżką łukowato zginającą się podczas wychodzenia z ziemi. Innemi słowy, prawdopodobnie wszystkie rośliny strąkowe z podziemnemi liścieniami pochodzą od form posiadających i łodyżkę i liścienia nadziemne, oraz pałąkowato zgiętą łodyżkę, jak wogóle u roślin dwuliścieniowych. W rzeczy saméj, u niektórych roślin strąkowych łodyżka i liścienie są nadziemne, chociaż w rodzinie téj są one po większéj części podziemne. Najbardziéj nauczającym jest tu rodzaj fasoli (*Phaseolus*), gdyż liścienie u jednych gatunków są podziemne, u innych zaś nadziemne. Z pięciu badanych gatunków trzy posiadają liścienie i łodyżkę nadziemne (*Ph. vulgaris*, *Ph. Hernandesii* i *Ph. Roxburghii*), gdy tymczasem u dwóch pozostałych (*Ph. multiflorus* i *Ph. caracalla*) obadwa te organa są podziemne. Nauczający ten fakt pozwala przypuszczać, że pierwotnie liścienie wszystkich gatunków fasoli były nadziemne, lecz następnie u nie-

których przestały wznosić się nad powierzchnię ziemi, lecz pomimo to łodyżka zachowała charakterystyczne zgięcia.

Bądź co bądź pałąkowate zgięcie rozmaitych organów roślinnych według Darwina jest objawem ruchu obrotowego czyli cirkumnutacyjnego, zmienionego skutkiem spotęgowania wzrostu na wypukłéj stronie organu co jednakże trwa do pewnego tylko czasu, gdyż ostatecznie organ prostuje się skutkiem zwiększonego wzrostu na stronie wklęsłéj. W końcu nie pozostaje śladu pierwotnego zgięcia.

Rozmaite poprzednio rozpatrywane organa pałąkowato zgięte bez ustanku wykonywają ruchy obrotowe, albo przynajmniéj usiłują je wykonywać. Bez względu na położenie kiełkującego nasienia, łukowata łodyżka lub piórko zaraz po wyjściu z powłok nasienia dążą do położenia pionowego i ku zenitowi, to jest innemi słowy zdradza własności ujemno geotropowe, czyli apogeotropowe. Skutkiem ciągłego wzrostu obydwóch odnóg, oraz w mniejszym stopniu skutkiem ruchów obrotowych, łukowato zgięty organ wysuwa się z pod ziemi. Gdy najsłabszy promień światła dosięgnie rosnącéj łodyżki kieruje się ona w jego stronę. Ta heliotropowa dążność jest kierownikiem rośliny pośród szpar ziemi i poplątanéj roślinności pokrywającéj kiełkujące nasienie, bo apogeotropizm może tylko naoślep prowadzić roślinkę ku górze. Dla téj to prawdopodobnie przyczyny, zdaniem Darwina czułość na światło spoczywa w wierzchołku łodyżki, u wielu przynajmniéj roślin, oraz w wierzchołku liścienia roślin trawiastych, o czém poniżéj będzie mowa.

Skutkiem ciągłego wzrostu łukowato zgiętéj łodyżki liścienie zostają wyciągnięte z ziemi, a pokrywy nasienne albo pozostają pod ziemią, albo też przez pewien czas pokrywają wyszłe po nad nią liścienie. W końcu nabrzmiewające liścienie zrzucają powłokę, a czasami spostrzegamy szczególniejsze przyrządy do rozłupywania téj ostatniéj, jak np. u roślin dyniowatych (*Cucurbitaceae*), u czułka (*Mimosa*) i niektórych innych roślin.

Dla obrazowego przedstawienia ruchu organów roślinnych przebijających ziemię, Darwin przytacza następujące porównanie. Wyobraźmy sobie człowieka zasypanego sianem, który pod gniotącym go ciężarem upadł na ręce i na kolana oraz na bok się przewrócił. Przedewszystkiem usiłuje on podnieść grzbiet do góry obracając się jednocześnie na wszystkie strony aby się nieco uwolnić od przygniatającego ciężaru. Te ruchy mogą wyobrażać połączony skutek apogeotropizmu i cirkumnutacyi w razie, jeżeli ziarno jest tak zakopane, że jego łodyżka albo piórko wychodzi z nasienia poziomo albo pochyło i stopniowo przybiera pionowe położenie. Człowiek wzięty za przykład ciągle obracając się podnosi wreszcie grzbiet jak tylko można

najwyżéj; może to wyobrażać wzrost i ciągłą cirkumnutacyę pałąkowatéj łodyżki lub piórka, przed dojściem do powierzchni ziemi. Człowiek czując się zupełnie wyswobodzonym z pod siana podnosi górną część ciała, ciągle jeszcze klęcząc i obracając się; może to wyobrażać pochylenie ku tyłowi dolnéj odnogi łuku, co po większéj części dopomaga do wyciągnięcia liścieni w zakopanych i pękniętych pokryw nasiennych, oraz do wyprostowania całéj łodyżki lub piórka, przyczem cirkumnutacya nie ustaje.

Liścienie wyszedłszy z ziemi zaczynają działać jako liście; rozkładają dwutlenek węgla (kwas węglany), oraz innym częściom roślinki oddają nagromadzone w nich zapasy pokarmu. Liścienie zawierające znaczny zapas pokarmów pospolicie pozostają pod ziemią (są podziemne) z powodu słabego rozwoju łodyżki; może to być bardzo skutecznym środkiem ochrony przed niebezpieczeństwem pożarcia przez zwierzęta; podobna ochrona nie mogła być obojętną dla wyboru naturalnego, który przy sprzyjających okolicznościach z pewnością ją rozwinął. Czasami, dla niewiadomych powodów, pokarm bywa nagromadzony w łodyżce lub w korzonku, a wtedy jeden albo obadwa liścienie bywają szczątkowe, albo też zupełnie znikają. Tak pomarańcza posiada liścienie różnéj wielkości; u *Abronia umbellata* i *arenaria* jeden z liścieni jest zupełnie szczątkowy. Z drugiéj znowu strony ziarnopłon czyli jaskier trędowy (*Ficaria ranunculoides* s. *Ranunculus ficaria*), niektóre gatunki świerząbka (*Chaerophyllum*) i kokorycza (*Corydalis*) jeden tylko posiadają liścień. Daléj niektóre kaktusy mają obadwa liścienie szczątkowe (*Cereus Landbeckii*, *Echinocactus viridescens*), a niektóre inne przedstawiają natomiast tylko punkta albo nacięcia na wierzchołku zgrubiałéj łodyżki (*Ripsalis cassytha*, *Pilocereus Houlletii*). U brudnoty (*Stapelia sarpedon*) z rodziny trojeściowatych (*Asclepiadeae*) wierzchołek łodyżki jest znacznie zgrubiały i opatrzony dwoma maleńkiemi liścieniami mniéj więcéj cztery milimetry długiemi.

Bulwiaste korzonki bywają niekiedy zakopywane pod ziemię skutkiem dziwnéj własności ogonków liścieniowych, które pierwsze wychodzą z ziarna i odznaczając się własnościami geotropowemi natychmiast zagłębiają się w ziemię, pociągając za sobą maleńki pierwiastkowo korzonek. Takie kiełkowanie spostrzegamy u *Megarrhiza californica*, *Ipomea hypophylla* i *Ipomea pandurata*. Skutkiem takich szczególnych własności ogonków liścieniowych bulwiasty korzeń chroni się pod ziemią przed napaścią roślinożernych zwierząt a nad-

to, przynajmniéj u *Megarrhiza*, tym sposobem piórko zostaje zabezpieczone przed mrozami zimowémi.

Według świeżych spostrzeżeń De Vries'a u wielu roślin dwuliścieniowych kurczy się miąsz górnéj części korzonka, skutkiem czego łodyżka a czasami i liścienie także ulegają zagrzebaniu. W niektórych razach w podobny sposób kurczy się łodyżka. Przypuszczają że to zagrzebywanie pod ziemią ochrania roślinkę przed mrozami zimowemi.

Młoda roślinka, wyprostowawszy łodyżkę i rozpostarłszy liścienie, przez pewien czas nie przestaje poruszać temi organami, które wykonywają stosunkowo obszerne i szybkie obroty. Kiełkująca roślinka o tyle tylko może osiągnąć korzyść z tych ruchów, o ile te ostatnie ulegają zmianom skutkiem działania światła lub siły ciężkości, albowiem tym sposobem jéj ruchy stają się obszerniejsze i szybsze aniżeli u rośliny dojrzałéj. Rośliny kiełkujące są wystawione na bardzo ciężką walkę o byt, i według wszelkiego prawdopodobieństwa nadzwyczaj jest dla nich ważném jak najprędsze i jak najdoskonalsze zastosowanie się do otaczających warunków. Ztąd to pochodzi nadzwyczajna ich czułość na światło i siłę ciężkości. Liścienie niektórych gatunków są czułe na dotknięcie, lecz prawdopodobnie jestto tylko pośrednim wynikiem przytoczonych form czułości, gdyż nie ma zasady do przypuszczania aby roślina mogla ztąd osiągnąć jaką korzyść.

Według Darwina dojrzała roślina bez ustanku porusza młodemi częściami swego organizmu. Dla obrazowego przedstawienia cyrkumnutacyjnych ruchów rośliny badacz ten przytacza następujący przykład. Patrząc na robinię (*Robinia pseudoacacia*) możemy być pewni, że każdy z niezliczonych pędów bez ustanku zakreśla małe elipsy, i że to samo czyni każda szypułka i każdy listek. Listek, podobnie jak zwykły liść pojedyńczy, pospolicie porusza się do góry i na dół prawie na téj saméj płaszczyznie pionowéj, skutkiem czego zakreśla elipsy nadzwyczaj wązkie. Daléj, szypułki kwiatowe także bez ustanku się poruszają, a gdybyśmy mogli spojrzéć pod ziemię i posiadali oczy obdarzone siłą mikroskopu, spostrzeglibyśmy, że wierzchołek każdego korzonka usiłuje zakreślać małe elipsy lub okręgi koła o ile pozwala na to spójność otaczającéj ziemi. Wszystkie te zadziwiające ruchy ciągle powtarzają się przez cały szereg lat, od chwili gdy drzewo po raz pierwszy wyszło z ziemi jako kiełkująca roślinka.

Łodyga przybiera niekiedy postać rozłogu (*stalo*), tj. jako giętki pęd pełza po ziemi, od czasu do czasu puszczając korzenie. Poziomka i truskawka doskonałym są tego przykładem. Wierzchołek rozłoga porusza się do góry i na dół w kierunku pionowym, oraz wykonywa ruchy poziome bardzo obszerne. W ogóle cirkumnutacya tak dalece jest tu obszerna, że ją można niemal porównać z cirkumnutacyą wijących się roślin. Rozłogi mogą tym sposobem przebywać rozmaite przeszkody, czy to wspinając się na nie, czyli też obchodząc z boku. Prawdopodobnie obszerność cirkumnutacyi dla tego właśnie została powiększona.

(*d. n.*) *A. Wrześniowski.*

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

VI.

Księgozbiór Puławski, wśród tylu innych drogocennych zbiorów, zdobiących to miejsce, należałoby nazwać nieoszacowanym, bo oprócz biblioteki Załuskich nikt w Polsce podobnego nie posiadał. Książę feldmarszałek odziedziczył po Sieniawskich, Denhoffach, Flemingach, stryjach kanclerzu i Teodorze biskupie poznańskim i po stryjence hetmanowéj Ogińskiéj nietylko majątek nieruchomy, ale i ruchomości. Już więc familijne zbiory książek i rękopismów zastał i liczne i ważne. Adam Sieniawski hetman i jego małżonka, żyjąc w epoce kiedy Karol XII rozgromiwszy Sasów, przegrodził swémi zastępami cesarza Piotra, od sprzymierzeńca jego Augusta II, oczekiwali na wypadki a widząc tron polski osierocony, bo August go się wyrzekał, rozmaite dopuszczali myśli. Hetman to skłaniał się do popierania syna Piotra W., to myślał, że w ślad Wiśniowieckich i Sobieskich korona wejdzie w dom jego, a w porównaniu do młodego wojewody poznańskiego, więcéj rzeczywiście przedstawiał zasług. Małżonka jego, kobieta wysoko wykształcona, dowcipna, stała się narzędziem a może i sprężyną tych planów. Utrzymywali oboje częstą korespondencyą z Piotrem, z Augustem, a nawet z Leszczyńskim. Wszystkie te ważne do ówczesnéj historyi dokumenta, te listy i odpowiedzi stanowiły bogatą podstawę księgozbioru. Późniéj, jak wiadomo, książę kanclerz wraz z wojewodą ruskim za ostatniego Sasa w rzeczypospolitéj przewodzili i byli głową stronnictwa, dążącego do reform, kiedy znowu Flemingowie, Sasów faworyci, z innego stanowiska sprawę publiczną traktowali. Wszystkie zaś korespondencye i Czartoryskich i Flemingów w tym zbiorze się znajdowały.

Książę feldmarszałek, sam autor i gruntowny znawca swojéj i zagranicznéj literatury, filolog znakomity, całe życie zwiększał swój

księgozbiór. Ci, którzy go bliżéj znali, twierdzili, że innéj nie miał namiętności. Nigdym go nie widział grającego w karty, dla agitacyi tylko czasami robił parę partyi bilarda z Rogalińskim, Ciesielskim, lub majorem Orłowskim, nie zdawał się miłośnikiem sztuk pięknych, bo nigdy ani rzeźb ani obrazów nie kupował, nie lubił i nie posiadał kosztownych sprzętów i jedyny zbytek jego stanowiły książki. Sam własnoręcznie prowadził korespondencye ze znakomitszymi księgarzami, a ci mu donosili nietylko o książkach świeżo z druku wychodzących, ale o rękopisach i rzadkościach bibliograficznych, które gdziekolwiekbądź nabyć można było. Tym sposobem księgozbiór co roku zwiększał się znakomicie, ale jednorazowy wzrost jego do ocenienia trudny, miał miejsce przez nabycie zbiorów Tadeusza Czackiego z Porycka. Po włączeniu tego nabytku do biblioteki puławskiéj, powszechnie utrzymywano, że ona stanowi najbogatszy księgozbiór w kraju.

Na nieszczęście porządnego jéj katalogu nigdy ułożyć nie zdołano. Był to las, dziewicza gęstwina Brazylijska, w któréj błądzić się musiało, bo nie było przewodnika. Za mojéj pamięci bibliotekarzem był naprzód Ernest Groddeck, ten jednak wyszukiwał tylko rzeczy do jego specyalności należące, a o porządkowaniu książek na pułkach ani myślał. Po nim inny sawant Holtzmann, pieczę nad skarbami témi objął, ale zatopiony w układaniu swojego *Lexiconu*, w końcu zwaryował. Przez niejaki czas zajmował się także biblioteką Kruszyński, lecz prawdziwa era jéj porządkowania nastąpiła za Sienkiewicza. Ten nietylko ją zaczął podług najnowszego systemu katalogować, nietylko przy téj pracy poodkrywał skarby dotychczas nieznane lub zapomniane, ale przystęp i korzystanie z biblioteki ułatwił, służbę jéj urządził i upożytecznić ją dla ogółu zamierzył. Pod jego kierunkiem założono nadto w Puławach drukarnią, w któréj zaczęto drukować nieznane rękopisma, innym także powierzano wydawnictwa i oprócz funduszu na ten cel stałego, umyślono go zwiększać przez sprzedaż dubletów.

O skarbach tych trudno z pamięci dać wyobrażenie; trzebaby ją chyba mieć taką, jaką był obdarzony biskup Załuski, który będąc w niewoli miarowym wierszem opisał swój księgozbiór. O najważniejszych jednak rzeczach wspomnę o tyle o ile zdołam i o ile one przy rozpoczęciu porządkowania przystępne były. Oglądałem tam wspaniałe kodeksy Kadłubka, Długosza, Janczara Polaka i dwa znakomicie dochowane Galla. Również anonima Jana, archidyakona gnieźnieńskiego, Heidenstejna: życie Jana Zamojskiego, gdzie o wzywaniu pomocy Karola, księcia Sudermanii i o staraniach Zamojskiego o tytuł książęcy bardzo ciekawe szczegóły. Daléj nieznajomego

autora historya panowania Zygmunta Augusta, Orzelskiego toż panowanie, obecnie z druku już znane, zbiór kompletny Stanisława Górskiego, zwany aktami Tomickiego, zbiór tak zwany Dogiela, zbiory Naruszewicza, obejmujące nie tylko tom I jego dzieła, ale i wszystkie materyały do dalszego ciągu historyi polskiéj nagromadzone, Kojałowicza, herby polskie, akta konfederacyi Targowickiéj, zbiór rękopismów dotyczących panowania Zygmunta III, i zbiór korespondencyi Jana Chodkiewicza. Z królewskich autografów były wszystkie, począwszy od Kazimierza W., nawet tak rzadkie jak Władysława Warneńczyka i Jana Olbrachta.

Z ciekawości i rzadkości przypominam sobie:

Ułamek kazania z r. 1243.

Ułamek tłómaczenia biblii na język polski z rozkazu królowéj Jadwigi, dokonany przez Jędrzeja de Jossowie. Najdawniejszy to podobno ślad języka polskiego, bo pieśń Bogarodzica, czyli jest dziełem św. Wojciecha nie dowiedzione i znana nam tylko z druku, dokonanego r. 1506—ten zaś ułamek pochodził z r. 1390.

Oryginał rozgraniczenia między Litwą a Mazowszem, podpisany przez książąt Kiejstuta i Olgierda w r. 1358.

Rękopis o sztuce wojennéj Alberta I księcia pruskiego, na pargaminie z malowaniami.

Z rzeczy prawnych:

Przekład praw polskich i mazowieckich z lat 1449 i 1450.

Statut litewski z r. 1538 itd.

Autografów ludzi znakomitych mnóstwo jak równie i rękopisów w druku już znanych jak na przykład Ostroroga, Górnickiego i tym podobnych.

Co do druków wszystkie feniksy, kruki białe znajdowały się tu w edycyach dobrze przechowanych, lub tak doskonale facsimilowanych w kartach brakujących, że podrobienia rozpoznać nie było można.

Biblioteka ta nadto nie ograniczała się wyłącznie do literatury polsko-łacińskiéj. Owszem oprócz biblii Mogunckiéj wszystkie inne tu posiadano, a Aldy, Elzewiry, Scheffery, Etienny, wszelkie edycye najdroższe jak Biponckie, *ad usum delfini*, angielskie, Didota, z najpyszniejszémi sztychami, które po kilka tysięcy złotych kosztowały, tu w obfitości spotkać można było.

Za Grodka i Holtzmana pożyczano nawet dzieła rzadkie i drogocenne za pozwoleniem księcia. Za Sienkiewicza zwyczaj ten ustał i natomiast urządzono czytelnią. Tu dozwolono wszystko czytać, przeglądać, robić wypisy i notaty i kopiować całe rękopisma. Wten-

czas także uporządkowano szafy, opatrzono je zamkami i mosiężną siatką.

Drukarnia Puławska lat tylko kilka czynna, upadła zaraz z rozproszeniem się tych wszystkich zbiorów, o których tu pokrótce wspomniałem. Wytłoczone w drukarni tęj książki będą kiedyś taką rzadkością, jak pochodzące z Lubcza, Grodziska, Baranowa itd. które dziś na wagę złota się płacą.

Uprzejmość, jaką okazywano dla każdego zgłaszającego się do obejrzenia tych skarbów była trudna do wysłowienia, a zwiększała się ona jeszcze znacznie, jeżeli kto dla robienia wypisów i notat, dla sprawdzania rękopisów i wogóle dla pracy naukowéj tu przybył. Niestety zawsze zakłady podobne umieszczone na wsi nie mogą wywierać takich korzyści jak w dużych miastach. Odległość, koszta podróży i potrzeba bawienia w miejscu obcém odstręczały wielu badaczów.

Wyliczałem już wyżéj osoby, które na dworze Puławskim widywałem i które mi wspomnienia moje przywodzą, lista ich tam nie wyczerpała się cała, dla tego jeszcze raz do tego sposobu opowiadania powracam, żeby narysować zlekka osoby, które o Puławy się otarły, a w swoim czasie były z jakiegokolwiekbądź względu godne uwagi, a przez to i wzmianki. Zaliczam do nich:

Księżnę Radziwiłłową, z domu Przezdziecką. Była to osoba już w wieku. Włosy śnieżnéj białości w tym czasie, kiedy ją poznałem, nosiła krótko obcięte. Na twarzy jéj widne były jeszcze ślady wielkiéj piękności, z któréj w swoim czasie słynęła i którą ujarzmiła ambasadora rosyjskiego Stackelberga. Pełna gustu i naturalnego rozumu, choć trochę za rubaszna, jak o tém świadczy wyjątek z listu Niemcewicza, pisanego do mojéj matki, ona to ufundowała tę sprawiedliwie słynną Arkadyą, na któréj ozdobę Petersburg i Grecya zarówno łożyły.

Nie zboczę, zdaje mi się od opowiadania swojego bardzo, skoro tu miejscowości téj słów parę opisu poświęcę. Tém więcéj, że choć jak powiadają przechowuje się ona do dnia dzisiejszego dobrze, jednak tyle w życiu swém widziałem zbiorów, które się rozpierzchły, zakładów, które ruinie ulegały, że nie popełnię niestosowności jeżeli opis ten zostawię.

Arkadya o pół mili od Nieborowa i tyleż od Łowicza odległa, położona wśród płaszczyzn Łowickich, gdzie oko niczém nie zakreślony widzi horyzont i gdzie wśród piasków znajdowało się tylko małe błotko, olszynką zarosłe, tam księżna postanowiła zmusić naturę do piękności i z prawdziwie piaszczystego morza utworzyła cudowne ustronie. Jeśli jaki zarzut kreacyi téj zrobić można to, niezawo-

dnie zanadto wielkie ścieśnienie budowli, choć przegrodzonych klombami i ścieżkami umiejętnie przeprowadzonémi. Ten błąd wprawdzie nie dawał się dostrzegać kiedy księżna sama, przebrana za grecką kapłankę gości oprowadzała. Co chwila wtedy zatrzymywała się, rozprawiała, opowiadała dowcipne historye i bawiąc gości budziła w nich przekonanie, że budowle są dosyć odległe. Lecz kiedy w jéj nieobecności sam gość Arkadyą zwiedzał, przekonywał się, że jeden budynek nie jest od drugiego więcéj odległy jak o 40 łokci. To téż słusznie wyraził się ks. Eckmühl, który zwiedzając tę miejscowość powiedział o niéj: *C'est le plus beau garde meuble, que j'ai vu.*

Księżna nie poczynała oprowadzania gości od głównego wejścia, ale wchodziła z nimi boczną furtką, wiodącą do jéj domku mieszkalnego, zwanego domkiem gotyckim. Podstawę jego stanowiły ogromne odłamy kamienia, tworzące kształtną grotę, ocienianą paprociami i rozmaitemi wijącemi się roślinami. Tu ukryte schody wiodą do wznoszącego się wyżéj domku, ten zaś postawiony z jakiegoś rodzaju rudy błotnéj doskonale nadaje murom cechę starożytności. Wewnątrz wszakże, oprócz szyb pięknie malowanych nic godnego uwagi nie ma. Ztąd po pod gotyckiém sklepieniem wychodzi się na trawnik klombami okolony, z którego widok na Nieborów i znajdującą się w głębi świątynię. Świątynia od strony domku jest półokrągła wsparta na sześciu kolumnach, między któremi dwa piękne pomniki greckie. W przedsionku wazon antyczny oparty na dwóch gryfach także greckiéj roboty. Przy ławce mahoniowéj kilka par obuwia mieszkańców wyspy Otahiti. W pokoju, który do przedsionka tego dotyka przy drzwiach organy, a w oknie biuro, na którém mnóstwo ładnych drobiazgów. Przy drzwiach posąg bożka milczenia, a koło niego marmurowa misa do mycia rąk różaną wodą; płynącą z umieszczonego po nad nią srebrnego naczynia.

W świątyni saméj sufit malowany *al fresco* przez Norblin'a wystawia jutrzenkę, otwierającą wrota dniowi, koloryt jaskrawy, żywy, a konie Apolina cudne. Ściany marmoryzowane białe, w głębi ołtarz marmurowy, oparty o zwierciadło olbrzymich rozmiarów. Na prawo ołtarza wymalowany bożek miłości, który odbijając się w zwierciadle piękny czyni efekt. Obok ołtarza wazony marmurowe i japońskie. Z jednéj strony sofa okrągła, kryta dywanami, a raczéj tyftykami ze skarbca Tippo-Saiba, które aż tu zawędrowały. Prócz tego starożytna głowa Nioby, dwa posągi greckie, kilka wazonów, kandelabry starożytne i narzędzia muzyczne greckie. Za świątynią mieści się gabinecik okrągły. Ściany jego malowane olejno przez Norblina, przechowały widok Powązek, tak jak one były w najświetniejszym swym stanie. W pokoiku tym znajdują się dwa

cudne i nieoszacowane stoliki, jeden malachitowy, a drugi porfirowy. Na pułkach naokoło mnóstwo cennéj porcelany. Przeciwna strona świątyni, którą się wychodzi, ma fronton attycki dopiera do jeziorka lasem olszowym obrośniętego. Szczątki w nim wodociągu starożytnego ustrajają pejzaż. Na kilka kroków od świątyni mieszkanie kapłanów, budowa prosta, ale na placu przed nią rozstawione mnóstwo szczątków rzeźb starożytnych, posągów, wazonów, sarkofagów, kolumn. Wszystko to z wysp greckich przez Orłowa Czesmeńskiego przywiezione, księżna Radziwiłłowa dostała w darze od cesarzowéj Katarzyny. W głębi kolumny ze świątyni Neptuna i biust Eskulapa.

Niedaleko od tego miejsca pobudowano cyrk, zupełnie naśladujący starożytne—z gradusami, rostrami i innemi ozdobami. Obeliski i kolumny z orłami są z marmuru ingryjskiego. Koło cyrku kaplica architektury tybetańskiéj, z wejściem od spodu, cała jest bowiem na sklepieniu tworzącém próżnię oparta. Drzwi do niéj piękne, brązowe, a wewnątrz pięć rysunków olbrzymich, sepią przez Seidenmanna dokonanych, wyobrażających: Najświętszą Pannę Syxtyńską—Rafaela Magdalenę—Batoniego, spoczynek w Egipcie, Urodzenie Samsona gieniusz sławy—Annibala Caracci. Tu także znajduje się piękny nagrobek z marmuru czarnego, na którym postać kobieca wykuta w marmurze białym. Po drugiéj stronie świątyni amfiteatr rzymski z pamiątkami egipskiemi.

Za tą budową znajduje się słynny pałac kryształowy. Ściany ego są z tafli szkła tak wielkich, że cztery składa się ich na szerokość, a tylko jedna na wysokość. Wewnątrz firanki kryształami ozdobione i mnóstwo kryształowych naczyń. Effekt gmach ten, kiedy znajdujemy się w jego wnętrzu robi ogromny, szkło bowiem tak jest czyste, że spostrzedz się nie można, że nas ściany od zewnątrz oddzielają. Do tego pałacu przysłano z Petersburga kopułę szklaną, ale ta przez spaczenie się podstawy, na któréj była osadzona, pękła i odłamów jéj użyto za rezerwoary do fontan, w których woda się zbiera. Powiadają, że wydęcie téj olbrzymiéj bani, przypłaciło życiem kilkunastu ludzi, dmuchali bowiem aż do pęknięcia płuc. Taką tedy była owa Arkadya, którą wielu ciekawych zwiedzało.

Księżna Radziwiłłowa miała jednę szczególność, że krzyczała zamiast śmiać się. Podobnego zjawiska u nikogo nie spotkałem. Familijne jéj stosunki nie należały do szczęśliwych. Miała dwie córki, Różę, która umarła panną i Anielę, pierwszą żonę ks. Konstantego Czartoryskiego, którą przeżyła także, synowie: Antoni, namiestnik poznański, ożeniony z księżniczką Ludwiką Pruską, Ludwik, późniejszy ordynat klecki, żonaty z wdową po Walewskim Kazimie-

rzu, Michał jenerał i Walenty. Mąż jéj książę Michał, wojewoda Wileński, który synom Ludwikowi, Michałowi i Walentemu tylko po sto dukatów pensyi rocznéj płacił, który dla żony nie był także hojniejszy, wyrzucał ogromne pieniądze w Warszawie dla przypodobania się trzem siostrom, córkom majętnego młynarza z pod Nieborowa, które, odznaczające się pięknością i dobrze wychowane, nad sercem jego zapanowały. Książę oprócz tego miał inne zamiłowanie. W Nieborowie nagromadził ogromne skarby w obrazach, książkach i pysznych pomarańczowych drzewach, które zakupione u Moszyńskiego w Dreźnie, wodą tu dostawione były. W galeryi jego sławny Paul Potter, przedstawiający polowanie w lesie, zapłacony był dziesięć tysięcy dukatów.

Książę wojewoda Wileński miał brata, Dominika, który umierając zostawił wdowę i troje dzieci, syna i dwie córki. Opiekę nad ich majątkiem i osobami objął książę Wojewoda i dzieci z matką do Nieborowa sprowadził. Tu podczas upału dano im chłodzącego jakiegoś napoju i dzieci pochorowały się, dostając symptomatów, odznaczających cholerę, chorobę jeszcze u nas wtedy nieznaną. Syn w kilka godzin umarł, a księżna Dominikowa w przekonaniu, że dzieci jéj otrute, z córkami natychmiast wyjeżdżać chciała. Gdy zaś książę Wojewoda temu się sprzeciwiał, potajemnie Nieborów opuściła sama i przed prezesem Regencyi Hoymem oskarżyła księcia Michała. Niemiec, zabrawszy pomoc wojskową, zjechał do Nieborowa, księżniczki zabrał i matce je oddał.

Kiedym w r. 1805 czas jakiś w Nieborowie bawił, zaszedł zabawny wypadek. Przybyło kilka osób z Warszawy odwiedzić Arkadyą, i z nimi udaliśmy się tam wszyscy. Po oględzinach zebrane towarzystwo postanowiło użyć przejażdżki po jeziorze na małym, płaskim galarze, który się tutaj znajdował. Nie obliczono jednak ciężaru i zaledwie od brzegu odbito, statek zaczął tonąć i na dnie osiadł. Ci, których wzrost wysoki, lub umiejętność pływania od zatonięcia ocaliły, wyciągali z błota omdlałe damy. Książę Stanisław Jabłonowski, który się także na statku znajdował i który wtenczas zapamiętale był zakochany w pannie Ewie Kickiéj, o niczém innném nie myślał, tylko o uratowaniu przedmiotu swojéj miłości. Co którą damę wyciągnął—to nie ta mówił—i napowrót nielitościwie do wody ją rzucał. Szczęściem nikt nie utonął, ale większa część płci pięknéj z przemoczenia i przeziębienia się rozchorowala, wszyscy bowiem dopiero w Nieborowie odzież zmienić mogli.

Koło r. 1802 ks. Konstanty Czartoryski pojął za małżonkę córkę Radziwiłłów, księżniczkę Anielę, osobę piękną i miłą. Stała się ona jedną z ozdób Puław, bo chociaż książę ojciec oddał synowi klucz

Międzyrzecki, rzadko jednak tam przemieszkiwali i najczęściéj w Puławach bawili. O posag księżniczki długie były spory i książę Wojewoda, opierając się na jakichś zwyczajach Radziwiłłowskich, dając córce 200.000 złp. posagu, żądał koniecznie, aby książę Konstanty sukcesyi się wyrzekł. Mój ojciec układy prowadził i dokazał po wielu trudach, że w kontrakcie przedślubnym o tém zrzeczeniu się nie uczyniono wzmianki. Księżniczka Aniela była śliczna blondynka, wzrostu średniego, rysy twarzy miała regularne, oczy błękitne i usta ładne tylko cokolwiek za duże. Nie długo żyła i na suchoty umarła.

Powinowactwo familijne, jakie wskutek tego małżeństwa powstało, było powodem, że księżna matka i po kolei jéj synowie prawie ciągle siedzieli w Puławach. Księżna Radziwiłłowa nigdy na śnieżnych swych włosach innego nie nosiła ubrania tylko przepaskę, najczęściéj złotą. W szatach białych, krojem greckiéj tuniki i, jakkolwiek już w wieku posunięta, zawsze wesoła. Wczesne siwienie włosów było w téj familii dziedziczne i wszyscy synowie w sile wieku siwizną już byli okryci.

Najstarszy z synów książę Antoni, poślubiwszy księżniczkę pruską w Berlinie przesiadywał, kiedy jednak odwiedzał Polskę, nigdy Puław nie mijał. Mężczyzna piękny, wielki miłośnik muzyki, był autorem partycyi do Fausta Goethego. Żonę jego, księżnę Ludwikę przyjmowano w Puławach z uszanowaniem należném osobom z familii panującéj. Była to kobieta miła i grzeczna, ale przywykła do wymagań dworskich, zbyt ulegała jarzmu etykiety. Aczkolwiek wówczas młoda i chętnie udział w zabawach biorąca, stawała się w nich oględną i to otrętwiało wesołość szczerą, zwykle w Puławach panującą.

Książę Ludwik Radziwiłł, równie jak i młodsi jego bracia był w ciągłym niedostatku, tém większym, że ożenił się z wdową ubogą a dzietną. Posiadał jednak zawsze niewyczerpany zapas wesołości, a w 1807, odziedziczywszy ordynacyą Klecką i Dawidgrodzką, po zgonie Wojewody Trockiego, Warszawę opuścił i stale osiadł na Litwie.

Do stałych gości Puław, a nawet jakby domowników, należała także pani Sewerynowa Potocka, elegantka warszawska, mająca pretensyą do serca Stanisława Augusta, z domu Sapieżanka, siostra ks. Franciszka Sapiehy, pani Jelskiéj i pani Sołtykowéj. Początkowo zaślubiona ks. Hieronimowi Sanguszce wojewodzie wołyńskiemu, po rozwodzie z nim wyszła za Seweryna Potockiego krajczyca koronnego, brata Jana, słynnego z podróży swych i dzieł, już dzisiaj rzad-

kich, w języku francuzkim pisanych, a dotyczących historyi plemion słowiańskich. Jana Potockiego raz tylko widziałem w Puławach. Ciągle podróżując, lub zajęty swemi naukowemi pracami, mało w kraju przesiadywał. Pojął za małżonkę jednę z córek ks. Marszałkowéj Lubomirskiéj, lecz ta krótko żyła i powiwszy mu dwóch synów Alfreda i Artura, umarła. Obadwaj chłopcy wychowani w Wiedniu, często u babki w Łańcucie przesiadywali. Po śmierci pierwszéj swéj żony ożenił się Jan Potocki powtórnie z córką Szczęsnego Potockiego i z niéj miał syna Bernarda. Sam, zdaje mi się na Podolu, samobójstwem życie zakończył. Był średniego wzrostu, otyły, z twarzą okrągłą, rysami regularnemi i pięknemi. Lubił dużo mówić i w sposób zachwycający opowiadał, a było czego słuchać, bo zwiedził całą Europę, Azyą aż do granic Chińskich i Afrykę. On to w młodości, kiedy jeszcze balony nie były wydoskonalone i wznoszono się w powietrze za pomocą wynalazku Mongolfiera przez rozrzedzone powietrze, w Warszawie z Blanszarem wzbił się w przestwory i bez szwanku spuścili się obaj w okolicy. Życie polityczne zupełnie zaniedbał i cały nauce się poświęcił. Kiedy na wybrzeżach Baltyku i na wyspie Rugii hojnie płacił Niemcom za odszukiwane szczątki wykopalisk, posążków bogów Obotryckich i Pomorskich, niegodziwie go oszukiwano i dostarczano mu rozmaitych dziwolągów, które on biorąc za starożytności autentyczne skupował i przez to w wywodach swych w wiele błędów popadł.

Pan Sewerynowa Potocka była podówczas ciągle zajęta procesem, który prowadziła i który nakoniec wygrała, pozyskując przez to dobra w Podlaskiém: Jabłoń, Milanów, Kolano, Radzienice i Celejów, oprócz tego posiadała starostwo Kazimierskie. Cztery jéj córki otrzymały edukacyą przy niéj, a właściwie w Puławach, lecz tylko najstarsza z nich panna Emma posiadała wyłączną miłość matki, trzy inne: Paulina, Wanda i Seweryna, pod opieką angielki pani Betz pozostawione, mało zdawały się matkę obchodzić. Syn Leon, nie wiem już dla jakich powodów chował się przez dość długi czas u rodziców moich w Pożogu, a że był zupełnym moim rówiennikiem, bośmy nie tylko jednego roku, ale i jednego dnia na świat przyszli, przeto z towarzystwa naszego wielce radzi byliśmy obadwaj.

Pan Seweryn Potocki o żonę i o dzieci nie okazywał wielkiéj troskliwości. Jako senator rosyjski przesiadywał w Petersburgu, lub w okolicach powstającéj Odessy, gdzie, nabywszy majętność, którą Sewerynówką nazwał, pustynię tę kolonizował. Był to mężczyzna wysoki, smagły i piękny. Zaledwie, ukończywszy za granicą edukacyą, powrócił do kraju, został zaraz wybrany posłem na sejm czteroletni, w materyi sprzedaży starostw zabierał głos kilkakrotnie i trzy-

mał się partyi Ignacego i Stanisława Potockich, słabo ją atoli popierając. Późniéj znikł z horyzontu politycznego krajowego.

Pani Sewerynowa miała zawsze jakieś pretensye do serca księcia Feldmarszałka, należące do wspomnień dawnego życia. Pełna zawsze dowcipu i rozumu, towarzyska i choć z Potoczyzny i Sapiehów dumna, umiała dumę tę doskonale ukrywać i zastosowywać się do towarzystwa, w jakiém się znajdowała. W Puławach ona była duszą i filarem wszystkich amatorskich teatrów, doskonale grała sama przyjęte na się role i umiejętnie innych do ich wypełnienia dobierać umiała. Innych sukień nie nosiła jak tylko białe, ale, że zawsze w stroju dosyć zaniedbana była, te więc zwykle wyglądały popielato.

Panna Emma, posiadając wyłączną miłość matki, siostry swe traktowała z góry. Z powodu dumnego charakteru nie bardzo ją lubiono, a z młodzieży miejscowéj nikt jéj nie hołdował, co matkę jéj nie mało bolało. Największe staranie matki było ułowić dla córki księcia Dominika Radziwiłła, ale ten, ani myślał o tém. Wpadła mu w oko panna Brygida Jawornicka, osoba rzadkiéj piękności, z twarzą i postawą przypominającą Venus Medycejską i tą szczerze kochał, a że on sam także oprócz majątku miał wiele innych sposobów podobania się, był bowiem przystojny i zgrabny mężczyzna, przeto miłość była wzajemną. Rodzice jednak panny, wiedząc że nic dobrego ze stosunku tego wyniknąć nie może, wywieźli ją na Podlasie i wkrótce za pana Żabickiego wydali.

Z przyjezdnych o rękę panny Emmy robił starania Zawisza Czarny. Imię jego, majątek i wysokie wykształcenie wszystko za nim przemawiało, a i panna Emma mu sprzyjała, rada mieć adoratorem swoim pierwszego eleganta warszawskiego. Ale matka znajdowała, że dla Potockiéj, wnuczki Sapiehów taka szlachecka partya *c'est une mésalliance*, dla Emmy tylko Mitra, a już w ostatnim razie hrabiowska korona mogła być odpowiednią. Tak tedy, przebierając Emka doczekała się pół trzecia krzyżyka. Tymczasem panna Paulina wydana została za Franciszka Łubieńskiego, Wanda naprzód za Margrabiego Wielopolskiego, a późniéj jako rozwódka za Uruskiego, a Emma jak siedziała, tak siedziała.

Panna Wanda, brunetka, ospowata, trzpiot i żywa osobliwszego doznała losu co do pierwszego małżeństwa. Związek z Margrabią Wielkopolskim był zupełnym *mariage de convenance*. Rodzice między sobą się ułożyli i Margrabia na tydzień przed weselem do Celejowa zjechał ze swą rodziną, wyjednano indult, zaproszono gości i ślub odbył się wieczorem.

Wszystko urządzono suto i po pańsku, jak tego związek dwóch tak ważnych domów wymagał. Panna Wanda sama nie wielką czuła do małżeństwa skłonność, zwłaszcza skoro zobaczyła margrabiego, który w postaci swojéj nie miał nic ujmującego. Na parę dni przed ślubem będąc w Bronicach, wyznała przed moją siostrą, że wolałaby tu na wieki pozostać, aniżeli jechać do margrabiego, do Książa. Po ślubie rozpoczęto bal, nastąpiła wieczerza i cukrowa kolacya, nakoniec koło trzeciéj zrana każdy gdzie mógł i jak mógł w takim ścisku zaczął udawać się na spoczynek. Tymczasem okropne krzyki dają się słyszéć z sypialni nowożeńców i panna młoda, blada a rozczochrana wpada do salonu, gdzie jeszcze siedziało kilka osób, ale nie jest w stanie nic wyrzec, bo ją mdłości porwały. Idą więc do sypialni ze światłem i cóż widzą? Margrabia leży na posadzce w najokropniejszych konwulsyach, cały siny i zapieniony, drgając okropnie twarzą i wszystkiemi członkami. Smutny ten wypadek natychmiast się rozgłosił, każden z gości coprędzéj zaprzęgać kazał i nie wyszło pół godziny, jak Celejów stanął pustkami, bo i pani Sewerynowa, nie wiedząc co robić, zabrała córki i do Puław z niemi odjechała. Został tylko z krewnymi margrabia, którego konwulsye jeszcze przez dwa dni męczyły, poczém także do Książa wrócił, nie widząc się wcale z żoną. Podano z obudwu stron o rozwód i ten wkrótce otrzymano.

W r. 1809 w zimie przybyła pani Sewerynowa z trzema córkami do Warszawy i stanęła w pałacu Raczyńskich. Był to zakrój dla Emki na jednego z Raczyńskich, ale: *l'homme propose, Dieu dispose.*

Pani Sewerynowa otworzyła salony. Będąc sama dowcipna, przyjemna i majętna, nie potrzebowała gości ściągać i apartamenta jéj zaludniały się łatwo. Owóż między gośćmi zjawił się także major Strzyżewski. Z kampanii w r. 1809 pozostało mu jedno wspomnienie, jak jedynie za pomocą odwagi i przytomności umysłu dokonał rzeczy w wojennéj historyi dość rzadkiéj. Był on podówczas kapitanem i z podjazdem złożonym z czterech ułanów zapędził się pod miasto Brzeżany. Tam stał na kwaterach oddział austryacki częścią z wojska, a częścią z rekrutów złożony i do 4.000 ludzi liczący. Strzyżewski, nie spotkawszy żadnych placówek wjechał do miasta i tu dopiero spostrzegł, że sam wlazł w garść nieprzyjacielowi. Udaje więc parlamentarza, pyta o kwaterę jenerała i wszedłszy zastaje go jeszcze w łóżku. Nie tracąc więc chwili mówi do niego: - jesteś w Brzeżanach otoczony, my panami miasta, poddaj się ze swą komendą, albo ci w łeb wypalę. Spisano kapitulacyą i tak w pięć osób wzięto do niewoli cztery tysiące ludzi bez wystrzału. Strzyżewski posunięty na majora i ozdobiony dwoma krzyżami za waleczność, miał za sobą urok bohaterstwa. I choć nie był ani młody, ani piękny, owszem

chudy, wysoki i czarny, tak samo jak wymógł kapitulacyą na jenerale austryackim, wziął szturmem serce panny Emmy. Ta oświadczyła matce stanowczo, że oczekując na książęce partye, starą panną zostać nie myśli i za Strzyżewskiego wyjdzie. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie na panią Sewerynową to wywarło, zwłaszcza, że posuwając swe inwestygacye co do osoby majora Strzyżewskiego, miała wyśledzić, że ojciec jego był koniuszym u któregoś z panów polskich. Wszędzie więc jeździła i przed wszystkimi rozwodziła żale, że nie do pojęcia jest, aby córka Potockiego, potomka Rewery i wnuczka Sapiehy, oddała rękę pierwszemu lepszemu i zapowiedziała córce, że na związek ten za życia swego nie dozwoli. W tym czasie o rękę panny Emmy starał się także jenerał Sokolnicki, równie okryty sławą, ale stary i schorzały. Złe ludzkie języki utrzymywały, że panna więcéj przychylności okazywała adjutantowi jenerała, młodemu i przystojnemu Janowi Jezierskiemu. Wszelako ani te nowe konkury, ani opozycya matki, nie mogły przełamać uporu córki i po roku walk domowych cichaczem ślub ze Strzyżewskim zawarty został. Matka niedługo zmartwienie to przeżyła, bo w r. 1814 w Pniowie na apopleksyą umarła.

Po ślubie pani Sewerynowa oddała córce Jabłoń, piękne, ale opuszczone dobra. Te major przyprowadził do wzorowego porządku, wartość i dochody z nich znakomicie podniósł. Wielka zmiana po ślubie zaszła także i z panią Emmą. Z osoby bardzo trudnej w codziennem pożyciu i kapryśnéj, wyrobiła się pani w towarzystwie nader miła, uprzejma i licznemi zaletami towarzyskiemi ozdobiona, zostawszy wdową, osiadła ona we Florencyi i tu otwarła salony uczęszczane blizko przez lat trzydzieści przez wszystkie znakomitości europejskie. Umarła w 1857 powszechnie szanowana i żałowana.

Pani Wanda Wielopolska wyszła po uzyskaniu rozwodu, jakieśmy już wspomnieli za p. Uruskiego, jednego z majętniejszych obywateli galicyjskich, a po jego śmierci pojęła trzeciego męża, jenerała austryackiego Caboga i z nim stale w Wiedniu zamieszkała.

Najładniejsza z panien Potockich była Seweryna, i byłaby pięknością skończoną, gdyby nie wzrost zbyt nizki i skłonność do otyłości. Ta wydana za Sobańskiego, nie długo z nim żyła, a swojemi zacząwszy latać skrzydłami, usadowiła się w Wiedniu i tu z ambasadą rosyjską miała bardzo bliskie stosunki. Mając już około lat pięćdziesiąt, zawsze świeża i ładna, zaślubiła młodego hrabiego Colloredo. Cały Wiedeń dziwił się wielce temu nierównemu małżeństwu i powszechnie utrzymywano, że mu pani Sobańska napój miłosny zadała. Sądzimy, że piękność jej i uprzejmość były jedynie tym cudownym filtrem.

Pani Paulina po stracie męża całkiem oddała się dewocyi i dla świata została straconą.

O dwie mile od Puław, w Demblinie mieszkali Mniszchowie. Posiadali tu piękny pałac z zimowym ogrodem na dolnym piętrze umieszczonym. Jako osobliwość wspaniałego tego budynku wspomnieć należy schody przyozdobione wielkiemi obrazami, przedstawiającémi całą historyą Maryny Mniszchówny. Nie tyle z powodu wewnętrznej wartości, ile z doskonałego sportretowania osób i wiernego przedstawienia ubiorów współczesnych były one cenne.

Rodzina Mniszchów składała się z rodziców, dwóch córek i syna. Tego ostatniego nigdym nie widział. Wychowany daleko, mówiono mi, że był bardzo dumny, w heraldyce biegły i kulawy. Z córek jedna, którą późniéj poślubiono księciu Antoniemu Jabłonowskiemu, była podówczas jeszcze dzieckiem, starsza zaś trochę kulawa, trochę garbata i cokolwiek zézowata, była mimo to prawdziwą pięknością. Korki u trzewików skróceniu nogi zaradzały, wypchanie jednéj łopatki w sukni utajało zbytnią wypukłość drugiéj, a pukle ślicznych blado szaten włosów nasunięte na oko, zakrywały zézowatość. Głowa zaś i twarz cała była jakby modelowana podług wzoru greckiego. Wiek jéj prawie z moim równy zawiązał ścisłą między nami przyjaźń i kiedy w Puławach uwolniła się z pod surowego dozoru nauczycielki, pani de la Porte, co wśród zabaw i gwaru nie było tu trudnem, zwierzała mi się z nudów Dembliński ch i etykietalnéj miłości rodziców, która piękną jéj duszę gnębiła.

Pan Mniszech, marszałek wielki koronny i majątkiem i rodem do magnatów z praojcami należał. Wytapirowany, wyfryzowany, zawsze w trzewikach, wyprostowany, mimo twarzy pięknéj i regularnéj, miał coś sztywnego i chłodnego w swojém obejściu, chociaż wzrost nizki do takiéj impozycyi się nie nadawał. Żona jego, siostrzenica króla Poniatowskiego zachowała żywo w pamięci swoje bliskie z tronem związki.

Kiedy książę Dominik Radziwiłł doszedł pełnoletności, opuścił Puławy wraz z młodzieżą, która towarzystwo jego składała, to jest z Łopotem, dwoma Michałowskimi i Janem Narbuttem. Pani Mniszchowa oddawna już dla córki partyą tę obmyślała, to też kiedy Radziwiłł do Nieświeża się udał, przeniosła się na mieszkanie do dóbr swych Wiszniowca. Wspominałem już, że w Puławach ks. Dominik był cały panną Jawornicką zajęty, w Nieświeżu zaś nowe oczekiwało go niebezpieczeństwo. Kuzynka jego pani Starzeńska, córka pani Morawskiéj, stryjenki księcia Dominika, a siostry rodzonéj księcia Karola Panie kochanku, przybyła powitać krewnego. Cudna piękność, średniego wzrostu, blondynka, z płcią tylko u angielek spoty-

kaną i z rysami regularnemi i posągowemi, postanowiła ona wydać się za swego kuzynka. Że zaś książę lubił pasyami konie i jazdę konną, po całych więc dniach ujeżdżali razem dzikie rumaki, polowali, strzelali i wkrótce książę Dominik zakochał się w niéj po uszy, o pannie Jawornickiéj zapominając.

Tymczasem państwo Mniszchowie zaprosili księcia do Wiszniowca i tu powtórzyła się z nim awantura poczciwego pana Paska, który jak zaczął pić z bracią szlachtą w Krakowskiem, nie otrzeźwił się aż dopiero po ślubie z osobą, którą wprzódy znał bardzo mało, a która została dozgonną towarzyszką jego życia. Toż samo stało się i z księciem Dominikiem. Po pijanemu nastąpiły oświadczyny, zaręczyny i ślub za indultem. Kiedy się wytrzeźwił po dniach ośmiu, ze dziwieniem dowiedział się, że ma żonę. Położenie jego stało się okropne. Kochał się w pani Starzeńskiéj. Miłość ta nie utrzymała się w szrankach idealnych i kuzynka była w ciąży, a pierwsze kroki do rozwodu jéj z mężem już poczyniono, a tu tymczasem jak z nieba spadała mu żona. Nie było jednak co robić. Zabrał żonę i do Nieświeża ją przywiózł, gdzie uwiadomiona o wszystkiem pani Starzeńska, czekała rywalki. Więcéj jeszcze romantyczną barwę téj awanturze nadawała ta okoliczność, że Mniszchówna szczerze do swego młodego męża przywiązaną była. I nic dziwnego, był on młody, przystojny, wesoły i w Puławach nabrał téj grzeczności i poloru, jakie towarzystwo tamtejsze odznaczały. Pani Starzeńska korzystając z przewagi, jaką miała nad księciem, skłoniła go, że po dniach czternastu, wręcz żonie oświadczył, iż z nią żyć nie może. Wyznaczywszy jéj 200,000 złp. rocznéj pensyi i dodawszy służbę, wyprawił ją do Puław, a sam kroki o rozwód swój i pani Starzeńskiej rozpoczął. Ponieważ złotem szafował hojnie, wkrótce więc je otrzymał, ale nim to nastąpiło powiła pani Starzeńska syna.

Książę Dominik, dopóki był w Puławach, posiadał wszystkie cechy swawolnego studenta. Do nauki nie miał ochoty tylko do figlów, których pierwszémi ofiarami bywali nauczyciele. Tym stawiał konewki z wodą podedrzwiami, tak, że kiedy drzwi otwierali, cały pokój zalewał się wodą i kiedy po niéj brodzili, przynosił im wędki. W łóżko kładł rozmaite niemiłe woniejące preparata, aby się kładąc powalali i inne niestworzone pomysły. Pani Kleistel, żona doktora, chociaż już przeszło lat 40 mająca, ubierała się codzień w białą suknię. Książę Dominik wkładał jéj w kieszeń słoik konfitur, aby gdy siędzie słoik pękł i białą suknię poplamił. W zimie łączono w Puławach pałac z oficynami drewnianemi korytarzami, żeby damy bez obawy zaziębienia przechodzić mogły. Na korytarzach tych książę Dominik co wieczór inaczéj przebierając się ko-

biety straszył, a chociaż go książę feldmarszałek surowo za to strofował, nic to nie pomagało.

Po rozpoczęciu kroków rozwodowych pojechał z panią Starzeńską do Warszawy i stanął w swoim pałacu (dziś Namiestnikowski). Był to gmach opustoszony, z ogromnemi salonami, ale bez mebli. Napisał do mnie do Puław, abym przyjechał go odwiedzić, wiedział bowiem o mojéj znajomości z jego żoną i liczył, że przez moje wpływy prędzéj ją do przyjęcia rozwodu nakłoni. Wtedy to poznałem panią Starzeńską. Książę Radziwiłł przybył do Warszawy z licznym orszakiem młodzieży, a że nie miał swego kucharza, po obiady więc i kolacye do hotelu Gąsiorowskiego posyłano. Pani Starzeńska honory domu robiła i była jedyną kobietą pomiędzy kilkunastu pustakami, którzy nie wiedząc co robić, po salonach z pistoletów strzelali i konno się po nich uwijali. Pani Starzeńska w zabawach tych zawsze dotrzymywała im placu.

Po kilkunastodniowym tu pobycie wróciłem do Puław, a tutaj aż serce się krajało nad losem młodéj księżnéj Radziwiłłowéj, która gorącą do męża pałając miłością, żoną jego być nie mogła. Z początku i miłość własna obrażona i słuszność czyniły ją mało skłonną do zezwolenia na rozwód, lecz w końcu rozsądek wziął górę, zatrzymała naznaczoną pensyą i na rozwód zezwoliła.

Książę Dominik ożenił się następnie ze swoją kuzynką i miał z niéj córkę Stefanię. W r. 1810 wstąpił do wojska ks. Warszawskiego, odrazu otrzymał 8-my pułk ułanów i odtąd całkiem zawodowi swemu się oddał. W r. 1812 pod Ostrowem na czele swego pułku mężnie na jazdę rosyjską uderzył i tak się odznaczył, że Napoleon o tém w buletynach wielkiéj swéj armii wspominał i w nagrodę przeniósł go do swéj gwardyi. Po bitwie Lipskiéj i Hanauskiéj koło Moguncyi nad Renem, zapadłszy na gorączkę tyfoidalną, życie zakończył, mając zaledwie lat dwadzieścia sześć. Za życia czynił wielkie usiłowania, żeby syna swego uprawnić. Jednak przeszkody innych Radziwiłłów, a szczególniéj księcia wojewody wileńskiego, na którego po jego zgonie dobra ordynacyi Nieświeskiéj i Ołyckiéj spadały, wszelkie starania w tym kierunku sparaliżowały. Po zgonie ks. Dominika, upadku Napoleona i wśród przewagi, jaką w kraju Rosya i Prusy uzyskały, odsunięto syna od sukcesyi a dobra rozdzielono. Ordynacyą otrzymali synowie ks. Antoniego, namiestnika poznańskiego, księstwo zaś Słuckie i inne ogromne posiadłości spadły na nieletnią księżniczkę Stefanię. Uformowano do zajmowania się jéj majątkiem rodzaj komisyi opiekuńczéj, na któréj czele ks. Lubecki i Nowosilcow stanęli. Każdy z nich po 40,000 złp. pensyi z dochodów księżniczki pobierał. Księżniczka zaś w Petersburgu w instytu-

cie panien wychowywana, w szesnastym roku życia wydana została przez cesarza za ks. Wittgensteina, syna feldmarszałka z czasu wojen Napoleońskich. Żyła z mężem tylko lat parę i zostawiwszy syna, umarła.

Syn księcia Dominika, odsunięty od wszystkiego, służył wojskowo w Algieryi, a wdowa mieszkała lat kilka w Warszawie, słynąc z wdzięków, któremi Artura Potockiego i pułkownika Bezobrazowa na stałych wielbicieli zamieniła. Wreszcie wyszła za mąż za księcia Czernyszewa, ministra wojny w Cesarstwie i porzuciwszy światowe obyczaje, cała oddała się dewocyi, corocznie piechotą pielgrzymki do Częstochowy odprawiając. W małżeństwie tém niedługo żyła.

Księżna Dominikowa, Mniszchówna z domu, upodobała sobie p. Deville, brata swéj ochmistrzyni i za niego za mąż wyszedłszy, do Wiednia się przeniosła. Matka nie mogła jéj darować tego mezaliansu, aż do czasu póki cesarz Aleksander w r. 1815 nie zaszczycił p. Deville tytułem hr. Demblińskiego.

(*D. c. n.*).

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Eliza Orzeszkowa. Z różnych sfer. Serya nowa (Sielanka nieróżowa.—Daj kwiatek!—Złota nitka.—Zefirek). Lwów. Księgarnia Polska 1882 str. 338.

„Wierzajcie państwo—powiada nasza autorka—niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać całe, od początku do końca historye wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych, pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą nie ma w sobie nic wspaniałomyślnego: nie jest ono wcale bezinteresownėm. Znajomość bowiem wielu, wielu historyj podobnych stanowi dla człowieka bogactwo serca, dla pisarza—żywy zdrój mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historyj takich nie ciekaw jest i nieświadom: uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie.“

W uwadze téj mieści się charakterystyka treści i dążności zbiorku powiastek i obrazków „Z różnych sfer,“ których obecnie trzecią z kolei otrzymaliśmy seryą. Istotnie, p. Orzeszkowa jak w poprzednich dwu tak i w téj trzeciéj, z prawdziwém zamiłowaniem kreśli sceny z życia biednych pod każdym względem ludzi, a zbierając starannie spostrzeżenia układa je w całostki, które obok swego społecznego znaczenia, mają též niepospolitą wartość artystyczną. Autorka podjęła zadanie, którego dawniejsi powieściopisarze nasi nie pomijali wprawdzie, ale i nie pojmowali w całéj zupełności. Lubiąc przebywać wśród „białych“ szlacheckich dworków lub w salonach przypatrywali się kiedy-niekiedy z ich okien ludowi, schodzili nawet czasami do chat wiejskich i na biedę patrzyli własnemi oczyma; ale „motłochowi“ miejskiemu nie poświęcali nawet takiéj uwagi. Włodzimierz Wolski artystycznėm okiem, żądném wrażeń, spoglądał nie-

kiedy na to mrowie miejskie; późniejsze atoli okoliczności odwróciły wzrok jego w inną stronę. P. Orzeszkowa, całkiem od tego wyjątkowego przykładu niezależnie i ze znacznie odmiennych pobudek, zwróciła się ku temu „żywemu zdrojowi mądrości"—dla bystrego obserwatora i utalentowanego pisarza.

P. Orzeszkowa ze zdroju tego czerpała pełną dłonią, i dzieliła się z czytelnikami, którzy umieją odczuwać bicie serc nie tylko pod aksamitem. Nie będę tu zastanawiał się nad sposobami, których użyła powieściopisarka, ażeby dla tych właśnie sfer życia zjednać uwagę i spółczucie ogółu; pisałem już o tém dawniéj (*Ateneum*, 1880 zeszyt lutowy); teraz zanotować tylko winienem, że środki te okazały się wielce skutecznemi: ogół zainteresował się jéj obrazkami i niejednę z nich odniósł naukę. Ponieważ środki artystyczne w wykonaniu powiastek trzeciéj seryi są też same co i w dawniejszych, wystarczą więc czytelnikom wskazówki dotyczące ich treści.

W „Sielance Nieróżowéj" zajmują nas losy dwojga istot, dwojga sierot, które przyszły na świat, hodowały się i wzrastały wśród warunków możliwie najgorszych. Władek miał wprawdzie ojca, ale ten o niego nie dbał i po śmierci żony oddał go „na wychowanie" krewniaczce, która najpośledniejszém stręczycielstwem się trudniła. Marcysia ojca nie znała nigdy a opiekowała się nią niby matka, lecz wtedy tylko gdy była trzeźwą, gdy chodziła na zarobki, w przeciwnym bowiem wypadku, dola, zła dola musiała zostać jéj opiekunką. Wtedy mała Marcysia zgłodniała, zziębła i ołachmaniona, z sinemi śladami uderzeń na plecach i twarzy, zamieszkiwała „otwarty na wsze strony świat boży, biegała za przechodniami ulic, prosząc o jałmużnę przyciszoném mruczeniem czasem, a często, gdy była głodna, milczącém wyciąganiem drobnéj dłoni i ze łzą kręcącą się w przygasłéj źrenicy; na śmietnikach, nad rynsztokami zaułków, w ciasnych szyjkach tajemniczych podwórek siedząc, gryzła czarne jak noc kromki chleba, sypiała pod kościołami lub drzewami publicznych ogrodów, a gzymsy kościelne i gałęzie drzew osłaniały ją od deszczów i śniegów i spowijając cieniem swym szczupłą, skurczoną jéj postać, ukrywały ją też przed wzrokiem stróżów publicznego porządku."

Matka jéj złą nie była; miewała owszem popędy szlachetne, postanawiała nieraz otrząść się z nałogu dla przyszłości dziecka, ale postanowienia jéj łamały się prędko, bo była istotą słabą i zwichniętą moralnie; odebrawszy zapewne sama nie lepsze „wychowanie" od tego, jakie córeczce swéj dawała, łatwo w chwili upojenia zawierzyła komuś, popełniła błąd, który ją przygnębiał i pójść drogą prostą nie dozwalał. Raz jeszcze zdobywa się na stanowczy zamiar poprawy, sądząc, że gdy na wieś pójdzie, gdy się znajdzie znów wśród takich

pól i lasów, wśród takich ludzi jak ich znała w dzieciństwie, to się swego nałogu pozbędzie i dla dziecka lepszą matką zostanie. Powierza więc swoję Marcysię znajoméj sobie stręczycielce, która i ją do złego namówiła, i idzie na wieś na służbę.

Marcysia ma odtąd stałego towarzysza we Władku. Razem się chowają, razem się włóczą po mieście, nabywając powoli mądrości życia przez przypatrywanie się przykładom ulicznym. Mądrość ta nieznacznie wsiąka w ich proste, otwarte dusze; chłopiec uczy się zdobywać sobie trochę grosza za pomocą wabienia cudzych gołębi; Marcysia śmieléj rękę po jałmużnę wyciąga. Kilka scen ładnie a prawdziwie nakreślonych daje nam poznać ich drobne uciechy, ich rozmowy, zakres mętnych ich pojęć, ich bóle i strapienia. Władek miał wuja, co był cukiernikiem w tém mieście; wuj ten przypomniał sobie chłopaka i dał mu zajęcie w cukierni. Smutna była chwila rozstania; ale chłopak pragnący bądźcobądź lepszego bytu chętnie objął nowe stanowisko i z niejaką dumą ukazał się w niedzielę, w butach — chodził dotąd boso — i surducinie zniszczonéj wprawdzie, w każdym jednak razie lepszéj od dotychczasowego łachmana. Przypatrując się gościom grającym w bilard, marzył o zostaniu markierem i robieniu pieniędzy za pośrednictwem gry.

Tak upływały lata. Marcysia rosła i mogła także zająć się robotą. Jéj opiekunka nie dała jéj próżnować; z początku dzbankami, potém wiadrami zaczęła nosić wodę, prać, zamiatać, gotować, chodzić do pielenia, do gracowania w ogrodach. Była szczupła, chuda lecz miała rysy ładne; wpadła w oko synowi jednego ogrodnika; na jego zaloty odpowiadała hardo, bo miała w sercu miłość dla Władka. Władek wprawdzie bardzo długo nie przychodził, ale ona przeczuwała, że ją kocha i nabrała o tém przekonania, gdy mu o synu ogrodnika opowiedziała. Chciał się z nią ożenić, lecz wtedy dopiero gdy się jego marzenie o pieniądzach spełni. Dla urzeczywistnienia go gra zapamiętale, ale gdy ten środek nie doprowadza do celu, zmawia się ze starszym i doświadczeńszym od siebie, ażeby poprostu przez kradzież w domu ogrodnika dojść do majątku. Plan udał się w połowie; starszy i doświadczeńszy z zabranemi pieniędzmi umknął, młodszy, chcący dopiero nabrać doświadczenia, został schwytany... Rozpaczliwe usiłowania Marcysi, ażeby ukochanego uwolnić, rozbijają się o niemożliwość. Rozszalała wraca do domu „opiekunki", zastaje zebrane towarzystwo przy kubkach, a w tém towarzystwie widzi swą matkę, która mówi do niéj: „Nie dotrzymałam, doniu, nie dotrzymałam obietnicy... Chciałam poprawić się i nawrócić się... i nie mogłam... Przeklęta wódka ciągnęła i ciągnęła... Rok cały ani do gęby nie wzięłam i już po wszystkiém... i jeszcze gorzéj... Oj! Marcysiu

ty moja, doniu moja, nie gniewaj się na mnie... w sercu mnie robak toczył a w głowie smutne pieśni szumiały... czarna jak ta nocka jesienna była dola moja"... Gdy jeden z mężczyn zrobił uwagę, iż Marcysia wygląda niby topielica, ona przypomniała sobie pieśni matki o topielicach w pachnące ziele owiniętych, złotym piaskiem przysypanych, leżących spokojnie na dnie wody, i zapragnęła ich spokoju. Ujrzawszy jéj ruch ku wyjściu, przytrzymano ją, a matka chwiejąc się na nogach, bełkotliwie szeptała: „Pij, doniu, pij! to dobre na robaka lekarstwo! Zapomnisz taj zaśniesz sobie." Dziewczyna porwała pełną czarkę i duszkiem wychyliła. Mętnym wzrokiem wodziła chwilę po obecnych i, jakby sobie coś przypominając, załkała bez łez i żałącym się, drżącym, przyciszonym głosem zaczęła śpiewać o dwojgu sierot śpiących pod drzewem i jego upadkiem przywalonych... potém pochyliła głowę na stół i zamknęła powieki... upiła się.

Ostatnie słowo—to nie epigramat, to smutna prawda.

Obrazek p. n. „Daj kwiatek" przedstawia wyborny szkic staréj żydówki łachmaniarki, która po stracie kilkorga dzieci, miała już tylko jednego wnuczka, co go wyżywić i wychować chciała. Zmęczona całodziennném chodzeniem za lichą po śmietnikach i ulicach zdobyczą, powracała wieczorem do małéj, brudnéj izby, która w raj się przemieniała dla niéj, gdy zobaczyła piękną twarzyczkę wnuka, gdy posłyszała jego głosik, gdy poczuła na zmarszczonéj twarzy pocałunki jego świeżych ustek, gdy z radością się przyglądała jego figlom. Ileż-to było uciechy, gdy np. w koszu babki znalazł guzik błyszczący, albo kwiat sztuczny, albo kapelusz słomiany z dnem wydartém ale opasany wstążką różową! Bywały téż czasami i strofowania. Chaimek przynosił czasami pieniążek do domu; babka, zarabiająca złotówkę dziennie, ostro strofowała wnuczka za żebranie, wyrzucała niby-to pieniądze za okno i zakazywała surowo, żeby się żebrać nie ważył. Lecz przychodziły i takie chwile, w których babka starzejąca się coraz bardziéj, nie mogła nawet złotówki zarobić, a wtedy strofowała chłopca tak cicho, że pewnie słów jéj nawet nie słyszał.

Jednę ważną chwilę z tego jednostajnego życia szczególniéj akcentuje autorka. Razu pewnego Chaimek zobaczył po raz pierwszy piękny bukiet ze świeżych kwiatów w ręku biało ubranéj kobiety z ciemnemi splotami jedwabistych włosów nad czołem. Chłopczyk miał jakieś instynktowe upodobanie w kwiatach, więc zabiegał drogę téj pani i błagalnie patrzył jéj w oczy. Ale pani go nie widziała, więc ją pociągnął za suknię i palcem kwiaty ukazał. Pani łaskawie nań spojrzała i zapytała, czego żąda. Chaimek nie wiedział, o co go pani pyta, bo nie rozumiał popolsku. Pani pojęła to i łagodnie zaczęła powtarzać wyrazy: daj kwiatek. Po kilku usiłowaniach zdołał wy-

mówić żądane słowa i otrzymał w darze sporo kwiatów... Potém gdy rebe Nochim opowiadał mu o aniele Sandalfonie, który stojąc w niebieskich wrotach, chwyta modlitwy lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnéj piękności i splata z nich wieńce i kładzie je u stóp Jehowy, Chaimek jakby anioła tego ujrzéć pragnąc, podniósł w górę oczy, zobaczył kobietę w białéj sukni i zapatrzony tak, wymówił głośno, z uśmiechem:—Daj kwiatek!—Kto wie, jak się odbije kiedyś w życiu Chaimka to drobne napozór zdarzenie...

„Złota nitka“—to promień słońca dla siedzących w więzieniu, to serdeczne słowo w chwilach pognębienia, to jaśniejsza myśl wśród mroku spraw codziennych. Ci którzy żyjąc w powszedniém, prozaicznèm, wielkiemi kwestyami żołądka zajętém otoczeniu, zastosowali się do niego najzupełniéj i nie zaznali nigdy potrzeby wyjścia poza obręb konieczności spożywania chleba i pracowania nań w sposób mechaniczny, nie odczują, nie zrozumieją i nie ocenią „złotéj nitki“, jak nie odczuli, nie zrozumieli i nie ocenili najbliżsi krewni, domownicy pani Felicyi. Z góry jednakże należy uprzedzić czytelnika, że nie ma tu mowy o tak zwanéj „zapoznanéj“ kobiecie, jakich w dobie romantyzmu było mnóstwo; żadna z ujemnych cech tego typu nie może być przeniesiona na panią Felicyą. Jest-to kobieta cicha, gospodarna, nie pozująca na męczennicę, dbała o najprozaiczniejsze potrzeby domu, biorąca udział w bezmyślnych zabawach i tuzinkowych rozmowach całego grona krewnych zbierającego się w jéj domu. Ona nigdy gronu temu nie powie, że jego zabawa jest dla niéj najzupełniejszą stratą czasu, nie dającą nawet wypoczynku umysłowi, ona nigdy przed niém się nie poskarży i nie sarknie. W domu jéj bywa czasami człowiek, z którym lubi rozmawiać o książkach, o sztuce, przy którym się ożywia, odmładnia, który łączy jéj powszednie istnienie z szerokim ruchem oświaty społecznéj. Ona kocha tego człowieka, ale mu nigdy tego nie powie. Przed autorką wyznala w chwili wylania się uczuć: „Nie mogę, aby słowo jego lub moje przybyło do wspomnień, które czyste... takie czyste, wiecznie jednak jak zaklęte stoją, przed oczami! Momenty jak błyskawice... czekam ich, czekam, czekam! Za tydzień, za dwa... pojutrze, jutro! I przelatują bez głosu, a potém znowu i zawsze... i tak wiecznie będzie!“ Nie powiemy, ażeby w tych słowach nie czuć było pewnego upojenia słodkiém cierpieniem, ażeby w najgłębszéj głębi serca p. Felicyi nie kryło się poczucie pewnego bohaterstwa, które poetyczny blask na jéj szare istnienie rozlewało;—ale jest-to już rzecz tak nieodłączna od natury ludzkiéj, że bez tego rysu postać jéj mniejby była prawdziwą. I to jest także „złotą nitką“, ku któréj podnosimy oczy, ażeby nabrać trochę sił ku dalszemu życiu. Szlachetność i podniosłość ta-

kich uczuć najlepiéj daje się ocenić ze słów bliskiego znajomego p. Felicyi, który na pytanie, czy żyje, odpowiada obojętnie jako o rzeczy najpospolitszéj:

— „A jakże, żyje sobie jak dawniéj.“

Ostatnia powieść w zbiorku ma napis: *Zefirek.* Jest-to przydomek kobiety cienkiéj w pasie, zręcznéj i gibkiéj, która będąc młodą nadzwyczaj lekko tańczyła i taki miała „charakter,“ że nigdy żadnego stałego postanowienia zrobić nie mogła. Za dobrych czasów mając męża, który ją ubóstwiał, bawiła się i o niczém poważném nigdy nie myślała. Jedno z jéj dzieci, dwuletnie, bona Niemka wyniosła podczas balu do kuchni i na stole posadziła; w kuchni zamęt, ktoś dziecko trącił, do beczki z wodą wpadło i utopiło się; drugie sukienkę sobie w garderobie przy ogniu zapaliło, okropnie męczyło się przez dwa tygodnie i umarło. Matka zniosła heroicznie tę stratę, ale natomiast, gdy przyciśnięta niedostatkiem, sprzedać musiała fortepian, przy którym maleńkim głosikiem wyśpiewywała romanse, wtedy dostała gorączki i chorowała długo, bardzo długo. Nic dziwnego, życie jéj upływało w napełnionéj wonią perfum krainie konwenansów; co było prawdziwém, szczerém, ale prostém, niewysłowioném gładko, według reguł, uczuciem, to dla niéj wartości nie miało; co było pustym ale ładnym frazesem, to ceniła wysoko i za usłyszenie takiego frazesu poświęcała dobra najrzeczywistsze. Kuzynkowi Stasiowi z wyższego świata za parę komplimentów i funt cukierków oddała cały swój kapitalik, ale córkę, która pracą ciężką na jéj utrzymanie zarabiała, poczytywała za jakąś wyrodną istotę, bo w obejściu była szorstka i pięknie mówić nie potrafiła. Poczucie godności osobistéj w jednym tylko wyrobiła sobie kierunku: pracę uważała za poniżenie dla córki obywatelskiéj, co chociaż poszła za urzędnika, przecież szlachectwa nie straciła. Stąd gdy jéj córka chciała wyjść za mularza, ta wątła istota, zawsze łagodnie i pieszczotliwie przemawiająca, zdobywa się na stanowczą groźbę przekleństwa rzuconą córce wyrodnéj. Córka nie chcąc ściągać na siebie niebłogosławieństwa bożego, pozostaje panną, opuszcza się w pracy i marnieje. Ale ta matka grożąca przekleństwem córce za myśl poślubienia człowieka oddanego pracy, nie uważa sobie w końcu za ubliżenie, chodzić po domach i żebrać pieniędzy, łaskawego słowa, zaproszenia do rozmowy i fortepianu. Przez spółczucie lub z nudów niektórzy proszą ją, żeby weszła do bawialnego pokoju i opowiedziała swe dzieje, co czyni zawsze z wielkiém zadowoleniem. Gdy jéj niekiedy zawezwą do fortepianu, zdejmuje rękawiczki z podartemi palcami i błogo uśmiechając się uderza kilka cichych, smętnych, trochę fałszywych akordów. Dzieci chichoczą po kątach pokoju, dorośli uśmiechają się z litością lub ruszają ramionami

z ironią, ale ona zachwycona fortepianem, talentem swym i zaszczytném towarzystwem, zaczyna śpiewać głosem co chwila konającym: „O, powiedz mu, że niepojęta siła,“— albo téż: „O, gwiazdeczko, coś błyszczała....“ Najczęściéj w chwili największego zapału, wchodzi do pokoju gość albo pan domu nie lubiący jéj lub téż pragnący odpoczynku po pracy. Wtedy wkładają jéj w rękę parę złotych i dają do zrozumienia, a tu i owdzie mówią nawet wprost, aby sobie odeszła coprędzéj.....

Zarówno „Zefirek“ jak „Sielanka Nieróżowa“ napisane są z niezakłóconą przedmiotowością; autorka osobę swoję i poglądy usunęła zupełnie na bok; postacie i wypadki przemawiają same za siebie a przemawiają tak wyraźnie i tak jasno, że nie wymagają żadnych autorskich objaśnień. Opowiadania te należą niewątpliwie do liczby najlepszych utworów p. Orzeszkowéj. „Złota nitka“ ma formę wspomnień osobistych autorki, opowiadającéj swoje spotkania z panią Felicyą; ponieważ spotkania te były chwilowe i przypadkowe, więc i utwór, zgodnie z rzeczywistością, przedstawia się ułamkowo; autorka nigdzie nie minęła się z poczuciem możliwości i prawdopodobieństwa. Najmniéj pod względem kompozycyi zadawalnia szkic p. n. „Daj kwiatek.“ Przedmiotowy sposób przedstawienia rzeczy połączyła tu autorka z publicystycznemi odezwami do czytelnika. Mają one na celu pogodzić go z myślą, że przedmiotem opowiadania będzie żydówka łachmaniarka—bohaterka zatém dla salonowego towarzystwa wcale nieponętna. Zdaje mi się, że tego rodzaju nauki, zachęty i objaśnienia na pewną tylko sferę czytelników podziałać mogą, zawstydzając ich niejako, że żywią jeszcze w swém sercu jakieś społeczne przesądy, jakieś niechęci i wstręty. Na wszystkich atoli najsilniéj wpłynęłaby sama doskonałość utworu, sam urok artyzmu, sama siła talentu, a tych przymiotów autorce przecież nie brak.

P. Chmielowski.

Dzieła Mickiewicza w przekładzie rosyjskim.

Soczinienija A. Mickiewicza. Russkij pierewod W. Benediktowa, N. Siemienowa i drugich pisatielej. Pod redakcijeju P. W. Polewogo. S biografijeju i portretom awtora na stali. Tom I: Mielkija stichotworenija.—Bałłady.—Sonety. Petersburg i Moskwa 1882, str. XX i 348 w 8-ce.

P. Bolesław Maurycy Wolff, księgarz petersburski, podjął wydawnictwo przekładu wszystkich, ile możności, utworów Mickiewicza na język rosyjski. Wydawnictwo to zawrzéć się ma w *pięciu* tomach, a cena prenumeracyjna wynosi rubli dwanaście i pół. Tłomaczeń dawniejszych i nowszych nie brak; idzie więc tylko o dobry ich

wybór, a czasami jedynie potrzeba będzie zwrócić się do spółczesnych tłomaczów z prośbą o przekład jakiegoś utworu Mickiewicza mniéj poprzednio rozpowszechnionego. Staranie o redakcyjną stronę wydawnictwa powierzył nakładca panu P. Polewojowi, znanemu nam trochę z krótkotrwałych wykładów w ostatnim roku istnienia Szkoły Głównéj warszawskiéj.

Mamy właśnie tom pierwszy tego zbiorowego wydania. Przedstawia się na zewnątrz dosyć ładnie; dobry, glansowany papier, staranność pod względem drukarskim znaczna, portret ten sam, który się znajduje przy edycyi paryskiéj dzieł Mickiewicza, wyszłéj nakładem Wolffa w r. 1860 pod redakcyą Klaczki i Januszkiewicza,—wszystko to dobrze usposabia czytelnika zabierającego się do przeglądania książki. Wartość wewnętrzna usposobienia tego bynajmniéj nie psuje. Trzynastu tłómaczów złożyło się na odtworzenie w języku rosyjskim treści, tomem tym objętéj. Poczynając od Puszkina, który po mistrzowsku, jak wiadomo, przełożył *Czaty* i *Trzech Budrysów*, oto są ich nazwiska: Benediktow, Berg, Fet, Gerbel, Golicyn, Kostrow, Ługowski, Mej, Minajew, Omulewski, Pietrowski, Siemienow. Najwięcéj stosunkowo dostarczyli tłomaczeń: Benediktow, Minajew i Siemienow.

W pierwszym tym tomie pomieszczono: 1) ballady i romanse wszystkie bez wyjątku, oprócz naturalnie tych, które stanowią integralną część większych całości jak ballada o Twardowskim w 1-éj części *Dziadów* i Alpuhara w *Konradzie Wallenrodzie*; 2) wszystkie sonety miłosne w liczbie 22 (pominięto więc tylko sonety przełożone z Petrarki, a *Sonety Krymskie* widocznie do dalszych odłożono tomów); 3) Powiastki i bajki z wyjątkiem dwu oryginalnych: *Lis i kozioł*, *Żaby i ich króle* i czterech naśladowanych z Lafontaine'a; 4) wiersze różne, nawet najdrobniejsze albumowe, z wyjątkiem następnych: *Do Matki Polki*, *Nocleg*, *Reduta Ordona*, *Senne widzenie* spisane w r. 1840, *Zdania i uwagi* i kilku drobnych wierszyków wydrukowanych w tomie 5-ym najnowszego wydania parysko-lwowskiego. Nie zaniedbano nawet tłómaczeń niektórych jak *Szanfary* (w przekładzie rosyjskim *Antar*) i *Almotenabbi*. Widzimy z tego, że starano się widocznie o jak największą pełność i opuszczono to tylko, co albo opuścić było można albo czego zamieścić nie było wolno.

Z opuszczeń tych nie możemy zrobić wydawnictwu żadnego zarzutu; powiedzielibyśmy owszem, że pomieszczono w niém zadużo, bo przetłómaczono poezye takie, o których albo napewno wiadomo, że nie są Mickiewicza, albo są bardzo poważne co do autentyczności powątpiewania. I tak, chociaż w wydaniach Mickiewicza drukują powszechnie romans *Panicz i dziewczyna*, wiadomo przecież

dobrze, iż jest-to utwór Odyńca, wydrukowany w jego *Poezyach* (r. 1826, t. II, str. 108—113), gdzie można odczytać objaśnienie, iż tylko *dwie strofy* końcowe, a zatém 8 wierszy są pióra Mickiewicza (1). Powtóre, wiersz p. n. *Dziewica na rozdrożu* wydrukował po raz pierwszy *Noworocznik litewski* na r. 1831 podając go za utwór wielkiego wieszcza; nikt późniéj nie stwierdził i nikt nie zaprzeczył autorstwa, ale w wydaniach za życia Mickiewicza drukowanych nie znajdujemy go wcale, a z uwagi na małą wartość poetycką tych wierszowanych morałów nikt zapewne nie żałowałby, gdyby ich w tłómaczeniu rosyjskiém nie znalazł. Autentyczność wiersza: *Gdybym się zmienił w stęgę złocistą* jest mocno zakwestyonowana (*Ateneum* z r. 1879, t. I, str. 398—400).— Z innych względów śmiało można było pominąć „Zimę miejską“ jako utwór młodzieńczy, mający interes tylko dla biografa i krytyka. Można go było pominąć témbardziéj, że tłómacz rosyjski (Minajew) nie zwrócił bynajmniéj uwagi na to, co w utworze tym jest charakterystyczném t. j. na cechy neoklasycyzmu, a mianowicie na tak zwane peryfrazy („z chińskich ziół ciągnione treści,“ „zręczni *lekkim* wykręcać *oszczepem* pędzą po suknach *wytoczone słonie*“) i oddaje je wyrażeniami powszedniemi, a w jedném miejscu zupełnie zmienia tekst tłómacząc wiersz: „I dając chętnie Cererę za Pluta“ przez „Dla Płutosa *zabyw* krasawicy Cerery,“ boć wiersz polski oznacza tylko, że szlachcic *sprzedał* zboże, i jest wyrazem owéj skłonności do peryfrazy.

Zrozumiéć łatwo, że nie wszystkie przekłady jednakową odznaczają się doskonałością; zalety tłómaczeń zależą zarówno od zdolności tłomaczów jak i od właściwości oryginału. Najmniéj trudności przedstawiały niewątpliwie ballady i romanse, gdyż styl ich, jakkolwiek piękny i wykończony, ma przecież wszystkie cechy stylu ogólno europejskiego, nie zaś specyalnie polskiego. Sonety z powodu saméj formy wiersza już się jeżyły przeszkodami, które tłómacze pokonywali między innemi i tém, że rozmiar wierszom nadawali większy niż 13-zgłoskowy. W „wierszach różnych“ są utwory bardzo trudne jak *Oda do młodości*, którą wybornie przełożył Siemienow, jak *Farys*, którego oddał wiernie choć może trochę za rozwlekle Benediktow. Tegoż tłómacza jest śliczny przekład *Żeglarza*. Pietrowski z prawdziwym artyzmem odtworzył wiersze: *Do M....*, *Rozmowa;* a Minajew ładnie przetłómaczył spokojną melancholią tchnący utwór: *The meeting of the waters*, jak niemniéj i całkiem odmienny pod

---

(1) W wydaniach dzieł Mickiewicza znajduje się objaśnienie inne, ale zupełnie mylne, jakoby tylko *pierwsza część* tego wiersza była utworem Odyńca, a dwie drugie Mickiewicza.

względem nastroju wiersz *Do Lelewela*. Największe trudności przedstawiały się tłómaczowi (Minajewowi) przy odtwarzaniu powiastek i bajek, gdzie Mickiewicz igra sobie z językiem i stylem, oprowadzając nas śmiało, zuchwale nawet po labiryntach gramatycznych i frazeologicznych i czerpiąc obficie ze słownika idyotyzmów polskich. Nie powiemy, ażeby tłomacz wszędzie wyszedł szczęśliwie z istotnie bardzo trudnéj sytuacyi; ale usiłowania w tym kierunku robił i nieraz trudy jego powodzeniem się uwieńczyły jak np. w przekładzie: *Golono-Strzyżono*, *Żona uparta*, *Tchórz na wyborach*. Bądź-co-bądź stwierdzić można, że wszystcy tłómacze z prawdziwą miłością i czcią do wieszcza naszego się zbliżali, a jakkolwiek różne są stopnie doskonałości wyniku ich usiłowań, to pewna, że zupełnie słabych i lichych przekładów w tym tomie nie znaleźliśmy, o ile, naturalnie, na własnym sądzie polegać możemy.

Najmniéj zadawalniającą częścią książki jest jéj początek, zawierający na niecałych 20 stronicach „biografią" Mickiewicza, napisaną przez p. Polewoja. Jest-to właściwie króciutkie, pobieżne wyliczenie główniejszych faktów z życia Adama, jak-to na IV str. przyznaje sam autor, składając się niemożnością napisania zupełnéj biografii z powodu, że i w literaturze polskiéj niema dotąd dzieła przedstawiającego choćby tylko dokładny i systematycznie ułożony zbiór wiadomości życiorysowych. Nie w krótkości atoli i pobieżności zarysu leży główna wada pracy p. Polewoja. Miał on bardzo dobrego przewodnika w dziele p. Spasowicza napisaném po rosyjsku; trzymał się go nawet nietylko w podaniu faktów ale i w ich oświetleniu, chociaż tego nigdzie ani jedném słówkiem poznać nie daje, nawet wówczas gdy słowa p. Spasowicza w cudzysłowach cytuje. Nie jest to wprawdzie rzeczą przyjętą w ten sposób z pracy bliźniego korzystać, ale gdyby już wyłącznie na niéj się był oparł, dałby przynajmniéj pewną logicznie z sobą związaną całość. Tymczasem p. Polewoj chciał czasami okazać się samodzielnym i w każdym z tych wypadków fatalnie pobłądził. U p. Spasowicza nie ma wzmianki o poznaniu się Mickiewicza z Puszkinem w Odessie; p. Polewoj sądził, że to było wynikiem niewiadomości i zamieścił dawną już usuniętą bajkę. Chociaż p. S. wyraźnie mówi, że Celinę Szymanowską znał Mickiewicz jeszcze w Petersburgu, chociaż p. Polewoj mógł czytać w 1-ym tomie redagowanego przez siebie Zbioru dzieł naszego poety wiersz do niéj jako panienki, mimo to z nieudaną naiwnością utrzymuje na str. XVI, że narzeczoną swoję Celinę „znał tylko ze słychu, za pośrednictwem przyjaciół," chociaż o dwa wiersze wyżéj sam podaje wiadomość, iż w domu jéj matki bywał bardzo często. P. Polewoj widocznie zbyt nieuważnie czytał dzieło p. S.

kiedy twierdzi (str. XIII), że w trzeciéj części „Dziadów“ kreśli poeta „bardzo jaskrawy obraz tego stanu, w jakim znalazło się społeczeństwo polskie po powstaniu.“ Ale szczytem nieuwagi jest przypisek na str. IX: przez trzy stronice opowiadał autor o pobycie Mickiewicza w Rosyi i o utworach wtedy wydanych (*Sonety*, *Konrad Wallenrod*), a po tych trzech stronicach, z powodu wzmianki o częstych improwizacyach poety w Petersburgu, daje taki odsyłacz: „Ciekawą przytém jest rzeczą, że w ciągu pięcioletniego pobytu w Rosyi napisany był jeden tylko *Farys*.“ A skąd to ciekawe rzeczywiście pod względem psychiatrycznéni spostrzeżenie powstało? Oto z nieuważnéj a dowolnéj przeróbki zdania p. Spasowicza, że przez *rok* pobytu w *Petersburgu* Mickiewicz napisał tylko Farysa.... Tak-to żądza łatwéj i taniéj oryginalności pomściła się na autorze „biografii“ Mickiewicza. *P. Ch.*

= **Wydawnictwa E. Orzeszkowej. XVIII. Do nieznajoméj.** Nowelle. Z rękopismu znalezionego przepisał *Leopold Méyet*. Wilno 1882, str. 203. — Autor należał do grona tych wychowańców Szkoły Głównéj, którzy w r. 1872 założyli dwutygodnik naukowy i literacki p. n. *Niwa*, i przez lat kilka żywy brał udział w jego redagowaniu, pomieszczając od czasu do czasu artykuły treści publicystycznéj. Następnie, zająwszy się praktyką adwokacką, zamilkł w dziedzinie literatury, ale jéj całkowicie nie porzucił, bo go do niéj widocznie coś nieprzeparcie ciągnęło. Zapewne nie dowierzając swym zdolnościom powieściopisarskim pierwsze próby w tym nowym dla siebie rodzaju podznaczał kryptonimem; a i teraz nawet, gdy na ich zbiorku nazwisko swoje położył, jeszcze się lękał wziąć wyłącznie na siebie odpowiedzialności autorskiéj; chce uchodzić tylko za przepisywacza.... W przedmowie (niedokończonéj) współudział w autorstwie przyznany jest jakiéjś nieznajoméj, która miała zwyczaj pisywać obszerne listy w wytwornéj formie, a w nich dawała zarysy badanie życia na celu mające: zajmowała ją „każda natura bogata, niezależna, zbuntowana przeciw krzywdzie ludzkiéj i ciemnocie; każdy umysł ciekawy a zgnębiony; serce ogniste a samotne; wszelka energia podniosła a miotająca się w więzach.“ Autor przesyłając nowelle swoje téj nieznajoméj sobie korespondentce, uważać je pragnie tylko jako „usilne staranie“ zrozumienia jéj uwag i myśli niepowszednich. Jeżeli pod tą nieco już anachroniczną dzisiaj formą mamy się domyślać jakiéjś, choćby symbolicznie tylko napomkniętéj prawdy, to może ją znajdziemy w tém przypuszczeniu, iż treść swoich nowelli zawdzięcza autor nie tyle osobistéj obserwacyi i doświad-

czeniu, ile pośrednictwu książek i obserwacyj cudzych. Jakoż, zastanawiając się nad najogólniejszym charakterem powiastek „Nieznajoméj" ofiarowanych, możnaby mniemać, iż np. *Kleopatra* powstała pod wpływem odczytania czterowiersza Mickiewicza i przypisku do niego, że *Gasnące lato* ma niektóre analogie z *Marcyanem Kordyszem* Zacharyasiewicza, że *Miłość czy rachuba?* jest nowellistycznóm studyum nad powieściami pp. Schwartz i Carlén. Nie chcemy przez to powiedzićć, jakoby charaktery i sytuacye w tych powiastkach były kopiami wyraźnemi z pewnych oryginałów, ale niepodobna obronić się wrażeniu, iż motywa podjęte w nich przypominają nam się mglisto jako rzeczy dawniéj słyszane lub czytane. Autor opowiada dobrze, z wdziękiem, a niekiedy wykwintnie; żadnéj prawie nuty fałszywéj, czegoś szorstkiego, czegoś surowego nigdzie w jego powieściach nie znajdziemy; wszystko, co mówi, odznacza się pewną miarą; wszystko, co przedstawia, cechuje smak artystyczny wyrobiony. Nie można nawet powiedzićć, żeby utworom jego brak było przymiotu zainteresowania czytelnika; nie ma nigdzie rozwlekłości, pustéj gadaniny, a często zjawia się dowcip wytworny. Kompozycyi nic wogóle zarzucić nie można, jest ona umiejętnie obmyślana i rozumnie przeprowadzona, stosunek części do całości harmonijnie utrzymany. Słowem, pod względem układu i stylu są-to rzeczy bardzo milutkie i bardzo ładne; czytają się łatwo, ale podobno i zapominają się łatwo. I dlaczego? Treścią wszystkich powiastek jest uczucie miłości zawiedzione czy zmarnowane; przyczyną tego zmarnowania bywa mężczyzna (*Gasnące lato*), ale częściéj daleko kobiéta (pięć innych powiastek). Chcąc cośkolwiek nowego o tém uczuciu powiedzićć, potrzeba koniecznie obserwować, potrzeba badać objawy życia, potrzeba samemu czuć głęboko. Otóż w powiastkach dla „Nieznajoméj" obserwacyi znajdujemy niewiele, a uczucie skryte pod maską obojętnego żartu, czasami niezbyt gorzkiéj ironii. Autor jakby się lękał występować na jaw z tym tak dzisiaj lekceważonym, przynajmniéj w słowach, objawem, igra z nim i bawi się, może dlatego, żeby się na śmieszność i szyderstwo nie narazić. Ależ prawdą jest niezawodną, co głosi stara maksyma łacińska: *si vis me flere, flendum est primum ipsi tibi;* chcąc wpływ wywierać, trzeba przedewszystkiém wierzyć w to, co się chce powiedzićć. A powtóre, potrzeba siły, która naturalnie nie zasadza się na krzyku, ale na dobitném wyrażeniu prawdziwego uczucia i myśli prawdziwéj. Autor powiastek dla „Nieznajoméj" ma upodobanie w tonach łagodnych i cichych, ale we władaniu niemi nie doszedł do doskonałości; w jednéj nowelce (*Miłość czy rachuba?*) próbował i tonów silniejszych, używa ich poprawnie, ale bez szczególnego odznaczenia. Jak na pierwsze pró-

by, nie można tego uważać za niepowodzenie; nowelle „Do Nieznajoméj“ czytelników niewątpliwie mieć będą. W końcu zadamy autorowi jedno pytanie: dlaczego lekko przerobiony czterowiersz drukowany w dziełach Mickiewicza przyznaje swemu Gustawowi (str. 33)? Może to figielek autorski względem krytyków, ażeby ich wprawić w pewien kłopot, gdyby ten mało znany wierszyk wzięli istotnie za samoistny utwór nowellistycznego Gustawa?...

= **„Wszyscy za jednego!“** Fraszka. Napisał *Włodzimierz Wysocki*. Kijów. Nakład księgarni Bolesława Korey vo(y). 1882, str. 56. Są-to satyrycznie opowiedziane dzieje p. Wincentego Wątroby, zacnego obywatela na Obij-bokach, który ożywiony zawsze jaknajlepszemi *chęciami*, nigdy ich w czyn zamienić nie mógł, więc pola zasiewał pośladem, w stodole nie miał ani ziarnka, sośninę sprzedał, młyna nie naprawiał i masę długów narobił. Widocznie chęci i zamiary nie mogły pana Wątroby postawić na nogi, tak samo jak wielu jemu podobnych obywateli w przeszłości i teraźniejszości. Słusznie też powiada autor:

O! „dobre chęci“ nasze, o! najlepsze cele!
Któż was, jak my Polacy, posiada tak wiele!
O szczytne chęci polskie, czynami jałowe!
Dziatki nasze rodzone, chwasty narodowe!
Jak bujnie w sercach naszych i głowach rośniecie
I jak nam z wami dobrze na tym bożym świecie!
Gdyby was, „dobre chęci,“ nie było, broń Boże,
Któż-by kark nasz opasły ozdobił.... w obrożę!...

Wobec niemożności robienia dalszych długów p. Wątroba zamierzył udać się do serc obywatelskich, ażeby urzeczywistniając hasło: „wszyscy za jednego“ dopomogli mu w kłopotach i od obawy sprzedaży majątku dłużnikowi Niemcowi uwolnili. Ale na sucho kołatać do serc tych byłoby dowodem nieumiejętności życia, potrzeba wyprawić obiad, ugościć, upoić i rozczulić sąsiadów. P. Wątroba, tak samo jak ex-marszałek Rura, który „dziewięć lat powiatowi wiernie kuchnią służył, aż się całkiem zrujnował,“ wie doskonale, jak sobie zaskarbić względy łaskawéj braci. Za weksel na trzysta rubli dostaje sześćdziesiąt — naturalnie za pośrednictwem nieodzownego w szlacheckiéj ekonomii arendarza Elka— sprasza sąsiadów na obiad, pozwala im się wygadać dowoli, popisać najróżnorodniejszemi talentami, zrzucić całą winę nieszczęść na przeklętego Niemca i wygłosić śliczne frazesa o jedności i miłości braterskiéj. Korzysta wtedy ze sposobności Wątroba i woła o ratunek. Gdy skończył „cisza zaległa jak w grobie... nikt nie mógł słowa wyrzec, czując, jakby ćwiekiem język mu przygwożdżono...“ W największém zakłopotaniu

znalazł się ów żarliwy mówca, który tak pięknie o miłości bratniéj się rozwodził. Widząc, że wszyscy nań patrzą, zdobył się wreszcie na odwagę, aby dowieść, że „polska solidarność nie jest żadnym mitem“ i zaproponował zgromadzonéj szlachcie, ażeby kilku pojechało do Niemca i rozebrało między siebie dług p. Wątroby. Propozycyą przyjęto i nazajutrz wybrano się w drogę. Dzień był pochmurny i dżdżysty, chwilowy zapał szlachty minął, głód zaczął dokuczać, stanęli posłowie w karczmie, a Elka wysłali do Niemca dla ułożenia punktów przedugodnych. Niemiec zażądał weksli na podwójną kwotę z terminem miesięcznym, ale natomiast ze swéj strony zawiadomił, że gotów o 5 rubli drożéj za każdy morg zapłacić, i to nie tylko w majątku Wątroby, ale każdego z posłów. Pokusa była silna. Wprawdzie piorunowała wczoraj szlachta na Niemca, wprawdzie obiecywała się nie dać i dobra w swoich ręku zatrzymać, ale cóż robić w krytycznych czasach, kiedy praca na roli jest istną męczarnią! Szlachta nie rozmyślała wprawdzie, lecz puściła w ruch palce, bo choć to nie nowy sposób decydowania, ale „nasz narodowy,“ który służy nam bardzo dobrze na wszelkie przygody: dość nam oczy przymrużyć i dwa palce zetknąć, by wątpliwość rozproszyć i sprawę orzeknąć.“ Atoli i palce nie chciały przyjść z pomocą; dopiero gdy Elko oświadczył, że Niemiec czeka ze śniadaniem tych, co się na sprzedaż zgodzą, uważał to marszałek za prawdziwe natchnienie, a za jego zdaniem pociągnęła reszta szlachty. Jak wyszła na sprzedaży, łatwo zgadnąć, w krótkim przeciągu czasu zmarnowała gotówkę, albo poszła do szpitala, albo w służbę. Pana Wątrobę ocalił jedyny rozumny wśród owego zebrania obywatel, który wziąwszy Wątrobiankę za żonę, ocalił wieś od Niemca, sam w niéj gospodarował, gumna niebawem i oborę napełnił. — Autor nie w jedném miejscu zabłysnął talentem prawdziwego humoru; tu i owdzie staje mu jeszcze na zawadzie oporny język i wiersz.

SPROSTOWANIE

W zeszycie majowym należy poprawić następne omyłki:

str.	347	wiersz	17	zam.	szczęki	czyt.	*wnęki*
„	351	„	36	„	llzon	„	*lizen*
„	356	„	10	„	takowéj budowy	„	*hallowéj* budowy
„	357	„	6	„	w Bieszu	„	*w Bieczu*
„	361	„	40	„	synejskich	„	*Syryjskich*

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

